TAD WILLIAMS

Wieża Zielonego Anioła

część 2

CZWARTY TOM SERII
„Pamięć, Smutek i Cierń”

REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

TAD WILLIAMS

Wieża Zielonego Anioła

część 2

Przełożył
Paweł Kruk

REBIS
DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

W skład trylogii
„Pamięć, smutek i cierń”
wchodzą następujące części:

Smoczy tron
Kamień Rozstania
Wieża Zielonego Anioła
(w dwóch tomach)

Całą trylogię dedykuję mojej mamie, Barbarze Jean Evans,
która nauczyła mnie szukać innych światów i dzielić się tym,
co w nich znajduję.

Ostatni tom, Wieża Zielonego Anioła, *który sam*
w sobie jest światem pełnym smutku i radości,
dedykuję Nancy Deming-Williams, którą bardzo kocham.

Burzowa Góra
Trolle Turnie
Urmsheim
YIQANUC
RIMMERSGARD
Puszcza Dimmerskog
FROSTMARCH
Wealdhelm
HERNYSTIR
Las ALDHEORTE
Zamek Hayholt
ERKYNLAND
Wzgórza Thrithingów
Łąki Thrithingów
Warinstein
Perdruin
Jeziora Thrithingów
NABBAN
Osten Ard
WRAN

Streszczenie tomu pierwszego pt. *Smoczy Tron*

Przez wieki zamek Hayholt należał do nieśmiertelnych Sithów, którzy musieli go jednak opuścić, uciekając przed napaścią Człowieka. Od tamtej chwili rozpoczęły się rządy ludzi w tej największej i najpotężniejszej z twierdz oraz w pozostałej części Osten Ard. Ostatnim z panujących jest Prester John, Wielki Król wszystkich narodów ludzkich. Po triumfalnym objęciu przez niego rządów nastąpiły długie lata pokoju, w czasie których zasiadał na Smoczym Tronie wykonanym z kości pokonanego przez siebie smoka.

Simon, niezdarny czternastolatek, jest jednym z podkuchennych w Hayholt. Jego rodzice nie żyją, a rodziną są mu pokojówki i ich surowa przełożona, Rachel, zwana Smokiem. Gdy tylko Simon może uciec od prac kuchennych, chowa się w zagraconych komnatach ekscentrycznego uczonego z zamku, Doktora Morgenesa. Cieszy się bardzo, gdy starzec prosi, by chłopiec został jego uczniem, lecz radość mija, kiedy się okazuje, że Morgenes woli uczyć go czytania i pisania zamiast magii.

Wszyscy spodziewają się śmierci starego, schorowanego Króla Johna, więc Elias, jego pierworodny syn, przygotowuje się do objęcia tronu. Josua, rozsądny brat Eliasa, zwany Bezrękim, toczy z przyszłym królem spór z powodu Pryratesa, duchownego cieszącego się złą sławą, który jest

najbliższym doradcą Eliasa. Walka między braćmi okazuje się zwiastunem zła, jakie nadciąga nad zamek i cały kraj.

Wkrótce po przejęciu rządów przez Eliasa nastaje susza, która dotyka narody Osten Ard. Na drogach pojawiają się rozbójnicy, a z odludnych wiosek znikają ludzie. Naturalny porządek rzeczy zostaje zachwiany i poddani zaczynają tracić wiarę w swojego Króla, lecz władca i jego przyjaciele wydają się nie zważać na niedolę ludzi. W całym królestwie rozlegają się coraz częstsze głosy niezadowolenia, a tymczasem znika Josua, brat Eliasa – niektórzy twierdzą, że przygotowuje powstanie.

Złe rządy niepokoją wielu, między innymi księcia Isgrimnura z Rimmersgardu, a także hrabiego Eolaira, wysłannika leżącego na zachodzie Hernystiru. Niepokoi się nawet córka Eliasa, Miriamele; szczególnie martwi ją odziany zawsze w purpurowe szaty powiernik ojca, Pryrates.

Tymczasem Simon zostaje pomocnikiem Morgenesa. Zaprzyjaźniają się pomimo niezdarności chłopca i odmowy Doktora uczenia go czegokolwiek, co przypominałoby magię. Podczas jednej ze swych wędrówek w podziemiach Hayholt Simon odkrywa tajemne przejście i nieomal zostaje schwytany przez Pryratesa. Udaje mu się jednak uciec, a błąkając się w nieznanych korytarzach, znajduje uwięzionego w podziemnej celi Josuę, którego chciano zgładzić w tajemniczym rytuale planowanym przez Pryratesa. Simon sprowadza Doktora Morgenesa i obaj uwalniają Josuę. Prowadzą go do komnaty Doktora, skąd Josua ma się wydostać na wolność korytarzem wiodącym pod prastarym zamkiem. Gdy Morgenes wysyła do przyjaciół ptaki z wiadomością o tym, co się stało, pojawia się Pryrates ze strażą królewską, by aresztować Doktora i Simona. W walce z Pryratesem ginie Morgenes, lecz jego ofiarna śmierć umożliwia Simonowi ucieczkę tym samym tunelem, którym uciekł książę.

Oszalały ze strachu chłopiec przedziera się przez ciemne korytarze pod zamkiem, które ciągną się wśród ruin starego, sithijskiego zamku. Wreszcie wydostaje się na powierzchnię. Znajduje się na cmentarzu poza murami miasta. Jego uwagę przyciąga blask ogniska. Staje się świadkiem tajemniczych wydarzeń: Pryrates i Król Elias biorą udział w dziwnym rytuale, w którym uczestniczą także ubrane na czarno postacie o białych twarzach. Wręczają one Eliasowi szary miecz zwany Smutkiem – miecz posiadający niepokojącą moc. Przerażony Simon ucieka.

Wędruje brzegiem ogromnego lasu Aldheorte. Mijają tygodnie. Simon jest skrajnie wyczerpany z głodu i zmęczenia, lecz wciąż znajduje się bardzo daleko od celu, do którego zdąża: Naglimundu, leżącej na Północy twierdzy Josui. Zbliża się do chaty drwala, by poprosić o coś do jedzenia, lecz znajduje tam obcą istotę usidloną w pułapce; jest to jeden z Sithów, o których mówi się, że istnieli tylko w legendach albo dawno już wyginęli. Powracający drwal chce zamordować bezbronnego Sithę, lecz Simon zabija go. Uwolniony Sitha zatrzymuje się tylko na chwilę, posyła Simonowi białą strzałę i znika między drzewami. Nieznany głos podpowiada Simonowi, aby wziął strzałę, która – jak wyjaśnia – jest darem od Sithy.

Mały doradca okazuje się trollem o imieniu Binabik podróżującym na ogromnej, szarej wilczycy. Wyjaśnia Simonowi, że znalazł się tu przypadkowo, lecz może towarzyszyć Simonowi do Naglimundu. W drodze do twierdzy Binabik i Simon mają wiele przygód: uświadamiają sobie, że niebezpieczeństwo, jakie im grozi, jest dużo większe od gniewu Króla i jego doradcy, którym odebrano więźnia. Ścigani przez wydające się posiadać nienaturalną moc białe ogary ze znakiem Burzowej Góry na obrożach – góry o złej sławie, która leży daleko na Północy – zmuszeni są schronić się w leśnym domu Geloë. Zabierają po drodze dwóch podróżników, których uratowali przed psami. Geloë, tajemnicza i obcesowa

kobieta, mieszkająca w lesie, o której mówi się, że jest czarownicą, przyznaje, że starożytni Nornowie – skłóceni z Sithami ich krewni – zostali w jakiś sposób wplątani w los królestwa Prestera Johna.

W dalszej wędrówce naszych bohaterów wciąż ścigają śmiertelnicy i inne istoty. Kiedy Binabik zostaje ranny od strzały, Simon i jeden z ich nowych towarzyszy, służąca z zamku, muszą przejąć na siebie trudy przewodzenia podróżą. Zostają zaatakowani przez kudłatego olbrzyma, lecz ratuje ich Josua ze swymi myśliwymi. Książę zabiera ich do Naglimundu, gdzie Binabik dochodzi do siebie i gdzie potwierdza się, że Simon został wciągnięty w wir niebezpiecznych wydarzeń. Nadciąga Elias z wojskami, by rozpocząć oblężenie Naglimundu. Towarzyszka podróży Simona, podająca się za służącą, okazuje się księżniczką Miriamele, podróżującą w przebraniu po ucieczce od ojca, który jej zdaniem oszalał, ulegając wpływom Pryratesa. Z Północy i innych części królestwa przybywają do Naglimundu przerażeni ludzie, którzy w twierdzy Josui szukają schronienia przed szalonym Królem.

Gdy książę i jego rycerze obradują nad zbliżającą się bitwą, pojawia się dziwny Rimmersman, Jarnauga. Jest on członkiem Ligi Pergaminu, koła wtajemniczonych uczonych, do którego należeli Morgenes i mistrz Binabika. Jarnauga przynosi jeszcze gorsze wieści. Wyjaśnia, że ich wrogiem jest nie tylko Elias; Króla wspomaga Ineluki, Król Burz. Był on niegdyś księciem Sithów. Zmarł pięć wieków temu, lecz jego pozbawiony ciała duch panuje teraz wśród zamieszkujących Burzową Górę Nornów, krewnych wygnanych Sithów.

Przyczyną śmierci Inelukiego była straszliwa, magiczna moc szarego miecza, Smutku, a także atak ludzi na Sithów. Według członków Ligi Pergaminu akt darowania Smutku Eliasowi ma być pierwszym krokiem jakiegoś niezrozumiałego planu zemsty, planu, w wyniku którego wciąż

żywy Król Burz ma objąć ziemię w posiadanie. Jedyna nadzieja w profetycznym poemacie, który sugeruje, że „trzy miecze” mogłyby przezwyciężyć magiczną moc Inelukiego.

Jednym z nich jest Smutek Króla Burz, który znalazł się w rękach ich przeciwnika, Króla Eliasa. Drugim jest pochodzący z Rimmersgardu Minneyar, który był kiedyś w Hayholt, lecz nie wiadomo, gdzie się teraz znajduje. Trzecim jest Cierń, czarny miecz najsławniejszego rycerza Króla Johna, sir Camarisa. Jarnauga i pozostali przypuszczają, że może on być gdzieś na skutej lodami Północy. Kierowany tą nikłą nadzieją Josua wysyła Binabika, Simona i kilku żołnierzy na poszukiwanie Ciernia, gdy tymczasem Naglimund przygotowuje się do odparcia oblężenia.

Narastający kryzys wpływa na postępowanie innych. Księżniczka Miriamele, zniechęcona troskliwą opieką swego wuja Josui, przebrana ucieka z Naglimundu w towarzystwie tajemniczego mnicha Cadracha. Ma nadzieję dotrzeć do leżącego na południu Nabbanu i tam prosić swych krewnych o pomoc dla Josui. Na prośbę Josui stary książę Isgrimnur – bardzo charakterystyczna postać – wyrusza w przebraniu na jej poszukiwanie.

Tiamak, zamieszkujący bagniste obszary kraju Wran uczony, otrzymuje dziwną wiadomość od swego dawnego nauczyciela Morgenesa, w której Doktor informuje go o nadejściu złych czasów i sugeruje, że Tiamak ma do wypełnienia zadanie.

Maegwin, córka króla Hernystiru, patrzy bezsilna na upadek swego rodu i całego kraju pogrążającego się w wirze wojny wywołanej zdradą Wielkiego Króla Eliasa.

Simon wraz z Binabikiem i pozostałymi towarzyszami wpada w zasadzkę Ingena Jeggera, łowcy z Burzowej Góry, i jego ludzi. Ratuje ich Sitha, Jiriki, uratowany wcześniej przez Simona przed chatą drwala.

Dowiedziawszy się o celu ich wyprawy, Jiriki postanawia towarzyszyć im na górę Urmsheim, legendarną kryjówkę jednego z ogromnych smoków.

W czasie, gdy Simon i jego towarzysze udają się na górę Urmsheim, Król Elias rozpoczyna oblężenie Naglimundu. Choć pierwsze ataki zostają odparte, oblężeni ponoszą dotkliwe straty. Wreszcie wydaje się, że Elias rezygnuje i jego siły wycofują się, lecz zanim mieszkańcy zamku mają czas, by zacząć celebrować zwycięstwo, na północnym horyzoncie pojawia się dziwna burza. Jest ona płaszczem, pod którym przybywają przerażające siły samego Inelukiego, armia składająca się z Nornów i olbrzymów. Kiedy Czerwona Dłoń, pięciu głównych podwładnych Króla Burz, otwiera bramy Naglimundu, rozpoczyna się straszliwa rzeź. Josua z kilkoma innymi osobami ucieka z ruin zamku. Przed wejściem do ogromnego lasu Josua przeklina Eliasa za jego okrutny pakt z Królem Burz i przysięga odebrać mu koronę ojca.

Simon i jego towarzysze wspinają się na górę Urmsheim; pokonując wiele niebezpieczeństw, odkrywają Drzewo Uduna, ogromny, zamarznięty wodospad. W pobliskiej jaskini-grobowcu odnajdują Cierń. Kiedy mają już powrócić z mieczem, pojawia się Ingen Jegger i atakuje ich ze swymi ludźmi. Bitwa budzi Igjarjuka, białego smoka, który od wieków spał pod lodem. Obie strony ponoszą dotkliwe straty. Na polu walki pozostaje tylko Simon osaczony na skalnej półce. Kiedy lodowy smok atakuje go, Simon unosi Cierń i zadaje nim cios. Tryska na niego czarna, gorąca krew bestii, a Simon traci przytomność.

Budzi się w jaskini na górze Yiquanuc zamieszkiwanej przez trolle. Opiekują się nim Jiriki i Haestan, erkynlandzki żołnierz. Cierń został odnaleziony, lecz Binabik razem ze Sludigiem, Rimmersmanem, zostaje uwięziony przez swój lud; grozi im kara śmierci. Krew smoka naznaczyła

Simona piętnem i duży kosmyk jego włosów posiwiał. Jiriki nadaje mu imię „Śnieżnowłosy” i oznajmia, że został naznaczony – na dobre i na złe.

Streszczenie tomu drugiego pt. *Kamień Rozstania*

Simon, Sitha Jiriki i żołnierz Haestan są honorowymi gośćmi w mieście zamieszkanym przez trolle, na szczycie góry Qanuc. Lecz Sludig – Rimmersman, a tym samym pradawny wróg ludu Qanuc – i przyjaciel Simona, troll Binabik, nie dostąpili takiego zaszczytu. Ludzie Binabika uwięzili ich obu i grozi im kara śmierci. W obliczu Pasterza i Łowczyni, władców Qanuc, Binabik zostaje oskarżony o to, że złamał przysięgę małżeńską, którą złożył Sisqi, ich najmłodszej córce, i opuścił swoje plemię. Simon błaga Jirikiego, by wstawił się za więźniami, lecz Sitha ma zobowiązania wobec swojej rodziny i nie chce mieszać się w sprawy trolli. Jiriki wyrusza do swego domu na krótko przed wykonaniem wyroków.

Wprawdzie Sisqi ma żal do Binabika o to, że nie dotrzymał przysięgi, ale z drugiej strony nie może pogodzić się z myślą, że troll zginie. Przy pomocy Simona i Haestana pomaga uciec obu więźniom, lecz kiedy szukają w jaskini mistrza Binabika zwoju, który miał im wskazać, gdzie znajduje się miejsce zwane Kamieniem Rozstania, wszyscy zostają ponownie schwytani przez rozgniewanych władców. Jednak testament mistrza Binabika potwierdza wyjaśnienia trolla co do jego nieobecności, a także przekonuje Pasterza i Łowczynię o tym, że nadchodzi niebezpieczeństwo, z którego nie zdawali sobie sprawy. Po naradach więźniowie zostają

ułaskawieni; Simon i jego towarzysze mogą odjechać z Yiqanuc do pozostającego na wygnaniu księcia Josui i zabrać miecz Cierń. Sisqi i inne trolle mają im towarzyszyć do podnóża gór.

Tymczasem Josua i garstka jego zwolenników uciekają z Naglimundu, zanim twierdza zostanie kompletnie zniszczona, i przemierzają las Aldheorte ścigani przez Nornów Króla Burz. Zmuszeni są bronić się nie tylko przed strzałami i włóczniami, lecz także przed niebezpieczną magią. Wreszcie spotykają mieszkającą w lesie Geloë i Leleth, niemą dziewczynkę, którą Simon uratował przed ogarami ze sfory z Burzowej Góry. Ta dziwna para prowadzi Josuę i jego ludzi przez las do miejsca, które kiedyś należało do Sithów, a do którego Nornowie za nimi nie pójdą w obawie przed złamaniem Porozumienia pomiędzy skłóconymi krewnymi. Geloë nakłania ich, by szli dalej, do miejsca jeszcze bardziej świętego dla Sithów; jest to ten sam Kamień Rozstania, do którego skierowała Simona w przekazanej mu wizji.

Miriamele, córka Wielkiego Króla Eliasa i bratanica Josui, podróżuje na Południe w nadziei, że nakłoni swych nabbańskich krewnych do pomocy jej wujowi; towarzyszy jej rozpustny mnich Cadrach. Oboje zostają schwytani przez hrabiego Streawe’a z Perdruin, człowieka chciwego i wyrachowanego. Oświadcza on Miriamele, że przekaże ją nieznajomej osobie, wobec której ma dług do spłacenia. Księżniczka z radością odkrywa, że nieznajomą osobą jest jej przyjaciel, duchowny Dinivan, sekretarz Lektora Ranessina, głowy Matki Kościoła. Dinivan pozostaje w tajemnicy członkiem Ligi Pergaminu; ma nadzieję, że Miriamele przekona Lektora, by ten zdemaskował Eliasa i jego doradcę, renegata Pryratesa. Matka Kościół musi odpierać ataki zarówno Eliasa, który domaga się, by nie mieszano się do jego spraw, jak i Tancerzy Ognia,

religijnych fanatyków twierdzących, że Król Burz nawiedza ich w snach. Ranessin z niepokojem słucha opowieści Miriamele.

Simon i jego towarzysze opuszczają wysokie góry, lecz po drodze zostają zaatakowani przez mieszkające wśród śniegów olbrzymy; ginie Haestan i wiele trolli. Rozmyślając później nad niesprawiedliwością życia i śmierci, Simon nieświadomie ożywia lusterko, amulet ofiarowany mu przez Jirikiego, i wędruje Ścieżką Snów, na której spotyka najpierw władczynię Sithów Amerasu, a potem Utuk'ku, straszliwą królową Nornów. Amerasu próbuje zrozumieć knowania Utuk'ku i Króla Burz, dlatego wędruje Ścieżką Snów w poszukiwaniu prawdy i sprzymierzeńców.

Josua i jego towarzysze wychodzą wreszcie z lasu na łąki Wielkich Thrithingów i prawie natychmiast zostają schwytani przez wędrowny klan, którego głową jest Tan Fikolmij, ojciec kochanki Josui, Vorzhevy. Fikolmij jest wściekły, że stracił córkę, dlatego wyzywa Josuę na pojedynek, w którym – jak przewiduje – książę ma zginąć. Jednak plan Fikolmija zawodzi i Josua wygrywa walkę. Jego przeciwnik zmuszony jest wypłacić przegrany zakład w postaci koni dla Josui i jego towarzyszy. Widząc wstyd na twarzy Vorzhevy, wracającej do swoich ludzi, Josua poślubia ją przed Fikolmijem i resztą klanu. Kiedy ojciec Vorzhevy oświadcza z radością, że nadjeżdżają żołnierze Króla Eliasa, by pochwycić Josuę, książę i jego ludzie odjeżdżają w pośpiechu na wschód, w kierunku Kamienia Rozstania.

W odległym Hernystirze Maegwin pozostała ostatnią z panującego rodu. Jej ojciec, król, i brat zginęli w walce z człowiekiem Eliasa, Skalim; tak więc Maegwin i jej ludzie schronili się w jaskiniach w górach Grianspog. Maegwin męczą tajemnicze sny, pod których wpływem udaje się do jaskiń i kopalń w sercu gór. Hrabia Eolair, najwierniejszy wasal jej ojca, wyrusza na poszukiwanie Maegwin i oboje odnajdują ogromne, podziemne miasto Mezutu'a. Maegwin jest przekonana, że mieszkają

w nim Sithowie i że pomogą oni Hernystirczykom, jak to miało miejsce w dawnych czasach. Jednak jedynymi istotami napotkanymi w starym mieście są karlaki – dziwne, bojaźliwe istoty, zamieszkujące podziemia i spokrewnione z istotami nieśmiertelnymi. Karlaki, mistrzowie prac kowalskich i kamieniarskich, wyjawiają, że poszukiwany przez ludzi Josui Minneyar jest w rzeczywistości mieczem znanym pod nazwą Biały Gwóźdź, złożonym do grobu razem z Presterem Johnem, ojcem Josui i Eliasa. Wiadomość ta nie ma większego znaczenia dla Maegwin, zawiedzionej, że sny nie pomogły jej ludziom znaleźć sprzymierzeńców. Ponadto ogarnia ją też głupie, jak sądzi, uczucie miłości do Eolaira, dlatego wysyła go w podróż; ma on dostarczyć Josui wiadomość o mieczu Minneyarze, a także kopie kamiennych map karlaków przedstawiających korytarze pod zamkiem Eliasa, Hayholt. Eolair odjeżdża posłusznie, zdumiony i rozgoryczony.

Simon, Binabik i Sludig rozstają się z Sisqi oraz pozostałymi trollami i kontynuują podróż przez Białe Pustkowie. W pobliżu północnej krawędzi wielkiego lasu odnajdują stary klasztor, zamieszkany przez dzieci, którymi opiekuje się starsza dziewczynka Skodi. Zadowoleni z tego, że znaleźli dach nad głową, pozostają na noc, lecz Skodi okazuje się kimś innym, niż się wydaje: za pomocą magii więzi w nocy całą trójkę, a potem rozpoczyna ceremonię, w czasie której chce sprowadzić Króla Burz i pokazać mu zdobyty przez siebie miecz Cierń. Wywołany zaklęciem Skodi pojawia się któryś z duchów Czerwonej Dłoni, lecz jedno z dzieci przerywa ceremonię, sprowadzając monstrualne kopacze. Skodi oraz dzieci giną, lecz Simonowi i jego towarzyszom udaje się uciec, głównie dzięki wilczycy Binabika. Czerwona Dłoń dotknął umysłu Simona, co spowodowało, że ten oszalały zostawia swych towarzyszy i pędzi konno przez las, aż wreszcie, uderzywszy głową o gałąź, traci przytomność. Leży omdlały w parowie,

dlatego Sludig i Binabik nie mogą go odnaleźć. Zrezygnowani zabierają Cierń i sami kontynuują podróż w kierunku Kamienia Rozstania.

Oprócz Miriamele i Cadracha przybywają też do pałacu Lektora w Nabbanie inni ludzie. Wśród nich znajduje się sprzymierzeniec Josui, książę Isgrimnur, który szuka Miriamele. Jest tam także Pryrates, który wręcza Lektorowi ultimatum od Króla. Ranessin odmawia podporządkowania się Eliasowi; rozzłoszczony emisariusz królewski opuszcza salę, grożąc zemstą.

Tej nocy Pryrates przeistacza się w mroczną istotę za pomocą zaklęcia, jakie otrzymał od sług Króla Burz. Zabija Dinivana i w okrutny sposób morduje Lektora. Potem wznieca ogień, by rzucić podejrzenie na Tancerzy Ognia. Cadrach, który bardzo obawia się Pryratesa i usilnie namawia Miriamele, by uciekli z pałacu Lektora, wreszcie ogłusza ją i szybko się oddala z nieprzytomną księżniczką. Isgrimnur odnajduje umierającego Dinivana; ten przekazuje mu znak Ligi Pergaminu dla Wrańczyka Tiamaka i poleca, by udał się do gospody o nazwie „Puchar Pelippy” w Kwanitupulu, mieście leżącym na skraju bagien, na południe od Nabbanu.

Tymczasem Tiamak otrzymuje wcześniejszą wiadomość od Dinivana i jest w drodze do Kwanitupulu; w czasie podróży zostaje zaatakowany przez krokodyla, co nieomal kończy się śmiercią Wrańczyka. Ranny i chory przybywa wreszcie do gospody „Puchar Pelippy”, gdzie przyjmuje go jej nowa właścicielka.

Miriamele odzyskuje przytomność i stwierdza, że Cadrach umieścił ją w ładowni statku, który wypłynął na morze, w czasie gdy pijany mnich spał. Odnajduje ich szybko Niska Gan Itai; ma ona za zadanie chronić statek przed morskimi stworzeniami – kilpami. Choć Gan Itai z sympatią odnosi się do pasażerów na gapę, ujawnia jednak ich obecność

właścicielowi statku Aspitisowi Prevesowi, młodemu szlachcicowi z Nabbanu.

Na dalekiej Północy Simon budzi się ze snu, w którym po raz kolejny słyszał Sithijkę Amerasu i odkrył tajemnicę, że Ineluki, Król Burz, jest jej synem. Simon, sam w pokrytym śniegiem lesie Aldheorte, próbuje wezwać pomoc, posługując się lusterkiem Jirikiego, lecz nikt nie odpowiada na jego wezwania. Wreszcie wyrusza w odpowiednim, jak mu się wydaje, kierunku, choć wie, że ma niewielkie szanse na pokonanie bezmiaru ogarniętego zimą lasu. Wędrując, żywi się robakami i trawami, lecz coraz bliższy jest szaleństwa lub śmierci głodowej. Wreszcie ratuje go Aditu, siostra Jirikiego, która przybyła wezwana przez Simona za pomocą lusterka brata. Podróżują dzięki magii Aditu, zima zamienia się w lato, a oni przybywają do ukrytego miasta Sithów Jao e-Tinukai'i. W tym magicznie cudownym mieście czas się zatrzymał. Kiedy Jiriki wita Simona, ten wyraża wielką radość, która zaraz potem – gdy staje przed rodzicami Jirikiego i Aditu, Likimeyą i Shima'onarim – ustępuje miejsca przerażeniu. Władcy Sithów oświadczają, że ponieważ żaden śmiertelnik nie został nigdy wpuszczony do Jao e-Tinukai'i, Simon musi pozostać tam na zawsze.

Josua i jego towarzysze wciąż uciekają przez północne łąki, lecz kiedy wreszcie decydują się stawić czoło pościgowi, okazuje się, że za nimi jadą nie żołnierze Eliasa, lecz Thrithingowie, którzy odłączyli się od klanu Fikolmija i postanowili pomóc księciu. Pod przewodnictwem Geloë docierają wszyscy do *Sesuad'ra*, Kamienia Rozstania; jest to ogromne, skaliste wzgórze w środku rozległej doliny. *Sesuad'ra* było miejscem, w którym Sithowie i Nornowie zawarli Porozumienie i gdzie się rozstali. Utrudzeni towarzysze Josui cieszą się z faktu, że choć na jakiś czas znaleźli bezpieczną przystań. Mają też nadzieję odkryć, w jaki sposób trzy Wielkie

Miecze pozwolą im pokonać Eliasa i Króla Burz, co przepowiada poemat z księgi Nissesa.

Tymczasem w Hayholt Elias zachowuje się w sposób coraz bardziej szalony. Hrabia Guthwulf, były faworyt Króla, zaczyna wątpić, czy Elias jest zdolny do sprawowania władzy. Kiedy władca zmusza go, by dotknął szarego miecza Smutku, dziwna moc tej broni wyciska na nim piętno i Guthwulf zmienia się na zawsze. Rachel – Smok, przełożona pokojówek, także jest przerażona tym, co dzieje się w Hayholt. Dowiaduje się, że Pryrates jest odpowiedzialny za wydarzenia, które w jej mniemaniu doprowadziły do śmierci Simona, i postanawia, że trzeba coś zrobić. Po powrocie Pryratesa z Nabbanu atakuje go nożem. Lecz duchowny posiada już taką moc, że odnosi tylko lekką ranę i kiedy odwraca się, by porazić Rachel swoją magią, wtrąca się Guthwulf i sam zostaje oślepiony. Rachel w zamieszaniu udaje się uciec.

Aspitis dowiaduje się, że Miriamele jest córką szlachcica, i przyjmuje ją i Cadracha z honorami; darzy też dziewczynę szczególną sympatią. Cadrach staje się coraz bardziej ponury i po nieudanej próbie ucieczki zostaje zakuty przez Aspitisa w kajdany. Czując się opuszczona i bezradna, Miriamele pozwala uwieść się Aspitisowi.

W tym samym czasie Isgrimnur dociera wreszcie do Kwanitupulu. Odnajduje Tiamaka w gospodzie, lecz nie może znaleźć Miriamele. Początkowo rozczarowany, odkrywa wkrótce, że stary głupek, który pracuje w gospodzie jako odźwierny, to sir Camaris, najsławniejszy spośród rycerzy Prestera Johna, do którego należał kiedyś miecz Smutek. Uważano, że Camaris umarł czterdzieści lat wcześniej, lecz pozostaje tajemnicą, co naprawdę zaszło, ponieważ stary rycerz jest bezrozumny jak niemowlę.

Binabik i Sludig uciekają z Cierniem przed olbrzymami; budują tratwę i przepływają przez jezioro, w jakie zamieniła się po burzy dolina, w której

znajduje się Kamień Rozstania.

Uwięziony w Jao e-Tinukai’i Simon jest bardziej znudzony niż przestraszony, lecz wciąż martwi się o swoich towarzyszy. Wzywa go Amerasu, Pierwsza Babka Sithów. Jiriki prowadzi go do dziwnego domu Sithijki, gdzie Amerasu bada wspomnienia Simona, szukając wskazówek, które pomogłyby jej odkryć plany Króla Burz. Niedługo potem Simon zostaje wezwany na zebranie wszystkich Sithów. Amerasu oświadcza, że opowie wszystkim, czego dowiedziała się o Inelukim, lecz najpierw upomina swój lud z powodu niechęci do walki i niezdrowej obsesji przeszłości i śmierci. Przedstawia jednego ze Świadków: przedmiot, który, podobnie jak lusterko Jirikiego, pozwala wędrować Ścieżką Snów. Amerasu ma wyjaśnić Simonowi i zebranym Sithom, co zamierzają zrobić Król Burz i Królowa Nornów, lecz wtedy pojawia się sama Utuk’ku i oskarża Amerasu, że ta sprzyja śmiertelnikom. Ukazuje się też jedna ze zjaw Czerwonej Dłoni i kiedy Jiriki oraz pozostali Sithowie walczą z ognistym duchem, Ingen Jegger, śmiertelnik, łowczy Królowej Nornów, wdziera się do Jao e-Tinukai’i i zabija Amerasu, nie pozwalając jej wyjawić tajemnicy.

Ingen ginie, a Czerwona Dłoń zostaje odpędzony, lecz Sithowie nie potrafią zapobiec zniszczeniu. Pogrążają się w żałobie, a rodzice Jirikiego unieważniają swój wyrok i pozwalają Simonowi, pod przewodnictwem Aditu, odejść z Jao e-Tinukai’i. Opuszczając miasto, Simon spostrzega, że wieczne lato Sithów staje się chłodniejsze.

Kiedy docierają do krawędzi lasu, Aditu odprawia Simona łódką, wręczając mu paczkę od Amerasu, którą chłopiec ma przekazać Josui. Simon przeprawia się przez zalaną dolinę do Kamienia Rozstania, gdzie oczekują go przyjaciele. Na jakiś czas Simon i pozostali będą mogli schronić się tutaj przed nadchodzącą burzą.

Streszczenie części pierwszej *Wieży Zielonego Anioła*

Książę Josua i jego towarzysze – wśród nich Simon, Geloë, Binabik i Strangyeard – pozostają na *Sesuad'ra*, Kamieniu Rozstania, który staje się ich twierdzą. Osada otrzymuje nazwę Nowe Gadrinsett. Simon zostaje pasowany na rycerza. W czasie nocy czuwania poprzedzającej tę uroczystość ma wizję, w której widzi moment rozstania Nornów i Sithów wiele wieków temu. Geloë, Binabik i Simon jeszcze raz wchodzą na Ścieżkę Snów. Geloë dociera do Tiamaka i ukazuje mu miejsce, w którym przebywają i w którym on także może się schronić. Wrańczyk wraz z Isgrimnurem, który wciąż poszukuje Miriamele, przebywają w gospodzie „Puchar Pelippy" w Kwanitupulu.

Josua i jego ludzie przygotowują się do walki z nadciągającymi wojskami Króla Eliasa. Dowodzi nimi Fengbald. Na Kamień Rozstania przybywa Sisqi z oddziałem trolli. Simon samowolnie wchodzi na Ścieżkę Snów i porozumiewa się ze swoim przyjacielem Jirikim, sithijskim księciem, lecz ten nie może obiecać mu pomocy Sithów w obronie wzgórza. Wreszcie nadciąga Fengbald i atakuje *Sesuad'ra*. W zaciekłej bitwie na zamarzniętym jeziorze po obu stronach wielu ginie, między innymi Deornoth, najwierniejszy rycerz Josui. Fengbald próbuje podstępem

zdobyć wzgórze, ale sam wpada w pułapkę i ginie pod lodem, ostatecznie przegrywając bitwę.

Tymczasem księżniczka Miriamele i mnich Cadrach wciąż przebywają na *Chmurze Eadne*, statku Aspitisa. Mnich po nieudanej ucieczce zostaje zakuty w kajdany i uwięziony w ładowni statku. Gan Itai, Niska strzegąca statku przed kilpami, wie, kim naprawdę jest Miriamele, i postanawia jej pomóc, widząc, jak nikczemnie zachowuje się wobec księżniczki hrabia Aspitis, który zamierza poślubić Miriamele wbrew jej woli. Swoim śpiewem Niska sprowadza na pokład kilpy, które atakują załogę statku. Miriamele i Cadrach uciekają łodzią.

Oboje docierają do gospody „Puchar Pelippy” – znanej już wcześniej mnichowi – gdzie spotykają księcia Isgrimnura i Wrańczyka Tiamaka. W tej samej gospodzie książę odnalazł Camarisa, dawnego towarzysza, największego rycerza Króla Johna, który zaginął przed czterdziestoma laty, a który utraciwszy częściowo rozum, służył w gospodzie za odźwiernego. Tiamak opowiada pozostałym o miejscu, które widział we śnie i do którego – jego zdaniem – powinni się udać. Nie mają wiele czasu do namysłu, gdyż pojawia się Aspitis. Hrabia przeżył z częścią załogi atak kilp i żądny zemsty ściga Miriamele. Uciekając przez bagna Wranu, Tiamak i jego towarzysze docierają do rodzinnej wioski Wrańczyka, lecz nie znajdują w niej nikogo. Wrańczyk zostaje schwytany przez ghanty i uwięziony w ich gnieździe. Te, dotychczas niegroźne dla ludzi stworzenia, próbują wykorzystać Tiamaka w celu porozumienia się z innymi istotami. Miriamele, Isgrimnur i Cadrach przychodzą mu z pomocą i wszyscy uciekają.

Król Elias i Pryrates, jego doradca, przygotowują się do ostatecznej rozgrywki, wspomagani przez Króla Burz. W podziemiach zamku Hayholt błąka się hrabia Guthwulf. Po zamachu Rachel, przełożonej pokojówek, na

Eliasa Guthwulf oślepł, lecz zdołał ukryć się w nawiedzanych przez Nornów korytarzach podziemia. W tych samych podziemiach ukrywa się Rachel.

Josua i jego sprzymierzeńcy wygrywają bitwę o *Sesuad'ra*. Pozostali przy życiu żołnierze Fengbalda przyłączają się do niego, powiększając jego armię. Obrońcy Kamienia Rozstania zastanawiają się, co dalej robić. Tymczasem Josua otrzymuje wiadomość od tajemniczego sprzymierzeńca z Nabbanu, który radzi mu, by zaatakował Nabban. W księstwie tym panuje książę Benigaris, znienawidzony przez poddanych z powodu intryg oraz zabójstwa swego ojca.

Isgrimnur, Miriamele, Cadrach i Camaris zmierzają w kierunku *Sesuad'ra*, opiekując się rannym Tiamakiem, któremu uratowali życie, oswobadzając go z gniazda ghantów. Zostają jednakże zaskoczeni przez Aspitisa i jego ludzi. Hrabia przeżył atak kilp na jego statek, lecz przypłacił to okaleczeniem twarzy. W dalszym ciągu ma zamiar uprowadzić księżniczkę i ją poślubić. Miriamele prowokuje Aspitisa do pojedynku z Camarisem, który wciąż jeszcze nie odzyskał pamięci. Camaris rani ciężko Aspitisa, lecz hrabia uchodzi z życiem. W miarę jak zbliżają się do *Sesuad'ra*, mnich Cadrach staje się coraz bardziej milczący. Wreszcie którejś nocy znika. Miriamele i jej towarzysze docierają wreszcie na *Sesuad'ra*. Na wzgórze przybywa też niespodziewanie Aditu, siostra Jirikiego, która informuje Josuę o zamiarach Sithów.

Sithowie wyruszają, by spłacić dawny dług wobec Hernystirczyków. Po drodze mijają Isorna i Eolaira wraz z ludźmi, którzy mieli zasilić armię Josui. Kiedy Isorn i Eolair przybywają do Hernysadharc, zniewolonego przez armię Skalego, jest już po wszystkim. Sithowie uwolnili Hernystirczyków od ich najeźdźców. Maegwin, po ciosie Skalego, popada

w szaleństwo. Widząc miasto barwnych namiotów Sithów, jest przekonana, że umarła – podobnie jak inni – i znalazła się wśród bogów w niebie.

Josua i jego towarzysze próbują przywrócić pamięć Camarisowi. Recytują w jego obecności profetyczny poemat Nissesa i oddają rycerzowi róg, podarunek od Amerasu. Wraz z dźwiękiem rogu powraca przeszłość starego rycerza. Josua i jego armia wyruszają w kierunku Nabbanu.

Miriamele domyśla się powodów postępowania swojego ojca. Wierzy, że w rozmowie z nim uda jej się nakłonić go do powstrzymania wojny. Namawia Josuę, by pozwolił jej spotkać się z Eliasem przed ostateczną bitwą w Hayholt. Kiedy książę w trosce o jej bezpieczeństwo nie wyraża na to zgody, księżniczka postanawia samotnie udać się do Hayholt. Simon odkrywa jej plan i wyrusza wraz z nią, przekonany, że jadą odnaleźć jeden z Wielkich Mieczy – Biały Gwóźdź. Wyruszają w nocy.

Ten samej nocy do obozu Josui przybywają trzej Nornowie, wysłani przez Utuk’ku, aby wypełnić swoje zadanie.

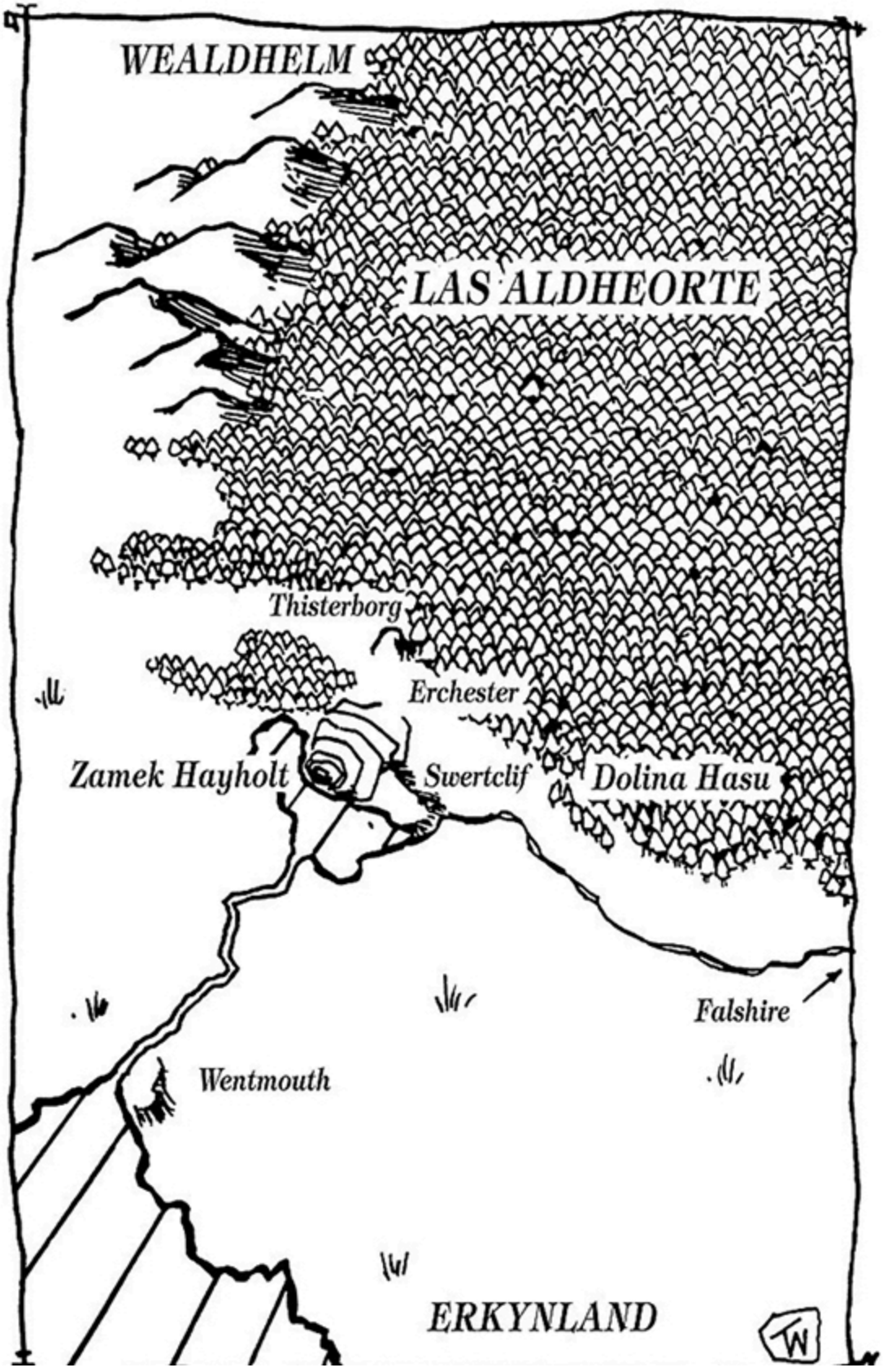
WEALDHELM
LAS ALDHEORTE
Thisterborg
Erchester
Zamek Hayholt
Swertclif
Dolina Hasu
Falshire
Wentmouth
ERKYNLAND
TW

CZĘŚĆ TRZECIA

TOCZĄCE SIĘ KOŁO

27. Ogień i łzy

TIAMAK CZUŁ SIĘ PRZYTŁOCZONY bezkresnymi, pozbawionymi drzew ziemiami Wielkich Thrithingów. Kwanitupul także wydawał mu się dziwny, lecz tam bywał od dzieciństwa, a walące się zabudowania i sieć kanałów przypominały mu w jakimś stopniu jego rodzinne bagna. Nawet Perdruin, w którym spędził samotne lata nauki, pozwalało mu niekiedy stłumić tęsknotę za domem, przypominając swoim labiryntem ocienionych kryjówek, ciasno postawionych domów i wąziutkich ulic przesiąkniętych słonym zapachem morza – rodzinne strony. Tutaj natomiast, na łąkach, czuł się całkowicie odsłonięty i nie na miejscu. Uczucie to bynajmniej nie poprawiało jego nastroju.

„Ci, Którzy Patrzą i Rządzą rzeczywiście zgotowali mi dziwne życie – myślał często. – Pewnie nikt spośród mego ludu nie zaznał czegoś podobnego od czasu, kiedy Nuobdig poślubił Ognistą Siostrę”.

Czasami myśl ta dodawała mu otuchy. Fakt, że został wciągnięty w tak niesamowite wydarzenia, uważał za pewien rodzaj zapłaty za lata niezrozumienia ze strony swoich ludzi, a także mieszkańców suchego lądu z Perdruin. Nic dziwnego, że go nie rozumieli, był przecież wyjątkowy: jaki inny Wrańczyk potrafił mówić i pisać w języku mieszkańców suchego lądu, tak jak on? Ostatnio jednak, kiedy znalazł się wśród obcych, nie wiedząc, co stało się z jego ludźmi, czuł się bardzo samotny. W takich chwilach, przytłoczony pustką dziwnego północnego krajobrazu, szedł nad rzekę,

która płynęła przez środek obozu, by posłuchać znajomych dźwięków wodnego świata.

Tak też stało się i tym razem: posiedziawszy nad rzeką z nogami zanurzonymi w wodzie, choć była zimna i wiał wiatr, poczuł się lepiej i pocieszony wracał do obozu, gdy nagle tuż obok niego przemknął jakiś cień. Była to biegnąca postać z rozwianymi jasnymi włosami, ale poruszała się ona znacznie szybciej niż człowiek. Tuż za nią pojawiła się inna sylwetka, w locie, która przemknęła równie szybko. Był to ogromny ptak lecący nisko nad ziemią, jakby polował na biegnącą postać.

Obie zniknęły po chwili za wzgórzem, mknąc ku obozowi. Tiamak stał jakiś czas zdumiony, zanim zorientował się, kim była pierwsza postać.

„Sithijka! – pomyślał. – Gonił ją jastrząb czy sowa?”

Nie potrafił dopatrzeć się w tym większego sensu, ale przecież ona – Aditu, jak sobie przypomniał – wciąż pozostawała dla niego zagadkowa. Co też mogło ją gonić? Wyraz jej twarzy sugerował, że ucieka przed czymś okropnym.

A może biegła do czegoś okropnego, zdał sobie sprawę i poczuł ucisk w żołądku. Biegła do obozu.

Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku – modlił się, ruszając szybko przed siebie – *chroń mnie, chroń nas wszystkich przed złym*. – Jego serce biło teraz bardzo szybko, szybciej, niż poruszały się małe stopy. – *To z pewnością jest zły rok!*

Uspokoił się nieco, kiedy dotarł do namiotów. Dookoła panowała cisza, płonęło tylko kilka ognisk. Lecz cisza ta wydała mu się zbyt głęboka. Wprawdzie nie było już tak wcześnie, ale daleko jeszcze do północy. Po obozie powinni kręcić się ludzie, a przynajmniej powinien słyszeć hałasy tych, którzy jeszcze nie poszli spać. Co się stało?

Dopiero po dłuższej chwili znowu dostrzegł zniżającego się ptaka – teraz był pewien, że jest to sowa – i ruszył w tym kierunku. Czuł pulsujący ból w zranionej nodze, nieprzyzwyczajonej do takiego wysiłku, lecz starał się o niej nie myśleć.

Było cicho, bardzo cicho – obóz jakby zamienił się w nieruchomy staw. Ciemne i nieruchome namioty przypominały kamienie, które mieszkańcy lądu układali w miejscach, gdzie grzebali swoich zmarłych.

Tam! Tiamak poczuł, że z trudem łapie oddech. Dostrzegł ruch! Jeden z namiotów drżał jakby targany wiatrem, a światło z jego wnętrza uwidaczniało na ścianach dziwne poruszające się cienie.

W tej samej chwili poczuł swędzenie w nosie, a zaraz potem słodkawy, spiżowy zapach. Kichnął tak mocno, że prawie upadł, lecz w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Pokuśtykał w kierunku namiotu, który pulsował światłem i cieniem, jakby w jego wnętrzu przychodziła na świat jakaś ogromna istota. Spróbował zawołać, że nadchodzi, i zaalarmować pozostałych, gdyż zaczynał niepokoić się coraz bardziej, lecz nie potrafił wydobyć głosu. Nawet jego świszczący oddech przeszedł w ledwie słyszalny szept.

Także i wokół namiotu panowała dziwna cisza. Przełamując paraliżujący strach, chwycił za zasłonę zagradzającą wejście i odrzucił ją na bok.

Początkowo dostrzegł to samo co z zewnątrz: światło i poruszające się cienie. Szybko jednak przybrały one rzeczywistą postać.

W drugim końcu namiotu stał Camaris. Wydawało się, że jest ranny, gdyż po jego włosach i policzku płynęła krew, a on sam wił się, jakby doznał pomieszania zmysłów. Zgięty, macał dłonią po ścianie namiotu, szukając oparcia, lecz wciąż walczył zawzięcie jak niedźwiedź osaczony przez sforę ogarów. Zamiast miecza ściskał w dłoni żagiew z ogniska, którą

opędzał się przed atakującym go cieniem – prawie czarnym z wyjątkiem jasnych dłoni i czegoś, co lśniło w jednej z nich.

U stóp Camarisa kotłowały się inne postacie; Tiamakowi wydało się, że dostrzega w plątaninie ciemne kończyny oraz błysk jasnych włosów Aditu. Trzecia z ciemnych postaci przyczaiła się w rogu, odganiając atakującą ją z powietrza postać.

Tiamak, przerażony, chciał zawołać o pomoc, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. Choć wydawało się, że przeciwnicy walczą na śmierć i życie, w namiocie panowała cisza, w której słychać było tylko stłumione odgłosy zwartych na ziemi postaci i trzepotanie skrzydeł.

„Dlaczego ja nie słyszę? – zastanawiał się przerażony. – Dlaczego nie mogę wydobyć z siebie ani słowa?”

W panice zaczął rozglądać się za jakąś bronią, przeklinając siebie za to, że zostawił swój nóż w namiocie, który dzielił ze Strangyeardem. Nie znalazł niczego, noża, procy ani nawet dmuchawy ze strzałkami! Ta, Która Czeka, By Wszystko Zabrać z pewnością śpiewała już jego śmierć.

Nagle odniósł wrażenie, że coś miękkiego uderzyło go w głowę, tak że opadł na kolana. Jednak kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że pozostali walczą dalej tam, gdzie ich zastał. W głowie czuł teraz pulsowanie o wiele bardziej bolesne niż to, jakie odczuwał w nodze; słodkawa woń stawała się coraz bardziej intensywna. Tiamak, otumaniony, ruszył na czworakach przed siebie. W pewnym momencie jego dłoń natrafiła na coś twardego. Był to miecz rycerza, czarny Cierń, wciąż pozostający w pochwie. Tiamak wiedział, że nie zdoła go podnieść, lecz wysunął miecz z plątaniny kocy i wstał z trudem, chwiejąc się podobnie jak Camaris. Co takiego znalazło się przed nim w powietrzu?

Pomimo ciężkiej pochwy i pasa miecz w dłoniach Tiamaka wydał mu się nagle bardzo lekki. Uniósłszy go wysoko, przeszedł kilka kroków do

przodu i uderzył z całej siły w miejsce, w którym wydawało mu się, że jest głowa przeciwnika Camarisa. Poczuł bolesne drżenie swego ramienia, lecz postać się nie przewróciła. Zamiast tego jej głowa odwróciła się powoli. Z trupio bladej twarzy popatrzyły na niego czarne, lśniące oczy. Grdyka Tiamaka poruszyła się konwulsyjnie. Nawet gdyby posiadał jeszcze głos, nie potrafiłby go z siebie wydać. Uniósł drżące ramiona, by zadać kolejny cios, lecz w tym momencie śmignęła biała dłoń i Tiamak poleciał do tyłu. Namiot wokół niego zawirował; miecz wyleciał z jego zdrętwiałej dłoni i upadł na trawę, która jednocześnie stanowiła podłogę namiotu.

Głowa ciążyła mu niczym kamień, a jednak nie poczuł uderzenia. Miał tylko wrażenie, że opuszcza go rozum. Jeszcze raz spróbował wstać, ale udało mu się zaledwie unieść na kolana. Oparł się dłońmi o ziemię i drżał niczym chory pies.

Nie mógł mówić, lecz wciąż zachowywał wzrok. Camaris wił się, szarpiąc głową, najwyraźniej dotknięty niemocą tak jak i Tiamak. Starzec próbował wciąż utrzymać atakującego na odległość, usiłując podnieść coś z ziemi; dopiero po chwili otumaniony Tiamak zdał sobie sprawę, że jest to miecz, czarny miecz. Camaris nie mógł go dosięgnąć, przeszkadzały mu bowiem zarówno zwarte ze sobą postacie Aditu i jej przeciwnika, jak i jego nieprzyjaciel, którego próbował powstrzymać pałką.

W rogu namiotu coś błysnęło w dłoni istoty o bladej twarzy; przypominało to czerwony półksiężyc z ognia. Błysk śmignął w półmroku i w następnej chwili ciemność eksplodowała drobnymi okruchami, które zaczęły opadać na ziemię wolniej niż płatki śniegu. Tiamak wytężył wzrok, kiedy jeden z nich opadł na jego dłoń. Było to pióro, sowie pióro.

„Pomocy... – Tiamak miał wrażenie, że ktoś przebił jego czaszkę ostrzem. – Potrzebujemy pomocy. Umrzemy, jeśli nikt nam nie pomoże”.

Camaris wreszcie wyciągnął ramię na tyle daleko – nieomal się przewracając – by dosięgnąć miecza i zdążyć jeszcze unieść Cierń, by odparować cios atakującego. Obaj zaczęli krążyć wokół siebie; Camaris poruszał się niezgrabnie, potykając się, natomiast jego ubrany na czarno przeciwnik sunął z ostrożną gracją. Znowu przyskoczyli do siebie: dłoń Camarisa błyskawicznie odtrąciła cios nożem, lecz jego ostrze pozostawiło strużkę krwi na ramieniu rycerza. Camaris cofnął się niezdarnie, próbując znaleźć więcej miejsca, by móc zadać cios mieczem. Oczy miał na wpół przymknięte z bólu i zmęczenia.

„Jest ranny – pomyślał Tiamak. Pulsowanie w jego głowie stawało się coraz bardziej uciążliwe. – Może umiera? Dlaczego nikt nie przychodzi?”

Wrańczyk z największym trudem przesunął się do kosza z żarem, który był jedynym źródłem światła w namiocie. Czuł, że jego zmysły gasną powoli niczym latarnie w Kwanitupulu o świcie. W umyśle kołatał się zaledwie strzęp myśli, lecz wystarczyło to, by wyciągnąć ramię w kierunku kosza. Gdy poczuł żar rozgrzanej obręczy, popchnął ją. Kosz przewrócił się, rozsypując węgle podobne do rozrzuconych rubinów.

Tiamak upadł na ziemię, dusząc się; ostatnią rzeczą, jaką jeszcze widział, była jego sczerniała, skręcona jak pająk dłoń i małe płomienie liżące podstawę ściany namiotu.

NIE POTRZEBA NAM WIĘCEJ przeklętych pytań – warknął Isgrimnur. – Starczy ich nam na trzy życia. My potrzebujemy odpowiedzi.

Binabik rozłożył ręce bezradnie.

– Zgadzam się z tobą, książę Isgrimnurze. Ale odpowiedzi nie są jak owce, które przychodzą na zawołanie pasterza.

Josua westchnął i oparł się o ścianę namiotu Isgrimnura. Na zewnątrz wiatr wzmógł się na chwilę i zajęczał cicho na linach namiotu.

– Wiem, jakie to trudne, Binabiku, ale Isgrimnur ma rację. Potrzebujemy odpowiedzi. To, co opowiedziałeś nam o Gwieździe Zdobywcy, jeszcze bardziej zmąciło obraz. Musimy się dowiedzieć, w jaki sposób użyć Wielkich Mieczy. Jeśli jest tak, jak mówisz, to ucieka nam czas, w którym moglibyśmy się nimi posłużyć.

– Na tym właśnie skupiamy całą naszą uwagę, książę Josuo – odparł troll. – I wydaje nam się, że może niebawem dowiemy się czegoś, gdyż Strangyeard odkrył chyba coś ważnego.

– Co takiego? – spytał Josua, pochylając się do przodu. – Każda wiadomość jest cenna.

Milczący dotąd Strangyeard skulił się nieco.

– Wasza Wysokość, nie jestem tak pewien jak Binabik, że jest to dla nas ważne. Zastanawiałem się nad tym jeszcze w drodze na *Sesuad'ra*.

– Strangyeard trafił na pewien urywek w książce Morgenesa – wtrącił Binabik. – Dotyczy on trzech mieczy, którymi tak bardzo się interesujemy.

– I co z tym fragmentem? – Isgrimnur przebierał palcami po ubłoconym kolanie. Przedtem spędził dużo czas w grząskim błocie, starając się wbić w nie pale namiotu.

– Morgenes wydaje się sugerować – mówił archiwista – że powodem, dla którego są one niezwykłe, czy raczej potężne, jest fakt, że żaden z nich nie pochodzi z Osten Ard. Każdy z nich w pewnym sensie zaprzecza prawom boskim i prawom Natury.

– Jak to? – Książę słuchał uważnie.

Isgrimnur zauważył nieco zasmucony, że takie dociekania zwykle wywołują u księcia większe zainteresowanie niż mniej egzotyczne sprawy, związane z rządzeniem, jak ceny zbóż, podatki czy prawa własności.

Strangyeard zawahał się na moment.

– Geloë lepiej by to wyjaśniła. Ona posiada większą wiedzę.

– Powinna tu już być – oświadczył Binabik. – Zastanawiam się, czy mamy na nią czekać.

– Powiedz to, co wiesz – odparł Josua. – To był długi dzień i jestem już znużony. Poza tym moja żona nie czuje się dobrze i nie chcę jej opuszczać na długo.

– Oczywiście, książę Josuo. Wybacz. – Strangyeard wziął głęboki oddech. – Otóż Morgenes wspomina, że w każdym z mieczy jest coś, co nie pochodzi z Osten Ard, z naszej ziemi. Cierń wykuto z kamienia, który spadł z nieba. Biały Gwóźdź, zwany niegdyś Minneyarem, powstał z żelaznego kila statku Elvrita, który przybył morzem z Zachodu. Wreszcie Smutek zrobiono z żelaza oraz magicznego drewna Sithów, dwóch nieprzyjaznych surowców. Aditu twierdzi, że magiczne drewno zostało przyniesione przez ich ludzi w postaci sadzonek z miejsca zwanego przez nich Ogrodem. Żadnej z tych rzeczy nie powinno być tutaj, żadna nie powinna poddać się obróbce... może poza czystym żelazem z kila Elvrita.

– W takim razie jak wykonano miecze? – spytał Josua. – A może wciąż szukacie na to odpowiedzi?

– Jest coś, o czym wspomina Morgenes – wtrącił Binabik. – Trafiłem też na to w jednym ze zwojów Ookekuqa. Nazywa się to Słowem Stworzenia – można by to nazwać magicznym zaklęciem, choć ci, którzy znają Sztukę, nie używają tych słów.

– Słowo Stworzenia? – Isgrimnur zmarszczył brwi. – Po prostu słowo?

– I tak... i nie – odparł bezradnie Strangyeard. – W rzeczywistości nie jesteśmy pewni. O ile wiemy, Minneyar został wykuty przez karlaki, w twoim języku nazywa się ich dverningami, książę Isgrimnurze, a Smutek został wykonany przez Inelukiego w kuźni karlaków pod Asu’a. Tylko karlaki posiadały taką umiejętność, choć Ineluki także się jej nauczył. Być może karlaki przyłożyły też rękę do Ciernia albo przynajmniej

wykorzystano ich wiedzę. W każdym razie możliwe, że gdybyśmy wiedzieli, w jaki sposób powstały miecze, jak połączono ze sobą elementy, może wtedy potrafilibyśmy powiedzieć, jak można ich użyć przeciwko Królowi Burz.

– Szkoda, że nie wypytałem dokładniej hrabiego Eolaira, kiedy był tutaj – powiedział Josua. – On przecież spotkał karlaki.

– Tak. I one opowiedziały mu o tym, jaki był ich udział w historii Białego Gwoździa – dodał ojciec Strangyeard. – Może się okazać, że istotne dla nas jest nie to, w jaki sposób zostały wykonane, ale że w ogóle istnieją. W każdym razie ja sam miałbym wiele pytań, gdybyśmy jeszcze kiedyś mogli się porozumieć z karlakami, a one zechciałyby z nami rozmawiać.

Josua przyglądał się duchownemu z zainteresowaniem.

– Widzę, że lubisz tę ciężką pracę, Strangyeardzie. Zawsze uważałem, że się marnujesz, odkurzając książki i wyszukując najbardziej niejasne punkty prawa kanonicznego.

Duchowny się zaczerwienił.

– Dziękuję, książę Josuo. Cokolwiek robię, jest to możliwe za sprawą twojej dobroci.

Książę machnął dłonią na ten komplement.

– W każdym razie choć ty, Binabik i pozostali wiele dokonaliście, wciąż jeszcze dużo pozostaje do zrobienia. Nieustannie dryfujemy na głębokiej wodzie, wyczekując brzegu... – Zamilkł. – Co to za hałas?

Isgrimnur usłyszał go już chwilę wcześniej, lecz teraz hałas ten wzniósł się nieco ponad wiatr.

– Jakby sprzeczka – powiedział i znieruchomiał, nasłuchując. – Nie, zbyt wiele głosów. – Wstał. – Na Młot Drora. Mam nadzieję, że nikt nie wywołał rebelii. – Sięgnął po swój miecz, Kvalnir, i uspokoił się nieco,

czując jego ciężar. – A miałem nadzieję, że przeżyjemy jutro spokojny dzień, zanim wyruszymy.

Josua wstał.

– Nie ma co siedzieć i się zastanawiać.

Isgrimnur się zorientował, co się dzieje, gdy tylko wyszedł przed namiot.

– Pożar! – zawołał do pozostałych, którzy właśnie zaczęli za nim wychodzić. – Pali się co najmniej jeden namiot, ale chyba więcej się zajęło.

Między namiotami pędziły niewyraźne postacie, krzycząc i gestykulując. Mężczyźni przypinali pasy, przeklinając w zamieszaniu. Matki wyciągały z łóżek dzieci i wynosiły je na zewnątrz. Ścieżki między namiotami wypełnił przerażony tłum. Isgrimnur zobaczył, jak stara kobieta pada na kolana, płacząc głośno, choć znajdowała się daleko od najbliższych płomieni.

– Miej nas w opiece, Aedonie! – zawołał Josua. – Binabiku, Strangyeardzie, każcie przynieść wiadra i bukłaki, a potem weźcie część z tych szaleńców nad rzekę, potrzebujemy wody! Albo lepiej będzie, jak złożycie niektóre z tych nawoskowanych namiotów i sprawdzicie, ile można przynieść w nich wody! – Książę pobiegł w kierunku płomieni, a za nim Isgrimnur.

Płomienie sięgały teraz wysoko, rzucając na niebo pomarańczową łunę. Kiedy obaj z Josuą dotarli do ognia, w górę strzelił snop iskier, które zasyczały, lądując w brodzie Isgrimnura. Książę zdusił je dłonią, przeklinając.

TIAMAK OBUDZIŁ SIĘ i natychmiast zwymiotował; oddychał ciężko, z trudem łapiąc oddech. W głowie dudniło mu, jakby słyszał dzwonienie kościelnego dzwonu z Perdruin.

Wszędzie wokół widział płomienie, które wysysały powietrze i przykrywały go gorącymi falami. Wiedziony ślepym strachem zaczął się czołgać po śliskiej trawie podłogi namiotu w kierunku czegoś, co wydawało się dziurą chłodnej ciemności, gdy nagle jego twarz natrafiła na czarny śliski materiał. Przez chwilę siłował się, próbując go odsunąć, zdumiony dziwnym oporem, aż wreszcie materiał ustąpił, odsłaniając białą twarz zanurzoną w kałuży czarnej krwi. Oczy ofiary były wywrócone, a usta umazane krwią. Tiamak chciał krzyczeć, lecz usta miał pełne dymu i własnej żółci. Odwrócił się, krztusząc.

Nagle coś chwyciło go za ramiona i pociągnęło gwałtownie; czuł, że jest ciągnięty po trupie o bladej skórze, a potem przez ścianę ognia. Przez chwilę wydawało mu się, że już nie żyje. Rzucono coś na niego i zaczęto go obracać z taką samą gwałtownością, z jaką go wyciągano, a potem zdjęto to coś z niego i zorientował się, że leży na mokrej trawie. Płomienie skakały ku niebu tuż obok, lecz on był bezpieczny. Bezpieczny!

– Wrańczyk żyje – powiedział ktoś w pobliżu. Wydawało mu się, że rozpoznaje dźwięczny głos Sithijki, choć teraz brzmiał on o wiele ostrzej, przepełniony strachem i troską. – Camaris go wyciągnął. Nie wiem, jak rycerz obronił się przed zaśnięciem po tej truciźnie, ale on zabił dwóch Hikeda’ya. – Tiamak nie usłyszał odpowiedzi.

Przez kilka długich chwil leżał nieruchomo, oddychając czystym powietrzem, a potem przewrócił się na bok. Niedaleko stała Aditu; jej jasne włosy były brudne, a złocista twarz umazana błotem. U jej stóp leżała Geloë, przykryta częściowo płaszczem; jej muskularne, odsłonięte nogi lśniły od potu lub rosy. Tiamak patrzył, jak próbuje wstać.

– Nie, nie wstawaj – przemówiła do niej Aditu i cofnęła się o krok. – Na Gaj, Geloë, jesteś ranna.

Geloë uniosła głowę, drżąc z wysiłku.

– Nie – powiedziała. Jej głos, chrapliwy szept, ledwo docierał do Tiamaka. – Ja umieram.

Aditu pochyliła się i wyciągnęła do niej rękę.

– Pomogę ci...

– Nie! – zaprotestowała czarownica nieco silniejszym głosem. – Nie, Aditu, już za późno. Otrzymałam wiele ran. – Zakasłała i po jej brodzie popłynęła ciemna strużka lśniąca w blasku płonących namiotów. Tiamak wytężył wzrok. Za Geloë dostrzegł stopy i nogi – Camarisa, jak się domyślił, pozostała część jego ciała spoczywała w trawie, niewidoczna w jej cieniu. – Muszę iść. – Geloë spróbowała wstać, lecz nie miała tyle sił.

– Może będzie coś... – zaczęła Aditu.

Geloë zaśmiała się słabo i znowu zakaszlała, wypluwając krew.

– Czy myślisz, że... że nie wiem? – powiedziała. – Sama leczę ludzi od... od dawna. – Wyciągnęła drżące ramię. – Pomóż mi. Pomóż mi wstać.

Twarz Aditu, przepełniona smutkiem, przypominała teraz zupełnie twarz śmiertelnika. Chwyciła dłoń Geloë, pochyliła się i ujęła jej drugie ramię. Czarownica wstała powoli. Zachwiała się, lecz Aditu natychmiast ją podtrzymała.

– Muszę... iść. Nie chcę tutaj umierać. – Puściła Aditu i przeszła kilka chwiejnych kroków. Płaszcz opadł z jej ramion, odsłaniając nagie ciało, lśniące w blasku ognia. Jego znaczną część pokrywały rozległe, krwawe plamy. – Wrócę do mojego lasu. Pozwól mi odejść, póki jeszcze mogę.

Aditu wahała się jeszcze przez chwilę, lecz w następnej chwili cofnęła się i spuściła głowę.

– Niech będzie, jak chcesz, *valada* Geloë. Żegnaj, wybranko Ruyana. Żegnaj... przyjaciółko. *Sinya’a du-n’sha e-d’treyesa inro*.

Drżąc, Geloë uniosła ramiona i zrobiła kolejny krok. Wydawało się, że od ognia bije większy żar, gdyż Tiamak dojrzał ze swego miejsca, że

czarownica zaczyna migotać. Jej postać zatraciła wyrazistość, aż wreszcie w miejscu, gdzie stała, pojawiła się chmura dymu lub cienia. Przez chwilę zdawało się, że ciemność zapada się w tym miejscu, jakby ktoś zbyt mocno ściągnął nitkę. Potem mrok dookoła znowu stał się gładki.

Sowa zatoczyła koło i przeleciała nisko nad targanymi wiatrem trawami. Jej ruchy były niezgrabne i sztywne; przez moment wydawało się, że spadnie na ziemię, lecz ona leciała ciężko przed siebie, aż wreszcie połknęła ją ciemność.

Tiamak opadł na ziemię, wciąż czując potężne walenie w głowie. Nie był pewien tego, co widział, lecz wiedział, że stało się coś strasznego. Tuż obok czaił się ogromny smutek. Nie śpieszył się, by go przywoływać.

Odgłosy, które dotąd były ledwie słyszalne, teraz zamieniły się w chaotyczne okrzyki. Tuż obok niego przebiegało wiele nóg; nagle noc wypełnił ruch. W pewnym momencie rozległ się syk pary, kiedy ktoś chlusnął wiadro wody w płomienie trawiące namiot Camarisa.

Chwilę później poczuł, jak silne ramiona Aditu chwytają go pod pachy.

– Stratują cię, dzielny Wrańczyku – powiedziała mu do ucha, odciągając go dalej od ognia w chłodną ciemność między namioty, których nie dosięgnął ogień. Zostawiła go na chwilę i niebawem powróciła z bukłakiem pełnym wody. Sithijka przyciskała go do spękanych ust Wrańczyka tak długo, aż zrozumiał, co to jest, i zaczął łapczywie pić.

W pewnej chwili nad Tiamakiem pojawił się ogromny cień, który opadł na ziemię tuż obok niego. Był to Camaris. Jego srebrzyste włosy, podobnie jak włosy Aditu, były popalone i sczerniałe. Z jego umazanej popiołem twarzy patrzyły przestraszone oczy. Tiamak podał mu bukłak i trącił łokciem, by także i on się napił.

– Boże, miej litość nad nami... – przemówił Camaris ochrypłym głosem. Patrzył oszołomiony na rozprzestrzeniający się ogień i krzyczący tłum,

który próbował go ugasić.

Powróciła Aditu i usiadła obok nich. Kiedy Camaris wyciągnął w jej stronę rękę z bukłakiem, przyjęła go i pociągnąwszy jeden łyk, oddała.

– Geloë...? – spytał Tiamak.

Aditu pokręciła głową.

– Umiera. Odeszła.

– Kto... – Wciąż trudno było mu mówić. Czuł prawie niechęć do mówienia, lecz nagle zapragnął się dowiedzieć, mieć coś, co pozwoliłoby usprawiedliwić straszne wydarzenia. Wziął od Camarisa bukłak i zwilżył gardło. – Kto to był?

– Hikeda’ya – powiedziała, obserwując ludzi gaszących ogień. – Nornowie. Dzisiaj sięgnęło nas długie ramię Utuk’ku.

– Ja... ja próbowałem... wezwać pomoc. Ale nie mogłem.

Aditu skinęła głową.

– Kei-vishaa. To taka trucizna, która unosi się na wietrze. Zabija głos na jakiś czas i przynosi sen. – Spojrzała na Camarisa, który oparł się o ścianę namiotu. Głowę miał odchyloną do tyłu, a oczy zamknięte. – Nie wiem, jak on tak długo wytrzymał. Gdyby nie to, przybylibyśmy za późno. Na nic nie zdałoby się poświęcenie Geloë. – Odwróciła się do Wrańczyka. – Ani twoje, Tiamaku. Bez twojej pomocy sprawy potoczyłyby się inaczej: to ty znalazłeś miecz Camarisa. Przestraszył ich też ogień. Wiedzieli, że nie mają wiele czasu, i dlatego stali się nieostrożni. Gdyby nie to, wszyscy bylibyśmy tam teraz. – Wskazała na płonący namiot.

„Poświęcenie Geloë”. – Tiamak poczuł piekące łzy. – *Ty, Która Czekasz, By Wszystko Zabrać* – modlił się żarliwie – *nie pozwól jej przepłynąć obok ciebie*.

Zakrył twarz dłońmi. Nie chciał już o niczym myśleć.

JOSUA BIEGŁ PIERWSZY. Kiedy Isgrimnur wreszcie go dogonił, książę zdążył się już upewnić, że ogień został opanowany. Pożar nie zdążył rozprzestrzenić się daleko; objął zaledwie kilka najbliższych namiotów, których mieszkańcy w większości zdołali uciec. Wśród nich był Sangfugol. Stał ubrany tylko w długą koszulę i rozglądał się otumaniony.

Upewniwszy się, że wszystko, co można było zrobić, zostało zrobione, Isgrimnur poszedł za Josuą do Camarisa, Sithijki i Tiamaka, którzy odpoczywali nieopodal. Wszyscy byli pokrwawieni i osmaleni, lecz Isgrimnur nie miał wątpliwości, że będą żyli.

– Ach, dzięki niech będą miłościwemu Aedonowi, że przeżyłeś, sir Camarisie – powiedział Josua, klękając u boku rycerza. – Słuszne były moje obawy, że to twój namiot płonie, kiedy ujrzeliśmy pożar. – Zwrócił się do Aditu, która z całej trójki wydawała się najbardziej przytomna: – Kogo straciliśmy? Słyszałem, że w namiocie są ciała.

Aditu podniosła wzrok.

– Chyba Geloë. Odniosła wiele ran. Umiera.

– Co za dzień! Co za przeklęty dzień! – Głos Josui załamał się. Wyrwał kępę trawy i cisnął ją o ziemię. Z trudem potrafił nad sobą zapanować. – Czy ona jest jeszcze tutaj? A pozostali?

– Nie ma wśród nich Geloë – powiedziała. – Ci trzej w namiocie są Nornami, jak wy ich nazywacie. Geloë odeszła do lasu.

– Co? – Josua patrzył na nią zdumiony. – Jak to odeszła do lasu? Mówiłaś, że nie żyje!

– Jest umierająca. – Aditu rozłożyła palce. – Myślę, że nie chciała, byśmy widzieli jej ostatnie chwile. Ona była inna, Josuo, bardziej niż ci się wydaje. Odeszła.

– Odeszła?

Sithijka pokiwała wolno głową.

– Tak.

Książę wykonał znak Drzewa i skłonił głowę. Kiedy ją uniósł, łzy płynęły po jego policzkach. Isgrimnur wiedział, że nie są to łzy od dymu. On także poczuł chłód cienia, jaki padł na niego, kiedy dowiedział się o stracie Geloë. Miał teraz zbyt wiele innych zajęć, by się nad tym zastanawiać, lecz doświadczony w wielu bitwach, wiedział, że przyjdzie chwila smutnej refleksji.

– Zostaliśmy zaatakowani w samo serce – przemówił z goryczą książę. – Jak im się udało ominąć straże?

– Ten, z którym walczyłam, był mokry – powiedziała Aditu. – Może przedostali się przez rzekę.

Josua zaklął.

– Okazaliśmy brak rozwagi, a ja w szczególności. Dziwne wydawało mi się, że Nornowie tak długo dają nam spokój; moje środki okazały się niewystarczające. Czy byli inni poza tą trójką?

– Myślę, że nie – odparła Aditu. – Wystarczyliby ci, gdyby nie dopisało nam szczęście. Gdybyśmy z Geloë nie wyczuły, że dzieje się coś złego, a potem Tiamak nie domyślił się w jakiś sposób i nie przybył do namiotu, ta opowieść miałaby inny koniec. Chcieli chyba zabić Camarisa albo przynajmniej go zabrać.

– Ale dlaczego? – Josua spojrzał na starego rycerza, a potem ponownie na Aditu.

– Nie wiem. Ale zanieśmy jego i Tiamaka w cieplejsze miejsce. Camaris odniósł przynajmniej jedną ranę, może więcej, a Tiamak jest chyba poparzony.

– Na Aedona, masz rację – rzekł Josua. – Bezmyślny. Jestem zupełnie bezmyślny. Jedną chwilę. – Odwróciwszy się, przywołał kilku żołnierzy i rozesłał ich do strażników, by przeszukali obóz. – Nie wiemy, czy nie było

więcej Nornów lub innych napastników – powiedział. – Albo chociaż dowiemy się, w jaki sposób dostali się niepostrzeżenie do naszego obozu.

– Śmiertelnikom trudno jest zobaczyć Urodzonych w Ogrodzie, jeśli oni tego nie chcą – odparła Aditu. – Czy możemy teraz zabrać Camarisa i Tiamaka?

– Oczywiście. – Josua przywołał dwóch spośród mężczyzn noszących wiadra z wodą. – Wy tam, chodźcie nam pomóc! – Zwrócił się do Isgrimnura: – Czterech powinno wystarczyć do przeniesienia ich, chociaż Camaris jest tak ogromny. – Potrząsnął głową. – Aditu ma rację. Za długo kazaliśmy im czekać.

Książę bywał już w takich sytuacjach wcześniej i wiedział, że zbytni pośpiech jest równie szkodliwy jak nadmierna opieszałość.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli spróbujemy znaleźć coś, na czym moglibyśmy ich przenieść – powiedział Isgrimnur. – Z jednego z ocalałych namiotów moglibyśmy zrobić nosze.

– Dobrze. – Josua wstał. – Aditu, nie zapytałem, czy ty sama nie odniosłaś ran, które wymagają opatrzenia.

– Tylko takie, którymi sama mogę się zająć, książę Josuo. Myślę, że kiedy ci dwaj zostaną opatrzeni, powinniśmy zebrać najbardziej zaufanych i porozmawiać.

– Zgoda. Mamy wiele do omówienia. Spotkamy się za godzinę w namiocie Isgrimnura. Dobrze, Isgrimnurze? – Książę rozglądał się przez chwilę, a potem znowu odwrócił się do Sithijki: – Właśnie chciałem powiedzieć, że trzeba poprosić Geloë, by przyszła opatrzyć rannych...

Aditu wykonała gest, składając dłonie przed sobą.

– Jeszcze nie raz będzie nam jej brakowało.

TO JA, JOSUA – ZAWOŁAŁ KSIĄŻĘ, zbliżając się do wejścia namiotu. Kiedy wszedł do środka, Gutrun wciąż trzymała w dłoni nóż. Księżna, z miną osaczonego i rozwścieczonego borsuka, gotowa była bronić siebie i Vorzhevy przed każdym możliwym niebezpieczeństwem. Na widok Josui opuściła nóż, lecz jej twarz wciąż wyrażała niepokój.

– Co się dzieje? Słyszałyśmy krzyki. Czy mój mąż jest z tobą?

– Jest bezpieczny, Gutrun. – Josua podszedł do łóżka i pochylając się, przyciągnął do siebie Vorzhevę. Pocałował ją w czoło. – Ale zaatakowali nas wysłannicy Króla Burz. Straciliśmy tylko jedną osobę, ale strata jest bardzo dotkliwa.

– Kto? – Vorzheva chwyciła go za ramiona, kiedy próbował się wyprostować.

– Geloë.

Vorzheva nie potrafiła stłumić okrzyku rozpaczy.

– Trzej Nornowie zaatakowali Camarisa – wyjaśnił Josua. – Aditu, Geloë i Wrańczyk Tiamak przyszli mu z pomocą. Nornowie zginęli, ale Aditu twierdzi, że Geloë otrzymała śmiertelną ranę. – Pokręcił głową. – Ona była chyba spośród nas najmądrzejsza. Nikt nie będzie w stanie zająć jej miejsca.

Vorzheva cofnęła się zdumiona.

– Dopiero co była tutaj. Przyszły z Aditu mnie odwiedzić. A teraz nie żyje? – W jej oczach zalśniły łzy.

Josua przytaknął jej smutno.

– Ja też przyszedłem sprawdzić, czy jesteś bezpieczna. Muszę wracać do Isgrimnura i pozostałych, by się naradzić, co dalej robić, co to może oznaczać. – Raz jeszcze pochylił się i ucałował żonę. – Nie śpijcie, dopóki nie przyślę wam strażnika, a ty, Gutrun, miej nóż w pogotowiu.

– Nikt inny nie został ranny? Gutrun mówiła, że widziała ogień.

– Palił się namiot Camarisa. Chyba tylko jego zaatakowano. – Ruszył w kierunku drzwi.

– Josuo – odezwała się Vorzheva. – Jesteś pewien? Nasz obóz jest tak duży.

Książę pokręcił głową.

– Niczego nie jestem pewien, ale na razie nikt nie doniósł o innych atakach. Przyślę do was kogoś, by was strzegł. Teraz muszę już iść, Vorzhevo.

– Niech idzie, pani – Gutrun zwróciła się do Vorzhevy. – Połóż się i spróbuj zasnąć. Pamiętaj o dziecku.

Vorzheva westchnęła. Josua ścisnął jej dłoń, po czym odwrócił się i wyszedł.

ISGRIMNUR PODNIÓSŁ WZROK, kiedy książę pojawił się w kręgu jego ogniska. Grupa mężczyzn czekających cierpliwie na Josuę cofnęła się, przepuszczając go.

– Josuo... – zaczął Isgrimnur, lecz książę nie dał mu skończyć.

– Byłem głupi, Isgrimnurze. Nie wystarczy posłać żołnierzy, by przeszukiwali obóz w poszukiwaniu śladów Nornów. Na Krew Aedona, dopiero teraz to zrozumiałem. Sludigu! – zawołał. – Czy jest gdzieś w pobliżu Sludig?

– Jestem, książę Josuo. – Rimmersman wysunął się do przodu.

– Niech żołnierze przeszukają obóz i sprawdzą, czy są wszyscy, szczególnie ci, którzy mogliby być zagrożeni. Binabik i Strangyeard byli ze mną aż do pożaru, co nie znaczy, że są bezpieczni. Może chcieli tylko odwrócić naszą uwagę. Moja bratanica, Miriamele; poślij zaraz kogoś do jej namiotu. I do Simona, chociaż on może być z Binabikiem. – Josua

zmarszczył brwi. – Jeśli chcieli Camarisa, to pewnie chodziło im o miecz. Simon nosił go przez jakiś czas, więc może i jemu grozi niebezpieczeństwo. Ależ ze mnie głupiec.

Rozległo się chrząknięcie Isgrimnura.

– Posłałem już Freosela do Miriamele, Josuo. Wiedziałem, że udasz się do lady Vorzhevy, i sam uznałem, że nie można czekać.

– Dziękuję ci, Isgrimnurze. Rzeczywiście byłem u Vorzhevy. Ona i Gutrun są bezpieczne. Wstyd mi, że musisz za mnie myśleć.

Isgrimnur pokręcił głową.

– Miejmy nadzieję, że i księżniczka jest bezpieczna.

– Freosel poszedł do Miriamele – Josua zwrócił się do Sludiga – więc masz o jednego mniej do sprawdzenia. Zajmij się resztą. I postaw dwóch strażników przed moim namiotem. Lepiej mi się będzie myślało, wiedząc, że ktoś pilnuje Vorzhevy.

Rimmersman skinął głową. Przywołał znaczną grupę żołnierzy błąkających się bez celu wokół obozu Isgrimnura i odszedł na ich czele.

– A teraz zaczekajmy i zastanówmy się – zwrócił się Josua do Isgrimnura.

PRZED UPŁYWEM GODZINY powróciła Aditu, a z nią Binabik i ojciec Strangyeard. Obaj poszli z Sithijką, by się upewnić, że Camaris i Tiamak mają wszystko co trzeba pod opieką jednej z uzdrowicielek z Nowego Gadrinsett. Zbliżając się do ogniska, wszyscy troje pogrążeni byli w ożywionej dyskusji.

Aditu opowiedziała Josui i pozostałym o tym, co wydarzyło się nocą. Mówiła ze spokojem, lecz Isgrimnur zauważył, że choć dobiera słowa z taką samą starannością jak zawsze, jej twarz wyraża ogromny niepokój.

Wiedział, że zaprzyjaźniły się z Geloë; najwyraźniej Sithowie odczuwali smutek tak samo jak śmiertelnicy. Tym bardziej stała mu się bliska, choć zaraz zgromił się za takie myśli. Dlaczego nieśmiertelni mieliby odczuwać cierpienie w mniejszym stopniu od śmiertelników? Z tego, co wiedział, wycierpieli dotąd przynajmniej tyle samo.

– A zatem – Josua rozejrzał się po zebranych – nie znaleźliśmy śladów mówiących, że zaatakowano jeszcze kogoś. Dlaczego więc wybrali Camarisa?

– Myślę, że jednak musi być coś w tym poemacie o trzech Wielkich Mieczach – odezwał się Isgrimnur. Nie lubił takich rzeczy; powodowały, że czuł się, jakby usuwał mu się grunt pod nogami, ale w takim świecie się znalazł. Z tęsknotą wspominał świat wyraźnie określonych rzeczy z czasów swojej młodości. Nawet najgorsze z nich, jak wojny, w całej swojej okropności nie były tak utkane dziwnymi zaklęciami i tajemniczymi wrogami. – Z pewnością zaatakowali Camarisa z powodu Ciernia.

– A może chodziło im o sam miecz – wtrącił Binabik. – A Camaris nie był tu najważniejszy.

– Wciąż nie rozumiem, w jaki sposób nieomal udało im się go pokonać – powiedział Strangyeard. – Co to za trucizna, o której mówiłaś, Aditu?

– Kei-vishaa. W rzeczywistości nie jest to trucizna: my, Urodzeni w Ogrodzie, używamy tego w Gaju, kiedy nadchodzi czas odtańczenia końca roku. Ale można wykorzystać ją i w taki sposób, by przyniosła długi i ciężki sen. Przyniesiono to z Venyha Do’sae. Moi ludzie używali tego, kiedy tutaj przybyli, w celu pozbycia się niebezpiecznych zwierząt – niektóre z nich były ogromnymi bestiami, jakich już nie ma w Osten Ard – z miejsc, w których chcieli wybudować swoje miasta. Wiedziałam, że

dzieje się coś złego, gdy tylko poczułam ten zapach. My, Zida’ya, nigdy nie używamy tego poza ceremonią odtańczenia końca roku.

– W jaki sposób jest to wtedy wykorzystywane? – spytał archiwista zafascynowany.

Aditu spuściła wzrok.

– Wybacz, dobry Strangyeardzie, ale nie mogę tyle mówić. Nie wiem nawet, czy dobrze zrobiłam, wspominając o tym. Jestem zmęczona.

– Nie będziemy wypytywać o rytuały twojego ludu – wtrącił Josua. – Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia. – Spojrzał nieco rozzłoszczony na Strangyearda, który natychmiast zwiesił głowę. – Wystarczy, że wiemy, w jaki sposób udało im się zaatakować Camarisa, tak że nie podniósł alarmu. Na nasze szczęście Tiamak wykazał na tyle przytomności umysłu, by zaprószyć ogień. Odtąd musimy wprowadzić porządek przy rozbijaniu obozu. Ci, którzy w jakikolwiek sposób mogą być zagrożeni, będą rozbijać swoje namioty blisko siebie w środku obozu, tak byśmy spali w zasięgu wzroku. Moja wina, że uległem prośbie Camarisa i pozwoliłem mu mieszkać samotnie. Zlekceważyłem swoje obowiązki.

Isgrimnur nachmurzył się.

– Wszyscy musimy bardziej uważać.

Kiedy zaczęli dyskutować o innych środkach, jakie należało przedsięwziąć, pojawił się Freosel.

– Wybacz, Wasza Wysokość, ale księżniczki nie ma w namiocie i nikt jej ostatnio nie widział.

Josua uniósł się zaniepokojony.

– Nie ma jej? Aedonie, miej nas w opiece, czyżby Vorzheva miała rację? Czyżby chodziło im o księżniczkę? – Wstał. – Nie mogę siedzieć tutaj, gdy tymczasem ona może być w niebezpieczeństwie. Musimy przeszukać cały obóz.

– Sludig już to robi – wtrącił łagodnie Isgrimnur. – Wprowadzimy tylko dodatkowe zamieszanie.

Książę usiadł ponownie.

– Masz rację. Trudno będzie siedzieć i czekać.

Zaledwie podjęli na nowo dyskusję, gdy powrócił Sludig z ponurą miną. Wręczył Josui kawałek pergaminu.

– Znalazłem to w namiocie młodego Simona.

Książę przeczytał szybko wiadomość i cisnął ją ze złością na ziemię. Po chwili schylił się, podniósł zgnieciony skrawek i podał trollowi, lecz na jego twarzy wciąż malował się gniew.

– Wybacz, Binabiku, nie powinienem był tego robić. Zdaje się, że to dla ciebie. – Wstał. – Hotvig!

– Tak, książę Josuo. – Thrithing znalazł się natychmiast u boku księcia.

– Miriamele odjechała. Weź tylu swoich jeźdźców, ilu znajdziesz teraz. Prawdopodobnie pojechała w kierunku Erkynlandu, więc szukajcie przede wszystkim na zachód od obozu. Ale nie dajcie się zwieść. Może wyruszyła w innym kierunku, żeby potem skręcić na zachód.

– Co? – Isgrimnur spojrzał na niego zdumiony. – Jak to odjechała?

Binabik podniósł wzrok znad pergaminu.

– Napisał to Simon. Wydaje się, że pojechał razem z nią, ale pisze, że postara się przywieźć ją z powrotem. – Troll najwyraźniej usiłował zachować pogodny wyraz twarzy. – Zastanawiam się, kto kogo prowadzi. Wątpię, by Simonowi udało się ją przekonać do szybkiego powrotu.

Josua machnął dłonią niecierpliwie.

– Jedź, Hotvigu. Bóg jeden wie, jak dawno temu wyjechali. Właściwie, ponieważ jesteście najszybszymi jeźdźcami, od razu jedźcie na zachód; my przeszukamy pozostały teren. – Odwrócił się do Sludiga. – Będziemy

jechali wokół obozu, zataczając coraz szersze koła. Spotkamy się przy koniach. Pójdę osiodłać Vinyafoda. – Zwrócił się do Isgrimnura: – Idziesz?

– Oczywiście. – Isgrimnur przeklinał samego siebie w myśli.

„Powinienem był się domyślić, że coś się dzieje – pomyślał. – Od czasu, jak przyjechaliśmy tutaj, była taka cicha, taka smutna i zamknięta w sobie. Josua nie widział tego, ale ja tak. Dlaczego pojechała tam sama, nawet jeśli uważa, że powinniśmy jechać bezpośrednio do Erkynlandu? Co za uparty dzieciak? I jeszcze Simon. Miałem o nim lepsze zdanie”.

Isgrimnur chrząknął i wstał nieszczęśliwy na samą myśl o nocy spędzonej w siodle i o tym, co to będzie znaczyło dla jego i tak już chorych pleców.

DLACZEGO ONA SIĘ NIE BUDZI? – dopytywał się Jeremias. – Nic nie można zrobić?

– Cicho, chłopcze, robię, co mogę. – Księżna Gutrun pochyliła się i znowu dotknęła twarzy Leleth. – Jest chłodna, nie ma gorączki.

– W takim razie, co jej jest? – Jeremias wydawał się coraz bardziej przestraszony. – Próbowałem ją obudzić, ale ona wciąż leży.

– Dam jej jeszcze jeden koc – powiedziała Vorzheva.

Wcześniej zrobiła miejsce dla dziewczynki obok siebie na łóżku, lecz Gutrun sprzeciwiła się temu, z obawy, że dziewczynka zapadła na jakąś zaraźliwą chorobę. Tak więc Jeremias ułożył ostrożnie bezwładną Leleth na kocu na ziemi.

– Ty leż spokojnie, a ja już zajmę się dzieckiem – odparła księżna. – Niepotrzebnie tyle hałasu i zamieszania.

W wejściu ukazał się książę Josua z niezwykle zatroskaną twarzą.

– Czy już nie dość złego? Strażnik mówi, że ktoś jest chory. Vorzhevo, dobrze się czujesz?

– To nie o mnie chodzi, Josuo. Mała Leleth nie może się obudzić.

Do namiotu wszedł Isgrimnur.

– Przejechaliśmy kawał drogi i ani śladu Miriamele – burknął. – Może Hotvigowi i jego ludziom się poszczęści.

– Miriamele? – spytała Vorzheva. – Czy jej także coś się stało?

– Odjechała z młodym Simonem – wyjaśnił ponuro Josua.

– Co za przeklęta noc – jęknęła Vorzheva. – Dlaczego to wszystko się dzieje?

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, by to był jego pomysł. – Isgrimnur pochylił się i objąwszy swoją żonę, pocałował ją w szyję. – Zostawił list, w którym pisze, że spróbuje przywieźć ją z powrotem. – Książę zmrużył oczy. – Dlaczego ta dziewczyna leży tutaj? Czy i ona ucierpiała w pożarze?

– Ja ją przyniosłem – odpowiedział Jeremias przestraszony. – Księżna Gutrun prosiła mnie, bym się nią opiekował tej nocy.

– Chciałam, żeby Vorzheva miała spokój. – Gutrun najwyraźniej też była zmieszana. – To nie miało być na długo, tylko na czas, kiedy Geloë szła spotkać się z wami.

– Byłem z nią przez cały wieczór – wyjaśnił Jeremias. – Po tym, jak ona zasnęła, i ja zasnąłem. Nie chciałem, ale byłem zmęczony.

Josua odwrócił się i spojrzał łagodnym wzrokiem na młodzieńca.

– Nie zrobiłeś niczego złego, zasypiając. Mów dalej.

– Obudziłem się, gdy ludzie zaczęli krzyczeć o pożarze. Pomyślałem, że Leleth się przestraszy, więc poszedłem do niej, by jej powiedzieć, że jestem z nią. Siedziała z otwartymi oczami, ale chyba nic do niej nie docierało. A potem opadła na plecy i zamknęła oczy, jakby zasnęła. Tylko że nie

mogłem jej dobudzić! Próbowałem, ale nie mogłem. Wtedy przyniosłem ją tutaj, żeby prosić o pomoc księżną Gutrun. – Głos Jeremiasa załamał się.

– Nie zrobiłeś niczego złego, Jeremiasie – powtórzył książę. – Teraz chcę, byś coś dla mnie zrobił.

Chłopiec wciągnął głęboko powietrze, powstrzymując płacz.

– C...co, Wasza Wysokość?

– Idź do namiotu Isgrimnura i sprawdź, czy powrócił już Binabik. Troll zna się na leczeniu. Może on pomoże małej Leleth.

Jeremias ruszył natychmiast, zadowolony, że może się na coś przydać.

– Sam już nie wiem, co myśleć o tym wszystkim, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, ale bardzo niepokoję się o Miriamele. Wszystko przez ten jej upór. – Josua ścisnął ze złością rąbek koca Vorzhevy.

Leleth wciąż leżała nieruchomo, kiedy powrócił Jeremias z Binabikiem i Aditu. Troll obejrzał dokładnie dziewczynkę.

– Widywałem już ją w takim stanie – powiedział. – Ona odeszła w jakieś inne miejsce, może na Ścieżkę Snów albo gdzie indziej.

– Ale chyba nigdy dotąd nie trwało to tak długo – powiedział Josua. – Wydaje mi się, że może to mieć coś wspólnego z wydarzeniami dzisiejszej nocy. Aditu, czy może to być wpływ trucizny Nornów?

Sithijka klęknęła obok Binabika i uniosła powieki dziewczynki, po czym przyłożyła palce pod uchem Leleth, by sprawdzić, jak szybko bije jej serce.

– Nie sądzę. Gdyby Kei-vishaa rozprzestrzeniła się tak daleko, wtedy i on – wskazała na Jeremiasa – zostałby nią dotknięty.

– Patrzcie! – zawołał Jeremias podekscytowany. – Porusza ustami!

Choć Leleth wciąż wydawała się pogrążona w głębokim śnie, jej usta rzeczywiście otwierały się i zamykały, jakby zamierzała przemówić.

– Cicho. – Josua nachylił się nad nią, a pozostali zamarli w bezruchu.

Usta Leleth wciąż się poruszały. Wreszcie wydobył się z nich szept:

– ...Słuchajcie mnie...

– Powiedziała coś! – zawołał Jeremias, lecz zaraz umilkł zgromiony spojrzeniem Josui.

– ...Przemówię. Odchodzę. Zostało mi już mało czasu. – Głos, który wydobywał się z ust dziewczynki, choć słaby i zduszony, brzmiał dziwnie znajomo. – Myślę, że Nornowie stanowią poważniejszy problem, niż się spodziewamy. Prowadzą jakby podwójną grę... Dzisiejsza noc nie była podstępem, ale czymś jeszcze bardziej subtelnym...

– Co jej się stało? – przemówiła nerwowo Gutrun. – Nigdy dotąd nie mówiła, a teraz mówi tak jakoś dziwnie.

– To mówi Geloë – powiedziała Aditu ze spokojem, jakby rozpoznała kogoś, kto nadchodzi drogą.

– Co? – Księżna otworzyła szeroko oczy i zrobiła znak Drzewa. – Co to za czary?

Sithijka nachyliła się do ucha Leleth.

– Geloë? – odezwała się. – Słyszysz mnie?

Jeśli rzeczywiście była to Geloë, to wydawało się, że nie słyszy swojej przyjaciółki.

– ...Pamiętajcie o śnie Simona... fałszywy posłaniec. – Zapadła cisza. Kiedy głos odezwał się ponownie, brzmiał jeszcze ciszej, tak że wszyscy obecni w namiocie wstrzymali oddech, by nie zagłuszyć ani słowa. – ...Umieram. Leleth jest tutaj w pewnym sensie ze mną, w tym... w tym ciemnym miejscu. Najdziwniejsze jest to, że nigdy do końca jej nie zrozumiałam. Myślę, że przemawiam jej ustami, lecz nie wiem, czy ktoś mnie słyszy. Mój czas się kończy. Pamiętajcie: wystrzegajcie się fałszywego posłańca...

Znowu nastąpiła długa chwila ciszy. Kiedy wszyscy byli pewni, że nic już więcej nie usłyszą, Leleth znowu poruszyła ustami.

– Odchodzę. Nie opłakujcie mnie. Żyłam długo i robiłam to, co chciałam. Jeśli pozostanę w waszej pamięci, to nie zapominajcie, że las był moim domem. Dopilnujcie, by go uszanowano. Spróbuję odesłać Leleth z powrotem, chociaż ona nie chce odejść. Żegnajcie. Pamiętajcie...

Głos zamilkł. Dziewczynka leżała niczym martwa.

Josua podniósł wzrok. Jego oczy lśniły od łez.

– Do końca – powiedział, jakby ze złością. – Do końca chciała nam pomóc. Ach, Boże litościwy, była dzielną duszą.

– Starą duszą – powiedziała cicho Aditu. Wydawała się bardzo poruszona.

Siedzieli jeszcze jakiś czas w ponurym milczeniu, lecz Leleth się nie poruszyła. Teraz nieobecność Geloë wydawała się jeszcze bardziej dotkliwa. I w oczach pozostałych pojawiły się łzy smutku i strachu, kiedy w pełni zdali sobie sprawę ze straty, jaką ponieśli. Książę zaczął mówić cicho o mądrej kobiecie z lasu, chwaląc jej rozum, odwagę i dobroć, lecz nikt poza nim nie miał siły, by przyłączyć się do niego. Wreszcie odesłał wszystkich na spoczynek. Aditu wyjaśniła, że nie potrzebuje snu, i została, by czuwać nad dziewczynką, gdyby ta obudziła się w nocy. Josua położył się w ubraniu obok swojej żony, gotowy na każde nowe nieszczęście. Chwilę później zapadł w głęboki sen.

Obudził się rano i ujrzał Aditu wciąż czuwającą przy Leleth. Bez względu na to, gdzie duch dziewczynki podróżował z Geloë, jeszcze nie powrócił.

Niedługo potem do obozu wrócili Hotvig i jego ludzie: zmęczeni i z pustymi rękami.

28. Upiorny księżyc

SIMON I MIRIAMELE PODRÓŻOWALI prawie w absolutnej ciszy; księżniczka prowadziła w dół przeciwległego zbocza doliny. Kiedy ujechali jakąś milę, Miriamele skręciła na północ, tak że wjechali na ten sam szlak, którym poprzednio osadnicy jechali do Gadrinsett.

Simon spytał ją, dlaczego jadą tamtędy.

– Ponieważ jest tutaj mnóstwo świeżych śladów – wyjaśniła Miriamele. – I dlatego, że Josua wie, dokąd jadę, więc głupio byłoby jechać wprost przed siebie, jeśli odkryją jeszcze tej nocy, że uciekliśmy.

– Josua wie, dokąd jedziemy? – burknął Simon. – W takim razie on wie więcej ode mnie.

– Powiem ci, kiedy znajdziemy się na tyle daleko, że nie będziesz mógł wrócić w ciągu jednej nocy – odparła chłodno. – Kiedy będę za daleko, żeby mnie złapali i przywieźli z powrotem.

Nie chciała odpowiadać na więcej pytań.

Simon zmrużył oczy, przyglądając się odpadkom rozrzuconym wzdłuż błotnistej drogi. Już dwukrotnie przechodziła tędy ogromna armia ludzi, nie licząc mniejszych grup, które podróżowały tędy na *Sesuad'ra* do Nowego Gadrinsett. Simon pomyślał, że upłynie wiele czasu, zanim znowu wyrośnie tu trawa.

„Pewnie w taki sposób powstają drogi – pomyślał i uśmiechnął się pomimo zmęczenia. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Może kiedyś będzie to prawdziwy królewski szlak, wyłożony kamieniami, z gospodami i stajniami... a ja widziałem go, kiedy jeszcze był rozdeptaną drogą”.

Oczywiście należało przyjąć, że bez względu na to, co się niebawem stanie, będzie jeszcze jakiś Król, który zatroszczy się o drogi. Sądząc po tym, co Jeremias i pozostali opowiadali o Hayholt, Elias nie przejmował się takimi rzeczami.

Jechali wzdłuż Stefflod, która lśniła srebrzyście w upiornym świetle księżyca. Miriamele nie odzywała się, dlatego Simon miał wrażenie, że jadą nie wiadomo jak długo, gdy tymczasem księżyc ledwie przekroczył środek nieba. Znudzony wpatrywał się w Miriamele, podziwiając, jak jej skóra pięknie lśni w blasku księżyca, aż wreszcie rozzłościła się i kazała mu przestać się gapić. Szukając jakiejś odmiany, skupił swoje myśli na Regule Rycerza i naukach Camarisa; kiedy i to znudziło mu się po przejechaniu pół mili, zaczął śpiewać i wyśpiewał cicho wszystkie piosenki o Jacku Mundwode, które znał. Po kilku nieudanych próbach nawiązania rozmowy z Miriamele zaczął liczyć gwiazdy na niebie, podobne do ziaren soli rozrzuconych na hebanowym stole.

Wreszcie, kiedy Simon był już nieomal pewien, że zaraz zwariuje – i równie pewny, że minął co najmniej tydzień od chwili ich wyruszenia – Miriamele zatrzymała swego konia i wskazała na kępę drzew porastającą niewielkie wzgórze przy trakcie.

– Tam się zatrzymamy na noc – oznajmiła.

– Nie jestem jeszcze śpiący – skłamał Simon. – Możemy jechać dalej, jeśli chcesz.

– Nie w tym rzecz. Nie chcę znaleźć się na otwartej przestrzeni, kiedy nadejdzie dzień. Jak już odjedziemy dalej, będziemy jechać także w ciągu

dnia.

Simon wzruszył ramionami.

– Jeśli tak chcesz.

Pragnął tej przygody, więc musiał postarać się przyjmować wszystko możliwie najpogodniej. Gdy tylko wyruszyli – w czasie tych pierwszych chwil, kiedy jeszcze pozwolił sobie na myślenie – wyobrażał sobie, że Miriamele będzie coraz milsza, w miarę jak szanse na ich odkrycie będą malały. Tymczasem ona stawała się coraz posępniejsza.

Drzewa na szczycie wzgórza rosły gęsto jedno przy drugim, tworząc nieomal jednostajną ścianę oddzielającą ich od drogi. Nie rozpalili ogniska – Simon musiał przyznać, że było to rozsądne posunięcie – a tylko napili się trochę wody i wina i podzielili porcją chleba, który zabrała Miriamele.

Kiedy owinięci płaszczami położyli się na ziemi obok siebie, Simon nagle zauważył, że całe jego zmęczenie odeszło – zupełnie nie chciało mu się spać. Nasłuchiwał cichego i regularnego oddechu Miriamele, lecz doszedł do wniosku, że i ona nie śpi. Gdzieś w koronach drzew cykał samotny świerszcz.

– Miriamele?

– Co?

– Powinnaś powiedzieć mi, dokąd jedziemy. Wtedy byłbym lepszym opiekunem. Mógłbym wiele rzeczy przemyśleć i zaplanować.

Roześmiała się cicho.

– Z pewnością, Simonie. Powiem ci, ale nie tej nocy.

Zmarszczył brwi i spojrzał poprzez gałęzie w gwiazdy.

– Dobrze.

– Teraz lepiej już śpij. Trudniej będzie się ukrywać, kiedy wzejdzie słońce.

Czy wszystkie kobiety miały w sobie coś z Rachel Smoka? Najwyraźniej znajdowały przyjemność w mówieniu mu, co ma robić. Otworzył usta, by powiedzieć jej, że nie jest jeszcze tak bardzo zmęczony, lecz ziewnął tylko.

Zasypiając, próbował jeszcze przypomnieć sobie, co chciał jej powiedzieć.

WE ŚNIE SIMON STAŁ NA BRZEGU ogromnego morza. Z plaży przed nim biegła w morze grobla, która przecinając zęby fal, prowadziła do wyspy, widocznej daleko od brzegu. Na wyspie znajdowały się tylko trzy białe wieże migocące w blasku popołudniowego słońca, lecz nie one przyciągały uwagę Simona. Brzegiem spacerowała mała postać o białych włosach, ubrana w niebieską szatę. Simon nie miał wątpliwości, że to Doktor Morgenes.

Zastanawiał się nad pójściem groblą – łatwo byłoby nią przejść, lecz zbliżał się przypływ i wkrótce woda mogła zalać cienki pasek lądu – i wtedy usłyszał głos. Pomiędzy wyspą a kamienistą plażą, na której stał, dostrzegł małą łódkę kołysaną silnymi falami. W łodzi stały dwie postacie: jedna wysoka i silnie zbudowana, druga niska i szczupła. Wytężywszy wzrok, zorientował się, że są to Geloë i Leleth. Kobieta wołała coś do niego, lecz ryk fal zagłuszał jej słowa.

„Co one robią w tej łodzi? – pomyślał. – Wkrótce zapadnie noc”.

Poszedł kilka kroków wąską groblą. Teraz słowa Geloë dotarły do niego ponad falami.

– *Fałszywy!* – wołała. – *To jest fałszywy...!*

„Co jest fałszywe?” – zastanawiał się. Ten pasek lądu? Wydawał się całkiem solidny. A może wyspa? Wytężył wzrok, lecz choć słońce zniżyło się już nad horyzont, zmieniając wieże w czarne palce, a postać Morgenesa w malutką ciemną mrówkę, to jednak wyspa wydawała się niezaprzeczalnie prawdziwa. Przybliżył się o kilka następnych kroków.

– *Fałszywy!* – zawołała ponownie Geloë.

Nagle niebo ściemniało, a wycie wiatru zagłuszyło nawet ryk fal. W jednej chwili ocean przybrał barwę niebieską, a potem białoniebieską; nagle fale znieruchomiały, zamieniając się w ostre sople lodu. Geloë machała rozpaczliwie ramionami, lecz fale wokół jej łodzi falowały, trzeszcząc. A potem ryk wzmógł się i czarna woda do złudzenia przypominająca krew pochłonęła łódź, a z nią Geloë i Leleth, które zniknęły w ciemności pod zamarzniętymi falami.

Lodowe fale zaczęły wspinać się na groblę. Simon odwrócił się, lecz teraz znajdował się w tej samej odległości od wyspy co i od lądu, a grobla jakby wydłużała się, oddalając od niego oba punkty. Lód wpełzał coraz wyżej, zaciskając się wokół jego butów...

SIMON DRGNĄŁ GWAŁTOWNIE i obudził się, drżąc. Blade światło poranka rozjaśniło kępę drzew, które kołysały się na chłodnym wietrze. Płaszcz miał splątany wokół kolan.

Rozłożył go, nakrywając się, i opadł na posłanie. Miriamele spała jeszcze tuż obok niego, usta miała nieco rozchylone, a złociste włosy zmierzwione. Poczuł ogarniającą go falę tęsknoty, ale jednocześnie i wstydu. Była tak bezbronna, leżąc na tym pustkowiu, a on był jej obrońcą. Co z niego za rycerz, żeby pozwalać sobie na takie uczucia? Nie mógł oprzeć się myśli, by przytulić ją do siebie, ogrzać, pocałować w usta,

poczuć jej oddech na swoim policzku. Czując się nieswojo, przewrócił się na drugi bok.

Konie stały spokojnie w tym samym miejscu, w którym je uwiązali, ocierając uprzężą o najniższe gałęzie drzew. Widok sakw przy siodłach w bladym świetle poranka napełnił go uczuciem pustki i smutku. Poprzedniej nocy zanosiło się na wspaniałą przygodę. Teraz wydawało się to głupie. Z pewnością Miriamele miała swoje powody, by wyruszyć w tę podróż, ale nie były to jego powody. Miał wiele długów. Wobec księcia Josui, który przygarnął go i nobilitował; wobec Aditu, która go uratowała; wobec Binabika, który okazał się przyjacielem, na jakiego on nie zasłużył. Byli też i inni, którzy polegali na Simonie, jak Jeremias. A on opuścił ich wszystkich, wiedziony chwilowym kaprysem. I z jakiego powodu? Żeby wymusić na Miriamele swoje towarzystwo, gdyż ona z jakiejś smutnej przyczyny postanowiła opuścić obóz swojego wuja. Odszedł od ludzi, którzy pragnęli, by pozostał z nimi, dla jednej osoby, która tego nie chciała.

Jeszcze raz spojrzał na konie i poczuł jeszcze większy smutek. Nadzieja. Ładne imię, prawda? A on właśnie uciekł z kolejnego domu, lecz tym razem bez słusznego powodu.

Westchnął i usiadł. Znalazł się tutaj i niewiele można było na to poradzić, przynajmniej teraz. Kiedy Miriamele się obudzi, spróbuje jeszcze raz przekonać ją do powrotu.

Simon narzucił na siebie płaszcz i wstał. Odwiązał konie i rozejrzał się uważnie poprzez drzewa, zanim sprowadził je nad rzekę. Powróciwszy na wzgórze, przywiązał je do innego drzewa, gdzie rosła wysoka i świeża trawa. Przyglądając się, jak Nadzieja i bezimienny wierzchowiec Miriamele zajadają smacznie swoje śniadanie, poczuł się lepiej po raz pierwszy od chwili przebudzenia z niespokojnego snu.

Nazbierał drewna, wybierając gałęzie na tyle suche, by nie dymiły za bardzo w ognisku, i rozpalił ogień. Zadowolony był z siebie, że zabrał krzesiwo, lecz zastanawiał się, kiedy nadejdzie ta chwila, gdy okaże się, że zapomniał czegoś innego, niezmiernie ważnego. Usiadł przy małym ognisku, ogrzewając sobie dłonie, i przyglądał się Miriamele.

Później zaczął przeglądać sakwy, szukając w nich czegoś na śniadanie, gdy Miriamele zaczęła rzucać się we śnie i krzyczeć cicho.

– Nie! – mamrotała. – Nie, ja nie chcę... – Uniosła nieco ramiona, jakby się przed czymś broniła. Simon przez moment przyglądał jej się zaskoczony, po czym zbliżył się i klękając przy niej, chwycił jej dłonie.

– Miriamele. Księżniczko. Obudź się. Masz zły sen.

Szarpnęła bezradnie jego dłoń. Wreszcie otworzyła oczy. Najpierw wpatrywała się w niego wzrokiem, który mówił, że widzi kogoś innego, i wyrwała dłoń z jego uścisku, jakby chciała się zasłonić. Po chwili jednak rozpoznała go i opuściła rękę. Druga pozostała w jego dłoni.

– To tylko zły sen. – Uścisnął delikatnie jej palce, zdumiony i mile zaskoczony tym, o ile większe ma dłonie.

– Nic mi nie jest – powiedziała niewyraźnie i usiadła, otulając się płaszczem. Rozglądała się po zagajniku, jakby obecność świtu była jakimś figlem Simona. – Jaka to pora dnia?

– Słońce nie wzeszło jeszcze ponad korony drzew. Świta dopiero. Byłem nad rzeką.

Nic nie odpowiedziała, lecz wstała i poszła chwiejnym krokiem na skraj zagajnika. Simon wzruszył ramionami i wrócił do sakiew, by poszukać czegoś na śniadanie.

Kiedy niebawem wróciła, Simon zdążył już przygotować kawał sera i bochenek chleba; chleb przełamał na połowy i opiekał je teraz nad ogniem.

– Dzień dobry – rzekła. Włosy miała potargane, ale umyła twarz i wydawała się o wiele bardziej pogodna. – Przepraszam, że byłam taka opryskliwa, ale miałam... miałam zły sen.

Spojrzał na nią uważnie, lecz ona przemilczała jego spojrzenie.

– Jest tu coś do jedzenia – powiedział.

– I ognisko. – Podeszła do ognia i rozłożyła nad nim dłonie. – Mam nadzieję, że nie widać dymu.

– Nie widać. Odszedłem kawałek i sprawdziłem.

Simon podał Miriamele połowę chleba i kawałek sera. Zaczęła jeść łapczywie, a po chwili uśmiechnęła się z pełnymi ustami. Przełknąwszy jedzenie, powiedziała:

– Byłam głodna. Wczoraj tak się martwiłam, że nic nie jadłam.

– Jest jeszcze, jeśli chcesz.

Potrząsnęła głową.

– Musimy oszczędzać. Nie wiem, jak długo przyjdzie nam podróżować i czy będziemy mogli zdobyć jakieś pożywienie. – Miriamele spojrzała na Simona. – Potrafisz strzelać? Zabrałam łuk i strzały. – Wskazała na łuk zawieszony przy jej siodle.

Simon wzruszył ramionami.

– Strzelałem, ale nie jestem Jackiem Mundwode. Z dwunastu kroków trafiłbym chyba krowę.

Miriamele zachichotała.

– Simonie, myślałam o wiewiórkach, królikach albo ptakach. Nie sądzę, żebyśmy spotkali tutaj wiele krów.

Przytaknął jej z poważną miną.

– Dlatego rzeczywiście lepiej będzie, jeśli oszczędzimy jedzenie.

Miriamele odchyliła się do tyłu i poklepała po brzuchu.

– Dopóki pali się ogień... – Wstała i podeszła do sakiew. Wyjęła z nich dwie miseczki i małą torebkę, po czym wróciła do ogniska. Wybrawszy dwa kamienie, umieściła je w żarze, by się rozgrzały. – Zabrałam trochę miętowej herbaty.

– Ale nie dodajesz do niej soli i masła? – spytał Simon, pamiętając dziwne sposoby przyrządzania herbaty przez trolle.

– Litościwa Elysio, nie! – Roześmiała się. – Ale szkoda, że nie mamy trochę miodu.

Kiedy pili herbatę – Simon musiał przyznać, że była to przyjemniejsza odmiana herbaty trolli – Miriamele mówiła o tym, co będą robili w ciągu dnia. Nie chciała wyruszać przed zachodem słońca, lecz, jak stwierdziła, były też inne rzeczy do zrobienia.

– Przede wszystkim możesz nauczyć mnie trochę walczyć mieczem.

– Co? – Simon patrzył na nią zdumiony, jakby poprosiła go, by nauczył ją latać.

Miriamele rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i podeszła do swojej torby jucznej. Z jej dna wyciągnęła krótki miecz w rzeźbionej pochwie.

– Zanim wyjechaliśmy, poprosiłam Freosela, by mi go zrobił. Zmniejszył duży miecz. – Jej pogardliwe spojrzenie ustąpiło miejsca kpiącemu uśmiechowi. – Powiedziałam, że potrzebuję go, by bronić swej cnoty, kiedy już znajdziemy się w Nabbanie. – Spojrzała groźnie na Simona. – Naucz mnie więc.

– Chcesz, żebym nauczył cię walczyć mieczem – powiedział wolno.

– Tak. A w zamian pokażę ci, jak się strzela z łuku. – Uniosła wyżej brodę. – Potrafię trafić krowę z większej odległości niż kilkanaście kroków, i to nie moich – dodała pośpiesznie. – Stary sir Fluiren nauczył mnie posługiwać się łukiem, kiedy byłam mała. Bawiło go to.

Simon był najwyraźniej zakłopotany.

– A zatem ustrzelisz wiewiórkę na obiad?

Popatrzyła na niego chłodno.

– Nie zabierałam łuku ani miecza po to, żeby polować. Tam, dokąd jedziemy, jest niebezpiecznie. Głupia byłaby dziewczyna, która podróżowałaby w tych czasach nieuzbrojona.

Spokojny wyraz jej twarzy ochłodził go jeszcze bardziej.

– Nie powiesz mi, dokąd jedziemy?

– Jutro rano. A teraz nie traćmy czasu. – Podniosła miecz i wysunęła go ze skórzanej pochwy, którą odrzuciła w trawę. Jej spojrzenie było jasne, wyzywające.

Simon patrzył na nią chłodno.

– Przede wszystkim nie traktuj w taki sposób pochwy. – Podniósł ją i wręczył Miriamele. – Odłóż miecz i zapnij pas.

Miriamele nasrożyła się.

– Ale ja już wiem, jak się go zapina.

– Wszystko po kolei – odparł spokojnie Simon. – Chcesz się nauczyć czy nie?

MIJAŁ RANEK, A WRAZ Z NIM topniała złość Simona na myśl o tym, że musi uczyć dziewczynę szermierki. Miriamele bardzo pragnęła posiąść tę umiejętność. Nieustannie zadawała pytania, na które Simon nie zawsze potrafił odpowiedzieć, choć chwilami wychodził z siebie, by przypomnieć sobie wszystko to, czego uczyli go Haestan, Sludig i Camaris. Trudno było mu się przyznać, że on, rycerz, nie wie czegoś, ale po kilku nieprzyjemnych utarczkach wreszcie przełknął swoją dumę i wyznał szczerze, że nie wie, dlaczego rękojeść ma występ tylko z dwóch stron, a nie dookoła – tak po prostu było. Taka odpowiedź o wiele bardziej zadowoliła Miriamele niż

jego poprzednie uniki, dlatego dalsza część lekcji przebiegała w o wiele sympatyczniejszej atmosferze.

Miriamele okazała się zdumiewająco silna jak na swój wzrost, choć nie dziwił się już tak bardzo, kiedy przypomniał sobie, przez co przeszła. Potrafiła dobrze zachować równowagę, chociaż zbytnio wychylała się do przodu, co mogłoby okazać się zgubne w czasie prawdziwej walki, gdyż większość jej przeciwników byłaby z pewnością wyższa od niej i miałaby dłuższe ramiona. W każdym razie Simon był pod wrażeniem. Obawiał się, że niebawem nie będzie już miał niczego nowego do pokazania i będą musieli już tylko ćwiczyć. Cieszył się też niezmiernie, że pojedynkowali się długimi kijami, a nie prawdziwymi mieczami, gdyż w ciągu całego ranka Miriamele kilkakrotnie solidnie mu przyłożyła.

Po długiej przerwie, w czasie której napili się tylko wody, zamienili się rolami: teraz Miriamele udzieliła Simonowi kilku wskazówek, jak obchodzić się z łukiem, zwracając szczególną uwagę na to, by cięciwa była sucha i ciepła. Uśmiechnął się, powstrzymując niecierpliwość. Tak jak Miriamele wierciła się niecierpliwie, wysłuchując jego instrukcji na temat szermierki – których większość stanowiły powtórzone wiernie lekcje Camarisa – tak i on teraz niecierpliwił się, by pokazać, jak już potrafi obchodzić się z łukiem. Ale nic z tego, reszta popołudnia zeszła na objaśnianiu prawidłowego naciągania cięciwy. Cienie wydłużyły się, a palce Simona stawały się coraz bardziej czerwone i poobcierane. Postanowił, że musi zdobyć skórzaną ochronę na palce, podobną do tej, jaką miała Miriamele, jeśli chce dalej uczyć się strzelać.

Zjedli posiłek złożony z chleba z cebulą i kawałka mięsa, po czym osiodłali konie.

– Twój koń nie ma imienia – odezwał się Simon do Miriamele, zapinając rzemień pod brzuchem Nadziei. – Camaris powiedział, że koń

jest częścią ciebie, ale także jest stworzeniem Bożym.

– Zastanowię się nad tym.

Jeszcze raz rozejrzeli się po obozie, by sprawdzić, czy nie zostawili jakichś śladów – rozrzucili popiół z ogniska, a pognieciona trawę przeczesali długą gałęzią – i odjechali w odchodzący dzień.

WIDAĆ LAS ALDHEORTE – POWIEDZIAŁ SIMON zadowolony. Wytężył wzrok w pierwszym blasku poranka. – Ta ciemna linia.

– Widzę. – Miriamele zjechała z drogi, kierując się na północ. – Będziemy jechali w tamtym kierunku tak długo, jak długo się da. Tym razem pojedziemy w ciągu dnia. Poczuję się bezpieczniej, kiedy tam dojedziemy.

– Ale nie wracamy chyba na *Sesuad'ra*? – spytał Simon.

– Nie. Jedziemy do lasu Aldheorte, przynajmniej na jakiś czas.

– Jedziemy do lasu? Po co?

Miriamele nie odrywała wzroku od horyzontu. Zrzuciła z głowy kaptur i teraz jej włosy lśniły w słońcu.

– Ponieważ mój wuj wyśle pewnie za nami ludzi. Nie znajdą nas, jeśli skryjemy się w lesie.

Simon bardzo dobrze pamiętał poprzednią wizytę w wielkim lesie. Nie miał zbyt przyjemnych wspomnień.

– Żeby go przejechać, potrzeba wiele czasu.

– Nie zostaniemy tam długo. Wyruszymy dalej, gdy tylko się upewnimy, że nikt za nami nie jedzie.

Simon wzruszył ramionami. Najwyraźniej wszystko miała zaplanowane, chociaż nie miał pojęcia, dokąd ona chce jechać i dlaczego.

Ruszyli w kierunku ciemnej linii lasu.

DOTARLI NA SKRAJ LASU ALDHEORTE późnym popołudniem. Słońce wisiało już nad horyzontem, a jego ukośne promienie malowały trawiaste wzgórza.

Simon miał nadzieję, że zatrzymają się w rzadkich zaroślach na samym brzegu lasu – w końcu jechali prawie bez przerwy od poprzedniego wieczoru, zatrzymując się tylko na krótko, by chwilę się zdrzemnąć – lecz Miriamele postanowiła wjechać głębiej w las i zapobiec przypadkowemu odkryciu ich przez pościg. Jechali przez coraz gęstszy las, aż wreszcie musieli zsiąść i przez następne ćwierć mili prowadzili konie. Kiedy wreszcie księżniczka znalazła wystarczająco dobre, jej zdaniem, miejsce na postój, w lesie zapadał zmrok; świat pod grubym baldachimem drzew przybrał najróżniejsze odcienie błękitu.

Simon zsiadł z konia i natychmiast zajął się rozpalaniem ognia. Kiedy płomienie skoczyły wesoło w górę, rozbili obóz. Miriamele wybrała to miejsce ze względu na malutki strumień, który przepływał nieopodal. Zajęła się przygotowywaniem posiłku, podczas gdy Simon zaprowadził konie nad wodę.

Po całym dniu spędzonym w siodle Simon czuł się dziwnie rześko, jakby zapomniał, co to sen. Najedli się, a potem usiedli wygodnie przy ognisku, rozmawiając o codziennych sprawach, częściej poruszanych przez Miriamele niż przez Simona. On myślał o innych rzeczach i dziwił się, że Miriamele z takim ożywieniem mówi o mającym się urodzić dziecku Josui i Vorzhevy i wciąż domaga się nowych opowieści o bitwie z Fengbaldem, gdy tymczasem tyle pytań dotyczących ich podróży pozostawało niewyjaśnionych. Wreszcie nie wytrzymał i powstrzymał ją uniesioną dłonią.

– Wystarczy. Miriamele, obiecałaś, że powiesz mi, dokąd jedziemy.

Długą chwilę milczała wpatrzona w płomienie.

– To prawda, Simonie. Pewnie to nie było w porządku, że kazałam ci jechać tak długo i polegać tylko na moim słowie. Ale nie prosiłam cię, byś ze mną jechał.

Poczuł się urażony, lecz nie chciał tego po sobie pokazać.

– Ale jestem tutaj. Więc powiedz mi, dokąd jedziemy.

Wzięła głęboki oddech.

– Do Erkynlandu.

Skinął głową.

– Domyślałem się tego. Nietrudno było odgadnąć po tym, co mówiłaś na Radzie. Ale dokąd w Erkynlandzie? I co tam będziemy robić?

– Jedziemy do Hayholt. – Spojrzała mu prosto w oczy, jakby spodziewała się gwałtownego sprzeciwu.

„Aedonie, miej nad nami litość” – pomyślał Simon. Głośno powiedział tylko:

– Jedziemy zdobyć Biały Gwóźdź? – Myśl ta wydawała mu się dość podniecająca, choć zupełnie szalona. On, oczywiście z pomocą, zdobył Cierń, czy nie tak? Może gdyby przywiózł też Biały Gwóźdź, uznano by go za... Nie śmiał nawet w myślach wymówić tych słów, lecz nagle w myślach ujrzał siebie, Simona, rycerza nad rycerzami, który godzien jest nawet księżniczek... Zaraz odgonił tę myśl. Na nic takiego się nie zanosiło. Z pewnością żadne z nich nie powróci z tak lekkomyślnej wyprawy. – Będziemy próbowali uratować Biały Gwóźdź?

Miriamele nie odrywała od niego wzroku.

– Może.

– Może? Co to znaczy?

– Obiecałam, że powiem ci, dokąd jedziemy – odparła. – Ale nie mówiłam, że odkryję przed tobą wszystkie swoje myśli.

Simon, rozgniewany, chwycił patyk i złamał go na pół, po czym cisnął w ogień.

– Na cholerne Drzewo, Miriamele – warknął. – Dlaczego tak się zachowujesz? Mówiłaś, że jestem twoim przyjacielem, a traktujesz mnie jak dziecko!

– Nie traktuję cię jak dziecko – zaprzeczyła gorliwie. – Ty nalegałeś, by ze mną pojechać. Dobrze. Ale to jest moja podróż bez względu na to, czy wracam do zamku po miecz, czy po buty, które tam zostawiłam.

Simon wciąż czuł jeszcze złość, ale nie mógł też powstrzymać śmiechu.

– Ty chyba rzeczywiście wracasz tam po buty albo jakąś sukienkę. To by do mnie pasowało: zginąć z ręki królewskiego gwardzisty w środku wojny w czasie próby wykradzenia pary butów.

Miriamele spojrzała na niego łagodniejszym wzrokiem.

– Ty i tak pewnie wykradłeś już dość, mieszkając w Hayholt. Nie zrobi ci to różnicy.

– Ja? Wykradłem?

– Ciągle to robiłeś, z kuchni. Sam mi opowiadałeś, chociaż nie była to dla mnie nowina. A kto ukradł łopatę kościelnego i wsadził ją do rękawicy zbroi w Mniejszej Komnacie, tak że wyglądało to, jakby sir Jak-Mu-Tam zabierał się do kopania własnego ustępu?

Simon zachichotał cicho, zadowolony, że zapamiętała to wydarzenie.

– Jeremias mi pomógł.

– Ty, łajdaku, wciągnąłeś biedaka do tego. On sam nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

Miriamele rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Już ci mówiłam, idioto. Śledziłam cię całymi tygodniami.

– Tak. – Simon był pod wrażeniem. – Co jeszcze widziałaś?

– Głównie jak się wymykałeś i bujałeś w obłokach, zamiast pracować – odparła szybko. – Nic dziwnego, że Rachel wciąż musiała dobierać się do twoich uszu.

Simon wyprostował się, obrażony.

– Wymykałem się tylko dlatego, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Nie wiesz, co to znaczy mieszkać w pomieszczeniach dla służby.

Miriamele spojrzała na niego. Jej twarz spoważniała i nieco posmutniała.

– Masz rację. Ale i ty nie wiesz, jak to jest być księżniczką. Też nie ma wielu okazji, by mieć czas dla siebie.

– Może i tak. Ale założę się, że jedzenie było lepsze w twojej części zamku – odparł nieco przekornie Simon.

– Było takie samo – odcięła się. – Tyle tylko, że jedliśmy je czystymi rękoma. – Spojrzała znacząco na jego brudne od popiołu palce.

Simon roześmiał się głośno.

– Ach! Tak więc różnica między księżniczką a podkuchennym polega tylko na czystych rękach. Muszę cię rozczarować, Miriamele, ale po całym dniu zmywania naczyń moje ręce były bardzo czyste.

Spojrzała na niego szyderczo.

– A zatem nie widzę między nimi żadnej różnicy.

– Nie wiem. – Simon nagle poczuł się nieswojo; rozmowa przesuwała się na bolesny obszar. – Nie wiem, Miriamele.

Zamilkła, czując, że coś się zmieniło.

Dookoła słychać było melodyjne brzęczenie owadów, a wyłaniające się z cienia drzewa przypominały podsłuchujących szpiegów. Simon pomyślał, że dziwnie jest znowu być w lesie. Przywykł do bezkresnych przestrzeni,

jakie oglądał ze szczytu *Sesuad’ra* i jakie przemierzał na ziemiach Thrithingów. Po takich doświadczeniach czuł się skrępowany lasem. Zamek też był ciasny, ale za to był najlepszym miejscem do obrony przed wrogiem. Może Miriamele miała rację; może na jakiś czas las będzie dla nich najlepszym miejscem.

– Idę spać – odezwała się niespodziewanie. Wstała i poszła do miejsca, w którym przygotowała swoje posłanie.

Simon zauważył, że jemu przygotowała miejsce po przeciwnej stronie ogniska.

– Dobrze. – Nie potrafił powiedzieć, czy znowu się na niego gniewa. Może nie miała już nic więcej do powiedzenia. Czasem miewał już podobne uczucie w jej obecności, kiedy kończyli mówić o nieistotnych rzeczach. Ważne tematy były zbyt trudne, by o nich mówić, zbyt krępujące... zbyt niebezpieczne. – Posiedzę jeszcze chwilę.

Miriamele owinęła się płaszczem i położyła. Simon patrzył na nią poprzez drgające płomienie. Jeden z koni zarżał cicho.

– Miriamele?

– Tak?

– Jest tak, jak powiedziałem wtedy, kiedy wyjeżdżaliśmy. Będę twoim obrońcą, nawet jeśli nie powiesz mi, przed czym mam cię bronić.

– Wiem, Simonie. Dziękuję.

Znowu zapadła cisza, a potem Simon usłyszał cichą melodię. Dopiero po chwili zorientował się, że to Miriamele nuci cicho.

– Co to za piosenka?

Miriamele drgnęła i odwróciła się w jego stronę.

– Słucham?

– Co za piosenkę śpiewasz?

Uśmiechnęła się.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że śpiewam. Chodzi mi po głowie przez cały wieczór. Moja matka śpiewała mi ją, kiedy byłam mała. Myślę, że jest to hernystirska piosenka mojej babki, ale słowa są w języku Westerling.

Simon wstał i poszedł na swoje legowisko.

– Zaśpiewasz?

Miriamele wahała się przez moment.

– Nie wiem. Jestem zmęczona i boję się, że nie pamiętam wszystkich słów. Ale to smutna piosenka.

Czując, że drży, położył się i nakrył płaszczem. Noc stawała się coraz zimniejsza. Liście szeleściły cicho, poruszane wiatrem.

– Nic nie szkodzi, jeśli zapomnisz część. Miło byłoby posłuchać piosenki.

– Dobrze. Spróbuję. – Zamilkła na chwilę, a potem zaczęła śpiewać. Jej głos brzmiał nieco ochryple, ale słodko.

W Cathyn Dair panna żyła,

zaczęła. Chociaż śpiewała cicho, powolna melodia niosła się wyraźnie przez leśną polanę.

W Cathyn Dair nad Morzem Srebrzystym
Świat najpiękniejsze dziewczę ujrzał.
I ona mnie pokochała, a ja ją sercem czystym.

Nad Srebrzystym Morzem, gdzie zima króluje,
Gdzie kamień omszały i trawa faluje,
Gdzie serca się sprzedaje i miłość kupuje,
A bajarz tę samą opowieść wciąż snuje,
W okrutnym Cathyn Dair.

Spotkaliśmy się, gdy jesienny księżyc stał wysoko
W Cathyn Dair, nad Morzem Srebrzystym.
W srebrzystej sukni i złocistych bucikach
W tańcu obsypała mnie śmiechem perlistym.

Gdy zima śniegiem dachy pokryła
W Cathyn Dair, nad Morzem Srebrzystym,
Przy ogniu wesołym śpiewaliśmy.
A jej usta przykryłem pocałunkiem czystym.

Nad Srebrzystym Morzem, gdzie zima króluje,
Gdzie kamień omszały i trawa faluje,
Gdzie serca się sprzedaje i miłość kupuje,
A bajarz tę samą opowieść wciąż snuje
W okrutnym Cathyn Dair.

Gdy wiosna po polach sennie się snuła
W Cathyn Dair, nad Morzem Srebrzystym,
W kaplicy Mirchy, w blasku świec stanęła
I wierność ślubowała słowem wieczystym.

Gdy wzgórza w blasku lata się skąpały
W Cathyn Dair, nad Morzem Srebrzystym,
W mieście rozgłoszono nasze zaręczyny,
Lecz ona nie przyszła związać nas ślubem wieczystym.

Nad Srebrzystym Morzem, gdzie zima króluje,
Gdzie kamień omszały i trawa faluje,
Gdzie serca się sprzedaje i miłość kupuje,
A bajarz tę samą opowieść wciąż snuje
W okrutnym Cathyn Dair.

Gdy jesienny księżyc na niebo powrócił
W Cathyn Dair, nad Morzem Srebrzystym,
Ujrzałem ją w srebrnej sukni tańczącą,

Lecz nie dla mnie tańczyła tańcem powłóczystym.

Gdy zima szpony okrutne pokazała
W Cathyn Dair, nad Morzem Srebrzystym,
Miasto na zawsze opuściłem,
By torturom umknąć wieczystym.

Nad Srebrzystym Morzem, gdzie zima króluje,
Gdzie kamień omszały i trawa faluje,
Gdzie serca się sprzedaje i miłość kupuje,
A bajarz tę samą opowieść wciąż snuje
W okrutnym Cathyn Dair...

– Ładna piosenka – powiedział Simon, kiedy skończyła. – Smutna. – Wciąż słyszał melodię; teraz rozumiał, dlaczego Miriamele nie zdawała sobie sprawy, że ją śpiewa.

– Moja matka śpiewała mi ją w ogrodzie w Meremundzie. Ona zawsze śpiewała. Wszyscy powtarzali, że ma najśliczniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszeli.

Zapadła cisza. Oboje leżeli owinięci płaszczami, tuląc swoje własne myśli.

– Ja nie znałem mojej matki – odezwał się wreszcie Simon. – Umarła przy moich narodzinach. Nie znałem żadnego z moich rodziców.

– Ja też nie.

Zanim ta dziwna odpowiedź dotarła do Simona poprzez jego własne rozbiegane myśli, Miriamele odwróciła się plecami do ognia i do niego. Chciał zapytać, co miała na myśli, ale wyczuwał, że ona nie chce już więcej rozmawiać.

Utkwił wzrok w dogasającym żarze, przyglądając się, jak ostatnie iskry ulatują w ciemność.

29. Okna niczym oczy

BARANY STAŁY TAK BLISKO SIEBIE, że ledwie można było się między nimi przecisnąć. Binabik, klucząc między wełnianymi przeszkodami, śpiewał cicho piosenkę, która miała je uspokoić.

– Sisqi! – zawołał. – Muszę z tobą pomówić!

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami i poprawiała węzły uprzęży swojego barana. Inne trolle także czyniły ostatnie przygotowania przed wymarszem do Nabbanu.

– Jestem tutaj – powiedziała.

Binabik rozejrzał się.

– Czy pójdziesz ze mną w spokojniejsze miejsce?

Skinęła głową i położyła uprząż na ziemi.

– Dobrze.

Wrócili z powrotem między tłoczące się barany i zaczęli wspinać się na pagórek. Kiedy usiedli w trawie, pod nimi rozciągał się widok na cały obóz. Namioty poskładano już rano, dlatego z całego miasta, jakie wyrosło tam na trzy dni, pozostała tylko bezkształtna masa ludzi i zwierząt.

– Jesteś niespokojny – przemówiła niespodziewanie Sisqi. – Powiedz, ukochany, co się stało, chociaż w ciągu ostatnich dni wydarzyło się dość złego, by się smucić.

Binabik westchnął i skinął głową.

– To prawda. Śmierć Geloë jest wielką stratą, i to nie tylko ze względu na jej mądrość. Mnie też jej brakuje, Sisqi. Kogoś takiego już nie spotkamy.

– Ale nie tylko o to chodzi. – Sisqi dotknęła jego ramienia. – Znam cię dobrze, Binbiniqegabeniku. Myślisz o Simonie i księżniczce?

– Tak. Spójrz, coś ci pokażę. – Rozłożył części swojego kija. Ze środka wysunęła się biała strzała z błękitnoszarym grotem.

– To strzała Simona. – Sisqi otworzyła szeroko oczy. – Dar od Sithów. Czy ją zostawił?

– Z pewnością nie celowo. Znalazłem ją zaplątaną w jednej z koszul, które zrobiła dla niego Gutrun. Zabrał ze sobą tylko to ubranie, które miał na sobie, ale wziął też torbę ze swoimi skarbami: lusterko Jirikiego, kamień, który wziął z kopca Haestana, i inne rzeczy. Myślę, że przypadkiem zostawił Białą Strzałę. Może wyjął ją z jakiegoś powodu, a potem zapomniał schować do torby. – Binabik podniósł strzałę, tak że zalśniła w porannym słońcu. – Ona przypomina mi o pewnych rzeczach – powiedział wolno. – Jest znakiem długu Jirikiego wobec Simona. Takiego samego, jaki i ja mam do spłacenia Doktorowi Morgenesowi w imieniu mojego mistrza Ookequka.

Sisqi nie potrafiła ukryć strachu, jaki pojawił się w jej spojrzeniu.

– O czym ty mówisz, Binabiku?

Popatrzył smutno na strzałę.

– Ookequk obiecał pomóc Morgenesowi. Ja przypieczętowałem to swoją przysięgą. Obiecałem opiekować się młodym Simonem.

Sisqi wzięła go za rękę.

– Zrobiłeś to, a nawet więcej, Binabiku. Nie możesz przecież strzec go dzień i noc do końca życia.

– To co innego. – Wsunął ostrożnie strzałę do kija. – Poza tym chodzi tu o coś więcej niż tylko o mój dług, Sisqi. Oboje, Simon i Miriamele, znaleźli

się w niebezpieczeństwie, podróżując przez odludzie, i to w wielkim niebezpieczeństwie, jeśli jadą tam, gdzie się domyślam. Oboje także stanowią niebezpieczeństwo i dla nas.

– Jak to? – Jej spojrzenie wyrażało coraz większy smutek.

– Jeśli zostaną schwytani, trafią w ręce Pryratesa, doradcy Króla Eliasa. Nie znasz go, Sisqi, ale ja tak, przynajmniej z opowieści. Jest potężny i bezlitosny w wykorzystywaniu swej mocy. Jest też bardzo okrutny. Dowie się od nich wszystkiego, co wiedzą o nas, a oboje dużo wiedzą: będą musieli powiedzieć mu o naszych planach, o mieczach, o wszystkim. Żeby dostać swoje, Pryrates zabije ich, a przynajmniej Simona.

– Więc chcesz ich szukać? – spytała powoli.

– Czuję, że muszę. – Binabik zwiesił głowę.

– Ale dlaczego ty? Josua ma całą armię!

– Są tego powody, ukochana. Chodź ze mną do Josui, a usłyszysz o nich. W każdym razie i tak musisz być przy naszej rozmowie.

Sisqi uniosła wysoko brodę.

– Jeśli ty wyruszasz, to ja pojadę z tobę.

– A kto będzie dbał o bezpieczeństwo naszych ludzi na obcej ziemi? – Wskazał na krzątające się w dole trolle. – Ty przynajmniej choć trochę mówisz w języku Westerling. Nie możemy oboje odjechać i pozostawić naszych ludzi głuchych i ślepych.

W oczach Sisqi błysnęły łzy.

– Nie ma innego sposobu?

– Nie znam go, jeśli istnieje – powiedział wolno. – A chciałbym. – On także miał łzy w oczach.

– Na Kamienie Chukku! – zaklęła. – Czy po to cierpieliśmy to wszystko, żeby znowu dać się rozdzielić? – Ścisnęła mocno jego dłoń. –

Binabiku z Mintahoq, dlaczego ty zawsze jesteś taki honorowy? Zawsze cię za to przeklinałam, ale nigdy tak bardzo jak teraz.

– Wrócę do ciebie, Sisqinanamook, przyrzekam. Bez względu na wszystko, wrócę do ciebie.

Wcisnęła twarz w jego pierś i rozpłakała się. Binabik objął ją i przytulił mocno; po jego policzkach także płynęły łzy.

– Jeśli nie wrócisz – szepnęła przez łzy – to obyś nie zaznał ani chwili spokoju, dopóki Czas się nie skończy.

– Wrócę – powtórzył i zamilkł.

Długo siedzieli w milczeniu spleceni ostatnim uściskiem.

NIE POWIEM, ŻEBY MI SIĘ PODOBAŁ ten pomysł, Binabiku – powiedział książę Josua. – Nie możemy pozwolić sobie, by utracić twoją mądrość, szczególnie teraz, po śmierci Geloë. – Książę zamyślił się na chwilę. – Aedon jeden wie, jakim było to dla nas ciosem. Do dziś czuję ogromny żal; nie mieliśmy nawet ciała, by ją opłakiwać.

– Tego sobie życzyła – odparł łagodnie Binabik. – Ale wracając do twojego pierwszego zmartwienia, moim zdaniem jeszcze mniej możemy sobie pozwolić na stratę twojej bratanicy i Simona. Wyjawiłem ci swoje obawy.

– Tak. Ale co będzie ze studiami nad mieczami? Musimy się jeszcze wiele dowiedzieć.

– Niewiele potrafię pomóc Strangyeardowi i Tiamakowi – odparł troll. – Przetłumaczyłem na Westerling prawie wszystkie zwoje Ookequka. Przy pozostałych może pomóc Sisqi. – Wskazał na swoją narzeczoną, która siedziała z tyłu. – Później, muszę z żalem powiedzieć, kiedy zadanie zostanie wypełnione, ona poprowadzi pozostałe trolle z powrotem do domu.

Josua spojrzał na Sisqi.

– Będzie to kolejna strata.

Skłoniła głowę.

– Teraz jest was dużo – zauważył Binabik. – Nasi ludzie także cierpią, dlatego ci pasterze i łowczynie będą potrzebni nad Jeziorem Błękitnego Błota.

– Oczywiście – powiedział książę. – Zawsze będziemy pamiętać z wdzięcznością, że przyszliście nam z pomocą. Nie zapomnimy tego, Binabiku. – Książę zmarszczył brwi. – A więc postanowiłeś wyruszyć?

Troll przytaknął mu.

– Z wielu powodów wydaje mi się to najlepszym rozwiązaniem. Obawiam się, że Miriamele ma nadzieję odzyskać Biały Gwóźdź; pewnie uważa, że to przyśpieszy koniec walki. Niepokoi mnie to, gdyż – jeśli wierzyć słowom hrabiego Eolaira – karlaki wyznały już wysłannikom Króla Burz, że Minneyar to miecz, który spoczywa w grobie twojego ojca.

– Co w rezultacie niweczy resztę naszych nadziei – dodał ponuro Josua. – Dlaczego Elias nie miałby sięgnąć po niego, jeśli o tym wie?

– Wiedza Króla Burz nie musi pokrywać się z wiedzą twojego brata – zauważył Binabik. – Nieraz słyszano o tym, że sprzymierzeńcy ukrywają przed sobą różne rzeczy. Może Król Burz nie wie, że i my o tym wiemy. – Uśmiechnął się, ukazując żółte zęby. – Niezwykle to skomplikowane, prawda? Ponadto z tego, co wciąż powtarzał stary Towser, kiedy opowiadał o zachowaniu twojego brata w chwili ofiarowania mu miecza, można podejrzewać, że ci, którzy zostali naznaczeni piętnem Burzowej Góry, nie mogą znieść obecności Minneyara.

– W tym nasza wielka nadzieja – powiedział Josua. – Isgrimnurze, co ty o tym wszystkim sądzisz?

Książę poruszył się na swym niskim stołku.

– O czym? O mieczach, o wyprawie trolla po Miriamele czy o chłopcu?

– O wszystkim. – Josua machnął dłonią znużony.

– Nie potrafię powiedzieć wiele o mieczach, ale to, co mówi Binabik, ma sens. Co do drugiej sprawy... – Isgrimnur wzruszył ramionami. – Ktoś powinien pojechać, to pewne. Raz już ją przywiozłem, więc jeśli chcesz, pojadę jeszcze raz.

– Nie. – Książę potrząsnął zdecydowanie głową. – Potrzebuję cię tutaj. Nie chcę też rozdzielać ciebie i Gutrun z powodu mojej upartej bratanicy. – Zwrócił się do trolla: – Ilu ludzi weźmiesz, Binabiku?

– Pojadę sam, książę Josuo.

– Sam? – Książę wydawał się bardzo zaskoczony. – Jak to? Z pewnością bezpieczniej byłoby wziąć przynajmniej kilku dobrych żołnierzy, tak jak w czasie wyprawy na Urmsheim.

Binabik pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że Simon i Miriamele nie będą chowali się przede mną, ale z pewnością przed żołnierzami na koniach. Poza tym istnieją miejsca niedostępne nawet dla tak znakomitych jeźdźców jak ludzie Hotviga. A ja poruszam się ciszej. Nie, lepiej będzie, jeśli pojadę sam.

– Nie podoba mi się to – powiedział Josua. – Widzę, że i Sisqi nie spodobał się twój plan. Ale przynajmniej go rozważę. Może rzeczywiście tak byłoby najlepiej; potrafię odczuwać coś więcej aniżeli tylko niepokój wuja, kiedy pomyślę, co mogłoby się stać, gdyby Simon i Miriamele wpadli w ręce mojego brata. Z pewnością coś trzeba zrobić. – Potarł dłonią czoło. – Pozwól, że się nad tym zastanowię.

– Oczywiście, książę Josuo. – Binabik wstał. – Ale pamiętaj, że nawet nos Qantaqi nie wyczuje śladu, który zbyt długo pozostawał na ziemi. – Oboje z Sisqi skłonili się i opuścili namiot.

– Jest mały, tak jak i ona – przemówił Josua, zamyślony. – Ale chciałbym mieć ich jeszcze z tysiąc.

– Tak, dzielny jest ten Binabik – powiedział Isgrimnur.

– Czasem wydaje się, że tylko to nam pozostało.

EOLAIR OBSERWOWAŁ JUŻ OD JAKIEGOŚ CZASU muchę, która latała wokół głowy jego konia. Wydawało się, że koń nie zwraca na nią uwagi, czasem tylko zastrzygł uszami, lecz Eolair wciąż ją obserwował. Nie było specjalnie na co patrzeć, kiedy jechało się przez zachodnie pogranicze Hernystiru, skrajem Frostmarch, a poza tym mucha przypominała mu o czymś, czego nie mógł sobie do końca przypomnieć, a co nie dawało mu spokoju. Hrabia Nad Mullach przyglądał się musze jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie zrozumiał, dlaczego wydaje mu się ona ważna.

„Jest to pierwsza mucha, jaką widzę od dłuższego czasu, pewnie od nadejścia zimy. To znaczy, że się ociepla. – Ta dość banalna myśl dała początek mniej pospolitym spekulacjom. – Czy to możliwe, by ten prąd się cofnął? – zastanawiał się. – Czyżby Josua i jego ludzie dokonali czegoś, co osłabiło władzę Króla Burz i odepchnęło jego magiczną zimę? – Rozejrzał się, spoglądając na grupkę obdartych Hernystirczyków i wielki oddział Sithów w kolorowych zbrojach, którzy ich prowadzili. – Czy fakt, że ludzie Jirikiego przystąpili do walki, przeważył w jakiś sposób szalę na ich stronę? A może wyciągam zbyt pochopne wnioski z tak nieistotnych znaków?”

Uśmiechnął się ponuro do samego siebie. Wyglądało na to, że okropieństwa ostatniego roku sprawiły, iż stał się równie podatny na znaki jak jego przodkowie za czasów Herna.

Ostatnio dużo myślał o przodkach. Armia złożona z Sithów i Hernystirczyków jadących do Naglimundu zatrzymała się w zamku hrabiego Nad Mullach nad rzeką Baraillean. W ciągu dwóch dni

obozowania w jego siedzibie hrabia zebrał kolejnych kilkudziesięciu ludzi gotowych przyłączyć się do wyruszających na wojnę; Eolair podejrzewał, że większość z nich zrobiła to bardziej z chęci towarzyszenia baśniowym Sithom niż z poczucia obowiązku czy chęci zemsty. Młodzi ludzie, którzy się do nich przyłączyli, przeważnie potracili swoje rodziny albo rozdzielili się z nimi w dotychczasowych walkach. Ci, którzy mieli jeszcze jakąś ziemię albo kogoś, kogo kochali i mogli bronić, nie chcieli słyszeć o kolejnej wojnie, bez względu na to, w jak szlachetnej sprawie ją toczono. Eolair też nie zmuszał ich do tego, gdyż już od czasów Tethtaina wasale nie mieli takiego prawa w Hernystirze.

Nad Mullach nie ucierpiał tak bardzo jak Hernysadharc, ale i tu nie obeszło się bez strat i zniszczeń w czasie najazdu Skalego. W tak krótkim czasie, jakim dysponował, Eolair zebrał garstkę tych, którzy tam pozostali, i z ich pomocą przywrócił dawne porządki, na ile to się dało. Jeśli uda mu się powrócić z tej szalonej wojny – z każdym dniem coraz bardziej szalonej – to niczego tak nie pragnął, jak przekazać komuś innemu wodze odpowiedzialności i zamieszkać w swoim ukochanym Nad Mullach.

Jego poddani długo bronili się przed niewielką garstką żołnierzy Skalego, którzy pozostali, by oblegać zamek, lecz kiedy oblężeni zaczęli umierać z głodu, kuzyn Eolaira i kasztelanka Gwynna – niezwykle odważna i mądra kobieta – otworzyli Rimmersmenom bramy zamku. Wiele cennych dóbr, jakie pozostawały w posiadaniu rodu Eolaira od niepamiętnych czasów, zostało zniszczonych lub skradzionych, podobnie jak te, które Eolair sam przywiózł ze swych licznych podróży po Osten Ard. Ale hrabia pocieszał się, że mury były całe, pola, przykryte śnieżnym kocem, wciąż urodzajne, a szeroka Baraillean, niepomna na zimę czy wojny, wciąż płynęła obok zamku, zmierzając do Abaingeat i do morza.

Hrabia pochwalił Gwynnę za jej decyzję, zapewniając ją, że postąpiłby tak samo, gdyby wtedy był w zamku. Pocieszył tym samym nieco kasztelankę, dla której widok obcych w zamkowych komnatach był najgorszym złem, jakie mogła sobie wyobrazić.

Najeźdźcy, może dlatego, że ich pan był daleko w Hernysadharc, a może dlatego, że nie byli członkami okrutnego klanu Kaldskryke, nie okazali się tak okrutni jak ich towarzysze w pozostałych częściach Hernystiru. Szorstko obchodzili się z więźniami, plądrowali i niszczyli, lecz nie posunęli się do gwałtów, tortur i niepotrzebnego zabijania, które to ślady pozostawiała główna armia Skalego w swym marszu na Hernysadharc.

A jednak, pomimo tych niewielkich szkód, jakie dotknęły jego rodowy dom, Eolair, wyjeżdżając z Nad Mullach, nie mógł pozbyć się uczucia wstydu, że miejsce to zostało zbezczeszczone. Jego przodkowie wybudowali zamek, by strzegł ich części rzecznej doliny. Teraz został on zaatakowany i zdobyty, a jego pana nie było nawet w domu. Jego słudzy i krewni zdani byli na własne siły.

„Przecież służyłem Królowi! – mówił sobie. – Co innego mogłem zrobić?”

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, lecz to nie pomagało zapomnieć widoku spalonych arrasów i przestraszonych spojrzeń jego poddanych. To już się stało, nawet gdyby wojna i zima miały jutro się skończyć.

– Pani, czy chciałabyś coś zjeść? – spytał Eolair.

Wciąż się zastanawiał, jak Maegwin w swoim szaleństwie widzi to, w jakim ubóstwie jadą do Naglimundu. Oczywiście nie można było oczekiwać zbyt wiele po kraju zniszczonym wojną, ale hrabia zastanawiał się, jak można twardy chleb z cebulą uważać za pokarm bogów.

– Nie, Eolairze, dziękuję. – Maegwin potrząsnęła głową i uśmiechnęła się łagodnie. – Nawet w krainie wiecznej rozkoszy musimy się czasem od niej powstrzymywać.

Wiecznej rozkoszy! Hrabia uśmiechnął się mimowolnie. Może to nie było takie złe, zostać dotkniętym szaleństwem, przynajmniej w czasie posiłków. Zaraz jednak skarcił siebie za tak niegodziwe myśli.

Spójrz na nią. Jest jak dziecko. To nie jej wina, może spowodował to cios Skalego. Nie zabił jej, jak ona myśli, ale pewnie uszkodził mózg.

Hrabia przyglądał się Maegwin. Ona zaś z widoczną przyjemnością obserwowała słońce. Jej twarz wydawała się nieomal rozjarzona słonecznym blaskiem.

Jak ich nazywają w Nabbanie? „Święci głupcy”. Tak, rzeczywiście tak wygląda – jak ktoś, kto nie żyje już na ziemi.

– Niebiosa są piękniejsze, niż mogłam sobie to wyobrazić – powiedziała nieobecnym głosem. – Zastanawiam się, czy to jest nasze niebo, tyle tylko, że widzimy je z drugiej strony.

„A nawet gdyby istniało jakieś lekarstwo – przyszło mu nagle do głowy – to jakie mam prawo zabierać jej to wszystko? – Myśl ta zaskoczyła go, jakby ktoś chlusnął mu w twarz zimną wodą. – Ona jest szczęśliwa, szczęśliwa po raz pierwszy od chwili, kiedy jej ojciec wyruszył na wojnę po swoją śmierć. Je, śpi, rozmawia ze mną i z innymi... nawet jeśli to czysty nonsens. Czy będzie jej lepiej, jeśli odzyska zmysły w tych okropnych czasach?”

I na to pytanie nie miał odpowiedzi. Eolair odetchnął głęboko, odpędzając znużenie, jakie ogarniało go w obecności Maegwin. Wstał i podszedł do łachy topniejącego śniegu; umył swoją miskę i powrócił do drzewa, pod którym siedziała Maegwin, wpatrzona ponad polami pokrytymi trawą i śniegiem w rdzawe zachodnie niebo.

– Idę porozmawiać z Jirikim – powiedział. – Czy dobrze ci tutaj będzie?

Skinęła głową, uśmiechając się.

– Oczywiście, hrabio Eolairze.

Skłonił głowę i odszedł.

SITHOWIE SIEDZIELI NA ZIEMI wokół ogniska Likimeyi. Eolair zatrzymał się nieopodal, podziwiając niecodzienny widok. Choć w kole siedziało ich kilkunastu, nikt nic nie mówił: patrzyli tylko na siebie, jakby prowadzili niemą rozmowę. Nie po raz pierwszy hrabia Nad Mullach poczuł gęsią skórkę, przepełniony zabobonnym zdumieniem. Cóż za dziwni sprzymierzeńcy!

Likimeya wciąż nosiła na twarzy maskę z popiołów. Poprzedniego dnia jechali w deszczu, lecz maska wydawała się nietknięta, co kazało hrabiemu przypuszczać, że Sithijka poprawia ją codziennie. Naprzeciw niej siedziała inna wysoka i szczupła Sithijka o jasnoniebieskich włosach zebranych na czubku głowy na podobieństwo ptasiego grzebienia. Jiriki już wcześniej wyjaśnił mu, że ta kobieta o surowej twarzy, Zinjadu, jest starsza nawet od Likimeyi – sam nigdy by tego nie odgadł.

Przy ogniu siedział też rudowłosy, ubrany na zielono wuj Jirikiego, Khendraja’aro, a także Chekai’so Bursztynoloki, którego gęste, zmierzwione włosy i zaskakująco otwarta twarz – Eolair widział nawet tego Sithę śmiejącego się – bardzo upodabniały go do ludzi. Obok Jirikiego siedział Yizashi z długą, szarą włócznią z magicznego drewna przystrojoną złocistymi wstążkami, a z drugiej strony Kuroyi, najwyższy spośród Sithów i Hernystirczyków, o obliczu tak surowym i bladym, że gdyby nie jego kruczoczarne włosy, można by go wziąć za Norna. Przy ogniu siedziały jeszcze trzy Sithijki i dwóch Sithów, których Eolair widział już wcześniej, lecz których imion nie znał.

Przez jakiś czas stał niepewnie, nie wiedząc, co zrobić. Wreszcie Jiriki podniósł wzrok.

– Hrabia Eolair – rzekł. – Właśnie myślimy o Naglimundzie.

Eolair skłonił się Likimeyi, która odpowiedziała krótkim skinieniem głowy. Spojrzenia pozostałych tylko na chwilę zatrzymały się na przybyszu.

– Wkrótce tam dotrzemy – powiedział.

– Za kilka dni – dodał Jiriki. – My, Zida'ya, nie jesteśmy przyzwyczajeni do walki z wrogiem ukrytym w zamku. Myślę, że nie robiliśmy tego od ostatnich dni w Venyha Do'sae. Czy są wśród was tacy, którzy znają dobrze twierdzę Josui albo znają się na takiej walce? Mamy wiele pytań.

– Mówisz o sztuce oblężenia? – spytał niepewnie Eolair. Sądził, że przerażająco dobrze obznajomieni ze wszystkim Sithowie dawno już o tym pomyśleli. – Są wśród nas ludzie, którzy walczyli jako najemnicy na Południowych Wyspach i brali udział w wojnach Kraju Jezior, lecz nie ma ich zbyt wielu. Hernystirczycy byli zazwyczaj pokojowym ludem. A co do Naglimundu, to chyba ja spośród nas wszystkich znam go najlepiej. Spędziłem tam dużo czasu.

– A zatem usiądź z nami. – Jiriki wskazał na miejsce obok Chekai'so.

Czarnowłosy Kuroyi powiedział coś w języku Sithów, kiedy Eolair usiadł na ziemi. Na ustach Jirikiego pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Kuroyi mówi, że jest przekonany, iż Nornowie wyjdą przed mury, by z nami walczyć. Nie wierzy, by Hikeda'ya kryli się za kamieniem położonym przez śmiertelników, kiedy Zida'ya przyjdą zakończyć ostatecznie sprawy.

– Nie wiem nic o... o tych, których nazywamy Nornami – odpowiedział Eolair ostrożnie. – Ale jeśli ich cel jest tak ostateczny, jakim się wydaje, to

nie wyobrażam sobie, by nie wykorzystali takiej możliwości, jaką daje im twierdza Naglimund.

– Myślę, że masz rację – powiedział Jiriki. – Ale trudno wytłumaczyć to moim ludziom. I tak niezwykłą rzeczą jest to, że idziemy walczyć z Hikeda’ya, a co dopiero uwierzyć w to, że oni będą się chować w fortecy i rzucać na nas kamienie, tak jak robią to śmiertelni wojownicy. – Powiedział coś po sithijsku do Kuroyi, który odpowiedział mu krótko i zamilkł; jego oczy przypominały zimne, brązowe płytki. Następnie Jiriki zwrócił się do pozostałych: – Nieuprzejmie jest rozmawiać w języku, którego hrabia Eolair nie zna. Jeśli ktoś z was nie czuje się swobodnie, mówiąc w Westerling albo po hernystirsku, to chętnie przetłumaczę wasze słowa hrabiemu.

– Języki śmiertelników, ich strategie. Wszystkiego musimy się nauczyć – przemówiła niespodziewanie Likimeya. – Nadeszły inne czasy. Jeśli świat kręci się teraz poruszany prawami śmiertelników, to musimy się ich nauczyć.

– Albo zdecydować, czy można żyć w takim świecie. – Głos Zinjadu zabrzmiał dobitnie, lecz dziwnie płasko, jakby nauczyła się języka Westerling, nigdy go nie słysząc. – Może powinniśmy zostawić Hikeda’ya ten świat śmiertelników, którego najwyraźniej tak bardzo pragną.

– Hikeda’ya zniszczyliby śmiertelników jeszcze chętniej niż nas – odparł Jiriki spokojnie.

– Spłacenie dawnego długu – odezwał się Yizashi – jak to uczyniliśmy w M’yin Azoshai, to jedno. Ponadto ci, których rozgromiliśmy, byli śmiertelnikami i dodatkowo potomkami żeglarzy krwawego Fingila. Co innego pójść na wojnę z Urodzonymi w Ogrodzie, by pomóc śmiertelnikom, wobec których nie mamy żadnych długów – a są wśród nich

nawet tacy, którzy prześladowali nas długo po upadku Asu’a. Ojciec Josui był naszym wrogiem!

– Czy zatem nienawiść nigdy się nie skończy? – odpowiedział Jiriki z zadziwiającą gwałtownością. – Śmiertelnicy żyją krótko. Obecnie żyjący nie prześladowali naszego rozproszonego ludu.

– Tak, życie śmiertelników jest krótkie – przemówił Yizashi obojętnie. – Lecz ich nienawiść jest głęboko zakorzeniona i przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Eolair czuł się coraz bardziej nieswojo, ale był przekonany, że nie nadeszła jeszcze jego chwila.

– Zapominasz pewnie, szlachetny Yizashi – powiedział Jiriki – że to Hikeda’ya sprowadzili na nas tę wojnę. To oni napadli święte Yasira. W rzeczywistości to dłoń Utuk’ku, a nie ten nic nie znaczący śmiertelnik ze sztyletem, zabiła Pierwszą Babkę.

Yizashi nic nie odpowiedział.

– Dość – przemówiła Likimeya. Eolair zauważył, że jej oczy świecą żarzącym się blaskiem, niczym ślepia wilka w blasku pochodni. – Yizashi, prosiłam ciebie i pozostałych, Dom Rozmyślań, Dom Zgromadzeń i inne domy, byście uznali swój dług wobec Gaju. Zgodziliście się. Przybyliśmy tutaj, ponieważ chcemy zniweczyć plany Utuk’ku Seyt’Hamakhi, a nie zemścić się za śmierć Amerasu czy spłacić stare długi.

Następnie przemówił Kuroyi.

– Śmiertelnicy mają takie powiedzenie. – Mówił głosem zrównoważonym i melodyjnym, lecz jego hernystirski zabrzmiał nieco zbyt precyzyjnie. – „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem... przynajmniej na jakiś czas”. Srebrna Maska wybrała jednych śmiertelników na swoich sprzymierzeńców, więc *naszymi* sprzymierzeńcami będą ich wrogowie. Poza tym Utuk’ku i jej słudzy złamali Pakt *Sesuad’ra*. Nie widzę ujmy

w walce u boku Sudhoda’ya, dopóki rzeczy nie zostaną ustalone. – Uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać pytania, lecz nikt z pozostałych się nie odezwał. – Nikt nie powiedział, że muszę kochać tych śmiertelnych sprzymierzeńców; nie jest tak i nigdy nie będzie, bez względu na to, co się stanie. Jeśli dożyję końca tych dni, powrócę do mego domu w wysoko ukrytym Anvi’janya, gdyż mam już dość towarzystwa innych, zarówno śmiertelników, jak i Urodzonych w Ogrodzie. Ale do tego czasu będę postępował tak, jak obiecałem Likimeyi.

Po słowach Kuroyi zapadła długa cisza. Sithowie siedzieli w milczeniu, lecz Eolair wyczuwał pewne napięcie; wciąż pozostawało coś, co nie zostało jeszcze rozwiązane. Kiedy zaczął się już zastanawiać, czy nie powinien odejść, Likimeya uniosła dłonie i rozłożyła je przed sobą w powietrzu.

– Tak więc musimy pomyśleć o Naglimundzie – powiedziała. – Musimy rozważyć, co zrobimy, jeśli Hikeda’ya nie wyjdą, by z nami walczyć.

Sithowie przystąpili do omawiania możliwości oblężenia, jakby wcześniej w ogóle nie było dyskusji o tym, czy honorowa będzie walka u boku śmiertelników. Eolair był zaskoczony grzecznością Sithów. Każdy miał prawo przemawiać tak długo, jak chciał, i nikt mu nie przerywał. Bez względu na istniejące wcześniej różnice – a z pewnością takie miały miejsce, choć Eolair z trudem rozumiał nieśmiertelnych – teraz wydawały się one nie istnieć: dyskusja nad Naglimundem, choć ożywiona, przebiegała w spokoju, bez jakichkolwiek nieporozumień.

„Może jak się żyje tak długo – zastanawiał się Eolair – to można nauczyć się postępować według podobnych zasad, pewnie nawet trzeba. W końcu zawsze to zbyt długi czas, by żywić do siebie urazy”.

Zachęcony włączył się do dyskusji; początkowo nieśmiało, lecz kiedy zobaczył, że jego zdanie traktowane jest na równi z innymi, zaczął mówić

śmielej i otwarcie o Naglimundzie, miejscu, które znał nieomal tak dobrze jak Taig w Hernysadharc. Był tam przecież wiele razy, gdyż odkrył, że dwór Josui był dobrym gruntem dla spraw, które miały zawędrować do zamku jego ojca Króla Johna. Hrabia Nad Mullach wiedział, że książę jest jednym z niewielu ludzi, którzy potrafią wysłuchać sprawy bezstronnie, a potem poprzeć ją, jeśli wyda mu się słuszna, bez względu na własne korzyści.

Rozmowa trwała długo, aż w ognisku zostały już tylko żarzące się węgle. Likimeya wyjęła spod płaszcza jedną z kryształowych kul i położyła ją przed sobą na ziemi, gdzie powoli zaczęła się rozjaśniać; wkrótce jej chłodny, księżycowy blask objął cały krąg siedzących.

WRACAJĄC Z NARADY Z SITHAMI, Eolair spotkał Isorna.

– Hrabio – odezwał się młody Rimmersman. – Spacerujesz? Mam tutaj bukłak wina, chyba z piwnic twojego Nad Mullach. Poszukajmy Ulego i napijmy się razem.

– Chętnie. To był dziwny wieczór. Nasi sprzymierzeńcy... oni nie są podobni do nikogo i niczego, co dotąd widziałem.

– Oni są Starym Ludem i do tego jeszcze pogańskim – powiedział Isorn i zaraz uśmiechnął się nieco zmieszany. – Wybacz, hrabio. Czasem zapominam, że wy, Hernystirczycy, jesteście...

– Też poganami? – Eolair uśmiechnął się przyjaźnie. – Nie obraziłem się. Przebywając często na dworach aedonickich, przywykłem do tego, że jestem kimś z zewnątrz, odmieńcem. Ale nigdy nie czułem się tak inny jak dzisiejszego wieczoru.

– Sithowie może i różnią się od nas, Eolairze, ale są niezwykle dzielni.

– Tak, i mądrzy. Nie wszystko zrozumiałem w czasie dzisiejszej rozmowy, ale myślę, że w Naglimundzie czeka nas bitwa, jakiej jeszcze nie

widzieliśmy.

Isgrimnur uniósł brwi zaciekawiony.

– Zaczekaj z opowieścią, dopóki nie zasiądziemy przy winie, ale cieszę się, że to słyszę. Jeśli przeżyjemy, nasze wnuki będą miały o czym słuchać.

– Jeśli przeżyjemy.

– Chodźmy trochę szybciej – odezwał się Isorn wesoło. – Czuję coraz większe pragnienie.

NASTĘPNEGO DNIA DOJECHALI DO INNISCRICH. Pole bitwy, w której Skali odniósł zwycięstwo, a Król Lluth otrzymał śmiertelną ranę, przykrywał jeszcze częściowo śnieg, lecz na małych pagórkach tu i ówdzie spod śnieżnego całunu wystawał kawałek zardzewiałego metalu albo złamane drzewce włóczni. Modlitwy i przekleństwa przejeżdżających Hernystirczyków pozostały nieme i żaden z nich nie chciał zatrzymywać się dłużej w miejscu tak sromotnej porażki – podobnie jak i Sithowie, dla których miejsce to było zupełnie obojętne – dlatego pojechali dalej na północ wzdłuż rzeki.

Rzeka Baraillean znaczyła granicę między Hernystirem i Erkynlandem. Ludzie z Utanyeat na wschodnim brzegu rzeki nazywali ją Greewade. Teraz niewielu pozostało nad jej brzegami, choć wciąż obfitowała w ryby. Może i zrobiło się cieplej, lecz Eolair zauważył, że cała ta ziemia wygląda jak wymarła. Ci, którzy przetrwali liczne walki i koczowali jeszcze na południowym skraju Frostmarch, uciekli przed nadchodzącą armią Sithów i ludzi – nie wierzyli, by coś dobrego mogło nadejść z jeszcze jedną armią.

Wreszcie, kiedy minął tydzień od momentu wyruszenia z Nad Mullach – Sithowie jechali szybko, choć brali wzgląd na ludzi – cała armia przekroczyła rzekę i wjechała do Utanyeat, najbardziej na zachód wysuniętej części Erkynlandu. Tutaj ziemia wydawała się jeszcze bardziej

szara. Jadąc przez Hernystir, przywykli do gęstych mgieł, które o świcie spowijały ziemię, lecz tutaj nie rozpraszały ich w ciągu dnia promienie słońca, więc od świtu do zmierzchu jechali w zimnej i wilgotnej szarości, niczym dusze w krainie życia pozagrobowego. Śmiertelny całun wydawał się pokrywać całe równiny. Zimne powietrze przenikało Eolaira i jego towarzyszy do szpiku kości. Cała kraina pogrążyła się w ciszy, którą przerywał tylko stłumiony odgłos kopyt ich koni. Nocą, kiedy hrabia, Maegwin i Isorn kulili się przy ogniu, na wszystko opadał kompletny bezruch. Isorn pomyślał, że wygląda to tak, jakby jechali przez ogromny cmentarz.

W miarę jak posuwali się coraz dalej w głąb bezbarwnego, ponurego kraju, Rimmersmeni Isorna coraz częściej modlili się i robili znak Drzewa, starając się powstrzymać napięte nerwy. Podobnie rzecz się miała z Hernystirczykami. Nawet Sithowie stali się bardziej milczący. Nieustanne mgły i złowroga cisza sprawiały, że cała ich wyprawa wydawała się nic nie znacząca.

Eolair miał nadzieję, że ujrzą wkrótce jakieś ślady wroga. Atmosfera nieszczęścia, jaka zawisła nad całym tym opustoszałym krajem, wydawała się hrabiemu o wiele bardziej zdradzieckim wrogiem niż jakikolwiek inny z krwi i kości. Już nawet okrutni Nornowie wydawali się lepsi niż podróż przez to piekło.

– Czuję coś – powiedział Isorn. – Czuję to mrowienie na karku.

Eolair przytaknął mu, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że syn księcia nie widzi go poprzez mgłę, choć jechali tak blisko siebie.

– Ja też to czuję.

Minęło już dziewięć dni, odkąd wyruszyli z Nad Mullach. Albo pogoda znowu się pogorszyła, albo zima nigdy nie opuszczała tego zakątka świata. Ziemię przykrywała warstwa śniegu, a przy drodze, którą wjeżdżali na

wzgórze, leżały duże, nierówne zaspy. Nie sposób było dojrzeć słońce; popołudnie było tak szare, że można by pomyśleć, iż nie istnieje coś takiego jak słońce.

Gdzieś przed nimi rozległ się szczęk zbroi i liczne rozmowy w płynnym języku Sithów. Eolair wytężył wzrok.

– Zatrzymujemy się. – Pojechał szybciej do przodu, a Isorn za nim. Towarzyszyła mu Maegwin, która przez cały dzień jechała w milczeniu.

Sithowie rzeczywiście wstrzymali konie i teraz siedzieli nieruchomo, jakby czekali na coś; mgła zasnuwała ich kolorowe zbroje i wspaniałe proporce. Eolair przejechał między ich szeregami, aż dotarł do Jirikiego i Likimeyi. Siedzieli ze wzrokiem utkwionym przed siebie, lecz on nie widział niczego poza płynącą mgłą.

– Zatrzymaliśmy się – powiedział hrabia.

Likimeya odwróciła się do niego.

– Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. – Jej twarz była teraz jak z kamienia.

– Ale ja nic nie widzę. – Eolair odwrócił się do Isorna, który wzruszył tylko ramionami.

– Zobaczysz – powiedziała Likimeya. – Zaczekaj.

Eolair poklepał swego konia, wpatrzony przed siebie. Wiatr wzmógł się, targając jego płaszczem. Mgła zawirowała i nagle ukazało się w niej coś ciemnego.

Ogromny mur obronny Naglimundu był jakby postrzępiony; wiele z jego kamieni wypadło niczym łuski gnijącej ryby. W jego środku ziała ogromna dziura, tam gdzie kiedyś była brama – teraz przypominała ona rozdziawioną, bezzębną gębę. Za nią z płynącej mgły wyłaniały się przysadziste, kamienne wieże schowane za murami; ich ciemne okna ziały pustką jak oczodoły w czaszce.

– Na Bryniocha – szepnął Isorn.

– Odkupicielu – powiedział Eolair.

– Widzisz? – spytała Likimeya. Eolair miał wrażenie, że w jej głosie zabrzmiała okrutna nuta wesołości. – Jesteśmy na miejscu.

– To jest Scadach. – Maegwin wydawała się przerażona. – Dziura w Niebiosach. Zobaczyłam ją.

– Ale gdzie jest miasto Naglimund? – spytał Eolair. – U stóp zamku było całe miasto!

– Minęliśmy je, a przynajmniej jego ruiny. Śnieg przykrył to, co pozostało – powiedział Jiriki.

– Na Bryniocha! – Eolair czuł się zupełnie oszołomiony, patrząc na niewinne pagórki ziemi i śniegu; po chwili znowu zwrócił wzrok na ogromną górę kamieni. Wydawała się martwa, lecz gdy na nią spojrzał, poczuł, że jego nerwy są napięte jak struny harfy, a serce biło mu mocno. – Czy tak po prostu wjedziemy tam? – Jego pytanie nie było skierowane do nikogo konkretnego. Rozważanie czegoś takiego przypominało zastanawianie się, czy wpełznąć głową naprzód do ciemnego tunelu pełnego pająków.

– Ja tam nie pojadę – rzuciła stanowczo Maegwin. Po raz pierwszy od chwili, kiedy zapadła w szaleństwo, wyglądała na prawdziwie przerażoną. – Jeśli wejdziecie do Scadach, opuścicie Niebiosa i ich opiekuńczą moc. Z tego miejsca nic nie wraca.

Eolair nie miał nawet siły, by pocieszyć ją dobrym słowem; wyciągnął tylko rękę i ujął jej dłoń. Ich konie stały tuż obok siebie, a ich oddechy mieszały się.

– Nie, nie wjedziemy tam – powiedział Jiriki. – Jeszcze nie teraz.

Kiedy mówił te słowa, w głębi czarnych okien wieży zamigotały żółte światełka, jakby właściciel tych pustych oczu obudził się.

RACHEL SMOK SPAŁA NIESPOKOJNIE w swoim malutkim pokoju w głębi podziemi Hayholt.

Śniło jej się, że jest w swoim dawnym pokoju, pokoju dla pokojówek, który znała tak dobrze. We śnie była sama, sama i zła: nigdy nie mogła znaleźć tych głupich dziewuch.

Coś drapało w drzwi; Rachel nabrała nagle przekonania, że musi to być Simon. Nawet przez sen pamiętała, że raz już dała się nabrać przez podobny hałas. Podeszła ostrożnie do drzwi i zatrzymała się, nasłuchując cichego skrobania.

– Simon? – spytała. – Czy to ty?

Głos, który usłyszała, rzeczywiście był głosem jej podopiecznego, którego dawno utraciła, lecz wydawał się dziwnie rozciągnięty, jakby musiał pokonać ogromną odległość, zanim dotarł do jej ucha.

Rachel, ja chcę wrócić. Proszę, pomóż mi. Chcę wrócić. – Znowu rozległo się skrobanie, tym razem bardziej natarczywe, głośniejsze...

Dawna przełożona pokojówek obudziła się gwałtownie, drżąc z zimna i strachu. Serce jej biło bardzo szybko. Jest. Słyszy ten sam odgłos jak we śnie, tylko że teraz nie śpi. Był to dziwny dźwięk, nie tyle skrobanie, ile głuche, regularne zgrzytanie. Rachel usiadła.

Wiedziała, że to nie jest sen. Wydawało jej się, że słyszy coś podobnego, zasypiając, ale zignorowała to. Czy mogły to być szczury w ścianie? A może coś gorszego? Mały kosz z kilkoma rozżarzonymi węglami wypełniał pokój czerwoną poświatą.

Szczury w tak grubych kamiennych ścianach? Mało prawdopodobne.

„A co innego mogłoby to być, głupia? Przecież skądś musi ten hałas pochodzić”.

Rachel przesunęła się ostrożnie w stronę kosza. Wzięła garść sitowia ze starannie ułożonego stosu i przyłożyła ich jeden koniec do węgli. Gdy tylko

się zapaliły, uniosła wysoko prowizoryczną pochodnię.

W pokoju, który zdążyła już dobrze poznać, były tylko jej zapasy. Schyliła się, by zajrzeć w ocienione rogi, lecz nic się nie poruszyło. Skrzypienie przycichło nieco, lecz wciąż dało się słyszeć. Miała wrażenie, że dochodzi ono z przeciwległej ściany. Rachel zrobiła krok w tamtym kierunku i natychmiast uderzyła gołą stopą w drewnianą skrzynię, której nie chciało jej się wcześniej odstawić pod ścianę po przejrzeniu skąpej zawartości. Wydała stłumiony okrzyk bólu i upuściła kilka płonących trzcin. Szybko pokuśtykała do dzbanka z wodą, by je zgasić. Uporawszy się z tym, stanęła na jednej nodze, rozcierając piekące palce.

Kiedy minął ból, zorientowała się, że ustał także i hałas. Może wystraszył go jej okrzyk – bardzo prawdopodobne, jeśli był to szczur albo mysz – albo zaalarmował tylko to coś, że ktoś nasłuchuje. Rachel nie chciała się zastanawiać, czy coś siedzi cicho w ścianie, świadome, że jest ktoś po jej drugiej stronie.

„Szczury – wmawiała sobie. – Na pewno szczury. Wyczuwają moje jedzenie, małe potworki. – Cokolwiek to było, zamilkło definitywnie. Rachel usiadła na stołku i zaczęła wkładać buty. Nie było sensu kłaść się już spać. – Co za dziwny sen o Simonie – pomyślała. – Czy to możliwe, że jego dusza jest niespokojna? Wiem, że zabił go ten potwór. Mówią, że zmarli nie spoczną, dopóki ich mordercy nie zostaną ukarani. Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby ukarać Pryratesa, i proszę, gdzie się znalazłam. Nikomu nie przyniosło to korzyści. – Poczuła smutek i strach na myśl o tym, że Simon błąka się gdzieś samotnie w ciemności. – Rusz się, kobieto. Zrób coś pożytecznego”.

Postanowiła, że pójdzie wystawić więcej jedzenia dla biednego Guthwulfa.

Krótka podróż do pokoju na górze z malutkim oknem upewniła ją, że już świta. Rachel popatrzyła na granatowe niebo i blednące gwiazdy i poczuła się trochę lepiej.

Wciąż budzę się o tej samej porze, chociaż większość czasu spędzam w ciemności jak kret. To już coś.

Zeszła do swojej kryjówki i zatrzymała się w drzwiach, nasłuchując. W pokoju panowała cisza. Zebrawszy odpowiednią ilość jedzenia dla hrabiego i kota, włożyła ciężki płaszcz i poszła w dół schodami do tajemnego przejścia za arrasem.

Kiedy dotarła do miejsca, w którym zwykle zostawiała Guthwulfowi jedzenie, zobaczyła zmartwiona, że posiłek z poprzedniego dnia jest nietknięty: nie przyszedł ani człowiek, ani kot.

„Nigdy nie opuścił dwóch dni pod rząd – pomyślała zaniepokojona. – Błogosławiona Rhiappo, czyżby biedak upadł gdzieś? – Rachel zebrała nietknięte jedzenie, a potem wyłożyła je ponownie, dokładając nowego, jakby inne ułożenie tych samych suszonych owoców i mięsa mogło zwabić hrabiego. – Jeśli nie przyjdzie dzisiaj – postanowiła – będę musiała pójść go poszukać. Nikt inny się nim nie zajmie. Tak będzie po aedonicku”.

Zmartwiona ruszyła z powrotem do swojego pokoju.

WIDOK BINABIKA SIEDZĄCEGO NA WILCZYCY niczym na rumaku, ze swoim kijem pod pachą, jakby trzymał lancę, kiedy indziej mógłby wydać się śmieszny, lecz teraz Isgrimnur nie widział w tym nic wesołego.

– Wciąż nie jestem pewien, czy to najlepsze rozwiązanie – powiedział Josua. – Obawiam się, że będzie nam brakowało twojej mądrości, Binabiku z Yiqanuc.

– To jeszcze jeden powód, bym jak najszybciej wyruszył, gdyż tym szybciej skończy się moja podróż. – Troll podrapał Qantaqę za uchem.

– A gdzie twoja dama? – spytał Isgrimnur, rozglądając się. Świt rozjaśniał niebo nad ich głowami, lecz na zboczu stało tylko ich trzech i wilczyca. – Myślałem, że będzie chciała się z tobą pożegnać.

Binabik nie odrywał wzroku od grzbietu Qantaqi.

– Sisqi i ja pożegnaliśmy się już wcześniej – powiedział cicho. – Ciężko jej patrzeć, jak odjeżdżam.

Isgrimnur poczuł ogromną skruchę za swoje głupie i nieprzemyślane uwagi na temat trolli. Były małe i dziwne, lecz niewątpliwie tak samo dzielne jak więksi od nich ludzie. Wyciągnął rękę do Binabika.

– Jedź bezpiecznie – rzekł. – I wracaj do nas.

Josua uczynił to samo.

– Mam nadzieję, że znajdziesz Miriamele i Simona. Ale nie będzie wstydu, jeśli ci się to nie uda. Tak jak mówił Isgrimnur, wracaj do nas najszybciej, jak to możliwe, Binabiku.

– A ja mam nadzieję, że dobrze pójdzie wam w Nabbanie.

– Ale jak nas znajdziesz? – spytał nagle Josua zmartwiony.

Binabik patrzył na niego przez chwilę, a potem nieoczekiwanie się roześmiał.

– Czy trudno będzie znaleźć armię mieszkańców łąk oraz mieszkańców kamiennych domów, prowadzoną przez nieżyjącego, sławnego bohatera i jednorękiego księcia? Chyba nie będzie trudno zdobyć o was informacje.

Josua też się uśmiechnął.

– Masz rację. Żegnaj, Binabiku. – Uniósł dłoń, ukazując na moment obręcz z kajdan, którą nosił jako symbol uwięzienia i długu, jaki miał do spłacenia swojemu bratu.

– Żegnajcie, Josuo i Isgrimnurze – powiedział troll. – Pożegnajcie ode mnie pozostałych. Nie mogłem sam tego uczynić. – Pochylił się i szepnął

coś do cierpliwie czekającej wilczycy, po czym odwrócił się do nich. – W górach mówimy: *„Inij koku na siqqasa min taq”*, to znaczy: „Miły będzie dzień, kiedy znowu się spotkamy”. – Chwycił mocno dłońmi gęstą sierść wilczycy. – *Hinik*, Qantaqa. Szukaj Simona. *Hinik ummu!*

Wilczyca ruszyła szybko w górę zbocza. Binabik zakołysał się na jej szerokim grzbiecie, lecz pozostał na miejscu. Isgrimnur i Josua patrzyli za dziwnym jeźdźcem i jego wierzchowcem, dopóki nie wyjechali na wzgórze i zniknęli za jego wierzchołkiem.

– Boję się, że już nigdy ich nie zobaczę – westchnął Josua. – Jest mi zimno, Isgrimnurze.

Isgrimnur położył dłoń na ramieniu księcia. Jemu też nie było ciepło.

– Wracajmy. Zanim słońce wzniesie się nad wzgórza, musimy pokierować wymarszem prawie tysiąca ludzi.

Josua skinął głową.

– Słusznie. Wracajmy.

Odwrócili się i poszli po swych śladach w mokrej trawie.

30. Tysiąc liści, tysiąc cieni

PIERWSZY TYDZIEŃ SWEJ UCIECZKI Miriamele i Simon spędzili w lesie. Podróż okazała się powolna i niezwykle męcząca, lecz Miriamele jeszcze w obozie zdecydowała, że lepiej będzie stracić trochę czasu, niż dać się złapać. W ciągu dnia przedzierali się przez gąszcz drzew i plątaninę zarośli przy akompaniamencie narzekań Simona. Częściej zmuszeni byli prowadzić swoje konie, niż na nich jechać.

– Głowa do góry – powiedziała Miriamele do Simona, kiedy odpoczywali oparci o pień wielkiego dębu. – Teraz przynajmniej oglądamy słońce. Kiedy wyjdziemy z lasu, będziemy jechać tylko nocą.

– Kiedy będziemy podróżować nocą, nie będę musiał przynajmniej oglądać tych paskudztw, które niedługo zedrą ze mnie całą skórę – odparł Simon ponuro, rozcierając podarte spodnie i podrapaną nogę.

MIRIAMELE POCZUŁA SIĘ ZNACZNIE LEPIEJ, mając coś do zrobienia. Uczucie bezradnego strachu, które nie opuszczało jej od tygodni, ustąpiło; teraz znowu myślała jasno, widziała wszystko jakby na nowo... towarzystwo Simona sprawiało jej przyjemność.

Rzeczywiście tak było. Czasem nawet nie chciała, by sprawiało jej to tak dużą przyjemność. Wciąż miała świadomość, że w pewnym sensie go oszukuje. Nie tylko dlatego, że nie wyjawiła mu wszystkich powodów, dla

których opuściła wuja Josuę i wyruszyła do Hayholt. Czuła jednocześnie, że nie jest dość czysta, nie dość dobra, by być z kimś innym.

„To przez Aspitisa – pomyślała. – On jest tego przyczyną. Przed nim byłam czysta, jak tylko można być czystą”.

Ale czy rzeczywiście tak było? On jej nie zmuszał. To ona pozwoliła mu na to, czego pragnął, w pewnym sensie nawet zachęcała go. W końcu Aspitis okazał się potworem, ale droga, jaką odbył do jej łóżka, nie różniła się od drogi wielu kochanków. On jej nie napastował. Jeśli to, co zrobili, było złe i grzeszne, to i ją należało winić w równym stopniu.

Co w takim razie z Simonem? Miała bardzo mieszane uczucia. Nie był już chłopcem, ale mężczyzną, i część jej obawiała się tego mężczyzny, którym się stał, tak jak obawiałaby się każdego innego. Lecz jednocześnie pozostał on dziwnie niewinny. W swoich gorliwych próbach czynienia dobra, w źle skrywanych urazach, kiedy bywała dla niego szorstka – wciąż zachowywał się jak chłopiec. To sprawiało, że czuła się jeszcze gorzej, gdyż jej świetlany wizerunek w jego oczach nie pozwalał mu zobaczyć, jaka jest naprawdę. Złościła się na niego najbardziej właśnie wtedy, kiedy był dla niej najmilszy, kiedy najbardziej ją podziwiał i wychwalał. Jakby z premedytacją pozostawał ślepy.

Miriamele czuła się z tym okropnie. Na szczęście Simon wydawał się rozumieć, że jego szczere uczucie jest dla niej w jakimś sensie bolesne, więc powrócił do dawnej, pełnej żartów i kpin przyjaźni, z którą czuła się o wiele lepiej. Było jej dobrze w jego towarzystwie, kiedy mogła z nim przebywać, nie myśląc o sobie.

Choć wychowała się na dworach swojego ojca i dziadka, to nie miała zbyt wielu okazji do przebywania z chłopcami. Rycerze Króla Johna w większości poumierali albo zaszyli się w swoich dobrach porozrzucanych po całym Erkynlandzie, w ostatnich latach życia Króla jego dwór

opustoszał; pozostali na nim tylko ci, którzy nie mieli dokąd pójść. Później, kiedy umarła jej matka, ojciec niechętnie patrzył na jej zabawy z nielicznymi na dworze chłopcami i dziewczętami w jej wieku. Sam nie potrafił wypełnić pustki, lecz zamiast tego zamknął ją w klatce z nieprzyjemnymi starcami i kobietami, które udzielały jej nauk o rytuałach i obowiązkach związanych z jej pozycją i które wciąż znajdowały coś złego w jej zachowaniu. Zanim ojciec Miriamele został Królem, skończyło się jej samotne dzieciństwo.

Spośród młodych towarzyszyła jej tylko Leleth, służąca. Mała dziewczynka z nabożną uwagą słuchała każdego słowa Miriamele, traktując ją jak boginię. W zamian opowiadała o swoim dzieciństwie spędzonym wśród braci i sióstr – była najmłodszym dzieckiem dużej rodziny szlacheckiej – a jej pani słuchała zafascynowana, starając się nie pokazywać, jak bardzo zazdrości swojej służącej rodziny, jakiej sama nigdy nie miała.

Dlatego tak bolesny był dla niej widok Leleth po przybyciu na *Sesuad'ra*. Lecz wesoła dziewczynka, jaką Miriamele znała, odeszła. Zanim jeszcze uciekły z zamku. Leleth bywała cicha i bała się wielu rzeczy, jednak teraz wydawało się, że zamieszkała w niej jakaś zupełnie inna istota. Miriamele próbowała sobie przypomnieć, czy już wcześniej można było w niej zauważyć oznaki tego, co odkryła w dziewczynce Geloë, lecz niewiele mogła powiedzieć, może tylko to, że Leleth miała skłonności do niezwykle żywych, czasem nawet strasznych snów. Niektóre z nich – opowiadane później przez dziewczynkę – były tak realistyczne i niezwykłe, że Miriamele podejrzewała, iż Leleth sama je wymyśliła.

Kiedy ojciec Miriamele zasiadł na tronie, otoczyli ją ludzie, lecz ona wciąż była samotna. Wszyscy na dworze wydawali się pogrążeni w obsesji na punkcie pustego rytuału władzy; ona żyła z tym tak długo, że nic już ją

to nie obchodziło. Miała wrażenie, że ogląda chaotyczną grę, rozgrywaną przez niegrzeczne dzieci. Nawet ci nieliczni, którzy jej nadskakiwali – a raczej jej ojcu, gdyż większość z nich interesowały głównie bogactwa i władza, jakie by im przypadły wraz z jej wianem – wydawali jej się innym gatunkiem zwierząt niż ona sama; byli jak nudni starcy w ciałach młodzieńców, ponurzy chłopcy, którzy urządzili sobie zabawę w dorosłych.

W całym Meremundzie i Hayholt jedynymi ludźmi, którzy potrafili cieszyć się życiem takim, jakie jest, a nie liczyli tylko na korzyści, jakie można z niego wyciągnąć, byli służący. Szczególnie w Hayholt, gdzie kręciła się armia pokojówek, stajennych i podkuchennych, można było pomyśleć, że żyją obok siebie dwie zupełnie różne rasy ludzkie. Kiedyś, w chwili ogromnego smutku, zobaczyła zamek jako odwrócony cmentarz, z trzeszczącymi trupami chodzącymi po jego powierzchni i wesołymi, rozśpiewanymi żyjącymi, którzy pozostawali pod spodem.

I w taki sposób zwróciła uwagę na Simona i innych – dla niej byli to chłopcy, którzy chcieli być tylko chłopcami. W przeciwieństwie do dzieci z rodzin szlacheckich nie było im śpieszno, by przejąć jazgocący, zmanierowany sposób mówienia ich rodziców. Przyglądała im się, jak pracując ciężko przy swoich obowiązkach, śmieją się ze swoich figlów albo dokazują na błoniach. Tak bardzo pragnęła być do nich podobna. Ich życie wydawało się tak proste. Nawet kiedy zrozumiała, że życie służących jest bardzo ciężkie, nie przestała marzyć, by móc zrzucić z siebie swoją królewskość, tak jak zrzuca się płaszcz, i stać się jedną z nich. Nigdy nie bała się ciężkiej pracy, lecz przerażała ją samotność.

– Nie – zaprotestował Simon zdecydowanie. – Nigdy nie pozwalaj, bym zbliżył się do ciebie tak bardzo.

Przesunął się nieco i wykręcił rękojeść swojego miecza tak, by jego owinięte materiałem ostrze odepchnęło miecz Miriamele. Zaczął na nią

napierać. Jego zapach – zapach potu, skórzanej kurtki i wilgotnych liści – był bardzo silny. On sam był tak wysoki! Czasem o tym zapominała. Miriamele z trudem mogła zebrać myśli, czując tak silnie jego obecność.

– Zupełnie się odsłoniłaś – powiedział. – Gdybym użył sztyletu, byłoby po tobie. Pamiętaj, że twój przeciwnik prawie zawsze będzie miał większy zasięg ramion.

Zamiast pchnąć mieczem do tyłu, co z pewnością powstrzymałoby przeciwnika, upuściła go i pchnęła mocno Simona w pierś. Zatoczył się do tyłu, potknął, lecz zdołał zachować równowagę.

– Zostaw mnie. – Miriamele odwróciła się, odeszła kilka kroków, po czym schyliła się, by zebrać kilka gałęzi na ogień i zająć czymś drżące dłonie.

– O co chodzi? – spytał Simon, zdziwiony. – Uderzyłem cię?

– Nie, nie uderzyłeś. – Zebrała naręcze gałęzi i rzuciła je w miejsce, które oczyścili. – Po prostu na razie mam dość.

Simon pokręcił głową i zabrał się do odwijania szmat z ostrza miecza.

Tego dnia wcześnie rozbili obóz; słońce stało jeszcze wysoko nad drzewami. Miriamele zdecydowała wcześniej, że będą jechać wzdłuż małego strumyka, który towarzyszył im już od dawna w drodze do Traktu Rzecznego; w ciągu dnia bieg strumienia odpowiadał kierunkowi ich marszu. Trakt Rzeczny wił się obok rzeki Ymstrecca, mijał Stanshire i biegł do Doliny Hasu. Miriamele wymyśliła, że najlepiej będzie wyruszyć o północy, a potem pójść jeszcze trochę pieszo, zanim zacznie świtać, aniżeli spędzić całą tę noc w lesie i czekać cały dzień na następną noc.

Wzięła miecz do ręki po raz pierwszy od kilkunastu dni, nie licząc oczywiście chwil, kiedy wycinała zarośla. Właściwie to ona zaproponowała krótką lekcję przed wieczornym posiłkiem, która między innymi przyczyniła się do nagłej zmiany jej zachowania, co najwyraźniej zdumiało

Simona. Czuła się rozdarta między pragnieniem powiedzenia mu, że to nie jego wina, a jakimś niejasnym przeświadczeniem, że jednak to on jest winny – dlatego że jest mężczyzną, że ją lubi, w końcu, że pojechał z nią, gdy tymczasem jej byłoby lepiej w podłej samotności.

– Nie zwracaj na mnie uwagi, Simonie – odezwała się wreszcie i uznała natychmiast, że okazała słabość, mówiąc to. – Jestem po prostu zmęczona.

Ułagodzony nieco skończył odwijać materiał, wrzucił go do jucznej torby i podszedł do nierozpalonego ogniska.

– Ja tylko chciałem, żebyś uważała. Mówiłem ci, że za bardzo się wychylasz.

– Wiem, Simonie. Tak, mówiłeś.

– Nie możesz pozwolić komuś większemu od siebie zbliżyć się tak bardzo.

Miriamele modliła się w duchu, by przestał już o tym mówić.

– Wiem. Jestem zmęczona.

Simon jakby wyczuwał, że znowu ją rozzłościł.

– Ale jesteś dobra, Miriamele. Jesteś silna.

Przytaknęła mu, zajęta rozniecaniem ognia. Iskra padła na wióry z huby, lecz nie pojawił się ogień. Miriamele skrzywiła się i spróbowała jeszcze raz.

– Czy chcesz, żebym spróbował?

– Nie. Nie chcę, żebyś spróbował.

Simon spojrzał na wióry, potem w górę na Miriamele, a potem znowu szybko spuścił wzrok.

– Pamiętasz żółty proszek Binabika? Dzięki niemu potrafił rozpalić ognisko nawet w czasie burzy. Zrobił to, kiedy byliśmy na Sikkihoq, padał wtedy śnieg i wiał silny wiatr...

– Masz. – Miriamele wstała gwałtownie, upuszczając krzesiwo i metalową sztabkę na ziemię. – Sam to zrób. – Podeszła do swojego konia i zaczęła przeglądać torby przy siodle.

Simon chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował i zabrał się do rozpalania ognia. Długo nie szło mu lepiej niż Miriamele. Wreszcie, kiedy Miriamele powróciła z chustką pełną potrzebnych rzeczy, udało mu się wykrzesać iskrę i zamienić ją w płomień. Stojąc nad nim, zauważyła, jak długie ma już włosy, które opadały mu rudymi lokami na ramiona.

Podniósł nieśmiało wzrok. Patrzył na nią z nieukrywaną troską.

– Co się stało?

Zignorowała jego pytanie.

– Trzeba ci obciąć włosy. Zrobię to, jak zjemy. – Rozłożyła chustkę. – Dwa ostatnie jabłka. Zaczynają więdnąć; nie wiem, skąd Fengbald je wziął. – Opowiedziano jej, jak obfite były zapasy, które skonfiskował Josua. Znajdowała pewną przyjemność w jedzeniu, które przeznaczone było wcześniej dla tego przebrzydłego pyszałka. – Zostało też jeszcze trochę suszonej baraniny, ale bardzo mało. Chyba będziemy musieli spróbować upolować coś z łuku.

Simon otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Wziął głęboki oddech.

– Zawiniemy jabłka w liście i zagrzebiemy w popiele. Shem Stajenny zawsze tak robił. Wtedy nie ma znaczenia, czy są stare, czy nie.

– Dobrze, skoro tak mówisz – odparła Miriamele.

MIRIAMELE ODCHYLIŁA SIĘ DO TYŁU i oblizała palce. Wciąż jeszcze piekły trochę od gorącej skóry jabłka, ale warto było pocierpieć.

– Shem Stajenny – powiedziała. – Mąż o zdumiewającej mądrości.

Simon uśmiechnął się. Broda pozlepiała mu się od soku.

– Dobre były. Ale już się skończyły.

– I tak dzisiaj nie mogłabym zjeść więcej. A jutro będziemy już na drodze do Stanshire. Jestem pewna, że znajdziemy tam coś równie dobrego.

Simon wzruszył ramionami.

– Ciekawe, gdzie jest teraz Shem? – spytał. Ogień pryskał i strzelał, trawiąc liście, w które zawinięte były jabłka. – A Ruben? I Rachel? Czy myślisz, że oni wciąż jeszcze mieszkają w Hayholt?

– Dlaczego mieliby nie mieszkać? Król wciąż potrzebuje stajennych i kowali. No i zawsze musi być przełożona pokojówek. – Uśmiechnęła się.

Simon zachichotał.

– To prawda. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek potrafił zmusić Rachel do opuszczenia zamku, jeśliby tego nie chciała. Równie dobrze można by próbować wyciągnąć z dziury jeżozwierza. Nawet Król, to znaczy twój ojciec, nie potrafiłby tego dokonać, gdyby nie chciała.

– Usiądź prosto. – Miriamele poczuła nagle potrzebę zrobienia czegoś. – Mówiłam, że obetnę ci włosy.

Simon pomacał włosy z tyłu głowy.

– Czy uważasz, że to rzeczywiście konieczne?

– Nawet owce strzyże się raz do roku. – Miriamele rzuciła mu srogie spojrzenie.

Wyciągnęła osełkę i zaczęła ostrzyć nóż. Odgłos noża ocieranego o kamień przypominał echo świerszczy, cykających poza kręgiem małego ogniska.

Simon zerknął przez ramię.

– Czuję się, jakby mnie przygotowywali na świąteczny stół.

– Nie wiadomo, co będzie, kiedy skończy się suszone mięso. A teraz patrz przed siebie i siedź cicho. – Stanęła za nim, lecz zorientowała się, że

w tej pozycji jest jej za ciemno. Kiedy usiadła, jego głowa znalazła się za wysoko nad nią. – Nie ruszaj się – nakazała.

Przyciągnęła ogromny kamień, robiąc koleinę w wilgotnej ziemi; kiedy na nim usiadła, znalazła się w idealnej pozycji. Zgarnęła dłonią jego włosy i popatrzyła na nie krytycznie. Troszeczkę od dołu... Nie, o wiele więcej od dołu.

Włosy Simona okazały się lepsze, niż wyglądały. Choć grube, były jednocześnie całkiem miękkie. Ale za to bardzo brudne. Zmarszczyła czoło na myśl o tym, jak muszą wyglądać jej włosy.

– Kiedy ostatni raz się kąpałeś? – spytała.

– Co? – spytał zdumiony. – O co ci chodzi?

– A jak myślisz, o co? We włosach masz pełno brudu i patyków.

Simon prychnął zniecierpliwiony.

– A jak mam wyglądać po tym, jak musiałem w nieskończoność pełzać przez ten głupi las?

– Nie mogę ich obciąć w takim stanie. – Zastanawiała się przez chwilę. – Umyję je.

– Zwariowałaś? Po co miałbym je myć? – Uniósł ramiona, jakby oczekiwał ciosu nożem.

– Powiedziałam ci po co. Żebym mogła je obciąć. – Wstała i poszła po bukłak z wodą.

– To jest woda do picia – zaprotestował Simon.

– Nabiorę świeżej, zanim wyruszymy – odpowiedziała spokojnie. – A teraz odchyl głowę.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podgrzać wody, ale jego narzekania rozzłościły ją na tyle, że z przyjemnością słuchała jego rozpaczliwego prychania, kiedy lała chłodną wodę na jego głowę. Potem

wzięła kościany grzebień, który dostała od Vorzhevy jeszcze w Naglimundzie, i zaczęła rozczesywać splątane kosmyki włosów Simona, ignorując jego pełne oburzenia protesty. Niektóre z patyków były tak mocno wplątane we włosy, że musiała wyciągać je palcami, co zmuszało ją do pochylenia się tuż nad młodzieńcem. Zapach mokrych włosów w połączeniu z ogólnym, ostrym zapachem Simona wydał jej się nawet przyjemny, tak że zaczęła nucić cicho.

Kiedy uporała się z rozczesywaniem włosów, zabrała się do ich skracania. Tak jak się spodziewała, przycięcie końcówek wcale jej nie zadowoliło. Zaczęła szybko skracać, spodziewając się kolejnej serii narzekań Simona. Wkrótce wyłonił się blady kark Simona, który od miesięcy nie widział słońca.

Patrzyła na jego kark i podziwiała, jak rozszerza się u podstawy; przyglądając się złocistorudym włosom, gęstniejącym ku górze, poczuła dziwne wzruszenie.

„W każdym jest coś magicznego – pomyślała. – W każdym”.

Przesunęła delikatnie palcami po jego szyi i Simon podskoczył nagle.

– Hej! Co robisz? To łaskocze.

– Och, siedź cicho. – Uśmiechnęła się, pewna, że jej nie widzi.

Skróciła też włosy nad uszami, pozostawiając nieco dłuższe z przodu, tam gdzie zaczynała się broda. Potem zebrała w dłoń grzywkę i także ją skróciła, po czym spojrzała z boku, by sprawdzić, czy nie będzie mu opadać na oczy. Biały pukiel odcinał się teraz wyraźnie od reszty włosów.

– To tutaj trysnęła na ciebie smocza krew. – Białe włosy były takie same w dotyku jak rude. – Opowiedz mi jeszcze raz, jak to było.

Wydawało się, że Simon odpowie jakąś kąśliwą uwagą, lecz on zacisnął usta, a po chwili przemówił łagodnie:

– To nie było niczym szczególnym. To się po prostu stało. Bałem się i myślałem, że ktoś dmie w róg w mojej głowie. Czułem palenie, kiedy krew na mnie trysnęła. Nic więcej nie pamiętam; później obudziłem się w jaskini z Jirikim i Haestanem. – Pokręcił głową. – Chociaż to niezupełnie tak, ale pewne rzeczy trudno jest wyjaśnić.

– Wiem. – Wypuściła z dłoni jego mokre włosy i odetchnęła głęboko. – Skończyłam.

Simon pomacał boki i tył głowy.

– Krótkie – powiedział. – Szkoda, że ich nie widzę.

– Poczekaj do rana. Wtedy przejrzysz się w strumieniu. – Poczuła, że znowu się uśmiecha, bez specjalnego powodu. – Gdybym wiedziała, że jesteś tak próżny, zabrałabym jedno ze swoich lusterek.

Spojrzał na nią kpiącą, lecz zaraz się wyprostował.

– Przecież ja mam lusterko – zawołał. – Lusterko Jirikiego! Jest w mojej torbie!

– Myślałam, że używanie go jest niebezpieczne!

– Nie, jeśli się tylko na nie patrzy. – Simon wstał i poszedł do swoich toreb. Zaczął je przeszukiwać energicznie niczym niedźwiedź szukający w dziupli miodu. – Mam je – powiedział. Nagle zamarł w bezruchu. Wyjął wolno lusterko, po czym wsunął drugą dłoń do torby i szukał dalej.

– Co się stało?

Simon wyjął z sakwy mniejszą torbę i przyniósł ją do ognia. Podał jej lusterko, które wzięła od niego ostrożnie, nieomal ze strachem, gdy tymczasem on wciąż sprawdzał zawartość mniejszej torby. Wreszcie spojrzał na nią z wyrazem ogromnej straty.

– Nie ma.

– Czego nie ma?

– Białej Strzały. Nie ma jej tutaj – powiedział, wyjmując dłonie z torby. – Na Krew Aedona! Musiałem zostawić ją w namiocie. Pewnie zapomniałem ją schować z powrotem do sakwy. – Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz jeszcze większego przerażenia. – Mam nadzieję, że nie zostawiłem jej na *Sesuad'ra*!

– Przecież zabrałeś ją z powrotem do namiotu, czy nie tak było? Wtedy, kiedy chciałeś mi ją dać.

Przytaknął jej powoli.

– Zgadza się. Musiała gdzieś tam zostać. Przynajmniej jest szansa, że nie zginęła. – Spojrzał na swoje puste dłonie. – Ale jej nie mam. – Roześmiał się. – Chciałaś ją oddać. Pewnie jej się to nie spodobało. Binabik ostrzegał mnie, że z darami Sithów nie ma żartów. Pamiętasz, na rzece, kiedy po raz pierwszy podróżowaliśmy razem? Chwaliłem się nią wtedy i wpadłem do wody.

Miriamele uśmiechnęła się smutno.

– Pamiętam.

– Tym razem jednak jej się pozbyłem, co? – zauważył zamyślony i westchnął. – No cóż, nic już nie mogę zrobić. Binabik zaopiekuje się strzałą, jeśli ją znajdzie. Poza tym, właściwie nie potrzebuję jej do niczego, na przykład żeby pokazać Jirikiemu. Jeśli go jeszcze spotkam. – Wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć. – Czy możesz oddać mi lusterko? – Podniósł lusterko do góry i dokładnie przyjrzał się swoim włosom. – Dobrze – powiedział. – Są krótkie z tyłu. Tak jak u Josui i jemu podobnych. – Spojrzał na Miriamele. – Jak u Camarisa.

– Jak u rycerza.

Simon popatrzył na swoją dłoń, po czym wciągnął rękę i ujął dłoń Miriamele; jej palce zniknęły w jego ciepłej dłoni. Niezupełnie patrzył jej w oczy.

– Dziękuję. Ładnie to zrobiłaś.

Skinęła głową, pragnąc wyrwać dłoń, nie być tak blisko niego, choć z drugiej strony jego dotyk sprawiał jej przyjemność.

– Nie ma za co, Simonie.

Wreszcie puścił ją, choć wydawało się, że niechętnie.

– Chyba powinniśmy pójść spać, skoro mamy wstać o północy – stwierdził.

– Tak – odparła.

Spakowali swoje rzeczy i rozłożyli legowisko w przyjaznej, choć nieco niezręcznej ciszy.

MIRIAMELE OBUDZIŁA SIĘ W ŚRODKU NOCY, czując, że ktoś przykłada jej dłoń do ust. Chciała krzyknąć, lecz dłoń mocniej przywarła do jej twarzy.

– To ja! – Dłoń zniknęła.

– Simon? – syknęła. – Ty idioto! Co ty wyprawiasz?

– Cicho. Ktoś tam jest.

– Co? – Miriamele usiadła, na próżno wytężając wzrok w ciemności. – Jesteś pewien?

– Już prawie zasypiałem, kiedy to usłyszałem – powiedział wprost do jej ucha. – Ale to nie był sen. Słuchałem potem jeszcze i znowu usłyszałem.

– Pewnie zwierzę, może jeleń.

Simon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ja nie znam zwierząt, które mówią do siebie, a ty?

– Co?

– Cicho! – szepnął. – Posłuchaj.

Siedzieli w milczeniu. Serce Miriamele bilo tak głośno, że nie wyobrażała sobie, by mogła usłyszeć cokolwiek innego. Zerknęła na ognisko. Pozostało w nim jeszcze trochę żaru: jeśli tam rzeczywiście ktoś był, to nie mogli lepiej zademonstrować swojej obecności. Zastanawiała się, czy warto jeszcze spróbować zakryć żar.

I wtedy usłyszała hałas, trzask oddalony o dobre sto kroków. Poczuła dreszcz. Simon rzucił jej znaczące spojrzenie. Trzask powtórzył się, tym razem nieco dalej.

– Bez względu na to, co to jest – powiedziała cicho – wydaje się oddalać.

– Za parę godzin mieliśmy wyruszyć w drogę. Sądzę, że nie powinniśmy ryzykować.

Miriamele chciała mu się sprzeciwić – w końcu to była jej podróż i jej plan – lecz poczuła, że nie potrafi. Kiedy pomyślała, że będą przedzierać się przez zarośla wzdłuż rzeki w blasku księżyca, a to coś będzie się za nimi skradało...

– Zgadzam się – powiedziała. – Poczekamy do świtu.

– Będę teraz czuwał. Potem cię obudzę i sam się trochę prześpię. – Simon usiadł z nogami skrzyżowanymi na ziemi i oparł się o pień drzewa. Miecz położył sobie na kolanach. – No, idź spać. – Wydawał się napięty, nieomal zły.

Miriamele poczuła, że jej serce bije już wolniej.

– Wspomniałeś, że to coś mówiło do siebie?

– Mogło to być więcej osób – powiedział. – Chociaż hałas nie wskazywał na dwie. Słyszałem tylko jeden głos.

– Co mówił?

Widziała niewyraźnie, jak Simon kręci głową.

– Nie zrozumiałem. Mówił za cicho. Po prostu... jakieś słowa.

Miriamele usiadła na swoim posłaniu.

– To mógł być jakiś drwal. Oni często mieszkają w lesie.

– Może – odparł zdawkowo Simon.

Nagle Miriamele zdała sobie sprawę, że on zachowuje się w ten sposób, gdyż się boi.

– W lesie zdarzają się różne rzeczy – dodała.

Położyła się i ujrzała między gałęziami kilka gwiazd.

– Simonie, nie udawaj bohatera, jeśli zachce ci się spać, tylko mnie obudź.

– Dobrze. Chociaż pewnie przez jakiś czas nie będę senny.

„Ja też nie” – pomyślała.

Przerażała ją myśl, że coś czai się w ciemności. Ale jeśli ktoś ich śledził, ktoś wysłany przez wuja, to dlaczego odszedł? Może byli to leśni zbóje, którzy zabiliby ich, gdyby Simon się nie obudził? A może jednak było to tylko zwierzę, a Simonowi wydawało się, że słyszał słowa?

Wreszcie Miriamele zapadła w niespokojny sen, sen, w którym przemykały w leśnym cieniu dwunogie postacie z ogromnymi rogami na głowach.

DZIEŃ BYŁ JUŻ W PEŁNI, zanim wydostali się z lasu. Chwytające ich z góry gałęzie i czepiające się nóg zarośla jakby rozmyślnie chciały ich zatrzymać; do tego jeszcze wstająca mgła była tak gęsta, że – Miriamele była pewna – gdyby nie odgłos strumienia, którym się kierowali, z łatwością mogliby zgubić drogę. Wreszcie, spoceni i podrapani jak nigdy dotąd, wyszli na rozmokłą równinę.

Kończył się ranek, kiedy pokonali nierówną łąkę i dotarli do Traktu Rzecznego. Nie było tu śniegu, lecz nad ich głowami wisiało ciemne,

groźne niebo; gęsta mgła z lasu wydawała się nie odstępować ich na krok – spowijała cały krajobraz.

Trakt Rzeczny był prawie pusty: spotkali tylko jeden wóz, wiozący całą rodzinę i jej dobytek. Woźnica, mężczyzna o niezwykle zatroskanym obliczu, wyglądający pewnie na starszego, niż w rzeczywistości był, sprawiał wrażenie, że nie stać go na większy wysiłek jak skinienie Simonowi i Miriamele. Odwróciła głowę, patrząc za toczącym się wolno na wschód wozem, ciągnionym przez chudego wołu, i zastanawiała się, czy ci ludzie jechali na *Sesuad'ra*, by powierzyć swój los w ręce Josui. Mężczyzna, jego wychudzona żona i milczące dzieci, wszyscy oni wyglądali tak smutno, wydawali się tak zmęczeni; tym bardziej bolesna była myśl, że mogli jechać do miejsca, które z pewnością było już opuszczone. Miriamele czuła pokusę, by ich ostrzec, że książę maszeruje już na południe, lecz zacisnęła tylko zęby i odwróciła się. Taka przysługa mogła okazać się niebezpieczna i głupia: ktoś, kto pojawia się w Erkynlandzie i ma wieści o Josui, z pewnością przyciągnąłby uwagę innych.

Minął ranek, w trakcie którego pozostawili za sobą kilka osad, które wydawały się prawie zupełnie opuszczone; tylko gdzieniegdzie z kominów wydobywał się cienki pióropusz szarego dymu, odrobinę tylko ciemniejszy od spowijającej wszystko mgły – jedyna oznaka życia w tym jakże ponurym miejscu. Trudno było powiedzieć, czy ludzie mieszkający tam jeszcze zajmowali się rolnictwem. Nie widzieli żadnych zwierząt, a pola zarosły ciemnymi chwastami. Miriamele domyślała się, że i tutaj było równie ciężko, jak słyszała o innych częściach Erkynlandu, i że mieszkańcy pewnie pilnie strzegą tych kilku owiec, krów czy świń, których jeszcze nie zjedli.

– Myślę, że nie powinniśmy zbyt długo pokazywać się na tej drodze. – Miriamele zmrużyła oczy, spoglądając z szerokiej, rozmokłej grobli na czerwieniejące zachodnie niebo.

– Przez cały dzień minęliśmy zaledwie kilkanaście osób – odparł Simon. – A poza tym, jeśli ktoś nas goni, to lepiej trzymać się otwartego terenu, gdzie będzie go można zauważyć.

– Ale niebawem dotrzemy na skraj Stanshire. – Miriamele podróżowała po tych okolicach z ojcem i miała dość dobre pojęcie o tym, dokąd jadą. – To o wiele większe miasto niż osady, które dotąd mijaliśmy. Tam z pewnością na drodze będzie więcej ludzi. Mogą też być i żołnierze.

Simon wzruszył ramionami.

– Chyba masz rację. To co zrobimy? Pojedziemy przez pola?

– Nikt nie będzie na nas zwracał uwagi. Widziałeś te wszystkie rozlatujące się domy? Jest za zimno, żeby ludzie wystawali w oknach.

W odpowiedzi Simon wypuścił pióropusz pary i uśmiechnął się.

– Dobrze. Tylko żebyśmy nie wjechali w jakieś bagno. Wkrótce się ściemni.

Zjechali z drogi i przejechali przez żywopłot z rzadko rosnących krzewów. Na horyzoncie pozostał jeszcze tylko wąski pasek purpury. Coraz silniejszy wiatr świstał w wysokich trawach.

Zanim ujrzeli pierwsze znaki Stanshire, zapadł już wieczór. Osada leżała po obu stronach rzeki; obie jej części łączył most, domy na północnym brzegu ciągnęły się prawie na skraj lasu. Simon i Miriamele zatrzymali się na wzgórzu i spojrzeli w dół na migające światła.

– Teraz jest mniejsze – powiedziała Miriamele. – Wcześniej rozciągało się na całą dolinę.

Simon zmrużył oczy.

– Chyba nie zmieniło się bardzo. Popatrz, domy są wszędzie, tyle tylko, że nie we wszystkich palą się światła. – Ściągnął z dłoni rękawiczkę, by pochuchać na palce. – Gdzie zatrzymamy się na noc? Czy masz pieniądze na gospodę?

– Nie będziemy spać pod dachem.

Simon uniósł brwi zdziwiony.

– Nie? To może chociaż zjemy coś ciepłego.

Miriamele spojrzała na niego.

– Nie rozumiesz, mnie? To jest kraj mojego ojca. Ja sama bywałam tutaj wcześniej. Drogą podróżuje tak niewielu podróżnych, że nawet jeśli nikt nas nie rozpozna, to będą ciekawi i zaczną wypytywać. – Potrząsnęła głową. – Nie mogę ryzykować. Może ty pójdziesz kupić coś do jedzenia, ale żeby zostawać w gospodzie? Równie dobrze moglibyśmy wysłać przed nami trębacza, żeby obwieszczał nasz przyjazd.

Nie widać było tego w zapadającym zmroku, ale Simon się zaczerwienił. W jego głosie zabrzmiała nuta złości.

– Jeśli tak twierdzisz.

Miriamele powstrzymywała swoje zniecierpliwienie.

– Proszę, Simonie. Czy myślisz, że ja nie chciałabym się umyć, a potem usiąść wygodnie i najeść się? Staram się robić to, co najlepsze.

Simon patrzył na nią przez chwilę, po czym skinął głową.

– Wybacz. Masz rację. Jestem po prostu rozczarowany.

Miriamele poczuła nagle do niego ogromną sympatię.

– Wiem. Jesteś dobrym przyjacielem.

Spojrzał na nią uważnie, lecz nic nie powiedział. Ruszyli zboczem w dół do doliny Stanshire.

COŚ NIE PODOBAŁO SIĘ MIRIAMELE w całej okolicy. Kiedy odwiedziła to miejsce kilka lat temu, było ono pełnym życia miastem zamieszkanym głównie przez górników i ich rodziny, gdzie nawet nocą wąskie ulice rozświetlały liczne światła. Teraz zaś nieliczni przechodnie wydawali się spieszyć do domów, a gospody, niemal puste i ciche, przypominały raczej klasztory.

Miriamele czekała w cieniu, gdy tymczasem Simon poszedł do „Klina i Żuka", by za kilka cintisów kupić chleba, mleka i cebuli.

– Spytałem właściciela, czy ma trochę baraniny, a on otworzył szeroko oczy – powiedział Simon. – To był chyba bardzo zły rok.

– Czy wypytywał cię o coś?

– Chciał wiedzieć, skąd przybyłem. – Simon skubał już swój chleb. – Powiedziałem mu, że jestem kupcem z Doliny Hasu i że szukam pracy. Wtedy on popatrzył na mnie zabawnie i powiedział: No to chyba przekonałeś się, że tutaj nie ma pracy, co? Dobrze, że nie miał niczego do zrobienia, gdyż zupełnie zapomniałem, co Jeremias opowiadał mi o robieniu świec. Spytał mnie też, kiedy wyjechałem z doliny i czy to prawda, co mówią ludzie, że tam wśród wzgórz urządzają polowania.

– Polowania? – Miriamele poczuła mrowienie na plecach. – To mi się nie podoba. Co mu powiedziałeś?

– Oczywiście, że dawno już stamtąd wyjechałem. Powiedziałem, że później pojechałem na południe szukać pracy. Potem, zanim o to zapytał, powiedziałem, że moja żona czeka w wozie na Trakcie Rzecznym i że muszę już iść.

– Twoja żona?

Simon uśmiechnął się.

– Przecież musiałem mu coś powiedzieć! Jak inaczej wytłumaczyć, że mężczyzna zabiera żywność i ucieka szybko w zimną noc?

Miriamele prychnęła i wspięła się na konia.

– Musimy znaleźć jakieś miejsce na nocleg, przynajmniej na krótko. Jestem wyczerpana.

Simon rozejrzał się.

– Nie wiem, dokąd moglibyśmy pójść. Trudno powiedzieć, które domy są puste, nawet jeśli nie widać światła i dymu. Może są opuszczone, a może ich mieszkańcy nie mają drewna na opał.

Kiedy mówił, zaczął padać lekki deszcz.

– Powinniśmy wyjechać na zachodni skraj miasta. Tam z pewnością znajdziemy jakąś opuszczoną stodołę albo szopę. Jest tam też duży kamieniołom – powiedziała Miriamele.

– Wspaniale. – Simon ugryzł mocno pomarszczoną cebulę. – Prowadź.

– Tylko nie zjedz przez pomyłkę i mojej kolacji – rzuciła ponuro. – I nie waż się wylać mleka.

– Dobrze, pani – odparł.

KIEDY JECHALI NA ZACHÓD TRAKTEM DREWNIANYM, jedną z głównych dróg Stanshire, Miriamele zaczęła się zastanawiać nad słowami Simona. Rzeczywiście nie sposób było powiedzieć, czy ktoś mieszkał w ciemnych domach i sklepach, lecz ona miała dziwne uczucie, że wciąż ktoś ich obserwuje, że czyjeś oczy śledzą ich przez szczeliny w okiennicach domów.

Niebawem dotarli do gospodarstw położonych na obrzeżu miasta. Deszcz zelżał nieco i teraz ledwie siąpił. Miriamele wskazała na kamieniołom, który z miejsca, w którym stali na drodze, wydawał się ogromną, czarną dziurą. Kiedy wjechali trochę wyżej, ujrzeli migotanie czerwonawego światła na niższych ścianach kamieniołomu.

– Ktoś pali tam ognisko – rzekł Simon. – I to duże.

– Może kopią kamienie – odpowiedziała Miriamele. – Ale nas nie obchodzi to, co oni robią. Im mniej ludzi nas widzi, tym lepiej. – Zjechała z szerokiej drogi i poprowadziła ich jedną z wąskich ścieżek, oddalającą się od kamieniołomu i wracającą do Traktu Rzecznego. Ścieżka była bardzo śliska, tak że w końcu Miriamele zdecydowała, że lepiej będzie zapalić pochodnię, niż ryzykować złamaną nogę któregoś z koni. Zsiedli i Simon osłonił pochodnię płaszczem przed deszczem, gdy tymczasem Miriamele zmagała się z krzesiwem. Wreszcie udało jej się wykrzesać iskrę, od której zapaliła się naoliwiona szmata.

Wreszcie dojechali do dużej szopy na polu obrośniętym chwastami i jeżynami. Oddalony o kilkaset kroków dom, do którego najwyraźniej należała, sprawiał wrażenie opuszczonego. Żadne z nich nie było pewne, czy w domu rzeczywiście nikogo nie ma, ale szopa wydawała się dość bezpieczna i obiecująca przynajmniej suchy kąt. Przywiązali konie do powyginanej i przemoczonej jabłoni z tyłu szopy.

Znalazłszy się w środku, ujrzeli w świetle pochodni stertę suchej słomy na środku klepiska, a pod ścianą czekały na naprawę zardzewiałe narzędzia z połamanymi lub brakującymi rączkami. Miriamele popatrzyła smutno na zniszczoną kosę, ale zaraz pomyślała, że stanowi ona dowód na to, że nikt tutaj dawno nie zaglądał. Uspokojeni wyszli na zewnątrz po torby.

Miriamele podzieliła słomę na dwie części i na jednej z nich rozłożyła swoje posłanie. Rozejrzała się krytycznie.

– Szkoda, że nie możemy rozpalić ogniska – rzekła. – Ale nawet pochodnia jest dużym ryzykiem.

Simon już wcześniej wbił pochodnię w ziemię z dala od słomy.

– Chcę coś widzieć, jak będę jadł – powiedział. – Potem ją zgasimy.

Pochłonęli bardzo szybko to, co pozostało im jeszcze do zjedzenia; suchy chleb popili chłodnym mlekiem. Kiedy wytarli usta i palce rękawami, Simon wyprostował się.

– W takim razie, co robimy jutro? – spytał.

– Jedziemy. Jeśli pogoda się nie zmieni, możemy też jechać w dzień. W każdym razie do samego Falshire nie będziemy już mijali żadnych miast, więc na drodze nie powinno być ludzi.

– Jeśli pozostała okolica wygląda tak jak Stanshire, to nie spotkamy ich wielu – powiedział Simon.

– Być może. Ale jeśli usłyszymy, że nadjeżdża więcej niż kilku jeźdźców, powinniśmy dla bezpieczeństwa zjechać z drogi.

Miriamele pociągnęła ostatni łyk wody z bukłaka i wsunęła się pod płaszcz. Zapadła cisza.

– Czy powiesz mi coś więcej o tym, dokąd jedziemy? – odezwał się Simon.

Wyczuła z jego głosu, że jest ostrożny i nie chce jej rozzłościć. Wzruszyła ją jego delikatność, lecz jednocześnie poczuła się urażona, że traktuje ją jak kapryśne dziecko.

– Simonie, nie chcę teraz o tym mówić. – Odwróciła się, czując do siebie odrazę, lecz nie miała ochoty wylewać sekretów swojego serca. Słyszała, jak układa się na swoim miejscu, a potem przeklina cicho, przypomniawszy sobie, że nie zgasił pochodni. Popełzł z powrotem przez szopę.

– Tylko nie zmocz pochodni – powiedziała. – Następnym razem będzie ją łatwiej zapalić.

– Masz rację, pani. – Głos Simona zabrzmiał ponuro. Rozległo się skwierczenie i zapadła ciemność. Po chwili usłyszała, jak wraca na swoje miejsce.

– Dobranoc, Simonie.

– Dobranoc – odpowiedział, najwyraźniej zły.

Miriamele leżała w ciemności, zastanawiając się nad pytaniem Simona. Czy potrafiłaby mu to wyjaśnić? Dla kogoś innego z pewnością zabrzmiałoby to bardzo głupio. To jej ojciec rozpoczął wojnę – a przynajmniej, była tego pewna, zrobił to za namową Pryratesa – więc jak mogła mu wyjaśnić, że musi go zobaczyć, porozmawiać z nim?

„Nie, to nie brzmiałoby nawet głupio – pomyślała. – To brzmiałoby jak najgorsze z szaleństw. A może tak jest. A może ja się tylko oszukuję? Co będzie, jeśli Pryrates mnie złapie i nigdy nie zobaczę ojca? Czerwony duchowny dowiedziałby się o Josui wszystkiego, co wiem”. – Zadrżała na samą myśl o tym. Dlaczego nie powiedziała Simonowi o swoich planach? A przede wszystkim, dlaczego nie powiedziała wujowi Josui, zamiast uciekać? Ta odrobina, którą mu wyznała, tylko go rozzłościła i napełniła podejrzeniami... ale może jednak on miał rację. Kim ona była, żeby pouczać swojego wuja i jego ludzi o tym, co jest dobre, a co złe? A teraz, czy nie postępowała głupio, biorąc ich życie w swoje ręce, po to tylko, by zaspokoić swój kaprys? – Ale to nie jest kaprys. – Czuła się rozdarta pomiędzy dwie sprzeczne strony, podobnie jak jej ojciec i wuj. „To jest ważne. Tylko mój ojciec potrafi to zatrzymać, ale tylko ja wiem, jak to się zaczęło. Ale tak się boję...”

Waga tego, co już zrobiła, i tego, co planowała zrobić, stawała się nie do zniesienia; czuła coraz większy ciężar. I tylko ona wiedziała, nikt inny!

Coś w niej zaczynało pękać nieodwołalnie. Wzięła głęboki oddech.

– Miriamele? Miriamele, co się stało?

Nie odpowiadała, starając się opanować. Słyszała, jak Simon się porusza, słyszała szelest słomy.

– Czy coś cię boli? A może miałaś zły sen? – Jego głos rozległ się tuż obok, tuż przy jej uchu.

– Nie – szepnęła; resztę słów zagłuszył płacz.

Dłoń Simona dotknęła jej ramienia, a potem ostrożnie przesunęła się do jej twarzy.

– Ty płaczesz! – powiedział zdziwiony.

– Och... – Próbowała wydobyć z siebie słowa. – Ja... czuję się tak... tak samotna! Chcę... chcę jechać do domu! – Usiadła i wtuliła twarz w wilgotny płaszcz, przykrywający jej kolana. Znowu wstrząsnęła nią fala płaczu. Lecz jednocześnie jakaś jej część z obrzydzeniem przyglądała się z boku jej zachowaniu.

„Jesteś słaba – mówiła do siebie z pogardą. – Nic dziwnego, że nigdy nie dostaniesz tego, czego pragniesz. Słaba”.

– ...Do domu? – powtórzył Simon. – Chcesz wracać do Josui i innych?

– Nie, idioto! – Złość na własną głupotę dodała jej siły. – Chcę jechać do domu! Chcę, żeby wszystko było tak jak dawniej!

Simon wyciągnął ramiona w ciemności i przytulił ją do siebie. Początkowo broniła się, lecz po chwili opuściła głowę na jego pierś. Była kłębkiem bólu.

– Obronię cię – powiedział czule. W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta, nuta łagodnego uniesienia. – Zaopiekuję się tobą, Miriamele.

Odepchnęła go od siebie. Ujrzała jego postać o zmierzwionych włosach w wąskiej smudze księżycowego blasku, jaka wpadała do środka przez drzwi szopy.

– Nie chcę, żeby mnie ktoś bronił! Nie jestem dzieckiem! Pragnę jedynie, żeby wszystko było na swoim miejscu, tak jak dawniej!

– Przykro mi – powiedział. – Ja też się boję.

W tym momencie zrozumiała, że u jej boku jest Simon, że on nie jest jej wrogiem. Pozwoliła mu się przytulić, pragnąc choć na chwilę poczuć jego ciepło. Nie potrafiła powstrzymać łez.

– Proszę. Miri – szepnął bezradnie. – Nie płacz. – Objął ją ramieniem i przytulił mocno.

Po chwili jej płacz nie był już tak gwałtowny. Oparła się o niego bezsilnie. Czuła, jak jego palce suną po jej twarzy wzdłuż śladu łez. Przylgnęła do niego mocniej, wtulając się jak przestraszone zwierzątko, aż poczuła, że jej twarz otarła się o jego twarz; poczuła jego pulsującą krew.

– Och, Simonie – szepnęła drżącym głosem. – Przepraszam.

– Miriamele – zaczął, lecz zamilkł.

Poczuła, jak jego dłoń odwraca jej twarz. Skierował ją wprost na swoją, tak że czuła teraz jego ciepły oddech. Wydawało się, że chce coś powiedzieć. Czuła, jak słowa drżą między nimi, nie wypowiedziane. A potem poczuła jego usta na swoich, delikatne drapanie jego brody.

Przez moment Miriamele miała wrażenie, że unosi się w nieokreślonym miejscu i nieokreślonym czasie. Szukała miejsca, w którym będzie mogła się skryć przed bólem, który objął całą jej istotę. Jego usta były miękkie, ostrożne, lecz jego dłoń, która dotykała jej twarzy, drżała. Ona także drżała. Chciała zapaść się w nim, zanurzyć się jak w cichym stawie.

Nagle ujrzała niespodziewaną scenę, jakby pojawił się strzęp snu: ujrzała pochylającego się nad nią hrabiego Aspitisa, jego złociste loki lśniły w blasku lampy. Ramię, które ją obejmowało, wydało jej się w jednej chwili drapieżnym szponem.

– Nie – powiedziała, odpychając je. – Nie. Simonie. Nie mogę.

Odskoczył od niej natychmiast, jak ktoś, kogo przyłapano na plądrowaniu.

– Ja nie...

– Zostaw mnie. – Usłyszała swój głos, chłodny i bezbarwny. Nie pasował do plątaniny uczuć, jakie się w niej kotłowały. – Ja... ja tylko... – Ona także nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

Nagle w ciszy rozległ się hałas. Dopiero po długiej chwili Miriamele zorientowała się, że dochodzi on z zewnątrz. Było to nerwowe rżenie koni. Chwilę później trzasnęła gałązka tuż za drzwiami.

– Ktoś tam jest! – syknęła. Uczucia, jakie przepełniały ją jeszcze chwilę temu, ustąpiły miejsca zimnemu strachowi.

Simon wymacał w ciemności swój miecz. Wstał i przesunął się do drzwi. Miriamele wstrzymała oddech.

– Otworzyć je? – spytał.

– Nie możemy dać się złapać w środku – odpowiedziała stanowczym szeptem.

Simon zawahał się, lecz po chwili pchnął drzwi. Na zewnątrz coś się poruszyło. Ktoś oddalał się szybko; zaledwie cień sunący ku drodze w matowym blasku księżyca.

Simon odrzucił nogą płaszcz, w który jeszcze częściowo był zaplątany, i pomknął za oddalającym się cieniem.

31. Taniec Ognia

SIMON CZUŁ ROZPIERAJĄCĄ GO ZŁOŚĆ, gwałtowną falę złości, która pchała go niczym podmuch wiatru. Biegnąca przed nim postać zawahała się i wtedy zbliżył się do niej. Simon pomyślał, że podobnie musi czuć się Qantaqa, kiedy dopada uciekającą ofiarę.

Szpiegujesz! Będziesz mnie szpiegował?

Niewyraźna postać znowu się potknęła. Simon uniósł miecz, gotowy w każdej chwili zadać cios. Jeszcze kilka kroków...

– Simonie! – Coś chwyciło go za koszulę, powodując, że stracił równowagę. – Nie!

Opuścił ramię, by się nie przewrócić, i wtedy miecz zahaczył o zarośla i wypadł mu z dłoni. Zaczął macać w trawie, lecz nie mógł go znaleźć w ciemności. Przez chwilę wahał się, nie wiedząc, co zrobić, lecz niewyraźna postać znowu przyśpieszyła. Simon zaklął i pobiegł bez miecza. Szybko dogonił uciekającego. Owinąwszy ramiona wokół jego pasa, przewrócił się razem z nim.

– Och, słodki Usiresie! – wrzasnął głos pod nim. – Nie spal mnie! Nie spal mnie! – Simon chwycił mocno młócące ramiona.

– Co ty wyprawiasz? – syknął rozzłoszczony Simon. – Dlaczego nas śledzisz?

– Nie spal mnie! – powtórzył mężczyzna drżącym głosem, próbując odwrócić twarz. Wciąż machał chudymi ramionami, najwyraźniej ogromnie przerażony. – Nikogo nie śledziłem!

Nadbiegła Miriamele z mieczem Simona.

– Kto to jest?

Wciąż zły, choć nie wiedział dokładnie dlaczego, Simon chwycił ucho nieznajomego – Rachel Smok postępowała tak często z krnąbrnymi podkuchennymi – i wykręcał je tak długo, dopóki twarz leżącego nie odwróciła się w jego stronę.

Jego więzień okazał się starszym mężczyzną. Simon nie znał go. Nieznajomy mrugał szybko oczami.

– Stary Heanwig nie chciał zrobić nic złego, nic złego! – jęknął. – Nie spal mnie!

– Spalić cię? O czym ty gadasz? Dlaczego chodziłeś za nami?

Miriamele spojrzała nagle na Simona.

– Simonie, nie możemy tutaj tak krzyczeć. Zabierzmy go do szopy.

– Nie spalcie Heanwiga!

– Nikt nikogo nie pali – mruknął Simon. Pociągnął starca, zmuszając go do wstania, może nieco zbyt gwałtownie, niż można to było uczynić, i poprowadził do szopy. Nieznajomy pociągał nosem i wciąż błagał o życie.

W środku Simon pilnował starca, gdy tymczasem Miriamele próbowała zapalić pochodnię. Wreszcie dała za wygraną i wyciągnęła z torby inną. Kiedy w szopie się rozjaśniło, puścił nieznajomego i usiadł oparty plecami o drzwi, by więzień nie próbował ucieczki.

– On nie ma żadnej broni – powiedział. – Sprawdzałem kieszenie.

– Nie, panie, nie mam nic. – Heanwig wydawał się już nieco spokojniejszy, lecz wciąż nadmiernie ostrożny, by ich nie obrazić. – Proszę,

tylko mnie wypuśćcie, a nikomu nie powiem.

Simon przyjrzał mu się uważniej. Czerwone policzki i nos oraz mętne oczy więźnia mówiły, że jest on starym pijakiem. Wpatrywał się z niepokojem w pochodnię, jakby to ona stanowiła dla niego największe niebezpieczeństwo. Najwyraźniej nie był on niebezpiecznym przeciwnikiem, lecz Simon pamiętał dobrze pokoje Doktora Morgenesa, które z zewnątrz wydawały się małe, a oglądane od wewnątrz okazały się całkiem duże, i wiedział, że rzeczy okazują się często inne, niż się wydają.

– Dlaczego nas szpiegowałeś? – zapytał stanowczo. – I dlaczego uważasz, że chcemy cię spalić?

– Nie trzeba nikogo palić – odparł starzec. – Stary Heanwig nie robi nic złego. Nie powie nikomu.

– Odpowiedz na moje pytanie. Co tutaj robisz?

– Szukałem tylko kąta, żeby się przespać, paniczu. – Starzec rozejrzał się szybko po szopie. – Spałem już tutaj raz czy dwa. Nie chciałem dzisiaj zostać bez dachu nad głową. Nie dzisiaj.

– Czy szpiegowałeś nas w lesie? Czy podchodziłeś do naszego obozu wczorajszej nocy?

Starzec spojrzał na niego najwyraźniej zdziwiony.

– W lesie? W Aldheorte? Heanwig tam nie pójdzie. Tam złe rzeczy, bestie i takie tam, złe miejsce. Nie chodźcie tam.

– On chyba mówi prawdę – powiedziała Miriamele. – Chyba rzeczywiście przyszedł tutaj, żeby się przespać. – Wyciągnęła z torby bukłak z wodą i podała go nieznajomemu. Przez chwilę przyglądał mu się podejrzliwie. Rozumiejąc jego obawy, Miriamele sama wypiła łyk i znowu podała go starcowi. Starzec natychmiast zaczął pić łapczywie, lecz zaraz rzucił jej spojrzenie pełne oskarżenia, jakby jego obawy co do zatrucia go potwierdziły się.

– Woda – mruknął ponuro.

Miriamele patrzyła na niego zdumiona, ale Simon uśmiechnął się pod nosem. Sięgnął do torby i wyjął inny bukłak, który – jak mówiła Miriamele – oszczędzali na zimne noce i bolesne rany. Simon wlał trochę perdruińskiego czerwonego wina do kielicha i wyciągnął w stronę starca. Heanwig natychmiast się pochylił, lecz Simon cofnął naczynie.

– Najpierw odpowiedz na pytania. Przysięgasz, że nas nie szukałeś?

Heanwig potrząsnął energicznie głową.

– Nigdy wcześniej was nie widziałem. Zapomnę o was, kiedy tylko odejdziecie. Obiecuję. – Jego dłoń znowu wysunęła się do przodu.

– Jeszcze nie. Dlaczego myślałeś, że chcemy cię spalić?

Starzec spojrzał najpierw na niego, potem na wino.

– Myślałem, że jesteście tymi Tancerzami Ognia – odezwał się wreszcie z wyraźną niechęcią. – Myślałem, że chcecie mnie palić, tak jak oni spalili starego Wiclafa, który był Pierwszym Kowalem w kamieniołomach.

Simon pokręcił głową zdumiony, lecz Miriamele pochyliła się nad starcem; na jej twarzy malował się wyraz strachu i obrzydzenia.

– Tancerze Ognia? Czy są tutaj Tancerze Ognia?

Starzec rzucił jej takie spojrzenia, jakby spytała go, czy ryby pływają.

– W mieście jest ich pełno. Gonili mnie, gonili Heanwiga. Ale schowałem się przed nimi. – Uśmiechnął się niewyraźnie, lecz jego spojrzenie pozostało wciąż czujne. – Są dzisiaj w nocy w kamieniołomach, tańczą i modlą się do swego Pana Burz.

– W kamieniołomach! – Miriamele odetchnęła głęboko. – To były ich światła!

Simon wciąż nie był pewien, czy może wierzyć starcowi. Coś wciąż go niepokoiło, jakby mucha bzyczała mu tuż nad uchem, lecz on nie wiedział,

co to jest.

– Jeśli on mówi prawdę.

– Mówię prawdę – przytaknął mu Heanwig. Próbował się wyprostować, skupiając na Simonie spojrzenie mętnych oczu. – Przyszedłem tutaj, żeby się trochę przespać, i usłyszałem was. Myślałem, że to Tancerze Ognia, oni nocą włóczą się po mieście. Ludzie, którzy mają domy, zamykają je na noc, ale widzicie, stary Heanwig nie ma już domu. Więc uciekłem.

– Simonie, daj mu wina – powiedziała Miriamele. – Nie bądź okrutny. To tylko wystraszony starzec.

Simon skrzywił się i podał kielich Heanwigowi. Starzec powąchał wino i na jego twarzy natychmiast pojawił się wyraz zachwytu. Przechylił kielich i wypił trunek łapczywie.

– Tancerze Ognia! – Miriamele skrzyżowała ramiona. – Matko Miłosierna, Simonie, nie chcę, żeby nas złapali. Oni są szaleni. Zaatakowali Tiamaka w Kwanitupulu, a ja widziałam innych, jak się podpalali.

Simon przeniósł wzrok z Miriamele na Heanwiga, oblizującego spękane usta językiem, który przypominał żywe stworzenie chowające się w muszli. Czuł nieodpartą chęć zdzielenia starego pijaka, choć ten nic złego nie zrobił. Nagle przypomniał sobie, jak uniósł miecz w chwili wściekłości, kiedy mógł zabić biedaka, i poczuł wstyd.

Jaki to rycerz zabija słabego pijaczynę?

Ale co za przeklęty los zesłał go, by straszył konie i trzaskał gałęziami w chwili, kiedy on wreszcie trzymał Miriamele w ramionach? Oni się całowali! Ona, piękna księżniczka, całowała Simona!

Ponownie spojrzał na Miriamele. Ona także patrzyła, jak Heanwig opróżniał kielich, lecz teraz ich spojrzenia spotkały się na moment. Nawet w świetle pochodni zauważył, że się zarumieniła. Los był okrutny... lecz nieco wcześniej był dość łaskawy. Och, słodki Losie, słodkie Szczęście!

Nagle Simon się roześmiał. Jego złość uleciała jak plewy rozwiane wiatrem. Pocałowała go najpiękniejsza dziewczyna w całym Królestwie Aedona! Nazywała go po imieniu! Wciąż czuł pod palcami kształt jej twarzy. Czy miał prawo jeszcze narzekać?

– Co zrobimy? – spytał.

Miriamele odwróciła wzrok.

– Zostaniemy tutaj na noc, a rano oddalimy się jak najdalej od Tancerzy Ognia.

Simon zerknął na Heanwiga, który spoglądał z nadzieją na ich torby.

– A co z nim?

– Pozwolimy mu zostać z nami na noc.

– A co będzie, jeśli wypije nam wino, a potem przyjdzie mu do głowy udusić nas? – zaprotestował Simon. Jemu samemu wydała się głupia taka uwaga o chudym, drżącym starcu, lecz wciąż miał nadzieję, że może uda mu się zostać z nią jeszcze sam na sam.

Miriamele jakby czytała w jego myślach i wydawała się robić wszystko, by do tego nie dopuścić.

– Niczego takiego nie zrobi. Będziemy czuwali na zmianę. Czy tak będzie lepiej, Simonie? Będziesz mógł strzec wina.

Starzec spoglądał to na jedno, to na drugie, próbując się zorientować, kto bierze górę.

– Stary Heanwig nie będzie sprawiał kłopotu. Nie musicie pilnować. Jesteście zmęczeni. Taki staruch jak ja nie potrzebuje dużo snu. Ja będę pilnował przed Tancerzami Ognia.

Simon prychnął.

– Och, nie wątpię, że chciałbyś. Wyrzućmy go, Miriamele. Jeśli to nie on nas szpiegował, nie ma powodu, żeby go trzymać.

– Owszem, jest. On jest stary i boi się. Zapominasz, Simonie, że ja widziałam Tancerzy Ognia, a ty nie. Nie bądź okrutny tylko dlatego, że jesteś zły. – Spojrzała na niego srogo, lecz Simonowi wydało się, że w jej spojrzeniu dostrzega błysk rozbawienia, jaki widywał u niej dawniej.

– Nie, nie wyrzucajcie mnie do tych Tancerzy Ognia – błagał Heanwig. – Oni spalili Wiclafa. Widziałem to. A on nikomu nie zrobił nic złego. Podpalili go na drodze i krzyczeli: „Oto, co was czeka! Oto, co was czeka!” – Heanwig urwał i zadrżał. Przed oczami znowu stanęła mu scena, która miała posłużyć mu tylko za usprawiedliwienie. – Nie wyrzucajcie mnie! Nie pisnę ani słowa! – Teraz wydawał się szczery.

Simon przeniósł wzrok z Miriamele na starca, a potem znowu na Miriamele. Został sprytnie otoczony.

– Och, już dobrze – burknął. – Ale ja będę czuwał pierwszy, i jeśli wykonasz choćby najmniejszy podejrzany ruch, znajdziesz się na zewnątrz, zanim zorientujesz się, co się stało.

Jeszcze raz rzucił Miriamele spojrzenie pełne irytacji i tęsknoty, po czym oparł się wygodniej o drzwi.

SIMON OBUDZIŁ SIĘ RANO i ujrzał Miriamele i starca pogrążonych w przyjacielskiej rozmowie. W dziennym świetle Heanwig wyglądał jeszcze gorzej niż w nocy: nawet ubóstwo nie usprawiedliwiało brudu na twarzy oraz podartego i usmolonego ubrania.

– Powinieneś pójść z nami – powiedziała Miriamele. – Będziesz bezpieczniejszy. Przyłącz się do nas przynajmniej do czasu, dopóki nie oddalimy się od Tancerzy Ognia.

Starzec pokręcił głową powątpiewająco.

– Ci szaleńcy są teraz prawie wszędzie.

Simon usiadł. Czuł, że wyschło mu w ustach i boli go głowa, jakby to on był pijakiem.

– Co ty mówisz? Nie możesz go zabrać z nami.

– Oczywiście, że mogę – powiedziała Miriamele. – Możesz mi towarzyszyć, Simonie, ale nie wolno ci pouczać mnie, dokąd mam jechać i z kim.

Simon patrzył na nią, wyczuwając sprzeczkę, którą i tak by przegrał, bez względu na wszystko. Wciąż ważył słowa odpowiedzi, lecz Heanwig go uprzedził.

– Czy jedziecie do Nabbanu? – spytał starzec. – Nigdy tam nie byłem.

– Udajemy się do Falshire – powiedziała Miriamele. – A stamtąd do Doliny Hasu.

Simon już miał ją zganić za to, że wyjawia obcemu ich plany – sama upominała go, by zachowywał ostrożność w podobnych sytuacjach – gdy nagle starzec wciągnął głęboko powietrze. Simon odwrócił się rozgniewany, sądząc, że staremu pijakowi zrobiło się niedobrze, lecz ze zdumieniem zobaczył przerażone oblicze Heanwiga.

– Jedziecie do Doliny Hasu? – starzec spytał, niedowierzając. – Zwariowaliście? Tam straszy w całej dolinie. – Zaczął gramolić się ze słomy, próbując wstać, jakby jego rozmówcy zagrozili, że zaciągną go w to okropne miejsce. – To już wolę wrócić do kamieniołomów z tymi Tancerzami Ognia.

– O czym ty mówisz? Co straszy? – dopytywała się Miriamele. – Słyszeliśmy już o tym.

Starzec wpatrywał się w nią, wywracając oczami.

– Straszy! Złe straszydła z cmentarza. Wiedźmy i tym podobne!

Miriamele nie spuszczała wzroku ze starca. Po takim roku jak ostatni nie należało lekceważyć niczego.

– Jedziemy tam – powiedziała. – Musimy. Ale ty możesz podróżować z nami tak daleko, jak zechcesz.

Heanwig wstał, chwiejąc się.

– Nie chcę jechać na zachód. Heanwig zostanie tutaj. W Stanshire jest jeszcze trochę ludzi, którzy dadzą jakiś ochłap i kropelkę czegoś nawet w trudnych czasach. – Pokręcił głową. – Młoda pani, nie jedź tam. Ty jesteś dobra. – Spojrzał znacząco na Simona, dając do zrozumienia, co o nim myśli.

„Stary opój – pomyślał Simon. – W końcu dostał wina. A kto nie rozłupał mu głowy, chociaż mógł to zrobić?”

– Jedźcie na południe, tam będziecie szczęśliwi – mówił dalej Heanwig nieomal błagalnym tonem. – Trzymajcie się z daleka od Doliny Hasu.

– Musimy tam jechać. Ale ciebie nie zmuszamy – powiedziała Miriamele.

Heanwig od kilku chwil przesuwał się w stronę drzwi. Teraz zatrzymał się z ręką już na drzwiach.

– Dziękuję ci, młoda pani. Niech Światło Aedona ci przyświeca. – Urwał, szukając słów. – Mam nadzieję, że wrócisz bezpieczna.

– I tobie dziękuję, Heanwigu – odparła z powagą Miriamele.

Simon ledwie powstrzymał jęk irytacji, upominając siebie, że przecież rycerzowi nie wypada krzywić się i stękać jak jakiemuś podkuchennemu, zwłaszcza że chodziło o rycerza, który chciał zachować przychylność swojej damy. W końcu staruch nie będzie z nimi podróżował. Oto nagroda za jego wyrozumiałość.

KIEDY WYJECHALI ZE STANSHIRE, znowu zaczął padać deszcz. Początkowo kropiło tylko, lecz z czasem rozpadało się na dobre. Wiejący

mocno wiatr ciskał w nich kaskadami zimnej wody.

– To jest równie nieprzyjemne jak przebywanie na pokładzie statku w czasie burzy! – zawołała Miriamele.

– Na statku masz przynajmniej wiosła! Jeszcze trochę, a będą nam potrzebne! – odkrzyknął Simon.

Miriamele roześmiała się i naciągnęła mocniej kaptur na głowę.

Simon poczuł się lepiej, widząc, że udało mu się ją rozśmieszyć. Wstydził się nieco tego, w jaki sposób obszedł się ze starcem; gdy tylko Heanwig odszedł, szurając nogami, w stronę centrum Stanshire, humor Simona znacznie się poprawił. Teraz trudno mu już było powiedzieć, co takiego rozzłościło go w tym człowieku – w rzeczywistości nie zrobił niczego złego.

Udali się z powrotem do Traktu Rzecznego, jadąc wzdłuż wyjeżdżonych przez wozy kolein, teraz zaledwie błotnistych wgłębień. Okolica stawała się coraz bardziej dzika. Obszar wiejski wokół Stanshire, choć w większości pozostawiony na pastwę chwastów, tu i ówdzie nosił jeszcze ślady niedawnej bytności ludzi w postaci kamiennych murów, ogrodzeń, a nawet kilku zabudowań, ale w miarę jak zostawiali za sobą miasto i przyległe osady, natura przejmowała w posiadanie coraz większy teren.

Było to szczególnie ponure miejsce. Nieomal niekończąca się zima ogołociła z zieleni prawie wszystkie drzewa z wyjątkiem tych wiecznie zielonych; obeszła się surowo nawet z sosnami i świerkami. Simon pomyślał, że dziwne, powyginane pnie i konary drzew przypominają wijące się ludzkie ciała na fresku przedstawiającym Dzień Sądu na ścianie kaplicy w Hayholt. W czasie dłużących się chwil spędzonych w kaplicy przyglądał się zafascynowany scenom bólu, podziwiając inwencję nieznanego malarza. Jednak te powyginane kształty prawdziwego, zimnego i mokrego świata

działały na niego bardzo przygnębiająco. Pozbawione liści dęby, wiązy i jesiony wyciągały ku niebu trupie dłonie nagich konarów, które zaciskały się i rozwierały poruszane wiatrem. Kiedy patrzyło się na posiniałe od chmur niebo i na deszcz siekący o błotniste zbocza wzgórz, miało się wrażenie, że obraz ten jest o wiele bardziej niesamowity niż sceny z kaplicy.

Simon i Miriamele jechali w deszczu, prawie się nie odzywając. Simon był niepocieszony, że księżniczka ani razu nie wspomniała, nawet nie zrobiła żadnej aluzji do ich pocałunku. Zdawał sobie sprawę, że nie był to dzień sprzyjający flirtom, ale ona jakby udawała, że to nigdy nie miało miejsca. Simon nie wiedział, jak się zachować: kilkakrotnie już miał ją o to zapytać, ale nie potrafił znaleźć słów, które nie zabrzmiałyby głupio w świetle dnia. Ten pocałunek przypominał mu nieco jego przybycie do Jao e-Tinukai'i – była to chwila, kiedy czas przestał istnieć. Może – podobnie jak podróż na wzgórze Sithów – to, co przeżyli wspólnie poprzedniej nocy, było czymś magicznym, czymś, co miało ulecieć z pamięci równie szybko jak topniejący w słońcu sopel lodu.

„Nie, nie pozwolę temu ulecieć. Zawsze będę pamiętał... nawet jeśli ona zapomni".

Zerknął na Miriamele. Jej twarz ginęła w kapturze, lecz widział jej nos, kawałek policzka i ostro zarysowaną brodę. Była bardzo podobna do Sithów, pełna wdzięku, piękna, a jednak nie wyróżniała się tak bardzo. O czym myślała? Jak mogła przytulić się do niego, tak jak to zrobiła, a potem nie wspomnieć o tym ani słowem, zmuszając go, by łamał sobie nad tym głowę aż do szaleństwa? A przecież jej pocałunek był równie gorący jak jego. Choć nie wiedział wiele o kobietach i pocałunkach, to nie chciało mu się wierzyć, że taka reakcja nic nie znaczyła.

„Dlaczego jej po prostu nie spytam? Zwariuję, jeśli mi nie powie. A co będzie, jak mnie wyśmieje albo się rozzłości, a może nie będzie pamiętała? – Poczuł ogarniający go chłód na myśl o tym, że Miriamele może nie żywić uczuć równie gorących jak jego własne. Zupełnie odeszła mu już ochota, by sprowokować ją do rozmowy. Pomyśli jeszcze nad tym. – Ale chcę ją jeszcze pocałować”.

Westchnął. Szum deszczu zupełnie zagłuszył ten odgłos.

TRAKT RZECZNY BYŁ BŁOTNISTY i prawie zupełnie pusty. Tak jak Simon przewidywał wcześniej, w ciągu całego dnia spotkali zaledwie kilkunastu podróżnych. Tylko jeden mężczyzna zareagował czymś więcej niż tylko skinięciem głowy; był to krzywonogi woźnica, którego krzywonogi koń ciągnął zakryty wóz pełen wyrobów druciarza. Mając nadzieję na uzyskanie informacji o tym, co znajduje się przed nimi, Simon – zachęcony miłym pozdrowieniem – poprosił mężczyznę, by się zatrzymał. Druciarz stał w deszczu, zadowolony, że może z kimś porozmawiać. Powiedział im, że przed zachodem słońca powinni dojechać do miejsca postojowego. Opowiedział im, że jedzie z Falshire, i wyjaśnił, że miasto jest spokojne, a interesy szły słabo. Upewniwszy się, że Miriamele nie ma nic przeciwko temu, Simon zaprosił mężczyznę, by ten skrył się w kępie sosen, które chroniły ich w znacznym stopniu od deszczu. Poczęstowali go winem, którego natychmiast skosztował, gdy tymczasem Simon powtórzył swoją historię o tym, że jest kupcem artykułów gospodarstwa domowego.

– Bardzo dziękuję. – Druciarz oddał bukłak. – Zawsze to trochę cieplej. – Skinął głową. – Macie okazję zarobić trochę w czasie dnia Świętego Tunatha i Aedonmansy. Powodzenia. Ale jeśli mogę udzielić wam

rady, o którą nie prosiliście, to lepiej nie jedźcie na zachód dalej niż do Falshire.

Simon i Miriamele wymienili szybko spojrzenia, zanim zwrócili się do podróżnego.

– Dlaczego? – spytał Simon.

– Ludzie mówią, że tam jest źle. – Mężczyzna uśmiechnął się jakby wbrew sobie. – Wiecie, jak to gadają. Bandyci i tym podobni. Niektórzy opowiadają nawet o dziwnych rzeczach, jakie zdarzają się wśród wzgórz. – Wzruszył ramionami.

Simon próbował wyciągnąć od niego więcej szczegółów, lecz druciarz nie chciał już więcej mówić. Nigdy wcześniej nie słyszał o wędrownym druciarzu, który nie opróżniłby z radością oferowanego bukłaka, racząc jednocześnie słuchaczy opowieściami z podróży; Simon nie wiedział, czy ten był wyjątkiem, czy też istniało coś, co przestraszyło go na tyle, by siedział cicho. Druciarz sprawiał wrażenie rozsądnego.

– Szukamy jedynie dachu nad głową i pracy, za którą otrzymalibyśmy trochę pieniędzy – powiedział Simon. Druciarz uniósł brwi w zdziwieniu, spoglądając na miecz Simona i wystającą spod płaszcza kolczugę.

– Jesteś dobrze uzbrojony jak na kogoś, kto handluje świecami – zauważył łagodnie. – Ale takie są dzisiaj drogi. – Pokiwał głową w geście aprobaty, jakby chciał powiedzieć, że bez względu na to, co myśli o handlarzu świecami podróżującym w stroju rycerza – obdartego rycerza, który znał lepsze czasy – nie widzi powodu, by zadawać więcej pytań.

Simon natychmiast wyczuł, że powinien zachować podobną postawę uprzejmej rezerwy, i uścisnął druciarzowi dłoń na pożegnanie, kiedy wracali na drogę.

– Czy czegoś wam trzeba? – spytał mężczyzna, chwytając za uzdę konia czekającego cierpliwie w deszczu. – Niektórzy zamiast pieniędzy

dają mi różne rzeczy: warzywa, kawałki metalu, gwoździe do podków i tym podobne.

Simon odpowiedział, że mają wszystko, czego im trzeba, aby dotrzeć do Falshire. Był przekonany, że na wozie nie znajdzie rzeczy, jakich rzeczywiście potrzebowali. Miriamele jednak poprosiła druciarza, by pokazał im warzywa, i wybrała kilka cienkich marchewek oraz cztery brązowe cebule, za które dała druciarzowi monetę. Potem pomachali mu na pożegnanie i patrzyli, jak odchodzi błotnistą drogą.

MIJAŁO SZARE POPOŁUDNIE, lecz deszcz nie ustawał. Simon zaczynał już mieć dość jego bębnienia o własną głowę.

Szkoda, że nie zabrałem ze sobą hełmu – pomyślał. – Ale wtedy pewnie czułbym się jak ktoś z wiadrem na głowie, w które rzucają kamieniami – łup, łup, łup, aż do zwariowania.

Chcąc rozweselić Miriamele, próbował zaśpiewać piosenkę zatytułowaną *Badulf i Zabłąkana Jałówka*, której nauczył go Shem Stajenny; wydała mu się odpowiednia, gdyż była w niej mowa o deszczu, ale okazało się, że zapomniał większość słów, a kiedy śpiewał te, które zapamiętał, wiatr wciskał mu deszcz do gardła z taką siłą, że ledwie mógł złapać oddech. Wreszcie zaprzestał kolejnych prób i dalej jechali w milczeniu.

Niewidoczne przez cały dzień słońce zsunęło się wreszcie za krawędź świata, pozostawiając za sobą ciemniejszy odcień ciemności. Jechali dalej, a deszcz stał się jeszcze zimniejszy, tak że zaczęli szczękać zębami, a ręce zupełnie im zdrętwiały. Simon zaczął już wątpić w prawdziwość słów druciarza, kiedy wreszcie ujrzeli dom przystankowy.

Była to zaledwie szopa, cztery ściany i dach z dziurą na dym i kamiennym kręgiem wkopanym w podłogę na rozpalenie ogniska. Z tyłu

znajdowało się zadaszone miejsce dla koni, lecz Simon rozsiodłał zwierzęta i spętał je, po czym uwiązał w pobliskim lasku, gdzie także mogły schronić się przed deszczem, a do tego poskubać rzadkiej trawy.

Ostatni podróżny, który zatrzymał się w szopie – Simon podejrzewał, że był to sam druciarz, poczciwy i sumienny człowiek – nanosił drewna przed wyjazdem. Najwyraźniej było świeże, gdyż trudno się paliło; Simon próbował trzykrotnie, zanim wreszcie wilgotne gałęzie zajęły się płomieniem. Ugotowali zupę z marchewek, cebuli oraz odrobiny mąki i suszonej wołowiny, jaka pozostała im z zapasów Miriamele.

– Gorąca strawa to wspaniała rzecz – oświadczył Simon, oblizując palce. Podniósł miskę do ust i wylizał starannie jej dno.

– Umoczyłeś sobie brodę – zauważyła stanowczym głosem Miriamele.

Simon otworzył drzwi, po czym wychylił się i wystawił złożone dłonie na zewnątrz, by wypełniły się deszczem. Potem napił się trochę, a resztą obmył brodę.

– Teraz lepiej?

– Tak. – Miriamele zaczęła rozkładać swoje posłanie.

Simon wstał i poklepał się zadowolony po brzuchu. Wyciągnął z torby koc z wojłoku i rozłożył go blisko miejsca Miriamele. Przez chwilę patrzyła na koc w milczeniu, po czym przyciągnęła swój bliżej ognia, zostawiając tym samym kilkanaście łokci wolnej podłogi między nimi.

Simon wydął usta.

– Czy będziemy trzymać straż? – spytał. – Drzwi nie mają zamknięcia.

– Tak byłoby rozsądnie. Kto pierwszy?

– Ja. Mam dużo do przemyślenia.

Ton jego głosu spowodował, że Miriamele podniosła wzrok. Spojrzała na niego z niepokojem, jakby się obawiała, że zrobi coś strasznego.

– Dobrze. Zbudź mnie, kiedy poczujesz się zmęczony.

– Jestem zmęczony. Ale ty także. Spij. Obudzę cię, kiedy trochę odpoczniesz.

Miriamele ułożyła się na swoim posłaniu i owinęła ciasno płaszczem. W szopie panowała cisza przerywana tylko bębnieniem deszczu o dach. Simon długo siedział nieruchomo, wpatrując się w płomienie skaczące po jej bladej twarzy.

JAKIŚ CZAS PO PÓŁNOCY Simon złapał się na tym, że kiwa się, zasypiając. Wyprostował się i potrząsnął głową. Deszcz przestał padać, lecz z dachu wciąż kapała woda.

Podpełzł do Miriamele, by ją obudzić, lecz zatrzymał się i spojrzał na jej postać, widoczną w czerwonym blasku dogasającego żaru. Odwróciła się we śnie, odrzucając nieco płaszcz, którym się okryła, a jej koszula wysunęła się ze spodni, odsłaniając białe ciało. Simon czuł, jak bije mu serce. Tak bardzo pragnął jej dotknąć. Jego dłoń, najwyraźniej z własnej woli, wysunęła się do przodu i opadła delikatnie jak motyl na jej skórę. Była chłodna i gładka. Poczuł dreszcz na jej ciele.

Miriamele wydała niewyraźny pomruk zniecierpliwienia i machnęła dłonią, jakby motyle miały być mniej przyjemnymi spośród pełzających istot. Simon szybko cofnął dłoń. Przez chwilę siedział, z trudem łapiąc oddech, czując się jak złodziej, którego nieomal nakryto na kradzieży. Wreszcie jeszcze raz wyciągnął rękę, lecz tym razem potrząsnął delikatnie jej ramieniem.

– Miriamele. Obudź się, Miriamele.

Chrząknęła i odwróciła się do niego plecami. Simon potrząsnął nią trochę mocniej. Mruknęła coś, protestując, i sięgnęła po płaszcz, jakby chciała się obronić przed niepokojącym ją duchem.

– Miriamele. Teraz twoja kolej.

Księżniczka spała głęboko. Simon pochylił się i szepnął wprost do jej ucha:

– Obudź się. Już czas. – Jej włosy muskały jego policzek.

Miriamele uśmiechnęła się tylko, jakby wyczuwała jakiś żart.

Wciąż nie otwierała oczu. Simon położył się obok niej i wpatrywał długo w wygięcie policzka widocznego w czerwonym świetle. Zsunął dłoń z jej ramienia i położył ją na jej talii, a potem przysunął się bliżej, tak że jego pierś dotykała pleców Miriamele. Teraz jego policzek zanurzył się w jej włosach, a jego ciało otoczyło jej ciało. Miriamele wydała odgłos, który mógł wyrażać zadowolenie, a potem odepchnęła go delikatnie i znieruchomiała. Simon wstrzymał oddech w obawie, że się obudzi albo on sam kichnie lub zakaszle i zepsuje ten wspaniały moment. Całe jego ciało czuło jej ciepło. Była mniejsza od niego, o wiele mniejsza: mógł owinąć się wokół niej i chronić ją jak zbroja. Pomyślał, że mógłby tak leżeć w nieskończoność.

Leżeli tak jak dwa kocięta, aż Simon zasnął. Konieczność trzymania warty uleciała z jego umysłu jak liść uniesiony prądem rzeki.

Kiedy się obudził, stwierdził, że jest sam. Miriamele była na zewnątrz i czyściła swojego konia. Gdy wróciła do środka, zjedli chleba i napili się wody. Nie wspomniała ani słowem o nocy, lecz Simon wyczuł, że nie jest już tak drażliwa, jakby jej chłód stopniał nieco w czasie, kiedy spali tak blisko siebie.

JESZCZE PRZEZ SZEŚĆ DNI jechali Traktem Rzecznym; musieli posuwać się wolno ze względu na deszcze, które zamieniały drogę w grzęzawisko. Pogoda była tak podła, a droga opustoszała, że Miriamele coraz mniej obawiała się, że ktoś ich odkryje, chociaż wciąż zakrywała

twarz, kiedy przejeżdżali przez małe osady jak Bregshame czy Garwynswold. Noce spędzali w szopach przystankowych albo pod przeciekającymi dachami przydrożnych kapliczek. Kiedy siedzieli wieczorem po kolacji Miriamele opowiadała Simonowi o swoim dzieciństwie w Meremundzie. On zaś opowiadał o dniach spędzonych wśród podkuchennych i pokojówek. Ale z czasem zaczął mówić coraz więcej o Doktorze Morgenesie; opowiadał o jego poczuciu humoru, o tym, jak czasem się złościł, o jego niechęci do tych, którzy nie lubili zadawać pytań, a także o zachwycie staruszka nad niespodziewaną złożonością życia.

W noc po tym, jak minęli Garwynswold, Simon rozpłakał się, opowiadając o niesamowitych rzeczach dotyczących uli, jakie usłyszał od Morgenesa. Miriamele patrzyła zdumiona, jak próbuje powstrzymać łzy; później patrzyła dziwnym wzrokiem, tak jak jeszcze nigdy dotąd, i choć w pierwszej chwili on sam zawstydził się swojego zachowania, to musiał przyznać, że w jej wzroku nie dostrzegł pogardy.

– Chciałbym, żeby on był moim ojcem albo dziadkiem – powiedział później.

Leżeli już na swoich odpowiednio oddalonych posłaniach. Wprawdzie Miriamele znajdowała się na wyciągnięcie ramienia, miał jednak wrażenie, że jest bliżej niego niż w którąkolwiek noc od czasu ich pocałunku. Oczywiście od tamtego czasu był bardzo blisko niej, ale ona wtedy spała. Teraz leżała niedaleko w ciemności, a on czuł nieomal milczącą zgodę, jaka wyrastała między nimi. – Taki był dla mnie dobry. Szkoda, że nie żyje.

– Był dobrym człowiekiem.

– Kimś więcej. Był... był kimś, kto robił coś wtedy, kiedy powinno być zrobione. – Simon poczuł ucisk w gardle. – Zginął po to, żebyśmy z Josuą

mogli uciec. Traktował mnie jak... jak swojego syna. To nie w porządku. Czemu on musiał umrzeć?

– Nikt nie powinien musieć umierać – powiedziała wolno Miriamele. – Szczególnie jeśli jeszcze żyją.

Simon leżał w milczeniu, niepewny, czy rozumie jej słowa. Zanim zdążył ją zapytać, poczuł, że jej chłodne palce dotykają jego dłoni i zostają w niej.

– Śpij dobrze – szepnęła.

Kiedy jego serce uspokoiło się, jej dłoń wciąż tam była. Wreszcie zasnął, wciąż ściskając delikatnie jej dłoń, jakby trzymał pisklę.

NIE TYLKO DESZCZE I SZARA MGŁA dawały się im we znaki. Cały krajobraz przykryty całunem złej pogody wydawał się martwy – plątanina kamieni, kości i pajęczyn. Mieszkańcy miast wydawali się zmęczeni i wystraszeni, pozbawieni nawet ciekawości i podejrzliwości, jakimi zwykle obdarza się podróżnych. Nocą błotniste ulice pustoszały, a ludzie zamykali okiennice. Simon miał wrażenie, że przejeżdżają przez miasta duchów, jakby prawdziwi mieszkańcy dawno już odeszli, pozostawiając za sobą cienie poprzednich pokoleń, skazane na bezcelowe nawiedzanie swoich domów.

Po południu siódmego dnia od wyjazdu ze Stanshire Simon i Miriamele wyjechali zza zakrętu rzeki i ujrzeli przysadzisty zamek Falshire, widoczny na zachodnim horyzoncie. Niegdyś wzgórze, na którym stał zamek, pokrywała soczysta trawa niczym królewski płaszcz, lecz teraz pola ziały pustką, a pod wierzchołkiem widać było nawet płaty śniegu. U podnóża wzgórza znajdowało się otoczone murami miasto, które wyrosło na obu brzegach rzeki stanowiącej jego duszę. W tutejszych dokach ładowano na statki skóry i wełnę, które wywożono do Kynslagh; statki powracały ze

złotem i innymi dobrami, dzięki którym Falshire stało się jednym z najbogatszych miast Osten Ard, ustępującym tylko Erchesterowi.

– Ten zamek należał do Fengbalda – powiedziała Miriamele. – I pomyśleć, że mój ojciec chciał mnie za niego wydać! Ciekawe, który z jego krewnych rezyduje tu teraz. – Zacisnęła usta. – Jeśli nowy pan jest podobny do poprzedniego, to mam nadzieję, że wszystko to zawali się kiedyś na niego.

Simon wytężył wzrok w zapadającym zmroku, który sprawiał, że zamek przypominał zaledwie dziwnie ukształtowaną czarną skałę, po czym wskazał na miasto, by odwrócić jej uwagę.

– Dojedziemy do miasta Falshire, zanim zapadnie noc. Mamy okazję zjeść dzisiaj prawdziwy posiłek.

– Mężczyźni zawsze myślą o swoim żołądku.

Simon uznał jej sąd za niesprawiedliwy, ale z zadowoleniem przyjął fakt, że nazwała go mężczyzną.

– Co powiesz na noc spędzoną w ciepłej gospodzie?

Miriamele pokręciła głową.

– To prawda, że dotąd mieliśmy szczęście, ale z każdym dniem zbliżamy się do Hayholt. Byłam w Falshire wielokrotnie. Moglibyśmy spotkać tam kogoś, kto by mnie rozpoznał.

Simon westchnął.

– Dobrze. Ale chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym tam poszedł i kupił coś do jedzenia, tak jak zrobiłem to w Stanshire?

– Pod warunkiem, że nie każesz mi czekać tutaj przez całą noc. Nie dość, że jestem biedną żoną wędrownego handlarza, to jeszcze miałabym wystawać na deszczu, czekając na męża, który będzie popijał sobie piwo przy ogniu?

Simon uśmiechnął się szeroko.

– Biedna żona handlarza.

Miriamele spojrzała na niego ponuro.

– Biedny będzie handlarz, jeśli rozzłości żonę.

WNĘTRZE GOSPODY O NAZWIE „TARBOX” było jasno oświetlone, jakby na jakąś uroczystość, lecz kiedy Simon zajrzał do środka, odniósł wrażenie, że panujący tam nastrój wcale nie jest tak wesoły. Znajdowało się tam dość dużo ludzi, ze dwa lub trzy tuziny podróżnych rozrzuconych po całej jadalni, lecz siedzący rozmawiali tak cicho, że Simon słyszał kapanie kropli ściekających z ich płaszczy.

Ruszył przez jadalnię między zatłoczonymi ławkami. Widział odwracające się głowy i słyszał nieco głośniejsze szepty, lecz nie podnosił wzroku. Karczmarz, chudy mężczyzna o zmierzwionych włosach i twarzy pokrytej kropelkami potu, podniósł wzrok znad rusztu.

– Tak? Potrzebujesz pokoju? – Spojrzał na podarte ubranie Simona. – Dwa piątaki za noc.

– Chcę tylko kilka kawałków baraniny i trochę chleba. Może jeszcze trochę piwa. Moja żona czeka na zewnątrz. Przed nami jeszcze kawał drogi.

Karczmarz krzyknął do kogoś z sali, by czekał cierpliwie, i spojrzał na Simona podejrzliwie.

– Musisz mieć własny dzban na piwo, gdyż nie pozwalam wynosić swoich na zewnątrz. – Simon pokazał mu dzban. – Sześć cintisów za wszystko. Płacisz teraz.

Nieco poirytowany, Simon położył monety na ladzie. Karczmarz obejrzał je starannie, po czym schował do kieszeni i odszedł.

Simon odwrócił się i rozejrzał po sali. Większość siedzących wydawała się należeć do miejscowych: ubrani ubogo i jakby zadomowieni na swoich

miejscach. Tylko niewielu wyglądało na podróżnych, chociaż karczma ta była jedną z położonych najbliżej bram miasta i Traktu Rzecznego. Niektórzy także spojrzeli na niego, lecz nie dostrzegł w ich wzroku wrogości czy choćby zaciekawienia. Jeśli można by sądzić po tej karczmie, to ludzie z Falshire mieli wiele wspólnego z owcami, które tutaj hodowali i strzygli.

Simon odwrócił się właśnie, by rozejrzeć się za karczmarzem, gdy nagle wyczuł jakieś poruszenie. Pomyślał, że może jednak jego wizyta wywołała większe zainteresowanie, niż podejrzewał. W następnej chwili poczuł na karku powiew zimnego powietrza.

Drzwi gospody otworzyły się. Na tle wody ściekającej z dachu gospody stały trzy białe postacie i rozglądały się po sali. Simon dostrzegł, że wszyscy siedzący wewnątrz skulili się nieco. Zaczęli rozglądać się nerwowo na boki, rozmowy cichły lub wzmagały się, a siedzący najbliżej drzwi zaczęli powoli przesuwać się do wyjścia.

Także i Simon chciał w pierwszej chwili zrobić to samo.

„To muszą być Tancerze Ognia” – pomyślał. Serce zabiło mu żywiej. Czy widzieli Miriamele? Ale przecież ona nie ma dla nich żadnego znaczenia.

Simon oparł się o długi stół, udając niewielkie zainteresowanie przybyłymi. Dwóch z nich było potężnie umięśnionymi mężczyznami, którzy przypominali dokerów z portu w Hayholt; w rękach trzymali tępo zakończone pałki, które wydawały się bardziej przydatne do rozłupywania czaszek niż do podpierania się w czasie wędrówek. Trzeci z nich – pewnie przywódca, sądząc z pozycji, jaką zajął na przodzie – był niskim i krępym mężczyzną o byczym karku; on także dzierżył pałkę. Kiedy odrzucił do tyłu mokry od deszczu kaptur, jego łysiejąca, okrągła głowa zalśniła w blasku lamp. Był starszy od swoich towarzyszy i miał bystre, świńskie oczy.

Rozmowy wróciły do swojego normalnego tonu, lecz kiedy Tancerze Ognia ruszyli wolno przez salę, wciąż podążały za nimi ukradkowe spojrzenia. Przybysze najwyraźniej szukali kogoś lub czegoś. Przez chwilę Simon poczuł bezradny strach, kiedy spojrzenie ciemnych oczu przywódcy spoczęło na nim, lecz mężczyzna uniósł szyderczo brwi na widok jego miecza i skierował spojrzenie na kogoś innego.

Simon odetchnął z ulgą. Bez względu na to, czego chcieli, nie chodziło im o niego. Wyczuwając czyjąś obecność za sobą, odwrócił się szybko i ujrzał karczmarza z wyszczerbioną tacą. Mężczyzna dał Simonowi baraninę i chleb, które ten owinął w chustkę, po czym nalał do dzbana piwa. Karczmarz zerkał na niego, kiedy to robił, lecz jego uwaga pozostawała skupiona na trzech ubranych na biało obcych, dlatego bąknął tylko coś niezrozumiale w odpowiedzi na uprzejme podziękowanie Simona. Simon ucieszył się, że może już wyjść.

Kiedy otworzył drzwi, dostrzegł bladą, zmartwioną twarz Miriamele, przyczajonej w cieniu po drugiej stronie ulicy. W tej samej chwili w sali rozległ się głośny, szyderczy głos:

– Chyba nie sądziłeś, że nie zauważymy twojego odejścia?

Simon znieruchomiał, a potem zaczął się powoli odwracać.

W jednej ręce trzymał zawiniątko z jedzeniem, a w drugiej, tej, w której zwykle trzymał miecz, dzban z piwem. Zastanawiał się, czy rzucić dzban i wyciągnąć miecz, czy może zachować dzban – może mógłby nim rzucić? Haestan udzielił mu kilku lekcji na temat awantur w gospodach, chociaż głównie podkreślał, by ich unikać.

Skończył się odwracać, przekonany, że ujrzy twarze groźnych Tancerzy Ognia, lecz ku swemu zdumieniu stwierdził, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Trzej mężczyźni w białych szatach stali przy ławce najbardziej

oddalonej od ognia. Siedzący tam mężczyzna i kobieta w średnim wieku spojrzeli na nich bezradnie; na ich twarzach malowało się przerażenie.

Przywódca Tancerzy Ognia pochylił się do przodu, zniżając łysą głowę niemal do poziomu stołu. Chociaż jego pozycja wskazywała na to, że chciałby zachować dyskrecję, to jego głos rozległ się donośnie w całej sali:

– No. Chyba nie myśleliście, że możecie tak po prostu odejść?

– M...Maefwaru – jęknął mężczyzna. – My nie... nie mogliśmy... myśleliśmy, że...

Tancerz Ognia położył masywną dłoń na stole, uciszając go.

– Nie takiego oddania oczekuje Król Burz. – Wydawało się, że mówi cicho, lecz mimo to Simon słyszał w drzwiach każde jego słowo. Pozostali przyglądali się sparaliżowani strachem. – Nasze życie należy do Niego, ponieważ On obdarzył nas łaską ujrzenia tego, co będzie, i pozwolił nam w tym uczestniczyć. Nie możecie się od Niego odwracać.

Mężczyzna poruszał ustami, lecz nie wypowiedział ani słowa. Jego żona także siedziała w milczeniu, lecz po jej policzkach płynęły łzy, a ramiona drżały. Nie ulegało wątpliwości, że ogromnie bali się tego spotkania.

– Simonie!

Obejrzał się i spojrzał na ulicę. Miriamele stała zaledwie o kilka kroków na środku błotnistej ulicy.

– Co ty wyprawiasz? – spytała głośnym szeptem.

– Zaczekaj.

– Simonie, tam są Tancerze Ognia! Przecież ich widziałeś!

Powstrzymał jej dalsze protesty uniesioną dłonią – znowu odwrócił się do wnętrza gospody. Dwaj ogromni Tancerze Ognia wyciągali kobietę i mężczyznę zza stołu; kobietę ciągnęli po podłodze, kiedy straciła

równowagę. Teraz krzyczała już z całych sił, lecz jej towarzysz wbił wzrok w podłogę i mruczał coś żałośnie.

Simon poczuł wzbierającą w nim falę gniewu. Dlaczego nikt nie próbował im pomóc? Jest ich ze dwa tuziny, a Tancerzy Ognia tylko trzech!

Miriamele pociągnęła go za rękaw.

– Czy coś tam się dzieje? Chodźmy już, Simonie!

– Nie mogę – powiedział spokojnie, lecz stanowczo. – Oni zabierają gdzieś tych dwoje ludzi.

– Simonie, nie możemy dać się złapać. Nie czas teraz na bohaterskie czyny.

– Nie mogę pozwolić, żeby ich tak po prostu zabrali. – Modlił się, by ktoś z siedzących wstał, żeby ktoś im się przeciwstawił. Miriamele miała rację: nie mogli sobie pozwolić na nic głupiego. Ale wszyscy pozostali siedzieli tylko i szeptali.

Przeklinając siebie za głupotę oraz Boga czy Los za to, że postawił go w takiej sytuacji, wyrwał rękaw z uchwytu Miriamele i wszedł z powrotem do gospody. Położył ostrożnie pod ścianą zawiniątko i dzban i przesunął dłoń na rękojeść miecza.

– Przestańcie! – odezwał się głośno.

– Simonie!

Teraz wszystkie głowy rzeczywiście zwróciły się w jego stronę. Ostatni odwrócił się przywódca Tancerzy Ognia. Chociaż był tylko nieznacznie niższy od przeciętnego mężczyzny, to jego głowa i twarz o rozszczepionej brodzie upodabniała go do karła. Tym razem jego oblicze nie było już tak pogodne.

– Co? Przestańcie, powiadasz? Co mamy przestać?

– Ci ludzie chyba nie chcą iść z wami. – Simon spojrzał na schwytanego mężczyznę, który szarpał się nieudolnie, przytrzymywany

przez ogromnego Tancerza Ognia. – Czy nie tak?

Schwytany spoglądał przerażonym wzrokiem to na Simona, to na swojego strażnika. Wreszcie potrząsnął głową. Simon zrozumiał, że to, czego mężczyzna tak się obawia, musi być okropne, i że pogarsza jeszcze swoją sytuację, czyniąc ten desperacki gest w nadziei – pewnie płonnej – że Simon go przed tym uchroni.

– Widzicie? – Simon starał się, choć nie do końca mu się to udało, mówić spokojnie i stanowczo. – Oni nie chcą iść z wami. Uwolnijcie ich. – Serce waliło mu głośno. Jego własne słowa wydały mu się dziwnie formalne, rozmyślnie tak górnolotne, jakby snuł opowieść o sławnym Tallistro.

Łysy mężczyzna rozejrzał się po sali, jakby chciał sprawdzić, kto jeszcze gotów jest poprzeć Simona. Nikt się nie poruszył; wszyscy wydawali się oddychać jednym wstrzymanym oddechem. Tancerz Ognia odwrócił się do Simona, a na jego grubych ustach pojawił się grymas uśmiechu.

– Ci ludzie złamali przysięgę złożoną swojemu Panu. To nie jest twoja sprawa.

Simon czuł wściekłość. Widział już tyle niegodziwej przemocy, od panoszących się po całym kraju łotrów Króla do okrucieństwa Pryratesa. Ścisnął mocniej rękojeść miecza.

– Teraz to już i moja sprawa. Zabierz łapy i wynoście się.

Przywódca nic mu nie odpowiedział, lecz rzucił jedno słowo do swojego towarzysza, który puścił trzymaną kobietę – ta opadła na stół, zrzucając miskę – i skoczył do Simona, wywijając swoją pałką. Kilka osób krzyknęło ze strachu, a może podniecenia. Simon zamarł na moment z na wpół wyciągniętym mieczem.

– Idiota! Gamoń!

Przykucnął do samej ziemi i kij zaświszczał tuż nad jego głową, zrzucając ze ściany kilka płaszczy i zaplątując się w nie. Simon wykorzystał ten moment i rzucił się na nogi przeciwnika. Obaj upadli, a miecz Simona wysunął się z pochwy i opadł w sitowie, którym wysypano podłogę. Uderzył się w ramię – jego przeciwnik był ciężki i dobrze zbudowany. Kiedy wyswobodził się z uścisku Tancerza Ognia, ten zdołał zadać mu cios pałką w nogę; Simon poczuł zimno jak od rany nożem. Przeturlał się i z wdzięcznością poczuł pod palcami rękojeść miecza. Przeciwnik zdążył już wstać i zbliżał się do niego; pałka w jego dłoni śmigała niczym wąż. Simon kątem oka dostrzegł, że zbliża się też drugi z Tancerzy.

„Wszystko po kolei” – pomyślał. Powtarzała mu to Rachel, kiedy próbował iść w swoją stronę przed wykonaniem obowiązków. Wstał, szeroko rozstawiając nogi, i zablokował mieczem uderzenie pałką. W zamieszaniu, jakie teraz zapanowało w gospodzie, trudno było mu przypomnieć sobie wszystko, czego się nauczył. Ale wiedział, że dopóki jego miecz znajduje się między nim a jego przeciwnikiem, zdoła utrzymać go na dystans. Lecz co będzie, kiedy nadejdzie drugi?

Odpowiedź otrzymał nieomal natychmiast, kiedy kątem oka dostrzegł niewyraźny ruch i zdążył zrobić unik. Pałka drugiego przeciwnika przeleciała tuż obok i uderzyła w kij jego towarzysza. Nie odwracając się, Simon cofnął się o krok i zamachnął się mieczem z całych sił. Miecz sięgnął ramienia atakującego od tyłu, który wydał okrzyk złości. Tancerz Ognia upuścił pałkę i zatoczył się w stronę drzwi, chwytając się za ramię. Simon skierował uwagę na stojącego naprzeciw niego przeciwnika, mając nadzieję, że jego towarzysz został pokonany albo chociaż wyeliminowany z walki na kilka cennych chwil. Pierwszy z atakujących wyciągnął wnioski

z tego, co zobaczył, i nie zbliżał się za bardzo, lecz wciąż atakował pałką, by zmusić Simona do obrony.

Z tyłu rozległ się huk. Simon, zaskoczony, nieomal stracił z pola widzenia pierwszego z atakujących. Widząc to, mężczyzna podniósł pałkę, by zadać kolejny cios w jego głowę. Simon zdołał zablokować cios mieczem. Kiedy Tancerz Ognia uniósł ponownie pałkę, także i Simon uniósł swój miecz, podbijając broń przeciwnika jeszcze wyżej, tak że uderzyła w niską krokiew i zaplątała się w wiszącą pod strzechą sieć. Tancerz Ognia patrzył przez chwilę w górę zdumiony; w następnym momencie Simon przysunął się, przyłożył miecz do jego tułowia i pchnął mocno. Zaraz potem wyszarpnął miecz, spodziewając się ataku któregoś z pozostałych przeciwników.

Nagle otrzymał cios z boku, który rzucił go na stół. Przez moment patrzył oszołomiony wprost w przerażoną twarz któregoś z gości. Odwrócił się i zobaczył, że mężczyzna, który go pchnął, Tancerz o imieniu Maefwaru, przeciska się między stołami w kierunku drzwi. Nie zatrzymał się, by spojrzeć na swych towarzyszy – jednego zabił Simon, a drugi leżał blisko drzwi w dziwnej pozycji.

– Nie ujdzie ci to płazem! – zawołał Maefwaru, znikając w ciemności nocy.

Chwilę później do gospody weszła Miriamele. Spojrzała na leżącego na ziemi napastnika, którego Simon zranił w ramię.

– Rozbiłam nasz dzban na jego głowie – powiedziała zdyszana. – Ale ten, który właśnie wybiegł, sprowadzi ich więcej. Co za pech! Nie miałam niczego pod ręką, żeby i jemu przyłożyć! Musimy uciekać.

– Konie – wysapał Simon. – Czy one...?

– Są tutaj. Chodź.

Simon schylił się i chwycił zawiniątko z jedzeniem, które wcześniej zostawił na podłodze. Chustka była mokra od piwa. Rozejrzał się po sali. Mężczyzna i kobieta, których chcieli zabrać Tancerze Ognia, stali skuleni pod ścianą i patrzyli wzrokiem równie przerażonym jak pozostali.

– Wy lepiej też się stąd zabierajcie! – zawołał do nich. – Ten łysy przyprowadzi ich więcej! Uciekajcie!

Wszyscy patrzyli teraz na niego. Simon chciał powiedzieć coś mądrego albo odważnego – bohaterowie zwykle tak czynili – ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Na jego mieczu widniała prawdziwa krew, a żołądek podchodził mu do gardła. Poszedł za Miriamele, pozostawiając za sobą dwa ciała i ludzi wytrzeszczających oczy w milczeniu.

32. Krąg się zacieśnia

ŚNIEG ZELŻAŁ NIECO, LECZ WIATR WCIĄŻ HULAŁ na zboczu poniżej Naglimundu, świszcząc na zębach pokruszonego muru. Hrabia Eolair podjechał do Maegwin; w duchu pragnął ją ochronić nie tylko przed zimnem, lecz także przed horrorem nagich, kamiennych wież oraz ich migających światłami okien.

Spośród szeregu Sithów wysunął się Yizashi Szara Włócznia z lancą trzymaną pod pachą. Uniósł drugą rękę i machnął czymś, co wyglądało jak srebrna pałeczka. Jego dłoń zatoczyła szeroki łuk, wydając głośny, melodyjny dźwięk; srebrna pałeczka rozłożyła się niczym wachlarz, tworząc lśniącą półkolistą tarczę.

– *A y'ei g'eisu!* – zawołał w kierunku patrzącej ślepo twierdzy. – *Yas'a pripurna joshoi!*

Światła w oknach Naglimundu jakby zadrżały, niczym poruszone wiatrem płomienie świec, kiedy w ich głębi poruszyły się cienie. Eolair czuł nieodpartą chęć, by odwrócić się i uciec. To miejsce nie należało już do ludzi, a zżerający go strach, jaki odczuwał, w niczym nie przypominał pełnego oczekiwania podniecenia przed bitwą ludzi. Odwrócił się do Maegwin. Oczy miała zamknięte, a jej usta poruszały się niemo. Isorn wydawał się równie niewzruszony, lecz kiedy Eolair obrócił się w siodle i spojrzał do tyłu, oblicza pozostałych Hernystirczyków – oblicza o pustym spojrzeniu i otwartych ustach – przypominały twarze trupów.

„Bryniochu, miej nas w opiece – pomyślał hrabia. – To nie jest miejsce dla nas. Uciekną w jednej chwili, jeśli tylko zrobię coś nie tak”.

Wysunął miecz z pochwy i pokazał go swoim ludziom, a potem uniósł wysoko nad głowę, zanim go ponownie opuścił. Niewielki przykład odwagi, ale zawsze coś.

Teraz podjechali Jiriki i jego matka Likimeya i zatrzymali się po obu stronach Yizashiego. Przez chwilę rozmawiali szeptem, po czym Likimeya wysunęła się jeszcze bardziej do przodu. Niespodziewanie zaczęła śpiewać.

Jej głos, początkowo słaby na tle wyjącego wiatru, stopniowo nabierał siły. Sithijska pieśń, pełna dziwnych, cmokających i gardłowych dźwięków, płynęła gładko jak ciepła oliwa wylewana ze słoja. Pieśń wznosiła się i opadała, za każdym razem rozbrzmiewając coraz głośniej. Chociaż Eolair nie rozumiał ani słowa, wyczuwał w jej tonach oskarżycielską, wyzywającą nutę. Głos Likimeyi niósł się jak dźwięk rogu heralda i, tak jak w przypadku rogu, przez muzykę przebijał krąg zimnego metalu.

– Co tu się dzieje? – spytał szeptem Isorn.

Eolair dał mu znak, by milczał.

Wydawało się, że mgła unosząca się przed murami Naglimundu zgęstniała, jakby kończył się jeden sen, a zaczynał drugi. W głosie Likimeyi coś się zmieniło. Dopiero po jakimś czasie Eolair zorientował się jednak, że jej głos się nie zmienił, lecz przyłączył się do niego inny. Początkowo nowa melodia rozbrzmiewała blisko pierwszej, pełnej wyzwania. Drugi głos był równie silny jak Likimeyi, lecz tam, gdzie w jej pieśni rozbrzmiewał metal, w drugiej słychać było kamień i lód. Potem drugi głos zaczął krążyć wokół pierwszej melodii, przypominając delikatne dzwonienie szkła na tle dźwięcznego rogu. Słysząc ten dźwięk, Eolair poczuł, jak podnoszą się włosy na całym jego ciele.

Eolair spojrzał w górę. Jego serce zabiło jeszcze szybciej.

Na murze zamku pojawił się czarny cień; wyłonił się z mgły tak płynnie, jakby unosiła go niewidzialna dłoń. Eolair zdecydował, że postać jest wielkości człowieka, tyle tylko że zniekształca ją mgła, przez co raz wydawała się o wiele większa, by za chwilę zmniejszyć się nieprawdopodobnie. Ubrana w czarny płaszcz postać z twarzą schowaną w kapturze spojrzała na nich z góry. Eolair nie musiał oglądać twarzy, by się domyślić, że to ona jest źródłem twardego jak kamień głosu. Długo postać stała na szczycie muru i śpiewała do wtóru pieśni Likimeyi. Wreszcie, jakby za obopólną zgodą, śpiewający umilkli jednocześnie.

Likimeya pierwsza przerwała ciszę, wołając coś w języku Sithów. Czarna zjawa odpowiedziała; jej słowa rozbrzmiewały niczym grzechotanie krzemieni, lecz Eolair rozpoznał ten sam język, tyle tylko że różniący się intonacją i chropowatością dźwięków. Ich rozmowa wydawała się nie mieć końca.

Za nim coś się poruszyło. Eolair drgnął, a jego koń zaczął kopać ziemię przestraszony. Niebiańskowłosa Zinjadu podjechała wolno do śmiertelników.

– Rozmawiają o Pakcie *Sesuad’ra*. – Nie odrywała wzroku od Likimeyi i jej rozmówcy. – Rozmawiają o ranach i pieśniach żałobnych, które należy odśpiewać.

– Dlaczego tyle mówią? – spytał Isorn urywanym głosem. – To czekanie jest nie do zniesienia.

– Tak postępujemy. – Zinjadu zacisnęła usta; jej szczupła twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w jasnozłocistym kamieniu. – Chociaż złamano obyczaj, kiedy zabito Amerasu.

Nic już nie powiedziała. Eolair mógł tylko czekać i starać się opanować strach; odczuwał pełną przerażenia monotonię, słysząc kolejne wyzwania i odpowiedzi.

Wreszcie zjawa na murze zwróciła swoją uwagę na innych; jej wzrok spoczął na Eolairze i pozostałych Hernystirczykach. Potem zamaszystym gestem zrzuciła z głowy kaptur, ukazując białą twarz i jasne włosy, które rozwiewały się na wietrze niczym unoszone na morzu rośliny.

– *Shu'do-tkzayha!* – przemówił Norn tonem pełnym egzaltacji. – Śmiertelnicy! Likimeyo Księżycooka, oni będą zagładą twojej rodziny! – Mówił, jeśli to był on, w języku Westerling, przypominając gajowego naśladującego śmiertelny pisk królika. – Czy jesteście tak słabi, żeby uciekać się do pomocy tego motłochu? Oni nie przypominają wielkiej armii Sinnacha!

– To wy zajęliście zamek śmiertelników – odparła chłodno Likimeya. Siedzący obok niej na koniu Jiriki wciąż trwał nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy. Eolair zastanawiał się, czy możliwe było kiedykolwiek powiedzieć, że zna Sithów. – To twój pan i twoja pani wdali się w spory śmiertelników, więc nie masz o czym jazgotać.

Śmiech Norna zabrzmiał jak skrobanie paznokcia po płycie.

– Owszem, wykorzystujemy ich. Są szczurami, które wgryzły się w ściany naszego domu; moglibyśmy obedrzeć ich ze skóry, żeby zrobić rękawiczki, ale nie zapraszamy ich do naszego stołu! W tym wasza słabość, podobnie jak słabość Amerasu Urodzonej Na Statku.

– Nie wymawiaj jej imienia! – zawołał Jiriki. – Twoje usta są zbyt plugawe, Akhenabi!

Postać na murze znowu się uśmiechnęła, błyskając bielą.

– Ach, mały Jiriki. Słyszałem o tobie i twoich przygodach czy raczej plątaninie przygód. Powinieneś był przyjść do nas, na Północ. Nabrałbyś siły na naszej zimnej ziemi. Tolerancja wobec śmiertelników jest oznaką wielkiej słabości. Dlatego właśnie twoja rodzina stała się tak rozpustna, gdy tymczasem moja nabrała siły i stała się jeszcze bardziej zdolna do zrobienia

tego, co musi zostać zrobione. – Norn odwrócił się i uniósł głowę, zwracając swoje słowa do Eolaira i szepczących nerwowo Hernystirczyków: – Śmiertelnicy! Walcząc u boku nieśmiertelnych, ryzykujecie więcej niż tylko swoje życie! Ryzykujecie także swoje dusze!

Eolair słyszał wzmagające się za nim szepty. Wysunął się nieco do przodu i uniósł miecz.

– Twoje groźby są puste! – zawołał. – Róbcie, co chcecie! Nasze dusze należą do nas!

– Hrabio Eolairze! – zawołała Maegwin. – Nie! To jest Scadach, Dziura w Niebiosach! Nie jedź dalej.

Akhenabi pochylił się do przodu, kierując spojrzenie czarnych oczu na hrabiego.

– To ty jesteś kapitanem śmiertelników, czy tak? Mały człowieczku, skoro nie obawiasz się o siebie ani o swoje wojsko, to co ze śmiertelnikami wciąż uwięzionymi w zamku?

– O czym mówisz? – zawołał Eolair.

Czarna postać odwróciła się i uniosła ramiona. Z tyłu za nią wyłoniły się dwie inne postacie. One także ubrane były w ciężkie płaszcze, lecz ich niezgrabne ruchy odróżniały ich od zwinnych Nornów.

– Oto niektórzy spośród waszych braci! – oświadczył triumfalnie Akhenabi. – Są naszymi gośćmi. Czy chciałbyś, aby i oni umarli dla dobra waszych nieśmiertelnych sprzymierzeńców? – Obie postacie stały nieruchomo, zgarbione. Twarze widoczne spod kapturów z pewnością były twarzami ludzkimi, a nie Urodzonych w Ogrodzie.

Eolair poczuł przypływ bezsilnej wściekłości.

– Wypuść ich!

Norn roześmiał się, zadowolony.

– Ach, nie, mały śmiertelniku. Dobrze tutaj jest naszym gościom. Czy chcesz, żeby pokazali, jak bardzo się cieszą? Może chcesz, żeby zatańczyli? – Uniósł dłoń i wykonał skomplikowany gest. Postacie zaczęły się wolno obracać. Potem uniosły ramiona i zaczęły koszmarną parodię dworskiego tańca, kołysząc się i potykając przed rozbawionym Nornem. Na chwilę objęły się ciasno, chwiejąc na krawędzi muru, a potem znowu się oddzieliły i tańczyły osobno.

Poprzez łzy Eolair zobaczył, że Jiriki podjeżdża jeszcze bliżej muru. Sitha sięgnął po łuk; potem ruchem tak szybkim, że prawie niewidocznym, wyciągnął strzałę z kołczanu zawieszonego na siodle, założył na cięciwę i naciągnął ją. Stojący na murze Akhenabi roześmiał się jeszcze głośniej. Wykonał dziwny ruch, jakby zadrżał, i w następnej chwili zniknął, pozostawiając obie postacie pogrążone w makabrycznym tańcu.

Jiriki wypuścił strzałę. Trafiła jednego z tańczących w stopę, powodując, że stracił równowagę i pociągnął swego towarzysza. Przez chwilę machali w powietrzu ramionami, aż wreszcie zsunęli się z muru i spadli, rozbijając z trzaskiem o ośnieżone kamienie u stóp muru. Kilkunastu Hernystirczyków krzyknęło, wydając jęk rozpaczy.

– Na Krew Rhynna! – zawołał Eolair. – Co ty zrobiłeś?

Jiriki pojechał do przodu, obserwując uważnie pusty teraz mur. Kiedy dotarł do skulonych ciał, zsiadł z konia, przyklęknął i dał znak Eolairowi.

– Jiriki, dlaczego to zrobiłeś? – spytał hrabia. Ledwie mógł wydobyć słowa przez ściśnięte gardło. – Norna i tak już tam nie było. – Wpatrywał się w ubrane na czarno, poskręcane ciała. Obaj mieli rozłożone palce dłoni, jakby wciąż pragnęli pochwycić ratunek, którego nigdy nie mieli znaleźć. – Czy chciałeś zaoszczędzić im tortur? A jeśli udałoby nam się wywabić stamtąd Nornów, czy nie byłoby szansy uratowania ich?

Jiriki nic nie odpowiedział, tylko przewrócił delikatnie ciało najbliżej leżącego, odrywając je od drugiego, z którym było splątane. Odsunął kaptur.

– Na Bryniocha! – załkał Eolair. – Bryniochu z Niebios, miej mnie w opiece!

Twarz nie miała oczu, tylko czarne dziury. Skóra przybrała kolor wosku i w niektórych miejscach popękała na skutek upadku, ale nie było wątpliwości, że nie był to ktoś dopiero co zmarły.

– Kimkolwiek był, nie żył już w dniu upadku Naglimundu – powiedział cicho Jiriki. – Nie sądzę, żeby w zamku pozostali jeszcze żywi więźniowie.

Eolair poczuł, że robi mu się niedobrze, i odwrócił się.

– Ale... ale oni się poruszali?

– Panem tutaj jest jeden z Czerwonej Dłoni – powiedział Jiriki. – Teraz już wiemy, gdyż nikt nie ma takiej mocy, by czegoś takiego dokonać. Ich moc jest częściowo mocą ich pana.

– Ale dlaczego? – spytał Eolair. Spojrzał na ciała, a potem w kierunku ludzi i Sithów. – Dlaczego to robią?

Jiriki potrząsnął głową; jego włosy były tak samo jasne i podobnie powiewały na wietrze jak włosy tamtej postaci z muru.

– Nie potrafię powiedzieć. Ale pewne jest, że Naglimund nie padnie, dopóki nie dopełnią się ostatnie okropieństwa.

Eolair spojrzał na Maegwin i Isorna czekających niecierpliwie na jego powrót.

– I nie ma odwrotu.

– Nie. Obawiam się, że nadeszły rozstrzygające dni – powiedział Jiriki. – Na dobre lub na złe.

KSIĄŻĘ ISGRIMNUR WIEDZIAŁ, ŻE POWINIEN bacznie zwracać uwagę na wszystko, co dzieje się wokół niego, na ludzi z Metessy, na organizację i liczebność wojska w majątku barona. Metessa była najbardziej na wschód wysuniętą częścią Nabbanu i mogła się okazać miejscem decydującym o powodzeniu lub klęsce Josui. Sukces mógł zależeć tutaj od jakiegoś drobnego szczegółu, dlatego Isgrimnur miał wiele pracy, lecz trudno było wypełnić wszystkie swoje obowiązki, kiedy chłopiec nie odstępował go ani na krok.

– No – odezwał się, kiedy nieomal zdeptał chłopca, wpadając na niego po raz dwunasty. – O co ci chodzi? Nie masz dokąd pójść? Gdzie jest twoja matka?

Jasnowłosy chłopiec o chudej twarzy spojrzał bez cienia strachu na brodatego obcego.

– Matka powiedziała mi, żebym trzymał się z daleka od księcia i innych rycerzy. Ale ja się z nią nie zgadzam.

Dzieciak był denerwująco wygadany jak na swój wiek i posługiwał się językiem Westerling nieomal tak dobrze jak Isgrimnur. Dziwny wydawał się fakt, że język z wyspy Warinsten, język Prestera Johna, tak bardzo się rozprzestrzenił zaledwie w ciągu kilku pokoleń. Ale jeśli wszystko się rozpadnie, na co się zanosi, to czy i ten wspólny język nie pójdzie w zapomnienie? Imperia były jak tamy, pomyślał ze smutkiem, nawet te ucieleśniające najlepsze nadzieje. Fale chaosu nieustannie w nie uderzały i gdy tylko przestawano umacniać kamienie...

Isgrimnur pokręcił głową i warknął na malca nieco srożej, niż zamierzał.

– W takim razie co tutaj robisz, skoro matka kazała ci trzymać się z daleka od rycerzy? Dzisiaj mężczyźni mają dużo pracy.

Chłopiec wspiął się na palce, tak że jego głowa znalazła się na wysokości dolnego żebra księcia.

– Kiedyś będę mężczyzną. Mam dość mieszkania z kobietami. Moja mama boi się, że ucieknę, żeby walczyć na wojnie, ale ja i tak to zrobię.

Isgrimnur uśmiechnął się mimowolnie, widząc komiczną determinację chłopca.

– Jak się nazywasz?

– Pasevalles, sir Rycerz Obcy. Moim ojcem jest Brindalles, brat barona Seriddana.

– Bycie rycerzem to nie wszystko. A wojna nie jest zabawą. To okropna rzecz, Pasevallesie.

– Wiem o tym – odparł malec. – Ale czasem nie ma wyboru, jak mówi mój ojciec, i muszą być mężczyźni, którzy będą walczyć.

Książę pomyślał o Miriamele w gnieździe ghantów i o swojej ukochanej żonie, która z toporem w dłoni stanęła przed Elvritshallą, gotowa bronić dworu do końca, dopóki Isorn nie namówił jej, by uciekła z resztą rodziny.

– Kobiety także walczą.

– Ale one nie mogą być rycerzami. A ja chcę zostać rycerzem.

– No cóż, ponieważ nie jestem twoim ojcem, to chyba nie mogę odesłać cię do twojego pokoju. Najwyraźniej nie mogę się ciebie pozbyć. W takim razie może pójdziesz ze mną i opowiesz trochę o tym miejscu.

Uszczęśliwiony Pasevalles podskoczył kilkakrotnie niczym szczeniak. Zaraz jednak znieruchomiał i obrzucił Isgrimnura podejrzliwym spojrzeniem.

– Czy ty jesteś wrogiem? – zapytał stanowczo. – Bo jeśli ty jesteś sir Rycerzem Obcym, to ja nie mogę pokazać ci rzeczy, które mogłyby zranić mojego wuja.

Isgrimnur uśmiechnął się kwaśno.

– W dzisiejszych czasach trudno jest powiedzieć, kto jest wrogiem, a kto nim nie jest. Ale mogę cię zapewnić, że mój pan, książę Josua, nie chce wyrządzić krzywdy nikomu w Metessie.

Pasevalles zastanawiał się przez chwilę.

– Zaufam ci – odezwał się wreszcie. – Chyba mówisz prawdę. A jeśli nie, to żaden z ciebie rycerz, bo rycerz nie okłamywałby dzieci.

Isgrimnur roześmiał się serdecznie.

„Dzieci! Ten chłopaczek mógłby udzielić hrabiemu Eolairowi lekcji dyplomacji”.

– Nie opowiadaj mi niczego, co mogłoby pomóc wrogowi twojego wuja, a ja postaram się nie pytać o nic, co mogłoby narazić na szwank twój honor.

– Tak jest uczciwie – powiedział chłopiec poważnie. – Tak jest po rycersku.

METESSA BYŁA CZYMŚ WIĘCEJ niż tylko jeszcze jedną baronią z pogranicza Nabbanu. Położona na granicy z ziemiami Thrithingów, była obszarem rozległym i dobrze prosperującym. Jej łagodne wzgórza zieleniły się nawet w porze zimowej. Przez jej łąki płynęła jedna z odnóg rzeki Stefflod – srebrzysta wstęga lśniąca pogodnie nawet pod ołowianym niebem. Na zboczach pasły się krowy i owce.

Chasu Metessa, twierdza barona, stała od czasów późniejszych Imperatorów na szczycie jednego z najwyższych wzgórz, spoglądając w dół na doliny pełne małych gospodarstw i majątków szlacheckich, podobnie jak czynił to Isgrimnur w tej chwili.

Odwrócił się od okna i zobaczył nadchodzącego szybko Pasevallesa.

– Chodź obejrzeć zbroję – powiedział chłopiec.

– To właśnie jest chyba jedna z rzeczy, których nie powinienem robić.

– Nie, to jest stara zbroja. – Był zgorszony tępotą Isgrimnura. – Bardzo stara.

Rimmersman pozwolił się poprowadzić. Energia chłopca wydawała się niespożyta.

„Gdyby Isorn był taki wymagający – pomyślał – pewnie zabrałbym go do Frostmarch i zostawił tam, tak jak to robili dawniej, kiedy mieli za dużo gąb do wyżywienia”.

Szli labiryntem korytarzy, mijając wielu mieszkańców twierdzy, którzy spoglądali na Isgrimnura z niepokojem, aż znaleźli się w narożnej wieży, która wydawała się dobudowana do pozostałej części starej fortecy. Liczne schody, przeciwko którym protestowały bolące krzyże Isgrimnura, zaprowadziły ich do zagraconego pokoju, znajdującego się prawie na szczycie wieży. Najwyraźniej nikt tam ostatnio nie sprzątał, dlatego z sufitu zwieszały się ogromne pajęczyny, a ściany pokrywała gruba warstwa kurzu, lecz mimo to książę był pod wrażeniem tego, co zobaczył.

Wzdłuż pokoju ustawiono rząd drewnianych stojaków na zbroje, przypominających milczących strażników. W przeciwieństwie do pozostałych przedmiotów w okrągłym pokoju były one stosunkowo czyste. Na każdym z nich wisiała zbroja, lecz nie były to zbroje współczesne, jak brutalnie wyjaśnił mu Pasevalles: podobne hełmy, napierśniki i dziwne spódniczki Isgrimnur widział tylko na bardzo starych obrazach w Sancellan Mahistrevis.

– To są zbroje z czasów Imperium! – mruknął zafascynowany. – Albo piekielnie dobre kopie.

Pasevalles podniósł dumnie głowę.

– To nie są kopie! Są prawdziwe. Ojciec ma je od lat. Mój dziadek kupił je w dużym mieście.

– W Nabbanie – dopowiedział Isgrimnur. Szedł wzdłuż rzędu zbroi, przyglądając się różnym kostiumom; wprawne oko rycerza wyłapywało wady w konstrukcji czy też brakujące elementy całości. Metal, jakiego używano w starym Imperium, był cięższy od używanego współcześnie, lecz mimo to zbroje wykonano po mistrzowsku. Pochylił się, by lepiej się przyjrzeć hełmowi z grzebieniem morskiego smoka; dmuchnął mocno, usuwając warstwę kurzu.

– Nie czyszczono ich ostatnio – powiedział zamyślony.

– Mój ojciec jest chory – wyjaśnił nieco obrażonym tonem mały Pasevalles. – Ja staram się o nie dbać, ale są za wysokie i za ciężkie, żebym mógł je zdjąć.

Isgrimnur rozejrzał się po pokoju. Puste zbroje przypominały zebranych na Radzie rycerzy oczekujących decyzji. Miał jeszcze wiele do zrobienia. Chyba poświęcił chłopcu wystarczająco dużo czasu? Podszedł do okna i spojrzał na szare zachodnie niebo.

– Do kolacji została chyba jeszcze godzina – powiedział. – A twój wuj i książę Josua będą rozmawiali o ważnych rzeczach później. Idź więc i przynieś to, czym czyści zbroje twój ojciec, a przynajmniej szczotkę do odkurzania. Możemy chyba trochę tu popracować.

Chłopiec otworzył szeroko oczy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. W każdym razie nie spieszy mi się, żeby znowu toczyć się po wszystkich tych schodach. – Chłopiec wciąż wpatrywał się w niego. – No, chłopcze, idź już. Przynieś też lampę. Wkrótce się ściemni.

Pasevalles popędził jak zając. Isgrimnur pokręcił głową.

SALA BANKIETOWA CHASU METESSY miała kominek na każdej ścianie, dlatego było w niej jasno i ciepło, pomimo panującego na zewnątrz chłodu. Dworzanie – ziemianie z doliny – wystroili się chyba w swoje najlepsze stroje: wiele kobiet miało na sobie długie, lśniące suknie i kapelusze równie wymyślne jak te z obrazów w Sancellan Mahistrevis. A jednak nie sposób było nie zauważyć atmosfery niepokoju, która wisiała w wysokiej komnacie niczym ciężka mgła. Damy rozmawiały ożywione i często wybuchały śmiechem. Mężczyźni siedzieli przeważnie w milczeniu, a jeśli już mieli coś do powiedzenia, robili to dyskretnie.

Otworzono beczułkę wina Teligure, którym teraz częstowano zebranych w sali. Isgrimnur zauważył, że Josua, siedzący po prawej stronie gospodarza, barona Seriddana, wielokrotnie podnosił swój kielich do ust, lecz ani razu jeszcze nie prosił swego pazia, by ponownie napełnił puchar. Isgrimnur z uznaniem przyjął wstrzemięźliwość księcia. Josua nigdy nie pił dużo, ale ponieważ od wydarzeń tego wieczoru mogło zależeć powodzenie odebrania książęcego tronu Benigarisowi, ważne było, aby zachować trzeźwy umysł i ostrożny język.

Rozglądając się, książę zatrzymał wzrok na drzwiach w drugim końcu pokoju. Wytężył wzrok i zaraz uśmiechnął się pod nosem. Był to Pasevalles, który pewnie znowu wymknął się spod opieki matki i innych dam. Isgrimnur nie wątpił, że chłopiec przyszedł, żeby zobaczyć Prawdziwych Rycerzy przy stole.

„Niech sobie popatrzy”.

Baron Seriddan wstał ze swego miejsca u szczytu stołu i wzniósł puchar. Stał teraz na tle rozciągniętego na ścianie sztandaru, na którym rozkładał skrzydła błękitny żuraw, godło rodu Metessów.

– Powitajmy naszych gości – przemówił baron. Uśmiechnął się ironicznie, marszcząc ogorzałą twarz. – Bez wątpienia stałem się już

zdrajcą, wpuszczając cię tutaj, książę Josuo, więc nie pogorszę z pewnością spraw, pijąc twoje zdrowie.

Isgrimnur poczuł, że lubi barona i darzy go szacunkiem. Pasował mu on nieco do wizerunku wymęczonego, nabbańskiego barona, jaki wyrobił sobie Isgrimnur: gruby kark i chłopska twarz Seriddana sprawiały, że bardziej przypominał on jowialnego hultaja niż spadkobiercę wielkiego majątku, lecz jego spojrzenie było bystre, a zachowanie zwodniczo samokrytyczne. Jego opanowanie języka Westerling tłumaczyło biegłość małego Pasevallesa.

Po pierwszym toaście wstał Josua i wzniósł puchar, by podziękować mieszkańcom Chasu Metessy za ich gościnność. Jego słowa przyjęto miłymi uśmiechami i szeptami uznania, znacznie jednak wymuszonymi. Kiedy książę usiadł, szepty przy stole wzmogły się, lecz Seriddan dał znak, by się uciszono.

– Tak więc – przemówił do Josui, ale na tyle głośno, by usłyszeli go wszyscy siedzący przy stole – tak więc wypełniliśmy aedonicką powinność wobec współbraci; niektórzy nawet powiedzieliby, że zrobiliśmy o wiele więcej, zważywszy na to, że przybyliście do naszego kraju nieproszeni, i do tego z armią za plecami. – Seriddan uśmiechał się, lecz jego spojrzenie pozostało chłodne. – Josuo z Erkynlandu, czy rano ujrzymy tych, którzy idą za tobą?

Isgrimnur starał się ukryć swoje zdziwienie. Przypuszczał, że baron poczeka, aż mniej ważne osoby pójdą sobie, i wtedy będzie chciał porozmawiać z Josuą na osobności, lecz najwyraźniej Seriddan chciał to rozegrać inaczej.

Josua także wyglądał na zaskoczonego, lecz szybko odpowiedział:

– Rzeczywiście, ujrzysz ich jutro, jeśli mnie wysłuchasz i pozostaniesz niewzruszony. Moi ludzie obozują za murami twierdzy nie dlatego, by ci

grozić. Nie wyrządziłeś mi żadnej krzywdy, więc i ja nie mam powodu, by źle czynić.

Baron patrzył na niego przez chwilę, a potem zwrócił się do swojego brata:

– Brindallesie, co o tym myślisz? Czy nie wydaje ci się dziwne, że erkynlandzki książę chce przejść przez nasze ziemie? Dokąd oni mogą iść?

Brat barona był dość do niego podobny, lecz jego szczupła twarz nie miała tego szelmowskiego, niebezpiecznego wyrazu; zamiast tego wydawała się zmęczona i nieco nieregularna.

– Jeśli nie idzie do Nabbanu, to znaczy, że zmierza wprost do morza – odpowiedział Brindalles, uśmiechając się niewyraźnie. Trudno było uwierzyć, że ten melancholijny mężczyzna jest ojcem tryskającego życiem Pasevallesa.

– Rzeczywiście udajemy się do Nabbanu – powiedział Josua. – Nie jest to żadną tajemnicą.

– Z jakiego powodu się tam udajecie? Czy ów powód nie okaże się niebezpieczny dla mnie albo dla mojego seniora, księcia Benigarisa? Czy nie powinienem was uwięzić? – dopytywał się Seriddan.

Josua rozejrzał się po sali. Zapadła cisza. Najznakomitsi mieszkańcy Chasu Metessy siedzieli przy stole skupieni.

– Czy jesteś pewny, że chcesz, bym teraz mówił otwarcie?

Seriddan machnął dłonią zniecierpliwiony.

– Nie chcę, żeby mówiono, iż doszło do nieporozumienia, kiedy cię przepuszczę albo zatrzymam dla Benigarisa. Mów więc, a moi ludzie będą świadkami.

– Dobrze. – Josua zwrócił się do Sludiga, który wprawdzie kilkakrotnie napełniał swój puchar, lecz obserwował wszystko czujnym okiem. – Czy mogę prosić o pergamin?

Kiedy Rimmersman wsunął dłoń do kieszeni, Josua odezwał się do Seriddana:

– Jak już mówiłem, baronie, jedziemy do Nabbanu. Udajemy się tam z zamiarem pozbawienia Benigarisa książęcego tronu. Po części dlatego, że jest on sprzymierzeńcem mojego brata, a jego upadek osłabi pozycję Wielkiego Króla. Nie jest tajemnicą fakt, że Elias i ja walczymy ze sobą, choć przyczyny tego są mniej znane.

– Wyjaw je nam – wtrącił rzeczowo Seriddan – jeśli uważasz, że są istotne dla sprawy. Jesteśmy w domu i mamy dość wina. To twoja armia może pójść albo zostać jutro rano.

– Powiem o nich, gdyż nie chcę prosić sprzymierzeńca, by walczył u mego boku, utrzymując go w niewiedzy – odparł Josua.

– *Hea!* Sprzymierzeńca? Żeby walczył? – Baron zmarszczył czoło i wyprostował się. – Josuo Bezręki, kroczysz niebezpieczną ścieżką. Benigaris jest moim seniorem. Szaleństwem już jest pozwolić ci przejść, wiedząc to, co ja wiem, ale pozwalam ci mówić z szacunku dla twojego ojca. Ale żeby mówić o walce u twego boku, to jeszcze większe szaleństwo! – Dał znak dłonią. Kilkunastu uzbrojonych ludzi, którzy przez cały wieczór stali w cieniu pod ścianą, stanęło na baczność.

Josua nawet nie drgnął, lecz spokojnie wytrzymał spojrzenie Seriddana.

– Jak mówiłem – ciągnął – przedstawię ci przyczyny, dla których Elias musi zostać pozbawiony Smoczego Tronu. Ale to za chwilę. Teraz muszę wspomnieć o innych rzeczach. – Wyciągnął ramię i odebrał zwój od Sludiga. – Mój najlepszy rycerz, sir Deornoth z Hewenshire, brał udział w bitwie na Byczym Wzgórzu, kiedy książę Leobardis, brat Benigarisa, przybył z odsieczą do mojego zamku Naglimundu.

– Leobardis opowiedział się po twojej stronie – przerwał Seriddan. – Benigaris wybrał twojego brata. Decyzje starego księcia nie mają wpływu

na moją lojalność wobec jego syna. – Słowa barona zabrzmiały stanowczo, a jednak Isgrimnur dostrzegł nieco nieobecne spojrzenie jego oczu, jakby Seriddan w duchu pragnął, aby stary książę wciąż żył, co ułatwiłoby mu zachowanie lojalności wobec syna. – I co ten sir Jak-mu-tam ma wspólnego z Metessą?

– Może więcej, niż przypuszczasz. – Po raz pierwszy w głosie Josui zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

„Spokojnie, człowieku. – Isgrimnur szarpnął nerwowo swoją brodę. – Nie pozwól, aby wziął górę twój smutek z powodu śmierci Deornotha. Zaszliśmy o wiele dalej, niż się tego spodziewałem. W każdym razie Seriddan słucha”.

Josua zamilkł na moment i wziął głęboki oddech, jakby usłyszał myśli Isgrimnura.

– Wybacz, baronie Seriddanie. Rozumiem, że jesteś lojalny wobec Domu Zimorodka. Nie mam zamiaru pouczać cię o twoich obowiązkach, pragnę jedynie powiedzieć ci o rzeczach, które mogą być istotne. Chciałbym przeczytać słowa Deornotha o tym, co wydarzyło się pod Byczym Wzgórzem. Zostały spisane przez ojca Strangyearda... – Książę wskazał na archiwistę siedzącego skromnie w drugim końcu stołu – i zaprzysiężone przed duchownym i Bogiem.

– Po co chcesz mi to czytać? – spytał niecierpliwie Seriddan. – Skoro ten człowiek ma coś do opowiedzenia, dlaczego nie przyjdzie tutaj i nie powie tego?

– Ponieważ sir Deornoth nie żyje – odparł Josua. – Zginął z rąk najemnych Thrithingów, których wysłał przeciwko mnie Elias.

W sali nastąpiło małe poruszenie. W przygranicznych majątkach Nabbanu Thrithingowie byli obiektem pogardy, ale i strachu; pogardy dlatego, że Nabbańczycy uważali ich za dzikusów, strachu zaś z powodu

powtarzających się co pewien czas najazdów, w czasie których najbardziej ucierpiały majątki położone podobnie jak Metessa.

– Czytaj. – Seridan był wyraźnie zły.

Isgrimnur podejrzewał, że bystry baron domyślał się już pułapki, do jakiej doprowadził go jego własny spryt. Baron miał nadzieję, że rozwiąże tę trudną sytuację, jaka wynikła ze spotkania z Josuą, zmuszając go, by wyjawił swój spisek w obecności wielu świadków. Teraz pewnie wyczuwa, że Josua nie da się zbyć tak łatwo. Sytuacja stała się niezręczna. A jednak pan Metessy nie zdecydował się odprawić pozostałych dworzan: sam wypracował ten gambit i postanowił grać dalej. Książę Isgrimnur po raz kolejny odczuł podziw dla niego.

– Poprosiłem Deornotha, aby opowiedział tę historię w obecności duchownego przed bitwą o Nowe Gadrinsett – powiedział Josua. – Wiedziałem, że to, co on widział, jest zbyt ważne, by mogło zostać pogrzebane wraz z nim, jako że istniało małe prawdopodobieństwo, że przeżyjemy. – Rozwinął zwój, przytrzymując go kikutem prawej ręki. – Przeczytam tylko tę część, która może cię zainteresować, ale chętnie pokażę ci cały tekst, byś mógł go przeczytać.

Zamilkł na chwilę, a potem zaczął czytać. Siedzący przy stole pochylili się, żądni kolejnych dziwnych faktów, choć już sam wieczór był wydarzeniem, o którym miało się mówić w Metessie.

...Kiedy nadjechaliśmy, Nabbańczycy popędzili już za hrabią Guthwulfem z Utan-yeat i jego ludźmi spod herbu Dzika i Włóczni, którzy wycofywali się w pośpiechu na zbocze Byczego Wzgórza. Książę Leobardis wraz ze swymi trzystoma rycerzami wykonał zręczny manewr, wjeżdżając między hrabiego a wojska Wielkiego Króla, który – jak sądziliśmy – znajdował się jeszcze dość daleko.

Książę Josua, obawiając się, że Leobardis może zostać powstrzymany oraz że Król może zaskoczyć go na otwartym terenie na południe od Naglimundu, przyprowadził ze sobą wielu rycerzy z zamku, aby bronić Nabbanu przed Królem, a także aby spróbować pochwycić Guthwulfa, który był prawą ręką Króla. Poprowadził nas sam Josua, był też Isorn, syn Isgrimnura, i wielu innych Rimmersmenów.

I tak kiedy uderzyliśmy w Dzika i Włócznię, od razu zadaliśmy im znaczne straty. Lecz Guthwulf wraz z Królem przygotowali pułapkę. Z lasu na szczycie Byczego Wzgórza wyskoczył znienacka hrabia Fengbald z Falshire, a z nim kilkuset rycerzy.

Widziałem księcia Leobardisa i jego syna Benigarisa na skraju pola bitwy. Kiedy ludzie Fengbalda zjeżdżali ze wzgórza, zobaczyłem, że Benigaris wyciąga miecz i zadaje ojcu cios w kark, zabijając go siedzącego w siodle. Widziałem, jak Leobardis opadł na kark konia, krwawiąc obficie...

Gdy tylko przeczytał ostatnie zdanie, ciszę przerwały okrzyki oburzenia i nagany. Kilkunastu wasali barona Seriddana zerwało się na nogi, wygrażając pięściami, jakby mieli zamiar zaatakować Josuę. Książę spojrzał na nich, wciąż trzymając pergamin w dłoni, po czym zwrócił się do Seriddana. Baron zdążył już powrócić na swoje miejsce, lecz jego śniada twarz pobladła bardzo; tylko na policzkach ciemniały plamy rumieńców.

– Cisza! – zawołał, gromiąc wzrokiem swoich ludzi, dopóki nie usiedli na swoich miejscach, mrucząc gniewnie pod nosem. Kilka kobiet wyprowadzono z sali; szły, słaniając się, jakby to one otrzymały cios, a ich wymyślne kapelusze i welony wydały się nagle równie smutne jak jaskrawe proporce pokonanej armii.

– To stara opowieść – odezwał się wreszcie. Mówił ściśniętym głosem, lecz zdaniem Isgrimnura powodem tego było coś więcej niż tylko

wściekłość.

„Czuje, że pułapka się zamyka”.

Seriddan opróżnił swój puchar i postawił go na stole z hukiem, aż niektórzy z zebranych podskoczyli na swoich miejscach.

– To stara opowieść – powtórzył. – Wciąż ją opowiadają, chociaż nikt nie udowodnił, że jest prawdziwa. Dlaczego miałbym w nią wierzyć?

– Ponieważ widział to wszystko sir Deornoth – odparł szczerze Josua.

– Ale jego nie ma z nami. Nie wiem nawet, czy uwierzyłbym mu, gdyby tutaj był.

– Deornoth nie kłamał. Był prawdziwym rycerzem.

Seriddan roześmiał się głośno.

– Na to mam tylko twoje słowo, książę. Ludzie robią dziwne rzeczy dla swojego króla czy kraju. – Odwrócił się do brata. – Brindallesie, czy znasz jakiś powód, dla którego nie powinienem wtrącić do lochów księcia i jego zwolenników, aby zaczekali na łaskę Benigarisa?

Brat barona westchnął. Zbliżył palce dłoni do siebie.

– Nie podoba mi się ta opowieść, Seriddanie. Pobrzmiewa w niej nieprzyjemnie prawdziwa nuta. Ci, którzy przygotowywali ciało Leobardisa do pogrzebu, dziwili się, jak równa była rana, którą otrzymał. Ale słowo jednego tylko człowieka, choćby nawet był to książę Josua, nie wystarczy, żeby potępić władcę Nabbanu.

„Rozumu im nie brakuje! – zauważył w myśli książę Isgrimnur. – Ale od takich trzeźwych ludzi zależy nasze szczęście. Albo porażka”.

– Są inni, którzy widzieli haniebny czyn Benigarisa – powiedział Josua. – Niektórzy jeszcze żyją, choć wielu zginęło w czasie upadku Naglimundu.

– I tysiąc nie wystarczy – warknął Seriddan. – *Hea!* I co, kwiat szlachty nabbańskiej miałby pójść za tobą, Erkynlandczykiem i do tego wrogiem Wielkiego Króla, przeciwko Zimorodkowi na mocy zapisków zmarłego człowieka? – Rozległy się pomruki popierające jego słowa. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza.

– Dobrze – powiedział Josua. – Rozumiem, baronie. Teraz pokażę ci coś, co powinno przekonać cię do wagi naszego przedsięwzięcia. Może także zmniejszy twoje obawy co do popierania Erkynlandczyka. – Odwrócił się i dał znak. Siedzący obok Strangyearda mężczyzna z kapturem naciągniętym na głowę wstał nagle. Był bardzo wysoki. Niektórzy z zebranych wyciągnęli miecze; ich dźwięk wydawał się napełnić salę chłodem.

Nie zawiedź nas – modlił się Isgrimnur.

– Jedna rzecz, baronie, którą powiedziałeś, nie jest zgodna z prawdą – przemówił łagodnie Josua.

– Nazywasz mnie kłamcą?

– Nie. Ale nadeszły dziwne czasy i nawet ktoś tak uczony i mądry jak ty nie musi wszystkiego wiedzieć. Nawet gdyby Benigaris nie okazał się ojcobójcą, to i tak nie miałby prawa pierwszeństwa do książęcego tronu. Baronie, mieszkańcy Metessy, oto prawdziwy pan rodu Zimorodka... Camaris Benidrivis.

Wysoka postać przy końcu stołu odrzuciła kaptur, ukazując śnieżnobiałe włosy i oblicze pełne smutku i szlachetności.

– Co...? – Baron był całkowicie zdumiony.

– To herezja! – zawołał jeden ze szlachciców, podnosząc się chwiejnie. – Camaris nie żyje!

Któraś z pozostałych jeszcze w sali kobiet krzyknęła przeraźliwie. Siedzący obok niej mężczyzna osunął się na stół w pijackim omdleniu.

Camrias przyłożył dłoń do serca.

– Ja żyję. – Zwrócił się do Seriddana. – Wybacz, baronie, że burzę twoją gościnność w taki sposób.

Seriddan wpatrywał się w zjawę, a potem spojrzał na Josuę.

– Cóż to za szaleństwo? Czy kpisz sobie ze mnie, Erkynlandczyku?

Książę pokręcił głową.

– To nie są kpiny, Seriddanie. To jest naprawdę Camaris. Chciałem przedstawić go na osobności, ale nie było okazji.

– Nie. – Seriddan uderzył dłonią w stół. – Nie wierzę. – Camaris-sa-Vinitta nie żyje. Wiele lat temu utonął w zatoce Firannos.

– Straciłem tylko rozum, nie życie – odezwał się rycerz. – Przez lata żyłem, nie pamiętając swego imienia ani przeszłości. – Przesunął dłonią po czole. Jego głos drżał. – Czasem myślę, że lepiej byłoby nie odzyskiwać ani jednego, ani drugiego. Ale tak się stało. Ja jestem Camarisem z Vinitty, synem Benidrivisa. I jeśli ma to być mój ostatni czyn, to pomszczę śmierć mojego brata i dopilnuję, by mojego zbrodniczego bratanka usunięto z nabbańskiego tronu.

Baron był wyraźnie poruszony, lecz wciąż nie do końca przekonany.

– Poślijcie po Eneppę – powiedział jego brat.

Seriddan podniósł wzrok; w jego spojrzeniu pojawiła się ulga, jakby odroczono mu straszny wyrok.

– Tak. – Odwrócił się do jednego ze swoich ludzi. – Przyprowadźcie ją z kuchni. Ale, na twoje życie, nic jej nie mów.

Mężczyzna wyszedł. Patrząc za nim, Isgrimnur zauważył, że mały Pasevalles zniknął.

Pozostali przy stole szeptali podekscytowani, ale Seriddan nie zwracał już na nich uwagi. Czekając na powrót posłańca, wypił jeszcze jeden

puchar wina. Nawet Josua pozwolił sobie opróżnić swój kielich, jakby zdecydował, że nadał ruch czemuś, na co nie ma już wpływu. Camaris stał nieruchomo przy końcu stołu. Spojrzenia zebranych wciąż powracały do jego postaci.

Posłaniec powrócił, prowadząc ze sobą starą kobietę. Była niska i gruba, włosy miała krótko obcięte, a prostą ciemną suknię ubrudzoną mąką i innymi produktami. Stanęła przed Seriddanem i spojrzała na niego zalęknionym wzrokiem, najwyraźniej obawiając się kary.

– Nie bój się, Eneppo – powiedział baron. – Nie zrobiłaś niczego złego. Czy widzisz tego starca? – Wskazał na Camarisa. – Podejdź bliżej, przyjrzyj mu się i powiedz, czy go znasz.

Staruszka zbliżyła się ostrożnie do Camarisa. Spojrzała na niego, przyglądając się nieco dłużej jego twarzy, kiedy spuścił głowę, by na nią spojrzeć.

– Nie, mój baronie – powiedziała wreszcie. Słabo posługiwała się językiem Westerling.

– A zatem... – Seriddan skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się na krześle; na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmieszek.

– Chwileczkę – odezwał się Josua. – Eneppo, jeśli takie jest twoje imię, nie jest to osoba, którą widywałaś ostatnio. Jeśli go znałaś, to było to dawno temu.

Ponownie spojrzała lękliwie na Camarisa. Wydawało się, że za chwilę odwróci się od niego, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Znieruchomiała i otworzyła szerzej oczy. Kolana ugięły się pod nią. Camaris w jednej chwili znalazł się przy niej i podtrzymał, ratując przed upadkiem.

– *Ulimor* Camaris? – spytała po nabbańsku i rozpłakała się. – *Veveis?* – Potem nastąpił potok słów w tym samym języku.

Uśmiech Seriddana ustąpił miejsca nieomal komicznemu zdumieniu.

– Ona mówi, że powiedziano jej, iż utonąłem – powiedział Camaris. – Czy potrafisz mówić w języku Westerling, dobra kobieto? – spytał łagodnie. – Niektórzy z zebranych tutaj nie rozumieją cię.

Eneppa spojrzała na niego, a on puścił ją powoli. Była oszołomiona, sękatymi palcami mięła nerwowo rąbek sukni.

– On... on jest Camarisem. *Duos preterate!* Czy... czy martwi powrócili do nas?

– Nie martwi, Eneppo – powiedział Josua. – Camaris żył, lecz stracił zmysły na wiele lat.

– Chociaż znam twoją twarz, dobra kobieto, to jednak nie pamiętam imienia – odezwał się rycerz. – Wybacz. Nie pamiętam twojego imienia. Upłynęło tyle czasu.

Eneppa znowu wybuchnęła płaczem, ale jednocześnie zaczęła się śmiać.

– Ponieważ wtedy inaczej na mnie mówili. Kiedy pracowałam w wielkim domu twojego ojca, nazywali mnie *Fuiri*, kwiat.

– Fuiri. – Camaris skinął głową. – Oczywiście. Pamiętam cię. Byłaś śliczną dziewczyną, dla wszystkich miałaś życzliwy uśmiech. – Podniósł jej pomarszczoną dłoń i ucałował. Patrzyła zdumiona, jakby sam Bóg objawił się w pokoju i zaproponował jej przejażdżkę rydwanem po niebie. – Dziękuję, Fuiri. Przywróciłaś mi kawałek przeszłości. Zanim stąd odjadę, chciałbym usiąść z tobą przy kominku i porozmawiać.

Wyprowadzono chlipiącą kucharkę z sali.

Seriddan i Brindalles milczeli zdumieni. Pozostali także siedzieli kompletnie zaskoczeni. Długo nikt się nie odzywał. Josua rozumiał chyba wstrząs, jakiego doznał tego wieczoru baron, gdyż czekał cierpliwie. Camaris zajął z powrotem swoje miejsce; on także nic już nie powiedział. Wydawało się, że patrzy spod przymkniętych powiek na płomienie

kominka znajdującego się po drugiej stronie sali, lecz Isgrimnur nie miał wątpliwości, że stary rycerz spogląda na czas, a nie na miejsce.

Ciszę przerwały liczne szepty. Wszystkie głowy zwróciły się w jedną stronę. Isgrimnur podniósł wzrok i zobaczył Pasevallesa, który wchodził, chwiejąc się, do sali; do piersi przyciskał coś dużego i lśniącego. Zatrzymał się tuż za progiem, zawahał się, spojrzawszy na Camarisa, po czym zbliżył się do wuja.

– Przyniosłem to dla sir Camarisa – powiedział chłopiec. Drżenie jego głosu przeczyło śmiałym słowom.

Seriddan patrzył na niego przez chwilę, a potem nagle otworzył szerzej oczy.

– To jest jeden z hełmów z pokoju twojego ojca!

Malec przytaknął mu z powagą.

– Chcę dać go sir Camarisowi.

Seriddan spojrzał bezradnie na swojego brata. Brindalles spojrzał na syna, potem na Camarisa, który wciąż siedział pogrążony w swoich myślach. Wreszcie wzruszył ramionami.

– On jest tym, za kogo się podaje. Nie ma takich zaszczytów, na które by nie zasłużył, Seriddanie. – Zwrócił się do syna: – Dobrze postąpiłeś, pytając mnie najpierw. – Jego uśmiech był nieomal upiorny. – Czasem chyba trzeba pewne rzeczy odkurzyć i znowu zacząć używać. Idź, chłopcze. Daj mu go.

Isgrimnur patrzył zafascynowany, jak Pasevalles idzie, dzierżąc mocno hełm z morskim smokiem, ze wzrokiem pełnym oczekiwania i przerażenia, jakby szedł do jaskini ogra. Zatrzymał się przed starym rycerzem i stał w milczeniu, choć wydawało się, że w każdej chwili może upaść pod ciężarem podarku.

Wreszcie Camaris podniósł wzrok.

– Tak?

– Mój ojciec i wuj powiedzieli, że mogę ci to podarować. – Pasevalles z trudem przybliżył hełm do Camarisa, który nawet w pozycji siedzącej był od niego wyższy. – Jest bardzo stary.

Na twarzy Camarisa pojawił się uśmiech.

– Tak jak ja, co? – Wyciągnął ogromne dłonie. – Pokaż mi go, młody paniczu. – Zwrócił złocisty hełm do światła. – To jest hełm starego Imperium – powiedział z uznaniem. – Rzeczywiście jest stary.

– Należał do Imperium Anitullesa, tak przynajmniej mi się wydaje – powiedział Brindalles ze swojego miejsca. – Jest twój, jeśli go przyjmiesz, lordzie Camarisie.

Starzec badał jeszcze hełm przez chwilę, po czym założył go. Jego oczy zniknęły w cieniu otworów, a ochrony na policzki sterczały tuż przy jego szczęce niczym ostrza.

– Pasuje – powiedział.

Pasevalles wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w starca i w wijącego się wokół grzebienia hełmu smoka.

– Dziękuję, chłopcze. – Camaris zdjął hełm i położył go obok siebie na stole. – Jak ci na imię?

– Pa...Pasevalles.

– Będę nosił ten hełm, Pasevallesie. To wielki zaszczyt. Moją zbroję rdza pokryła już dawno temu.

Chłopiec wydawał się unosić w innym świecie; jego oczy płonęły jasno. Patrząc na niego, Isgrimnur poczuł ukłucie smutku. Po takiej chwili, po takim doświadczeniu z rycerstwem, czy życie może przynieść mu co innego niż tylko rozczarowanie?

„Niech cię Bóg ma w opiece, Pasevallesie – pomyślał książę. – Oby twoje życie okazało się szczęśliwe, chociaż obawiam się, że takie nie

będzie”.

Książę Josua, milczący dotąd, teraz przemówił:

– Musisz też dowiedzieć się o innych rzeczach, baronie Seriddanie. Niektóre z nich przywodzą strach, inne złość. Usłyszysz rzeczy jeszcze bardziej zdumiewające niż Camaris przywrócony do życia. Czy chcesz zaczekać do rana? Czy wciąż pragniesz, by nas uwięziono?

Seriddan zmarszczył brwi.

– Dość. Nie kpij ze mnie, Josuo. Powiesz mi o wszystkim, co jest istotne. Możemy rozmawiać nawet do rana. – Klasnął w dłonie, by przyniesiono więcej wina, po czym odesłał do domów większość swych zdumionych poplecznikó w.

„Ach, baronie – pomyślał Isgrimnur. – Niebawem znajdziesz się w tym samym piekle co i my. Życzyłbym ci lepszego losu”.

Książę Isgrimnur przysunął swoje krzesło, kiedy Josua zaczął mówić.

33. Białe drzewo, czarny owoc

POCZĄTKOWO WYDAWAŁO SIĘ TO wieżą albo grą – przecież nic żywego nie mogło być tak wysokie, tak smukłe i tak zimno białe. Lecz kiedy się zbliżyła, zobaczyła, że to, co wydawało się rozległą chmurą otaczającą główny trzon – rozproszoną mleczną jasność – okazało się niewiarygodną plątaniną gałęzi.

Miała przed sobą drzewo, ogromne białe drzewo, wyrastające tak wysoko, że nie widziała jego wierzchołka – mogło sięgać nieba. Patrzyła na nie przytłoczona jego majestatem. Chociaż jakaś jej część wiedziała, że śni, to Miriamele zdawała sobie też sprawę, że ta ogromna kolumna bieli jest bardzo ważna.

Kiedy jeszcze się zbliżyła – nie miała ciała. Czy szła? A może leciała? Nie potrafiła powiedzieć. Miriamele wiedziała, że drzewo wyrasta z bezkształtnej ziemi jedną gładką kolumną, podobną do ogromnego, nieskazitelnie gładkiego bloku marmuru. Jeśli ten olbrzym miał korzenie, to znajdowały się one bardzo głęboko, w samym sercu ziemi. Gałęzie, otaczające drzewo niby pajęczy płaszcz, były już wiotkie w miejscach, w których wyrastały z pnia, a stawały się jeszcze cieńsze, w miarę jak się od niego oddalały. Ich splątane końce były tak cieniutkie, że same czubki pozostawały niewidoczne.

Miriamele znalazła się teraz blisko drzewa. Zaczęła się unosić bez najmniejszego wysiłku. Pień przepływał obok niej niczym strumień mleka.

Płynęła do góry poprzez gęstą chmurę gałęzi. Poza cienkimi żyłkami bieli widziała płaskie, szaroniebieskie niebo. Nie było horyzontu; wydawało się, że w świecie nie istnieje nic poza drzewem.

Plątanina gałęzi stawała się coraz gęstsza. Tu i tam pojawiały się zawieszone małe jądra ciemności, grudki podobne do wywróconych na zewnątrz gwiazd. Unosiła się powoli, niczym porwany porywem wiatru puszek, aż dotknęła – nagle miała dłonie, chociaż reszta jej ciała wciąż pozostawała dziwnie nieobecna – jednej z czarnych grudek. Kształtem przypominała gruszkę, lecz była gładka i napęczniała jak dojrzała śliwka. Dotknęła innej, podobnej. Jednak kolejna, która znalazła się pod jej palcami, okazała się nieco inna. Jej palce zacisnęły się mimowolnie i grudka się oderwała.

Spojrzała na to, co trzyma w dłoni. Było równie gładkie jak inne, a mimo to nieco odmienne. Może trochę cieplejsze. W jakiś sposób wyczuwała, że to coś jest gotowe, dojrzałe.

Wiciowate gałęzie drzewa wciąż przepływały obok niej, aż w pewnym momencie czarny owoc w jej dłoni zadrżał i pękł. W miejscu, gdzie należało spodziewać się pestki, leżało niemowlę niewiele większe od palca. Jego powieki – nie większe od płatków śniegu – były zamknięte. Niemowlę kopnęło nóżkami i ziewnęło, lecz nie otworzyło oczu.

„A więc każdy z tych owoców jest duszą – pomyślała. – A może one są tylko... możliwościami? – Nie wiedziała dokładnie, co znaczą te myśli we śnie, lecz chwilę później poczuła falę strachu. – Ale ja to zerwałam! Zbyt szybko! Muszę powiesić z powrotem!”

Coś nieustannie ciągnęło ją ku górze, lecz teraz się bała. Zrobiła coś bardzo złego. Musi wrócić, odnaleźć tę jedną spośród tysięcy gałęzi. Może jest jeszcze czas, by oddać to, co bezmyślnie ukradła.

Miriamele chwyciła się plątaniny gałęzi, chcąc zwolnić swój lot. Niektóre z nich, cieniutkie i kruche jak sople, pozostały skruszone w jej dłoniach; kilka czarnych owoców oderwało się i poleciało w dół w szarobiałą przepaść.

– Nie! – Była przerażona. Nie chciała tego zrobić. Wyciągnęła rękę, by złapać jeden z opadających owoców, i wypuściła niemowlę. Rzuciła się za nim, lecz pozostało poza jej zasięgiem.

Miriamele wydała jęk rozpaczy i przerażenia...

BYŁO CIEMNO. KTOŚ TRZYMAŁ JĄ MOCNO, obejmował.

– Nie! – jęknęła. – Upuściłam je!

– Niczego nie upuściłaś. Śni ci się coś złego – przemówił głos.

Wytężała wzrok, lecz nie mogła rozpoznać twarzy. Ten głos... znała go...

– Simon?

– Jestem tutaj. – Zbliżył usta do jej ucha. – Jesteś bezpieczna. Ale nie powinnaś już krzyczeć.

– Przepraszam. – Zadrżała i zaczęła wyswobadzać się z jego ramion. W powietrzu unosił się wilgotny, ostry zapach, a pod palcami poczuła coś drapiącego. – Gdzie my jesteśmy?

– W stajni. Dwie godziny jazdy poza murami Falshire. Nie pamiętasz?

– Trochę. Nie czuję się dobrze. – W rzeczywistości czuła się okropnie. Wciąż drżała, lecz jednocześnie było jej gorąco. Była otumaniona, jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy budziła się w środku nocy. – Jak my się tutaj dostaliśmy?

– Walczyliśmy z Tancerzami Ognia.

– To pamiętam. Pamiętam też, że jechaliśmy.

Simon wydał w ciemności odgłos, który mógł oznaczać śmiech.

– Po jakimś czasie przestaliśmy jechać. To ty chciałaś się tutaj zatrzymać.

Potrząsnęła głową.

– Nie pamiętam.

Simon puścił ją – trochę niechętnie; wyczuła to nawet w tym stanie. Sunął na czworakach po słomie. Chwilę później coś zaskrzypiało i stuknęło; do wnętrza wlała się odrobina światła. Ciemna postać Simona ukazała się na tle okna. Próbował podeprzeć czymś okiennicę.

– Przestało padać – powiedział.

– Jest mi zimno. – Spróbowała zagrzebać się głębiej w słomę.

– Skopałaś płaszcz. – Simon podpełzł do Miriamele na drugi koniec strychu. Znalazł jej płaszcz i otulił ją szczelnie. – Mogę przykryć cię też moim.

– Chyba ten mi wystarczy – powiedziała Miriamele, choć wciąż szczękała zębami.

– Chcesz coś zjeść? Zostawiłem połowę kolacji. Dzban rozbiłaś na głowie tamtego olbrzyma.

– Daj mi trochę wody. – Nie chciała napychać niczym żołądka.

Simon przeszukiwał torby, gdy tymczasem ona usiadła i podkurczywszy nogi, spojrzała przez okno na ciemne niebo. Gwiazdy pozostawały niewidoczne za chmurami. Napiła się wody i poczuła, że znowu ogarnia ją znużenie.

– Czuję się... źle. Chyba muszę się jeszcze przespać – powiedziała.

– Oczywiście, Miri. – Simon nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Przepraszam. Czuję się taka chora... – Położyła się, nakrywając płaszczem po samą brodę. Wydawało jej się, że ciemność wiruje wokół

niej. Jeszcze przez chwilę widziała postać Simona na tle okna, a potem nadszedł cień i zabrał ją z powrotem.

DO RANA GORĄCZKA MIRIAMELE znacznie wzrosła. Simon mógł jej pomóc, tylko podając jej wodę do picia i zwilżając czoło.

Ponury dzień upływał na tle kolejnych widoków: szarych chmur płynących na tle okna, szybującej samotnie gołębicy i zmartwionej twarzy Simona, pojawiającej się nad nią równie często jak księżyc na niebie. Miriamele stwierdziła, że nie obchodzi ją zbytnio, co się z nią dzieje. Choroba zabrała jej cały strach i niepokój, które dotąd były motorem jej działania. Gdyby mogła zasnąć na rok, z pewnością by to zrobiła. Zamiast tego zanurzała się i wyłaniała ze stanu czuwania jak rybak uczepiony dryfującej rei. Jej sny wypełniały białe drzewa i zatopione miasta, na których ulicach unosiły się wodorosty.

Przed zmrokiem drugiego dnia spędzonego w stajni Miriamele obudziła się i stwierdziła, że ma jasny umysł, tyle tylko, że czuła się bardzo słaba. Nagle przestraszyła się, że jest sama, że jej towarzysz opuścił ją.

– Simon? – odezwała się. Nikt nie odpowiedział. – Simon!

– Hm?

– Czy to ty?

– Co? Miriamele? Pewnie, że ja. – Słyszała, jak pełznie po słomie. – Czy czujesz się gorzej?

– Nie, chyba lepiej. – Wyciągnęła drżącą rękę i wymacała jego ramię, po czym zsunęła swoją dłoń, aż trafiła na jego palce. – Ale jeszcze nie za dobrze. Zostań ze mną przez chwilę.

– Oczywiście. Czy jest ci zimno?

– Trochę.

Simon przykrył Miriamele swoim płaszczem. Czuła się tak bezsilna, że zachciało jej się płakać po tym, co zrobił; w rzeczywistości po jej policzku spłynęła zimna łza.

– Dziękuję. – Siedziała w milczeniu jakiś czas. Zmęczyła ją nawet ta krótka wymiana zdań. Noc, która wydawała jej się tak przepastna i pusta, kiedy się wcześniej budziła, teraz nie była już tak straszna.

– Chyba mogę się znowu położyć. – Jej własny głos wydawał jej się niewyraźny.

– Dobranoc.

Miriamele czuła, że znowu zapada w sen. Zastanawiała się, czy Simon kiedykolwiek miał równie dziwny sen, jak ten o białym drzewie i jego dziwnych owocach. Wydawało się to nieprawdopodobne...

Kiedy obudziła się i otworzyła oczy w słabym świetle ponurego świtu, wciąż leżała pod płaszczem Simona. On sam spał nieopodal, przykryty kilkoma wiązkami wilgotnego siana.

MIRIAMELE DUŻO SPAŁA w czasie drugiego dnia spędzonego w stajni, lecz kiedy zapadała w sen, czuła się o wiele lepiej, prawie tak jak przed chorobą. W południe zjadła nawet trochę chleba i kęs sera. Wcześniej Simon rozglądał się po okolicy i teraz, kiedy jadła, opowiadał jej o tym, co widział.

– Tu jest tak mało ludzi! Widziałem dwoje na drodze wychodzącej z Falshire. Nie martw się, oni mnie nie widzieli. Ale poza tym prawie nikogo. Niżej stoi dom, bardzo zniszczony. Myślę, że do jego właścicieli należy też ta stajnia. W dachu jest kilka dziur, ale poza tym jeszcze się trzyma. Chyba nikt tam nie mieszka. Gdybyśmy mieli zostać tutaj dłużej, to może tam byłoby lepiej, przynajmniej sucho.

– Zobaczymy – powiedziała Miriamele. – Może jutro będę już mogła wsiąść na konia.

– Może, ale najpierw musisz nabrać tyle sił, żeby się swobodnie poruszać. Usiadłaś po raz pierwszy od chwili opuszczenia Falshire. – Nagle odwrócił się do niej. – Mało nie zginąłem!

– Co? – Miriamele musiała szybko napić się wody, żeby przełknąć suchy chleb. – O czym ty mówisz? Spotkałeś Tancerzy Ognia? – spytała, kiedy połknęła kęs.

– Nie – odparł Simon; oczy miał szeroko otwarte, a minę bardzo poważną. Chwilę później uśmiechnął się. – Ale było to coś podobnego. Szedłem na górę z pola obok domu. Zbierałem tam... zbierałem kwiaty.

Miriamele spojrzała na niego podejrzliwie.

– Kwiaty? Po co ci kwiaty?

Simon mówił dalej, jakby nie słyszał ostatniego pytania.

– Usłyszałem jakiś hałas i podniosłem głowę. Za mną na szczycie wzgórza stał byk.

– Simonie!

– Nie wydawał się przyjaźnie usposobiony. Był bardzo chudy, miał czerwone oczy i podrapane boki. – Simon przeciągnął palcami po swoich żebrach. – Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, a potem on zniżył głowę i zaczął parskać. Zacząłem się powoli wycofywać. Potem on ruszył w dół małymi, tanecznymi kroczkami, tyle że coraz szybciej.

– Ach, Simonie! Co zrobiłeś?

– No cóż, bieg w dół zbocza przed bykiem wydał mi się głupi, więc rzuciłem kwiaty i wspiąłem się na pierwsze solidne drzewo, do którego udało mi się dobiec. Byk zatrzymał się pod drzewem. Zdążyłem podciągnąć nogi w chwili, kiedy tam dobiegł, nagle zniżył głowę i... łup! – Simon uderzył pięścią w drugą dłoń. – Uderzył potężnie rogami w pień. Całe

drzewo zatrzęsło się, a ja o mało nie spadłem z gałęzi, na której wisiałem; musiałem się mocniej owinąć nogami. Później podciągnąłem się wyżej i usiadłem na gałęzi, co okazało się dobrym pomysłem, gdyż ten głupi byk walił głową w drzewo, aż zdarł sobie skórę i krew zalała mu pysk.

– To straszne. Musiał być wściekły, biedne zwierzę.

– Biedne zwierzę! A to dobre! – zauważył Simon z udawaną rozpaczą. – Próbuje zabić twojego specjalnego obrońcę, a ty potrafisz tylko powiedzieć „biedne zwierzę”.

Miriamele uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że cię nie zabił. Co się stało potem?

– Wreszcie się zmęczył i odszedł – powiedział Simon ożywiony. – Poszedł w dół, tak że miałem wolną drogę do ogrodzenia. Mimo to, kiedy biegłem w górę, wydawało mi się, że on mnie goni.

– Udało ci się. – Miriamele nie mogła powstrzymać ziewania. Simon skrzywił się na ten widok. – Ale cieszę się, że nie zabiłeś potwora – mówiła dalej. – Nawet będąc rycerzem. To nie jego wina, że jest wściekły.

– Zabiłeś potwora? Gołymi rękoma? – Simon roześmiał się, ale sprawiał wrażenie zadowolonego. – Choć może zabicie go byłoby najlepszą rzeczą, jaką można by zrobić. Dla niego rzeczywiście chyba nie ma ratunku. Dlatego pewnie zostawili go tutaj.

– A może wściekł się właśnie dlatego, że go zostawili – powiedziała Miriamele. Spojrzała na Simona i zauważyła, że on usłyszał coś dziwnego w jej głosie. – Jestem zmęczona. Dziękuję za chleb.

– Mam jeszcze coś. – Wsunął dłoń pod płaszcz i wyciągnął małe, zielone jabłko. – Jedyne, jakie znalazłem w okolicy.

Przez moment Miriamele przyglądała się owocowi podejrzliwie, potem powąchała go i dopiero ugryzła. Nie było słodkie, ale cierpkość była miła. Zjadła połowę, a drugą podała Simonowi.

Z przyjemnością schrupał resztę owocu. Miriamele odnalazła dziurę, jaką wygniotła sobie w słomie, i ułożyła się w niej.

– Prześpię się jeszcze trochę.

Simon kiwnął głową. Patrzył na nią z taką troską i uwagą, że musiała odwrócić się i nakryć płaszczem. Nie miała jeszcze tyle sił, by znieść jego troskę.

Obudziła się późnym popołudniem. Coś wydawało dziwny odgłos – uderzenie i świst, uderzenie i świst. Trochę przestraszona i wciąż słaba, Miriamele leżała nieruchomo i zastanawiała się, czy to ktoś, kto szuka ich albo byka, a może jeszcze coś gorszego. Wreszcie zebrała się na odwagę i podpełzła do okna strychu, starając się jak najmniej szeleścić na słomie. Wyjrzała ostrożnie.

Na klepisku stodoły stał Simon i ćwiczył uderzenia mieczem. Choć było chłodno, zdjął koszulę; kropelki potu lśniły na jego nagim ciele. Patrzyła, jak odmierza odległość przed sobą, potem podnosi miecz oburącz, trzymając go przez chwilę prostopadle do podłogi i wreszcie opuszcza jego koniec. Mięśnie na jego piegowatych barkach napięły się. Łup i krok do przodu. Łup, łup, skręcił ciało, przesuwając nieomal nieruchomy miecz, jakby blokował miecz przeciwnika. Twarz miał napiętą jak u dziecka, a między wargami widać było koniuszek różowego języka, który wystawił, skupiając się. Miriamele powstrzymała chichot, lecz jednocześnie podziwiała pracę jego mięśni wyraźnie widocznych pod skórą. Zatrzymał się z mieczem uniesionym wciąż przed sobą. Kropla potu spłynęła z jego nosa w rudawą brodę. Nagle zapragnęła, żeby znowu ją przytulił, lecz jednocześnie myśl o tym sprawiła, że poczuła ucisk w żołądku. Istniało tyle rzeczy, o których on nie wiedział.

Odsunęła się cicho od okna i wróciła do swojej dziury w słomie. Próbowała jeszcze zasnąć, ale już nie mogła. Leżała długo wpatrzona

w cienie między krokwiami i nasłuchiwała odgłosu jego stóp, świstu miecza i zduszonego oddechu.

TUŻ PRZED ZACHODEM SŁOŃCA Simon zszedł na dół jeszcze raz, by obejrzeć dom. Wróciwszy, oznajmił, że dom rzeczywiście jest pusty, chociaż w błocie dostrzegł coś, co przypominało świeże ślady butów. Jednak nie widział nikogo w okolicy i zdecydował, że musiał to być jeszcze jeden włóczęga podobny do Heanwiga, więc zebrali swoje rzeczy i przenieśli się na dół. Początkowo Miriamele czuła się tak oszołomiona, że musiała się wesprzeć na ramieniu Simona, żeby nie upaść, lecz przeszedłszy kilkanaście kroków, poczuła się na tyle silna, by iść sama, chociaż wciąż opierała dłoń na jego ramieniu. On szedł bardzo wolno, ostrzegając ją przed szczególnie śliskimi miejscami.

Dom wyglądał na opuszczony od dłuższego czasu; rzeczywiście w dachu widniały dziury, ale stodoła i tak była bardziej przewiewna, a poza tym w domu znaleźli miejsce na palenisko. Simon nanosił trochę szczap ułożonych na zewnątrz pod ścianą domu, gdy tymczasem Miriamele przycupnęła owinięta płaszczem i rozglądała się po wnętrzu.

Ktokolwiek tu mieszkał, niewiele zostawił po sobie, co wskazywało na to, że nie opuszczał on domu w pośpiechu. Jedynym meblem, jaki pozostał, był stołek z rozłupaną nogą, który stał przekrzywiony obok paleniska. Nieco dalej leżała miska rozbita o kamień, wszystkie kawałki dokładnie w tym samym miejscu, w którym upadły, jakby zrzucono ją przed chwilą. Całą podłogę pokrywało sitowie, wilgotne i brązowe. Jedyną oznaką życia były liczne pajęczyny zwisające spod powały lub rozsnute w rogach pomieszczenia, ale nawet one wyglądały na postrzępione i opuszczone, jakby pora nie była odpowiednia także i dla pająków.

– Dobrze. Pali się. Pójdę teraz po konie – powiedział Simon i wstał.

Kiedy wyszedł, Miriamele usiadła przy ogniu i zaczęła szukać w torbach jedzenia. Po raz pierwszy od dwóch dni poczuła głód. Żałowała, że właściciele domu nie zostawili garnka do gotowania – nad ogniem wisiał tylko pusty hak – ale ponieważ go nie było, musiała sobie jakoś poradzić. Wrzuciła do ognia kilka kamieni, żeby się rozgrzały, po czym wyłowiła z torby pozostałe jeszcze marchewki i cebulę. Kiedy kamienie rozgrzeją się dostatecznie, ugotuje zupę.

Przyjrzawszy się uważnie sufitowi, rozłożyła swoje posłanie w miejscu bezpiecznie oddalonym od najbliższej dziury, na wypadek deszczu. Po chwili namysłu niedaleko rozłożyła posłanie Simona. Zachowała – jak jej się wydawało – bezpieczną odległość między posłaniami, chociaż gdyby nie przeciekający dach, z pewnością znacznie by ją zwiększyła. Kiedy wszystko było już przygotowane, sięgnęła po nóż i zaczęła obierać warzywa.

– Wieje mocno – rzekł Simon, wchodząc. Włosy miał potargane, lecz na jego rumianej twarzy gościł szeroki uśmiech. – Miło będzie spędzić noc w cieple ogniska.

– Cieszę się, że tutaj przyszliśmy – powiedziała. – Dzisiaj czuję się znacznie lepiej. Myślę, że jutro będę mogła jechać.

– Jeśli tak uważasz. – Przechodząc obok niej do paleniska, na moment położył dłoń na jej ramieniu, a potem delikatnie przesunął palcami po jej włosach.

Miriamele nic nie powiedziała i dalej kroiła marchewkę do glinianej miski.

KOLACJA NIE BYŁA POSIŁKIEM, który mógł pozostać na długo w pamięci, lecz mimo to Miriamele z wdzięcznością zjadła coś ciepłego. Kiedy wypłukała miski i wyczyściła je gałązką, wsunęła się do swojego

posłania. Simon grzebał jeszcze chwilę przy ogniu, po czym także się położył. Leżeli w milczeniu wpatrzeni w ogień.

– W mojej sypialni w Meremundzie był kominek – powiedziała cicho Miriamele. – Kiedy nie mogłam zasnąć, przyglądałam się tańczącym płomieniom. Widziałam w nich obrazy. Kiedy byłam małą dziewczynką, wydawało mi się, że ujrzałam raz uśmiechającego się do mnie Usiresa.

– Hmm – mruknął Simon. – To znaczy, że miałaś osobny pokój do spania?

– Byłam jedynym dzieckiem księcia. To nic nadzwyczajnego – powiedziała jakby trochę urażona.

Simon prychnął.

– Nie dla mnie. Ja sypiałem z tuzinem innych podkuchennych. Chrapanie jednego z nich, Grubego Zebediaha, przypominało odgłosy piły bednarza.

Miriamele zachichotała.

– Później, w czasie ostatnich dwunastu miesięcy, które spędziłam w Hayholt, spała ze mną w pokoju Leleth. To było miłe. Ale w Meremundzie spałam sama; pokojówka była za ścianą.

– To chyba trochę... samotnie.

– Nie wiem. Chyba tak. – Westchnęła i roześmiała się jednocześnie; efektem był dziwny odgłos, który zaciekawił Simona na tyle, że uniósł głowę. – Kiedyś nie mogłam zasnąć, więc poszłam do pokoju ojca. Powiedziałam mu, że pod moim łóżkiem czai się zły, i poprosiłam, żeby pozwolił mi spać ze sobą. Ale to było już po śmierci mojej matki, więc on dał mi tylko do pokoju jednego ze swoich psów. „On jest świetnym myśliwym, powiedział do mnie. Wierz mi, będzie cię pilnował”. Nigdy nie umiał dobrze kłamać. A pies leżał pod drzwiami i skamlał tak długo, aż go w końcu wypuściłam.

Milczeli przez chwilę oboje. Cienie płomieni tańczyły na słomianym suficie.

– Jak umarła twoja matka? – spytał Simon. – Nikt nigdy mi o tym nie opowiadał.

– Zginęła od strzały. – Miriamele wciąż odczuwała ból, wspominając o tym, choć już nie tak wielki jak kiedyś. – Wuj Josua wiózł ją do mojego ojca, który walczył dla dziadka Johna na granicy z ziemiami Thrithingów podczas ich powstania. Duży oddział Thrithingów zaskoczył Josuę w biały dzień. Broniąc jej, stracił dłoń; udało mu się nawet wyswobodzić, ale przypadkowa strzała trafiła mamę. Zmarła jeszcze tego samego dnia.

– Przykro mi, Miriamele.

Wzruszyła ramionami, chociaż Simon jej nie widział.

– To było dawno temu. Jej strata przyniosła jednak o wiele więcej cierpienia mojemu ojcu niż mnie. Tak bardzo ją kochał. Och, Simonie, ty znasz go tylko takim, jaki stał się potem, ale kiedyś on był dobrym człowiekiem. Kochał moją matkę nade wszystko. – Na wspomnienie jego zgorzkniałej twarzy, złości, która nigdy go już nie opuściła, Miriamele rozpłakała się. – Dlatego właśnie muszę się z nim zobaczyć – dodała drżącym głosem. – Dlatego właśnie.

Simon poruszył się na swoim posłaniu.

– Co? Jak to? Kogo zobaczyć?

Miriamele wzięła głęboki oddech.

– Mojego ojca. Po to jedziemy do Hayholt. Muszę porozmawiać z ojcem.

– O czym ty mówisz? – Simon usiadł. – Jedziemy do Hayholt, żeby odzyskać miecz twojego dziadka, Biały Gwóźdź.

– Nigdy tego nie mówiłam. To ty tak uważasz. – Po jej policzkach wciąż płynęły łzy, lecz poczuła wzbierający w niej gniew.

– Nie rozumiem ciebie, Miriamele. Prowadzimy wojnę z twoim ojcem. Czy znowu chcesz się z nim spotkać i powiedzieć mu, że pod twoim łóżkiem jest zły?

– Nie bądź okrutny, Simonie. Jak śmiesz. – Bała się, że za chwilę znowu się rozpłacze, lecz jednocześnie węgielek gniewu buchnął płomieniem.

– Przepraszam – powiedział. – Ale ja nie rozumiem.

Miriamele ścisnęła dłonie i przez moment skupiła się na nich, dopóki się nie opanowała.

– A ja niczego ci nie wyjaśniłam, Simonie. Ja także przepraszam.

– Wyjaśnij mi. Posłucham.

Miriamele milczała wsłuchana w trzask ognia.

– Cadrach ukazał mi prawdę, choć może on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. To stało się wtedy, kiedy razem podróżowaliśmy, a on opowiedział mi o księdze Nissesa. Miał ją kiedyś, albo tylko jej kopię.

– Tę magiczną księgę, o której wspominał Morgenes?

– Tak. Ona posiada wielką moc. Tak wielką, że Pryrates posłał po Cadracha, dowiedziawszy się, że ona jest w jego posiadaniu. – Przypomniała sobie opisywane przez mnicha krwistoczerwone okna i żelazne przyrządy z resztkami włosów i skóry torturowanych za ich pomocą ludzi. – Groził mu, aż Cadrach wyjawił wszystko to, co pamiętał. Cadrach powiedział, że Pryratesa szczególnie interesowały możliwości porozumiewania się ze zmarłymi, on to nazwał „mówieniem przez Welon”.

– Nie jestem zdziwiony, biorąc pod uwagę to, co wiem o Pryratesie. – Głos Simona także drżał. I on miał swoje wspomnienia związane z czerwonym duchownym.

– Ale to właśnie ukazało mi to, co chciałam wiedzieć – mówiła dalej Miriamele, nie chcąc zgubić myśli, którą wreszcie wypowiedziała głośno. –

Och, Simonie, tak długo zastanawiałam się, dlaczego mój ojciec tak się zmienił, dlaczego Pryratesowi udało się nakłonić go do tak okropnych czynów. – Przełknęła ślinę. Na jej policzku wciąż jeszcze lśniły łzy, lecz teraz odnalazła nową siłę. – Mój ojciec kochał matkę. Nigdy nie był już taki sam po jej śmierci. Nie ożenił się ponownie, nawet nie brał tego pod uwagę, chociaż dziadek tego pragnął. Strasznie się o to kłócili. „Potrzebujesz syna, który będzie twoim następcą”, mawiał dziadek, ale ojciec wciąż powtarzał, że nigdy już się nie ożeni, że otrzymał żonę, a Bóg mu ją odebrał. – Zamilkła.

– Wciąż nie rozumiem – odezwał się cicho Simon.

– Nie widzisz? Pryrates musiał powiedzieć mojemu ojcu, że on potrafi porozumiewać się ze zmarłymi, że może pomóc mu porozmawiać z moją matką, a może nawet ją zobaczyć. Ty go nie znasz, Simonie. Zupełnie pogrążył się w smutku po jej stracie. Myślę, że zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać, choćby na chwilę.

Simon wstrzymał oddech.

– Ale to bluźnierstwo. To jest przeciwko Bogu.

Miriamele roześmiała się.

– I to miałoby go powstrzymać? Mówiłam ci, on zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać. Pryrates pewnie skłamał, mówiąc, że mogą do niej dotrzeć... dotrzeć poza Welon, czy jak to ta okropna księga nazwała. Może nawet Pryrates sądzi, że potrafi tego dokonać. Dlatego wykorzystał tę obietnicę, żeby uczynić z mojego ojca najpierw patrona, potem wspólnika i wreszcie... niewolnika.

Simon zastanawiał się nad jej słowami.

– Może Pryrates rzeczywiście próbował tego – powiedział. – Może w taki właśnie sposób dotarli do... na drugą stronę. Do Króla Burz.

Na dźwięk tego imienia, wymówionego nawet tak cicho, wiatr zawył gwałtowniej w słomianym dachu, aż Miriamele zadrżała.

– Być może. – Myśl ta przyniosła ze sobą falę chłodu. Jej ojciec czeka, by porozmawiać z ukochaną żoną, a zamiast niej znajduje to coś. Przypominało to okropną starą opowieść o tym, co rybak Bulychlinn wyłowił swoją siecią...

– Ale ja wciąż nie rozumiem, Miriamele – powtórzył Simon łagodnie, lecz z uporem. – Nawet jeśli to wszystko jest prawdą, to na co zda się twoja rozmowa z ojcem?

– Nie twierdzę, że w czymś pomoże. – I to była prawda: trudno było wyobrazić sobie szczęśliwe zakończenie ich spotkania po tak długim czasie, wypełnionym gniewem i smutkiem. – Ale jeśli istnieje niewielka nawet szansa, że potrafię przedstawić mu prawdziwy obraz rzeczy, przypomnieć, że wszystko to wyrosło z miłości, i przekonać, by się opamiętał... to muszę z niej skorzystać. – Otarła dłonią oczy. – On tylko chciał ją zobaczyć... – Po chwili znowu się opanowała. – Ale ty nie musisz jechać, Simonie. To mój ciężar.

Milczał, a ona wyczuwała jego skrępowanie.

– To zbyt wielkie ryzyko. Możesz nigdy nie dotrzeć do ojca, nawet jeśli miałoby to pomóc. Istnieje niebezpieczeństwo, że wcześniej wpadniesz w ręce Pryratesa i nikt już więcej o tobie nie usłyszy. – Powiedział to z okrutnym przekonaniem.

– Masz rację, Simonie. Ale nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. Muszę porozmawiać z ojcem. Muszę mu pokazać, co się stało, a tylko ja mogę to zrobić.

– A zatem jesteś zdecydowana?

– Tak.

– Aedonie na Drzewie, Miriamele, to szaleństwo. Mam nadzieję, że zmienisz zdanie, zanim tam dotrzemy – westchnął.

Miriamele wiedziała, że tak się nie stanie.

– Długo się nad tym zastanawiałam.

Simon usiadł na posłaniu.

– Gdyby Josua wiedział, związałby cię i odwiózł tysiąc mil stąd.

– Masz rację. Nigdy by na to nie pozwolił.

Simon znowu westchnął w ciemności.

– Muszę się zastanowić. Nie wiem, co robić.

– Wszystko z wyjątkiem jednego – rzuciła ostrzegawczo. – Nie próbuj mnie zatrzymywać.

Nic nie odpowiedział. Niedługo potem sen przemógł jej strach i gniew.

OBUDZIŁ JĄ GŁOŚNY RYK. Kiedy leżała przerażona, coś jaśniejszego od pochodni błysnęło w dziurze dachu. Dopiero po chwili dotarło do niej, że była to rozdzierająca niebo błyskawica. Po chwili rozległ się kolejny grzmot.

W domu czuć było wilgoć jeszcze bardziej niż przedtem. W blasku pierwszej błyskawicy dostrzegła strumienie deszczu lejące się wyrwą w słomie. Usiadła i pomacała wokół siebie podłogę. Deszcz ściekał dość daleko od niej, lecz padał wprost na buty Simona i jego siedzenie. Simon spał, pochrapując cicho.

– Simonie, wstawaj! – Potrząsnęła nim.

Mruknął tylko, lecz nawet nie drgnął.

– Simonie, rusz się. Pada na ciebie.

Potrząsnęła nim jeszcze kilkakrotnie i dopiero wtedy przewrócił się na drugi bok. Mrucząc coś pod nosem, pomógł Miriamele przysunąć swoje

posłanie bliżej niej, po czym zwalił się na nie, sprawiając wrażenie, że zaraz znowu zaśnie.

Kiedy leżała, słuchając pukania deszczu o słomę, poczuła, że Simon przysuwa się bliżej. Jego twarz znalazła się teraz bardzo blisko jej twarzy; czuła w ciemności jego oddech na swoim policzku. Było to dziwnie spokojne uczucie – po wszystkich niebezpieczeństwach, przez jakie już przeszli i jakie ich jeszcze czekały – leżeć tutaj i słuchać burzy tak blisko tego młodego mężczyzny.

Simon poruszył się.

– Miriamele, nie jest ci zimno?

– Trochę.

Przysunął się jeszcze bliżej, a potem wyciągnął rękę i podłożył ją pod jej kark, przyciągając ją do swej piersi, tak że przylgnęła do niego całym ciałem. Czuła się osaczona, ale nie bała się. Jego usta przylgnęły do jej policzka.

– Miriamele... – wyszeptał.

– Ciii. – Wtuliła się w niego. – Nic nie mów.

Leżeli tak przez jakiś czas. Deszcz grzechotał w słomie. Co jakiś czas po niebie przetaczał się grzmot.

Simon pocałował jej policzek. Miriamele poczuła łaskotanie jego brody, ale wydało jej się to tak naturalne, że się nie broniła. Odwrócił delikatnie jej głowę i ich usta się spotkały. Gdzieś daleko znowu rozległ się grzmot; coś działo się w innym miejscu, w innym czasie.

„Dlaczego musi być coś jeszcze ponad to? – zastanawiała się Miriamele. – Dlaczego muszą istnieć te wszystkie komplikacje?”

Simon objął ją ramieniem delikatnie, ale stanowczo, przyciskając mocniej do siebie. Czuła jego szczupłe, silne ramiona, jego twardą pierś

przyciśniętą do jej brzucha, do jej piersi. Gdyby tylko można było zatrzymać czas!

Pocałunki Simona stały się teraz bardziej natarczywe. Uniósł twarz i wtulił ją w jej włosy.

– Miriamele – szepnął przez ściśnięte gardło.

– Och, Simonie – odpowiedziała szeptem. Nie była pewna, czego pragnie, ale wiedziała, że będzie szczęśliwa, całując go, tuląc do siebie.

Jego usta dotknęły jej szyi, przeszywając dreszczem całe jej ciało. Wspaniałe uczucie, ale i przerażające. Był chłopcem, lecz także mężczyzną. Znowu ją pocałował, niezręcznie, ale gorąco, nieco zbyt natarczywie. Przytrzymała jego twarz dłonią, by ich usta mogły się spotkać i dotknąć – och, tak delikatnie!

Jego dłoń muskała jej twarz, szyję. Dotykał jej wszędzie tam, gdzie mógł, nie tracąc ciepła uwięzionego między nimi, przesuwając palcami po jej biodrze, aż znieruchomiały w zagłębieniu pod jej ramieniem. Poczuła mrowienie i zapragnęła otrzeć się mocno o niego, lecz czuła dziwną miękkość, jakby oboje tonęli, zapadając się w mroki głębi oceanu. Bicie jej serca zagłuszało szelest słomy.

Simon przekręcił się jeszcze bardziej, tak że teraz znalazł się częściowo nad nią, i odchylił się trochę. Był tylko cieniem, którego jakby się bała. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy, poczuła ukłucie brody. Jego usta się poruszyły.

– Kocham cię, Miriamele.

Wstrzymała oddech. Nagle poczuła w żołądku zimną kulę.

– Nie, Simonie – szepnęła. – Nie mów tak.

– Ale to prawda! Myślę, że pokochałem cię już w chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, na wieży, a twoje włosy lśniły w słońcu.

– Nie wolno ci mnie kochać. – Chciała go odepchnąć, ale nie miała tyle sił. – Ty nie rozumiesz.

– O czym mówisz?

– Ty... tobie nie wolno mnie kochać. To jest złe.

– Złe? – powtórzył ze złością. Czuła teraz, jak jego ciało drży od powstrzymywanej złości. – Nie jestem zbyt dobry dla księżniczki, ponieważ jestem zwykłym prostakiem, czy tak? – Obrócił się i klęknął obok niej. – Ach, ta twoja duma, Miriamele. Walczyłem ze smokiem! Z prawdziwym smokiem. Czy to dla ciebie za mało? Czy wolisz kogoś takiego jak Fengbald? Mordercę, ale mordercę z tytułem? – Z całych sił powstrzymywał łzy.

Nie mogła znieść jego chłodnego tonu.

– Nie, Simonie, to nie tak. Nie rozumiesz.

– W takim razie powiedz mi! Powiedz, czego nie rozumiem! – warknął.

– To nie chodzi o ciebie. To ja.

Zapadła długa chwila milczenia.

– Jak to?

– Ty jesteś dzielny, dobry i taki, jaki powinieneś być. Ale chodzi o mnie, Simonie. To ja nie zasługuję na miłość.

– Co ty wygadujesz?!

Potrząsnęła głową.

– Nie chcę już o tym mówić. Zostaw mnie, Simonie. Pokochaj kogoś innego. Wiele znajdzie się takich, które będą z tobą szczęśliwe. – Odwróciła się do niego plecami. Pragnęła, by łzy znowu przyniosły jej ulgę, lecz nie tym razem. Czuła tylko chłód i dziwne podniecenie.

Jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu.

– Na cholerne Drzewo, Miriamele, czy powiesz mi?

– Ja nie jestem czysta, Simonie. Nie jestem dziewicą. – Stało się. Wyrzuciła to z siebie.

– Co...? – spytał po długiej chwili milczenia.

– Byłam już z mężczyzną. – Teraz, kiedy zaczęła mówić, okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczała. Wydawało jej się, że słucha kogoś innego. – Ze szlachcicem z Nabbanu, o którym ci opowiadałam; tym, który zabrał mnie i Cadracha na pokład. Nazywa się Aspitis Previs.

– Zgwałcił cię? – Jego głos przepełniało zdziwienie, ale i rosnący gniew. – Ten... ten...

Miriamele zaśmiała się gorzko.

– Nie, Simonie, nie zgwałcił mnie. Owszem, więził mnie, ale to było później. Okazał się potworem, ale ja pozwoliłam mu przyjść do swojego łóżka i nie sprzeciwiałam się temu. – A potem, żeby definitywnie zatrzasnąć drzwi między nimi, żeby skończyć jego cierpienia, powiedziała: – Chciałam, żeby to zrobił. Wydawał mi się piękny. Chciałam tego.

Simon wydał nieokreślony dźwięk i wstał. Oddychał głośno w ciemności. Miała wrażenie, że jest on zmieniającą postać istotą: przypominał oniemiałe, osaczone zwierzę. Warknął głucho i pobiegł w stronę drzwi. Otworzyły się z trzaskiem, a on wypadł w odchodzącą burzę.

Miriamele leżała jeszcze chwilę, a potem wstała i zamknęła drzwi. Była pewna, że wróci. Potem może ją zostawi albo pojadą dalej, lecz nic już nie będzie tak jak przedtem. Ale tego chciała. Tego jej było trzeba. Czuła pustkę w głowie. Nieliczne myśli odbijały się echem jak kamienie wrzucone do studni.

Długo czekała na sen. Zasypiała już, kiedy usłyszała, że Simon wraca. Zaciągnął swoje posłanie w drugi koniec pomieszczenia i położył się. Żadne z nich nie wymówiło ani słowa.

Burza odeszła, ale woda wciąż kapała z sufitu. Miriamele zaczęła liczyć krople.

NASTĘPNEGO DNIA W POŁUDNIE Miriamele poczuła, że jest gotowa do drogi. Wyruszyli pod niebem czarnych chmur.

Po bólu i emocjach nocy oboje pozostali obojętni wobec siebie; przypominali przeciwników, ponurych i posiniaczonych, którzy oczekują na ostateczną rozgrywkę. Rozmawiali ze sobą tylko na tyle, na ile było to konieczne, lecz Miriamele przez cały dzień wyczuwała w Simonie gniew, patrząc na to, jak zbyt energicznie siodła konia, a potem wciąż jedzie daleko z przodu, lecz w zasięgu wzroku.

Miriamele poczuła ulgę. Wyrzuciła z siebie najgorsze i nie było już od tego powrotu. Teraz Simon będzie wiedział, jak jest naprawdę, co mu wyjdzie tylko na dobre. Bolała ją jego pogarda wobec niej, gdyż z pewnością gardził nią teraz, lecz lepsze było to niż zwodzenie go. A jednak nie mogła pozbyć się uczucia straty. Pamiętała to ciepło, kiedy całowała go i obejmowała, nie myśląc o niczym. Gdyby tylko nie mówił o miłości. Gdyby tylko nie zmusił jej, by zastanowiła się nad odpowiedzialnością. Gdzieś w głębi wyczuwała, że cokolwiek, co wykraczałoby poza przyjaźń między nimi, oznaczałoby okłamywanie się, lecz w krótkich chwilach, tych słodkich chwilach udawała, że mogłoby być inaczej.

Jadąc najszybciej jak mogli błotnistymi drogami, przed wieczorem opuścili Falshire i wjechali na pustkowie na zachód od miasta. Kiedy zapadła ciemność – niewiele tylko gęstszy mrok od tego, w jakim jechali w ciągu dnia – znaleźli przydrożną kaplicę ku czci Elysii i rozłożyli posłania na jej podłodze. Jedli mało, jeszcze mniej mówili, a potem się

położyli. Tym razem Simon wydawał się nie przejmować tym, że Miriamele rozłożyła swoje posłanie po drugiej stronie ogniska.

Po pierwszym dniu spędzonym w siodle po kilkudniowej chorobie Miriamele wydawało się, że zaśnie natychmiast, lecz sen nie przychodził. Kręciła się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję, ale nic nie pomagało. Leżała więc w ciemności, patrząc w nicość i nasłuchując deszczu bębniącego o dach kaplicy.

Zastanawiała się, czy Simon ją opuści. Myśl ta niespodziewanie napełniała ją strachem. Kilkakrotnie powtarzała, że gotowa jest odbyć tę podróż sama, tak jak planowała wcześniej, ale teraz zrozumiała, że nie chce jechać sama. Może źle postąpiła, mówiąc mu o tym? Może powinna była skłamać, by mógł zachować twarz? Wtedy mógłby po prostu wrócić do Josui, gdyby znienawidził ją do końca.

Nie chciała, żeby odchodził – teraz wiedziała już o tym. Nie tylko dlatego, że bałaby się jechać sama przez te ponure tereny. Tęskniłaby za nim. Dziwne wydawało się to teraz, kiedy wzniosła już między nimi mur nie do obalenia, ale nie chciała go stracić. Simon utorował sobie drogę do jej serca w sposób, w jaki nie zrobił tego żaden inny przyjaciel. Jego chłopięca głupota podobała jej się, poza momentami, kiedy ją irytowała, lecz obecnie zastąpiła ją niezwykle pociągająca powaga. Wiele razy łapała się na tym, że spogląda na niego zdumiona faktem, że w tak krótkim czasie stał się mężczyzną.

Polubiła także inne jego cechy: uprzejmość, lojalność i bezstronność. Wątpiła, czy najbardziej nawet obyci ze światem dworzanie jej ojca patrzyli na życie z równie bezinteresownym zainteresowaniem, jakie posiadał Simon.

Na samą myśl o tym, że mogłaby wszystko to stracić, ogarniał ją strach. Ale przecież już go straciła, a przynajmniej rzuciła cień na ich przyjaźń,

który pozostanie na zawsze. Zobaczył tę plamę, pokazała mu ją w sposób możliwie najbardziej nieprzyjemny. Nie chciała już dłużej cierpieć z powodu kłamstw, jak również bólu, jaki sprawiało jej uczucie Simona, bólu, którego nie potrafiła znieść. On ją kochał.

Ona także była blisko tego.

Myśl ta uderzyła ją z niespodziewaną siłą. Czy rzeczywiście tak było? Czy jednak miłość nie spada równie nagle jak piorun, ogłuszając i oślepiając? Albo przynajmniej jak słodkie perfumy, których woń przenika wszystko dookoła, aż o niczym innym nie można myśleć? Bez wątpienia jej uczucia wobec Simona były inne. Myślała o nim, o jego śmiesznie potarganych włosach, kiedy budził się rano, o uważnych spojrzeniach, kiedy martwił się o nią.

Elysio, Matko Boża – modliła się. – *Zabierz ode mnie ten ból. Czy ja go kochałam? Czy ja go kocham?*

Teraz to i tak już nie miało znaczenia. Sama zdecydowała się usunąć ten ból. Nie mogło być nic gorszego, niż pozwolić Simonowi myśleć o niej jak o czystej pannie, wartej jego młodzieńczych ideałów; nawet utrata go nie była czymś tak złym.

Dlaczego więc tak bardzo cierpiała?

– Simonie...? – szepnęła. – Nie śpisz?

Nawet jeśli nie spał, nie odpowiedział. Pozostała sama ze swoimi myślami.

KOLEJNY DZIEŃ WYDAWAŁ SIĘ jeszcze ciemniejszy. Przenikliwy wiatr nie dawał im spokoju. Jechali szybko w milczeniu, tak jak przedtem, Simon na swojej Nadziei przed Miriamele i jej bezimiennym wierzchowcem.

Mijał ranek, kiedy dotarli do rozwidlenia, gdzie Trakt Rzeczny łączył się z Traktem Leśnym. Na skrzyżowaniu w żelaznych klatkach wisiały dwa trupy – najwyraźniej pozostawały tam już jakiś czas. Łachmany i bielejące kości nie pozwalały dowiedzieć się, kim byli nieszczęśnicy. Simon i Miriamele zrobili znak Drzewa, omijając kołyszące się klatki najdalej, jak było to możliwe. Skręcili w Trakt Leśny, pozostawiając poprzednią drogę za niskimi wzgórzami.

Trakt zaczął opadać w dół. Na północy ujrzeli skraj lasu Aldheorte, który rozciągał się wzdłuż wzgórz. Kiedy znaleźli się na skraju Doliny Hasu i wjechali między wzgórza, wiatr zelżał nieco, lecz Miriamele wcale nie poczuła się lepiej. Nawet w południe dolinę wypełniał mrok i cisza przerywana jedynie kapaniem deszczu, który ściekał z pozbawionych liści gałęzi dębów i jesionów. Nawet wiecznie zielone zarośla wydawały się pogrążone w cieniu.

– Simonie, nie podoba mi się ta dolina. – Podjechała do przodu. Simon zwolnił, by się z nim zrównała. – To miejsce zawsze było ciche i tajemnicze, ale teraz jest inne.

Wzruszył ramionami, spoglądając poprzez ocienione zbocze. Kiedy przez dłuższą chwilę nie odrywał wzroku od nieruchomego krajobrazu, zrozumiała, że unika jej spojrzenia.

– Mnie nie podobała się większość miejsc, w których byliśmy. – Mówił chłodnym głosem. – Nie podróżujemy dla przyjemności.

Poczuła falę gniewu.

– Wiesz, że nie o tym mówię. Chodziło mi o to, że wyczuwam tutaj... nie wiem, niebezpieczeństwo.

Teraz odwrócił się. Jego kpiący uśmiech zranił ją głęboko.

– Chcesz powiedzieć, że tu straszy? To samo, co mówił tamten pijak?

– Nie potrafię dokładnie tego wyrazić – odparła gniewnie. – Ale widzę, że nie ma co z tobą o tym rozmawiać.

– Masz rację. – Delikatnie spiął konia i ruszył przed siebie. Widząc jego wyprostowane plecy, Miriamele powstrzymała się, by za nim nie krzyknąć. Czego się spodziewała? Nie, powinna raczej spytać, czego chciała? Czy nie postąpiła słusznie, wyjawiając mu prawdę? Może będzie im łatwiej, kiedy minie trochę czasu, kiedy zrozumie, że mogą pozostać przyjaciółmi.

Droga schodziła w dół doliny i zarośnięte gęsto wzgórza, między którymi jechali, wydawały się coraz wyższe. Była opustoszała, podobnie jak przylepione do zboczy nieliczne domy – przynajmniej będą mieli gdzie spędzić noc – co było dość krzepiące, gdyż Miriamele nie uśmiechało się spać tutaj pod gołym niebem. Choć dotąd nic złego się nie wydarzyło, ona jednak czuła, że nie podoba jej się Dolina Hasu. Przygniatająca cisza i gęsto zalesione wzgórza – a może także i jej smutek – sprawiały, że z niecierpliwością oczekiwała chwili, kiedy opuszczą dolinę i ujrzą przylądki Swertclif, chociaż będzie to oznaczało, że Asu’a i jej ojciec są już bardzo blisko.

Z niepokojem myślała też o kolejnej pełnej napięcia i milczenia nocy spędzonej pod jednym dachem z Simonem. Od tamtej chwili w ciągu dnia odezwał się do niej tylko kilkakrotnie, i to w sprawach zasadniczych. Niedługo po tym, jak wyruszyli, powiedział jej, że wcześniej odkrył świeże ślady stóp przy kaplicy, w której spali, lecz zachowywał się tak, jakby wcale go to nie obchodziło. Miriamele pomyślała, że mogły to być ich własne ślady, gdyż chodzili dużo wokół kaplicy, szukając drewna na ogień. Poza tym Simon rozmawiał z nią tylko wtedy, kiedy chciał spytać, czy jej zdaniem był już czas na postój czy posiłek; w czasie jedzenia dziękował krótko, kiedy podała mu bukłak lub chleb. Była pewna, że nie będzie to przyjemna noc.

Zjechali już na dno doliny, gdy nagle Simon ściągnął cugle Nadziei, tak że zatańczyła nerwowo w miejscu.

– Ktoś jest na drodze przed nami – powiedział cicho. – Tam. Za drzewami. – Wskazał miejsce, gdzie ścieżka skręcała, znikając za drzewami. – Widzisz ich?

Miriamele wytężyła wzrok. W zapadającym zmierzchu ścieżka przed nimi przypominała smugę szarości. Nie widziała niczego ze swojego miejsca.

– Zbliżamy się do miasta.

– Jedźmy więc – powiedział. – Pewnie ktoś wraca do domu. Przez cały dzień nikogo innego nie spotkaliśmy. – Ruszył przed siebie.

Minąwszy zakręt, ujrzeli dwie zgarbione postacie na środku drogi; obie niosły wiadra. Kiedy obcy usłyszeli najeżdżających Simona i Miriamele, drgnęli i spojrzeli przez ramię, jakby ich przyłapano na czymś złym. Miriamele była przekonana, że byli tak samo zaskoczeni widokiem kogoś na drodze jak ona i Simon.

Postacie przesunęły się na skraj drogi, kiedy zbliżyli się na swoich koniach. Sądząc po ciemnych płaszczach z kapturami, byli to ludzie mieszkający wśród wzgórz. Simon podniósł dłoń do czoła, pozdrawiając ich.

– Niech Bóg ześle wam dobry dzień – powiedział.

Stojąca najbliżej nich postać uniosła ostrożnie dłoń, by odwzajemnić powitanie, lecz nagle zamarła w bezruchu.

– Na Drzewo! – Simon wstrzymał konia. – To wy jesteście tymi ludźmi z gospody w Falshire.

„Co on wyprawia? – zastanawiała się Miriamele przerażona. – Czy oni są Tancerzami Ognia? Jedź, idioto!”

Simon odwrócił się do niej.

– Miriamele, spójrz.

Niespodziewanie obie zakapturzone postacie opadły na kolana.

– To wy uratowaliście nam życie – przemówił kobiecy głos.

Miriamele wstrzymała konia i wytężyła wzrok. Rzeczywiście byli to kobieta i mężczyzna, którym grozili Tancerze Ognia.

– To prawda – powiedział mężczyzna drżącym głosem.

– Niech Usires cię błogosławi, dobry rycerzu.

– Wstańcie, proszę. – Simon był najwyraźniej zadowolony, ale i zażenowany. – Jeśli nie my, to z pewnością pomógłby wam kto inny.

Kobieta wstała, nie zwracając uwagi na swoją ubłoconą suknię.

– Nikomu się nie śpieszyło. Tak już jest. Dobrzy zawsze cierpią. – powiedziała.

Mężczyzna rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Wystarczy, żono. Nie musisz ich pouczać, co dobre, a co złe w świecie.

– To wstyd, tylko tyle. Wstyd, że świat jest taki – mówiła kobieta, patrząc na niego z wyrzutem.

Mężczyzna zwrócił się ponownie do Simona i Miriamele. Był w średnim wieku, twarz miał czerwoną i pomarszczoną od przebywania na słońcu.

– Moja żona tak sobie plecie, ale ma rację co do sedna sprawy. Uratowaliście nam życie, tak było. – Zmusił się do uśmiechu. Wydawał się zdenerwowany, jakby uratowanie mu życia było równie przerażające jak niezrobienie tego. – Czy macie gdzie zatrzymać się na noc? Moja żona, Gullaighn, i ja, Roelstan, bylibyśmy radzi, gdybyście przyjęli naszą gościnę.

– Pojedziemy jeszcze trochę – powiedziała Miriamele; nie podobał jej się pomysł spędzenia nocy w towarzystwie obcych.

Simon spojrzał na nią.

– Jesteś chora – zauważył.

– Mogę jeszcze jechać.

– Owszem, możesz, ale dlaczego odrzucać dach nad głową, chociaż na jedną noc. – Popatrzył na mężczyznę i kobietę, a potem zwrócił konia w stronę Miriamele. – Może to być ostatnia okazja, żeby się schronić przed deszczem i wiatrem – mruknął. – Ostatnia przed... – Urwał, nie chcąc nawet szeptem wspominać miejsca, do którego się udawali.

Miriamele była zmęczona. Wahała się jeszcze przez chwilę, a potem skinęła głową.

– Dobrze – powiedział Simon, odwracając się do kobiety i mężczyzny. – Chętnie skorzystamy z zaproszenia. – Nie wyjawił ich imion obcym; Miriamele poparła go swoim milczeniem.

– Ale, mężu, nasza chata nie dla takich państwa. – Twarz Gullaighn mogła być kiedyś ładna, lecz strach i ciężkie czasy zmieniły ją i teraz jej oczy były smutne, a skóra zwiotczała. – To żaden zaszczyt zapraszać ich do takiej nory.

– Bądź cicho, kobieto. Postaramy się.

Wydawało się, że jego żona chce coś jeszcze powiedzieć, ale zacisnęła tylko usta.

– A zatem ustalone – powiedział. – Chodźcie. To niedaleko.

Simon i Miriamele zsiedli z koni i poszli za gospodarzami.

– Czy mieszkacie tutaj, w Dolinie Hasu? – spytał Simon.

Roelstan roześmiał się krótko.

– Tylko na jakiś czas. Przedtem mieszkaliśmy w Falshire.

Miriamele zastanawiała się przez moment, lecz wreszcie zapytała:

– Czy... czy byliście Tancerzami Ognia?

– Ku naszemu utrapieniu.

– Oni są bardzo źli. – Głos Gullaighn drżał z emocji. – Nie powinnaś mieć z nimi nic wspólnego, pani, ani z niczym, czego dotykali.

– Dlaczego was ścigali? – Simon odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza.

– Dlatego że od nich odeszliśmy – wyjaśnił Roelstan. – Nie mogliśmy już tego znieść. Oni są szaleńcami, ale nawet wściekłe psy potrafią ranić.

– Ale niełatwo jest przed nimi uciec – powiedziała Gullaighn. – Są zawzięci i nie pozwalają odejść. A poza tym są wszędzie. – Zniżyła głos. – Wszędzie!

– Na Odkupiciela, kobieto – warknął Roelstan. – O czym ty mówisz? Przecież widzisz, że ten rycerz ma miecz. On nie musi się bać nikogo.

Simon wyprostował się jeszcze bardziej. Miriamele uśmiechnęła się, lecz spoważniała, spoglądając na zatroskaną twarz Gullaighn. A może ona ma rację? Czy możliwe, żeby i tutaj byli? Niewykluczone, że jutro zjadą z głównej drogi i zaczną podróżować bardziej dyskretnie.

Jakby czytając w jej myślach, Roelstan zatrzymał się i wskazał na ścieżkę, która odchodziła w górę zalesionym zboczem od Traktu Starego Lasu. – Tam zamieszkaliśmy – powiedział. – Niedobrze trzymać się zbyt blisko drogi, gdyż dym może sprowadzić gości nie tak miłych jak wy.

Ruszyli w górę za Roelstanem i Gullaighn. Po kilku zakrętach główna droga zniknęła za wierzchołkami drzew. Ścieżka pięła się wysoko między drzewami, a w zapadającym zmroku coraz trudniej było dostrzec ciemne płaszcze ich przewodników. Miriamele już chciała powiedzieć, że księżyc zdąży wzejść, zanim dotrą na miejsce, kiedy Roelstan zatrzymał się i odsunął grubą gałąź sosny, która zwisała nad ścieżką.

– Tutaj – oznajmił.

Miriamele poprowadziła konia za Simonem przez przerwę między drzewami i znaleźli się na obszernej polanie na zboczu wzgórza. Na jej środku stał dom zbudowany z surowych bali, prosty, lecz zaskakująco duży. Z dziury w kominie ulatywał pióropusz dymu.

Miriamele patrzyła zdumiona. Odwróciła się do Gullaighn i spytała zaniepokojona:

– Kto jeszcze mieszka tutaj?

Kobieta nie odpowiedziała.

Miriamele dostrzegła jakiś ruch w drzwiach domu. Chwilę później na ubitej ziemi przed domem ukazał się mężczyzna. Był niski, o byczym karku i miał na sobie białą szatę.

– Znowu się spotykamy – powiedział Maefwaru. – Nie mieliśmy zbyt wiele czasu w gospodzie.

Miriamele usłyszała przekleństwo Simona, a potem świst wyciąganego z pochwy miecza. Chwycił za uzdę jej konia, by go obrócić.

– Nie rób tego – warknął Maefwaru. Zagwizdał. Z cieni na skraju polany wyłoniło się pół tuzina białych postaci. W mroku przypominały duchy zrodzone z tajemniczych drzew. Niektórzy napięli cięciwy łuków.

– Roelstan, ty i twoja kobieta odsuńcie się. – Łysy mężczyzna wyglądał na zadowolonego. – Wy już zrobiliście swoje.

– Bądź przeklęty, Maefwaru! – zawołała Gullaighn. – W Dzień Sądu będziesz jadł swoje bebechy!

– Naprawdę? Rusz się, kobieto, zanim dosięgnie cię strzała! – Maefwaru roześmiał się głucho.

Roelstan odciągnął swoją żonę, która spojrzała na Miriamele poprzez łzy.

– Wybacz nam, pani. Znowu nas złapali. Zmusili nas do tego!

Serce Miriamele było zimne jak kamień.

– Czego chcesz od nas, tchórzu?! – zawołał Simon.

Maefwaru znowu się roześmiał.

– Nie chodzi o to, czego my od was chcemy, paniczu. Ważne jest to, czego chce Król Burz. Dowiemy się tego, kiedy Mu was oddamy. – Dał znak swoim towarzyszom. – Związcie ich. Mamy dużo pracy przed północą.

Kiedy pierwszy spośród Tancerzy Ognia chwycił go za ramiona, Simon odwrócił się do Miriamele; na jego twarzy malował się gniew i rozpacz. Wiedziała, że chciał walczyć, że wolałby zostać zabity, niż się poddać, ale nie zrobił tego ze względu na nią.

Miriamele nie miała mu nic do ofiarowania. Czuła tylko paraliżujący strach.

34. Wyznanie

Siadł u jej boku, siadł tuż przy niej,

zaśpiewała Maegwin,

Młodzieniec w czarny strój wystrojony,
Złociste loki jego głowę zdobią,
Na ramię jedwabny płaszcz narzucony.

Co ci ofiarować, piękna pani?
Złocisty młodzieniec z uśmiechem rzecze.
Jakież to dary mam złożyć przed tobą?
Twym oblubieńcem chcę dziś zostać, nie przeczę.

Panna wstydliwie oczy spuściła,
Nie masz nic tak cennego ani wspaniałego,
Bym ci choć część
Mogła oddać skarbu mojego.

Młodzieniec złocistą czupryną potrząsa,
Śmieje się i rzecze: Och, słodka pani,
Dziś twe serce na mój widok się smuci,
Lecz zrozumiesz, że nie możesz odmówić,
Gdyż Śmierć mam na imię i wszystko, co twoje,
Do mnie kiedyś wróci...

Nic nie pomogło. Ponad dźwięk jej piosenki wciąż wznosiło się dziwne żałosne zawodzenie.

Maegwin zamilkła i utkwiła wzrok w płomieniach ogniska. Trudno było jej śpiewać, gdyż bolały ją usta spękane od zimna. Uszy ją szczypały i bolała głowa. Nic nie było tak, jak powinno być, jak oczekiwała.

A przecież na początku wydawało się, że wszystko jest w porządku. Była posłuszną córką bogów: naturalne było to, że po śmierci zamieszkała wśród nich – oczywiście nie jak równa, lecz jako zaufany podwładny, ukochany sługa. I na swój dziwny sposób bogowie okazali się tak wspaniali, jak się tego spodziewała; mieli dziwne, lśniące oczy, barwne kolorami tęczy zbroje i ubrania. Nawet kraj bogów w dużym stopniu spełniał jej oczekiwania. Był podobny do Hernystiru, ale lepszy, czystszy i jaśniejszy. Niebo w krainie bogów wydawało się wyższe i bardziej niebieskie niż to na ziemi, śnieg bielszy, a trawa aż do bólu zielona. Nawet hrabia Eolair, który także zmarł i przybył do tej przepięknej wieczności, wydawał się bardziej otwarty. Tutaj potrafiła mu powiedzieć, nie wstydząc się i nie lękając, że zawsze go kochała. Eolair, podobnie jak ona uwolniony od śmiertelnych trosk, słuchał z uprzejmą uwagą – nieomal jak bóg!

Ale potem wszystko zaczęło się zmieniać.

Maegwin myślała, że kiedy ona i pozostali przy życiu Hernystirczycy stawili czoło wrogowi, a przez to sprowadzili na świat bogów, tym samym przeważyli szalę. Sami bogowie także prowadzili wojnę, tak jak i Hernystirczycy, lecz oni jeszcze jej nie wygrali. Wydawało się, że najgorsze miało dopiero nadejść.

Tak więc bogowie pojechali przez rozległe, białe pola niebios w poszukiwaniu Scadach, dziury prowadzącej do zewnętrznej ciemności. I wreszcie ją znaleźli. Była ciemna i zimna, ziała z kamienia wyrwanego

z najciemniejszych zakątków wieczności – tak jak przepowiadano – i była pełna najstraszniejszych wrogów bogów.

Nigdy przedtem nie wierzyła, że coś takiego może istnieć naprawdę: istoty czystego zła, emanujące pustką i rozpaczą. Widziała jednak jedną z nich, stojącą na odwiecznym murze Scadach. Słyszała, jak istota ta pozbawionym życia głosem przepowiadała zagładę bogów i śmiertelników. Całe zło znajdowało się za murem, który teraz bogowie chcieli zburzyć.

Maegwin domyślała się, że poczynania bogów są tajemnicze, lecz nie domyślała się, jak bardzo tajemnicze.

Znowu spróbowała śpiewać, w nadziei, że zagłuszy hałas, lecz zaraz przestała. Sami bogowie śpiewali, a przecież mieli głosy o wiele silniejsze od niej.

„Dlaczego nie przestaną? – zastanawiała się rozpaczliwie. – Dlaczego?”

Nie było sensu zastanawiać się dłużej. Bogowie mieli swoje powody. Zawsze tak było.

EOLAIR DAWNO JUŻ PRZESTAŁ starać się zrozumieć Sithów. Wiedział, że oni nie byli bogami, bez względu na to, co widział rozgorączkowany umysł Maegwin, lecz z pewnością pozostawali równie niezrozumiali jak władcy niebios.

Hrabia odwrócił się od ogniska i od Maegwin. Właściwie przestała śpiewać swoją piosenkę. Miała miły głos, ale w zestawieniu z monotonnym śpiewem Sithów wydawał się cienki i nieharmonijny. To nie była jej wina. Żaden śmiertelny głos nie brzmiałby lepiej przy... ich śpiewie.

Hrabia Nad Mullach zadrżał. Sithijski chór znowu się wzniósł. Ich głosu nie można było zignorować, podobnie jak ich oczu, kiedy patrzyli na ciebie. Rytmiczna pieśń pulsowała coraz głośniej niczym komendy wioślarza.

Sithowie, zebrani przed murem Naglimundu w padającym śniegu, śpiewali już od trzech dni. Nie wiadomo było dokładnie, co miało to znaczyć, lecz Nornowie z zamku nie ignorowali ich; kilkakrotnie pojawiali się na szczycie muru i zasypywali Sithów gradem strzał. Kilku Sithów zginęło w czasie tych ataków, ale i oni mieli swoich łuczników. Za każdym razem wypierali Nornów z muru i podejmowali śpiew.

– Eolairze, nie wiem, czy długo to jeszcze wytrzymam. – Isorn wyłonił się niespodziewanie z mgły; jego broda skrzyła się od mrozu. – Poszedłem zapolować, ale ten odgłos mnie nie odstępował. – Rzucił na ziemię przy ognisku zająca. Z rany w jego boku ciekła krew. – Witaj, pani – zwrócił się do Maegwin. Przestała śpiewać, ale nie podniosła wzroku. Wydawało się, że nie widzi niczego poza ogniem. Eolair spostrzegł dziwne spojrzenie Isorna i wzruszył ramionami. – To nie jest aż tak okropne.

Rimmersman zmarszczył czoło.

– Nie, Eolairze. Na swój sposób jest nawet piękne. Ale dla mnie zbyt piękne, zbyt silne i dziwne. Niepokoi mnie.

Hrabia przytaknął mu.

– Wiem. Inni też są niespokojni. Nie, więcej niż niespokojni, boją się.

– Ale po co Sithowie to robią? Ryzykują życie. Wczoraj zginęło kolejnych dwóch! Jeśli jest to jakaś czarodziejska ceremonia, której muszą dokonać, to czy nie mogą tego robić dalej, poza zasięgiem strzał?

Eolair pokręcił głową bezradnie.

– Nie wiem. Niech mnie Bagba ugryzie, nie wiem, Isornie.

Głosy Sithów płynęły przez obóz niczym odwieczne fale oceanu.

JIRIKI PRZYSZEDŁ DO OGNISKA PRZED ŚWITEM. Gasnący żar oblał jego twarz czerwonym blaskiem.

– Dziś rano – powiedział. Przykucnął wpatrzony w węgle. – Zanim nadejdzie południe.

Eolair przetarł oczy, starając się w pełni obudzić. Spał niespokojnie, ale zawsze to lepsze niż nic.

– Dziś... dziś rano? O czym mówisz?

– Zacznie się bitwa. – Jiriki odwrócił się i spojrzał na Eolaira; podobny wyraz na twarzy śmiertelnika mógłby wyrażać ubolewanie. – Będzie okrutna.

– Skąd wiesz, że wtedy zacznie się bitwa?

– Ponieważ do tego zmierzaliśmy. Nie możemy przeprowadzać oblężenia, jest nas za mało. Nornów, jak ich nazywacie, jest jeszcze mniej, ale oni siedzą w ogromnej kamiennej skorupie, a my nie mamy machin, jakimi śmiertelnicy posługują się w bitwach. Nie ma też czasu, żeby je zbudować. Dlatego zrobimy to po swojemu.

– Czy to ma coś wspólnego ze śpiewaniem?

Jiriki przytaknął mu w swój dziwny ptasi sposób.

– Tak. Przygotujcie się. Powiedz swoim ludziom, że bez względu na to, co pomyślą albo zobaczą, niech pamiętają, że walczą z żywymi istotami. Hikeda’ya są tacy sami jak ty czy ja, też krwawią. Umierają. Powiesz im to?

– Tak. – Eolair zadrżał i wyciągnął zmarznięte dłonie nad ogniskiem. – Jutro?

Jiriki ponownie skinął głową i wstał.

– Kiedy słońce będzie wysoko. Wtedy będzie najlepszy czas. Jeśli dopisze nam szczęście, bitwa zakończy się, zanim nadejdzie ciemność.

Eolair nie potrafił wyobrazić sobie, że można skruszyć skorupę Naglimundu w tak krótkim czasie.

– A jeśli nie? Co wtedy?

– Wtedy... będzie trudno. – Jiriki cofnął się i zniknął w ciemności.

Eolair siedział jeszcze chwilę przy ognisku, zaciskając zęby, by nie szczękać z zimna. Potem wstał i poszedł obudzić Isorna.

TARGANY WIATREM SZARO-CZERWONY NAMIOT łopotał na szczycie wzgórza niczym maszt statku niesionego wysoką falą. Na wzgórzu stało jeszcze kilka innych namiotów; pozostałe rozsiane były na zboczu i w dolinie. Za nimi znajdowało się jezioro Clodu, ogromne błękitnozielone lustro, nieruchome jak obżarta bestia.

Tiamak stał przed namiotem, ociągając się mimo chłodu. Tylu ludzi, tyle ruchu, tyle życia! Z niepokojem spoglądał w dół na ludzkie morze, przerażała go myśl, że znajduje się tak blisko koła historii, a mimo to nie potrafił oderwać wzroku. Jego malutką historię połknęły wielkie opowieści, które w tych czasach snuły się po Osten Ard. Czasem wydawało się, że ktoś otworzył worek pełen najstraszniejszych snów i koszmarów. Tiamak mógł liczyć jedynie na to, że jego dokonania, obawy i pragnienia zostaną zignorowane. Choć istniała też możliwość, że zostaną zupełnie zadeptane.

Drżąc nieco, uniósł wreszcie klapę wejścia.

NIE BYŁA TO NARADA WOJENNA, czego się obawiał, kiedy Jeremias przyszedł do niego z wieścią od księcia. W takich chwilach czuł się zupełnie bezużyteczny. W namiocie zebrało się tylko kilka osób: Josua, sir Camaris, książę Isgrimnur. Większość siedziała na stołkach; Vorzheva siedziała oparta na swoim łóżku, a Aditu u jej boku na podłodze. Był tam też młody Jeremias, który najwyraźniej miał wiele pracy tego popołudnia.

Teraz stał przed księciem, starając się okazać skupienie, choć wciąż jeszcze dyszał trochę po biegu.

– Dziękuję za pośpiech, Jeremiasie – rzekł Josua. – Rozumiem. Proszę, wróć tam i powiedz Strangyeardowi, żeby przyszedł, kiedy będzie mógł. Potem będziesz już wolny.

– Dobrze, Wasza Wysokość. – Jeremias skłonił głowę i ruszył do wyjścia.

Tiamak, który stał jeszcze w wejściu, uśmiechnął się do nadchodzącego młodzieńca.

– Nie miałem okazji spytać cię wcześniej, Jeremiasie. Jak czuje się Leleth? Czy nastąpiła jakaś zmiana?

Jeremias potrząsnął głową. Starał się opanować głos, ale widać było, że cierpi.

– Bez zmian. Nie budzi się. Pije trochę wody, ale nic nie je. – Potarł ze złością oko. – Nikt nic nie może pomóc.

– Przykro mi – powiedział Tiamak.

– To nie twoja wina. – Jeremias przestępował nerwowo z nogi na nogę. – Muszę zanieść wiadomość ojcu Strangyeardowi.

– Oczywiście. – Tiamak usunął się na bok.

Jeremias minął go i wyszedł.

– Tiamaku! – zawołał książę. – Wejdź, proszę, i przyłącz się do nas. – Wskazał na wolny stołek.

Josua rozejrzał się, kiedy Wrańczyk usiadł.

– To jest dla mnie bardzo trudne – odezwał się. – Mam zamiar zrobić coś okropnego i chcę za to już teraz przeprosić. Moje postępowanie tłumaczy jedynie nasza potrzeba. – Zwrócił się do Camarisa: – Wybacz, przyjacielu. Nie potrafię tego zrobić inaczej. Aditu uważa, że powinniśmy

wiedzieć, czy byłeś w domu Sithów Jao e-Tinukai'i, a jeśli tak, to dlaczego?

Camaris spojrzał na Josuę.

– Czy człowiekowi nie wolno już mieć żadnych tajemnic? – spytał powoli. – Zapewniam cię, książę Josuo, że nie ma to nic wspólnego z walką przeciwko Królowi Burz. Na honor rycerza.

– Ale ktoś, kto nie zna całej historii naszego ludu, może też nie znać wszystkich więzów krwi i innych szczegółów. Ineluki był jednym z nas. – W przeciwieństwie do Josui Aditu mówiła głosem zdecydowanym i donośnym. – Wszyscy wiemy, że jesteś szlachetnym człowiekiem, Camarisie, ale nie zdajesz sobie sprawy z tego, że to, co widziałeś i czego się dowiedziałeś, może być dla nas ważne.

– A może tylko mnie opowiesz? – spytał Josua. – Wiesz, że twój honor jest dla mnie tak samo ważny jak mój własny. Nie musisz wyjawiać wszystkich swoich tajemnic w namiocie pełnym ludzi, jeśli tego się obawiasz, chociaż wszyscy oni są przyjaciółmi i sprzymierzeńcami.

Camaris patrzył na niego przez jakiś czas. Jego spojrzenie nieco złagodniało. Widać było, że zmaga się z czymś, lecz wreszcie potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie. Wybacz, książę Josuo, niech spadnie na mnie ten wstyd, ale nie mogę. Do pewnych rzeczy nie może mnie zmusić nawet Reguła Rycerza.

Isgrimnur pocierał nerwowo dłonie, widząc cierpienie Camarisa. Tiamak nie widział Rimmersmana tak zasmuconego od chwili ich ucieczki z Kwanitupulu.

– A mnie, Camarisie? – spytał Isgrimnur. – Znam cię dłużej niż ktokolwiek z obecnych tutaj. Obaj służyliśmy staremu Królowi. Jeśli dotyczy to Króla Johna, to może podzielisz się tym ze mną.

Camaris wyprostował się, lecz wydawało się to kiepską obroną przed ciężarem, z którym się zmagał.

– Nie mogę, Isgrimnurze. Stałoby się to zbyt wielkim obciążeniem dla naszej przyjaźni. Nie pytaj, proszę.

Tiamak czuł rosnące w namiocie napięcie. Wydawało się, że rycerz został zapędzony w kozi róg, którego nikt nie dostrzegał.

– Czy możecie zostawić go w spokoju? – Głos Vorzhevy zabrzmiał szorstko. Położyła dłonie na brzuchu, jakby chciała uchronić dziecko przed smutkiem i okropnością sytuacji.

„Co ja tutaj robię? – zastanawiał się Tiamak. – Czy chcieli, żebym przyszedł, dlatego że podróżowałem z nim, kiedy jeszcze nie odzyskał rozumu? Czy dlatego, że jestem członkiem Ligi? Bez Geloë i Binabika mizernie prezentuje się nasze koło. A gdzie jest Strangyeard?”

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Książę Josuo?

– Tak, Tiamaku? – Książę podniósł wzrok.

– Wybacz. To nie jest mój kraj i nie znam wszystkich zwyczajów... – zawahał się. – Ale wy, Aedonici, macie coś takiego jak spowiedź, czy nie tak?

Josua przytaknął.

– Zgadza się.

Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku – modlił się w duchu Tiamak – *pozwól mi pójść właściwą ścieżką*.

Wrańczyk zwrócił się do Camarisa. Stary rycerz, choć wciąż pełen godności, rzucił mu spojrzenie ściganego zwierza.

– Czy nie mógłbyś wyjawić swojej opowieści duchownemu? – spytał Tiamak. – Może ojcu Strangyeardowi, jeśli jest on odpowiednim

człowiekiem? W ten sposób, jeśli dobrze to rozumiem, twoja opowieść pozostanie między tobą a Bogiem. A Strangyeard wie dużo o trzech mieczach i naszej walce. Mógłby nam przynajmniej powiedzieć, czy powinniśmy szukać odpowiedzi gdzie indziej.

Jousa uderzył dłonią w kolano.

– Jesteś godnym członkiem Ligi, Tiamaku. Masz giętki umysł.

Tiamak odłożył pochwałę księcia na bok, by później się nią delektować, i nie odrywał wzroku od Camarisa.

– Nie wiem – powiedział wolno rycerz. Jego pierś wzniosła się, kiedy wziął głęboki oddech. – Nie opowiadałem tego nawet w konfesjonale. Ta opowieść jest częścią mego wstydu, choć nie największą.

– Każdy z nas ma coś, czego się wstydzi, każdy popełnił coś złego. – Isgrimnur najwyraźniej tracił cierpliwość. – Nie chcemy tego z ciebie wyciągać siłą, Camarisie. Pragniemy się tylko dowiedzieć, czy cokolwiek z tego, co zrobiłeś, pomoże odpowiedzieć na nasze pytania. A niech to!

Na twarzy Camarisa pojawił się chłodny uśmiech.

– Zawsze podziwiałem twoją ogromną bezpośredniość, Isgrimnurze. – Kiedy uśmiech zniknął z jego twarzy, pozostała na niej tylko osaczona pustka. – Dobrze. Poślijcie po duchownego.

– Dziękuję ci, Camarisie. – Josua wstał. – Dziękuję. Strangyeard modli się przy Leleth. Sam po niego pójdę.

CAMARIS I STRANGYEARD ZESZLI DALEKO W DÓŁ. Tiamak stał w wejściu do namiotu Josui i patrzył za nimi, zastanawiając się, czy, pomimo pochwały, postąpił słusznie. Może Miriamele miała rację, mówiąc, że wcale nie wyświadczą Camarisowi przysługi, przywracając mu rozum.

A zmuszanie go do wyrzucenia z siebie wyraźnie bolesnych wspomnień nie wydawało się przyjemniejsze.

Obaj, wysoki rycerz i duchowny, stali długo na targanym wiatrem zboczu – tak długo, że nad ich głowami zdążył się przetoczyć ogromny kłąb chmur, odsłaniając blade słońce. Wreszcie Strangyeard odwrócił się i ruszył w górę. Camaris pozostał na miejscu; stał wpatrzony ponad doliną w jezioro Clodu. Przypominał kamienną rzeźbę, która być może zamieni się w pozbawioną wyrazu kolumnę, lecz będzie tam stała przez całe stulecie.

Tiamak zajrzał do namiotu.

– Wraca ojciec Strangyeard.

Mnich wspinał się zgarbiony, nie wiadomo, czy z zimna, czy pod ciężarem tajemnicy Camarisa. Bez wątpienia wyraz jego twarzy mówił, że byłby szczęśliwszy, nie wiedząc o tym, czego się dowiedział.

– Wszyscy na ciebie czekają, ojcze Strangyeardzie – powiedział Tiamak.

Archiwista skinął głową zamyślony. Szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakby musiał sprawdzać, gdzie stawia nogę. Tiamak przepuścił go i sam wszedł do ciepłego namiotu.

– Witaj z powrotem, Strangyeardzie. Zanim zaczniesz, powiedz mi, jak się czuje Camaris? Czy mamy posłać kogoś do niego? – odezwał się Josua.

Duchowny podniósł głowę, jakby zaskoczony ludzkim głosem. Jego spojrzenie było dziwnie bojaźliwe, nawet jak na jego nieśmiałość.

– Nie... nie wiem, książę Josuo. Ja... ja prawie niczego nie wiem w tej chwili.

– Pójdę do niego – mruknął Isgrimnur, podnosząc się ze stołka.

Ojciec Strangyeard powstrzymał go uniesioną dłonią.

– On... on pragnie być sam, tak mi się wydaje. – Poprawił opaskę na oku i przejechał dłonią po rzadkich włosach. – Och, litościwy Usiresie.

Biedne dusze.

– Biedne dusze? – powiedział Josua. – Co ty mówisz, Strangyeardzie? Czy możesz nam coś opowiedzieć?

Archiwista złożył dłonie.

– Camaris rzeczywiście był w Jao e-Tinukai’i. Tyle powiedział... och... tyle mi powiedział, zanim jeszcze poprosił o spowiedź. Lecz powód tego, jak również to, co się tam wydarzyło, pozostaną za Drzwiami Odkupiciela. – Rozglądał się po namiocie, jakby nie mógł dłużej zatrzymać wzroku w jednym miejscu. Potem spojrzał na Vorzhevę i dodał: – Ale tyle chyba mogę powiedzieć: Nie sądzę, by jego doświadczenia miały wiele wspólnego z teraźniejszością. Nie dowiemy się też z nich niczego nowego o Królu Burz, o trzech Wielkich Mieczach ani o niczym, co pomogłoby nam w tej wojnie. Och, miłosierny Usiresie. – Znowu pogładził swoje rude włosy. – Wybaczcie mi. Czasem zapominam, że jestem tylko odźwiernym Odkupiciela i że ciężar nie dla mnie jest do dźwigania, lecz dla Boga. Ach, ale to trudne.

Tiamak przyglądał się duchownemu, który przypominał kogoś, kogo nawiedził zastęp mściwych duchów. Wrańczyk przysunął się do Strangyearda.

– Czy to wszystko? Czy jesteś pewien, że nic z tego, co on wie, nie może nam pomóc? – Josua wyglądał na rozczarowanego.

– Książę Josuo, pewien jestem tylko bólu – odparł archiwista spokojnie, lecz stanowczo. – Ale uważam, że raczej nie, za to jestem pewien, że wyciąganie jeszcze czegokolwiek od tego człowieka byłoby zbyt wielkim okrucieństwem i niesprawiedliwością wobec niego.

– Niesprawiedliwością? – powtórzył Isgrimnur. – Co to znaczy?

– Dość już. – Strangyeard wydawał się nieomal zły, co Tiamakowi nie mieściło się w głowie. – Powiedziałem wam to, co było niezbędne. Teraz

chciałbym już odejść.

Josua drgnął zaskoczony.

– Oczywiście, ojcze Strangyeardzie.

– Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece. – Duchowny skłonił głowę.

Tiamak wyszedł za Strangyeardem.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – spytał. – Może chociaż przejdę się z tobą.

Archiwista wahał się przez chwilę, ale zaraz skinął głową.

– Tak. Miło mi będzie.

Camarisa nie było już w miejscu, w którym stał wcześniej. Tiamak rozejrzał się, lecz nigdzie go nie zobaczył.

Kiedy zeszli niżej, Strangyeard odezwał się zamyślony:

– Teraz rozumiem... rozumiem, dlaczego człowiek pragnie zatracić się w pijaństwie. W tej chwili też mam na to ochotę.

Tiamak uniósł brwi, lecz nic nie powiedział.

– Może Bóg dał nam tylko te dwie drogi zapomnienia: pijaństwo i sen – mówił dalej Strangyeard. – A czasami zapomnienie jest jedynym lekarstwem na ból.

Tiamak zastanawiał się nad jego słowami.

– W pewnym sensie Camaris spał przez czterdzieści lat.

– A my go obudziliśmy. – Archiwista uśmiechnął się smutno. – Czy raczej Bóg pozwolił nam go obudzić. Być może jest tego jakiś powód. Może poza smutkiem jeszcze coś z tego wyniknie.

Nie powiedział tego – zdaniem Tiamaka – z wielkim przekonaniem.

GUTHWULF STANĄŁ I POZWOLIŁ, by owiało go powietrze; chciał sprawdzić, który z korytarzy prowadzi do góry, gdyż do góry wiódł go

miecz. Poruszał nozdrzami, szukając w wilgotnym powietrzu najdrobniejszej wskazówki. Jego palce przesuwały się po ścianach badawczo jak ślepe kraby.

Znowu spłynęła na niego obca mowa, słowa, które bardziej czuł, niż słyszał. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się ich. To były duchy, wiedział już, ale wiedział też, że nie mogą wyrządzić mu krzywdy, nie mogą go dotknąć. Jazgocące głosy przeszkadzały mu tylko usłyszeć to, co rzeczywiście chciał słyszeć. One nie były prawdziwe. Miecz zaś był prawdziwy i wołał.

Poczuł jego wezwanie po raz pierwszy kilkanaście dni temu.

Kiedy obudził się w chaosie ślepej samotności, jak to zwykle bywało, nić nieodpartej melodii przypłynęła za nim ze snu w ciemność czuwania. To było coś więcej niż kolejny bolesny sen: tym razem było to niezwykle silne uczucie, przerażające, a jednak dziwnie znajome, pieśń bez słów i melodii, która rozbrzmiewała w jego głowie i owijała wokół niego swoje macki tęsknoty. Przywoływała go tak mocno, że wstał niezdarnie, lecz ochoczo niczym młodzian przywoływany przez ukochaną. Miecz! Wrócił, był niedaleko!

Gdy tylko na dobre otrząsnął się ze snu, przypomniał sobie, że miecz nie jest sam. Nigdy nie był sam. Należał do Eliasa, niegdyś jego przyjaciela, a teraz zagorzałego wroga. Guthwulf wiedział, że musi zbliżać się ostrożnie, chociaż bardzo pragnął znaleźć się blisko miecza, zanurzyć się w pieśni jak w ciepłej wodzie. Ale wolał życie, jakie teraz wiódł, od tego, jakie zgotowałby mu Elias, gdyby go schwytano, czy raczej od tego, co zrobiłby z nim ten wąż Pryrates.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że najlepiej byłoby zostawić miecz w spokoju. Jego pieśń była niczym plusk wody dla umierającego z pragnienia podróżnego. Wabiła go, a on mógł tylko za nią podążać.

Pozostało mu jednak jeszcze trochę zwierzęcej przebiegłości. Macając tak dobrze mu znane ściany korytarzy, wiedział, że nie wystarczy odnaleźć Eliasa i jego miecz, ale trzeba jeszcze zbliżyć się do nich, tak żeby go nie pochwycili. Kiedyś już udało mu się znaleźć blisko Króla, kiedy dostał się na skalny występ nad odlewnią. Posuwał się za wezwaniem miecza, a jednocześnie starał się pozostać bezpiecznie daleko. Lecz trudno było mu oprzeć się sile wezwania. Pierwszego dnia po tym, jak podążył za mieczem, zupełnie zapomniał pójść w miejsce, gdzie kobieta regularnie zostawiała mu jedzenie. Drugiego dnia – dla ślepego Guthwulfa była to przepaść między jednym snem a drugim – zew miecza pulsował w nim niczym drugie serce, zagłuszając wspomnienie, że takie miejsce w ogóle istniało. Jadł wszystko, co wpadło w jego pełzające po ścianach dłonie, i pił z każdej płynącej strużki. W czasie swoich pierwszych tygodni doświadczył, co może się stać, kiedy pije się stojącą wodę.

Teraz, po trzech nocach wypełnionych snami zmieszanymi z pieśnią, zaszedł do korytarzy zupełnie mu nieznanych. Kamienie, których dotykał dłońmi, nigdy jeszcze nie spotkały jego palców; nawet same tunele, poza wiecznie obecnymi głosami i nieustającym wezwaniem Wielkiego Miecza, wydawały mu się obce.

Miał niejasne pojęcie co do tego, jak długo szukał miecza tym razem, i w przebłysku jaśniejszego myślenia zastanawiał się, co Król robi tak długo pod zamkiem.

W następnej chwili przyszła mu do głowy wspaniała myśl.

Zgubił miecz. Zgubił go gdzieś tutaj. Po prostu leży sobie i czeka, aż go ktoś znajdzie. Czeka na mnie! Na mnie!

W zamyśleniu nie zauważył, że zaślinił sobie zakurzoną brodę. Myśl o tym, że mógłby posiadać miecz tylko dla siebie – dotykać go, kochać, słuchać i czcić – była tak przerażająco przyjemna, że uszedł jeszcze kilka

kroków, a potem upadł na podłogę; pozostał tam drżący, aż ciemność ogarnęła pozostałe mu jeszcze zmysły.

ODZYSKAWSZY ZMYSŁY, GUTHWULF USIADŁ i zastanawiał się przez jakiś czas, po czym znowu zasnął. Teraz znowu nie spał i stał przed rozgałęzieniem dwóch tuneli, zastanawiając się, który zaprowadzi go do góry. Czuł, że miecz znajduje się nad nim, tak jak kret wie, gdzie kopać, żeby dostać się na powierzchnię. Czasami martwił się, że może stał się tak czuły na pieśń miecza, że ten prowadzi go do komnaty Króla, gdzie złapią go i zabiją, tak samo jak zrobiliby z kretem, który wynurzyłby się w psiarni.

Wprawdzie posuwał się nieustannie w górę, ale swoją wędrówkę zaczynał z przepastnej głębi. Czuł, że nie zaszedł aż tak wysoko, jak się tego obawiał. Wiedział też, że w swojej wędrówce oddalał się od środka zamku. Nie, ta piękna, przerażająca rzecz, która go wzywała, ten żywy, śpiewający miecz musi być gdzieś tutaj pod ziemią, pogrzebany w skale tak jak on. I kiedy go znajdzie, nigdy już nie będzie samotny. Musi tylko zdecydować, który korytarz wybrać...

Guthwulf uniósł dłonie i odruchowo przetarł oczy. Czuł się bardzo słaby. Kiedy jadł po raz ostatni? A co będzie, jeśli kobieta zrezygnowała i nie zostawia mu już jedzenia? Tak miło było jeść prawdziwe jedzenie...

„Ale jeśli znajdę miecz, jeśli będę miał go tylko dla siebie – myślał uradowany – wtedy nic już mnie nie będzie obchodziło”.

Podniósł głowę. Tuż za nim rozległo się skrobanie, jakby coś zostało uwięzione w kamieniu. Słyszał już ten odgłos wcześniej – w rzeczywistości znacznie częściej ostatnio – ale to nie miało nic wspólnego z tym, czego szukał.

Skrobanie ustało, a on wciąż stał niezdecydowany na rozwidleniu korytarzy. Łatwo było się tam zgubić, nawet jeśli zostawiał kamienie, ale

był przekonany, że jeden z tuneli prowadzi w górę do serca pieśni – do drążącej słodko duszę pieśni Wielkiego Miecza. Nie chciał wybrać złej drogi i tracić nie wiadomo ile czasu na znalezienie drogi powrotnej. Był słaby z głodu, odrętwienia i znużenia.

Stał tam może godzinę albo i dzień. Wreszcie poczuł na włosach delikatny powiew, wiatr wiał z korytarza po prawej stronie. Zaraz potem z tunelu wyleciało jakby stado czegoś i poleciało dalej – duchy, które mieszkały w tym piekle. Ich głosy odbijały się echem w jego czaszce, niewyraźne, w jakimś sensie bezradne.

Staw. Musimy szukać go w Stawie. On będzie wiedział, co zrobić... Smutek. Przywołali ostateczny smutek...

Kiedy duchy przeleciały, ślepy Guthwulf uśmiechnął się powoli. Kimkolwiek były, duchami zmarłych czy tylko produktem jego własnego szaleństwa, zawsze przybywały z głębi, z najdalszych części labiryntu. One przyszły z dołu, a on chciał iść w górę.

Odwrócił się i wszedł w lewy korytarz.

RESZTKI BRAMY NAGLIMUNDU zostały wyrwane z gruzem, ale ponieważ i tak było to miejsce niższe niż biegnący dookoła zamku mur, a nagromadzone kamienie obiecywały łatwiejszą wspinaczkę, hrabiemu Eolairowi wydało się logiczne zacząć atak właśnie tutaj. Z zaskoczeniem zobaczył, że Sithowie skupili się przed zupełnie prostą i niezniszczoną częścią muru.

Zostawił Maegwin i oddział niespokojnych wojowników pod dowództwem Isorna, a sam podczołgał się śnieżnym zboczem do Jirikiego i Likimeyi, przebywających w skorupie budynku oddalonego zaledwie o kilkaset łokci od muru Naglimundu. Likimeya zerknęła ledwie na niego, ale Jiriki przywitał go skinięciem głowy.

– Już prawie czas – powiedział Sitha. – Wezwaliśmy *m’yon rashi*, młoty.

Eolair popatrzył na Sithów przed murem. Przestali już śpiewać, ale pozostali na swoich miejscach. Zastanawiał się, dlaczego ryzykują trafienie strzałą Nornów, kiedy już nie śpiewali.

– Młoty? Mówisz o taranach?

Jiriki pokręcił głową, uśmiechając się.

– Hrabio Eolairze, nie mamy doświadczenia z takimi rzeczami. Myślę, że moglibyśmy coś takiego wynaleźć, ale teraz oparliśmy się na tym, co już znamy. – Spochmurniał. – A raczej na tym, czego nauczyliśmy się od Tinukeda’ya. Patrz. – Pokazał ręką. – Przybywają *m’yon rashi*.

Czterech Sithów zbliżało się do muru. Eolair nie widział, by różnili się od setek pozostałych Sithów obozujących w cieniu Naglimundu. Wszyscy oni byli gibcy i mieli złocistą skórę. Każdy też miał nieco inny kolor zbroi i włosów, które wystawały spod ich hełmów; *m’yon rashi* lśnili na śniegu jak postawione w niewłaściwym miejscu egzotyczne ptaki. Od pozostałych Sithów różnili się tylko tym, że każdy z nich niósł długi ciemny kij. Wykonane były z tego samego dziwnego materiału co miecz Jirikiego i na każdym widać było kulę z niebieskiego, krystalicznego kamienia.

Jiriki wydał polecenia. Jego matka wstała i dodała coś od siebie. Grupa sithijskich łuczników otoczyła pozostałą czwórkę. Założyli strzały, naciągnęli cięciwy i zamarli w bezruchu, obserwując pusty jeszcze mur.

Przywódczyni *m’yon rashi*, Sithijka o zielonych jak trawa włosach, ubrana w zbroję koloru ciemnozielonego, uniosła swój kij i przysunęła go do ściany, jakby przepychała go przez wodę. Kiedy niebieski kamień uderzył w mur, wszyscy *m’yon rashi* zaintonowali głośno jedną sylabę. Eolair poczuł drżenie, jakby na ziemię w pobliżu spadł ogromny ciężar. Przez chwilę wydawało mu się, że rusza się ziemia.

– Co...? – Wstrzymał oddech, próbując utrzymać równowagę.

Jiriki dał znak, by milczał.

Pozostali trzej Sithowie dołączyli do kobiety w zieleni. Kiedy wszyscy intonowali pieśń, każdy kolejno uderzał swoim kijem mniej więcej w obrębie trójkąta wokół miejsca pierwszego uderzenia. Za każdym razem drżała ziemia.

Hrabia Eolair patrzył z niedowierzaniem. Na kilkanaście łokci w dół i w górę od miejsca, w którym stali *m'yon rashi*, śnieg osunął się z kamieni. W miejscach uderzeń kamień ściany przybrał odcień jasnoszary, jakby zaczął się psuć albo pokryła go siateczka pęknięć.

Teraz Sithowie odsunęli kije od ściany. Ich śpiew stał się głośniejszy. Przywódczyni uderzyła jeszcze raz, nieco szybciej. Po zmarzniętej ziemi przetoczył się głuchy grzmot jej uderzenia. Potem w jej ślady poszli pozostali, a każde uderzenie poparte było głośną intonacją. Kiedy uderzyli po raz trzeci, ze szczytu muru zaczęły spadać okruchy kamieni, które znikały w śniegu.

Hrabia nie chciał wierzyć własnym oczom.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem!

Jiriki odwrócił się.

– Powinieneś pójść do swoich ludzi. Za chwilę muszą być gotowi.

Eolair nie mógł oderwać wzroku od niesamowitego spektaklu. Schodził tyłem, podpierając się za każdym razem, kiedy kolejny wstrząs groził mu przewróceniem.

Przy czwartej próbie wielki kawał muru oderwał się i runął do wewnątrz; z powstałą dziurą na szczycie mur wyglądał teraz tak, jakby jakiś olbrzym odgryzł jego kawałek. Teraz dopiero dotarły do niego słowa Jirikiego, więc ruszył szybko do Isorna i czekających Hernystirczyków.

– Przygotować się! – zawołał. – Bądźcie gotowi!

Piąty wstrząs był najsilniejszy. Eolair stracił równowagę i upadł na ziemię, a potem potoczył w dół; kiedy wreszcie się zatrzymał, nos i usta szczypały go od zimnego śniegu. Spodziewał się salwy śmiechu swoich żołnierzy, lecz oni patrzyli ponad nim na mur.

Eolair obejrzał się. Ogromna ściana, grubości wzrostu dwóch mężczyzn, rozsypywała się niczym podmywany falą zamek z piasku. Słychać było jedynie zgrzyt kamienia. Mur runął głucho w śnieg. W powietrze wzbiła się biała mgiełka, zasłaniając widok dookoła.

Zanim opadła, *m'yon rashi* zdążyli już odejść. W murze powstała wyrwa szeroka na dwanaście łokci. Natychmiast wypełnił ją strumień ciemnych postaci. Błysnęły oczy i groty włóczni.

Eolair zerwał się na nogi.

– Hernystirczycy! Do mnie! Nadszedł czas! – krzyknął.

Jego wojsko jednak nawet nie drgnęło. Zamiast tego z dziury wylał się strumień obrońców Naglimundu; niezliczona masa poruszała się szybko niczym termity ze zniszczonego gniazda.

Rozległo się uderzenie miecza o tarczę i spośród szeregów Sithów wyleciał grad strzał, które ugodziły wielu spośród pierwszych zbiegających w dół Nornów. Niektórzy z nich także mieli łuki i wspięli się na zamkowy mur, by stamtąd strzelać, lecz przeważnie obie strony wydawały się nieskore do czekania. Niczym stęsknieni kochankowie, pradawni krewni rzucili się sobie na spotkanie.

Bitwa pod Naglimundem szybko zamieniła się w scenę straszliwego chaosu. Poprzez tumany śniegu Eolair dostrzegł, że z wyrwy w murze wyłaniają się nie tylko Nornowie. Były tam też olbrzymy, istoty wielkości dwóch ludzi, pokryte białoszarym futrem, ale uzbrojone jak ludzie; każdy z nich dzierżył ogromną maczugę, która łamała kości niczym suche patyki.

Zanim hrabia zdążył wycofać się do swoich ludzi, jeden z Nornów znalazł się już przy nim. Na głowie miał hełm, a jego pierś okrywał pancerz, lecz stopy miał nagie; mimo to niosły go po śliskim śniegu, jakby to była kamienna podłoga. Był szybki jak ryś. Eolair wciąż stał wpatrzony w ciemnooką istotę, przez co nieomal stracił głowę, kiedy Norn zadał pierwszy cios.

Kto mógł wyobrazić sobie takie szaleństwo? Eolair starał się odepchnąć wszystkie myśli poza tą jedną o przetrwaniu.

Norn miał tylko małą tarczę i lekki miecz, przez co był o wiele szybszy od hrabiego Nad Mullach. Eolair natychmiast znalazł się w defensywie, zmuszony do cofania się w dół zbocza; obciążony ciężką zbroją i tarczą, kilkakrotnie nieomal stracił równowagę. Odpierał ciosy przeciwnika, lecz wyraz triumfu na twarzy Norna mówił mu, że była to tylko kwestia czasu, zanim znajdzie lukę w jego obronie.

Nagle Norn wyprostował się i otworzył szeroko oczy. Chwilę później osunął się na ziemię. W jego karku tkwiła strzała zakończona niebieskimi piórami.

– Trzymaj swoich ludzi razem, hrabio Eolairze! – zawołał Jiriki, machając łukiem. – Stracą ducha, jeśli się rozdzielą. Pamiętaj, że ten przeciwnik też krwawi i umiera! – Sitha odwrócił konia i rzucił się w wir walki, ginąc w tumanach śniegu.

Eolair popędził w dół do Hernystirczyków. Zbocze rozbrzmiewało rżeniem koni, krzykami ludzi i dziwnych istot.

PANOWAŁ PRAWIE ZUPEŁNY CHAOS. Eolair i Isorn zdołali zaledwie zebrać żołnierzy i przygotować ich do ataku na wzgórze, gdy na jego wierzchołku pojawiły się dwa olbrzymy z pniem drzewa. Rycząc przeraźliwie, runęły w dół na ludzi Eolaira, ścinając pniem jak kosą

wszystkich, którzy znaleźli się między nimi. Strzępy ciał i połamane kości ginęły pod zdeptanym śniegiem. Jeden z przerażonych Hernystirczyków zdołał umieścić strzałę w oku olbrzyma, a potem posłał kilka następnych w drugie, aż bestia się zachwiała. Mimo to jeszcze dwóch innych ludzi zginęło zmiażdżonych pniem, zanim pozostali Hernystirczycy ściągnęli olbrzyma na dół i zabili.

Eolair spojrzał w górę i zobaczył, że większość Nornów zaabsorbowana jest walką z Sithami. Hrabia nie mógł oderwać wzroku od chaosu bitwy. Nie widziano czegoś takiego od zarania dziejów: walczyli nieśmiertelni. Ci, których można było dostrzec, wydawali się poruszać ze zwierzęcą zwinnością, skacząc, atakując, machając czarnymi mieczami, jakby to były wierzbowe witki. Wiele pojedynków wydawało się rozstrzygniętych, zanim padł pierwszy cios; wielokrotnie po długim bitewnym tańcu padało tylko jedno pchnięcie – to, które kończyło walkę.

Na szczycie muru rozległo się płaczliwe zawodzenie fujarek. Spojrzawszy w górę, Eolair ujrzał na murze szereg postaci przypominających trębaczy z długimi podobnymi do tub instrumentami wzniesionymi ku niebu. Odgłos piszczałek dochodził jednak gdzieś z cienia poniżej, gdyż kiedy Nornowie z muru nadęli policzki i dmuchnęli, z ich tub nie wydobył się żaden dźwięk, lecz chmura pyłu o barwie zachodzącego słońca.

Eolair patrzył sparaliżowany chorobliwą fascynacją. Co to mogło być? Trucizna? A może kolejny rytuał nieśmiertelnych?

Kiedy pomarańczowy pióropusz spłynął zboczem, bitewna fala jakby skurczyła się pod nim, ale nikt nie upadł. Eolair pomyślał, że jeśli była to trucizna, to nie taka groźna jak te, o których słyszał. Nagle hrabia poczuł pieczenie w gardle i nozdrzach. Otworzył usta, by wziąć oddech, i przez moment wydawało mu się, że z pewnością się udusi. Lecz w następnej

chwili mógł już oddychać. A potem niebo opadło na niego, cienie zaczęły się wydłużać, a śnieg jakby się zapalił.

Strach wyrastał w nim niczym ogromny, czarny i zimny jak lód kwiat. Ludzie dookoła krzyczeli przerażeni. On także krzyczał. A Nornowie, którzy wyłonili się z wyrwy w murze, wyglądali jak demony, o których nawet nie śnili duchowni. Hrabia i jego ludzie chcieli uciekać, lecz kiedy się odwrócili, ujrzeli, że Sithowie, okrutni, złocistoocy, wyglądali równie przerażająco jak ich trupio bladzi kuzynowie.

„Osaczeni! – pomyślał Eolair. – Osaczeni!”

Coś go chwyciło, a on zamachnął się, drapiąc paznokciami, by się uwolnić; ujrzał olbrzyma o żółtych wąsach i wyszczerzonych kłach. Uniósł dłoń, by go zabić, lecz coś uderzyło go z tyłu, tak że poleciał w bok w zimną biel, z bestią wciąż sczepioną z nim i wyciągającą pazury do jego twarzy. Upadł twarzą w śnieg i zaraz spróbował wstać, lecz nie mógł się uwolnić.

„Co się dzieje? – pomyślał. Były potwory, owszem, olbrzymy i Nornowie, ale żaden nie znajdował się blisko. – Ale Sithowie – przypomniał sobie, jak upiornie wyglądali, przekonany, że zamierzają osaczyć jego i pozostałych Hernystirczyków razem z Nornami, a potem ich zgnieść – Sithowie nie są naszymi wrogami...!”

Ciężar na jego plecach zelżał nieco. Usiadł. Nie było żadnego potwora. Isorn klęczał obok niego w śniegu z głową zwieszoną jak chora krowa. Eolair poczuł, że strach odchodzi, chociaż chaos szalał dookoła, a Hernystirczycy walczyli ze sobą wściekle. Dotknął ręką swej twarzy, a potem odsunął ją od siebie i patrzył na pomarańczowy śnieg.

– Śnieg to zmywa – powiedział. – Isorn! Puścili na nas jakąś truciznę! Śnieg ją zmywa!

Isorn zwymiotował i pokiwał głową.

– Moja też zeszła. Chciałem... chciałem cię zabić. – Splunął, dysząc.

– Szybko – powiedział Eolair, wstając. – Musimy spróbować zmyć to z innych. – Zebrał pełną garść śniegu i odrzuciwszy pomarańczową warstwę, ruszył w kierunku kłębiących się i wrzeszczących Hernystirczyków. Większość z nich krwawiła, ale nie były to głębokie rany, głównie od paznokci i zębów; trucizna doprowadziła ich do szaleństwa, ale też i oszołomiła. Eolair wcierał śnieg w każdą twarz, która znalazła się w jego zasięgu.

Kiedy najbliżej walczący powrócili do zmysłów, wytłumaczyli im szybko, co się stało, i wysłali na pomoc pozostałym. Jeden z żołnierzy nie wstał. Stracił oboje oczu i krwawił śmiertelnie. Eolair przykrył jego okaleczoną twarz płaszczem i schylił się po kolejną porcję śniegu.

Sithowie nie wydawali się tak porażeni trucizną jak śmiertelnicy. Niektórzy z nich, ci walczący najbliżej muru, byli jakby trochę oszołomieni i poruszali się wolniej, lecz żaden z nich nie wpadł w szał, tak jak ludzie Eolaira. Mimo to zbocze było sceną straszliwych widoków.

Likimeya wraz z paroma Sithami została otoczona przez grupę pieszych Sithów i choć matka Jirikiego i jej towarzysze walczyli konno i zadawali śmiertelne ciosy z góry, to jednak coraz to kolejny jeździec zostawał ściągnięty w las białych rąk, które machały i kołysały się niczym śmiertelne rośliny.

Yizashi Szara Włócznia dostrzegł olbrzyma trzymającego w każdej ręce zmiażdżone ciała Sithów. Sithijski jeździec popędził w tamtą stronę; jego twarz pozostawała niewzruszona niczym oblicze jastrzębia.

Jiriki i dwaj inni Sithowie powalili innego olbrzyma na kolana i teraz siekli żyjącą jeszcze bestię, jakby zabijali wołu. W górę strzeliły fontanny krwi, otaczając Sithów czerwoną mgiełką.

Ciało Zinjadu – jej jasnoniebieskie włosy lepiły się teraz od krwi – nabito na włócznie kilku Nornów, którzy biegli teraz w stronę murów Naglimundu, wykrzykując radośnie. Chekai'so i czarny Kuroyi dopadli ich, zanim ci uprowadzili trofeum w bezpieczne miejsce, i każdy z nich zabił trzech spośród swych białoskórych braci, choć i oni odnieśli rany. Uporawszy się z Nornami, Chekai'so przerzucił ciało Zinjadu przez swoje siodło. Jego krew mieszała się z krwią Sithijki, kiedy razem z Kuroyi wieźli ją do obozu Sithów.

Dzień upływał wypełniony szaleństwem i cierpieniem. Schowane za śnieżną mgłą słońce minęło południe i zaczęło się zniżać. Zburzona zachodnia ściana Naglimundu zajaśniała blaskiem popołudnia, a śnieg stał się jeszcze bardziej czerwony.

MAEGWIN KRĄŻYŁA NA SKRAJU BITWY jak duch – którym rzeczywiście była. Najpierw schowała się za drzewa, obawiając się tak strasznego widoku, lecz potem jej rozsądek wziął górę.

„Czego się obawiam, skoro nie żyję?"

Ale trudno było patrzeć na zakrwawione postacie, rozrzucone po całym zboczu i nie bać się śmierci.

„Bogowie nie umierają – zapewniała siebie. – Kiedy to się skończy, znowu wstaną".

Ale jeśli tak się stanie, to jaki sens ma ta bitwa? A skoro bogowie nie umierają, to dlaczego lękają się demonów, wyłaniających się ze Scadach? Wszystko to było zagadkowe.

Rozmyślając, Maegwin chodziła wolno między zabijającymi i zabitymi. Jej płaszcz powiewał, a stopy pozostawiały małe ślady w czerwonej pianie.

35. Trzeci Dom

SIMON BYŁ WŚCIEKŁY. Dali się wprowadzić w pułapkę jak jagnięta prowadzone na rzeź.

– Czy możesz poruszać rękoma? – spytał szeptem Miriamele. Jego były mocno związane; dwaj Tancerze Ognia, którzy ich spętali, mieli wprawę w robieniu węzłów.

Pokręciła głową. Ledwie widział jej postać w zapadającym zmroku.

Klęczeli obok siebie na środku polany. Nogi związano im w kostkach, a ręce z tyłu za plecami. Na widok Miriamele, związanej i bezbronnej, Simon znowu pomyślał o zwierzętach przygotowanych na rzeź i jeszcze raz wezbrała w nim fala gniewu.

„Jestem rycerzem! Czy to nic nie znaczy? Jak mogłem do tego dopuścić?” – Powinien był się domyślić. Ale nie, on paradował dumny jak paw, połechtany komplementami Roelstana. „Widzisz, że ten rycerz ma miecz”, powiedział zdrajca. „On nie musi się bać Tancerzy Ognia”. – „A ja mu uwierzyłem. Nie nadaję się na rycerza. Przynoszę wstyd Josui, Morgenesowi, Binabikowi i wszystkim, którzy próbowali mnie czegoś nauczyć”.

Simon znowu zaczął wściekle szarpać więzy, ale trzymały mocno.

– Ty znasz trochę tych Tancerzy Ognia, prawda? – szepnął. – Co oni z nami zrobią? Co to znaczyło, że chcą nas oddać Królowi Burz?

Poczuł, że Miriamele drży.

– Nie wiem. Tak mi się wydaje. – Jej głos zabrzmiał zupełnie obojętnie.

Teraz ogarnęła go fala żalu.

– Zawiodłem cię, prawda? – powiedział cicho. – Ale ze mnie obrońca.

– To nie twoja wina. Oboje daliśmy się podejść.

– Żebym tak mógł przyłożyć ręce do gardła Roelstana. Jego żona próbowała nam powiedzieć, że coś jest nie tak, ale głupi nie słuchałem jej. Ale on... on...!

– On też się bał. – Miriamele mówiła jakby z ogromnej wysokości, jakby temat rozmowy był mało istotny. – Nie wiem, czy potrafiłabym poświęcić swoje życie dla ratowania życia komuś obcemu. Czy mam ich nienawidzić tylko dlatego, że oni tego nie byli w stanie zrobić?

– Na cholerne Drzewo. – Simon nie miał sił, żeby użalać się nad zdrajcami. Musi jakoś uratować Miriamele, musi rozerwać więzy i wyprowadzić ich stąd. Lecz nie miał pojęcia, od czego zacząć.

Wokół nich ciągle coś się działo. Kilku spośród Tancerzy Ognia dokładało do ognia i przygotowywało posiłek; inni karmili kozy i kury, a jeszcze inni po prostu siedzieli i rozmawiali cicho. Wśród nich było nawet kilka kobiet i dzieci. Gdyby nie dwaj więźniowie związani na środku polany i wszechobecne białe szaty, można by pomyśleć, że jest to zwykłe popołudnie w wiejskim obejściu.

Maefwaru zabrał trzech swoich zastępców do dużego domu. Simon nie chciał się nawet zastanawiać, o czym rozmawiają.

Zapadał zmrok. Biało odziane postacie zjadły skromny posiłek, nie częstując więźniów. Płomienie tańczyły i trzepotały na wietrze.

– Postawcie ich. – Maefwaru przesunął wzrokiem po więźniach, a potem spojrzał na granatowe niebo. – Już prawie czas.

Dwóch spośród jego pomocników postawiło na nogi Simona i Miriamele. Simon czuł, że stopy mu zdrętwiały, i ledwo utrzymywał równowagę, mając związane w kostkach nogi. Zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie stojący za nim Tancerz Ognia, który chwycił go mocno za ramiona i jeszcze raz podrzucił do góry. Miriamele także się zachwiała. Drugi Tancerz objął ją ramieniem i ustawił pionowo, jakby była drewnianą kłodą.

– Nie dotykaj jej – warknął Simon.

Miriamele spojrzała na niego zrezygnowana.

– To na nic, Simonie.

Stojący przy niej Tancerz Ognia wyszczerzył zęby w uśmiechu i przyłożył dłoń do jej piersi, ale natychmiast rozległo się warknięcie Maefwaru. Tancerz odwrócił się do swojego dowódcy, a Miriamele zawisła między jego ramionami; jej twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

– Idioto – przemówił ostro Maefwaru. – To nie są zabawki. Oni są przeznaczeni dla Niego, dla Pana. Rozumiesz?

Tancerz przełknął ślinę i posłusznie skinął głową.

– Czas iść. – Maefwaru odwrócił się i poszedł na skraj polany.

Tancerz Ognia pchnął gwałtownie Simona, a on poleciał jak ścięte drzewo. Noc zawirowała światłami.

– Mają związane nogi – powiedział wolno Tancerz Ognia.

Maefwaru obrócił się na pięcie.

– Wiem! Zdejmij im sznury z nóg.

– Ale... co będzie, jak uciekną?

– Przywiąż sznur do ich ramion, a drugi koniec obwiąż wokół siebie – nakazał przywódca. Pokręcił łysą głową z nieukrywanym obrzydzeniem.

Simon dostrzegł iskierkę nadziei, kiedy Tancerz Ognia pochylił się i zaczął przecinać nożem więzy na jego kostkach. Może jednak mieli jakąś szansę, gdyż wyglądało na to, że jedynie Maefwaru ma trochę rozumu.

Kiedy oboje z Miriamele mogli już iść, Tancerze obwiązali sznury wokół siebie, a potem popchnęli ich do przodu jak krnąbrne woły, trącając ich końcami włóczni, kiedy się potykali albo zwalniali. Simon nie widział jeszcze takich włóczni: miały dziwny kształt, były krótkie, ale smukłe i bardzo ostre.

Maefwaru wszedł w zarośla na skraju polany i zniknął za nimi, najwyraźniej prowadząc ich gdzieś dalej. Simon poczuł lekką ulgę. Obserwował ognisko od dłuższego czasu i miał dość niespokojne myśli. Przynajmniej zaprowadzą ich gdzie indziej; może tam szanse ucieczki będą większe. A może nadarzy się okazja jeszcze w czasie marszu. Obejrzał się i ze zgrozą zobaczył, że za nimi podąża cały klan Tancerzy Ognia, długa, biała nitka snująca się w ciemności.

Okazało się, że weszli nie w gęsty las, lecz na ciasny szlak, który kluczył, wspinając się na szczyt wzgórza. Nie było nic widać dalej niż na kilka łokci: z ziemi unosiła się szara mgła, która wydawała się tłumić wszelkie dźwięki. W lesie panowała prawie idealna cisza przerywana tylko głuchym odgłosem idących. Nie zaśpiewał ani jeden nocny ptak. Nawet wiatr ustał.

Simon gorączkowo rozważał kolejne możliwości, lecz stopniowo wszystkie odrzucał. Znajdowali się w obcym miejscu i przeciwników było znacznie więcej. Gdyby nawet udało im się wyrwać Tancerzom Ognia, którzy trzymali ich sznury, to nie mogliby użyć ramion do zachowania równowagi czy choćby do torowania sobie drogi w lesie. Szybko znowu by ich złapali.

Spojrzał na idącą za nim księżniczkę. Wyglądała na zziębniętą i całkowicie zrezygnowaną. Przynajmniej pozwolili jej zatrzymać płaszcz. Miała jeszcze tyle ducha, żeby przekonać jednego z oprawców, by pozwolił jej ochronić się przed zimnym wiatrem. Simon nie miał tyle szczęścia. Zabrali mu płaszcz, a z nim nóż od trolli. Zabrali też gdzieś konie z torbami. Jedyne, co posiadał, to ubranie na grzbiecie... no i swoje życie i duszę.

„Ale także życie Miriamele – pomyślał. – Przysięgałem bronić jej. To jest moim obowiązkiem”.

Myśl ta dodała mu trochę otuchy. Dopóki oddychał, miał cel.

Zwisająca gałąź uderzyła go w twarz. Wypluł świerkowe igły. Przed nim majaczyła upiorna postać Maefwaru, który nieustannie prowadził ich w górę.

„Dokąd idziemy? Może lepiej byłoby nie wiedzieć”.

Szli, potykając się w gęstej mgle niczym potępione dusze, które próbują wyjść z Piekła.

Wydawało się, że droga ta nie ma końca. Mgła przerzedziła się nieco, lecz powietrze było wilgotne i ciężkie – nic nie zakłócało ciszy. I nagle w jednej chwili wyszli spośród drzew i znaleźli się na szczycie wzgórza.

Kiedy wcześniej szli porośniętym drzewami zboczem, niebo nad ich głowami przykryła ogromna chmura, zasłaniając gwiazdy i księżyc, tak że jedynym źródłem światła było kilka zapalonych pochodni i skaczące płomienie ogromnego ogniska. Z pofałdowanej powierzchni wierzchołka wyrastały dziwne wybrzuszenia obrysowane czerwonym migocącym światłem, co sprawiało wrażenie, że kształty poruszają się jak śpiące olbrzymy. Kiedyś mogły to być części ogromnego muru albo innej konstrukcji; teraz leżały porozrzucane i potłuczone, przykryte warstwą kłączy i trawy.

Na środku rozległego wierzchołka wycięto trawę wokół jednego kamienia; była to jasna skała o konturze ostrym jak ostrze siekiery, przewyższająca człowieka dwukrotnie. Między wielkim ogniskiem a nagą skałą stały nieruchomo trzy ubrane na czarno postacie. Sprawiały wrażenie, że czekają tam od dawna – może tak długo jak leżące tam kamienie. Kiedy Tancerze Ognia popchnęli więźniów na środek wzgórza, ciemne postacie odwróciły się nieomal jednocześnie.

– Witajcie, Dzieci Chmury! – zawołał Maefwaru. – Pozdrowienia dla Wybrańców Pana! Przybyliśmy zgodnie z Jego życzeniem.

Czarne postacie patrzyły na niego w milczeniu.

– Mamy więcej, niż obiecaliśmy – mówił dalej Maefwaru. – Chwała Panu! – Odwrócił się i dał znak swoim ludziom, którzy wypchnęli Simona i Miriamele do przodu; ale kiedy zbliżyli się do ogniska i milczących postaci, Tancerze Ognia zatrzymali się i spojrzeli bezradnie na swojego przywódcę.

– Przywiążcie ich do tamtego drzewa. – Maefwaru wskazał niecierpliwym gestem na karłowatą sosnę oddaloną dwadzieścia kroków od ogniska. – Śpieszcie się, już prawie północ.

Simon jęknął z bólu, gdy jeden z oprawców przyciągnął jego ramiona do tyłu, by przywiązać je do drzewa. Gdy tylko Tancerze Ognia odeszli, natychmiast przysunął się do Miriamele, tak że ich ramiona się dotknęły. Zrobił to dlatego, że bał się i zapragnął odrobiny jej ciepła, ale także po to, by mogli się porozumieć, nie zwracając niczyjej uwagi.

– Kim są ci czarni? – spytał szeptem.

Miriamele pokręciła głową.

Stojąca najbliżej nich czarna postać zwróciła się wolno do Maefwaru.

– Oni są dla Pana? – Słowa były ostre i zimne niczym ostrze noża. Simon poczuł drżenie w nogach. To był niewątpliwie ten głos,

zniekształcony, lecz dziwnie melodyjny akcent, który słyszał w chwilach ogromnego strachu... syk Burzowej Góry.

– Tak. – Maefwaru przytaknął gorliwie. – Widziałem rudego we śnie kilka miesięcy temu. Wiem, że Pan zesłał mi ten sen. On go chce.

Postać zatrzymała przez chwilę wzrok na Simonie.

– Możliwe – padła odpowiedź. – Ale czy przyprowadziłeś innego, na wypadek gdyby Pan miał wobec tych tutaj inne plany? Czy masz krew potrzebną do Ceremonii Więzi?

– O tak! – W obecności tych dziwnych postaci okrutny Tancerz Ognia przemienił się w pokornego sługę. – Jest ich dwoje. Chcieli złamać przysięgę złożoną Panu! – Odwrócił się i dał znak Tancerzom Ognia czekającym na skraju wierzchołka. Rozległy się krzyki i szamotanie, a potem kilku z nich przyciągnęło dwóch pozostałych więźniów. Jednemu z nich w czasie szamotania spadł z głowy kaptur.

– Bądź przeklęty! – krzyczał Roelstan, szlochając. – Obiecałeś, że jeśli ich przyprowadzimy, to uzyskamy przebaczenie!

– Zostało wam wybaczone – oświadczył pogodnie Maefwaru. – Wybaczam wam waszą głupotę. Ale musi was spotkać kara. Nikt nie ucieknie przed Panem.

Roelstan opadł na kolana, a podtrzymujący go ludzie próbowali postawić go na nogi. Jego żona chyba zemdlała, gdyż wisiała luźno, podtrzymywana rękoma oprawców.

Simon czuł, że za chwilę straci oddech. Tym razem nie mogli liczyć na żadną pomoc, byli bezsilni. Zginą na tym wzgórzu albo zabierze ich Król Burz, jak mówił Maefwaru, co z pewnością będzie czymś o wiele potworniejszym. Spojrzał na Miriamele.

Księżniczka wyglądała jak pogrążona w półśnie: oczy miała przymknięte, a jej usta się poruszały. Modliła się?

– Miriamele! To są Nornowie! Słudzy Króla Burz!

Nie odpowiedziała, pogrążona we własnych myślach.

– Miriamele, przestań! Musimy pomyśleć, musimy się uwolnić!

– Zamknij się, Simonie! – syknęła.

Poczuł się jak rażony piorunem.

– Co?

– Próbuję coś sięgnąć. – Miriamele napierała mocno na drzewo, poruszając ramionami w górę i w dół, jakby chciała coś sięgnąć za swoimi plecami. – Jest na dnie kieszeni mojego płaszcza.

– Co? – Simon przybliżył się jeszcze bardziej, aż poczuł jej dłoń pod materiałem. – Nóż?

– Nie, nóż mi zabrali. Lusterko, to, które dostałeś od Jirikiego. Noszę je przez cały czas od dnia, kiedy obcinałam ci włosy. – W tym momencie poczuł, że drewniana oprawa wysuwa się z kieszeni i dotyka jego palców. – Możesz je wziąć?

– Ale po co? – Zacisnął palce na lusterku. – Nie puszczaj, dopóki dobrze nie chwycę. Teraz. – Trzymał mocno w obu dłoniach.

– Możesz wezwać Jirikiego! – szepnęła podniecona. – Powiedziałeś, że można go użyć w ostatecznej sytuacji.

Chwilowa radość Simona szybko uleciała.

– Tak się nie da. On się tak po prostu nie zjawia. To nie są takie czary.

Miriamele milczała przez chwilę. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos zabrzmiał już obojętnie:

– Ale mówiłeś, że lusterko sprowadziło Aditu, kiedy zgubiłeś się w lesie.

– Potrzebowała wielu dni, żeby mnie odnaleźć. My nie mamy tyle czasu.

– Ale spróbuj – odparła z uporem. – To nic nie kosztuje. Może Jiriki jest gdzieś niedaleko.

– Ale ja go nie widzę – zaprotestował Simon. – Jak mam zrobić cokolwiek, kiedy nie mogę nawet w nie spojrzeć?

– Po prostu spróbuj!

Simon zacisnął usta, powstrzymując odpowiedź. Wziął głęboki oddech i ze wszystkich sił spróbował wyobrazić sobie swoją twarz, taką samą, jaka była w chwili, kiedy widział ją w lusterku. Pamiętał ogólny zarys, ale nagle stwierdził, że nie może przypomnieć sobie szczegółów – jaki kolor właściwie miały jego oczy? A blizna na policzku, palący ślad po smoczej krwi, jaka była długa? Czy sięgała aż do nosa?

Przez chwilę ogarnęła go fala bolesnego wspomnienia czarnej krwi Igjarjuka i wtedy wydało mu się, że oprawa lusterka rozgrzewa się pod jego palcami. Ale już w następnym momencie była znowu zimna. Spróbował jeszcze raz przywołać to samo uczucie, lecz bez powodzenia. Próbował wielokrotnie.

– To na nic. Nie potrafię tego zrobić – powiedział.

– Nie starasz się wystarczająco – syknęła Miriamele.

Simon podniósł wzrok. Tancerze Ognia nie zwracali na nich uwagi, skupieni na tym, co się dzieje przy ognisku. Dwoje odszczepieńców, Roelstan i Gullaighn, zostało ułożonych na plecach na ogromnym kamieniu. Czterech oprawców stanęło także na jego wierzchołku i chwyciło ich za nogi, tak że głowy i ramiona więźniów zwisały luźno.

– Usiresie Aedonie! – szepnął Simon. – Spójrz na to!

– Nie patrz tam. Skup się na lusterku – poprosiła Miriamele.

– Mówiłem ci, że nie potrafię go użyć. I tak by to nic nie dało. – Zamilkł na chwilę, patrząc na wykrzywione okrzykiem strachu usta

Roelstana. Trzej Nornowie stali przed nim, spoglądając w górę, jakby obserwowali ptaka na gałęzi.

– Na cholerne Drzewo! – zaklął Simon i upuścił lusterko.

– Simonie! – syknęła Miriamele przerażona. – Oszalałeś? Podnieś je?

Uniósł stopę i nacisnął obcasem na lusterko. Było mocne, ale przesunął je nieco nogą, tak aby oparło się o drzewo, i nacisnął jeszcze raz. Oprawa wytrzymała, ale kryształowa powierzchnia pękła, dźwięcząc cicho: przez chwilę wokół Simona roztoczyła się woń fiołków. Simon kopnął jeszcze raz, rozrzucając kawałki szkła.

– Oszalałeś! – Głos księżniczki przepełniała całkowita rozpacz.

Simon zamknął oczy.

„Wybacz mi, Jiriki – pomyślał. – Ale Morgenes powiedział mi, że podarunek, którego nie można wyrzucić, nie jest podarunkiem, lecz pułapką”. – Przykucnął tak głęboko, jak pozwoliły mu sznury, którymi przywiązano jego ramiona do drzewa, lecz nie sięgnął szkła.

– Dosięgniesz? – spytała Miriamele. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem sama osunęła się możliwie najniżej, ale także bez powodzenia. – Dlaczego to zrobiłeś?

– I tak nie mogliśmy go użyć. Przynajmniej nie w jednym kawałku. – Sięgnął nogą po jeden z większych okruchów i przysunął go bliżej. – Pomóż mi.

Simon wsunął but pod kawałek szkła i spróbował podnieść stopę na tyle wysoko, by Miriamele sięgnęła do szkiełka ze swojego miejsca, ale skręt był zbyt duży i okruch spadł na ziemię. Simon zacisnął usta i spróbował jeszcze raz.

Szkło spadało jeszcze trzykrotnie. Na szczęście Tancerze Ognia i Nornowie zajęci byli przygotowaniami do rytuału. Zerknąwszy na środek wzgórza, Simon zobaczył, że Maefwaru i jego słudzy klęczą przed

kamieniem. Roelstan nie krzyczał już: wydawał ciche jęki i rzucał się, uderzając głową o skałę. Gullaighn zwisała bezwładnie.

Tym razem, kiedy szklany kawałek zaczynał się już zsuwać z jego buta, Simon szarpnął się w bok i zdołał przycisnąć go do nogi Miriamele. Przyciskając mocno szkło do jej nogi, opuścił stopę.

– A teraz co? – spytał samego siebie.

Miriamele przycisnęła się do niego i powoli zaczęła się wspinać na palce, przesuwając kawałek w górę nogi Simona. Szkło z zadziwiającą łatwością przecięło materiał jego spodni, a potem nogę, ale Simon ani drgnął. Zdumiała go rozwaga Miriamele.

Kiedy nie mogła już wspiąć się wyżej, znowu się poruszyli, tak by kawałek oparł się głównie na Simonie; wtedy Miriamele opadła na pięty. Teraz nadeszła kolej Simona. Wszystko to działo się bardzo wolno, a szklany kawałek wydawał się o wiele bardziej ostry od normalnego szkła. Zanim znalazł się w zasięgu ręki Simona, po nogach obojga więźniów płynęły strużki krwi.

Sięgnął właśnie po szklany okruch, który jeszcze znajdował się zbyt daleko, gdy nagle poczuł zimny dreszcz. Nornowie zaczęli śpiewać.

Pieśń wznosiła się jak wąż. Simon miał uczucie, jakby pogrążał się we śnie. Głosy były zimne i straszne, ale jednocześnie dziwnie piękne. Miał wrażenie, że słyszy głuche echa ogromnych jaskiń, melodyjne kapanie topniejącego wolno lodu. Nie rozumiał słów, ale czuł odwieczny czar pieśni. Przyciągała go jak podziemny strumień, coraz głębiej i głębiej, w ciemność...

Simon otrząsnął się. Teraz już żaden z więźniów na skale nie opierał się. Nornowie rozproszyli się i stanęli w trójkącie wokół kamienia.

Simon pociągnął z całej siły, mrugając z bólu, kiedy sznur wpił mu się w ręce; miał wrażenie, że związano go rozżarzonym łańcuchem. Miriamele

dostrzegła łzy w jego oczach i pochyliła się najmocniej jak mogła, kładąc głowę na jego ramieniu, jakby tym samym mogła mu choć trochę ulżyć. Simon naprężył się. Wreszcie jego palce dotknęły zimnej krawędzi, która natychmiast przecięła skórę, lecz to nieznaczne ukłucie oznaczało zwycięstwo. Simon odetchnął z ulgą.

Pieśń Nornów umilkła. Maefwaru wstał i podszedł do kamienia.

– Nadszedł czas! – zawołał. – Teraz Pan przekona się o naszym oddaniu! Czas wezwać Jego Trzeci Dom!

Odwrócił się i powiedział coś do Nornów, zbyt cicho, by Simon mógł go usłyszeć, choć on i tak nie zwracał teraz na nich uwagi. Chwycił mocniej kawałek szkła, nie zważając na coraz mocniej płynącą krew – martwił się tylko, żeby szkło nie wyśliznęło mu się z dłoni – skręcił ciało i zaczął szukać związanych nadgarstków Miriamele.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Maefwaru trzymał teraz w dłoni długi nóż, który migotał w drżącym blasku ogniska jak w jakimś koszmarze. Przystąpił do kamienia i chwycił Roelstana za włosy, ciągnąc tak mocno, że stojący u góry Tancerze Ognia z ledwością utrzymywali jego nogi. Roelstan uniósł dłonie jak do walki, lecz jego ruchy były przeraźliwie powolne, jakby opadał w głębinę. Maefwaru przeciągnął nożem przez jego gardło i cofnął się; tryskająca krew bluznęła na jego twarz i białą szatę.

Roelstan rzucił się. Simon patrzył z obrzydzeniem, ale i fascynacją, jak strumień krwi spływa po jasnym kamieniu. Wisząca tuż obok męża Gullaighn zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Kiedy u podstawy kamienia utworzyła się kałuża, snująca się po ziemi mgła przybrała barwę purpury, jakby to krew się w nią zamieniała.

– Simonie! – Miriamele trąciła go. – Pośpiesz się!

Naprężył się i dotknął jej ręki, potem przesunął dłonie aż do węzłów na jej nadgarstkach. Przyłożył śliskie szkło do sznura i zaczął piłować.

Oblany krwią kamień i ognisko czekały na nich. Miriamele patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– Proszę, szybko!

Simon jęknął. Trudno było utrzymać w dłoni śliski od krwi kawałek lusterka. Do tego coraz bardziej przerażało go to, co się działo na środku wzgórza.

Czerwona mgła rozprzestrzeniała się, aż prawie całkowicie spowiła ogromny kamień. Tancerze Ognia śpiewali teraz, a ich załamujące się głosy były jakby echem słodkiej niczym trucizna pieśni Nornów.

We mgle coś się poruszyło; blade wybrzuszenie, które Simon wcześniej brał za część kamienia, ożyło. Następnie ruszyło do przodu, wychodząc z czerwonawej ciemności na czterech nogach, a ziemia zadrżała pod jego krokami. Był to ogromny, biały byk, w kłębie wyższy od człowieka. Choć tak masywny, wydawał się dziwnie półprzezroczysty, jakby wyrzeźbiony z mgły. Oczy byka płonęły jak rozżarzone węgle, a jego rogi zdawały się podtrzymywać niebo. Na grzbiecie zwierzęcia siedziała potężna, ubrana na czarno postać. Zjawa emanowała strachem tak samo jak letnie słońce żarem. Simon czuł jeszcze swoje palce, a potem jego dłonie zdrętwiały i nie potrafił już powiedzieć, czy jeszcze trzyma cenny okruch szkła. Wszystkie jego myśli zdominowała jedna: żeby uciec przed tym strasznym, pustym czarnym kapturem. Pragnął jedynie rzucić się i oderwać od drzewa albo przegryźć więzy i biec, biec, biec...

Śpiew Tancerzy Ognia załamał się, okrzyki przerażenia mieszały się ze słowami rytuału. Maefwaru stał przed swoim zgromadzeniem i wymachiwał ramionami w uniesieniu.

– *Veng’a Sutekh!* – zawołał. – Książę Czarnego Wiatru! Przyszedł, by przynieść Trzeci Dom Pana!

Ogromna postać na grzbiecie byka spojrzała na niego, a potem czarny kaptur obrócił się powoli i rozejrzał po wzgórzu. Spojrzenie jego niewidzialnych oczu smagnęło Simona mroźnym powiewem.

– Och, Usiresie na Drzewie! – jęknęła Miriamele. – Co to jest?

Na moment obłędna groza opuściła Simona, jakby jego strach stał się już zbyt wielki, by mógł go znieść. Nigdy dotąd nie słyszał, by Miriamele była tak przerażona, i teraz jej głos ściągnął go z krawędzi obłędu. Zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma kawałek szkła w odrętwiałych palcach.

– To... to jest bardzo... bardzo zła rzecz – jęknął. – Jeden z... – Chwycił jej nadgarstek i znowu zaczął piłować. – Och, Miri, wytrzymaj.

Miriamele oddychała ciężko.

– S...spróbuję.

Nornowie rozmawiali teraz z Maefwaru, który jedyny z całej kongregacji wydawał się zdolny znieść widok byka i jego jeźdźca: pozostali Tancerze Ognia leżeli w zaroślach, szlochając w ekstazie strachu. Maefwaru odwrócił się i wskazał drzewo, do którego przywiązano Simona i Miriamele.

– Idą po... po nas – wymamrotał Simon i w tym momencie szkło przecięło więzy Miriamele. – Przecinaj moje.

Miriamele odwróciła się nieco, żeby płaszczem zakryć swoje ruchy. Czuł drżenie w rękach, kiedy piłowała energicznie gruby sznur. Nornowie zbliżali się do nich powoli.

– Och, Aedonie, idą! – powiedział Simon.

– Prawie przecięłam! – szepnęła. Czuł, że coś wbija mu się w nadgarstek, a potem usłyszał głos Miriamele: – Upuściłam!

Simon zwiesił głowę. Tak więc nie było już nadziei. Wyczuwał, że Miriamele szybko owija końce sznura wokół swoich nadgarstków, żeby wyglądało, że jest wciąż związana.

Lekki chód Nornów oraz ich powiewające szaty sprawiały wrażenie, że unoszą się nad ziemią. Ich twarze pozbawione były wszelkiego wyrazu, oczy czarne jak dziury między gwiazdami. Stanęli wokół drzewa i Simon poczuł zimny uścisk na swoim ramieniu. Jeden z Nornów przeciął sznur, którym przywiązano do siebie więźniów, a potem popędzono ich w kierunku kamienia i straszliwej zjawy, która wyłoniła się z czerwonej mgły.

Serce biło mu coraz szybciej, w miarę jak zbliżali się do byka i jego jeźdźca. Czuł, jak przerażająco obcy i wrodzy są Nornowie, którzy ich prowadzą, ale strach przed nimi był niczym wobec terroru, jakim emanowała Czerwona Dłoń Króla Burz.

Nornowie rzucili go na ziemię. Kopyta byka – każde wielkości beczki – znajdowały się tuż obok niego. Nie chciał patrzeć. Pragnął jedynie ukryć twarz w zaroślach, lecz nieoczekiwanie ktoś pociągnął jego głowę ku górze, aż ujrzał coś, co przypominało płomień migocący w głębi czarnego kaptura.

– *Przyszliśmy wznieść Trzeci Dom* – powiedziała zjawa. Kamienny głos przeszył ciało Simona i zatrząsł ziemią. – *Co... co to jest?*

Maefwaru był tak przestraszony i podniecony, że jego głos przeszedł w pisk.

– Miałem sen! Pan chciał tego człowieka, *Veng'a Sutekh*, wiem, że tak było!

Niewidzialna istota chwyciła umysł Simona, jak jastrząb chwyta królika. Poczuł brutalnie przetrząsane myśli i padł na ziemię, krzycząc z bólu i przerażenia. Prawie nie słyszał słów zjawy.

– *Pamiętamy małą muszkę, ale już nie jest nam potrzebna. Czerwona Dłoń ma inne plany, lecz potrzebujemy jeszcze więcej krwi, zanim zaczniemy. Dodajcie jego życie do pozostałych złożonych na Kamieniu Płaczu*.

Simon przewrócił się na plecy i leżał wpatrzony w czarne niebo, a świat wirował wokół niego.

– *Nie jest potrzebna*... – Słowa te wirowały wściekle po jego głowie. Ktoś gdzieś wymawiał jego imię. – *Nie jest potrzebna*...

– Simonie, wstań!

Z wysiłkiem rozpoznał głos Miriamele, głos śmiertelnie przerażony. Obrócił głowę. Jak przez mgłę ujrzał zbliżającą się postać, rozmazaną białą plamę. Przez moment pomyślał z przerażeniem, że może to być byk, ale w następnej chwili obraz stał się wyraźniejszy. Nadchodził Maefwaru z wzniesionym długim nożem, którego ostrze lśniło w blasku ognia.

– Czerwona Dłoń chce twojej krwi – powiedział przywódca Tancerzy Ognia. W jego oczach czaił się obłęd. – Pomożesz wznieść Trzeci Dom.

Simon spróbował wyplątać się z trawy i podnieść na kolana. Tymczasem Miriamele strząsnęła swoje więzy i rzuciła się w stronę Maefwaru. Jeden z Nornów chwycił ją za ramię i przyciągnął do swej czarnej piersi jak kochanek, lecz – ku zdumieniu Simona – nieśmiertelny nic więcej jej nie zrobił; jego wzrok śledził Maefwaru, który zbliżał się coraz bardziej do Simona.

Nagle jakby wszystko zamarło, nawet płomienie ognia. Czerwona Dłoń, Nornowie, pełzający słudzy Maefwaru, wszyscy stanęli albo legli w bezruchu, czekając. Przywódca Tancerzy Ognia wzniósł nóż.

Simon szarpnął swoje więzy tak mocno, że wydało mu się, iż mięśnie przebiją mu skórę. Przecież Miriamele częściowo przecięła sznur...

„Gdyby tylko... Gdyby tylko...”

Sznur pękł. Ramiona Simona poleciały w bok, a pętla opadła na ziemię. Z poobcieranych i pokaleczonych nadgarstków i dłoni kapała krew.

– No, chodź – wysapał, unosząc ramiona przed siebie. – Chodź po mnie.

Maefwaru roześmiał się. Na jego czole i łysej głowie lśniły kropelki potu. Mięśnie jego karku nabrzmiały, kiedy wyciągał spod płaszcza jeszcze jeden nóż. Przez chwilę Simon miał nadzieję, że Tancerz rzuci mu drugi, żeby szanse były równe, ale nie takie były zamiary Maefwaru. Z nożem w każdej dłoni zrobił krok do przodu. Potknął się, ale utrzymał równowagę i podszedł jeszcze bliżej. Potem nagle wyprostował się i podniósł dłonie do szyi tak gwałtownie, że skaleczył się własnym nożem. W jego oczach pojawił się wyraz zdumienia zamiast radości, a potem zaraz runął w trawę.

Zanim Simon zorientował się, co się dzieje, jakiś cień przemknął tuż obok i zaatakował Norna, który trzymał Miriamele, przewracając go na ziemię. Księżniczka przewróciła się z nim, ale natychmiast uwolniła z jego uścisku.

– Simonie, weź nóż! – zawołał ktoś.

Oszołomiony spojrzał na długi nóż w dłoni Maefwaru. Klęknął – noc nagle wypełniła się dziwnymi odgłosami, warczeniem, okrzykami i dziwnym dudnieniem – i wyrwał broń z zaciśniętej dłoni Tancerza Ognia.

– Tutaj! – zawołał ktoś z krawędzi wierzchołka. – Tędy!

Simon chwycił Miriamele za rękę i pobiegł za głosem. Dwóch Tancerzy Ognia skoczyło, by ich zatrzymać, lecz Simon ranił jednego z nich nożem, zostawiając czerwoną smugę na jego białej szacie; Miriamele wpiła się paznokciami w twarz drugiego, zmuszając go do zwolnienia uścisku. Głuche dudnienie istoty siedzącej na byku – Simon zdał sobie sprawę, że ona coś mówi, lecz już jej nie rozumiał – stawało się coraz głośniejsze; miał wrażenie, że zaraz rozsadzi mu głowę.

– Tutaj! – Spomiędzy drzew rosnących na brzegu wierzchołka wyłoniła się mała postać, oblana blaskiem ogniska.

– Binabik!

– Biegnijcie do mnie! – krzyknął troll. – Szybko!

Simon nie potrafił oprzeć się pokusie, by nie spojrzeć do tyłu.

Stojący obok ofiarnego kamienia byk prychał i wierzgał kopytami, wyrzucając ogromne kępy wilgotnej ziemi. Sługa Inelukiego jarzył się czerwonym żarem poprzez czarną szatę, ale nie próbował gonić Simona albo Miriamele, jakby nie chciał opuścić przesiąkniętego krwią kręgu. Jeden z Nornów leżał z rozszarpanym gardłem; drugi, nieopodal, trafiony był strzałką trolla. Trzeci z Nornów próbował coś zrobić z tym, co zostało z gardła jego towarzysza. Ale Tancerze Ognia pomału wracali do zmysłów i kilku z nich rzuciło się za uciekającymi więźniami. Strzała świsnęła obok ucha Simona i poleciała między drzewa.

– Tędy, w dół – powiedział Binabik i pobiegł przed nimi zboczem. Potem dał znak, żeby Miriamele i Simon biegli dalej, gdy tymczasem on zatrzymał się i przyłożył dłonie do ust. – *Qantaqa!* – krzyknął. – *Qantaqa sosa!*

Kiedy wbiegli dalej między drzewa, ryki ucichły nieco. Przebiegli jeszcze kilkanaście kroków i ujrzeli przed sobą dwa cienie we mgle – dwa konie.

– Są luźno przywiązane! – zawołał do nich troll. – Wsiadajcie i jedźcie!

– Binabiku, jedź ze mną! – wysapał Simon.

– Nie ma potrzeby – odparł troll. Simon spojrzał w górę i ujrzał wyłaniającą się z mgły ogromną szarą postać. – Dzielna Qantaqa! – Binabik chwycił za kudły na karku wilczycy i wskoczył raźno na jej grzbiet.

Odgłosy pościgu przybliżały się. Miriamele z trudem wdrapała się na konia. Simon chwycił siodło swojego wierzchowca – to była Nadzieja! Po

wszystkich okropieństwach, których dopiero co doświadczył, był tak zdumiony tym spotkaniem, że po prostu przestał myśleć. Qantaqa z Binabikiem na grzbiecie skoczyła do przodu. Simon przylgnął do karku Nadziei i uderzył mocno piętami w jej boki, nie odrywając wzroku od kołyszącego się wśród zarośli ogona wilczycy.

NOC ZAMIENIŁA SIĘ JAKBY W POWRACAJĄCY SEN, wilgotny mrok spowijał plątaninę drzew. Kiedy Binabik wreszcie się zatrzymał, Simon nie potrafił powiedzieć, jak długo jechali. Wciąż znajdowali się na zboczu wzgórza, ale głęboko w lesie, gdzie nie widzieli nawet zachmurzonego nieba. Momentami było tam tak ciemno, że musieli iść pieszo. Przez cały czas wytężali wzrok, by nie zgubić szarej postaci Qantaqi.

– Tutaj. Tutaj się schronimy – zawołał cicho Binabik.

Simon zsiadł z konia i poprowadził go za głosem trolla.

– Trzymajcie nisko głowy – ostrzegł ich troll. Echo powtórzyło jego słowa.

Wilgotna i gąbczasta dotychczas ziemia była tutaj bardziej ubita. W powietrzu unosił się zapach pleśni.

– Zatrzymajcie się tam, gdzie jesteście. – Binabik nic więcej nie powiedział, ale rozległ się jakiś szelest. Simon stał, nasłuchując swojego oddechu. Jego serce wciąż waliło wściekle, a ciało pokrywał zimny pot. Czy rzeczywiście są bezpieczni? Skąd się wziął Binabik? Pojawił się tak nieoczekiwanie...

Rozległ się syk, a potem płomień objął koniec pochodni, którą Binabik trzymał w małej dłoni. W świetle ujrzeli długą i niską pieczarę, której przeciwległy koniec pozostawał niewidoczny za zakrętem.

– Wejdziemy głębiej – powiedział troll. – Nie byłoby bezpiecznie wchodzić tutaj bez światła.

– Co to za miejsce? – spytała Miriamele.

Simon nie mógł znieść widoku jej pokrwawionych nóg i bladej, wystraszonej twarzy.

– Po prostu pieczara. – Binabik uśmiechnął się. – W wyborze pieczary możesz zaufać trollowi. – Odwrócił się i dał im znak, by poszli za nim. – Niedługo odpoczniecie.

Konie opierały się na początku, ale później, uspokojone, pozwoliły poprowadzić się w głąb pieczary. Podłogę zaścielały suche gałęzie i liście. Spomiędzy nich wystawały kości mniejszych zwierząt. Przeszli jeszcze kilkaset kroków i wreszcie dotarli do końca pieczary: była to grota o wiele wyższa i obszerniejsza od tunelu, który do niej prowadził. W jednym jej końcu po płaskim kamieniu spływał mały strumyk, tworząc niewielki staw. Simon przywiązał oba konie do kamienia przy wodzie.

– Tu będzie nasz dom na ten wieczór – oznajmił Binabik. – Zostawiłem tutaj suche drewno, które nie daje dużo dymu. – Wskazał na ciemną szczelinę w suficie groty. – Wczoraj rozpalałem tutaj ogień. Można oddychać, gdyż dym ulatuje do góry.

Simon osunął się na ziemię. Suche patyki zatrzeszczały pod nim.

– A Nornowie i pozostali? – W tej chwili było mu już wszystko jedno. Jeśli chcieli go dostać, mogli przyjść i go zabrać. Jego ciało pulsowało bólem.

– Nie sądzę, żeby odkryli to miejsce. Nie wydaje mi się nawet, żeby jeszcze długo szukali. – Troll zaczął układać drewno na popiele w środku kamiennego kręgu, który ułożył poprzedniej nocy. – Nornowie mieli zdaje się do wypełnienia jakieś ważne zadanie i potrzebowali ciebie tylko dla krwi. Myślę, że poleje się jeszcze wiele krwi tamtych śmiertelników, zanim zadanie zostanie wykonane.

– Binabiku, czego oni chcieli? – Oczy Miriamele lśniły jak w gorączce. – Co to za Trzeci Dom? I co to była za zjawa?

– Był to jeden z Czerwonej Dłoni – powiedział Binabik rzeczowo, ale na jego twarzy malował się wyraz wielkiej troski. – Wprawdzie Simon opowiadał mi o tym, ale sam nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. – Pokręcił głową i wyjął krzesiwo, by rozpalić ogień. – Nie wiem, jakie miał zamiary, ale z pewnością wykonywał rozkazy Króla Burz. Zastanowię się nad tym. – Kiedy zapłonął ogień, podniósł swoją torbę i zaczął czegoś w niej szukać. – A teraz pozwólcie, że oczyszczę wasze rany.

Simon siedział spokojnie, gdy tymczasem troll obmywał rany Miriamele wilgotnym kawałkiem materiału i wcierał w każdą maść z małego słoika. Zanim nadeszła jego kolej, poczuł, że oczy mu się zamykają. Ziewnął.

– Ale skąd ty się tam wziąłeś, Binabiku? – Zamrugał, kiedy troll natarł skaleczone miejsce. – Co... co...?

Troll roześmiał się.

– Będzie czas na opowiadanie. Ale najpierw trzeba zjeść i się wyspać. – Spojrzał na Simona i Miriamele. – Może najpierw prześpicie się, a potem zjecie? – Wstał i otarł dłonie o szerokie spodnie. – Jest tu coś, co wam się pewnie spodoba. – Wskazał na coś ciemnego niedaleko koni.

– Co? – Simon wytrzeszczył oczy. – Nasze torby!

– A w nich wasze posłania. Na szczęście Tancerze Ognia nie zabrali ich. Zostawiłem je tutaj, zanim udałem się za wami na wzgórze. Może było to zbyt ryzykowne, ale pomyślałem, że możecie mieć w nich coś cennego. – Roześmiał się. – A poza tym, nie chciałem, żebyście jechali na obładowanych koniach w nocy.

Simon już wyciągał swoje posłanie i sprawdzał zawartość torby.

– Mój miecz! – zawołał uradowany, lecz zaraz posmutniał. – Musiałem stłuc lusterko Jirikiego.

Troll skinął głową.

– Widziałem. Ale chyba nie mógłbym wam pomóc w ucieczce, gdybyście nie uwolnili rąk. Smutna, ale rozsądna ofiara, Simonie.

– I jeszcze moja Biała Strzała – powiedział Simon zamyślony. – Zostawiłem ją na *Sesuad'ra*. – Rzucił Miriamele jej posłanie i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby rozłożyć swoje. – Niezbyt dobrze opiekowałem się podarkami...

Binabik uśmiechnął się.

– Zbyt wieloma rzeczami martwisz się teraz. Prześpijcie się. Obudzę was później i zjemy coś ciepłego. – Powrócił do ognia. Cienie płomieni pochodni skakały po jego okrągłej twarzy.

Simon spojrzał na Miriamele, która zdążyła się już położyć i skulona zamknęła oczy. Nie była chyba bardzo poraniona, jedynie wyczerpana. A jednak przeżyli. Dotrzymał słowa. Nagle usiadł na posłaniu.

– Konie! Trzeba je rozsiodłać!

– Ja to zrobię. Ty odpocznij – uspokoił go Binabik.

Simon położył się na swoim posłaniu i patrzył na taniec cieni na suficie. Po kilku chwilach już spał.

36. Ranny świat

DELIKATNY PLUSK WODY obudził Simona.

Śniło mu się, że został schwytany w pierścień ognia, którego płomienie przybliżały się do niego coraz bardziej. Gdzieś zza ognistego kręgu wołała go Rachel, by przyszedł i wziął się do pracy. Próbował powiedzieć jej, że znalazł się w pułapce, ale jego usta wypełniał dym i popiół.

Dźwięk wody przypominał mu poranną pieśń z kaplicy w Hayholt. Simon podpełzł po szeleszczącej podłodze groty, zanurzył dłonie w stawie, po czym zaczerpnął wody i przyjrzał się jej z bliska, lecz w blasku dogasającego ogniska trudno było powiedzieć, czy woda jest bezpieczna. Powąchał ją, zanurzył najpierw język, a potem wypił. Była słodka i zimna. Jeśli miała okazać się trująca, to chciał umrzeć właśnie tak.

„Gamoń. Konie też tam piły i Binabik obmywał nasze rany”.

Mimo wszystko nawet otrucie wydawało się lepsze od losu, jakiego nieomal doświadczyli... zeszłej nocy?

Jego pokaleczone nadgarstki i dłonie kłuły oblane zimną wodą. Bolały go wszystkie mięśnie, wszystkie stawy miał sztywne. Mimo to jednak nie czuł się aż tak okropnie, jak można się było tego spodziewać. Nie potrafił powiedzieć, jaka jest pora dnia, czy spał dłużej niż tylko kilka godzin. Simon rozejrzał się po grocie w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Ile mógł

spać? Konie wciąż stały spokojnie niedaleko. Po drugiej stronie ogniska dostrzegł złociste włosy Miriamele wystające spod płaszcza.

– Ach, Simonie, przyjacielu!

Odwrócił się. Binabik nadchodził tunelem z rękoma złożonymi przed sobą, jakby niósł wodę.

– Witaj – powiedział Simon. – Dzień dobry, jeśli to jest dzień.

Troll uśmiechnął się.

– Zgadza się. Niedługo będzie południe. Właśnie wracam z zimnego i zamglonego lasu, gdzie zajmowałem się niezwykle podstępną grą. – Podniósł do góry dłonie. – Grzyby. – Podszedł do ogniska, wysypał swój skarb na płaski kamień i zajął się przebieraniem grzybów. – Jest tu szary kapelusz. A tutaj Króliczy Nos, smakuje chyba lepiej niż prawdziwy króliczy nos, no i o wiele łatwiej go przyrządzić. – Zachichotał. – Ugotuję je i zjemy wspaniały posiłek.

Simon uśmiechnął się.

– Miło cię widzieć, Binabiku. Byłoby miło, nawet gdybyś nas nie uratował.

Troll uniósł brwi.

– Sami wiele zrobiliście, żeby się uratować; na szczęście, gdyż zdaje się, że wciąż wpadasz w jakieś dziwne kłopoty. Powiedziałeś kiedyś, że twoi rodzice byli prostymi ludźmi. A mnie się wydaje, że przynajmniej jedno z nich nie było człowiekiem, ale ćmą. – Uśmiechnął się złośliwie i wskazał na ognisko. – Zawsze pędzisz do najbliższego ognia.

– Tak to wygląda. – Simon siadł na wystającym z podłogi kamieniu i przez chwilę wiercił się na wszystkie strony, by znaleźć najmniej bolesną pozycję. – Co teraz zrobimy? Jak nas znalazłeś?

Binabik zmarszczył czoło, skupiony na krojeniu grzybów.

– Najpierw proponuję zjeść. Pomyślałem, że lepiej będzie pozwolić wam się najpierw wyspać. Ale teraz chyba jesteś bardzo głodny.

– O tak, bardzo – przytaknął mu Simon.

– Co do drugiego pytania, to z odpowiedzią poczekam chyba, aż obudzi się Miriamele. Wprawdzie lubię opowiadać, ale nie chciałbym mówić tego samego dwukrotnie.

– Jeśli chcieliście mnie obudzić, to nie ma lepszego sposobu jak głośna rozmowa – odezwała się szorstko księżniczka.

Binabik pozostał niewzruszony.

– W takim razie wyświadczyliśmy ci wielką przysługę, gdyż niedługo poczęstuję was jedzeniem. Tutaj jest czysta woda do mycia, a jeśli chcesz wyjść na zewnątrz, to możesz to zrobić, dokładnie rozejrzałem się po okolicy.

– Och – jęknęła Miriamele. – Jestem cała obolała. – Zwlokła się z posłania i owinięta płaszczem wyszła chwiejnie na zewnątrz.

– Ona nie miewa rano dobrego humoru. Chyba nie jest przyzwyczajona do wczesnego wstawania – zauważył Simon z pewnym zadowoleniem. On także nigdy tego nie lubił, tylko że podkuchenny nie miał nic do powiedzenia na temat tego, kiedy wstać i co robić; Rachel jasno mu wytłumaczyła, że lenistwo jest największym grzechem.

– A kto miałby dobry humor po tym, przez co przeszliście ostatniej nocy? – spytał Binabik, marszcząc czoło. Wrzucił pokrojone grzyby do garnka z wodą, dodał jakiegoś proszku ze swojej torebki i postawił naczynie na krawędzi ogniska. – I tak się dziwię, że nie zwariowaliście po tych wszystkich okropnościach, które widzieliście w ciągu ostatniego roku, i nie trzęsiecie się wciąż ze strachu.

Simon zastanawiał się nad tym przez moment.

– Czasem się boję. Czasem wszystko to wydaje mi się tak wielkie, Król Burz i wojna z Eliasem. Ale to, co mogę zrobić, jest przede mną. – Wzruszył ramionami. – Nigdy wszystkiego nie zrozumiem. A umrzeć mogę tylko raz.

Binabik popatrzył na niego uważnie.

– Widzę, że rozmawiałeś z Camarisem, mój rycerski przyjacielu. Jakbym słyszał Regułę Rycerza, chociaż słowa dobrane są, jak na Simona przystało, bardzo skromnie. – Zajrzał do naczynia i pomieszał jego zawartość patykiem. – Dodam jeszcze tylko kilka drobiazgów i zostawię na jakiś czas. – Wrzucił kilka pasków suszonego mięsa, pokroił długą i nieco zgniecioną cebulę, dodając ją do reszty, którą ponownie zamieszał. Skończywszy, odwrócił się i zaczął z ożywieniem przeszukiwać torbę. – Mam tutaj coś, co może cię zainteresuje... – rzucił obojętnie. Potem wyjął coś długiego, zawiniętego w liście. – Proszę.

Simon wziął zawiniątko i wiedział już, zanim je rozpakował.

– Biała Strzała! – Odetchnął głęboko. – Och, Binabiku! Dziękuję! Byłem pewien, że ją zgubiłem.

– Tak też się stało – odparł troll. – Ale skoro wybierałem się do ciebie z wizytą, to pomyślałem sobie, że przywiozę ją ze sobą.

Miriamele powróciła do groty.

– Spójrz, Miri, moja Biała Strzała! Binabik ją przywiózł!

Ledwie rzuciła okiem.

– To miło. Cieszę się.

Patrzył, jak idzie do swoich toreb i zaczyna czegoś szukać. Co on takiego zrobił, żeby się tak wściekała? Dziewczęta były bardziej zmienne od pogody! A czy *on* nie miał powodu, by złościć się na *nią*?

Simon prychnął pod nosem i odwrócił się do Binabika.

– Czy powiesz nam, jak nas znalazłeś?

– Cierpliwości! – Binabik pomachał krępą dłonią. – Najpierw zjedzmy w spokoju. Księżniczka Miriamele jeszcze się do nas nie przyłączyła, a poza tym mam też i inne wieści, nie wszystkie pomyślne. – Pochylił się nad swoją torbą i wyjął z niej coś. – Ach, tutaj są. – Troll trzymał jeszcze mniejszą sakiewkę zaciąganą u góry rzemieniem. Przechylił ją i na płaski kamień wysypały się kości. – Najpierw sprawdzę, co mówią kości. – Zagrzechotały cicho, kiedy potrząsał nimi w dłoni, a potem rozsypały się po kamieniu. Zmrużył oczy.

– Ścieżka Cieni. – Troll skrzywił się. – Nie pierwszy raz ją widzę. – Ponownie rozrzucił kości. – Czarna Szczelina. – Binabik pokręcił głową. – Wciąż to samo. – Jeszcze raz wymieszał kości i rzucił na kamień. – Na Kamienie Chukku! – Jego głos zadrżał.

– Czy Kamienie Chukku to zły rzut? – spytał Simon.

– To takie przekleństwo – wyjaśnił Binabik. – Wypowiedziałem je, gdyż nigdy jeszcze nie widziałem takiego układu kości. – Pochylił się niżej nad pożółkłymi kośćmi. – Prawie jak Bezskrzydły Ptak – powiedział. – Ale nie do końca. – Podniósł jedną z kości, która znalazła się na dwóch innych, i wciągnął głęboko powietrze. – Czy to mogą być Tańczące Góry? – Spojrzał na Simona; z jego oczu bił niepokojący blask. – Tak, nigdy nie widziałem takiego układu i nie znam nikogo, kto by go widział. Ale chyba słyszałem raz, kiedy Ookekuq, mój mistrz, rozmawiał z mądrą kobietą z Góry Chugik.

Simon wzruszył ramionami bezradnie.

– Co to znaczy?

– Zmiany. Duże zmiany. – Binabik westchnął. – Jeśli rzeczywiście są to Tańczące Góry. Gdybym miał pergamin, mógłbym to sprawdzić. – Zebrał kości do sakiewki; wydawał się mocno zaniepokojony. – Taki rzut pojawiał

się tylko kilkakrotnie od czasów, kiedy Ci, Którzy Śpiewają zaczęli spisywać na skórze życie i wiedzę ludu Yiqanuc.

– I co się wtedy stało?

Binabik odłożył sakiewkę.

– Pozwól mi pomyśleć, zanim powiem więcej.

Nigdy dotąd Simon nie traktował zbyt poważnie kościanych przepowiedni Binabika – zawsze wydawały mu się tak samo ogólne i bezużyteczne jak bajania przepowiadacza przyszłości na jarmarku – lecz teraz z niepokojem patrzył na zatroskanego trolla.

Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, do ogniska powróciła Miriamele.

– Nie jadę – odezwała się nieoczekiwanie.

Binabik, podobnie jak i Simon, spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie rozumiem cię, księżniczko Miriamele.

– Rozumiesz. Mój wuj wysłał cię, żebyś przywiózł mnie z powrotem. Ale ja nie pojadę z tobą. – Simon nigdy dotąd nie widział na jej twarzy wyrazu takiej zawziętości i uporu. Teraz zrozumiał jej zachowanie. Poczuł wzbierający w nim gniew. Dlaczego ona zawsze była taka uparta, zawzięta? Można było sądzić, że odtrącanie ludzi słowami sprawia jej przyjemność.

Binabik uniósł dłoń.

– Miriamele, nie mógłbym zmusić cię do czegoś wbrew twojej woli, nie będę nawet próbował. – Patrzył na nią z troską. – Ale rzeczywiście, twój wuj i wielu innych martwią się o ciebie. Niepokoją się o twoje bezpieczeństwo, jak i o to, co chcesz zrobić. Poproszę cię, byś wróciła, ale nie będę zmuszał.

Miriamele uspokoiła się nieco, lecz wciąż zaciskała zęby z determinacją.

– Przykro mi, Binabiku, jeśli jechałeś tak daleko na próżno, ale ja nie wracam. Mam coś do zrobienia.

– Ona chce powiedzieć swojemu ojcu, że cała ta wojna jest wielkim błędem – mruknął Simon.

Miriamele rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Nie dlatego tam jadę, Simonie. Mówiłam ci. – Wyjaśniła Binabikowi co, jej zdaniem, mogło wpędzić Eliasa w szpony Króla Burz.

– Rzeczywiście chyba odkryłaś jego błąd – powiedział Binabik, kiedy skończyła. – Ja także o tym myślałem, co nie znaczy, że ma ci się udać. – Zmarszczył czoło. – Jeśli twój ojciec zbliżył się bardzo do Króla Burz, czy to przez podstępnego Pryratesa, czy jeszcze inaczej, to jest on jak ktoś, kto pije za dużo *kangkang*, co znaczy, że nie będzie słuchał tych, którzy mówią mu, iż jego rodzina głoduje, a jego owce rozproszyły się po górach. – Położył dłoń na ramieniu Miriamele. Drgnęła, ale się nie odsunęła. – Ponadto, ciężko mi to powiedzieć, może być tak, że twój ojciec nie potrafi już żyć bez Króla Burz. Miecz Smutek posiada moc, ogromną moc. Twój ojciec może popaść w szaleństwo, jeśli mu go zabiorą.

W oczach Miriamele pojawiły się łzy, lecz wyraz determinacji nie zniknął z jej twarzy.

– Binabiku, ja nie chcę odebrać mu miecza. Chcę mu tylko powiedzieć, że sprawy zaszły za daleko. Mój ojciec, mój *prawdziwy* ojciec, nigdy nie pozwoliłby, żeby jego miłość do mojej matki spowodowała tyle zła. Teraz inni muszą działać.

Binabik ponownie uniósł dłonie, lecz tym razem w geście rezygnacji.

– No cóż, skoro odgadłaś przyczynę jego szaleństwa, tej wojny, jego paktu z Królem Burz. Jeśli on cię wysłucha... Ale, jak mówiłem, nie mogę cię powstrzymać. Mogę wam tylko towarzyszyć i służyć pomocą.

– Jedziesz z nami? – spytał Simon. Poczuł wielką radość i ulgę, że będzie ktoś jeszcze, kto podzieli z nim ten wielki ciężar.

Troll skinął głową, ale już się nie uśmiechał.

– Jeśli nie zamierzasz powrócić ze mną do Josui, Simonie. To byłby powód, bym nie jechał dalej.

– Muszę zostać z Miriamele – oświadczył Simon stanowczo. – Składałem przysięgę jako rycerz.

– Chociaż wcale o to nie prosiłam – wtrąciła Miriamele.

Simon poczuł się urażony, ale natychmiast przypomniał sobie Regułę Rycerza i opanował się.

– Chociaż wcale o to nie prosiłaś – powtórzył, spoglądając na nią gniewnie. Pomimo okropnych chwil, jakie razem przeżyli, ona chyba chciała go zranić. – Mimo to obowiązek pozostaje obowiązkiem. Lecz... – zwrócił się do Binabika – lecz jeśli Miriamele jedzie do Hayholt, to ja się udaję na Swertclif. Tam jest Biały Gwóźdź, którego potrzebuje Josua. Ale zupełnie nie wiem, jak dostać się do zamku, żeby odebrać Smutek – dodał zamyślony.

Binabik oparł się wygodnie i westchnął.

– Tak więc Miriamele jedzie do Hayholt prosić ojca, by przerwał wojnę, a ty jedziesz, żeby odzyskać jeden z Wielkich Mieczy, by zaspokoić swoją własną, rycerską ambicję? – Pochylił się i pomieszał zawartość naczynia na ogniu. – Czy widzicie, jak dziecinne są wasze słowa? Myślałem, że po wszystkich niebezpieczeństwach jesteście na tyle rozsądni, by nie brać na siebie takich rzeczy.

– Jestem rycerzem. Nie jestem już dzieckiem, Binabiku – powiedział Simon.

– To tylko oznacza, że szkody, jakie możesz uczynić, będą większe – odparł troll, ale mówił tonem bardzo spokojnym, jakby z góry wiedział, że

nie przekona rozmówców. – A teraz zjedzmy coś. W końcu to szczęśliwe spotkanie, chociaż czasy złe.

Simon odetchnął.

– Tak, zjedzmy. A ty wciąż nie powiedziałeś nam, w jaki sposób nas znalazłeś.

Binabik zamieszał potrawę w garnku.

– O tym i o innych rzeczach po jedzeniu.

KIEDY USTAŁO PEŁNE ZADOWOLENIA MLASKANIE, Binabik oblizał palce i odetchnął głęboko. – Teraz my jesteśmy bezpieczni, a nasze żołądki pełne. Czas na ponure wieści.

Simon i Miriamele słuchali z przejęciem opowieści trolla o ataku Nornów na ich obóz i jego skutkach.

– Geloë nie żyje? – Simon miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg; jeszcze trochę i nie będzie gdzie stanąć. – Niech będą przeklęci! Demony! Powinienem był tam być! Rycerz księcia...!

– Może to i prawda, że oboje powinniście tam być – odparł łagodnie Binabik. – Ale nic byś nie zrobił, Simonie. Wszystko stało się tak nagle i w zupełnej ciszy. Mieli tylko jeden cel.

Simon pokręcił głową, wściekły na siebie.

– Do tego jeszcze Leleth. Biedna dziewczyna, tyle bólu zaznała. – Miriamele otarła oczy.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy.

– Pozwólcie, że powiem o mniej smutnych rzeczach – przemówił Binabik. – O tym, jak was znalazłem. W rzeczywistości nie ma wiele do opowiadania. Przede wszystkim jest to zasługa Qantaqi. Ona ma dobry nos. Bałem się tylko, że wyprzedzicie nas za bardzo; na dalszą odległość wilki

nie podróżują tak szybko jak konie, i ślady nie będą już tak wyraźne. Poza tym padało. Ale mądra Qantaqa nie zgubiła tropu.

– W takim razie to byłeś ty? – spytał nagle Simon. – Czy to ty czaiłeś się wokół naszego obozu w lesie?

Troll spojrzał na niego zdumiony.

– Nie sądzę. Kiedy to się wydarzyło?

Simon opisał, jak to tajemnicza postać zbliżyła się do obozu, a potem wycofała się w ciemność.

Binabik pokręcił głową.

– To nie byłem ja. Nie mówiłbym do siebie, chociaż czasem mówię coś do Qantaqi. Możecie mi wierzyć – wyprostował się dumnie – że trolle nie robią tyle hałasu. Szczególnie nocą, w lesie. Dbamy o to, żeby nie zamienić się w posiłek dla kogoś większego. – Zamilkł na moment. – Poza tym nie zgadza się pora. Wtedy byliśmy za wami o dzień lub dwa. Nie, to pewnie był jakiś bandyta albo drwal, tak jak przypuszczaliście. – Zamyślił się na długą chwilę, zanim zaczął mówić dalej: – W każdym razie ja i Qantaqa podążaliśmy za wami. Musieliśmy ścigać was w tajemnicy. Nie chciałem wjeżdżać na wilczycy do tak dużego miasta jak Stanshire, tak więc miałem tylko nadzieję, że będziecie jechali dalej. Jeździliśmy wokół dużych osad w poszukiwaniu waszych śladów. Kilkakrotnie myślałem już, że jest to za trudne zadanie dla Qantaqi, ale zawsze udawało jej się was odnaleźć. – Podrapał się po głowie zamyślony. – Myślę, że gdybyście za którymś razem nie wyjechali, wtedy musiałbym was poszukać. Cieszę się, że nie było takiej potrzeby. Wtedy musiałbym zostawić Qantaqę na odludziu, a sam byłbym łatwym celem dla Tancerzy Ognia albo jakiegoś przestraszonego wieśniaka, który nigdy nie widział trolla. – Uśmiechnął się. – Ludzie ze Stanshire i Falshire wciąż jeszcze nie widzieli trolla.

– Kiedy nas odnalazłeś?

– Zgadniesz łatwo, jeśli się nad tym zastanowisz, Simonie. Nie miałem powodu ukrywać się przed wami, więc z pewnością natychmiast bym się z wami przywitał, gdyby nie pewien powód.

Simon zastanawiał się.

– Byliśmy z kimś, kogo nie znałeś?

Troll przytaknął mu z zadowoleniem.

– Tak właśnie było. Młody mężczyzna i młoda kobieta mogą beztrosko rozmawiać sobie z obcymi, ale nie troll.

– A więc to było wtedy, kiedy byliśmy z tamtym mężczyzną i kobietą, Tancerzami Ognia. Spotykaliśmy też innych ludzi, ale potem byliśmy zawsze sami.

– Tak. Znalazłem was w Dolinie Hasu. Obozowałem tutaj noc wcześniej i poszedłem za wami i tamtą parą na wzgórza. Razem z Qantaqą obserwowaliśmy wszystko spomiędzy drzew. Widzieliśmy Tancerzy Ognia. – Zachmurzył się. – Jest ich coraz więcej i niczego się nie boją; dowiedziałem się tego, podsłuchując podróżnych przy drodze. Tak więc widziałem, co oni zrobili i jak prowadzili was na wzgórze. Wtedy uwolniłem wasze konie i poszedłem za nimi. – Uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

– Dziękuję ci, Binabiku – powiedziała Miriamele. Jej poprzednia wrogość zniknęła. – Jeszcze nie zdążyłam tego zrobić.

Troll uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Wszyscy robimy to, co możemy zrobić, kiedy przychodzi odpowiednia chwila. Mówiłem już Simonowi, że my troje już tyle razy ratowaliśmy sobie życie, że słowa są zbędne. – Kiedy podniósł kępę mchu i zaczął czyścić garnek, do pieczary weszła cicho Qantaqa. Otrząsnęła się, rozsiewając obłoczki mgiełki z mokrego futra.

– Ach. – Binabik postawił miskę przed wilczycą. – Ty możesz to zrobić. – Troll wstał, gdy tymczasem Qantaqa zaczęła wylizywać resztki potrawy. – Oto i cała opowieść. Jeśli będziemy poruszać się ostrożnie, to chyba dzisiaj jeszcze możemy opuścić to miejsce. Będziemy trzymać się z dala od drogi, dopóki nie zostawimy za sobą Doliny Hasu.

– A Tancerze Ognia? – spytała Miriamele.

– Nie zostało ich chyba wielu po wydarzeniach ostatniej nocy, a ci, którzy przeżyli, chętnie pozostaną w ukryciu, tak myślę. Sługa Króla Burz przeraził ich pewnie równie mocno jak was. Teraz ich przywódca nie żyje. – Binabik schylił się i zaczął pakować swoje rzeczy.

– Dzięki jednej z twoich czarnych strzałek – powiedział Simon, przypominając sobie wyraz zdumienia na twarzy Maefwaru, kiedy chwycił się za gardło.

– Tak.

– Nie żałuję. – Simon ruszył do swego posłania. – Nie żałuję niczego. Jeśli rzeczywiście jedziesz z nami.

Binabik uderzył dłonią w pierś.

– Nie twierdzę, że to, co robicie, jest dobre albo mądre. Ale nie mogę pozwolić wam odjechać, kiedy mogę pomóc wam przeżyć. – Zamyślił się. – Szkoda, że nie ma sposobu, by przekazać wiadomość pozostałym.

Simon przypomniał sobie inne trolle z obozu Josui, a szczególnie Sisqi, ukochaną, którą Binabik musiał opuścić, żeby ich odnaleźć. Nagle poczuł ogromny wstyd, przytłoczony rozmiarem poświęcenia małego trolla. Binabik miał rację: oboje z Miriamele zachowywali się jak rozkapryszone dzieci. Ale jedno spojrzenie na księżniczkę upewniło go, że nie ma co jej więcej przekonywać, tak jak nie można namówić fal, by przestały uderzać o brzeg; nie potrafił też wyobrazić sobie tego, że mógłby ją zostawić.

Podobnie jak Binabik znalazł się w pułapce. Westchnął i podniósł swoje posłanie.

ALBO BINABIK BYŁ TAK DOBRYM PRZEWODNIKIEM, albo Tancerze Ognia zaprzestali pościgu za nimi. Przez całe popołudnie, kiedy jechali gęsto zalesionymi wzgórzami Doliny Hasu, nie spotkali ani żywej duszy, poza kilkoma sójkami i czarną wiewiórką. Zarośla i drzewa rosły ciasno obok siebie, a pnie porastał gąbczasty mech, lecz mimo to okolica sprawiała wrażenie dziwnie ospałej, jakby wszystko, co tam żyło, czekało, aż obcy odjadą.

Godzinę po zachodzie słońca rozbili obóz pod skalnym występem; nie była to sucha i przytulna jaskinia. Kiedy zaczęło padać i strumienie deszczu popłynęły zboczem, musieli wcisnąć się pod samą skałę. Konie trzeba było przywiązać na krawędzi skalnego występu, gdzie nieustannie siekły je strumienie deszczu. Simon miał nadzieję, że nie ucierpią zbytnio – często przecież stały na polu w czasie złej pogody – ale i tak czuł się winny. Z pewnością Nadzieja, towarzysz rycerza, zasługiwała na lepsze traktowanie.

Skończywszy polować, Qantaqa wcisnęła się pod skałę i położyła przy pozostałych, ogrzewając ich nieco i rozsiewając ostry zapach wilgoci. Wreszcie zasnęli. Obudzili się o świcie, zziębnięci i obolali. Binabik nie chciał rozpalać ognia w tak odsłoniętym miejscu, więc zjedli trochę suszonego mięsa i jagód zebranych przez trolla i wyruszyli.

Podróż była trudna: po zboczach śliskich od błota i mokrego mchu; wiatr siekł ich strumieniami deszczu i nieoczekiwanie smagał po twarzy gałęziami, a kiedy ustawał, powracała mgła, która zakrywała przed nimi zdradzieckie pułapki. Posuwali się niezwykle wolno. Mimo wszystko

Simon podziwiał swojego przyjaciela za to, że orientuje się, którędy jechać, choć nie widzieli słońca ani głównej drogi.

Minęło południe, kiedy Binabik poprowadził ich zboczem wzgórza, z którego widać było obrzeże miasta Hasu. Gęsto rosnące drzewa i czasem tylko ustępująca mgła pozwalały im zobaczyć jedynie niewyraźne kształty domów i krętą drogę. Miasto sprawiało wrażenie równie milczącego jak i las: wokół kominów domów wirowała tylko mgła, ani śladu zwierząt czy ludzi.

– Dokąd wszyscy poszli? – zastanawiała się Miriamele. – Byłam kiedyś tutaj. To miejsce tętniło życiem.

– To przez Tancerzy Ognia. Oni wszystkich wypłoszyli – powiedział Simon.

– Albo istoty obecne w czasie rytuału na wzgórzu – zauważył Binabik. – Chyba nie trzeba ich widzieć, żeby wiedzieć, że dzieje się coś złego. To wisi w powietrzu.

Simon przytaknął mu. Binabik miał rację. Tutaj atmosfera była taka sama jak na Thisterborgu, wzgórzu leżącym między lasem i Erchesterem, na którym znajdowały się Kamienie Gniewu... na którym Nornowie przekazali Eliasowi Smutek... Nie chciał myśleć o tamtej strasznej nocy, lecz nagle wydało mu się, że wspomnienie to może okazać się ważne. Coś nie dawało mu spokoju, chaotyczne myśli, które chciały być zebrane. Nornowie. Czerwona Dłoń. Thisterborg...

– Co to?! – krzyknęła Miriamele przestraszona.

Simon podskoczył. Nadzieja zatańczyła, ślizgając się niebezpiecznie.

We mgle ukazał się jakiś niewyraźny, miotający się wściekle kształt. Binabik pochylił się nad grzbietem Qantaqi. Minęła długa, pełna napięcia chwila, zanim się uśmiechnął.

– To nic złego. Łachman niesiony wiatrem. Ktoś chyba zgubił koszulę.

Simon wytężył wzrok. Troll miał rację. Postrzępiony kawałek ubrania owinął się wokół drzewa; rękawy trzepotały niczym proporce.

Miriamele odetchnęła z ulgą i zrobiła znak Drzewa.

Pojechali dalej. Miasto szybko zniknęło za ścianą roślinności, jakby połknął je las.

TAMTEGO WIECZORU ZATRZYMALI SIĘ NA NOC w osłoniętym wąwozie u podnóża zachodniego stoku doliny. Binabik był zamyślony, więc Simon i Miriamele zachowywali się cicho. Zjedli skromny posiłek, zamienili kilka słów, a potem wszyscy schronili się w ciemności snu.

Simon znowu poczuł tę niezręczną barierę, jaka wyrosła między nim a Miriamele. Wciąż nie wiedział, co myśleć o tym, czego się od niej dowiedział. Nie była już dziewicą, i to z własnej woli. Już sam ten fakt bolał, a jeszcze sposób, w jaki mu to przekazała, jak cisnęła mu to w twarz, jakby chciała go ukarać – zagadkowość jej zachowania doprowadzała go do wściekłości. Dlaczego raz potrafiła być tak miła, a kiedy indziej tak samo nienawistna jak inni? Mógłby przypuszczać, że podobnie jak wiele panien na dworze zabawia się w grę „chodź tutaj i idź już sobie”, ale znał ją zbyt dobrze: nie do niej podobne takie fanaberie. Jedynym rozwiązaniem tej zagadki, jakie przychodziło mu do głowy, było to, że Miriamele w rzeczywistości chciała go mieć za przyjaciela, a obawiała się, że on chce czegoś więcej.

„Ale ja chcę czegoś więcej – pomyślał strapiony. – Nawet jeśli nigdy tego nie dostanę”.

Długo nie mógł zasnąć. Leżał, nasłuchując kropel deszczu kapiących z liści na ziemię. Skulony pod swoim płaszczem, starał się pomacać swoje cierpienie, jakby oglądał ranę, by sprawdzić, jak bardzo boli.

ZANIM NADESZŁO POŁUDNIE KOLEJNEGO DNIA, wyjechali ostatecznie z Doliny Hasu. Las ciągnął się za nimi z prawej strony aż po horyzont. Przed nimi rozciągały się trawiaste wzgórza, które oddzielały Trakt Starego Lasu od przedgórza Swertclif.

Simon w głębi duszy żałował, że ich podróż nie przypomina już tamtych wspaniałych dni, kiedy to opuścili dom Geloë wiele miesięcy temu. Wtedy troll śpiewał dużo piosenek i często żartował; nawet księżniczka, która wówczas udawała służącą, wydawała się szczęśliwa i podniecona faktem, że jeszcze żyją. Teraz cała trójka zmierzała przed siebie niczym trzej żołnierze jadący na bitwę, której nie spodziewają się wygrać – każdy z nich pogrążony w swoich myślach, obawach.

W każdym razie faliste pustkowie na północ od Kynslagh nie dodawało im otuchy. Było równie martwe i mokre jak Dolina Hasu, a do tego nie dawało możliwości schronienia się, w przeciwieństwie do gęstego lasu doliny. Simon miał wrażenie, że są całkowicie odsłonięci, i nie mógł się nadziwić ich zdumiewającej odwadze – albo głupocie, a może obu – kiedy tak jechali, praktycznie nieuzbrojeni, wprost w ręce Wielkiego Króla. Jeśli pozostanie ktoś z ich towarzyszy albo choć strzęp opowieści o tych mrocznych czasach, z pewnością będzie to temat dla niewiarygodnej pieśni! Jakiś inny Shem Stajenny będzie opowiadał zdumionym podkuchennym: „Opowiem wam, chłopcy, o Dzielnym Simonie i jego przyjaciołach, którzy bez broni, z głową wysoko uniesioną, pojechali wprost w Szczęki Ciemności...”

Szczęki Ciemności. To określenie spodobało się Simonowi. Słyszał je w piosence Sangfugola.

Nagle zaczął się zastanawiać nad prawdziwym znaczeniem ciemności – przypomniał sobie wszystkie rzeczy, które widział, które czuł, straszne,

wyciągające pazury cienie, czające się poza światłem i ciepłem życia – i zadrżał.

POTRZEBOWALI DWÓCH DNI, żeby przejechać pokryte łąkami wzgórza, dwóch dni pełnych mgły i zimnego deszczu. Bez względu na to, w którym kierunku jechali, wiatr zawsze wiał im w twarz. Simon kichał całą pierwszą noc, czując się jak topniejąca świeca. Nad ranem poczuł się lepiej.

Wczesnym popołudniem drugiego dnia ujrzeli przedgórze Swertclif: postrzępione brzegi skalistego wzgórza, na którym wzniesiono Hayholt. Wytężając wzrok, Simon dostrzegł niewiarygodnie smukłą białą linię wznoszącą się ku niebu za masywem Swertclif.

Była to Wieża Zielonego Anioła, widoczna już stąd, chociaż znajdowała się przynajmniej o milę poza najbliższym wzgórzem.

Simon poczuł mrowienie na karku. Wieża – ogromny, lśniący szpic, który wybudowali Sithowie, kiedy byli panami zamku, wieża, w której Ineluki pożegnał się z ziemskim życiem – czekała, wciąż czekała. Ale było to także miejsce chłopięcych wędrówek i marzeń Simona. Tyle razy oglądał ją, lub coś bardzo podobnego, w snach od chwili, kiedy opuścił dom, że teraz jej widok wydawał się jeszcze jednym snem. A pod nią, zasłonięty skalistym urwiskiem, znajdował się Hayholt. Wzbierające w nim łzy zaledwie zwilżyły jego oczy. Ileż to razy tęsknił do labiryntu jego korytarzy, ogrodów i licznych kryjówek, a także ciepłych kątów i sekretnych radości?

Spojrzał na Miriamele. Ona także patrzyła na zachód, lecz jej twarz nie zdradzała, czy myśli o przyjemnościach domu. Przypominała myśliwego, który wreszcie dopadł niebezpieczną, lecz długo tropioną zwierzynę.

Zamrugał gwałtownie, zawstydzony, że mogłaby zobaczyć łzy w jego oczach.

– Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś go zobaczę – powiedział cicho. Podmuch wiatru zaciął mu w twarz deszczem, tak że miał powód, by otrzeć oczy. – Czy nie wygląda jak sen? Dziwny sen.

Miriamele przytaknęła, ale nic nie powiedziała.

Binabik nie ponaglał ich. Wydawał się zadowolony, mogąc pozwolić wilczycy obwąchać ziemię, gdy tymczasem oni patrzyli w milczeniu.

– Rozbijmy obóz – odezwał się wreszcie. – Jeśli podjedziemy jeszcze trochę, to znajdziemy schronienie u podnóża wzgórz. – Wskazał na Swertclif. – Rano będzie dość widno, żeby... żeby zrobić to, co postanowimy.

– Jedziemy do kopca Johna – Simon powiedział to głosem bardziej stanowczym, niż zamierzał. – Przynajmniej ja tam jadę.

Binabik wzruszył ramionami.

– Jedźmy teraz. Zastanowimy się, kiedy rozpalimy ognisko i zjemy coś.

Słońce zniknęło za szerokim masywem Swertclif bardzo wcześnie. Dalej jechali w chłodnym cieniu. Nawet konie wydawały się niespokojne: Simon wyczuwał niechęć Nadziei i miał wrażenie, że gdyby jej pozwolił, to zawróciłaby natychmiast.

Swertclif czekało jak cierpliwy ogr. Kiedy znaleźli się bliżej, ogromne, ciemne wzgórze zdawało się zasłaniać całe niebo, a nie tylko słońce; rosło przed nimi, aż poczuli, że nie ma już odwrotu, nawet gdyby tego chcieli. Ze zbocza pierwszych wzniesień u przedgórza dostrzegli na południu szarozielony błysk – Kynslagh. Simon poczuł radość i żal na wspomnienie kojącej pieśni mew, a także ojca rybaka, którego nigdy nie znał.

Wreszcie, stanąwszy tuż przed prawie pionowym obliczem wzgórza, rozbili obóz w wąwozie. Swertclif osłaniało ich w dużym stopniu przed

deszczem i wiatrem. Simon uśmiechnął się ponuro na myśl o tym, że ogr już nie musi na nich czekać: tej nocy zasną przytuleni do niego.

Nikt nie kwapił się z rozpoczęciem rozmowy na temat kolejnego dnia. Rozpalenie ogniska i przygotowanie skromnego posiłku przebiegało prawie w milczeniu. Miriamele nie była już zła, lecz raczej zatroskana; nawet Binabik wydawał się błądzić myślami gdzie indziej.

Ku swemu zdziwieniu Simon odczuwał spokój, nieomal radosny spokój, i dziwił się, że jego towarzysze nie podzielają tego nastroju. Oczywiście, to miejsce było niebezpieczne, podobnie jak ich poczynania następnego dnia – starał się nie myśleć za bardzo o tym, gdzie jest miecz i co trzeba będzie zrobić, żeby go odnaleźć – ale on przynajmniej coś robił. Spełniał zadanie, dla jakiego został pasowany na rycerza. A gdyby to się udało... och, chwało! Gdyby to się udało, Miriamele z pewnością zrozumiałaby, że dostarczenie miecza Josui jest ważniejsze od prób przekonania ojca, by zatrzymał wojnę, która i tak już wymknęła się spod jego kontroli. Ach, gdyby mieli Biały Gwóźdź! Słynny miecz Prestera Johna! Gdyby go mieli w dłoni, Miriamele zdałaby sobie sprawę, że zdobyli największą z możliwych nagród, i wtedy z Binabikiem udałoby im się ją przekonać, by powróciła do obozu wuja.

Simon, jedząc, rozważał podobne ewentualności, kiedy wreszcie odezwał się Binabik:

– Kiedy już zaczniemy się wspinać, nie będzie raczej odwrotu. Nie wiemy, czy wyżej nie ma żołnierzy. Może Elias zostawił straże, żeby pilnowały grobowca i miecza jego ojca. Jeśli pójdziemy bardziej na zachód, mogą nas zobaczyć ludzie z tego wielkiego zamku. Czy jesteście pewni, naprawdę pewni, że chcecie tego? Pomyślcie, zanim odpowiecie.

Simon zastosował się do rady przyjaciela. Po kilku chwilach wiedział już, co chce powiedzieć.

– Jesteśmy tutaj. Kiedy następnym razem znajdziemy się tak blisko Białego Gwoździa, wokół może szaleć wojna. Dlatego uważam, że powinniśmy spróbować. Ja idę.

Binabik spojrzał na niego i skinął głową.

– A zatem pójdziemy po miecz. – Teraz zwrócił się do księżniczki: – Miriamele!

– Nie mam wiele do powiedzenia. Jeśli będą nam potrzebne trzy miecze, to znaczy, że nie udało mi się. – Uśmiechnęła się, ale Simonowi wcale nie podobał się ten uśmiech. – A jeśli nie uda mi się przekonać ojca, to chyba nie ma dla mnie większego znaczenia, co się stanie potem.

Troll wykonał dziwny gest dłońmi.

– Nigdy nie wiadomo. Pomogę ci tak samo jak Simon, co do tego nie ma wątpliwości, ale nie możesz z góry zakładać porażki, musisz wierzyć, że wyjdziesz z tego, wrócisz. Inaczej będziesz działała bardzo nierozważnie.

– Byłabym bardzo szczęśliwa, mogąc wyjść z zamku – powiedziała Miriamele. – Chcę pomóc ojcu zrozumieć, że musi przestać zabijać, i chcę się z nim pożegnać. Nie mogłabym żyć obok niego po tym, co zrobił.

– Mam nadzieję, że dostaniesz to, czego pragniesz – odparł Binabik. – Tak więc najpierw udajemy się na poszukiwanie miecza, a potem zdecydujemy, jak pomóc Miriamele. Muszę się wyspać przed tak ważnymi zadaniami.

Troll naciągnął kaptur na twarz i położył się obok Qantaqi. Miriamele siedziała wpatrzona w ogień. Simon przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, po czym wsunął się pod płaszcz.

– Dobranoc, Miriamele. Mam nadzieję... mam nadzieję, że...

– Ja też.

Przykrył ramieniem twarz w oczekiwaniu na sen.

ŚNIŁO MU SIĘ, ŻE NICZYM CHIMERA, siedzi na szczycie Wieży Zielonego Anioła. Ktoś poruszał się obok niego.

Był to sam anioł, który najwidoczniej zszedł z iglicy i usiadł obok niego, kładąc chłodną dłoń na jego nadgarstku. W dziwny sposób przypominał małą Leleth, lecz był z brązu i grynszpanu.

– Droga w dół jest daleka. – Jego głos brzmiał miękko, ale donośnie.

Simon patrzył na dachy domów Hayholt poniżej.

– Tak, daleka.

– Nie o tym mówię – rzekł anioł jakby z wyrzutem. – Mówię o drodze w głąb Prawdy. Na samo dno, tam, gdzie wszystko się zaczyna.

– Nie rozumiem. – Czuł się dziwnie lekki, jakby kolejny podmuch wiatru mógł go zmieść z wieży niczym liść. Wydawało mu się, że trzyma go tam tylko dłoń anioła.

– Z góry sprawy ziemskie wyglądają na bardzo małe – powiedział anioł. – To jest tylko jeden ze sposobów widzenia, ale dobry, choć nie jedyny. Im dalej schodzisz w dół, tym trudniej zrozumieć rzeczy, lecz wtedy stają się one ważniejsze. Musisz zejść bardzo głęboko.

– Nie wiem, jak to zrobić. – Wpatrywał się w twarz anioła, która choć znajoma, wciąż pozostawała nieruchomym obliczem z brązu. W jego zastygłych rysach nie było nawet cienia przyjaźni czy dobroci. – Dokąd powinienem pójść? Kto mi pomoże?

– Głęboko. Ty. – Anioł wstał niespodziewanie. Kiedy puścił jego rękę, Simon poczuł, że unosi się ponad wieżą. Chwycił się skraju dachu. – Trudno mi z tobą rozmawiać, Simonie – powiedział anioł. – Może już nie będę miał okazji.

– Dlaczego mi po prostu nie powiesz? – zawołał Simon. Jego stopy unosiły się poza krawędzią dachu, a ciało trzepotało jak żagiel, wyrywając się za nimi. – Powiedz mi!

– To nie takie łatwe. – Anioł odwrócił się i wzniósł się powoli na swój cokół. – Jeśli jeszcze będę mógł przyjść, to przyjdę. Ale jasno możemy rozmawiać tylko o rzeczach mniej ważnych. Największe prawdy spoczywają głęboko. Nie można ich tak po prostu dać. Trzeba je odnaleźć.

Simon poczuł, że traci uchwyt. Zaczął powoli obracać się jak urwane koło i poszybował w przestrzeń. Przed oczami przesuwały mu się na przemian niebo i ziemia, jakby świat był dziecięcą piłką, w której go uwięziono, a która toczyła się kopnięta złośliwie...

Simon obudził się, rozglądając w słabym blasku księżyca; spocił się, chociaż noc była chłodna. Ogromne Swertclif wisiało nad nim jak ostrzeżenie.

NASTĘPNEGO DNIA SIMON OBUDZIŁ SIĘ już nie tak pewien rzeczy, co do których nie miał wątpliwości poprzedniego wieczoru. Kiedy przygotowywali się do drogi, rozmyślał z niepokojem o śnie. Jeśli Amerasu miała rację i Simon rzeczywiście był bardziej otwarty na Ścieżkę Snów, to czy słowa anioła mogły mieć jakieś znaczenie? Jak mógł iść głębiej? Właśnie miał wspinać się na wysokie wzgórze. I jakie odpowiedzi pozostawały w głębi? Tajemnice, których nawet *on* nie znał? To nie miało sensu.

Wyruszyli, gdy tylko słońce pojawiło się na niebie. Najpierw jechali podgórzem, pokonując niższe wzniesienia Swertclif. Minąwszy je, musieli zsiąść z koni i prowadzić je.

Zatrzymali się na poranny posiłek – tylko trochę suszonych owoców i chleba, które Binabik przywiózł ze sobą z obozu Josui.

– Chyba już czas, żeby zostawić konie – powiedział troll. – Jeśli Qantaqa będzie chciała iść dalej, to pójdzie sama, ja nie będę na niej jechał.

Simon nie pomyślał wcześniej, że będzie musiał zostawić Nadzieję. Sądził, że znajdą taką ścieżkę, którą będą mogli wjechać na szczyt, lecz jedyną równą drogą była ta po drugiej stronie Swertclif – droga pogrzebowa – która prowadziła szczytem cypla od Erchesteru i Hayholt.

Binabik miał w swojej torbie długi sznur. Odciął znaczną jego część, by Simon i Miriamele mogli przywiązać swoje wierzchowce na długich postronkach do skręconego wiatrem drzewa przy skalnym zagłębieniu pełnym deszczowej wody. Konie miały tu dość trawy na pół dnia, a nawet na dłużej, gdyby zaszła taka potrzeba. Simon przycisnął twarz do karku Nadziei i obiecał jej, że wróci najszybciej, jak będzie to możliwe.

– Czy mamy jeszcze coś do zrobienia? – spytał Binabik.

Simon patrzył na szczyt Swertclif i zapragnął w duchu, by coś opóźniło ich wspinaczkę.

– W takim razie ruszajmy – powiedział troll.

Wschodnia ściana Swertclif nie była w rzeczywistości tak stroma, jak to się wydawało z dalszej odległości. Idąc zakosami, mogli nawet posuwać się wyprostowani, choć przeważnie musieli się wspinać; za nimi podążała Qantaqa. Tylko w jednym miejscu – nad szczeliną między ścianą klifu a pionowym kamieniem – Simon przez chwilę poczuł niepokój, ale wszyscy ostrożnie przecisnęli się na drugą stronę, gdy tymczasem Qantaqa, która znalazła własne przejście, stała z drugiej strony z wywieszonym ozorem, obserwując ich wysiłki z nieukrywanym rozbawieniem.

Kilka godzin po południu niebo pociemniało, a powietrze stało się ciężkie. Zaczął padać drobny deszcz. Simon zmartwił się tym: dotąd nie było tak źle, ale niebawem czekała ich trudniejsza wspinaczka – po stromych i ostrych kamieniach, które były w dodatku mokre, co nie wróżyło niczego dobrego. Deszcz jednak ustał i nie zanosiło się na większą ulewę, chociaż nad ich głowami wciąż wisiały ciemne chmury.

Skały rzeczywiście stawały się coraz bardziej strome. Przez cały czas prowadził ich Binabik, a troll czuł się tam równie pewnie jak barany Qanuc. Raz tylko używali liny, obwiązując się nią, kiedy przeskakiwali z jednej porośniętej trawą półki na drugą. Wszyscy przedostali się bezpiecznie, chociaż Miriamele podrapała sobie dłonie, a Simon uderzył kolanem w kamień przy lądowaniu. Dla Qantaqi i ta przeszkoda wydawała się dziecinnie łatwa.

Kiedy zatrzymali się na krótki odpoczynek po drugiej stronie szczeliny, Simon dostrzegł obok siebie kępkę białych kwiatów gwiezdników; ich płatki migotały niczym płatki śniegu w ciemnozielonej trawie. Widok ten podniósł go nieco na duchu, gdyż od chwili opuszczenia obozu Josui z Miriamele widział niewiele kwiatów. Trudno było spotkać nawet Śnieżną Czapę czy Płomień Frayi, tak częste wcześniej o tej porze.

Wspinaczka na Swertclif zabrała im więcej czasu, niż przypuszczali: pięli się mozolnie w górę, gdy tymczasem słońce zsunęło się już po niebie tuż nad horyzont. Teraz posuwali się zgięci wpół, dysząc. Prawie przez cały czas musieli podpierać się rękoma i Simon zastanawiał się, co sobie myśli Qantaqa, widząc, jak jej towarzysze zamieniają się w podobne do niej czworonogie istoty. Kiedy wreszcie wyprostowali się na trawiastej krawędzi wierzchołka Swertclif, przez chmury przebił się słoneczny klin, obmywając wzgórze bladym światłem.

Stali zdyszani kilkaset łokci od kopców, w których złożono królów Hayholt. Wszystkie z wyjątkiem jednego miały postać porośniętych trawą pagórków; czas tak je zaokrąglił, że wydawały się naturalną częścią wzgórza. Tylko grób Johna wciąż był stosem nagich kamieni. Na zachodniej krawędzi wzgórza majaczył Hayholt z lśniącą iglicą Wieży Zielonego Anioła.

Binabik spojrzał na blade słońce.

– Przybyliśmy później, niż się spodziewałem. Nie zdążymy zejść przed nocą. – Wzruszył ramionami. – Nic na to nie poradzimy. Konie mają dość jedzenia aż do rana.

– Ale co z... – Simon zerknął na Qantaqę zmieszany, gdyż chciał powiedzieć „z wilkami” – co będzie, jeśli zaatakują je dzikie zwierzęta? Czy myślisz, że są bezpieczne?

– Konie potrafią się bardzo dobrze bronić. Poza tym mało zwierząt widziałem w tej okolicy. – Binabik poklepał Simona po ramieniu. – Nic więcej już nie możemy zrobić, poza złamaniem karku czy podobnym nieszczęściem.

Simon wziął głęboki oddech i ruszył w stronę kopców.

– Chodźmy zatem.

Wszystkie siedem pagórków usypano w niepełnym kole, pozostawiając miejsce na inne. Na myśl o tym Simon poczuł przesądny strach. Kto tutaj jeszcze spocznie? Elias? Josua? Czy żaden z nich? A może wydarzenia, których bieg się rozpoczął, oznaczały, że nie wydarzy się już nic, czego można by oczekiwać.

Weszli do środka niezamkniętego koła i zatrzymali się. Wiatr poruszył trawami. Cisza spowijała cały szczyt. Simon podszedł do pierwszego kopca, który zapadł się w cierpliwie czekającą ziemię, aż pozostał nie większy od człowieka, choć był o wiele dłuższy i szerszy. Przypomniała mu się piosenka, a z nią nadeszło wspomnienie ciemnych posągów, tkwiących w wypełnionej ciszą sali tronowej.

Fingil był pierwszy, Krwawym Królem zwany

wyrecytował cicho.

Przywiozły go z Północy wojenne rydwany.

Teraz, kiedy wymówił początek, wydawało mu się, że nie może już przestać. Podszedł do następnego kopca, równie starego jak pierwszy. W trawie – niczym zęby – połyskiwało kilka kamieni.

Hjeldin, syn jego, straszny Król Szalony,
Z wieży wyskoczył, chęcią śmierci wiedziony.

Trzeci znajdował się blisko drugiego, jakby pochowany tam król szukał oparcia w swoich przodkach.

Następny był Ikferdig, Spalonym Królem zwany,
Przez smoka o północy został pokonany.

Simon zamilkł. Między pierwszymi trzema kopcami a następnym była luka, podobnie jak w pamięci Simona. Dopiero po chwili przypomniał sobie dalszy ciąg.

Trzej północni królowie, martwi, w mrokach nocy,
Skończyły się w Hayholt rządy Północy.

Przeszedł do kolejnych trzech grobowców, przypominając sobie szybko dalsze słowa piosenki. Miriamele i Binabik stali w milczeniu i słuchali.

Król Sulis z czaplą w herbie, znany jako Apostata,
Z Nabbanu uciekł i w Hayholt ostatnie spędził lata.

Król Ostrokrzew z Hernystiru, Tethtain Stary,
Do zamku przyjechał i tam jego kości zostały.

Ostatnim był Eahlstan, Król Rybak, najbardziej oświecony,
Smoka w Hayholt obudził i poległ przez niego zgładzony.

Simon wciągnął głęboko powietrze. Wydawało się, że intonuje magiczne zaklęcie, że jeszcze kilka słów i mieszkańcy grobowców

powstaną z długiego snu, pobrzękując ozdobami.

Sześciu królów w Hayholt rządziło,
Sześciu panów po murach potężnych chodziło,
Sześć kurhanów nad zatoką Kynslagh powstało,
Sześciu królów aż po Dzień Sądu będzie w nich spało...

Kiedy skończył, wiatr wzmógł się na moment i zakołysał trawami, zawodząc... lecz nic więcej się nie wydarzyło. Kurhany wciąż milczały tajemniczo. Ich długie cienie kładły się na murawie od wschodniej strony.

– Jest tu teraz siedmiu królów – odezwał się, przerywając ciszę. Nadeszła właściwa chwila, a on poczuł ogromny niepokój. Serce waliło mu głośno i z trudem opanowywał drżenie głosu. Odwrócił się do ostatniego kurhanu. Był wyższy od pozostałych, a trawa tylko częściowo pokryła kamienie, z których go usypano. Przypominał skorupę ogromnego morskiego stwora, rzuconą tutaj przed wiekami przez morskie fale.

– Król John Prezbiter – powiedział Simon.

– Mój dziadek.

Simon odwrócił się, zaskoczony tonem głosu Miriamele. Wydawała się śmiertelnie przerażona; jej twarz była trupio blada, a spojrzenie nieobecne.

– Nie mogę na to patrzeć – stwierdziła. – Poczekam tutaj. – Odwróciła się i ruszyła dookoła kurhanu Fingila, po czym usiadła w trawie, spoglądając na wschód i trawiaste wzgórza, które niedawno przebyli.

– Zabierajmy się do pracy – powiedział Binabik. – Nie będzie to dla mnie przyjemność, ale słusznie powiedziałeś, Simonie: skoro już tutaj jesteśmy, głupotą byłoby nie zabrać miecza.

– Prester John życzyłby sobie tego – dodał Simon z nieco przesadnym przekonaniem.

– Kto wie, czego pragną zmarli? – rzucił ponuro troll. – Chodź, musimy przygotować jakieś schronienie, zanim nadejdzie noc, choćby po to, żeby zasłonić ogień. Miriamele! – zawołał. – Sprawdź, czy tamte krzewy na skraju wzgórza nadają się do spalenia!

Miriamele uniosła dłoń w odpowiedzi.

Simon pochylił się nad kurhanem Johna i zaczął pchać jeden z kamieni. Głaz przywarł do ziemi tak bardzo, że Simon musiał najpierw pomóc sobie nogą. Wyprostował się i otarł pot z czoła. Metalowa kolczuga krępowała jego ruchy. Rozwiązał ją i zdjął, a potem zdjął jeszcze gruby kaftan i położył go obok kolczugi w trawie. Wiatr natychmiast schwycił go w swoje szpony przez cienką koszulę.

– Przejechaliśmy połowę Osten Ard i nikt nie pomyślał, żeby zabrać łopatę – powiedział Binabik, wbijając palce w ziemię.

– Mam swój miecz – odparł Simon.

– Zachowaj go. Będzie lepsza okazja, żeby go użyć. – W głosie trolla zabrzmiała dawno niesłyszana oschłość. – Zdaje się, że dłubanie w kamieniach tępi miecze. A nam będzie potrzebny bardzo ostry miecz, jeśli ktoś zauważy nas ryjących w kurhanie ojca Wielkiego Króla.

Simon zamknął na chwilę oczy i pomodlił się krótko, prosząc Aedona o wybaczenie – a także Prestera Johna.

Słońce zaszło. Zachodnia krawędź szarego nieba poczerwieniała. Simon zwykle lubił tę barwę, lecz teraz kojarzyła mu się z czymś psującym się. Wreszcie usunęli wszystkie kamienie, które zasłaniały dziurę w boku obrośniętego trawą kurhanu Prestera Johna. Ziejąca z niej czarna nicość przypominała ranę w ciele świata.

Binabik wyjął krzesiwo. Zapalił koniec pochodni, osłaniając go przed porywistym wiatrem, dopóki nie zapaliła się na dobre. Simon nie chciał patrzeć na oczekującą ich ciemność, dlatego skierował spojrzenie na środek

wzgórza. Miriamele, bardzo mała z oddali, uwijała się wśród zarośli, zbierając odpowiednie krzewy na ognisko. Simon zapragnął skończyć z tym, po prostu odwrócić się i odejść. Żałował, że wymyślił coś tak głupiego.

Binabik pomachał pochodnią wewnątrz kurhanu, wyciągnął ją i zaraz znowu wsunął na chwilę. Przyklęknął obok dziury i wciągnął ostrożnie powietrze.

– Przynajmniej powietrze wydaje się dobre. – Odgrzebał więcej ziemi z krawędzi dziury i dopiero wtedy wsunął do niej głowę. – Widzę coś drewnianego. Łódź?

– *Morska Strzała*. – Simon coraz bardziej czuł ciężar ich czynu. – Tak, to jest łódź Prestera Johna. Został w niej pochowany.

Binabik wsunął się trochę głębiej.

– Mogę tutaj z powodzeniem stanąć – powiedział głuchym głosem. – Podpory u góry wydają się dość solidne.

– Wyjdź, Binabiku.

Troll wycofał się i spojrzał na Simona.

– Co się stało?

– To był mój pomysł. Ja powinienem tam wejść.

Binabik zmarszczył czoło.

– Nikt nie zamierza odebrać ci chwały związanej ze znalezieniem miecza. Robię to tylko dlatego, że jestem najmniejszy i najlepiej nadaję się do wędrówek po pieczarach.

– Tu nie chodzi o chwałę, ale o to, że coś się może stać. Nie chcę, żeby coś ci się stało z powodu mojego głupiego pomysłu.

– Twojego pomysłu? Simonie, nie możesz siebie winić. Robię to, co uważam za słuszne. A teraz uważam, że wewnątrz nie ma niczego

niebezpiecznego. – Zamilkł. – Ale jeśli chcesz... – Odsunął się na bok.

Simon klęknął, wziął od trolla pochodnię i wsunął ją do dziury. W migocącym świetle ujrzał ogromny, ubłocony kadłub *Morskiej Strzały*. Łódź wydawała się zwinięta niczym ogromny zeschły liść, niczym kokon, z którego coś ma się wykluć.

Simon usiadł i potrząsnął głową. Serce biło mu jak młot.

„Gamoniu! Czego się boisz? Prester John był dobrym człowiekiem”.

Tak, ale co będzie, jeśli jego duch jest zły z powodu tego, co stało się z jego królestwem? A poza tym z pewnością żaden duch nie lubi, kiedy się okrada jego grób.

Simon wziął głęboki oddech i opuścił się powoli w dziurę.

Zsuwał się po osypującej się ścianie dołu, aż wreszcie dotknął kadłuba. Krokwie, błoto i białe korzenie utworzyły sklepienie nad jego głową, które wyglądało jak niebo jakiegoś kiepskiego, półślepego boga. Kiedy wreszcie odetchnął po raz drugi, poczuł zapach ziemi, sosnowej żywicy i pleśni, a także inne, nieznane mu wonie, równie egzotyczne jak zawartość słojów z przyprawami Judith, kucharki. Jeden z nich, ten słodkawy, był tak intensywny, że zaczął się krztusić. Binabik wsadził głowę do dziury.

– Nic ci nie jest? Czy czujesz coś złego w powietrzu?

Simon odzyskał oddech.

– Wszystko w porządku. Ja tylko... – Przełknął ślinę. – Nie martw się.

Binabik wahał się przez chwilę, lecz potem się wycofał.

Wydawało mu się, że bardzo długo patrzy na kadłub łodzi. Umieszczono go w dole tak, że wręgi łodzi znajdowały się ponad głową Simona. Simon nie widział możliwości wspięcia się przy pomocy jednej ręki, a pochodnia była za gruba, żeby trzymać ją w zębach. Przez moment chciał po prostu wydostać się na zewnątrz i wpuścić tam Binabika, by rozwiązał ten problem, ale zaraz wepchnął koniec pochodni pomiędzy

słupy podpierające kurhan. Potem chwycił się wręgi i podciągnął, szukając stopami oparcia. Drewno kadłuba było śliskie, ale wytrzymało jego ciężar.

Simon podciągnął górną połowę swojego ciała i zawisł na chwilę na wrędze, która mocno wcisnęła mu się w brzuch. Słodkawy, spleśniały zapach był tutaj silniejszy. Spojrzał w dół i nieomal zaklął – zdążył jednak powstrzymać słowa, które mogłyby mu przynieść pecha, a ponadto byłyby niestosowne – zorientowawszy się, że umieścił pochodnię za nisko. W dole widział tylko niewyraźne cienie. Pomyślał, że przecież nie będzie trudno odnaleźć w ciemności ciało i miecz: można je wymacać dłońmi. Ale nie było takiej siły, która by zmusiła do tego Simona.

– Binabiku! – zawołał. – Czy możesz mi pomóc? – Poczuł się dumny, słysząc, jak pewnie zabrzmiał jego głos.

Troll przecisnął się przez krawędź dziury i zsunął do jej wnętrza.

– Czy w coś wpadłeś?

– Nie, ale nic nie widzę bez pochodni. Czy możesz mi ją podać?

W pewnym momencie drewniany kadłub zadrżał. Simon przestraszył się, że łódź załamie się pod nim, a upewnił go w tym przeświadczeniu cichy trzask, który rozległ się w podziemnej komorze. Był pewien, że to nadwerężone drewno – łódź znajdowała się w wilgotnym podziemiu od dwóch lat – choć z drugiej strony nietrudno było sobie wyobrazić rękę, starą wysuszoną rękę... która sięga z ciemności kadłuba.

– Binabiku?

– Niosę pochodnię, Simonie. Nie mogłem jej dosięgnąć.

– Przepraszam. Tylko się pośpiesz.

W blasku płomienia światło na suficie kurhanu zmieniło się. Simon poczuł dłoń na swoim ramieniu. Przekręcił się ostrożnie i położył na brzuchu wzdłuż wręgi; teraz mógł sięgnąć w dół po pochodnię. Zmówiwszy

w duchu kolejną modlitwę i przymknąwszy oczy z obawy przed tym, co może zobaczyć, Simon odwrócił się i zajrzał do środka łodzi.

W pierwszej chwili niewiele rozpoznał. Otworzył szerzej oczy. Małe kamienie i grudki ziemi spadające z sufitu kurhanu przysypały częściowo zawartość łodzi, ale nie wszystko.

– Binabiku! – zawołał Simon. – Patrz!

– Co? – Troll pobiegł wzdłuż kadłuba do miejsca, gdzie łódź dotykała ściany kurhanu, i szybko wspiął się po śliskim drewnie. Potem zręcznie przesunął się do Simona po krawędzi wręgi.

– Spójrz! – Simon wskazał drżącą pochodnią.

Na dnie *Morskiej Strzały* spoczywał Król John Prezbiter, ubrany wciąż we wspaniałe szaty, w których go pochowano, i otoczony pogrzebowymi podarunkami. Na czole Wielkiego Króla złożono złoty diadem; dłonie trzymał złożone na piersi na długiej, siwej brodzie. Gdyby nie delikatna przezroczystość skóry, można by pomyśleć, że ten człowiek żyje. Po kilkunastu porach roku spędzonych w niszczącej ziemi wydawał się tylko spać.

Choć przerażająco dziwne wydawało się to, że Król jest cały i nieograbiony, to jednak nie dlatego Simon wydał z siebie okrzyk.

– *Kikkasut!* – zaklął Binabik, tak samo zdumiony jak Simon. W następnej chwili był już wewnątrz kadłuba.

Dokładne przeszukanie grobu potwierdziło to: Prester John spoczywał w spokoju w swoim kurhanie na Swertclif, ale Biały Gwóźdź zniknął.

37. Bijące serca

TO, ŻE VARELLAN JEST MOIM BRATEM, nie oznacza jeszcze, że będę tolerował jego głupotę – warknął książę Benigaris do klęczącego przed nim rycerza. Uderzył dłonią w poręcz tronu. – Powiedz mu, żeby utrzymał pozycje, dopóki nie przybędę z Zimorodkami. Jeśli nie, to wywieszę jego głowę na murze Sancellan!

– Proszę, mój panie – odparł płatnerz, przechylając się na jedną stronę. – Błagam cię, nie ruszaj się tak, panie. Staram się wziąć miarę.

– Tak, siedź spokojnie – dodała matka. Zajmowała wciąż to samo niskie, rzeźbione krzesło, na którym siadywała, kiedy rządy w Nabbanie sprawował jej mąż. – Gdybyś nie upasł się niczym świnia, ta stara zbroja pasowałaby jeszcze na ciebie.

Benigaris rzucił jej wściekłe spojrzenie, poruszając wąsami.

– Dziękuję, matko.

– I nie bądź tak okrutny dla Varellana. To jeszcze dziecko.

– To wdzięczący się półgłówek, którego ty właśnie zepsułaś. Kto mnie namówił, żeby dać mu dowództwo nad wojskami w przełęczy Onestrine?

Księżna wdowa Nessalanta machnęła dłonią.

– Każdy potrafiłby utrzymać tę przełęcz przed taką zgrają obdartusów jak armia Josui. Nawet ja. Dobrze mu zrobi takie doświadczenie.

Książę wyrwał ramię z uścisku płatnerza i znowu huknął dłonią w poręcz tronu.

– Na Drzewo, matko! Mając pięciuset rycerzy i kilka tysięcy piechoty, cofnął się o dwie mile w ciągu zaledwie czterech tygodni. Cofa się tak szybko, że zanim wyjdę głównymi drzwiami, to pewnie potknę się o niego.

– Xannasavin mówi, że nie ma się czego obawiać – odparła księżna z uśmiechem. – Dokładnie przyjrzał się niebu. Benigarisie, proszę, uspokój się. Bądź mężczyzną.

Spojrzenie księcia przenikał chłód. Zacisnął kilkakrotnie szczęki, zanim ponownie przemówił.

– Któregoś dnia, matko, popchniesz mnie za daleko.

– I co wtedy zrobisz? Wtrącisz mnie do lochów? Obetniesz głowę? – Teraz patrzyła groźnie. – Ty mnie potrzebujesz. Że nie wspomnę już o szacunku, jaki jesteś winien tej, która cię urodziła.

Benigaris nachmurzył się, wziął głęboki oddech i odwrócił się do rycerza, który przywiózł wiadomość od Varellana.

– Na co czekasz? – spytał. – Słyszałeś, co masz powiedzieć. Idź i zrób to.

Rycerz wstał i wykonał kwiecisty ukłon, a potem odwrócił się i opuścił salę. Damy w kolorowych sukniach, zgromadzone nieopodal drzwi, obserwowały, jak odchodzi, po czym szybko skupiły się w ciasnym kręgu i zaczęły o czymś żywo dyskutować, chichocząc głośno.

Benigaris po raz kolejny wyrwał dłoń z uścisku płatnerza, tym razem po to, żeby pstryknąć palcami na jednego z paziów, który natychmiast podał mu kielich wina.

Książę napił się i otarł usta.

– Armia Josui to coś więcej, niż się spodziewaliśmy. Ludzie mówią, że brat Wielkiego Króla odnalazł wielkiego rycerza, który stanął na czele jego

armii. Twierdzą, że to Camaris. Seriddan z Metessy uwierzył w to, w każdym razie przyłączył się do nich. – Książę skrzywił się. – Zdradziecki pies.

Nessalanta uśmiechnęła się kwaśno.

– Przyznaję, że nie doceniałam Josui. Sprytnie to zaplanował. Nic tak nie pobudza pospólstwa jak wspomnienie imienia twojego wuja. Ale żeby Seriddan? Żądasz, żebym przejmowała się kimś takim i jemu podobnymi baronami z odludzia? Od pięciuset lat Żuraw Metessanów nie opuścił pałacowej wieży. Oni są nikim.

– Tak jesteś pewna, że to gadanie o sir Camarisie to zwykła gra? – Słowa Benigarisa miały zabrzmieć kpiąco, ale niezupełnie mu się to udało.

– Ależ oczywiście! Jak mógłby to być on? Camaris nie żyje od czterdziestu lat.

– Ale ciała nigdy nie znaleziono. Ojciec zawsze nad tym ubolewał, ponieważ nie mógł sprawić bratu aedonickiego pogrzebu.

Księżna prychnęła lekceważąco, lecz nie odrywała wzroku od haftu.

– Ja znałam Camarisa, mój dzielny synu. Ty nie. Nawet gdyby wstąpił do klasztoru lub ukrył się gdzieś, musiałoby się to wydać: on był do szaleństwa uczciwy i nie potrafiłby skłamać, zapytany, kim jest. A poza tym był tak zadowolony z siebie, tak wścibski, że bez wątpienia przyłączyłby się do Prestera Johna, kiedy ten prowadził drugą wojnę z Thrithingami, żeby być Świętym Camarisem, Wielkim Camarisem, Camarisem Wspaniałym. – Nessalanta ukłuła się w palec i zaklęła pod nosem. – Nie, żywego Camarisa Josua nie znalazł, ducha też nie. To pewnie jakiś wielkolud z łąk, najemnik z upudrowanymi włosami. Sztuczka. Ale to nie ma znaczenia. – Przyglądała się przez chwilę swojemu haftowi, a potem odłożyła obręcz zadowolona. – Nawet prawdziwy Camaris nie mógłby pozbawić nas tronu. Jesteśmy zbyt silni, a jego czas już minął.

Benigaris spojrzał na nią uważnie.

– Pozbawić *nas* tronu? – zaczął, lecz w drugim końcu sali rozległ się jakiś hałas. W drzwiach pojawił się herold w kaftanie ozdobionym herbem złocistego Zimorodka.

– Wasza Wysokość – oznajmił uroczyście. – Hrabia Streawe z Ansis Pelippe przybywa na twoje wezwanie.

Książę rozparł się wygodnie, zaciskając usta w uśmiechu.

– Ach, tak. Wprowadź hrabiego.

Do wnętrza wniesiono lektykę Streawe’a i postawiono ją pod wysokimi łukowatymi oknami, które wychodziły na morze, a które dzisiaj zasłaniały grube kotary, mające powstrzymać zimne powietrze. Słudzy hrabiego wystawili z lektyki krzesło i postawili je przed podium, na którym znajdował się książęcy tron.

Hrabia zakaszlał.

– Witaj, książę – powiedział posapując. – Ach, i księżna Nessalanta, jak miło cię widzieć! Jak zwykle proszę o wybaczenie, że siadłem bez waszego pozwolenia.

– Ależ naturalnie – odparł Benigaris pogodnie. – Jak tam twój katar, Streawe? Pewnie nasze chłodne morskie powietrze nie służy ci najlepiej. Wiem, jak ciepło masz w swoim Sta Mirore.

– Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić, Benigarisie...

– Zacznijmy od najważniejszych spraw. Wybacz moją niecierpliwość, ale wiesz, że jesteśmy w stanie wojny. Jestem szczery.

Streawe przytaknął mu.

– Tak, znany jesteś ze swojej bezpośredniości, mój przyjacielu.

– Tak więc, do rzeczy. Gdzie są moje statki rzeczne? Gdzie są moje perdruińskie wojska?

Hrabia uniósł wolno siwą brew, lecz jego głos zabrzmiał łagodnie:

– Ach, Wasza Wysokość, nadchodzą. Bez obawy. Czy kiedyś Perdruin odważył się nie spłacić długu, jaki ma wobec starszej perdruińskiej siostry?

– Ale minęły już dwa miesiące – powiedział Benigaris z udawaną surowością. – Streawe, Streawe, stary przyjacielu... Mógłbym pomyśleć, że ociągasz się, by z jakichś powodów opóźnić moje działania.

Tym razem brwi hrabiego nie drgnęły w wyrazie zdziwienia, lecz niewątpliwie na jego twarzy nastąpiła trudna do określenia zmiana. Jego oczy lśniły w sieci zmarszczek.

– Czuję się rozczarowany, słysząc takie słowa z ust Nabbanu po tylu latach partnerstwa z Perdruin. – Streawe opuścił głowę. – Ale prawdą jest, że statki, których potrzebujesz do transportu rzecznego, spóźniają się. I za to muszę przeprosić. Widzisz, nawet po tylu szczegółowych instrukcjach, które wysłałem do Ansis Pelippe, nikt nie jest w stanie zadbać o wszystko tak dobrze jak ja osobiście. Nie chcę przez to ganić moich sług, ale jak to mówią Perdruińczycy: „Kiedy kapitan jest pod pokładem, znajdzie się wiele miejsc do rozwieszenia hamaka”. – Hrabia musnął górną wargę długim, kościstym palcem. – Benigarisie, powinienem wrócić do Ansis Pelippe. Choć ze smutkiem opuściłbym towarzystwo twoje i twojej ukochanej matki – uśmiechnął się do Nessalanty – ale wtedy miałbym pewność, że twoje statki i wojska wyruszą w tydzień po moim powrocie. – Znowu zakasłał kilkakrotnie, zanim odzyskał oddech. – A przy całym pięknie twojego pałacu, jest on, tak jak powiedziałeś, nieco bardziej przewiewny od mojego domu. Obawiam się, że stan mojego zdrowia pogorszył się tutaj.

– Ach, tak – powiedział Benigaris. – Wszyscy martwimy się o twoje zdrowie, hrabio. Wiele o tobie myślałem ostatnio. O łodziach i wojsku. – Zamilkł i obdarzył Sreawe’a pełnym zadowolenia uśmiechem. – Dlatego

właśnie nie mógłbym pozwolić ci teraz wyjechać. Morska podróż o tej porze? Twój katar z pewnością by się pogłębił. Będę brutalnie szczery, drogi hrabio, ale tylko dlatego, że Nabban cię kocha. Gdybyś się bardziej rozchorował, czułbym się za to odpowiedzialny, a poza tym jeszcze bardziej opóźniłoby to przybycie naszych ludzi i statków. Skoro nie ma ich na czas nawet z twoimi szczegółowymi instrukcjami, to co dopiero by było, gdybyś zachorował i nie mógł w ogóle ich doglądać. Jestem przekonany, że wtedy pojawiłoby się wiele rozwieszonych hamaków!

Streawe zmrużył oczy.

– Tak więc uważasz, że najlepiej będzie, jeśli teraz zostanę?

– Ach, drogi hrabio, ja się tego wręcz domagam. – Benigaris odesłał wreszcie płatnerza, zmęczony jego natrętną obecnością. – Nie wybaczyłbym sobie, gdybym postąpił inaczej. Nie wątpię, że kiedy przybędą statki i twoje wojsko, by pomóc bronić się przeciwko temu szaleńcowi Josui, pogoda poprawi się i będziesz mógł bezpiecznie powrócić do domu.

Hrabia zastanawiał się przez chwilę, sprawiając wrażenie, że rozważa argumenty Benigarisa.

– Na Pellipę i jej puchar – odezwał się wreszcie. – W tym, co mówisz, jest sens. – Jego uśmiech odsłonił zadziwiająco ładne zęby. – Jestem wzruszony twoją troską o starego przyjaciela twojego ojca.

– Szanuję cię tak samo, jak szanowałem jego.

– Rzeczywiście. – Uśmiech Streawe’a stał się nieomal łagodny. – Jakże to miło. W tych ponurych czasach tak trudno o szacunek. – Dał znak chudą dłonią swoim sługom. – A zatem muszę wysłać kolejny list do mojego kasztelana i szkutników, by ich ponaglić.

– Bardzo dobry pomysł, hrabio. Bardzo dobry. – Benigaris oparł się o swój tron i musnął wąsy palcami. – Spotkamy się dzisiaj przy kolacji?

– Ach, tak sądzę. Gdzież indziej mógłbym znaleźć równie miłych i troskliwych przyjaciół? Księżno Nessalanto, jak zawsze miło było cię widzieć, łaskawa pani. – Pochylił się na swoim krześle, imitując ukłon.

Nessalanta uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Hrabio Streawe.

Słudzy wsadzili starca do lektyki. Zasunąwszy zasłonę, wynieśli hrabiego z sali tronowej.

– Nie musiałeś chyba być aż tak brutalny – powiedziała księżna, kiedy hrabia zniknął. – On nie jest groźny. Od kiedy to chciwi Perdruińczycy mogliby pragnąć czegoś innego poza złotem?

– Znani są z tego, że przyjmują monety z wielu kieszeni. – Benigaris wziął puchar do ręki. – W ten sposób Streawe będzie bardziej ochoczo oczekiwał naszego zwycięstwa. On nie jest głupcem.

– Nie, z pewnością nie. Tym bardziej nie rozumiem takiego brutalnego traktowania.

– Wszystkiego, co potrafię, matko, nauczyłem się od ciebie – odparł Benigaris czule.

ISGRIMNUR NIECIERPLIWIŁ SIĘ coraz bardziej.

Wydawało się, że Josua nie potrafi skupić się na bieżących sprawach; zamiast tego wciąż podchodził do wejścia do namiotu i spoglądał w dolinę, na klasztor znajdujący się na zboczu – skupisko kilku kamiennych zabudowań, których złocistobrązowe mury odbijały blask zachodzącego słońca.

– Ona nie umiera, Josuo – warknął wreszcie książę. – Ona tylko spodziewa się dziecka.

– Co? – Josua spojrzał na niego zawstydzony.

– Patrzysz tam przez całe popołudnie. – Zsunął swój ogromny tułów ze stołka i stanął u boku Josui, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Jeśli tak się niepokoisz, to idź do niej. Ale zapewniam cię, że jest w dobrych rękach. Jeśli jest coś, czego moja żona nie wie o dzieciach, to znaczy, że nie jest to ważne.

– Wiem, wiem. – Książę powrócił do mapy rozłożonej na stole. – Nie mogę skupić myśli, stary przyjacielu. Przypomnij mi, o czym mówiliśmy.

Isgrimnur westchnął.

– Dobrze. – Pochylił się nad mapą. – Camaris twierdzi, że istnieje ścieżka pasterzy, która prowadzi nad doliną...

Ktoś chrząknął dyskretnie w wejściu. Josua podniósł wzrok.

– Ach, baron. Witaj! Wejdź, proszę.

Seriddanowi towarzyszyli Sludig i Freosel. Wszyscy przywitali się, gdy tymczasem Josua postawił na stole dzban wina Teligure. Ubrania barona i jego podwładnych wskazywały na to, że dużo tego dnia jeździli.

– Młody Varellan zatrzymał się tuż przed Chasu Yarinna – powiedział baron. – Ma więcej zacięcia, niż się spodziewałem. Myślałem, że ucieknie aż do przełęczy Onestrine.

– Dlaczego tego nie zrobił? – spytał Isgrimnur.

Seriddan pokręcił głową.

– Może uważa, że kiedy rozpocznie się bitwa o przełęcz, nie będzie już odwrotu.

– To może oznaczać, że nie jest tak bardzo przekonany o naszej słabości jak jego brat – wtrącił Josua zamyślony. – Może będzie chciał rozmawiać.

– Można przypuszczać także – powiedział Sludig – że broni nam dostępu do przełęczy w oczekiwaniu na posiłki księcia Benigarisa. Bez względu na to, co myśleli o naszej sile, bez wątpienia zmienili zdanie, dowiedziawszy się o sir Camarisie. Wierzcie mi.

– Gdzie jest Camaris? – spytał Josua.

– Z przodu, z Hotvigiem i innymi. – Sludig pokręcił głową. – Miłościwy Aedonie, słyszałem te wszystkie opowieści, ale myślałem, że to takie bajanie do kołyski. Książę Josuo, nigdy nie widziałem kogoś takiego jak on! Kiedy dwa dni temu razem z dwoma wojownikami Hotviga dostał się między rycerzy Varellana, byliśmy pewni, że zginie albo zostanie schwytany. Ale on łamał nabbańskich rycerzy, jakby to były suche patyki! Jednego przełamał prawie na pół jednym ruchem. Przebił mieczem zbroję! Ten miecz musi posiadać magiczną moc!

– Cierń jest potężnym orężem. Ale z nim czy bez niego, nie było takiego rycerza jak Camaris – powiedział Josua.

– Jego róg Cellian sieje postrach wśród Nabbańczyków – mówił dalej Sludig. – Kiedy w dolinie zabrzmi jego echo, niektórzy odwracają się i uciekają. Ponadto z każdej grupy, którą pokona, wybiera jednego jeńca i odsyła go ze słowami: „Książę Josua i pozostali pragną pomówić z twoim panem”. Pokonał ich już tylu, że musiał odesłać tuzin, każdego z taką samą wiadomością.

Seriddan podniósł kielich.

– Za jego zdrowie. Skoro teraz jest takim postrachem, to czym musiał być w swych najlepszych dniach? Byłem chłopcem, kiedy Camaris... – roześmiał się – chciałem powiedzieć „umarł”. Kiedy zniknął. Nigdy go nie widziałem.

– Wtedy był trochę inny – powiedział Isgrimnur w zamyśleniu. – To mnie dziwi. Jego ciało się postarzało, lecz jego umiejętności i duch walki pozostały takie same. Podobnie jak i siły.

– Może na ostateczną próbę – powiedział Josua, cedząc słowa. – Niech Bóg da, by tak było i żeby odniósł zwycięstwo dla dobra nas wszystkich.

– Ale jestem zdumiony. – Seriddan napił się wina. – Mówiliście, że Camaris nienawidzi wojny, że zrobi wszystko, by nie walczyć. A ja nie widziałem jeszcze tak miażdżącej maszyny.

Josua uśmiechnął się smutno.

– Camaris w walce przypomina pokojówkę zabijającą pająki.

– Co? – Seriddan nasrożył się nieco, spodziewając się kpiny.

– Jeśli powiesz pokojówce, żeby poszła pozabijać pająki do pokoju jej pani – wyjaśnił Josua – to ona wymyśli sto wymówek, by tego nie zrobić. Ale jeśli ją w końcu przekonasz, że jest to konieczne, bez względu na to, jak bardzo się brzydzi, wytłucze wszystkie, co do jednego, żeby mieć pewność, że nie będzie musiała robić tego jeszcze raz. – Twarz Josui spoważniała. – Taki właśnie jest Camaris. Jedyną rzeczą, jakiej nienawidzi bardziej od wojny, jest niepotrzebna wojna, a szczególnie zabijanie, którego można było uniknąć, kończąc wszystko za pierwszym razem. Tak więc, kiedy już się zabiera do pracy, chce mieć pewność, że nie będzie musiał robić tego samego dwukrotnie. – Josua uniósł kielich, pozdrawiając nieobecnego rycerza. – Jak byście się czuli, będąc najlepszymi w tym, co najmniej lubicie robić?

Wznieśli puchary i pili wino w milczeniu.

TIAMAK POKUŚTYKAŁ PRZEZ TARAS. Znalazł odpowiednie miejsce na niskim murze, gdzie usiadł wygodnie ze zwieszonymi nogami i odwrócił twarz w stronę zachodzącego słońca. Przed nim ciągnęła się dolina Frasilis, dwa nabrzmiałe urodzajem zbocza zadaszone szarozielonymi koronami drzew, między którymi wił się Szlak Anituelański. Wytężając wzrok, Tiamak dostrzegł namioty Josui przyklejone do zbocza w purpurowym cieniu na południowym wschodzie.

„Moi towarzysze myślą pewnie, że Wrańczycy żyją jak dzikusy – pomyślał. – Ale ja cieszę się tak samo jak wszyscy z tego, że chociaż przez kilka dni możemy pomieszkać pod solidnym dachem”.

Na tarasie pojawił się jeden z mnichów; przeszedł z rękoma wsuniętymi w rękawy. Potrzebował dobrych kilku kroków, by oderwać wzrok od Tiamaka, ale tylko skłonił głowę w milczącym powitaniu.

„Mnisi nie wydają się uszczęśliwieni naszym towarzystwem. – Uśmiechnął się. – Nie chcą zostać wmieszani w wojnę, a ponadto są chyba zgorszeni obecnością w swoim klasztorze kobiet i ludzików z bagien”.

Mimo wszystko Tiamak cieszył się, że Josua wybrał klasztor na miejsce tymczasowego odpoczynku, pozwalając zostać w nim kobietom i wielu innym, gdy tymczasem armia posunęła się dalej w dół wąwozu. Wrańczyk westchnął, czując powiew chłodnego i suchego wiatru; twarz wciąż miał zwróconą do słońca. Dobrze było mieć bezpieczne schronienie, nawet na tak krótko. Dobrze, że deszcze ustały i zaświeciło słońce.

„Ale to nic nie znaczy, jak powiedział Josua – upomniał siebie. – To tylko chwilowa zwłoka: nic, czego do tej pory dokonali, nie powstrzymało Króla Burz. Ta chwila pokoju pozostanie bez znaczenia, jeśli nie rozwiążemy zagadek, które napotkaliśmy, jeśli nie odnajdziemy trzech mieczy i nie dowiemy się, jak ich użyć. Mordercza zima powróci, a wtedy słońce przestanie świecić. Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku, nie pozwól, bym zawiódł! Pozwól, byśmy razem ze Strangyeardem znaleźli odpowiedzi, których szukamy!”

Jednak coraz trudniej było znaleźć odpowiedź. Coraz bardziej odczuwali ciężar odpowiedzialności, jaki spoczywał na ich poszukiwaniach. Binabik odszedł, Geloë nie żyje, tak więc spośród członków Ligi pozostał tylko on i nieśmiały duchowny. Razem ślęczeli nad manuskryptem Morgenesa, studiując go wnikliwie w nadziei, że znajdą coś,

co pomoże im rozwikłać zagadkę Wielkich Mieczy. Przetłumaczyli także i dokładnie przeczytali zwoje Ookequka, mistrza Binabika, ale jak dotąd nie znaleźli w nich nic poza licznymi wywodami trolli na temat lawin i odstraszania śpiewem duchów mrozu.

„Jeśli nasze badania się nie posuną, to wkrótce wiedza trolli może nam się bardzo przydać” – pomyślał ponuro.

Ostatnio Tiamak poprosił Strangyearda, aby zrelacjonował mu wszystko, co wie na temat trzech Wielkich Mieczy oraz ich niezmarłego wroga: to, czego dowiedział się z własnych badań, informacje, jakie przekazał mu stary Jarnauga, przeżycia młodego Simona i jego towarzyszy i wszystko inne, co wydarzyło się w ciągu ostatniego roku, a co mogłoby zawierać jakąkolwiek wskazówkę. Tiamak modlił się o to, by dane mu było dostrzec jakąś prawidłowość, która być może się powtarza, tak jak kręgi na rzece wskazują na obecność kamienia pod powierzchnią wody. W całej tej ogromnej mądrości mężczyzn i kobiet, przypadkowych świadków, musi być *ktoś*, kto wie, jak użyć Wielkich Mieczy.

Tiamak westchnął, przebierając palcami stóp. Tak bardzo zapragnął być małym człowieczkiem ze swoimi małymi problemami. Uniósł dłoń i przyglądał się, jak słońce igra na jego palcach, jak komar idzie po ciemnych włosach na jego nadgarstku. Dzień był zwodniczo przyjemny, tak jak powierzchnia strumienia. Pewne jednak było, że pod jego powierzchnią czaiły się kamienie albo coś jeszcze gorszego.

PROSZĘ, POŁÓŻ SIĘ, VORZHEVO – powiedziała Aditu.

Vorzheva skrzywiła się.

– Jakbym słyszała Josuę. To tylko lekki ból.

– Teraz widzisz, jaka ona jest. – Gutrun powiedziała to z ponurą satysfakcją. – Gdybym tylko mogła, przywiązałabym ją do łóżka.

– Przywiązywać jej chyba nie trzeba – odparła Sithijka. – Ale, Vorzhevo, nie ma żadnej ujmy w tym, że się leży, kiedy dokuczają bóle.

Żona księcia opadła na poduszki skrzywiona i pozwoliła Gutrun przykryć się kocem.

– Nie jestem przyzwyczajona do słabości. – W świetle, które sączyło się przez małe okienko, wydawała się bardzo blada.

– Nie jesteś słaba. Ale należy dbać o życie swoje i dziecka – przekonywała łagodnie Aditu. – Możesz chodzić, kiedy czujesz się silna. Ale kiedy masz bóle lub czujesz się słabo, połóż się i pozwól sobie pomóc. – Wstała i ruszyła w stronę drzwi.

– Chyba nie wychodzisz? – spytała Vorzheva przerażona. – Zostań i porozmawiaj ze mną. Opowiedz mi, co się dzieje na zewnątrz. Siedzimy tutaj z Gutrun przez cały dzień. Nawet mnisi nie rozmawiają z nami. Oni chyba nienawidzą kobiet.

Aditu uśmiechnęła się.

– Dobrze. Inne obowiązki mogą poczekać. – Sithijka wróciła do łóżka i usiadła na nim, skrzyżowawszy nogi. – Księżno Gutrun, jeśli chciałabyś rozprostować nogi, to ja posiedzę z lady Vorzhevą.

Gutrun prychnęła lekceważąco.

– Jestem tam, gdzie moje miejsce – powiedziała i odwróciła się do swojego szycia.

Vorzheva wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Aditu.

– Powiedz mi, co widziałaś dzisiaj. Czy byłaś u Leleth?

Sithijka skinęła głową, powiewając srebrzystobiałymi włosami.

– Tak. Ona jest tutaj, niedaleko, w jednym z pokoi, ale nic się nie zmieniło. Bardzo chudnie. Daję jej odżywcze zioła z wodą, tak by mogła je połknąć, ale to chyba nie wystarczy. Coś wciąż ją trzyma w jej ciele. Kiedy się na nią patrzy, wydaje się, że śpi tylko, ale nie wiem, jak długo jeszcze. –

Nawet na obcej twarzy Aditu można było dostrzec cień troski. – I tutaj Geloë byłaby niezastąpiona. Ona potrafiłaby znaleźć jakiś korzeń czy ziele, które sprowadziłoby z powrotem ducha Leleth.

– Nie jestem pewna – powiedziała Gutrun, nie podnosząc wzroku. – Ta dziewczynka zawsze była bardzo mizerna, chociaż dbałam o nią. To, co przydarzyło jej się w lesie, kiedy podróżowała z Miriamele, tamte psy i jeden Usires wie, co jeszcze, odebrało jakąś jej część. To nie twoja wina, Aditu. Jestem pewna, że zrobiłaś wszystko, co można było zrobić.

Aditu spojrzała na Gutrun, ale pojednawcze spojrzenie księżnej nie zmieniło wyrazu twarzy Sithijki.

– Jednak to smutne – powiedziała tylko.

– Tak, smutne – odparła Gutrun. – Wola Boża często przynosi smutek Jego dzieciom. Myślę, że nie rozumiemy Jego zamiarów. Z pewnością po tym wszystkim, co wycierpiała, On ma dla niej coś dobrego.

– Mam taką nadzieję – powiedziała wolno Aditu.

– I co jeszcze masz mi do powiedzenia? – odezwała się Vorzheva. – Zgadłam, jeśli chodzi o Leleth. Powiedziałabyś mi pewnie już wcześniej, gdyby były jakieś nowiny?

– Nie ma specjalnie o czym mówić. Siły księcia Nabbanu cofnęły się trochę, ale niebawem zatrzymają się i zaczną walczyć. Josua i pozostali próbują zawrzeć rozejm, żeby porozmawiać.

– Czy ci Nabbańczycy będą chcieli z nami rozmawiać?

Aditu wzruszyła ramionami.

– Czasem nie jestem pewna, czy rozumiem nawet tych śmiertelników, których znam najlepiej. Jeśli chodzi o obcych, to zupełnie nie potrafię powiedzieć, co oni mogą zrobić. Ale, o ile wiem, nabbański generał jest bratem panującego księcia, więc nie sądzę, by chciał specjalnie słuchać tego, co twój mąż ma do powiedzenia.

Vorzheva skrzywiła się mocno. Wstrzymała oddech, ale zaraz machnęła lekceważąco w stronę pochylającej się Aditu.

– Nic mi nie jest. To tylko skurcz. – Wciągnęła głęboko powietrze. – A Josua? Jak on się czuje?

Sithijka spojrzała na Gutrun, która uniosła brwi, wyrażając swoją bezradność.

– Był tutaj dziś rano, Vorzhevo – powiedziała księżna. – On nie bierze udziału w walce.

– Czuje się dobrze. Prosił, bym przekazała ci pozdrowienia – dodała Aditu.

– Pozdrowienia? – Vorzheva usiadła. – A co to za słowo z ust mężczyzny, męża?! Pozdrowienia?

– Och, Elysio, Miłościwa Matko – rzuciła zniecierpliwiona Gutrun. – Przecież wiesz, że on się o ciebie troszczy.

Vorzheva znowu się położyła; jej rozpuszczone włosy przykryły poduszkę jak mieniący się czarny jedwab.

– To wszystko przez to, że nic nie mogę robić. Jutro będę silniejsza. Pójdę tam, skąd widać bitwę.

– Pod warunkiem, że mnie tam zaciągniesz – powiedziała księżna. – Aditu, szkoda, że nie widziałaś jej rano, nie mogła ustać na nogach, takie miała bóle. Gdybym jej nie podtrzymała, zwaliłaby się na podłogę.

– Jeśli będzie miała dość sił – odparła Aditu – z pewnością spacer dobrze jej zrobi, ale nie za daleki. – Zamilkła i spojrzała uważnie na Vorzhevę. – Vorzhevo, myślę, że za bardzo się podniecasz, żeby oglądać bitwy.

– Ach. – Vorzheva nie ukrywała niezadowolenia. – Mówiłaś, że u was bardzo rzadko rodzą się dzieci. Skąd więc tyle mądrości i porad co do tego, co powinnam robić?

– Właśnie dlatego, że porody są u nas rzadkością, traktujemy je bardzo poważnie. – Aditu uśmiechnęła się smutno. – Bardzo chciałabym urodzić kiedyś dziecko. Dla mnie przywilejem jest móc ci towarzyszyć, kiedy nosisz swoje. – Pochyliła się i zsunęła koc. – Pozwól mi posłuchać.

– I znowu powiesz, że dziecku nie spodoba się jutrzejszy spacer. – Vorzheva zrzędziła, ale pozwoliła Aditu przyłożyć złocisty policzek do swego zaokrąglonego brzucha.

Aditu zamknęła skośne oczy, jakby zasypiała. Przez chwilę jej twarz pozostała zupełnie nieruchoma. A potem nagle otworzyła szeroko bursztynowe oczy.

– *Venyha s'ahn!* – syknęła zdumiona. Uniosła głowę, lecz zaraz ponownie przyłożyła ją do brzucha Vorzhevy.

– Co? – Gutrun zerwała się z krzesła, zrzucając robótkę na podłogę. – Dziecko! Czy z dzieckiem coś jest nie tak?

– Powiedz mi, Aditu. – Vorzheva leżała nieruchomo, lecz jej głos się załamał. – Powiedz.

Sithijka roześmiała się.

– Oszalałaś? – spytała groźnie Gutrun. – O co chodzi?

Aditu usiadła.

– Przepraszam. Wciąż mnie zdumiewacie, wy, śmiertelnicy. Kiedy pomyślę, że moi ludzie uważają się za szczęśliwych, jeśli uda im się urodzić garstkę dzieci w ciągu wieku!

– O czym ty mówisz? – warknęła Gutrun.

Vorzheva patrzyła tylko przestraszona.

– Mówię o śmiertelnikach, o darach, które posiadacie, a o których nawet nie wiecie. – Znowu się roześmiała, ale tym razem ciszej. – Słyszę dwa bijące serca.

– Co?!

– Dwa serca – odparła rzeczowo Aditu. – Vorzheva nosi dwoje dzieci.

38. Bezsenność w ciemności

ROZCZAROWANIE SIMONA BYŁO RÓWNIE PUSTE i głębokie jak kurhan, w którym się znajdowali.

– Nie ma go – szepnął. – Nie ma Białego Gwoździa.

– Co do tego nie ma wątpliwości. – W blasku pochodni twarz Binabika wyglądała bardzo ponuro. – Qinkipo ze Śniegów! Żałuję, że nie odkryliśmy tego dopiero w chwili, kiedy będzie tutaj i Jousa. Nie chcę zanosić mu takich wieści.

– Ale co mogło się stać? – Simon wpatrywał się w woskową twarz Prestera Johna, jakby Król miał się za chwilę obudzić, by dać mu odpowiedź.

– Zdaje się, że Elias wiedział, jak cenny jest miecz, i zabrał go. Jestem przekonany, że znajduje się on w Hayholt. – Troll wzruszył ramionami; jego głos brzmiał ciężko. – Od dawna wiedzieliśmy, że musimy odebrać mu Smutek. A zatem niewielka różnica, jeden miecz czy dwa.

– Ale Elias nie mógł go zabrać! Nie było żadnej dziury!

– Może zrobił to zaraz po śmierci Johna. Po tak długim czasie nie byłoby już śladów.

– To nie ma sensu – upierał się Simon. – Mógł go zatrzymać, gdyby tylko zechciał. Ale Towser powiedział, że Elias nienawidził miecza, że nie mógł się doczekać, żeby się go pozbyć.

– Simonie, nie mam pewnych odpowiedzi. Możliwe, że początkowo Król Elias nie zdawał sobie sprawy, jak cenny jest miecz, a dopiero później dowiedział się o tym. Może Pyrates odkrył jego moc i kazał go usunąć. Istnieje wiele możliwości. – Troll oddał Simonowi pochodnię i wspiął się na krawędź łodzi. W dziurze widać było błękitnoszare niebo ubłocone burymi chmurami; zapadał zmrok.

– Nie wierzę w to. – Simon opuścił dłonie na kolana. Bolały go od kopania, a przecież czuł jeszcze rany po przeżyciach w Dolinie Hasu. – Nie chcę w to wierzyć.

– Myślę, że to drugie jest bliższe prawdy! – powiedział cicho Binabik. – Simonie, przyjacielu, chodź. Zobaczymy, czy Miriamele rozpaliła ognisko. Może łatwiej będzie nam się myślało przy gorącej zupie. – Wspiął się do krawędzi dziury i podciągnął do góry. – Podaj mi pochodnię, to pomogę ci wyjść – powiedział, odwracając się.

Simon ledwo słyszał jego słowa. Jego uwagę zwróciło coś innego. Podniósł do góry obie pochodnie i jeszcze raz pochylił się nad łodzią wpatrzony w podstawę przeciwległej ściany kurhanu.

– Simonie, czego tam jeszcze szukasz? – zawołał Binabik. – I tak już prawie przewróciliśmy ciało Johna, przeszukując wszystko.

– Widzę coś w drugim końcu kurhanu. Coś ciemnego.

– Tak? – W głosie Binabika zabrzmiała nuta niepokoju. – Co ciemnego widzisz? – Wsunął połowę ciała w dziurę, blokując dostęp światła.

Simon przełożył obie pochodnie do jednej dłoni i poszedł wolno wzdłuż kadłuba *Morskiej Strzały*, by się upewnić co do swoich przypuszczeń.

– To jest dziura!

– Nie widzę w tym nic dziwnego – powiedział troll.

– Ale ona jest duża, w samej ścianie kurhanu. Może przez nią dostali się tutaj.

Binabik patrzył przez chwilę w miejsce, które wskazał mu Simon, po czym zniknął nagle. Simon przysunął się jeszcze bliżej. Otwór miał wielkość beczki piwa.

Troll pojawił się znowu.

– Nie ma drugiej na zewnątrz! – zawołał. – Jeśli wykopali jakąś, to dobrze ją zakryli albo robili to bardzo dawno temu; trawa wszystko zarosła.

Simon przesunął się ostrożnie w stronę wąskiej rufy. Zsunął się z wręgi do wnętrza łodzi i poszedł wolniutko do drugiej burty. Wspiął się na nią ostrożnie. Niewiele miejsca pozostało między burtą a ścianą podpartą balami. Zsunął się na ziemię i przysunął do ściany pochodnię, by lepiej przyjrzeć się dziurze. Zdumienie odebrało mu na chwilę głos.

– Aedonie – szepnął. – Ona prowadzi w dół.

– Co? – spytał Binabik trochę zniecierpliwiony. – Simonie, mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, zanim całkiem się ściemni.

– Binabiku, dziura prowadzi w dół! Tunel za nią schodzi w dół! – Wsunął obie pochodnie do otworu i przysunął się najbliżej, jak było to możliwe. Nic nie zobaczył poza kilkoma cieniutkimi korzeniami; korytarz odchodził w ciemność poza światło pochodni.

– W takim razie zbadamy ją jutro rano, kiedy się wyśpimy i zastanowimy – odezwał się troll. – Chodź na górę, Simonie.

– Dobrze – odparł Simon. – Idź już. – Przysunął się jeszcze bliżej. Czuł, że powinien bardziej się bać. Należało się liczyć z czymś, co wykopało tak wielki otwór, bez względu na to, czy był to człowiek, czy zwierzę, ale z drugiej strony miał dziwne przeświadczenie, że ten otwór jest w jakiś sposób związany ze zniknięciem Białego Gwoździa. Patrzył przez chwilę w dziurę, a potem odsunął pochodnię i wytężył wzrok. W ciemności coś migotało, jakiś przedmiot, który odbijał blask pochodni. – Coś tam jest! – zawołał.

– Jakie coś? Zwierzę? – spytał zaniepokojony Binabik.

– Nie, raczej coś podobnego do metalu. – Zajrzał do dziury. Nie wyczuł zapachu zwierzęcia, lecz jedynie kwaśnawy odór, jakby potu. Wydawało się, że świecący przedmiot znajduje się niedaleko otworu, w miejscu, gdzie tunel skręcał. – Musiałbym tam wejść, żeby dosięgnąć.

– Sprawdzimy to rano – rzekł stanowczo Binabik. – Chodź już.

Simon wcisnął się jeszcze trochę dalej w otwór. Może znajdowało się to bliżej, niż mu się wydawało; trudno było ocenić w świetle pochodni. Trzymając w dłoniach obie pochodnie, posuwał się na łokciach i kolanach, aż całym ciałem znalazł się w tunelu. Gdyby tylko mógł się zupełnie wyciągnąć...

Nagle ziemia pod nim zapadła się. Simon zaczął machać ramionami, odrzucając osypujące się grudy. Chwycił się ściany tunelu, która także zaczęła się osypywać. Jego nogi zapadały się w dziwnie miękką ziemię i w mgnieniu oka Simon tkwił po pas w podłodze tunelu. Jedna z pochodni wypadła mu z ręki i leżała, skwiercząc na wilgotnej ziemi na odległość kilku dłoni od jego żeber. Druga pozostała w drugiej ręce przyciśniętej do ściany, tak że nie mógł jej zgubić, nawet gdyby chciał. Czuł dziwną pustkę, lecz nie strach.

– Binabiku! – zawołał. – Zapadłem się!

Próbując wyswobodzić się spod zwału ziemi, zauważył, że rusza się ona w dziwny sposób, tak jak piasek pod wracającą falą.

Troll wytrzeszczył oczy tak bardzo, że jego białka błyskały jasno w mroku.

– *Kikkasut!* – zaklął i zawołał: – Miriamele! Chodź tu szybko! – Binabik opuścił się do kurhanu i ruszył wzdłuż szerokiego kadłuba łodzi.

– Nie podchodź za blisko! – ostrzegł go Simon. – Ziemia tutaj jest jakaś dziwna. Mógłbyś też wpaść.

– A więc się nie ruszaj. – Troll chwycił się mocno krawędzi zakopanego częściowo kila i wyciągnął ramię w kierunku Simona; jednak nie mógł go tak dosięgnąć. – Miriamele przyniesie sznur. – Troll mówił cicho i spokojnie, lecz Simon wiedział, że Binabik się boi.

– Tam coś się... coś się rusza – powiedział Simon. Było to dziwne uczucie: ziemia wznosiła się nieco i opadała, jakby ogromny wąż wił się w jej głębi. Poczucie spokoju Simona zniknęło natychmiast i teraz już poczuł śmiertelny strach. – Bi...Binabiku! – Z trudem oddychał.

– Nie ruszaj się! – zawołał jego przyjaciel. – Gdybyś tylko mógł...

Simon nigdy nie usłyszał tego, co troll chciał mu powiedzieć. Poczuł ostre ukłucia wokół kostek u nóg, jakby wskoczył w pokrzywy, a potem ziemia wokół niego drgnęła jeszcze raz i został całkowicie połknięty. Ledwie zdążył zamknąć usta, gdy ziemia wzniosła się i zamknęła nad jego głową niczym rozzłoszczony ocean.

MIRIAMELE ZOBACZYŁA, ŻE BINABIK wyłania się z dziury.

Układając suche gałęzie, patrzyła, jak stoi obok wejścia do kurhanu i mówi coś do Simona, który wciąż jeszcze pozostawał w jego wnętrzu. Zastanawiała się trochę, co znaleźli. W pewnym sensie ich poszukiwania wydawały jej się stratą czasu. W jaki sposób miecz, magiczny czy nie, może zatrzymać wóz rozpędzony szaleńczym smutkiem jej ojca? Tylko Elias mógł go powstrzymać, i to bez żadnych magicznych mieczy. Ale Miriamele znała dobrze swojego ojca, znała jego upór, który przenikał go jak płynąca w jego żyłach krew. A Król Burz, ten potworny demon pojawiający się w snach, pan Nornów? Jej ojciec sprowadził tę niezmarłą istotę na ziemię śmiertelników. Miriamele nasłuchała się dość starych opowieści, by wiedzieć, że tylko Elias mógł wypędzić Inelukiego i zamknąć za nim drzwi.

Ale wiedziała, że jej przyjaciele byli zdecydowani realizować swoje plany, tak jak ona swoje, i nie zamierzała stawać im na drodze. A jednak nawet przez chwilę nie zapragnęła zejść z nimi do grobowca. Owszem, były to dziwne czasy, lecz nie na tyle dziwne, by chciała zobaczyć, co dwa lata w bezlitosnej ziemi uczyniły z jej dziadkiem Johnem.

Ledwie zdobyła się na to, by pójść na jego pogrzeb i patrzeć, jak opuszczają jego ciało do ziemi. Nigdy nie była z nim blisko, ale w ten właśnie odległy sposób on ją kochał i był dla niej dobry. Nigdy nie potrafiła wyobrazić go sobie młodego, gdyż odkąd sięgała pamięcią, zawsze był wiekowym starcem, ale raz czy dwa dostrzegła błysk w jego oku albo jakiś szczegół w jego postawie, które nie pozwalały zapomnieć, że to on kiedyś podbił świat. Nie chciała skalać chociaż tych kilku wspomnień...

– Miriamele, chodź tutaj szybko!

Uniosła głowę, zaskoczona nutą strachu w głosie Binabika. Chociaż troll wołał ją, to jednak nie patrzył w jej stronę, lecz szybko wsunął się do otworu w ścianie kurhanu. Miriamele zerwała się, rozrzucając stos ułożonych gałęzi, i pobiegła przez wierzchołek. Słońce zaszło już za horyzont i niebo przybrało kolor śliwkowoczerwony.

Wydawało jej się, że nigdy nie dobiegnie do grobowca. Kiedy wreszcie tam dotarła, z trudem łapała oddech. Upadła na kolana, czując, że kręci jej się w głowie. Pochyliła się nad otworem, lecz niczego nie dostrzegła.

– Simon się... – zawołał Binabik. – Simon się... Nie!

– O co chodzi? Nie widzę cię!

– Qantaqa! – wrzasnął troll. – Qantaqa, *sosa*!

– Co się dzieje! – Miriamele bała się coraz bardziej. – Co?!

Binabik wyrzucał z siebie teraz urywane słowa.

– Weź... pochodnię! Sznur! *Sosa*, Qantaqa! – Nagle rozległ się okrzyk bólu trolla. Miriamele klęczała przy wejściu zdezorientowana

i przestraszona. Wewnątrz działo się coś złego. Binabik najwyraźniej jej potrzebował. Ale kazał jej przynieść pochodnię i sznur, a każda chwila mogła być cenna dla nich obu.

Coś ogromnego odepchnęło ją na bok, jakby nic nie ważyła. Szary zad Qantaqi zniknął w ciemności kurhanu, a chwilę później rozległo się jej wściekłe warczenie. Miriamele odwróciła się i pobiegła z powrotem do miejsca, w którym przygotowywała ognisko. Zatrzymała się, przypominając sobie, że część swoich rzeczy pozostawiła gdzieś w pobliżu grobowca Prestera Johna. Przez chwilę rozglądała się przerażona, aż wreszcie dostrzegła je po drugiej stronie półkola, jakie tworzyły groby.

Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że z trudem mogła utrzymać krzesiwo, ale w końcu udało jej się zapalić pochodnię. Potem chwyciła drugą i zapaliła ją od pierwszej pochodni.

Nie znalazła sznura wśród swoich rzeczy. Rzuciła kilka przekleństw żeglarzy rzecznych z Meremundu i pobiegła z powrotem do kurhanu.

Sznur leżał częściowo przykryty ziemią, którą wykopali Simon i Binabik. Miriamele owinęła się sznurem, by mieć wolne ręce, i zsunęła się do dziury.

Wnętrze grobowca wydało się jak ze snu. Wypełniało je głuche warczenie Qantaqi, jakby znalazła się w ulu, ale rozlegały się też inne głosy – dziwne, natarczywe piski. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, zobaczyła długi kadłub *Morskiej Strzały* i podobne do żeber, uginające się bale w sklepieniu kurhanu. Potem dostrzegła jakiś ruch – tylne łapy i ogon rozwścieczonej wilczycy – tyle tylko widziała spoza kadłuba. W ziemi dookoła wilczycy poruszały się małe stworzenia: szczury?

– Binabiku! – krzyknęła. – Simonie!

Głos Binabika był chrapliwy i przepełniony strachem.

– Nie, uciekaj! Tutaj jest pełno... pełno *boghaników*! Uciekaj!

Miriamele obeszła łódź, nie mogąc znieść myśli, co może się zdarzyć jej towarzyszom. Coś małego i popiskującego skoczyło z wręgi nad jej głową, przejeżdżając pazurami po jej twarzy. Wrzasnęła przerażona i zamachnęła się, po czym przycisnęła stworzenie do ziemi pochodnią. Przez krótką straszliwą chwilę widziała pomarszczoną, podobną do człowieka postać, która wiła się pod zapaloną pochodnią; pozlepiana sierść skwierczała, a pysk otworzył się w grymasie agonii, ukazując ostre zęby. Miriamele krzyknęła jeszcze raz i unosząc pochodnię, odsunęła stworzenie kopnięciem.

Krew w skroniach tętniła jej tak mocno, że wydawało jej się, iż za moment pęknie jej głowa. Kilka innych podobnych postaci zebrało się wokół niej, lecz ona machnęła obiema pochodniami i stworki odskoczyły do tyłu. Znalazła się już tak blisko Qantaqi, że mogła jej dotknąć, ale nie ośmieliła się; wilczyca uwijała się, miażdżąc karki i rozrywając małe ciała.

– Binabiku! – zawołała. – Simonie! Jestem tutaj! Chodźcie do światła!

Jej głos ściągnął kolejną grupę popiskujących demonów. Uderzyła dwa pochodnią, lecz drugi nieomal wyrwał jej z dłoni pochodnię, zanim upadł na ziemię, wijąc się w agonii. Chwilę później dostrzegła nad głową jakiś cień i odskoczyła, zastawiając się pochodnią.

– To ja, księżniczko – powiedział Binabik. Siedział niepewnie na krawędzi burty. Na chwilę pochylił się i zniknął, by za moment znowu się pojawić; na jego twarzy, umazanej krwią i błotem, widać było wyraźnie tylko oczy. Wcisnął jej w dłoń koniec długiej włóczni. – Weź ją. Nie pozwól, żeby się zbliżyły!

Wzięła włócznię i odwróciwszy się, natarła na kilka stworzeń, przyciskając je do ściany grobowca. Upuściła jedną z pochodni. Kiedy się odwróciła, jeszcze jeden napastnik skoczył w jej stronę; przekłuła go, tak

jak rybak chwytający rybę. Stworzenie wiło się przez chwilę wbite na grot włóczni, umierając powoli.

– Simonie! – zawołała. – Gdzie on jest? – Podniosła drugą pochodnię i skierowała w stronę Binabika, który znowu zanurzył się w łodzi, i teraz stał, ściskając w dłoniach topór nieomal tak duży jak on sam.

– Nie mogę trzymać pochodni – powiedział zdyszany. – Wciśnij ją w ścianę. – Uniósł topór nad głowę, skoczył obok Miriamele.

Miriamele wepchnęła koniec pochodni w osypującą się ziemię.

– *Hinik Aia!* – krzyknął Binabik.

Qantaqa wycofała się, lecz zrobiła to bardzo niechętnie; wciąż rzucała się do przodu, warcząc na popiskujące stworzenia. Właśnie w chwili kiedy skupiła się na jednym z nich, otoczyła ją kolejna wataha. Binabik zmiażdżył kilka stworzeń swoim toporem, a Miriamele odganiała pozostałe długą włócznią. Qantaqa uporała się z przeciwnikiem i odwróciła się, by stawić czoło pozostałym. Stworzenia zapiszczały podniecone, ale nie wydawały się skore pójść w ślady swojego towarzysza; ich białe oczy przypominały setki malutkich księżyców.

– Gdzie jest Simon? – spytała ponownie, choć natychmiast poczuła, że nie chce usłyszeć odpowiedzi. Wypełniała ją zimna pustka. Binabik nie zostawiłby Simona, gdyby ten jeszcze żył.

– Nie wiem – odparł troll. – Ale my nie możemy mu już pomóc. Prowadź na zewnątrz.

Miriamele podciągnęła się na burtę, a potem jeszcze wyżej na krawędź wejścia. Kiedy się wynurzyła, ogarnął ją fioletowy wieczór i chłodny wiatr. Odwróciła się i podała trollowi koniec włóczni; zobaczyła stworzenia, jak podskakują bezradnie przy kadłubie *Morskiej Strzały* – w świetle pochodni ich długie cienie tańczyły groteskowo. Zanim Binabik zasłonił sobą wejście do kurhanu, ujrzała na moment blade, pełne spokoju oblicze jej dziadka.

Troll przycupnął przy małym ognisku; na jego twarzy widniała brudna maska smutku i straty. Miriamele próbowała odnaleźć swój własny ból, lecz nie mogła. Czuła pustkę, żadnych uczuć. Qantaqa, leżąca nieopodal, przekrzywiła głowę na jedną stronę, jakby zdumiona ciszą. Jej kudłaty pysk pokrywała krew.

– Zapadł się – powiedział wolno Binabik. – W jednej chwili był jeszcze przy mnie, a w następnej już zniknął. Kopałem i kopałem, ale była tylko ziemia. – Pokręcił głową. – Kopałem, a potem ukazały się *boghaniki*. – Zakasłał, wypluwając do ognia grudkę błota. – Wychodziły z ziemi jak robaki. Tyle ich było, a wciąż przybywały następne.

– Mówiłeś, że to jest tunel. Może były też i inne. – Miriamele ze zdziwieniem słuchała swojego nienaturalnie spokojnego głosu. – Może tylko wpadł do innego tunelu. Kiedy te stworzenia... te kopacze odejdą, możemy jeszcze poszukać.

– Tak, oczywiście – powiedział Binabik bez przekonania.

– Zobaczysz. Znajdziemy go.

Troll przesunął dłonią po twarzy i spojrzał zamyślony na krew i brud, jakie starł z niej.

– W bukłaku jest woda. Obmyję ci rany – powiedziała.

– Ty też krwawisz. – Binabik wskazał pękatym palcem na jej twarz.

– Przyniosę wodę. – Wstała, chwiejąc się. – Znajdziemy Simona. Zobaczysz.

Binabik nie odpowiedział. Idąc chwiejnie w stronę toreb, przyłożyła dłoń do miejsca na szczęce, w którym chwycił ją pazurami jeden z kopaczy. Krew prawie zaschła, ale kiedy dotknęła swoich policzków, były mokre od łez, których dotąd nie zauważyła.

„Nie ma go – pomyślała. – Nie ma”.

Przez moment przestała widzieć cokolwiek.

ELIAS, WIELKI KRÓL OSTEN ARD, stał w oknie, wpatrując się w jasny palec Wieży Zielonego Anioła, oblanej srebrzystym światłem księżyca. Spowita w ciszę i tajemnicę, przypominała widmo przysłane z innego świata, które ma przekazać dziwne wieści. Elias obserwował ją jak ktoś świadomy swego życia i śmierci.

Królewska komnata przypominała zwierzęcą norę. Łóżko stało na środku pokoju, a na nim leżał tylko poplamiony potem siennik; koce poniewierały się splątane na podłodze, służąc za schronienie tym małym stworzeniom, które potrafiły znieść chłód, jaki dla Eliasa stał się bardziej koniecznością niż przyjemnością.

Okno, przy którym stał Król – podobnie jak wszystkie inne – było otwarte na oścież. Na kamiennej podłodze zebrały się kałuże deszczowej wody – woda zamarzała w czasie zimniejszych nocy. Wiatr naniósł też liści i patyków, a nawet przywiał tu sztywne ciało wróbla.

Elias wpatrywał się w wieżę, aż księżyc otoczył nimbem postać anioła na czubku iglicy. Wreszcie odwrócił się, owijając postrzępioną szatą; w dziurach widać było jego białą skórę.

– Hengfisk – szepnął. – Mój puchar.

Leżący w rogu łachman rozwinął się i wstał. Mnich popędził w milczeniu do stołu i odkrył kamienny dzban. Napełnił kielich ciemną, dymiącą cieczą i podał go Królowi. Uśmiech mnicha – wiecznie obecny na jego twarzy, choć teraz może nie tak szeroki – zajaśniał niewyraźnie w ciemnym pokoju.

– Znowu dzisiaj nie zasnę. Wiesz, to przez te sny – powiedział Król.

Hengfisk nic nie odpowiedział, ale jego wyłupiaste oczy skupione były na władcy.

– I przez coś jeszcze. Coś wyczuwam, ale nie rozumiem. – Wziął puchar i wrócił do okna. Rękojeść szarego miecza Smutku zazgrzytała

o kamienny parapet. Elias od dawna już go nie zdejmował, nawet w nocy. Miecz wycisnął w sienniku swój własny ślad obok wgniecenia po ciele Eliasa. Podniósł kielich do ust, przełknął i westchnął. – Muzyka zmieniła się – powiedział cicho. – Wielka muzyka ciemności. Pryrates nic nie mówił, ale ja wiem. Ten eunuch nie musi mówić mi wszystkiego. Teraz widzę rzeczy, słyszę je... rozpoznaję węchem. – Otarł usta rękawem szaty, pozostawiając jeszcze jedną ciemną plamę obok innych już zaschniętych. – Ktoś coś zmienił. – Zamilkł na długą chwilę. – Ale może Pryrates wcale tego przede mną nie ukrywa. – Król skierował nieomal trzeźwe spojrzenie na swojego podczaszego. – Może on sam nie wie. Nie byłaby to jedyna rzecz, o której nie wie. Wciąż jeszcze posiadam parę tajemnic. – Zamyślił się. – Ale jeśli Pryrates nie zdaje sobie sprawy, jakie... jakie nastąpiły zmiany... to ciekawe, co to może znaczyć? – Odwrócił się do okna i wieży. – Co to może znaczyć?

Hengfisk czekał cierpliwie. Wreszcie Elias wypił napój i wyciągnął ramię z pucharem. Mnich wziął go od Króla i powrócił do stołu, a potem do swojego rogu. Skulił się pod ścianą, lecz jego głowa pozostała uniesiona wysoko, jakby czekała na dalsze instrukcje.

– Wieża czeka – powiedział cicho Elias. – Czeka od dawna.

Powiew wiatru rozwiał jego ciemne włosy, a potem porwał kilka liści z podłogi i niósł je przez komnatę szepczące.

– Ach, Ojcze... – szepnął Król. – Boże Miłosierny, jak bardzo chciałbym zasnąć.

PRZEZ STRASZLIWIE DŁUGĄ CHWILĘ SIMON CZUŁ, że zapada się w zimnej, wilgotnej ziemi. Kiedy zaczęła wypełniać mu nos i zasypywać oczy, przygniatać nogi i ręce, przez jego umysł przemknęły wszystkie

okropne wizje śmierci i pogrzebu, jakich doświadczył w swoim życiu. Drapał paznokciami, aż przestał czuć dłonie, lecz ziemi nie ubywało.

Potem, równie nagle jak go połknęła, ziemia wypluła go. Jego nogi kopały wściekle, nie czując żadnego oporu; chwilę później zdał sobie sprawę, że spada w dół z ogromną lawiną ziemi. Opadł ciężko i wypuścił z sykiem długo wstrzymywane powietrze. Otworzył usta i przełknął ziemię.

Podniósł się na kolana i pozostał tak długo, krztusząc się i wymiotując. Kiedy migające mu przed oczyma światełka zaczęły zanikać, podniósł głowę. Skądś dochodziło światło, słabe, ale na tyle mocne, by zobaczył w nim niewyraźne kontury otworu. Jeszcze jeden tunel? A może raczej wejście do głębokiego dołu, jego grobu, w którym niebawem zabraknie mu powietrza?

Z grudki ziemi, na której klęczał, strzelił mały płomień. On był źródłem światła. Kiedy opanował drżenie rąk i nóg, podpełzł do przodu i zorientował się, że jest to czubek jednej z jego pochodni, jedyny kawałek, którego nie przysypała ziemia. Niezwykle ostrożnie wsunął dłonie w sypką ziemię i uwolnił pochodnię. Potem oczyścił z brudu, przeklinając, kiedy poparzył sobie palce. Wreszcie skierował ją w dół tak, by mały płomień mógł objąć dalszą części pochodni; po chwili płomień znacznie się powiększył.

Simon przekonał się, że rzeczywiście znalazł się w innym tunelu. Z jednej strony tunel odchodził w dół, podobnie jak ten, do którego wszedł z kurhanu; lecz ten korytarz nie miał wyjścia do świata ponad nim. Jego koniec znajdował się tuż za nim: było to ogromne usypisko grud i luźnej ziemi. Nie widać było za nim światła ani czegokolwiek innego. Dziura, przez którą mógł tutaj wpaść, była teraz najwyraźniej zasypana.

Drugą rzeczą, jak dostrzegł, był matowy blask metalu w ziemi tuż przed nim. Schylił się i natychmiast poczuł się rozczarowany tym, jak łatwo

przedmiot wysunął się z ziemi i jak był mały. To nie był Biały Gwóźdź. W dłoni trzymał srebrną sprzączkę od pasa.

Simon podniósł do światła umazaną błotem sprzączkę. Oczyściwszy dłonią brud, roześmiał się – bolesny dźwięk ucichł szybko w wąskim korytarzu. A więc dla tego przedmiotu ryzykował swoje życie; to właśnie ta przynęta zwabiła go w głębiny, z których nie było wyjścia. Sprzączka była tak zniszczona, że ledwie można było na niej cokolwiek rozpoznać. Na jej środku widniała jakby głowa zwierzęcia, coś kwadratowego jak niedźwiedź czy świnia; dostrzegł też kilka mniejszych znaków, które mogły być patykami albo strzałami. Sprzączka była stara i bezużyteczna. Nie miała najmniejszego znaczenia.

Simon wbił pochodnię w ziemię i zaczął się wspinać na usypaną górę. Przecież gdzieś tam musi być niebo. Bał się coraz bardziej. Pewnie Binabik kopie z drugiej strony! Ale w jaki sposób troll go znajdzie, jeśli Simon mu nie pomoże? Najpierw osuwał się nieustannie w dół, aż wreszcie znalazł sposób, jak wspinać się, nie zrzucając tak dużo ziemi. Wreszcie znalazł się na tyle wysoko, by dostać dłońmi do usypanej ziemi na końcu tunelu. Zaczął kopać energicznie, ale natychmiast sypała się nowa ziemia, więc kopał jeszcze szybciej. Wbijał głęboko dłonie, zsuwając wielkie zwały i sprowadzając lawinę nowych z góry. Oczy piekły go od łez zmieszanych z kropelkami potu. Nie posunął się ani o krok.

Wreszcie dał za wygraną; stał, drżąc, przysypany do pasa ziemią. Serce biło mu tak szybko, że dopiero po jakimś czasie się zorientował, iż w tunelu pociemniało. Odwróciwszy się, zrozumiał, że przez nieuwagę prawie zasypał swoją pochodnię. Patrzył na nią przerażony, że jeśli teraz zacznie zsuwać się na dół, luźna ziemia przysypie płomień do końca. Nie będzie w stanie zapalić ponownie pochodni, jeśli raz ją zgasi. Wtedy znajdzie się w całkowitej ciemności.

Wysunął nogi najostrożniej, jak mógł, tak jak kiedyś, gdy chwytał żaby w fosie Hayholt.

„Ostrożnie, ostrożnie – upominał sam siebie. – Tylko nie ciemność. Potrzebuję światła. Jeśli stracę światło, nie będą mogli mnie odnaleźć”.

Malutka lawina zsunęła się w dół. Grudki ziemi poleciały sypkim zboczem i zatrzymały się tuż przed płomieniem, który zadrżał. Serce Simona niemal przestało bić.

„Spokojnie, bardzo spokojnie”.

Kiedy jego dłonie znalazły się w ziemi pod pochodnią, wstrzymał oddech. Wypuścił go dopiero wtedy, gdy ją uwolnił. Linia była tak wąska – zaledwie smuga cienia – pomiędzy ciemnością i światłem.

Simon po raz drugi mozolnie oczyścił pochodnię, parząc sobie te same palce i wyrzucając z siebie te same przekleństwa. Potem odkrył, że nóż, który otrzymał od trolli, ma wciąż w pochwie na nodze. Odmówił krótką modlitwę dziękczynną za tę pierwszą oznakę szczęścia i dokończył czyszczenia kościanym ostrzem. Przez moment zastanawiał się, jak długo może palić się pochodnia, ale szybko odepchnął tę myśl. Nie było możliwości wygrzebania się na zewnątrz, co do tego nie miał wątpliwości. Postanowił więc pójść kawałek w dół tunelu i poczekać, aż Binabik i Miriamele dokopią się do niego z góry. Pewnie niedługo to nastąpi. Miał dużo powietrza, lecz kiedy zaczął się nad tym zastanawiać...

Kiedy znowu przechylił pochodnię tak, by objął ją płomień, w dół posypały się kolejne grudki ziemi. Simon, skupiony na źródle światła, nie zwracał na to uwagi, dopiero kolejna porcja osypującej się ziemi zwróciła jego uwagę. Podniósł pochodnię i spojrzał na zasypany koniec tunelu. Ziemia... ruszała się.

Spomiędzy grudek wyrosło coś, co przypominało malutkie drzewko, które rozwijało swoje cienkie gałązki. Chwilę później ukazało się kolejne,

a potem między nimi wyrosła grudka. To była głowa. Ślepe białe oczy zwróciły się w jego stronę, a nozdrza drgnęły. Usta otworzyły się w okropnej karykaturze ludzkiego uśmiechu.

Coraz więcej rąk i nóg wyrastało z ziemi. Simon opadł na kolana, trzymając pochodnię i nóż przed sobą.

– *Bukkeny!* Kopacze! – Poczuł ucisk w gardle.

Było ich kilka. Kiedy wyszły z ziemi, zebrały się ciasno koło siebie, popiskując cicho między sobą; ich wiciowate i owłosione kończyny poruszały się i splatały tak szybko, że nie był w stanie policzyć ich dokładnie. Zamachnął się pochodnią w ich stronę. Kopacze cofnęły się, ale niezbyt daleko. Były ostrożne, ale z pewnością nie przestraszone.

„Usiresie Aedonie – modlił się w duchu. – Jestem pod ziemią z kopaczami. Ocal mnie. Niech ktoś mnie uratuje”.

Ruszyły razem, ale zaraz potem rozdzieliły się, skacząc pod ściany. Simon krzyknął ze strachu i uderzył pochodnią najbliżej stojącego. Kopacz zapiszczał w agonii, lecz mimo to zdołał skoczyć i owinął ręce i nogi wokół nadgarstka Simona; ostre zęby wpiły się w jego ciało, tak że nieomal upuścił pochodnię. Wyjąc z bólu, uderzył z całej siły ramieniem o ścianę, próbując zrzucić stworzenie. Kilka następnych, zachęconych usunięciem ognia, natychmiast posunęło się do przodu.

Simon zamierzył się w jednego i trafił go nożem, rozrywając spleśniałe gałgany, które służyły kopaczom za ubrania, i wbijając ostrze głęboko w ciało. Ponownie uderzył o ścianę drugim ramieniem i poczuł, że drobne kości pękają. Uwieszony u jego nadgarstka kopacz opadł na ziemię, lecz ręka Simona pulsowała, jakby ugryzł go jadowity wąż.

Zaczął się cofać, schodząc powoli po osypującej się ziemi, by nie stracić równowagi, kiedy kopacze znowu zaatakowały. Zatoczył szeroki łuk pochodnią; trzy stworzenia, które jeszcze pozostały na nogach, wpatrywały

się w niego, ich pomarszczone twarze pozostawały nieruchome, usta otwarte w grymasie nienawiści i strachu. Trzy. I dwie skulone postacie w miejscu, w którym klęczał jeszcze niedawno. Czy to znaczy, że było ich tylko pięć...?

Coś opadło z sufitu tunelu na jego głowę. Natychmiast poczuł na twarzy pazury, a dłoń chwyciła za jego górną wargę. Simon wrzasnął i wzniósł ramiona: chwycił wijące się ciało z całych sił i pociągnął. Po chwili oporu oderwało się z kilkoma kosmykami jego włosów w dłoni. Krzycząc przeraźliwie z obrzydzenia i strachu, uderzył ciałem o ziemię, a potem cisnął nim w pozostałe kopacze. Zobaczył jeszcze, jak tamte przewracają się i lecą gdzieś w ciemność, a potem odwrócił się i zaczął wycofywać się w dół tunelu najszybciej jak mógł, przeklinając i plując obficie, by pozbyć się obrzydliwego smaku tłustej skóry kopacza.

W każdej chwili spodziewał się pazurów na swojej nodze. Kiedy odpełzł na pewną odległość, odwrócił się i uniósł pochodnię. Miał wrażenie, że widzi słabe błyski oczu, ale nie był pewien. Odwrócił się i pełzał dalej. Dwukrotnie upuścił pochodnię, ale podniósł ją tak szybko, jakby to jego własne serce wypadło mu z piersi.

WYDAWAŁO SIĘ, ŻE KOPACZE GO NIE ŚCIGAJĄ. Uspokoił się trochę, lecz serce wciąż biło mu szybko. Ziemia pod jego dłońmi i kolanami stawała się coraz bardziej ubita.

Po jakimś czasie zatrzymał się i usiadł. W blasku pochodni nie dostrzegł niczego poza jednostajnym tunelem, ale coś się jednak zmieniło. Spojrzał w górę. Sklepienie znajdowało się o wiele wyżej; z pozycji siedzącej nie mógł już do niego sięgnąć.

Simon odetchnął głęboko, potem jeszcze raz. Nie ruszał się z miejsca, a tylko oddychał miarowo, wyczuwając ulgę w płucach, aż wreszcie uniósł

do góry pochodnię i rozejrzał się ponownie. Rzeczywiście tunel był tutaj wyższy i szerszy. Dotknął ściany, która okazała się nieomal tak twarda jak cegła z błota.

Obejrzawszy się jeszcze raz za siebie, wstał. Sufit znalazł się tuż nad jego głową.

Zmęczony do granic wytrzymałości, uniósł pochodnię i zaczął iść przed siebie. Teraz już wiedział, dlaczego Miriamele i Binabik nie mogli się do niego dokopać. Miał nadzieję, że kopacze nie dopadli Binabika w kurhanie. Nawet przez chwilę nie mógł o tym myśleć! Jego biedny przyjaciel! Dzielny troll! Ale teraz czekały go pilniejsze sprawy.

Tunel przypominał króliczą norę i prowadził nieustannie w dół, w ciemność ziemi. Simon niezwykle pragnął powrócić do światła, poczuć wiatr. Tak bardzo nie chciał być w tym długim i wąskim grobowcu. Ale nie miał wyboru. Był zupełnie, całkowicie sam.

Obolały, odpędzając straszne myśli, zanim znalazły dogodne miejsce w jego równie obolałym umyśle, Simon ruszył ciężkim krokiem w ciemność.

39. Spadające słońce

EOLAIR PATRZYŁ NA SWOICH HERNYSTIRSKICH ŻOŁNIERZY. Z setki tych, którzy wyruszyli z nim z zachodniej ziemi, przeżyło niewielu, ponad czterdziestu. Wszyscy siedzieli skupieni wokół ognisk u podnóża wzgórza pod Naglimundem; ich twarze były posępne, a spojrzenia puste jak wyschnięte studnie.

„Popatrz na tych biedaków, na tych dzielnych ludzi – pomyślał Eolair. – Kto by odgadł, że wygrywaliśmy?” – Hrabia czuł się pozbawiony krwi i odwagi tak jak jego ludzie, równie dobrze mógłby być duchem.

Kiedy Eolair wędrował od jednego ogniska do drugiego, ze wzgórza rozległa się dziwna muzyka. Hrabia zobaczył, jak żołnierze zastygają w bezruchu i zaczynają szeptać niespokojnie między sobą. Ale był to tylko śpiew sithijskich strażników, którzy obchodzili zniszczone mury Naglimundu. Jednak nawet sithijscy sprzymierzeńcy Hernystirczyków byli im na tyle obcy, że poczuli się niepewnie. Nornowie, nieśmiertelni kuzyni Sithów, także śpiewali.

Po dwutygodniowym oblężeniu mury Naglimundu padły, ale jego obrońcy o białej skórze wycofali się do zamku średniego, który okazał się dobrym punktem obrony. W walce brały udział siły, których Eolair nie rozumiał, rzeczy, których nawet najzdolniejszy generał nie byłby w stanie pojąć, a przecież hrabia Eolair, jak siebie często upominał, nie był generałem. Był szlachcicem, trochę niechętnym dworzaninem i zdolnym

dyplomatą. Nic więc dziwnego, że – podobnie jak jego ludziom – wydawało mu się, że płynie unoszony prądem zbyt silnym jak na jego słabe umiejętności.

Nornowie zorganizowali obronę, głównie korzystając – jak to później opisał mu Jiriki – z czystej magii. Odśpiewali *Pieśń Niepewności*. Używano też Sztuki Cienia. Zamek nie mógł zostać pokonany, dopóki nie zrozumiano pieśni i nie rozwikłano cieni. W tym samym czasie nad ich głowami rozpętała się na krótko burza, która potem się wycofała. Kiedy indziej, gdy niebo się przejaśniało, błyskały pioruny i rozlegały się grzmoty. Mgły, które spowiły twierdzę Naglimund, czasem wydawały się twarde niczym diamenty; czasem skrzyły się jak szkło, a kiedy indziej przybierały barwę krwi albo atramentu, wysuwając macki wysoko ponad mury, jakby chciały pochwycić w szpony niebo. Eolair wciąż prosił o wyjaśnienia, ale dla Jirikiego to, co robili Nornowie, a także jego ludzie, było czymś tak naturalnym jak stosowanie drewnianych zapór czy machin oblężniczych; ponadto określenia Sithy niewiele mówiły Eolairowi, tak że mógł tylko kręcić głową przestraszony i zdumiony. Razem ze swoimi ludźmi znalazł się w bitwie olbrzymów i czarnoksiężników, o jakich opowiadały stare pieśni. To nie było miejsce dla śmiertelników i oni o tym wiedzieli.

Spacerując w zamyśleniu wśród swoich ludzi, hrabia powrócił wreszcie do swojego ogniska.

– Eolairze – powitał go Isorn – zachowałem dla ciebie kilka ostatnich łyków. – W dłoni trzymał bukłak z winem.

Eolair napił się trochę, bardziej z poczucia braterstwa niż z prawdziwego pragnienia. Nigdy nie pił dużo, szczególnie wtedy, gdy miał coś do zrobienia: trudno było zachować trzeźwy umysł na obcych dworach, kiedy obfite obiady popijano ogromną ilością trunków.

– Dziękuję. – Zgarnął śnieg z kłody i usiadł na niej, przysuwając stopy do ognia. – Jestem zmęczony – powiedział cicho. – Gdzie jest Maegwin?

– Wcześniej spacerowała. Ale teraz z pewnością już śpi. – Isorn wskazał na stojący niedaleko namiot.

– Nie powinna sama chodzić – powiedział Eolair.

– Był z nią jeden z ludzi. Poza tym nie odchodzi daleko. Wiesz, że nie pozwoliłbym na to nawet ze strażą.

– Wiem. – Eolair pokręcił głową. – Ale ona jest tak chora duchem; widok pola walki może na nią źle podziałać. Szczególnie takiego pola walki. – Wskazał dłonią na zbocze i śnieg, lecz Isorn dobrze wiedział, że hrabia nie ma na myśli ani terenu, ani pogody.

Młody Rimmersman wzruszył ramionami.

– Owszem, jest szalona, ale chwilami bywa spokojniejsza od mężczyzn.

– Nie mów tak! – warknął Eolair. – Ona nie jest szalona! – Wciągnął głęboko powietrze.

Isorn spojrzał na niego łagodnym wzrokiem.

– Eolairze, jeśli to nie jest szaleństwo, to co? Mówi, jakby znalazła się w krainie naszych bogów.

– Czasem się zastanawiam, czy ona nie ma racji.

Isorn uniósł ramię, tak by ogień zatańczył na nierównej prędze biegnącej od jego nadgarstka do łokcia.

– Jeśli to jest niebo, to duchowni z Elvritshalli zwiedli mnie. Ale jeśli już nie żyjemy, to chyba nie mamy się czego obawiać. – Uśmiechnął się.

Eolair zadrżał.

– To mnie właśnie niepokoi. Ona uważa, że nie żyje, Isornie! W każdej chwili może wejść w środek bitwy, tak jak zdarzyło się to za pierwszym razem, kiedy się nam wymknęła...

Isorn położył szeroką dłoń na jego ramieniu.

– Nie wydaje mi się aż tak szalona. Może i nie jest aż tak przerażona jak nasi ludzie, ale nie można też powiedzieć, że się nie boi. Nie lubi tego cholernego zamku i obrzydliwych, białych potworów tak samo jak my. Dotąd była bezpieczna i będzie tak dalej. Nie masz już innych zmartwień?

Hrabia uśmiechnął się smutno.

– Widzę, Isornie, synu Isgrimnura, że zamierzasz przejąć dzieło ojca.

– Nie rozumiem.

– Widziałem, co twój ojciec robi dla Josui. Bierze na ręce księcia wtedy, gdy ten chce się położyć, łaskocze go i śpiewa mu piosenki, kiedy księciu zbiera się na płacz. A zatem będziesz moim Isgrimnurem?

Rimmersman uśmiechnął się szeroko.

– Ja i mój ojciec jesteśmy prostymi ludźmi. Nie mamy takich umysłów, jak twój czy księcia, by martwić się tyle.

Eolair prychnął i sięgnął po bukłak.

JUŻ TRZECIĄ NOC Z RZĘDU HRABIEMU ŚNIŁA SIĘ ostatnia z bitew, jaka rozegrała się wewnątrz murów Naglimundu; nawet najbardziej bujna wyobraźnia nie potrafiłaby wywołać koszmaru równie żywego i przerażającego.

Była to wyjątkowo straszliwa potyczka. Hernystirczycy, ubrani w maski z materiału natartego sadłem lub żywicą, mające obronić ich przed wywołującym szaleństwo pyłem Nornów, przybrali wygląd równie groźny jak pozostali uczestnicy walki; ci spośród śmiertelników, którzy przeżyli pierwsze dni oblężenia, walczyli teraz z przepełnioną strachem determinacją, wiedząc, że tylko zwycięstwo pozwoli im ujść stamtąd z życiem. Główne walki rozegrały się w wąskich przejściach pomiędzy

spalonymi i kruszącymi się budynkami oraz w zmrożonych zimą ogrodach, tam, gdzie Eolair spacerował kiedyś z damami dworu księcia Josui w ciepłe wieczory.

Kurcząca się armia Nornów broniła zajętej cytadeli ze ślepym zapamiętaniem: Eolair widział, jak jeden z nich rzucił się do przodu, nabijając się głębiej na miecz przeciwnika, by dostać go w swoje szpony i zabić, zanim sam padł, tryskając krwią.

Większość spośród olbrzymów także już poległa, lecz każdy z nich zebrał bogate żniwo wśród śmiertelników i Sithów. We śnie zmuszony był ponownie patrzeć, jak jedna z ogromnych bestii chwyta Ulego Frekkesona, jednego z nielicznych Rimmersmenów, którzy przyłączyli się do wojska Eolaira, i kręcąc nim, miażdży mu głowę o mur, jakby zabijała kota. Kiedy otoczyło go trzech Sithów, olbrzym potrząsnął w ich stronę zmasakrowanym ciałem, a potem użył go jako maczugi. Zdążył zabić jednego z Sithów, zanim włócznie dwóch pozostałych utkwiły w jego sercu.

Wijąc się bezradnie w uścisku snu, Eolair patrzył na poniewierane ciało Ulego, nieomal rozrywane na strzępy...

Obudził się drżący, z sercem tłukącym się w jego piersi, tak jakby za chwilę miało z niej wyskoczyć. Przycisnął dłonie do skroni, w nadziei, że przyniesie mu to ulgę. Jak można oglądać takie rzeczy i pozostać przy zdrowych zmysłach?

Czyjaś dłoń dotknęła jego nadgarstka.

Przerażony, rzucił się w bok, sięgając po miecz. W wejściu do jego namiotu pojawił się wysoki cień.

– Spokojnie, hrabio Eolairze – powiedział Jiriki. – Przepraszam, że cię przestraszyłem. Wołałem z zewnątrz, ale nie odpowiadałeś, więc pomyślałem, że śpisz. Wybacz, że cię nachodzę.

Eolair poczuł ulgę, ale był zły i zawstydzony.

– Czego chcesz?

– Wybacz, proszę. Przychodzę, gdyż jest to ważne, a czasu mamy mało.

Hrabia potrząsnął głową i wciągnął wolno powietrze.

– O co chodzi? Czy coś się stało?

– Likimeya prosi, abyś przyszedł. Wszystkiego się dowiesz. – Uniósł klapę wejścia i wszedł. – Przyjdziesz? Zaczekam, aż się ubierzesz.

– Tak, oczywiście.

Hrabia poczuł pewną dumę. Likimeya posłała po niego swojego syna, a ponieważ wiedział, że Jiriki zajmuje się najistotniejszymi rzeczami, więc rzeczywiście musiało to być coś ważnego. Natychmiast jednak przyszło mu do głowy coś innego: czy mogło być aż tak źle, że zdecydowali się uciec do pomocy przywódcy kilkudziesięciu przerażonych śmiertelnych wojowników? Był przekonany, że wygrywają oblężenie.

Potrzebował zaledwie kilku chwil, by zapiąć pas, wciągnąć buty i okryć się futrzanym płaszczem. Poszedł za Jirikim przez zasnuty mgłą wierzchołek wzgórza. Idąc, zastanawiał się, jak to jest możliwe, że Sitha – prawie tak wysoki i potężny w barach jak on – zostawia na śniegu ledwo widoczne ślady, gdy tymczasem jego buty kruszą białą skorupę, zapadając się głęboko.

Eolair spojrzał w górę na Naglimund, podobny do skulonej, rannej bestii. Trudno było uwierzyć, że kiedyś w tym miejscu ludzie tańczyli, rozmawiali i kochali się. Dwór księcia Josui uważany był przez niektórych raczej za ponury. Niechby ci, którzy z niego szydzili, zobaczyli teraz, co znaczy słowo *ponury*.

Jiriki prowadził hrabiego między cienkimi jak pajęczyna namiotami, które lśniły na tle śniegu, jakby nasiąkły blaskiem księżyca. Chociaż do świtu było jeszcze daleko, wielu spośród Sithów znajdowało się na zewnątrz; niektórzy stali zebrani w małe grupki i patrzyli w niebo, inni

siedzieli na ziemi, cicho śpiewając. Ale żaden z nich nie zwracał uwagi na mroźny wiatr, przed którym tak bronił się Eolair, otulony szczelnie płaszczem. Miał nadzieję, że w namiocie Likimeyi rozpalili ogień, chociażby ze względu na kruchość śmiertelnego gościa.

CHCEMY SPYTAĆ CIĘ O MIEJSCE, które wy nazywacie Naglimundem, hrabio Eolairze. – Słowa Likimeyi zabrzmiały nieomal jak rozkaz.

Eolair odwrócił się od ognia i stanął naprzeciw Jirikiego, jego matki i wysokiego, czarnowłosego Kuroyi.

– Czy mogę wam jeszcze coś powiedzieć ponad to, co już wam przekazałem? – Hrabia poczuł złość na myśl o niezrozumiałych zwyczajach Sithów, lecz zaraz o niej zapomniał, widząc twarde i niewzruszone spojrzenie Likimeyi. – Czy trochę nie za późno na takie pytania? Oblężenie zaczęło się dwa tygodnie temu.

– Nie chodzi nam o wysokość murów i głębokość studni. – Jiriki usiadł obok Eolaira; jego cienka koszula migotała w blasku ognia. – Wiele nam już powiedziałeś, co bardzo pomogło.

– Byłeś w Naglimundzie, kiedy panował tutaj książę Josua. – Likimeya mówiła szybko, jakby zniecierpliwiona dyplomatycznymi wstępami swojego syna. – Czy on ma tajemnice?

– Tajemnice? – Eolair pokręcił głową. – Czuję się zupełnie zagubiony.

– To nie jest w porządku wobec śmiertelnika. – Kuroyi mówił z pozbawioną wszelkich uczuć rezerwą, która była wyjątkowa nawet jak na Sithę. – Zasługuje na to, żeby wiedzieć więcej. Gdyby żyła Zinjadu, powiedziałaby mu. Ale ponieważ zawiodłem moją przyjaciółkę i teraz ona podróżuje z Przodkami, więc ja zajmę jej miejsce jako ten, który przekazuje wiedzę. – Zwrócił się do Likimeyi: – Jeśli, oczywiście, zgadza się Dom Tańczącego Roku.

Likimeya wydała jakiś dźwięk i poruszyła dłonią na znak zgody.

– Jiriki i-Sa’oserei wspominał ci o Ścieżce Snów, hrabio Eolairze, czy tak? – spytał Kuroyi.

– Tak, trochę mi o tym opowiadał. Poza tym wśród nas, Hernystirczyków, wciąż krąży wiele opowieści o waszym ludzie. Są tacy, którzy twierdzą, że potrafią chodzić Ścieżką Snów, tak jak nauczyliście tego naszych przodków. – Pomyślał ze smutkiem o wróżbitce Diawen, która miała być nauczycielką Maegwin: nawet jeśli niektórzy Hernystirczycy posiadali podobną moc, to niewiele miała ona wspólnego z odpowiedzialnością i zdrowym rozsądkiem.

– W takim razie z pewnością wspominał też o Świadkach: przedmiotach, które ułatwiają nam podróż. – Kuroyi zawahał się, lecz zaraz sięgnął pod mlecznobiałą koszulę i wyjął okrągły półprzeźroczysty, żółtawy przedmiot, który skupiał blask ognia niczym bursztynowa kula czy też kula z roztopionego szkła. – Podobnie jak większość innych, jest on dzisiaj bezużyteczny. Ścieżka Snów pozostaje niedostępna, tak jak ziemska droga zasypana w czasie śnieżycy. Ale istnieją też i inni Świadkowie, więksi. Są to przedmioty o większej mocy, których nie można przenosić i które są związane z miejscem. Nazywa się je Wielkimi Świadkami, gdyż potrafią one patrzeć na wiele miejsc i rzeczy. Widziałeś jeden z nich.

– Czerep?

Kuroyi skinął głową.

– Tak, w Mezutu’a. Były też i inne, ale zginęły wśród zmian czasu i ziemi. Jeden z nich spoczywa pod zamkiem waszego wroga Króla Eliasa.

– Pod Hayholt?

– Tak. Nosi nazwę Stawu Trzech Głębin. Od wieków jednak pozostaje suchy i milczący.

– Czy to ma coś wspólnego z Naglimundem? Czy coś takiego znajduje się i tutaj?

Kuroyi uśmiechnął się chłodno.

– Nie mamy pewności.

– Nie rozumiem – powiedział hrabia. – Jak możecie nie być pewni?

Sitha uniósł długą dłoń.

– Spokojnie, hrabio. Pozwól mi skończyć. Jak na możliwości Urodzonych w Ogrodzie moja opowieść jest krótka.

Eolair poruszył się na swoim miejscu; cieszył się, że siedzi przy ogniu, gdyż maskował on nieco jego rumieniec wstydu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wśród tych istot dawał się tak łatwo zastraszyć, jakby długie lata dyplomacji nic nie znaczyły.

– Wybacz.

– W Osten Ard zawsze istniały takie miejsca – podjął swoją opowieść Kuroyi – które działają podobnie jak Wielcy Świadkowie, ale w których nie ma samych Świadków. To znaczy, odczuwalne są tam efekty; w rzeczywistości niektóre z tych miejsc posiadają większą moc niż jakikolwiek Świadek, lecz nie ma tam żadnych przedmiotów za nie odpowiedzialnych. Odkąd przybyliśmy na tę ziemię, badamy podobne miejsca, w nadziei, że znajdziemy odpowiedzi na nasze pytania dotyczące Świadków i tego, dlaczego robią to, co robią; że znajdziemy odpowiedzi na pytania dotyczące śmierci, a nawet Niebytu, który sprawił, że opuściliśmy naszą ziemię.

– Wybacz, że przerywam – powiedział Eolair. – Ale ile takich miejsc istnieje? I gdzie one się znajdują?

– Wiemy zaledwie o kilku między Nascadu a północnym Pustkowiem. Nazywamy je *A-Genay'asu'e*, co można tłumaczyć jako Domy Podróżowania Poza. Nie tylko my, Urodzeni w Ogrodzie, wyczuwamy moc

tych miejsc: one przyciągają także śmiertelników, takich, którzy szukają tego, co jest poza wiedzą, oraz innych szaleńców. Jednym z takich miejsc jest góra niedaleko Asu'a, którą śmiertelni nazywają Thisterborg.

– Znam to miejsce. – Eolair zadrżał na wspomnienie czarnych sań i białych kozłów. – Wasi kuzyni, Nornowie, także dobrze je znają. Widziałem ich tam.

Kuroyi nie wyglądał na zaskoczonego.

– My, Urodzeni w Ogrodzie, interesowaliśmy się tymi miejscami, jeszcze zanim nasze rodziny się rozdzieliły. Hikeda'ya, podobnie jak my, próbowali wykorzystać moc takich miejsc, lecz moc ta jest równie dzika i nieprzewidywalna jak wiatr.

Eolair zastanawiał się przez moment.

– A zatem w Naglimundzie nie ma Wielkiego Świadka, lecz raczej jedna z tych rzeczy... Wychodzenia? Nie pamiętam, jak je nazwałeś.

Jiriki spojrzał na matkę i uśmiechnął się, kiwając głową. Eolair poczuł zniecierpliwienie: czy śmiertelnik, który potrafi słuchać i myśleć jednocześnie, jest czymś tak niezwykłym?

– *A-Genay'asu*. Tak przypuszczamy – powiedział Kuroyi. – Ale dowiedzieliśmy się o tym późno i nie mieliśmy okazji sprawdzić tego przed pojawieniem się śmiertelników.

– Przed ich pojawieniem się z żelaznymi włóczniami. – Miękki głos Likimeyi zabrzmiał jak cichy trzask, który poprzedza uderzenie bicza.

Zaskoczony dobitnością jej słów, Eolair podniósł wzrok, lecz zaraz skierował go w stronę łagodniejszego oblicza Kuroyi.

– Zarówno Zida'ya, jak i Hikeda'ya przychodzili do tego miejsca jeszcze po tym, jak ludzie wybudowali zamek Naglimund – wyjaśnił czarnowłosy Sitha. – Nasza obecność przepełniała strachem śmiertelników, chociaż widywali nas tylko w blasku księżyca, a i to nieczęsto. Człowiek,

który sprawował tutaj rządy w imieniu Imperatora, naszpikował pola dookoła żelazem, od którego to miejsce otrzymało nazwę: Żelazny Fort.

– Wiedziałem, że gwoździe miały powstrzymać Lud Sprawiedliwych: tak was nazywamy – powiedział Eolair. – Ale nie mogłem zrozumieć, po co takie środki obrony, skoro twierdzę wybudowano w czasach pokoju między naszymi ludami.

– Może śmiertelnik o imieniu Aeswides czuł się zawstydzony faktem, że wkroczył na nasze ziemie i wybudował twierdzę tak blisko naszego miasta Da’ai Chikiza, które znajduje się po drugiej stronie wzgórz. – Kuroyi wskazał na wschód. – Może bał się, że pewnego dnia powrócimy, by odebrać to miejsce, albo obawiał się, że ci spośród nas, którzy wciąż odwiedzali twierdzę, są szpiegami. Kto wie? W rzeczywistości coraz rzadziej wypuszczał się poza bramy zamku i zmarł w samotności; podobno bał się nawet opuszczać swą dobrze strzeżoną komnatę z obawy przed tym, co nieśmiertelni mogliby mu zrobić. – Na ustach Sithy znowu pojawił się chłodny uśmiech. – A teraz, chociaż świat i tak pełen jest okropieństw, śmiertelni wydają się szukać nowych zmartwień.

– I wciąż nie zapominamy o starych. – Eolair odwzajemnił uśmiech. – Gdyż wiemy, że na dłuższą metę najlepsze jest to prawdziwe i już sprawdzone, jak stary dobry płaszcz. Ale chyba nie po to mnie wezwaliście, żeby opowiedzieć mi o dawno zmarłym śmiertelniku.

– Nie – przyznał Kuroyi. – Ponieważ zostaliśmy wypędzeni z tej ziemi w czasach, w których uznaliśmy, że lepiej będzie pozwolić śmiertelnym budować tam, gdzie chcą, dlatego niektóre pytania dotyczące tego miejsca pozostały bez odpowiedzi.

– I teraz musimy na nie odpowiedzieć, hrabio Eolairze – wtrąciła Likimeya. – Tak więc powiedz nam: czy to miejsce zwane Naglimundem

znane jest wśród śmiertelników z jakichś dziwnych przyczyn? Może dziwne wydarzenia? Zjawy? Pojawiające się dusze zmarłych?

Hrabia zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Muszę przyznać, że o niczym takim nie słyszałem. Istnieje wiele innych miejsc, niektóre w pobliżu mojego domu, o których mógłbym opowiadać wam całymi dniami. Ale nie Naglimund. A książę Josua zawsze interesował się wiedzą z przeszłości, dlatego jestem przekonany, że gdyby istniały jakieś opowieści, nie omieszkałby o tym wspomnieć. – Pokręcił głową. – Przepraszam, że tyle mówię, choć nic z tego nie wynika.

– My jednak uważamy, że to miejsce jest *A-Genay'asu* – powiedział Jiriki. – Spodziewaliśmy się tego jeszcze przed upadkiem Asu'a. Hrabio Eolairze, pewnie jesteś spragniony, pozwól.

Hernystirczyk z wdzięcznością przyjął kolejny kielich zaprawionego korzeniami... czegoś; miało to smak kwiatów i przyjemnie rozgrzewało.

– W każdym razie – powiedział, popijając napój – jakie znaczenie może mieć fakt, że Naglimund jest takim miejscem?

– Nie jesteśmy pewni. Jest to jedna z rzeczy, które nas niepokoją. – Jiriki usiadł naprzeciwko Eolaira i uniósł dłoń. – Mieliśmy nadzieję, że Hikeda'ya przybyli tutaj po to tylko, żeby spłacić swój dług wobec Eliasa, i że zostali tutaj, gdyż jest to stacja odpoczynkowa pomiędzy Burzową Górą a zamkiem, który stoi na kościach Asu'a.

– Ale już tak nie uważacie. – Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie.

– Nie. Nasi kuzyni bronią się zbyt zawzięcie; już dawno minął czas, kiedy mogli zyskać coś swym oporem. To nie jest ostateczne spotkanie. Bez względu na to, jak bardzo nienawidzi nas Utuk'ku, jej gniew nie jest ślepy. Nie poświęcałaby tylu Dzieci Chmur dla bezużytecznych ruin.

Eolair niewiele słyszał o Królowej Nornów Utuk’ku, lecz wystarczyło to, co wiedział, by jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– A zatem czego ona chce? Czego *oni* chcą?

Jiriki pokręcił głową.

– Chcą pozostać w Naglimundzie. Tego jesteśmy pewni. I okropnie trudno będzie ich stąd wypędzić. Obawiam się o ciebie i twoich pozostałych jeszcze przy życiu żołnierzy. Obawiam się o nas wszystkich.

Nagle straszna myśl przyszła hrabiemu do głowy.

– Wybacz, gdyż nie znam się na tym, choć teraz może trochę lepiej, niżbym tego pragnął, ale powiedziałeś, że te miejsca Poza miały coś wspólnego z tajemnicą... z tajemnicą śmierci?

– Wszystkie tajemnice pozostają jedną, dopóki nie zostaną rozwiązane – powiedział Kuroyi. – Owszem, próbowaliśmy nauczyć się czegoś więcej o Śmierci i Niebycie z *A-Genay’asu’e*.

– Nornowie, z którymi walczymy, są żywymi istotami, ale nie ich pan. Czy to możliwe, by próbowali przywrócić Króla Burz do życia?

Nie rozległy się kpiące śmiechy, ale i nie zapadła pełna zdumienia cisza.

– Myśleliśmy już o tym – odpowiedziała Likimeya spokojnie. – To nie może się zdarzyć.

– Ineluki nie żyje. – Kuroyi mówił nieco ciszej, ale równie stanowczo. – Istnieje wiele rzeczy, których nie znamy dobrze, lecz nie można tego powiedzieć o śmierci. A zatem Ineluki nie żyje i nie może powrócić na ten świat.

– Ale mówiłeś, że on jest w Burzowej Górze. – Eolair zwrócił się do Jirikiego. – Mówiłeś, że Nornowie mu służą. Czy w takim razie walczymy z czymś urojonym?

– Rzeczywiście, jest to skomplikowane – odparł Jiriki. – Ineluki, chociaż w rzeczywistości nie jest to już Ineluki, istnieje tak samo, jak

istnieje sen. Mściwy, zły sen, który posiada chytrość Króla Burz za życia, a także całkowitą wiedzę tajemną, jakiej nie posiadła żadna inna istota... ale mimo wszystko jest on tylko snem. Uwierz mi. Tak jak my chodzimy po Ścieżce Snów, na której widzimy i czujemy, tak on potrafi rozmawiać ze swoimi sługami w Nakkidze poprzez Oddychającą Harfę, jednego z największych Świadków, chociaż myślę, że tylko Utuk'ku posiada umiejętność porozumiewania się z nim. Tak więc nie jest on czymś rzeczywistym na tym świecie, hrabio Eolairze. – Wskazał na ścianę namiotu. – Nie jest czymś takim jak ten materiał, jak ziemia pod naszymi stopami. Ale nie znaczy to, że nie może on wyrządzić ogromnego zła... Utuk'ku i jej słudzy są wystarczająco prawdziwi.

– Wybacz mi mój upór – powiedział Eolair – ale tyle się dzisiaj nasłuchałem. Skoro Ineluki nie może powrócić, to dlaczego Nornowie tak zawzięcie bronią Naglimundu?

– Na to właśnie pytanie musimy odpowiedzieć – wtrącił cicho Jiriki. – Może liczą na to, że lepiej usłyszą pana poprzez *A-Genay'asu*. Może chcą w jakiś szczególny sposób wykorzystać jego moc. Ale nie ulega wątpliwości, że zależy im na tym miejscu. Jest tutaj jeden z Czerwonej Dłoni.

– Czerwona Dłoń? Słudzy Króla Burz?

– Jego najlepsi słudzy, gdyż, podobnie jak on, przeszli przez śmierć do sfer zewnętrznych. Ale oni nie mogą zaistnieć w tym świecie bez ogromnego zużycia jego mocy w chwili, kiedy się ucieleśniają, gdyż są podobnym zaprzeczeniem śmierci jak i on. Dlatego kiedy jeden z nich zaatakował nas w Jao e-Tinukai'i, wiedzieliśmy, że nadszedł czas działania. Ineluki i Utuk'ku musieli być bardzo zdesperowani, by zużyć tyle siły po to, żeby zabić Amerasu. – Zamilkł. Eolair siedział, starając się zapamiętać

obce mu imiona. – Kiedy indziej ci to wyjaśnię, hrabio Eolairze. – Jiriki wstał. – Jesteś pewnie zmęczony. Zabraliśmy ci dużo snu.

– Jeden z Czerwonej Dłoni jest tutaj? Widzieliście go?

Jiriki wskazał na ognisko.

– Czy trzeba dotknąć ognia, żeby się przekonać, że parzy? On jest tutaj i dlatego nie udało nam się pokonać ich obrony, dlatego musimy burzyć kamienne mury i walczyć mieczem i włócznią. W sercu Naglimundu płonie ogromna część mocy Inelukiego. Ale choć jest silny, jego moc ma swoje granice. On osłabł. Dlatego musi być jakiś powód, dla którego chce pozostawić to miejsce w rękach Hikeda'ya.

Eolair także wstał. Dziwne nazwy i imiona mieszały mu się w głowie; rzeczywiście potrzebował snu.

– A zatem, może zadanie Nornów ma jakiś związek z Czerwoną Dłonią – powiedział hrabia. – Może...

Jiriki uśmiechnął się smutno.

– Zaraziliśmy cię naszą plagą „może", hrabio Eolairze. Mieliśmy nadzieję, że udzielisz nam jakichś odpowiedzi, a zamiast tego obarczyliśmy cię tylko ogromnym ciężarem pytań.

– Nigdy ich nie brakowało od chwili śmierci Króla Johna. – Ledwie powstrzymał ziewanie. – Nie dziwi mnie to. – Roześmiał się. – Co ja mówię! Można oszaleć od tego! Ale nie jest to aż tak niezwykłe jak na dzisiejsze czasy.

– Rzeczywiście – przyznał Jiriki.

Eolair skłonił się w stronę Likimeyi, skinął głową Kuroyi o kamiennej twarzy i wyszedł na mroźny wiatr. Myśli jak muchy tłukły mu się w głowie, ale wiedział, że na razie nie potrafi ich wykorzystać. Spać, chciało mu się spać. Może przy odrobinie szczęścia uda mu się przespać dalszą część tego przeklętego oblężenia.

MAEGWIN WYMKNĘŁA SIĘ CICHO Z NAMIOTU, kiedy strażnik rozmawiał przy ognisku z jednym ze swych towarzyszy; wydawał się dość smutny i obdarty jak na kogoś, kto dostąpił łaski Niebios, ale nie jej było kwestionować decyzje bogów. Teraz stała w cieniu kępy drzew, oddalona o jakieś sto łokci w dół zbocza od pokruszonych murów Naglimundu. Nad jej głową wznosiła się przysadzista postać kamiennej twierdzy. Wiatr sypnął śniegiem na jej buty, kiedy patrzyła w górę.

„Scadach – pomyślała. – Dziura w Niebiosach. Ale co znajduje się za nią?”

Widziała już demony, które wyłoniły się z Zewnętrznej Ciemności – okropne, trupio białe istoty i kudłate ogry – i oglądała ich walkę z bogami i garstką martwych śmiertelników. Było dla niej jasne, że bogowie chcieli zaleczyć tę ranę w niebiańskim ciele, tak aby już więcej zła się z niej nie wysączyło. Przez chwilę wydawało się, że bogowie wygrają bez trudu. Ale teraz nie była już tak pewna.

We wnętrzu Scadach *coś* było. Coś ciemnego i odrażająco silnego, coś, co było puste pustką płomienia, a mimo to wyczuwało się w nim drzemiące życie. Wyczuwała je, nieomal słyszała przerażające myśli; nawet niewielka tylko część tych rozmyślań, które otarły się o jej umysł, wypełniła ją rozpaczą. W myślach tych jednak pobrzmiewała jednocześnie jakaś znajoma nuta, bez względu na to, co czaiło się w Scadach, jakie nieszczęście płonęło gniewnie w jej głębinach. Czuła dziwne przyciąganie, jakby wzywał ją tajemniczy bliźniak: ta przerażająca istota była bardzo do niej podobna.

Ale co to mogło oznaczać? Cóż za szalona myśl! Co mogło się znajdować w tym mściwym, natrętnym ogniu, co było podobne do niej, śmiertelnej kobiety, królewskiej córki, zamordowanej ukochanej bogów, której pozwolono jeździć z nimi po niebiańskich polach?

Maegwin stała w śniegu nieruchoma, milcząca, pozwalając ogarnąć się niezrozumiałym myślom istot ze Scadach. Czuła ich wrzawę. Nienawiść. Tak, czuła nienawiść; nienawiść i coś jeszcze. Nienawiść żyjących połączoną z ogromną tęsknotą do ciszy i śmierci.

Zadrżała. Jak może być tak zimno w niebiosach, nawet na ich ciemnych obrzeżach?

„Ale ja nie tęsknię za śmiercią! Może tak było, kiedy jeszcze żyłam. Ale teraz mam to już za sobą. Ponieważ umarłam, a bogowie zabrali mnie do siebie. Dlaczego wciąż czuję to tak mocno? Przecież nie żyję. Już się nie boję tak jak kiedyś. Spełniłam swój obowiązek i sprowadziłam bogów, aby uratowali mój lud – nikt nie zaprzeczy, że tego nie dokonałam. Nie rozpaczam już za ojcem i bratem. Nie żyję i nic nie może mnie skrzywdzić. Nie mam nic wspólnego z tym... z tą rzeczą w ciemności, za ścianami z niebiańskiego kamienia. – Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. – Ale gdzie jest mój ojciec? A Gwythinn? Czy oni nie zginęli bohaterską śmiercią? Z pewnością bogowie także ich zabrali do siebie, tak jak i mnie. Z pewnością pragnęli walczyć tutaj, po stronie Panów Niebios? A zatem gdzie oni są?”

Maegwin patrzyła przed siebie zdumiona. Znowu zadrżała. Tutaj było przeraźliwie zimno. Czy to jakaś sztuczka bogów? Czy musiała przejść jeszcze jakąś próbę, zanim będzie mogła połączyć się z ojcem i bratem oraz swoją dawno zmarłą matką Penemhwye?

Pogrążona w myślach, Maegwin odwróciła się i ruszyła śpiesznie w dół zbocza w kierunku świateł pozostałych bezdomnych dusz.

PONAD PIĘCIUSET PIKINIERÓW Z METESSY stało ramię przy ramieniu w przejściu przełęczy Onestrine z tarczami uniesionymi nad głowy, przez co wydawało się, że jakiś ogromny wij zaklinował się

w gardle pomiędzy skałami. Ludzie barona ubrani byli w pancerze z wyparzanej skóry i żelazne hełmy, wytarte i pocięte od długiego użytkowania. Nad nimi powiewał proporzec z Żurawiem.

Nabbańscy łucznicy, rozstawieni wzdłuż wąwozu, wypuścili w niebo rój strzał. Większość odbiła się od tarczowego dachu, lecz niektóre z nich znalazły w nim dziury. Jednak wszędzie tam, gdzie padł Metessanin, towarzysze natychmiast zajmowali jego miejsce.

– Łucznicy ich nie złamią! – zawołał Sludig z ożywieniem. – Varellan musi zaatakować! Na Aedona, ludzie barona to dzielne bękarty! – Odwrócił się do Isgrimnura z błyskiem w oku. – Josua dobrze dobiera sprzymierzeńców!

Książę przytaknął Sludigowi, chociaż nie podzielał jego radości. Stojąc z najlepszym oddziałem Josui, który otrzymał nazwę gwardii nadwornej – dziwne określenie jego zdaniem, gdyż Josua nie miał dworu – Isgrimnur pragnął tylko jednego: żeby skończyła się walka. Był już zmęczony wojną.

Patrzył na zwężającą się dolinę i nagle zobaczył, że prążkowane wzgórza po obu stronach przypominają żebra, Szlak Anitulleana był mostkiem. Kiedy Prester John odniósł swoje zwycięstwo w tej samej dolinie Frasilis ponad pięćdziesiąt lat temu, mówiono, że poległo tylu ludzi, że ich ciała leżały tam jeszcze długie miesiące po bitwie. Przełęcz i otwartą przestrzeń na północ od niej zalegały kości, a niebo pociemniało od padlinożernych ptaków.

„I jaki był z tego pożytek? – zastanawiał się. – Nie minęło nawet jedno pokolenie i znowu tutaj jesteśmy, znowu szykujemy ucztę dla sępów. Ciągle to samo. Mam już tego dość”.

Wiercił się nerwowo w siodle, patrząc wzdłuż przełęczy. Pod nim stały szeregi nowych sprzymierzeńców księcia; ich lśniące w południowym słońcu proporce przedstawiały Gęś, Bażanta, Mewę i Kuropatwę. Sąsiedzi

Seriddana nie ociągali się długo z decyzją: wszyscy mieli dość księcia Benigarisa, a poza tym trudno było zignorować obecność wskrzeszonego Camarisa.

Isgrimnur zastanawiał się, jakie dziwne koło zatoczyły wydarzenia. Na czele wojsk Josui stał człowiek, który podobno umarł dawno temu, a miały one stoczyć bitwę w tym samym miejscu, w którym Prester John, ojciec Josui i najbliższy przyjaciel Camarisa odniósł swoje największe zwycięstwo. „To powinno być dobrym znakiem” – pomyślał Isgrimnur, lecz zaraz poczuł, że przeszłość wyciąga łapę, by wycisnąć życie z teraźniejszości, jakby Historia była ogromnym, zazdrosnym potworem, który chce wszystko, co następuje, zamienić w żałosną imitację.

„To nie jest życie dla starca. – Książę westchnął. Sludig nie zwracał na niego uwagi, zajęty wydarzeniami na polu bitwy. – Żeby prowadzić wojnę, trzeba wierzyć, że ona do czegoś prowadzi. Tę prowadzimy po to, żeby uratować królestwo Johna, a może całą ludzkość... tylko czy nie myślimy tak zawsze? Że wszystkie wojny są bezużyteczne z wyjątkiem naszej? – Ścisnął mocniej cugle. Plecy już mu zesztywniały i bolały, a jeszcze nic się nie zaczęło. Kvalnir wisiał w pochwie u jego boku; nie dotykał miecza od chwili, kiedy go ostrzył, nie mogąc zasnąć w nocy. – Jestem po prostu zmęczony – pomyślał. – Chcę odzyskać Elvritshallę. Chcę zobaczyć wnuki. Chcę porozmawiać z żoną nad Gratuvask, kiedy pękają lody. Ale nie będę miał niczego, dopóki nie skończy się ta przeklęta walka. Tak, dlatego to robimy. Ponieważ mamy nadzieję, że przyniesie nam to pokój. Ale tak nigdy nie jest...”

Rozległ się okrzyk Sludiga. Isgrimnur podniósł wzrok, zaskoczony, lecz był to okrzyk radości.

– Patrz! Camaris i jego jeźdźcy zaraz na nich spadną!

Kiedy okazało się, że strzały nie przebiją tarczy Metessan, Varellan zarządził kolejną szarżę swoich rycerzy. Siły Varellana natarły na wojska księcia, spychając je w głąb doliny, gdy tymczasem na ich flanki uderzył Camaris i Thrithingowie Hotviga, zjeżdżając ze zboczy po obu stronach.

– Gdzie jest Camaris? – spytał Sludig. – Ach, widzę! Widzę jego hełm!

Isgrimnur także go dostrzegł. Z tej odległości morski smok był zaledwie złocistą plamą, lecz jego właściciel stał wysoko w strzemionach, a wokół niego roztaczał się krąg przerażenia, gdy Nabbańczycy próbowali pozostać poza zasięgiem jego czarnego Ciernia.

Książę Josua, obserwujący bitwę z miejsca poniżej Isgrimnura i Sludiga, skierował Vinyafoda w ich stronę.

– Sludigu! – zawołał. – Powiedz Freoselowi, żeby jego oddziały zaczekały, zanim policzy swoje palce dziesięciokrotnie po tym, jak my wyruszymy.

– Dobrze, Wasza Wysokość. – Sludig obrócił swojego konia i pojechał wolno w kierunku Freosela i pozostałych oddziałów książęcej gwardii.

Książę pojechał w górę zbocza, aż dotarł do Isgrimnura.

– Młody Varellan wreszcie pokazuje, co potrafi. Chyba jest trochę zbyt porywczy.

– Widywałem gorszych dowódców – odparł Isgrimnur. – Ale masz rację. Powinien się cieszyć, że utrzymuje wyjście z doliny.

– Pewnie wydawało mu się, że dostrzegł nasz słaby punkt, kiedy wczoraj nas odepchnął. – Josua spojrzał w niebo. – Teraz chce nas odepchnąć jeszcze dalej. Mamy szczęście. Benigaris, pomimo całej swojej porywczości, nigdy by tak nie zaryzykował.

– Dlaczego więc zaryzykował wysłanie na pierwszą linię swojego małego brata?

Josua wzruszył ramionami.

– Kto wie? Może nas nie doceniał. Pamiętaj też, że nie sam Benigaris rządzi w Nabbanie.

Isgrimnur chrząknął.

– Biedny Leobardis. Czym on sobie zasłużył na taką żonę i syna?

– Kto wie? Ale może wszystko ma swój koniec, tylko że my go nie widzimy.

Książę wzruszył ramionami.

Josua przyglądał się walce spod głęboko nasuniętego hełmu. Jego miecz leżał przed nim na kolanie i siodle.

– Już prawie czas – powiedział. – Prawie czas.

– Wciąż jest ich znacznie więcej niż nas. – Isgrimnur wyciągnął Kvalnir z pochwy. Poczuł chwilową radość: miecz dobrze mu służył w wielu potyczkach, czego dowodem było to, że wciąż żył, choć z obolałymi plecami, uwierającą zbroją i wieloma wątpliwościami.

– Ale my mamy Camarisa, a ty starego przyjaciela. – Josua uśmiechnął się. – Nie mogliśmy oczekiwać czegoś lepszego. – Nie odrywał wzroku od ujścia przełęczy. – Niech Usires Odkupiciel ma nas w opiece. – Książę uroczyście zrobił znak Drzewa na piersi i uniósł dłoń. Najdel zalśnił w słońcu, a Isgrimnur wstrzymał na moment oddech. – Do mnie! – zawołał Josua.

Nad nimi zabrzmiał róg. Z wąskiego gardła przełęczy odpowiedział mu Cellian.

ISGRIMNUR Z PODZIWEM PATRZYŁ, jak wojska księcia i barona wyjeżdżają na drogę. Wreszcie zamienili się w prawdziwą armię, armię liczącą kilkanaście tysięcy żołnierzy! Nabrał otuchy, kiedy przypomniał sobie, jak to się zaczęło, gdy Josua i kilkunastu z tych, którzy przeżyli,

wymknęli się tylnym wyjściem z Naglimundu. Z pewnością Miłościwy Bóg nie zaprowadził ich aż tak daleko po to tylko, by zniweczyć ich nadzieje!

Metessanie do końca wytrwali dzielnie na swojej pozycji. Josua i jego armia ominęli ich i pojechali dalej. Pikinierzy, wykonawszy swoje zadanie, odciągnęli swoich rannych w dół drogi. Siły księcia spadły na rycerzy Varellana, których znaczna liczba i ciężkie zbroje opierały się nawet zawziętości Camarisa i Thrithingów.

Początkowo Isgrimnur trzymał się nieco na uboczu, pomagając tam, gdzie było to konieczne, lecz nie rzucał się w sam wir walki, gdzie życie odmierzano teraz chwilami. Dostrzegł jednego z wojowników Hotviga, który, pozbawiony konia, odpierał ataki konnego rycerza. Isgrimnur ruszył do przodu, krzycząc wyzwanie. Nabbański rycerz usłyszał go i odwrócił się, a wtedy Thrithing skoczył i wbił miecz pod pachę rycerza, w miejsce, którego nie chronił metal. Rycerz spadł na ziemię, krwawiąc, a Isgrimnur poczuł wściekłość, widząc tak niehonorowe postępowanie swojego sprzymierzeńca, lecz kiedy tamten podziękował mu i rzucił się w wir walki, nie wiedział już, co myśleć. Czy ten Thrithing powinien umrzeć, po to tylko, by zachować kłamstwo o tym, że wojna jest czymś honorowym? Tylko czy musiał umierać ktoś inny, by on sam upewnił się, że jest to kłamstwo?

W miarę jak mijało popołudnie, Isgrimnur pogrążał się coraz bardziej w krwawej zawierusze, zabijając jednego i raniąc kilkunastu innych. Sam odniósł tylko kilka drobnych ran, ale to dlatego, że sprzyjało mu szczęście. Raz potknął się i obosieczny miecz przeciwnika drasnął czubek jego hełmu; gdyby wtedy nie upadł, z pewnością byłby już teraz bez głowy. Isgrimnur nie walczył już z dawną wściekłością, lecz strach dodawał mu sił, o których istnieniu już prawie zapomniał. Czuł się, jakby powrócił do gniazda

ghantów: gdziekolwiek się odwrócił, były tam schowane w skorupie istoty, które chciały go zabić.

Powyżej na zboczu Josua i jego rycerze odparli siły Varellana prawie poza przełęcz. Isgrimnur pomyślał, że ci, którzy walczą tam w pierwszej linii, widzą już pewnie rozległą, skąpaną w słońcu dolinę; tylko że tam patrzenie na cokolwiek poza przeciwnikiem i jego bronią oznaczało szybką śmierć.

Nabbańscy rycerze ugięli się, lecz nie załamali. Nawet jeśli popełnili błąd, naciskając za mocno, to teraz nie zamierzali go powtórzyć. Jasne było, że Josua, bez względu na to, czego chciał, musiał wziąć to sobie własnymi rękami.

Kiedy słońce zniżało się nad horyzont, Isgrimnur znalazł się gdzieś z tyłu, w miejscu, gdzie bitwa praktycznie ustała; wokół leżały rozciągnięte ciała niczym pozostałości po wycofującej się fali.

W dole dostrzegł błysk: był to Camaris. Książę obserwował go zdumiony. Od rozpoczęcia bitwy minęło wiele godzin, a mimo to, choć może jego ruchy były nieco wolniejsze, rycerz walczył z taką samą zapalczywością. Siedział wyprostowany w siodle, poruszając się ze spokojem i regularnością pracującego w polu rolnika. Róg kołysał się u jego boku. Cierń świstał w powietrzu jak czarna kosa, a pozbawione głów ciała leciały na ziemię jak skoszone zboże.

„Nie jest tak zaciekły jak kiedyś – myślał Isgrimnur. – Jest jeszcze bardziej zaciekły. Walczy jak przeklęta dusza. Co trapi jego myśli? Co gryzie jego serce?”

Isgrimnur zawstydził się nagle, że stoi i gapi się, podczas gdy dwadzieścia lat starszy od niego Camaris walczy i odnosi rany. Była to być może najważniejsza bitwa, jaką kiedykolwiek stoczono, a wciąż

pozostawała nierozstrzygnięta. On był tam potrzebny – może stary i zmęczony, lecz z pewnością doświadczony rycerz.

Skierował konia powoli w stronę miejsca, w którym Camaris odpierał ataki trzech piechurów. Pajęczyna niskich drzew zasłaniała to miejsce. Nie wątpił, że Camaris wytrzymałby do chwili, gdy ktoś przyszedłby mu z pomocą, lecz mogło upłynąć dużo czasu, zanim ktoś by go zauważył. A ponadto Camaris w siodle stanowił niezastąpiony przykład dla pozostałych żołnierzy Josui i nie można go było chować za krzakami.

Nie ujechał nawet kilkunastu łokci, gdy nagle zobaczył strzałę wystającą z karku jego konia; wierzchowiec stanął dęba, kwicząc przeraźliwie. Isgrimnur poczuł piekący ból w boku i po chwili spadał już z siodła. Ziemia wzniosła się i uderzyła go niczym ogromna maczuga. Jego koń chwiał się tuż obok, próbując zachować równowagę na skalistym zboczu, a potem jego cień zaczął opadać.

Ostatnią rzeczą, jaką Isgrimnur zapamiętał, był ogromny świetlny wstrząs, jakby słońce urwało się i spadło na niego.

40. Zakurzone Imperium

SIMON CZUŁ, ŻE ZARAZ OSZALEJE. W gardle i ustach zupełnie mu zaschło, a wciąż słychać było kapanie wody, tyle tylko, że nigdzie jej nie było. Jakby jakiś demon zajrzał w jego myśli, pochwycił wśród nich najgorętsze pragnienie, a teraz bawił się nim okrutnie.

Zatrzymał się i wytężył wzrok w ciemności. Korytarz rozszerzył się, lecz wciąż prowadził w dół, nie mając żadnych rozgałęzień. Kapanie rozlegało się teraz za nim, jakby minął to, co je powodowało w jednostajnym mroku.

„Ale to niemożliwe! Dźwięk był przede mną, a teraz jest za mną; nigdy jednak nie było go obok mnie”. – Simon starał się opanować strach, który, czuł to, przypominał żywą istotę w jego ciele, przebierającą mackami i grzechoczącą łuskami.

Owszem, zgubił się pod ziemią, ale żyje, wmawiał sobie. Już raz znalazł się w pułapce korytarzy i wyszedł z niej. A teraz był starszy; widział rzeczy, jakie niewielu miało okazję oglądać. Jakoś przeżyje. A jeśli nie? Wtedy przynajmniej nie będzie musiał się wstydzić...

„Odważne słowa, gamoniu – drwił z niego jego wewnętrzny głos. – Odważne słowa. A co będzie, kiedy minie dzień bez słońca i noc bez księżyca i jeszcze bez wody? Kiedy wypali się pochodnia?”

– Bądź cicho – zwrócił się do głosu.

Król John zszedł do ciemnej dziury,

zaśpiewał cicho Simon. Bolało go gardło, ale nie mógł już znieść monotonnego stukania obcasów o kamień, które na dodatek sprawiało, że czuł się jeszcze bardziej samotny i opuszczony.

By zmierzyć się z ognistym smokiem.
Gdzie kret się kryje i troll przemyka,
Gdzie nikt prócz niego wejść się nie odważył...

Simon zmarszczył brwi. Gdyby tak to była kryjówka trolli.

Oddałby wszystko za towarzystwo Binabika, nie wspominając już o bukłaku pełnym wody i kilku łykach *kangkang*. Jeśli Prester John zabrał ze sobą pod ziemię tylko miecz – co nie było prawdą; zaraz, zaraz: czy nie o tym chciał im powiedzieć Hernystirczyk Eolair, przybywając na *Sesuad'ra*? Że John znalazł Minneyar gdzieś w głębi ziemi? W takim razie czym sobie przyświecał? Simon miał tylko jedną pochodnię, która zaczynała się już kurczyć na brzegach. Brzmiało to ładnie, kiedy ktoś wybierał się na poszukiwanie smoków, tylko że piosenki nigdy nie wspominały o wodzie, jedzeniu i rozpalaniu ognia.

Stare kołysanki z brakującymi słowami i tunele w ciemnej, cuchnącej ziemi. Jak do tego doszło, że jego życie kręci się wokół takich rzeczy? Marząc o rycerskich przygodach, Simon miał na myśli bardziej wzniosłe rzeczy: pole walki, lśniące zbroje, bohaterskie czyny, uwielbienie tłumu. W jakimś stopniu znalazł to wszystko, lecz okazało się, że nie tego oczekiwał. A co pewien czas był rzucany w szaleństwo mieczy i korytarzy, jakby zmuszano go do tego, żeby bawił się w dziecinną grę na długo po tym, gdy już mu się znudziła...

Uderzył ramieniem o ścianę i omal się nie wywrócił. Pochodnia wypadła mu z ręki i leżała na podłodze. Simon patrzył na nią przez moment

ogłupiały, zanim zrozumiał, co się stało. Podniósł ją natychmiast, ściskając mocno, jakby chciała mu uciec.

„Gamoń”.

Usiadł ciężko. Miał już dość chodzenia, dość pustej nicości i samotności. Tunel przypominał dziurę, która wije się między skalnymi blokami, co oznaczało pewnie, że znajduje się teraz głęboko wśród kości Swertclif; wydawało się, że zmierza do środka ziemi.

Coś w jego kieszeni otarło mu się o nogę. Co tam miał? Wędrował tak już chyba całymi godzinami, a nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, co miał ze sobą, zapadając się pod ziemię.

Przeszukawszy kieszenie obolałymi dłońmi, doszedł do wniosku, że nic nie stracił, odwlekając tę chwilę. Znalazł tylko kamień, gładki i okrągły, który podniósł z ziemi dlatego, że spodobał mu się jego ciężar, i klamrę, o której myślał, że ją wyrzucił. Postanowił zatrzymać ten kawałek metalu, planując wykorzystać go przy kopaniu albo skrobaniu.

Jedyną istotną rzeczą, którą odkrył, był kawałek suszonego mięsa, jaki pozostał mu z poprzedniego dnia. Popatrzył tęsknie na pomarszczony pasek wielkości jego palca i odłożył go. Czuł, że może nadejść taka chwila, kiedy zapragnie go jeszcze bardziej.

Więcej niczego nie znalazł w kieszeniach. Na palcu nosił wciąż złotą obrączkę, którą przysłał mu Morgenes, lecz tutaj, w świecie ciemności, pozostawała ona zupełnie bez znaczenia, które być może posiadała w świecie słońca; nie mógł jej zjeść ani odstraszyć nią nieprzyjaciół. W pochwie na jego nodze wciąż tkwił nóż Qanuc. Poza nim i pochodnią nie miał niczego innego do obrony. Jego miecz pozostał gdzieś na powierzchni ziemi, razem z Binabikiem i Miriamele – jeśli udało im się umknąć przed kopaczami – a także razem z Białą Strzałą, płaszczem, zbroją i resztą jego skromnego dobytku. Posiadał prawie tyle samo, ile miał w chwili ucieczki

z zamku niemal rok temu. Znowu powrócił do czarnej ziemi. Do przytłaczającej go ziemi...

„Przestań – powiedział do siebie. – Jak to powiedział Morgenes? «Nie to, co w twoich rękach, ale to, co w twojej głowie». To już coś. W głowie mam o wiele więcej niż wtedy. Tylko co mi z tego, jeśli umrę z pragnienia?”

Wstał i ruszył przed siebie. Nie miał pojęcia, dokąd może prowadzić ten tunel, ale dokądś musiał prowadzić. Z pewnością. Nawet nie próbował myśleć, że mógłby nim zajść do kolejnej ściany z ziemi i kamienia.

W głęboki dół zszedł młody John,
Gdzie smok na górze złota siedział.
I nikt nie wiedział, że tam się udał,
Gdyż on nikomu nie powiedział...

zaśpiewał znowu Simon, tym razem ciszej.

Dziwne. Simon nie czuł, że wariuje, a jednak słyszał głosy, których tam w rzeczywistości nie było. Znowu powrócił odgłos rozbryzgującej się wody, teraz rozbrzmiewał z większą mocą, lecz wydawał się dochodzić ze wszystkich stron, jakby Simon przechodził przez ścianę wodospadu. Z odgłosem wody mieszał się szept głosów.

„Głosy! Może gdzieś niedaleko są jakieś poprzeczne tunele. Może one prowadzą do ludzi. Do prawdziwych, żywych ludzi...”

Kapanie wody i głosy towarzyszyły mu przez jakiś czas, nie ujawniając swego źródła, a potem ucichły i Simon znowu pozostał sam w towarzystwie stukotu swoich butów.

Znużony i przestraszony tym, co mogły oznaczać tajemnicze odgłosy, Simon wpadł nieomal do dziury w podłodze tunelu. Zawadził nogą, ale

zdążył podeprzeć się o ścianę. Spojrzał w dół. Gdzieś w głębi zajaśniała inna pochodnia i przez moment wydało mu się, że jego świat się zatrzymał.

– Kto... kto tam... – Kiedy się pochylił, światło poniżej jakby przysunęło się do góry.

Odbicie. To była woda.

Simon opadł na kolana i zbliżył twarz do kałuży, lecz powstrzymał się, kiedy poczuł oleisty, nieprzyjemny zapach. Zanurzył w wodzie palce i przyjrzał się im. Woda sprawiała wrażenie dziwnie śliskiej. Przysunął pochodnię i wtedy płachta ognia wzniosła się do jego twarzy. Krzyknął z bólu i przerażenia, siadając na ziemi. Miał wrażenie, że zapalił się cały świat.

Podniósł dłoń do twarzy i pomacał ją delikatnie; skóra była miękka, jakby za długo przebywał na słońcu, włosy brody pozwijały się i pokruszyły, lecz poza tym wszystko wydawało się na swoim miejscu. Spojrzał na tańczący w dziurze płomień.

„Usiresie Aedonie! – zaklął w duchu. – Miałeś szczęście, gamoniu. Znajdujesz wodę, która okazuje się czymś, co się pali”.

Po jego rozpalonym policzku popłynęła łza.

Cokolwiek to było, płonęło wesoło w dziurze. Simon wpatrywał się w płomień tak rozczarowany faktem, że woda, którą znalazł, nie nadawała się do picia, iż długo siedział, nie mogąc zrozumieć, co naprawdę widzi. Wreszcie przypomniał sobie coś, co kiedyś powiedział mu Morgenes.

„Ognie Perdruińskie. Doktor powiedział, że można je spotkać w jaskiniach. Perdruińczyzy używają ich do wyrobu pocisków do katapult, którymi ciskają w nieprzyjaciela, parząc go niemiłosiernie. – Tego dowiedział się na lekcji historii, na której uważał, gdyż była wtedy mowa o ciekawych rzeczach. – Gdybym miał więcej patyków i szmat, mógłbym

zrobić pochodnie. – Kręcąc głową, wstał i ruszył tunelem. Uszedłszy kilka kroków, zatrzymał się i znowu pokręcił głową. – Gamoń. Głupi gamoń”.

Powrócił do płonącej kałuży i usiadł. Potem zdjął z siebie koszulę i zaczął drzeć ją na paski. Perdruiński Ogień grzał przyjemnie.

„Rachel obdarłaby mnie ze skóry, gdyby zobaczyła, że niszczę zupełnie dobrą koszulę. – Zachichotał głośno. Echo odbiło się od ścian i poleciało w pustą ciemność. – Dobrze by było znowu zobaczyć Rachel” – pomyślał. Myśl ta wydała mu się dziwna, lecz niezaprzeczalna.

Kiedy udarł dwanaście pasków, a jego koszula kończyła się nieco poniżej pach, popatrzył na płomień, zastanawiając się, jak je zanurzyć, nie parząc sobie palców. Pomyślał, czy nie użyć pochodni, ale zaraz zrezygnował z tego pomysłu. Nie wiedział, jak głęboka jest kałuża, i bał się, że może całkiem ją zanurzyć. Wtedy jedynym światłem, jakie by mu pozostało, byłoby to, którego nie mógł zabrać ze sobą.

Wreszcie, po długim namyśle, odłożył na bok pochodnię i zaczął zgarniać do kałuży luźną ziemię spomiędzy skalnych bloków, aż płomień zamigotał i zgasł. Odczekał trochę, gdyż nie był pewny, ile czasu potrzeba, żeby kałuża ostygła, i odgarnął ziemię, odkrywając dziurę. Nasączywszy wszystkie paski, odłożył jeden, a pozostałe zwinął i ułożył na największym, jaki oderwał od koszuli. Zawinął prowizoryczny worek i przywiązał go sobie do pasa. Pozostawiony kawałek materiału owinął ciasno na pochodni tuż pod płomieniem, po czym tak ją odwrócił, by nasączony materiał się zapalił. Pochodnia zapłonęła jaśniej. Simon pokiwał głową zadowolony. Wciąż nie miał jedzenia i wody, lecz jeśli będzie dobrze gospodarował, to przynajmniej przez jakiś czas nie będzie musiał się martwić o ogień. Może i jest zagubiony i samotny, ale nie jest tylko Simonem Gamoniem – jest też słynnym Simonem Śnieżnowłosym.

Jednak wolałby być po prostu Simonem i chodzić swobodnie z przyjaciółmi po zielonej ziemi.

„WYBÓR – POMYŚLAŁ SMUTNO – może okazać się błogosławieństwem, ale i przekleństwem”.

Simon spał już raz zwinięty w kłębek na twardej podłodze, wcześniej owinąwszy pochodnię nowym paskiem nasączonym Perdruińskim Ogniem. Kiedy później obudził się z okropnego snu, w którym pełzał w błotnistej ciemności, pochodnia wciąż paliła się równo.

Od tamtej chwili szedł, jak mu się wydawało, przez kilkanaście godzin. Pragnienie dokuczało mu coraz bardziej, aż wreszcie każdy kolejny krok wydawał się pozbawiać jego ciało kolejnej porcji wilgoci, a on sam nie potrafił już myśleć o niczym innym, jak o wodzie. W kieszeni miał wciąż kawałek mięsa, lecz już na samą myśl o zjedzeniu czegoś suchego i słonego dostawał bólu głowy, chociaż głód doskwierał mu równie mocno.

Nagle monotonna ściana z kamienia i ziemi utraciła swoją jednostajność. Z obu stron tunelu odchodził inny, dziury były nierówne, lecz dość duże. Stanął przed trudną decyzją: czy ma iść prosto, w prawo czy w lewo?

Oczywiście szukał drogi, która prowadziłaby do góry, ale obie odnogi były co najwyżej poziome. Poszedł kawałek każdą z nich, wąchając i nasłuchując, w nadziei, że natrafi na jakiś ślad prowadzący do wody lub powietrza z zewnątrz, lecz bez powodzenia: poprzeczny tunel wydawał się równie monotonny jak ten, którym szedł nie wiadomo już jak długo.

Wrócił do głównego tunelu i spróbował się zastanowić, gdzie może się znajdować. Z pewnością gdzieś głęboko pod Swertclif; nie mógłby długo schodzić w dół pod tym samym kątem i nie zejść głęboko pod wzgórza. Ale tunel zakręcał tyle razy, że nie potrafił powiedzieć, gdzie stał teraz

w odniesieniu do świata na zewnątrz. Musi podjąć decyzję i wtedy zobaczy, co dalej.

Jeśli będę skręcał tylko w jedną stronę, to znajdę drogę powrotną.

I tak bez określonej przyczyny wybrał lewe odgałęzienie i postanowił za każdym razem skręcać w lewo. Jeśli uzna, że dokonał złego wyboru, zawróci, i skręcając w prawo, powróci do tego miejsca.

Odwrócił się w lewo i poszedł przed siebie.

Początkowo tunel wyglądał identycznie jak ten, który opuścił, niekończąca się ściana ziemi i kamienia. Kto mógł wydrążyć te ponure dziury? Z pewnością ludzie albo istoty im podobne, gdyż dostrzegał miejsca, w których odłupano kawałki skały, by otworzyć przejście.

Pragnienie i samotność tak bardzo mu dokuczały, że nie zauważył głosów, dopóki nie zaczęły szeptać dookoła niego. Tym razem jednak miał wrażenie, że wyczuwa także ruch: lekkie dotknięcia ubrania przypominające powiew wiatru, przemykające cienie, które sprawiały, że światło w tunelu wydawało się migotać. Głosy zawodziły cicho w języku, którego nie rozumiał. Kiedy mijały go lub przelatywały przez niego, odczuwał przepełniony smutkiem chłód. Były jak... jak wspomnienia. Utracone rzeczy, kształty i uczucia, które przybywały ze swojego czasu. On nic dla nich nie znaczył, podobnie jak one dla niego, poza tym, że go niepokoiły.

„Chyba że stanę się jednym z nich. – Poczuł falę strachu. – I kiedyś jakiś inny zagubiony gamoń poczuje ocierający się o niego cień Simona szepczący: «Zagubiony, zagubiony...»”

Przeraził się tą myślą. Nie dawała mu spokoju jeszcze długo po tym, jak te nieomal-postacie odeszły, a głosy umilkły.

Skręcał jeszcze trzykrotnie, za każdym razem w lewo, kiedy wreszcie zauważył jakieś zmiany.

Zastanawiał się już, czy nie wrócić, gdyż ostatni tunel, do którego skręcił, poprowadził go stromo w dół, gdy nagle jego uwagę przykuły plamy na ścianach. Przysunął pochodnię i zobaczył, że pęknięcia w kamieniu porasta mech. A mech, jak mu się wydawało, oznaczał obecność wody. Był tak spragniony, że oderwał kępę i przyłożył ją do ust. Żuł przez chwilę ostrożnie i wreszcie połknął. Zrobiło mu się niedobrze, ale wytrzymał. Mech okazał się okropnie gorzki, ale zawierał trochę wilgoci. Gdyby od tego miało zależeć jego życie, gotów był jeść go przez jakiś czas, ale modlił się o coś innego.

Wpatrywał się w drobniutkie gałązki, rozmyślając nad tym, czy zdoła przełknąć jeszcze jeden kęs, kiedy dostrzegł blade ślady w miejscu, skąd oderwał kępę mchu. Wytężył wzrok i przysunął bliżej pochodnię. Najwyraźniej były to pozostałości po jakimś wizerunku – poskręcane, równoległe linie, które mogły kiedyś przedstawiać liście albo płatki. Czas zatarł je niemal całkowicie, lecz mimo to dostrzegł w nich wdzięk rzeźb, jakie widział w Da’ai Chikiza na *Sesuad’ra*. Sithijskie rzeźby? Czyżby zaszedł aż tak głęboko w tak krótkim czasie?

Simon rozejrzał się po ścianach tunelu z surowego, porowatego kamienia. Nie wydawało mu się możliwe, aby Sithowie byli budowniczymi takiego miejsca, nawet dla najbardziej praktycznych powodów. Ale skoro Sithowie nie wykopali tego tunelu, to dlaczego na ścianach znajdują się ich rzeźby?

Pokręcił głową. Zbyt wiele pytań gromadziło się wokół tych dwóch najważniejszych: gdzie jest woda oraz którędy można wyjść na zewnątrz?

Idąc dalej, przyglądał się dokładnie ścianom, lecz poza mchem nie odkrył na razie niczego nowego. Tunel rozszerzał się, a kolejne dwie odnogi przypominały dzieło czyichś rąk – ściany były bardzo symetryczne,

a podłoga równa. Wreszcie wszedł do kolejnej odnogi i jego stopa nie natrafiła na podłoże.

Krzycząc z przerażenia, zdołał chwycić się krawędzi ściany u wejścia do tunelu. Pochodnia wypadła mu z ręki i poleciała w ciemność, w którą i on nieomal nie wpadł. Patrzył w pełnym przerażenia oczekiwaniu, jak upadła na ziemię, potoczyła się i zatrzymała, pryskając ogniem, lecz nie zgasła.

Schody. Jego pochodnia leżała na schodach, które prowadziły w dół. Pierwszych kilka stopni rozleciało się prawie w całości, tak że pozostały po nich tylko kawałki krawędzi.

On nie chciał iść w dół. Chciał iść do góry.

„Ale znalazłem schody! Może w dole jest coś prawdziwego, jakieś sensowne miejsce? Czy może być coś gorszego od tego, co mam teraz? Nic. Wszystko”.

Schody także znajdowały się po jego lewej ręce, więc będzie mógł wrócić, jeśli uzna, że to zła droga. Tylko że o wiele łatwiej będzie pokonać lukę między stopniami – niemal większą od niego – skacząc w dół, niż później wspinając się z powrotem do góry, jeśli zmieni zdanie. Może jednak powinien wybrać inny korytarz...

„Co za nonsens?” – zganił samego siebie. I tak musiałby zejść po pochodnię.

Simon usiadł, zwiesiwszy nogi w dziurze po brakujących stopniach, i wyciągnął z kieszeni kawałek mięsa. Oderwał odrobinę i zaczął żuć, wpatrzony w dół. Światło pochodni pokazywało, że schody zostały wykute dość równo, lecz ich nie dokończono: najwyraźniej miały służyć jakimś celom praktycznym. Patrząc na nie, trudno było powiedzieć, czy gdzieś prowadziły.

Żuł i przyglądał się schodom. Pod wpływem słonawego mięsa jego usta wypełniły się śliną. Cudownie było poczuć coś twardego między zębami!

Simon wstał i ruszył z powrotem korytarzem, macając dłonią po ścianie, kiedy oddalił się od światła, aż trafił na mech. Oderwał kilka kęp i wsadził je do kieszeni. Potem wrócił do schodów i starannie zbadał dół, wybierając najlepsze miejsce do wylądowania. Opuścił nogi, przewrócił się na brzuch i powoli zaczął opuszczać ciało, zaciskając zęby, gdyż stopień wrzynał się w jego brzuch i piersi. Kiedy zawisł na wyciągniętych ramionach, puścił się.

Na dole czekał na niego kamień, może kawałek schodów. Najpierw poczuł, że dotyka ziemi jedną stopą, następnie drugą, a zaraz potem pierwsza wygięła się mocno w kostce. Płomień bólu objął całą nogę.

Simon leżał na ostatnim stopniu schodów ze łzami w oczach, przeklinając swoje szczęście. Usiadł, zsunął się nieco, tak by sięgnął pochodnię, po czym umocował ją obok siebie i zdjął but.

Na szczęście mógł zginać stopę, chociaż każda zmiana pozycji wywoływała ból. Zdecydował, że kostka nie jest złamana, a nawet gdyby, to co mógłby zrobić? Ściągnął koszulę i oderwał kolejny pasek, po czym ponownie założył na siebie kurczące się nieubłaganie odzienie. Obwiązał kostkę najstaranniej jak umiał i wsadził but na stopę. Spróbował ostrożnie. Zdecydował, że może iść, chociaż będzie to bolesne.

„A zatem w drogę. Co innego mi pozostało?”

Utykając, ruszył w dół.

SIMON MIAŁ NADZIEJĘ, że schody zaprowadzą go w dół do miejsca bardziej prawdziwego niż te niekończące się tunele. Otoczenie jednak stawało się jednocześnie i bardziej rzeczywiste, i nierzeczywiste.

Po przejściu kilkudziesięciu stopni, przezwyciężając ból, dotarł do ich końca i przeskoczywszy przez dziurę, wylądował w kolejnym korytarzu, lecz ten zupełnie nie przypominał tuneli, którymi dotąd wędrował. Tutaj ściany ułożono z dokładnie dopasowanego i rzeźbionego kamienia, chociaż pokrywał go mech i brud stuleci. Kiedy przyglądał się rzeźbom, spostrzegł, że te, które pozostają na skraju jego pola widzenia, mienią się, jakby nie były to wycięte w kamieniu znaki, lecz raczej cieniutkie jak pergamin stworzenia. Także ściany i podłoga sprawiały wrażenie niestałych: kiedy Simon odwracał wzrok za kolejną plamą, która jakby migotała, albo zwracał uwagę na grę światła, wydawały się zmieniać. Długi korytarz zaczął nagle piąć się w górę albo uległ gwałtownemu zwężeniu. Kiedy Simon się odwracał i patrzył w tył, wszystko było po staremu.

Nie były to jedyne omamy, jakich doświadczał. Powróciły głosy, które słyszał już wcześniej, a z nimi pędząca woda, lecz teraz jej dźwięk mieszał się z dziwną muzyką, upiorną i pozbawioną źródła. Pojawiały się też niespodziewane wonie: w jednej chwili obmywała go fala słodkiego zapachu kwiatów, a zaraz za nią zapach wilgoci albo ostra woń spalenizny.

Simon nie mógł tego wszystkiego znieść. Pragnął położyć się i zasnąć, a potem obudzić się w normalnym, niezmiennym świecie. Już nawet monotonia górnych korytarzy była lepsza od tego. Wydawało mu się, że idzie dnem oceanu, gdzie prądy i zmieniające się światło powodują, że wszystko się kołysze i migocze.

„Gamoniu, myślałeś, że jak długo będziesz wędrował w pustej ziemi, zanim zwariujesz? Nie zwariuję – wmawiał sobie Simon. – Jestem tylko zmęczony. Zmęczony i spragniony. Gdyby ustały choć odgłosy wody. One wszystko pogarszają”.

Nie zatrzymując się, wyciągnął z kieszeni kępę mchu i zaczął żuć, a potem zmusił się do przełknięcia ohydnego zielska.

Nie miał wątpliwości, że szedł w miejscu, w którym kiedyś ludzie... ktoś żył. Sklepienie oddalało się od jego głowy, lecz podłoga była równa pod warstwą gruzu i brudu, wejścia do poprzecznych korytarzy zaś – przeważnie zapchane ziemią i kamieniami – zdobiły rzeźbione łuki, wygładzone czasem, lecz bez wątpienia stworzone wprawną ręką.

Simon zatrzymał się na chwilę przed jednym z takich wejść. Kiedy tak stał, dając odpocząć obolałej kostce, wpatrzony w rumowisko kamieni i ziemi, nagle odniósł wrażenie, że cały stos pociemniał i przybrał czarny kolor. Na tle tej czerni zapłonęło małe światełko i Simon poczuł nagle, że patrzy przez drzwi. Podszedł bliżej. W ciemności poza wejściem dostrzegł lśniący punkt, żarzącą się słabo kulę. W jej mdłym blasku pławiła się... twarz.

Simon otworzył usta. Twarz uniosła się, jakby osoba siedząca w prawie całkowitej ciemności usłyszała go – skośne oczy nie spojrzały jednak na niego, lecz patrzyły gdzieś wyżej. Była to twarz Sithy, czy też taką się w tej chwili wydawała. W jej błyszczących oczach czaił się świat bólu i troski. Widział poruszające się usta i brwi uniesione w geście zapytania. A potem ciemność zamazała obraz, światło zniknęło, a Simon pozostał z nosem nieomal przytkniętym do ściany gruzu.

„Sucho. Sucho. Martwy. Martwy”.

Płacz ścisnął mu gardło. Odwrócił się i poszedł długim korytarzem.

SIMON NIE POTRAFIŁ POWIEDZIEĆ, jak długo wpatrywał się w płomień swojej pochodni. Kołysał się przed nim – wszechświat żółtego światła. Z trudem oderwał od niego wzrok.

Ściany po obu stronach zamieniły się w wodę.

Zatrzymał się przerażony. Podłoga korytarza zamieniła się w ścieżkę ponad ciemnością, a ściany oddaliły się: już nie dotykały podłogi, na której

stał, a ich kamienną powierzchnię pokrywały strumienie wody. Słyszał, jak pędzi w dół w pustkę pod nim; widział odbicie pochodni w falującej powierzchni wody.

Simon przysunął się do krawędzi podłogi i wyciągnął ramię, lecz palce niczego nie dotknęły. Na ich koniuszkach poczuł delikatną mgiełkę, a kiedy zbliżył je do ust, odkrył wilgotną słodycz. Jeszcze raz wychylił się ponad ciemnością, lecz i tym razem nie sięgnął wody. Zaklął wściekły; gdyby tylko miał miskę, kielich albo choć łyżkę!

„Myśl, gamoniu! Ruszaj głową!”

Po chwili namysłu odłożył pochodnię i ściągnął postrzępioną koszulę. Opadł na kolana i chwyciwszy za rękaw koszuli, wyrzucił daleko poza podłogę jej pozostałą część. Dotknęła lekko kaskady i została pociągnięta w dół. Szarpnął koszulę do siebie, czując jej ciężar. Odchylił głowę i przycisnął nasiąknięty materiał do ust. Pierwsze krople miały smak miodu...

Światło zadrżało. Wszystko w długim pomieszczeniu jakby przechyliło się na jedną stronę. Woda zaszumiała głośniej, a potem z sykiem odpłynęła w ciszę.

Usta Simona były pełne brudu.

Zaczął się krztusić i pluć, aż upadł na ziemię przerażony i wściekły; warczał i młócił ramionami jak ranna bestia. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, zobaczył ściany i przejście między nimi – to przynajmniej istniało naprawdę – lecz nie było żadnej wody, a jedynie jasna plama na kamiennej ścianie w miejscu, w którym jego koszula starła warstwę wiekowego brudu.

Simon nie potrafił opanować szlochu, choć nie płakał łzami, kiedy wycierał twarz i zbierał z języka okruchy ziemi i kamienia. Spróbował zjeść kawałek mchu, żeby pozbyć się smaku brudu, lecz tym razem nie miał tyle siły. Wypluł papkę do otchłani.

„Co to za upiorne miejsce? Gdzie ja jestem? Jestem sam, sam”.

Drżąc, wstał i rozejrzał się za bezpieczniejszym miejscem, gdzie mógłby się położyć i przespać. Musi się wydostać. Nie było wody. Nigdzie nie było wody. Ani bezpiecznego miejsca.

Ledwo słyszalne głosy w mroku pod sufitem śpiewały słowa, których nie rozumiał. Wiatr, którego nie poczuł, zakołysał płomieniem pochodni.

„CZY JA ŻYJĘ? TAK, ŻYJĘ. Ja jestem Simon i ja żyję. Nie poddam się. Nie jestem duchem”.

Dwukrotnie jeszcze kładł się spać i przeżuł tyle mchu, że miał siły, by przejść między jednym snem a drugim. Zużył już ponad połowę nasączonych pasków z koszuli. Coraz trudniej było mu przypomnieć sobie chwile, kiedy nie patrzył na świat poprzez drżące światło pochodni albo kiedy sam świat nie składał się z pustych, kamiennych korytarzy i szepcących, pozbawionych ciała głosów. Wydawało mu się, że sama jego istota rozpływa się, jakby zamieniał się w szepcący cień.

„Jestem Simon – przypominał samemu sobie. – Spotkałem smoka i zdobyłem Białą Strzałę. Żyję naprawdę”.

Jakby we śnie wędrował przez komnaty i korytarze ogromnego zamku. Przez ułamki chwil widział go wypełnionego życiem; komnaty pełne delikatnych, złocistych twarzy, jasne ściany migocące kolorami nieba. Nigdy czegoś takiego jeszcze nie widział: z komnaty do komnaty kamiennymi korytami płynęły strumienie, a po ścianach spływały wodospady. Jednak woda była tylko wodą ze snu, choć szumiała tak naturalnie. Za każdym razem, kiedy wyciągał dłoń, znajdował w niej brud; ściany ciemniały i kurczyły się, światło przygasało, piękne rzeźby na suficie zamazywały się, a Simon znowu szedł kamiennymi korytarzami – bezdomny duch w ogromnym grobowcu.

„Tutaj mieszkali Sithowie – powiedział do siebie. – To był Asu’a, piękny Asu’a. I oni w jakiś sposób wciąż tutaj są... jakby kamienie śniły o przeszłości”.

Czuł, że coraz częściej przychodzi mu do głowy trująco kusząca myśl. Amerasu Urodzona Na Statku, powiedziała, że Simon żyje bliżej Ścieżki Snów niż pozostali. To on widział Rozstanie Rodzin w czasie swojej nocy czuwania na *Sesuad’ra*! W takim razie, gdyby udało mu się wpaść na to, jak tego dokonać, mógłby jakby... przeskoczyć. Wszedłby wtedy do tego snu, mieszkałby we wspaniałym Asu’a i mógłby zanurzyć twarz w strumieniach żywej wody, które wiły się przez pałac – wtedy nie zamieniłyby się w brud. Pozostałby w Asu’a już na zawsze; nie powróciłby do ciemnego, upiornego świata kruszących się cieni.

„Nie powróciłbyś do swoich przyjaciół? Do swoich obowiązków?”

Ale Asu’a-sen był tak piękny. W ułamkach chwil życia zamku widział róże i inne zdumiewająco jasne kwiaty wspinające się po ścianach do słońca, które wpadało przez wysokie okna. Widział też Sithów, którzy tam mieszkali, pełnych wdzięku i dziwnych niczym niespotykane ptaki. Sen ukazywał czasy, zanim jeszcze ludzie zniszczyli największy spośród sithijskich domów. Z pewnością nieśmiertelni przyjęliby zagubionego wędrowca... Och, Matko Miłosierna, czy przyjęliby go z ciemności...?

Wyczerpany potknął się o kamień i upadł na kolana. Serce biło mu mocno. Nie miał już sił zrobić kolejnego kroku. Wszystko było lepsze od wypełnionej szaleństwem samotności!

Obszerna komnata przed nim pulsowała, lecz nie zniknęła. Z niewyraźnej chmury poruszających się postaci jedna z nich przybrała wyraźniejsze kształty. Była to sithijska kobieta o złocistej skórze i włosach czarnych jak noc. Stała pomiędzy dwoma złączonymi drzewami obwieszonymi srebrzystym owocem i powoli skierowała wzrok na Simona.

Zamarła w bezruchu. Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz, jakby usłyszała głos wołający ją w odludnym miejscu.

– Czy... czy ty mnie widzisz? – spytał Simon. Ruszył, podpierając się rękoma, w jej stronę. Ona wciąż patrzyła w miejsce, w którym go ujrzała.

Ogarnęło go przerażenie. Zgubił ją! Jego kończyny zupełnie zwiotczały i osunął się na brzuch. Za czarnowłosą kobietą tryskała fontanna; krople wody migotały w ukośnym świetle. Sithijka zamknęła oczy i Simon poczuł pytające dotknięcie na samej krawędzi umysłu. Wydawało się, że stoi od niego zaledwie o kilka kroków, lecz jednocześnie jest równie daleko jak gwiazda na niebie.

– Nie widzisz mnie? – zawył. – Chcę wejść! Wpuść mnie!

Sithijka wciąż stała nieruchomo z rękoma złożonymi przed sobą. W komnacie pociemniało i pozostała tylko ona, skąpana w kolumnie światła. Coś musnęło myśli Simona jak łapa pająka albo oddech motyla.

Odejdź, malutki. Wracaj do życia.

Potem otworzyła oczy i znowu spojrzała na niego. Jej wzrok przepełniała tak wielka mądrość, że Simon poczuł się uniesiony i rozpoznany, lecz jej słowa zabrzmiały gorzko.

To nie jest dla ciebie.

Jej postać stawała się coraz mniej wyraźna. Przez chwilę był jeszcze jednym cieniem wśród tłumu pozostałych. Lecz zaraz cała komnata zadrżała i zniknęła. Simon leżał na brudnej podłodze. Jego pochodnia paliła się nierówno, oddalona pół kroku od jego dłoni.

„Odeszła. Zostawiła mnie”.

Simon płakał tak długo, dopóki starczyło mu sił. Potem zmusił się do wstania i ruszył przed siebie.

NIEMAL ZAPOMNIAŁ, JAK MA NA IMIĘ – tak samo jak zapomniał, ile razy kładł się spać i ssał kurczącą się kępę mchu wciśniętą do kieszeni – zanim znalazł wielkie schody.

Pozostało mu już tylko kilka nasączonych pasków, którymi mógł owinąć pochodnię. Simon zastanawiał się, co to oznacza, zdając sobie sprawę, że zaszedł już za daleko, by wrócić do Perdruińskiego Ognia, kiedy nagle przeszedł przez kolejny portal i znalazł się na rozległym podeście. W górę i w dół prowadziły szerokie schody; niezliczone stopnie wiły się wokół pustki, odchodząc w ciemność.

„Schody! – W jego umyśle pojawiło się wspomnienie niewyraźne jak ryba w błotnistym stawie. – Schody... Schody Tan’ja? Doktor Morgenes powiedział... powiedział...”

Dawno temu w innym życiu poradzono mu, aby odszukał podobne schody, a one zaprowadziły go w górę ku prawdziwej nocy, ku księżycowi i wilgotnej, zielonej trawie.

„To znaczy, że... jeśli pójdę do góry...”

Gwałtowny, urywany śmiech odbił się echem na klatce schodowej. Coś – nietoperz albo smutne wspomnienia – odleciało z furkotem w ciemność. Simon zaczął wspinać się po schodach; prawie zapomniał o bolącej nodze, pragnieniu i samotności.

„Będę oddychał powietrzem. Zobaczę niebo. Jestem... jestem Simon. Nie będę duchem”.

Pokonał zaledwie kilkadziesiąt stopni, kiedy się zorientował, że część ściany zawaliła się, niszcząc zewnętrzną krawędź schodów, tak że ogromna dziura spoglądała w pustą ciemność. Kamienie zablokowały pozostałą część schodów.

– Na cholerne Drzewo! – wrzasnął rozwścieczony. – Cholerne Drzewo!

– ...rzewo... – powtórzyło echo – ...ewo...

Pomachał pochodnią nad głową, kreśląc ogniste linie w ciemności. Wreszcie odwrócił się i powoli zaczął schodzić.

Nie pamiętał dobrze swojej pierwszej podróży w górę Schodów Tan’ja, którą odbył prawie rok temu – była to podróż przez wewnętrzną i zewnętrzną ciemność – ale z pewnością nie było aż tyle tych przeklętych stopni! Zaczynał wierzyć, że schodząc tak daleko w dół, można jedynie dojść do Piekła.

Miał wrażenie, że schodzi już cały dzień. Nie było innej drogi; spotykane na podestach przejścia były zasypane gruzem, tak więc pozostała jedynie możliwość przeskoczenia przez balustradę w... kto wie, w co? Zanim wreszcie zatrzymał się na jednym z podestów, by się tam przespać, zaczął żałować, że w ogóle wszedł na schody, ale z drugiej strony nie wyobrażał sobie drogi powrotnej w górę. Nie, jedyna droga wiodła w dół. Nawet tak okropne schody musiały się gdzieś kończyć! Simon skulił się i zapadł w bolesny sen.

Jego sny były bardzo wyraźne, ale niezbyt zrozumiałe. Były to trzy nieomal boleśnie żywe obrazy: młody, jasnowłosy mężczyzna, który idzie z pochodnią i włócznią opadającym stromo tunelem; starszy mężczyzna, ubrany w szaty z koroną na głowie, na jego kolanach spoczywał miecz, a na nim otwarta księga; ukryta w cieniu wysoka postać, która stała wyprostowana na środku dziwnie ruchomej podłogi. Te trzy obrazy pojawiały się nieustannie, za każdym razem trochę inne. Mężczyzna z włócznią podniósł głowę, jakby usłyszał głosy. Siwowłosy mężczyzna uniósł wzrok znad księgi, jakby rozproszony nagłym hałasem, i ciemność wypełniło czerwone światło, oblewając jego postać purpurą. Postać-cień odwróciła się; w dłoni trzymała miecz, a z jej czoła wyrastały jakby rogi...

Simon obudził się zdyszany i zlany zimnym potem. To nie był zwykły sen: musiał wpaść w rwący nurt rzeki snu i został uniesiony jak kawałek

kory. Usiadł i przetarł oczy. Wciąż znajdował się na podeście, wciąż w drodze przez ocean schodów.

„Sny i głosy – pomyślał zrozpaczony. – Muszę się od nich uwolnić. Umrę, jeśli nie dadzą mi spokoju”.

Owinął pochodnię przedostatnim paskiem. Czas biegł nieubłaganie. Jeśli wkrótce nie znajdzie wyjścia, jeśli nie znajdzie powietrza, słońca i księżyca, pozostanie sam w ciemności z cieniami zmarłego czasu.

Simon ruszył szybko w dół.

Schody Tan’ja przesuwały się niewyraźnie przed jego wzrokiem, a on sam był jak popękane młyńskie koło; jego nogi unosiły się w górę i w dół, w górę i w dół, a każdy krok przynosił ostry ból, kiedy zmuszał skręconą kostkę do wysiłku. Spieczone usta oddychały szybko. Jeśli szaleństwo nie dopadło go już wcześniej, to z pewnością stało się to teraz. Schody zmieniły się w zęby w pysku, który chciał go połknąć, i bez względu na to, jak szybko schodził, przewracając się, wstając i pędząc dalej, nie potrafił uciec. Wciąż pojawiały się nowe zęby. Białe, równe zęby...

Głosy, których od dawna już nie słyszał, rozlegały się dookoła niczym chór mnichów z kaplicy w Hayholt, lecz Simon nie zwracał na nie uwagi. On wciąż rzucał się na kolejne stopnie. Coś zmieniło się w powietrzu, lecz on nie mógł pozwolić sobie na zatrzymanie się: ścigały go głosy, czekały, by go pochwycić.

Tam, gdzie powinien być stopień, znalazło się coś rozległego i białego. Simon uderzył w to coś, przewracając się. Uderzył mocno łokciami o kamień. Leżał przez chwilę i płakał, ściskając mocno pochodnię. Uniósł powoli głowę. W powietrzu czuć było... wilgoć.

Rozległy podest ciągnął się przed nim i kończył ciemnością. Nie było więcej schodów, a przynajmniej on ich nie widział.

Pojękując, Simon podpełzł do przodu, aż znalazł się na skraju ciemności. Wychylając się spoza krawędzi, strącił kilka kamyków. *Plusk, plusk*. Usłyszał odgłos wpadających do wody małych kamieni. I to całkiem blisko.

Wychylił się jeszcze bardziej i wysunął pochodnię. Zobaczył jej odbicie o kilka łokci poniżej – drżąca, ognista plama. Nadzieja, jaka w niego wstąpiła, wydawała się bardziej bolesna od bólu.

– To jakaś sztuczka – jęknął. – Jeszcze jedna sztuczka. To jest brud... brud...

Jednak popełzł wzdłuż krawędzi podestu w poszukiwaniu zejścia. Wreszcie znalazł wąskie, pięknie rzeźbione schody i zszedł nimi, podpierając się rękoma. Schody kończyły się okrągłym podestem, który przechodził w niewielki kamienny cypel, wystający nad ciemnością. W tak słabym świetle Simon nie potrafił powiedzieć, jak duży jest staw, gdyż jego krawędzie ginęły w cieniu po obu stronach. Ale był duży, niemal wielkości małego jeziora.

Simon położył się na brzuchu i wyciągnął rękę, lecz powstrzymał się i pociągnął nosem. Jeśli ten staw wypełniony jest Perdruińskim Ogniem, to nic z niego nie zostanie, kiedy zbliży pochodnię. Nie wyczuwał jednak oleistego zapachu. Zanurzył dłoń i stwierdził, że woda jest zimna i... i tak mokra, jak powinna być mokra woda. Possał palec. Wprawdzie miała nieco metaliczny posmak, ale to była woda.

– Woda!

Złożył obie dłonie i napełniwszy je wodą, przyłożył do ust, więcej wylewając na brodę i szyję, niż wlewając do gardła. Poczuł mrowienie na języku i rozchodzące się po żyłach ciepło – tak mu się przynajmniej wydawało. Była wspaniała, lepsza od najlepszych trunków, jakich kiedykolwiek kosztował. To była woda. Żył.

Zakręciło mu się w głowie z radości. Pił tak długo, aż poczuł się pełen, aż spodnie opięły ciasno jego brzuch. Chłód i wilgoć, jakie czuł w ustach, były tak przyjemne, że nie mógł się powstrzymać. Potem polewał sobie głowę i twarz z takim zapamiętaniem, że niemal zgasił pochodnię, na co tylko się roześmiał. Odniósł pochodnię w bezpieczne miejsce i zaraz powrócił do stawu. Napił się jeszcze, po czym zdjął ubranie i obmył całe ciało, polewając je obficie wodą. Wreszcie zmogło go zmęczenie. Śpiewając wesoło, położył się na mokrej podłodze i zasnął.

BUDZIŁ SIĘ POWOLI, jakby wynurzał się z głębiny. Długo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest i co się stało. Sny znowu powróciły, wirując w jego pogrążonej we śnie głowie jak niesione wiatrem liście. Byli w nich mężczyźni z mieczami, lecz widział też błyski zbroi, kiedy uzbrojeni rycerze wyjeżdżali przez wysoką, srebrzystą bramę, a także wieże w kolorach tęczy, błysk żółtego oka, kiedy kruk odwrócił głowę, złote koło, drzewo o korze białej jak śnieg, czarne, toczące się koło...

Simon potarł skronie, próbując pozbyć się strzępów snów. Kiedy kąpał się, głowę miał przyjemnie pustą, teraz pulsowała potężnie. Jęknął i usiadł. Wydawało się, że sny nigdy go już nie opuszczą. Ale teraz musiał zastanowić się też nad innymi rzeczami, w sprawie których mógł coś zaradzić, a przynajmniej spróbować. Jedzenie. Ucieczka.

Spojrzał w górę na pochodnię, która leżała na jednym ze stopni wąskich schodów. Głupio postąpił, ryzykując jej zalanie. I tak już niedługo sama zgaśnie. Znalazł wodę, ale to nie wszystko.

Nagle wydało mu się, że pochodnia zaświeciła jaśniej. Simon wytężył wzrok i zdał sobie sprawę, że cała ogromna komnata wypełnia się przyćmionym światłem. Coś... coś... znajdowało się bardzo blisko. Coś bardzo potężnego. Czuł tę obecność jak gorący oddech na szyi.

Simon przewrócił się na bok, świadomy swojej nagości i bezradności. Teraz widział ogromny staw wyraźniej, rozróżniał fantastyczne rzeźby, jakie pokrywały ściany i sklepienie, lecz nawet w rozchodzącym się świetle nie mógł dojrzeć drugiego brzegu: nad wodą unosiła się mgiełka, która zasłaniała krawędzie.

Nagle na środku stawu ukazała się we mgle postać, powiększona i zniekształcona szarą mgłą i światłem. Była wysoka, ubrana w powiewające szaty, a z jej głowy wyrastały... rogi... jelenie rogi.

Postać skłoniła się – nie był to chyba gest oddania czci, lecz raczej gest rozpaczy.

Jingizu. – Głos przetoczył się przez umysł Simona; głos pełen smutku, ale i złości, potężny i zimny jak lód, który rozłupuje kamienie. Mgła zawirowała. Simon poczuł, jak jego własne myśli zostają zdmuchnięte. – *Jingizu. Tyle smutku.*

Przez moment dusza Simona zadrżała jak smagnięty wiatrem płomień świecy. Gasiła ją moc postaci, która unosiła się we mgle. Chciał krzyczeć, lecz nie potrafił; zżerała go przeraźliwa pustka zjawy. Czuł, że się kurczy, odchodzi, zanika...

Światło mignęło jeszcze raz i zgasło. Staw znowu był tylko owalną taflą czerni, widoczną w żółtawym blasku dopalającej się pochodni.

Przez długą chwilę Simon leżał, łapiąc z trudem powietrze jak wrzucona do łodzi ryba. Bał się poruszyć, wydać najmniejszy nawet dźwięk z obawy, że zjawa powróci.

– Miłościwy Aedonie, pozwól mi spocząć. – Słowa starej modlitwy same pojawiły się na jego ustach. – W Twych ramionach zasnę, spocznę na Twym łonie...

Już nie pragnął przekroczyć granicy snu, by przyłączyć się do duchów tego miejsca. Ze wszystkiego, co widział od momentu, gdy wpadł do ziemi,

to miejsce było najdziwniejsze, najbardziej przerażało go swoją mocą. Woda nie woda, nie mógł tutaj zostać. A wkrótce nie będzie miał też światła i pochłonie go ciemność.

Drżąc, klęknął na kamiennej posadzce i napił się jeszcze raz. Przeklinając fakt, że nie ma bukłaka, wciągnął spodnie i buty, a koszulę zamoczył w stawie. Będzie z niej mógł wykręcać wodę przez jakiś czas. Wziął pochodnię i zaczął szukać wyjścia. Kostka bardzo zesztywniała, ale na razie nie zwracał uwagi na ból. Musiał stąd odejść.

Staw, jeszcze przed chwilą scena tak przerażających wizji, teraz znowu był tylko milczącym, czarnym kręgiem.

41. Atramentowy labirynt

MIRIAMELE STARAŁA SIĘ ZAŁOŻYĆ bandaże jak najdelikatniej i Binabik nie powiedział ani słowa, lecz ona wyczuwała, jak bardzo musiały mu dokuczać poranione ręce.

– Już. – Zawiązała ostrożnie supeł. – A teraz daj im odpocząć. Przygotuję coś do jedzenia.

– Tyle kopania i wszystko na nic – powiedział troll ponuro. Spojrzał na obandażowane dłonie. – Ziemia i tylko ziemia.

– Ale chociaż te... te stworzenia nie powróciły. – Słońce skryło się już za horyzontem i Miriamele nie widziała wyraźnie wnętrza torby. Usiadła, rozłożyła na kolanach płaszcz i wysypała na niego jej zawartość. – Te kopacze.

– Ach, Miriamele, zaczynam żałować, że nie wróciły. Z przyjemnością zabiłbym jeszcze kilka. Warczałbym i gryzł jak Qantaqa.

Miriamele pokręciła głową, zdziwiona niespotykanym u trolla okrucieństwem i zmartwiona pustką, jaką w sobie czuła. Nie było w niej takiego gniewu – prawie nic w niej nie było.

– Jeśli on... przeżył, to znajdzie drogę. – Uśmiechnęła się. – Jest silniejszy, niż się spodziewałam, Binabiku.

– Pamiętam nasze pierwsze spotkanie w lesie – powiedział troll. – Przypominał pisklę, kiedy spojrzał na mnie po raz pierwszy; włosy

sterczały mu na wszystkie strony. Wtedy pomyślałem sobie: „Ten z pewnością umarłby szybko, gdybym go nie spotkał”. Wydawał się bezradny jak nowo narodzone jagnię, które odłączyło się od stada. Ale od tamtej chwili wiele razy mnie zadziwił, tak, wiele razy. – Troll westchnął. – Myślę, że znajdzie drogę, jeśli było pod nim coś poza ziemią i *boghanikami*.

– Na pewno. – Miriamele patrzyła na stos przedmiotów rozłożonych na jej kolanach. Przez łzy nie widziała dokładnie, a poza tym i tak zapomniała, czego szukała. – Na pewno znajdzie.

– A zatem my będziemy robić swoje, wierząc, że dopisze mu szczęście, które nie opuszczało go dotąd w najtrudniejszych chwilach. – Binabik powiedział to tak, jakby obawiał się, że Miriamele zaraz mu zaprzeczy.

– Oczywiście. – Miriamele przyłożyła dłonie do skroni; wydawało jej się, że w ten sposób poukłada chaotyczne myśli. – Pomodlę się do Elysii, Matki Bożej, żeby miała go w opiece.

„Tylko że codziennie odmawianych jest tyle modlitw – pomyślała. – A tylko niektóre zostają wysłuchane. A niech cię, Simonie, dlaczego odszedłeś?”

TERAZ MIRIAMELE ODCZUWAŁA BRAK SIMONA bardziej niż wtedy, gdy byli razem. Chociaż darzyła trolla ogromnym uczuciem, to trudno jej było siedzieć z nim nad zupą, którą przygotowała na kolację: fakt, że żyją i jedzą, wydawał się nieomal obrazą dla nieobecnego przyjaciela. Lecz wdzięczni byli i za ten posiłek – zupę z wiewiórki przyniesionej przez Qantaqę. Miriamele zastanawiała się, czy wilczyca najpierw sama się najadła, czy też postanowiła najpierw przynieść coś swojemu panu, lecz Binabik nie potrafił powiedzieć, jak było naprawdę.

– Rzadko przynosi mi podobne nagrody; zwykle wtedy, kiedy jestem smutny albo ranny. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Teraz jestem i smutny, i ranny.

– Trzeba jej być wdzięcznym i za to – odparła Miriamele. – Nasza spiżarnia jest już prawie pusta.

– Mam nadzieję... – zaczął troll, lecz zamilkł.

Miriamele była przekonana, że myśli o Simonie, który, nawet jeśli przeżył, znajdował się gdzieś pod ziemią bez jedzenia. Resztę posiłku zjedli w milczeniu.

– Co teraz zrobimy? – spytał łagodnie Binabik. – Ja chyba nie...

– Ja nie zmieniłam zdania. Mam zamiar odnaleźć ojca.

Binabik spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

– Nie musisz iść ze mną. – Nawet jej nie spodobał się dźwięk własnego głosu, dlatego zaraz dodała: – Może byłoby lepiej, gdybyś nie poszedł. Może Simon odnajdzie drogę i wróci tutaj. Ktoś powinien na niego czekać. A poza tym to nie jest twoim obowiązkiem. On jest moim ojcem, ale twoim wrogiem.

Troll pokręcił głową.

– Zdecyduję, kiedy dojdziemy do takiego miejsca, z którego nie będzie możliwości powrotu. To chyba nie jest bezpieczne miejsce na czekanie. – Spojrzał na majaczący w dali Hayholt; w zapadającym zmroku zamek przypominał czarną plamę. – Ale może mógłbym ukryć się gdzieś z Qantaqą i co jakiś czas przychodzić tutaj. – Otworzył szeroko dłoń w geście trolli. – Ale jest za wcześnie, by o tym myśleć. Nie wiem nawet, jak planujesz dostać się do zamku. – Odwrócił się i wskazał dłonią w kierunku niewidocznej twierdzy. – Pewnie masz jakiś sposób, żeby przekonać swojego ojca, ale nie sądzę, żeby po prostu zaprowadzono cię do niego, kiedy staniesz pod bramą. A jeśli pierwszy przywita cię Pryrates, to

może on uznać, że lepiej będzie, abyś umarła, niż mieszała się w jego plany wobec twojego ojca. Zniknęłabyś.

Miriamele drgnęła mimowolnie.

– Binabiku, nie jestem taka głupia, jak może myśli mój wuj i inni. Mam swoje plany.

Binabik rozłożył dłonie.

– Nie twierdzę, że jesteś głupia, Miriamele. Nie znam nikogo, kto by tak uważał.

– Może. – Wstała i poszła przez wilgotną trawę do swoich toreb. Padał drobniutki deszcz. Chwilę szukała czegoś w jednej z toreb, a potem wzięła zawiniątko i przyniosła je do ogniska. – Poświęciłam temu wiele czasu na *Sesuad'ra*.

Binabik rozwinął zwój i uśmiechnął się.

– Ach.

– Skopiowałam je na skórach – oświadczyła dumnie – gdyż wiedziałam, że w ten sposób dłużej przetrwają. Widziałam te zwoje, które ty i Sis...Sis...

– Sisqinanamook – podpowiedział jej Binabik, wpatrzony w skóry. – Albo Sisqi, łatwiej wymówić mieszkańcom nizin. – Przez chwilę jego twarz była pusta jak ściana, a potem znowu powróciło na nią życie. – Tak więc skopiowałaś mapy, które przywiózł hrabia Eolair.

– Tak. Powiedział, że przedstawiają stare tunele karlaków. Simon wydostał się przez nie, więc pomyślałam, że może uda mi się dostać do zamku tą samą drogą.

– To nie tylko tunele. – Binabik patrzył na labirynt linii nakreślonych na skórach. – Pod Hayholt znajduje się stary sithijski zamek, ogromny zamek. – Zmrużył oczy. – Niełatwo odczytać te mapy.

– Nie byłam pewna, co one przedstawiają, dlatego na wszelki wypadek skopiowałam wszystko, nawet małe rysunki i znaki na brzegach –

powiedziała nieco zawstydzona. – Wiem tylko, że są to właściwe mapy, gdyż spytałam ojca Strangyearda. – Nagle przestraszyła się. – To *są* właściwe mapy, prawda?

Binabik przytaknął jej; czarne włosy opadły mu na czoło.

– Wydaje się, że są to mapy tego miejsca. Widzisz, tutaj jest to, co wy nazywacie Kynslagh. – Wskazał na ciemny półksiężyc widoczny na brzegu jednej z map. – A to musi być Swertclif, który znajduje się dokładnie pod nami.

Miriamele pochyliła się, śledząc gruby palec trolla. Po chwili poczuła ogromny smutek.

– Jeśli rzeczywiście tutaj jesteśmy, to w miejscu, w którym zniknął Simon, nie ma tuneli.

– Być może. – Binabik najwyraźniej nie był pewien. – Pamiętaj, że mapy sporządzane są w określonych czasach. Może się okazać, że kolejne tunele powstały już po narysowaniu tych map.

– Elysio, Matko Miłosierna, mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz.

– W którym miejscu Simon wyszedł z tuneli? – spytał Binabik. – Wydaje mi się, że...

– Na cmentarzu, tuż za murami Erchesteru – dokończyła za niego Miriamele. – Widziałam go tam, ale uciekł, kiedy go zawołałam. Myślał, że jestem duchem.

– Zdaje się, że wiele tuneli wychodzi w pobliżu tamtego miejsca, lecz powstały one na długo przed tym, zanim wybudowano Erchester i całą resztę. Wątpię, żeby zostały po nich jakieś ślady. – Spojrzał na Qantaqę, która powróciła z polowania; jej gęste futro lśniło od deszczu.

– Myślę, że mniej więcej wiem, gdzie musimy dojść – powiedziała Miriamele. – W każdym razie możemy sprawdzić.

– Zrobimy to. – Binabik przeciągnął się. – Zostaniemy tutaj jeszcze jedną noc, a potem zejdziemy do koni. – Mam nadzieję, że mają co jeść. Nie zamierzaliśmy zostawiać ich tam tak długo. Mogę cię zapewnić, że jeśli wyjadły całą trawę, to następną rzeczą, za jaką się zabrały, były rzemienne postronki, którymi je uwiązaliśmy. Tak że z pewnością konie nie są głodne, ale my możemy ich nie znaleźć.

Miriamele wzruszyła ramionami.

– Jak ty to mówisz, nic nie zrobimy, dopóki tam nie dojdziemy.

– Mówię tak, ponieważ jest to wielka prawda – odparł troll z powagą.

RACHEL SMOK WIEDZIAŁA, CO ZOBACZY, lecz mimo to poczuła ogromne rozczarowanie. Już ósmy dzień z rzędu jedzenie i woda, które przynosiła, pozostawały nieruszone.

Odmawiając smutną modlitwę o cierpliwość do świętej Rhiappy, Rachel zebrała do swojego worka te rzeczy, które mogły się zepsuć. Później zje to małe jabłko i kawałek zeschniętego chleba. Wyłożyła świeżą porcję jedzenia i sprawdziła, czy woda w misce jest czysta i wciąż nadaje się do picia.

Zmarszczyła czoło. Gdzie się podział biedny Guthwulf? Nie mogła znieść myśli, że błąka się gdzieś w ciemności, nie mogąc odnaleźć drogi do miejsca, gdzie zawsze mógł coś zjeść. Kusiło ją, by pójść i go poszukać – a nawet zachodziła ostatnio dalej niż zwykle – ale wiedziała, że mogą być z tego tylko kłopoty. Im głębiej schodziła do tuneli, tym większe istniało niebezpieczeństwo, że uderzy się w głowę albo wpadnie w dziurę. Wtedy byłaby bezradna. Ona może i martwi się o ślepego Guthwulfa, ale nikt nie martwi się o Rachel.

Te myśli jeszcze bardziej ją zmartwiły. Jeśli jej mogłoby się coś takiego przytrafić, to równie dobrze i Guthwulfowi. Może leży ranny gdzieś

całkiem niedaleko. Niepokoiła ją myśl, że ktoś może potrzebować jej pomocy, a ona nie może mu jej udzielić. Kiedyś była przełożoną wszystkich pokojówek na zamku, w pewnym sensie królową. Teraz nie mogła zrobić nawet tego, co wydawało się niezbędne dla jednego biednego ślepca.

Rachel zarzuciła na ramię swoją torbę i poszła schodami do góry, do swojego ukrytego sanktuarium.

Kiedy odsunęła arras i otworzyła drzwi na dobrze naoliwionych zawiasach, zapaliła jedną z latarni i rozejrzała się. W pewnym sensie mieszkanie w tak ograniczonej samotności miało swoje dobre strony: pomieszczenie to było tak małe, że łatwo było je wysprzątać, a ponieważ przychodziła tam tylko ona, więc zawsze wiedziała, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Rachel postawiła lampę na stołku, którego używała jako stołu, i przysunęła do niego krzesło. Aż zamrugała z wysiłku; tej nocy wilgoć przeniknęła jej kości i bolały ją kończyny. Nie miała ochoty na szycie, a do udania się na spoczynek pozostała jeszcze przynajmniej godzina. Rachel starała się zachować stary porządek dnia. Zawsze budziła się na krótko przed głosem rogu nocnej warty przekazującej straż porannej zmianie, lecz obecnie jedynie poranne wizyty w pokoju na górze, który posiadał okno wychodzące na zewnątrz, stanowiły jej jedyny kontakt ze światem zewnętrznym. Nie chciała zrywać cieniutkiej nici, jaka łączyła ją z dawnym życiem, więc postanowiła, że poszyje jeszcze z godzinę, zanim się położy, bez względu na obolałe dłonie.

Wyjęła nóż i pokroiła jabłko na małe kawałki. Jadła ostrożnie, ale i tak, kiedy skończyła, rozbolały ją zęby i dziąsła, dlatego piętkę chleba umoczyła w wodzie. Skrzywiła się. Wszystko ją dzisiaj bolało. Pewnie zbliżała się burza – mówiły jej to kości. To nie było sprawiedliwe. W ciągu

ostatnich tygodni zaledwie przez kilka dni mogła popatrzeć na słońce z okna na górze, ale teraz nawet to miało zostać jej odebrane.

Szycie nie szło jej tego dnia. Myślami była gdzie indziej. Normalnie nie miałoby to wpływu na jej pracę, lecz teraz wciąż robiła długie przerwy między kolejnymi ruchami igły.

„Jak by to wszystko się potoczyło, gdyby nie przybył Pryrates?” – zastanawiała się.

Elias może nie był aż tak wspaniały jak jego wielki ojciec, ale miał siłę i zdolności. Może wyzbyłby się swojego grubiaństwa i złego towarzystwa; zamek pozostałby pod jej kontrolą, śnieżnobiałe obrusy przykrywałyby długie stoły, posadzki lśniłyby wypucowane. Pokojówki uwijałyby się pracowicie – pod surowym okiem Rachel wszyscy uwijali się pracowicie. No, prawie wszyscy...

Tak, Simon. Byłby tutaj, gdyby nie czerwony duchowny. Może do tej pory znalazłby sobie jakieś zajęcie, które by mu odpowiadało. Byłby większy – och, tak, oni rosną tak szybko – a może nawet miałby brodę jak dorosły mężczyzna, chociaż trudno było wyobrazić sobie Simona jako mężczyznę. Czasem przychodziłby odwiedzić ją pod koniec dnia, może napiliby się razem jabłecznika i porozmawiali. Pilnowałaby, żeby nie miał za krótkich spodni i żeby nie zadawał się z nieodpowiednimi dziewczynami – nie można go było za bardzo wypuszczać z ręki...

Coś mokrego kapnęło na dłoń Rachel. Wzdrygnęła się.

„Płaczesz? Płaczesz, głupia starucho? Za tym gamoniem? – Otrząsnęła się ze złością. – On jest teraz w lepszych rękach niż twoje, a łzy go nie przywrócą”.

A jednak miło byłoby zobaczyć go dorosłym, lecz z tym samym bezczelnym uśmiechem na ustach...

Rachel odłożyła szycie rozzłoszczona. Nie było sensu udawać, skoro i tak nie miała zamiaru szyć. Zajmie się czymś innym, zamiast beczeć i rozpamiętywać jak jakaś wiekowa starucha przy ognisku. Jeszcze nie umarła. Jeszcze miała co robić.

Ktoś jej potrzebował. Spacerując wolno po malutkim pokoju i nie zwracając uwagi na bolące stawy, Rachel postanowiła, że jednak pójdzie szukać hrabiego Guthwulfa. Będzie działała możliwie najostrożniej, ale jej aedonickim obowiązkiem było sprawdzić, czy biedak nie jest ranny albo chory.

Rachel Smok zaczęła planować.

DESZCZ SIEKŁ Z UKOSA CMENTARZ, kładąc wysokie do kolan trawy i zalewając strumieniami poprzewracane kamienie.

– Znalazłeś coś? – zawołała Miriamele.

– Nic przyjemnego. – Słowa Binabika ledwie do niej docierały poprzez szum deszczu. Pochyliła się niżej nad drzwiami krypty. – Nie ma tutaj tunelu – dodał troll.

– W takim razie wychodź. Zupełnie przemokłam. – Okryła się szczelniej płaszczem i spojrzała w górę.

Za cmentarzem z deszczu wyłaniał się Hayholt z ciemnymi, tajemniczymi wieżami na tle burego nieba. Dostrzegła migocące światło w czerwonych oknach Wieży Hjeldina i natychmiast przykucnęła w trawie, jak królik przykryty cieniem jastrzębia. Wydawało się, że zamek czeka na coś, cichy, prawie pozbawiony życia. Na murach nie było widać żołnierzy, nie powiewały żadne proporce. Jedynie Wieża Zielonego Anioła wydawała się żyć życiem białego kamienia, z którego ją zbudowano. Przypomniały jej się czasy, kiedy ukrywała się w niej, żeby szpiegować Simona, który przychodził popołudniami pomarzyć w dzwonnicy. W porównaniu

z pozostałą częścią Hayholt, która działała na nią przytłaczająco, to miejsce było względnie wesołe. Stojący teraz przed nią zamek przypominał pradawne stworzenie w twardym pancerzu albo starego pająka, rozmyślającego w środku swojej pajęczyny.

„Czy ja tam rzeczywiście mogę pójść? – zastanawiała się. – Może Binabik ma jednak rację. Może jestem krnąbrna i uparta, twierdząc, że mogę wszystko zrobić sama”.

Ale troll mógł nie mieć racji. Czy mogła rezygnować? A przede wszystkim, czy mogła odejść od ojca, wiedząc, że zapewne już nigdy się nie zobaczą?

– Miałaś rację. – Binabik wynurzył się z krypty, osłaniając dłonią oczy. – Rzeczywiście mocno pada.

– Wracajmy do koni – powiedziała Miriamele. – Tam się schowamy przed deszczem. Niczego nie znalazłeś?

– Jeszcze jedno miejsce bez śladu tunelu. – Troll wytarł zabłocone dłonie o spodnie. – Za to sporo zmarłych, lecz żaden nie był na tyle dobry, żeby spędzić z nim więcej czasu.

Miriamele skrzywiła się.

– Ale Simon tutaj wyszedł. Jestem tego pewna. Wyjście musi znajdować się gdzieś blisko.

Binabik wzruszył ramionami i podążył w kierunku szarpanych wiatrem wiązów rosnących wzdłuż południowego muru cmentarza. Idąc, naciągnął na głowę kaptur.

– Albo nie pamiętasz dokładnie, albo tunel jest tak dobrze ukryty, że nie mogę go znaleźć. Ale wszędzie już zaglądałem, podnosiłem wszystkie kamienie...

– To nie twoja wina – powiedziała.

Niebo rozświetliła błyskawica, a kilka chwil później rozległ się grzmot. Nagle oczyma wyobraźni zobaczyła Simona, wędrującego we wnętrzu ziemi. Nie było go, odszedł na zawsze, choć tak bardzo oboje z trollem wierzyli. Potknęła się. Po jej mokrych od deszczu policzkach popłynęły łzy. Zatrzymała się, gdyż szlochała tak bardzo, że nic nie widziała.

Binabik uścisnął jej rękę swoją małą dłonią.

– Jestem z tobą. – Jego głos drżał.

Stali długo w deszczu. Wreszcie Miriamele uspokoiła się.

– Przepraszam, Binabiku. Nie wiem, co robić. Szukamy już cały dzień i bez rezultatu. – Otarła mokrą twarz. Nie potrafiła rozmawiać o Simonie. – Może powinniśmy przestać. Miałeś rację: nie mogłabym podejść do bram.

– Najpierw się osuszmy. – Troll pociągnął ją w stronę szałasu. – A potem zastanowimy się, co robić dalej.

SZUKALIŚMY, MIRIAMELE – POWIEDZIAŁ BINABIK. Konie parsknęły niespokojnie, kiedy po niebie znowu przetoczył się grzmot. Qantaqa spojrzała na chmury, jakby dudnienie było czymś, co mogłaby dopaść. – Ale jeśli chcesz, to poczekamy, aż przestanie padać, i sprawdzę jeszcze raz. Może bezpieczniej będzie szukać w nocy.

Miriamele zadrżała na myśl o przeszukiwaniu grobów nocą. Poza tym kopacze udowodniły, że nie tylko duchów należy się obawiać w tych kryptach.

– Nie chcę, żebyś to robił.

Wzruszył ramionami.

– W takim razie czego chcesz?

Spojrzała na mapę. Kręte, atramentowe linie były prawie niewidoczne w mroku burzliwego popołudnia.

– Są też inne linie, które pewnie oznaczają inne tunele. Tutaj jest jedna.

Binabik zmrużył oczy i przyjrzał się mapie.

– Wydaje się, że ten wychodzi gdzieś w kamiennym murze nad Kynslagh. Chyba trudno byłoby go odnaleźć; musi być pod samym nosem twojego ojca i żołnierzy.

Miriamele przytaknęła mu.

– Chyba masz rację. A ten?

Troll zastanawiał się przez moment.

– Jest chyba w miejscu, w którym teraz stoi miasto.

– Erchester? – Miriamele obejrzała się, lecz widok zasłaniał jej wysoki cmentarny mur. – Gdzieś w Erchesterze?

– Tak, widzisz? – Przesunął palcem wzdłuż linii. – Jeśli to jest mały las, zwany Kynswood, a my stoimy tutaj...

– Tak. To musi być gdzieś w środku miasta. – Zamilkła na chwilę. – Gdybym mogła zmienić twarz...

– A ja swój wzrost i swoją trollowatość? – Binabik uśmiechnął się kwaśno.

Potrząsnęła głową, czując, że ten pomysł przybiera w jej głowie coraz wyraźniejszą formę.

– Nie musiałbyś. Gdybyśmy jechali na jednym koniu, ludzie wzięliby cię za dziecko.

– Czuję się zaszczycony.

Miriamele roześmiała się głośno.

– Nie, to by było dobre. Nikt nie zwracałby na ciebie uwagi, gdybyś naciągnął na głowę kaptur.

– A co byśmy zrobili z Qantaqą i koniem Simona?

– Może moglibyśmy je zabrać ze sobą. – Nie poddawała się. – Ludzie pomyśleliby, że to pies.

Teraz śmiał się już i Binabik.

– Wmawianie ludziom, że taki mały człowieczek jak ja to dziecko, to jedna rzecz, ale jeśli nie znajdziesz dla Qantaqi odpowiedniego przebrania, z pewnością nikt nie będzie miał wątpliwości, że to wilczysko z Białego Pustkowia.

Miriamele popatrzyła na kudłatą wilczycę i pokiwała smutno głową.

– Wiem. Tak sobie tylko pomyślałam.

Troll uśmiechnął się.

– Ale pozostała część pomysłu jest dobra. Jest kilka rzeczy, które musimy zrobić...

SKOŃCZYLI PRACĘ W KĘPIE LIP na skraju leżącego odłogiem pola po zachodniej stronie głównej drogi, niedaleko północnej bramy Erchesteru.

– Binabiku, co ty włożyłeś do tego wosku? – Miriamele skrzywiła się, próbując językiem. – Smakuje okropnie!

– To nie jest do smakowania ani dotykania – powiedział. – Samo odejdzie. A dodałem trochę ciemnego błota dla odpowiedniego koloru.

– Czy rzeczywiście wyglądam tak, jakby mi brakowało zębów?

Binabik przekrzywił głowę.

– Tak. Wyglądasz podle i ani trochę nie przypominasz księżniczki.

Miriamele przejechała dłonią po potarganych i brudnych włosach i delikatnie dotknęła ubłoconej twarzy.

„Musi to być niezły widok. – Z jakiegoś powodu czuła zadowolenie. – Jak w przedstawieniu, w *Sztuce Usiresa*. Mogę być, kim tylko zechcę. – Tylko że to nie było przedstawienie. Natychmiast ujrzała twarz Simona

i przypomniała sobie, co robi i jakie to niebezpieczne, a także ile już zostało stracone po to, żeby tam dotrzeć. – Robię to, aby ustały ból i zabijanie – przypominała sobie. – I żeby mój ojciec się opamiętał”.

Podniosła wzrok.

– Jestem gotowa.

Troll skinął głową. Odwrócił się i poklepał Qantaqę po łbie; potem odprowadził ją kawałek i klęknąwszy, przytulił twarz do jej karku, szepcąc coś do ucha wilczycy. Z potoku słów w języku trolli Miriamele zrozumiała tylko gardłowe spółgłoski. Qantaqa przekrzywiła łeb i zaskomlała cicho, lecz się nie poruszyła. Kiedy troll skończył mówić, poklepał ją jeszcze raz i przyłożył czoło do jej czoła.

– Nie pozwoli oddalić się zbytnio koniowi Simona – powiedział. – A teraz czas ruszać.

Miriamele wspięła się na siodło i podała rękę trollowi, który wdrapał się na górę i usiadł przed nią. Uderzyła piętami konia.

Kiedy się obejrzała, Nadzieja Simona skubała trawę pod ociekającym deszczem drzewem. Qantaqa siedziała wpatrzona w plecy swojego pana.

TRAKT ERCHESTERU PRZYPOMINAŁ MORZE BŁOTA, dlatego koń poruszał się bardzo wolno.

Brama miasta nie była zamknięta. Otworzyła się, skrzypiąc cicho, lekko pchnięta przez Miriamele. Księżniczka poczłapała z powrotem wzdłuż pozostawionych przez wozy kolein i znowu wsiadła na konia. Przejechali w deszczu między wysokimi wieżami.

– Nie ma straży – szepnęła.

– Nikogo nie widzę.

Tuż za bramą znajdował się Plac Bitewny, wyłożony kamiennymi płytami kwadrat z łatą trawy pośrodku – miejsce licznych parad i zabaw. Teraz plac był pusty i tylko kilka wychudzonych psów grzebało w śmieciach u wylotu jednej z alei. Wydawało się, że miejsce to jest od dawna opuszczone. Ogromne kałuże marszczyły się od deszczu. Plama zieleni przypominała błotnistą wyspę.

Echo końskich kopyt zwróciło uwagę psów. Spojrzały w ich stronę znużonym wzrokiem, z wywieszonymi jęzorami; chwilę później zerwały się i uciekły, znikając w alei.

– Co tu się stało? – zastanawiała się Miriamele.

– Chyba możemy się domyślić – powiedział Binabik. – Widziałaś już podobne miasta i wioski, a ja widziałem taką pustkę na całej pokrytej śniegiem Północy. A przecież to miejsce znajduje się najbliżej tego, co stało się w Hayholt.

– Ale gdzie są wszyscy ludzie? Ze Stanshire, z Doliny Hasu i stąd? Przecież nie zniknęli.

– Nie. Niektórzy z nich pewnie zmarli, kiedy nie zebrali plonów, a inni mogli odejść na Południe. Ten rok jest straszny nawet dla tych, którzy zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje, tak jak my. Tym, którzy tutaj mieszkali, wydawało się zapewne, że padła na nich jakaś klątwa.

– Och, Miłosierna Elysio. – Powiedziała to ze smutkiem, który dziwnie mieszał się ze złością i współczuciem. – Co uczynił mój ojciec?

Binabik potrząsnął tylko głową.

Dopiero kiedy wjechali na Główną Aleję, ujrzeli oznaki życia: w szczelinach kilku okiennic dostrzegli migotanie ognia, a gdzieś w dole ulicy trzasnęły drzwi. Miriamele wydało się nawet, że słyszy cichą modlitwę, lecz jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie osoby, która wydobyłaby

z siebie tak żałosny głos; już raczej mogło to być zawodzenie błąkającej się duszy.

Kiedy wyjechali zza zakrętu, z bocznej ulicy wyszła postać w poszarpanym ubraniu i szła, powłócząc nogami, w górę alei. Miriamele tak zdumiała się widokiem żywego człowieka, że zatrzymała konia i długo patrzyła na idącego. Postać odwróciła się, jakby wyczuwając obecność obcych; przez moment na pomarszczonej twarzy pod kapturem pojawił się skurcz strachu – nie sposób było powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta – a zaraz potem postać odwróciła się i poszła szybko przed siebie. Miriamele i Binabik podjechali nieco, lecz nikogo już nie zobaczyli. Wszystkie drzwi w wąskiej uliczce wyglądały tak, jakby jakiś czas temu zostały zabite.

– Kimkolwiek była ta osoba, z pewnością bała się nas – powiedziała Miriamele rozczarowana.

– Czy można ich za to winić? – Troll wskazał ręką na opustoszałe ulice. – Ale to nie jest ważne. Wydarzyło się tutaj wiele potworności, lecz nie możemy się tym martwić. My szukamy czegoś.

– Oczywiście – odparła szybko Miriamele, lecz niezupełnie myślała o tym, o czym mówił troll. Nie mogła oderwać wzroku od ubłoconych ścian i pustych ulic. Wyglądało to tak, jakby przez miasto przetoczyła się powódź i zabrała ludzi. – Oczywiście – powtórzyła. – Ale jak my to znajdziemy?

– Na mapie koniec tunelu znajdował się w miejscu, które było chyba w samym środku miasta. Czy jedziemy w dobrym kierunku?

– Tak. Główna Aleja ciągnie się przez całe miasto aż do Bramy Nearulagh.

– W takim razie co to jest? – Binabik pokazał ręką. – Chyba zagradza nam drogę. – Przed nimi majaczyła ogromna, ciemna bryła.

– To? – Miriamele potrzebowała dłuższej chwili, żeby pozbierać myśli. – Ach. To jest tył katedry Świętego Sutrina.

Binabik milczał przez chwilę.

– Czy to jest środek miasta?

– Mniej więcej. – Coś w głosie trolla wyrwało ją w końcu z sennej pustki ulicy. – Binabiku, o co chodzi?

– Podjedźmy bliżej. Dlaczego ściana nie jest złocista? Podróżni opowiadali, że to znany szczegół katedry.

– Jest złocista z drugiej strony, od zamku.

Pojechali dalej. Miriamele zastanawiała się, czy tutaj w ogóle mieszkają jeszcze ludzie. A może jest ich dużo, tylko przestraszeni obserwują ich zza okiennic albo przez szczeliny w ścianach. Ale myśl ta wydała jej się równie niepokojąca jak to, że miasto może być opuszczone.

A może jeszcze coś dziwniejszego. Stojące po obu stronach ulicy kupieckie stragany były puste, lecz Miriamele wyczuwała nastrój pewnego oczekiwania, jakby puste dziury straganów spodziewały się, że wypełni je nowe życie – coś zupełnie odmiennego od rolników, chłopów i ludzi, którzy kiedyś ożywiali to miasto.

ZŁOCISTA FASADA KATEDRY ŚWIĘTEGO SUTRINA została całkowicie oskubana; nawet słynne kamienne płaskorzeźby zamieniły się w nierozpoznawalne postacie, jakby złoto, które je pokrywało, zostało pośpiesznie pozbijane młotkami w ciągu jednej godziny.

– Była piękna. – Miriamele powiedziała to, nie mogąc zdobyć się na smutek czy zdziwienie. – W słońcu wydawało się, że cały kościół objęty jest świętym ogniem.

– W trudnych czasach złoto ma większą wartość niż piękno – zauważył Binabik, wpatrując się w popękane twarze świętych. – Spróbujmy otworzyć drzwi.

– Czy myślisz, że tunel jest tutaj?

– Widziałaś na mapie, że wychodził w samym środku Erchesteru. Myślę, że to miejsce ma o wiele głębsze korzenie niż jakiekolwiek inne w mieście.

Niełatwo było otworzyć ogromne drewniane drzwi, lecz Miriamele i Binabik pchnęli je mocno i zawiasy zaskrzypiały, a drzwi uchyliły się na tyle, by mogli się wśliznąć.

Przedsionek także pozbawiono większości ozdób. Piedestały po obu stronach drzwi były puste, a ogromne arrasy, które kiedyś stanowiły okno kościoła, wychodzące na czasy Usiresa Aedona, teraz leżały na podłodze podeptane. W pomieszczeniu czuć było stęchlizną i wilgocią, jakby od dawna nikt tam nie przychodził, jednak z ogromnej kaplicy za drzwiami przedsionka dochodziło światło.

– Ktoś tutaj jest – powiedziała cicho Miriamele.

– Albo przychodzą jeszcze zapalać świece.

Uszli zaledwie kilka kroków, kiedy w drzwiach kaplicy pojawiła się jakaś postać.

– Kim jesteście? Czego szukacie w domu Bożym?

Miriamele była tak zdumiona innym ludzkim głosem, że przez długą chwilę nie odpowiadała. Binabik zrobił już krok do przodu, ale powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Jesteśmy podróżnymi – powiedziała. – Chcieliśmy zobaczyć katedrę Świętego Sutrina. Dawniej drzwi nigdy nie były zamknięte.

– Czy jesteście Aedonitami?

Miriamele pomyślała, że głos obcego brzmi dziwnie znajomo.

– Ja jestem. Mój towarzysz pochodzi z dalekich krajów, ale i on służył Matce Kościołowi.

Obcy zawahał się przez moment, zanim odpowiedział.

– A zatem wejdźcie. Skoro przysięgacie, że nie jesteście wrogami.

Drżący głos sugerował, że nawet gdyby okazali się wrogami, to obcy i tak nie byłby w stanie ich powstrzymać; mimo to Miriamele powiedziała:

– Nie jesteśmy, dziękujemy.

Postać usunęła się i Miriamele poprowadziła Binabika do środka. Wciąż jednak była niespokojna. W takim mieście każdy mógł mieszkać w katedrze. Dlaczego by nie użyć jej jako pułapki czy przynęty dla nieostrożnych?

W katedrze nie było wiele cieplej niż na zewnątrz, a całe wnętrze ginęło w cieniach. W ogromnym pomieszczeniu paliło się może z tuzin świec, których światło ledwie docierało do sklepienia sufitu. Sama kopuła też wydała się Miriamele dziwna. Przyjrzawszy się dokładnie, zorientowała się, że z całego szklanego dachu pozostało zaledwie kilka okruchów przyczepionych do ołowianej ramy. Na niebie lśniła samotna gwiazda.

– Zniszczony przez burze – odezwał się głos tuż obok. Drgnęła zaskoczona. – Wszystkie cudowne okna zniszczone, dzieło wielu stuleci. Nadszedł Sąd Ludzkości. – W słabym świetle ujrzała stojącego obok niej starca w brudnej, szarej szacie, o twarzy pokrytej tysiącem drobniutkich zmarszczek i siwej łysiejącej głowie, na której nosił przekrzywiony kapelusz o dziwnym kształcie. – Wyglądasz na smutną – mruknął; jego akcent zdradzał erkynlandzkie pochodzenie. – Czy widziałaś Świętego Sutrina przed... – zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. – Czy widziałaś go... przedtem?

– Tak. – Miriamele wiedziała, że lepiej byłoby udawać całkowitą niewiedzę, lecz nie miała serca, słuchając, z jaką patetyczną dumą starzec

wyraża się o kościele. – Widziałam go. Był piękny.

– Dorównuje mu tylko wielka kaplica w Sancellan Aedonitis – zauważył starzec. – Ciekawe, czy ona jeszcze stoi? Niewiele wieści dociera tutaj z Południa.

– Na pewno stoi.

– Tak? To dobrze. – Pomimo słów, które wypowiedział, wydawał się nieco rozczarowany faktem, że rywala jego katedry nie spotkał równie podły los. – Niech nam wybaczy Odkupiciel. Marnymi jesteśmy gospodarzami – powiedział nagle, chwytając ramię Miriamele drżącą dłonią. – Wejdź i schowaj się przed burzą. Ty i twój syn... – Wskazał na Binabika, który spojrzał na niego ze zdziwieniem; starzec najwyraźniej nie pamiętał już, co powiedziała mu Miriamele. – Będziecie tutaj bezpieczni. Odebrali nam piękne rzeczy, ale my wciąż żyjemy pod czujnym okiem Boga.

Poprowadził ich długą nawą w kierunku ołtarza – kamiennego bloku przykrytego tylko szmatą – mrucząc pod nosem o pięknych przedmiotach, które znajdowały się tu i tam, oraz o tym, co się z nimi stało. Miriamele nie słuchała specjalnie tego, co mówił: jej uwagę zwróciły postacie siedzące lub leżące pod ścianami. Niektóre spoczywały rozciągnięte na ławkach, jakby spały. W całej ogromnej kaplicy było ich kilkadziesiąt, wszystkie milczące i nieruchome. Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl.

– Kim są ci ludzie? – spytała. – Czy oni... nie żyją?

Starzec podniósł wzrok zdziwiony, uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie, nie. Oni są pielgrzymami, tak jak i wy, którzy szukali bezpiecznego schronienia. Bóg tutaj ich skierował, więc schronili się w Jego kościele.

Kiedy starzec zaczął od nowa opisywać splendor Świętego Sutrina, Miriamele poczuła pociągnięcie za rękaw.

– Spytaj go, czy pod tym miejscem znajduje się coś takiego, czego szukamy – szepnął troll.

Skorzystała z okazji, gdy tylko starzec zamilkł na chwilę.

– Czy pod katedrą są tunele?

– Tunele? – W zamglonym spojrzeniu starca pojawiła się dziwna iskra. – O czym mówisz? Są tutaj katakumby, w których wszyscy biskupi oczekują Dnia Sądu, ale nikt tam nie schodzi. To jest... święte miejsce. – Wydawał się zaniepokojony; wzrok utkwił w miejscu gdzieś za ołtarzem. – To nie jest miejsce dla podróżnych. A dlaczego pytasz?

Miriamele nie chciała go już więcej niepokoić.

– Mówiono mi, że jest tutaj... takie święte miejsce. – Skłoniła głowę. – Ktoś bardzo mi drogi znajduje się w niebezpieczeństwie. Myślałam, że może jest tutaj specjalna kaplica... – Nagle zdała sobie sprawę, że coś, co miało być kłamstwem, okazało się prawdą: rzeczywiście ktoś jej drogi znajdował się w niebezpieczeństwie. Powinna zapalić świecę dla Simona, zanim stąd odejdą.

– Ach. – Starzec wydawał się uspokojony. – Nie, to nie jest takie miejsce. A teraz chodźcie, już czas na wieczorną mansę.

Miriamele spojrzała na niego zdumiona. A więc nawet w tej skorupie zachowywano obrzędy. Zastanawiała się, co się stało z grubym krzykliwym biskupem Domitisem i rzeszą jego podwładnych.

Starzec zaprowadził ich do pierwszej ławki przed ołtarzem i dał znak, by usiedli. Miriamele natychmiast dostrzegła ironię sytuacji, w jakiej się znalazła: często siadywała w tym samym miejscu u boku ojca i tuż za dziadkiem.

Starzec przeszedł za kamienny ołtarz i wzniósł ramiona w górę.

– Chodźcie, przyjaciele – przemówił głośno. – Możecie powrócić.

Binabik spojrzał na Miriamele. Wzruszyła tylko ramionami, niepewna, co powinni zrobić.

Z pewnością nie do nich zwrócił się starzec. Chwilę później spod zniszczonej kopuły sfrunęły ciemne postacie. Miriamele krzyknęła cicho przestraszona, kiedy kruki usiadły na ołtarzu. Kilkanaście ptaków stało równo obok siebie, połyskując czarnymi piórami.

Starzec zaczął recytować *Mansa Nictalis*, gdy tymczasem kruki nastroszyły dumnie pióra.

– Co to jest? – spytał Binabik. – Nie słyszałem, by odprawiano u was podobne ceremonie.

Miriamele pokręciła głową. Starzec najwyraźniej postradał zmysły. Przemawiał po nabbańsku do ptaków, które przechadzały się po kamieniu, skrzecząc ochryple. Ale w całej tej niesamowitej ceremonii było coś jeszcze, coś, czego Miriamele nie potrafiła uchwycić...

Nagle, kiedy starzec wzniósł ramiona i wykonał rytualny znak Wielkiego Drzewa, rozpoznała go. To był sam biskup Domitis, czy raczej to, co z niego zostało, gdyż skurczył się przynajmniej o połowę. Zmienił się nawet jego głos: pozbawiony ogromnego miecha jego ciała, stał się cienki i piszczący. Kiedy jednak zaintonował dźwięczne kadencje mansy, jakby powrócił dawny Domitis. Niewyraźnie widziała go takim, jaki był kiedyś – nadęta, zadufana w sobie żaba.

– Binabiku! – szepnęła. – Ja go znam! To jest tutejszy biskup. Tylko że bardzo się zmienił!

Troll obserwował pląsające kruki nieco zaniepokojony, ale i rozbawiony.

– Czy w takim razie potrafisz go namówić, żeby nam pomógł?

Miriamele zastanawiała się.

– Nie sądzę. Zdaje się, że bardzo strzeże swojego kościoła i chyba nie spodobał mu się pomysł zejścia do katakumb.

– Myślę, że właśnie tam musimy zejść – powiedział cicho Binabik. – Spróbujemy znaleźć dogodną okazję. – Spojrzał na Domitisa, który stał z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami; ramiona rozłożył, jakby naśladował ptasią kongregację.

– Muszę teraz coś zrobić. Zaczekaj tu na mnie. Zaraz wrócę. – Wstał cicho i poszedł szybko wzdłuż nawy.

– Binabiku! – zawołała za nim cicho Miriamele, lecz troll uniósł tylko dłoń i zniknął w przedsionku. Zaniepokojona odwróciła się, by dalej oglądać dziwne przedstawienie.

Domitis wydawał się nie zwracać uwagi na nikogo poza sobą i krukami. Dwa z nich sfrunęły z ołtarza i usiadły mu na ramionach. Wczepiły się mocno pazurami, kiedy kołysał ciałem, a gdy zaczął machać ramionami, recytując kolejne modlitwy, zafurkotały ogromnymi, czarnymi skrzydłami, by utrzymać się na swojej grzędzie.

Wreszcie biskup przystąpił do ostatniej części mansy, a wtedy ptaki wzbiły się w górę i zaczęły krążyć nad jego głową niczym gradowa chmura. Jeśli w całym tym rytuale istniały jakieś zabawne elementy, to teraz nie pozostało z nich ani śladu: wszystko to wydało się nagle Miriamele przerażające. Czy nie było już miejsca na świecie, które nie byłoby zarażone szaleństwem? Czy *wszystko* uległo zepsuciu?

Domitis zaintonował ostatnie słowa mansy i zamilkł. Kruki krążyły jeszcze przez chwilę, a potem wzbiły się jak czarny wir pod sklepienie, znikając w cieniu; pozostało po nich tylko echo ochrypłego krakania, które unosiło się nad ich głowami. Kiedy i ono umilkło, a w katedrze zapanowała cisza, biskup Domitis, szary z wysiłku, schylił się za ołtarzem.

Minęła dłuższa chwila, a on się nie pojawiał. Miriamele zaczęła zastanawiać się, czy starzec zapadł w jakiś trans, a może nawet umarł. Wstała i ruszyła ostrożnie w stronę ołtarza; przez cały czas zerkała w górę, obawiając się, że w każdej chwili kruki mogą powrócić – dobrze pamiętała ich ogromne dzioby i pazury...

Domitis chrapał cicho, skulony na podartym kocu. Teraz, kiedy spał, jego twarz wydawała się jeszcze bardziej zdeformowana; obwisła skóra powodowała, że wyglądał, jakby założył na twarz maskę z roztopionego wosku. Miriamele zadrżała i powróciła na swoje miejsce, ale nawet i tam czuła się zbytnio odsłonięta. Kaplicę wciąż wypełniał tłum milczących postaci i nietrudno było sobie wyobrazić, że one tylko udają sen i chcą się upewnić, że jej towarzysz nie powróci, zanim wstaną i ją otoczą.

MIRIAMELE WYDAWAŁO SIĘ, ŻE UPŁYNĘŁY całe wieki. W przedsionku było jeszcze zimniej niż w pozbawionej dachu kaplicy, lecz stamtąd przynajmniej tylko krok dzielił ją od wyjścia na zewnątrz w razie potrzeby. Przez uchylone drzwi wciskał się nocny wiatr, którego obecność dodawała jej poczucia bezpieczeństwa i wolności, ale mimo to podskoczyła, kiedy zaskrzypiały zawiasy.

– Ach – powiedział Binabik, wślizgując się do środka. – Wciąż mocno pada. – Otrząsnął się z deszczu.

– Biskup Domitis zasnął za ołtarzem. Gdzie byłeś?

– Zaprowadziłem twojego konia do Qantaqi i Nadziei. Nawet jeśli nie znajdziemy tego, czego szukamy, to możemy pieszo poruszać się po mieście. A gdybyśmy znaleźli wejście do tunelu, to moglibyśmy znaleźć twojego konia w zupie jakiegoś głodnego mieszkańca.

Miriamele nie pomyślała o tym, ale przyznała trollowi rację.

– Dobrze zrobiłeś. A co teraz?

– Szukamy tunelu – powiedział Binabik.

– Biskup Domitis, wspominając o katakumbach, patrzył na tył katedry, w kierunku ściany za ołtarzem.

– Hmm. – Troll skinął głową. – Jesteś spostrzegawcza i masz dobrą pamięć. W takim razie zaczniemy od tego miejsca.

– Musimy poruszać się cicho, żeby go nie obudzić.

– Będziemy jak śnieżne myszy, nasze łapki będą szeptały na śnieżnej skorupie. – Uścisnął jej dłoń.

Jej obawy były niepotrzebne. Biskup chrapał cicho, lecz miarowo i ani drgnął, kiedy go mijali. Ogromna ściana za ołtarzem, kiedyś przedstawiająca sceny męczeństwa świętego Sutrina, teraz stanowiła zaledwie kruszące się pustkowie, upstrzone tu i tam kolorowymi plamami. W końcu ściany, pod butwiejącą zasłoną, znajdowały się niskie drzwi. Binabik nacisnął klamkę i drzwi natychmiast ustąpiły; można było sądzić, że często ich używano. Troll zajrzał do środka, a potem odwrócił się.

– Weźmy świece – szepnął. – Tym sposobem oszczędzimy nasze pochodnie.

Miriamele wróciła i zdjęła z lichtarza dwie świece. Poczuła wstyd, gdyż Domitis był dla nich miły na swój sposób, lecz wytłumaczyła sobie, że ich ostateczny cel jest ważniejszy niż grzech kradzieży, a poza tym robiła to także dla dobra biskupa – może kiedyś zobaczy jeszcze swój ukochany kościół odbudowany. Zastanawiała się, czy i wtedy Domitis będzie trzymał tu swoje kruki. Miała nadzieję, że nie.

Niosąc każde jedną świecę, zeszli ostrożnie wąskimi schodami. Na ich środku powstało wgłębienie, wyżłobione strumieniem tysięcy stóp, które od wieków wchodziły tędy i schodziły. Kiedy zeszli do niskich katakumb, zatrzymali się, by się rozejrzeć. Liczne nisze na ścianach zawierały

milczące, kamienne postacie; większość z nich spoczywała ubrana w kościelne szaty, lecz poza nimi nic więcej tam nie było.

Binabik wskazał na jedną odnogę, która sprawiała wrażenie mniej uczęszczanej.

– Chodź tędy.

Miriamele spojrzała w mroczny korytarz. Na jasnym tynku nie widać było żadnych ozdób; nie leżał tam żaden przyszły święty. Wciągnęła głęboko powietrze.

– Chodźmy.

W katedrze nad ich głowami para kruków sfrunęła z kopuły i zatoczywszy koło, wylądowała na ołtarzu. Ptaki stały obok siebie wpatrzone w drzwi prowadzące do katakumb. Nie były one jednak jedynymi obserwatorami. Z cienia pod ścianą wynurzyła się postać, która ruszyła cicho przez katedrę. Minęła ołtarz równie niepostrzeżenie jak Binabik i Miriamele i znieruchomiała przy niskich drzwiach, nasłuchując. Po krótkiej chwili wśliznęła się przez drzwi i zeszła po schodach.

Potem nic już nie zmąciło ciszy ciemnej katedry; słychać było tylko równomierne chrapanie biskupa i szelest skrzydeł.

42. Korzenie Białego Drzewa

SIMON NIE WIERZYŁ WŁASNYM OCZOM. Zrobił krok do przodu i natychmiast odskoczył do tyłu. Jak to możliwe? To musi być jakiś omam, jeszcze jeden wytwór labiryntu korytarzy.

Przetarł oczy i znowu je otworzył: talerz stał na półce w ścianie przy podeście na wysokości piersi. Na nim leżały pięknie ułożone małe zielone jabłko, cebula i kawałek chleba. Obok stał prosty, przykryty puchar.

Simon zrobił krok do tyłu, rozglądając się nerwowo. Kto mógłby to zrobić? Dlaczego ktoś miałby zostawiać wspaniałą kolację gdzieś w głębi ziemi? Jeszcze raz uniósł skwierczącą pochodnię.

Wciąż nie mógł uwierzyć. Nie, to niemożliwe. Zostawiwszy za sobą staw, długo wędrował, przez cały czas starając się iść coraz wyżej, chociaż wcale nie miał pewności, czy wygięte mosty, opadające w dół korytarze i dziwnie skonstruowane schody nie prowadziły jeszcze dalej w głąb ziemi. Płomień jego pochodni kurczył się coraz bardziej, aż wreszcie zamienił się w niebieskawo-żółtawy kosmyk, który mógłby zgasnąć, zduszony nawet przypadkowym podmuchem. Zaczynał już wierzyć, że pozostanie tam na zawsze, że umrze z głodu w ciemności, aż tu nagle znalazł to... ten cud.

Nie chodziło tylko o jedzenie, chociaż na jego widok usta wypełniła mu ślina, a dłonie zaczęły drżeć nerwowo. Nie, przede wszystkim znaczyło to, że gdzieś w pobliżu są ludzie, a także światło i świeże powietrze. Nawet

ściany tutaj, surowe, bez ozdób, wydawały się zwiastować powierzchnię, ucieczkę. Był prawie wolny!

„Zaczekaj. – Zamarł z dłonią tuż nad zielonym jabłkiem. – A jeśli to pułapka? Jeśli oni wiedzą, że ktoś jest na dole, i chcą go zwabić?”

Ale kim byliby ci „oni”? Z wyjątkiem jego przyjaciół, okropnych kopaczy i duchów Sithów w zamku-śnie nikt nie powinien wiedzieć, że on tam jest. Nie, ktoś przyniósł na dół kolację, a potem z jakiegoś powodu odszedł, zostawiając ją.

Jeśli była prawdziwa.

Simon wyciągnął ramię, przygotowany na to, że jedzenie zniknie, zamieni się w gruz... ale tak się nie stało. Zacisnął dłoń na jabłku. Było twarde. Wziął je z talerza i powąchał. Czy czuć byłoby truciznę? Ugryzł.

„Dziękuję, miłosierny Usiresie. Dziękuję”.

Jabłko smakowało... cudownie. Nie było dojrzałe, wręcz kwaśne, lecz on miał wrażenie, że trzyma w dłoni całą zieloną ziemię, że do jego gardła sączy się życie słońca, deszczu i wiatru. Przez chwilę zapomniał o wszystkim innym.

Uniósł pokrywkę pucharu i powąchał, by się upewnić, czy to woda, i zaraz wypił ją łapczywie. Kiedy naczynie było już puste, chwycił talerz i pomknął z powrotem korytarzem, by dokończyć ucztę w bezpiecznym miejscu.

Simon bardzo się starał, by delektować się jabłkiem możliwie jak najdłużej. Wreszcie przełknął ostatni kęs. Zlizał dokładnie sok z palców i spojrzał tęsknie na chleb i cebulę. Jednak wykazując mistrzowskie opanowanie, wsunął je do kieszeni. Nawet jeśli znalazł drogę na zewnątrz i ludzie są gdzieś niedaleko, nie oznaczało to, że dostanie jeszcze jeść. Jeśli wyjdzie gdzieś w obrębie Erchesteru albo jakiejś osady w okolicy Kynslagh, wtedy może liczyć, że znajdzie jakąś kryjówkę, a nawet

pomocną dłoń, lecz jeśli wyjdzie w Hayholt, musi liczyć się z tym, że wszyscy będą przeciwko niemu. A nawet jeśli myli się co do znaczenia talerza, to i tak będzie miał jeszcze coś do zjedzenia, kiedy zapomni już o rozkoszy, jakiej doznał, zjadając jabłko.

Podniósł pochodnię – już prawie przezroczysty płomyk – i wycofał się do korytarza, który doprowadził go do odgałęzienia. Poczuł chłodny dreszcz. W którą stronę przedtem skręcił? Tak szybko uciekał od miejsca, w którym ktoś mógł odebrać mu talerz zjedzeniem, że zapomniał o ostrożności. Czy skręcił w lewo, tak jak powinien był to zrobić? Nie był pewien.

I tak mógł tylko zastosować się do starej zasady. Skręcił w prawo. Bardzo szybko zorientował się, że wybrał zły korytarz: ten prowadził w dół. Cofnął się i wybrał inny, ale i ten schodził coraz niżej. Niebawem upewnił się, że *wszystkie* odnogi prowadzą w dół. Powrócił do miejsca, w którym jadł jabłko, i znalazł ogryzek, lecz kiedy zbliżył pochodnię do podłogi, przekonał się, że jedyne widoczne na niej ślady prowadziły tam, skąd przyszedł.

„Co za przeklęte miejsce! Przeklęty labirynt!”

Poszedł wolno w kierunku bocznego korytarza. Pewny był, że coś się wydarzyło: korytarze w dziwny sposób zmieniły kierunek. Zrezygnowany wszedł do tunelu, który wydawał mu się najmniej stromy, i poszedł wolno w dół.

Korytarz wił się, prowadząc go z powrotem do środka ziemi. Wkrótce na ścianach znowu pojawiły się sithijskie rzeźby zarośnięte wiekowym brudem. Tunel rozszerzał się. Wreszcie wyszedł na rozległą arenę; domyślił się tego jedynie z daleko płynącego echa jego kroków, gdyż pochodnia była już tylko jarzącym się punktem.

To pomieszczenie wydawało się równie rozległe i wysokie jak komnata, w której znajdował się ogromny staw. Serce zabiło mu żywiej, kiedy podszedł bliżej i jego wzrok przyzwyczaił się do powiększonych rozmiarów pomieszczenia. W pewnym sensie przypominało ono pieczarę ze stawem: przyklejone do łuków ścian ogromne schody pięły się w górę i ginęły w ciemności. Podszedł jeszcze bliżej i wtedy zobaczył w świetle dogasającej pochodni ogromny kamienny krąg, który mógł być podstawą fontanny. W jego środku wyrastało z czarnej ziemi i pięło się wysoko ponad głowę Simona drzewo. A przynajmniej tak mu się wydawało – to, co widział przy ziemi, przypominało powyginane korzenie, a wyżej plątaninę gałęzi. Choć próbował zbliżyć pochodnię, nie mógł dostrzec żadnych szczegółów, jakby do drzewa przylgnął wieczny cień.

Pochylił się do przodu i wtedy drzewo zaszeleściło poruszone nieodczuwalnym wiatrem; był to odgłos ocierających się o siebie tysięcy dłoni. Simon skoczył do tyłu. Już miał dotknąć drzewa, przekonany, że ma przed sobą rzeźbę. Minął je szybko i zbliżył się do ogromnych schodów.

Wspinając się po stopniach wokół ścian komnaty, wciąż nie przestawał myśleć o drzewie, wyrastającym w samym jej środku. Słyszał oddech liści, kiedy się poruszyły, a nawet *czuł* obecność drzewa; wydawało się równie namacalne w ciemności, jak ktoś śpiący obok w łóżku. Nigdy dotąd nie wyczuwał niczego w podobny sposób: nie była to obecność tak przytłaczająca jak istnienie stawu, nie, bardziej przypominała subtelną, ogromną inteligencję, starą i powolną. Staw emanował mocą jak buzujący ogień; był czymś, co mogło strawić lub oświetlić, lecz dopiero wtedy, gdy znalazł się ktoś, kto by jej użył. Simon nie potrafił wyobrazić sobie kogokolwiek, kto użyłby drzewa. Ono stało, śniło i czekało. Nie było ani dobre, ani złe. Po prostu istniało.

Oddalił się już od podestu schodów, a mimo to wciąż czuł obecność drzewa.

Pochodnia świeciła coraz słabiej. Pokonał już kilkaset stopni, kiedy zgasła zupełnie. Spodziewał się tego od dawna, a mimo to wcale nie czuł się raźniej. Opadł ciężko na schody, zbyt zmęczony nawet, by płakać. Odgryzł kawałek chleba i cebuli, a potem wycisnął kilka ostatnich kropel z wysychającej koszuli. Skończywszy, wziął głęboki oddech i zaczął wspinać się na czworakach, macając w ciemności.

NIE POTRAFIŁ POWIEDZIEĆ, CZY GŁOSY NALEŻAŁY do królestwa podziemi, czy też wynurzyły się z labiryntu jego własnych myśli.

– Idź do góry. Wkrótce wszystko będzie gotowe.

– Znowu na kolanach, gamoniu?

Jego dłonie pokonywały kolejne stopnie. Palce zdrętwiały, a kolana i golenie pulsowały tępym bólem.

– Nadchodzi Zdobywca! Wkrótce wszystko będzie gotowe!

– Ale jednego brakuje!

– To nie ma znaczenia. Drzewa płoną. Wszystko jest martwe, wszystko odeszło. Nie ma znaczenia.

Myśli wirowały w umyśle Simona, kiedy piął się kamienną spiralą. Nietrudno było sobie wyobrazić, że został połknięty i teraz znajduje się w brzuchu ogromnej bestii. Może to był smok, smok, o którym wspomina napis na jego obrączce. Zatrzymał się i wymacał metal na palcu. Co Binabik mówił o znaczeniu napisu? *Smok* i *Śmierć*?

„Może jestem zabity przez smoka. Połknął mnie i nie żyję. Będę wspinał się w ciemności jego wnętrza bez końca. Ciekawe, czy ktoś jeszcze został kiedykolwiek połknięty? Czuję się tak samotny...”

– *Smok nie żyje* – podpowiedziały mu głosy. – *Nie, smok znaczy śmierć* – zapewniły go inne.

Zatrzymał się i pożywił. W ustach mu wyschło, lecz mimo to pozwolił sobie tylko na kilka kropli wody i ruszył dalej.

Po raz dwunasty chyba przystanął, by złapać oddech i dać odpocząć nogom. Kiedy siedział zdyszany, nagle wokół niego zamigotało światło. Najpierw pomyślał, że znowu zapaliła się jego pochodnia, ale zaraz przypomniał sobie, że ma ją zatkniętą za pas. Przez krótką cudowną chwilę na schodach rozlało się jasnozłociste światło. Simon spojrzał w górę i ujrzał kurczącą się spiralę schodów, która prowadziła w nieskończoność, ku niebu. A potem nagle nad jego głową buchnęła wściekłym płomieniem ognista kula; powietrze stało się czerwone, a schody gorące jak rozgrzane żelazo. Simon krzyknął przestraszony.

– *Nie!* – wrzasnęły głosy. – *Nie! Ani słowa! Sprowadzisz Niebyt!*

Rozległ się grzmot głośniejszy od najgłośniejszego pioruna, a potem błękitnobiały błysk zamienił wszystko w czyste światło. Chwilę później nastała ciemność.

Simon leżał na schodach, dysząc ciężko. Czy rzeczywiście znowu zrobiło się ciemno, czy może błysk oślepił go? Skąd miał wiedzieć?

– *Co za różnica?* – spytał drwiący głos.

Przycisnął mocno dłonie do powiek, aż zobaczył w ciemności niebieskie i czerwone iskierki, lecz niczego to nie wyjaśniało.

– Nie będę wiedział, dopóki nie znajdę czegoś, co powinienem zobaczyć.

Przyszła mu do głowy okropna myśl: „A co będzie, jeśli oślepiony minę wyjście, drzwi wypełnione niebem?”

– *Nie myśl. Idź do góry. Nie myśl.*

Dźwignął się do góry. Wkrótce zagubił się całkowicie, wędrując w inne czasy, inne miejsca. Ujrzał Erchester i okolice oglądane z dzwonnicy na Wieży Zielonego Anioła – wzgórzyste łąki, ogrodzone gospodarstwa, malutkie domy, ludzi i zwierzęta podobne do zabawek rozłożonych na zielonym kocu. Chciał ich wszystkich ostrzec, powiedzieć, żeby uciekali, że nadchodzi okropna zima.

Znowu zobaczył Morgenesa. Okulary starca lśniły w blasku popołudnia, przez co oczy Doktora żarzyły się, jakby podsycane w jego wnętrzu większym niż zwykle ogniem. Morgenes próbował mu coś powiedzieć, ale Simon, młody, głupi Simon gapił się na latającą przy oknie muchę. Gdyby tylko go posłuchał! Gdyby wiedział!

Zobaczył też sam zamek, fantastyczną mozaikę wież i dachów, trzepoczące na wiosennym wietrze proporce. Hayholt – jego dom. Dom, jakim był kiedyś i jakim już nigdy nie będzie. Ach, ile by dał, żeby móc zawrócić Czas! Gdyby mógł zastawić duszę... co znaczyła dusza wobec szczęścia powrotu do domu?

Niebo za Hayholt rozjaśniło się, jakby zza chmury wyłoniło się słońce. Simon wytężył wzrok. A może to wcale nie była wiosna, może lato? Wieże Hayholt zniknęły, lecz światło pozostało.

„Światło!”

Był to ledwie dostrzegalny blask, jak światło księżyca widziane poprzez mgłę, lecz Simon dostrzegł zarys stopnia przed sobą, a na nim swoją podrapaną dłoń. Widział!

Rozejrzał się, próbując znaleźć źródło światła. Schody ciągnęły się tak daleko, jak mógł sięgnąć wzrokiem. Światło, słabe jak bagienny ognik, dochodziło gdzieś z góry.

Podniósł się na nogi, zachwiał niebezpiecznie, ale zaraz ruszył wyprostowany. Początkowo pozycja ta wydała mu się dziwna, tak że musiał

podpierać się o ścianę, ale wkrótce poczuł się jak istota ludzka. Każdy następny krok zbliżał go do światła. Każde szarpnięcie skręconej kostki przybliżało go do... do czego? Miał nadzieję, że do wolności.

Nieskończony widok, jaki ujrzał w czasie oślepiającego błysku, nagle zamknął się nad jego głową. Schody dochodziły do obszernego podestu, lecz nie ciągnęły się już dalej. Drogę zagradzał im niski sufit z surowej cegły, jakby ktoś chciał zakorkować tę wieżę, lecz mimo to światło przedostawało się jedną stroną. Simon schylił się, by nie uderzyć w sufit głową, i popełzł w kierunku światła. Dotarł do miejsca, w którym cegły się zapadły; szczelina wydawała się na tyle szeroka, by mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Podskoczył, lecz zaledwie musnął krawędź dziury od spodu. Skoczył jeszcze raz, ale na próżno.

Utkwił wzrok w otworze. Ogarnęła go fala porażki i znużenia. Usiadł i podparł głowę dłońmi. A wspiął się tak wysoko!

Zjadł do końca chleb i zaczął się zastanawiać nad cebulą; po chwili odłożył ją. Jeszcze nie nadszedł czas, by się poddać. Zastanawiał się przez chwilę, a potem podczołgał do cegieł, które spadły z sufitu, i zaczął układać je jedna na drugiej, aby utworzyły możliwie stabilną konstrukcję. Kiedy wszedł na cegły, jego dłonie zanurzyły się głęboko w dziurę, lecz wciąż nie mógł dosięgnąć jej górnej krawędzi. Napiął mięśnie i podskoczył. Przez moment czuł pod palcami zewnętrzną krawędź, lecz zaraz potem jego dłonie ześliznęły się, a on sam opadł na cegły, ponownie wykręcając obolałą kostkę. Zaciskając mocno zęby, by nie krzyczeć z bólu, ułożył starannie cegły, wszedł na nie, sprężył się i skoczył.

Tym razem był przygotowany. Chwycił mocno krawędź i zawisł, mrugając z bólu i wysiłku. Odetchnął kilka razy głęboko i podciągnął się – całe jego ciało drżało jak struna.

„Jeszcze, jeszcze trochę...”

Wzniósł się nad pokruszoną krawędź cegieł. W pewnym momencie jego łokcie utknęły w miejscu i wydawało się, że zawiśnie tam na zawsze, schwytany w pułapkę jak ptak. Jeszcze raz wciągnął powietrze, zacisnął zęby i podciągnął się. Uniósł się odrobinę wyżej; na krótką chwilę oparł się plecami o cegły i znowu napiął ramiona. Najpierw jego oczy wzniosły się ponad dziurę, potem nos i broda. Wreszcie wyrzucił na zewnątrz jedno ramię, przyciskając jednocześnie plecy do cegieł, a potem wyrzucił drugie ramię. Posługując się łokciami jak lewarkami, wysuwał się powoli ze szczeliny; starał się nie zwracać uwagi na raniące mu boki i plecy kamienie. Wreszcie, kiedy do pasa był już na zewnątrz, kopnął mocno, i teraz już całe jego ciało leżało na wilgotnym kamieniu – bezpieczne.

Simon leżał długo bez ruchu. Oddychał tylko i starał się nie myśleć o tym, jak bardzo bolą go dłonie i ramiona. Przewrócił się na plecy i ujrzał sufit, nieco wyższy od poprzedniego. Po jego policzkach popłynęły łzy. Czy miał to być kolejny rodzaj tortur? Czy już tak zawsze będzie musiał się wciągać o własnych siłach z kolejnych dziur? Czy został przeklęty?

Simon wyciągnął z kieszeni wilgotną koszulę i wycisnął do ust kilka kropel, po czym usiadł i się rozejrzał. Otworzył szeroko oczy, a serce zabiło mu mocniej. Tutaj wszystko było inne.

Siedział na podłodze pomieszczenia, które musiało być graciarnią. Niewątpliwie zostało wybudowane ręką człowieka i zawierało wiele ludzkich przedmiotów, choć wydawały się nieużywane od jakiegoś czasu. W jednym rogu leżało koło od wozu, pozbawione kilku szprych. Pod ścianą stało parę beczułek, a między nimi złożono wypełnione czymś worki. Simon nie mógł oprzeć się myśli, że są one pełne żywności. Zaraz jednak dostrzegł pod przeciwległą ścianą drabinę i zrozumiał, skąd pochodzi światło.

Górna część drabiny ginęła w otwartym włazie w suficie. Simon patrzył na świetlny kwadrat z otwartymi ustami. Z pewnością ktoś usłyszał jego pełne udręki modlitwy i postawił ją tutaj, aby na niego czekała.

Wstał i poszedł wolno przez pomieszczenie. Chwyciwszy mocno za szczebel, spojrzał do góry. Miał nad sobą światło, i to chyba światło dzienne. Czy to mogła być prawda po tym wszystkim?

Pokój powyżej okazał się kolejną rupieciarnią. On także miał drabinę i właz, lecz w górnej części jego ściany znajdowało się małe okno, przez które Simon dostrzegł szare niebo.

„Niebo!”

Wydawało mu się, że wypłakał już wszystkie łzy, lecz patrząc na prostokąt wypełniony chmurami, zaczął szlochać; płakał, wylewając łzy ulgi, tak jak dziecko, które powraca do rodziców. Upadł na kolana i odmówił modlitwę dziękczynną. Zwrócono mu świat. Nie, to nie było tak: to *on* znowu odnalazł świat.

Odpoczął kilka chwil i wspiął się na drabinę. Po drugiej stronie włazu odkrył pokój pełen kamieniarskich narzędzi oraz słoików z farbą i wapnem. Ten pokój był już otynkowany i posiadał normalne drzwi. Simon był zachwycony. Wszystko wyglądało tutaj tak cudownie normalnie! Otworzył ostrożnie drzwi, uświadamiając sobie nagle, że znajduje się w miejscu zamieszkanym przez ludzi. Chociaż bardzo pragnął ujrzeć ludzką twarz i usłyszeć głos, który nie będzie dobiegał z pustego cienia, to jednak musiał zachować ostrożność.

Za drzwiami znajdowała się ogromna komnata z kamienną posadzką, oświetlona jedynie światłem małych okien. Ściany komnaty zawieszone były ciężkimi arrasami. Po jego prawej stronie znajdowały się schody, które pięły się w górę. Inne, niższe prowadziły na podest i do drzwi

w przeciwległym końcu komnaty. Simon rozejrzał się na boki, ale nie dostrzegł nikogo. Zdecydował się wyjść.

Choć w rupieciarniach znajdowało się wiele narzędzi przydatnych do sprzątania, to jednak wydawało się, że nie wykorzystywano ich w ogromnej komnacie: w powietrzu unosił się ciężki zapach kurzu i wilgoci, a na arrasach widniały cętki pleśni.

Zdumiony światłem dziennym, upojony zwycięstwem ucieczki z mroków ziemi, Simon długo nie zdawał sobie sprawy, że znajduje się w miejscu, które zna bardzo dobrze. Wreszcie jednak coś w ułożeniu okien czy może jakiś drobny szczegół na jednym z wyblakłych arrasów przebił się przez mroki jego pamięci.

„Wieża Zielonego Anioła. – Świadomość tego docierała do niego niczym sen, to, co znajome, stało się obce, to, co obce, znajome. – Jestem w przedsionku. Wieża Zielonego Anioła! – Zaraz potem przyszła inna, mniej przyjemna myśl. – Jestem w Hayholt. W zamku Wielkiego Króla. Z Eliasem i jego żołnierzami. A także z Pryratesem”.

Natychmiast cofnął się w cień pod ścianę, jakby się obawiał, że w każdej chwili gwardziści mogą wyważyć drzwi i pochwycić go do niewoli. Co ma robić?

Kusiło go, by wspiąć się do dzwonnicy, jego chłopięcej kryjówki. Spojrzałby w dół i zobaczył każdy zakątek Hayholt; mógłby tam odpocząć i zastanowić się, co dalej. Ale spuchnięta kostka bolała okropnie, a do dzwonnicy było jeszcze tyle stopni. Postanowił, że najpierw zje cebulę. Zasłużył przecież na małą ucztę. Potem pomyśli.

Simon cofnął się do pracowni, lecz i to miejsce nie wydało mu się zbyt bezpieczne. Może tylko on myślał, że nikt tam nie zagląda. Zszedł po drabinie do rupieciarni, postękując cicho, po czym wyciągnął z kieszeni cebulę i pochłonął ją w kilku kęsach. Do gardła wycisnął już ostatnie krople

z koszuli, lecz nie przejął się tym bardzo; bez względu na wszystko deszcz płynął rynnami Hayholt, tak więc niebawem będzie mógł mieć tyle wody, ile tylko zapragnie. Położył się z głową opartą o jeden z worków i zaczął zbierać myśli.

Zasnął po kilku chwilach.

KŁAMIEMY W CHWILACH STRACHU – powiedział Morgenes. Starzec wyjął z kieszeni kamień i rzucił go do fosy. Na wodnym kręgu błysnęło słońce. – Wtedy, kiedy boimy się tego, czego nie wiemy, co inni powiedzą, co może zostać odkryte bez nas, lecz po każdym naszym kłamstwie rzecz, której się boimy, staje się silniejsza.

Simon rozejrzał się. Słońce chowało się za zachodnią ścianą zamku; czarny kolec Wieży Zielonego Anioła wyraźnie odcinał się od nieba. Wiedział, że to jest sen. Morgenes dawno mu to powiedział, lecz obaj znajdowali się w komnatach Doktora, stojąc nad zakurzoną księgą, a nie na zewnątrz, w świetle odchodzącego popołudnia. W każdym razie Morgenes nie żył. To był sen, tylko sen.

– W rzeczywistości jest to pewnego rodzaju magia, może najdziwniejsza ze wszystkich – mówił dalej Morgenes. – Przyjrzyj się temu, jeśli chcesz zrozumieć moc, młody Simonie. Nie zawracaj sobie głowy formułkami i zaklęciami. Zrozum, w jaki sposób kłamstwa nas kształtują, kształtują całe królestwa.

– Ale to nie jest magia – protestował Simon, który wbrew sobie dał się wciągnąć w dyskusję. – Tym nic nie można zrobić. Prawdziwa magia pozwala... no, nie wiem. Latać. Zamienić worek rzepy w złoto. Tak jak to dzieje się w opowieściach.

– Ale te opowieści są często kłamstwami, Simonie. Mówię o tych złych. – Doktor wytarł okulary szerokim rękawem swojej szaty. – Dobre

opowieści powiedzą ci, że najgorsze, co może cię spotkać, to stanąć twarzą w twarz z kłamstwem. I żaden talizman ani magiczny miecz nie mają takiej mocy jak prawda.

Simon odwrócił się i zobaczył, że kręgi na wodzie zanikają. Cudownie było znowu rozmawiać z Morgenesem, nawet jeśli to był tylko sen.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że gdybym rzekł do smoczego króla, takiego jak ten, którego zabił Król John: „Jesteś brzydkim smokiem”, to byłoby to lepsze, niż obciąć mu mieczem głowę?

Morgenes mówił ciszej:

– Gdybyś udawał, że to nie był smok, to tak, byłoby to najlepszym rozwiązaniem. Ale to nie wszystko, Simonie. Musisz zejść jeszcze głębiej.

– Głębiej? – Simon odwrócił się rozzłoszczony. – Byłem już głęboko w ziemi, Doktorze. Przeżyłem i wyszedłem na powierzchnię. Więc jak to jest?

Morgenes... zmieniał się. Jego skóra stawała się bardzo cienka, a w jego jasnych włosach pełno było liści. Palce starca zaczęły się wydłużać, przybierając postać cienkich gałązek.

– Tak, nauczyłeś się – powiedział Doktor. Kiedy wymawiał te słowa, jego rysy zamieniły się w pory białej kory. – Ale wciąż musisz iść głębiej. Jest jeszcze wiele do zrozumienia. Szukaj anioła. On pokaże ci rzeczy zarówno w ziemi, jak i nad nią.

– Morgenesie! – Simon zapomniał już o gniewie. Jego przyjaciel zmieniał się tak szybko, że prawie w niczym nie przypominał już człowieka; może tylko kształt drzewa, nienaturalne drżenie gałęzi. – Nie zostawiaj mnie!

– Ja już cię zostawiłem – szepnął głos Doktora. – Teraz masz ze mnie tylko to, co zostało ci w głowie, jestem częścią ciebie. Moja pozostała część należy znowu do ziemi. – Drzewo zakołysało się lekko. – Pamiętaj, słońce

i gwiazdy świecą na liście, ale korzenie są w ziemi, głęboko, głęboko w ziemi...

Simon chwycił za jasny pień, lecz jego palce osunęły się bezradnie po korze. Głos Doktora zamilkł.

SIMON, SPOCONY I PRZERAŻONY, STWIERDZIŁ, że otaczają go ciemności.

„To wszytko było tylko snem! Wciąż jestem w tunelach, błąkam się...”

Chwilę później ujrzał w oknie świecące gwiazdy.

„Gamoń. Zasnąłeś, a na zewnątrz zrobiło się ciemno”.

Usiadł, rozcierając obolałe kończyny. Co miał robić dalej? Był głodny i chciało mu się pić, a nie miał co liczyć na to, że w wieży znajdzie coś do jedzenia. Choć z drugiej strony nie chciał opuszczać względnie bezpiecznego miejsca.

„Czy po to wyszedłem z ciemności, żeby umrzeć z głodu w warsztacie? Jaki rycerz pozwoliłby na to?”

Wstał i przeciągnął się; natychmiast poczuł tępy ból w kostce. Może na razie krótki wypad w celu znalezienia wody i rozejrzenia się w terenie. Ciemność może być mu pomocna.

SIMON STAŁ NIEPEWNIE W CIENIU WIEŻY ZIELONEGO ANIOŁA. Na tle nocnego nieba rozpoznawał znajome sylwetki dachów Muru Wewnętrznego, lecz mimo to nie czuł się swobodnie. Nie chodziło nawet o to, że był wygnańcem we własnym domu, choć nie była to krzepiąca myśl, lecz wyczuwał coś dziwnego w powietrzu, coś, czego nie potrafił nazwać, czuł jednak wyraźnie. Zamek wydawał się przesiąknięty doprowadzającą go do szaleństwa zmiennością świata podziemi. Kiedy

przechylił głowę, nieomal dostrzegał falowanie budynków. Krawędzie ścian drgały momentami, jakby objęte niewidzialnym płomieniem.

Hayholt też? Czy cały świat oderwał się od swoich korzeni? Co się działo?

Wreszcie zdobył się na odwagę, by wyruszyć na zwiad.

Niebawem przekonał się, że zamek wcale nie jest opuszczony, jak się mogło wydawać. W części wewnętrznej było ciemno i cicho, lecz w korytarzach i zza zamkniętych drzwi dobiegały szepczące głosy, a w wielu górnych oknach błyskały światła. Czasem rozbrzmiewała muzyka i śpiew, na których dźwięk Simon czuł mrowienie na karku. Stojąc w głębokim cieniu Ciernistego Ogrodu, doszedł do wniosku, że Hayholt w jakimś sensie uległ zniszczeniu, owoc pozostawiony zbyt długo zmiękł i zepsuł się pod skorupą. Nie potrafił dokładnie powiedzieć, co było złe, lecz wszystko w obrębie średniego zamku, tam gdzie Simon spędził swoje dzieciństwo, wydawało się chore.

Przekradł się do kuchni, potem do mniejszej spiżarni i kaplicy, a nawet odważył się zajrzeć do przedpokoju sali tronowej, który wychodził na ogrody. Wszystkie zewnętrzne drzwi były pozamykane. Nigdzie nie mógł wejść. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek coś takiego się wydarzyło. Czy Król obawiał się szpiegów albo oblężenia? A może drzwi pozamykano po to, żeby nie wpuszczać nieproszonych gości czy też nie pozwolić wyjść tym, którzy pozostali w środku? Oddychał cicho, zastanawiając się. Wiedział, że są tam okna, których nie można było zamknąć, oraz inne tajemnicze przejścia, tylko czy chciał aż tak ryzykować? Pomyślał, że nocą być może chodzi tam mniej ludzi, ale – sądząc po zamkniętych drzwiach – ci, którzy czuwali na górze, może straże, z pewnością będą bardziej wyczuleni na hałasy.

Simon powrócił do kuchni i wyszedłszy oknem, wspiął się na małą jabłoń, a z niej na parapet wysokiego okna. Grube szkło było zbite, lecz na jego miejsce wciśnięto ciasno kamienie, których nie dało się usunąć bez hałasu. Simon zaklął pod nosem i zszedł na ziemię.

Był obolały i wciąż okropnie głodny, choć przecież pozwolił sobie na cebulową ucztę. Zdecydował, że badanie drzwi Muru Wewnętrznego jest stratą czasu. Postanowił przyjrzeć się średniemu zamkowi z drugiej strony fosy.

Pomiędzy oboma murami znajdowały się odcinki niebezpiecznie odsłonięte. Simon musiał się zmusić, by je pokonać, chociaż nie spotkał ani jednego strażnika, a właściwie nikogo innego. Za każdym razem, gdy tylko mógł, chował się w głęboki cień. Wreszcie dotarł do mostu na fosie. Dwukrotnie wchodził już na niego i cofał się. Most miał około trzydziestu łokci długości, więc gdyby ktoś nagle się pojawił, kiedy on znajdzie się na nim, wtedy będzie widoczny jak mucha na białej ścianie.

Wreszcie wziął głęboki oddech i puścił się pędem. Wydawało mu się, że jego kroki dudnią jak grzmoty piorunów. Zwolnił i szedł cicho, lecz serce wciąż biło mu bardzo głośno. Znalazłszy się na drugim końcu, schował się pod szopą, by odpocząć.

„Dobrze mi idzie – pomyślał. – Nikogo tu nie ma. Nie ma się czego bać. – Wiedział, że to kłamstwo. – Jest wiele rzeczy, których należy się bać – poprawił się. – Ale jak dotąd nikt mnie nie złapał. Przynajmniej na razie. – Nagle zaczął się zastanawiać, dlaczego most na fosie jest opuszczony, skoro pozamykano wszystkie drzwi i okna. – I dlaczego nie zamknięto Wieży Zielonego Anioła?” – Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

Nie zdążył ujść stu kroków błotnistą drogą, gdy nagle ujrzał coś, co natychmiast kazało mu wtopić się w cień.

W środkowym zamku stacjonowała armia.

Dopiero po jakimś czasie dokładnie rozeznał się w sytuacji, gdyż paliło się niewiele ognisk, a namioty wykonane były z ciemnego materiału, lecz niewątpliwie całe śródzamcze wydawało się pełne uzbrojonych ludzi. Na samym skraju dostrzegł kilkunastu strażników w hełmach, płaszczach, z długimi pikami w dłoniach. W słabym świetle nie widział wyraźnie ich twarzy. Kiedy tak czaił się w szczelinie między dwoma budynkami, tuż obok przeszły dwie inne zakapturzone postacie. One także miały długie włócznie, lecz mimo to prawie natychmiast wyczuł, że różnią się od pozostałych. Coś w ich sposobie chodzenia, szybkim i lekkim, powiedziało mu, że muszą to być Nornowie.

Simon wcisnął się głębiej w kąt i zadrżał. Czy zorientują się, że on tam jest? Może go poczują?

Czarne postacie zatrzymały się tuż obok jego kryjówki, czujne jak psy. Simon wstrzymał oddech i znieruchomiał. Minęła długa chwila, zanim Nornowie skręcili jak na komendę i poszli w swoją stronę. Simon odczekał jeszcze kilka chwil i dopiero wtedy wysunął głowę. Nie widział dokładnie Nornów w ciemności, lecz dostrzegł, że żołnierze schodzą im z drogi, jakby usuwali się przed żmiją. Przez moment ujrzał jeszcze raz Nornów na tle jednego z ognisk, dwie czarne postacie zupełnie obojętne na kręcących się dookoła ludzi. Po chwili minęli ognisko i rozpłynęli się w ciemności.

Tego się nie spodziewał. Nornowie! Białe Lisy tutaj, w Hayholt! Było gorzej, niż się spodziewał. Ale czy Geloë nie powiedziała, że nieśmiertelni nie mogą powrócić do zamku? Może chodziło jej o to, że nie mógł powrócić Ineluki i jego niezmarli słudzy. Ale i tak niewielka to była pociecha.

Tak więc zamek środkowy pełen był żołnierzy, a wśród nich krążyli Nornowie, milczący jak polujące sowy. Simon poczuł dreszcz. Nie wątpił,

że za murem średniego zamku pełno było także Czarnych Rimmersmenów, najemnych Thrithingów i innych rzezimieszków, którzy przybyli zwabieni złotem Eliasa albo magią Króla Burz. Nie chciało mu się wierzyć, że wielu spośród królewskich gwardzistów, nawet ci najokrutniejsi pozostali w tym okropnym miejscu razem z trupio bladymi Nornami: nieśmiertelni byli tak przerażająco inni. Łatwo można było odgadnąć, że żołnierze bali się ich.

„A więc mam jeszcze jeden powód, by stąd uciec, oprócz ratowania swojej skóry. Josua i pozostali muszą się dowiedzieć, co tu się dzieje. – Przez moment wstąpiła w niego nadzieja. – Może Jiriki i jego Sithowie przybędą, kiedy dowiedzą się o obecności Nornów? Wtedy krewni Jirikiego pomogliby chyba śmiertelnikom? – Simon starał się myśleć rozsądnie. – Spróbuję zaraz się stąd wydostać. Na co przydam się Josui, jeśli nie uda mi się uciec?”

Ale przedtem musiał jeszcze sprawdzić wiele rzeczy. Znalazł się teraz w sytuacji, jakiej pragnąłby doświadczony wódz: jego wprawne oko obserwowało wroga z samego środka obozu. Simon znał Hayholt, tak jak rolnik zna swoje ziemie. Pomogło mu to przetrwać do tej pory, to, a także jego pomysłowość i rozwaga.

A zatem z powrotem do śródzamcza. W razie potrzeby mógł przetrwać dzień lub dwa bez jedzenia, a wody było pod dostatkiem. Miał dużo czasu na rozejrzenie się, a potem na znalezienie jakiejś drogi na zewnątrz. Gdyby trzeba było, gotowy był wracać ciemnymi tunelami pod zamkiem. Tam z pewnością nikt by go nie zauważył.

„Nie. Nie tunelami”.

Nie było sensu udawać. Nie mógłby tego zrobić nawet dla Josui i jego ludzi.

Zbliżał się do mostu, gdy nagle rozległo się głośne kołatanie. Simon natychmiast skurczył się w cieniu. Ujrzawszy grupę jeźdźców, podziękował

w myśli Usiresowi, że nie zdążył jeszcze wejść na most.

Wydawało się, że wszyscy jeźdźcy byli uzbrojonymi gwardzistami, lecz wyglądali dziwnie posępnie, choć jechali w pełnym rynsztunku bojowym. Zaczął się zastanawiać, dokąd mogą jechać, i wtedy dostrzegł między nimi znajomą łysą głowę.

„Pryrates! – Simon przywarł do ściany. Poczuł falę duszącej go nienawiści. Oto tuż obok jechał ten potwór, jego łysa głowa lśniła w blasku księżyca. – Dopadłbym go w jednej chwili – pomyślał. – Gdybym podszedł wolno, żołnierze myśleliby, że jestem jednym z najemników, który wypił za dużo wina. Jedno uderzenie kamieniem w czaszkę...”

A jeśli mu się nie uda? Wtedy złapią go bez trudu i na nic się już nie przyda Josui. Co gorsza, będzie więźniem czerwonego duchownego. Było tak, jak mówił Binabik: ile upłynęłoby czasu, zanim powiedziałby wszystko Pryratesowi o Josui, Sithach, o mieczach – i jeszcze sam by go błagał, by zadawał mu kolejne pytania.

Simon drżał jak obijany pies, który nie może uciec dalej, niż pozwala na to sznur. Ten potwór był tak blisko!

Jeźdźcy zatrzymali się. Duchowny wymyślał jednemu z gwardzistów; ten sam ochrypły głos. Simon pochylił się do przodu wciąż pozostając w cieniu, by usłyszeć, co mówi.

– ...albo ja pojadę na tobie! – warknął duchowny.

Żołnierz odpowiedział coś ściszonym głosem. Kulił się jak przestraszone dziecko, choć był ogromny, a u jego boku wisiał wielki miecz. Nikt nie ośmielał się odpowiadać gwałtownie Pryratesowi. Tak było, jeszcze zanim Simon uciekł z zamku.

– Jesteś szalony czy głupi? – Pryrates mówił coraz głośniej. – Nie mogę aż do Wentmouth jechać na kulawym koniu. Daj mi swojego.

Żołnierz zsiadł z konia i podał cugle alchemikowi. Powiedział coś jeszcze, na co Pryrates roześmiał się tylko.

– Wtedy poprowadzisz mojego. Dobrze ci zrobi spacer. W końcu to przez twoją głupotę...

Simon nie usłyszał już reszty zdania, ale wydało mu się, że jeszcze raz padła nazwa Wentmouth, skalistego wzniesienia na południu, w miejscu, gdzie rzeka Gleniwent wpadała do morza. Kiedy Pryrates wsiadał na konia gwardzisty, pod jego czarnym płaszczem ukazała się czerwona szata niczym krwista rana. Duchowny zjechał z mostu i ruszył błotnistą drogą. Pozostali pojechali za nim, poprzedzani przez żołnierza, który prowadził konia Pryratesa.

Kiedy mijali jego kryjówkę, Simon zorientował się, że ściska w dłoni kamień; nie pamiętał nawet, kiedy go podniósł. Wpatrywał się w okrągłą, łysą głowę alchemika i myślał, z jaką przyjemnością ujrzałby ją rozłupaną jak skorupę. Ten potwór zabił Morgenesa i Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Teraz nie czuł już strachu, lecz musiał się powstrzymywać, by nie wykrzyczeć swojej wściekłości i nie cisnąć kamieniem. Jak to możliwe, że tacy dobrzy ludzie jak Doktor, Geloë czy Deornoth umarli, gdy tymczasem ta bestia nadal żyła? Warto było poświęcić własne życie dla zabicia Pryratesa. Niewyobrażalna podłość zniknęłaby z tego świata. „Trzeba zrobić to, co konieczne”, powiedziałaby Rachel. „Brudna robota, ale trzeba ją wykonać”. Jednak wydawało mu się, że życie nie do niego należy, by mógł je oddać.

Patrzył za przejeżdżającymi żołnierzami. Objechali namioty i zniknęli, zmierzając do Mniejszej Bramy. Simon upuścił kamień w błoto i stał, drżąc.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, myśl tak szalona, że sam się jej przestraszył. Spojrzał w niebo, próbując się zorientować, ile czasu

zostało do świtu. Czując chłód na twarzy, był pewien, że słońce wzejdzie dopiero za kilka godzin.

Kogo można było najbardziej podejrzewać o to, że zabrał Biały Gwóźdź? Pryratesa, oczywiście. Może nawet nie powiedział o tym Królowi Eliasowi. Gdzie więc mógł znajdować się miecz, jeśli było tak, jak podejrzewał? Ukryty w twierdzy duchownego – w Wieży Hjeldina.

Simon odwrócił się. Wieża alchemika, niezgrabnie przysadzista przy strzelistej Wieży Zielonego Anioła, wznosiła się nad murem mniejszego zamku. Nawet jeśli paliły się tam jakieś światła, to i tak pozostawały niewidoczne: zasłaniały je purpurowe okna. Wydawała się opuszczona, ale podobnie wyglądało wszystko inne w środku ogromnej twierdzy. Równie dobrze mogłoby to być mauzoleum, miasto zmarłych.

Czy odważy się wejść do niej? Chociaż spróbować? Musiałby mieć światło. Może w Wieży Zielonego Anioła znajdzie pochodnię albo osłoniętą latarnię. Byłoby to ogromne ryzyko...

Nie przyszłoby mu to do głowy, gdyby na własne oczy nie widział wyjeżdżającego Pryratesa, gdyby nie słyszał, jak wspominał o Wentmouth. Poczuł ucisk w żołądku już na samą myśl, że mógłby zakraść się do złowieszczej wieży, kiedy łysy, czarnooki Pryrates mógłby tam siedzieć i czekać niczym pająk w swojej sieci. Ale duchowny odjechał i podobna okazja mogła się już więcej nie nadarzyć. A jeśli znajdzie Biały Gwóźdź? Zabierze go i ucieknie z Hayholt, zanim powróci Pryrates. To byłaby dobra zemsta na czerwonym mordercy. A poza tym, czy nie byłoby wspaniale wjechać do obozu Josui, połyskując w słońcu Białym Gwoździem? Wtedy rzeczywiście byłby Simonem, Panem Wielkich Mieczy!

Ruszył szybko przez most, nie odrywając wzroku od muru, jaki wyrastał przed nim. Coś się w nim zmieniło. Stał się... lżejszy.

Wschodziło słońce, a przynajmniej ta jego część, jaką można było zobaczyć w tak pochmurny dzień. Simon przyspieszył. Pomylił się.

„Jeszcze kilka godzin, co? Masz szczęście. Co by było, gdybyś zaczął kręcić się przy drzwiach Wieży Hjeldina po wschodzie słońca? Gamoń, wciąż gamoń”.

Mimo wszystko nie czuł się tak zupełnie zdruzgotany. Rycerze i bohaterowie musieli być dzielni, a on właśnie obmyślał odważny plan. Będzie musiał zaczekać z jego realizacją do następnej nocy. To będzie wspaniały, niezwykle śmiały czyn.

Jednak idąc szybko do swej kryjówki w Wieży Zielonego Anioła, żałował, że nie ma z nim jego przyjaciół, którzy by mu to odradzili.

SŁOŃCE ZASZŁO KILKA GODZIN TEMU. Nocne niebo ociekało drobnym deszczem. Simon stał na progu Wieży Zielonego Anioła, gotowy do wyjścia.

Nie było to łatwe. Wciąż czuł się osłabiony i głodny, chociaż przespał większość dnia, a w alkowie przy przedsionku wieży znalazł resztki czyjejś kolacji, kawałek chleba i sera. Zarówno chleb, jak i ser wyschły, ale sprawiały wrażenie pozostawionych tam parę godzin temu, a nie dni czy tygodni; pożerając je, zastanawiał się, kto mógł zostawić jedzenie. Czy Barnabas, kościelny, wciąż opiekował się wieżą i dzwonami? Jeśli tak, to marnie się starał.

Wspominając Barnabasa, Simon zdał sobie sprawę, że ani razu od chwili swojego powrotu nie usłyszał dzwonów Zielonego Anioła. Teraz, stojąc na progu wieży, pomyślał o tym ponownie. Rozbrzmiewające echem wezwanie spiżowych dzwonów było jak bicie serca w dawnym Hayholt, które przypominało, że czas przemija i życie płynie. Teraz jednak dzwony milczały.

Simon wzruszył ramionami i wyszedł na zewnątrz. Podstawił dłonie pod strumień spływającej z dachu wody i napił się. Wytarł dłonie w spodnie i spojrzał na cień Wieży Hjeldina, widoczny na tle fioletowego nieba. Nadszedł czas.

Simon przemykał się w cieniu budynków, by nie zobaczył go jakiś przypadkowy przechodzień. Wczoraj o mało nie wszedł w łapy Pryratesa i jego żołnierzy; wprawdzie wieża wydawała się pusta, lecz wszystko mogło się zdarzyć. Raz czy dwa usłyszał strzępy rozmowy, lecz nie dostrzegł żadnej żywej istoty. Zadrżał, kiedy tuż obok przeleciał przeciągły, szlochający śmiech.

Kiedy przesuwał się wzdłuż ściany jednego z budynków, wydało mu się, że w jednym z górnych okien wieży dostrzegł czerwony błysk, jak węgiel, w którym drzemie jeszcze resztka życia. Zatrzymał się i zaklął w duchu. Dlaczego był tak pewien tego, że w wieży nie będzie nikogo, skoro Pryrates wyjechał? Może mieszkali tam Nornowie.

A może nie. Przecież nawet i Pryrates potrzebował służby, która by mu sprzątała, zapalała lampy, tak jak Simon służył kiedyś Doktorowi Morgenesowi. Z pewnością był to jakiś przerażony biedak, którego zmuszono do służby w wieży duchownego. A może była to Rachel Smok. Jeśli tak, to Simon uratuje ją razem z Białym Gwoździem. Zdziwi się pewnie; będzie musiał uważać, żeby za bardzo jej nie wystraszyć. Niewątpliwie zastanawiała się wielokrotnie, gdzie się podział jej krnąbrny podkuchenny.

Simon skręcił, zanim dotarł do drzwi wieży, i zanurzył się w gąszcz bluszczu pod murem. Bohater czy nie, z pewnością nie był głupcem. Zaczeka tutaj, żeby przekonać się, czy ktoś jest w wieży.

Czuł się nieswojo, mając nad sobą kamiennego olbrzyma. Nie mógł oprzeć się myśli, że czeka on na niego, udając sen, gotowy pochwycić go,

gdy tylko znajdzie się w jego zasięgu...

Czas płynął bardzo wolno. Kiedy już nie mógł znieść czekania, wynurzył się z bluszczu, który jakby uczepił się go mocniej, niż można było się tego spodziewać. Nikt nie zbliżał się do drzwi wieży, nikt nie przechodził w jej sąsiedztwie. Nie zobaczył już żadnych świateł i nie usłyszał żadnych odgłosów poza wyciem wiatru. Nadszedł czas.

Ale jak się tam dostać? Nie mógł liczyć na to, że otworzy ogromne, czarne drzwi; ktoś tak tajemniczy jak Pryrates z pewnością posiada w swojej fortecy zasuwy, które wytrzymają napór całej armii. Nie, trzeba będzie się uciec do wspinaczki. Stróżówka, która obejmowała sobą frontowe drzwi, wydawała się do tego najlepsza. Z jej dachu spróbuje dostać się do jednego z górnych okien. Wspinaczka nie powinna być trudna, sądząc po surowych, ogromnych kamieniach, z których postawiono ściany budynku.

Przycupnął w cieniu stróżówki, by przyjrzeć się czarnym drzwiom. Rzeczywiście były masywne; Simon pomyślał, że nawet topory potrzebowałyby przynajmniej pół dnia, żeby się przez nie przebić. Położył dłoń na jednej z ogromnych klamek i pociągnął. Prawe skrzydło drzwi uchyliło się bezgłośnie, co tak przestraszyło Simona, że odskoczył w deszcz.

Drzwi były otwarte! W pierwszej chwili chciał uciekać, przekonany, że to jakaś pułapka zastawiona właśnie na niego; lecz pozostał w miejscu z dłońmi uniesionymi, jakby chciał osłonić się przed ciosem. A może wewnątrz znajdują się jakieś inne środki bezpieczeństwa?

Wahał się.

„Nie bądź głupcem. Albo wejdź do środka, albo uciekaj. Ale nie stój tu, czekając, aż ktoś cię zauważy”.

Zacisnąwszy pięści, przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi.

Nie musiał zapalać pochodni, którą miał zatkniętą za pas, a którą nasączył oliwą z jednego z pokoi w Wieży Zielonego Anioła: na ścianie wysokiego przedsionka płonęła inna, powodując, że cienie w rogach drżały. Simon zastanawiał się przez moment, kto ją zapalił, ale zaraz skupił się na swoim zadaniu: musi zacząć szukać, zachowywać się cicho i nasłuchiwać.

Kiedy ruszył przez przedsionek, z trwogą usłyszał odgłos swoich obcasów ocierających się o kamienną podłogę. Wzdłuż jednej ze ścian wznosiły się schody. Będą musiały zaczekać.

Tyle drzwi! Simon wybrał jedne i otworzył je delikatnie. W słabym blasku pochodni z przedsionka ujrzał pokój wypełniony w całości przedmiotami wykonanymi z powiązanych lub posklejanych kości; było tam nawet wielkie krzesło, jakby drwiąca imitacja tronu Wielkiego Króla, którego zasłonę zrobiono z ludzkich czaszek. Na wielu kościach wciąż jeszcze widniały strzępy mięsa. Gdzieś z głębi pokoju dobiegało stłumione cykanie świerszcza. Simon poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, i szybko zamknął drzwi.

Odzyskawszy oddech, zapalił swoją pochodnię od tej płonącej na ścianie. Jeśli rzeczywiście ma szukać miecza, to musi sprawdzić nawet najciemniejsze kąty, bez względu na to, co w nich może znaleźć.

Powrócił do poprzedniego pomieszczenia, lecz nie znalazł niczego poza niespotykanym zbiorowiskiem kości. Miał nadzieję, że choć niektóre należały do zwierząt, lecz nie wierzył w to. Ponaglany natrętnym cykaniem świerszcza opuścił pokój.

Następną komnatę wypełniały balie, na których rozciągnięto sieci. Simon nie potrafił rozpoznać rzucających się w ciemnej cieczy istot; co pewien czas na sieć napierał śliski grzbiet albo dziwnie zakończony wyrostek. W kolejnym pokoju Simon odkrył tysiące malutkich srebrnych figurek mężczyzn i kobiet. Wszystkie, wyrzeźbione z niesamowitą

precyzją, przedstawiały osobę zmrożoną strachem albo rozpaczą. Simon podniósł jedną z nich i poczuł, że jest ona dziwnie śliska i ciepła. Odłożył figurkę i wyszedł szybko z pokoju. Był przekonany, że poczuł, jak postać wije się w jego uścisku.

Simon przechodził z pokoju do pokoju, nieustannie podekscytowany kolejnymi odkryciami, czasem czuł zwykłe obrzydzenie do tego, co widział, kiedy indziej przedmioty wykraczały poza możliwości jego zrozumienia. W ostatnim pokoju na parterze znalazł także kilka kości, lecz były one stanowczo za duże, by mogły należeć do człowieka. Gotowały się w ogromnym kotle zawieszonym nad ogniem, wypełniając pokój mocnym, lecz nieznanym zapachem. W ścianie kotła znajdował się kurek, z którego kapała czarna, kleista ciecz wprost do szerokiej kamiennej misy. Pod wpływem cuchnących oparów Simon poczuł, że kręci mu się w głowie, a blizna na policzku zaczyna piec. Przeszukawszy szybko pomieszczenie, wyszedł z ulgą na zewnątrz.

Po chwili wahania wszedł schodami na wyższe piętro. Bez wątpienia ciekawsze rzeczy kryły się pod wieżą, lecz Simonowi nie było śpieszno tam schodzić. Zdecydował, że pójdzie tam w ostateczności, jeśli wcześniej nie znajdzie miecza.

Oto pokój pełen zlewek i retort podobnych do tych, jakie pamiętał z komnat Morgenesa, pokój, którego ściany i sufit prawie w całości zakrywały ogromne pajęczyny – tutaj zabawił tylko krótko – i jeszcze inny, podobny do dżungli pełnej kłączy i grubych, gnijących kwiatów; Simon przedarł się przez nie, mając wrażenie, że jest chłopcem z opowieści, który dostał się do zaczarowanego zamku czarownicy. Niektóre z komnat zawierały rzeczy tak okropne, że zerknąwszy zaledwie na nie, natychmiast wycofywał się na zewnątrz. Do pewnych rzeczy po prostu nie był w stanie

się zmusić; jeśli miecz znajdował się w którymś z tych pokoi, to musiał tam pozostać.

W jednej z komnat, która na pierwszy rzut oka nie wydawała się tak straszna, znajdowała się tylko mała koja, upleciona z wielu rzemieni. Najpierw pomyślał, że śpi tutaj Pryrates... ale potem dostrzegł dziurę w kamiennej podłodze i plamy pod koją. Wyszedł szybko, wstrząsając się. Bał się, że straci rozum, pozostając tam dłużej.

Na piątym piętrze domu koszmarów Pryratesa Simon się zawahał. Tutaj znajdowały się ogromne, czerwone okna; jeśli zacznie chodzić po pokojach z zapaloną pochodnią, ktoś z zewnątrz może zauważyć światło. Po chwili wahania umieścił pochodnię w jednym z kinkietów na ścianie. Wiedział, że będzie musiał szukać dalej nieomal w ciemności, ale spędził pod ziemią tyle czasu, że mało kto mógłby mu w tym dorównać... może tylko Sithowie albo Nornowie.

Tutaj znalazł tylko troje drzwi. W pierwszym pokoju odkrył jeszcze jedną koję, lecz pod tą nie było dziury. W tym pustym pomieszczeniu rzeczywiście mógł spać Pryrates. Simon wyobrażał sobie, jak czarnooki duchowny leży tam na plecach, wpatrzony w sufit i knuje. Ustęp, który także tam się znajdował, wydał mu się czymś dziwnie naturalnym dla tak nienaturalnej osoby.

Druga komnata przypominała relikwiarz. Całe ściany zakrywały półki wypełnione figurkami. Te, w przeciwieństwie do jednorodnych, srebrnych postaci, jakie widział niżej, posiadały różne kształty i rozmiary, niektóre przypominały świętych, inne zniekształcone, drewniane fetysze, które mogło wyrzeźbić dziecko albo szaleniec. Simon był do pewnego stopnia zafascynowany nowym odkryciem. Gdyby nie strach i ryzyko, jakie podejmował, przychodząc tutaj, czuł, że zostałby tam dłużej, by dokładniej obejrzeć kolekcję. Niektóre spośród figurek powstały z wosku i z ich głów

wystawały knoty, inne były zlepkiem kości, piór i błota, lecz każda posiadała wyraźne rysy, czasem ludzkie, a czasem zwierzęce. Nigdzie jednak nie było ani śladu miecza. Kiedy wychodził z pokoju, miał wrażenie, że oczy niektórych postaci śledzą go.

Ostatni, największy z pokoi, musiał być gabinetem czerwonego duchownego. Tutaj ogromne czerwone okna zajmowały znaczną część półokrągłej ściany, chociaż teraz były czarne na tle nocnego nieba. Pokój wypełniały zwoje, książki i wiele innych przedmiotów, równie dziwnych i strasznych jak te, które widział wcześniej. Jeśli tu nie będzie miecza, to jedyna nadzieja w katakumbach. Pod sufitem znajdowało się wiele przyrządów do obserwacji nieba, a także inne dziwne urządzenia, które widział już po południu z okien Wieży Zielonego Anioła. Simon nie miał nadziei znaleźć tam czegokolwiek wartościowego, ale musiał sprawdzić. Nie chciał przegapić czegoś, co oszczędziłoby mu wyprawy pod Wieżę Hjeldina...

Zagracony gabinet pełen był cieni; na podłodze walało się mnóstwo przedmiotów, a ściany wydawały się dziwnie puste. Na środku pokoju stało krzesło z wysokim oparciem, odwrócone od drzwi, ustawione było przodem do okien. Obok krzesła znajdowały się trzy szafki, przykryte stosami zwojów i grubymi księgami. W słabym blasku pochodni Simon dostrzegł runiczne znaki na ścianie pod oknami.

Zrobił kilka kroków w kierunku ściany i zatoczył się lekko. Coś było nie tak: poczuł delikatne mrowienie i nudności. W następnej chwili z ciemności krzesła wynurzyła się dłoń i zacisnęła mocno na nadgarstku Simona. Simon wrzasnął i upadł, lecz dłoń nie zwolniła uścisku, lodowatego uścisku.

– Co my tu mamy? – odezwał się głos. – Ktoś wścibski?

Simon nie potrafił wyrwać ręki. Serce biło mu tak szybko, że wydawało mu się, iż za chwilę umrze ze strachu. Pociągnięty do góry musiał wstać, a potem obejść krzesło, aż ujrzał bladą twarz spoglądającą na niego z głębi siedziska. Jej oczy pozostawały prawie niewidoczne, niewyraźne plamki odbitego światła, które jednak wydawały się trzymać go swoim spojrzeniem równie mocno jak koścista dłoń.

– Co my tu mamy? – powtórzył głos i postać pochyliła się do przodu.

Przed nim siedział Król Elias.

43. Żar na nocnym niebie

TIAMAK NIE MÓGŁ SIĘ POWSTRZYMAĆ, by nie spojrzeć na to, co działo się na zboczu, chociaż miał zadanie do wypełnienia i bolała go kość ogonowa.

W swoim życiu spędził wiele czasu na studiowaniu pergaminów i ksiąg, a tak mało miał okazji, by doświadczyć rzeczy, które one opisywały. Nie licząc krótkiego pobytu w Ansis Pelippe i comiesięcznych wypraw na targ w Kwanitupulu, jego życie toczyło się głównie w pobliżu figowca, na którym miał swój dom. Lecz w ciągu ostatniego roku Tiamak znalazł się w wirze wielkich wydarzeń, dotyczących śmiertelników i nieśmiertelnych. Walczył z potworami u boku księżniczki i księcia. Spotkał, a nawet rozmawiał z jednym z legendarnych Sithów. Był świadkiem powrotu największego rycerza Wieku Johna. A teraz, jak gdyby ożyły zakurzone stronice księgi Doktora Morgenesa, stał pod zachmurzonym niebem i przyglądał się kapitulacji armii, która nastąpiła po walce na śmierć i życie w przełęczy Onestrine. Z pewnością niejeden uczony oddałby wszystko, aby znaleźć się tutaj.

Tiamak zastanawiał się, dlaczego więc tak bardzo tęsknił za swoim figowcem.

„Jestem taki, jakim stworzyli mnie Ci, którzy Patrzą i Rządzą – pomyślał. – Nie jestem bohaterem, jak Camaris, Josua czy choćby biedny Isgrimnur. Ja dobrze się czuję wśród takich jak Strangyeard i jemu

podobnych: małych i cichych. Nie chcemy, by oczy innych wciąż pozostawały zwrócone na nas, w oczekiwaniu na to, co zrobimy”.

A jednak, kiedy zastanowił się nad niektórymi rzeczami, jakie widział albo jakich sam doświadczył, nie był pewien, czy chciałby ich uniknąć.

„Jeśli jeszcze uda mi się uniknąć Tej, Która Czeka, By Zabrać Wszystko... Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mieć kiedyś rodzinę, żonę i dzieci, których śmiech wypełniłby dom, kiedy będę już stary”.

Ale to oznaczałoby znalezienie wrańskiej narzeczonej. Nawet gdyby on polubił wysokie mieszkanki suchego lądu, o skórze koloru ryby, to wątpił, czy którejś z nich spodobałyby się obiady z zupy z kraba i mieszkanie w koronie drzewa na bagnach.

Głos Josui przerwał myśli Tiamaka. Ruszył w stronę księcia, by przekazać mu wiadomość, lecz drogę zagrodziła mu grupa żołnierzy zapatrzonych w ostatnią scenę spektaklu.

– Widzę, że jesteś już tutaj – odezwał się książę do kogoś.

Wrańczyk wspiął się na palce, by zobaczyć.

– A gdzie miałbym pójść, książę Josuo? – Varellan wstał, by powitać zwycięzcę. Młodszy brat Benigarisa, nawet z posiniaczoną twarzą i ręką na temblaku, dziwnie nie pasował do roli wodza. Wprawdzie był wysoki i przystojny, lecz błądzący wzrok i skruszona postawa psuły ten wygląd. Zdaniem Tiamaka przypominał młode drzewko, które nie otrzymało dość słońca.

Josua stanął naprzeciw niego. Książę wciąż miał na sobie podartą opończę i zniszczone buty, jakby bitwa skończyła się przed chwilą, a nie dwa dni temu. Od tego czasu nie opuszczał obozu zajęty tyloma sprawami, że Tiamak podejrzewał, iż książę sypia nie więcej jak godzinę lub dwie.

– Nie ma się co wstydzić, Varellanie – oświadczył Josua stanowczo. – Twoi ludzie dzielnie walczyli, a ty spełniłeś swój obowiązek.

Varellan potrząsnął gwałtownie głową, przypominając nieszczęśliwe dziecko.

– Zawiodłem. Benigarisa nie będzie obchodzić, czy spełniłem swój obowiązek, czy nie.

– Zawiodłeś tylko w jednym – powiedział Josua – lecz twoja porażka może przynieść więcej dobra, niż się spodziewasz, choć nie dla twojego brata.

Camaris zbliżył się cicho i stanął u boku księcia. Varellan otworzył szerzej oczy, jakby jego wuj był jakimś potworem, który wynurzył się z głębi czasu – co w pewnym sensie miało miejsce.

– Nie potrafię cieszyć się tym, co się stało, książę Josuo – powiedział Varellan przez ściśnięte gardło.

– Kiedy skończymy z tym, z pewnością zmienisz zdanie.

Varellan skrzywił się.

– Czy nie dość już o tym słyszałem? Dobrze, w takim razie skończmy z tym. Odebraliście mi wojenny proporzec. Wolałbym stracić go na polu bitwy.

– Jesteś ranny. – Josua przemawiał do niego jak do syna. – Nie ma nic wstydliwego w tym, że kogoś zniesiono z pola bitwy. Znałem dobrze twojego ojca: byłby z ciebie dumny.

– Chciałbym w to wierzyć. – Niezręcznym ruchem Varellan wyciągnął zza pasa złotą pałeczkę z wyrzeźbioną na niej ptasią głową. Mrugając, przyklęknął. – Książę Josuo, oto symbol mojej władzy, buława rodu Benidrivinów. W imieniu tych, którzy zostają pod moim dowództwem, składam broń. Jesteśmy twoimi więźniami.

– Nie. – Przyglądający się widzowie zaczęli szeptać zdumieni, słysząc protest księcia. – Ty nie mnie się poddajesz.

Varellan podniósł wzrok zdziwiony.

– Panie?

– Ty i nabbańscy żołnierze nie poddaliście się obcej armii. Zostaliście pokonani przez prawowitego spadkobiercę waszego tronu. Choć twój brat dopuścił się ojcobójstwa; wiem, że wciąż mi nie wierzysz, ród Benidrivinów pozostanie u władzy, nawet jeśli Benigaris znajdzie się w lochach. – Josua cofnął się. – Ty poddajesz się Camarisowi-sa-Vinitta, nie mnie.

Camaris wydawał się bardziej zaskoczony niż Varellan. Stary rycerz spojrzał pytająco na Josuę, lecz po chwili wahania przyjął buławę od Varellana.

– Wstań, bratanku – powiedział. – Przyniosłeś zaszczyt naszemu domowi.

Mieszane uczucia zmagały się na twarzy Varellana.

– Jak to? – spytał. – Albo obaj kłamiecie, a ja utraciłem kluczowe miejsce w tej wojnie, albo też pozwoliłem umrzeć setkom dzielnych żołnierzy w obronie człowieka, który zamordował mojego ojca!

Camaris pokręcił głową.

– Nie można cię winić, jeśli działałeś w niewiedzy. – Przemawiał z dziwną ociężałością, a jego spojrzenie wydawało się skupione na czymś innym niż stojący przed nim młody rycerz. – Bóg smuci się wtedy, gdy ktoś czyni zło, choćby niewielkie, z wyboru. – Josua przytaknął mu. Stary rycerz odwrócił się do zebranych żołnierzy i więźniów. – Oświadczam, że wszyscy, którzy staną z nami do walki o uwolnienie Nabbanu, sami otrzymają wolność! – Camaris zawołał wystarczająco głośno, by usłyszały go nawet ostatnie szeregi zebranych. Uniósł buławę i przez chwilę wydawało się, że znowu zalśnił na niej blask bitwy. – Ród Zimorodka odzyska honor!

Rozległ się gromki okrzyk tłumu. Nawet żołnierze Varellana podnieśli głowy z nadzieją.

Tiamak wreszcie rozstawił szeroko łokcie i za ich pomocą zaczął przesuwać się w stronę Josui. Książę rozmawiał cicho z Varellanem.

– Wasza Wysokość? – Wrańczyk stał tuż przy łokciu księcia, czując się niezręcznie pośród tłumu uzbrojonych olbrzymów. Jak znosił to troll i jego towarzyszka, którzy byli jeszcze mniejsi od niego?

Josua odwrócił się.

– Chwileczkę, Tiamaku. Varellanie, te sprawy obejmują więcej niż tylko to, co zrobił twój brat na Byczym Wzgórzu. Usłyszysz jeszcze o niewiarygodnych rzeczach, ale jestem tutaj po to, aby pokazać ci, że to, co niemożliwe, w dzisiejszych czasach staje się prawdziwe.

Tiamak nie miał zamiaru czekać, aż Josua opowie Varellanowi całą historię wojny Króla Burz.

– Proszę, Wasza Wysokość. Przysłano mnie tutaj z wieścią, że twoja żona, lady Vorzheva, rodzi.

– Co? – Teraz Josua słuchał go już bardzo uważnie. – Czy dobrze się czuje? Czy niczego jej nie brakuje?

– Tego nie potrafię powiedzieć. Księżna Gutrun wysłała mnie, gdy tylko nadszedł właściwy czas. Przyjechałem aż z klasztoru, a nie przywykłem do jazdy konnej. – Tiamak z trudem powstrzymał się, by nie rozmasować siedzenia, lecz doszedł do wniosku, że istnieją pewne granice, nawet jeśli pozostawał w tak poufałych stosunkach z warstwą panującą. Ale rzeczywiście był obolały. Jazda na zwierzęciu o tyle większym od niego wydawała mu się czymś głupio niebezpiecznym. Nie sądził, by potrafił się przyzwyczaić do tego zwyczaju mieszkańców suchego lądu.

Książę spojrzał bezradnie najpierw na Varellana, a potem na Camarisa. Stary rycerz uśmiechnął się, choć nie był to uśmiech radosny.

– Jedź, Josuo – oświadczył. – Ja też mogę Varellanowi wiele powiedzieć. – Na moment jego twarz skurczyła się, a w oczach pojawiły się łzy. – Niech Bóg da twojej żonie szczęśliwy poród.

– Dziękuję, Camarisie. – Josua, zaabsorbowany swoimi myślami, nie zwrócił uwagi na reakcję starca. – Tiamaku, musisz mi wybaczyć moje zachowanie. Czy pojedziesz ze mną z powrotem?

Wrańczyk potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję, książę Jouso. Mam jeszcze coś do zrobienia.

„Między innymi odpocząć po jeździe” – dodał w duchu.

Książę odwrócił się i odszedł szybko.

– Chodźmy – powiedział Camaris, kładąc dłoń na ramieniu Varellana. – Musimy porozmawiać.

– Nie jestem pewien, czy chcę usłyszeć to, co masz mi do powiedzenia – odparł młody rycerz, uśmiechając się.

– Nie tylko ja będę mówił, bratanku – powiedział Camaris. Otarł oczy rękawem. – Chętnie usłyszę od ciebie o moim domu i rodzinie. Chodź.

Poprowadził Varellana w kierunku ustawionych w rzędzie namiotów. Tiamak patrzył za nimi nieco rozczarowany.

„Tak to już jest. Nawet jeśli jestem w samym środku wydarzeń, to wciąż będę kimś z zewnątrz. Gdyby to miało zostać zapisane w księgach, przynajmniej wiedziałbym, o czym rozmawiali. Samotnemu figowcowi też się coś należy”.

Spoglądając za odchodzącymi, Tiamak zadrżał i otulił się płaszczem. Znowu zrobiło się zimno; wiatr ciął ostro jak nóż. Zdecydował, że pójdzie poszukać trochę wina, które złagodzi ból jego pleców i siedzenia.

MGŁA, KTÓRA SPOWIŁA NAGLIMUND, była przenikliwie zimna.

Eolair oddałby wiele za to, by znaleźć się teraz przed kominkiem w wielkiej sali Nad Mullach, a wojna byłaby tylko odległym wspomnieniem. Walka jednak była tutaj, czaiła się na zboczu wzgórza.

– Trzymajcie się dzielnie – powiedział do skupionych za nim Hernystirczyków. – Wkrótce wyruszamy. Pamiętajcie, że oni też krwawią i umierają.

– Ale my umieramy szybciej – odparł jeden z żołnierzy.

Eolair nie miał serca, by go strofować.

– To przez to czekanie – szepnął do Isorna. Syn księcia odwrócił do niego bladą twarz. – To dzielni żołnierze. Niewiedza i oczekiwanie odbierają im odwagę.

– Nie tylko to. – Isorn spojrzał na majaczącą we mgle fortecę. – Także to miejsce oraz istoty, z którymi walczymy.

Eolair zacisnął zęby.

– Co powstrzymuje Sithów? Może byłoby inaczej, gdybyśmy rozumieli, co robią nasi sprzymierzeńcy. Czasem wydaje mi się, że czekają, aż zmieni się wiatr albo przelecą jakieś szczególne ptaki. Czuję się, jakbym walczył u boku armii wróżbitów.

Isorn skierował na hrabiego pełne ubolewania spojrzenie, które ten odebrał nieomal jak naganę.

– Oni wiedzą najlepiej, jak walczyć ze swoimi krewnymi.

– Wiem, wiem. – Eolair uderzył dłonią w rękojeść miecza. – Ale wiele bym dał...

W powietrze wzniósł się wysoki dźwięk rogu. Po chwili dołączyły do niego dwa inne.

– Wreszcie! – Hrabia Nad Mullach odetchnął. Odwrócił się w siodle. – Jedziemy za Sithami! – zawołał do swoich ludzi. – Trzymajcie się razem i nie zgubcie się w tej przeklętej mgle!

Jeśli Eolair spodziewał się usłyszeć w odpowiedzi okrzyk swoich żołnierzy, to musiał poczuć się rozczarowany. Lecz ruszyli za nim w górę. Obejrzawszy się, zobaczył, jak jadą przez śnieg posępni i milczący niczym więźniowie prowadzeni na skazanie, i zapragnął, by mógł ich poprowadzić ku lepszym czasom.

„A czego się spodziewałem? Walczymy z obcym człowiekowi przeciwnikiem, a nasi sprzymierzeńcy są nie mniej dziwni. Poza tym nie jesteśmy nawet u siebie. Trudno oczekiwać od nich, żeby wierzyli, że wszystko to dla dobra Hernystiru. Czasem i mnie trudno w to uwierzyć”.

Mgła wirowała wokół nich, kiedy jechali w kierunku majaczącego w ciemności muru Naglimundu. W dziurze przemykały się nieliczne postacie, chociaż echo powodowało, że wokół rozbrzmiewały przenikliwe okrzyki Nornów i ptasie, wojenne okrzyki Sithów. Nagle znaleźli się tuż przed ogromną dziurą, która niczym czarna gęba czekała, by połknąć śmiertelników.

Eolair zbliżał się powoli, gdy nagle powietrze rozdarł błysk i rozległ się grzmot. Przez moment miał wrażenie, że wszystko wywraca się na drugą stronę: mgła stała się czarna, a postacie przed nim białe. Jego koń stanął dęba, kwicząc przeraźliwie. Chwilę później oślepił go kolejny błysk. Kiedy znowu odzyskał wzrok, jego przerażony wierzchowiec pędził w kierunku wyrwy w murze, wprost w kłębiącą się masę jego oddziałów. Eolair próbował ściągnąć wodze, lecz bezskutecznie. Przeklinając, wysunął stopy ze strzemion i zeskoczył z konia. Upadł ciężko na ziemię, gdy tymczasem jego koń pomknął przed siebie, rozpraszając przerażonych żołnierzy i tratując kilku z nich.

Kiedy tak leżał, próbując złapać oddech, chwyciły go czyjeś dłonie i pociągnęły do góry. Dwóch z jego Hernystirczyków patrzyło na niego przerażonym wzrokiem.

– To... to światło – wymamrotał jeden z nich.

– Mój koń oszalał! – krzyknął hrabia. Otrzepał śnieg ze spodni i opończy i ruszył przed siebie.

Dwaj Hernystirczycy poszli za nim. Koń Isorna nie poniósł; Rimmersman zniknął we mgle wraz ze swoim wierzchowcem.

Wewnętrzny dziedziniec Naglimundu przypominał piekielną kuźnię. Wszędzie unosiła się mgła niczym dym, a z okien wyskakiwały co pewien czas płomienie, które wędrowały wzdłuż ścian szerokimi wachlarzami. Sithowie i Nornowie walczyli już ze sobą zaciekle; ich postacie, wynaturzone i powiększone przez mgłę i ogień, przypominały walczących bogów. Przez moment Eolairowi wydawało się, że rozumie, co widzi Maegwin. Zapragnął paść na twarz i czekać, aż wszystko przeminie.

Z mgły wyłonił się jeździec.

– Zostali przyciśnięci do twierdzy środkowej! – zawołał Isorn. Po jego brodzie płynęła strużka krwi. – Tam są olbrzymy!

– Och, bogowie – powiedział smutno Eolair. Dał znak swoim ludziom i ruszył za Isornem. Jego stopy zapadały się głęboko w śnieg, dlatego wydawało mu się, że wspina się stromym zboczem. Wiedział, że żelazna kolczuga nie pozwoli mu długo szybko się poruszać. Już teraz oddychał ciężko, a jeszcze nie zadał ani jednego ciosu.

Eolair i jego ludzie szybko zanurzyli się w chaosie mgły, mieczy i prawie niewidocznych wrogów. Isorn podniósł porzuconą pikę i pojechał na spotkanie olbrzyma, który oganiał się maczugą przed tuzinem Sithów. Eolair wyczuł obok jakiś ruch i odwróciwszy się, ujrzał ciemnookiego Norna, który pędził w jego stronę z szarym toporem w dłoni. Przez jakiś czas zadawali kolejno ciosy, lecz w pewnym momencie hrabia pośliznął się i musiał przyklęknąć na jedno kolano. Zanim przeciwnik zdążył się zorientować, zebrał w rękawicę garść śniegu i cisnął nim w twarz Norna.

Nie sprawdzając, czy zdołał odwrócić uwagę przeciwnika, Eolair zaatakował, zadając cios mieczem na wysokości kostek. Rozległ się zgrzyt metalu o kości i Norn upadł na niego.

Wszystko, co działo się potem, rozgrywało się w głębokiej ciszy. Odgłosy bitwy umilkły, jakby przeniósł się w inny świat, milczący świat, szeroki na łokieć i głęboki na kilka cali, w których istniała tylko paniczna walka, zamierający oddech i kościste palce, zaciskające się na jego gardle. Tuż nad nim unosiła się biała twarz; jej bezlitosny grymas upodabniał ją do maski diabła, jaką noszono na Południu. Oczy Norna przypominały płaskie, czarne kamyki, a jego usta ziały chłodem jak zimna dziura w ziemi.

Eolair miał sztylet przypięty do pasa, lecz nawet na chwilę nie chciał puścić ręki przeciwnika. A jednak, chociaż przewyższał wzrostem Norna, czuł, że jego ramiona i dłonie słabną. Norn coraz bliższy był zmiażdżenia mu kręgów szyi i uduszenia go. Nie miał wyboru.

Puścił nadgarstki przeciwnika i sięgnął do pochwy. Palce na jego gardle zacisnęły się jeszcze mocniej, a cisza zaczęła syczeć, wypełniając się ciemnością. Eolair uderzył kilkakrotnie w bok Norna, aż ucisk zelżał, a potem, niczym kochanek, chwycił mocno umierającego Norna, starając się powstrzymać go przed wyciągnięciem własnej broni. Wreszcie Norn przestał się szarpać. Kiedy i on znieruchomiał, Norn zsunął się w śnieg.

Eolair wciąż leżał, oddychając ciężko, gdy na krawędzi jego pola widzenia pojawiła się czarna głowa Kuroyi. Sitha jakby zastanawiał się przez moment, czy hrabia będzie żył, czy nie, i zaraz zniknął bez słowa.

Eolair usiadł z trudem. Jego opończa przesiąkła szybko stygnącą krwią Norna. Spojrzał w dół na leżącą postać i otworzył szeroko oczy. Ta szczupła sylwetka i...

To była kobieta. Walczył z kobietą Nornów.

Eolair wstał ciężko; gardło piekło go mocno, kiedy kaszlał. Nie miał się czego wstydzić. Ona nieomal go zabiła, ale to on zwyciężył.

„Co za świat...”

Cisza w jego głowie ustąpiła i teraz znowu opadły go śpiewy Sithów i Dzieci Chmury, a także bardziej przyziemne okrzyki wściekłości i bólu.

EOLAIR KRWAWIŁ W KILKU MIEJSCACH i wydawało mu się, że jego kończyny są z kamienia. Słońce, przez cały dzień zasnute chmurami, teraz jakby na dobre odeszło na zachód, chociaż nie potrafił powiedzieć, czy mgła przybrała czerwoną barwę od jego promieni, czy od szalejących płomieni. Większość obrońców Naglimundu została pokonana; pozostała tylko grupa Nornów i największy spośród olbrzymów, którzy – zapędzeni przed wejście do mniejszej twierdzy – wydawali się zdecydowani walczyć do końca. Zdeptana ziemia przed nimi nasiąkła krwią rozrzuconych tam ciał.

Kiedy ucichła bitewna wrzawa, Eolair nakazał swoim ludziom odwrót. Tych kilkunastu, którzy jeszcze trzymali się na nogach, słaniało się ze zmęczenia, lecz dopominali się, by pozostać na polu walki do końca. Eolair przeklinał głośno ich opór, lecz w głębi duszy poczuł do nich ogromną miłość. Wyjaśnił im, że teraz była to już bitwa Sithów. Potrzeba było długiej broni i szybkich odpowiedzi, a śmiertelnicy mieli do zaoferowania tylko swoje słabe ciała i mężne serca. Eolair nalegał na odwrót, rozkazując Hernystirczykom wycofanie się za względnie bezpieczny mur. Pragnął, by choć kilku z nich przeżyło ten koszmar.

Pozostał, by poszukać Isorna, który nie odpowiedział na wezwanie rogu. Potykając się, szedł skrajem pola bitwy; Sithowie wciąż próbowali wyprzeć jedynego z olbrzymów spod zadaszonych drzwi, skąd wciąż zadawał rany, nawet już umierając. Sithowie wydawali się działać

w pośpiechu, lecz Eolair nie wiedział dlaczego. Prawie wszyscy obrońcy zginęli; ci zaś, którzy pozostali przy życiu, bronili wejścia do głównej twierdzy, lecz jeśli ktoś w niej przebywał, to najwyraźniej wolał pozwolić im tam zginąć, niż wpuścić ich do środka. W końcu Sithowie i tak ich dosięgną strzałami, jakie im jeszcze zostały, gdyż niektórzy Nornowie stracili swoje tarcze, a olbrzym, ukryty częściowo za filarem, chwiał się już, próbując wyrwać drzewce długich włóczni, które utkwiły w jego kudłatym cielsku.

Eolair szedł wśród ciał śmiertelników i nieśmiertelnych porozrzucanych po ziemi, jakby bogowie zrzucili je z niebios. Hrabia rozpoznał wiele twarzy; z niektórymi spośród młodych Hernystirczyków siedział przy ognisku jeszcze poprzedniego wieczoru. Sithowie leżeli ze wzrokiem utkwionym w pustkę.

Wreszcie znalazł Isorna z drugiej strony twierdzy. Młody Rimmersman leżał rozciągnięty na ziemi; hełm spadł mu z głowy, a koń uciekł.

„Na Bryniocha z Niebios! – Eolair spędził już długie godziny na mroźnym wietrze, lecz na widok przyjaciela zrobiło mu się jeszcze zimniej. Tył głowy Isorna cały był we krwi. – Och, bogowie, jak ja to powiem jego ojcu?”

Podbiegł szybko do ciała i chwycił je za ramię. Twarz młodego Rimmersmana skrywała maska z błota i topniejącego śniegu. Kiedy Eolair starł z niej nieco brudu, Isorn zakaszlał.

– Żyjesz!

Otworzył oczy.

– Eolair?

– Tak, to ja. Co się stało? Czy jesteś ciężko ranny?

Isorn wciągnął głęboko powietrze.

– Na Odkupiciela, nie wiem. Czuję się, jakbym miał rozłupaną głowę. – Przyłożył drżącą dłoń do głowy i spojrzał na zakrwawione palce. – Uderzył mnie jeden z Hunenów. Ogromna włochata bestia. – Eolair z przerażeniem zobaczył, że jego przyjaciel opada na ziemię i zamyka oczy; na szczęście po chwili znowu je otworzył. Wydawał się teraz bardziej ożywiony, lecz jego pytanie jakby przeczyło temu. – Gdzie jest Maegwin?

– Maegwin? – Eolair wziął go za rękę. – Jest w obozie. A ty znajdujesz się w Naglimundzie i jesteś ranny. Pójdę po ludzi, żeby pomogli mi cię...

– Nie – odparł Isorn zniecierpliwiony. – Ona była tutaj. Szedłem za nią, kiedy... kiedy olbrzym uderzył mnie maczugą. Na szczęście nie trafił dobrze.

– Maegwin... tutaj? – Przez moment wydawało mu się, że przyjaciel z Północy mówi obcym językiem. – O czym ty mówisz?

– Było tak, jak mówiłem. Zobaczyłem ją na skraju bitwy, szła dookoła twierdzy. Myślałem, że mi się przywidziało, ale nie; lecz zachowywała się dziwnie. Poszedłem za nią i zobaczyłem ją... tam... – Zamrugał z bólu, kiedy wskazywał na odległy róg zamku. – I wtedy bestia zaatakowała mnie z tyłu. Zanim się zorientowałem, już leżałem na ziemi. Nie wiem, dlaczego mnie nie zabił. – Pomimo chłodu na jego bladym czole zbierały się kropelki potu. – Może zjawił się któryś z Sithów.

Eolair wstał.

– Sprowadzę pomoc. Nie ruszaj się bez potrzeby.

Isorn spróbował się uśmiechnąć.

– A dzisiejszej nocy chciałem się przejść po zamkowych ogrodach.

Hrabia okrył przyjaciela płaszczem i pobiegł na drugą stronę twierdzy, omijając oblegających drzwi Sithów. Znalazł swoich Hernystirczyków skulonych tuż za dziurą w murze i wybrał czterech najsilniejszych, by przenieśli Isorna do obozu. Upewniwszy się, że niosą go w bezpieczne

miejsce, zaczął rozglądać się za Maegwin. Bardzo musiał się powstrzymywać, by najpierw zająć się Rimmersmanem.

Wkrótce ją znalazł. Leżała skulona na ziemi z tyłu twierdzy. Nie znalazł na jej ciele żadnych ran, lecz jej skóra była przeraźliwie zimna. Nie potrafił też wyczuć jej oddechu.

Kiedy wreszcie się opamiętał, szedł już przez obóz, niosąc jej bezwładne ciało. Nie wiedział, jak tam dotarł. Żołnierze podnosili głowy, kiedy ich mijał, lecz w tej chwili wyraz ich twarzy mówił mu tyle samo co jasne oczy zwierząt.

KIRA'ATHU MÓWI, ŻE ONA ŻYJE, ale jest bliska śmierci – powiedział Jiriki. – Przynoszę ci smutek, Eolairze.

Kiedy hrabia podniósł głowę znad bladej twarzy Maegwin, sithijska uzdrowicielka wstała i wyszła z namiotu. Eolair chciał ją zatrzymać, ale wiedział, że inni potrzebowali jej pomocy, także jego ludzie. Nie było wątpliwości, że nic już tu nie mogła zrobić, chociaż Eolair nie potrafił powiedzieć, co w rzeczywistości zrobiła srebrzystowłosa Sithijka. Nie zwracał na to uwagi, trzymając zimną dłoń Maegwin, jakby chciał jej oddać trochę swojego ciepła.

Zauważył krew na twarzy Jirikiego.

– Jesteś ranny – powiedział.

– Tylko draśnięcie. – Jiriki machnął dłonią. – Twoi ludzie dzielnie walczyli.

Eolair odwrócił się, tak by mógł mówić bez skręcania szyi, lecz nie wypuszczał dłoni Maegwin.

– Czy oblężenie się skończyło?

Jiriki zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział. Fala nagłego strachu przebiła się nawet przez smutek Eolaira.

– Nie wiemy – odezwał się wreszcie Sitha.

– Jak to?

Jiriki i pozostali Sithowie posiadali pewien wewnętrzny spokój, który odróżniał ich od śmiertelników, lecz tym razem widać było, że Sitha jest zakłopotany.

– Nornowie zagrodzili drzwi z Czerwoną Dłonią w środku. Zaśpiewali wielkie Słowa Zmiany i nie można tam wejść.

– Nie można wejść? Jak to możliwe? – Eolair wyobraził sobie drzwi zablokowane ogromnymi głazami. – Nie można sforsować drzwi?

Sitha wykonał dłonią gest zaprzeczenia.

– Drzwi wciąż tam są, ale nie ma za nimi twierdzy. – Zmarszczył czoło. – Nie, to nie tak. Pomyślałbyś, że zwariowaliśmy, gdybym ci to tak przedstawił, bo przecież budynek istnieje. – Sitha uśmiechnął się. – Nie wiem, czy potrafię ci to wyjaśnić. Żadne słowa waszego języka nie oddadzą tego w całości. – Zamilkł. Eolair ze zdumieniem ujrzał Sithę tak ludzkiego. – Oni nie mogą wyjść, a my nie możemy wejść. Tyle wystarczy wiedzieć.

– Ale przecież zburzyliście mury. Nie moglibyście także zburzyć twierdzy?

– Tak, zburzyliśmy mury, ale gdyby Hikeda’ya mieli wcześniej czas na to, co zrobili teraz, to mury stałyby tam. Tylko coś niezwykle ważnego powstrzymało ich przed zrobieniem tego przed oblężeniem. Teraz jednak, nawet gdybyśmy zdjęli każdy kamień twierdzy i odnieśli go daleko stąd, to i tak ich nie dostaniemy, a oni wciąż tam będą.

Eolair potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, Jiriki. Jeśli oni nie mogą wyjść, a pozostała część Naglimundu jest w naszych rękach, to nie ma się czym przejmować. – Nic więcej z mglistych wyjaśnień Sithy już do niego nie docierało. Pragnął jedynie pozostać z umierającą córką Llutha.

– Chciałbym, żeby tak było. Ale wciąż nie rozumiemy, z jakiego powodu przybyli tutaj. Należy także przypuszczać, że dopóki pozostaną w twierdzy, blisko *A-Genay'asu*, będą mogli zrobić to, co zamierzali.

– A zatem cała walka na nic? – Eolair wypuścił dłoń Maegwin i wstał. Wzbierała w nim wściekłość. – Na nic? Sześćdziesięciu albo i więcej dzielnych Hernystirczyków zabitych, że nie wspomnę o twoich ludziach, do tego jeszcze Maegwin... – Machnął ręką bezradnie. – Tak po prostu, na nic! – Skoczył do przodu, unosząc ramię, jakby chciał uderzyć milczącego Sithę. Jiriki zareagował tak szybko, że Eolair zorientował się dopiero, gdy ten trzymał mocno jego dłonie. Z wielkim podziwem pomyślał o drzemiącej w Jirikim sile.

– Twój smutek jest prawdziwy. Mój także. Ale nie powinniśmy zakładać, że wszystko to było na nic: być może przeszkodziliśmy Hikeda'ya w czymś, o czym jeszcze nie wiemy. Jesteśmy wciąż czujni i bacznie obserwujemy Dzieci Chmury. Pozostawimy tutaj naszych najmądrzejszych i najstarszych śpiewaków.

Eolair czuł, jak jego gniew zamienia się w bezradność. Przykucnął znowu, kiedy Jiriki puścił jego ręce.

– Zostawicie ich tutaj? – spytał. – A dokąd jedziecie? Wracacie do domu? – Jakaś jego część miała nadzieję, że tak się stanie. Niech Sithowie i ich dziwna magia powrócą do swojego tajemniczego świata. Kiedyś Eolair zastanawiał się, czy oni w ogóle istnieją. Teraz mieszkał z nimi i walczył, a przy tym doświadczył tyle bólu i strachu, że ledwie mógł to znieść.

– Nie do naszego domu. Tutaj, widzisz? – Jiriki uniósł zasłonę wejścia. Nocne niebo przejaśniło się; nad ogniskami wisiał ogromny baldachim gwiazd. – Tam. Poza to, co moi ludzie nazywają Sercem Nocy; to jest ta jasna gwiazda widoczna nad rogiem muru Naglimundu.

Eolair, zdumiony i poirytowany, wytężył wzrok. Nad gwiazdą znajdował się inny punkt, czerwony niczym gasnący węgiel.

Jiriki spojrzał na nią.

– Tak. Jest to zwiastun wielkiej mocy. Śmiertelni nazywają go Gwiazdą Zdobywcy.

Przytłoczony natłokiem uczuć, Eolair nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie słyszał tę nazwę.

– Widzę. Co to znaczy?

Jiriki odwrócił się. Jego spojrzenie było zimne i odległe.

– Znaczy to, że Zida’ya muszą wrócić do Asu’a.

Przez chwilę Eolair nie zrozumiał słów, które usłyszał.

– Jedziecie do Hayholt? – spytał wreszcie. – Żeby walczyć z Eliasem?

Hrabia spojrzał na Maegwin. Jej usta były bardzo blade. Pomiędzy powiekami ukazała się biała linia.

– W takim razie pojedziecie beze mnie i moich ludzi. Mam dość zabijania. Zabiorę Maegwin z powrotem, żeby mogła umrzeć w Hernystirze.

Jiriki uniósł dłoń, jakby chciał dosięgnąć śmiertelnego sprzymierzeńca. Zamiast tego jednak odwrócił się i jeszcze raz uniósł zasłonę wejścia. Eolair spodziewał się jakiejś dramatycznej odpowiedzi, lecz Sitha powiedział tylko:

– Musisz zrobić to, co uważasz za najlepsze, Eolairze. I tak dałeś już dużo. – Przez chwilę widać było jego ciemną postać na tle

rozgwieżdżonego nieba, a potem zasłona opadła.

Eolair usiadł obok Maegwin, pełen smutku i rozpaczy. Nie miał już siły myśleć. Przytulił twarz do jej nieruchomego ramienia i zasnął.

JAK SIĘ MASZ, STARY PRZYJACIELU?

Isgrimnur jęknął i otworzył oczy. W głowie mu dudniło, lecz to było niczym w porównaniu z bólem w karku.

– Nie żyję. Dlaczego mnie nie pochowacie?

– Ty przeżyjesz nas wszystkich.

– To chyba żaden zaszczyt, jeśli tak dalej będzie. – Isgrimnur usiadł. – Co ty tutaj robisz? Strangyeard powiedział mi, że Varellan ma poddać się dzisiaj.

– Tak też się stało. A ja miałem coś do załatwienia w klasztorze.

Książę przyglądał się Josui podejrzliwie.

– Dlaczego się uśmiechasz? To do ciebie niepodobne.

Książę zachichotał.

– Isgrimnurze, jestem ojcem.

– Vorzheva urodziła? – Rimmersman wyciągnął ogromną łapę i uścisnął dłoń Josui. – Wspaniale, człowieku, wspaniale. Chłopiec czy dziewczynka?

Książę usiadł na brzegu łóżka, żeby Isgrimnur nie musiał się bardzo wychylać.

– I jedno, i drugie.

– Co? – Isgrimnur znowu patrzył podejrzliwie. – Co za bzdury? – Nagle zrozumiał. – Bliźniaki?

– Bliźniaki. – Wydawało się, że Josua roześmieje się za chwilę głośno. – Czują się dobrze, Isgrimnurze. Są dorodne i zdrowe. Vorzheva

miała rację. Kobiety Thrithingów są silne. Prawie nie jęknęła, chociaż długo to trwało, zanim oboje się urodzili.

– Dzięki Aedonowi – powiedział Rimmersman i zrobił znak Drzewa. – Niech mu będą dzięki. Dzieci zdrowe i matka. – Kąciki jego oczu zwilgotniały. Szybko otarł je dłonią. – Popatrz na siebie, Josuo. Nieomal tańczysz w miejscu. Kto by pomyślał, że ojcostwo tak dobrze ci zrobi?

Książę uśmiechnął się, lecz pod tym uśmiechem kryła się już poważniejsza myśl.

– Teraz, Isgrimnurze, mam po co żyć. Nie rozumiałem, że tak będzie. Im nie może stać się żadna krzywda. Musisz je zobaczyć. Są wspaniałe.

– Zobaczę. – Isgrimnur zaczął wyplątywać się spod kocy.

– Nie! – zaprotestował Josua. – Nie wstaniesz z łóżka! Twoje żebra...

– Są wciąż na swoim miejscu. Zostały tylko trochę wgniecione przez konia. Ale bywało gorzej. Głowa została najgorzej ukarana, ale to i tak same kości.

Josua chwycił Isgrimnura za szerokie bary i wydawało się, że zaczną się mocować. Po chwili odsunął się z niechęcią.

– Postępujesz nierozsądnie – powiedział. – Oni nigdzie nie jadą.

– Ja też już nigdzie nie pojadę, jeśli się w końcu nie ruszę. – Isgrimnur opuścił bose stopy na zimną, kamienną podłogę, pojękując z bólu. – Widziałem, co stało się z moim ojcem Isbeornem. Kiedy został zrzucony z konia, leżał w łóżku przez całą zimę. Potem nigdy już nie mógł chodzić.

– Co on wyprawia? – Chwilę wcześniej w drzwiach ukazał się ojciec Strangyeard, który patrzył teraz na Isgrimnura przerażony.

– Wstaje, żeby zobaczyć dzieci – oświadczył Josua zrezygnowany.

– Ale... ale...

– A niech cię, Strangyeardzie, piszczysz jak kurczę – warknął Isgrimnur. – Lepiej zrób coś pożytecznego i przynieś coś do siedzenia. Nie jestem taki głupi, żeby stroić miny do następców Josui na stojąco.

Duchowny wyszedł pośpiesznie, przestraszony.

– A teraz chodź tutaj i pomóż mi, Josuo. Szkoda, że nie mamy tej nabbańskiej uprzęży do wsadzania rycerza na konia.

Książę oparł się mocno o krawędź łóżka. Isgrimnur chwycił za jego pas i podciągnął się do góry. Potem wstał, dysząc ciężko.

– Dobrze się czujesz? – spytał Josua zmartwiony.

– Nie. Wszystko mnie boli. Ale stoję na własnych nogach, a to już coś. – Popatrzył przed siebie, jakby oceniał odległość, jaką miał do pokonania. – Jak daleko to jest?

– Tylko kawałek korytarzem. – Josua wsunął ramię pod bark Isgrimnura. – Będziemy szli powoli.

Wyszli ostrożnie na długi, chłodny korytarz. Po kilkudziesięciu krokach Isgrimnur zatrzymał się.

– Nie wsiądę na konia jeszcze przez kilka dni, Josuo – powiedział przepraszającym tonem.

– Kilka dni! – Josua roześmiał się. – Ty dzielny, stary głupcze. Co najmniej przez miesiąc nie pozwolę ci wsiadać na konia.

– Nie zostanę z tyłu!

– Nikt nie chce cię zostawiać z tyłu, Isgrimnurze. Bez względu na to, czy będziesz zdolny walczyć, czy nie, teraz będę potrzebował cię jeszcze bardziej niż do tej pory. Moja żona też nie będzie jeździła. Znajdziemy jakiś sposób, żeby was zawieźć tam, dokąd się udamy.

– Będę jeździł z kobietami i dziećmi. – Obrzydzenie w jego głosie nie do końca ukryło strach.

– Tylko dopóki nie wyzdrowiejesz – uspokoił go Josua. – Tylko mnie nie okłamuj i nie mów, że jesteś już gotów, kiedy tak nie będzie. Naprawdę jesteś mi potrzebny i nie chcę, abyś pozbawiał się sił i opóźniał swoje wyzdrowienie. – Pokręcił głową. – Powinni mnie powiesić za to, że pozwoliłem ci wyjść z łóżka.

Isgrimnur popatrzył na niego wesoło.

– Świeżo upieczony ojciec nie odmawia prośbie. Nie wiedziałeś o tym? To taki stary zwyczaj z Rimmersgardu.

– Z pewnością – rzucił kwaśno Josua.

– A poza tym nawet z połamanymi żebrami dałbym sobie z tobą radę.

– Chodźmy więc, stary koniu – westchnął książę. – Opowiesz mi o tym, kiedy sobie usiądziesz.

KSIĘŻNA GUTRUN POZOSTAWIŁA STREFĘ OCHRONNĄ wokół łóżka Vorzhevy, by udzielić Isgrimnurowi surowej nagany za to, że wstał. Od dwóch dni biegała z jednego pokoju do drugiego i teraz najwyraźniej była wyczerpana. Książę nie sprzeczał się z nią i usiadł na ławce, którą przyciągnął dla niego Strangyeard, z miną potulnego dziecka.

Vorzheva siedziała oparta o koce, z niemowlęciem na każdym ramieniu. Podobnie jak Gutrun, była blada i zmęczona, lecz mimo to na jej twarzy gościł dumny spokój. Dzieci były mocno zawinięte, tak że widać było tylko ich czarne główki. Z prawej strony Vorzhevy przycupnęła Aditu, która z zainteresowaniem przyglądała się jednemu z niemowląt.

Isgrimnur odetchnął kilkakrotnie głęboko i pochylił się do przodu, spoglądając na Sithijkę. W jej oczach czaił się dziwny głód i przez chwilę książę przypomniał sobie stare opowieści, w których Sithowie kradną dzieci śmiertelników. Zaraz jednak odegnał tę myśl.

– Wyglądają wspaniale – powiedział. – Które jest chłopcem, a które dziewczynką?

– Chłopiec jest na moim prawym ramieniu. A to jest dziewczynka.

– Jak się będą nazywać?

Josua podszedł bliżej i spojrzał na żonę i dzieci z nieukrywaną dumą.

– Chłopiec otrzyma imię Deornoth, na cześć mojego przyjaciela. Będę z niego dumny, jeśli choć w połowie wyrośnie na tak szlachetnego męża. – Spojrzał na drugą, uśpioną twarz. – Dziewczynka ma na imię Derra.

– To nazwa Thrithingów dla gwiazdy. – Vorzheva uśmiechnęła się. – Będzie świeciła jasno. Nie będzie tak jak moja matka i siostry więźniem taborów.

– Dobre imiona – powiedział Isgrimnur. – Kiedy Pierwsze Błogosławieństwo?

– Wyruszamy za trzy dni – odparł Josua, wciąż wpatrzony w rodzinę. – Ceremonia odbędzie się przed wyjazdem. – Odwrócił się. – Jeśli Strangyeard może jej dopełnić.

– Ja? – Archiwista rozejrzał się po pokoju, jakby mógł tam być ktoś inny o tym samym imieniu. – Przecież jesteśmy w Nabbanie, Josuo. Prawie na każdym wzgórzu znajduje się kościół. A poza tym ja nigdy jeszcze nie odprawiałem ceremonii Pierwszego Błogosławieństwa.

– Ty nam udzieliłeś ślubu, więc nie zamierzamy prosić nikogo innego – oświadczył Josua stanowczo. – Chyba że nie chcesz.

– Nie chcę? Ależ będę zaszczycony! Dziękuję, książę Josuo, lady Vorzhevo. – Duchowny powoli przesuwał się w stronę drzwi. – Lepiej znajdę tekst ceremonii i zacznę się go uczyć.

– Nie będziesz musiał chyba daleko szukać, człowieku – powiedział Isgrimnur. – Pamiętaj, że jesteśmy w klasztorze.

Strangyeard był już za drzwiami. Książę był przekonany, że duchowny po prostu bardzo się zawstydził.

Gutrun chrząknęła znacząco.

– No cóż, jeśli skończyliście już swoje rozmowy, to myślę, że Vorzheva i maleństwa mogą teraz odpocząć. – Odwróciła się do męża. – A ty, stary, uparty niedźwiedziu, wracasz z powrotem do łóżka. Nieomal umarłam, kiedy ujrzałam cię niesionego na noszach, i to samo uczucie towarzyszyło mi w chwili, kiedy wtoczyłeś się tutaj. Czy ty nie masz rozumu, Isgrimnurze?

– Już idę, Gutrun. Nie złość się – mruknął Isgrimnur zażenowany.

Aditu mówiła cicho, lecz jej głos zabrzmiał niezwykle melodyjnie.

– Vorzhevo, czy mogę je przez chwilę potrzymać?

– Ona musi odpocząć. – Gutrun była nieugięta. Isgrimnur miał wrażenie, że dostrzegł w jej oczach coś więcej niż tylko zwykłą stanowczość, może iskierkę strachu. Czy i ona miała podobne myśli? – Dzieci także.

– Tylko przez chwilę.

– Oczywiście – powiedziała Vorzheva; ona także wydawała się nieco zaskoczona. – Wystarczyło tylko zapytać.

Aditu pochyliła się i podniosła ostrożnie dzieci, najpierw dziewczynkę, a potem chłopca. Ułożywszy je sobie na rękach, patrzyła na nie długo, a potem zamknęła oczy. Isgrimnur poczuł falę nieuzasadnionego strachu, jakby miało wydarzyć się coś niewidzialnego.

– *Będą dla siebie jak brat i siostra* – zaczęła śpiewnie Aditu. – *Choć rozdzieli ich wiele lat. Ona będzie podróżowała po krajach, w których nie stanęła jeszcze stopa śmiertelnej kobiety, i utraci to, co kocha najbardziej, lecz znajdzie szczęście w tym, czym kiedyś gardziła. On otrzyma inne imię. Nigdy nie zasiądzie na tronie, lecz za jego przyczyną królestwa będą*

wzrastały i upadały. – Sithijka otworzyła szeroko oczy, lecz wydawało się, że wzrokiem sięga daleko poza pokój. – *Ich kroki zaprowadzą oboje ku tajemnicy*. – Po chwili zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, jej spojrzenie było już tak samo naturalne jak zawsze.

– Czy to jakaś klątwa? – Gutrun patrzyła przestraszona, ale i zła. – Jakie masz prawo roztaczać sithijskie czary nad aedonickimi dziećmi?

– Uspokój się, żono – powiedział Isgrimnur, choć on sam wydawał się poruszony słowami Aditu.

Aditu oddała dzieci Vorzhevie, która patrzyła na nią spojrzeniem pełnym przesądnej podejrzliwości.

Także Josua wydawał się zasmucony, lecz starał się opanować głos.

– Może ma to być dar. A jednak nasze zwyczaje są inne od waszych...

– To nie jest nasz zwyczaj. – Sama Aditu wydawała się trochę zdziwiona. – Czasem przepowiednie towarzyszą narodzinom niektórych z nas, ale nie zdarza się to często. Nie, coś do mnie przyszło. Usłyszałam w uchu głos, jak to się czasem zdarza na Ścieżce Snów. Wydawało mi się, że to jest... mała Leleth.

– Ale ona leży w drugim końcu korytarza, w pokoju przylegającym do mojego – powiedział Isgrimnur. – Nie budzi się od tygodni, a i wcześniej nigdy nic nie mówiła. Co to za niedorzeczność?

– Nie wiem. – Złociste oczy Aditu błyszczały jasno. Teraz już nie wyglądała na zdziwioną, a nawet jakby cieszył ją niepokój, jaki wzbudziła wśród zebranych. – Przepraszam, jeśli was przestraszyłam.

– To nie wszystko. Zmartwiłaś także Vorzhevę – powiedziała Gutrun.

– Nie jestem zmartwiona – odparła spokojnie Vorzheva. Odzyskała już dobry humor. Isgrimnur zastanawiał się, czy podobne zdarzenia mają miejsce wśród jej ludzi. – Ale jestem zmęczona.

– Isgrimnurze, wracajmy do twojego łóżka. – Josua spojrzał jeszcze raz niepewnie na żonę. – Później się nad tym zastanowimy. Myślę, że trzeba... spisać słowa Aditu. Chociaż jeśli są prawdziwe, to nie wiem, czy chcę poznać przyszłość. Może lepiej o nich zapomnieć.

– Wybacz mi, proszę – zwróciła się do niego Aditu. – Ale ktoś chciał, aby te słowa zostały wypowiedziane. Nie sądzę, by wróżyły coś złego. Wydaje mi się tylko, że twoje dzieci urodziły się do wielkich rzeczy.

– Nie jestem pewien, czy podobne zapowiedzi są dobre – odparł Josua. – Ja sam mam już dość wielkich rzeczy. – Przysunął się do Isgrimnura i pomógł mu wstać.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, Isgrimnur zapytał:

– Czy myślisz, że ta przepowiednia jest prawdziwa?

Josua pokręcił głową.

– Zbyt długo żyję wśród snów i znaków, by zaprzeczyć, ale jak w wielu innych wypadkach, ma ona wiele niejasności. Ach, stary przyjacielu, zdaje się, że nawet moje dzieci nie uwolnią się od tajemnic, które nas prześladują. – Westchnął.

Isgrimnurowi nie przychodziły do głowy żadne słowa pociechy. Dlatego zmienił temat.

– A zatem Varellan poddał się. Szkoda, że nie widziałem bitwy do końca. A czy Camaris ma się dobrze? A Hotvig i inni?

– Obaj odnieśli rany, ale nic poważnego. Dzięki Seriddanowi i pozostałym baronom pozostaliśmy w bardzo dobrej kondycji.

– Tak więc maszerujemy na miasto. Jak myślisz, gdzie Benigaris spróbuje nas powstrzymać?

Książę wzruszył ramionami, zgięty pod ciężarem Isgrimnura.

– Nie wiem. Ale zrobi to, nie obawiaj się; teraz już nie wyjdziemy z tego tak gładko. Trzeba będzie walczyć o każdy dom na półwyspie.

– Najpierw zdobędziemy mapę terenu, a potem się zastanowimy.

Kiedy dotarli do jego sypialni, Isgrimnur stwierdził, że oczekiwał tego momentu z gorliwością młodzieńca, który nareszcie mógł wyrwać się od codziennych obowiązków.

„Stajesz się miękki” – upomniał w duchu samego siebie. Ale teraz nic go to nie obchodziło. Dobrze będzie wyciągnąć obolałe kości.

– Josuo, dzieci są wspaniałe. – Ułożył się wygodnie na sienniku. – Nie przejmuj się słowami Aditu.

– Ja zawsze się przejmuję – odparł książę, uśmiechając się. – Tak jak ty zawsze się wściekasz.

– Czy rzeczywiście tak głęboko popadliśmy w nasze nawyki? – Isgrimnur ziewnął, by ukryć grymas wywołany bólem żeber i pleców. – W takim razie może już czas, żeby zastąpili nas młodsi.

– Jeśli tego pragniemy, to musimy im zostawić lepszy świat. Strasznie zmąciliśmy ten, który nam dano. – Ścisnął dłoń Isgrimnura. – Śpij, stary przyjacielu.

Isgrimnur patrzył za odchodzącym księciem, zadowolony, że wciąż chodzi sprężystym krokiem.

„Mam nadzieję, że dożyjesz chwili, kiedy twoje dzieci dorosną. I że będzie to w tym lepszym świecie, o którym mówiłeś”.

Położył się wygodnie i zamknął oczy, czekając na słodki sen.

44. Król Cieni

CAŁE ŻYCIE SIMONA SKURCZYŁO SIĘ do długości ramion: jego i Króla. W pokoju panowała ciemność. Uchwyt Eliasa był równie zimny i pewny jak najlepsze kajdany.

– Mów. – Głosowi towarzyszył obłok pary niczym oddech smoka, chociaż oddech Simona pozostawał niewidoczny. – Kim jesteś?

Simon próbował coś powiedzieć, lecz nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. To był koszmar, potworny sen, z którego nie mógł się obudzić.

– Mów. Kim jesteś? – Błyszczące oczy Króla zwęziły się, znikając niemal całkowicie w mroku, który skrywał jego twarz.

– Ni...nikim – wyjąkał Simon. – Je...jestem nikim...

– Czyżby? – W głosie Króla zabrzmiała lżejsza nuta. – A co cię tu sprowadza?

Nie przychodziły mu do głowy żadne rozsądne wymówki.

– Nic.

– Jesteś nikim i po nic nie przychodzisz. – Elias roześmiał się cicho; był to odgłos rozrywanego pergaminu. – W takim razie należysz do tego miejsca, gdzie jest tylu innych bezimiennych. – Przyciągnął Simona trochę bliżej. – Niech no ci się przyjrzę.

Simon zmuszony był także spojrzeć na Króla. Ledwie go widział w mroku, lecz mimo to pomyślał, że nie jest to ludzkie oblicze. Białe ramię

Króla połyskiwało lekko, jak bagienna woda, a pomimo wilgoci i chłodu panującego w pokoju na jego skórze lśniły kropelki potu. Mimo to spod skóry wystawał mięsień, który sprawiał, że jego uścisk był twardy jak kamień.

Na kolanach Króla leżało coś długiego i czarnego. Pochwa. Simon wyczuwał miecz, który w niej spoczywał, jakby słyszał dobiegający z oddali głos. Jego pieśń wśliznęła się głęboko między myśli Simona... lecz on wiedział, że nie może jej ulec. Prawdziwe niebezpieczeństwo było o wiele bardziej rzeczywiste.

– Widzę, że jesteś młody – powiedział wolno Elias. – Masz jasną skórę. Czy jesteś jednym z Czarnych Rimmersmenów Pryratesa? A może Thrithingiem?

Simon potrząsnął głową, lecz nic nie powiedział.

– Mnie i tak wszystko jedno – szepnął Elias. – Nie obchodzi mnie, jakie narzędzia wybiera sobie do pracy Pryrates. – Przyjrzał się uważnie twarzy Simona. – Ach, widzę, że się wzdragasz. Oczywiście, wiem, po co tu przyszedłeś. – Roześmiał się ochryple. – Ten przeklęty klecha wszędzie ma swoich szpiegów. Dlaczego więc nie miałby mieć ich także w swojej wieży, w której strzeże tajemnic nawet przed swoim panem, Królem?

Uścisk Eliasa zelżał na chwilę. Simon pomyślał, że może uda mu się wyrwać i uciec, lecz Król poprawił się tylko na tronie i kajdany zacisnęły się znowu.

„Ale muszę być czujny – pomyślał Simon, starając się nie tracić nadziei. – Gdyby tylko nadarzyła się okazja, mógłbym dostać się do drzwi”.

Nagłe szarpnięcie rzuciło go na kolana.

– Na kolana, chłopcze. Chcę ci się przyjrzeć bez nadwerężania szyi. Twój Król jest zmęczony i bolą go kości. – Na moment zapadła cisza. – Dziwne. Nie wyglądasz na Rimmersmana ani na Thrithinga. Bardziej

przypominasz jednego z moich erkynlandzkich wieśniaków. Te rude włosy! Mówią, że mieszkańcy łąk pochodzą z Erkynlandu...

Znowu powróciło wrażenie, że to sen. Jak Król mógł rozpoznać w ciemności kolor jego włosów? Simon starał się opanować oddech, opanować strach. Przecież spotkał już smoka – prawdziwego smoka, a nie takiego ludzkiego jak ten – a także przeżył okropne tunele. Musi zebrać myśli i czekać na dogodną okazję.

– Kiedyś Erkynland, całe Osten Ard przypominało łąki – wycedził Elias. – Tylko włóczące się plemiona, kradnące konie dzikusy. – Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je powoli: Simon poczuł zapach podobny do metalu. – Trzeba było silnej ręki, żeby to zmienić. Potrzeba silnej ręki, żeby zbudować królestwo. Czy myślisz, że Nabbańczycy nie płakali, kiedy po raz pierwszy pojawili się wśród nich żołnierze Imperatora? Ale już ich dzieci były wdzięczne i podobnie będzie z dziećmi ich dzieci...

Simon nic nie rozumiał z tych wywodów, ale poczuł ukłucie nadziei, kiedy głos ucichł i zapadła cisza. Przez długą chwilę nasłuchiwał tylko bicia własnego serca, a potem pociągnął delikatnie, lecz jego ręka pozostawała dalej w mocnym uścisku. Głowa Króla opadła na jego pierś. Jednak nie spał.

– I popatrz, co zbudował mój ojciec – przemówił Elias niespodziewanie. Otworzył szeroko oczy, jakby potrafił spojrzeć poza ciemny pokój. – Imperium, o jakim dawni władcy Nabbanu mogli tylko marzyć. Wyrzeźbił je własnym mieczem, a potem bronił przed zazdrosnymi ludźmi i mściwymi nieśmiertelnymi. Chwała niech będzie Aedonowi, ale on był tylko człowiekiem – *człowiekiem!* – Dłoń Króla zacisnęła się na nadgarstku Simona, tak że wydawało mu się, iż za chwilę usłyszy chrzęst miażdżonej kości. Syknął z bólu. – A on mnie je przekazał, tak samo jak twoi przodkowie przekazywali swoim synom kawałek ziemi z rudą krową.

Mój ojciec dał mi świat! Ale na tym nie koniec. Nie, nie wystarczy utrzymać to królestwo, umocnić jego granice, bronić go przed tymi, którzy chcą je odebrać. Nie, to tylko część panowania. Tylko część. To nie wszystko.

Elias wydawał się teraz całkowicie pogrążony w swoich rozważaniach, jakby rozmawiał ze starym przyjacielem. Simon zastanawiał się, czy jest pijany, ale w jego oddechu nie czuć było alkoholu, a tylko ten dziwny, metaliczny zapach. Poczucie bezradności znowu powróciło. Czy szalony Król będzie go tutaj trzymał aż do czasu powrotu Pryratesa? Czy raczej zmęczy się wreszcie i sam wymierzy karę schwytanemu szpiegowi?

– Tego właśnie twój pan, Pryrates, nigdy nie zrozumie – mówił dalej Elias. – Lojalność. Lojalność wobec osoby albo lojalność wobec sprawy. Czy myślisz, że jego obchodzi, co się z tobą stanie? Nawet taki prostak jak ty nie jest aż tak głupi. Wystarczy spędzić z nim kilka chwil, żeby się przekonać, że on potrafi być lojalny tylko wobec samego siebie. I tutaj właśnie mnie nie rozumie. On służy mi tylko dlatego, że ja posiadam władzę; gdyby mógł ją przejąć, z pewnością poderżnąłby mi gardło. – Elias roześmiał się. – Ach, może nawet spróbuje! Chcę, żeby spróbował. Ale moja lojalność jest większa; lojalność wobec mojego ojca i królestwa, które zbudował; dla niej jestem gotów cierpieć każdy ból. – Głos Króla załamał się i Simon był przekonany, że zaraz się rozpłacze. – Już wycierpiałem. Bóg jeden wie, ile wycierpiałem. Tak jak potępione dusze, które smażą się w Piekle. Ja nie śpię... nie śpię...

Znowu zapadła cisza. Nauczony poprzednim doświadczeniem, Simon nie poruszył się, chociaż czuł bolesne pulsowanie w kolanach wciśniętych w kamienną podłogę.

Kiedy Elias znowu przemówił, jego głos złagodniał, przypominał wręcz głos normalnego człowieka.

– A ty, chłopcze, ile masz lat? Piętnaście? Dwadzieścia? Gdyby żyła Hylissa, może urodziłaby mi syna takiego jak ty. Ona była piękna... płocha jak źrebak, lecz piękna. Nigdy nie mieliśmy syna. To był problem. Byłby teraz w twoim wieku. Ale nic takiego się nie wydarzyło. – Przyciągnął Simona bliżej, a potem ku jego przerażeniu położył zimną dłoń na jego głowie, jakby odprawiał jakieś rytualne błogosławieństwo.

Podwójna rękojeść Smutku znalazła się tuż obok ramienia Simona. Obecność miecza była straszna. Simon chciał krzyczeć na samą myśl, że mógłby on dotknąć jego ciała, lecz jeszcze bardziej przerażała go myśl, co mogłoby się stać, gdyby obudził Króla z tego dziwnego snu. Nie drgnął nawet, kiedy Elias zaczął gładzić jego włosy.

– Syna. Tak, tego potrzebowałem. Syna, którego mógłbym wychować, tak jak mój ojciec mnie wychował; syna, który zrozumiałby, co jest potrzebne. Córki... – Zamilkł i oddychał głośno. – Miałem córkę. Ale córka to nie to samo. Musisz wierzyć, że ten, którego ona poślubi, zrozumie, będzie miał odpowiednie pochodzenie, gdyż to on obejmie rządy. A jakiemu człowiekowi, w którym nie płynie jego krew, może ojciec powierzyć świat? A jednak spróbowałbym. Spróbowałbym, ale ona nie chciała. Przeklęte, nieposłuszne dziecko! – Teraz mówił głośniej. – Dałem jej wszystko, dałem życie, niech będzie przeklęta! Uciekła! I wszystko się rozpadło. Gdzie był mój syn? Gdzie on był?

Palce Króla zacisnęły się na włosach Simona tak mocno, jakby chciał mu je wyrwać. Simon zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć, przestraszony kolejną zmianą nastroju Eliasa. Głos dochodzący z głębi krzesła stawał się coraz donośniejszy.

– Gdzie byłeś? Czekałem, ale już dłużej nie mogłem. Później musiałem zacząć działać. Widzisz, Król nie może czekać. Gdzie byłeś? Król nie może czekać, gdyż rzeczy się rozpadają. Rozpadają się i wszystko, co przekazał

mi ojciec, zostałoby stracone. – Teraz już krzyczał. – Stracone! – Elias pochylił się i jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Simona. – Stracone! – syknął. Jego twarz lśniła od potu. – Ponieważ ty nie przyszedłeś!

Simon czekał z bijącym sercem, niczym królik w szczękach lisa. Kiedy Król puścił jego włosy, schylił głowę, spodziewając się uderzenia.

– Ale przyszedł do mnie Pryrates – wyszeptał Elias. – Zawiódł mnie w pierwszej sprawie, lecz przyszedł do mnie ze słowami jak dym. Można było naprawić rzeczy. – Prychnął. – Wiedziałem, że on jedynie pragnie władzy. Widzisz, mój synu, tak postępuje Król. Wykorzystuje tych, którzy chcą jego wykorzystać. Tak to już jest. Tego nauczył mnie ojciec, więc słuchaj. Ja wykorzystuję jego, tak jak on mnie. Lecz teraz jego plan wychodzi na światło dzienne, a on próbuje go przede mną ukryć. Tylko że ja mam swoje sposoby, żeby się dowiedzieć. I nie potrzebuję do tego szpiegów, kryjących się po kątach wiejskich chłopców. Nawet gdybym nie słyszał głosów, które wyją w bezsenne noce, to nie jestem głupcem. Po co on jedzie znowu do Wentmouth, chociaż czerwona gwiazda wznosi się coraz wyżej? Czy jest tam coś poza wzgórzem i latarnią? Czy można tam zrobić coś, co jeszcze nie zostało zrobione? On twierdzi, że jest to część większego planu, ale ja mu nie wierzę, nie wierzę.

Elias dyszał teraz ciężko zgarbiony, jakby próbował coś połknąć i nie mógł tego zrobić. Simon odchylił się, lecz jego ręka wciąż pozostawała uwięziona. Pomyślał, że gdyby rzucił się mocno do tyłu, to może uwolniłby się, następna myśl – co się stanie, jeśli mu się nie uda, jeśli zwróci na siebie uwagę Króla – ostudziła jego zapały, więc dalej drżał na kolanach tuż przy krześle. Usłyszawszy następne słowa Króla, zapomniał już o ucieczce.

– Powinienem był się domyślić, że coś jest nie tak, kiedy powiedział mi o mieczach – wycedził Elias. – Nie jestem głupcem, żeby się przestraszyć takich bajeczek, ale miecz mojego ojca parzył mnie! Jakby był przeklęty.

A potem otrzymałem drugi. – Król nie spojrzał na Smutek, chociaż wisiał on u jego boku, lecz spojrzał w sufit. – On... mnie zmienił. Pryrates mówi, że to zmiana na dobre. Powiedział, że nie dostanę tego, czego pragnę, jeśli nie zostanie dotrzymana umowa. Lecz on jest teraz we mnie, tak jak moja krew. Przez całą noc mi śpiewa. Nawet w ciągu dnia słyszę go jak demona, który nigdy nie odstępuje cię ani na krok. Przeklęty miecz!

Simon czekał na dalsze słowa Eliasa, lecz Król zamilkł; siedział z odchyloną głową, oddychając ciężko. Wreszcie kiedy wydawało się, że naprawdę zasnął albo zupełnie zapomniał, o czym mówił, Simon odważył się odezwać.

– A... miecz twojego oj...ojca? Gdzie on jest?

Elias opuścił wzrok.

– W jego grobie. – Spojrzał w oczy Simona i zacisnął szczęki. – A tobie co do tego, szpiegu? Dlaczego Pryrates interesuje się tym mieczem? Słyszałem w nocy rozmowę o nim. Dużo słyszałem. – Wyciągnął ramię i jego palce zacisnęły się na twarzy Simona. Elias zakasłał mocno, z trudem łapiąc oddech, lecz nie zwolnił uchwytu. – Twój pan byłby z ciebie dumny, gdyby udało ci się uciec i opowiedzieć mu wszystko. Miecz? Czy to należy do jego planu? Żeby użyć miecza mojego ojca przeciwko mnie? – Strużki potu płynęły po twarzy Króla. Jego oczy wydawały się całkowicie czarne, dziury w czaszce wypełnione bełkocącą ciemnością. – Co planuje twój pan? Powiedz mi!

– Ja nic nie wiem! – krzyknął Simon. – Przysięgam!

Ciałem Eliasa wstrząsnął gwałtowny kaszel. Opadł na krzesło, puszczając twarz więźnia; Simon czuł lodowate pieczenie w miejscu, gdzie dotykały go palce. Dłoń na jego nadgarstku zacisnęła się, kiedy Król zakaszlał jeszcze raz i wciągnął głęboko powietrze.

– A niech to! – dyszał. – Idź i poszukaj mojego podczaszego.

Simon zamarł w bezruchu.

– Słyszysz? – Król puścił nadgarstek Simona i machnął ręką rozzłoszczony. – Przyprowadź mnicha. Powiedz, żeby przyniósł mój kielich. Znajdź go.

Simon odsunął się na kolanach, tak by znaleźć się poza zasięgiem ramienia Eliasa. Król pogrążył się w cieniu, lecz Simon wciąż czuł wyraźnie jego zimną obecność. Ręka Simona pulsowała bólem, lecz nie miało to znaczenia wobec możliwości ucieczki. Wstając, potrącił stos książek; skulił się, kiedy uderzyły głucho o podłogę, lecz Elias się nie poruszył.

– Przyprowadź go – warknął.

Simon ruszył wolno w kierunku drzwi, przekonany, że w każdej chwili Elias rzuci się za nim w pogoń. W jednej chwili był już na schodach. Nie zabrał nawet swojej pochodni, którą miał tuż pod ręką, lecz popędził w ciemność z taką pewnością, jakby szedł po łące w biały dzień. Był wolny! Stracił już nadzieję, aż tu nagle wolność! Wolność!

Na schodach, nad pierwszym podestem stała niska, ciemnowłosa kobieta. Przez chwilę spojrzał w jej żółtawe oczy, kiedy usuwała mu się z drogi. Patrzyła w milczeniu, jak biegnie.

W pędzie otworzył drzwi wieży i wypadł na zewnątrz, zanurzając się we mgle i blasku księżyca; miał uczucie, że za chwilę rozwinie skrzydła i wzniesie się ku niebu. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy dopadły go czarne postacie. Tym razem jego oba ramiona znalazły się w żelaznym uścisku. Białe twarze patrzyły na niego obojętnie. Nornowie nie okazywali najmniejszego zdziwienia tym, że schwytali obcego śmiertelnika na schodach Wieży Hjeldina.

KIEDY RACHEL COFNĘŁA SIĘ PRZESTRASZONA, zawiniątko z jej dłoni upadło na kamienną podłogę. Drgnęła, słysząc stukot.

Kroki stawały się coraz wyraźniejsze, a tunel wypełniła rozlewająca się jasność podobna do blasku wschodzącego słońca. Skulona w zagłębieniu kamiennej ściany, Rachel rozejrzała się za miejscem, w którym mogłaby ukryć lampę. Wreszcie, zdesperowana, postawiła lampę między nogami i pochyliła się nad nią, osłaniając źródło światła płaszczem. Miała nadzieję, że blask ich własnych pochodni oślepi ich na tyle, że nie zauważą światła, które niewątpliwie sączyło się spod osłony. Zacisnęła usta i modliła się w duchu. Było jej niedobrze od oleistego zapachu lampy.

Nadchodzący szli wolno – pomyślała, że za wolno, żeby nie zauważyć starej kobiety chowającej się za płaszczem. Była przekonana, że umrze, jeśli się zatrzymają.

– ...oni tak bardzo lubią te blade istoty, że *ich* powinni wykorzystać – powiedział głos, wznosząc się ponad odgłosy kroków. – Duchowny wciąż każe nam tylko nosić kamienie i ziemię. To nie jest zajęcie dla gwardzistów.

– A ty kim jesteś, żeby tak mówić? – spytał inny mężczyzna.

– To, że Król daje wolną rękę Czerwonemu, nie znaczy jeszcze, że... – zaczął pierwszy, lecz nie pozwolono mu skończyć.

– To może powiesz mu o tym? – zaszydził trzeci głos. – Zjadłby cię na kolację i wyrzucił kości.

– Zamknij się – warknął pierwszy mężczyzna, lecz zrobił to bez przekonania. Dalej mówił już spokojniejszym głosem: – W każdym razie tutaj na dole jest coś złego, coś piekielnie złego. Widziałem, jak jeden z tych trupio bladych cieni czekał na niego, żeby porozmawiać...

Kroki oddalały się. Upłynęło jeszcze kilka chwil i w tunelu zapadła cisza.

Dysząc ciężko, Rachel odsłoniła lampę i wyszła chwiejnym krokiem z wnęki. Czuła się, jakby dym z lampy przeniknął do jej głowy; przez chwilę ściany pochylały się. Wyciągnęła ramię, żeby się nie przewrócić.

„Błogosławiona święta Rhiappo – pomyślała. – Dzięki ci, że uratowałaś pokorną służebnicę przed nieprawymi. Dziękuję, że zasłoniłaś im oczy”.

Kolejni żołnierze! Kręcili się po tunelach pod zamkiem jak mrówki. Ta grupa była trzecią, jaką widziała – w tym wypadku słyszała – a z pewnością było ich więcej. Czego oni tam szukali? Była przekonana, że do tej części zamku od lat nikt nie zachodził, dlatego odważyła się tam pozostać. Teraz jednak żołnierze zaczęli przychodzić tam w określonym celu. Pyrates chyba kazał im kopać, ale po co? Czy szukali Guthwulfa?

Czuła strach i złość. Biedak! Czy nie dość wycierpiał, tracąc wzrok i zostając wypędzonym z zamku? Czego jeszcze mogli chcieć od niego? Oczywiście, zanim uciekł, był zaufanym doradcą Króla: może znał jakieś tajemnice, których potrzebował Wielki Król. Musi to być coś bardzo ważnego, skoro posyła tylu żołnierzy do tego okropnego podziemia.

Z pewnością chodzi o Guthwulfa. Kogo innego mogliby tutaj szukać? Przecież nie jej. Rachel wiedziała, że nic nie znaczy dla potężnych ludzi. Ale Guthwulf, no cóż, on poróżnił się z Pyratesem. Biedny Guthwulf. Dobrze zrobiła, że zaczęła go szukać. Biedak znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie! Tylko jak miała go szukać, kiedy kręciło się tylu żołnierzy, a co gorsza, jeśli to, co mówili, było prawdą. Będzie miała szczęście, jeżeli uda jej się powrócić bezpiecznie do swojej kryjówki.

„Tym razem prawie cię złapali, starucho – upominała samą siebie. – Nie proś więcej świętych, żeby cię uratowali, jeśli upierasz się przy swojej głupocie. Przypomnij sobie, co mawiał ojciec Dreosan: «Bóg może wszystko, ale On nie chroni pyszałków przed zgubą, jaką sami sobie gotują»”.

Rachel stała w korytarzu, czekając, aż jej serce uspokoi się. Nie słyszała niczego poza jego miarowym dudnieniem.

– Dobrze – powiedziała do siebie. – A teraz do domu. – Podniosła worek i poszła korytarzem.

CIĘŻKO JEJ SIĘ SZŁO PO SCHODACH. Musiała się często zatrzymywać; oparta o ścianę ze złością myślała o tym, że staje się coraz bardziej niedołężna. Wiedziała, że w lepszym świecie, w świecie, który nie jest tak przesiąknięty grzechem, ci, którzy chodzili ścieżką sprawiedliwych, nie będą już cierpieć takich bólów. Na tym świecie jednak wszystkie dusze były podejrzane, a przeciwności losu – czego dowiedziała się jeszcze na kolanach matki – miały być próbą. Z pewnością ciężary, jakie teraz dźwigała, pozwolą jej pozostać lekką na Wielkiej Wadze w sądny dzień.

„Mam nadzieję, Aedonie Wybawicielu – pomyślała – że jeśli moje ziemskie ciężary staną się jeszcze trochę cięższe, to w Dzień Sądu uniosę się niczym nasionko kwiatu. – Skrzywiła się na takie bezbożne myśli. – Rachel, głupia starucho, posłuchaj samej siebie. Jeszcze nie jest za późno, żeby narazić na szwank swoją duszę!” – Myśl ta w dziwny sposób dodała jej sił. Pokrzepiona zaatakowała dzielnie schody.

Minęła alkowę i znalazła się już na wyższym piętrze, kiedy przypomniała sobie o talerzu. Pewnie od rana nic się nie zmieniło, ale nawet jeśli tak było, należało się upewnić. Rachel, przełożona pokojówek, nigdy nie uchylała się od obowiązków. Chociaż jej kolana i stopy protestowały, a ona sama marzyła tylko o tym, żeby wrócić do swojego małego pokoju i położyć się, zmusiła się, by wrócić na dół.

Talerz był pusty.

Rachel długo się w niego wpatrywała. Znaczenie tego faktu docierało do niej powoli.

Guthwulf powrócił.

Ze zdumieniem stwierdziła, że ściska talerz w dłoni i płacze.

„Trzęsąca się starucha – wymyślała sobie. – Dlaczego płaczesz? Tylko dlatego, że mężczyzna, który nigdy nie zamienił z tobą ani słowa, nie zna twojego imienia – pewnie też nie pamięta już swojego – przyszedł i zabrał z talerza trochę chleba i cebuli?”

Pomimo tych wymyślań poczuła się lekka jak nasionko, o którym wcześniej myślała. On żył! Jeśli żołnierze szukali go, to znaczy, że jeszcze go nie znaleźli, a on wrócił. Myślała tak, jakby wiedział, że ona bardzo się niepokoi. Była przekonana, że to absurdalna myśl, lecz jednocześnie czuła, że wydarzyło się coś ważnego.

Kiedy wreszcie otarła oczy szerokim rękawem, wyjęła z worka trochę sera i suszonych owoców, które ułożyła na talerzu. Sprawdziła przykryty puchar. Wody też nie było. Napełniła go wodą z własnego bukłaka. W tunelach było sucho i brudno; z pewnością biedak będzie bardzo spragniony.

Zadowolona z siebie, Rachel podjęła wspinaczkę, lecz tym razem schody nie wydawały jej się już tak strome. Nie znalazła go, ale on żył. Wiedział, gdzie ma przyjść, i przyjdzie. Może jutro zaczeka tam i porozmawia z nią.

Tylko co ona powie?

„Cokolwiek, cokolwiek. Byleby z kimś porozmawiać”.

Nucąc cicho hymn, Rachel poszła wolno do swojego sanktuarium.

SIŁY OPUSZCZAŁY SIMONA. Kiedy Nornowie prowadzili go przez dziedziniec śródzamcza, kolana ugięły się pod nim. Nieśmiertelni szli dalej, trzymając go mocno, tak że tylko jego palce wlokły się po ziemi.

Ich milczące, zastygłe twarze upodabniały ich do marmurowych posągów, ożywionych w magiczny sposób; jedynie czarne oczy, które spoglądały czujnie dookoła, świadczyły o tym, że są to żywe istoty. Kiedy wreszcie jeden z nich powiedział coś w syczącym języku Burzowej Góry, Simon był tak zdumiony, jakby co najmniej roześmiały się mury zamku.

Nie wiadomo, co powiedział Norn, lecz jego towarzysz wydawał się z nim zgadzać. Skręcili nieco i nieśli więźnia w kierunku wielkiej twierdzy obejmującej główne budynki Hayholt.

Simon zastanawiał się, dokąd go prowadzą. Chociaż nie miało to większego znaczenia. Marny był z niego szpieg. Najpierw wpadł w łapy Króla, a potem właściwie rzucił się w objęcia Nornów. Teraz musiał ponieść karę za swoją lekkomyślność.

„Tylko co oni zrobią? – Strach pokonał zmęczenie. – Niczego im nie powiem. Nie zdradzę przyjaciół. Nigdy! – Nawet w takim stanie, Simon wiedział, że nie wytrwa w milczeniu, kiedy wróci Pryrates. Binabik miał rację. Okazał się przeklętym głupcem. – Znajdę jakiś sposób, żeby się zabić, jeśli będę musiał”.

Ale czy wolno mu było to zrobić? *Księga Aedona* mówiła, że jest to grzech... a on bał się śmierci, bał się wyruszać w mroczną podróż z własnej woli. I tak pewnie nie będzie miał takiej okazji.

Nornowie odebrali mu nóż, a poza tym wydawało się, że są w stanie bez większego wysiłku powstrzymać go przed wszystkim, czego zechce spróbować.

Z ciemności wyłoniły się ściany twierdzy pokryte wizerunkami mitycznych bestii i tylko nieco lepiej znanych świętych. Drzwi były uchylone; za nimi panował głębszy mrok. Simon szarpnął się, lecz białe palce ściskały go jak żelazne obręcze. Odwrócił z trudem głowę, by po raz ostatni spojrzeć na niebo.

Na północnym niebie między wieżą Pryratesa a Wieżą Zielonego Anioła migotała gniewnie czerwona gwiazda.

SŁABO OŚWIETLONE KORYTARZE ciągnęły się bez końca. Hayholt zawsze nazywano największym domem, lecz Simon dziwił się, jak duży był w rzeczywistości. Wydawało się, że z drugiej strony każdych drzwi pojawiał się nowy korytarz. Noc na zewnątrz nie była tak zimna, lecz tutaj wiało przejmującym chłodem. Simon dostrzegł zaledwie kilka przemykających cieni w końcach korytarzy, cieni, które posiadały głosy i wydawały dziwne dźwięki.

Nornowie wciągnęli go przez drzwi na wąskie schody. Schodzili nimi długo, a Simon pozostawał teraz tak blisko nieśmiertelnych, że wydawało mu się, iż ich zimna skóra, ocierając się o niego, zabiera mu jego własne ciepło. Wreszcie dotarli do jeszcze jednego pustego korytarza i znaleźli się przy następnych schodach.

„Zabierają mnie do tuneli – pomyślał zrozpaczony. – Znowu na dół do tuneli. Och, Boże, znowu w ciemność!”

Zatrzymali się przed ogromnymi dębowymi drzwiami okutymi żelazem. Jeden z Nornów wyjął spod szaty wielki klucz i wsunął go do zamka, a potem otworzył drzwi jednym pchnięciem. Smoliste, duszne powietrze buchnęło na Simona, gryząc go w oczy i nos.

Przez długą chwilę stał oszołomiony. Wreszcie podniósł głowę. Pozbawione wyrazu, czarne oczy Nornów patrzyły na niego. Czy to było więzienie? Czy tylko miejsce, gdzie rzucano ciała ofiar?

Zebrał siły, by się odezwać.

– Jeśli chcecie, żebym tam zszedł, to musicie mnie do tego zmusić. – Napiął mięśnie.

Jeden z Nornów popchnął go. Simon chwycił się drzwi i przez moment chwiał się na progu, lecz zaraz stracił równowagę i opadł w pustkę.

Tam nie było podłogi.

Chwilę później zorientował się, że tam jest podłoga, lecz kilka łokci poniżej drzwi. Upadł na kamień i potoczył się w bok, krzycząc z bólu i zaskoczenia. Leżał, oddychając ciężko, wpatrzony w skaczące na suficie płomienie. Sufit był zdumiewająco wysoki. Skądś dochodziły dziwne, syczące odgłosy. Klucz zazgrzytał w zamku.

Simon przewrócił się na brzuch i stwierdził, że nie jest tam sam. Niedaleko od niego stało kilka dziwnie ubranych postaci; jeśli byli to ludzie, to ich twarze pozostawały prawie całkowicie niewidoczne pod brudnymi gałganami. Postacie stały nieruchomo wpatrzone w niego. Simon pomyślał, że jeśli oni zajmowali się torturami, to chyba zmęczyli się swoją pracą.

Za nimi widać było ogromną pieczarę, która bardziej nadawała się dla zwierząt niż dla ludzi. Pod ścianą leżało kilka postrzępionych kocy; przypominały puste gniazda. Koryto z wodą wydawało się wypełnione roztopionym metalem. Z tyłu pieczary nie było ściany – jak można było oczekiwać w więzieniu – a prowadziła ona do jeszcze większego pomieszczenia wypełnionego migocącym blaskiem. Gdzieś w głębi rozległ się bolesny okrzyk.

Przyglądał się zdumiony. Czy dostał się już na samo dno, do Piekła? A może Nornowie wybudowali własne, żeby torturować aedonickich więźniów?

Nagle nieruchome dotąd postacie rozbiegły się szybko pod ściany. Simon ujrzał w ogromnej dziurze przerażająco znajomą sylwetkę. Natychmiast skoczył w bok i wcisnął się w ciemny kąt, przykrywając się aż po oczy śmierdzącym kocem.

Pryrates stał odwrócony do Simona tyłem i krzyczał coś do kogoś; głowa alchemika odbijała blask ognia. Potem odwrócił się i ruszył do przodu, chrzęszcząc butami na luźnych kamieniach. Przeszedłszy przez pieczarę, wspiął się po schodach i pchnął dłonią drzwi. Otworzyły się natychmiast i zaraz zamknęły z trzaskiem.

Wcześniej Simon uważał, że już nic nie będzie w stanie go zadziwić, ale teraz siedział z szeroko otwartymi ustami. Co robił tutaj Pryrates, skoro powiedział, że jedzie do Wentmouth? Nawet Król był o tym przekonany. Dlaczego alchemik miałby oszukiwać swojego pana?

„A przede wszystkim, gdzie jest to «tutaj»?”

Simon usłyszał jakiś dźwięk. Jedna z opatulonych w łachmany postaci zbliżała się do niego, poruszając się zmęczonym krokiem starca. Człowiek – bez wątpienia oczy widoczne ponad szmatą były ludzkie – zatrzymał się przed Simonem i patrzył na niego przez chwilę. Powiedział coś, lecz Simon nie zrozumiał.

– Co?

Mężczyzna uniósł dłoń i zsunął z twarzy zesztywniały gałgan. Był straszliwie wychudzony i miał szare bokobrody, lecz w jego twarzy było coś, co pozwalało sądzić, że jest młodszy, niż się wydaje.

– Tym razem dopisało szczęście, co? – powiedział obcy.

– Szczęście? – odparł Simon zdumiony. Czy Nornowie uwięzili go z wariatami?

– Duchowny. Szczęście, że tym razem ma co innego do roboty. Że nie będzie więcej... więcej zadań dla więźniów.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Simon wstał, czując bolące miejsca po ostatnim upadku.

– Ty... nie jesteś z odlewni – powiedział obcy, przyglądając mu się uważnie. – Jesteś brudny, ale nie osmolony.

– Złapali mnie Nornowie – wyjaśnił Simon po chwili wahania. Nie miał powodu, żeby zaufać obcemu, ale nie widział też powodu, by tego nie zrobić. – Białe Lisy – poprawił się, kiedy mężczyzna nic nie odpowiedział.

– Ach, te diabły. – Obcy zrobił szybko znak Drzewa. – Czasem ich widujemy. Okropne istoty. – Zmierzył Simona wzrokiem i przysunął się bliżej. – Nie mów nikomu, że nie jesteś z odlewni – szepnął. – Chodź tutaj.

Poprowadził Simona w głąb pieczary. Pozostali spojrzeli na nich przelotnie, lecz nie okazywali większego zainteresowania. Ich spojrzenia były puste.

Mężczyzna sięgnął pod koce i wydobył spod nich brudną, podartą koszulę i maskę przeciw dymowi.

– Weź to, należały do starego Kulasa, ale jemu nie będą już potrzebne. Będziesz wyglądał tak jak inni.

– Czy tak będzie dobrze? – Simon wciąż jeszcze nie mógł pozbierać myśli. Zdaje się, że był w odlewni. Ale dlaczego? Czy to jedyna kara za jego szpiegowanie, praca w zamkowej odlewni? Byłaby to zdumiewająco lekka kara.

– Jeśli nie chcesz dać się zagonić na śmierć – powiedział mężczyzna i zaczął kaszleć długim i suchym kaszlem. Dopiero po długiej chwili znowu odzyskał głos. – Jeśli Doktor zobaczy, że jesteś nowy – wysapał – zmusi cię do pracy. I do innych rzeczy. Zły człowiek. – Jego słowa brzmiały bardzo przekonująco. – Uważaj, żeby cię nie zauważył.

Simon spojrzał na podarte ubranie.

– Dziękuję. A jak ty się nazywasz?

– Stanhelm. – Mężczyzna znowu zakasłał. – Innym też nie mów, że jesteś nowy, bo zaraz polecą do Doktora. Powiedz, że pracowałeś przy kubłach z rudą. Tamci śpią po drugiej stronie, ale Białe Lisy i żołnierze wrzucają wszystkich zbiegów tymi drzwiami. – Zamilkł na moment. –

Mało nas zostało do pracy. Dlatego przywlekli cię z powrotem, a nie zabili. Jak się nazywasz, chłopcze?

– Seoman. – Simon rozejrzał się. Pozostali pracownicy siedzieli w milczeniu. Większość z nich leżała skulona na kocach z zamkniętymi oczami. – Kto to jest Doktor? – Przez chwilę wstąpiła w niego szalona nadzieja, ale przecież Morgenes, nawet gdyby przeżył pożar, nigdy nie stałby się kimś, kogo baliby się inni.

– Niedługo go zobaczysz – powiedział Stanhelm. – Nie śpiesz się.

Simon owinął gałgan wokół twarzy. Cuchnął brudem, dymem i czymś jeszcze i niełatwo było przez niego oddychać. Powiedział o tym Stanhelmowi.

– Musisz pamiętać, żeby był wilgotny. Podziękuj Zbawcy, że masz choć to. Inaczej ogień spaliłby ci wnętrzności. – Stanhelm wskazał czarnym palcem na koszulę. – Ją też włóż. – Spojrzał ukradkiem przez ramię na swoich towarzyszy.

Simon zrozumiał. W koszuli nie będzie się niczym wyróżniał. Wszyscy tutaj byli pokurczeni i nie chcieli zwracać niczyjej uwagi.

Gdy tylko przełożył koszulę przez głowę, u wejścia do pieczary pojawił się ogromny cień. W pierwszej chwili Simon pomyślał, że to któryś z olbrzymów dostał się do podziemi.

Ogromna głowa kołysała się z boku na bok. Na masce okaleczonej twarzy pojawił się grymas złości.

– No, szczury, dość spania – warknął przybysz. – Do roboty. Duchowny chce, żeby wszystko skończyć.

Simon podziękował Usiresowi za dar łachmanów, który pozwolił mu stać się jednym z bezimiennych więźniów. Widok tego jednookiego potwora wywołał w nim jednak kolejną falę strachu.

„Matko Miłosierna. Oddali mnie do Incha”.

45. Przebiegły jak Czas

CZY MYŚLISZ, ŻE SIMON JEST gdzieś tutaj na dole?

Binabik podniósł wzrok znad suszonej baraniny, którą dzielił na małe kawałki. Był to poranny posiłek, jeśli w ogóle istniało coś takiego jak rano w miejscu pozbawionym słońca i nieba.

– Nawet jeśli tak jest – powiedział – to chyba mamy małe szanse, żeby go znaleźć. Przykro mi, Miriamele, ale te korytarze ciągną się całymi milami.

Simon wędrujący samotnie w ciemności. Tak bolesna była ta myśl; a ona była dla niego tak okrutna!

Chcąc choć na chwilę przestać o tym myśleć, spytała:

– Czy rzeczywiście wszystko to zbudowali Sithowie? – Ściany wznosiły się wysoko, ale światło pochodni ukazywało tylko ich część. Nad ich głowami wisiał dach z całkowitej ciemności; gdyby nie brak gwiazd i wiatru, mogliby pomyśleć, że siedzą pod gołym niebem.

– Niezupełnie sami. Pomagali im ich kuzyni. Czytałem o tym. W rzeczywistości to oni zrobili mapy, które ty skopiowałaś. Inni nieśmiertelni, mistrzowie kamienia i ziemi. Eolair mówił, że niektórzy wciąż jeszcze mieszkają w podziemiach Hernystiru.

– Ale kto mógłby tutaj mieszkać? – zastanawiała się. – Nigdy nie widać dnia...

– Nie rozumiesz. – Troll się uśmiechnął. – Asu’a był pełen światła. Zamek, w którym mieszkałaś, został wzniesiony na wielkim domu Sithów. Asu’a został pogrzebany po to, żeby mógł się narodzić Hayholt.

– Ale on nie pozostanie pogrzebany – rzuciła ponuro Miriamele.

Binabik przytaknął jej.

– My, trolle, wierzymy, że dusza zamordowanego człowieka nie może spocząć i pozostaje w ciele zwierzęcia. Czasem podąża ona za tym, który zabił tego człowieka, a czasem zostaje w miejscu, które kochała najbardziej. W każdym razie nie może ona spocząć, dopóki prawda nie wyjdzie na jaw i zbrodnia nie zostanie ukarana.

Miriamele pomyślała o duszach wszystkich zamordowanych Sithów i zadrżała. Odkąd zeszli do tuneli pod katedrą, słyszała kilkakrotnie dość dziwne echo.

– Nie mogą spocząć.

Binabik spojrzał na nią.

– Tutaj jest coś więcej niż tylko niespokojne dusze, Miriamele.

– Tak, ale to, czym... – zniżyła głos – czym jest Król Burz... Zamordowaną duszą, która szuka zemsty.

Troll wydawał się zakłopotany.

– Nie chciałbym mówić o takich rzeczach tutaj. A poza tym to on sam sprowadził na siebie śmierć, pamiętaj.

– Ponieważ Rimmersmeni otoczyli go i zamierzali go zabić.

– Rzeczywiście – przyznał Binabik. – Ale dość już, Miriamele. Nie wiem, co tutaj może być i czyje uszy mogą nas słuchać, lecz myślę, że im mniej będziemy o takich rzeczach mówili, tym będzie nam lepiej.

Miriamele kiwnęła głową na znak zgody. Teraz sama żałowała, że zaczęła mówić. Po trwającej już ponad dzień wędrówce wśród

podziemnych cieni myśl o żyjącym ciągle wrogu i tak była dość blisko.

Pierwszej nocy nie zapuszczali się głęboko w tunele.

Katakumby pod katedrą Świętego Sutrina rozszerzały się stopniowo i schodziły coraz niżej w głąb ziemi. Po pierwszej godzinie Miriamele miała wrażenie, że zeszli może nawet poniżej dna znanego ze swojej niezbadanej głębi Kynslagh. Niebawem znaleźli dość wygodne miejsce, by odpocząć i się posilić. Kiedy usiedli, zdali sobie sprawę, jak bardzo są zmęczeni, więc rozłożyli swoje płaszcze i zasnęli. Po obudzeniu się Binabik ponownie zapalił ich pochodnie od swojego ognika – był to mały gliniany dzbaneczek, w którym trollowi udawało się w jakiś sposób utrzymać tlącą się iskrę. Potem popili wodą odrobinę chleba i suszonych owoców i wyruszyli dalej.

Tego dnia wciąż szli kolejnymi krętymi ścieżkami. Starali się utrzymać ogólny kierunek, który wynikał z mapy, lecz korytarze były bardzo kręte i często mylące; trudno było mieć pewność, że wybrali słuszną drogę. Choć nie wiedzieli dokładnie, gdzie się znajdują, to jedno było pewne: zostawili za sobą świat ludzi. Zeszli do Asu’a – w pewnym sensie zatoczyli koło w przeszłość. Miriamele próbowała odegnać liczne myśli, które nie pozwalały jej zasnąć. Kto mógł przypuszczać, że świat zawiera w sobie tyle tajemnic?

TEN RANEK TAKŻE WPRAWIŁ JĄ w zdumienie. Jako królewska córka widziała niejedno, wiele spośród największych pomników Osten Ard – od Sancellan Aedonitis po Pływający Zamek na Warinsten, lecz nawet najwięksi śmiertelni budowniczowie byli tylko skromnymi rzemieślnikami w porównaniu z umysłami, które stworzyły ten dziwny podziemny zamek.

Czas i osypujące się kamienie w dużym stopniu zamieniły Asu’a w gruzy, lecz pozostało na tyle dużo, by się zorientować, jak niezrównana

była to budowla. Przewyższała nawet ruiny Da’ai Chikiza, które wydawały jej się czymś niedoścignionym. Pozbawione jakiegokolwiek podparcia schody pięły się w górę i ginęły w ciemności niczym skręcone na wietrze proporce. Ściany wyginały się łukami ku górze, by rozwinąć się w bajecznie kolorowe wachlarze, albo zwijały się do środka w falujących fałdach; wszystkie żyły życiem wyrzeźbionych na nich zwierząt i roślin. Wydawało się, że budowniczowie tego miejsca rozciągali kamień niczym roztopione szkło i rzeźbili w nim jak w wosku.

Z komnaty do komnaty biegł strumień, którego koryto wypełniał teraz skruszony kamień, a którego brzegi łączyły delikatnie rzeźbione mosty. Z sufitu zwisały rzeźbione pnącza, zdobione ogromnymi kinkietami w kształcie ogromnych kwiatów o fantastycznych wzorach. Miriamele żałowała, że nie widziała ich w pełni oświetlonych. Sądząc po okruchach kolorów, jakie pozostały w zagłębieniach kamieni, pałac był ogrodem kolorów i odcieni nieomal wykraczających poza ludzką wyobraźnię.

Wprawdzie kolejne komnaty wprawiały ją w coraz większe zdumienie, jednak było też w nich coś, co przyprawiało ją o dreszcz. Pomimo całej swej urody niewątpliwie zostały one wybudowane dla mieszkańców, którzy inaczej patrzyli na świat; kąty były dziwne, ułożenie elementów niepokojące. Niektóre wysokie komnaty wydawały się zbyt obszerne dla swojego wystroju, za to inne aż raziły bliskością i nagromadzeniem elementów, które mogła podziwiać zaledwie jedna osoba. Co dziwniejsze, ruiny sithijskiego zamku nie sprawiały wrażenia zupełnie martwych. Nie dość, że wciąż rozbrzmiewały dziwne odgłosy, mogące być głosami oraz efektem ruchów powietrza w zamku, który powinien być bezwietrzny, to jeszcze Miriamele wszędzie widziała złudne migotanie, strzępy ruchu dostrzegane kątem oka; nic jednak nie wydawało się prawdziwe. Miriamele

pomyślała, że mogłaby zamrugać i ujrzałaby Asu’a w swojej dawnej świetności albo równie dobrze jaskinię o gołych ścianach.

BOGA TUTAJ NIE MA.

– Co ty mówisz? – spytał Binabik.

Skończywszy posiłek, wyruszyli na dalsze poszukiwania. Szli teraz długą galerią o wysokich ścianach przez most, który mknął ponad pustką niby smuga strzały. Światło pochodni nie potrafiło przeniknąć ciemności pod nimi.

Podniosła wzrok zawstydzona.

– Nie jestem pewna. Powiedziałam: „Boga tutaj nie ma”.

– Nie podoba ci się to miejsce? – Binabik błysnął żółtymi zębami w uśmiechu. – Ja też się boję tych cieni.

– Nie, to znaczy, tak, boję się. Ale nie o to mi chodziło. – Podniosła pochodnię wyżej, przyglądając się kolejnym rzeźbom na ścianie. – Ludzie, którzy tutaj żyli, byli zupełnie różni od nas. Oni nie myśleli o nas. Trudno mi uwierzyć, że to ten sam świat, który ja znam. Nauczono mnie, że Bóg jest wszędzie, że wszystko widzi. – Pokręciła głową. – Trudno mi to wytłumaczyć. Wydaje się, że to miejsce pozostaje poza zasięgiem spojrzenia Boga. Tak jakby to miejsce nie widziało Jego, więc i On nie widzi tego miejsca.

– Czy przez to bardziej się boisz?

– Chyba tak. Wydaje mi się, że to, co się tutaj dzieje, nie ma wiele wspólnego z tym, czego mnie uczono.

Binabik pokiwał głową. W żółtym świetle latarni nie przypominał dziecka, jak to się często zdarzało. Teraz jego okrągła głowa obrysowana cieniem emanowała powagą.

– Niektórzy powiedzieliby, że to, co się dzieje, jest właśnie tym, o czym mówi Kościół: walką dobra i zła.

– Tak, ale to nie może być tak proste – odparła z naciskiem. – A Ineluki, czy on był dobry? Czy zły? Chciał zrobić coś, co było dobre dla jego ludu. Nie wiem.

Binabik zatrzymał się i wziął ją za rękę.

– Twoje pytania są mądre, a ja nie uważam, że powinniśmy nienawidzić... naszego wroga. Ale, proszę, nie wymawiaj jego imienia. – Uścisnął mocniej jej dłoń. – I bądź pewna jednego: czymkolwiek był kiedyś, teraz jest niebezpieczną istotą, bardziej niebezpieczną, niż możesz to sobie wyobrazić. Nie zapominaj o tym! Jestem pewien, że pragnie zabić nas i wszystkich tych, których kochamy.

„A mój ojciec? – zastanawiała się. – Czy on jest teraz tylko wrogiem? Co będzie, jeśli uda mi się w jakiś sposób dotrzeć do niego i nie znajdę tam niczego, co kiedyś kochałam? To będzie jak śmierć. Wtedy będzie mi wszystko jedno, co się ze mną stanie”.

I wtedy przyszło jej to do głowy. Nie chodziło o to, że Bóg nie patrzy, ale że nikt nie miał zamiaru powiedzieć jej, co jest złe, a co dobre. Nie mogła nawet pozwolić sobie na komfort zrobienia czegoś, dlatego że ktoś jej tego zakazał. Wszelkie decyzje musiała podejmować sama, a potem ponosić ich konsekwencje.

Jeszcze chwilę trzymała dłoń Binabika, a potem poszli dalej. Przynajmniej miała przy sobie przyjaciela. Jak by to było, gdyby znalazła się sama w takim miejscu?

PO TRZECIEJ NOCY SPĘDZONEJ W RUINACH ASU’A nawet ich wspaniałość nie była w stanie przyciągnąć uwagi Miriamele. Ciemne korytarze wydawały się emanować wspomnieniami; pojawiały się nieważne

obrazy z dzieciństwa spędzonego w Meremundzie, dni uwięzienia w roli księżniczki w Hayholt. Czuła się zawieszona między przeszłością Sithów i własną.

Znaleźli szerokie schody z balustradą w kształcie różanego żywopłotu, które prowadziły do góry. Miriamele dostrzegła iskierkę nadziei, kiedy Binabik sprawdził na mapie, że znajdują się one na ich drodze. Wreszcie pójdą do góry!

Godzinna wspinaczka po – jak się zdawało – niekończących się schodach ochłodziła jednak nawet i tę radość; jej głowę znowu wypełniła plątanina myśli.

„Simon odszedł, a ja nigdy nie miałam okazji... naprawdę z nim porozmawiać. Czy ja go kochałam? I tak nic by z tego nie wyszło, jak mogłabym go jeszcze obchodzić po tym, co mu powiedziałam o Aspitisie? Może moglibyśmy pozostać przyjaciółmi. Ale czy ja go kochałam? – Spojrzała na swoje stopy i na stopnie, które płynęły pod nią jak powolny strumień. – Teraz nie ma się już co zastanawiać... ale chyba go kochałam. – Kiedy to pomyślała, poczuła, że wzbiera w niej coś ogromnego, nieokreślonego, smutek, który w każdej chwili mógł przemienić się w szaleństwo. Starała się to wyrzucić z siebie, przestraszona mocą uczucia. – Ach, Boże, czy życie tylko na tym polega? Żeby mieć coś cennego i zrozumieć to dopiero wtedy, gdy jest już za późno?”

Nieomal wpadła na Binabika, który zatrzymał się nagle tuż przed nią; jego głowa znalazła się na wysokości jej uszu. Troll przyłożył palec do ust, dając jej znak, by milczała.

Minęli właśnie podest, z którego prowadziło do bocznych korytarzy kilka łukowatych przejść, i początkowo Miriamele sądziła, że odgłos dochodzi z któregoś z nich, lecz Binabik wskazał w górę na schody. Mówił jej wyraźnie, że jest na nich ktoś jeszcze.

Natychmiast zapomniała o swoich rozmyślaniach. Kto mógłby chodzić po tych martwych korytarzach? Simon? Nie mogła w to uwierzyć. Ale kto inny błąkałby się po świecie cieni? Niespokojni zmarli?

Binabik szybko rozłożył swój kij, w którym nosił nóż. Miriamele pomacała własny nóż, kiedy kroki wyraźnie się przybliżyły. Binabik zdjął z ramienia torbę i położył ją na kamiennej podłodze obok Miriamele.

Jakaś postać wyszła wolno, ale pewnie z cienia schodów i znalazła się w kręgu światła pochodni. Miriamele czuła, jak mocno bije jej serce. Był to mężczyzna, którego nigdy dotąd nie widziała. Jego oczy patrzyły z głębi kaptura, wytrzeszczone zdumieniem lub strachem, lecz usta wykrzywiał dziwny grymas uśmiechu.

Binabik wciągnął głęboko powietrze.

– Hengfisk!

– Znasz go? – Nawet dla samej Miriamele jej głos zabrzmiał niezwykle przenikliwie niczym drżący pisk przestraszonej dziewczynki.

Troll trzymał przed sobą nóż, tak jak duchowny trzyma święte Drzewo.

– Czego chcesz, Rimmersmanie? – spytał. – Zgubiłeś się?

Uśmiechający się mężczyzna nic nie odpowiedział, a tylko rozłożył szeroko ramiona i zszedł o stopień niżej. W jego postaci było coś przeraźliwie, lecz nieuchwytnie złego.

– Odejdź! – zawołała. Odruchowo cofnęła się o krok w kierunku jednych z drzwi. – Binabiku, kim on jest?

– Wiem, kim był – powiedział troll, nie opuszczając noża. – Ale chyba zamienił się w kogoś innego...

Binabik nie zdążył dokończyć, gdy mężczyzna skoczył w dół niespodziewanie szybko. W mgnieniu oka dopadł trolla i jedną ręką chwycił go za nadgarstek ręki, w której Binabik trzymał nóż, a drugim ramieniem mocno go owinął. Przez moment zmagali się, a potem upadli na

podłogę i potoczyli ku schodom. Pochodnia Binabika poleciała jeszcze niżej. Troll mruczał i chrząkał z wysiłku, lecz jego przeciwnik milczał.

Miriamele patrzyła zdumiona, gdy nagle z ocienionego wejścia wysunęło się kilkanaście rąk, które owinęły się wokół niej, chwytając ją za ręce i obejmując w pasie; czuła na skórze palce, szorstkie, a jednak jakby nierealne. Jej pochodnia także upadła na podłogę. Zanim nabrała powietrza, by krzyknąć, coś opadło na jej głowę, pogrążając ją w ciemności. Poczuła słodkawy zapach i osunęła się na podłogę; niedokończone pytania rozwiewały się, wszystko zanikało.

DLACZEGO NIE USIĄDZIESZ OBOK MNIE? – spytała Nessalanta. Jej słowa zabrzmiały jak wyrzut zepsutego dziecka, któremu odmówiono czegoś dobrego. – Od wielu dni nie rozmawialiśmy ze sobą.

Benigaris odwrócił się od poręczy otaczającej ogród na dachu. Poniżej płonęły pierwsze wieczorne ogniska. Wielki Nabban migotał w lawendowym zmierzchu.

– Byłem zajęty, matko. Może nie zwróciłaś na to uwagi, ale prowadzimy wojnę.

– Wcześniej też je prowadziliśmy – odparła beztrosko. – Miłościwy Boże, takie rzeczy wciąż się zdarzają, Benigarisie. Chciałeś panować. Musisz dorosnąć i pogodzić się z ciężarami, które się z tym wiążą.

– Dorosnąć, tak? – Benigaris zacisnął mocno pięści. – To ty jesteś dzieckiem, matko. Czy nie widzisz, co się dzieje? Tydzień temu straciliśmy przełęcz Onestrine. Dzisiaj dowiedziałem się, że Aspitis Preves wziął nogi za pas i oddał prowincję Eadne! A niech cię, przegrywamy tę wojnę! Gdybym sam wyruszył, zamiast posyłać tego idiotę, mojego brata!

– Ani słowa przeciwko Varellanowi – warknęła Nessalanta. – Czy to jego wina, że legion, którym dowodził, pełen był przesądnych wieśniaków,

którzy wierzą w duchy?

Benigaris patrzył na nią długo; w jego spojrzeniu nie było miłości.

– To jest Camaris – powiedział cicho.

– Co?

– To jest Camaris, matko. Możesz sobie mówić, co chcesz, ale ja rozmawiałem z tymi, którzy byli na polu walki. Jeśli to nie jest on, to może być tylko jeden z bogów wojny naszych przodków, który powrócił na ziemię.

– Camaris nie żyje – prychnęła.

– Czyżby wymknął się z pułapki, którą na niego zastawiłaś? – Benigaris podszedł bliżej. – Czy w ten sposób mój ojciec został księciem Nabbanu? Ponieważ ty ukartowałaś śmierć Camarisa? Jeśli tak, to nie udało ci się. Pewnie choć raz wybrałaś złe narzędzie.

Twarz Nessalanty wykrzywił grymas wściekłości.

– W tym kraju nie ma narzędzi dość ostrych, by służyć mej woli. Już ja to wiem! – Patrzyła mu prosto w oczy. – Wszystkie są tępe, słabe. Błogosławiony Odkupicielu, gdybym tylko urodziła się mężczyzną, wtedy nic takiego nie miałoby miejsca! Nie musielibyśmy się kłaniać jakiemuś królowi z Północy, który siedzi na kościanym tronie.

– Matko, oszczędź mi swoich marzeń o chwale. Co przygotowałaś dla Camarisa? Przeżył, cokolwiek to było.

– Nic dla niego nie przygotowałam. – Księżna wdowa poprawiła suknię i ciągnęła już spokojniejszym tonem. – Przyznaję, że nie rozpaczałam, kiedy wpadł do oceanu. Pomimo swej siły był najsłabszy ze wszystkich. Nie nadawał się na władcę. Ale nie miałam z tym nic wspólnego.

– Prawie ci wierzę, matko. Prawie. – Benigaris uśmiechnął się. Odwrócił się i dostrzegł jednego ze swoich dworzan, który stał w drzwiach, spoglądając w jego stronę lękliwie. – Czego chcesz?

– Pa...panie, wielu pyta o ciebie. Prosiłeś, żeby ci powiedzieć...

– Tak, tak. Kto czeka?

– Przede wszystkim Niska. Jest przed salą audiencyjną.

– Czy nie mam dość innych zmartwień? Czy nie widzi, co się dzieje? Czego on właściwie chce?

Dworzanin potrząsnął głową. Długie pióro w jego czapce zakołysało się przed jego twarzą, poruszone wieczorną bryzą.

– On chce mówić tylko z tobą, książę Benigarisie.

– A zatem będzie tam siedział, aż wyschnie i padnie. Nie mam czasu wysłuchiwać tych bzdur. – Odwrócił się i spojrzał ponad światłami miasta. – Kto jeszcze?

– Kolejny posłaniec od hrabiego Streawe’a.

– Ach. – Benigaris pociągnął za wąsy. – Tak jak się spodziewałem. Niech to wino dojrzeje jeszcze trochę. Kto jeszcze?

– Astrolog Xannasavin, panie.

– Wreszcie się pojawił. Pewnie bardzo skruszony tym, że kazał księciu czekać. – Benigaris skinął głową powoli. – Przyślij go na górę.

– Xannasavin jest tutaj? – Nessalanta uśmiechnęła się. – Z pewnością powie nam coś wspaniałego. Zobaczysz, Benigarisie, przyniesie nam dobre wieści.

– Nie wątpię.

Po chwili zjawił się Xannasavin. Jakby nie chcąc zwracać uwagi na swój wzrost, astrolog klęknął powoli.

– Książę Benigarisie, księżno Nessalanto. Błagam o wybaczenie. Przybyłem, gdy tylko otrzymałem wiadomość.

Benigaris oparł się o poręcz.

– Matka ma rację; brakowało cię w pałacu.

Astrolog wstał i usiadł obok Nessalanty.

– Proszę o wybaczenie. Stwierdziłem, że czasem dobrze jest usunąć się od splendorów dworskiego życia. W odosobnieniu łatwiej usłyszeć to, co gwiazdy mają nam do powiedzenia.

– Aha. To dlatego widziano cię na targu, jak targowałeś się z handlarzem koni. – Książę pokiwał głową, jakby usłyszał rozwiązanie niezwykle trudnej zagadki.

Xannasavin drgnął.

– Tak, mój panie. Pomyślałem, że jazda konna pod nocnym niebem może okazać się pomocna. Twój dwór obfituje w tyle miłych rozrywek, a nadeszły ważne czasy. Chciałem, aby mój umysł był jasny, żebym lepiej mógł ci służyć.

– Podejdź tutaj – powiedział Benigaris.

Astrolog wstał, wygładzając fałdy ciemnej szaty, i stanął obok księcia.

– Co widzisz na niebie?

Xannasavin wytężył wzrok.

– Ach, wiele rzeczy, mój panie. Lecz jeśli chcesz, bym teraz czytał z gwiazd, to lepiej pójdę do mej komnaty po mapy...

– Ale kiedy byłeś tutaj ostatnim razem, niebo pełne było pomyślnej przyszłości! Wtedy nie potrzebowałeś żadnych map!

– Ale studiowałem je długo, zanim tutaj przyszedłem, mój...

Benigaris objął ramieniem astrologa.

– A co z wielkimi zwycięstwami Rodu Zimorodka?

Xannasavin skurczył się.

– Nadchodzą, panie. Spójrz w niebo. – Wskazał na północ. – Czy nie to przepowiedziałem? Spójrz, Gwiazda Zdobywcy!

Benigaris odwrócił się i popatrzył za palcem Xannasavina.

– Ten mały czerwony punkcik?

– Wkrótce niebo zapłonie od niego, książę Benigarisie.

– On rzeczywiście przepowiedział, że ta gwiazda pojawi się na niebie, Benigarisie – zawołała Nessalanta ze swojego miejsca. Wydawała się niezadowolona z tego, że pozostała sama. – Jestem pewna, że sprawdzi się wszystko inne, co przepowiedział.

– Jestem tego pewien. – Benigaris wpatrywał się w ognisty punkt na niebie. – Śmierć imperiów. Wielkie czyny rodu Benidrivinów.

– Widzę, że pamiętasz, panie! – Xannasavin uśmiechnął się. – Rzeczy, które cię martwią, są tylko przejściowe. Pod wielkim kołem niebios są jak muśnięcie trawy przez wiatr.

– Być może. – Książę wciąż obejmował przyjaźnie astrologa. – Ale ja martwię się o ciebie, Xannasavinie.

– Panie, jesteś zbyt łaskawy, poświęcając chwilę mojej skromnej osobie w czasach tak trudnych. Co cię martwi, książę Benigarisie?

– Myślę, że za dużo patrzysz w niebo. Musisz spojrzeć też na ziemię. – Książę wskazał na płonące na ulicach latarnie. – Kiedy wpatrujesz się w coś zbyt długo, tracisz z pola widzenia inne rzeczy, nie mniej ważne. Na przykład, Xannasavinie, gwiazdy powiedziały ci, że ród Benidrivinów okryje się chwałą, lecz nie słuchałeś uważnie plotek na targu o tym, że lord Camaris, brat mojego ojca, prowadzi całą armię przeciwko Nabbanowi. A może właśnie słuchałeś ich uważnie i stąd ten pomysł, żeby trochę pojeździć konno?

– Pa...panie, źle mnie oceniasz.

– Ponieważ Camaris jest najstarszym spadkobiercą rodu Benidrivinów, więc chwała, o której wspominałeś, mogłaby równie dobrze okazać się jego chwałą, czy nie tak?

– Och, panie, nie sądzę!

– Przestań, Benigarisie – odezwała się stanowczo Nessalanta. – Przestań już straszyć biednego Xannasavina. Chodźcie, usiądziemy razem i napijemy się wina.

– Ja mu tylko chcę pomóc, matko. – Benigaris znowu odwrócił się do astrologa. Książę uśmiechał się, lecz jego policzki płonęły. – Jak już mówiłem, za dużo patrzysz w gwiazdy, a za mało interesujesz się bardziej przyziemnymi sprawami.

– Mój panie...

– Mam na to lekarstwo. – Benigaris pochylił się gwałtownie i objął Xannasavina wpół. Potem wyprostował się, chrząkając z wysiłku; astrolog zakołysał się nad ziemią.

– Nie, książę Benigarisie, nie!

– Przestań! – krzyknęła Nessalanta.

– Idź do diabła. – Benigaris podniósł astrologa wyżej.

Xannasavin przetoczył się przez poręcz i machając rękoma w powietrzu, wyleciał w ciemność. Minęła długa chwila, zanim z dziedzińca dobiegło mokre plaśnięcie.

– Jak... jak śmiesz? – wybąkała Nessalanta, wytrzeszczając oczy.

Benigaris odwrócił się w jej stronę i zmierzył ją wściekłym spojrzeniem. Po jego czole płynęła strużka krwi: astrolog wyrwał mu kępkę włosów.

– Zamknij się – warknął. – Ciebie też powinienem zrzucić, stara wilczyco. Przegrywamy wojnę: przegrywamy! Może cię to nie obchodzi, ale teraz już nie jesteś tak bezpieczna, jak ci się wydaje. Pewnie bladolicy Josua nie pozwoli swoim ludziom gwałcić kobiet i zabijać więźniów, ale ludzie na targu, którzy opowiadają o tym, co się stało z moim ojcem, wiedzą, że jesteś tak samo winna jak ja. – Otarł krew z czoła. – Nie, nie muszę robić tego sam. Z pewnością znajdzie się wielu, którzy już ostrzą

noże i czekają z przedstawieniem, dopóki Camaris nie wjedzie do miasta. – Uśmiech Benigarisa był pełen złości. – Czy myślisz, że pałacowa gwardia będzie narażała swoje życie dla ciebie, kiedy wiadomo już, że wszystko stracone? Oni są tacy sami jak wieśniacy, matko. Żyją swoim życiem i nie obchodzi ich, kto siedzi na tronie. Głupia. – Wpatrywał się w nią, zaciskając szczęki i pięści.

Księżna wdowa skuliła się na swoim krześle.

– Co zamierzasz? – jęknęła.

Benigaris wyrzucił w górę ramiona.

– A niech cię, zamierzam walczyć. Mogę być mordercą, ale będę bronił tego, co już mam, dopóki nie wyrwą mi tego z martwych dłoni. – Ruszył w stronę drzwi, lecz jeszcze raz się odwrócił. – Nie chcę cię już widzieć, matko. Nie obchodzi mnie, dokąd pójdziesz i co zrobisz... ale nie chcę cię widzieć.

Przeszedł przez próg i zniknął za drzwiami.

– Benigarisie! – krzyknęła rozpaczliwie. – Benigarisie, wracaj!

MNICH ZACISNĄŁ PALCE JEDNEJ DŁONI na gardle Binabika, drugą zaś chwycił rękę, w której troll trzymał nóż, i przybliżał ją do jego twarzy.

– Dlaczego... jesteś...? – Palce zaciskały się coraz mocniej. Czuł tuż nad sobą rozgorączkowaną twarz mnicha.

Binabik wygiął się mocno i szarpnął. Na krótką chwilę mnich zwolnił nieco uścisk. Korzystając z momentu wolności, Binabik odepchnął się od krawędzi schodów, powodując, że obaj stoczyli się w dół. Kiedy się zatrzymali, Binabik znalazł się na górze. Troll pochylił się do przodu i całym ciałem napierał na nóż, lecz Hengfisk powstrzymywał go jedną ręką. Mnich był chudy, ale za to niemal dwukrotnie większy od trolla;

jedynie dziwnie nieregularne ruchy powstrzymywały go przed ostatecznym zwycięstwem.

Hengfisk ponownie przysunął palce do gardła Binabika. Troll spróbował odepchnąć jego dłoń szczęką, lecz uścisk mnicha był zbyt silny.

– Miriamele! – krzyknął. – Miriamele!

Nikt nie odpowiadał. Troll zaczynał się dusić. Nie mógł zbliżyć noża do nieustannie uśmiechniętej twarzy mnicha ani strącić jego dłoni ze swojego gardła. Mnich uniósł kolana i ścisnął nimi Binabika w pasie, tak by troll nie mógł się wyswobodzić.

Binabik odwrócił głowę i ugryzł mnicha w nadgarstek. Przez chwilę palce na jego szyi zacisnęły się jeszcze mocniej, a potem jego zęby przecięły skórę i mięsień; gorąca krew trysnęła mu na twarz.

Hengfisk nie krzyknął – jego twarz nawet nie drgnęła – lecz nagle skręcił ciało, zrzucając trolla na bok. Nóż Binabika wypadł mu z dłoni, lecz troll musiał uważać, żeby nie spaść niżej w ciemności. Przez moment trwał nieruchomo, oparty dłońmi o kamienny stopień, z nogami wiszącymi poza jego krawędź, a potem podciągnął się do przodu, starając się sięgnąć po nóż. Nóż leżał tuż obok Hengfiska, który przyczaił się pod ścianą, nie spuszczając oczu z Binabika.

Teraz jednak grymas uśmiechu zniknął z jego twarzy.

– *Vad...?* – Głos Hengfiska załamał się. Rozglądał się na boki, w górę i w dół, jakby nagle znalazł się w innym miejscu. Kiedy jego wzrok znowu spoczął na trollu, na jego twarzy pojawił się wyraz zdumionego przerażenia.

– Dlaczego mnie atakujesz? – spytał chrapliwym głosem troll. Krew lśniła na jego twarzy. Z ledwością wymawiał słowa. – Nie byliśmy przyjaciółmi, ale... – Urwał, zanosząc się kaszlem.

– Troll? – Twarz mnicha znieruchomiała na moment, zanim pojawił się na niej uśmiech. – Co...? Ach, straszne, jak straszne!

Binabik przyglądał się Hengfiskowi zdumiony jego zmianą.

– Nie mogę... – Mnich wydawał się przytłoczony cierpieniem i zdumieniem. Poruszał nerwowo palcami. – Nie mogę... och, miłościwy Boże, trollu, jest tak zimno!

– Co się z tobą stało? – Binabik przysunął się do przodu, nie spuszczając z oczu noża, lecz mnich nie zwracał na niego uwagi, choć leżał on tuż obok niego.

– Nie mogę rozmawiać. Nie mogę mówić. – Mnich zaczął płakać. – Przez nich jestem pełen... odepchnęli mnie... jak mój Bóg mógł być tak okrutny...?

– Powiedz mi, czy mogę ci jakoś pomóc.

Mnich spojrzał na niego i przez krótką chwilę w jego czerwonych wyłupiastych oczach zapaliła się iskra, która mogła być iskrą nadziei. A potem nagle znieruchomiał i szarpnął głową. Rozległ się okrzyk bólu.

– Hengfisku! – Binabik wzniósł ramiona, jakby chciał obronić mnicha przed tymi, którzy zadali cios.

Hengfisk szarpnął się na drżących nogach, z ramionami wyrzuconymi przed siebie.

– Nie! – krzyknął. – Nie! – Przez moment wydawało się, że zdołał się opanować, lecz kiedy znowu odwrócił się do Binabika, jego twarz zaczęła drgać, zmieniać się, jakby pod skórą kotłowały się żmije. – Oni są fałszywi, trollu. – Z jego słów przebijała śmiertelna powaga. – Fałszywi poza wszelką wiarę. Ale przebiegli jak sam Czas. – Ruszył chwiejnym krokiem w dół schodów, mijając Binabika tak blisko, że troll mógł go dotknąć. – Idź – wyszeptał.

Jeszcze bardziej przestraszony niż w czasie ataku Binabik podpełzł do noża. Odwrócił się, usłyszawszy hałas. Hengfisk pędził w jego stronę, szczerząc zęby. Binabik zdążył tylko unieść ramiona, zanim mnich spadł na niego. Brudna szata Hengfiska przykryła ich obu niczym całun. Chwilę tylko się szamotali, a potem znieruchomieli.

Binabik wysunął się spod ciała mnicha. Odzyskawszy oddech, przewrócił Hengfiska na plecy. Rękojeść jego noża wystawała z lewego oka mnicha. Drżąc, wyrwał nóż i otarł go o ciemny habit. Ostatni uśmiech Hengfiska zastygł na jego twarzy.

Binabik podniósł swoją pochodnię i wrócił na podest. Miriamele zniknęła, podobnie jak torby z ich żywnością, wodą i innymi ważnymi rzeczami. Binabikowi pozostały tylko pochodnia i kij.

– Księżniczko! – zawołał. Echo poleciało w ciemność poza schodami. – Miriamele!

Poza ciałem mnicha nikogo przy nim nie było.

ON CHYBA OSZALAŁ. Czy jesteś pewien, że tego chce?

– Tak, książę Josuo. Sam z nim rozmawiałem. – Baron Seriddan usiadł na stołku, dając znak giermkowi, który chciał zabrać jego płaszcz, żeby odszedł. – Trudno byłoby spodziewać się lepszej propozycji, zakładając, że nie jest to podstęp. Inaczej zginie wielu ludzi, zanim zdobędziemy miasto. Przyznaję, że to dziwne.

– Nie tego spodziewałem się po Benigarisie – powiedział Josua. – I chciał, żeby to był Camaris? Czy on ma dość życia?

Baron Seriddan wzruszył ramionami i wziął od giermka kielich.

Milczący dotąd Isgrimnur chrząknął. Rozumiał zdziwienie barona i Josui. Benigaris bez wątpienia przegrywał; w ciągu ostatniego miesiąca

połączone siły Josui i nabbańskich baronów odparły całkowicie wojska Benigarisa i teraz pozostało mu już tylko miasto. Nabban był jednak największym miastem w całym Osten Ard, w dodatku portowym, co znacznie utrudniało oblężenie. Niektórzy spośród sprzymierzeńców Josui posiadali własne statki, ale nie było ich dość, by zablokować port i głodem zmusić miasto do poddania się. Dlaczego więc książę Nabbanu miałby składać tak dziwną propozycję? Mimo to Josua przyjął wiadomość, jakby to on sam miał walczyć z Camarisem.

Isgrimnur poprawił się na łóżku.

– To brzmi jak czyste szaleństwo, Josuo, ale co mamy do stracenia? To Benigaris pokłada nadzieję w naszej dobrej wierze, a nie odwrotnie.

– Ale to szaleństwo! – odparł Josua. – I czego żąda w zamian, jeśli wygra? Swobodnego przejścia dla siebie, swojej rodziny i poddanych? To są warunki poddania, więc dlaczego chce się o nie bić? To nie ma sensu. W tym musi być jakiś podstęp. – Książę jakby oczekiwał, że ktoś go poprze. – Nic takiego nie wydarzyło się od stu lat!

Isgrimnur uśmiechnął się.

– Chyba że mówimy o tobie i o tym, co wydarzyło się na łąkach zaledwie kilka krótkich miesięcy temu. Wszyscy znają tę historię, Josuo. I jeszcze długo będą ją opowiadać przy ogniskach.

Książę nie odwzajemnił uśmiechu Isgrimnura.

– Ale ja podstępem zmusiłem Fikolmija do walki! A poza tym jemu nigdy nie przyszło do głowy, że jego najlepszy wojownik może przegrać. Nawet jeśli Benigaris nie wierzy, że to jest Camaris, to chyba słyszał, jaki z niego rycerz! To nie ma sensu! – Odwrócił się do starego rycerza, który siedział w rogu nieruchomy jak posąg. – Co o tym myślisz, sir Camarisie?

Camaris uniósł dłonie.

– To musi się skończyć. Jeśli ma to się odbyć w ten sposób, to odegram swoją rolę. Baron Seriddan ma rację: bylibyśmy głupcami, odrzucając taką okazję, kierowani jedynie podejrzliwością. Możemy oszczędzić wiele istnień. Chociażby z tego powodu zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Josua skinął głową.

– Wiem. Wciąż tego nie pojmuję, ale chyba muszę się zgodzić. Lud Nabbanu nie zasługuje na cierpienie tylko z tego powodu, że ich pan jest ojcobójcą. Skończywszy z tym, będziemy mogli przystąpić do większego zadania, do którego spełnienia potrzebna nam jest silna armia.

„Nic dziwnego, że Josua jest przygnębiony – pomyślał Isgrimnur. – On wie, że czekają nas okropieństwa, przy których rzeź na przełęczy Onestrine może się okazać błahostką. Ze wszystkich tutaj zebranych tylko on uratował się z Naglimundu. Walczył z Białymi Lisami”.

Głośno powiedział jednak:

– A zatem ustalone. Mam tylko nadzieję, że ktoś przyniesie mi stołek pod mój gruby i stary tyłek, żebym mógł to zobaczyć.

Josua spojrzał na niego ponurym wzrokiem.

– To nie jest turniej, Isgrimnurze. Ale będziesz tam, wszyscy tam będziemy. Tego chyba pragnie Benigaris.

„CEREMONIE – POMYŚLAŁ TIAMAK. – My pewnie wydajemy się mieszkańcom suchego lądu tak samo dziwni jak oni nam”.

Stojąc na zboczu wzgórza, patrzył, jak bramy miasta Nabban otwierają się. Wyjechała z nich niewielka grupa jeźdźców, prowadzona przez rycerza w zbroi, która lśniła nawet w świetle zachmurzonego popołudnia. Jeden

z jeźdźców trzymał ogromny, błękitno-złocisty sztandar Rodu Zimorodka. Jednak nie zagrał żaden róg.

Tiamak patrzył, jak Benigaris i jego rycerze jadą do miejsca, w którym stał Wrańczyk i grupa Josui. Wiatr wzmagał się. Przenikał przez ubranie Tiamaka.

„Bardzo zimno. Za zimno jak na tę porę roku i mimo że ocean jest tak blisko”.

Jeźdźcy zatrzymali się kilka kroków przed księciem i jego sprzymierzeńcami. Żołnierze Josui, zebrani u stóp wzgórza, zamarli w oczekiwaniu. Twarze ukazały się także w górnych oknach domów, na dachach i murach Nabbanu. Wojna ustała nagle, by mogła się wydarzyć ta chwila. Teraz wszyscy jej uczestnicy stali, oczekując, zabawki zostały poskładane i zapomniano o nich.

Josua wysunął się do przodu.

– A więc przybyłeś, Benigarisie.

Prowadzący jeździec uniósł przyłbicę hełmu.

– Tak, Josuo. Na swój sposób potrafię zachować honor. Tak jak i ty.

– I zamierzasz postępować zgodnie z warunkami, jakie podałeś baronowi Seriddanowi? Pojedynek? I, w przypadku zwycięstwa, prosisz jedynie o wolny przejazd dla swojej rodziny i orszaku?

Benigaris poruszył ramionami zniecierpliwiony.

– Masz moje słowo, a ja twoje. Zacznijmy już. Gdzie jest... ten wielki rycerz?

Josua popatrzył na niego nieufnie.

– Jest tutaj.

Kiedy to mówił, stojący za nim ludzie rozstąpili się i do przodu wysunął się Camaris. Stary rycerz miał na sobie żelazną kolczugę. Na opończy nie

widać było żadnego godła, a pod pachą trzymał stary hełm w kształcie morskiego smoka. Tiamak miał wrażenie, że Camaris jest jeszcze bardziej smutny niż zwykle.

Benigaris spojrzał uważnie na starego rycerza i w kącikach jego ust pojawił się uśmiech.

– Ach, miałem rację. Mówiłem jej. – Skłonił lekko głowę. – Witaj, wuju.

Camaris nic nie odpowiedział.

Josua uniósł dłoń. Patrzył jakby z niesmakiem na całą scenę.

– A zatem zaczynajmy. – Odwrócił się do księcia Nabbanu. – Varellan jest tutaj i nic mu się nie stało. Obiecuję, że bez względu na wszystko twoja siostra i matka zostaną potraktowane z honorem.

Benigaris długo mierzył go zimnym wzrokiem.

– Moja matka nie żyje. – Opuścił przyłbicę, odwrócił konia i odjechał kawałek pod górę.

Josua dał znak Camarisowi.

– Postaraj się go nie zabić.

– Wiesz, że niczego nie mogę obiecać – odparł stary rycerz. – Ale daruję mu życie, jeśli o to poprosi.

Wiatr zawiał mocniej. Tiamak żałował, że nie włożył całego ubrania mieszkańców lądu: spodnie i buty lepiej ochroniłyby jego gołe nogi w sandałach, które ledwie przykrywała długa szata. Zadrżał, patrząc, jak jeźdźcy odwracają się do siebie.

„Ten, Który Zgina Drzewa musiał obudzić się zły – pomyślał; jego ojciec zwykł tak mawiać. Na myśl o tym poczuł jeszcze bardziej przenikliwy chłód. – Ale tego zimna nie przysyła chyba pan pogody z Wranu. My mamy innego wroga, który czai się cicho od dawna, a który z pewnością panuje nad burzą i wiatrem”.

Tiamak patrzył na zwróconych ku sobie jeźdźców, oddzielonych odległością, którą pieszy pokonałby w kilka chwil. Dzieliła ich niewielka przestrzeń, łączyły ich więzy krwi, a jednak istniała między nimi ogromna przepaść.

„Wiatr Króla Burz wieje – myślał Tiamak. – A tymczasem ci dwaj, siostrzeniec i wuj, tańczą rytuał mieszkańców lądu... tak jak Josua i Elias...”

Obaj jeźdźcy spięli nagle konie ostrogami, lecz dla Tiamaka byli zaledwie zamazaną plamą. Przyszła mu do głowy okropna myśl, czarna i straszna jak burzowa chmura.

„Przez cały czas uważamy, że Król Elias jest narzędziem zemsty Inelukiego. Dwaj bracia skaczą sobie do gardła między Naglimundem i *Sesuad’ra*, kąsając się i drapiąc, tak że książę Josua i pozostali nie mogą zrobić niczego innego poza utrzymaniem się przy życiu. A jeżeli się okaże, że Elias jest równie nieświadomy planów Króla Burz jak my? Co będzie, jeżeli chce nas tylko czymś zająć, gdy tymczasem ta mroczna, wciąż żywa istota przygotowuje zupełnie inny koniec?”

Pomimo zimnego wiatru Tiamak poczuł na czole kropelki potu. Jeśli tak było, to co mógł planować Ineluki? Aditu była pewna, że nie może powrócić z otchłani, w której zamknęło go śmiertelne zaklęcie, ale może istniał jakiś inny rodzaj zemsty, o wiele gorszy niż posiadanie władzy nad ludźmi poprzez Eliasa i Nornów. Co to mogło być?

Tiamak rozejrzał się za Strangyeardem, chcąc podzielić się z nim swoimi myślami, lecz duchowny zginął gdzieś w tłumie. Ludzie stojący wokół Wrańczyka zaczęli krzyczeć podnieceni. Dopiero po chwili Tiamak zorientował się, że jeden z jeźdźców zrzucił swego przeciwnika z konia. Uspokoił się zaraz, widząc, że na ziemi znalazł się Benigaris w lśniącej zbroi.

Przez tłum przeszła fala szeptów, kiedy Camaris zsiadł z konia. Dwaj chłopcy natychmiast podbiegli, by odprowadzić wierzchowce.

Tiamak wcisnął się między Hotviga i Sludiga. Rimmersman spojrzał w dół zniecierpliwiony, lecz uśmiechnął się, ujrzawszy Tiamaka.

– Ale fiknął kozła! Staruszek daje Benigarisowi surową lekcję!

Tiamak zamrugał. Nigdy nie rozumiał, dlaczego jego towarzysz cieszy się na widok podobnych rzeczy. Ta „lekcja” mogła się zakończyć śmiercią jednego z rycerzy, którzy teraz krążyli wokół siebie z bronią gotową do ataku. Czarny Cierń przypominał pasek najgłębszej nocy.

Początkowo wydawało się, że walka nie potrwa długo. Benigaris był godnym przeciwnikiem; wprawdzie niższy od Camarisa, ale potężnie zbudowany i silny. Wywijał ciężkim mieczem z łatwością, z jaką ktoś słabszy mógłby się posługiwać smukłym Najdelem Josui, do tego dobrze operował tarczą. Tiamak miał jednak wrażenie, że Camaris jest zupełnie inną istotą, która porusza się z wdziękiem wydry i szybkością atakującego węża. Cierń w jego rękach zamieniał się w pajęczynę utkaną z lśniącej ciemności. Tiamak współczuł trochę Benigarisowi, chociaż wcale go nie znał. Nie miał wątpliwości, że tak śmieszny pojedynek niebawem się zakończy.

„Im prędzej podda się Benigaris – pomyślał – tym szybciej schronimy się przed wiatrem”.

Wkrótce jednak okazało się, że Benigaris ma inne plany. Początkowo jakby bezradny, szybko jednak podjął równą walkę, oddając cios za cios. Zmusił Camarisa do cofnięcia się, co natychmiast wywołało falę trwożliwych szeptów.

„W końcu to staruszek. Starszy od ojca mojego ojca, kiedy umarł. A pewnie do tej walki ma mniej serca niż do jakiejkolwiek innej”.

Benigaris zadawał nieustannie ciosy w tarczę przeciwnika, starając się wykorzystać to, że stary rycerz przeszedł do obrony; głośne chrząkanie księcia wznosiło się nawet ponad szczęk oręża. Nawet Tiamak, który nie miał pojęcia o sztuce walki mieczem, zastanawiał się, jak długo można tak atakować.

„Pewnie nie musi atakować aż tak długo. Wystarczy, że znajdzie lukę w obronie Camarisa. Ryzykuje”.

Przez moment wydawało się, że warto było zaryzykować. Camaris zbyt nisko nastawił tarczę na jedno z potężnych uderzeń i miecz Benigarisa zsunął się po jej górnej krawędzi i uderzył w bok hełmu, tak że stary rycerz się zachwiał. Rozległ się okrzyk tłumu. Camaris natychmiast odzyskał równowagę i podniósł wolno tarczę, jakby nagle stała się niewyobrażalnie ciężka. Benigaris zaatakował.

Tiamak nie potrafił dokładnie powiedzieć, co się stało potem. W jednej chwili Camaris przykucnął, wznosząc tarczę jakby w geście bezsilności wobec opadającego miecza przeciwnika, lecz w następnej zaczepił jakoś swoją tarczą o tarczę Benigarisa i podbił ją do góry, tak że przez chwilę wisiała w powietrzu niczym błękitno-złocista moneta. Kiedy upadła na ziemię, czubek Ciernia przylgnął do piersi księcia.

– Czy poddajesz się, Benigarisie? – Głos Camarisa zabrzmiał donośnie, lecz niewątpliwie drżał.

W odpowiedzi Benigaris odepchnął Cierń dłonią w rękawicy i sam pchnął mieczem w nieosłonięty brzuch Camarisa. Starzec skrzywił się, kiedy miecz dotknął jego kolczugi. Tiamak pomyślał, że Camaris został trafiony, lecz on obrócił się tylko wokół własnej osi. Miecz Benigarisa prześliznął się tuż obok, a kiedy Camaris znowu znalazł się przodem do Benigarisa, Cierń nadleciał śmiertelnym łukiem. Wbił się w jego zbroję tuż pod żebrami. Książę opadł na jedno kolano; zachwiał się i upadł. Kiedy

Camaris wyciągnął miecz z zagłębienia w zbroi, natychmiast trysnęła z niego strużka krwi.

Sludig i Hotvig krzyczeli radośnie, Josua nie wydawał się tak zadowolony.

– Miłościwy Aedonie. – Spojrzał nieco zagniewany na swoich kapitanów, lecz jego wzrok spoczął na Tiamaku. – Przynajmniej możemy podziękować Bogu, że Camaris nie zginął. Chodźmy tam. Zobaczymy, co możemy zrobić dla Benigarisa. Czy przyniosłeś zioła, Tiamaku?

Wrańczyk skinął głową. Razem z księciem zaczęli się przedzierać przez tłum ludzi, którzy zbierali się wokół walczących.

Kiedy wreszcie do nich dotarli, Josua położył dłoń na ramieniu Camarisa.

– Nic ci nie jest?

– Nie. – Camaris wydawał się potwornie zmęczony. Spocone włosy opadły mu na czoło.

Josua odwrócił się do pokonanego Benigarisa. Ktoś zdjął mu hełm. Był blady jak Norn, a jego usta pokrywała krwawa piana.

– Leż spokojnie, Benigarisie. Pozwól temu człowiekowi obejrzeć swoje rany.

Książę zwrócił mętne spojrzenie na Tiamaka.

– Wrańczyk! – wycharczał. Tiamak klęknął obok leżącego i zaczął szukać klamer przytrzymujących napierśnik, lecz Benigaris odtrącił jego dłoń. – Zostaw mnie. Nie chcę, żeby w chwili śmierci dotykały mnie łapy jakiegoś dzikusa.

Josua zacisnął zęby, lecz dał znak Tiamakowi, by się odsunął.

– Jak chcesz. Ale chyba można coś dla ciebie zrobić...

Benigaris roześmiał się krótko. Krwawa bańka przykleiła mu się do wąsów.

– Josuo, pozwól mi umrzeć. Tyle mi jeszcze zostało. Resztę... – zakaszlał – resztę możesz sobie zabrać.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał Josua. – Musiałeś wiedzieć, że zginiesz.

Benigaris uśmiechnął się z trudem.

– Ale was chociaż przestraszyłem, prawda? – Jego twarz wykrzywił grymas bólu. – W każdym razie wziąłem to, co mi zostało, podobnie jak moja matka.

– O czym mówisz? – Josua patrzył na umierającego, jakby nigdy czegoś podobnego nie widział.

– Moja matka zrozumiała... z moją pomocą... że jej gra się skończyła. Pozostał jej tylko wstyd. Więc się otruła. Ja zrobiłem to po swojemu.

– Ale przecież mogłeś uciec. Masz przewagę na morzu.

– Dokąd? – Benigaris znowu wypluł bańkę krwi. – Żeby wpaść wprost w ramiona twojego brata i jego węża? A poza tym te przeklęte doki pozostają pod kontrolą Streawe’a; myślałem, że mam go w garści, a tymczasem on podgryzał mnie od środka. Hrabia gra z nami wszystkimi, czerpiąc korzyści. – Książę oddychał ciężko. – Nie, to już koniec. Wiedziałem o tym, kiedy padła przełęcz Onestrine. Więc wybrałem własną śmierć. Byłem księciem niecały rok. Wszyscy pamiętaliby tylko to, że zabiłem mojego ojca. A tak, jeśli ktokolwiek przetrwa, będzie opowiadał, że byłem tym, który walczył z Camarisem o tron Nabbanu... i prawie wygrał.

Spojrzenie Josui było trudne do określenia. Tiamak nie potrafił się oprzeć, by nie zadać tego pytania.

– Co to znaczy: „jeśli ktokolwiek przetrwa”?

Benigaris rzucił Wrańczykowi pogardliwe spojrzenie.

– To jasne. – Odwrócił się wolno do Josui. – Ach, tak. – Ciężki oddech nie do końca maskował jego zadowolenie. – Zapomniałem ci powiedzieć. Zdobyłeś swoją nagrodę, ale nie wiem, czy będziesz się z niej cieszył, Josuo.

– Współczułem ci, Benigarisie – powiedział książę. – Ale już o tym zapomniałem. – Wstał.

– Zaczekaj. – Benigaris uniósł zakrwawioną dłoń. – Powinieneś o tym wiedzieć. Zaczekaj chwilę. Nie zajmę ci dużo czasu.

– Mów.

– Z bagien wyłażą ghanty. Donoszą o tym posłańcy z Jezior i miast położonych wzdłuż zatoki Firannos. Gromadzą się. Jest ich więcej, niż można sobie to wyobrazić, Josuo. – Roześmiał się. – To nie wszystko – dodał radośnie. – Miałem jeszcze inny powód, by nie uciekać z Nabbanu statkiem. Zdaje się, że kilpy też oszalały. Niskowie są przerażeni. Tak więc widzisz, zapewniłem sobie czystą i honorową śmierć, śmierć, której ty i twoi ludzie możecie mi niedługo pozazdrościć.

– A twoi ludzie? – spytał Josua rozzłoszczony. – Czy nic cię nie obchodzą? Z tego, co mówisz, oni już cierpią.

– Moi ludzie? Już nie moi. Ja już nie żyję, a martwych nie obowiązuje lojalność. Teraz oni są twoimi ludźmi, twoimi i mojego wuja.

Josua patrzył długo na niego, a potem wstał i odszedł. Camaris chciał pójść za nim, lecz natychmiast otoczył go tłum ciekawskich żołnierzy i nabbańskich mieszczan.

Tiamak pozostał na miejscu i patrzył na umierającego księcia. Słońce dotykało prawie horyzontu, a chłodne cienie kładły się na zboczu, kiedy Benigaris przestał oddychać.

46. Więzień na kole

POCZĄTKOWO SIMON MYŚLAŁ, że ktoś stworzył ogromną podziemną odlewnię, by odtworzyć Piekło. Po dwóch tygodniach pobytu tam nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wydawało się, że ledwie zdążyli rzucić się na swoje brudne legowiska po dniu katorżniczej pracy, a już jeden z pomocników Incha – były to istoty nie tak przerażające, ale wcale nie bardziej ludzkie od ich pana – ryczał na nich następnego dnia, by wstawali. Zmęczeni jeszcze przed rozpoczęciem pracy, Simon i pozostali więźniowie zjadali w pośpiechu miseczkę smakującej rdzą owsianki i wychodzili do pracy.

Jeśli można było powiedzieć, że w pieczarze, w której spali, było gorąco, to w ogromnej odlewni panowało istne piekło. Duszny żar opadał falami na twarz Simona, aż jego oczy wyschły niczym skorupy kasztana, a skóra popękała tak, jakby za chwilę miała z niego zejść. Każdy dzień był niekończącą się harówką, od której nie czuł pleców i poparzonych palców, a którą znosili tylko dzięki wodzie przynoszonej przez jednego z więźniów. Wydawało się, że mijały eony między jedną porcją a następną.

Simon miał szczęście, że trafił na Stanhelma, który jedyny chyba zachował jeszcze trochę ludzkich odruchów. Stanhelm pokazał mu miejsca, gdzie można było zaczerpnąć świeżego powietrza, ostrzegł, którego z zastępców Incha należy wystrzegać się najbardziej, a przede wszystkim, co robić, żeby wyglądać jak jeden z nich. Stanhelm nie wiedział, że Simon

miał szczególny powód, żeby pozostać bezimiennym, ale sam czuł, że nikt nie powinien zwracać na siebie uwagi Incha, dlatego nauczył nowego więźnia, czego oczekuje się od pracowników, a co głównie sprowadzało się do pokornej służalczości. Simon nauczył się patrzeć w ziemię i pracować szybko, gdy tylko pojawiał się Inch. Palec ze złotą obrączką zawinął kawałkiem szmaty. Nie chciał rozstawać się z takim skarbem, a wiedział, że niebezpiecznie byłoby pokazać go innym.

Praca Stanhelma polegała na sortowaniu metalowych odpadków przeznaczonych na tygle. Pokazał swojemu nowemu uczniowi, jak odróżnić miedź od brązu i cynę od ołowiu, pukając kawałkiem metalu o kamień albo skrobiąc jego powierzchnię żelazną sztabką.

Najprzeróżniejsze przedmioty przechodziły przez ich ręce w drodze do wytapiacza: łańcuchy, garnki, pogniecione kawałki dziwnych blach, których przeznaczenie trudno było odgadnąć, obręcze kół od wozów i beczek, całe worki pogiętych gwoździ, przybory do palenia w kominku i zawiasy. Kiedyś Simon znalazł delikatnie wykute wieszadło na butle, które wisiało na ścianie w komnacie Morgenesa. Wpatrzony w kawałek metalu powrócił na chwilę do szczęśliwszej przeszłości, lecz zaraz poczuł łokieć Stanhelma, który ostrzegał go przed zbliżającym się Inchem. Szybko odrzucił wieszadło na stos.

Metalowe odpadki zanoszone były do tygli, których rząd wisiał w ogniu odlewni, ogniu wielkości domu, karmionym nieustannie węglem drzewnym podsycanym miechami, które same poruszane były mocą młyńskiego koła, trzykrotnie większego od człowieka i obracającego się dzień i noc. Podsycany miechami ogień płonął z taką mocą, że Simon nie mógł zrozumieć, dlaczego jeszcze nie roztopiły się kamienne ściany jaskini. Tygle, każdy wypełniony innym rodzajem metalu, przesuwały się poruszane systemem poczerniałych łańcuchów i kołowrotów połączonych

z kołem. Ogniwa innych łańcuchów były tak ogromne, że można było sądzić, iż zrobiono je do spętania olbrzymów, ciągnęły się w górę od osi koła i znikały w ciemnej szczelinie sufitu odlewni. Nawet Stanhelm nie chciał rozmawiać o tym, gdzie się kończyły, lecz Simon wywnioskował, że mają one coś wspólnego z Pryratesem.

Kiedy udało im się znaleźć wolną chwilę, Stanhelm pokazywał Simonowi cały proces: jak zamieniano metalowe odpadki w rozżarzoną ciecz, a potem zlewano z tygli i formowano długie sztaby surowego metalu, które, ochłodzone, zanoszono do innej części ogromnej odlewni, gdzie wykuwano z nich przedmioty potrzebne Królowi. Simon domyślał się, że były to głównie zbroje i broń, gdyż wśród odpadków najbardziej zniszczone były właśnie przedmioty pochodzące z wojny. Elias chciał pewnie każdy kawałek niepotrzebnego metalu zamienić na groty strzał i miecze.

W miarę jak mijały kolejne dni, Simon nabierał przekonania, że nie ma co liczyć na ucieczkę. Stanhelm powiedział mu, że zaledwie kilku więźniów zdołało uciec w ciągu ostatniego roku, lecz wszystkich, z wyjątkiem jednego, przywleczono z powrotem. Żaden ze schwytanych więźniów nie pożył już długo.

„A tym, który uciekł, był Jeremias – pomyślał Simon. – Udało mu się tylko dlatego, że Inch był na tyle głupi, aby posłać go z czymś na górę. Ja chyba nie będę miał takiej okazji”.

Bywały chwile, że Simon z trudem potrafił stłumić chęć ucieczki i uczucie pogrążania się w pułapce. Nie dawała mu spokoju myśl, żeby dać się unieść łańcuchom koła ku nieznanej ciemności. Śnił o tym, żeby znaleźć tunel, który wyprowadzi go z ogromnej jaskini, tak jak stało się w czasie jego pierwszej ucieczki z Hayholt, lecz teraz korytarze były pełne albo prowadziły do innej części odlewni. Dostawy z zewnątrz zawsze przybywały pilnie strzeżone przez najemnych Thrithingów, uzbrojonych

w topory i włócznie; wszystkie inne dostawy nadzorował Inch albo któryś z jego pomocników. Jedyne klucze wisiały przyczepione do szerokiego pasa Incha.

Coraz mniej miał czasu Josua i jego przyjaciele, a Simon był bezradny.

„Pryrates też nie opuścił zamku. Tak więc tylko kwestią czasu było jego pojawienie się na dole. A co będzie, jeśli jutro nie będzie się już tak śpieszył? Jeśli mnie rozpozna?”

Gdy tylko pozostawał sam lub nikt na niego nie zwracał uwagi, Simon natychmiast rozglądał się za czymś, co pomogłoby mu uciec. Schował do kieszeni kawałek żelaza i ostrzył go o kamień w czasie, kiedy udawał, że śpi. Kiedy Pryrates wreszcie go odnajdzie, postara się dokonać tyle szkód, ile tylko zdoła.

SIMON I STANHELM STALI OBOK STOSU żelaznych odpadków, dysząc ciężko. Stanhelm skaleczył się o ostrą krawędź i teraz jego ręka krwawiła mocno.

– Stój spokojnie. – Simon oddarł kawałek swoich postrzępionych spodni i owijał paskiem zranioną rękę Stanhelma. Wyczerpany, starszy od niego mężczyzna chwiał się mocno. – Na Aedona! – zaklął Simon. – Głęboka rana!

– Już nie dam rady – mruknął Stanhelm. W jego widocznych ponad maską oczach pojawiło się wreszcie szkliste, pozbawione życia spojrzenie, które Simon widział już u pozostałych pracowników. – Już nie dam rady.

– Zostań tutaj – powiedział Simon, zaciskając mocno supeł. – Odpocznij.

Stanhelm pokręcił głową bezradnie.

– Nie dam rady.

– To nic nie rób. Usiądź. Przyniosę ci trochę wody.

Coś wielkiego i ciemnego przesłoniło światło.

– Odpoczynek? – Inch pochylił głowę, spoglądając najpierw na Stanhelma, a potem na Simona. – Nie pracujecie.

– On ska...skaleczył się w rękę. – Chcąc uniknąć spojrzenia Incha, Simon wbił wzrok w jego buty i zauważył, że z każdego czubka wystaje jeden płaski palec. – Krwawi mocno.

– Mali ludzie zawsze krwawią. Później będzie czas na odpoczynek. Teraz jest robota – odparł rzeczowo Inch.

Stanhelm zachwiał się, a potem nagle usiadł. Inch popatrzył na niego i podszedł bliżej.

– Wstawaj. Do roboty.

Stanhelm jęknął cicho, przyciskając do siebie skaleczoną rękę.

– Wstawaj. Ale już. – Głos Incha przypominał głuchy grzmot.

Siedzący mężczyzna nie podniósł wzroku. Inch pochylił się i uderzył go w bok głowy z taką siłą, że jego ciało zakołysało się mocno. Stanhelm zaczął płakać.

– Wstawaj.

Kiedy i to nie pomogło, Inch uniósł wielką pięść i jeszcze raz uderzył Stanhelma, tym razem przewracając go na ziemię.

Kilku innych pracowników zatrzymało się, by popatrzeć; przypominali przerażone, ale spokojne stado owiec, które przyglądają się, jak wilk zabiera jedną z nich, i wiedzą, że choć przez chwilę są bezpieczne.

Stanhelm prawie się nie ruszał. Inch przyłożył swój but do jego głowy.

– No, wstawaj.

Simon czuł, jak mocno bije mu serce. Wszystko wydawało się toczyć za szybko. Wiedział, że wyjdzie na głupca, jeśli się odezwie; Stanhelm

najwyraźniej osiągnął swój punkt załamania i właściwie już był martwy. Dlaczego Simon miałby ryzykować wszystko?

„Błędem jest dbać o wszystkich” – pomyślał ze złością.

– Przestań. – Wiedział, że to jego głos, chociaż zabrzmiał bardzo nienaturalnie. – Zostaw go.

Szeroka, zdeformowana twarz Incha obróciła się powoli; jego jedyne oko zamrugało pośród plątaniny blizn.

– Zamknij się – warknął i kopnął Stanhelma.

– Powiedziałem: zostaw go.

Inch odwrócił się od swojej ofiary, a Simon cofnął się o krok, rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby uciec. Teraz już nie było odwrotu, nie dało się uniknąć spotkania. Czuł, że zmagają się w nim ogromny strach, ale i gniew. Tak bardzo pragnął mieć nóż, który zabrali mu Nornowie.

– Chodź tutaj.

Simon cofnął się jeszcze o krok.

– Sam przyjdź po mnie, ty worku flaków.

Inch skrzywił zmasakrowaną twarz i skoczył do przodu. Simon odskoczył i odwrócił się, by pobiec w drugi koniec pieczary. Pozostali pracownicy patrzyli z rozdziawionymi ustami, jak ich nadzorca biegnie za Simonem.

Simon miał nadzieję, że olbrzym zmęczy się, lecz nie brał pod uwagę własnego zmęczenia i długich dni ciężkiej pracy. Przebiegł zaledwie sto kroków, kiedy poczuł, że siły go opuszczają, chociaż Inch wciąż znajdował się w pewnej odległości od niego. Nie miał gdzie się schować w jaskini, a z odlewni też nie było ucieczki. Zdecydował, że lepiej będzie walczyć na otwartym terenie, gdzie mógł wykorzystać resztki szybkości.

Schylił się po duży kamień. Inch, pewny teraz, że Simon już mu nie ucieknie, przybliżał się powoli z obawy przed kamieniem.

– Doktor Inch jest tutaj panem – zagrzmiał. – Jest robota do zrobienia. Ty... ty... – Warknął tylko wściekle, nie mogąc znaleźć słów, które by wyraziły ogrom przestępstwa Simona. Podszedł jeszcze bliżej.

Simon cisnął kamieniem w jego głowę. Inch uchylił się i kamień uderzył w jego ramię. Simon poczuł mroczne uniesienie, wściekłość, która wzbierała w nim prawie tak samo jak radość. To był potwór, który przyprowadził Pryratesa do komnat Morgenesa! Ten potwór pomógł zabić jego mistrza!

– Doktor Inch! – krzyknął Simon i roześmiał się głośno, sięgając po kolejny kamień. – Doktor? Ty możesz najwyżej nazywać siebie Próżniakiem, Brudasem, Głupkiem! Doktor! Ha! – Simon rzucił drugi kamień, lecz Inch uskoczył i kamień zagrzechotał na kamiennej podłodze.

Olbrzym skoczył do przodu z zadziwiającą szybkością i musnął go pięścią. Simon zachwiał się. Zanim zdążył odzyskać równowagę, ogromna łapa zacisnęła się na jego ramieniu. Poczuł, że wznosi się do góry, a potem opada głową do przodu. Leżał długą chwilę zamroczony. Ogromne łapy Incha znowu sięgnęły po niego. Został podniesiony w górę i coś uderzyło go w twarz z taką siłą, że ujrzał błyskawicę i usłyszał grzmot. Poczuł, że maska opada mu z twarzy. Wstrząsnęło nim jeszcze jedno uderzenie, a potem opadł na podłogę. Leżał, próbując przypomnieć sobie, gdzie się znajduje i co się stało.

– Rozzłościłeś mnie... – odezwał się ponury głos.

Simon czekał bezradnie na kolejny cios, który – miał nadzieję – będzie na tyle silny, że wybawi go od nudności i bólu głowy. Jednak minęła długa chwila i nic się nie wydarzyło.

– Chłopczyk z kuchni – odezwał się wreszcie Inch. – Znam cię. Ty jesteś tym chłopakiem z kuchni. Tylko masz włosy na twarzy! – Simon usłyszał odgłos podobny do pocierania dwóch kamieni i dopiero po chwili zorientował się, że to Inch się śmieje. – Wróciłeś! – zawołał radośnie, jakby witał starego przyjaciela. – Wróciłeś do Incha, ale teraz jestem Doktorem Inchem. Śmiałeś się ze mnie. Ale już więcej nie będziesz się śmiał.

Mocne dłonie zacisnęły się na Simonie i znowu uniósł się w górę. Ciemność wypełniła jego głowę.

SIMON CHCIAŁ SIĘ PORUSZYĆ, lecz nie mógł. Coś trzymało jego ręce i nogi, wyciągnięte na całą długość.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał wykrzywioną twarz Incha.

– Chłopczyk z kuchni. Wróciłeś. – Olbrzym przysunął się bliżej. Jedną ręką przygwoździł prawe ramię Simona do czegoś, co znajdowało się za nim, i podniósł drugą, w której trzymał drewniany młot. Simon ujrzał gwóźdź przyłożony do swojego nadgarstka i nie mógł dłużej powstrzymać okrzyku przerażenia. – Boisz się, chłopczyku? Zająłeś moje miejsce, miejsce, które mnie się należało. Nastawiłeś staruszka przeciwko mnie. Nie zapomniałem o tym. – Inch podniósł młotek i uderzył mocno w główkę gwoździa. Simon wstrzymał oddech i rzucił się bezradnie, lecz nie poczuł bólu, jedynie coraz większy nacisk na nadgarstek. Inch wbił gwóźdź głębiej i odchylił się, by przyjrzeć się swojemu dziełu. Teraz dopiero Simon zdał sobie sprawę, że znajdują się wysoko ponad podłogą jaskini. Inch stał na drabinie opartej o ścianę nieco poniżej ramienia Simona.

Tylko że to nie była drabina. Sznur, który ciasno opasał jego nadgarstek, został przybity do ogromnego młyńskiego koła. Jego drugie ramię i obie nogi już zostały przymocowane. Został rozciągnięty kilka łokci poniżej krawędzi koła, a dziesięć łokci nad ziemią. Koło nie obracało się,

a strumień ciemnej wody był bardziej oddalony, niż należało się tego spodziewać.

– Rób, co chcesz. – Simon zacisnął zęby, żeby powstrzymać krzyk, który w nim wzbierał. – Nic mnie to nie obchodzi.

Inch pociągnął za sznur, sprawdzając, czy jest dobrze przymocowany. Simon zaczynał czuć w miejscach przywiązania ciężar swego ciała, a także powolnie wzbierające ciepło w ramionach, zwiastun prawdziwego bólu.

– Robić? Nic nie będę robił. – Inch przyłożył dłoń do piersi Simona i nacisnął mocno, wyduszając z jego płuc resztki powietrza. – Czekałem. Ty zająłeś moje miejsce. Czekałem, żeby zostać Doktorem Inchem. Teraz ty czekaj.

– Na... na co?

Inch odsłonił w uśmiechu połamane zęby.

– Na śmierć. Żadnego jedzenia. Może dam ci trochę wody, żeby potrwało to dłużej. Może pomyślę jeszcze o czymś. Nieważne. Będziesz czekał. – Inch pokiwał głową. – Czekaj. – Wsunął młotek za pas i zszedł na dół.

Simon skręcił szyję i patrzył w ogłupiałym zdumieniu na schodzącego Incha. Nadzorca zszedł na podłogę i dał znak dwóm spośród swoich podwładnych, by odstawili drabinę. Simon patrzył smutno, jak ją zabierają. Nawet gdyby jakoś udało mu się wyswobodzić z więzów, upadek z pewnością zakończyłby się śmiercią.

Ale Inch nie skończył jeszcze. Przesunął się do przodu, tak że ogromne koło prawie zupełnie go zasłoniło, i pociągnął za drewnianą dźwignię. Simon usłyszał zgrzyt i poczuł szarpnięcie koła, które zatrzęsło całym jego ciałem. Koło zsunęło się nieco i zanurzyło w rynnie z wodą.

Powoli... bardzo powoli zaczęło się obracać.

Początkowo opadanie w dół przyniosło mu nieomal ulgę. Ciężar przeniósł się z ramion na nadgarstki i kostki i Simon poczuł napięcie w nogach, kiedy jaskinia obróciła się do góry nogami. Potem, kiedy wciąż jeszcze opadał w dół, krew spłynęła mu gwałtownie do głowy, aż poczuł, że za chwilę rozsadzi mu uszy. Na samym dnie, tuż pod nim zachlupotała woda.

Ogromne łańcuchy pięły się w ciemność.

– Długo nie mogłem go zatrzymać – zagrzmiał z dołu Inch. – Miechy nie pracują, wiadra nie czerpią i nie obraca się wieża Czerwonego Szczura Czarnoksiężnika. – Patrzył, jak Simon wolno zaczyna wznosić się ku sufitowi jaskini. – To koło robi wiele rzeczy. – Jego jedyne oko lśniło w blasku ognia. – Zabija chłopczyków z kuchni.

Odwrócił się i poszedł przed siebie.

POCZĄTKOWO NIE BOLAŁO BARDZO. Był rozciągnięty i przywiązany tak mocno, że wszelki ruch był prawie niemożliwy. Głód pozwalał mu zachować jasność myślenia; jego umysł obracał się o wiele szybciej niż koło, pędząc przez wydarzenia, które doprowadziły go do tego miejsca, oraz przez liczne możliwości ucieczki.

Może przyjdzie Stanhelm, kiedy nadejdzie pora snu, i odetnie go. Inch miał swój pokój w innej części odlewni; przy odrobinie szczęścia nie dowiedziałby się nawet, że Simon jest wolny. Ale dokąd by poszedł? I dlaczego sądził, że Stanhelm wciąż jeszcze żył, a nawet jeśli tak było, to dlaczego miałby ryzykować życie dla kogoś, kogo prawie nie znał?

Może ktoś inny? Ale kto? Żadnego z więźniów z odlewni nie obchodziło, czy Simon żyje, czy umrze, i trudno było ich za to winić. Jak można było martwić się o innych, kiedy każda chwila była walką o oddech,

zmaganiem z żarem i ponadludzkim wysiłkiem, do którego zmuszał ich bat okrutnego nadzorcy?

Tym razem nie było przyjaciół, którzy by uratowali Simona. Nawet gdyby Binabik i Miriamele dotarli do zamku, z pewnością nie przyszliby tutaj. Oni szukali Króla, a poza tym nie mieli podstaw, by wierzyć, że Simon jeszcze żyje. Ci, którzy ratowali go z opresji w przeszłości – Jiriki, Josua, Aditu – byli daleko stąd, maszerowali gdzieś w kierunku Nabbanu. Wszyscy przyjaciele, którzy kiedyś mieszkali w zamku, odeszli. Dokąd by poszedł, gdyby nawet udało mu się uwolnić od koła? Co mógłby zrobić? Inch złapałby go znowu i może następnym razem nie wymyślałby tak powolnych tortur.

Szarpnął mocno rękoma, ale sznury były mocne, gotowe oprzeć się żelazu. Mógłby szarpać je całymi dniami, a i tak zdarłby sobie tylko skórę. Nawet nie mógł liczyć na to, że gwoździe mu pomogą; Inch wbił je pomiędzy skrętami, tak by sznur się nie przerwał.

Ramiona i nogi paliły go coraz bardziej. Simon wyczuwał w sobie coraz głośniejszy puls przerażenia. Nie mógł się ruszyć. Bez względu na to, co się stało, bez względu na to, jak głośno by krzyczał i szarpał się, nic nie mógł zrobić.

Pomyślał, że przybycie Pryratesa mogłoby okazać się ulgą. Czerwony duchowny z pewnością by go torturował, ale przynajmniej byłyby to inne tortury – ostre bóle, długie bóle, silne i słabe. Simon wiedział, że tutaj będzie się pogarszało stopniowo. Wkrótce dojdzie jeszcze głód. Minął prawie cały dzień od chwili, kiedy jadł po raz ostatni, a on już wspominał miskę z brudną zupą z żalem graniczącym z szaleństwem.

Kiedy po raz kolejny odwrócił się do góry nogami, jego żołądek odwrócił się, uwalniając go od głodu. Niewiele to było, ale oczekiwania Simona kurczyły się coraz bardziej.

PRZENIKAJĄCY JEGO CIAŁO BÓL mieszał się teraz z wściekłością, która wzbierała w nim, w miarę jak coraz bardziej cierpiał; była to bezsilna wściekłość, która nie mogła znaleźć ujścia, więc zaczęła szarpać jego rozum. Podobnie jak szaleniec, którego widział kiedyś w Erchesterze, a który wyrzucił przez okno wszystko, co miał w domu, Simon nie miał czym rzucić w swoich wrogów poza własnymi przekonaniami, miłością, skrytymi wspomnieniami.

Doszedł do wniosku, że Morgenes, Josua, Binabik i pozostali wykorzystali go. Wzięli chłopca, który nawet nie umiał się podpisać, i zrobili z niego narzędzie. Manipulowany przez nich i dla ich korzyści został wypędzony z domu, stał się wygnańcem, był świadkiem śmierci drogich mu osób i zniszczenia tego, co niewinne i piękne. Niepytany o zdanie był prowadzony w tę stronę i w tamtą; usłyszał wystarczająco dużo półprawd, by iść i walczyć dalej. Dla dobra Josui zmierzył się ze smokiem i wygrał, a potem odebrano mu Wielki Miecz i oddano komu innemu. Dla Binabika pozostał w Yiqanuc; kto wie, czy Haestan zginąłby, gdyby wyruszyli wcześniej? Potem wyruszył w podróż z Miriamele, by jej bronić, i cierpiał z tego powodu zarówno w tunelach, jak i na tym kole, gdzie pewnie umrze. Wszyscy brali od niego, zabrali mu wszystko. Wykorzystali go.

Miriamele miała jeszcze na sumieniu inne zbrodnie. Zachęcała go, traktowała jak równego, chociaż była królewską córką. Była jego przyjaciółką, a przynajmniej tak mówiła, ale nie czekała na jego powrót z wyprawy na Północ. Nie, poszła w swoją stronę bez słowa, jakby ich przyjaźń nigdy nie istniała. I oddała się innemu mężczyźnie – oddała swoje dziewictwo komuś, kogo nawet nie lubiła! Całowała Simona, pozwalając mu wierzyć, że jego miłość ma jakieś znaczenie... a potem rzuciła mu w twarz swoje czyny w najokrutniejszy z możliwych sposobów.

Nawet matka i ojciec opuścili go, umierając, zanim zdążył ich poznać, i pozostawiając go tylko z tymi okruchami przeszłości, jakie przekazały mu pokojówki. Jak mogli! Jak Bóg mógł na to pozwolić? Nawet Bóg go zdradził, gdyż nie było Go tam. Mówili, że On patrzy na wszystko, lecz najwyraźniej nie dbał o Simona. Jak Bóg mógł kochać kogoś i pozwolić mu cierpieć tak, jak cierpiał Simon, i to tylko dlatego, że chciał zrobić coś dobrego?

A jednak pomimo ogromnej wściekłości na tych tak zwanych przyjaciół, którzy nadużyli jego przyjaźni, jeszcze większą nienawiść żywił do swoich wrogów: Incha, podłego zwierzęcia – nie, nie zwierzęcia, gdyż zwierzęta nie torturują; Króla Eliasa, który zasiał w świecie wojnę, terror, zarazę i śmierć; Utuk'ku w srebrnej masce, która wysłała swojego łowczego za Simonem i jego przyjaciółmi, by zabił Amerasu; i wreszcie Pryratesa, mordercy Morgenesa, którego czarną duszę wypełniało tylko samolubne zło.

Wydawało się jednak, że największym sprawcą cierpienia Simona był ten, którego nienawiść była tak ogromna, że nawet grób jej nie wystarczał. Jeśli ktokolwiek zasługiwał na to, by mu odpłacić torturami, to był to Król Burz. Ineluki sprowadził zgubę na świat pełen niewinnych ludzi. Zniszczył życie i szczęście Simona.

Chwilami Simonowi wydawało się, że jego nienawiść trzyma go przy życiu. Kiedy agonia stawała się zbyt silna, kiedy czuł, że życie wycieka z niego albo przynajmniej traci nad nim kontrolę, chwytał się konieczności przeżycia, żeby się zemścić. Będzie żył tak długo jak się da, po to tylko, aby choć w części odpłacić za swoje cierpienia. Odpłaci za każdą noc, każdą ranę i łzę.

Obracając się w ciemności, zapadając się i wynurzając z obłędu, Simon składał tysiące obietnic zapłaty tą samą miarą.

POCZĄTKOWO WYGLĄDAŁO TO JAK ŚWIETLIK unoszący się na krawędzi jego pola widzenia – coś małego, co jarzyło się bez światła, punkcik nie-czerni w świecie ciemności. Simon nie wiedział, co to jest; jego myśli miotały się między bólem i głodem.

– *Chodź* – szepnął do niego głos.

Przez cały drugi dzień Simon słyszał głosy – a może to był trzeci dzień – na kole. Co to za inny głos? Co to za plamka tańczącego światła?

– *Chodź*.

Nagle został oderwany od koła, od trzymających go sznurów. Został pociągnięty przez iskrę i nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że uwolnił się tak łatwo... dopóki nie spojrzał za siebie.

Na wolno obracającym się kole wisiało ciało, nagie i białe. Do czoła przykleiły się rude włosy. Broda opadła na pierś.

„Kto to jest? – Zastanawiał się tylko przez chwilę. Patrzył obojętnie na siebie samego. – A więc tak wyglądałem? Ale w tym już nic nie ma. Jest jak pusty dzban. – Myśl ta przyszła do niego nagle. – Umarłem”.

Ale skoro tak było, to dlaczego – choć niewyraźnie – wciąż czuje rozciągnięte do bólu ramiona? Dlaczego czuje się jakby w ciele i poza nim jednocześnie?

Światło przed nim poruszyło się, przyzywając go. Simon poszedł za nim bezwolnie. Płynęli razem przez plątaninę cieni jak wiatr w długim korytarzu; nieomal namacalne postacie ocierały się o niego i przelatywały przez niego. Jego więź z ciałem na kole stawała się coraz bardziej napięta. Czuł, że jego świeca drży.

Nie chcę siebie utracić! Pozwól mi wrócić!

Iskra jednak leciała dalej.

Wirująca ciemność zakwitła pąkami światła i kolorów, a potem przybrała postać prawdziwych rzeczy. Simon znajdował się u wylotu

ogromnego strumienia, który obracał młyńskim kołem, i patrzył na ciemną wodę spływającą głęboko pod zamek. Potem ujrzał milczący staw w opuszczonej komnacie Asu’a. Do stawu kapała woda przez szczeliny w suficie. Wznoszące się nad jego powierzchnią mgły pulsowały życiem, jakby woda wskrzeszała do życia coś, co prawie było go pozbawione. Czy to chciała mu pokazać iskra? Że woda z odlewni napełniała staw Sithów? Że on budził się do życia?

Potem przemknęły też inne obrazy. Zobaczył ciemny kształt, który wyrósł u podnóża schodów w Asu’a, drzewo, którego nieomal dotknął, którego obce myśli odczuwał. Schody pięły się spiralą spośród korzeni oddychającego drzewa aż do Wieży Zielonego Anioła.

Kiedy tylko pomyślał o wieży, natychmiast stwierdził, że patrzy na jej iglicę podobną do ogromnego białego zęba. Padał śnieg, a niebo zasnuły gęste chmury, lecz Simon widział przez nie nocne niebo. Na północy unosił się rozżarzony węgiel z rozmazanym ogonem – Gwiazda Zdobywcy.

– Dlaczego przyprowadziłaś mnie do wszystkich tych miejsc? – spytał Simon. Świetlny punkt zawisł przed nim, jakby go słuchał. – Co to znaczy?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Zamiast niej coś zimnego chlusnęło mu w twarz.

SIMON OTWORZYŁ OCZY, odnajdując się nagle w swoim obolałym ciele. Jakaś zniekształcona postać zwisała do góry nogami z sufitu niczym nietoperz.

Nie. Przed nim stał jeden z pomocników Incha, a to Simon wisiał głową do dołu w najniższym punkcie obrotu koła, słuchając skrzypienia osi. Pomocnik Incha wylał kolejne wiadro wody na twarz Simona, lecz tylko trochę wlał mu do ust. Simon zakrztusił się, próbując przełknąć wodę, i oblizał brodę i wargi. Kiedy Simon zaczął obracać się w górę, mężczyzna

odszedł bez słowa. Krople wody spływały po jego głowie i włosach i przez jakiś czas Simon był zbyt zajęty zlizywaniem i łykaniem ich, żeby się zastanawiać nad dziwną wizją. Udało mu się zebrać myśli dopiero wtedy, kiedy zniżył się po raz kolejny.

„Co to mogło znaczyć? – Trudno było zignorować piekący ból w stawach. – Co to było za światło i co chciało mi pokazać? A może to jeszcze jedno szaleństwo?”

Od chwili kiedy znalazł się na kole, Simon doświadczył wielu dziwnych snów – obrazów rozpaczy i uniesienia, scen wielkich zwycięstw nad jego wrogami oraz cierpień przyjaciół – lecz śnił także o mniej istotnych rzeczach. Powróciły głosy, które słyszał w tunelach, czasem ledwie słyszalne szepty zagłuszane skrzypieniem koła, kiedy indziej głośniejsze, jakby ktoś mówił mu do ucha, strzępy rozmów pozostających tuż poza granicą jego zrozumienia. Przytłoczony najróżniejszymi fantazjami przypominał sponiewieranego burzą ptaka. Dlaczego więc ten obraz miałby być bardziej prawdziwy?

„Był inny. Tak jak inny jest dotyk wiatru i dotyk czyjejś dłoni. – Simon próbował sobie przypomnieć. Przynajmniej miał o czym myśleć, żeby zapomnieć o ssaniu w żołądku i bolących kończynach. – Co ja widziałem? Że staw pod zamkiem ożył, wypełniony wodą, która przepływa pod tym kołem? Staw! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Jiriki, nie, Aditu, powiedziała, że w Asu’a istnieje coś, co nosi nazwę Stawu Trzech Głębin, Wielki Świadek. To jego widziałem. Widziałem? Piłem z niego wodę! Ale jakie to ma znaczenie, jeśli to jest prawda? – Simon zmagał się z myślami. – Wieża Zielonego Anioła, drzewo, staw: czy są ze sobą w jakiś sposób powiązane?”

Przypomniał sobie sny o Białym Drzewie, które od dawna nie dawały mu spokoju. Początkowo myślał, że jest to Drzewo Uduna na górze

Urmsheim, ogromny, zamarznięty wodospad, który zadziwił go swoją wspaniałością, ale potem doszedł do wniosku, że sen ten ma też inne znaczenie.

„Białe drzewo bez liści, Wieża Zielonego Anioła. Czy tam coś się wydarzy? Ale co? – Roześmiał się ochryple, co go samego zdziwiło, gdyż milczał od wielu godzin. – Ale czy ja coś mogę zrobić? Powiedzieć Inchowi?”

A jednak coś się działo. Staw żył i Wieża Zielonego Anioła czekała na coś... a koło wciąż się kręciło, kręciło.

„Koło także mi się śniło, ogromne koło toczące się przez Czas, które przyciągało przeszłość w światło, a wszystko inne spychało w dół pod ziemię... a nie taki kawał drewna taplający się w brudnej wodzie jak to. – Teraz koło znowu niosło go na dół, tak że krew w skroniach zaczęła pulsować gwałtownie. – Co anioł powiedział mi w tamtym śnie? – Skrzywił się i zacisnął zęby, powstrzymując ból. Miał wrażenie, że ktoś kłuje go szpilkami, kiedy ból zaczął przenosić się na nogi. – «Idź w dół – powiedział. – W dół»”.

ŚCIANY CZASU ZACZĘŁY SIĘ KRUSZYĆ wokół Simona, jakby koło, które go niosło, podobnie jak koło ze snów, przetoczyło się przez chwilę życia, spychając ją w przeszłość i za chwilę wywlekając dawną historię po to, by rozrzucić ją po teraźniejszości. Zamek pod nim, Wielki Asu’a, martwy od pięciu wieków, stał się nagle równie prawdziwy jak Hayholt. Czyny tych, którzy odeszli – albo takich jak Ineluki, którzy umarli, lecz nie odeszli – stały się równie ważne jak czyny żyjących ludzi. A Simon tkwił rozciągnięty pomiędzy nimi, kawałek podartej skóry i kości, schwytany przez koło Wieczności i wleczony bez jego zgody przez nawiedzaną przeszłością teraźniejszość i żywą przeszłość.

COŚ DOTYKAŁO JEGO TWARZY. Simon wypłynął z odrętwienia i poczuł na twarzy palce; przez moment zaplątały się w jego włosach, lecz zaraz wysunęły się, kiedy koło pociągnęło go dalej. Otworzył oczy, ale albo stracił wzrok, albo nie paliły się żadne pochodnie.

– Czym ty jesteś? – spytał drżący głos. Dochodził z jednej strony, ale Simon oddalał się od niego. – Słyszałem twój krzyk. Twój głos nie jest taki jak tamte. I mogę cię dotknąć. Czym ty jesteś?

Wnętrze ust Simona spuchło tak bardzo, że z trudem oddychał. Chciał coś powiedzieć, lecz zagulgotał tylko cicho.

– Czym ty jesteś?

Simon bardzo chciał odpowiedzieć, choć zastanawiał się, czy to jeszcze jeden sen. Lecz żaden z tamtych snów, pomimo całej ich natrętności, nie dotknął go prawdziwym ciałem.

Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, kiedy powędrował do góry, gdzie ogromne łańcuchy pięły się jeszcze wyżej, a potem zaczął opadać. Zanim znalazł się na samym dole, zdołał zebrać na tyle dużo śliny, by wydać z siebie coś, co przypominało mowę.

– Pomóż... mi...

Jeśli jednak ktoś tam był, to nic już nie powiedział i więcej go nie dotknął. Zatoczył kolejne koło. Samotny w ciemności zapłakał, nie roniąc łez.

KOŁO KRĘCIŁO SIĘ. Simon kręcił się z kołem. Czasem woda chlustała na jego twarz i spływała mu do ust. Podobnie jak czynił to przy Stawie Trzech Głębin, wypijał ją łapczywie, by utrzymać w sobie iskrę życia. Cienie przemykały przez jego umysł. W jego uchu szeptały głosy. Nie istniały granice dla jego myśli, lecz jednocześnie pozostawał uwięziony

w skorupie umęczonego, umierającego ciała. Zaczął tęsknić za uwolnieniem się.

Koło kręciło się. Simon kręcił się z kołem.

PATRZYŁ W BEZKSZTAŁTNĄ SZAROŚĆ, nieskończoną odległość, która wydawała się gdzieś w zasięgu ręki. Unosiła się tam postać, niebieskoszara jak usychające liście – anioł z wieży.

– Simonie – powiedział anioł. – Chcę ci coś pokazać.

Już nawet w myślach Simon nie potrafił sformułować słów, by zadać pytanie.

– Chodź. Nie mamy dużo czasu.

Płynęli razem przez różne rzeczy do innego miejsca. Szarość zawirowała i rozwiała się jak mgła rozproszona gorącym słońcem i Simon zobaczył, że patrzy na coś, co już widział, chociaż nie potrafił powiedzieć gdzie. Tunelem szedł młody mężczyzna o złocistych włosach. W jednej ręce trzymał pochodnię, w drugiej włócznię.

Simon rozejrzał się za aniołem, ale pozostał tylko mężczyzna z włócznią, poruszający się z pełną wyczekiwania ostrożnością. Kim on był? Dlaczego Simon miał go zobaczyć? Czy to była przeszłość? Teraźniejszość? Czy on przychodził, żeby uratować Simona?

Postać zbliżała się. Tunel rozszerzał się i w świetle pochodni pojawiły się wyrzeźbione na ścianach kwiaty i pnącza. Bez względu na to, czy była to przeszłość, teraźniejszość czy przyszłość, Simon wiedział już, gdzie to się dzieje: w Asu’a, głęboko pod Hayholt.

Mężczyzna zatrzymał się nagle i cofnął o krok, wznosząc włócznię. Blask pochodni padł na ogromny kształt, który wyrósł przed nim w komnacie, na progu której stanął – tysiące czerwonych łusek migotało

w świetle. Tuż przy wejściu spoczywała ogromna łapa zakończona żółtymi pazurami.

– Spójrz. Oto część twojej historii.

W następnej chwili scena zniknęła.

SIMON OBUDZIŁ SIĘ I POCZUŁ DŁOŃ na twarzy i wodę spływającą do ust. Zakrztusił się, lecz mimo to połknął kilka życiodajnych kropel.

– Ty jesteś człowiekiem – rzekł głos. – Jesteś prawdziwy.

Znowu woda popłynęła po jego twarzy i do ust. Trudno było połykać, wisząc do góry nogami, lecz Simon nauczył się już tego na kole.

– Kim...? – szepnął, wyrzucając z siebie choć to jedno słowo. Dłoń badała jego twarz, delikatnie jak ciekawski pająk.

– Kim jestem? – spytał głos. – Jestem tym, który jest tutaj. To znaczy w tym miejscu.

Simon otworzył szeroko oczy. Gdzieś w innym pomieszczeniu wciąż paliła się pochodnia, a on ujrzał przed sobą zarys postaci, prawdziwej postaci, mężczyzny, a nie cienia. Lecz koło znowu pociągnęło go do góry. Był przekonany, że kiedy znajdzie się na dole, żywa istota zniknie.

– Kim jestem? – zastanawiał się mężczyzna. – Kiedyś miałem imię, ale to było w innym miejscu. Kiedy żyłem.

Simon nie mógł znieść takich słów. Pragnął jedynie rozmawiać z żywą istotą. Zapłakał.

– Miałem imię – powiedział mężczyzna; mówił coraz ciszej, w miarę jak Simon oddalał się. – W tamtym miejscu, zanim wszystko się wydarzyło. Nazywali mnie Guthwulf.

CZĘŚĆ CZWARTA

PŁONĄCA WIEŻA

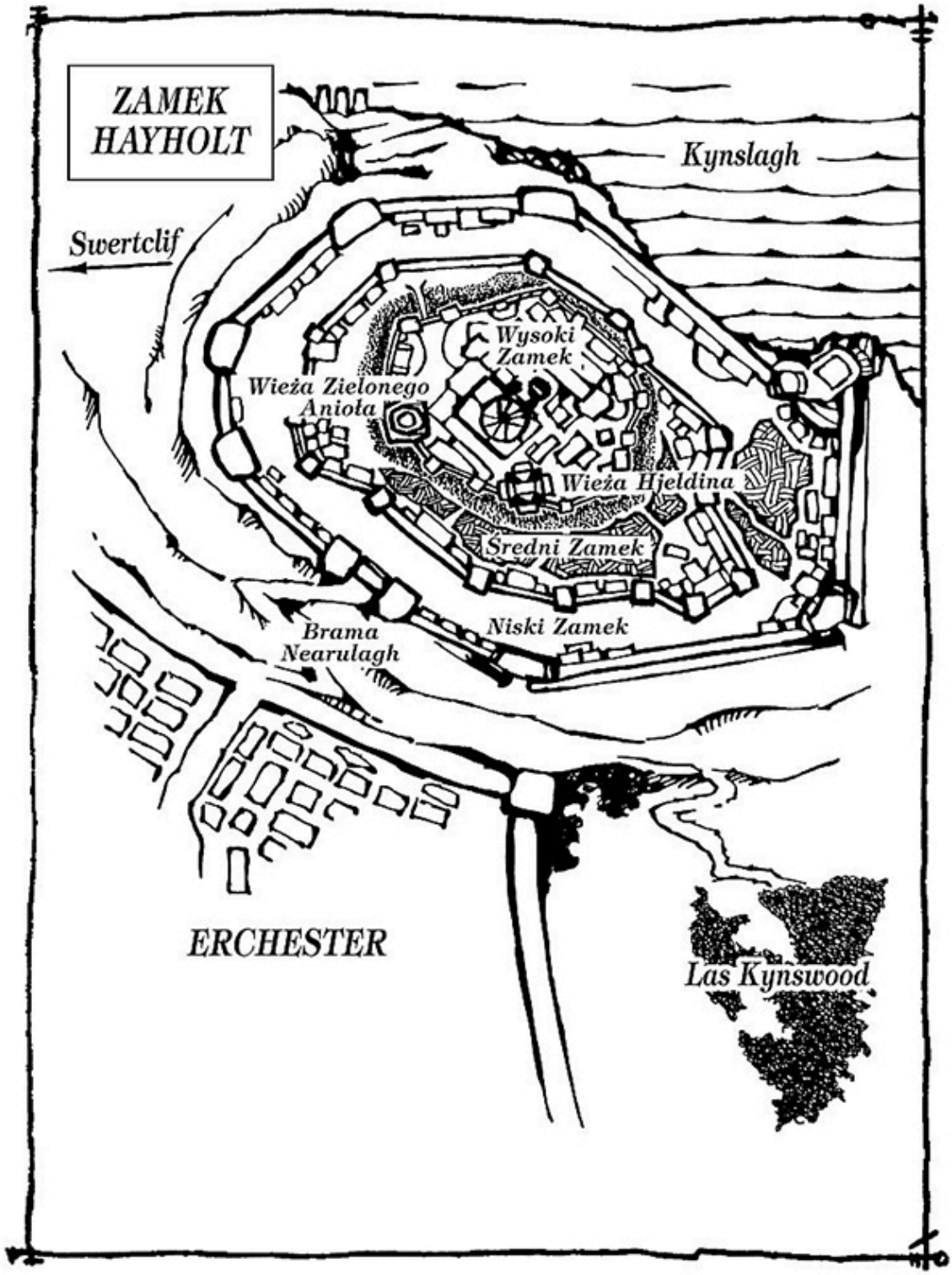
ZAMEK
HAYHOLT
Kynslagh
Swertclif
Wysoki
Zamek
Wieża Zielonego
Anioła
Wieża Hjeldina
Średni Zamek
Niski Zamek
Brama
Nearulagh
ERCHESTER
Las Kynswood

47. Przestraszeni

MIRIAMELE BUDZIŁA SIĘ POWOLI w ciemności. Poruszała się, lecz nie z własnej woli, jakby była przedmiotem. Wciąż czuła duszny, słodkawy zapach. Jej myśli stały się przytępione i powolne.

„Co się stało? Binabik walczył z tamtym szaleńcem...”

Pamiętała niewyraźnie, że jakieś ręce wciągnęły ją w ciemność. Została więźniem... ale czyim? Ojca? Albo... Pryratesa?

Miriamele spróbowała poruszyć nogami, lecz były mocno związane, skrępowane czymś łagodniejszym od sznura czy łańcucha, ale równie skutecznym; ramiona także miała unieruchomione. Była bezradna jak dziecko.

– Puśćcie mnie! – zawołała, chociaż wiedziała, że to nie ma sensu; jednak musiała wyrzucić z siebie swoje rozgoryczenie. Jej głos był stłumiony. Wciąż miała na twarzy worek czy cokolwiek to było.

Nikt nie odpowiadał, lecz czuła, że wciąż posuwają się naprzód. Rzuciła się jeszcze raz, a potem zrezygnowała.

OD JAKIEGOŚ CZASU ZNAJDOWAŁA SIĘ w półśnie, gdy nagle ten, który ją niósł, zatrzymał się. Postawiono ją z zadziwiającą ostrożnością i zsunięto powoli worek z twarzy.

Początkowo oślepiło ją światło, chociaż było przyciemnione. Przed nią stały ciemne postacie; jedna z nich pochylała się nad Miriamele tak nisko, że dziewczyna nie rozróżniła zarysu jej głowy. Kiedy wzrok księżniczki przyzwyczaił się, otworzyła szeroko usta i przywarła do kamiennej ściany. Wokół niej stały potwory.

Stojąca najbliżej niej istota drgnęła, kiedy Miriamele cofnęła się gwałtownie. Podobnie jak pozostałe, przypominała człowieka, lecz posiadała ogromne, ciemne oczy pozbawione białek, a wydłużona głowa kołysała się na końcu cienkiej szyi. Istota zbliżyła do Miriamele dłoń o długich palcach, lecz zaraz ją cofnęła, jakby z obawy, że może zostać ugryziona. Wyrzuciła z siebie kilka słów w języku, który przypominał hernystirski. Miriamele wpatrywała się w nią kompletnie zdumiona. Istota przemówiła ponownie; tym razem posłużyła się niezdarnie językiem Westerling.

– Czy wyrządziliśmy ci jakąś krzywdę? – Pająkowata postać wydawała się szczerze zmartwiona. – Czy nic ci nie jest? Czy możemy coś ci dać?

Miriamele starała się pozostać poza zasięgiem rąk obcych. Nie chcieli jej zrobić krzywdy, przynajmniej na razie.

– Trochę wody – powiedziała. – Kim jesteście?

– Ja jestem Yis-fidri – odparła istota. – To są moi towarzysze i moja żona.

– Czym wy jesteście? – Miriamele zastanawiała się, czy uprzejmość tajemniczych istot nie jest jakimś podstępem. Zerknęła ukradkiem na swój pas, lecz w pochwie nie było noża; przy okazji rozejrzała się dyskretnie. Znajdowała się w niczym nie wyróżniającej się jaskini. Oświetlało ją słabe, różowawe światło, lecz nigdzie nie widziała jego źródła. Niedaleko pod ścianą leżały torby jej i Binabika. Wiedziała, że są w nich rzeczy, które mogłaby wykorzystać do obrony, gdyby musiała...

– Czym jesteśmy? – Istota o imieniu Yis-fidri skinęła głową z powagą. – Jesteśmy ostatnimi spośród naszych ludzi, a przynajmniej ostatnimi, którzy wybrali tę drogę. Drogę Ziemi i Kamienia. – Druga istota wydała melodyjny żałosny dźwięk, jakby ta pozornie nic nie znacząca uwaga posiadała ogromne znaczenie. – Twoi ludzie nazywają nas karlakami.

– Karlakami! – Miriamele byłaby równie zdziwiona, gdyby Yis-fidri oświadczył, że są aniołami. Karlaki były istotami z opowieści ludowych, chochlikami, które żyły w głębi ziemi. I oto stały przed nią. Co więcej, w zachowaniu Yis-fidriego było coś dziwnie znajomego, jakby znała go już albo przynajmniej kogoś podobnego. – Karlaki – powtórzyła. Poczuła wzbierający w niej śmiech. – A więc kolejna opowieść budzi się do życia. – Wyprostowała się, próbując ukryć strach. – Jeśli nie zamierzacie wyrządzić mi krzywdy, to zaprowadźcie mnie z powrotem do mojego przyjaciela. On jest w niebezpieczeństwie.

Istota o okrągłych oczach spojrzała smutno na Miriamele. Kiedy wydała dźwięczny odgłos, do przodu wysunął się inny karlak z kamienną miską w dłoniach.

– Napij się tego. To jest woda, tak jak prosiłaś.

Miriamele powąchała ciecz, lecz zaraz pomyślała, że chyba karlaki nie mają zamiaru jej otruć, skoro przyniosły ją tam z taką łatwością. Przyjemnie było poczuć w gardle chłodną, czystą wodę.

– Czy zabierzecie mnie do niego? – spytała ponownie, ugasiwszy pragnienie.

Karlaki spoglądały po sobie nerwowo; ich głowy kołysały się jak maki na wietrze.

– Proszę, śmiertelna kobieto, nie proś o to – odezwał się wreszcie Yis-fidri. – Znajdowałaś się w niebezpiecznym miejscu, nawet nie wiesz, jak

bardzo niebezpiecznym. A do tego niosłaś coś, czego nie powinnaś tam mieć. Równowaga jest niezwykle delikatna.

– Niebezpieczne miejsce? – Miriamele poczuła przypływ oburzenia. – Jakim prawem porywacie mnie od mojego przyjaciela? Ja zdecyduję, co jest dla mnie niebezpieczne!

Karlak pokręcił głową.

– Nie dla ciebie, a przynajmniej nie tylko dla ciebie. Straszne rzeczy się ważą, a tamto miejsce... nie jest dobre. – Wydawał się bardzo zakłopotany, a pozostałe karlaki kołysały się za nim, pomrukując nerwowo. Miriamele miała ochotę się roześmiać, chociaż nie było jej do śmiechu. – Nie możemy pozwolić ci tam pójść. Bardzo nam przykro. Niektórzy z nas wrócą, żeby poszukać twojego przyjaciela.

– Dlaczego mu nie pomogliście? Dlaczego nie przyprowadziliście go ze mną, skoro uważacie, że nie powinniśmy się tam znaleźć?

– Bardzo się baliśmy. On walczył z Nieżyjącym, tak nam się przynajmniej wydawało. A tam bardzo łatwo zaburzyć równowagę.

– Co to znaczy? – Miriamele wstała; gniew wziął górę nad strachem. – Nie możecie tak postępować. – Zaczęła przesuwać się w stronę zacienionego miejsca, które mogło być wejściem do tunelu.

Yis-fidri chwycił ją za rękę. Palce miał zrogowaciałe i twarde jak kamień. W tym pająkowatym karlaku drzemała ukryta siła, wielka siła.

– Proszę, śmiertelna kobieto. Powiemy ci wszystko, co możemy. Zostań z nami. Poszukamy twojego przyjaciela.

Próbowała uwolnić rękę, lecz bezskutecznie. Równie dobrze mogłaby odpychać ziemię.

– A zatem nie mam wyboru – powiedziała bezradnie. – W takim razie powiedzcie mi, co wiecie. Jeśli jednak Binabikowi stała się krzywda

z powodu tego, co zrobiliście, to ja... znajdę sposób, żeby was ukarać, kimkolwiek jesteście.

Yis-fidri zakołysał ogromną głową jak skarcony pies.

– Nie chcemy zmuszać nikogo do robienia czegoś wbrew woli. Sami wycierpieliśmy dużo od złych panów.

– Nazywajcie mnie Miriamele, skoro już muszę pozostać waszym więźniem.

– Wybacz nam, Miriamele. – Yis-fidri puścił jej rękę. – A przynajmniej nie osądzaj nas, dopóki nie usłyszysz wszystkiego, co mamy do powiedzenia.

Miriamele napiła się jeszcze wody z kamiennej miski.

– Mówcie.

Karlak przesunął wzrokiem po kręgu ogromnych, ciemnych oczu i zaczął opowiadać.

JAK SIĘ CZUJE MAEGWIN? – spytał Isorn. Jego głowa, owinięta bandażem, wyglądała jak spuchnięta. Powiew mroźnego wiatru przecisnął się pod zasłoną wejścia do namiotu i zakołysał płomieniami małego ogniska.

– Wydawało mi się, że wraca do nas – rzekł Eolair. – Wczorajszej nocy zaczęła się ruszać i oddychać głębiej. Wyszeptała nawet kilka słów, ale ich nie zrozumiałem.

– Ależ to dobre wieści! Dlaczego jesteś taki ponury?

– Była u niej sithijska uzdrowicielka. Powiedziała, że to jakby gorączka, że czasem cierpiący wynurza się na powierzchnię, podobnie jak tonący... po raz ostatni... ale to nie znaczy... – Eolair mówił drżącym głosem. Starał się

opanować. – Uzdrowicielka powiedziała, że Maegwin wciąż jest blisko śmierci, jeśli nie bliżej.

– A ty jej wierzysz?

– To nie jest choroba ciała, Isornie – odpowiedział cicho hrabia. – Jej dusza, już wcześniej okaleczona, została zraniona. Widziałeś ją ostatnio. – Splótł na chwilę dłonie. – Sithowie znają się na tym lepiej od nas. Cokolwiek stało się Maegwin, nie zostawiło żadnych ran ani złamań. Ciesz się, że twoje rany można po prostu połatać.

– Cieszę się. – Młody Rimmersman zmarszczył czoło. – Ach, Miłosierny Aedonie, takie to smutne. Czy nic nie można zrobić?

Hrabia wzruszył ramionami.

– Uzdrowicielka twierdzi, że niczego więcej nie potrafi już zrobić. Może tylko ją pielęgnować.

– Przeklęty los dla takiej dobrej kobiety. Ród Llutha jest prześladowany w pewnym sensie.

– Kto by przypuszczał jeszcze rok temu, że tak potoczą się sprawy. – Eolair zacisnął zęby. Czuł, że jego smutek musi znaleźć ujście albo go zabije. – Na Tarczę Murhagha, Isornie, nie ma się co dziwić, że Maegwin szukała bogów! Czy nie miała prawa pomyśleć, że nas opuścili? Jej ojciec zabity, brat poddany torturom i poćwiartowany, a jej lud wypędzony. Mój lud! A teraz biedna Maegwin pogrążona w szaleństwie i pozostawiona śmierci w śniegach Naglimundu. To coś więcej niż nieobecność bogów; to tak, jakby oni pragnęli ją ukarać!

Isorn zrobił znak Drzewa.

– Nie wiemy, jakie są zamiary Niebios, Eolairze. Może jej przeznaczone jest coś większego, niż się spodziewamy.

– Może. – Eolair starał się opanować wzbierającą w nim złość. Nie można było winić Isorna za to, że Maegwin odchodziła i że mówił

rozsądnie. Hrabiemu Nad Mullach nie zależało jednak teraz na rozsądku i dobroci. On miał ochotę wyć jak wilk z Frostmarch. – Ach, niech mnie Cuamh ugryzie, Isornie, powinieneś ją zobaczyć! Albo leży bez ruchu, jakby już umarła, albo krzywi się przerażona i próbuje coś chwycić. – Hrabia sam uniósł dłoń i zakrzywił palce. – O tak, jakby szukała czegoś, co by ją uratowało. – Eolair uderzył dłońmi w kolana. – Ona czegoś potrzebuje, a ja nie mogę jej tego dać. Jest zagubiona, a ja nie potrafię jej sprowadzić z powrotem! – Hrabia oddychał ciężko.

Isorn przyglądał się uważnie przyjacielowi. W jego oczach zatliła się iskierka zrozumienia.

– Eolairze, ty ją kochasz?

– Nie wiem! – Hrabia zakrył twarz dłońmi na chwilę. – Myślałem, że jestem tego blisko, ale ona wtedy odwracała się, stawała się obojętna i zimna. Gdy jednak wstąpiło w nią szaleństwo, wyjawiła mi, że kochała mnie od dzieciństwa. Powiedziała, że była pewna, iż ją wyśmieję, i nie chciała, żeby jej żałować, dlatego trzymała mnie na dystans, bym nigdy nie dowiedział się prawdy.

– Matko Miłosierna – szepnął Isorn. Położył swoją piegowatą dłoń na dłoni Eolaira.

Hrabia z ulgą przyjął silny uścisk.

– I bez wojen pomiędzy nieśmiertelnymi świat jest wystarczająco mrocznym labiryntem. Ach, bogowie, czy my już nigdy nie zaznamy spokoju?

– Kiedyś – powiedział Rimmersman. – Kiedyś musi to nastąpić.

Eolair uścisnął jeszcze raz dłoń przyjaciela.

– Jiriki mówił, że Sithowie odjadą za dwa dni. Pojedziesz z nimi czy wrócisz do Hernystiru?

– Nie wiem jeszcze. Moja głowa nie lubi chyba jeszcze szybkiej jazdy.

– A zatem jedź ze mną – powiedział hrabia, wstając. – My się nie śpieszymy.

– Bądź zdrów, Eolairze.

– Ty także. Jeśli chcesz, przyjdę później z tym winem Sithów. Z pewnością złagodzi ból głowy.

– Przyniesie na pewno o wiele więcej korzyści. – Isorn roześmiał się. – Pewnie i rozum mi trochę rozpuści, ale nie dbam o to. Nigdzie nie jadę i nie mam nic do zrobienia. Przyjdź z winem, kiedy będziesz mógł.

Eolair poklepał przyjaciela po ramieniu i wyszedł na przenikliwy wiatr.

KIEDY EOLAIR ZNALAZŁ SIĘ W MIEJSCU, gdzie leżała Maegwin, po raz kolejny uderzyła go moc Sztuki Sithów. Wprawdzie namiot Isorna był solidnie wykonany, lecz mimo to wpełzało do niego zimno i topniejący śnieg. Maegwin leżała w namiocie Sithów, gdyż Jiriki nalegał, by otrzymała możliwie najlepsze warunki; choć namiot był tak cienki, że sprawiał wrażenie półprzezroczystego, to jednak wchodząc do jego wnętrza, miało się wrażenie, że przekracza się próg solidnego domu. Burza, która chwyciła w swoje szpony Naglimund, wydawała się bardzo odległa.

Eolair zastanawiał się, dlaczego tak jest, skoro Sithowie prawie nie zwracali uwagi na zimno.

Kira’athu podniosła wzrok, kiedy Eolair wszedł do namiotu. Maegwin, przykryta kocem na sienniku, rzucała się niespokojnie, lecz jej twarz wciąż pozostawała śmiertelnie blada, a oczy zamknięte.

– Czy coś się zmieniło? – spytał Eolair, chociaż znał odpowiedź.

Sithijka wzruszyła ramionami.

– Ona walczy, ale chyba nie ma siły wyrwać się z tego, co ją trzyma. – Złociste oczy Sithijki patrzyły jakby obojętnie, lecz Eolair wiedział, ile

czasu spędziła u boku Maegwin. Oni po prostu byli inni; nie można było osądzać ich po wyrazie twarzy czy głosie. – Czy ona coś mówiła do ciebie? – spytała nagle Kira’athu.

Eolair obserwował, jak palce Maegwin zaciskają się na kocu w poszukiwaniu czegoś, czego tam nie było.

– Tak, ale nie słyszałem dobrze. Nic z tego nie zrozumiałem. Żadnych słów.

Sithijka uniosła srebrzyste brwi.

– Wydawało mi się, że słyszałam... – Spojrzała na Maegwin, której usta poruszały się bezgłośnie.

– Co słyszałaś?

– Mowę Ogrodu. – Kira’athu rozłożyła ramiona, jednocześnie dotykając kciuków czubkami palców. – Jak wy byście powiedzieli „język Sithów”.

– Możliwe, że nauczyła się go trochę w czasie naszej wspólnej podróży. – Eolair przysunął się bliżej. Nie mógł patrzeć na błądzące dłonie Maegwin.

– Może – przyznała uzdrowicielka. – Ale te słowa brzmiały nieomal, jakby wypowiadali je Zida’ya.

– Jak to? – Eolair wydawał się zdumiony, ale i rozzłoszczony.

Kira’athu wstała.

– Wybacz. Powinnam porozmawiać o tym z Jirikim i Likimeyą, zamiast cię niepokoić. I tak nie ma to większego znaczenia. Przykro mi, hrabio Eolairze, że nie mam ci nic weselszego do powiedzenia.

Usiadł na ziemi obok Maegwin.

– To nie twoja wina. Jesteś bardzo uprzejma. – Podsunął swoją dłoń, tak by Maegwin mogła ją chwycić, lecz ona odsunęła natychmiast zimne palce. – Niech mnie Bagba ugryzie, czego jej trzeba?

– Czy ona ma coś takiego, co zwykle nosi ze sobą, może na szyi? – spytała Kira’athu. – Jakiś amulet czy inny przedmiot, z którym czuje się dobrze?

– Nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Może potrzeba jej wody.

Sithijka potrząsnęła głową.

– Dałam jej pić.

Eolair pochylił się i zaczął przeglądać zawartość toreb Maegwin. Wyciągnął szal z ciepłej wełny i wsunął jej do ręki, lecz Maegwin potrzymała go tylko przez chwilę i zaraz odepchnęła. Jej ręce wciąż szukały, pełzały niespokojnie po sienniku, a z jej gardła wydobywały się nieokreślone dźwięki.

Zaczął wyjmować kolejne przedmioty i układać je przy jej palcach: miseczkę, drewnianego ptaka, który pochodził z Sali Rzeźb w Taig, a nawet rękojeść spoczywającego w pochwie noża. Eolair zasmucił się na jego widok, gdyż obawiając się, że w takim stanie umysłu Maegwin może sobie wyrządzić krzywdę, nie pozwolił jej zabierać noża. Najwyraźniej zlekceważyła jego słowa. Jednak żaden z przedmiotów nie wydawał się przynosić jej ulgi. Dłonie dziewczyny odpychały gwałtownie wszelkie przedmioty, chociaż jej twarz wciąż pozostawała bez wyrazu.

Palce hrabiego napotkały coś ciężkiego. Wyjął dłoń i utkwił wzrok w kamieniu.

– Co to jest? – spytała Kira’athu zaskakująco ostrym tonem.

– Otrzymała to od karlaków. – Podniósł kamień wyżej. – Widzisz, Yis-fidri wyrzeźbił na nim imię Maegwin, tak przynajmniej mówił.

Kira’athu wzięła od niego kamień i obróciła go w palcach.

– Rzeczywiście tu jest jej imię. To jest pismo runiczne Tinukeda’ya, karlaków, tak ich nazywacie?

Eolair przytaknął jej.

– Zaprowadziłem Jirikiego do ich miejsca, Mezutu’a. – Wziął kamień od Sithijki i patrzył, jak blask ognia rozprasza się w jego głębi. – Nie wiedziałem, że zabrała to ze sobą.

Nagle Maegwin jęknęła; dźwięk był tak głęboki, że hrabia podskoczył. Odwrócił się szybko w stronę łóżka. Maegwin wydała kolejny dźwięk, który przypominał jakieś słowo.

– Zagubiony – szepnęła Kira’athu, przysuwając się bliżej.

Eolair zacisnął zęby.

– Co to znaczy?

– To powiedziała. Mówi w języku Ogrodu.

Hrabia wpatrywał się w zmarszczone czoło Maegwin. Jej usta znowu się poruszyły, lecz nie wydały już żadnego dźwięku; rzucała tylko głową z boku na bok. Nagle uniosła dłonie w stronę Eolaira. Kiedy hrabia wypuścił kamień, by wziąć ją za ręce, chwyciła kamień i przycisnęła do piersi. Jej ciało się uspokoiło. Oczy wciąż miała zamknięte, lecz teraz wydawało się, że zapadła w spokojny sen.

Eolair patrzył na nią zdumiony. Kira’athu pochyliła się, po czym dotknęła jej brwi i powąchała oddech.

– Czy czuje się dobrze? – spytał hrabia.

– Nie jest bliżej nas, ale chwilowo odpoczywa. Myślę, że szukała właśnie kamienia.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. Porozmawiam z Likimeyą i jej synem, a także z innymi. Ale to niczego nie zmienia, Eolairze. Może czuje się bezpieczniejsza, chodząc po Ścieżce Snów czy tam, gdzie przebywa. A to już coś.

Przykryła kocem dłonie Maegwin, których nieodłączną częścią stał się teraz kamień.

– Powinieneś odpocząć, hrabio Eolairze. – Sithijka podeszła do wyjścia. – W niczym jej nie pomożesz, jeśli sam zachorujesz.

Kiedy zasłona wyjścia uniosła się, przez namiot przeleciał zimny oddech.

ISGRIMNUR PATRZYŁ, JAK LEKTOR VELLIGIS opuszcza salę tronową.

Ogromną lektykę dźwigało ośmiu skrzywionych strażników, a poprzedzała ją procesja duchownych, niosących święte relikwie i dymiące kadzidła. Pomyślał, że przypominają oni jarmark, który przenosi się do innej wioski. Patrzył ze swojego krzesła pod ścianą, którego – ze względu na rany – nie musiał opuszczać, by klęknąć.

Camaris, pomimo tak szlachetnego wyglądu, najwyraźniej czuł się nieswojo na książęcym tronie. Josua, klęczący przy tronie w czasie wyjścia Lektora, teraz wstał.

– A zatem Matka Kościół usankcjonowała nasze zwycięstwo. – Książę otrzepał kolana z kurzu.

– A co innego mogła zrobić? – warknął Isgrimnur. – Wygraliśmy, a Velligis zawsze stawia swoje pieniądze na faworytów, obojętnie jakich.

– On jest Lektorem, książę Isgrimnurze – wtrącił surowym głosem Camaris. – Jest boskim zwierzchnikiem na ziemi.

– Camaris ma rację. Bez względu na to, kim był przedtem, dostąpił zaszczytu zasiadania na Najwyższym Tronie. Należy mu się szacunek.

Isgrimnur mruknął zniecierpliwiony.

– Jestem stary i poobijany i wiem to, co wiem. Mogę okazać szacunek Tronowi, nie darząc miłością osoby na nim siedzącej. Czy to, że twój brat zasiadł na Smoczym Tronie, sprawiło, że jest dobrym Królem?

– Nikt nigdy nie twierdził, że panowanie czyni Króla nieomylnym.

– Powiedz to większości królów – rzucił Isgrimnur.

– Proszę. – Camaris uniósł dłoń. – Dosyć. Mieliśmy ciężki dzień, a wciąż jeszcze wiele jest do zrobienia.

Isgrimnur spojrzał na starego rycerza. Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego, tak jak jeszcze nigdy dotąd. Mogłoby się wydawać, że uwolnienie Nabbanu od zabójcy jego brata powinno przynieść Camarisowi radość, a zamiast tego wyssało z niego życie.

„Jakby zdawał sobie sprawę, że dokonał rzeczy, która była mu pisana, ale tylko jednej. Chciałby odpocząć, lecz nie może. – Książę pomyślał, że chyba wreszcie rozumie przyjaciela. – Zastanawiałem się, dlaczego jest taki dziwny, nieobecny. – Z pewnością trudno było mu słuchać zarzutów kwestionujących wolę Bożą, nawet w kontekście nieomylności Lektora. – On siebie samego uważa za zmarłego”. – Isgrimnur powstrzymał drżenie. Co innego pragnąć odpoczynku, a co innego uważać się za zmarłego. Książę zastanawiał się, czy Camaris, właśnie on, mógłby zrozumieć Króla Burz.

– Dobrze – powiedział Josua. – Musimy się spotkać jeszcze z jedną osobą. Porozmawiam z nim, Camarisie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Myślałem nad tym od jakiegoś czasu.

Stary rycerz machnął dłonią obojętnie. Jego oczy przypominały kawałki lodu schowane pod gęstymi brwiami.

Josua dał znać paziowi i drzwi się otworzyły. Kiedy wnoszono lektykę hrabiego Streawe’a, Isgrimnur usiadł wygodniej i podniósł kufel piwa, który ukrył za krzesłem. Pociągnął długi łyk. Było już popołudnie, ale wysokie, sięgające sufitu okna skutecznie powstrzymywały burzę, która chłostała morze poniżej pałacu, a na ścianach płonęły liczne pochodnie.

Isgrimnur wiedział, że to blask pochodni sprawiał, iż komnata wygląda szaro; w rzeczywistości pomalowano ją w kolorach morza, piasku i nieba.

Wystawiono z lektyki krzesło Streawe'a i postawiono je u podnóża tronu. Hrabia uśmiechnął się i skłonił głowę.

– Książę Camarisie. Witam z powrotem na należnym ci miejscu. Tęskniliśmy za tobą, mój panie. – Zakołysał siwą głową. – Książę Josuo i książę Isgrimnurze. Czuję się zaszczycony zaproszeniem. Szlachetne to towarzystwo.

– Nie jestem księciem, hrabio Streawe – powiedział Camaris. – Nie przejąłem żadnego tytułu. Jedynie pomściłem śmierć brata.

Josua wysunął się do przodu.

– Nie pojmij źle jego skromności, hrabio. Camaris sprawuje tutaj rządy.

Streawe uśmiechnął się szeroko, a zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się. Isgrimnurowi przypominał on najbardziej typowego dziadka, jakiego Bóg mógł stworzyć. Zastanawiał się, czy hrabia ćwiczył przed lustrem.

– Cieszę się, że przyjąłeś moją radę, książę Josuo. Sam widzisz, jak wielu było niezadowolonych z rządów Benigarisa. Teraz w Nabbanie zapanowała radość. W drodze z portu widziałem ludzi tańczących na placach.

Josua wzruszył ramionami.

– Myślę, że przyczynił się do tego baron Seriddan i inni, którzy posłali ludzi do miasta, żeby wydali swoje pieniądze. Pomimo ciężkich czasów to miasto nie ucierpiało bardzo od Benigarisa. Ojcobójca czy nie, sprawował rządy dość dobrze.

Hrabia patrzył przez chwilę na Josuę i zdecydował, że należy przyjąć inną taktykę.

– Tak – powiedział wolno. Isgrimnur z zadowoleniem przyglądał się przedstawieniu. – Tu masz rację. Ale przecież ludzie wiedzą, nie sądzisz? Ludzie domyślali się, że coś było nie tak, wielu powtarzało plotki o tym, że Benigaris zamordował swojego ojca, a twojego drogiego brata, sir Camarisie, żeby zasiąść na tronie. Niektóre problemy rzeczywiście nie powstały z winy Benigarisa, ale nie można zaprzeczyć, że panował ogólny niepokój.

– Niepokój, którego płomienie rozdmuchaliście wraz z Pryratesem.

Perdruiński władca wydawał się szczerze zdumiony.

– Uważasz, że mam coś wspólnego z Pryratesem? – Na moment jego dworska maska opadła, ukazując oblicze człowieka o stalowej woli. – Z tym czerwonym robakiem? Josuo, gdybym mógł chodzić, musiałbyś się ze mną zmierzyć za te słowa.

Książę patrzył na niego przez chwilę chłodno, lecz zaraz wyraz jego twarzy złagodniał.

– Nie twierdzę, że działaliście z Pryratesem jednomyślnie, ale obaj wykorzystywaliście sytuację dla swoich celów, bardzo różnych, co do tego nie mam wątpliwości.

– Jeśli o to ci chodzi, to przyznaję się do winy i składam ją u stóp łaskawego tronu. – Hrabia wydawał się skruszony. – Owszem, działam w taki sposób, by chronić interesy mojej wyspy. Nie mam wielkich armii i zawsze staję się ofiarą kaprysów moich sąsiadów. W Ansis Pelippe mówi się, że kiedy Nabban przewraca się we śnie, Perdruin wypada z łóżka.

– Dobrze powiedziane, hrabio. – Josua roześmiał się. – Jest w tym dużo prawdy. Ale mówi się także, że jesteś prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem w Osten Ard. Czy wszystko jest wynikiem troski o Perdruin?

Streawe wyprostował się na krześle.

– To, co posiadam, jest moją sprawą. Sądziłem, że wezwałeś mnie jako sprzymierzeńca, a nie po to, żeby mnie obrażać.

– Oszczędź mi swojej fałszywej powagi, dobry hrabio. Nie chce mi się wierzyć, żebyś za zniewagę uważał nazywanie cię bogatym. Ale masz rację co do jednego: chcemy porozmawiać z tobą o sprawach wspólnie nas dotyczących.

Hrabia skinął głową z powagą.

– To już lepiej, książę Josuo. Wiesz, że cię popieram. Pamiętasz wiadomość, którą posłałem ci przez Lentiego? Chętnie pomówię o tym, jak jeszcze mogę ci pomóc.

– Jak wzajemnie możemy sobie pomóc. – Josua podniósł dłoń, powstrzymując protest Streawe'a. – Proszę, hrabio, oszczędźmy sobie wstępnych podskoków. Czas nagli. Jestem z tobą szczery. Nie bawmy się w udawanie, że zaprzeczamy temu czy tamtemu.

Starzec wydął usta i zmrużył oczy.

– Dobrze, Josuo. Jestem coraz bardziej zaintrygowany. Czego chcesz?

– Statków. I marynarzy, którzy by na nich popłynęli. Tyle, żeby nasza armia mogła popłynąć do Erkynlandu.

Najwyraźniej zaskoczony, Streawe zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

– Chcesz teraz płynąć do Erkynlandu? Po długiej i wyczerpującej walce o Nabban, w chwili kiedy najgorsza od niepamiętnych czasów burza pędzi morze od północy? – Wskazał na zamknięte okna, za którymi wiatr wył, gnając przez Wzgórze Sancellińskie. – Zeszłej nocy było tak zimno, że w Komnacie Fontann zamarzła woda. Ledwie Dzwon Claveana zadzwonił nad domem Bożym. A ty chcesz wypłynąć na morze?

Isgrimnur wzdrygnął się, kiedy hrabia wspomniał dzwon. Josua spojrzał na Rimmersmana, ostrzegając go, by milczał. Obaj pamiętali dobrze przepowiednię Nissesa.

– Tak, Streawe – odparł książę. – Są burze i burze. Musimy stawić czoło jednym, żeby pokonać inne. Wyruszę najszybciej, jak będzie to możliwe.

Hrabia rozłożył dłonie.

– Dobrze, wiesz, co robisz. Ale co ja mam do tego? Statki perdruińskie nie są okrętami wojennymi, a poza tym znajdują się na morzu. Tobie potrzeba nabbańskiej floty. – Wskazał na tron. – Teraz Camaris jest panem Domu Zimorodka.

– Ale ty jesteś panem doków – odparł Josua. – Jak powiedział Benigaris: myślał, że ma cię w garści, a tymczasem ty podgryzałeś go od środka. Czy zużyłeś już trochę tego złota, które, jak mówią, wypełnia katakumby pod twoim domem na Sta Mirore? Albo jeszcze coś innego, otóż podobno... – Książę pokręcił głową. – Nieważne. Rzecz w tym, Streawe, że możesz nam pomóc albo zaszkodzić. Chciałbym pomówić o cenie: w grę wchodzi złoto lub władza. W grę wchodzi też zaopatrzenie. Chciałbym mieć statki gotowe za siedem dni albo nawet wcześniej.

– Za siedem dni? – Hrabia po raz kolejny wyraził szczere zdziwienie. – To nie będzie łatwe. Słyszałeś pewnie o kilpach? Potrafią biegać jak ryby królewskie, tylko że ryby królewskie nie wyciągają marynarzy za burtę i nie zjadają ich. Ludzie niechętnie wypływają w morze w tak ponure dni.

– A więc zaczynamy się targować? – spytał Josua. – Dobrze, wiemy, że czasy są trudne. Czego chcesz, złota czy władzy?

Streawe roześmiał się nagle.

– Tak, zaczęliśmy się targować. Ale ty mnie przeceniasz, Josuo, albo nie doceniasz swoich skarbów. Posiadasz coś, co byłoby dla mnie o wiele cenniejsze od złota czy nawet władzy, co w rzeczywistości dałoby mi i jedno, i drugie.

– Co to takiego?

Hrabia pochylił się do przodu.

– Wiedza. – Wyprostował się uśmiechnięty. – Jesteśmy kwita, odwdzięczyłem ci się za szczerość, jaką okazałeś mi wcześniej. – Hrabia potarł dłonie, z trudem ukrywając zadowolenie. – A więc do rzeczy.

Isgrimnur westchnął cicho, kiedy Josua usiadł obok perdruińskiego władcy. Choć książę śpieszył się, to jednak taniec okazał się dość skomplikowany. Streawe najwyraźniej czerpał z tego zbyt wiele radości, by się śpieszyć, a Josua traktował sprawę zbyt poważnie. Isgrimnur spojrzał na Camarisa, który milczał od początku rozmowy. Stary rycerz siedział z brodą opartą na dłoni, wpatrzony w okna, jakby widział tam coś niezwykle interesującego. Isgrimnur westchnął ponownie i sięgnął po piwo. Wyczuwał, że czeka ich długi wieczór.

STRACH MIRIAMELE PRZED KARLAKAMI powoli topniał. Przypomniała sobie, co Simon i pozostali opowiadali o podróży hrabiego Eolaira na *Sesuad'ra*. Hrabia spotkał je – on nazywał je *domhaini* – w kopalniach we wnętrzu gór Hernystiru. Opisał je jako przyjazne i spokojne istoty, i takimi się wydawały: poza tym, że porwały ją ze schodów, nie wyrządziły jej żadnej innej krzywdy. Lecz nie pozwalały jej odejść.

– Proszę. – Wskazała na swoje torby. – Jeśli uważacie, że coś, co mam ze sobą, może być niebezpieczne czy... jakie tam, to sami poszukajcie.

Karlaki podekscytowane popiskiwały coś między sobą, gdy tymczasem Miriamele rozważała możliwość ucieczki. Zastanawiała się, czy karlaki kiedykolwiek śpią. Tylko gdzie one ją przyprowadziły? Jak znajdzie drogę i dokąd pójdzie? Przynajmniej wciąż miała mapy, chociaż wiedziała, że nie umiałaby odczytać ich tak dobrze jak Binabik.

Gdzie jest Binabik? Czy jeszcze żyje? Niedobrze jej się robiło na wspomnienie tego szczerzącego zęby szaleńca, który zaatakował trolla.

Jeszcze jeden przyjaciel zginął w cieniu. Mały troll miał rację: to była głupia podróż. Jej głupota być może przyniosła śmierć dwóm jej najbliższym przyjaciołom. Jak mogła dalej z tym żyć?

Miriamele nie obchodziło już, co postanowią karlaki. Smutek odebrał jej resztkę sił.

– Przeszukamy torby za twoim pozwoleniem – oznajmił Yis-fidri. – Żeby nie złamać waszego zwyczaju, moja żona Yis-hadra tylko ich dotknie.

Roztropność karlaków rozbawiła Miriamele. Czego się spodziewali? Że przyniosła ze sobą śliczne ubranka księżniczki z zamku? Delikatne pamiątki? Pachnące listy od wielbicieli?

Yis-hadra podeszła nieśmiało i zaczęła przeglądać zawartość podróżnych sakiew. Jej mąż klęknął obok Miriamele.

– Bardzo nam przykro, że tak się dzieje. To nie jest w naszym zwyczaju, nigdy nie narzucamy nikomu swojej woli. – Wydawało się, że bardzo zależy mu, aby uwierzyła jego słowom.

– Wciąż nie rozumiem, czego się tak obawiacie.

– Chodziło o miejsce, w którym ty i twój przyjaciel się znaleźliście. Ono jest... jest... nie znam słów śmiertelników, którymi mógłbym to wyrazić. – Zgiął swoje długie palce. – Istnieją moce, rzeczy, które spały od dawna, a teraz się obudziły. Schody w wieży, którymi szliście, są takim miejscem, gdzie siły te posiadają dużą moc. Z każdym dniem są coraz silniejsze. Nie rozumiemy, co się dzieje, dlatego zanim to się stanie, nie może się wydarzyć nic, co by zachwiało równowagę...

Miriamele dała mu znak, by przestał mówić.

– Powoli, Yis-fidri. Staram się ciebie zrozumieć. Po pierwsze, ten, który zaatakował nas na schodach, nie był jednym z was. Zdaje się, że Binabik go rozpoznał, ale ja nigdy przedtem go nie widziałam.

Yis-fidri potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie, nie, Miriamele. Nie obraź się. Wiemy, że ten, który walczył z twoim przyjacielem, nie był naszym towarzyszem. To była chodząca pustka pełna Niebytu. Może kiedyś był on śmiertelnikiem. Nie, mówię o tym, który podążał za wami.

– Za nami? Było nas tylko dwoje. Chyba że... – Serce zabiło jej gwałtownie. Czy to mógł być Simon szukający swoich przyjaciół? Czy był tuż za nimi, kiedy ją porwano? Nie, to byłoby zbyt okrutne!

– Ktoś szedł za wami – oświadczył stanowczo Yis-fidri. – Nie potrafimy powiedzieć, jakie miał zamiary. Wiemy tylko, że na schodach znajdowało się trzech śmiertelników.

Miriamele potrząsnęła głową. Tyle chaosu i tyle smutku naraz.

Yis-hadra wydała ptasi odgłos. Yis-fidri odwrócił się. Jego żona trzymała w dłoni Białą Strzałę.

– Oczywiście – szepnął Yis-fidri. Pozostałe karlaki pochyliły się nad strzałą. – Czuliśmy ją. – Odwrócił się do Miriamele. – To nie jest nasze dzieło, inaczej rozpoznalibyśmy ją tak dobrze, jak ty rozpoznajesz swoją rękę. Została wykonana przez Vindaomeyo, jednego z Zida’ya, których nauczyliśmy naszej sztuki. Widzisz – odebrał przedmiot z rąk żony – tutaj jest kawałek jednego z Wielkich Świadków. – Wskazał na błękitnoszary grot. – Nic dziwnego, że go czuliśmy.

– I posiadanie go na schodach było niebezpieczne? – Miriamele próbowała zrozumieć wszystko, lecz strach i zmęczenie coraz bardziej dawały o sobie znać. – Jak to możliwe?

– Spróbujemy ci to wyjaśnić. Następują zmiany. Równowaga jest bardzo delikatna. Czerwony kamień na niebie przemawia do kamieni na ziemi, a my, Tinukeda’ya, słyszymy głosy tych kamieni.

– I te głosy każą wam porywać ludzi ze schodów? – Była wyczerpana i nie potrafiła się opanować.

– Nie chcieliśmy tutaj przychodzić – powiedział Yis-fidri ponuro. – To, co się wydarzyło w naszym domu i w innych miejscach, zmusiło nas, byśmy poszli na południe, lecz kiedy dotarliśmy tutaj przez stare tunele, okazało się, że w tym miejscu niebezpieczeństwo jest jeszcze większe. Nie możemy iść dalej, ale nie możemy też wrócić. Musimy jednak zrozumieć, co się dzieje, żeby w miarę możliwości tego uniknąć.

– Chcecie uciec? – spytała Miriamele. – Dlatego to wszystko robicie? Żeby uzyskać możliwość ucieczki?

– My nie jesteśmy wojownikami. Nie jesteśmy tacy jak nasi dawni panowie, Zida’ya. Zasadą Dzieci Oceanu zawsze było przeżyć.

Miriamele potrząsnęła głową. Porwali ją od jej przyjaciela po to tylko, żeby mogli uciec przed czymś, czego ona nie rozumie.

– Puśćcie mnie.

– Nie możemy, Miriamele. Przykro nam.

– W takim razie pozwólcie mi się położyć. – Odeszła pod ścianę i zwinęła się pod płaszczem.

Karlaki nie zatrzymywały jej. Znowu zaczęły rozmawiać między sobą. Ich głosy, melodyjne i zupełnie niezrozumiałe jak śpiew świerszcza, podążyły za nią w sen.

48. Śpiący smok

„OCH, PROSZĘ, BOŻE, nie pozwól mu odejść!”

Koło zaniosło Simona na górę. Jeśli nawet Guthwulf mówił coś w ciemności w dole, to Simon nie słyszał go poprzez skrzypienie koła i dzwonienie łańcuchów.

Guthwulf! Czy to może być ten sam człowiek, którego Simon widywał na dworze, Namiestnik Wielkiego Króla o surowej twarzy? To on dowodził oblężeniem Naglimundu, był jednym z najlepszych przyjaciół Króla Eliasa. Co on tu robił? To musi być ktoś inny. Ale bez względu na to, kto to był, mówił przynajmniej ludzkim głosem.

– Słyszysz mnie? – wyszeptał Simon załamującym się głosem, kiedy znalazł się znowu na dole. Jak poranny przypływ krew znowu uderzyła mu do głowy.

– Tak – syknął Guthwulf. – Nie mów tak głośno. Słyszałem tutaj innych, a oni wyrządziliby mi krzywdę. Zabraliby wszystko, co mi jeszcze zostało.

Simon widział jego niewyraźną, zgarbioną postać, lecz wciąż ogromną, tak jak dawniej. Trzymał głowę w dziwny sposób, jakby go bolała.

– Czy możesz dać mi jeszcze wody?

Guthwulf zanurzył dłonie w korycie pod kołem. Kiedy Simon znalazł się dostatecznie nisko, wylał ją na jego twarz. Simon oddychał przez chwilę

ciężko, a potem poprosił o więcej wody. Guthwulf zdążył napełnić dłonie jeszcze trzykrotnie, zanim Simon znalazł się poza jego zasięgiem.

– Ty jesteś... na kole? – spytał mężczyzna niedowierzająco.

Ugasiwszy pragnienie po raz pierwszy od wielu dni, Simon zaczął się zastanawiać nad pytaniem Guthwulfa. Czy on zwariował? Tylko ślepiec mógłby nie wiedzieć, że Simon znajduje się na kole.

Nagle zrozumiał, dlaczego Guthwulf trzyma tak dziwnie głowę. On jest ślepy. Oczywiście. To dlatego macał twarz Simona.

– Czy ty jesteś... hrabią Guthwulfem? – spytał Simon, kiedy koło znów ruszyło w dół. – Hrabią Utanyeat? – Pamiętając o przestrodze, starał się mówić cicho. Musiał powtórzyć pytanie, kiedy znalazł się niżej.

– Ja... chyba tak. – Dłonie hrabiego zwisały luźno, ociekając wodą. – W innym życiu. Zanim utraciłem oczy. Zanim zabrał mnie miecz...

Miecz? Czy on stracił wzrok w bitwie? Może w pojedynku? Simon starał się o tym nie myśleć, miał ważniejsze rzeczy do przemyślenia. Jego brzuch był pełen wody i niczego więcej.

– Czy możesz przynieść mi coś do jedzenia? Nie, czy możesz mnie uwolnić? Proszę! Oni mnie torturują! – Tyle słów zgromadziło się w jego obolałym gardle, że zaniósł się kaszlem.

– Uwolnić cię...? – Guthwulf wydawał się zdumiony prośbą. – Ale... ty nie chcesz być tutaj? Wybacz, wszystko... tak się zmieniło. Zapominam.

„On oszalał. Jedyna osoba, która mogłaby mi pomóc, zwariowała!”

Głośno powiedział tylko:

– Proszę, ja cierpię. Umrę tutaj, jeśli mi nie pomożesz. – Łzy odebrały mu na chwilę głos. Kiedy zaczął mówić o tym, stało się to rzeczywistością. – Ja nie chcę umierać!

Koło zaczęło się wznosić.

– Ja... nie mógłbym. Głosy nie pozwolą mi nic zrobić – szepnął Guthwulf. – Mówią mi, żebym się ukrył, bo inaczej ktoś mi wszystko odbierze. – W jego głosie zabrzmiała przeraźliwa tęsknota. – Ale ja usłyszałem ciebie tutaj, słyszałem, jak oddychasz, mówisz. Wiedziałem, że istniejesz naprawdę, i chciałem cię usłyszeć. Od tak dawna z nikim nie rozmawiałem. – Jego słowa oddaliły się, kiedy Simon uniósł się w górę. – Czy to ty zostawiłeś mi jedzenie?

Simon nie miał pojęcia, o czym mówi ślepiec, lecz wyczuwał w nim wahanie.

– To ja! – Starał się mówić dostatecznie głośno, ale nie krzyczeć. Czy Guthwulf był za daleko? – Ja zostawiłem jedzenie!

„Proszę, niech on tam będzie, kiedy wrócę na dół – modlił się Simon. – Niech on tam będzie. Proszę”.

Kiedy Simon znalazł się na dole, Guthwulf wyciągnął rękę i przesunął ją po jego twarzy.

– Nakarmiłeś mnie. Nie wiem. Boję się. Wszystko mi zabiorą. Głosy są tak głośne! – Potrząsnął kudłatą głową. – Nie mogę teraz myśleć. Głosy są tak głośne. – Nagle odwrócił się i zniknął w głębi pieczary.

– Guthwulf! – zawołał Simon. – Nie zostawiaj mnie!

Ślepiec odszedł.

DOTYK LUDZKIEJ DŁONI i dźwięk ludzkiego głosu ponownie obudziły w Simonie okropny ból. Przedtem mijające godziny, dni, a może tygodnie – dawno już przestał próbować odmierzać czas – powoli zlewały się w coraz większą nicość; unosił się we mgle, oddalał się powoli od świateł domu. Teraz powrócił i cierpiał.

Koło obracało się. Czasami, kiedy paliły się wszystkie pochodnie, widział osłonięte maskami twarze ubrudzonych sadzą mężczyzn przemykających obok niego, lecz żaden z nich nigdy do niego nie przemówił. Pomocnicy Incha przynosili mu wodę niezwykle rzadko, a nawet kiedy już przyszli, robili to w milczeniu. Kilkakrotnie dostrzegł nawet ogromnego nadzorcę przyglądającego się podróży Simona na kole. Dziwne było to, że Inch nie stał tam, by rozkoszować się widokiem: przychodził tylko po to, by popatrzeć na cierpienia Simona, tak jak ogrodnik zatrzymuje się przy swoim ogródku, by sprawdzić, jak rosną warzywa.

Ból w brzuchu i kończynach nie ustawał już, tak że Simon nie potrafił wyobrazić sobie innego stanu. Przetaczał się przez niego nieustannie, jakby był workiem podawanym z rąk do rąk. Z każdym obrotem koła ból zsuwał się do jego głowy, niemal ją rozsadzając, a potem powracał przez obolałe wnętrzności do stóp i wtedy wydawało mu się, że stoi na rozpalonych węglach.

Także i głód stał się nieodłączną częścią jego organizmu. Był nieco łagodniejszym kompanem niż ból, lecz równie nieustępliwym. Simon czuł, że z każdym obrotem koła ubywa go: staje się coraz mniej ludzki, coraz mniej żywy, coraz mniej zdeterminowany, by trzymać się tego, co stanowiło, że był Simonem. Przy życiu trzymał go tylko malutki płomyk mściwości i jeszcze mniejsza iskierka nadziei, że kiedyś powróci do domu, do swoich przyjaciół.

„Ja jestem Simon – powtarzał sobie tak długo, aż zapominał, co znaczyły te słowa. – Nie pozwolę im tego zabrać. Ja jestem Simon”.

Koło obracało się. Simon obracał się z kołem.

GUTHWULF NIE POWRÓCIŁ. Raz, kiedy unosił się w bolesnej mgle, poczuł, że osoba, która daje mu pić, dotyka jego twarzy, lecz on nie potrafił poruszyć ustami, by zadać pytanie. Jeśli nawet był to ślepiec, to nie został dłużej.

Kiedy Simon zaczął się kurczyć i oddalać w nicość, pieczara odlewni zdawała się jakby powiększać. Podobnie jak w wizji ukazanej mu przez iskrę, pieczara otworzyła się na cały świat, czy raczej cały świat zapadł się w odlewnię, tak że Simon znalazł się w różnych miejscach w tym samym momencie.

Nagle poczuł się uwięziony na ośnieżonych szczytach, czując palącą krew smoka. Blizna na jego twarzy doprowadzała go do agonii. Coś dotknęło go w tym miejscu i zmieniło. Nigdy już nie będzie taki sam.

Pod odlewnią, lecz także w jego ciele poruszył się Asu’a. Skruszone kamienie zadrżały i znowu zajaśniały niczym ściany Niebios. Szepcące cienie przybrały postać złotookich, śmiejących się duchów. Duchy przemieniły się w Sithów tętniących życiem. W budzących się do życia komnatach rozległa się muzyka, delikatnie piękna jak przystrojona kropelkami rosy pajęczyna.

Wielka czerwona smuga wzniosła się ku niebu nad Wieżą Zielonego Anioła. Niebiosa natychmiast ją wchłonęły, lecz pozostałe gwiazdy wydawały się tylko nieśmiałymi świadkami.

Z północy przetoczyła się ogromna burza, kotłująca się ciemność, burza, która rzygając wiatrem i błyskawicami, zamieniała wszystko w lód i pozostawiała za sobą martwe, białe pustkowie.

Jak ktoś unoszący się wewnątrz wiru, Simon czuł, że znajduje się w centrum niezwykle silnych prądów, lecz nie ma siły, by je zmienić. Był więźniem koła. Koło toczyło się ku jakiejś straszliwej zmianie, Simon jednak nie potrafił nawet podnieść dłoni do swojej palącej twarzy.

SIMONIE.

Mgła była tak gęsta, że nic nie widział. Otaczała go szara pustka. Kto go wołał? Czy nie widzą, że chce mu się spać? Głos z pewnością pójdzie sobie, jeśli Simon poczeka. Wszyscy odchodzili, jeśli tylko czekał dostatecznie długo.

– *Simonie*. – Głos zabrzmiał natarczywie.

Nie chciał już głosów. Pragnął jedynie powrócić w sen, w niekończący się, pozbawiony majaków sen...

– *Simonie, spójrz na mnie*.

Coś poruszało się w szarości. Nie obchodziło go to. Dlaczego głos nie zostawi go w spokoju?

– *Odejdź*.

– *Spójrz na mnie, Simonie. Popatrz. Musisz sięgnąć*.

Chciał krzykiem odpędzić natręta, lecz głos coś w nim obudził. Spojrzał w pustkę.

– *Widzisz mnie?*

– *Nie. Chcę spać.*

– *Jeszcze nie, Simonie. Masz coś do zrobienia. Kiedyś odpoczniesz, ale nie dzisiaj. Proszę, Simonie, spójrz!*

To poruszające się coś przybrało bardziej określony kształt. Przed nim unosiła się twarz, smutna i piękna, choć pozbawiona życia. Wokół niej powiewały szaty albo skrzydła.

– *Czy mnie widzisz?*

– *Tak.*

– *Kim jestem?*

– *Jesteś aniołem. Aniołem z wieży.*

– *Nie, ale to nie ma znaczenia.* – Anioł przybliżył się. Simon dostrzegł odbarwienia na zniszczonych skrzydłach z brązu. – *Dobrze, że w ogóle mnie widzisz. Czekałem, aż przyjdziesz dostatecznie blisko. Mam nadzieję, że będziesz mógł powrócić.*

– *Nie rozumiem.* – Słowa wydawały mu się za trudne. Pragnął odejść, zanurzyć się w obojętność, zasnąć...

– *Musisz zrozumieć, Simonie. Musisz. Mam ci do pokazania wiele rzeczy, ale mam mało czasu.*

– *Do pokazania?*

– *Tutaj wszystko jest inaczej. Nie mogę ci po prostu powiedzieć. To miejsce nie jest takie jak świat.*

– *To miejsce?* – Starał się skupić myśli. – *Co to za miejsce?*

– *To jest... poza. Nie ma innego słowa, by to wyrazić.*

Iskierka wspomnienia zamigotała w jego umyśle.

– *Ścieżka Snów?*

– *Niezupełnie: tamta droga biegnie skrajem tych pól, a nawet zbliża się do granic miejsca, do którego niebawem się udam. Ale dość już. Mamy mało czasu.* – Anioł wydawał się odpływać od niego. – *Idź za mną.*

– *Ale ja... nie mogę.*

– *Robiłeś to już wcześniej. Idź za mną.*

Anioł oddalił się. Simon nie chciał, żeby odchodził. Był tak samotny. Nagle anioł znalazł się tuż przy nim.

– *Widzisz* – powiedział. – *Ach, Simonie, tak długo czekałem na to miejsce: żeby pozostać tutaj już na zawsze! Jest cudowne! Jestem wolny!*

Zastanawiał się, co mogły znaczyć słowa anioła, lecz nie miał sił na nowe zagadki.

– *Dokąd się udajemy?*

– Nie dokąd, ale kiedy. Wiesz o tym. – Anioł wydał z siebie radosne westchnienie. Jeśli byłby on kwiatem, to stałby w plamie słońca, otoczony pszczołami. *– Tak okropne były tamte czasy, kiedy musiałem do nich wracać. Tylko tutaj byłem szczęśliwy. Próbowałem ci to kiedyś powiedzieć, ale nie usłyszałeś mnie.*

– Nie rozumiem.

– Oczywiście. Aż do tej chwili nigdy nie słyszałeś mojego głosu. Nie, nie mój głos. Słyszałeś jej głos.

Nagle Simon zdał sobie sprawę, że nie padają żadne słowa. Ani on, ani anioł nie mówili tak jak ludzie; anioł jakby emanował myślami, które trafiały do głowy Simona. Dlatego kiedy powiedział o „niej”, właścicielce głosu, który słyszał, Simon nie usłyszał tego jako słowo, lecz raczej jako uczucie obecności opiekuńczej, kochającej, lecz w jakimś sensie niebezpiecznej kobiety.

– Kto to jest „ona”?

– Ona jest z przodu – powiedział anioł, jakby odpowiadał na zupełnie inne pytanie. *– Wkrótce do niej dołączę. Ale musiałem zaczekać na ciebie, Simonie. Nie martwiłem się zbytnio. Dobrze mi tutaj. Ale cieszę się, że nie musiałem wracać.* – Simon znowu odczuł myśl „wracać” jak bolesną pułapkę. *– Nawet wcześniej, kiedy przybyłem tutaj po raz pierwszy, nie chciałem wracać... ale ona zawsze mnie do tego zmuszała.*

Zanim zdążył zadać kolejne pytanie – zanim pomyślał, że w ogóle chce je zadać – Simon znalazł się w tunelach Asu’a. Ponownie ujrzał znajomy widok: jasnowłosy mężczyzna, pochodnia, włócznia i to ogromne, lśniące coś, co znajdowało się tuż za wejściem.

– Co to jest?

– Patrz. To jest twoja historia – a przynajmniej jej część.

Mężczyzna z włócznią, drżący z napięcia, zrobił krok do przodu. Bestia nie drgnęła. Jej ogromna łapa leżała nieruchomo kilka kroków przed nim.

Simon zastanawiał się, czy ona śpi. Jego własna blizna, czy może jej wspomnienie, paliła boleśnie.

„Uciekaj, człowieku – pomyślał. – Smok jest czymś więcej, niż sobie wyobrażasz. Uciekaj!”

Mężczyzna przybliżył się jeszcze o krok. Simon znalazł się nagle bliżej, zaglądał do ogromnej komnaty, jakby patrzył oczyma tamtego mężczyzny. Początkowo nie potrafił do końca ogarnąć wzrokiem tego, co zobaczył.

Komnata była ogromna, jej sufit ginął wysoko poza granicą światła pochodni. Ściany nosiły ślady ogromnego ognia.

„To jest odlewnia – zrozumiał Simon. – A raczej to, czym była w przeszłości”.

Smok leżał rozciągnięty na podłodze pieczary, złocistoczerwony, jakby niezliczone łuski odbijały blask pochodni. Był większy od domu, z niekończącą się spiralą ogona. Między zadem a przednimi łapami ciągnęły się ogromne skrzydła. W pewnym sensie był piękny, lecz przerażający, bardziej nawet niż lodowy smok Igjarjuk. Poza tym był zupełnie nieruchomy.

Mężczyzna z włócznią wpatrywał się w bestię. Podobnie jak Simon unoszący się we śnie.

– *Widzisz?* – szepnął anioł. – *Smok był martwy.*

Mężczyzna przybliżył się, by dźgnąć włócznią nieruchomą łapę. Upewniwszy się, wszedł do jaskini roztopionego kamienia.

Tuż przy piersi smoka leżało coś jasnego.

– *To jest szkielet* – szepnął Simon. – *Ludzki szkielet.*

– *Cicho* – powiedział mu do ucha anioł. – *Przyglądaj się. To jest twoja historia.*

– Jak to?

Uczyniwszy w powietrzu znak Drzewa, mężczyzna podszedł do stosu białych kości. Cień jego dłoni skoczył na ścianie. Pochylił się ostrożnie, jakby się spodziewał, że smok może w każdej chwili obudzić się do życia; dojrzał jednak, podobnie jak Simon, dziury w miejscach, gdzie powinny być oczy smoka, oraz wysuszony, sczerniały jęzor, który wystawał z uchylonego pyska.

Mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął z czcią ludzkiej czaszki, jakby to była perła z rozerwanego naszyjnika. Pozostałe kości leżały rozrzucone nieopodal. Były sczerniałe i pokrzywione. Patrząc na nie, Simon przypomniał sobie palącą krew Igjarjuka i poczuł ukłucie smutku wobec biedaka, który zabił bestię i sam znalazł tam śmierć. Wydawało się, że bestia została zabita: razem trzymały się jedynie kości przedramienia i dłoni, dłoni zaciśniętej na rękojeści miecza, wbitego nieomal na długość ostrza w brzuch smoka.

Mężczyzna długo przyglądał się temu, co zobaczył, a potem uniósł głowę i rozejrzał się szybko po pieczarze, jakby bał się, że ktoś go obserwuje. Jego twarz była posępna, lecz oczy płonęły blaskiem podniecenia. Patrząc na niego, Simon pomyślał, że to on sam, lecz jego myśli wciąż były bardzo niejasne; kiedy jasnowłosy mężczyzna odwrócił się ponownie w stronę szkieletu, nie był już taki pewny. Odłożył włócznię i drżącymi dłońmi zdjął szkielet dłoni z rękojeści miecza. Jeden z palców oderwał się. Mężczyzna trzymał go przez moment, potem ucałował i schował za koszulę. Potem odłożył pochodnię i zacisnął dłonie na rękojeści miecza. Oparł się nogą o pierś smoka i pociągnął. Mięśnie na jego ramionach i karku nabrzmiały, lecz miecz nawet nie drgnął. Odpoczywał przez chwilę, po czym splunął w dłonie i chwycił za rękojeść jeszcze raz.

Wreszcie miecz wysunął się z ciała smoka, pozostawiając dziurę między czerwonymi łuskami.

Mężczyzna uniósł miecz i przyglądał mu się zdumiony. Początkowo Simonowi wydawało się, że to zwykły, prosty miecz, lecz czarna krew nie do końca zakrywała wspaniałe kształty. Mężczyzna patrzył na niego szczerze zdumiony, a potem nagle opuścił miecz, jakby wciąż się obawiał, że ktoś go obserwuje. Podniósł pochodnię i ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się przy ogromnej łapie z pazurami. Zastanawiał się jakiś czas, a potem klęknął i zaczął odcinać mieczem łapę w najwęższym miejscu.

Była to ciężka praca, lecz mężczyzna był młody i dobrze zbudowany. Pracując, spoglądał w głąb ciemnej pieczary, jakby stamtąd patrzyły na niego tysiące szyderczych par oczu. Po jego twarzy i kończynach płynęły strużki potu. Wydawało się, że ogarnęło go jakieś niepohamowane podniecenie; kiedy przepiłował łapę do połowy, wstał i zaczął ją rąbać mieczem, rozrzucając kawałki smoczego mięsa. Simon, wciąż tylko bezradny obserwator, zobaczył, że w oczach mężczyzny pojawiły się łzy, a jego młodzieńczą twarz wykrzywiał grymas bólu i przerażenia.

Wreszcie kawałek łapy potoczył się luźno. Drżąc jak przerażone dziecko, wsunął miecz za pas, a ogromną łapę zarzucił sobie na ramię, jak kawał wołu. Z miną niezwykle zbolałą wyszedł chwiejnie z pieczary i zniknął w tunelu.

– *Czuł duchy Sithów* – szepnął anioł. Simon tak bardzo pogrążył się w oglądanej scenie, że drgnął na dźwięk głosu anioła. – *Czuł, że zawstydzą go za jego kłamstwo.*

– *Nie rozumiem.* – Coś pojawiło się na krawędzi jego pamięci, ale Simon tak długo przebywał w szarej mgle... – *Co to było? Czyj to był szkielet, kto zabił smoka?*

– *To jest część twojej historii, Simonie.* – Nagle pieczara zniknęła i znowu znaleźli się w pustce. – *Mam ci jeszcze wiele do pokazania, a czasu jest mało.*

– *Ale ja nie rozumiem!*

– *A zatem musimy iść głębiej.*

Szarość zafalowała i rozpłynęła się, ukazując kolejną wizję, którą już widział we śnie na schodach Tan’ja.

Miał przed sobą ogromną komnatę. Oświetlało ją tylko kilka świec, tak że w rogach czaiły się cienie. Na środku pokoju, na krześle z wysokim oparciem, siedział ktoś otoczony książkami i zwojami.

Simon widział przez moment tę osobę w czasie snu na schodach. Tak jak i przedtem, mężczyzna siedział z książką rozłożoną na kolanach. Wiek średni miał już za sobą, lecz na jego spokojnej, zamyślonej twarzy wciąż przebijały rysy z dzieciństwa, delikatne linie niewinnej słodyczy, tylko nieznacznie zamazane przez trudy życia. Włosy mężczyzny prawie zupełnie posiwiały, choć były wśród nich i czarne kosmyki, a znaczna część brody wciąż pozostawała brązowa. Na jego czole spoczywał diadem. Miał na sobie szaty proste, lecz starannie wykonane i z dobrego materiału.

Podobnie jak w przypadku mężczyzny z kryjówki smoka, tak i teraz Simon poczuł, że nieomal rozpoznaje siedzącego na krześle. Nigdy nie widział go przed tym snem, a jednak w jakimś sensie był mu on znajomy.

Mężczyzna podniósł wzrok znad książki, kiedy do pokoju weszły dwie osoby. Jedna z nich – starsza kobieta o siwych włosach związanych postrzępioną chustą – wysunęła się do przodu i klęknęła u jego stóp. On odłożył książkę, wstał i wyciągnął rękę, pomagając kobiecie wstać. Wypowiedziawszy kilka słów, których Simon nie usłyszał – podobnie jak we śnie ze smokiem wszystkie postacie wydawały się nieme i oddalone – mężczyzna przeszedł przez pokój i przykucnął obok towarzyszki starej

kobiety, małej, siedmio- albo ośmioletniej dziewczynki. Widać było, że dziewczynka wcześniej płakała; oczy miała zapuchnięte, a jej usta drżały ze złości albo strachu. Unikała wzroku mężczyzny, pociągając nerwowo za swoje rudawe włosy. Ona także miała na sobie proste ubranie – ciemną sukienkę bez ozdób – lecz wyglądała na zadbaną. Była boso.

Wreszcie mężczyzna wyciągnął do niej ramiona. Zawahała się najpierw, a potem rzuciła w jego objęcia, wtulając twarz w jego pierś i płacząc. Starzec także się rozpłakał i długo tulił ją do siebie, gładząc po plecach. Kiedy ją puścił, widać było, że czyni to niechętnie. Dziewczynka wybiegła z pokoju. Mężczyzna patrzył za nią, a potem odwrócił się do kobiety. Bez słowa zsunął z palca złotą obrączkę i podał ją kobiecie. Ona skinęła głową i ścisnęła obrączkę w dłoni, gdy tymczasem mężczyzna pochylił się i pocałował ją w czoło. Skłoniła się; potem szybko się odwróciła i wyszła.

Minęła długa chwila, zanim mężczyzna podszedł do pokrytej książkami skrzyni, która stała pod ścianą, otworzył ją i wyjął z niej miecz w pochwie. Simon natychmiast go rozpoznał; ta sama skromnie zdobiona rękojeść wystawała z piersi smoka. Mężczyzna ujął miecz ostrożnie, lecz spoglądał na niego tylko przez chwilę. Jego głowa drgnęła, jakby coś usłyszał. Wolno zrobił znak Drzewa, poruszając bezgłośnie ustami jakby w modlitwie, i powrócił na swoje miejsce. Położył miecz na kolanach i znowu otworzył książkę, którą umieścił na mieczu. Gdyby nie drżenie dłoni, kiedy przewracał kartę, i zaciśnięte szczęki, można by sądzić, że myśli tylko o spokojnym śnie, lecz Simon wiedział, że on czeka na coś innego.

Cała scena zadrżała i zniknęła.

– *Widzisz? Teraz rozumiesz?* – spytał anioł zniecierpliwiony jak dziecko.

Simon czuł się tak, jakby szukał po omacku w ogromnym worku. Coś znajdowało się w jego wnętrzu, czuł dziwne krawędzie i wypukłości, lecz

kiedy już wydawało mu się, że wie, co tam jest, wyobraźnia go zawodziła. Tak długo już przebywał w szarej mgle. Trudno było myśleć.

– *Nie wiem. Dlaczego nie możesz mi po prostu powiedzieć?*

– *Tak nie można. Te prawdy są zbyt mocne, mity i kłamstwa ich dotyczące są zbyt wielkie. Ze wszystkich stron otaczają je ściany, których nie mogę ci wyjaśnić. Sam musisz je zobaczyć i zrozumieć. Ale to była twoja historia.*

Jego historia? Simon znowu pomyślał o tym, co zobaczył, lecz wciąż znaczenie obrazów mu umykało. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, jak wszystko wyglądało przedtem, gdyby pamiętał imiona i opowieści, które znał, zanim otoczyła go szarość!

– *Trzymaj się ich* – powiedział anioł. – *Jeśli uda ci się wrócić, przydadzą ci się te prawdy. Jeszcze jedno mam ci do pokazania.*

– *Jestem zmęczony. Nie chcę już niczego więcej oglądać.* – Znowu pojawiło się pragnienie powrotu do nicości. Wszystko to, co zobaczył, było jedną wielką gmatwaniną. Wrócić? Do świata bólu? Dlaczego miałby tam chcieć wrócić? Sen był łatwiejszy, senna pustka obojętności. Po prostu podda się i wszystko stanie się łatwe...

– *Simonie!* – W głosie anioła zabrzmiał strach. – *Nie! Nie poddawaj się!*

Miedziane oblicze anioła powróciło powoli. Simon chciał go zignorować, lecz choć jego twarz była pozbawioną życia maską z brązu, w głosie pobrzmiewała jakaś nagląca nuta, która nie pozwalała mu odejść.

– *Dlaczego nie mogę odpocząć?*

– *Jeszcze tylko trochę, Simonie. Nigdy dotąd nie byłeś dość blisko. Będę musiał popchnąć cię z powrotem albo zostaniesz tutaj na zawsze.*

– *Dlaczego się tym przejmujesz?*

– *Ponieważ cię kocham.* – Anioł powiedział to tak prosto, bez jakiegokolwiek wyrzutu czy zobowiązania. – *Uratowałeś mnie,*

a przynajmniej próbowałeś. Są też inni, których kocham, a którzy potrzebują ciebie. Istnieje niewielka szansa, że da się zawrócić burzę, ale tylko ona pozostaje.

„Uratowałem go? Uratowałem anioła, który stoi na wieży?”

Simon czuł coraz większe zmęczenie. Nie miał siły już myśleć.

– W takim razie pokaż mi to, jeśli musisz.

Tym razem przemiana z szarej nicości do żywego obrazu okazała się trudniejsza, jakby trudniej było dotrzeć do tamtego miejsca albo anioł miał coraz mniej sił. Pierwszą rzeczą, jaką Simon ujrzał, był ogromny, okrągły cień; przez długą chwilę tylko to widział. Potem cień z jednej strony się wystrzępił. Ukazało się tam światło, a potem postać.

Nawet w tym tak nieokreślonym świecie Simon poczuł strach. Postać siedząca na krawędzi cienia miała na głowie jelenie rogi. W dłoniach trzymała zwrócony do dołu, długi, szary miecz o podwójnej osłonie.

„Wróg!” – Nie potrafił przypomnieć sobie żadnych imion, lecz myśl ta była jasna i zimna. Ta postać o czarnym sercu, zimna, a jednocześnie płonąca, przynosiła światu zagładę. Simon poczuł strach i nienawiść tak silną, że na moment obraz zadrżał, jakby za chwilę miał zniknąć.

– Widzisz! – Głos anioła był teraz bardzo słaby. *– Musisz to zobaczyć!*

Simon nie chciał tego oglądać. Całe jego życie zostało zniszczone przez tego potwora, tego demona zła. Dlaczego miałby patrzeć?

„Żeby wiedzieć, jak go pokonać – powiedział do siebie. – Żeby podtrzymać złość. Żeby mieć po co wracać”.

– Pokaż mi. Chcę zobaczyć.

Obraz nabrał wyrazistości. Po chwili Simon się zorientował, że ciemność, która otacza wroga, jest ciemnością Stawu Trzech Głębin. Lśnił pod płaszczem cieni, kamienne rzeźby nienaruszone, sam staw jakby skrzący się życiem. Obmywana falującym blaskiem postać siedziała na

piedestale umieszczonym na kamiennym występie otoczonym wodami Stawu.

Simon odważył się spojrzeć uważniej. Czymkolwiek to było, była to żywa postać; widział jej skórę, kości i krew. Jej smukłe dłonie poruszały się nerwowo na rękojeści szarego miecza. Twarz ginęła w cieniu, lecz barki wydawał się przygniatać ogromny ciężar.

Simon zauważył, że rogi na głowie postaci nie były w rzeczywistości rogami, lecz gałęziami: korona powstała z jednego kawałka ciemnosrebrzystego kawałka drewna. Na gałęziach wisiało jeszcze kilka liści.

Wróg podniósł głowę. Jego twarz była dziwna, tak jak twarze wszystkich nieśmiertelnych, jakich poznał Simon – wystające kości policzkowe, wąska broda, jasna skóra i proste, czarne włosy zaplecione w warkocze. Patrzył ponad wodą szeroko otwartymi oczami, jakby czegoś szukał. Simon nie widział tego, nawet jeśli to tam było. Najbardziej jednak zaniepokoił go wyraz twarzy postaci. Dostrzegł na niej gniew, co go nie zdziwiło, ale i nieugiętą determinację; oczy patrzyły nieobecnie. Simon nigdy dotąd nie widział takiego smutku. Za surową maską czaiło się zniszczenie, wewnętrzny krajobraz, z którego została tylko naga skała, cierpienie stwardniałe jak posady ziemi. Gdyby ta istota jeszcze kiedyś zapłakała, byłyby to łzy ognia i popiołu.

„Smutek. – Simon przypomniał sobie imię szarego miecza. – Tyle smutku”. – Poczuł gniew i rozpacz. Nigdy nie widział czegoś równie przerażającego, równie strasznego jak twarz wroga.

Obraz zamigotał.

– ...*Simonie*... – Głos anioła zabrzmiał cicho jak odgłos opadającego liścia. – ...*Muszę cię odesłać*...

Został sam w szarej nicości.

– Dlaczego mi to pokazałeś? Co to wszystko ma znaczyć?

– ...Wracaj, Simonie. Tracę cię, a ty znalazłeś się bardzo daleko od miejsca, w którym powinieneś być...

– Ale ja muszę wiedzieć! Mam tyle pytań!

– ...Tak długo na ciebie czekałem. Wzywają mnie, Simonie...

Poczuł, że anioł odchodzi. Poczuł też inny rodzaj strachu.

– Aniele! Gdzie jesteś?

– ...Teraz jestem wolny... – Głos przypominał szelest piór. *– Tak długo czekałem...*

I nagle Simon wiedział.

– Leleth! – zawołał. *– Leleth! Nie odchodź!*

Poczuł jeszcze jakby otarcie uśmiechu Leleth, wolnej, odlatującej wreszcie, a potem pozostał sam.

Simon unosił się zawieszony w pustce bez zrozumienia, bez jakiegokolwiek kierunku. Spróbował poruszać się tak, jak poruszali się z Leleth, lecz nic się nie wydarzyło. Czuł się zagubiony w nicości, bardziej niż kiedykolwiek. Był jak unoszony w ciemności gałgan. Zupełnie sam.

– Pomóż mi! – krzyknął.

Nic się nie zmieniło.

– Pomóż mi! – szepnął. *– Niech ktoś mi pomoże.*

Nic się nie zmieniło. Nic już się nie zmieni.

49. Martwa róża

STATEK ZNOWU ZANURKOWAŁ DZIOBEM. Kiedy krokwie kabiny zatrzeszczały, pusty kielich wysunął się z dłoni Isgrimnura i upadł na ziemię.

– Aedonie, miej nas w opiece! To jest okropne!

Josua uśmiechnął się.

– Rzeczywiście. Tylko szaleńcy wypływają w morze w taką pogodę.

– Nie żartuj sobie – warknął Isgrimnur zaniepokojony. – Żadnych żartów na temat statków albo burz.

– Ja nie żartowałem. – Książę chwycił się krzesła, kiedy kabina ponownie się przechyliła. – Czy nie jesteśmy szaleńcami, skoro ze strachu przed gwiazdą na niebie decydujemy się na taki atak?

Isgrimnur patrzył na niego ponuro.

– Jesteśmy tutaj. Bóg jeden wie, że tego nie chcę, ale jesteśmy.

– Tak, jesteśmy – zgodził się Josua. – Możemy tylko dziękować Niebiosom, że Vorzheva, twoja Gutrun i dzieci są bezpieczne w Nabbanie.

– Dopóki nie przybędą tam ghanty. – Isgrimnur zamrugał na wspomnienie gniazda okropnych stworzeń. – Dopóki kilpy nie zdecydują się wyjść na ląd.

– I kto teraz wciąż się niepokoi? – spytał Josua. – Yarellan, jak widzieliśmy, jest bystrym młodzieńcem; pozostała przy nim znaczna część

nabbańskiej armii. Nasze panie są o wiele bezpieczniejsze niż my. – Statek zadrżał i jego dziób się zanurzył. Isgrimnur odczuwał potrzebę porozmawiania, robienia czegokolwiek, byleby nie słuchać przeraźliwego trzasku, jakby kadłub rozpadał się na kawałki. – Zastanawiałem się nad czymś. Skoro Niskowie są kuzynami nieśmiertelnych, jak powiedziała Miriamele, to dlaczego mamy im ufać? Dlaczego mieliby przedkładać nas nad Nornów? – Jakby wywołana jego słowami, ponad wycie wiatru wzniosła się dziwna pieśń Nisków.

– Ale tak jest – powiedział głośno Isgrimnur. – Jedna z nich oddała życie, by Miriamele mogła uciec. Czy potrzebujesz lepszych dowodów?

– Nie trzymają kilp na taką odległość, jak bym sobie tego życzył. – Zrobił znak Drzewa. – Josuo, zaatakowały nas już trzykrotnie!

– A z pewnością ataków byłoby jeszcze więcej, gdyby nie Nin Reisu i jej Niskowie – dodał Josua. – Byłeś na pokładzie i widziałeś, ile ich pływa w morzu.

Isgrimnur skinął głową. Rzeczywiście widział kilpy – całe mnóstwo kilp; ciskały się jak wrzucone do beczki węgorze. Już kilkakrotnie wdzierały się na pokład, raz nawet w ciągu dnia. Choć wciąż czuł potworny ból w żebrach, Isgrimnur sam zabił dwa stworzenia, a potem godzinami próbował zmyć z rąk i twarzy ich cuchnącą i oleistą krew.

– Wiem – powiedział. – To jest tak, jakby nasz wróg wysłał je, aby nas powstrzymały.

– Być może tak jest. – Josua nalał sobie trochę wina. – Dziwne, że kilpy atakują w tym samym czasie, kiedy ghanty zaczęły wychodzić z bagien. Ramię naszego wroga sięga daleko, Isgrimnurze.

– Mały Tiamak uważa, że to, co działo się w gnieździe, kiedy go tam znaleźliśmy, miało związek z Królem Burz; jego zdaniem wykorzystywał jego i innych Wrańczyków do tego, żeby porozumieć się z tymi robalami. –

Na myśl o licznych Wrańczykach wykorzystywanych i porzucanych jak spalone świece, a także o marynarzach wciągniętych do morza przez ohydne kilpy Isgrimnur zacisnął pięść i rozejrzał się, w co mógłby uderzyć. – Co za potworny demon może doprowadzać do podobnych okropieństw? Co to za wróg, którego nie możemy zobaczyć i zaatakować?

– Największy z wrogów. – Książę popijał wino, kołysząc się wraz ze statkiem. – Wróg, którego musimy pokonać za wszelką cenę.

Drzwi kabiny otworzyły się. Camaris wyprostował się i wszedł do środka, ocierając pochwą miecza o framugę. Płaszcz starego rycerza ociekał wodą.

– Co powiedziała Nin Reisu? – spytał Josua i nalał Camarisowi wina. – Czy *Klejnot Emettina* wytrzyma jeszcze jedną noc?

Starzec wypił wino i spojrzał na dno kielicha.

– Camarisie? – Josua podszedł bliżej. – Co powiedziała Nin Reisu?

Rycerz podniósł wzrok.

– Nie mogę spać.

Książę spojrzał zaniepokojony na Isgrimnura.

– Nie rozumiem.

– Byłem na pokładzie.

Kapiąca z płaszcza woda stanowiła dla Isgrimnura dostateczny dowód. Stary rycerz wydawał się bardziej nieobecny myślami niż zwykle.

– Camarisie, co się stało?

– Nie mogę spać. Ten miecz wciąż pojawia się w moich snach. – Uderzył dłonią w rękojeść Ciernia. – Słyszę... jak śpiewa. – Camaris wysunął trochę miecz z pochwy. – Nosiłem go przez lata. – Szukał odpowiednich słów. – Czasem... czasem to czułem, szczególnie w trakcie bitwy. Ale nigdy tak jak teraz. Wydaje mi się, że on... żyje swoim życiem.

Josua spojrzał nieufnie na Cierń.

– Może nie powinieneś go nosić, Camarisie. Niedługo i tak będziesz musiał go użyć. Odłóż go w bezpieczne miejsce.

– Nie. – Starzec potrząsnął głową. – Nie ośmielę się tego zrobić. Jest wiele rzeczy do poznania. Nie wiemy, jak wykorzystać Wielkie Miecze przeciwko naszemu wrogowi. Jak mówiłeś, mamy coraz mniej czasu. Może zrozumiem jego pieśń. Może...

Książę uniósł dłoń, jakby chciał mu się sprzeciwić, lecz zaraz ją opuścił.

– Zrobisz to, co uważasz za najlepsze. Ty jesteś panem Ciernia.

Camaris spojrzał na niego uważnie.

– Czy aby na pewno? Tak mi się wydawało.

– Chodź, napijemy się jeszcze wina – odezwał się Isgrimnur. Chciał wstać ze stołka, lecz zrezygnował. Walki z kilpami dały mu się we znaki. Skrzywił się i dał znak Josui, by napełnił kielich Camarisa. – Nic dziwnego, że tak się czujesz: wiatr wyje wściekle, a morze podrzuca nami, jakbyśmy byli kośćmi do gry.

Camaris milczał długą chwilę.

– Muszę z tobą pomówić, Josuo – przemówił nagle. – Na mej duszy spoczywa ogromny ciężar.

Książę czekał cierpliwie.

Twarz starego rycerza wydawała się niemal szara, kiedy zwrócił się do Isgrimnura.

– Proszę, Isgrimnurze, muszę pomówić z Josuą w cztery oczy.

– Jestem twoim przyjacielem, Camarisie – powiedział książę. – Jeśli można kogokolwiek winić za to, że znalazłeś się tutaj, to tylko mnie. Jeśli coś ci doskwiera, to chciałbym ci pomóc.

– Czuję palący wstyd. Nie wyjawiłbym tego nawet przed Josuą, lecz uważam, że musi się dowiedzieć. Bóg karze mnie za mój ukryty grzech, nawet w chwilach, kiedy leżę, rozmyślając o tym, co może zrobić miecz. Mam nadzieję, że jeśli postąpię dobrze, to On da mi siłę, by zrozumieć Cierń i jego braci. Proszę, nie zmuszaj mnie, bym i przed tobą wyjawiał swój wstyd. – Teraz Camaris wyglądał rzeczywiście staro; twarz miał obwisłą, a oczy wpatrzone gdzieś w dal. – Proszę.

Isgrimnur skinął głową, zdumiony, ale i przestraszony.

– Jak sobie życzysz, Camarisie.

ISGRIMNUR ZACZĄŁ SIĘ ZASTANAWIAĆ, czy ma jeszcze czekać w wąskim korytarzu, kiedy drzwi kabiny otworzyły się i stanął w nich Camaris. Stary rycerz przecisnął się obok Isgrimnura, zgarbiony pod niskim sufitem. Zanim książę zdążył otworzyć usta, Camaris był już w końcu korytarza, zataczając się od ściany do ściany.

Isgrimnur zapukał do drzwi. Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, popchnął je delikatnie. Książę siedział wpatrzony w lampę; było to spojrzenie człowieka, który ujrzał własną śmierć.

– Josuo?

Dłoń księcia uniosła się w górę, jakby pociągnięta za sznurek. Wydawał się zupełnie pozbawiony życia. Jego głos zabrzmiał głucho, jak z innego świata.

– Odejdź, Isgrimnurze. Zostaw mnie samego.

Książę wahał się przez chwilę, lecz wyraz twarzy Josui przekonał go. Bez względu na to, co wydarzyło się w kabinie, nie mógł mu ofiarować nic poza samotnością.

– Przyślij po mnie, jeśli będę ci potrzebny. – Isgrimnur wycofał się z kabiny.

Josua nic nie odpowiedział. Siedział nieruchomo wciąż wpatrzony w lampę, jakby tylko ona mogła wyprowadzić go z całkowitej ciemności.

STARAM SIĘ ZROZUMIEĆ. – Miriamele czuła, że kręci jej się w głowie. – Opowiedzcie mi jeszcze raz o mieczach.

ZNAJDOWAŁA SIĘ WŚRÓD KARLAKÓW od kilku dni, tak przynajmniej jej się wydawało, gdyż trudno było dostrzec upływ czasu w podziemiach Hayholt. Nieśmiałe stworzenia traktowały ją dobrze, lecz wciąż nie chciały jej uwolnić. Miriamele prosiła, błagała, nawet wściekała się, grożąc i przeklinając. Wreszcie, kiedy się zmęczyła, karlaki zaczęły szeptać nerwowo między sobą. Nieomal poczuła się zawstydzona, widząc, jak są zdumione i przerażone jej wybuchem, lecz i to uczucie minęło równie szybko jak gniew.

„W końcu – pomyślała – nie prosiłam ich, żeby mnie tutaj przyprowadzali. Twierdzą, że postępują tak w dobrej wierze, niech więc poprawi im to samopoczucie, mnie nie musi”.

Dała się przekonać co do powodów swojego uwięzienia. Karlaki spały bardzo krótko, jeśli w ogóle to robiły, i tylko kilka z nich opuszczało pieczarę w tym samym czasie. Bez względu na to, czy mówiły jej prawdę, czy nie, niewątpliwie na zewnątrz było coś, czego bardzo bały się te stworzenia o ogromnych oczach.

O MIECZACH – POWIEDZIAŁ YIS-FIDRI. – Dobrze, spróbuję i to wyjaśnić. Widziałaś, że rozpoznaliśmy strzałę, chociaż jej nie zrobiliśmy.

– Tak. – Rzeczywiście wyczuwały, że w jej torbach znajduje się coś ważnego, chociaż możliwe było, że wymyśliły całą historię już po tym, jak znalazły strzałę.

– Nie my zrobiliśmy strzałę, ale wykonał ją jeden z tych, który nauczył się tego od nas. Jednak trzy Wielkie Miecze zostały przez nas wykonane i dlatego jesteśmy z nimi związani.

– Wy wykuliście miecze? – Właśnie ta wiadomość najbardziej ją zdumiała. Przeczyła ona temu, co usłyszała już wcześniej. – Słyszałam, że zrobiliście miecz Minneyar dla Króla Elvrita z Rimmersgardu, ale nie wiedziałam, że wykonaliście także pozostałe dwa. Jarnauga powiedział, że Smutek wyszedł spod ręki samego Inelukiego.

– Nie wymawiaj jego imienia! – Kilku spośród karlaków uniosło głowy i powiedziało coś w swoim śpiewnym języku; Yis-fidri odpowiedział im, zanim odwrócił się do Miriamele. – Nie wymawiaj jego imienia. On jest bliżej niż kiedykolwiek. Nie ściągaj jego uwagi.

„Jakbym była w jaskini pełnej Strangyeardów – pomyślała Miriamele. – One boją się wszystkiego. Chociaż Binabik zachowywał się podobnie”.

– Dobrze. Nie będę wymawiała... jego imienia. Ale słyszałam coś innego. Uczony człowiek opowiadał, że... że on zrobił miecz w kuźni Asu’a”.

Karlak westchnął.

– Tak było. My byliśmy kowalami Asu’a, a przynajmniej niektórzy z nas... ci, którzy nie uciekli od naszych panów Zida’ya, a którzy wciąż przecież byli Dziećmi Żeglarza; mimo wszystko byliśmy jak dwa kawałki rudy z tej samej żyły. Wszyscy oni umarli, kiedy padł zamek. – Yis-fidri wypowiedział kilka słów żałosnym tonem w języku karlaków; żona zawtórowała mu. – Do jego wykucia użył Młota, Który Nadaje Kształt, *naszego* Młota, a także Słów Stworzenia, których myśmy go nauczyli.

A więc wszystko było tak, jakby uczyniła to ręka naszego Wielkiego Kowala. W tamtej straszliwej chwili, chociaż znajdowaliśmy się w różnych miejscach na ziemi, czuliśmy moment tworzenia Smutku. Wciąż odczuwamy jego ból. – Zamilkł na długą chwilę. – Odwróciliśmy się od Zida'ya między innymi dlatego, że pozwolili na to. Ten jeden jedyny akt tak bardzo nas osłabił, że nigdy już nie odzyskaliśmy sił.

– A Smutek?

Yis-fidri zwiesił głowę.

– Śmiertelni kowale z Nabbanu próbowali obrobić gwiezdny kamień, ale nie potrafili. Dlatego odszukano niektórych spośród naszych ludzi i sprowadzono ich w tajemnicy do pałacu Imperatora. Uważano ich tylko za dziwaków, którzy obserwowali ocean i chronili swoje statki, lecz niewielu wiedziało, że dawna wiedza Tworzenia płynie głęboko w żyłach wszystkich Tinukeda'ya, nawet tych, którzy nie chcieli opuścić morza.

– Tinukeda'ya? – Miriamele potrzebowała chwili, by dotarła do niej ta wiadomość. – Ale przecież Gan Itai... przecież ty mówisz o Niskach!

– Wszyscy jesteśmy Dziećmi Oceanu – oświadczył uroczyście karlak. – Niektórzy spośród nas zdecydowali się pozostać u brzegów oceanu, który na zawsze oddziela nas od Ogrodu, miejsca naszego urodzenia. Inni wybrali miejsca bardziej skryte, jak pieczary w głębi ziemi, gdzie zajęli się kształtowaniem kamienia. Widzisz, w przeciwieństwie do naszych kuzynów Zida'ya i Hikeda'ya, my, Dzieci Żeglarza, potrafimy nadawać kształt sobie, tak samo jak czynimy to z kamieniem.

Miriamele patrzyła na niego zdumiona.

– Wy jesteście... wy i Niskowie jesteście jedną rodziną? – Teraz dopiero zrozumiała te ulotne szczegóły, które nie dawały jej spokoju od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzała Yis-fidriego. W jego postawie, w sposobie

chodzenia było coś, co przypominało jej Gan Itai. A jednak tak bardzo się różnili!

– Teraz już nie jesteśmy tacy sami. Akt Tworzenia trwa całe pokolenia i nie polega tylko na zmianach zewnętrznych. Ale wiele pozostaje niezmienione. Dzieci Świtu i Dzieci Chmur są naszymi kuzynami, lecz Niskowie, morscy stróże, są naszymi siostrami i braćmi.

Miriamele odchyliła się do tyłu, próbując objąć myślą wszystko, co usłyszała.

– Tak więc jesteście tacy sami jak Niskowie. A Niskowie wykuli Smutek. – Pokręciła głową. – I twierdzicie, że wyczuwacie Wielkie Miecze jeszcze silniej niż Białą Strzałę? – Nagle przyszło jej coś do głowy. – W takim razie musicie wiedzieć, gdzie znajduje się Biały Gwóźdź, miecz zwany Minneyarem!

Yis-fidri uśmiechnął się smutno.

– Tak. Chociaż wasz Król John otoczył go licznymi modlitwami i innymi zaklęciami śmiertelników, żeby ukryć jego prawdziwą naturę. Ale przecież znasz swoje ramiona i dłonie, księżniczko Miriamele, prawda? Rozpoznałabyś je równie dobrze nawet wtedy, gdyby ubrano je w czyjeś rękawiczki i kurtkę. – Poczuła się dziwnie na myśl o swoim wspaniałym dziadku, który tak bardzo starał się ukryć pochodzenie Białego Gwoździa. Czy wstydził się posiadania takiego oręża? Dlaczego?

– Skoro znacie te miecze tak dobrze, to czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest teraz Biały Gwóźdź?

– Nie potrafię powiedzieć, że znajduje się w tym albo w tym miejscu. Ale z pewnością jest gdzieś blisko. Gdzieś w obrębie kilku tysięcy kroków.

Miriamele pomyślała, że w takim razie miecz musi znajdować się w zamku albo gdzieś pod nim. Niewiele to zmieniało, ale przynajmniej

wiedziała, że jej ojciec nie wrzucił go do morza ani nie wywiózł do Nascadu.

– Czy przybyliście tutaj z powodu mieczy?

– Nie. Uciekliśmy z naszego miasta na Północy przed czymś innym. Wiedzieliśmy, że są tutaj dwa spośród mieczy, ale wtedy nie miało to dla nas większego znaczenia; uciekliśmy naszymi tunelami, a one zaprowadziły nas tutaj. Dopiero kiedy zbliżyliśmy się do Asu'a, poczuliśmy działanie innych sił.

– Tak więc teraz nie wiecie, w którą stronę pójść. – Powiedziała to z naganą w głosie, chociaż wiedziała, że karlaki znalazły się w takiej samej sytuacji jak ona. Ją także przyciągały rzeczy przerastające ją samą. Uciekła od ojca, starając się postawić cały świat między nimi. Teraz, ryzykując życie swoje i swoich przyjaciół, powróciła, by go odnaleźć, chociaż obawiała się, co może się stać, jeśli jej się nie powiedzie. Miriamele starała się odepchnąć te bezużyteczne myśli. – Wybacz, Yis-fidri. Zmęczyło mnie tak długie siedzenie.

Dobrze było odpocząć przez pierwszy dzień, chociaż złościł ją fakt, że została uwięziona, lecz teraz pragnęła iść dalej, robić coś, cokolwiek. Zamiast tego znalazła się w pułapce własnych myśli. A one nie były dobrymi kompanami.

– Tak nam przykro, Miriamele. Tutaj możesz spacerować, ile chcesz. Staramy się dostarczyć ci wszystkiego, czego ci trzeba.

Na szczęście dla nich miała ze sobą torby z resztką zapasów. Z pewnością nie byłaby tak łagodnym więźniem, gdyby musiała żywić się tym, co jadły karlaki: grzybami i małymi, ohydnymi stworzeniami.

– Nie możecie dać mi tego, czego mi trzeba, tak długo, jak długo będziecie mnie więzić – powiedziała. – I nic tego nie zmieni.

– To zbyt ryzykowne.

Miriamele zacisnęła usta, powstrzymując pełną złości odpowiedź. Próbowała już tego. Musiała się zastanowić.

Yis-hadra skrobała po kawałku ze ściany pieczary wygiętym, płasko zakończonym narzędziem. Miriamele nie potrafiła powiedzieć, co robi żona Yis-fidriego, lecz najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność, gdyż śpiewała przy tym cicho. Miriamele słuchała piosenki z coraz większym zainteresowaniem. Brzmiała zaledwie jak szept, lecz wyczuwało się w niej moc i zawiłość pieśni Gan Itai. Jej długie i zgrabne dłonie poruszały się w rytm piosenki, tak że ruch i głos stały się jednym. Miriamele siedziała nieruchomo zafascynowana.

– Czy ty coś budujesz? – spytała, gdy pieśń umilkła na chwilę.

Yis-hadra podniosła wzrok. Na jej dziwnej twarzy pojawił się uśmiech.

– To jest *s’h’rosa*, kawałek kamienia, który biegnie przez inny kamień. – Wskazała na ciemniejszą żyłkę, ledwie widoczną na powierzchni mieniącego się kryształu. – On chce... wyjść. Chce być widziany.

Miriamele pokręciła głową.

– Chce być widziany?

Yis-hadra wydęła usta w zamyśleniu.

– Nie znam dobrze waszego języka. On... musi? Musi się wyswobodzić?

„Oni są jak ogrodnicy – pomyślała Miriamele. – Pielęgnują kamienie”.

– Czy wy rzeźbicie? – spytała. – Całe ruiny Asu’a pokryte są wspaniałymi rzeźbami. Czy one są dziełem karlaków?

Yis-hadra wygięła palce i uczyniła dziwny gest.

– My przygotowaliśmy niektóre ściany, a potem Zida’ya stworzyli na nich obrazy. Ale w innym miejscach sami opiekowaliśmy się kamieniem i pomogliśmy mu... stać się. Gdy wybudowano Asu’a, Zida’ya

i Tinukeda’ya pracowali obok siebie – mówiła smutnym głosem. – Razem stworzyliśmy piękne rzeczy.

– Tak. Widziałam niektóre z nich. – Miriamele rozejrzała się. – Gdzie jest Yis-fidri? Muszę z nim pomówić.

Yis-hadra wydawała się zakłopotana.

– Czy powiedziałam coś złego? Nie potrafię mówić tak dobrze w twoim języku jak w języku śmiertelników z Hernystiru. Yis-fidri mówi lepiej ode mnie.

– Nie. – Miriamele uśmiechnęła się. – Nie powiedziałaś nic złego. Ale wcześniej rozmawiałam z nim o czymś i chciałabym jeszcze o tym pomówić.

– Ach. On wróci niedługo. Nie ma go tutaj.

– W takim razie popatrzę na to, co robisz, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Yis-hadra odwzajemniła uśmiech.

– Nie. Jeśli chcesz, to opowiem ci o tym kamieniu. Kamienie mają swoje opowieści. Znamy je. Czasem wydaje mi się, że znam je lepiej od nich samych.

Miriamele oparła się wygodnie o ścianę. Yis-hadra powróciła do kamienia, mówiąc dalej. Nigdy dotąd Miriamele nie zastanawiała się wiele nad kamieniami, lecz teraz, kiedy siedziała wsłuchana w niski, melodyjny głos Yis-hadry, po raz pierwszy poczuła, że były one w pewnym sensie żywe, podobnie jak rośliny i zwierzęta, a przynajmniej takimi widziały je karlaki. Kamienie poruszały się, lecz trwało to całe eony. Zmieniały się, lecz żadna żywa istota – nawet Sithowie – nie chodziła po ziemi na tyle długo, by dostrzec te zmiany. Karlaki badały, uprawiały i w pewnym sensie kochały kości ziemi. Podziwiały piękno lśniących kamieni i migocących metali, lecz ceniły także wielowarstwową cierpliwość piaskowca i śmiałość

obsydianu. Każdy z nich posiadał swoją historię, lecz by zrozumieć ich powolne opowieści, potrzeba było pewnego rodzaju wizji i mądrości. A żona Yis-fidriego, o ogromnych oczach i delikatnych dłoniach, znała je dobrze. Miriamele poczuła dziwne wzruszenie i choć na chwilę zapomniała o swoim smutku, wsłuchana w cichy, melodyjny głos Yis-hadry.

TIAMAK POCZUŁ CZYJĄŚ DŁOŃ na ramieniu.

– Czy to ty? – Głos ojca Strangyearda zabrzmiał płaczliwie.

– Tak, to ja.

– Nie powinniśmy wychodzić na pokład – powiedział archiwista. – Sludig będzie się złościł.

– I miałby rację – odparł Tiamak. – Dookoła pełno kilp. – Mimo to nie ruszył się z miejsca. Trudno było mu zebrać myśli w ciasnej kabinie, a nie chciał zgubić wątków, które czaiły się gdzieś na krawędzi jego umysłu, gdyż wydawały mu się zbyt ważne, nawet pod groźbą strachu przed morskimi potworami.

– Nie widzę zbyt dobrze – powiedział Strangyeard, wpatrując się w ciemność. Osłonił dłonią przed wiatrem jedyne oko. – Nie powinienem chodzić po pokładzie nocą. Ale... ale martwiłem się o ciebie; długo cię nie było.

– Wiem. – Tiamak poklepał dłoń archiwisty, spoczywającą na zniszczonej poręczy. – Wciąż myślę o tym, o czym opowiadałem ci wczoraj, a co przyszło mi do głowy, kiedy Camaris walczył z Benigarisem. – Zamilkł zdziwiony dziwnym ruchem statku. – Czy my opuściliśmy kotwicę? – spytał.

– Tak. Hayefur nie jest oświetlone od strony Wentmouth i Josua obawia się skał w ciemności. Wysłał wiadomość za pomocą latarni. – Archiwista

zadrżał. – Stanie w miejscu jest jeszcze gorsze. Tyle tu tych szarych potworów...

– A zatem chodźmy na dół. Chyba znowu zaczyna padać. – Tiamak odwrócił się od poręczy. – Podgrzejemy trochę tego twojego wina: spodobał mi się ten zwyczaj mieszkańców lądu, i pomyślimy jeszcze o mieczach. – Wziął duchownego pod ramię i poprowadził w kierunku drzwi kabiny.

BEZ WĄTPIENIA TUTAJ JEST LEPIEJ – powiedział Strangyeard. Przycisnął plecy do ściany, kiedy statek opadł między dwie fale, i podał kielich Wrańczykowi; trochę wina rozlało się na podłogę. – Lepiej przykryję żar. Byłoby nieszczęście, gdyby kosz się przewrócił. O Boże! Mam nadzieję, że inni także uważają!

– Myślę, że Sludig tylko nielicznym pozwala na ogień, a nawet na latarnie pod pokładem. – Tiamak napił się wina i oblizał wargi. – Ach, jak dobrze. Posiadamy ten przywilej, ponieważ musimy zająć się czytaniem, a czas ucieka.

Archiwista zsunął się na siennik leżący na podłodze, przechylając się wraz ze statkiem.

– Powinniśmy chyba wrócić do naszej pracy. – Napił się wina. – Wybacz, Tiamaku, ale czy ona nie wydaje ci się bezużyteczna? Wszystkie nadzieje pokładamy w trzech mieczach, z których mamy tylko jeden. – Utkwił wzrok w swoim kielichu.

– Ja dosyć późno się do tego zabrałem. – Tiamak usiadł wygodnie. Kołysanie statku przypominało nieco kołysanie drzewa figowego, na którym znajdował się jego dom. – Gdybyś rok temu zapytał mnie, jakie mam szanse znaleźć się na statku, który płynie do Erkynlandu, by pokonać Wielkiego Króla, zostać członkiem Ligi Pergaminu, ujrzeć żywego

Camarisa, zostać schwytanym przez ghanty i uratowanym przez księcia Elvritshalli i córkę Wielkiego Króla... – Wrańczyk machnął ręką. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć. Wszystko, przez co przeszliśmy, wydaje się czystym szaleństwem, lecz kiedy spojrzeć w przeszłość, wszystko układa się w logiczne wydarzenia. Może takim samym wyda się kiedyś odnalezienie i wykorzystanie mieczy.

– Ładnie to powiedziałeś. – Strangyeard westchnął i poprawił opaskę na oku. – Wolę oglądać to, co się już stało. Książki mogą różnić się między sobą, ale prawie każda z nich przedstawia jasno jakąś prawdę.

– Może kiedyś znajdziemy się w czyjejś książce – powiedział Tiamak uśmiechnięty. – I wtedy autor napisze nieomylnie, jak potoczyły się wydarzenia. My jednak nie możemy sobie na to pozwolić. – Pochylił się do przodu. – Gdzie jest ta stronica z księgi Doktora, na której opisuje on wykucie Smutku?

– Chyba tutaj. – Strangyeard zaczął szukać w jednym z licznych stosów rozłożonych pergaminów. – Tak, jest. – Podniósł do góry arkusz. – Czy mam ci coś przeczytać?

Tiamak uniósł dłoń. Nie pamiętał, by od czasów starego Doktora Morgenesa darzył kogoś podobnym uczuciem jak archiwistę.

– Nie – powiedział. – Sam przeczytam. Twoje oczy muszą odpocząć.

Strangyeard mruknął coś pod nosem i podał mu pergamin.

– Wciąż myślę o tym fragmencie, który opisuje Słowa Stworzenia – powiedział Tiamak. – Czy to możliwe, by te same potężne słowa przyczyniły się do powstania wszystkich mieczy?

– Dlaczego tak uważasz? – spytał Strangyeard. – Nie mówi o tym księga Nissesa, a przynajmniej nie te fragmenty, które cytuje Morgenes. Wszystkie miecze pochodzą z różnych miejsc, a jeden z nich wykuła ręka śmiertelnika.

– Musi być coś, co je wszystkie łączy – odparł Tiamak. – A nic innego nie przychodzi mi do głowy. Dlaczego zatem mielibyśmy zyskać ogromną moc, posiadając je wszystkie? – Zaczął przeglądać stronice. – Do ich wykucia wykorzystano magię o ogromnej mocy. Pewnie dzięki niej moglibyśmy pokonać Króla Burz!

W tym momencie pieśń Niski wzniosła się ponad żałosne zawodzenie wiatru. Pieśń pulsowała nieokiełznaną mocą, jeszcze bardziej niepokojąca niż brzmiący w oddali grzmot.

– Gdybyśmy tylko znali kogoś, kto mógłby nam opowiedzieć o wykuciu mieczy – mruknął Tiamak zniechęcony; błądził wzrokiem po ozdobnych literach, które wyszły spod ręki Morgenesa, lecz w rzeczywistości ich nie widział. Pieśń Niski wzniosła się jeszcze wyżej, zadrżała i uleciała żałosną nutą. – Gdybyśmy mogli porozmawiać z karlakami, które wykuły Minneyar, ale Eolair mówił, że one są daleko na Północy, z dala od Hayholt. A nabbańscy kowale, którzy wykuli Cierń, od dawna już nie żyją. – Zmarszczył czoło. – Tyle pytań, a tak niewiele odpowiedzi. To jest męczące, Strangyeardzie. Wydaje się, że aby zrobić jeden krok do przodu, musimy cofnąć się dwa kroki.

Archiwista milczał, podczas gdy Tiamak szukał stron opisujących wykuwanie Smutku przez Inelukiego w kuźni Asu’a.

– Jest – powiedział. – Przeczytam ci.

– Chwileczkę – powiedział Strangyeard. – A może odpowiedź na jedno jest odpowiedzią na oba.

Tiamak spojrzał na archiwistę.

– Jak to? – Starał się przez chwilę nie myśleć o pergaminie, który leżał przed nim.

– Wysunąłeś przypuszczenie, że może celowo wprowadzano nas w błąd, że być może Król Burz skierował Eliasa i Josuę przeciwko sobie,

aby osiągnąć własny cel.

– Tak?

– Może wcale nie jest to wielka tajemnica. Może on także chce ukryć tajemnicę trzech mieczy.

W umyśle Tiamaka zatliła się iskierka zrozumienia.

– Jeśli cały ten spór między Eliasem i Josuą został ukartowany po to tylko, żebyśmy nie dowiedzieli się, jak wykorzystać miecze, to znaczy, że odpowiedź może być bardzo prosta i z pewnością byśmy ją odkryli, gdyby nie odwrócono naszej uwagi.

– Właśnie! – zawołał Strangyeard, zapominając o swojej powściągliwości. – Albo odpowiedź jest tak prosta, że musielibyśmy wpaść na nią, gdyby nie pochłonęła nas walka o przetrwanie, albo istnieje ktoś lub jakieś miejsce istotne dla nas, a do którego nie możemy dotrzeć, dopóki trwa wojna między braćmi.

„Wy, Którzy Patrzycie i Rządzicie – pomyślał Tiamak. – Dobrze jest mieć kogoś, z kim można podzielić się myślami, kogoś, kto rozumie, zadaje pytania i szuka znaczenia!” – Przez chwilę nie tęsknił nawet za swoim domem na bagnach.

– Wspaniale, Strangyeardzie – powiedział głośno. – Warto się nad tym zastanowić.

Archiwista zarumienił się, lecz mówił pewnym głosem:

– Pamiętam, jak uciekaliśmy z Naglimundu. Deornoth powiedział, że Nornowie chcą uniemożliwić nam posuwanie się w pewnym kierunku, wtedy chodziło o kierunek w głąb lasu Aldheorte. Nie chcieli nas wtedy zabić czy schwytać, tylko jakby nami kierowali. – Duchowny potarł dłonią nos, zaczerwieniony od panującego na pokładzie chłodu. – Myślę, że nie chcieli, byśmy spotkali Sithów.

Tiamak odłożył stronice, które trzymał w dłoni; postanowił, że przejrzy je później.

– Być może jest coś, co wiedzą Sithowie, może nawet oni sami nie zdają sobie z tego sprawy! Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku, szkoda, że nie wypytałem dokładniej młodego Simona o chwile spędzone przez niego wśród nieśmiertelnych. – Tiamak wstał i ruszył w stronę drzwi. – Pójdę do Sludiga i powiem mu, że chcemy porozmawiać z Aditu. – Zatrzymał się. – Tylko nie wiem, jak uda jej się przejść z jednego statku na drugi. Ocean jest teraz bardzo niebezpieczny.

Strangyeard wzruszył ramionami.

– Nie zaszkodzi zapytać.

Tiamak kołysał się przez chwilę wraz ze statkiem, a potem usiadł nagle.

– To może zaczekać do rana, kiedy przejście będzie bezpieczniejsze. Teraz możemy zająć się czymś innym. – Powrócił do pergaminów. – Strangyeardzie, to mogłoby być cokolwiek! Musimy wrócić do wszystkich miejsc, w których byliśmy, do wszystkich ludzi, których spotkaliśmy. Dotąd zwracaliśmy uwagę głównie na to, co znajdowało się przed nami. Teraz musimy się zastanowić nad tym, cośmy przeoczyli, obserwując wojenne przedstawienie.

– Powinniśmy też porozmawiać z innymi. Sludig widział dużo; musimy też wypytać Isgrimnura i Josuę. Chociaż nie wiemy nawet, o co pytać. – Duchowny westchnął i pokręcił głową. – Miłościwy Aedonie, jaka szkoda, że nie ma z nami Geloë. Ona wiedziałaby, od czego zacząć.

– Ale jej nie ma. Nie ma też Binabika. Musimy więc radzić sobie sami. To jest naszym obowiązkiem, tak jak obowiązkiem Camarisa jest walczyć mieczem, a Josui znosić ciężary przywództwa. – Tiamak spojrzał na stos pergaminów rozłożonych na jego kolanach. – Ale masz rację: nie wiadomo,

od czego zacząć. Gdyby ktoś potrafił powiedzieć nam więcej o powstaniu mieczy.

W kabinie zapadła ponura cisza, a na zewnątrz znowu rozległa się pieśń Niski; jej ostre tony przecięły odgłosy burzy.

POCZĄTKOWO MIRIAMELE NIE POTRAFIŁA *powiedzieć, co to jest, ze względu na ogromne rozmiary tego, co widziała. Jasność świtu, ogromne, aksamitne płatki, krople rosy migocące niczym szklane kule, a nawet ciernie, ogromne kolce z ciemnego drewna, wszystko to wydawało się istnieć samodzielnie. Dopiero po długiej chwili – a tak jej się przynajmniej wydawało – zdała sobie sprawę, że patrzy na ogromną różę. Kwiat obracał się, jakby jego łodygą kręciły ogromne, lecz niewidzialne palce; jego zapach był tak przenikliwy, że wydawało jej się, iż cały świat dusi się tą wonią, lecz mimo iż aromat był tak przytłaczający, czuła, że wypełniał ją też życiem.*

Ogromna połać trawy, nad którą obracała się róża, zaczęła drżeć. Darń wybrzuszyła się i z ziemi wynurzyły się wysokie, szare kamienie. Kiedy znalazły się ponad ziemią, zobaczyła, że są złączone u podstawy i że w rzeczywistości jest to ogromna dłoń. Dłoń uniosła się wyżej, odrzucając ziemię i darń; kamienne palce otoczyły różę. Chwilę później dłoń zacisnęła się. Ogromny kwiat przestał się obracać i zniknął w miażdżącym uścisku. Pojedynczy płatek opadał, kołysząc się wolno. Róża nie żyła...

MIRIAMELE USIADŁA, CZUJĄC, jak bije jej serce. W pieczarze panowała prawie zupełna ciemność; tylko kilka spośród kryształów karlaków jarzyło się słabym, różowym światłem, jak zawsze, kiedy karlaki zasypiały. A mimo to wyczuwała jakąś zmianę.

– Yis-fidri? – zawołała. Od ściany oderwał się cień i zbliżył do niej, kołysząc głową.

– Jeszcze nie wrócił – powiedziała Yis-hadra.

– Co się stało? – Miriamele czuła pulsujący ból w głowie, jakby otrzymała mocne uderzenie. – Coś się stało.

– Teraz było to bardzo silne. – Yis-hadra była najwyraźniej zaniepokojona: jej oczy były jeszcze większe niż zwykle, a długie palce drgały nerwowo. – Dokonuje się tutaj jakaś... jakaś zmiana, zmiana w kościach ziemi i w sercu Asu’a. – Szukała odpowiednich słów. – To już trwa od jakiegoś czasu. Teraz jest coraz silniejsze.

– Jaka zmiana? Co zrobimy?

– Nie wiemy. Ale nie zrobimy niczego, dopóki nie wrócą Yis-fidri i pozostali.

– Wszystko wali się dookoła, a ty nic nie chcesz zrobić? Nawet nie będziemy uciekać?

– Nie wali się. To jest coś innego. – Yis-hadra położyła drżącą dłoń na ramieniu Miriamele. – Proszę. Moi ludzie się boją. A ty jeszcze pogarszasz sytuację.

Zanim Miriamele zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, poczuła, jak przenika ją niemy grzmot, zbyt niski, by go usłyszeć. Wydawało się, że zadrżała cała komnata; przez chwilę nawet przyjazna twarz Yis-hadry zamieniła się w martwą plamę, a świecące różowym światłem kryształowe pałeczki karlaków zajarzyły się chłodniejszym blaskiem, najpierw białym, a potem błękitnym. Wszystko wydawało się przekrzywione. Miriamele poczuła, że osuwa się na bok, jakby straciła równowagę na wirującej ziemi.

W następnej chwili kryształy zaświeciły cieplejszym światłem i wszystko było tak jak przedtem.

Miriamele odetchnęła kilka razy głęboko, zanim się odezwała:

– Dzieje się coś... coś bardzo złego.

Yis-hadra wstała, kołysząc się niepewnie.

– Muszę pójść do pozostałych. Razem z Yis-fidrim dbamy o to, żeby nie przestraszyli się za bardzo. Bez Czerepu i Komnaty Wiedzy pozostało już niewiele rzeczy, które mogłyby utrzymać nas razem.

Miriamele zadrżała. Otaczająca ją ze wszystkich stron masa kamieni przypominała ściany grobowca. Bez względu na to, czego obawiali się Josua, Jarnauga i pozostali, to właśnie teraz miało miejsce. Jakaś ogromna moc przenikała kamienie pod Hayholt, podobnie jak krew płynąca w jej ciele. Bez wątpienia pozostało bardzo mało czasu.

„Czy tutaj spotkam swój koniec? – zastanawiała się. – Tutaj, na dole, w ciemności, i nigdy nie dowiem się dlaczego?”

MIRIAMELE NIE PAMIĘTAŁA, kiedy ponownie zapadła w sen, lecz obudziła się – tym razem łagodniej – siedząc z głową opartą o kaptur swojego płaszcza. Przez moment rozcierała zdrętwiałą szyję, aż nagle ujrzała postać skuloną przy jej torbach, ledwie widoczną w słabym świetle kryształów karlaków.

– Ty tam! Co robisz?

Postać odwróciła się, spoglądając na Miriamele szeroko otwartymi oczami.

– Nie śpisz? – spytał troll.

– Binabik? – Miriamele patrzyła przez chwilę zdumiona, a potem skoczyła na nogi i pobiegła do trolla. Uniosła go w górę i ścisnęła tak mocno, że Binabik roześmiał się, z trudem łapiąc oddech. – Matko Miłosierna! Binabik! Jak się tutaj znalazłeś?

– Karlaki spotkały mnie na schodach – powiedział, kiedy postawiła go na ziemi. – Jestem tutaj już od jakiegoś czasu. Nie chciałem cię obudzić, ale bardzo zgłodniałem, więc postanowiłem przeszukać torby...

– Zostało jeszcze trochę chleba i suszonych owoców. – Zaczęła szukać w torbie. – Tak się cieszę, że wróciłeś. Nie wiedziałam, co się z tobą stało. Ten potwór, ten mnich! Co się stało?

– Zabiłem go, a może raczej uwolniłem. – Binabik pokręcił głową. – Nie wiem. Przez chwilę był sobą i ostrzegał przed Nornami... co on powiedział?... Nieskończenie fałszywy. – Wziął od Miriamele kawałek suchego chleba. – Znałem go kiedyś jako człowieka. Razem z Simonem spotkaliśmy go w ruinach klasztoru świętego Hoderunda. Nie byliśmy wielkimi przyjaciółmi z Hengfiskiem, ale kiedy się spojrzało w jego oczy...! Nikomu nie powinno się wyrządzać takiej krzywdy. Nasz wróg odpowiada za wiele zła.

– Co myślisz o karlakach? Czy powiedziały ci, dlaczego mnie zabrały? – Przyszło jej coś do głowy. – Czy ty także jesteś więźniem?

– Nie wiem, czy więzień to właściwe słowo – powiedział Binabik zamyślony. – Tak, Yis-fidri opowiedział mi, kiedy mnie znaleźli i kiedy wracaliśmy tutaj. Przynajmniej do pewnego momentu.

– Jak to?

– W tunelach są żołnierze – odparł troll. – A także Nornowie, tak mi się przynajmniej wydaje, chociaż ich nie widzieliśmy tak dobrze jak żołnierzy. Karlaki jednak ich wyczuły, a nie sądzę, żeby udawały ze względu na mnie. Były bardzo przestraszone.

– Nornowie? Tutaj? Myślałam, że oni nie mogę wejść do zamku!

Binabik wzruszył ramionami.

– Kto wie? Nie może tego zrobić ich niezmarły pan. Ale nie sądziłem, że żywi Nornowie zechcą przybyć tutaj. No cóż, nie zdziwiłbym się, gdyby

wszystko, co dotąd wydawało mi się prawdą, okazało się fałszywe.

Yis-fidri podszedł do nich i przykucnął, skrzypiąc skórzanym kaftanem. Miriamele pomyślała, że gdyby nie miła, smutna twarz, zupełnie przypominałby pająka sunącego po swojej pajęczynie.

– Oto twój towarzysz, Miriamele, bezpieczny.

– Cieszę się, że go znaleźliście.

– W ostatniej chwili. – Yis-fidri wydawał się wyraźnie zaniepokojony. – W tunelach jest pełno śmiertelników i Hikeda'ya. Jesteśmy bezpieczni tylko dlatego, że potrafimy ukryć wejście do tej pieczary.

– Chcecie zostać tutaj na zawsze? To na nic się nie zda. – Radość z powrotu Binabika minęła już nieco i teraz Miriamele znowu poczuła ogarniającą ją rozpacz. Siedzieli uwięzieni w pieczarze, podczas gdy świat wokół nich zmierzał w kierunku jakiejś okropnej katastrofy. – Czy nie widzisz, co się dzieje? Twoi ludzie wyczuwają to.

– Oczywiście, że to czujemy – odpowiedział Yis-fidri nieco rozgniewany. – Czujemy więcej niż ty. Znamy te zmiany, wiemy, co potrafią Słowa Stworzenia. Mówią do nas także kamienie. My jednak nie mamy siły powstrzymać tego, co się dzieje, a jeśli zwrócimy na siebie uwagę, będzie to koniec. Nasza wolność nikomu nie jest potrzebna...

– Słowa Stworzenia? – powtórzył Binabik, lecz zanim zdążył dokończyć pytanie, Yis-hadra powiedziała coś cicho do męża w języku karlaków.

Miriamele spojrzała na pozostałe karlaki skulone pod ścianą pieczary. Niewątpliwie były przestraszone; z szeroko otwartymi oczami mówiły coś do siebie, podekscytowane, potrząsając kończynami i ogromnymi głowami.

Yis-fidri spojrzał na żonę zaniepokojony.

– Ktoś jest na zewnątrz – powiedział.

– Na zewnątrz? – Miriamele zamknęła torbę. – Kto?

– Nie wiemy. Ale ktoś próbuje wejść przez ukryte drzwi naszej pieczary. – Pomachał nerwowo dłońmi. – Nie jest to śmiertelny żołnierz, gdyż ma pewną moc nad rzeczami; zabezpieczyliśmy drzwi do granic sztuki Tinukeda'ya.

– Nornowie? – szepnęła Miriamele.

– Nie wiemy! – Yis-fidri wstał i otoczył pająkowatym ramieniem Yis-hadrę. – Musimy wierzyć, że nawet jeśli znaleźli drzwi, to nie uda im się ich otworzyć. Nic więcej już nie możemy zrobić.

– Ale musi chyba być jakieś inne wyjście?

Yis-fidri zwiesił głowę.

– Zaryzykowaliśmy. Ukrycie dwóch drzwi czyni je mniej pewnymi, a poza tym nie chcieliśmy wykorzystywać zbyt dużo Sztuki, ze względu na równowagę...

– Matko Miłosierna! – zawołała Miriamele. Czuła ogromną złość i strach. – Tak więc znaleźliśmy się w pułapce! – Odwróciła się do Binabika. – Niech Bóg nam pomoże! Co mamy robić?

Troll wyglądał na zmęczonego.

– Pytasz, czy będziemy walczyć? Oczywiście. Qanucowie nie oddają łatwo swojego życia. *Mindunob inik yat:* „Mój dom będzie twoim grobem". – Uśmiechnął się ponuro. – Ale bez wątpienia nawet najdzielniejszy troll będzie się starał obronić swoją jaskinię, zanim sam umrze.

– Znalazłam swój nóż – powiedziała Miriamele, uderzając nerwowo palcami po nodze. Starała się opanować drżenie głosu. W pułapce! Znaleźli się w pułapce bez wyjścia, a za drzwiami byli Nornowie! – Miłosierna Elysio, szkoda, że nie mam łuku. Mam tylko Białą Strzałę Simona, ale jestem pewna, że on nie miałby nic przeciwko temu, gdybym zatopiła ją w ciele Norna. Mogę użyć jej jako sztyletu.

Yis-fidri patrzył na nią niedowierzająco.

– Nie uratowałby cię nawet pełen kołczan najlepszych strzał Vindaomeyo.

– Nie chcę się uratować – warknęła Miriamele. – Ale zaszliśmy za daleko, żeby pozwolić się pokonać jak przestraszone dzieci. – Wciągnęła głęboko powietrze. – Yis-fidri, jesteś silny. Czułam to, kiedy mnie niosłeś. Chyba nie pozwolisz tak po prostu się zabić?

– My nie mamy zwyczaju walczyć – przemówiła Yis-hadra. – Nigdy nie byliśmy silni, a przynajmniej nie w ten sposób.

– W takim razie zostańcie z tyłu. – Miriamele pomyślała, że teraz przypomina najgorszego i najbardziej buńczucznego rozrabiakę z gospody, ale wolała nie myśleć o tym, co mogło się niebawem wydarzyć. Już sam widok trzęsących się karlaków odbierał jej siły, a na dodatek jej własny strach przypominał dziurę, do której mogła w każdej chwili wpaść. – Zaprowadźcie nas do drzwi. Binabiku, nazbierajmy chociaż kamieni. Przynajmniej tego tutaj nie brakuje.

Karlaki patrzyły na nich nieufnie, jakby przygotowywanie obrony czyniło tych dwoje równie niebezpiecznymi jak wróg na zewnątrz.

Miriamele i Binabik szybko uzbierali stos kamieni, a potem troll rozłożył swój kij i wsadził za pas tę jego część, w której tkwił nóż, przygotowując swoją dmuchawę.

– Lepiej będzie zacząć od tego. – Wsunął strzałkę do dmuchawy. – Może śmierć, której nie będą mogli zobaczyć, ostudzi nieco chęć wejścia do środka.

Drzwi okazały się kolejną częścią prążkowanej ściany pieczary, lecz kiedy stanęli tuż przed nią, na kamieniu pojawiła się srebrzysta linia.

– Ruyanie, prowadź nas! – westchnął smutno Yis-fidri. – Złamali pieczęcie! – Karlaki zaczęły szeptać nerwowo.

Srebrzysta smuga posuwała się do góry, potem skręciła w bok i zaczęła sunąć w dół. Wtedy część ściany, którą objęła, zaczęła się przesuwać do wewnątrz, ocierając się o podłogę jaskini. Miriamele przyglądała się zafascynowana, czując przenikające ją drżenie.

– Nie wychodź przede mnie – szepnął Binabik. – Powiem ci, kiedy będzie można się ruszyć.

Drzwi zatrzymały się. Binabik przyłożył dmuchawę do ust na widok postaci w wąskim przejściu. Ciemna postać zachwiała się i poleciała do przodu. Karlaki jęknęły przerażone.

– Trafiłeś go! – zawołała Miriamele. Ścisnęła w dłoni kamień, gotowa w każdej chwili zaatakować, podczas gdy Binabik założył kolejną strzałkę, lecz nikt inny nie pojawił się w drzwiach.

– Czekają – szepnęła Miriamele. – Widzieli, co się stało z pierwszym.

– Ale ja jeszcze nic nie zrobiłem! – powiedział Binabik. – Wciąż mam swoją strzałę.

Postać uniosła głowę.

– Zamknijcie... drzwi. – Każde słowo wymawiała z wyraźnym wysiłkiem. – Idą za mną...

Miriamele otworzyła oczy zdumiona.

– To jest Cadrach!

Binabik spojrzał najpierw na nią, a potem na mnicha, który znowu opadł na podłogę. Odłożył swój kij i podbiegł do leżącego.

– Cadrach? – Miriamele pokręciła głową niedowierzająco. – Tutaj?

Karlaki przebiegły obok niej, by zamknąć drzwi.

50. Kraina szarości

BEZBARWNA MGŁA CIĄGNĘŁA SIĘ we wszystkie strony. Simon płynął poprzez nicość. Nic się nie poruszało, panowała kompletna cisza.

– Pomóż mi! – zawołał albo może tylko próbował, gdyż wydawało mu się, że głos nigdy nie opuścił jego głowy. Leleth odeszła; jej ostatni dotyk na jego myślach stał się chłodny i odległy. – Niech ktoś mi pomoże!

Jeśli ktoś jeszcze znajdował się z nim w szarej pustce, to nie odpowiadał.

„A jeśli rzeczywiście ktoś lub coś tam jest? – pomyślał nagle, przypominając sobie, co mu opowiadano o Ścieżce Snów. – Może to być ktoś, kogo nie chcę spotkać. – To mogła nie być Ścieżka Snów, ale Leleth powiedziała, że znajduje się blisko. Mistrza Binabika spotkało coś okropnego na tej drodze, coś, co go zabiło. – Czy byłoby to gorsze od ciągłego unoszenia się tutaj, jak duch? Wkrótce nie zostanie we mnie nic, co byłoby warte uratowania”.

Mijały godziny i nic się nie zmieniało. A może dni. Albo tygodnie. Tutaj nie było Czasu. Nicość była doskonała.

Po długiej pustce jego coraz słabsze myśli znowu się zlały.

„Leleth miała popchnąć mnie z powrotem, z powrotem do mojego ciała, do życia. Może sam to zrobię”.

Spróbował przypomnieć sobie, jakie to uczucie, kiedy jest się w swoim żywym ciele, lecz bardzo długo widział tylko chaotyczne obrazy z ostatnich dni: szczerzące zęby kopacze, Nornowie zebrani na wzgórzu w Dolinie Hasu. Wreszcie przywołał obraz wielkiego koła i zawieszonego na nim nagiego ciała.

– *To ja! Ja, Simon! Wciąż żyję!*

Postać wisząca na krawędzi koła była niewyraźna i bez określonego kształtu, niczym prymitywna rzeźba Usiresa na Drzewie, lecz Simon czuł z nią wyraźną więź. Starał się nadać twarzy kształt, lecz nie potrafił przypomnieć sobie własnych rysów.

„Zgubiłem siebie samego. – Myśl ta spadła na niego jak fala przenikliwego mrozu. – Nie pamiętam, jak wyglądam, nie mam twarzy!”

Postać na kole, a nawet samo koło, zadrżało i stało się mniej wyraźne.

– *Nie!* – Przywarł do koła, pragnąc, by jego okrągły cień pozostał w polu widzenia oczu jego wyobraźni. – *Nie! Ja żyję! Jestem Simon!*

Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądał w lusterku Jirikiego, ale najpierw musiał w pamięci przywołać obraz samego lusterka, jego chłód wyczuwany palcami, gładkie krawędzie. Lusterko rozgrzało się pod jego dotykiem, jakby było żywą istotą.

I nagle ujrzał swoją twarz uwięzioną w sithijskim lusterku. Jego rude włosy były zmierzwione, wyraźnie odcinał się biały pukiel; od oka do szczęki ciągnęła się blizna po smoczej krwi. Oczy nie pokazywały tego, co działo się z tyłu. Z lusterka Jirikiego nie spoglądał już chłopiec, lecz młody mężczyzna o pociągłej twarzy. To była jego twarz, jego twarz powróciła do niego.

Wytężył wolę, by umieścić te rysy na obliczu postaci z koła. Kiedy maska jego twarzy znalazła się na swoim miejscu, wszystko inne stało się wyraźniejsze. Z szarej pustki wyłoniła się pieczara odlewni, niewyraźna jak

duch, lecz bez wątpienia prawdziwa, oddalona tylko trochę od Simona. Jego serce znowu wypełniła nadzieja.

Pomimo wysiłków jednak nie mógł posunąć się do przodu. Tak bardzo pragnął powrócić – chociażby na koło – a jednak wciąż pozostawało poza jego zasięgiem. Wydawało mu się, że im bardziej się stara, tym bardziej powiększa się odległość między unoszącym się w świecie snów Simonem a jego pustym, uśpionym ciałem.

Nie mogę go dosięgnąć! – Czuł coraz większy ciężar klęski. – *Nie mogę.*

Po tej myśli obraz koła zamazał się i zniknął. Zniknęła też odlewnia, pozostawiając go w bezbarwnej pustce.

Jeszcze raz zebrał wszystkie siły, lecz teraz świat, który zostawił za sobą, ledwie zamigotał i zaraz zgasł. Wściekły, zrozpaczony, spróbował jeszcze raz i jeszcze, lecz nie potrafił się przebić. Wreszcie jego wola poddała się. Został pokonany. Teraz należał do pustki.

„Jestem stracony...”

Przez jakiś czas Simon czuł tylko pustkę i beznadziejny ból.

NIE POTRAFIŁ POWIEDZIEĆ, CZY SPAŁ, czy może przeniósł się w inny świat, lecz kiedy znowu odnalazł swoje myśli, poczuł, że w pustce znajduje się coś jeszcze oprócz niego. Przed nim unosiła się pojedyncza plamka światła, podobna do płomienia świecy oglądanego przez mgłę.

– Leleth? Czy to ty?

Iskra nie poruszyła się. Wysiłkiem woli Simon przybliżył się do światła.

Początkowo nie potrafił powiedzieć, czy iskra przybliżyła się, czy też – podobnie jak gwiazda na horyzoncie – pozostawała równie odległa bez względu na to, jak daleko się posuwał. Mimo to coś zaczęło się zmieniać

wokół Simona. Z nicości zaczęły wyłaniać się linie i kształty, które stawały się coraz wyraźniejsze, aż wreszcie przybrały postać drzew i kamieni – lecz cały obraz był przezroczysty jak woda. Simon unosił się nad zboczem wzgórza, ale ziemia i roślinność pod nim nie wydawały się o wiele bardziej realne od pustki rozciągającej się ponad jego głową zamiast nieba. Wydawało się, że płynie przez krajobraz z czystego szkła, lecz kiedy dotknął stopą kamienia, przeniknął przez niego.

„Czy ja jestem duchem? Czy to takie miejsce?”

Światło zbliżyło się jednak. Simon widział ciepły punkcik, który jarzył się delikatnie, otoczony mgłą drzew. Zbliżył się.

Iskra zawisła na krawędzi upiornej doliny, na brzegu półprzezroczystego kamienia. Kamień znajdował się w rękach niewyraźnej postaci. Kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, zjawa się odwróciła. Ten duch, anioł albo demon, miał twarz kobiety. Jej oczy otworzyły się szerzej, lecz nie wyglądały tak, jakby go widziały.

– Kto tam? – Twarz zjawy nie poruszyła się, lecz jego umysł nie miał wątpliwości, że to ona przemówiła. Jej głos miał tak bardzo ludzkie brzmienie.

– To ja. Zgubiłem się. – Simon zastanawiał się, jak poczuje się w tej śmiertelnej pustce tak blisko obcej istoty. – Nie chcę zrobić niczego złego.

Kobieca zjawa zafalowała i przez moment iskierka światła, którą tuliła w ramionach, zaświeciła jaśniej. Simon poczuł przyjemne ciepło, które rozlało się po jego wnętrzu.

– Znam cię – powiedziała wolno. – Przyszedłeś do mnie już kiedyś.

Nic nie rozumiał.

– Ja jestem Simon. A ty kim jesteś? Co to za miejsce?

– Nazywam się Maegwin. – Teraz jej głos zabrzmiał niespokojnie. – A to jest kraina bogów. Ale przecież ty wiesz o tym. Ty byłeś „posłańcem”

bogów.

Simon nie miał pojęcia, o czym ona mówi, lecz bardzo pragnął czyjegoś towarzystwa, nawet jeśli miała to być kobieta-duch.

– Zgubiłem się – powtórzył. – Czy mogę zostać tutaj i porozmawiać z tobą? – Nie wiedział dlaczego, ale wydawało mu się ważne, aby uzyskać od niej pozwolenie.

– Oczywiście – powiedziała, lecz w jej głosie wciąż wyczuwało się niepewność. – Proszę.

Przez chwilę widział ją wyraźniej; jej smutną twarz okalały gęste włosy oraz kaptur długiego płaszcza.

– Jesteś piękna – powiedział.

Maegwin roześmiała się; Simon raczej poczuł jej śmiech, niż usłyszał.

– Przypomniałeś mi o tym, że znajduję się daleko od życia, które kiedyś znałam. – Zapadła cisza. Żarzące się światło pulsowało równomiernie. – Mówisz, że się zgubiłeś?

– Tak. Trudno to wyjaśnić, ale ja nie jestem tutaj, a przynajmniej pozostała moja część. – Zastanawiał się, czy powiedzieć jej więcej, lecz nie był pewien, czy powinien otworzyć się przed tym melancholijnym, nieszkodliwym duchem. – Dlaczego ty jesteś tutaj?

– Ja czekam – odparła smutno Maegwin. – Nie wiem jednak, na kogo albo na co. Wiem tylko, że czekam.

Przez jakiś czas oboje milczeli. Dolina poniżej migotała, jakby oglądana przez cienką warstwę mgiełki.

– Wszystko wydaje się tak odległe – odezwał się wreszcie Simon. – Wszystko, co wydawało się tak ważne.

– Jeśli posłuchasz – powiedziała Maegwin – to usłyszysz muzykę.

Simon wsłuchał się, lecz niczego nie usłyszał. Już sam ten fakt wydawał się zdumiewający. Nie słyszał niczego: ani wiatru, ani jednego ptaka, żadnych głosów, nie słyszał nawet stłumionego bicia własnego serca. Nigdy nie wyobrażał sobie tak absolutnej ciszy, tak głębokiego spokoju. Wydawało się, że po całym chaosie i szaleństwie życia dotarł do wypełnionego ciszą środka wszystkiego.

– Boję się trochę tego miejsca – powiedział. – Boję się, że jeśli zostanę tutaj dłużej, to już nie będę chciał powrócić do mojego życia.

Poczuł zdziwienie Maegwin.

– Twojego życia? Czy nie umarłeś już dawno? Sądziłam, że jesteś jakimś dawnym bohaterem, kiedy przyszedłeś do mnie. – Westchnęła. – Co ja zrobiłam? Czy to możliwe, że nie wiedziałeś, iż umarłeś?

– Umarłem? – Poczuł strach i wściekłość. – Ja nie umarłem! Ja wciąż żyję. Nie mogę tylko powrócić, ale ja wciąż żyję!

– W takim razie co tutaj robisz ze mną? – W jej głosie zabrzmiała dziwna nuta.

– Nie wiem. Ale ja żyję! – Chociaż powiedział to głównie dlatego, by odpędzić strach, to jednocześnie poczuł to: poczuł więzy, coraz słabsze, lecz niewątpliwie prawdziwe, więzy, które wciąż łączyły go ze światem przebudzenia i z jego ciałem.

– Ale przecież tutaj przychodzą tylko zmarli, prawda? Zmarli tacy jak ja?

– Nie. Zmarli idą dalej. – Simon pomyślał o Leleth, która popłynęła swobodnie, i wiedział, że mówi prawdę. – To jest miejsce oczekiwania, miejsce pomiędzy. Zmarli idą dalej.

– Ale jak to możliwe, skoro ja... – Maegwin umilkła nagle.

Simon wciąż czuł pełen przerażenia strach, ale jednocześnie czuł w sobie płomyk własnego życia, płomyk, który przygasł, lecz nie zgasł

zupełnie – to dodało mu otuchy. Wiedział, że żyje. Tylko tego mógł się uczepić.

Poczuł obok siebie coś dziwnego. Maegwin płakała, ale jej płacz nie był dźwiękiem, lecz konwulsyjnymi ruchami, które wstrząsały całą jej postacią, powodując, że nieomal rozpraszała się jak zdmuchnięty wiatrem pióropusz dymu.

– Co się stało? – Widok ten niepokoił go, lecz mimo wszystko nie chciał jej utracić. A ona stała się niebezpiecznie nierzeczywista; nawet światło, które tuliła, przygasło. – Maegwin, dlaczego płaczesz?

– Jestem głupia – powiedziała zapłakana. – Taka głupia!

– Dlaczego tak mówisz? – Chciał wyciągnąć ramię i dotknąć jej, lecz nie mógł tego zrobić. Spojrzał w dół i niczego nie zobaczył w miejscu, gdzie powinno znajdować się jego ciało. Dziwne, lecz w tym miejscu nie wydawało się to tak przerażające, jak mogłoby okazać się gdzie indziej. Zastanawiał się, jak wygląda w oczach Maegwin. – Dlaczego mówisz, że jesteś głupia?

– Ponieważ myślałam, że wiem wszystko. Ponieważ wydawało mi się, że nawet bogowie czekają na to, co zrobię.

– Nie rozumiem.

Zapadła długa chwila milczenia. Jej smutek przepływał przez niego, niesiony na przemian falami złości i żalu.

– Wyjaśnię ci to, ale najpierw powiedz mi, kim jesteś i jak dostałeś się tutaj? Och, bogowie, bogowie! – Simon znowu przestraszył się, że jej smutek zdmuchnie ją całkowicie. – Byłam pewna zbyt wielu rzeczy. Zbyt wielu.

Simon mówił początkowo powoli, z wahaniem, lecz nabierał coraz większej pewności, w miarę jak powracały do niego okruchy przeszłości.

Ze zdumieniem stwierdził, że pamięta imiona, które jeszcze przed chwilą stanowiły wypełnione mgłą dziury w jego pamięci.

Maegwin nie przerywała mu, lecz w miarę jak opowiadał, jej postać nabierała wyrazistości. Teraz widział ją wyraźnie: jasne, przepełnione bólem oczy, zaciśnięte usta, jakby chciała powstrzymać ich drżenie. Zastanawiał się, kto ją kochał, gdyż niewątpliwie była kobietą, którą ktoś mógł pokochać. Kto ją opłakiwał?

Kiedy zaczął opowiadać o *Sesuad'ra* i o misji hrabiego Eolaira, który przybył z Hernysadharc, przerwała mu wreszcie i poprosiła, by opowiedział jej więcej o hrabim i o tym, co mówił.

Rozpłakała się, kiedy Simon opisał Aditu i opowiedział o tym, co Sithijka miała do powiedzenia o Dzieciach Świtu udających się do Hernystiru.

– Mircho deszczem przyodziany! Tego się obawiałam. Swoim szaleństwem doprowadziłam niemal do zguby mojego ludu. Ja nie umarłam!

– Nie rozumiem. – Simon przybliżył się, czując przyjemne ciepło światła. Dzięki niemu wszystko dookoła nie wydawało się tak puste. – Nie umarłaś?

Kobieta-cień zaczęła opowiadać o swoim życiu. Simon ze zdumieniem stwierdził, że słyszał już o niej, chociaż nigdy się nie spotkali. Była córką Llutha, siostrą Gwythinna, Hernystirczyka, którego Simon widział na dworze Josui.

Rzeczywiście przerażająca była jej opowieść i późniejsze relacje dotyczące snów i nieporozumień, które wspólnie z Simonem pozlepiali z kawałków i domysłów. Simon, który sam spędził wiele czasu na kole, przepełniony wściekłą litością nad samym sobą, z przerażeniem słuchał o jej stratach; Maegwin utraciła ojca, brata, dom i kraj – tego nawet on nie

doświadczył. Do tego jeszcze okrutne sztuczki losu, któremu Simon pomógł nieświadomie! Nic dziwnego, że straciła rozum i myślała, że umarła. Tak bardzo jej współczuł.

Kiedy Maegwin skończyła mówić, w upiornej dolinie znowu zapadła całkowita cisza.

– Ale dlaczego jesteś tutaj? – spytał wreszcie Simon.

– Nie wiem. Nie zostałam tutaj przyprowadzona tak jak ty. Lecz po tym, jak dotknęłam umysłu tamtej istoty, która, jak mi się wydawało, znajdowała się w Scadach, w Naglimundzie, jeśli rzeczywiście tam byłam, przez jakiś czas nie byłam nigdzie. A potem obudziłam się w tej krainie, w tym miejscu i wiedziałam, że czekam. Może czekałam na ciebie.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. Wydaje mi się jednak, że toczymy wspólną bitwę, czy raczej toczyliśmy, gdyż nie sądzę, byśmy opuścili to miejsce.

Simon zastanawiał się.

– Ta istota... w Naglimundzie. Jak ona wyglądała? Co... co czułaś, kiedy dotknęłaś jej myśli?

Maegwin szukała odpowiednich słów, by wyrazić to, co miała do powiedzenia.

– Ona... parzyła. Znalazłszy się tak blisko niej, miałam wrażenie, że wsadzam głowę do pieca; wydawało mi się, że wypali całą moją istotę. Nie wyczuwałam żadnych słów, jakie czuję teraz przy tobie, a raczej... myśli. Nienawiść, jak już mówiłam, nienawiść wobec życia. A także tęsknotę za śmiercią, za uwolnieniem, która niemal dorównywała tęsknocie za zemstą. – Westchnęła i światło przygasło na chwilę. – Tak było, kiedy po raz pierwszy rozwodziłam się nad własnymi myślami, gdyż i *ja* odczuwałam tęsknotę za śmiercią, ale skoro wtedy już nie żyłam, to jak mogłam pragnąć uwolnienia od życia? – Simon poczuł słodko-gorzkie

ukłucie jej śmiechu. – Mircho, ukryj mnie! Wysłuchaj nas! Ach, drogi nieznajomy, nawet po tym wszystkim, co już minęło, jest to szaleństwo, które wykracza poza wszelkie zrozumienie. Żebyśmy spotkali się w tym miejscu, *moiheneg* – użyła hernystirskiego słowa albo myślała, że Simon nie rozumie – i rozmawiali o naszym życiu, choć nie wiemy nawet, czy jeszcze żyjemy.

– Wyszliśmy poza świat – powiedział Simon i nagle wszystko wydało się inne. Poczuł ogarniający go spokój. – Może otrzymaliśmy dar. Pozwolono nam wyjść poza świat na jakiś czas. Na czas odpoczynku. – I rzeczywiście, po raz pierwszy poczuł się bardziej sobą od chwili, kiedy wpadł w dziurę w grobowcu Johna. Spotkanie z Maegwin sprawiło, że znowu poczuł się jak żywa istota.

– Czas odpoczynku? Może dla ciebie, Simonie; cieszę się, jeśli tak jest. Ja mogę tylko z żalem patrzeć na to, jak głupim uczyniłam swoje życie.

– Czy jeszcze czegoś dowiedziałaś się od... od tej gorącej istoty? – Bardzo chciał mówić o czymś innym. Widział ogarniający ją smutek i bał się, że pozostanie sam, jeśli ona pozwoli, by to uczucie zawładnęło nią całkowicie.

Maegwin zadrżała. Wydawało się, że niewidoczny wiatr poruszył jej włosami.

– Były tam myśli, dla których brak mi słów. Obrazy, których nie potrafię do końca wyjaśnić. Bardzo silne i jasne, jakby znajdowały się blisko środka ognia, który ożywiał tę istotę.

– Jakie? – Jeśli ta płonąca obecność, opisana przez Maegwin, była tym, o czym myślał, to jakiekolwiek wskazówki dotyczące jej zamiarów – a także planów jej niezmarłego pana – mogły pomóc powstrzymać erę ciemności.

„Gdybym tylko mógł powrócić – myślał. – Gdyby udało mi się stąd uciec”. – Starał się odepchnąć tę myśl. Binabik uczył go, by zawsze robił to, co może zrobić w odpowiednim czasie. „Nie możesz złapać trzech ryb, mając tylko dwie ręce” – mawiał mały troll.

Maegwin zawahała się, lecz już w następnej chwili światło rozjarzyło się jaśniej.

– Spróbuję ci pokazać.

Coś poruszyło się w dolinie szkła i cieni przed nimi. Było to inne światło, lecz w przeciwieństwie do tego, które świeciło łagodnie w ramionach Maegwin, tamto emanowało niezwykle przenikliwym blaskiem; niebawem wokół niego pojawiły się inne świecące punkty. Wtedy pierwsze światło rozrosło się w wyciągający się ku górze płomień, który rosnąc, zaczął zmieniać kolor, blednąc, aż wreszcie stał się biały jak mróz. Liżące macki ognia zastygły w bezruchu, wywinięte na zewnątrz. Simon wpatrywał się w nowy kształt. W środku ognistego kręgu wyrosło wysokie, białe drzewo, piękne i nieziemskie. To samo drzewo pojawiało się w jego snach. Białe Drzewo. Płonąca wieża.

– To jest Wieża Zielonego Anioła – szepnął.

– Tam właśnie zmierzają wszystkie myśli istoty w Naglimundzie. – Maegwin powiedziała to niespodziewanie zmęczonym głosem, jakby pokazanie Simonowi drzewa kosztowało ją wiele wysiłku. – Tamta myśl płonie wewnątrz tego, tak samo jak płomienie palą się wokół drzewa. – Obraz zadrżał i zniknął, pozostawiając szary, nieziemski krajobraz.

„Wieża Zielonego Anioła – pomyślał Simon. – Coś ma się w niej wydarzyć”.

– I jeszcze coś. – Maegwin stawała się coraz mniej wyraźna. – Ta istota myślała o Naglimundzie jako o... Czwartym Domu. Czy to coś znaczy?

Simon przypomniał sobie, że Tancerze Ognia z Doliny Hasu wspominali o czymś podobnym, lecz w tym momencie nic mu to nie mówiło. Całą swoją uwagę skupił na myśli o Wieży Zielonego Anioła. Prawie od roku prześladował go sen o wieży i jej nieziemskim odbiciu w postaci Białego Drzewa. Była to ostatnia budowla Sithów w Hayholt; tam Ineluki wypowiedział straszliwe słowa, które przyniosły śmierć tysiącu śmiertelnych żołnierzy i które na zawsze odgrodziły go od świata żywych. Jeśli Król Burz planował jakąś ostateczną zemstę, być może udzielając mocy swojemu śmiertelnemu sprzymierzeńcowi, Eliasowi, to czy mogło istnieć lepsze miejsce niż ta właśnie wieża?

Simon poczuł falę bezsilnej wściekłości. Wreszcie ujrzał zarys ostatecznego planu wroga, lecz nic nie mógł zrobić! Co za szaleństwo! Jeszcze nigdy nie odczuwał tak ogromnej potrzeby działania, a zamiast tego został skazany na wędrówkę jako bezdomny duch, gdy tymczasem jego ciało wisiało bezużyteczne, opuszczone.

– Maegwin, ja muszę znaleźć stąd wyjście. Muszę wrócić. Tam jest wszystko, o co oboje walczyliśmy. Wieża Zielonego Anioła to jest Białe Drzewo. Muszę wracać!

Zjawa długo nie odpowiadała.

– Chcesz wrócić do bólu? Do całego tego cierpienia?

Simon pomyślał o tym wszystkim, co już się wydarzyło i co jeszcze mogło się zdarzyć, o swym umęczonym ciele zawieszonym na kole, o agonii, której uniknął, przybywając tutaj, lecz nie zmienił zdania.

– Aedonie, ratuj nas. Muszę. A ty nie chcesz wracać?

– Nie. – Postać Maegwin zadrżała. – Nie. Ja już nie mam siły, Simonie. Gdyby coś mnie tutaj nie trzymało, poddałabym się już dawno. – Wydawało się, że wciągnęła głęboko powietrze. Kiedy znowu przemówiła, jej głos drżał jakby na krawędzi płaczu: – Są tacy, których kochałam,

a którzy przebywają jeszcze wśród żywych. Szczególnie jeden z nich. – Starała się opanować drżenie głosu. – Kochałam go. Kochałam do nieprzytomności. Może nawet i ja obchodziłam go trochę, może byłam zbyt dumna, by to dostrzec... lecz teraz nie ma to już znaczenia. – Jej głos nieomal się załamał. – Nie, wcale tak nie jest. W całym świecie żywych nie ma dla mnie ważniejszej rzeczy od miłości, ale to już się nie stanie. Nie wrócę, by zacząć od nowa, nawet gdybym mogła.

Simon nie potrafił znaleźć słów, czując ogrom jej bólu. Nagle zdał sobie sprawę, że istniały rzeczy, których nie dało się już naprawić. Niektórych krzywd nie dało się naprawić.

– Ale ty musisz wrócić – powiedziała. – Z tobą jest inaczej, Simonie. I cieszę się, że wiem o tym, że są jeszcze tacy, którzy pragną żyć na świecie. Nikomu nie życzę, by czuł to, co ja czuję. Wracaj, Simonie. Ratuj tych, których kochasz, jeśli możesz; i tych, których ja kocham.

– Ale ja nie potrafię wrócić. – Teraz jego gniew ustąpił miejsca ogromnemu żalowi. Nie było powrotu. Pozostanie tam z Maegwin już na zawsze i będą rozprawiać o swoim życiu. – Nie wiem nawet, po co to mówię. I tak nie mogę wrócić. Nie mam siły, żeby odnaleźć moje ciało.

– Spróbuj. Spróbuj jeszcze raz.

– Myślisz, że nie próbowałem? Jeszcze jak! Nie mogę go dosięgnąć.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to mamy całą wieczność. Nie zaszkodzi spróbować jeszcze raz.

Simon powstrzymał gorzkie słowa; on wiedział najlepiej, jak bardzo próbował. Maegwin miała rację. Musi spróbować bez względu na to, jak małe ma szanse, jeśli chce jeszcze pomóc swoim przyjaciołom, jeśli ma choć cień nadziei na zemstę za cierpienia swoje, Maegwin i tysięcy innych.

Spróbował oczyścić swój umysł z wszelkich obaw i niepotrzebnych myśli. Uzyskawszy spokój, przywołał siłą woli obraz koła, tak że zaczęło

się obracać nad upiorną doliną. Potem przywołał wspomnienie swojej twarzy, jej szczegółów, zwracając tym razem uwagę na to, co znajdowało się poza nimi, na sny, myśli i wspomnienia, które składały się na istotę Simona. Spróbował ożywić postać na kole całą istotą Simona, lecz poczuł, że nie starcza mu już na to sił.

– Maegwin, czy możesz mi pomóc? – W miarę jak koło stawało się coraz bardziej wyraźne, ona się oddalała; teraz była zaledwie mglistym światełkiem. – Nie potrafię.

– Spróbuj.

Z całych sił starał się zatrzymać przy sobie koło, przywołać ból i nieskończoną samotność, które nieodłącznie się z nim wiązały. Przez chwilę wydawało mu się, że czuje szorstkie drewno na plecach, słyszy plusk wody i zgrzyt łańcuchów, lecz po chwili odgłosy znowu zaczęły się oddalać. Znikając, koło zadrżało jak odbicie w falującej wodzie. Było już tak blisko, a teraz znowu się oddalało...

– Teraz, Simonie.

Nagle poczuł ogarniającą go obecność Maegwin, poczuł ją nawet w swoim wnętrzu. Światło, które przez cały czas tuliła, przeszło do niego; było ciepłe jak blask słońca.

– Myślę, że na to czekałam. Teraz nadszedł czas, bym poszła dalej, a dla ciebie nadszedł czas powrotu.

Poczuł przypływ jej siły. Nagle znowu znalazł się blisko koła, odlewni, przenikającego bólu jego żywego ciała.

Maegwin jednak znalazła się bardzo daleko. Jej słowa docierały do Simona z ogromnej odległości i natychmiast zamierały.

– Idę, Simonie. Weź to, co ci dałam, i wykorzystaj: moje życie nie jest już mi potrzebne. Zrób to, co musisz zrobić. Mam nadzieję, że tyle

wystarczy. Jeśli spotkasz Eolaira... nie, sama mu powiem. Kiedyś. W innym miejscu...

Jej odważne słowa nie ukryły strachu. Simon czuł każdą cząstkę jej przerażenia, kiedy osunęła się w ciemność nieznanego.

– Maegwin! Nie!

Już jej nie było. Jej światło stało się teraz częścią Simona. Podarowała mu jedyną rzecz, która jej jeszcze pozostała – był to najdzielniejszy, ale i najstraszniejszy podarunek.

Simon wytężył siły tak, jak nigdy dotąd. Nie chciał zmarnować ofiary Maegwin. Chociaż czuł już bliskość świata żywych, to jednak wciąż od ciała, które opuścił, oddzielała go jakaś tajemnicza bariera, ale przecież tym razem nie mógł zawieść. Wykorzystując siłę Maegwin, zbliżył się jeszcze bardziej, zanurzył się w agonię bólu, strachu, a nawet bezsilności, której doświadczy, jeśli tylko powróci. Nie mógł zrobić niczego, dopóki nie przyjmie tego, co było rzeczywiste. Rzucił się z całych sił i poczuł, że bariera pęka. Pchnął jeszcze raz.

Błotnista szarość przeszła w czerń, a potem w czerwień. Powrócił do budzącego się świata, krzycząc przeraźliwie. Poczuł ból. Bolało całe ciało. Ponownie narodził się dla świata bólu.

KRZYK NIEUSTANNIE WYDOBYWAŁ SIĘ z jego spieczonego gardła i spękanych ust. Rękę przeszywał ognisty ból.

– Cicho! – Przestraszony głos znajdował się bardzo blisko. – Próbuję...

Był znowu na kole. W głowie mu dudniło, a popękane drewno ocierało się o jego plecy. Co się stało z jego dłonią? Wydawało mu się, że ktoś próbuje oderwać mu ją rozgrzanymi szczypcami...

Poruszyło się! Mógł poruszyć ramieniem!

Znowu usłyszał drżący szept:

– Głosy mówią, że muszę się spieszyć. Wkrótce nadejdą.

Lewe ramię Simona było wolne. Kiedy spróbował je zgiąć, ognista kula bólu przetoczyła się wyżej, lecz ramię się poruszyło. Otworzył oczy i patrzył oszołomiony.

Ujrzał przed sobą wiszącą do góry nogami postać; odwrócona była także cała odlewnia. Niewyraźna postać piłowała jego prawe ramię czymś, co odbijało blask jednej z pochodni palących się w drugim końcu pieczary. Kto to był? Co robił? Simon nie potrafił jeszcze zebrać okaleczonych myśli.

Pulsujący ból wpełzł teraz do jego prawej dłoni. Co się działo?

– Przyniosłeś mi jedzenie. Nie mogłem cię zostawić. Ale głosy mówią, że muszę się spieszyć!

Przenikający obie dłonie ból nie pozwalał mu myśleć jasno, ale Simon powoli zaczynał rozumieć. Wisiał na kole do góry nogami. Ktoś przecinał jego więzy. Ktoś...

– ...Guthwulf?

– Niedługo inni zauważą. Przyjdą tutaj. Nie ruszaj się. Ja nie widzę i nie chcę cię skaleczyć. – Ślepy hrabia pracował z całych sił.

Simon zacisnął zęby, powstrzymując kolejny krzyk, kiedy krew spłynęła mu do ramion. Wcześniej nie wierzył, że takie cierpienie jest możliwe.

„Wolny. Warto pocierpieć. Będę wolny...” – Zamknął oczy i zacisnął szczęki. Teraz oba jego ramiona były już wolne i zwisały przy jego głowie. Zmiana pozycji przyniosła ze sobą ból nie do wytrzymania.

Słyszał stłumione, ciężkie kroki Guthwulfa i poczuł rytmiczne piłowanie przy kostce nogi.

„Jeszcze trochę” – obiecywał samemu sobie, starając się ze wszystkich sił powstrzymać krzyk. Przypomniał sobie, co mówiły mu pokojówki,

kiedy płakał z powodu jakiejś nic nie znaczącej rany: „Jutro nie będzie to miało znaczenia. Jutro będziesz szczęśliwy”.

Jedna noga była wolna, a ból wywołany jej uwolnieniem był równie duży jak napięcie w drugiej nodze. Simon odwrócił głowę i zatopił zęby we własnym ramieniu. Zrobiłby wszystko, byleby tylko uciszyć hałas, który mógłby sprowadzić Incha albo któregoś z jego zastępców.

– Prawie... – wycharczał Guthwulf.

Potem Simon poczuł powolny ruch, ślizganie się i nagle zaczął opadać. Zdumiony poczuł, że zanurza się w zimnej wodzie. Młócił wściekle ramionami, lecz wcale ich nie czuł. Nie wiedział, gdzie jest góra.

Coś chwyciło go za włosy i pociągnęło. W następnej chwili druga ręka owinęła się wokół jego szyi pod brodą. Twarz Simona wynurzyła się ponad wodę, a on wciągnął głęboko powietrze. Przez jakiś czas jego twarz pozostawała przyciśnięta do chudego brzucha Guthwulfa, który próbował chwycić go lepiej. Wreszcie Simon poczuł, że został pociągnięty do góry i rzucony na krawędź koryta. Jego dłonie wciąż nie funkcjonowały normalnie; on jednak przywarł łokciami, nie zwracając uwagi na palący ból w stawach. Nie chciał wracać do wody.

– Musimy... – usłyszał Guthwulfa. Zaraz potem ślepiec jęknął i coś uderzyło w Simona, który osunął się do tyłu, ledwo utrzymując się na krawędzi koryta.

– Co tu się dzieje? – rozległo się głuche warczenie Incha. – Nie dotykaj chłopczyka z kuchni!

Simon poczuł, jak jego nadzieja tonie w morzu przerażenia. Jak to się stało? To nie miało być tak! Powrócił ze śmierci, z nicości, po to tylko, żeby wpaść w łapy Incha? Czemu Los płata takie koszmarne figle?

Guthwulf wydał zduszony okrzyk, a potem Simon słyszał tylko odgłosy chlapania. Opuścił się powoli, aż jego stopy dotknęły śliskiego dna koryta.

Kiedy oparł ciężar ciała na obolałych stopach, oślepiająca chmura bólu przetoczyła się przez jego plecy i głowę, ale udało mu się stanąć. Po czymś takim spodziewał się, że nie będzie w stanie się poruszyć, ale miał jeszcze trochę siły, którą zostawiła mu Maegwin; wciąż tliła się w nim jak żar ogniska. Zmusił się do pozostania w pozycji pionowej w kołyszącej się wolno wodzie, czekając, aż znowu odzyska wzrok.

Inch wszedł do koryta i teraz stał zanurzony po pas niczym bestia z bagien. W słabym świetle pochodni Simon ujrzał, jak Guthwulf wynurza się spod wody, próbując uniknąć łap nadzorcy. Inch chwycił ślepca za głowę i ponownie wepchnął go pod wodę.

– Nie! – Krzyk Simona zabrzmiał zaledwie jak szept. Nawet jeśli poniósł się trochę dalej, to Inch nie zwracał na niego uwagi. Simon wciąż pozostawał otoczony chmurą ciszy. Czy był głuchy? Nie, przecież słyszał Guthwulfa i Incha. Dlaczego więc wydawało mu się, że w pieczarze panuje taka cisza?

Ramiona Guthwulfa wynurzyły się ponad powierzchnię wody, lecz pozostała część jego ciała pozostała w ciemnej wodzie.

Simon ruszył wolno w ich kierunku, pokonując wolny prąd. Ogromne koło wisiało nieruchomo nad wodą. Teraz dopiero Simon zrozumiał, dlaczego w odlewni panowała taka cisza: Guthwulfowi udało się w jakiś sposób podnieść koło, co pozwoliło mu go uratować.

Kiedy zbliżył się do Incha, w pieczarze zrobiło się jaśniej, jakby świt znalazł drogę, by przeniknąć w głąb skały. Simon zobaczył zbliżające się postacie, niektóre z nich niosły pochodnie. Pomyślał, że są to żołnierze albo pomocnicy Incha, lecz kiedy podeszli bliżej, ujrzał ogromne, przestraszone oczy. Pracownicy odlewni obudzili się i przyszli zobaczyć, co się dzieje.

– Pomóżcie! – zawołał Simon przez ściśnięte gardło. – Pomóżcie nam! On nie może powstrzymać was wszystkich!

Postacie zatrzymały się, jakby już same słowa Simona mogły uczynić z nich zdrajców zasługujących na karę Incha. Stali nieruchomo, zbyt przestraszeni, by odezwać się choćby do siebie.

Inch nie zwracał uwagi ani na nich, ani na Simona. Pozwolił Guthwulfowi wynurzyć się na chwilę i znowu wepchnął go pod wodę. Simon uniósł zdrętwiałe ramiona i uderzył Incha z całej siły. Równie dobrze mógłby kopnąć górę. Inch odwrócił się do niego. Twarz nadzorcy pozostawała dziwnie niewzruszona, jakby akt przemocy, w który się zaangażował, pochłaniał całą jego uwagę.

– Chłopczyk z kuchni! – zagrzmiał. – Nie uciekniesz! Jesteś następny! – Wyciągnął ramię i przyciągnął do siebie Simona. Potem puścił Guthwulfa i wyrzucił Simona z koryta na kamienną podłogę.

Przez ciało Simona przetoczyła się fala bólu gorszego jeszcze od tego, jaki czuł w kończynach. Przez długą chwilę nie reagował na nic.

Wreszcie wyczuł, że ktoś staje nad nim. Zwinął się w kłębek, przekonany, że to Inch chce dokończyć zniszczenia.

– No, chłopcze – szepnął ktoś, próbując go posadzić. U jego boku klęczał Stanhelm, pracownik kuźni, z którym Simon zdążył się zaprzyjaźnić. Wydawało się, że starzec ledwie się porusza: jedno z jego ramion wisiało bezwładnie przed jego piersią, a szyję miał wygiętą pod dziwnym kątem.

– Pomóżcie nam. – Simon próbował wstać. Każdy oddech był jak ukłucie sztyletu w pierś.

– Ze mnie już nic nie zostało. – Nawet mowa Stanhelma była niewyraźna. – Ale uważaj na to koło, chłopcze.

Simon próbował zrozumieć sens jego słów, kiedy do przodu wysunął się jeden z pomocników Incha.

– Nie dotykaj go – warknął. – On należy do Doktora.

– Zamknij się – powiedział Stanhelm. Pomocnik Incha uniósł ramiona, jakby chciał zaatakować, lecz nagle po obu jego stronach znalazło się kilku spośród pozostałych pracowników odlewni. Niektórzy z nich trzymali w dłoniach ostre kawałki metalu.

– Słyszałeś – warknął cicho jeden z nich. – Zamknij się.

Tamten rozejrzał się, oceniając swoje szanse.

– Dostaniecie za swoje, jak usłyszy to Doktor. Zaraz skończy z tamtym.

– To idź sobie popatrzeć – rzucił ktoś inny.

Odlewnicy wydawali się przestraszeni, lecz mimo to stworzyli wspólny front: nawet jeśli nie zamierzali jeszcze walczyć z okrutnym nadzorcą, to najwyraźniej nie zamierzali przyglądać się, jak jeden z jego ludzi będzie pastwił się nad Simonem albo Stanhelmem. Pomocnik Incha zaklął i wycofał się w bezpieczną strefę obecności swojego pana.

– Chłopcze – szepnął Stanhelm. – Uważaj na to koło.

Simon patrzył oszołomiony na starca, starając się pojąć jego słowa. Potem odwrócił się i zobaczył to.

Ogromne, łopatkowe koło zostało podniesione, tak że zawisło nad wodą na wysokości dwóch mężczyzn. Pod nim stał Inch, który wciąż zmagał się z opierającym się wściekle Guthwulfem.

Stanhelm wyciągnął drżące ramię.

– Tam, tam jest mechanizm.

Simon podniósł się z trudem i podszedł bliżej. Dźwignia, której wcześniej używał Inch, była podniesiona i zabezpieczona liną. Simon napiął obolałe mięśnie i odwiązał linę, a potem chwycił dźwignię w zdrętwiałe dłonie. Inch po raz kolejny wepchnął Guthwulfa pod wodę i przyglądał się ze spokojem cierpieniom swojej ofiary. Starzec zdołał odpłynąć nieco od swojego oprawcy i znalazł się poza zasięgiem koła.

Simon wymówił kilka słów modlitwy do Elysii – tylko tyle zapamiętał – i nacisnął na dźwignię. Ledwie się poruszyła, lecz konstrukcja podtrzymująca koło zaskrzypiała. Inch podniósł wzrok i rozejrzał się, aż wreszcie spojrzenie jego jedynego oka spoczęło na Simonie.

– Chłopczyku z kuchni! Ty...

Simon nacisnął jeszcze raz, tym razem mocniej, i zawisł całym ciałem na drewnianej dźwigni. Żeby wytrzymać, musiał krzyczeć z bólu. Konstrukcja znowu zaskrzypiała, a potem dźwignia wydała przeciągły pisk i opadła; koło zadrżało i zsunęło się do koryta z głuchym pluskiem. Inch próbował rzucić się do przodu, lecz zniknął pod ogromnymi łopatami.

Przez chwilę w całej pieczarze nie poruszało się nic poza kołem, które zaczęło się powoli obracać. A potem, jakby pieniący się strumień zrodził potwora, spod powierzchni wynurzył się wyjący z wściekłości Inch.

– Doktor! – zawołał, krztusząc się i grożąc pięścią. – Nie możesz mnie zabić! Nie Doktora Incha!

Simon osunął się na ziemię. Nic więcej już nie mógł zrobić.

Inch zrobił krok do przodu, a potem uniósł się w górę. Simon patrzył za nim zdumiony. Cały świat wydawał się pogrążać w szaleństwie.

Ciało Incha wzniosło się ponad wodę. Dopiero po jakimś czasie Simon się zorientował, że szeroki pas Incha zaczepił o mocowanie jednej z ogromnych łopat koła.

Koło niosło Incha w górę. Olbrzym ryczał przerażony. Próbował się odwrócić i uwolnić, młócąc pięściami po drewnianej łopacie. Kiedy znalazł się na samej górze obrotu koła, wyciągnął ramiona i chwycił się wielkiego łańcucha, który znikał w mrokach pod sufitem pieczary. Ogromne dłonie Incha zacisnęły się na śliskich ogniwach. Przywarł mocno do łańcucha. Kiedy łańcuch wysunął się poza koło, ciało Incha przez moment wyprężyło

się jak struna. W następnej chwili sprzączka jego pasa puściła i Inch odpadł od łopaty. Teraz ściskał mocno łańcuch rękami i nogami.

Nie było go słychać wyraźnie, lecz jego odbijający się echem ryk przeszedł w okrzyk triumfu, kiedy łańcuch zaczął opuszczać go w dół. Odepchnął się od koła, tak by mógł opaść do wody, lecz kiedy się puścił, osunął się tylko trochę, by zaraz się przechylić. Uderzył w łańcuch i zawisł głową w dół. Jego stopa zaklinowała się w jednym z ogromnych ogniw łańcucha.

Nadzorca zaczął się rzucać, próbując wyswobodzić nogę. Wył i pluł, próbując sięgnąć do krwawiącej stopy, lecz nie mógł podciągnąć ciała na tyle wysoko. Łańcuch uniósł go w mroki wysokości.

Jego wrzaski przycichły, kiedy zniknął w cieniu, a potem rozległ się przeraźliwy krzyk agonii, który w niczym nie przypominał ludzkiego głosu. Koło drgnęło i zatrzymało się na chwilę, chwiejąc się z boku na bok, gdyż wodny prąd napierał na unieruchomione łopaty. Potem koło wznowiło obroty, przeciskając przeszkodę przez ogromne tryby, obracające wierzchołkiem wieży Pryratesa. Z góry poleciała mgiełka ciemnych kropli, a do wody spadły kawałki czegoś bardziej stałego.

Kilka chwil później to, co pozostało z Incha, wynurzyło się z mroku, owinięte wokół łańcucha jak mięso nadziane na szpikulec rożna.

Simon wytrzeszczył oczy, po czym pochylił się, czując wzbierające w nim nudności, lecz jego żołądek był pusty.

Ktoś dotknął jego głowy.

– Uciekaj, chłopcze, jeśli masz dokąd. Wkrótce nadejdzie czerwony duchowny. Jego wieża przestała się kręcić, kiedy koło było w górze.

Simon próbował zobaczyć coś poprzez czarne płatki wirujące przed jego oczami.

– Stanhelm – wysapał. – Chodź z nami.

– Nie mogę. Ze mnie już mało co zostało. – Stanhelm wskazał na swoje powykręcane, okaleczone nogi. – Z kilkoma innymi dopilnuję, żeby reszta siedziała cicho. Powiemy, że Inch miał wypadek. Żołnierze nie będą się nad nami znęcali, potrzebują nas. Ale ty uciekaj, to nie jest twoje miejsce.

– Tak samo jak nie twoje ani pozostałych – odparł Simon. – Wrócę po ciebie.

– Mnie już tutaj nie będzie. – Stanhelm odwrócił się. – Idź już.

Simon wstał i ruszył pomimo bólu w stronę koryta z wodą. Dwóch spośród pracowników odlewni zdążyło już wyłowić z wody Guthwulfa; ślepiec leżał na ziemi, z trudem łapiąc oddech. Mężczyźni, którzy mu pomogli, stali wpatrzeni w niego, lecz nie zrobili nic więcej. Sprawiali wrażenie dziwnie odrętwiałych, jak ryby w zimowym stawie.

Simon schylił się i chwycił Guthwulfa. Czuł, jak opuszczają go resztki sił pozostawionych mu przez Maegwin.

– Guthwulfie, czy możesz wstać?

Hrabia wyrzucił w górę ramiona.

– Gdzie on jest? Boże, pomóż mi, gdzie on jest?

– Co? Inch nie żyje. Wstawaj! Szybko! Którędy mamy pójść?

Ślepiec krztusił się i pluł wodą.

– Nie mogę iść! Nie mogę bez... – Przewrócił się na brzuch i uniósł ciało, podpierając się rękami i nogami, a potem zaczął drapać ziemię wokół koryta, jakby chciał tam wykopać dziurę.

– Co ty wyprawiasz?

– Nie mogę go zostawić. Umrę. Nie mogę. – Nagle z gardła Guthwulfa wydobył się zwierzęcy okrzyk radości. – Jest!

– Miłościwy Aedonie, Guthwulfie, zaraz będzie tutaj Pryrates!

Guthwulf podniósł się i przeszedł kilka chwiejnych kroków.

W dłoni trzymał coś, w czym odbiło się żółte światło pochodni.

– Nie powinienem był go przynosić – wymamrotał. – Ale nie miałem czym przeciąć liny. – Otworzył szeroko usta, by zaczerpnąć powietrza. – Oni wszyscy chcą go zabrać.

Simon wpatrywał się w długi miecz. Rozpoznał go nawet w słabym świetle odlewni. Oto miał przed sobą miecz, którego szukali... wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu.

– Biały Gwóźdź – wyszeptał.

Ślepiec uniósł wolną dłoń.

– Gdzie jesteś?

Simon podszedł bliżej.

– Tutaj. Musimy iść. Skąd go masz? Skąd się tutaj wziąłeś?

– Pomóż mi. – Guthwulf wyciągnął ramię.

Simon chwycił jego dłoń.

– Dokąd idziemy?

– Do wody. Tam, gdzie woda spływa w dół. – Ruszył chwiejnie wzdłuż krawędzi komina.

Pracownicy odlewni rozstąpili się, patrząc za nimi z nerwowym zainteresowaniem.

– Jesteście wolni! – zawołał Simon załamującym się głosem. – Wolni! – Gapili się na niego, jakby mówił do nich w obcym języku.

„Ale czy będą wolni, jeśli nie pójdą za nami? Odlewnia pozostaje wciąż zamknięta. Powinniśmy im pomóc. Powinniśmy ich wyprowadzić”.

Simon nie miał już sił. Obok niego powłóczył nogami mamroczący Guthwulf. Czy oni mogli kogoś uratować? Tamci musieli radzić sobie sami.

Spieniona woda odpływała w dół przez szczelinę w ścianie pieczary. Kiedy Guthwulf zaczął macać kamienną ścianę, Simon pomyślał, że ślepiec

postradał resztki rozumu, że uniknęli utopienia po to tylko, żeby zostać zepchnięci w ciemność. Ale tuż przy krawędzi strumienia znajdowało się wąskie przejście, niewidoczne w ciemności. Guthwulf, obojętny na światło, posuwał się w dół, macając palcami ścianę, podczas gdy Simon podtrzymywał go, starając się nie stracić równowagi. Zostawili za sobą ostatnie okruchy światła i zanurzyli się w ciemność. Woda bulgotała głośno tuż obok.

Ciemność była tak zupełna, że Simon musiał wciąż przypominać sobie, kim jest i co robi. Znowu powróciły strzępy obrazów, które pokazała mu Leleth; była to mieszanina kolorów i kształtów, przypominająca plamę oliwy na wodzie. Smok, król z księgą, przestraszony mężczyzna szukający twarzy w mroku... co to wszystko znaczyło? Simon nie chciał już myśleć. Pragnął zasnąć. Zasnąć...

Ryk wody był bardzo donośny. Simon wynurzył się nagle z mgły bólu i odrętwienia i zorientował się, że przechyla się pod bardzo niebezpiecznym kątem. Chwycił się mocno popękanej ściany.

– Guthwulfie!

– Oni mówią tyloma językami – mruczał ślepiec. – Czasem wydaje mi się, że ich rozumiem, ale potem znowu się gubię. – Jego głos brzmiał bardzo słabo. Simon czuł, jak drży.

– Już nie mogę. – Simon przywarł do kamienia. – Muszę odpocząć.

– Prawie. – Guthwulf zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

Simon puścił ścianę, nie chcąc stracić kontaktu ze ślepcem.

Szli powoli dalej. Simon wyczuwał pod palcami otwory w ścianie, lecz Guthwulf nie skręcił w żaden z nich. W pewnym momencie w tunelu rozległy się echa głosów i Simon zaczął się zastanawiać, czy i on znalazł się w szponach szaleństwa Guthwulfa, lecz kiedy dostrzegł na ścianie blask pochodni, zrozumiał, że ktoś idzie za nimi kanałem.

– Ścigają nas! To pewnie Pryrates. – Pośliznął się i puścił ramię Guthwulfa, by utrzymać równowagę. Kiedy ponownie wyciągnął ramię, Guthwulfa już nie było.

Odetchnął z ulgą, gdy wyczuł otwór w ścianie. Guthwulf skręcił w tę odnogę.

– Prawie – wysapał hrabia. – Prawie. Głosy. Och, Aedonie, oni krzyczą! Ale ja mam miecz. Dlaczego oni tak krzyczą?

Ruszył tunelem, przyklejony do ściany. Simon nie zdejmował dłoni z pleców Guthwulfa, gdyż skręcali jeszcze kilkakrotnie. Wkrótce pogubił się w zakrętach. Miał nadzieję, że ten, kto idzie za nimi, będzie równie zagubiony.

Wędrówka przez ciemność wydawała się nie mieć końca. Simon czuł, jak zostawia po drodze cząstki siebie, aż znowu poczuł, że jest duchem, bezdomnym duchem, podobnym do tego, który wędrował samotnie przez krainę szarości.

„Niezupełnie samotnym. Były Leleth i Maegwin”.

Wspominając tych, którzy mu tam pomogli, przywołał resztki woli i szedł dalej.

Posuwali się w ciemnym labiryncie tak długo, że Simon nie zauważył, kiedy się zatrzymali, do momentu aż Guthwulf opadł nagle na dół; kiedy wreszcie odszukał go w ciemności, zorientował się, że ślepiec posuwa się teraz na czworakach. Wreszcie Guthwulf zatrzymał się i Simon wymacał na podłodze pogniecione ubrania. Nora. Przesuwając dłonią po podłodze, trafił na drżącą nogę hrabiego, a potem na zimne ostrze miecza.

– Moje – szepnął Guthwulf zatopiony w myślach. Jego głos drżał ze zmęczenia. – To także. Bezpieczny.

Teraz już Simona nie obchodził miecz ani Pryrates czy żołnierze, którzy być może szli za nimi; nie miało dla niego znaczenia to, czy Król Burz

i Elias wywrócą świat do góry nogami. Każdy oddech stał się ogromnym wysiłkiem, a jego ciało zamieniło się w ogromny kłąb bólu. Dudnienie w jego głowie przypominało dźwięk dzwonów z Wieży Zielonego Anioła.

Simon znalazł sobie miejsce wśród porozrzucanych łachmanów i pozwolił wciągnąć się w ciemność.

51. Na wygnaniu

JIRIKI ZDJĄŁ DŁONIE z kamienia karlaków. Nic nie musiał mówić Eolairowi.

– Odeszła. – Hrabia wpatrywał się w bladą twarz Maegwin, teraz już spokojną, jakby pogrążoną we śnie. – Odeszła. – Przygotowywał się na tę chwilę, a mimo to poczuł, jakby otworzyła się w nim ogromna pustka, otchłań, której nic już nie wypełni. Chwycił jej dłonie, wciąż jeszcze ciepłe.

– Przykro mi – powiedział Jiriki.

– Czyżby? – Eolair nie podniósł wzroku. – Cóż dla was znaczy krótkie życie śmiertelnika?

Sitha milczał długą chwilę.

– Zida’ya umierają tak samo jak śmiertelnicy. My także smucimy się, kiedy odchodzą ci, których chowamy w naszych sercach.

– W takim razie, skoro to rozumiesz – powiedział Eolair, starając się opanować – zostaw mnie samego.

– Jak chcesz. – Jiriki podniósł się jednym płynnym ruchem. Wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, lecz opuścił namiot w milczeniu.

Eolair długo wpatrywał się w Maegwin. Wilgotne od potu włosy przykleiły jej się do czoła. Na jej ustach czaił się uśmiech. Trudno było uwierzyć, że nie ma już w niej życia.

– Ach, okrutnymi władcami okazali się bogowie – jęknął. – Maegwin, cośmy takiego zrobili, żeby zasłużyć na taką karę? – Łzy napłynęły mu do oczu. Wtulił twarz w jej włosy i ucałował coraz chłodniejszą szyję. – Wszystko to okazało się okrutną sztuczką. Wszystko na nic, skoro ty umarłaś. – Jego ciałem wstrząsały spazmy płaczu. Przez pewien czas kołysał się w przód i w tył, ściskając jej dłoń. Druga dłoń Maegwin, w której wciąż trzymała kamień karlaków, spoczywała na jej piersi, jakby się bała, że ktoś go jej ukradnie. – Nigdy nie wiedziałem. Nigdy. Głupia, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego udawałaś? Teraz wszystko odeszło. Wszystko stracone...

WYSZEDŁSZY NA ZEWNĄTRZ, ujrzał czekającego Jirikiego. Wiatr rozwiewał białe włosy Sithy i Eolair pomyślał, że przypomina on ducha burzy – zwiastuna śmierci.

– Czego chcesz?

– Tak jak mówiłem, jest mi przykro. Ale są rzeczy, o których, jak sądzę, powinieneś wiedzieć. Rzeczy, które odkryłem w ostatnich chwilach życia lady Maegwin.

„Och, Bryniochu, ratuj mnie” – pomyślał znużony. Świat stał się zbyt wielki dla Eolaira; nie chciał więcej zagadek Sithów.

– Jestem zmęczony. Jutro musimy wyruszyć do Hernystiru.

– Dlatego chcę ci to powiedzieć teraz – odparł spokojnie Jiriki.

Eolair patrzył na niego przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Dobrze. Mów.

– Czy jest ci zimno? – Jiriki zapytał z troskliwością kogoś, kto wprawdzie sam pozostaje obojętny na pogodę, lecz rozumie, że innym daje się ona we znaki. – Możemy pójść do jednego z ognisk.

– Wytrzymam.

Jiriki pokiwał głową.

– Ten kamień Maegwin otrzymała od Tinukeda’ya, prawda? Wy ich nazywacie *domhaini*.

– Tak, to był prezent od karlaków.

– Był on bardzo podobny do wielkiego kamienia, który obaj widzieliśmy w Mezutu’a, we wnętrzu góry: Czerepu, Wielkiego Świadka. Kiedy dotknąłem tego kamienia, poczułem myśli Maegwin.

Eolair nie mógł pogodzić się z myślą, że nieśmiertelny był z Maegwin w ostatnich chwilach jej życia w sposób, w który on nie mógł z nią być.

– Czy nie możesz pozostawić tych myśli w spokoju, pozwolić, by odeszły z nią do jej kurhanu?

Sitha zawahał się.

– To jest dla mnie trudne. Nie chcę cię do niczego zmuszać, ale uważam, że o pewnych rzeczach powinieneś się dowiedzieć. – Jiriki położył dłoń na ramieniu Eolaira. – Eolairze, nie jestem twoim wrogiem. Wszyscy jesteśmy zdani na kaprysy szalonej mocy. – Opuścił rękę. – Nie twierdzę, że znam wszystkie jej myśli. Drogi Ścieżki Snów, ścieżki, którą otwierają Świadkowie tacy jak kamień karlaków, są bardzo mylące dzisiaj, niebezpieczne. Pamiętasz, co się stało, kiedy dotknąłem Czerepu. Nie chciałem nawet wchodzić na Inne Ścieżki, ale czułem, że jeśli istnieje jakaś szansa, to powinienem spróbować.

W ustach śmiertelnika słowa te zabrzmiałyby jak usprawiedliwianie się, lecz Eolair wyczuwał w postawie Jirikiego wręcz przerażającą szczerość. Poczuł, że jego gniew powoli topnieje.

– Z całej tej plątaniny myśli i uczuć – mówił dalej Jiriki – zrozumiałem dwie rzeczy, a przynajmniej tak mi się wydaje. Sądzę, że w ostatnich chwilach jej życia szaleństwo opuściło ją. Nie znałem tej Maegwin, którą ty

znałeś, więc nie mogę stwierdzić tego na pewno, lecz jej myśli wydawały się bardzo jasne. Myślała o tobie. Czułem to bardzo wyraźnie.

Eolair cofnął się gwałtownie.

– Tak? Mam nadzieję, że nie mówisz tego, żeby mnie pocieszyć, tak jak matka pociesza dziecko?

Sitha spojrzał na niego zdziwiony.

– Czy sądzisz, że mówię celowo coś, co nie jest prawdą? Nie, Eolairze. My tak nie postępujemy.

– Myślała o mnie? Biedaczka! A ja nic nie mogłem zrobić. – Hrabia poczuł, że łzy znowu napływają mu do oczu, lecz nie starał się ich powstrzymać. – Jiriki, to żadna dla mnie pociecha.

– Nie miałem zamiaru cię pocieszać. Uważam tylko, że zasługujesz, by się o tym dowiedzieć. A teraz muszę cię o coś spytać. Znam młodzieńca o imieniu Seoman, który jest związany z Josuą. Czy i ty go znasz? A co ważniejsze, czy znała go Maegwin?

– Seoman? – Eolair wydawał się zdumiony nagłą zmianą tematu. Zastanawiał się przez moment. – Był taki młody rycerz, Simon, wysoki, rudowłosy. Czy o nim mówisz? Słyszałem, jak niektórzy nazywali go sir Seomanem.

– To on.

– Wątpię, żeby Maegwin go znała. Ona nigdy nie była w Erkynlandzie, a o ile wiem, tam właśnie mieszkał ten młodzieniec, zanim znalazł się w służbie u Josui. Dlaczego o to pytasz? – Eolair pokręcił głową. – Nie rozumiem.

– Ja też nie. Obawiam się, co to może znaczyć. W swoich ostatnich chwilach Maegwin myślała także o młodym Seomanie, tak jakby znała go wcześniej albo z nim rozmawiała. – Jiriki zmarszczył czoło. – Źle, że Ścieżka Snów stała się tak niewyraźna. Tyle tylko udało mi się zrozumieć.

Ale coś dzieje się w Asu’a, w Hayholt, i Seoman tam będzie. Obawiam się o niego, hrabio Eolairze. On jest... jest dla mnie ważny.

– Ale przecież wy i tak tam jedziecie. – Eolair nie chciał już dłużej myśleć. – Życzę ci szczęścia. Mam nadzieję, że go znajdziesz.

– A ty? Nawet jeśli Seoman miał dla Maegwin jakieś znaczenie? Nawet jeśli ona miała dla niego jakąś wiadomość albo otrzymała ją od niego?

– Ja już z tym skończyłem, tak jak i ona. Zabiorę ją do Hernystiru i pochowam na zboczu wzgórza obok ojca i brata. Jest wiele do zrobienia w moim kraju, a ja dawno powinien był wrócić.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? – spytał Jiriki.

– Ja już nie potrzebuję pomocy. – Powiedział to gwałtowniej, niż zamierzał. – My, śmiertelnicy, bardzo dobrze potrafimy grzebać naszych zmarłych.

Owinąwszy się płaszczem, odwrócił się i odszedł.

ISGRIMNUR WYSZEDŁ, KUŚTYKAJĄC, na pokład; przeklinał w duchu swoje bolące ciało i powolny powrót do zdrowia. Nie dostrzegł niewyraźnej postaci, dopóki niemal na nią nie wpadł.

– Witaj, książę Isgrimnurze. – Aditu przyglądała mu się przez chwilę. – Czy aby nie jest za zimno dla śmiertelnika?

Isgrimnur starał się ukryć zaskoczenie, poprawiając pieczołowicie rękawiczki.

– Może dla kogoś z Południa, jak Tiamak. Ale ja jestem Rimmersmanem, moja pani, a my wiemy, co to zimno.

– Czy ja jestem twoją panią? – spytała wesoło. – Nie mam żadnych tytułów śmiertelników. Dobrze chyba, że nie słyszy tego księżna Gutrun.

Isgrimnur skrzywił się i nagle poczuł wdzięczność za chłodny powiew na policzkach.

– To zwykła uprzejmość, moja pa... – Urwał. – Po prostu trudno jest mi zwracać się po imieniu do kogoś, kto...

– Kto jest starszy od ciebie? – Roześmiała się dźwięcznie. – Kolejna sprawa, z której powodu powinnam czuć się winna. Ja naprawdę nie przybyłam do was po to, żeby sprawiać kłopoty.

– Rzeczywiście jesteś starsza ode mnie? – Isgrimnur nie miał pewności, czy nie była to tylko uprzejma uwaga, ale w końcu to Sithijka podjęła ten temat.

– Och, tak myślę, chociaż ja i mój brat Jiriki uważani jesteśmy za bardzo młodych wśród naszych ludzi. Oboje jesteśmy dziećmi Wygnania, oboje urodziliśmy się po upadku Asu’a. Dla niektórych, jak mój wuj Khendraja’aro, ledwie istniejemy, a już z pewnością nie można powierzać nam niczego odpowiedzialnego. – Roześmiała się. – Ach, biedny wuj. Ujrzał ostatnio tyle okropności: śmiertelnik w Jao e-Tinukai’i, zerwanie Paktu, Zida’ya i śmiertelnicy walczący obok siebie. Obawiam się, że dopełni swojego obowiązku wobec mojej matki i Domu Tańczącego Roku, a potem po prostu pozwoli przyjść śmierci. Czasem najsilniejsi okazują się najbardziej krusi.

Isgrimnur przytaknął jej. Przynajmniej raz zrozumiał znaczenie słów Sithijki.

– Tak, widziałem to. Bywa tak, że najsilniejsi najbardziej się boją.

Aditu uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo mądrym śmiertelnikiem, książę Isgrimnurze.

Książę zakasłał zażenowany.

– Jestem bardzo starym i bardzo obolałym śmiertelnikiem. – Patrzył ponad niespokojnymi wodami zatoki. – Jutro przybijamy do brzegu. Cieszę

się, że udało nam się schronić tutaj, na Kynslagh. Myślę, że niewielu z nas zniosłoby dłużej burze i kilpy na otwartym morzu, a poza tym Bóg jeden wie, jak nienawidzę statków. A jednak nie rozumiem, dlaczego Elias nie ruszył nawet palcem, żeby się bronić.

– Jeszcze tego nie zrobił – przyznała mu Aditu. – Może uważa, że za murami Hayholt będzie wystarczająco bezpieczny.

– Możliwe. – Słowa Isgrimnura wyrażały obawy pozostałych towarzyszy Josui. – A może spodziewa się pomocy, takiej jaką otrzymał w Naglimundzie.

– I to jest prawdopodobne. Twoi ludzie, tak jak i nasi, zastanawiali się wiele nad tym. – Wzruszyła ramionami tak płynnie, jakby rozpoczynała jakiś rytualny taniec. – Wkrótce nie będzie to już miało znaczenia. Wkrótce dowiemy się z pierwszej ręki: tak chyba mówicie?

Zamilkli oboje. Wiatr nie był silny, lecz przenikliwie zimny. Pomimo swego zahartowania Isgrimnur szczelniej owinął szal wokół szyi.

– Co się z wami dzieje, kiedy się starzejecie? – spytał niespodziewanie. – Czy po prostu stajecie się mądrzejsi? A może głupi i sentymentalni, jak niektórzy z nas?

– Jak wiesz, dla nas „stary” oznacza coś innego niż dla was – odpowiedziała Aditu. – Ale odpowiedź brzmi następująco: istnieje tyle różnych odpowiedzi, ilu jest Zida’ya, podobnie jak w przypadku śmiertelników. Niektórzy bardzo się oddalają, nie rozmawiają z nikim i żyją w świecie własnych myśli. Niektórzy znajdują upodobanie w rzeczach, które innym wydają się nieistotne. Jeszcze inni zaczynają rozmyślać nad przeszłością, nad błędami, ranami i utraconymi szansami. Najstarsza z nas, ta, którą wy nazywacie Królową Nornów, zestarzała się w ten właśnie sposób. Kiedyś znana była ze swej urody, mądrości i wdzięku, wykraczających poza wszelkie wyobrażenie, lecz coś się w niej załamało,

więc schowała się w swoim wnętrzu i zanurzyła w złej woli. W miarę jak mijały lata, niemal niezliczone lata, to, co kiedyś w niej podziwiano, wykrzywiło się. – Isgrimnur nigdy dotąd nie widział Aditu tak poważnej. – To chyba największa rana, jakiej doświadczył nasz lud, że zgubę świata przyniosło dwoje spośród nas, dwoje uważanych za największych wśród Urodzonych w Ogrodzie.

– Dwoje? – Isgrimnur próbował przypomnieć sobie to, co słyszał o królowej lodu i ciemności.

– Ineluki, Król Burz. – Odwróciła się i spojrzała ponad wodami Kynslagh, jakby widziała majaczący poza ciemnością stary zamek Asu'a. – On był najjaśniejszym płomieniem, jaki zapłonął na tej ziemi. Gdyby nie przybyli śmiertelnicy, gdyby nie przybyli twoi przodkowie, książę Isgrimnurze, i gdyby nie zaatakowali naszego wielkiego domu toporami i ogniem, on może wyprowadziłby nas z cienia wygnania i poprowadził z powrotem w światło świata żywych. Takie było jego marzenie. Ale każde marzenie może rozkwitnąć szaleństwem. – Zamilkła na chwilę. – Może my wszyscy musimy nauczyć się żyć na wygnaniu, Isgrimnurze. Może wszyscy powinniśmy nauczyć się zadowalać mniejszymi marzeniami.

Isgrimnur nic nie odpowiedział. Stali jeszcze jakiś czas na wietrze; wciąż milczeli, lecz teraz już swobodniej znosili swoją obecność. Wreszcie książę odwrócił się i odszedł do swojej ciepłej kabiny.

KSIĘŻNA GUTRUN PODNIOSŁA wzrok zaniepokojona.

– Vorzhevo! Oszalałaś? Zabierz dzieci od okna!

Vorzheva, z dziećmi w ramionach, nawet nie drgnęła. Za otwartym oknem rozciągał się Nabban, niezwykle rozległy, lecz dziwnie tajemniczy; słynne wzgórza miasta sprawiały, że ulice i budynki wydawały się ustawione jedne na drugich.

– Powietrze nikomu nie szkodzi. Na łąkach całe nasze życie toczy się pod gołym niebem.

– Bzdura – burknęła Gutrun. – Nie zapominaj, że byłam tam, Vorzhevo. Wasze wagony są prawie jak domy.

– Ale my w nich tylko śpimy. Wszystko inne: jedzenie, śpiewanie, kochanie, odbywa się pod gołym niebem.

– Wasi ludzie przecinają sobie nożami policzki. Czy to znaczy, że to samo zrobisz z małym Deornothem? – Księżna zadrżała na samą myśl o tym.

Vorzheva odwróciła się i spojrzała na nią wesoło.

– Nie sądzisz, że i on powinien nosić na twarzy blizny? – Spojrzała na uśpioną twarz chłopca i przyłożyła do niej palec, udając, że się zastanawia. – Wtedy twarz staje się tak przystojna... – Zerknęła ukradkiem w bok i wybuchnęła śmiechem, widząc przerażenie na twarzy księżnej. – Gutrun! Ty myślisz, że ja to mówię poważnie!

– Nigdy nie mów takich rzeczy. I zabierz te biedactwa od okna.

– Chcę im pokazać ocean, po którym płynie ich tata. Gutrun, jesteś dzisiaj zła i niezadowolona. Nie czujesz się dobrze?

– A z czego tu być zadowolonym? – Księżna opadła na krzesło i podniosła swoją robótkę, lecz tylko obracała ją w dłoniach. – Jest wojna. Umierają ludzie. Nie minął jeszcze tydzień, jak pochowaliśmy małą Leleth!

– Och, tak mi przykro – powiedziała Vorzheva. – Nie chciałam być nieuprzejma. Byłaś z nią bardzo blisko.

– To było jeszcze dziecko. Tyle wycierpiała. Niech Bóg ukoi jej ból.

– Wydawało się, że w ostatnich chwilach życia nie cierpiała tak bardzo. A to już coś. Czy miałaś nadzieję, że ona obudzi się po tak długim czasie?

– Nie. – Księżna zmarszczyła brwi. – Ale to nie zmniejsza smutku. Mam nadzieję, że to nie ja będę musiała powiedzieć o tym młodemu

Jeremiasowi, kiedy wróci. – Jej głos załamał się. – Jeśli powróci.

Vorzheva spojrzała uważnie na Gutrun.

– Biedna Gutrun. Nie chodzi tylko o Leleth, prawda? Boisz się o Isgrimnura.

– Mój staruszek wróci bezpiecznie – mruknęła Gutrun. – Zawsze wraca. – Spojrzała na Vorzhevę, która wciąż stała przed otwartym oknem, na tle popielatego nieba. – A ty? Ty zawsze martwiłaś się o Josuę. Gdzie się podział twój niepokój? – Pokręciła głową. – Święty Skendi, miej nas w opiece. Nie powinnam mówić takich rzeczy. Kto wie, jakie to może przynieść nieszczęście?

Vorzheva uśmiechnęła się.

– Josua powróci do mnie. Miałam sen.

– Sen? Czy całe to gadanie Aditu przewróciło ci w głowie?

– Nie. – Vorzheva spojrzała na córkę; gęste włosy kobiety opadły jak zasłona, tak że przez chwilę twarze dziecka i matki pozostały niewidoczne. – To był prawdziwy sen. Wiem. Josua przyszedł do mnie i powiedział: „Mam to, czego zawsze pragnąłem”. Był bardzo spokojny. Dlatego wiem, że on wygra i wróci.

Gutrun otworzyła usta, by coś jeszcze powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła. Na jej twarzy malował się głęboki smutek. Widząc, że Vorzheva wciąż patrzy na małą Derrę, księżna zrobiła szybko znak Drzewa.

Vorzheva zadrżała i podniosła wzrok.

– Chyba masz rację, Gutrun. Rzeczywiście robi się chłodno. Zamknę okna.

Księżna podniosła się natychmiast.

– Nonsens. Ja to zrobię. Ty połóż maleństwa i przykryj kocami. – Gutrun znieruchomiała przed jednym z okien. – Miłościwa Elysio – powiedziała. – Spójrz.

Vorzheva odwróciła się.

– Co?

– Pada śnieg.

MOŻNA BY POMYŚLEĆ, że zatrzymaliśmy się, żeby odwiedzić miejscową kaplicę – zauważył Sangfugol. – Że jesteśmy statkiem pełnym pielgrzymów.

Tiamak stał obok harfiarza i Strangyearda na ośnieżonym zboczu na wschód od Swertclif. Poniżej łodzie przewoziły armię Josui przez wzburzone Kynslagh na brzeg; w miejscu lądowania stał Josua i dowódca jego wojsk – obaj nadzorowali całą operację.

– Gdzie jest Elias? – dopytywał się Sangfugol. – Na Kości Aedona, jego brat ląduje z całą armią na progu jego domu. Gdzie jest Król?

Strangyeard zamrugał, słysząc przekleństwo.

– Zachowujesz się tak, jakbyś chciał, żeby on tutaj przyszedł! Sangfugolu, my wiemy, gdzie jest Wielki Król. – Wskazał w kierunku Hayholt, który w wirującym śniegu przypominał zlepek kilku spiczastych cieni. – Czeka. Ale nie wiemy dlaczego.

Tiamak otulił się szczelniej swoim płaszczem. Czuł, że przemarzł do kości. Rozumiał, że książę nie chce, żeby plątali się pod nogami, ale mógł wybrać miejsce mniej wystawione na wiatr i śnieg.

„Dobrze, że przynajmniej mam spodnie. Ale mimo wszystko nie chcę zakończyć swoich dni w tym zimnym miejscu. Proszę, pozwólcie mi zobaczyć jeszcze Wran. Jeszcze raz wziąć udział w Święcie Wiatru. Wypić za dużo paprociowego piwa i zagrać w «chwytaj piórko». Nie chcę umrzeć tutaj i pozostać zapomnianym i niespalonym”.

Zadrżał, próbując otrząsnąć się z tak ponurych myśli.

– Czy książę wysłał zwiadowców w stronę zamku?

Sangfugol pokręcił głową, zadowolony, że może udzielić informacji.

– Nie bardzo blisko. Słyszałem, jak mówił do Isgrimnura, że nie ma sensu podchodzić w ukryciu, gdyż Król pewnie już dawno nas zauważył. Teraz kiedy się upewnił, że Elias nie ma swoich żołnierzy w Erchesterze. Żołnierzy! Nikt tam nie został poza psami i szczurami! Josua wyśle forysiów, kiedy wojsko wyruszy, by rozpocząć oblężenie.

Kiedy harfiarz rozwodził się dalej nad tym, jak jego zdaniem książę powinien rozlokować swoje siły, Tiamak zauważył, że ktoś wspina się po ośnieżonym zboczu.

– Spójrzcie! – Ojciec Strangyeard pokazał ręką. – Kto to jest?

– Młody Jeremias. – Sangfugol wydawał się trochę rozgniewany, że mu przerwano. – Pewnie kazali mu usunąć się z drogi, tak jak nam.

– Tiamaku! – zawołał Jeremias. – Chodź szybko! Szybko!

– Boże! – Strangyeard zatrzepotał rękoma. – Może odkryli coś ważnego?!

Tiamak był już na nogach.

– O co chodzi?

– Josua mówi, żebyś szybko przyszedł. Sithijka zachorowała.

– Czy i my mamy pójść, Tiamaku? – spytał Strangyeard. – Nie, lepiej nie. Będzie za duży tłok. A poza tym jak ja mógłbym pomóc Sithijce?

Wrańczyk schodził już zboczem, pochylając się przed wiatrem. Słysząc chrzęst śniegu pod stopami, jeszcze raz pomyślał z wdzięcznością o Strangyeardzie, który pożyczył mu spodnie i buty, chociaż były za duże.

„Znalazłem się w dziwnym miejscu – pomyślał. – I w dziwnych czasach. Mieszkaniec bagien brnie przez śniegi Erkynlandu, żeby pomóc

sithijskiej kobiecie. Pewnie Ci, Którzy Patrzą i Rządzą wypili za dużo paprociowego piwa”.

Aditu położono w prowizorycznym namiocie, zrobionym z płachty ze statku, którą rozciągnięto na najniższych gałęziach drzewa rosnącego na wzniesieniu przy brzegu. Josua, Sludig i kilku żołnierzy stali zgarbieni pod niskim dachem, rozglądając się niepewnie.

– Sludig ją znalazł – powiedział książę. – Obawiałem się, że zaskoczyła kilku spośród szpiegów mojego brata, lecz na jej ciele nie widać śladów przemocy, a Sludig twierdzi, że nie dostrzegł także żadnych śladów walki. Nikt nic nie słyszał, chociaż znajdowała się zaledwie sto kroków od brzegu. – Zmarszczył brwi zmartwiony. – Podobnie umarły Leleth i Geloë. Śpi, ale nie chce się obudzić.

Tiamak przyjrzał się twarzy Sithijki. Teraz bardzo przypominała śmiertelną kobietę.

– Niewiele pomogłem Leleth – powiedział. – Nie wiem, jak mogą działać moje zioła na nieśmiertelnych. Nie jestem pewien, czy będę mógł jej pomóc.

Josua rozłożył ręce bezradnie.

– Przynajmniej dopilnuj, żeby niczego jej nie brakowało.

– Czy widziałeś coś, co mogłoby być tego przyczyną? – Tiamak spytał Sludiga.

Rimmersman pokręcił przecząco głową.

– Nic. Znalazłem ją taką, jaką ją widzisz. Leżała na ziemi, a w pobliżu nikogo nie było.

– Muszę wrócić, by nadzorować wyładunek. Chyba że... – Josua wydawał się roztargniony, jakby nie potrafił skupić całej uwagi nawet na tym przykrym wydarzeniu. Książę zawsze wydawał się zatopiony w swoich

myślach, lecz od chwili wylądowania na brzegu stał się jeszcze bardziej nieobecny.

Tiamak pomyślał, że biorąc pod uwagę to, co ich czekało, miał do tego prawo.

– Zostanę z nią, książę Josuo. – Pochylił się i dotknął policzka Aditu. Jej skóra była chłodna, lecz on nie wiedział, czy było to normalne.

– Dobrze. Dziękuję, Tiamaku. – Josua stał jeszcze chwilę niezdecydowany, a potem wyszedł spod prowizorycznego namiotu. Sludig i żołnierze poszli za nim.

Tiamak przykucnął obok Sithijki. Miała na sobie ubranie śmiertelników: jasne spodnie i skórzaną kurtkę, zbyt cienkie jak na taką pogodę, ale Sithowie nie zwracali uwagi na zimno. Oddychała płytko, a jedną dłoń zacisnęła w pięść. Coś zwróciło jego uwagę w tym, jak zaciśnięte były jej palce; otworzył dłoń Aditu. Jej uścisk był zaskakująco mocny.

W dłoni Sithijki spoczywało małe, okrągłe lusterko, niewiele większe od liścia osiki. Lusterko oprawione było w cieniutki krążek z rzeźbionej kości. Tiamak podniósł lusterko i położył je sobie na dłoni. Jak na swój rozmiar było ciężkie i dziwnie ciepłe.

Poczuł w palcach łagodne mrowienie. Przechylił lusterko, tak by mógł zobaczyć w nim swoją twarz, lecz chociaż obracał je w różne strony, widział tylko ciemność. Kiedy przybliżył lusterko do twarzy, mrowienie wzmogło się.

Coś uderzyło go w nadgarstek. Lusterko wypadło mu z ręki i potoczyło się na wilgotną ziemię.

– Zostaw je. – Aditu cofnęła rękę i opadła na plecy, zakrywając oczy długą dłonią. Jej głos był bardzo napięty. – Nie dotykaj lusterka, Tiamaku.

– Obudziłaś się! – Spojrzał na leżące w trawie lusterko, lecz nie zamierzał lekceważyć ostrzeżenia Aditu.

– Tak. Czy przysłali cię, żebyś się mną opiekował? Żebyś mnie leczył?

– W każdym razie miałem być przy tobie. – Przysunął się trochę bliżej. – Czy dobrze się czujesz? Czy mogę coś ci podać?

– Wody. Wystarczy trochę śniegu.

Tiamak wysunął się spod ciężkiego namiotu, zebrał garść śniegu i wrócił pod dach.

– Nie mam żadnej miski.

– Nic nie szkodzi. – Usiadła z trudem i wzięła śnieg w złożone dłonie. Część włożyła sobie do ust, a resztę roztarła na twarzy. – Gdzie jest lusterko?

Tiamak wskazał palcem. Aditu pochyliła się i podniosła je; chwilę później w jej dłoni nic nie było. Tiamak nie potrafił powiedzieć, gdzie je schowała.

– Co ci się stało? – spytał. – Czy pamiętasz?

– I tak, i nie. – Przycisnęła dłonie do twarzy. – Wiesz coś o Świadkach?

– Trochę.

– Od czasu, kiedy Amerasu Urodzona Na Statku została zamordowana w Yasira, Ścieżka Snów, miejsce, do którego Zida’ya udają się, kiedy używają takich Świadków jak to lusterko, pozostaje dla nas niedostępna. Dlatego nie mogłam porozumieć się z Jirikim i moją matką Likimeyą od chwili rozstania z nimi. Ale zastanawiałam się nad tym, o co pytaliście mnie ze Strangyeardem, chociaż, jak mówiłam, sama nie potrafię wam odpowiedzieć. Przyznaję, że wasze pytania mogą mieć znaczenie. Miałam nadzieję, że, skoro znaleźliśmy się bliżej naszych ludzi, to uda mi się w jakiś sposób ich zawiadomić, że chcę z nimi pomówić.

– Ale nie udało ci się?

– Jeszcze gorzej. Mogłam zrobić coś bardzo głupiego. Nie doceniałam zmian, jakie zaszły na Ścieżce Snów.

Żądny wiedzy Tiamak, członek Ligi Pergaminu, już chciał usiąść wygodniej, gotowy wysłuchać ciekawej opowieści, kiedy przypomniał sobie, po co tutaj został.

– Czy mogę ci coś jeszcze przynieść, lady Aditu?

Uśmiechnęła się, lecz nie powiedziała dlaczego.

– Nie. Nic mi nie trzeba.

– W takim razie opowiedz mi o Ścieżce Snów.

– Powiem ci, co mogę. Nie bez powodu odpowiedziałam na twoje pytanie, czy pamiętam, co mi się stało: „i tak, i nie”. Nie jestem pewna, co się stało. Na Ścieżce Snów panował chaos, jakiego jeszcze tam nie widziałam, chociaż spodziewałam się tego. Ale nie sądziłam, że będzie tam na mnie czekało coś okropnego.

Tiamak poczuł się nieswojo.

– Jak to „coś”? Demon? Jeden z naszych... wrogów?

– Coś takiego. – Aditu zmrużyła oczy skupiona. – To była jakby konstrukcja. Coś o wielkiej mocy, coś bardzo dziwnego, co zostało tam... wybudowane. Nie znajduję innego słowa. Było to tak ogromne i straszne jak zamek, który Josua chce zaatakować tutaj, w świecie przebudzenia.

– Zamek?

– To nie takie proste; nic, co widziałeś. Myślę, że była to konstrukcja wzniesiona przy pomocy Sztuki; inteligentna konstrukcja, nie jak te cienie, które pojawiają się nagle na Innych Drogach. Był to wir z dymu, iskier i czarnych energii; coś, co posiadało ogromną moc i powstawało bardzo długo. Nigdy nie widziałam i nie słyszałam o czymś podobnym. Złapało mnie, tak jak wietrzny wir porywa liście, i ledwie udało mi się wydostać. – Znowu przycisnęła dłonie do skroni. – Miałam szczęście.

– Czy to jest niebezpieczne dla nas? A jeśli tak, to czy przychodzi ci do głowy, jak moglibyśmy rozwiązać tę zagadkę? – Wrańczyk przypomniał sobie, że przecież Sithijka poruszała się po zupełnie mu nieznanym terenie.

– Trudno mi uwierzyć, by tak okropna istota nie miała czegoś wspólnego z Inelukim i wydarzeniami naszych czasów. – Zamilkła zamyślona. – Jedna moja myśl może mieć jakieś znaczenie, chociaż teraz jej nie rozumiem. Kiedy ujrzałam tę istotę, usłyszałam albo poczułam słowo *Sumy'asu*. W języku Urodzonych w Ogrodzie znaczy to Piąty Dom.

– Piąty Dom? – powtórzył zdumiony Tiamak.

– Tak. – Aditu położyła się. – Mnie też to nic nie mówi. Ale to właśnie usłyszałam.

– Spytam Strangyearda – powiedział Tiamak. – Myślę, że powinniśmy też powiedzieć o tym Josui. W każdym razie na pewno ucieszy się, że czujesz się lepiej.

– Jestem zmęczona. Poleżę tutaj w spokoju i pomyślę. – Aditu zrobiła jakiś gest niezrozumiały dla Wrańczyka. – Dziękuję ci, Tiamaku.

– Nic nie zrobiłem.

– Zrobiłeś, co mogłeś. – Zamknęła oczy. – Przodkowie może rozumieją to wszystko, ale ja nie. Boję się. Wiele bym dała, żeby móc porozmawiać z krewnymi.

Tiamak wstał i poszedł na brzeg Kynslagh.

WÓZ ZATRZYMAŁ SIĘ i jego drewniane koła umilkły. Hrabia Nad Mullach wiedział, że zanim zakończy się jego podróż, będzie miał dość ich żałosnego skrzypienia.

– Pożegnamy się tutaj! – zawołał do Isorna. Zostawił konia jednemu ze swoich żołnierzy i podszedł przez śnieg do młodego Rimmersmana, który

także zsiadł z konia i objął go serdecznie.

– Żegnaj. – Isorn spojrzał na ciało Maegwin, złożone i przykryte na wozie. – Nie potrafię powiedzieć, jak mi smutno. Zasłużyła na coś lepszego. Podobnie jak i ty, Eolairze.

Hrabia uścisnął mu dłoń.

– Doświadczenie nauczyło mnie – powiedział rozgoryczony – że bogowie nie przejmują się zbytnio tym, na co zasłużyli ich słudzy; a przynajmniej zbyt skąpo ich nagradzają, moim zdaniem. – Zamknął oczy na chwilę. – Ale dość już tego. Ona nie żyje i nie pomogą żadne lamenty, żadne pomstowanie przeciwko Niebiosom. Pochowam ją u boku jej bliskich i pomogę Inahwen i innym w odbudowie.

– A co potem?

Eolair pokręcił głową.

– To pewnie będzie zależało od tego, czy Sithowie zdołają powstrzymać Eliasa i jego sprzymierzeńca. Mam nadzieję, że nie posądzisz mnie o to, iż źle im życzę, jeśli powiem, że powinniśmy na wszelki wypadek przygotować jaskinie we wnętrzu Grianspog.

Isorn uśmiechnął się.

– Byłbyś głupcem, gdybyś tego nie zrobił.

– A ty pojedziesz z nimi? Teraz, kiedy nie ma już Skalego, twoi ludzie będą szukali pomocy.

– Wiem, ale muszę odnaleźć rodzinę i Josuę. Moje rany już prawie się zagoiły, więc pojadę z Sithami. Będę wśród nich jedynym śmiertelnikiem. Będę czuł się samotny w drodze do Erchesteru.

Eolair uśmiechnął się.

– Nie potrwa to długo, sądząc po tym, jak jeżdżą Sithowie. – Spojrzał na swoich obszarpanych ludzi. Wiedział, że oni wolą podróż przez

ośnieżone Frostmarch niż wędrówkę gdziekolwiek z nieśmiertelnymi. – Lecz jeśli się okaże, że Hernystirczycy są potrzebni, daj znać, a przyjadę.

– Wiem

– Żegnaj, Isornie.

Eolair odwrócił się i ruszył do swojego konia. Kiedy wsiadł na niego, Jiriki i Likimeya, którzy czekali z tyłu, podjechali do nich.

– Ludzie Hernystiru. – Oczy Likimeyi lśniły spod czarnego hełmu. – Wiedzcie, że darzymy was szacunkiem. Po raz pierwszy od czasów księcia Sinnacha nasze ludy walczyły obok siebie. Pozostawiliście swoich zmarłych tutaj i na waszej ziemi. Dziękujemy wam.

Eolair chciał zapytać Sithijkę, jaką wartość miała śmierć kilkudziesięciu Hernystirczyków, lecz uznał, że nie jest to czas na spory. Jego ludzie, zdenerwowani, lecz spokojni, czekali na komendę wymarszu.

– Wy uwolniliście Hernystir od ogromnej plagi – odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że należało postępować zgodnie z przyjętymi obyczajami. – Dziękujemy wam za to i także wyrażamy szacunek.

– Obyś znalazł spokój u kresu swojej podróży, hrabio Eolairze – powiedział Jiriki. U jego biodra wisiał ciemny miecz Indreju. On także miał na sobie zbroję, przez co przypominał, podobnie jak jego matka, dziwnego, wojującego boga. – Niech trwa on wiecznie, kiedy go znajdziesz.

– Niech Niebiosa mają was w opiece. – Eolair wspiął się na siodło i dał znak woźnicy. Wóz ruszył powoli. Całun, którym przykryto Maegwin, zatrzepotał na wietrze.

„Jeśli chodzi o mnie – pomyślał – to niech od tej chwili bogowie zostawią mnie w spokoju. Złamali mój lud i moje życie. Niech więc zajmą się czymś innym i pozwolą nam zacząć od początku”.

Kiedy się obejrzał, zobaczył, że Isorn i Sithowie stoją wciąż nieruchomo na tle wschodzącego słońca. Uniósł rękę. Isorn odpowiedział

podobnym gestem.

Eolair spojrzał poprzez śniegi na zachód.

– Ruszajmy! – zawołał do swoich ludzi. – Wracamy do domu!

52. Pieśń czerwonej gwiazdy

PROSZĘ, NAPIJ SIĘ. – Troll podał bukłak. – Ja jestem Binabik z Mintahoq. Moim mistrzem był Ookequk. A ty jesteś Padreic. Często wspominał o tobie.

– Padreic nie żyje – powiedział mnich, z trudem łapiąc powietrze. Pociągnął łyk wody, która ściekła mu po brodzie. Był najwyraźniej wyczerpany. – Teraz jestem innym człowiekiem. – Drżącą dłonią odsunął naczynie z wodą. – Na bogów, tych starych i nowych, to była mocna pieczęć. Od dwudziestu lat nie próbowałem pokonać czegoś podobnego. Myślałem, że mnie zabije. – Pokręcił głową. – Może lepiej by tak było.

– Posłuchaj siebie! – zawołała Miriamele. – Przybywasz znikąd i znowu wygadujesz te same bzdury. Co ty tutaj robisz?!

Cadrach nie spojrzał na nią.

– Śledziłem cię.

– Śledziłeś mnie? Od jak dawna?

– Przez całą drogę na *Sesuad'ra*, a potem dalej, kiedy uciekłaś. – Spojrzał na karlaki, które zamknęły kamienne drzwi i teraz stały zbite w ciasną gromadę, przyglądając się obcemu podejrzliwie, jakby się spodziewały, że jest to przebrany Norn. – Ach, są *domhaini*. – Skrzywił się. – Wydawało mi się, że wyczuwam w drzwiach ich przebiegłą rękę, ale nie byłem pewien. Nigdy dotąd nie widziałem ich z bliska.

Miriamele nie dała się zwieść.

– Cadrachu, co tutaj robisz? I kto cię śledzi?

Mnich skierował wzrok na swoje dłonie zaciśnięte w fałdach postrzępionego habitu.

– Obawiam się, że sprowadziłem Nornów na was i waszych sprzymierzeńców. Te białe potwory szły za mną prawie od momentu, kiedy zszedłem do katakumb. Musiałem się bardzo spieszyć.

– Zatem przyprowadziłeś ich do nas? – Miriamele wciąż nie potrafiła powiedzieć, co czuje na widok Cadracha. Starała się nie myśleć o nim od chwili, kiedy opuścił ją i jej towarzyszy na ziemiach Thrithingów. Wciąż czuła wstyd w związku ze sprzeczką o zawiniątko Tiamaka.

– Już nigdy mnie nie wezmą – oświadczył zdecydowanie mnich. – Gdyby nie udało mi się otworzyć drzwi, wolałbym się rzucić ze Schodów Tan’ja, niż oddać w ich ręce.

– Ale teraz, jak mówisz, Nornowie znajdują się na zewnątrz, a jaskinia ma tylko jedno wyjście – zauważył Binabik. – Niewiele poprawiłeś swój los, Cadrachu, Padreicu, czy jak tam się teraz nazywasz. – Miriamele i Simon dużo mu opowiadali o Cadrachu. Miriamele widziała, że respekt Binabika dla mnicha miesza się z nieufnością okazywaną komuś, kto zdradził jednego z przyjaciół trolla. Binabik wzruszył ramionami. – Na Kamienie Chukku! Dość gadania. Zajmijmy się ważniejszymi rzeczami. – Wstał i poszedł do karlaków.

– Cadrachu, dlaczego uciekłeś? Mówiłam ci, że było mi przykro z powodu kłótni z Tiamakiem...

Mnich ośmielił się wreszcie podnieść wzrok. Jego spojrzenie było dziwnie pozbawione wyrazu.

– Ach, Miriamele, miałaś rację. Jestem złodziejem, kłamcą i pijakiem, to prawda. Kilka uczciwych uczynków niczego nie zmienia.

– Dlaczego wciąż powtarzasz takie rzeczy? – spytała. – Dlaczego wciąż z uporem widzisz w sobie tylko to, co najgorsze?

Teraz patrzył na nią spojrzeniem nieomal oskarżycielskim.

– A dlaczego ty wciąż z uporem chcesz widzieć we mnie tylko to, co najlepsze? Wydaje ci się, że wiesz wszystko o świecie, gdy tymczasem jesteś tylko małą dziewczynką. Istnieją granice twojej wyobraźni, zrozumienia tego, jak mroczny w rzeczywistości jest świat.

Miriamele, urażona, odwróciła się i zaczęła przeszukiwać swoją torbę. Był tam zaledwie od kilku chwil, a już chciała go udusić, choć z drugiej strony szukała czegoś do jedzenia dla niego.

„Chyba będę utrzymywała go przy życiu, dopóki nie zdecyduję się go zabić”.

Cadrach oparł się o ścianę, wyczerpany; głowę odchylił do tyłu i zamknął oczy. Skorzystała z okazji, by mu się przyjrzeć. Schudł jeszcze bardziej od chwili ucieczki na łąkach; skórę na twarzy miał obwisłą, pozbawioną ciała. Nawet w różowym blasku kamieni karlaków wyglądał szaro.

Powrócił Binabik.

– Chyba nie będziemy długo tutaj bezpieczni. Yis-fidri mówi, że pieczęcie na drzwiach nie będą już tak silne, skoro raz je zerwano. Nie wszyscy Nornowie są takimi mistrzami jak twój przyjaciel mnich, ale niektórzy z nich mogą się okazać równie dobrzy. Nawet jeśli oni tego nie dokonają, to z pewnością zrobi to Pryrates.

– Mistrzami? O czym ty mówisz?

– Mistrzami wiedzy. Uczonymi w Sztuce; czasem ci, którzy nie są członkami Ligi Pergaminu, nazywają ją magią.

– Ale Cadrach powiedział, że nie potrafi już uprawiać magii.

Binabik pokręcił głową niedowierzająco.

– Miriamele, Padreic z Crannhyru był kiedyś jednym z największych mistrzów Sztuki w całym Osten Ard, chociaż stało się tak dlatego, że pozostali członkowie Ligi Pergaminu, nawet największy z nich, Morgenes, nie odważyli się zanurzyć w jej najgłębsze strumienie. Wygląda na to, że Cadrach nie utracił swoich umiejętności, bo jak inaczej sforsowałby drzwi karlaków?

– Wszystko to wydarzyło się tak szybko. Chyba muszę się nad tym zastanowić. – Poczuła przypływ nadziei. – Może jest jakiś powód, dla którego los zesłał nam mnicha.

– Zrobiłem to, co musiałem – odezwał się niespodziewanie Cadrach. Miriamele drgnęła zaskoczona; była przekonana, że mnich śpi. – Jeszcze chwila i Białe Lisy złapałyby mnie. Trollu, ja już nie jest tym, kim byłem. Posługiwanie się Sztuką wymaga dyscypliny, ciężkiej pracy i... spokoju. Dawno już o nich zapomniałem. – Znowu oparł głowę o ścianę jaskini. – Studnia wyschła. Nie ma już niczego do ofiarowania. Niczego.

Miriamele postanowiła uzyskać odpowiedzi na swoje pytania.

– Wciąż nie powiedziałeś, dlaczego mnie śledziłeś?

Mnich otworzył oczy.

– Ponieważ nie zostało mi już nic innego. Świat nie ma już dla mnie nic. – Zawahał się, spoglądając na Binabika ze złością, jakby troll podsłuchiwał rozmowę, której nie powinien usłyszeć. – Ponieważ... ponieważ byłaś dla mnie dobra, Miriamele. Zapomniałem już, jak to jest. Nie mogłem jechać dalej z tobą i znosić pytań, spojrzeń pozostałych, ale nie potrafiłem też odrzucić tego okruchu życia... życia takiego, jakim było kiedyś. Nie potrafiłem. – Potarł dłonią policzki i roześmiał się żałośnie. – Chyba nie jestem jeszcze tak martwy, jak myślałem.

– Czy to ty śledziłeś mnie i Simona w lesie?

– Tak. A potem też w Stanshire i Falshire. Kiedy on do was dołączył – wskazał na Binabika – musiałem trzymać się bardziej z tyłu. Ten wilk ma dobrego nosa.

– Nie okazałeś się zbyt pomocny, kiedy złapali nas Tancerze Ognia.

Cadrach zadrżał tylko.

– A więc szedłeś za nami przez cały czas?

– Zgubiłem wasz ślad za Doliną Hasu. Zupełnie przypadkiem znowu was odnalazłem. Gdybyście nie przybyli do katedry Świętego Sutrina, gdzie znalazłem schronienie dzięki gościnności szalonego Domitisa, chyba już byśmy się nie spotkali. – Znowu się roześmiał. – Pomyśl o tym, pani. Twoje szczęście się odwróciło, odkąd weszłaś do domu Bożego.

– Dosyć. – Miriamele zaczynała już tracić cierpliwość, słysząc użalania mnicha. – Teraz jesteś tutaj. I co zrobimy?

Zanim Cadrach zdążył odpowiedzieć, zbliżył się, powłócząc nogami, Yis-fidri. Karlak spojrzał smutno na mnicha, po czym odwrócił się do Miriamele i Binabika.

– Ten człowiek ma rację co do jednego. Ktoś jeszcze jest za drzwiami. Przyszli Hikeda’ya.

Zapadła cisza.

– Jesteś pewien? – Miriamele miała cichą nadzieję, że karlaki się myliły; przerażała ją myśl o tym, że zostali zamknięci w jaskini, pod której drzwiami znajdowali się Nornowie o trupio bladych twarzach. Białe Lisy wydały jej się wystarczająco groźne, kiedy usłyszała o nich w opowieści wuja o upadku Naglimundu, ale na zboczu Doliny Hasu sama się przekonała. Nie chciała już nigdy ich oglądać, lecz wątpiła, by dopisało jej aż takie szczęście. Strach, stłumiony zdziwieniem wywołanym pojawieniem się Cadracha, znowu powrócił. Poczuła nagle, że brakuje jej powietrza. – Jesteście pewni, że to Nornowie, a nie żołnierze mojego ojca?

– Tego człowieka się nie spodziewaliśmy – odparł Yis-fidri. – Ale wiemy, co porusza się naszymi tunelami. Drzwi na razie ich powstrzymują, lecz może nie na długo.

– Skoro to są wasze tunele, to musicie znać jakiś sposób ucieczki!

Karlak nic nie odpowiedział.

– Może jednak wykorzystamy kamienie, które nazbieraliśmy – powiedział Binabik. – Powinniśmy pomyśleć o możliwości ucieczki, zanim przybędzie więcej wrogów. – Zwrócił się do Yis-fidriego: – Czy potrafisz powiedzieć, ilu ich jest na zewnątrz?

Karlak spojrzał na swoją żonę i wydał długi dźwięk, który mógł być pytaniem. Poczekał na odpowiedź i powiedział:

– Może tylu, ile jest palców u jednej ręki. Ale niedługo będzie więcej.

– Tylko tylu? – Miriamele wyprostowała się. – Musimy walczyć! Jeśli nam pomożecie, z pewnością ich pokonamy i zdołamy uciec!

Yis-fidri skulił się lękliwie.

– Mówiłem ci. My nie jesteśmy silni. My nie walczymy.

– Słuchajcie tego, co mówią Tinukeda’ya – wtrącił mnich. – Wkrótce będzie to pewnie bez znaczenia, ale ja przynajmniej wolę czekać na koniec tutaj, niż dać się nadziać na jedną z ich włóczni.

– Ale jeśli będziemy czekać, koniec jest pewny. Próbując uciekać, zyskamy przynajmniej jakąś szansę.

– Nie ma żadnej szansy w obu wypadkach – powiedział mnich. – Tutaj przynajmniej możemy uzyskać spokój i umrzeć z własnej woli, jeśli tak postanowimy.

– Jaki z ciebie tchórz! – zawołała Miriamele. – Słyszałeś, co powiedział Yis-fidri! W najgorszym wypadku piątka Nornów! To nie jest jeszcze koniec świata. Mamy szansę!

Cadrach odwrócił się do niej. Na jego twarzy walczyły ze sobą smutek, obrzydzenie i ledwie ukrywana wściekłość.

– Nie Nornów się obawiam – powiedział. – Ale końca świata.

Miriamele dostrzegła w jego głosie jakąś obcą nutę, która nie pasowała nawet do jego pesymizmu.

– Cadrachu, o czym ty mówisz?

– O końcu świata – powtórzył. Wciągnął głęboko powietrze. – Pani, nawet gdybyśmy razem, ty, ja i ten troll, zabili wszystkich Nornów w Hayholt, a także wszystkich Nornów z Burzowej Góry, to i tak nic by to nie zmieniło. Za późno, by zrobić cokolwiek. *Zawsze* było za późno. Cały świat, zielone pola Osten Ard, mieszkający tam ludzie... wszystko jest skazane na zatracenie. Wiedziałem to, zanim jeszcze się spotkaliśmy. – Spojrzał na nią błagalnie. – Tak, jestem zgorzkniały, Miriamele. Prawie szalony. Ponieważ wiem ponad wszelką wątpliwość, że nie ma nadziei.

SIMON OBUDZIŁ SIĘ Z CHMURNEGO, chaotycznego snu wprost w całkowitą ciemność. Ktoś jęczał tuż obok. Całe jego ciało pulsowało bólem, z ledwością poruszał rękoma i nogami. Długo wydawało mu się, że został schwytany i wrzucony do ciemnej celi, lecz wreszcie przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

– Guthwulf? – wyszeptał.

Jęki nie ustawały.

Simon przewrócił się na brzuch i popełzł w stronę głosu. Kiedy jego spuchnięte palce natrafiły na coś, zatrzymał się i zaczął nieporadnie macać, aż odnalazł zarośniętą twarz. Ciało starca było rozpalone gorączką.

– Hrabio Guthwulfie, to ja, Simon. Uratowałeś mnie od koła.

– Ich dom płonie! – rozległ się przerażony głos Guthwulfa. – Nie mogą biec. Przy bramach są obcy z czarnym żelazem!

– Czy masz tutaj wodę? A jedzenie?

Poczuł, że ślepiec próbuje wstać.

– Kto tu jest? Nie możesz go zabrać! On śpiewa dla mnie. Dla mnie! – Guthwulf chwycił coś i Simon poczuł zimne ostrze na swoim przedramieniu. Zaklął i przyłożył rękę do ust.

„Biały Gwóźdź. – Wydawało mu się to nieprawdopodobnie dziwne. – Ten wystraszony ślepiec ma Biały Gwóźdź”.

Przez chwilę zastanawiał się, czy po prostu nie wyrwać go ze słabej dłoni Guthwulfa. W końcu, czy potrzeba szaleńca mogła być ważniejsza od potrzeby całego narodu? Bardziej jednak niż możliwość kradzieży miecza człowiekowi, który uratował mu życie, niepokoiła go myśl, że znalazł się gdzieś pod Hayholt bez światła. Bez pomocy Guthwulfa mógłby błądzić bez końca w mrokach podziemi, chyba że ślepiec miał z jakiegoś zupełnie niezrozumiałego powodu latarnię albo pochodnię. Jaki wtedy byłby pożytek z Białego Gwoździa?

– Guthwulfie, czy masz pochodnię? Albo krzesiwo?

Hrabia mruczał coś niewyraźnie. Nic z tego, co Simon zrozumiał, nie okazało się przydatne. Odwrócił się i jęcząc z bólu przy każdym ruchu, zaczął przeszukiwać pieczarę.

Nora Guthwulfa była mała, szeroka pewnie na dwanaście kroków – gdyby Simon mógł ją zmierzyć krokami – w obie strony. W szczelinach między kamieniami wyczuł coś, co przypominało mech. Oderwał kawałek i powąchał: nie była to ta sama roślina, dzięki której przeżył w ruinach Asu’a. Położył sobie odrobinę na języku i zaraz ją wypluł. Smakowała jeszcze gorzej niż tamten mech. Jednak jego żołądek mówił mu, że niedługo i tak do niej powróci.

Simon znalazł na nierównej podłodze niewiele poza rozrzuconymi gałganami. Był tam nóż z ułamanym ostrzem. Kiedy chciał go wsunąć za pas, zorientował się, że nie ma pasa, w ogóle nie miał na sobie żadnego ubrania.

Nagi i zagubiony w ciemności. Z Simona nie pozostało nic poza nim samym.

Wcześniej został zbryzgany krwią smoka, lecz później pozostał Simonem. Widział Jao e-Tinukai'i, walczył w wielkiej bitwie, był całowany przez księżniczkę, lecz wciąż mniej lub bardziej pozostawał tym samym chłopcem z kuchni. Teraz wszystko zostało mu odebrane, ale on wciąż posiadał to, z czym zaczynał.

Jego śmiech zabrzmiał ostro, chrapliwie. Tak skromny dobytek oznaczał pewną formę wolności. Wielkim zwycięstwem będzie przeżycie następnej godziny. Uciekł przed kołem. Czy może spotkać go coś gorszego?

Odłożył złamany nóż pod ścianę, tak by mógł go łatwo odnaleźć, i zaczął szukać dalej. Znalazł kilka przedmiotów, które do niczego się nie nadawały; kamienie o dziwnym kształcie – zbyt dziwnym jak na dzieła natury, kawałki drewna i glinianych naczyń, a nawet szkielety małych zwierząt, lecz dopiero pod drugą ścianą znalazł coś, co wydało mu się interesujące.

Jego zdrętwiałe i zesztywniałe palce natrafiły na coś mokrego. Cofnął gwałtownie dłoń, lecz po chwili wysunął ją znowu ostrożnie. Była to kamienna miska, do połowy wypełniona wodą. A obok niej – zupełnie tak jak w cudzie z *Księgi Aedona* – leżał kawał czerstwego chleba.

Simon miał już ugryźć chleb, kiedy przypomniał sobie o Guthwulfie. Zawahał się – jego żołądek wściekle domagał się jedzenia – po czym odłamał kawałek, zanurzył go w wodzie i włożył do ust. Zjadł jeszcze dwa małe kawałki. Potem ujął ostrożnie w drżące dłonie miskę z wodą

i podczołgał się do Guthwulfa. Zanurzył palce w wodzie i skropił usta hrabiego; usłyszał, jak ślepiec łyka łapczywie. Następnie zanurzył w wodzie kawałek chleba i włożył do ust Guthwulfa. Hrabia nie zamknął ust i wydawało się, że nie jest w stanie gryźć ani przełykać. Po chwili zastanowienia Simon wyjął z jego ust kawałek chleba i sam go zjadł. Czuł ogarniające go znużenie.

– Później – powiedział do Guthwulfa. – Później zjesz. Poczujesz się lepiej, tak jak i ja. Wtedy pójdziemy stąd.

„Wtedy zabiorę Biały Gwóźdź do wieży. Po to odzyskałem swoje życie”.

– Magiczne drzewo płonie, ogień płonie... – Hrabia kulił się, wił. Simon odsunął miskę. Guthwulf jęknął. – *Ruakha, ruakha Asu’a!*

Nawet z tej odległości Simon czuł jego rozpalone ciało.

MĘŻCZYZNA LEŻAŁ Z TWARZĄ PRZYCIŚNIĘTĄ do kamiennej podłogi. Jego skóra i ubranie były tak brudne, że ledwie go było widać.

– To wszystko, panie, przysięgam!

– Wstawaj. – Pryrates kopnął go w żebra, lecz na tyle delikatnie, by nic mu nie złamać. – Nie rozumiem cię.

Mężczyzna podniósł się na rękach; jego usta drżały ze strachu.

– To wszystko, panie. Uciekli. Wodnym korytarzem.

– Wiem o tym, głupcze.

Alchemik nie dał swoim żołnierzom żadnych wskazówek, gdyż powrócili po bezskutecznych poszukiwaniach i teraz stali, wiercąc się niespokojnie. Z łańcucha, który obracał wierzchołkiem wieży Pryratesa, usunięto resztki ciała Incha; leżały teraz rzucone niedbale obok koryta. Bez wątpienia większość pracowników odlewni chciałaby przykryć to, co

pozostało z nadzorcy, lecz ponieważ Pryrates nie wydał żadnych rozkazów, spoglądali rozmyślnie w drugą stronę.

– I nie wiesz, kim byli ci ludzie?

– Jeden był ślepy, panie. Niektórzy widywali go, ale nigdy nie złapali. Czasem zabiera różne rzeczy.

Ślepiec w jaskini. Pryrates uśmiechnął się. Miał powody domyślać się, o kogo chodzi.

– A drugi? Rozumiem, że był to jeden z pracowników odlewni, który został ukarany.

– Tak, panie. Ale Inch nazywał go jakoś inaczej.

– Inaczej? Jak?

Twarz mężczyzny zastygła w grymasie przerażenia.

– Nie pamiętam – wyszeptał.

Pryrates pochylił się i jego łysa głowa znalazła się tuż przed nosem mężczyzny.

– Mogę ci *pomóc*.

Mężczyzna znieruchomiał. Z jego gardła wydobył się cichy jęk.

– Próbuję sobie przypomnieć, panie – jęknął, a potem zaraz dodał: – Chłopczyk z kuchni! Doktor Inch nazywał go chłopczykiem z kuchni!

Pryrates wyprostował się. Mężczyzna opadł na ziemię, dysząc ciężko.

– Chłopczyk z kuchni – powtórzył duchowny w zamyśleniu. – Czy to możliwe? – Nagle roześmiał się chrapliwie. – Doskonale. Oczywiście, że tak. – Odwrócił się do żołnierzy. – Nie mamy tu już nic do roboty. Król na nas czeka.

Pomocnik Incha wpatrywał się w plecy alchemika. Jego usta poruszały się przez kilka chwil bezgłośnie, zanim zebrał się na odwagę.

– Panie?

Pryrates odwrócił się powoli.

– Co?

– Teraz... teraz kiedy Doktor Inch nie żyje... kogo chcesz... mianować nadzorcą?

Duchowny popatrzył ponuro na brudnego, potarganego mężczyznę.

– Sami go wybierzcie. – Wskazał na kilku spośród czekających żołnierzy. – Wy zostaniecie tutaj. Nie cackajcie się z pomocnikami Incha. Nie powinienem był zostawiać go tutaj tak długo. Macie tylko dopilnować, żeby koło było przez cały czas w wodzie. Ono porusza zbyt wiele ważnych rzeczy, żeby mogło się powtórzyć coś takiego. Pamiętajcie: pożałujecie, jeśli koło przestanie się kręcić.

Wyznaczeni żołnierze zajęli pozycje wzdłuż strumienia. Pozostali opuścili odlewnię. Pryrates zatrzymał się w drzwiach i spojrzał do tyłu. Strażnicy przyglądali się obojętnie, jak krąg ponurych pracowników zacieśnia się wokół głównego zastępcy Incha. Uśmiechnął się cicho i pozwolił drzwiom zatrzasnąć się za nim.

JOSUA USIADŁ ZANIEPOKOJONY. Wiatr wył wściekle, a w drzwiach pojawiła się postać wielkości olbrzyma.

– Kto tam?

Isgrimnur, który zasnął w czasie długiej ciszy, zachrapał zaskoczony i poszukał dłonią miecza.

– Dłużej już tego nie zniosę. – Sir Camaris stał w wejściu, chwiejąc się jak kołysane wiatrem drzewo. – Boże, ratuj mnie, ratuj. Teraz słyszę to już nawet na jawie. Wypełnia całą ciemność.

– O czym ty mówisz? – Josua podszedł do wejścia. – Camarisie, nie wyglądasz dobrze. Chodź, usiądź przy ogniu. To nie jest dobra pora na

spacery.

Camaris machnął dłonią.

– Muszę iść. Już czas. Słyszę pieśń tak wyraźnie. Już czas.

– Na co czas? Iść? Dokąd? Isgrimnurze, pomóż mi.

Książę wstał ciężko, wciąż czując ból w żebrach i zesztywniałych mięśniach. Kiedy położył dłoń na ramieniu Camarisa, poczuł, że jego mięśnie są napięte do ostateczności.

„On jest przerażony. Na Odkupiciela, co też może być tego powodem?”

– Chodź, usiądź. – Josua poprowadził Camarisa w stronę stołka. – Powiedz nam, co ci dolega.

Stary rycerz wyrwał niespodziewanie ramię i cofnął się chwiejnie, aż znalazł się na zewnątrz, na śniegu. Długa pochwa Ciernia obiła się o jego nogę.

– One się wzywają. Potrzebują się nawzajem. Miecz pójdzie tam, dokąd ma pójść. Już czas.

Josua wyszedł za nim na zbocze. Isgrimnur, zdumiony i zmartwiony, owinął się płaszczem i podążył, utykając, za Josuą i Camarisem. Poniżej rozlewała się ciemna plama Kynslagh.

– Nie rozumiem cię, Camarisie! – zawołał książę poprzez wiatr. – Na co już czas?!

– Spójrzcie! – Starzec wskazał na kłębiące się chmury. – Nie widzicie?

Obaj, Isgrimnur i Josua, spojrzeli w górę. Na niebie płonął rozżarzony węgiel.

– Gwiazda Zdobywcy? – spytał Isgrimnur.

– One ją czują. Już czas. – Camaris znowu się cofnął; stał niepewnie, jakby za chwilę miał stoczyć się w dół zbocza. – Boże, daj mi siły. Nie potrafię już dłużej się opierać.

Josua uchwycił spojrzenie Isgrimnura, szukając u niego pomocy. Isgrimnur zbliżył się i obaj chwycili Camarisa za ramiona.

– Chodź do ognia – poprosił Josua.

Sir Camaris wyswobodził się jednym szarpnięciem – jego siła zawsze zdumiewała Isgrimnura – i jego dłoń powędrowała na chwilę do srebrnej rękojeści Ciernia.

– Camarisie! – zawołał Isgrimnur przerażony. – Wyciągnąłbyś miecz przeciwko nam? Twoim przyjaciołom?

Starzec patrzył na niego nieprzytomnym spojrzeniem. Po chwili książę zobaczył, że napięcie ustępuje.

– Niech Bóg mi pomoże. To ten miecz. On mi śpiewa. Wie, dokąd iść. Do środka. – Wskazał na majaczący w ciemności zamek Hayholt.

– Zaprowadzimy cię tam, razem z mieczem – powiedział cicho Josua. – Ale najpierw musimy uporać się z murami.

– Istnieją inne sposoby – powiedział Camaris, lecz już o wiele spokojniej. Pozwolił zaprowadzić się do namiotu Josui.

CAMARIS DUSZKIEM WYCHYLIŁ KIELICH, który podał mu Josua, a potem wypił jeszcze jeden. Widok ten zmartwił Isgrimnura tak samo jak dziwne rzeczy, które Camaris mówił wcześniej, gdyż stary rycerz znany był ze swojej wstrzemięźliwości. Teraz jednak wydawało się, że gotów jest przyjąć wszystko, co uśmierzy ból, jaki niesie ze sobą Cierń.

Camaris nie chciał już nic więcej powiedzieć, chociaż Josua próbował wydobyć z niego informacje, zdaniem Isgrimnura, w sposób bardzo delikatny, lecz niezręczny. Isgrimnur zauważył, że od tamtej nocy na statku postawa Josui wobec starego rycerza zmieniła się, jakby książę od tamtej

chwili czuł się bardzo nieswojo w obecności Camarisa. Isgrimnur zastanawiał się, co za okropną tajemnicę odsłonił przed księciem Camaris.

Po długiej chwili milczenia książę dał za wygraną i powrócił do dyskusji, jaką przerwało przybycie Camarisa.

– Teraz już wiemy, że w zamku znajdują się liczne siły, Isgrimnurze; znaczne oddziały gwardzistów i najemników. – Josua zachmurzył się. – Mój brat wykazuje większą cierpliwość, niż się tego spodziewałem. Ani jednej potyczki w czasie naszego lądowania.

– Elias wykazuje ogromną cierpliwość albo też przygotował nam coś gorszego. – Książę pociągnął za brodę. – W tym względzie, Josuo, nie wiemy nawet, czy twój brat żyje jeszcze. Erchester jest zupełnie opuszczone, a te kilka osób, które udało nam się znaleźć, nie potrafi nawet powiedzieć, czy czasem nie powrócił sam Fingil i nie zasiadł na Smoczym Tronie.

– Być może. – Książę powiedział to bez przekonania. – Ale wydaje mi się, że wiedziałbym, gdyby Elias nie żył. W każdym razie, nawet jeśli kieruje nim Pryrates albo on sam zasiadł na tronie, wciąż pozostaje Król Burz i złowieszcza gwiazda Ligi Pergaminu.

Isgrimnur przytaknął mu.

– Tak, bez wątpienia ktoś tam jest. Ktoś zna nasze plany. Do tego jeszcze zabrali miecz twojego ojca.

Josua jeszcze bardziej się zasępił.

– To był potężny cios. Straciłem nadzieję, gdy tylko zobaczyłem, że Swertclif pozostaje niestrzeżony.

– Spodziewaliśmy się tego, że trzeba będzie wejść do Hayholt, żeby zdobyć miecz Smutek. – Isgrimnur ponownie szarpnął za brodę i prychnął. Wojna była wystarczająco trudna bez tych magicznych powikłań. – Myślę, że nie ma różnicy, czy pójdziemy tam po jeden miecz, czy po dwa.

– Jeśli znajduje się on w obrębie murów – zauważył Josua. – Dziura w kurhanie mojego ojca wyglądała na zrobioną pośpiesznie, co nie znaczy, że spodziewam się, iż Pryrates albo mój brat będą ukrywać swoje czyny przede mną.

– Kto inny mógłby tego dokonać?

– Wciąż nie wiemy, co się stało z moją siostrzenicą, Simonem i trollem.

Isgrimnur chrząknął.

– Nie sądzę, by młody Simon czy Miriamele zabrali miecz i tak po prostu zniknęli. Gdzie oni są? Wiedzą przecież, ile dla nas znaczy Biały Gwóźdź.

Nagle rozległ się krzyk Camarisa.

– Wszystkie miecze! Czuję je wszystkie, wszystkie trzy! Śpiewają do siebie i do mnie. – Westchnął głęboko. – Och, Josuo, gdybym mógł je uciszyć.

Książę odwrócił się w jego stronę.

– Rzeczywiście słyszysz Biały Gwóźdź?

Stary rycerz skinął głową.

– Słyszę głos. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale słyszę to, podobnie jak Cierń.

– Czy potrafisz powiedzieć, gdzie on jest?

Camaris pokręcił głową.

– Nie. On, ta część, która do mnie woła, nie jest w żadnym konkretnym miejscu. Ale one chcą wszystkie znaleźć się w zamku. Tego pragną. A czasu jest coraz mniej.

Josua skrzywił się.

– Zdaje się, że Binabik i inni mieli rację. Mijają cenne godziny: jeśli miecze mają się nam na coś przydać, to musimy je odnaleźć i dowiedzieć

się, jak ich użyć.

„Szaleństwo – pomyślał Isgrimnur. – Nasze życie, nasza ziemia znalazły się we władaniu szaleństwa ze starych opowieści. Co by powiedział na to Prester John, który włożył tyle wysiłku, by wygonić czarodziejski lud i przegnać cienie?”

– Nie przefruniemy nad murami, Josuo – powiedział. – Odnieśliśmy zwycięstwo w Nabbanie i przypłynęliśmy na Północ w tak krótkim czasie, że długo będą o tym opowiadać. Ale nie możemy przefrunąć nad murami Hayholt jak stado szpaków.

– Istnieją inne sposoby... – szepnął Camaris.

Josua spojrzał na niego uważnie, lecz zanim się zorientował, czy rycerz bredzi nieprzytomnie, czy też chce poddać jakiś przydatny pomysł, w drzwiach pojawił się cień, a zaraz potem do namiotu wtargnęła fala zimnego powietrza, niosąca ze sobą płatki śniegu.

– Wybacz, książę Josuo. – Był to Sludig, w hełmie i zbroi. Skinął głową Isgrimnurowi. – Panie.

– O co chodzi?

– Szukaliśmy po drugiej stronie Swertclif, tak jak kazałeś.

– Znaleźliście coś? – Josua wstał, lecz jego twarz pozostawała obojętna.

– Nic nie znaleźliśmy, ale coś słyszeliśmy. – Sludig wyglądał na bardzo zmęczonego, jakby jechał bardzo długo. – Gdzieś w oddali grały rogi. Słychać je było na północy.

– Na północy? Jak daleko?

– Trudno powiedzieć, książę Josuo. – Sludig rozłożył dłonie, jakby się spodziewał, że pokaże to za ich pomocą. – Nigdy nie słyszałem takich rogów. Ale słychać je było bardzo słabo.

– Dziękuję, Sludigu. Czy zostawiłeś straż na Swertclif?

– Po drugiej stronie, Wasza Wysokość. Nie widać ich z zamku.

– Nie ma znaczenia, czy ktoś ich widzi – powiedział książę. – Bardziej obchodzi mnie, kto może nas zaatakować od północy. Jeśli ty i twoi ludzie jesteście zmęczeni, powiedz Hotvigowi, żeby wziął swoich jeźdźców i pojechał w kierunku lasu Aldheorte. Niech wracają, gdy tylko coś zobaczą.

– Dobrze, książę Josuo. – Sludig wyszedł.

Josua odwrócił się do Isgrimnura.

– Co o tym myślisz? Czy Król Burz ma zamiar użyć tej samej dłoni, która pojawiła się w Naglimundzie?

– Być może. Tylko że tam mogłeś się schować za murami. Tutaj mamy przed sobą otwarty teren, a za plecami Kynslagh.

– Tak, ale mamy też kilkanaście tysięcy żołnierzy; i nie ma tutaj niewinnych ludzi, o których musimy się martwić. Jeśli sprzymierzeniec mojego brata uważa, że tym razem pójdzie mu z nami tak łatwo jak poprzednio, to się myli.

Isgrimnur wytrzymał przez chwilę groźne spojrzenie Josui, a potem spojrzał na Camarisa, który siedział z głową w dłoniach wpatrzony w stół.

„Czy Josua ma rację? Czy aby nie jesteśmy postrzępionym końcem królestwa Johna, które tylko czeka na ostatnie pociągnięcie, by ostatecznie się rozlecieć?”

– Chodźmy porozmawiać z kapitanami. – Isgrimnur wstał i przysunął dłonie nad ogień. – Lepiej sami powiedzmy im, że coś się zbliża, zanim usłyszą o tym z pogłosek. – Chrząknął niezadowolony. – Zdaje się, że znowu się nie wyśpimy.

MIRIAMELE WPATRYWAŁA SIĘ W CADRACHA. Choć tyle już razy wysłuchiwała jego kłamstw, teraz nie mogła uwolnić się od myśli, że wreszcie mówi prawdę.

„Albo przynajmniej swoją prawdę” – starała się pocieszyć.

Spojrzała na Binabika, który zmrużył oczy skupiony, i znowu skierowała wzrok na Cadracha.

– Skazani na zagładę? Czy mówisz o innym niebezpieczeństwie niż to, wobec którego już stanęliśmy?

Mnich wytrzymał jej spojrzenie.

– Skazani ponad wszelką nadzieję. A ja odegrałem tutaj znaczną rolę.

– O czym ty mówisz? – spytał Binabik.

Yis-fidri czuł się najwyraźniej nieswojo, słysząc tę coraz bardziej przerażającą rozmowę, gdyż przebierał nerwowo palcami.

– Mówię o tym, trollu, że cała ta bieganina tutaj nie ma większego znaczenia. Nie ma znaczenia, czy uciekniemy przed Białymi Lisami, czy książę Josua zburzy mury, czy sam Bóg ześle piorun i zamieni Eliasa w popiół...

Miriamele aż zadrżała, słysząc, z jaką pewnością przemawia Cadrach.

– Wyjaśnij nam to.

Twarz mnicha skurczyła się nagle.

– Miłościwy Aedonie! Wszystko, co o mnie myślałaś, jest prawdą, Miriamele. Wszystko. – Łza popłynęła po jego policzku. – Niech Bóg mi pomoże, chociaż nie ma najmniejszego powodu, by to robić, bo dopuściłem się tak okropnych czynów...

– A niech cię, Cadrachu! Powiesz nam wreszcie?

Wybuch Miriamele złamał wreszcie tamę wytrzymałości Yis-fidriego, gdyż karlak wstał i odszedł szybko do swoich towarzyszy szepcących

między sobą po drugiej stronie jaskini.

Cadrach otarł brudnym rękawem nos i oczy.

– Opowiadałem ci o tym, jak złapał mnie Pryrates – zwrócił się do Miriamele.

– Tak. – Nie musiała powtarzać tego Binabikowi, gdyż mówiła już o tym jemu i innym na *Sesuad'ra*.

– Opowiedziałem ci, że po tym, jak zdradziłem tych, którzy sprzedawali książkę, Pryrates wyrzucił mnie, sądząc, że umarłem.

Skinęła głową.

– To nie była prawda, a przynajmniej to nie wydarzyło się w tym czasie. – Wciągnął głęboko powietrze. – On wysłał mnie, żebym szpiegował Morgenesa i innych, których znałem z czasów, kiedy byłem członkiem Ligi Pergaminu.

– I ty się zgodziłeś?

– Jeśli sądzisz, że się wahałem, moja pani, to nie wiesz, jak kurczowo pijak i tchórz trzyma się życia ani też jak bardzo bałem się gniewu Pryratesa. Widzisz, ja go znałem. Wiedziałem, że rany, jakie zadał mojemu ciału, są niczym wobec tego, co mógł zrobić, gdyby rzeczywiście chciał mojego cierpienia.

– A więc szpiegowałeś dla niego? Szpiegowałeś Morgenesa?

Cadrach pokręcił głową.

– Próbowałem, ach, jak bardzo się starałem! Ale Morgenes nie był głupcem. Wiedział, że zacząłem chadzać niebezpiecznymi ścieżkami i że czerwony duchowny zna nas obu z dawnych czasów. Upewnił się, bym nie znalazł w jego pokojach ani w jego kontaktach niczego, co mogłoby okazać się przydatne dla Pryratesa. – Cadrach potrząsnął głową. – Moje starania umocniły tylko Morgenesa w przekonaniu, że pozostało mu mniej czasu, niż przewidywał.

– A zatem nie udało ci się? – Miriamele nie miała pewności, dokąd prowadzi opowieść, lecz czuła coraz większe przerażenie.

– Tak. I bardzo się bałem. Pryrates wściekał się, kiedy wróciłem do Wieży Hjeldina. Ale nie zabił mnie ani nie zrobił czegoś gorszego, jak się obawiałem. Zamiast tego pytał mnie jeszcze o *Du Svardenvyrd*. Myślę, że już wtedy dotknął go Król Burz i zbliżali się do zawarcia umowy. – W spojrzeniu Cadracha pojawiła się teraz pogarda. – Jakby jakikolwiek śmiertelnik mógł się targować z kimś takim! Wątpię, czy Pryrates zdaje sobie sprawę, co wpuścił przez drzwi, które otworzył.

– Później pomówimy o tym, co zrobił Pryrates – powiedział Binabik. – Teraz powiedz nam o tym, co ty robiłeś.

Mnich spojrzał na niego.

– Trudno te rzeczy od siebie oddzielić – powiedział. – Pryrates zadawał mi wiele pytań, lecz nietrudno było się zorientować, w jakim celu wypytywał mnie ktoś, kto czytał *Du Svardenvyrd*, kto znał księgę Nissesa tak dobrze, że jeszcze dzisiaj jego myśli są pełne jej słów. Król Burz dotarł do niego w jakiś sposób i Pryrates chciał wiedzieć wszystko o Wielkich Mieczach.

– A zatem Pryrates wie o nich. – Miriamele wzięła głęboki oddech. – To pewnie on zabrał Biały Gwóźdź z kurhanu.

Cadrach uniósł dłoń.

– Pryrates obszedł się ze mną surowo za moje niepowodzenie. Potem zmusił mnie, bym wysłał wiadomość na Północ do starego Jarnaugi z prośbą o informacje o Królu Burz. Podejrzewam, że alchemik starał się zabezpieczyć przed swoim nowym, niebezpiecznym przyjacielem. Siedział przy mnie, kiedy ją pisałem, i sam wysłał wróbla, którego ukradł Morgenesowi. Później puścił mnie wolno. Był przekonany, że nie ucieknę, gdyż bez trudu mógł mnie odnaleźć.

– Ale ty uciekłeś – powiedziała Miriamele. – Tak przynajmniej mówiłeś.

Cadrach przytaknął jej.

– Ostatecznie tak. Ale jeszcze nie wtedy. Za bardzo się bałem. Ale jednocześnie wiedziałem, że Jarnauga nie odpowie. Pryrates nie zdawał sobie sprawy z tego, jak blisko byli ze sobą Morgenes i Rimmersman, a ja nie miałem wątpliwości, że Doktor zdążył już poinformować Jarnaugę o mojej nieoczekiwanej wizycie. W każdym razie Jarnauga przebywał w cieniu Burzowej Góry od lat i z pewnością nie podzieliłby się swoimi spostrzeżeniami z kimś, o kim nie wiedział na pewno, że nie został dotknięty ręką Inelukiego. Tak więc wiedziałem, że oszustwo, do którego zmusił mnie Pryrates, na nic się nie przyda, oraz że kiedy duchowny odkryje to, do niczego mu już nie będę potrzebny. Potrzebny mu byłem tylko jako ktoś, kto czytał księgę Nissesa i kto kiedyś należał do Ligi Pergaminu. Ale odpowiedziałem już na wszystkie jego pytania dotyczące księgi, a niebawem miał odkryć, że członkowie Ligi dawno już przestali mi ufać... – Urwał, starając się opanować targające nim emocje.

– Mów dalej. – Odezwała się Miriamele nieco łagodniej niż poprzednio. Bez względu na to, co kiedyś zrobił, teraz najwyraźniej bardzo cierpiał.

– Byłem całkowicie przerażony. Wiedziałem, że niebawem nadejdzie zgubna dla mnie odpowiedź Jarnaugi. Tak bardzo chciałem uciec, lecz Pryrates natychmiast dowiedziałby się o tym i odnalazłby mnie przy pomocy Sztuki. Naznaczył mnie w swojej wieży. Wszędzie by mnie odnalazł. – Cadrach urwał, starając się opanować. – Tak więc myślałem, wciąż myślałem: ale nie, nie o tym, jak uciec od niego, jak udaremnić jego plany, lecz o tym, jak zadowolić tego potwora, jak przekonać go, by darował mi moje żałosne życie. – Mnich zadrżał. – Dużo zastanawiałem się nad jego pytaniami – podjął swoją opowieść po chwili. – Szczególnie nad

tymi, które dotyczyły Wielkich Mieczy. Nie ulegało wątpliwości, że posiadały one jakąś ogromną moc i że miały znaczenie dla Króla Burz. Nikt jednak poza mną nie wiedział, że miecz Minneyar, jeden z trzech mieczy, był w rzeczywistości Białym Gwoździem, który został pochowany z Królem Johnem.

Miriamele otworzyła usta zdumiona.

– Wiedziałeś o tym?

– Każdy, kto czytał stare księgi, które ja znałem, domyśliłby się tego – odparł Cadrach. – Jestem przekonany, że wiedział też o tym Morgenes, lecz ukrył to w swojej księdze o twoim dziadku tak, by tylko wtajemniczeni potrafili to odczytać. W każdym razie czytałem te same księgi, które studiował Morgenes, i od dawna się tego domyślałem, chociaż nikomu o tym nie mówiłem. Im dłużej zastanawiałem się nad plotkami z targu, według których Elias nie chciał przyjąć miecza ojca i, wbrew zwyczajowi, pogrzebał go razem z ojcem, tym bardziej utwierdzałem się w moim przekonaniu. Tak więc pomyślałem sobie, że jeśli prawdą jest także to, co sugerowała księga Nissesa, że jedyną bronią, której obawiał się Król Burz, były trzy Wielkie Miecze, to czy mógłbym podarować Pryratesowi lepszy prezent niż jeden z tych mieczy? Uważano, że wszystkie zaginęły. Wymyśliłem, że gdybym odnalazł jeden z nich, stałbym się przydatny dla Pryratesa.

Miriamele patrzyła na mnicha z odrazą i zdumieniem.

– Ty... ty zdrajco! Czy to ty zabrałeś miecz z kurhanu mojego dziadka? I dałeś go Pryratesowi? Bądź przeklęty, jeśli tak się stało!

– Możesz obrzucić mnie wszystkimi przekleństwami, i nie bez racji, ale wysłuchaj mnie do końca.

„Miałam rację, próbując go utopić w Zatoce Emettina. Szkoda, że mi się nie udało”. – Rozzłoszczona machnęła ręką, by mówił dalej.

– Oczywiście udałem się na Swertclif – powiedział. – Ale żołnierze Króla pilnie strzegli kurhanów. Wydawało się, że Elias pragnie zabezpieczyć grób ojca. Dwie noce czekałem na odpowiedni moment, by wśliznąć się do środka, lecz na próżno. I wtedy wezwał mnie Pryrates. – Zamrugał na wspomnienie tamtej chwili. – Dowiedział się ze swoich studiów. Jego głos rozbrzmiewał w mojej głowie; nie wiesz, jakie to uczucie! Zmusił mnie, bym przyszedł do niego, niemal czołgając się ze strachu jak nieposłuszne dziecko...

– Cadrachu, za drzwiami czekają Nornowie – wtrącił Binabik. – Jak dotąd twoja opowieść niewiele nam pomogła.

Mnich spojrzał na niego chłodno.

– Nic nam nie pomoże. To właśnie próbuję wam powiedzieć, ale nie będę was zmuszał, żebyście mnie słuchali.

– Powiesz nam wszystko – oświadczyła stanowczo Miriamele. – Chodzi o nasze życie. Mów!

– Pryrates znowu mnie wezwał. Tak jak się spodziewałem, powiedział, że odpowiedź Jarnaugi nie miała najmniejszego znaczenia i że teraz już wie, iż Rimmersman mi nie ufa. „Już cię nie potrzebuję, Padreicu-ec-Crannhyr” – powiedział. „A jeśli powiem ci coś, co okaże się dla ciebie przydatne?” – spytałem wtedy. Nie, nie spytałem. Błagałem go. „Jeśli darujesz mi życie, będę twoim wiernym sługą. Wiem o rzeczach, które ci pomogą!” Roześmiał się, kiedy to usłyszał, i powiedział, że oszczędzi mnie, jeśli dam mu choć jedną pożyteczną informację. Tak więc powiedziałem mu, że Wielkie Miecze są dla niego ważne, że wszystkie zaginęły, ale ja wiem, gdzie jest jeden z nich. „Czy może chcesz mi powiedzieć, że Smutek znajduje się wśród Nornów w Burzowej Górze? – odparł szyderczo. – Sam o tym wiem”. Zaprzeczyłem. W rzeczywistości nie wiedziałem o tym, lecz domyślałem się, skąd się o tym dowiedział. „Chcesz mi powiedzieć, że

Cierń nie zatonął w morzu razem z Camarisem?” – mówił dalej. Szybko powiedziałem mu, co sam odkryłem: że Minneyar i Biały Gwóźdź były tym samym mieczem, że jeden z Wielkich Mieczy jest pochowany tak blisko miejsca, w którym się znajdujemy. W swojej gorliwości wyjawiłem mu nawet, że już sam próbowałem go dla niego zdobyć.

Miriamele patrzyła na niego groźnie.

– Cadrachu, i pomyśleć, że widziałam w tobie przyjaciela. Gdybyś choć przez chwilę pomyślał, jakie to może mieć dla nas znaczenie!

Mnich nie zwracał na nią uwagi, zdecydowany zakończyć swoją opowieść.

– A kiedy skończyłem mówić, on znowu się roześmiał. „Ach, to bardzo smutne, Padreicu – powiedział. – Czy to mają być wyniki twojego szpiegowania? Czy to ma uratować twoje życie? Wiedziałem o Białym Gwoździu, zanim po raz pierwszy wszedłeś do tej wieży. Gdybyś go zabrał, własnymi rękoma wyłupiłbym ci oczy i wyrwał język. Miecz będzie leżał na gnijącej piersi Johna, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila. Przyjdzie, kiedy wybije właściwa godzina. Przyjdą wszystkie miecze”.

Miriamele poczuła, że gubi się we własnych myślach. Przyjdzie? Pryrates przez cały czas wiedział? Chciał, żeby miecz tam został? Spojrzała bezradnie na Binabika, lecz troll wydawał się równie zdumiony.

– Elysio, Matko Miłosierna, Cadrachu, co ty mówisz?

– Pryrates wie wszystko. – Na jego twarzy pojawił się wyraz ponurego zadowolenia. – Wiedział, czym jest Biały Gwóźdź, gdzie się znajduje, lecz nie chciał go ruszać. Sądzę, że wie także o wszystkim, co planuje twój wuj i... nowi członkowie Ligi. Czeka zadowolony na kolejne wydarzenia.

– Jak to możliwe? Czy nie obawia się tej mocy, która może pokonać nawet jego pana? – spytała Miriamele. – Binabiku, co to wszystko znaczy?

Troll uniósł drżącą dłoń, prosząc o chwilę do namysłu.

– Tyle jest do przemyślenia. Może Pryrates knuje zdradę przeciwko Królowi Burz. Może myśli, że uda mu się przeciwstawić mocy Inelukiego moc mieczy? – Odwrócił się do Cadracha. – Czy powiedział, że „miecze przyjdą”? Dokładnie tak?

Mnich przytaknął mu.

– On wie. Chce, żeby przyniesiono tutaj Biały Gwóźdź i pozostałe miecze.

– Ale nie widzę w tym żadnego sensu – odparł Binabik. – Dlaczego nie miałby przynieść miecza Prestera Johna i pozostawić go w ukryciu, aż nadejdzie odpowiednia chwila?

Cadrach wzruszył ramionami.

– Kto wie? Pryrates chadza dziwnymi ścieżkami i poznał wiele tajemnic.

Kiedy zdumienie Miriamele minęło nieco, poczuła, że znowu powraca wściekłość, która zagłusza nawet jej strach.

– Jak możesz siedzieć taki zadowolony? Jeśli nie zdradziłeś mnie i moich bliskich, to chyba nie dlatego, że chciałeś się poprawić. Pewnie miałeś dalej szpiegować? Czy dlatego towarzyszyłeś mi w podróży z Naglimundu? Myślałam, że wykorzystywałeś mnie dla swoich potrzeb... – Na myśl o tym poczuła ogromną rozpacz. – Ale ty pracowałeś dla Pryratesa! – Odwróciła się, nie mogąc znieść dłużej widoku mnicha.

– Nie, pani! – Cadrach najwyraźniej poczuł się urażony. – Nie, on mnie nie uwolnił, a ja już więcej mu nie służyłem.

– Rzeczywiście zwariowałeś – rzuciła chłodno – jeśli myślisz, że ci uwierzę.

– Czy masz jeszcze coś do powiedzenia? – Ostrożny szacunek, jaki wcześniej Binabik okazywał mnichowi, skurczył się do rzeczowej stosowności. – Przecież wciąż pozostajemy w pułapce, w ogromnym

niebezpieczeństwie, chociaż nic nie możemy zrobić, chyba że Nornowie udowodnią nam, że potrafią sforsować drzwi karlaków.

– Niewiele już mam do dodania. Nie, Miriamele. Pryrates mnie nie uwolnił. Tak jak mówiłem, rzeczywiście byłem dla niego bezużyteczny. Tyle powiedziałem ci na łodzi: nie byłem nawet wart dalszych tortur. Ktoś uderzył mnie w głowę i zostałem wyrzucony jak śmieci za domem bogacza. Tylko że nie porzucono mnie na brzegu Kynslagh, tak jak ci mówiłem, ale w katakumbach, które znajdują się pod Wieżą Hjeldina. Tam właśnie obudziłem się w ciemności.

Zamilkł, jakby wspomnienie tamtej chwili było jeszcze straszniejsze od potworności, o których już im opowiedział. Miriamele nic nie odpowiedziała. Była wściekła i dziwnie pusta. Jeśli opowieść Cadracha była prawdziwa, to może rzeczywiście nie powinni się już łudzić. Jeśli Pryrates rzeczywiście posiadał aż taką moc, by zagrozić Królowi Burz, to nawet gdyby odnalazła ojca i przekonała go, żeby zakończył wojnę, czerwony duchowny i tak znalazłby sposób, by im przeszkodzić.

Nie było nadziei. Dziwnie brzmiała ta myśl. Bez względu na to, jak nikłe wydawały się dotąd ich szanse, Josua i jego towarzysze wciąż wierzyli, że uda im się odnaleźć miecze. Jeśli jednak i ta iskierka zgasła... Czuła się tak, jakby przekroczyła próg znajomych drzwi i stanęła niespodziewanie na krawędzi przepaści.

– Żyłem, chociaż byłem oszołomiony i poraniony. Znalazłem się w okropnym miejscu; żaden człowiek nie powinien być zmuszany do odwiedzania czarnych miejsc pod wieżą Pryratesa. A ucieczka oznaczała pójście do góry, przez wieżę, obok Pryratesa. Nie wierzyłem, że może mi się to udać. Liczyłem tylko na to, że uzna mnie za zmarłego. Tak więc wybrałem inną drogę. W dół.

Cadrach zamilkł na długą chwilę i otarł pot z bladej twarzy. W jaskini nie było bardzo ciepło.

– Kiedy byliśmy na bagnach Wranu – powiedział do Miriamele – nie mogłem się zmusić, żeby wejść do gniazda ghantów. Dlatego że tak bardzo przypominało... przypominało tunele pod Wieżą Hjeldina.

– Byłeś tutaj już wcześniej? – Patrzyła na niego z niechęcią. – Pod zamkiem?

– Tak, ale nie w miejscach, przez które wy szliście. – Znowu otarł czoło. – Odkupicielu, ratuj mnie, szkoda, że droga mojej ucieczki nie prowadziła przez obszerne komnaty, które widzieliście! Droga, którą uciekałem, była znacznie gorsza. – Próbował znaleźć odpowiednie słowa. – O wiele gorsza.

– Gorsza? Dlaczego?

– Nie. – Cadrach potrząsnął głową. – Nie powiem ci. Znajduje się tutaj wiele wejść i wyjść, lecz nie wszystkie są... normalne. Nie będę już o tym mówił. Gdybyś ujrzała choć fragment tego, co ja widziałem, dziękowałabyś mi za to, że nie powiedziałem ci wszystkiego. – Zadrżał. – Wydawało mi się, że spędziłem pod ziemią całe lata; widziałem i słyszałem rzeczy, które... – Zamilkł, potrząsając głową.

– Dobrze, więc nie mów nam. I tak ci nie wierzę. Jak mógłbyś uciec niezauważony? Sam mówiłeś, że Pryrates mógł cię odnaleźć, wezwać.

– Zostało mi wtedy, i teraz jeszcze, trochę strzępów Sztuki. Udało mi się wznieść wokół siebie... mgłę. Unosi się ona wokół mnie do dzisiaj. Dlatego nie zostaliście wezwani na *Sesuad'ra* tak jak Tiamak i pozostali. Nie mogli was znaleźć.

– Dlaczego więc ta mgła nie ochroniła cię przed Pryratesem wcześniej, kiedy nie mogłeś uciec i musiałeś szpiegować jak najgorszy zdrajca na świecie? – Miriamele czuła odrazę do samej siebie za to, że daje się

wciągnąć w tę dyskusję. Jeszcze bardziej złościł ją fakt, że zmarnowała swoje zaufanie i troskę, poświęcając je komuś, kto był zdolny do tak okropnych czynów. Broniła go przed światem i wyszła na głupią. On okazał się zdrajcą.

– Ponieważ on myśli, że ja nie żyję! – nieomal krzyknął Cadrach. – Gdyby tylko wiedział, że żyję, z pewnością by mnie odnalazł. Zdmuchnąłby moją tarczę, pozostawiając mnie nagim i bezbronnym. Na wszystkich bogów starych i nowych, Miriamele, jak myślisz, dlaczego tak bardzo chciałem uciec ze statku Aspitisa? Kiedy zrozumiałem, że jest on jednym z ludzi Pryratesa, przestraszyłem się, że powie swojemu panu o tym, że ja żyję. Dlaczego błagałem cię, żebyś go zabiła, kiedy spotkaliśmy się z nim nad jeziorami? – Mnich otarł pot z czoła. – Domyślam się tylko, że Pryrates nie rozpoznał imienia Cadrach, chociaż używałem go już wcześniej. Ale używałem wielu imion, i nawet czerwony demon nie mógł znać ich wszystkich.

– Tak więc zmierzałeś do wolności tunelami – podpowiedział Binabik. – *Kikkasut!* To miejsce rzeczywiście przypomina nasze podziemne miasto Mintahoq: wszystkie ważne rzeczy dzieją się we wnętrzu skały.

– Do wolności? – szydził Cadrach. – Jak ktoś, kto wie tyle co ja, może być wolny? Tak, rzeczywiście, wreszcie wydostałem się z najgłębszych korytarzy; musiałem być już zupełnie szalony. Udałem się na Północ, jak najdalej od Pryratesa i Hayholt, chociaż nie miałem pojęcia, dokąd pójść. Wylądowałem wreszcie w Naglimundzie; uważałem, że jako siedziba wrogów Eliasa będzie to dla mnie najbezpieczniejsze miejsce. Niebawem jednak wiadomo było, że i Naglimund zostanie zaatakowany i z pewnością pokonany, więc przyjąłem propozycję lady Vorzhevy, żeby towarzyszyć Miriamele w podróży na Południe.

– Powiedziałeś, że nie mogłeś odzyskać wolności z powodu swojej wiedzy – powiedziała powoli Miriamele. – Ale z nikim się nią nie podzieliłeś. To jest chyba twoje największe przestępstwo, Cadrachu. Ze strachu przed Pryratesem mogłeś dopuścić się wielu podłości, lecz kiedy pozbyłeś się go i nic nie powiedziałeś... gdy tymczasem my głowiliśmy się, walczyliśmy i umieraliśmy... – Pokręciła głową, starając się, by jej słowa dostatecznie wyraziły pogardę. – Tego ci nie mogę wybaczyć.

Spojrzał na nią odważnie.

– Teraz wreszcie mnie znasz, księżniczko Miriamele.

Zapadła długa cisza, przerywana tylko dźwięcznymi szeptami karlaków. Pierwszy odezwał się Binabik.

– Dosyć już zostało powiedziane. Muszę się zastanowić nad słowami Cadracha. Ale jedno jest pewne: Josua i pozostali szukają Białego Gwoździa, a mają już Cierń. Planują przynieść je tutaj, jeśli to będzie możliwe, lecz nie wiedzą, co ten człowiek ma do powiedzenia na temat Pryratesa. Jeśli dotąd nie mieliśmy specjalnego powodu, by próbować przetrwać, to z pewnością mamy go teraz. – Wykonał gest zaciśniętą pięścią. – Nasza pierwsza przeszkoda znajduje się jednak tuż za drzwiami. Jak więc mamy uciec?

– A może jeszcze posłuchamy zdradzieckiej opowieści brata Cadracha? – Miriamele wzięła głęboki oddech. – Przedtem mówił o garstce Nornów, a kiedy będzie tam cała armia?

Binabik spojrzał na Cadracha, lecz mnich schował twarz w dłoniach.

– Musimy spróbować ucieczki. Nawet gdyby tylko jedno z nas miało się uratować i przekazać wieści.

– A nawet gdyby i to się nie udało – powiedziała Miriamele – to i tak znajdą się Nornowie, którzy nie dożyją tej chwili. Zadowoli mnie nawet

takie zwycięstwo. – Zdała sobie sprawę, że rzeczywiście tak myśli, i poczuła, że jakaś jej część staje się zimna i obumiera.

53. Młot z bólu

KSIĄŻĘ JIRIKI, WRESZCIE SIĘ SPOTYKAMY. – Josua skłonił głowę, a potem wyciągnął lewą rękę; na jego nadgarstku jak cień widniała obręcz kajdanów.

Sitha wykonał także dziwny, płynny ukłon i uścisnął dłoń Josui. Isgrimnur patrzył zdumiony na tę dziwną scenę.

– Książę Josuo. – W blasku wschodzącego słońca białe włosy Jirikiego i śnieg przybrały lekko złocisty odcień. – Młody Seoman wiele mi o tobie opowiadał. Czy on jest tutaj?

Josua zmarszczył czoło.

– Niestety, nie. Mam ci wiele do powiedzenia, a sądzę, że i ty także. – Spojrzał w górę na masywne ściany Hayholt, złudnie przyjazne w blasku poranka. – Nie jestem pewien, który z nas powinien powiedzieć: Witaj w domu.

Sitha uśmiechnął się chłodno.

– To już nie jest nasz dom, książę Josuo.

– Nie wiem też, czy jest moim. Ale chodźmy, nie będziemy stać w śniegu. Czy przyjmiesz nasz poczęstunek?

Jiriki potrząsnął głową.

– Dziękuję za uprzejmość, ale jeszcze nie. – Spojrzał do tyłu na Sithów, którzy rozsypali się po zboczu i szybko rozbijali swoje namioty, które

wyrastały na śniegu niczym kolorowe kwiaty. – Moja matka Likimeya rozmawia z moją siostrą. Ja także chciałbym spędzić trochę czasu w jej towarzystwie. Proszę, bądź tak dobry i przyjdź do namiotu mojej matki, zanim słońce wzejdzie ponad korony drzew; przyprowadź tych, którzy twoim zdaniem są potrzebni, zaczniemy rozmowy. Jak powiedziałeś, jest wiele do omówienia.

Sitha wykonał gest przypominający salutowanie, skłonił się i odszedł przez śnieg.

– Ma śmiałość – mruknął Isgrimnur. – Żeby kazać ci przychodzić do siebie.

– To rzeczywiście był najpierw ich zamek. – Josua roześmiał się cicho. – Nawet oni nie kwapią się, by go odzyskać.

Isgrimnur chrząknął.

– Dopóki pomagają nam wypędzić tych bękartów, możemy chyba złożyć im wizytę. – Zmrużył oczy. – A kto tam znowu?

Pojedynczy jeździec wjechał na szczyt wzgórza widocznego poza obozem Sithów. Chociaż siedział skurczony w siodle, to mimo to wydawał się wyższy i potężniej zbudowany od śmiertelników.

– Bogu niech będą dzięki! – wyszeptał Isgrimnur, a potem zawołał głośno: – Isorn! Isorn! – Pomachał ręką. Jeździec podniósł głowę i ruszył szybciej w dół zbocza.

– Ojcze – przemówił, kiedy znalazł się w silnym uścisku księcia. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Ten dzielny hernystirski wierzchowiec – poklepał siwego konia – dorównał kroku sithijskim koniom prawie przez całą drogę z Naglimundu. Ależ oni szybko jeżdżą! W końcu zostaliśmy z tyłu.

– To nic, to nic – zarechotał Isgrimnur. – Szkoda tylko, że twoja matka została w Nabbanie. Ach, synu, jaką ulgę sprawia mi twój widok.

– Doprawdy – powiedział Josua. – Miły to widok. A co z Eolairem? Z Hernystirem? Jiriki niewiele zdążył powiedzieć.

Isorn skłonił się wolno.

– Opowiem wszystko, co wiem, Josuo. Czy macie coś do jedzenia? A może jest też coś do picia?

– Chodź. – Isgrimnur objął syna ramieniem. – Niech choć przez chwilę twój stary ojciec wesprze się na tobie. W Nabbanie przygniótł mnie koń, wiedziałeś o tym? Ale jeszcze nie po mnie, jak widzisz! Chodź, razem zjemy. Co za szczęśliwy ranek.

ZAPADŁ ZMROK I WZMÓGŁ SIĘ WIATR, który uderzał pazurami w ściany namiotu. Milczący Sithowie przygotowali swoje świecące kule, które teraz rozjarzyły się na dobre niczym małe słońca.

Książę Isgrimnur zaczynał czuć się nieswojo. Plecy nie dawały mu spokoju, a on sam siedział oparty na poduszkach – zastanawiał się, jak to możliwe, że sithijscy wojownicy wozili ze sobą poduszki – tak długo, że obawiał się, iż nie wstanie o własnych siłach. Nawet obecność siedzącego obok Isorna nie dodawała mu otuchy.

Pierwszą wiadomością, jaką otrzymał od Isorna, była ta, że Sithowie rozgromili Skalego i jego ludzi. Nieśmiertelni przywieźli do Hernysadharc głowę tana Kaldskryke w torbie. Isgrimnur wiedział, że powinien cieszyć się, iż człowiek, który zagarnął jego ziemie i przyniósł tyle złego do Rimmersgardu i Hernystiru, już nie żyje, lecz teraz czuł głównie swoją niemoc, a także żal i wstyd. Ktoś inny dokonał zemsty, którą zaprzysiągł w Naglimundzie. Tak więc jeśli odzyska Elvritshallę, będzie to zawdzięczał Sithom. A to mu się nie podobało. Książę, rozżalony, z trudem skupiał uwagę na rzeczach, które zupełnie pochłonęły Josuę i nieśmiertelnych.

– Ładnie brzmi ta cała mowa o Domach i Gwiazdach – rzucił zniecierpliwiony. – Ale co dokładnie mamy robić? – Złożył ramiona na szerokiej piersi. Ktoś musi przyśpieszyć bieg wypadków. Ci Sithowie przypominali armię złotookich Josui; najwyraźniej mogli dyskutować i rozmyślać do Dnia Sądu, tylko że rzeczywistość Hayholt sama nie zniknie. – Mamy machiny oblężnicze, jeśli wiecie, o czym mówię. Możemy wyważyć bramy albo podkopać mury, lecz Hayholt to najsilniejsza twierdza w całym Osten Ard, więc nie nastąpi to tak szybko, a tymczasem wasza Gwiazda Zdobywcy znajdzie się nad naszymi głowami.

Likimeya, która, jak sądził Isgrimnur, była królową Sithów, chociaż nikt nie używał wobec niej tego tytułu, obrzuciła go nieco wężowym spojrzeniem. Isgrimnur z wysiłkiem powstrzymywał się, by nie opuścić oczu.

„Już Aditu wydawała mi się dziwna, ale ta przyprawia mnie o dreszcze”.

– Masz rację, śmiertelniku. Jeśli wiedza nasza i członków Ligi Pergaminu jest prawdziwa, to mamy bardzo mało czasu. – Zwróciła się do Josui: – Potrzebowaliśmy dni, by zburzyć mury Naglimundu, lecz to nie powstrzymało Hikeda’ya przed zrobieniem tego, co chcieli zrobić, tak przynajmniej sądzimy. Nie możemy popełnić tego samego błędu tutaj.

Książę Josua opuścił głowę zamyślony.

– Ale co możemy zrobić? Jak zauważył Isgrimnur, nie przefruniemy murów.

– Istnieją inne drogi, które prowadzą do zamku nazywanego przez was Hayholt – powiedziała Likimeya.

Siedzący u jej boku wysoki, czarnowłosy Sitha skinął głową.

– Nie moglibyśmy wysłać tamtędy całej armii i nie chcemy tego, ale mogłaby się tam udać przynajmniej część z nas. Ineluki z pewnością

wszystkiego pilnuje; pewnie on albo jego śmiertelny sprzymierzeniec strzegą tych przejść. Jeśli jednak zwrócimy ich uwagę na zewnątrz, przed mury, to może uda nam się posłać do środka mały oddział.

– O jakich „innych drogach” mówisz? – spytał Josua.

– O tunelach – odezwał się niespodziewanie Camaris. – Drogi prowadzące do zamku i z zamku. John znał je. Jedna znajduje się na zboczu pod Morską Bramą. – Spojrzenie starca było nieco mętne, jakby lada moment znowu miał zacząć bredzić.

Likimeya przytaknęła mu. Gładkie kamyki nanizane na rzemyki i wplecione w jej włosy zagrzechotały.

– Tak, chociaż myślę, że możemy wybrać lepsze wejście od jaskiń w zboczu klifu. Nie zapominaj, książę Josuo, że Asu’a należał kiedyś do nas oraz że wielu spośród nas żyło już, kiedy był on jeszcze wielkim domem Zida’ya. Dobrze znamy jego ukryte ścieżki.

– Miecz. – Camaris pocierał dłonią po rękojeści Ciernia. – On chce wejść do środka. On... – Zamilkł nagle. Przez cały dzień pozostawał bardzo zamknięty w sobie, lecz Isgrimnur zauważył, że stary rycerz wydaje się bardziej otwarty wobec Sithów niż któregokolwiek ze śmiertelników zebranych w namiocie Likimeyi. Nawet Tiamak i Strangyeard, badacze dawnych czasów, siedzieli w milczeniu i bąkali tylko coś, kiedy musieli.

Wiatr na zewnątrz wzmógł się.

– To jeszcze jedna i pewnie najważniejsza tajemnica – powiedział Jiriki. – Twój brat ma jeden z Wielkich Mieczy, książę Josuo. Rycerz, sir Camaris, ma drugi. Gdzie jest trzeci?

Josua pokręcił głową.

– Mówiłem ci, zniknął z kurhanu mojego ojca.

– A jak się nimi posłużymy, kiedy już zdobędziemy je wszystkie? – dokończył pytanie Jiriki. – Wydaje się, że Camaris musi być jednym z tych,

których poślemy do zamku. Nie możemy ryzykować, że odnajdziemy pozostałe dwa miecze, gdy tymczasem trzeci pozostanie na zewnątrz. – Złożył razem dłonie. – Bardzo żałuję, że mnie i Eolairowi nie udało się odnaleźć w Mezutu'a Tinukeda'ya, których wy nazywacie karlakami. Oni wiedzą o mieczach więcej niż ktokolwiek, a poza tym oni wykuli Minneyar. Z pewnością mieliby nam wiele do powiedzenia.

– Posłać Camarisa? Przez jakieś podziemne jaskinie? – Josua najwyraźniej nie był przekonany do tego pomysłu, a nawet zdawał się rozczarowany. – Czeka nas być może największa bitwa, jaką oglądało Osten Ard, a już na pewno najważniejsza, a ty chcesz, żebyśmy oddali naszego największego rycerza? – Kiedy Josua spojrzał na Camarisa, Isgrimnur dostrzegł po raz kolejny pewne skrępowanie w jego spojrzeniu. Co też takiego powiedział mu Camaris?

– Chyba rozumiesz intencje mojego brata, książę Josuo? – Przez całe popołudnie Aditu prawie się nie odzywała. – Jeśli sprawdzą się wszelkie znaki, sny i czająca się w cieniu wiedza, to właśnie Wielkie Miecze udaremnią plan Inelukiego, a nie ludzie czy nawet śmiertelnicy walczący u bram zamku. Na tej mądrości muszą opierać się wasze plany.

– A zatem, ponieważ Cierń należy do Camarisa, tylko on może go zabrać do zamku? I to nie przez bramę czy ponad murami na czele armii, lecz jak złodziej?

– Cierń nie należy do mnie. – Widać było, że Camaris z trudem wymawia słowa. – Wydaje mi się, że jest odwrotnie. Miłościwy Aedonie, pozwól mi iść, Josuo. Jeśli będę dłużej czekał, to chyba oszaleję od tej pieśni.

Josua długo wpatrywał się w rycerza; wydawało się, że porozumiewają się bez słów.

– Może i jest sens w tym, co mówicie – odezwał się wreszcie książę. – Ale ciężko będzie pozbyć się Camarisa... – Zamilkł. – Stracić go przed bitwą. Ludzie czują się niepokonani, kiedy idą za nim.

– Może nie powinni się dowiedzieć, że go nie będzie – powiedziała Aditu.

Josua spojrzał na nią zdumiony.

– Co? Jak moglibyśmy ukryć coś takiego?

– Moja siostra ma rację – dodał Jiriki. – Jeśli zamierzamy posłać sir Camarisa do zamku twojego brata, nie będzie on sam, będą z nim Zida'ya, którzy dobrze znają to miejsce; a nie chcemy tego rozgłaszać, musimy udawać, że Camaris wciąż jest tutaj, nawet wtedy, kiedy zacznie się oblężenie.

– Oblężenie? Skoro cała nasza nadzieja w tej małej grupie, którą poślemy podziemnym przejściem, to jaki sens marnować życie pozostałych? – spytał gniewnie książę. – Czy chcesz powiedzieć, że mamy poświęcić ludzi w krwawym oblężeniu, o którym i tak wiemy, że zacznie się za późno, by przynieść nam sukces?

Likimeya pochyliła się do przodu.

– Musimy poświęcić zarówno ludzi, jak i Zida'ya. – Isgrimnur dostrzegł w spojrzeniu jej bursztynowych oczu pewien błysk, może żalu lub bólu. Nie chciało mu się wierzyć, by ktoś tak obcy i srogi czuł coś innego poza chłodną koniecznością. – Inaczej sami przyznamy się naszym wrogom, że w czym innym pokładamy nadzieję.

– Dlaczego? – Isgrimnur widział coraz większą rozpacz Josui. – Każdy rozsądny dowódca wie, że lepiej jest wziąć przeciwnika głodem, niż poświęcać życie swoich ludzi na murach.

– Pamiętaj, że obok was obozują Zida'ya. Ci, którzy patrzą teraz zza murów, zawarli przymierze z Inelukim. Niektórzy z nich to pewnie nasi

krewni Hikeda’ya. Oni wiedzą, że Dzieci Świtu dostrzegły na niebie czerwoną gwiazdę. Gwiazda Zdobywcy, jak ją nazywacie, ostrzega nas, że mamy zaledwie kilka dni, że bez względu na to, co planuje wasz śmiertelny czarnoksiężnik w imieniu Inelukiego, wkrótce się to wydarzy. Nikogo nie oszukamy, ignorując ten fakt. Musimy natychmiast rozpocząć oblężenie i walczyć tak, jakby nie było innej nadziei. Kto wie? Może rzeczywiście nie ma. Nie wszystkie opowieści kończą się szczęśliwie, książę Josuo. My, Urodzeni w Ogrodzie, wiemy to najlepiej.

Josua odwrócił się do Isgrimnura, jakby u niego szukał pomocy.

– A zatem wysyłamy w głąb ziemi naszego największego wojownika, nasze największe natchnienie. Oddajemy też życie naszych żołnierzy w oblężeniu, które z góry skazane jest na niepowodzenie. Książę Isgrimnurze, czy ja oszalałem? Czy tylko to nam pozostało?

Rimmersman wzruszył bezradnie ramionami. Nie mógł patrzeć na męki Josui.

– W tym, co mówią Sithowie, jest jakiś sens. Przykro mi, Josuo. Mnie też to boli.

Książę uniósł dłoń w geście rezygnacji.

– W takim razie będzie tak, jak mówicie. Odkąd mój brat zasiadł na tronie, wciąż staję w obliczu kolejnych horrorów. Jest chyba tak, jak mawiał kiedyś jeden z moich nauczycieli, że Bóg wykuwa nas młotem bólu na kowadle powinności. Nie potrafię powiedzieć, jak będziemy wyglądać, kiedy On skończy swoją pracę. – Usiadł, dając znak, by inni zabrali głos. – Chcę tylko, byście dobrze chronili Camarisa. On niesie tę jedyną rzecz, której nie mieliśmy w chwili upadku Naglimundu; tyle już straciliśmy od tamtej pory.

Isgrimnur spojrzał na starego rycerza. Camaris siedział zatopiony w myślach; jego usta poruszały się niemo, a oczy patrzyły w dal.

KRÓL CZAIŁ SIĘ W PRZEJŚCIU ponad wejściem do odlewni.

Żołnierze, i tak już przestraszeni, podskoczyli, kiedy ujrzeli wyłaniającą się z cienia postać w płaszczu. Jeden z nich wyciągnął nawet miecz, lecz Pryrates powstrzymał go krótkim warknięciem. Elias jakby nie zdawał sobie sprawy z następstw fatalnej pomyłki, która mogła mieć miejsce.

– Pryratesie – wycharczał Król – szukam i szukam. Gdzie jest mój podczaszy? W gardle mi zaschło...

– Pomogę ci, Wasza Wysokość. – Duchowny skierował spojrzenie swoich czarnych jak węgle oczu na żołnierzy, którzy natychmiast pospuszczali głowy. – Kapitan zaprowadzi was na mury. Tutaj już skończyliśmy. – Machnął dłonią, powiewając szerokim, czerwonym rękawem.

Kiedy odgłosy ich kroków umilkły prawie w korytarzu, Pryrates wziął Króla pod rękę, tak by ten mógł się na nim wesprzeć. Elias, zupełnie blady, nieustannie oblizywał wargi.

– Czy powiedziałeś, że widziałeś mojego podczaszego?

– Pomogę ci, Wasza Wysokość. Obawiam się, że już nie zobaczymy Hengfiska.

– Czy on... uciekł... do nich? – Elias poderwał głowę, jakby można było usłyszeć zdradę. – Oni są za murami. Przecież wiesz. Czuję ich. Mojego brata i te jasnookie istoty... – Zakrył usta dłonią. – Pryratesie, powiedziałeś, że one zostaną pokonane. Powiedziałeś, że zginie wszystko, co stawi mi opór.

– I tak będzie, mój Królu. – Duchowny poprowadził Eliasa labiryntem korytarzy w kierunku jego rezydencji. Minęli otwarte okno, przez które wlatywał śnieg, topniejący natychmiast na kamiennej podłodze; na zewnątrz, na tle burzowych chmur wznosiła się Wieża Zielonego Anioła. – Ty sam zetrzesz ich na pył, kiedy nadejdzie Złoty Wiek.

– I ból odejdzie – powiedział Elias. – Moja nienawiść do Josui nie byłaby tak wielka, gdyby nie sprowadził na mnie takiego bólu. Gdyby nie ukradł mi córki. Ale mimo wszystko on *jest* moim bratem... – Król zacisnął zęby, jakby otrzymał bolesny cios. – ...ponieważ płynie w nas ta sama krew...

– A krew to potężna moc – powiedział Pryrates bardziej do siebie niż do Eliasa. – Wiem, mój Królu. Ale oni zwrócili się przeciwko tobie. Dlatego znalazłem ci nowych przyjaciół: potężnych przyjaciół.

– Ale nie można zastąpić rodziny – powiedział Elias ze smutkiem. – Ach, Pryratesie, ja płonę. Gdzie jest podczaszy?

– Jeszcze trochę, Wasza Wysokość. Jeszcze trochę.

WIESZ, CZUJĘ JĄ – WYSAPAŁ ELIAS. Położył się na materacu przegniłym w tylu miejscach, że wokół niego wystawało pełno włosia. W dłoni trzymał pusty już kielich.

Pryrates zatrzymał się w drzwiach.

– Co czujesz, Wasza Wysokość?

– Gwiazdę, czerwoną gwiazdę. – Elias wskazał na pokryty pajęczynami sufit. – Wisi nad moją głową i patrzy na mnie jak oko. Przez cały czas słyszę jej śpiew.

– Śpiew?

– Pieśń, którą ona śpiewa albo którą śpiewa miecz dla niej. Nie potrafię tego rozróżnić. – Jego dłoń opadła i popełzła ku długiej rękojeści niczym biały pająk. – Słyszę tę pieśń w mojej głowie. „Już czas, już czas”, powtarzają wciąż głosy. – Z jego gardła wydobył się urywany, skrzeczący odgłos, który miał być śmiechem. – Czasem budzę się i stwierdzam, że chodzę po zamku, lecz nie wiem, jak się tam znalazłem. Ale wciąż słyszę

pieśń i czuję płonącą we mnie gwiazdę, w dzień i w nocy. Ma ognisty ogon, tak jak smok... – Zamilkł. – Wyjdę do nich.

– Co? – Pryrates powrócił do boku Króla.

– Wyjdę do nich, do Josui i pozostałych. Może nadszedł już czas, o którym mówi miecz. Czas, by pokazać im, że jestem inny, niż myślą. Że ich opór nie ma żadnego sensu. – Zakrył twarz dłońmi. – W nich... w nich płynie moja krew, Pryratesie.

– Wasza Wysokość, ja... – Duchowny zawahał się na moment. – Oni są twoimi wrogami, Eliasie. Pragną jedynie twojej krzywdy.

Śmiech Eliasa zabrzmiał bardziej jak szloch.

– A ty życzysz mi tylko dobrego, prawda? Czy dlatego każdej nocy od chwili, kiedy zabrałeś mnie na tamto wzgórze, cierpię z powodu snów, w których Bóg nie przyjdzie do grzeszników w Piekle? Czy dlatego moje ciało płonie tak, że z trudem powstrzymuję wycie?

Pryrates zmarszczył czoło.

– Cierpisz bardzo, mój Królu, ale znasz tego przyczynę. Zbliża się ta godzina. Nie pozwól, by twoje cierpienie poszło na marne.

Elias machnął dłonią.

– Odejdź. Nie chcę już z tobą rozmawiać. Zrobię to, co uznam za najlepsze. Ja jestem panem tego zamku, tej ziemi. – Jeszcze raz dał znak dłonią. – Odejdź. A niech cię. Jestem kłębkiem bólu.

Alchemik skłonił się.

– Odpocznij, Wasza Wysokość. Pójdę już.

Pryrates pozostawił Króla wpatrzonego w cienie na suficie.

Najpierw stał długo w korytarzu zamyślony. Potem wrócił do zamkniętych drzwi i przesunął dłonią kilkakrotnie wzdłuż drzwi, po

zawiasach i klamce, poruszając bezgłośnie ustami. Skończywszy, skinął głową i odszedł szybko korytarzem.

TIAMAK I STRANGYEARD SZLI OBOK SIEBIE w dół zbocza. Śnieg przestał już padać, ale jego gruba warstwa przykrywała ziemię; posuwali się powoli, chociaż odległość między obozem Sithów a ogniskami wojsk Josui była niewielka.

– Zaraz zamarznę na lód – powiedział Tiamak, szczękając zębami. – Jak wy wytrzymujecie taką pogodę?

Strangyeard także drżał.

– Rzeczywiście, zrobiło się niespotykanie zimno. Ale my chronimy się za grubymi ścianami, przy ogniu: to znaczy ci, którzy mają szczęście. – Potknął się i upadł na kolana w wysoką zaspę. Tiamak pomógł mu wstać. Śnieg oblepił dół sutanny duchownego. – Chyba zaraz zaklnę – powiedział Strangyeard i zaśmiał się ponuro; jego oddech zawisł nad nim jak chmura.

– Oprzyj się o mnie – zaproponował Tiamak. Patrzył z żalem na potargane włosy i smutną twarz duchownego. – Kiedyś musisz przyjechać do Wranu. Może nie jest tam tak bardzo przyjemnie, ale przynajmniej nigdy nie jest zimno.

– Teraz brz...brzmi to ba...bardzo zachęcająco.

Wiatr przegnał burzowe chmury, odsłaniając migocące na niebie gwiazdy. Tiamak spojrzał w górę.

– Wydają się tak blisko.

Strangyeard także podniósł wzrok, potknął się, lecz utrzymał równowagę. Gwiazda Zdobywcy wisiała niemal nad Hayholt – płonąca dziura w ciemności, z ogonem podobnym do krwistej plamy.

– Jest blisko – powiedział duchowny. – Czuję to. Plesinnen pisał, że takie gwiazdy wydalają złe fluidy. Aż dotąd nie byłem pewien, czy w to wierzę, lecz jeśli kiedykolwiek pojawiła się gwiazda, która rozsiewa zarazę, to właśnie ona. – Przycisnął ramiona do ciała. – Czasem zastanawiam się, Tiamaku, czy nie nadszedł już koniec.

Wrańczyk nie chciał o tym myśleć.

– Wszystkie gwiazdy wyglądają trochę dziwnie. Chyba rozpoznaję Wydrę i Piaskowego Żuka, lecz są one jakby wyciągnięte, zniekształcone.

Strangyeard zmrużył swoje jedyne oko.

– Mnie także wydają się dziwne. – Zadrżał i skierował wzrok na śnieg pod nogami. – Boję się, Tiamaku.

Poszli w kierunku obozu, potykając się w śniegu.

NAJGORSZE JEST TO – POWIEDZIAŁ TIAMAK, wyciągając ręce nad ogniem – że nie znaleźliśmy lepszych odpowiedzi na nasze pytania od chwili, kiedy Morgenes przysłał pierwszego wróbla do Jarnaugi. Wciąż zagadką pozostają dla nas zamiary Króla Burz, przez co dalej nie wiemy, jak go powstrzymać. – Pomimo otworu w dachu namiotu coraz bardziej wypełniał go dym, lecz Tiamak wydawał się nie zwracać na to uwagi; w rzeczywistości przypominało mu to trochę jego dom.

– Nie jest zupełnie tak, jak mówisz. – Strangyeard zakaszlał i machnął dłonią. – Dowiedzieliśmy się kilku rzeczy. Chociażby tego, że Minneyar jest Białym Gwoździem.

– Ale to powiedział nam tamten Hernystirczyk – odparł Tiamak. – Pewnie jesteś niezadowolony, Strangyeardzie. Z tego, co słyszałem, bardzo im pomogłeś w odnalezieniu Ciernia. Za to ja nie przydałem się na wiele jako członek Ligi Pergaminu.

– Oceniasz siebie zbyt surowo – powiedział archiwista. – Przecież to ty przyniosłeś stronicę księgi Nissesa, która pomogła nam porozumieć się z Camarisem.

– Strangyeardzie, czy spojrzałeś mu kiedyś w oczy? Czy istniało dla niego cokolwiek poza przekleństwem? A teraz wydaje się, że znowu traci rozum. Powinniśmy byli zostawić go w spokoju.

Duchowny wstał.

– Wybacz, ale ten dym... – Odsłonił zasłonę wejścia i pomachał nią energicznie. Podmuch zimnego powietrza wepchnął z powrotem do środka obłok dymu; obaj zadrżeli. – Przepraszam.

Tiamak dał mu znak, by usiadł.

– Teraz jest lepiej. Oczy już tak nie pieką. – Westchnął. – Czy zauważyłeś, jak zaniepokoili się Sithowie, kiedy wspomniano o Piątym Domu? Myślę, że wiedzą coś na ten temat, choć twierdzili co innego. Z pewnością nie ucieszyła ich ta wzmianka. – Wrańczyk wzruszył chudymi ramionami; na przykładzie Aditu nauczył się, że tajemnicą pozostawało to, o czym Sithowie nie chcieli mówić. Pozostawali uprzejmi, ale potrafili uparcie unikać odpowiedzi. – Teraz to już chyba nie ma znaczenia. Jutro zaczyna się oblężenie, a Camaris i pozostali spróbują dostać się do środka. I stanie się to, co zdecydują Ci, Którzy Patrzą i Rządzą.

Strangyeard wpatrywał się w Tiamaka; jego zdrowe oko było czerwone i jakby zamglone.

– Twoi bogowie nie przynoszą ci chyba zbyt wielkiej pociechy, Tiamaku.

– Ale są moimi bogami – odparł Wrańczyk. – Wątpię, by twój bardziej mnie pocieszył. – Kiedy podniósł wzrok, ujrzał bolesny skurcz na twarzy archiwisty. – Wybacz, Strangyeardzie, nie chciałem cię urazić. Jestem po prostu zły... i boję się, podobnie jak ty.

„Proszę, nie pozwólcie mi utracić przyjaciół. Wtedy już nic mi nie pozostanie!”

– Nic nie szkodzi – powiedział archiwista i westchnął. – Ja mam podobne odczucia. Czuję, że zbliża się coś ważnego, coś prostego, jak powiedziałeś. – Spojrzał na swoje dłonie. – Też mnie to denerwuje. Istnieje jakiś błąd, który popełniliśmy albo który popełnimy. Tak jakbym wertował dobrze mi znaną książkę i nie mógł znaleźć strony, którą czytałem wielokrotnie. – Znowu westchnął. – Nic dziwnego, że obaj jesteśmy smutni, przyjacielu.

Słowo „przyjacielu” dodało Tiamakowi trochę otuchy, lecz po chwili smutek powrócił.

– Martwi mnie coś jeszcze – powiedział do archiwisty.

– Co takiego? – Strangyeard pochylił się i jeszcze raz na chwilę odsłonił wejście do namiotu.

– Zdałem sobie sprawę, że muszę pójść z Camarisem i pozostałymi.

– Co? Błogosławiona Elysio, Tiamaku, o czym ty mówisz? Nie jesteś żołnierzem.

– Właśnie. Ale Camaris oraz Sithowie nie czytali książki Morgenesa, nie studiowali archiwów Naglimundu i nie zgłębiali wiedzy razem z Jarnaugą, Dinivanem i *valadą* Geloë. Musi z nimi pójść ktoś, kto to robił. Co się stanie, jeśli odnajdą miecze i nie będą wiedzieli, jak ich użyć? Nie będziemy mieli drugiej szansy.

– Och! Tak, no cóż... W takim razie to ja powinienem pójść, gdyż najwięcej czasu spędziłem nad studiowaniem tego, co nas interesuje.

– Zgadzam się, Strangyeardzie, mój dobry przyjacielu z suchego lądu, z nas wszystkich ty wiesz najwięcej o mieczach. Masz jednak tylko jedno oko, a i ono nie widzi najlepiej. A poza tym jesteś ode mnie starszy i nie przywykłeś do wspinania się i przeciskania przez wąskie szczeliny. Gdyby

był z nami Binabik z Yiqanuc, jego bym wysłał i życzył mu szczęścia, gdyż on zna się na takich rzeczach najlepiej, a i w innych dobrze sobie radzi. – Tiamak pokiwał smutno głową. – Ale nie ma Binabika, nie ma Geloë, nie żyją też dawni członkowie Ligi. Tak więc spada to na mnie. Wiele się od ciebie nauczyłem w krótkim czasie, Strangyeardzie. – Jeszcze raz westchnął głęboko. – Wciąż dręczą mnie sny o gnieździe ghantów. Wciąż widzę obrazy, które powstały wtedy w mojej głowie, słyszę mój własny głos cmokający w ciemności, ale obawiam się, że to może być jeszcze gorsze.

Zapadła długa cisza, aż wreszcie duchowny wstał i zaczął szukać czegoś wśród swoich rzeczy. Na koniec wyjął skórzany bukłak.

– Proszę. To jest silny napój zrobiony z jagód. Jarnauga przywiózł go do Naglimundu. Powiedział, że chroni przed zimnem. – Zaśmiał się nerwowo. – Teraz przecież jest bardzo zimno. Spróbuj. – Podał Tiamakowi bukłak.

Napój był słodkawy i bardzo palił. Tiamak przełknął pierwszy łyk i pociągnął następny, po czym oddał bukłak Strangyeardowi.

– Dobre, chociaż dziwnie smakuje. Przywykłem do kwaśnego piwa paprociowego. Spróbuj.

– Och, myślę, że dla mnie jest za mocny – mruknął duchowny. – Chciałem tylko...

– Odrobinka rozgrzeje cię tylko i pomoże też pozbyć się myśli, które cię trapią.

Strangyeard wahał się jeszcze przez chwilę, a potem przyłożył bukłak do ust. Napił się odrobinę i poruszył ustami, po czym pociągnął kolejny łyk. Tiamak z zadowoleniem patrzył, że archiwista się nie krztusi.

– Pali... – powiedział.

– Tak, właśnie. – Wrańczyk oparł się o jedną z toreb duchownego. – Napij się jeszcze i podaj mi. Będę potrzebował jeszcze kilku łyków, zanim

zdobędę się na odwagę, by powiedzieć Josui, co postanowiłem.

W BUKŁAKU PRAWIE NIC już nie zostało. Tiamak słyszał wcześniej, że zmieniają się warty, co oznaczało, że zbliżała się północ.

– Powinienem już iść – powiedział. Słuchał swoich własnych słów, które przygotował, zadowolony z ich brzmienia. – Powinienem już iść, gdyż muszę porozmawiać z księciem Josuą o tym, co mam zrobić.

– O tym, co zrobisz, tak. – Strangyeard trzymał bukłak za rzemień i patrzył, jak się kołysze. – Dobrze.

– Tak więc za chwilę wstanę – zauważył Tiamak.

– Szkoda, że nie ma tutaj Geloë.

– Geloë? Tutaj? Popijająca trunek z Rimmersgardu?

– Nie. To znaczy... – Strangyeard znowu wyciągnął ramię i zakołysał bukłakiem. – Rozmawiałaby z nami. Była mądra. Trochę groźna, prawda? Te jej oczy... – Zmarszczył czoło, przypominając sobie niepokojące spojrzenie Geloë. – Ale zawsze dodawała odwagi.

– Tak. Brakuje nam jej. – Tiamak podniósł się niepewnie. – Okropne.

– Dlaczego te... istoty to zrobiły? – zastanawiał się duchowny.

– Dlaczego zabiły Geloë?

– Nie, Camarisa. – Strangyeard położył ostrożnie bukłak na kocu. – Dlaczego zabiły Camarisa? Nie. – Uśmiechnął się zawstydzony. – Chciałem powiedzieć, dlaczego próbowały zabić Camarisa? To nie ma sensu.

– Chciały odebrać miecz. Cierń.

– Tak – powiedział Strangyeard. – Tak. Mo...żliwe.

Tiamak wyszedł, chwiejąc się nieco, na zewnątrz. Poczuł uderzenie zimnego powietrza. Spojrzał na duchownego, który wyszedł za nim.

– Dokąd idziesz?

– Z tobą – oświadczył rzeczowo Strangyeard. – Powiedzieć Josui, że idę z tobą. Do tuneli.

– Nie, nie idziesz – odparł Tiamak stanowczo. – To nie jest dobry pomysł. Już ci to mówiłem.

– W każdym razie pójdę z tobą. Porozmawiam z nim. – Duchowny zaczął szczękać zębami. – Nie możesz sam chodzić w takie zimno. – Zrobił kilka chwiejnych kroków, po czym zatrzymał się i spojrzał w górę. – Spójrz na tę czerwoną gwiazdę. Szaleństwo. Wszystko przez nią. Gwiazdy powinny dać nam spokój. – Podniósł pięść. – Nie boimy się! – zawołał. – Nie boimy się!

– Za dużo wypiłeś – powiedział Tiamak, chwytając archiwistę pod ramię.

Strangyeard pokiwał głową.

– Możliwe.

JOSUA PATRZYŁ, JAK ARCHIWISTA I WRAŃCZYK wychodzą z jego namiotu w ciemną noc.

– Nigdy bym nie uwierzył – powiedział, odwracając się do Isgrimnura.

– Pijany duchowny? – Książę ziewnął, choć czuł mocny ucisk w żołądku. – Nie ma w tym nic dziwnego. – Czuł też tępy ucisk w czole. Minęła już północ, a kolejny dzień zapowiadał się okropnie. Chciało mu się bardzo spać.

– Może i nie, ale pijany Strangyeard? – Josua pokręcił wolno głową. – Myślę, że Tiamak podjął słuszną decyzję, a z tego co mówisz, przydatny z niego kompan.

– Niezmordowany jak ogar – powiedział Isgrimnur. – A także dzielny i doskonale włada naszym językiem, wciąż nie mogę się nadziwić. Nie

sądziłem, że Wrańczycy są tak wykształceni. Camaris mógłby trafić o wiele gorzej, nawet jeśli Tiamak kuleje. Ugryzł go krokodyl, wiedziałeś o tym?

Josua myślał już o czymś innym.

– A więc to już dwóch spośród śmiertelników. – Potarł skronie. – Nikt więcej nie przychodzi mi do głowy. Wydaje mi się, że od wschodu słońca upłynęły trzy dni. Jutro zaczniemy oblężenie i jutro wieczorem trzeba będzie zdecydować, kto pójdzie. – Wstał i popatrzył nieomal z czułością na Camarisa pogrążonego w niespokojnym śnie w drugim końcu namiotu. Giermek Jeremias, który wydawał się znajdować upodobanie w osobach nie stroniących od kłopotów, leżał zwinięty na kocach u stóp rycerza.

– Trafisz? – Josua spytał księcia. – Weź latarnię.

– Znajdę drogę. Na pewno Isorn, Sludig i pozostali siedzą jeszcze przy ognisku. – Znowu ziewnął. – Czy nie było kiedyś tak, że mogliśmy siedzieć przez całą noc, popijając, rano walczyliśmy, a potem znowu wracaliśmy do picia?

– Może ty tak, wuju Isgrimnurze – powiedział Josua, uśmiechając się. – Ja nigdy. Niech Bóg da ci dobry odpoczynek.

Isgrimnur chrząknął, wziął lampę i wyszedł; Josua pozostał na środku namiotu, wpatrzony w śpiącego Camarisa.

Chmury na niebie rozeszły się. Milczące mury Hayholt odbijały słaby blask gwiazd. Czerwona Gwiazda Zdobywcy wydawała się wisieć dokładnie nad Wieżą Zielonego Anioła niczym płomień nad świecą.

„Odejdź, przeklęta” – pomyślał, choć wiedział, że na nic jego groźba.

Drżąc, ruszył wolno przez śnieg w kierunku swojego namiotu.

JEREMIAS! CHŁOPCZE! OBUDŹ SIĘ!

Młody giermek usiadł, pocierając oczy.

– Co?

Josua stał nad nim na wpół ubrany.

– Nie ma go. Nie ma go od dawna. – Książę chwycił swój pas i pochylił się, by podnieść płaszcz z podłogi. – Włóż buty i przyjdź mi pomóc.

– Co? Kogo nie ma, książę Josuo?

– Camarisa, a niech to, Camarisa! Pomóż mi. Nie, obudź Isgrimnura i sprowadź ludzi do pomocy. Niech przyniosą pochodnie.

Książę wyciągnął żagiew z ogniska i wyszedł na zewnątrz. Spojrzał na śnieg, starając się wywnioskować coś z plątaniny śladów. Wreszcie wybrał te, które prowadziły w dół, w kierunku Kynslagh. Po kilku chwilach znalazł się już poza kręgiem światła nielicznych ognisk. Nie było widać księżyca, lecz Gwiazda Zdobywcy wciąż płonęła jak latarnia.

Ślady najpierw kluczyły, lecz niebawem jasne było, że zmierzały w kierunku klifu na wschód od tamy Hayholt. Josua podniósł wzrok i ujrzał jasną postać poruszającą się na brzegu, wyraźnie widoczną na tle ciemnych wód Kynslagh.

– Camarisie! – zawołał. Postać nie zatrzymała się, lecz wciąż szła chwiejnie wzdłuż brzegu niczym poruszana sznurkami lalka. Książę zaczął biec, zapadając się w głębokim śniegu; znalazłszy się na brzegu, zwolnił. – Camarisie – powiedział: jego głos brzmiał nienaturalnie spokojnie. – Dokąd idziesz?

Starzec odwrócił się do niego. Był tylko w samej koszuli, która powiewała na wietrze. Nawet w słabym blasku księżyca widać było w jego postawie coś nienaturalnego.

– To ja, Josua. – Książę uniósł ramiona, jakby chciał objąć starca. – Wróć ze mną. Usiądziemy przy ogniu i porozmawiamy.

Camaris patrzył, jakby usłyszał jakieś zwierzęce odgłosy, a potem zaczął schodzić w dół po skałach. Josua ruszył przed siebie.

– Zatrzymaj się! Camarisie, dokąd idziesz? – Minął krawędź i zszedł niżej, starając się zachować równowagę na błotnistym zboczu. – Wróć ze mną.

Rycerz odwrócił się i wyciągnął z pochwy Cierń. Trzymał go ze swobodną wprawą, chociaż wydawał się tak nieobecny. U jego boku kołysał się róg Cellian.

– Już czas – szepnął. Odgłosy fal niemal zagłuszały jego słowa.

– Nie możesz tego zrobić. – Josua wyciągnął ramię. – Nie jesteśmy jeszcze gotowi. Musisz poczekać na innych. – Zrobił jeszcze kilka kroków w dół zbocza. – Wracaj.

Nagle Camaris zamachnął się mieczem; prawie niewidoczny przeleciał ze świstem tuż przy piersi Josui.

– Na Krew Aedona, Camarisie, nie poznajesz mnie? – Josua cofnął się o krok. Starzec ponownie uniósł miecz.

– Już czas! – powiedział i zamachnął się.

Josua rzucił się do tyłu. Pośliznął się. Przez chwilę próbował jeszcze utrzymać równowagę, lecz osunął się w dół zbocza, spadając przez wysoką trawę, błoto i kamienie, aż wreszcie zatrzymał się w zaspie brudnego śniegu.

– Książę Josuo? – Na krawędzi wzniesienia pojawiła się głowa. – Czy jesteś tam?

Josua wstał z trudem. Camaris zdążył już zejść na plażę. Teraz niczym duch szedł wzdłuż ściany klifu.

– Jestem tutaj! – zawołał do Jeremiasa. – A niech to, gdzie jest książę?

– Już idzie, chociaż jeszcze go nie widzę – odparł młodzieniec. – Przybiegłem, gdy tylko go zawiadomiłem. Czy mam zejść i pomóc ci? Czy nic ci się nie stało?

Josua odwrócił się i zobaczył, że Camaris zatrzymał się przed jednym z ciemnych otworów w ścianie klifu. Chwilę później zniknął w dziurze.

– Nie! – zawołał Josua i krzyknął do Jeremiasa: – Powiedz Isgrimnurowi, żeby się pospieszył! Powiedz mu, że Camaris wszedł do jednej z jaskiń. Zaznaczę, do której! Zgubimy go, jeśli będziemy jeszcze czekać. Spróbuję go powstrzymać.

– Ty... ty... – Giermek wydawał się zupełnie zdezorientowany. – Chcesz za nim pójść?

– A niech to, nie mogę pozwolić mu zejść tam samemu. On jest szalony. Jeden Aedon wie, co może się stać: spadnie, zgubi się... Spróbuję przyprowadzić go z powrotem, nawet gdybym miał z nim walczyć i nieść na plecach. Powiedz Isgrimnurowi, żeby się pospieszył, i niech ludzie zabiorą pochodnie! Biegnij już, chłopcze!

Jeremias zawahał się jeszcze na moment, a potem zniknął za krawędzią wzniesienia. Josua podpełzł do skalistego występu, na którym leżała jego skwierczą pochodnia, i zaczął schodzić ostrożnie w kierunku plaży. Szybko dotarł do miejsca, w którym zniknął Camaris. Zauważył, że wejście do jaskini różni się nieco od pozostałych. Zebrał kilka kamieni i ułożył w mały stos, po czym podniósł wysoko pochodnię i wszedł do środka.

ISGRIMNUR WPATRYWAŁ SIĘ w żołnierzy.

– Jak to nie ma?

Żołnierz rzucił mu przepraszające i nieco przestraszone spojrzenie.

– No tak, książę Igrimnurze. Dziura rozdziela się na kilka korytarzy. Myśleliśmy, że może znajdziemy na ścianach jakieś znaki nakreślone pochodnią, ale niczego takiego nie było. Przeszukaliśmy też inne korytarze. Ale tam jest ich cały labirynt.

– Czy wołaliście?

– Wołaliśmy głośno księcia. Nikt nie odpowiadał.

Isgrimnur spojrzał na ciemny otwór jaskini, a potem na Sludiga.

– Niech Zbawca ma nas w opiece – jęknął. – Obaj zniknęli. Musimy posłać za nimi Sithów. – Odwrócił się do żołnierzy. – Wrócę przed wschodem słońca. Do tego czasu szukajcie jeszcze.

– Tak, panie.

Isgrimnur stał jeszcze chwilę niezdecydowany, lecz potem ruszył wzdłuż plaży.

– Ach, Josuo – powiedział cicho. – Byłeś głupcem. I ja też. Wszyscy byliśmy głupcami.

54. Porzucone ścieżki

BINABIK DOTKNĄŁ JEJ RAMIENIA.

– Miriamele, o czym myślisz?

– Zastanawiam się nad tym, co moglibyśmy zrobić. – W głowie jej huczało. Wydawało jej się, że ginąca w mroku jaskinia wali się na nią. – Musimy się jakoś wydostać. Musimy. Nie chcę zostać do końca w tej pułapce. – Wstrzymała oddech i spojrzała na Cadracha skulonego pod ścianą po drugiej stronie jaskini. – Binabiku, jak on mógł dopuścić się takich rzeczy? Jak mógł nas zdradzić w taki sposób?

– Wtedy jeszcze cię nie znał – zauważył troll. – Nie myślał, że ciebie zdradza.

– Ale później nic nam nie powiedział? Zupełnie nic! Przez cały czas, kiedy byliśmy razem.

Binabik opuścił głowę.

– To już się stało. Teraz musimy zastanowić się nad innymi rzeczami. – Wskazał na karlaki, które siedziały w kole, śpiewając cicho. – Uważają, że niedługo przyjdą Nornowie. Pieczęć już się kruszy. Drzwi nie wytrzymają długo.

– A one będą tak siedzieć i czekać – powiedziała Miriamele rozgoryczona. – Nie rozumiem ich, tak samo jak nie rozumiem Cadracha. – Wstała i minęła trolla. – Yis-fidri! Dlaczego siedzicie bezczynnie, kiedy

Nornowie są już pod drzwiami? Czy nie rozumiecie, co się z nami stanie? – Zdawała sobie sprawę, że mówi coraz głośniej, lecz nic ją to nie obchodziło.

Karlaki patrzyły na nią zdumione z otwartymi ustami. Miriamele pomyślała, że przypominają pisklęta w gnieździe.

– My... my czekamy... – zaczął Yis-fidri.

– Czekacie! No właśnie, czekacie! – Drżała z gniewu. Czekali, aż przyjdą po nich te trupio blade potwory, także po nią i po trolla. – W takim razie otwórzmy drzwi. Po co to odkładać? Razem z Binabikiem będziemy walczyć i pewnie zginiemy, zginiemy dlatego, że przyprowadziliście nas do tej pułapki wbrew naszej woli, a wy umrzecie na siedząco. Nie ma sensu czekać dłużej.

Yis-fidri wytrzeszczył oczy.

– Ale... może oni odejdą...

– Sam w to nie wierzysz! Chodź, otwórz drzwi! – Czuła, że jej strach podnosi się coraz wyżej jak morska fala. Schyliła się i chwyciwszy karlaka za nadgarstek, pociągnęła. Pozostał niewzruszony jak kamień. – Wstawaj! – zawołała i pociągnęła jeszcze raz.

Przestraszone karlaki zaczęły coś szeptać między sobą. Yis-fidri otworzył szeroko oczy osłupiały; jednym silnym szarpnięciem wyswobodził rękę. Miriamele upadła na podłogę.

– Miriamele! – Binabik podbiegł do niej szybko. – Nic ci się nie stało?

Odtrąciła dłoń trolla i usiadła.

– No, proszę! – powiedziała z triumfem. – Nie mówiłeś prawdy, Yis-fidri.

Karlak patrzył na nią, jakby zwariowała. Trzymał dłonie przed sobą w obronnym geście.

– Nie mówiłeś – powiedziała, wstając. – Odpychasz mnie, żebym nie zmusiła cię do zrobienia czegoś wbrew twojej woli, dlaczego więc nie odepchniesz Nornów? Czy chcesz umrzeć? Gdyż Nornowie z pewnością cię zabiją, zabiją mnie i wszystkich. A może znowu zrobią z was niewolników? Czy na to liczysz? Dlaczego stawiasz opór mnie, a nie bronisz się przed nimi?

Yis-fidri odwrócił się na moment do swojej żony; patrzyła na niego w milczeniu.

– Ale my nic nie możemy zrobić. – Karlak wydawał się błagać o zrozumienie Miriamele.

– Zawsze coś można zrobić – warknęła. – Może to niczego nie zmieni, ale przynajmniej spróbujcie. Jesteś silny, Yis-fidri; twoje karlaki są silne i mogą wiele zdziałać. Widziałam, jak twoja żona nadaje kształt kamieniom. Może dotąd zawsze uciekaliście, ale teraz nie ma się już gdzie schować. A niech cię, stań obok nas!

Yis-hadra powiedziała coś w języku karlaków, co spotkało się z natychmiastową odpowiedzią jej towarzyszy. Wtrącił się Yis-fidri i wywiązała się długa, zażarta dyskusja; ich głosy przypominały strumień płynący po kamieniach.

Wreszcie wstała Yis-hadra.

– Ja stanę z wami – oświadczyła. – Masz rację. Nie ma już dokąd uciekać, a my jesteśmy nieomal ostatnimi z naszego ludu. Jeśli umrzemy, nie będzie komu pielęgnować kamieni, nikt nie znajdzie wspaniałości w głębi ziemi. To byłby wstyd. – Odwróciła się do męża i powiedziała coś do niego szybko. Yis-fidri przymknął oczy.

– Zrobię to, co zrobi moja żona – powiedział z wyraźną niechęcią. – Nie mówimy jednak w imieniu pozostałych Tinukeda’ya.

– W takim razie porozmawiajcie z nimi – ponagliła go Miriamele. – Mamy mało czasu!

Yis-fidri skinął głową. Pozostałe karlaki podniosły głowy, ukazując przerażone twarze.

Miriamele przykucnęła w ciemności z bijącym mocno sercem. Nic nie widziała, lecz karlakom wystarczało światło ich kryształowych pałeczek; Miriamele słyszała ich pewne kroki, jakby poruszały się w dobrze oświetlonej komnacie.

Wyciągnęła ramię i dotknęła małego, ale dodającego jej odwagi ramienia Binabika.

– Boję się – szepnęła.

– A kto się nie boi? – Poczuła jego dłoń na swojej.

Miriamele chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz w tym momencie wyczuła za sobą drżenie kamienia. Początkowo myślała, że znowu powrócił ten dziwny ruch, który czuła już wcześniej, a czego tak bardzo bały się karlaki, lecz zaraz w miejscu, gdzie przedtem znajdowały się drzwi, rozlało się niebieskawe światło. Nie widziała jeszcze podobnego blasku, gdyż nie oświetlał on niczego innego; był to tylko pulsujący pasek błękitu zawieszony w ciemności.

– Idą – szepnęła. Jej serce biło coraz szybciej. Wszystkie odważne słowa wydały jej się teraz głupie. Słyszała świszczący oddech Cadracha stojącego po drugiej stronie Binabika. Spodziewała się, że mnich krzyknie, ostrzeże Nornów. Nie wierzyła, kiedy powiedział, że nie pozostało mu nic ze Sztuki, co powstrzymałoby Nornów, że nie ma nawet tyle sił, by użyć tego, co jeszcze potrafi.

Błękitna linia wydłużyła się. Przez jaskinię przetoczył się powiew ciepłego wiatru, namacalny jak policzek wymierzony jej napiętym zmysłom. Któryś już raz z rzędu od chwili, kiedy w jaskini zapadła

ciemność, Miriamele szarpnęła za sznurki swojej torby i starła pot z rękojeści noża. W drugiej dłoni ściskała Białą Strzałę Simona; gotowa była zaatakować Nornów oburącz. Zadrżała. Nornowie. Białe Lisy. Byli tuż-tuż...

Yis-fidri powiedział coś do pozostałych karlaków cicho, ale stanowczo. Z drugiego końca jaskini odpowiedziała tym samym tonem Yis-hadra. Karlaki pozostały na miejscach. W jaskini zapadła grobowa cisza.

Błękitna linia rozrastała się łukiem, aż jej końce się spotkały. Przez chwilę ciepło wzmogło się, a potem światło przygasło. Coś zazgrzytało i zaraz upadło ciężko. Powiało zimnym powietrzem, lecz nawet jeśli drzwi zostały otworzone, to nie wpadało przez nie żadne światło.

„Przeklęte potwory! – pomyślała z rozpaczą. – Są za sprytni, żeby wejść z pochodniami”. – Mocniej ścisnęła rękojeść sztyletu; ręce tak jej się trzęsły, że bała się, iż może go upuścić.

Nagle rozległo się głuche dudnienie, a wraz z nim przeraźliwy okrzyk, który nie pochodził z ludzkiego gardła. Ogromne kamienie, które karlaki obluzowały nad wejściem, runęły w dół. Rozległy się jęki i okrzyki złości Nornów. Potem dał się jeszcze słyszeć jeden huk i zgrzyt; teraz krzyczało już wiele głosów, lecz żaden w ludzkim języku. Po chwili Miriamele poczuła pieczenie w oczach. Wzięła głęboki oddech i poczuła jego żar w płucach.

– Wstawaj! – zawołał Binabik. – To dym, trucizna!

Miriamele podniosła się, zagubiona w ciemności, z uczuciem, że jej wnętrzności płoną. Czyjaś silna dłoń chwyciła ją i poprowadziła przez ciemność. W jaskini rozlegały się dziwne okrzyki i odgłosy uderzających kamieni.

W następnej chwili jaskinię ogarnęło ślepe szaleństwo. Poczuła, że ktoś ją ciągnie w kierunku chłodnego powietrza; po kilku chwilach oddychała

już swobodniej, choć wciąż nic nie widziała. Dłoń puściła ją, a ona zaczepiła o coś stopą i runęła na ziemię.

– Binabiku! – krzyknęła. Próbowała wstać, lecz coś ją trzymało. – Gdzie jesteś?!

Znowu coś ją chwyciło, lecz tym razem uniosło do góry i poniosło przez rozbrzmiewającą okrzykami ciemność. Poczuła muśnięcie czyjegoś uderzenia. To, co ją niosło, zatrzymało się na chwilę i postawiło na ziemi; rozległy się dziwne dźwięki, chrząkania i sapanie, a zaraz potem znowu została podniesiona w górę.

Wreszcie znowu znalazła się na twardym kamieniu. Wciąż panowała nieprzenikniona ciemność.

– Binabiku?! – zawołała.

Gdzieś niedaleko rozbłysła iskra, a potem płomień. Przez chwilę widziała trolla pod ścianą, z dłonią pełną ognia. Następnie Binabik rzucił to, co trzymał w dłoni, tak że rozsypało się w snop iskier. Wszędzie dookoła pojawiły się małe płomienie. Teraz dopiero ujrzała zamarłe w bezruchu postacie: Binabika, karlaków i kilkanaście innych cieni, porozrzucanych po całej jaskini. Kamienne drzwi, które ich chroniły, leżały pokruszone w drugim jej końcu.

Jeszcze nie zdążyła się nadziwić wybuchającym proszkiem Binabika, kiedy ujrzała biegnącą w jej stronę bladą postać z długim nożem w dłoni. Miriamele uniosła swój sztylet, lecz zorientowała się, że ma czymś skrępowane stopy. Nóż pomknął w kierunku twarzy Miriamele, lecz trzymająca go dłoń znieruchomiała tuż przed nią.

Karlak, który chwycił ramię Norna, szarpnął mocno. Rozległ się trzask, a zaraz potem Norn poleciał głową do przodu przez jaskinię.

– Tędy – powiedział Yis-fidri, wskazując na ciemną dziurę przy końcu jaskini. W słabym, migocącym świetle wyglądał jeszcze bardziej

groteskowo niż ich przeciwnicy; jego ramię wisiało bezwładnie, a z barku wystawało drzewce strzały. Karlak drgnął, kiedy kolejna strzała uderzyła w ścianę tuż przy nim.

Miriamele schyliła się i wyplątała z tego, co uwięziło jej stopy, a co okazało się łukiem Nornów. Jego właściciel leżał kilka kroków dalej, w samym wejściu do kryjówki karlaków; z jego strzaskanej piersi wystawał ostry kamień.

– Szybko – powiedział Yis-fidri. – Udało nam się ich zaskoczyć, ale mogą nadejść następni. – Pomimo stanowczości w głosie nie potrafił ukryć strachu, a jego ogromne jak spodki oczy wyglądały, jakby za chwilę miały wyskoczyć na zewnątrz. Jeden z karlaków cisnął kamieniem w łucznika Nornów. Rzut wydawał się niezgrabny, ale kamień poleciał z taką szybkością, że nieśmiertelny zachwiał się do tyłu, a wtedy dopadło go ramię karlaka i Norn osunął się na ziemię.

– Biegnij! – zawołał Binabik. – Zanim nadejdą kolejni łucznicy!

Miriamele popędziła za nim do ciemnej dziury, ściskając w dłoni łuk. Po drodze schyliła się, by zebrać kilka porzuconych strzał Nornów. Strzałę Simona wsunęła za pas, na łuk zaś założyła jedną ze znalezionych. Odwróciła się. Yis-fidri i pozostałe karlaki cofały się powoli, nie spuszczając oczu z Nornów. Ci zaś posuwali się krok w krok za nimi, lecz trzymali się poza zasięgiem ich długich ramion. Najwyraźniej nie mieli zamiaru pozwolić im uciec tak łatwo. Podłogę i wejście do jaskini zalegały ciała kilku poległych Nornów, a mimo to ich pozostali przy życiu towarzysze zachowali spokój i rozwagę polujących owadów.

Miriamele odwróciła się i przyśpieszyła kroku. Binabik zapalił wcześniej pochodnię i teraz podążała za jej światłem.

– Wciąż nas gonią! – zawołała.

– Biegnij, dopóki nie znajdziemy lepszego miejsca do obrony – zawołał przez ramię troll. – Gdzie jest mnich?

– Nie wiem! – odkrzyknęła.

„Może byłoby lepiej dla wszystkich, żeby on tam umarł. – Myśl ta wydała jej się okrutna, ale sprawiedliwa. – Lepiej dla wszystkich”.

Pobiegła za drżącym płomieniem pochodni.

JOSUA POSZEDŁ? – POWTÓRZYŁ ISORN ZDUMIONY. – Jak mógł narazić się na takie niebezpieczeństwo, nawet z powodu Camarisa?

Isgrimnur nie potrafił odpowiedzieć na pytanie syna. Szarpał nerwowo brodę, starając się zebrać myśli.

– Stało się – powiedział. Spojrzał na zatroskane twarze pozostałych. – Żołnierze szukali w tunelach, ale bezskutecznie. Sithowie i Tiamak przygotowują się, by pójść za nimi. Nic więcej nie możemy zrobić. – Wypuścił ze świstem powietrze. – A niech to, brak Josui osłabił nas, ale tym bardziej teraz musimy odwrócić uwagę Eliasa. Nie ma co ronić łez.

Sludig wyjrzał na zewnątrz.

– Już prawie świta, książę Isgrimnurze. I znowu pada. Ludzie czują, że dzieje się coś dziwnego, i są niespokojni. Musimy postanowić, co robimy.

Książę przytaknął mu. W duchu przeklinał los, który przekazał dowództwo Josui w jego ręce.

– Będziemy postępowali zgodnie z planem. Od wczorajszej narady zmieniło się tylko to, że nie ma Josui. Tak więc będziemy musieli stworzyć nie jednego, ale dwóch sobowtórów.

– Jestem gotów – powiedział Isorn. – Mam opończę Camarisa i widzicie – wysunął miecz z pochwy; ostrze i rękojeść były lśniąco czarne – trochę farby i wygląda jak Cierń. – Dostrzegł pełne dezaprobaty

spojrzenie Isgrimnura. – Ojcze, przecież się zgodziłeś. Spośród wszystkich, którym możemy zaufać, tylko ja niemal dorównuję wzrostem Camarisowi.

Książę zmarszczył czoło.

– To prawda. Tylko niech ci się nie wydaje, że jesteś Camarisem; pamiętaj, że ty go tylko udajesz. Musisz pozostać żywy na koniu, tak żeby cię wszyscy widzieli. Nie rób głupstw.

Isorn rzucił mu pełne rozczarowania spojrzenie, rozgniewany, że znowu został potraktowany jak dziecko. Isgrimnur zaś prawie pożałował ojcowskiej troskliwości – prawie.

– A kto będzie udawał Josuę?

– Czy jest wśród nas ktoś, kto potrafi walczyć lewą ręką? – spytał Sludig.

– Słusznie – powiedział Freosel. – Nikogo nie przekona Josua walczący prawą ręką.

Isgrimnur czuł coraz większe zniechęcenie. To było czyste szaleństwo, podobnie jak wybór dworzan biorących udział w widowisku odgrywanym w Dzień Tunatha.

– On musi być tylko widoczny, nie musi walczyć – warknął.

– Ale musi pojawiać się w miejscach, gdzie będzie toczyła się bitwa – nalegał Sludig. – Inaczej nikt go nie zauważy.

– Ja to zrobię – powiedział Hotvig. Thrithing uniósł ramię i zadzwonił bransoletami. – Potrafię walczyć obiema rękami.

– Ale... ale on nie jest podobny do Josui – wtrącił nieśmiało Strangyeard. – Zdążył już wytrzeźwieć od ostatniego spotkania z księciem, lecz wciąż wydawał się trochę nieprzytomny. – Hotvigu, ty jesteś... bardzo potężny w barach. I masz zbyt jasne włosy.

– Będzie w hełmie – zauważył Sludig.

– Harfiarz Sangfugol bardzo przypomina Josuę – zaproponował Strangyeard. – Przynajmniej jest szczupły i ma ciemne włosy.

– Ha! – Zaśmiał się krótko Isgrimnur. – Nie mogę posłać śpiewaka w środek takiej zawieruchy. Nawet jeśli nie będzie musiał walczyć, to przynajmniej powinien utrzymać się na koniu wśród walczących. – Pokręcił głową. – Ciebie też nie mogę puścić, Hotvigu. Twoi jeźdźcy są nam potrzebni, są najszybsi, a my musimy być przygotowani na ewentualny atak rycerzy króla. Kto jeszcze? – Odwrócił się do Seriddana. Nabbański kapitan wciąż milczał, zdumiony zniknięciem Josui. – Masz jakiś pomysł, baronie?

Zanim Seriddan zdążył cokolwiek powiedzieć, wstał jego brat, Brindalles.

– Ja odpowiadam księciu wzrostem. Potrafię nieźle jeździć konno.

– Nie, to szaleństwo – zaczął Seriddan, lecz Brindalles powstrzymał go uniesioną dłonią.

– Nie jestem tak dobrym wojownikiem jak ty, mój bracie, ale to przynajmniej mogę zrobić. Książę Josua i jego ludzie wiele dla nas ryzykowali. Stanęli w obliczu więzienia, a nawet śmierci, po to tylko, by przynieść nam prawdę i pomóc pozbawić tronu Benigarisa. – Rozejrzał się po namiocie. – Ale co nam z tego przyjdzie, jeśli nie przeżyjemy, żeby móc się nacieszyć zwycięstwem, jeśli Elias pozbawi domu nasze dzieci? Wciąż nie pojmuję do końca tego wszystkiego o mieczach i dziwnej magii, lecz skoro nie ma innego sposobu, to niech zrobię przynajmniej tyle.

Isgrimnur dostrzegł w jego twarzy spokój i stanowczość. Skinął głową.

– Dobrze, niech tak będzie. Dziękuję ci, Brindallesie, i niech Aedon ma cię w opiece. Isornie, daj mu rzeczy Josui, a potem pójdziesz do namiotu Camarisa. Z tego, co mówił Jeremias, wynika, że chyba nie zabrał hełmu. Freosel?

– Tak, książę Isgrimnurze?

– Niech inżynierowie będą gotowi. Wracajcie do swoich ludzi i przygotujcie się. Niech Bóg obdarzy nas swoją łaską.

– Tak – odezwał się niespodziewanie Strangyeard. – Tak, niech Bóg obdarzy nas swoją łaską.

„TY, KTÓRY ZAWSZE KROCZYSZ PO PIASKU – modlił się w duchu Tiamak. – Schodzę do ciemnej dziury. Jestem daleko od naszych bagien, dalej niż kiedykolwiek. Proszę, nie spuszczaj wzroku z Wrańczyka”.

Burza przesłoniła świt, lecz mimo to granatowe nocne niebo zaczynało się rozjaśniać. Tiamak spojrzał w górę z plaży na brzegu Kynslagh na ledwie widoczne cienie, które, jak się domyślał, były wieżyczkami Hayholt. Wydawały się niesłychanie odległe i niedostępne jak potężne góry.

„Pozwól mi wyjść stamtąd żywym, a ja... – Nie przychodziła mu do głowy żadna obietnica, którą mógłby skusić opiekuńczego boga. – Ja będę cię czcił. Będę postępował dobrze. Proszę, wyprowadź mnie żywym!”

Śnieg zawirował i zawył wiatr, chłoszcząc spienione fale czarnego Kynslagh.

– Idziemy, Tiamaku – odezwała się z tyłu Aditu.

Podskoczył na dźwięk jej głosu.

Jej brat zniknął już w czarnym wejściu do jaskini. Tiamak poszedł za nim; wycie wiatru stawało się coraz słabsze.

TIAMAK ZE ZDUMIENIEM STWIERDZIŁ, jak mała jest grupa Sithów, a jeszcze bardziej zaskoczył go widok Likimeyi.

– Czy twoja matka nie jest zbyt ważną osobą, żeby opuszczać swoich ludzi? – spytał szeptem Aditu. Kiedy zsuwał się z ogromnego głazu, przyciskając do siebie świecącą kulę, którą otrzymał od Jirikiego, zobaczył,

że Likimeya odwraca się i spogląda na niego spojrzeniem pełnym odrazy: co do tego nie miał wątpliwości. Był zawstydzony i zły na siebie, że nie docenił wprawnego ucha Sithów.

Aditu zsunęła się tuż obok niego, zwinna jak łania.

– Został wuj Kendhraja’aro, na wypadek gdyby ktoś musiał przemawiać w imieniu Domu Tańczącego Roku. A poza tym inni mogą podejmować decyzje w miarę potrzeb. – Zatrzymała się i podniosła coś z ziemi; przez chwilę przyglądała się uważnie. Przedmiot był zbyt mały, by mógł go zobaczyć Tiamak. – W każdym razie tutaj na dole pozostają do zrobienia sprawy równie ważne, dlatego przyszli ci, którzy są najpotrzebniejsi.

Tiamak i Aditu szli na końcu całej grupy, w której znajdowali się: Jiriki i Likimeya, Kira’athu, niska i małomówna Sithijka, jeszcze jedna Sithijka o imieniu Chiya, która zdaniem Tiamaka wydawała się najbardziej obca spośród całej grupy, oraz czarnowłosy Kuroyi. Wszyscy oni poruszali się z dziwną gracją, którą zauważył już u Aditu, i wszyscy, poza Aditu i jej matką, nie poświęcali mu większej uwagi niż psu, który ciągnie się za kimś drogą.

– Znalazłam piasek! – zawołała Aditu do pozostałych.

Tiamak był jej niezmiernie wdzięczny za to, że przez cały czas posługiwała się językiem Westerling, nawet wtedy, kiedy zwracała się do innych Sithów.

– Piasek? – Tiamak zmrużył oczy, starając się dostrzec to, co trzymała między palcami. – Tak?

– Znajdujemy się daleko od brzegu – powiedziała. – Ale te ziarenka są zaokrąglone kołysaniem wody. Myślę, że wciąż idziemy śladem Josui.

Dotychczas Tiamak przypuszczał, że Sithowie podążają za Josuą kierowani swoją magią. Nie bardzo wiedział, jak przyjąć to odkrycie.

– Czy wy nie możecie... czy wy po prostu... nie wiecie, gdzie są Josua i Camaris?

Uśmiech Aditu przypominał teraz bardzo uśmiech ludzi.

– Nie. Czasem potrafimy robić rzeczy, które pomagają znaleźć coś lub kogoś, lecz nie tutaj.

– Nie tutaj? Dlaczego?

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Ponieważ tutaj następują zmiany. Nie czujesz tego? Dla mnie jest to tak wyraźne jak odgłos wiatru na zewnątrz.

Tiamak pokręcił głową.

– Powiesz mi chyba, jeśli pojawi się jakieś niebezpieczeństwo. To nie jest moje bagno i nie wiem, gdzie znajdują się niebezpieczne piaski.

– Idziemy do miejsca, które należało kiedyś do nas – powiedziała z powagą Aditu. – Ale już nie jest nasze.

– Czy znasz drogę? – Tiamak rozejrzał się po tunelu; pełno tam było szczelin i poprzecznych, prawie identycznych korytarzy, które odchodziły w ciemność. Przeraziła go myśl, że mógłby się tam zgubić.

– Moja matka zna, a przynajmniej niebawem będzie znała. Chiya także tutaj mieszkała.

– Twoja matka mieszkała w tym zamku?

– W Asu’a. Mieszkała tutaj przez tysiąc lat.

Tiamak zadrżał.

Tiamak nie widział jakiejś logicznej konsekwencji w wyborze drogi, którą się posuwali, lecz już dawno zdał się na Sithów, chociaż wciąż wiele w nich go przerażało. Już samo spotkanie Aditu na *Sesuad’ra* było dla niego dziwnym doświadczeniem, ale tam była tylko ona, i pewnie inni widzieli w niej takiego samego odmieńca jak w Tiamaku. Dopiero kiedy

zobaczył Sithów razem, czy to wielki oddział na zboczu pod Hayholt, czy w tej małej grupie, kiedy podejmowali decyzje, porozumiewając się bez słów, kiedy działali niemal jak jeden, Tiamak po raz pierwszy poczuł siłę ich odmienności. Kiedyś oni panowali w Osten Ard. Historia twierdzi, że byli dobrymi władcami, lecz Tiamak zastanawiał się, czy naprawdę byli dobrzy, czy tylko obojętni wobec śmiertelnych poddanych. Jeśli rzeczywiście tak było, to otrzymali srogą zapłatę za swoją obojętność.

Kuroyi zatrzymał się, a za nim pozostali. Powiedział coś w języku Sithów.

– Ktoś tam jest – szepnęła Aditu.

– Josua? Camaris? – Nie chciał dopuszczać myśli, że mógł tam być ktoś inny.

– Dowiemy się.

Kuroyi skręcił w korytarz i poszedł kilka kroków w dół. Chwilę później wycofał się z sykiem. Aditu przemknęła obok Tiamaka i stanęła u boku Kuroyi.

– Nie uciekaj! – zawołała w ciemność. – Ja jestem Aditu!

Po kilku chwilach z ciemności wyłoniła się postać z mieczem wzniesionym przed siebie.

– Książę Josua! – Tiamak poczuł ogromną ulgę. – Nic ci się nie stało?

Książę patrzył na nich, oślepiony nieco światłem kryształowych kul.

– Miłościwy Aedonie, to rzeczywiście ty. – Osunął się ciężko na kamienną podłogę. – Moja pochodnia wypaliła się. Już od jakiegoś czasu idę w zupełnej ciemności. Wydawało mi się, że słyszę kroki, ale wy chodzicie tak cicho, że nie miałem pewności...

– Czy znalazłeś Camarisa? – spytał Tiamak.

Książę potrząsnął głową, zapatrzony przed siebie.

– Nie. Zgubiłem go niedługo potem, jak wszedłem do tunelu. Wołałem, ale nie chciał się zatrzymać. Poszedł! Poszedł! – Książę z trudem potrafił się opanować. – Pozostawiłem swoich ludzi bez przywódcy, opuściłem ich! Czy możecie wyprowadzić mnie stąd? – Spojrzał niemal błagalnie na Sithów.

– Śmiertelnik książę Isgrimnur dobrze cię zastępuje – powiedziała Likimeya. – Sam nie znajdziesz drogi powrotnej, a my nie możemy tracić czasu, tak jak nie możemy pozwolić sobie na utratę żadnego z nas.

Josua spuścił głowę zawstydzony.

– Popełniłem głupstwo i zawiodłem tych, którzy pokładali we mnie nadzieję. Ale zrobiłem to po to, żeby odnaleźć Camarisa. On jednak odszedł. I zabrał ze sobą Cierń.

– Książę Josuo, nie zamartwiaj się tym, co już się stało – Aditu powiedziała to z zaskakującą delikatnością. – Nie obawiaj się o Camarisa. Znajdziemy go.

– Jak?

Likimeya przyglądała się przez chwilę Josui, po czym spojrzała w głąb korytarza.

– Jeśli, tak jak mówiliście, miecz zmierza w kierunku Smutku i trzeciego miecza, to wiemy, gdzie go szukać. – Chiya przytaknęła jej. – Pójdziemy tam najprostszą drogę. Albo go tam znajdziemy, albo znajdziemy się u góry przed nim, i wtedy zaczekamy.

– Ale on może błąkać się tutaj w nieskończoność! – odparł Josua.

– Nie sądzę – powiedziała Likimeya. – Jeśli miecze przyciąga jakaś wspólna moc, a w tym cała nasza nadzieja, gdyż sprowadzi ona także Biały Gwóźdź, to on poradzi sobie, nawet jeśli jego rozum był tak zmącony, jak mówisz. On będzie się zachowywał jak ślepiec szukający ognia w zimnym pokoju. Znajdzie drogę.

Jiriki podał dłoń księciu.

– Chodź, książę Josuo. Mam trochę wody i jedzenia. Posilisz się, a potem go znajdziemy.

Kiedy Josua podniósł wzrok, w jego spojrzeniu nie było już tyle smutku.

– Dziękuję wam. Jestem wdzięczny za to, że mnie znaleźliście. – Chwycił dłoń Jirikiego i wstał. Po chwili uśmiechnął się. – Wydawało mi się, że... że słyszę głosy.

– Z pewnością – powiedział Jiriki. – Usłyszysz ich więcej.

Tiamak zauważył, że nawet niewzruszeni Sithowie nie pozostali zupełnie obojętni na uwagę Jirikiego.

OTOCZENIE TIAMAKA ZMIENIAŁO SIĘ bardzo powoli, prawie niedostrzegalnie. W miarę jak razem z Josuą podążali za nieśmiertelnymi krętymi korytarzami, zauważył, że podłogi stają się coraz bardziej poziome, a same tunele coraz bardziej regularne. Zaczął dostrzegać rękę budowniczych: kamienne łuki wieńczące szersze przejścia, specyficzne kąty, a nawet kilka plam na ścianach, które mogły być pozostałościami rzeźb, które mogły przedstawiać fale lub splątane źdźbła trawy.

– Te najdalsze zakątki nigdy nie zostały ukończone – wyjaśniła Aditu. – Albo zostały wybudowane zbyt późno w życiu Asu’a, albo porzucono je dla innych, bardziej przydatnych ścieżek.

– Porzucono? – Tiamak nie mógł tego zrozumieć. – Kto zadawałby sobie tyle pracy, żeby przebić się przez kamień, a potem porzucał to wszystko?

– Niektóre z tych przejść wybudowali moi ludzie przy pomocy Tinukeda’ya, karlaków, jak ich nazywacie – wyjaśniła. – Lecz ci wielcy

miłośnicy kamienia wykuli też inne, nie bacząc na to, czy będą mogli je skończyć, czy nie, tak jak dziecko, które plecie koszyk z trawy, a potem wyrzuca go, kiedy musi wrócić do domu.

Wrańczyk pokręcił głową.

Bacząc na swoich śmiertelnych towarzyszy, Sithowie zatrzymali się wreszcie na odpoczynek w obszernej grocie, której sufit pokrywały liczne stalaktyty. W łagodnym blasku kul Sithów wyglądała ona jak z bajki; przez chwilę Tiamak cieszył się, że tam przyszedł. Świat podziemia wydawał się skrywać równie wiele okropieństw, co i wspaniałości.

Jedząc kawałek chleba i niezwykle smaczny, lecz zupełnie mu nieznany owoc, który dostał od Sithów, Tiamak zastanawiał się, jak daleko zaszli. Wydawało mu się, że minął już prawie cały dzień; na powierzchni pokonaliby tę odległość w o wiele krótszym czasie. Nawet biorąc pod uwagę meandry tuneli, wydawać by się mogło, że gdzieś już powinni dotrzeć, a tymczasem wciąż wędrowali przez niczym nie różniące się od siebie jaskinie.

„To mi przypomina upiorną chatę Buoyeg z dawnej opowieści – pomyślał, lecz nie było mu do śmiechu. – Z zewnątrz wydaje się mała, ale bardzo duża od wewnątrz”.

Odwrócił się do Josui, by spytać go, czy i on zauważył ten dziwny szczegół; książę siedział wpatrzony w swój kawałek chleba, jakby był zbyt zmęczony albo roztargniony, żeby go zjeść. Nagle grota zadrżała, a może tylko tak im się wydawało; Tiamak poczuł lekki ruch, jakby coś się obsunęło, jednak ani Josua, ani Sithowie nie zwrócili na to uwagi. Raczej wyglądało to tak, jakby cała grota przechyliła się na jedną stronę, a znajdujący się w niej ludzie przesunęli bez najmniejszego wysiłku. Było to tak okropne uczucie, że jeszcze długo potem Tiamak miał wrażenie, że

znajduje się w dwóch miejscach w tym samym czasie. Poczuł na plecach dreszcz przerażenia.

– Co się dzieje? – spytał.

Nie poczuł się lepiej, widząc niepokój na twarzach Sithów.

– O tym właśnie mówiłam – powiedziała Aditu. – Staje się coraz silniejsze, w miarę jak zbliżamy się do serca Asu’a.

Likimeya wstała i rozejrzała się powoli, lecz Tiamak był przekonany, że posługuje się ona nie tylko wzrokiem.

– Ruszamy – zarządziła. – Mamy mało czasu.

Tiamak podniósł się z trudem. Wyraz twarzy Likimeyi nie dodał mu odwagi. Nagle pożałował, że w ogóle zabierał głos, zamiast zostać z resztą przyjaciół na powierzchni. Teraz jednak było już za późno.

DOKĄD IDZIEMY? – SPYTAŁA MIRIAMELE, dysząc ciężko.

Yis-hadra, która teraz prowadziła całą grupę, odwróciła się.

– Idziemy? – powiedziała. – My lecimy. Uciekamy.

Miriamele zatrzymała się, by zaczerpnąć więcej powietrza. Nornowie zaatakowali ich jeszcze dwukrotnie, lecz bez łuczników nie byli w stanie pokonać karlaków. Mimo to zginęło ich jeszcze dwóch, a Nornowie nie zamierzali się poddać. Od ostatniej potyczki Miriamele udało się tylko raz dostrzec przeciwników; było to w tunelu na tyle długim i prostym, by warto było się odwrócić. W tym momencie rzeczywiście wyglądali jak stworzenia z mroków ziemi: blade, milczące i bezlitosne. Wydawało się, że Nornowie się nie spieszą, jakby tylko ich śledzili, oczekując na swoich towarzyszy z łukami i włóczniami. Ich widok powstrzymywał ją przed tym, by usiąść i poddać się ostatecznie.

Wiedziała, że w ucieczce z jaskini karlaków dopisało im szczęście. Nawet jeśli Białe Lisy spodziewały się jakiegoś oporu, to z pewnością nastawiły się na krótką walkę. Zamiast tego spadła na nich lawina kamieni i desperacka obrona osaczonych, co z pewnością ich zaskoczyło i pozwoliło uciec Miriamele i jej towarzyszom. Księżniczka nie miała jednak złudzeń, że drugi raz Nornowie nie dadzą się nabrać.

– Możemy tak uciekać w nieskończoność – powiedziała do Yis-hadry. – Może wy ich potraficie przetrzymać, ale my nie. W każdym razie tam na górze nasi ludzie znajdują się w niebezpieczeństwie.

Binabik przytaknął jej.

– Jest tak, jak ona mówi. Nam nie wystarczy ucieczka. Musimy się jakoś stąd wydostać.

Yis-hadra nic nie odpowiedziała, a tylko spojrzała na swojego męża, który zbliżał się, kulejąc; za nim szły ostatnie z karlaków i Cadrach. Twarz mnicha przybrała barwę popiołu, lecz Miriamele nie dostrzegła u niego żadnych ran. Odwróciła się, nie chcąc, by ogarnęło ją niepotrzebne współczucie.

– Są teraz dość daleko za nami – powiedział Yis-fidri. – Wydają się zadowoleni z tego, że pozwolili nam się oddalić. – Oparł się o ścianę, przyciskając głowę do kamienia. Yis-hadra podeszła do niego i pomacała delikatnie ranę na jego ramieniu. – Sho-vennae nie żyje, a także trzej inni – jęknął i powiedział kilka słów w swoim śpiewnym języku. Jego żona odpowiedziała bolesnym jękiem. – Zmiażdżeni jak delikatne kryształy. Odeszli.

– Wszyscy byśmy zginęli, gdybyśmy nie zdecydowali się na ucieczkę: i my, i wy wszyscy. – Miriamele zamilkła, próbując opanować swój gniew i strach przez Nornami. – Wybacz mi, Yis-fidri. Przykro mi z powodu waszych ludzi. Naprawdę.

Kropelki potu na czole Yis-fidriego lśniły w blasku światła pałeczek karlaków.

– Niewielu opłakuje Tinukeda’ya – odparł cicho. – Zapędzają nas do służby, kradną nam Słowa Stworzenia, a nawet błagają nas o pomoc, kiedy znajdą się w potrzebie, lecz rzadko opłakują.

Miriamele poczuła wstyd. Bez wątpienia chciał powiedzieć, że to ona wykorzystała karlaków – a także Nisków; pamiętała poświęcenie Gan Itai – tak samo jak wykorzystywali ich kiedyś Sithowie.

– Zaprowadźcie nas w miejsce, przez które wydostaniemy się na zewnątrz – powiedziała. – Tylko o to proszę. Potem pójdziecie z naszym błogosławieństwem.

Yis-fidri chciał jej odpowiedzieć, lecz ubiegł go Binabik.

– Słowa Stworzenia. Czy wszystkie miecze wykuto za pomocą Słów Stworzenia?

Yis-fidri popatrzył na niego podejrzliwie i zamrugał gwałtownie, kiedy jego żona dotknęła rany.

– Tak. Były potrzebne, żeby połączyć materiał, z jakiego zostały wykonane, żeby ich istnienie było zgodne z Prawami.

– Jakimi prawami?

– Tymi, których nie można zmienić. Prawami, zgodnie z którymi kamień jest kamieniem, a woda wodą. Mogą one zostać... – szukał odpowiednich słów – ...rozciągnięte albo nawet zmienione na krótki czas, lecz pociąga to za sobą różne konsekwencje. *Nigdy* jednak nie można ich zniszczyć całkowicie.

Jeden z karlaków powiedział coś podniecony.

– Imai-an znowu ich wyczuwa! – zawołała Yis-hadra. – Musimy biec!

Yis-fidri ruszył ciężko przed siebie, a za nim pozostali. Miriamele czuła bijące wściekle serce. Czy to się nigdy nie skończy?

– Pomóż nam dotrzeć na powierzchnię, Yis-fidri – powiedziała błagalnie. – Proszę.

– Tak! To jest teraz najważniejsze.

Miriamele odwróciła się, poruszona podniosłym tonem trolla. Binabik wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

– Co się stało? – spytała.

Po jego czole płynęły strużki potu.

– Muszę się nad tym zastanowić, Miriamele, ale nigdy jeszcze się tak nie bałem. *Kikkasut!* Po raz pierwszy zajrzałem poza cień naszych rozważań i myślę, że mnich może mieć rację. Może już nic nam nie zostało.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył szybko za karlakami. Miriamele miała wrażenie, że troll zaraził ją swoją gorączką rozpaczy, i poczuła zaciskającą się na jej sercu obręcz bezradności.

55. Dłoń Północy

WIATRY WYŁY WŚCIEKLE WOKÓŁ wierzchołka Burzowej Góry, lecz w jej wnętrzu panowała cisza. Czarni zapadli w głęboki sen. Korytarze podziemi Nakkigi opustoszały.

Schowane w rękawicy palce Utuk’ku, delikatne i kruche jak nogi świerszcza, zacisnęły się na poręczy tronu. Ułożyła swe pradawne ciało na kamieniu i pozwoliła myślom przepływać przez Oddychającą Harfę; podążając jej krętymi ścieżkami, wkrótce oddaliła się od Burzowej Góry, stając się czystym umysłem, który przenikał czarne „pomiędzy”.

Rozzłoszczony Ciemny odszedł z Harfy. Przeniósł się w miejsce – jeśli można było to nazwać miejscem – skąd mógł współdziałać z nią przy ostatnim etapie ich od dawna przygotowywanego planu, lecz ona czuła jego zawiść i nienawiść, które przybrały postać burz nękających całą ziemię.

W Nabbanie, rządzonym niegdyś przez parweniuszowskich Imperatorów, ulice zginęły pod wysokimi zaspami śniegu; w porcie wysokie fale ciskały na siebie zakotwiczone statki albo niosły je ku brzegowi, gdzie rozbite przypominały wyrzuconego na brzeg olbrzyma. Oszalałe kilpy atakowały wszystko, co ruszało się w wodzie, a nawet ośmielały się zapuszczać do przybrzeżnych miast. A Dzwon Claveana, wiszący w sercu Sancellan Aedonitis, milczał zmrożony lodem, tak jak Matka Kościół zmrożony strachem.

Nawet Wran, którego wnętrze wciąż pozostawało niedostępne dla najgorszych burz, zamienił się w krainę chłodu. Ghanty, odważne w dużej grupie, chociaż liczne pojedyncze osobniki nie przetrzymały srogiej pogody, wciąż wylewały się z bagien, nękając przybrzeżne wioski. Nieliczni śmiertelnicy z Kwanitupulu, którzy odważyli się stawić czoło lodowatym wiatrom, wychodzili na ulicę tylko w grupach, uzbrojeni i z pochodniami w dłoniach, gotowi odeprzeć atak ghantów czających się w każdym kącie. Dzieci pozostawały w domach, a drzwi i okna szczelnie zamykano nawet w chwilach, kiedy burza odchodziła.

Także i las Aldheorte spał przykryty śnieżnym kocem, lecz nawet jeśli pradawne drzewa cierpiały, dotknięte ręką Północy, to cierpiały w milczeniu. W sercu lasu chłód pełzał po opustoszałym Jao e-Tinukai'i.

Ręce śmiertelników drżały, dotknięte dłonią Północy. Burze zamieniły Rimmersgard i Frostmarch w lodowate pustkowie, Hernystir także niewiele mniej ucierpiał. Zanim Hernystirczycy zdążyli na dobre powrócić do domów, z których wypędził ich Skali z Kaldskryke, znowu zostali wpędzeni do jaskiń Grianspog. Duch ludzi, których ukochali Sithowie, duch, który na krótko zapłonął ogromnym płomieniem, teraz znowu tlił się ledwie iskrą.

Burza zawisła nisko nad Erkynlandem. Czarne wiatry zginały i łamały drzewa, przysypywały śniegiem domy; nad całym krajem niosły się grzmoty, podobne do warczenia rozwścieczonej bestii. Okrutne serce burzy, przepełnione wirującym śniegiem i błyskawicami, pulsowało nad Erchesterem i Hayholt.

Utuk'ku przyglądała się temu ze spokojnym zadowoleniem, lecz nie nasyciła się jeszcze przerażeniem i bezradnością znienawidzonych śmiertelników. Miała jeszcze coś do zrobienia; czekała z tym od chwili, gdy złożono przed nią ciało jej syna Drukhiego. Utuk'ku była stara

i przenikliwa; wciąż świadoma ironii, że to jej prapraprawnuk nakłonił ją do zemsty i że był on potomkiem rodziny, która zniszczyła jej szczęście. Nieomal się uśmiechnęła.

Jej myśli mknęły, zdążając za szepcącymi nićmi istnienia, a potem jeszcze dalej, tam gdzie tylko ona ze wszystkich żyjących istot potrafiła dotrzeć. Kiedy wreszcie dotarła do tego, czego szukała, sięgnęła myślami, modląc się do starych sił w Venyha Do’sae, by otrzymała to, co niezbędne do osiągnięcia jej upragnionego celu.

Poczuła falę radości. Moc była tam, o wiele większa, niż potrzebowała do swoich celów. Teraz należało ją tylko ujarzmić i uczynić posłuszną. Zbliżała się ostateczna godzina i Utuk’ku mogła już zapomnieć o cierpliwości.

MOJE OCZY NIE SĄ NAJLEPSZE nawet w dobrych warunkach – narzekał Strangyeard. – A co dopiero, kiedy pada śnieg i nie świeci słońce, nic nie widzę! Sangfugolu, powiedz mi, co się dzieje!

– Na razie jeszcze nie ma o czym mówić. – Siedzieli na jednym ze zboczy wzgórz Swertclif, spoglądając w dół na Erchester i Hayholt. Drzewo, pod którym się schronili, oraz niewielki murek z kamieni słabo chroniły ich przed wiatrem. Harfiarz dygotał z zimna, chociaż ubrany był w płaszcz z kapturem, na który narzucił jeszcze dwa koce. – Nasza armia podjechała pod mury, a heroldowie zadęli w trąby. Isgrimnur albo ktoś inny czyta pewnie Nakaz Poddania się. Wciąż nie widzę królewskich żołnierzy... chociaż nie, widzę jakiś ruch na murach. Już się zastanawiałem, czy tam w ogóle ktoś jest...

– Kto? Kto jest na murach?

– Litościwy Aedonie, nie wiem. Widzę tylko niewyraźne postacie.

– Powinniśmy usadowić się gdzieś bliżej – powiedział duchowny. – Przy tej pogodzie zbocze jest zbyt odległe.

Harfiarz spojrzał na niego z ukosa.

– Chyba oszalałeś. Ja jestem muzykiem, a ty bibliotekarzem, powinniśmy byli zostać w Nabbanie. Ale znaleźliśmy się tutaj i tutaj zostaniemy. Bliżej, rzeczywiście! – Chuchnął w złożone dłonie.

Wiatr przyniósł słaby dźwięk rogów.

– Co tam? – spytał Strangyeard. – Co się dzieje?

– Skończyli czytać Nakaz i pewnie nie otrzymali żadnej odpowiedzi. To właśnie cały Josua: daje Eliasowi szansę honorowego poddania się, chociaż wiemy, że ani mu to w głowie.

– Książę pragnie... postępować słusznie – odparł Strangyeard. – Boże, mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Niedobrze mi się robi na samą myśl o tym, że razem z Camarisem błąkają się gdzieś po jaskiniach.

– Widzę tego Nabbańczyka – powiedział Sangfugol podniecony. – Rzeczywiście przypomina Josuę, przynajmniej z tej odległości. – Nagle odwrócił się do duchownego. – Czy ty naprawdę zaproponowałeś, żebym to ja udawał księcia?

– Jesteś bardzo do niego podobny.

Sangfugol obdarzył go spojrzeniem pełnym niechęci, ale i rozbawienia.

– Matko Boża, Strangyeardzie, proszę, nie rób mi żadnych przysług. – Otulił się szczelniej kocami. – Wyobraź mnie sobie na koniu, wymachującego mieczem. Miej nas w opiece, Odkupicielu!

– My wszyscy musimy robić to, co potrafimy.

– Owszem, tylko że ja potrafię śpiewać i grać na harfie i lutni. Z pewnością zrobię to, jeśli wygramy. A jeśli nie, no cóż, też mogę zagrać, jeśli przeżyję, tylko że już pewnie nie tutaj. Ale na pewno nie potrafię jeździć dobrze konno, walczyć i przekonywać ludzi, że jestem Josuą.

Zamilkli na jakiś czas, wsłuchani w wiatr.

– Sangfugolu, obawiam się, że jeżeli przegramy, to nie będzie dokąd uciekać.

– Być może. – Harfiarz znowu zamilkł na długą chwilę, aż nagle powiedział: – Nareszcie!

– Co? Czy coś się dzieje?

– Pchają taran; ależ to przerażająca machina. Ta ogromna, żelazna głowa z krętymi rogami rzeczywiście przypomina barana. Ależ on duży! Aż dziw, że ci ludzie są w stanie go poruszyć. – Wciągnął głęboko powietrze. – Królewscy żołnierze puszczają z murów zapalone strzały! Trafili kogoś, i jeszcze jednego. Ale taran wciąż posuwa się do przodu.

– Niech Bóg ma ich w opiece – szepnął Strangyeard. – Tutaj jest tak zimno.

– Jak można strzelać z łuku przy takim wietrze i jeszcze chcieć trafić? Ach! Ktoś spada z muru! O jednego mniej! – Harfiarz mówił coraz bardziej podnieconym głosem. – Nie widzę dokładnie, co się dzieje, ale nasi ludzie są już pod samym murem. Tak, ktoś podstawił drabinę. Wchodzą po niej żołnierze. – Chwilę później harfiarz wydał okrzyk przerażenia.

– Co widzisz? – Strangyeard zmrużył oko, próbując zobaczyć coś przez padający śnieg.

– Zrzucili coś na nich. – Sangfugol był najwyraźniej poruszony. – Chyba ogromny kamień. Pewnie wszyscy zginęli.

– Niech Odkupiciel ma nas w opiece – szepnął zrozpaczony Strangyeard. – A więc zaczęło się na dobre. Teraz możemy już tylko czekać na koniec, bez względu na to, jaki on będzie.

ISGRIMNUR TRZYMAŁ DŁONIE blisko twarzy, by osłonić się przed niesionym wiatrem śniegiem. Trudno było mu śledzić to, co się działo, chociaż mury Hayholt wznosiły się niecałe pięćset łokci w górę od miejsca, w którym się znajdował. Setki uzbrojonych wojowników, niczym owady, brnęło przed śnieżne zaspy pod ścianami. Setki innych, jeszcze mniej widocznych z jego miejsca, biegło po murach Hayholt. Książę zaklął pod nosem. Wszystko wydawało się tak odległe!

Freosel wspiął się na drewnianą platformę, którą inżynierowie wybudowali pomiędzy podnóżem wzgórza a opustoszałym Erchesterem. Falshirczyk musiał trzymać się mocno, by nie zostać zdmuchniętym przez wiatr.

– Taran jest już prawie przy bramie. Dzisiaj wiatr nam sprzyja, za to przeszkadza ich łucznikom.

– Ale i my nie strzelamy lepiej – warknął książę. – Mają swobodę na murach i bez problemu odpychają nasze drabiny. – Wsunął dłoń do rękawicy. – Minęły już cztery godziny od wschodu słońca, a nam udało się wykopać kilka okopów w śniegu.

Falshirczyk spojrzał na niego zdumiony.

– Wybacz, książę, mówisz tak, jakbyś spodziewał się, że sforsujemy mury przed zachodem słońca.

– Nie, nie. Bóg jeden wie, jak silną twierdzą jest Hayholt. Ale nie wiem, ile jeszcze zostało nam czasu. – Spojrzał na zachmurzone niebo. – Ta przeklęta gwiazda, o której wszyscy mówią, jest już dokładnie nad nami. Niemal czuję jej blask. Nie ma księcia i Camarisa. Nie ma Miriamele. – Spojrzał poprzez padający śnieg na Hayholt. – A nasi ludzie zamarzną na śmierć, jeśli każemy im tam dłużej siedzieć. Chciałbym, żebyśmy mogli zburzyć te mury przed zachodem słońca, ale nie łudzę się.

ISORN WSKAZAŁ DO GÓRY. Stojący dookoła niego żołnierze podnieśli wzrok.

– Tam. Na murach.

Obok głów odzianych w hełmy, widocznych między zębami muru, ukazało się też wiele odsłoniętych głów o upiornych twarzach i białych, powiewających na wietrze włosach.

– Białe Lisy? – spytał Sludig. Zrobił znak Drzewa.

– Tak. Są w Hayholt. Przeklęte istoty! – Isorn uniósł miecz i pomachał nim wyzywająco, lecz postacie na murach wydawały się go nie zauważać. – I niech Elias będzie przeklęty za swoje konszachty.

Sludig przyglądał się uważnie.

– Nigdy ich jeszcze nie widziałem! – zawołał. – Miłościwy Aedonie, przypominają demony!

– Oni są demonami. A Hayholt stało się ich gniazdem.

– Ale wydaje się, że nic nie robią.

– To dobrze – odparł Isorn. – Może jest ich za mało. Są znakomitymi łucznikami. Ciekawe, dlaczego żaden z nich nie ma łuku.

Sludig kręcił głową zdumiony. Nie był w stanie oderwać wzroku od bladych twarzy.

– Chroń nas – wyszeptał przez ściśnięte gardło.

BARON SERIDDAN, W PEŁNEJ ZBROI, wspiął się ciężko po stopniach platformy.

– Co nowego? – spytał Isgrimnur.

Seriddan zdjął rękawice i rozłożył dłonie nad koszem z żarem.

– Myślę, że wszystko idzie po naszej myśli. Ludzie Eliasa skupili uwagę na taranie, a my powoli popychamy go w górę; niebawem dotrze do

bram. Szykujemy także wieże oblężnicze, które ściągną na siebie część strzał. Wiatr nam sprzyja, a łucznicy Króla niewiele widzą.

– Wszyscy to powtarzają – burknął książę. – Ale ja tutaj i tak pomału popadam w obłęd. Niech będzie przeklęty Josua za to, że postawił mnie w takiej sytuacji. – Nachmurzył się i zrobił znak Drzewa. – Wybacz mi. Nie chciałem tego powiedzieć.

Seriddan pokiwał głową.

– Wiem. To straszne, że nie wiemy, gdzie on teraz jest.

– Nie tylko to mnie martwi. Wciąż tyle pytań pozostaje bez odpowiedzi.

– Jak to?

– Jeśli zależy im tylko na tym, żeby odwrócić naszą uwagę, jeśli ta gwiazda na niebie rzeczywiście zwiastuje coś, co pomoże Eliasowi, to dlaczego nie próbowali pertraktować? Można by też sądzić, że Król zechce się spotkać ze swoim bratem przed ostateczną rozgrywką, chociażby po to, żeby rzucić mu w twarz imię zdrajcy.

– Może Elias wie, że Josui tutaj nie ma.

Isgrimnur drgnął.

– Jak mógłby się o tym dowiedzieć? Przecież Josua zniknął wczoraj w nocy!

– Ty wiesz więcej na ten temat niż ja, książę Isgrimnurze. Od dawna wojujesz z Królem i jego czarodziejskimi sprzymierzeńcami.

Isgrimnur stanął na krawędzi platformy i spojrzał na majaczące w oddali mury Hayholt.

– Może rzeczywiście wiedzą. Może udało im się zwabić Camarisa, ale przecież nie mogli zaplanować, że przyjdzie z nim też Josua. Nie, nie mogli tego zaplanować.

– Nie mam pojęcia – odparł baron. – Przyszedłem tylko po to, żeby ci powiedzieć, iż chciałbym zabrać część moich ludzi na zachodnią ścianę. Chyba już czas, żeby rozszerzyć pole ich uwagi.

– Dobrze. To jeszcze jedna rzecz, która mnie niepokoi: Elias nie wydaje się specjalnie zaangażowany w walkę. Spodziewałem się choć jednego wypadu z jego strony.

– Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. – Seriddan poklepał go po ramieniu. – Ale jeśli to już wszystko, co Król ma do zaoferowania, to za kilka dni otworzymy bramy.

– Możemy nie mieć aż tyle czasu – odparł Isgrimnur zamyślony.

– Robimy, co możemy. – Seriddan zszedł na dół i poszedł do swojego konia. – Głowa do góry, książę Isgrimnurze! – zawołał. – Jak dotąd wszystko idzie dobrze!

Isgrimnur rozejrzał się.

– Jeremias!

Chłopiec wynurzył się spomiędzy grupy żołnierzy zebranych na tyle pomostu.

– Tak, panie.

– Może uda ci się znaleźć jeszcze trochę wina. Wnętrzności zmarzły mi bardziej niż stopy.

Giermek popędził w kierunku namiotów. Isgrimnur odwrócił się ku przesłoniętemu przez padający śnieg polu walki.

NIECH BÓG MA NAS W OPIECE! – Sludig, zdumiony, otworzył usta.

– Co oni robią?

– Śpiewają – powiedział Isorn. – Widziałem już to w Naglimundzie. Zajęło im to dużo czasu. – Patrzył na dwa tuziny Sithów, którzy wysunęli

się do przodu i teraz stali nieruchomo po kolana w śniegu w odległości strzału z łuku od murów.

– Jak to śpiewają?

– W taki sposób walczą, a przynajmniej tak walczą ze swoimi kuzynami, Nornami. Nie rozumiem tego na tyle, żeby ci to lepiej wyjaśnić.

– I to są sprzymierzeńcy, na których czekaliśmy? – rzucił Sludig gniewnie. – My ryzykujemy życie, a oni *śpiewają*? Spójrz! Nasi ludzie tam umierają!

– Sludigu, Sithowie też potrafią walczyć. Przekonasz się. W Naglimundzie udało im się to, chociaż zupełnie nie wiem, jak to zrobili. Ale zburzyli mur.

Jego towarzysz prychnął pogardliwie.

– Ja wolę pozostać przy taranach, wieżach oblężniczych i mężczyznach o silnych ramionach. – Spojrzał w niebo. – Ściemnia się. Ale chyba niedawno minęło południe.

– Pewnie nasila się burza. – Isorn powstrzymał konia, który przebierał niecierpliwie nogami. – Nie podoba mi się to. Widzisz tę chmurę nad wieżami?

Sludig popatrzył za palcem Isgrimnura. Zamrugał.

– Błyskawica! Czy to robota Sithów? – Rzeczywiście, jedynym odgłosem, jaki słychać było poprzez wyjący wiatr, był rytmicznie pulsujący śpiew nieśmiertelnych.

– Nie wiem, może i tak. Długo obserwowałem ich w Naglimundzie, ale nie potrafię ci powiedzieć, co naprawdę robili. Jiriki wyjaśnił mi, że jego ludzie próbują w ten sposób przeciwdziałać magii Nornów. – Isorn zamrugał, kiedy rozległ się kolejny grzmot, którego echo odbiło się od zbocza i przetoczyło pustymi ulicami Erchesteru. Rozbłysła kolejna błyskawica i jakby na moment zatrzymała wszystko na murach i przed

nimi: ludzi, wojenne machiny, padający śnieg, a nawet strzały w locie – w następnej chwili powróciła ciemność burzy. Rozległ się ryk jeszcze jednego grzmotu, a wiatr zawył głośniej. – Może dlatego nie ma Nornów wśród łuczników – kontynuował Isorn. – Może przygotowują jakąś magiczną sztuczkę, jakieś zaklęcie. Och, Sludigu, straszne rzeczy widziałem w Naglimundzie. Modlę się, żeby ludziom Jirikiego udało się ich powstrzymać.

– Co za szaleństwo! – zawołał Sludig. – Prawie nic nie widzę!

Rozległ się kolejny grzmot, tym razem słabszy. Ale to nie był grzmot pioruna.

– Usiresie! Uderzyli taranem w bramę! – zawołał Isorn podniecony. – Widzisz, Sludigu, zadali pierwszy cios! – Uniósłszy czarny miecz, pojechał do przodu. Widząc morskiego smoka na jego hełmie i płaszcz powiewający na wietrze, nawet Sludig gotów był uwierzyć, że jest to Camaris, a nie syn jego seniora. – Musimy odnaleźć jeźdźców Hotviga i czekać w pogotowiu, gdyby udało im się wyłamać bramę.

Sludig na próżno rozglądał się za posłańcem pośród tłoczących się dookoła piechurów.

– Powinniśmy zawiadomić twojego ojca! – zawołał.

– Jedź zatem! Ja zaczekam! Ale pośpiesz się, człowieku! Kto by pomyślał, że tak szybko dotrzemy do bramy?

Sludig chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz jego słowa utonęły w odgłosach burzy. Odwrócił konia i pojechał w dół zbocza w kierunku punktu obserwacyjnego księcia Isgrimnura.

TARAN JEST JUŻ PRZY BRAMIE! – zawołał Sangfugol. – Spójrz! Wielki jak trzy domy!

– Brama jest większa. – Strangyeard drżał. – Mimo to zdumiewa mnie tak słaby opór.

– Widziałeś Erchester. Wszyscy pouciekali. Elias i jego ukochany czarnoksiężnik uczynili z tego miejsca pustkowie.

– Ale chyba w zamku mają dość ludzi do obrony. Dlaczego nie wykopali okopów, żeby utrudnić przejście maszynom oblężniczym? Dlaczego zrzucili tak mało kamieni na drabiny?

– Te, które zrzucili, zrobiły swoje – odparł Sangfugol, zły, że Strangyeard nie podziela jego entuzjazmu. – Żołnierze strąceni przez nie nie mogą być już bardziej martwi.

– Elysio, Matko naszego Odkupiciela! – zawołał duchowny zgorszony. – Sangfugolu, nie mów tak o naszych poległych żołnierzach! Chciałem tylko powiedzieć, że wydaje mi się dziwne, iż obrońcy są tak słabo przygotowani do oblężenia, którego spodziewali się od dawna.

– Król zwariował – odpowiedział harfiarz. – Słyszałeś, co opowiadali uciekinierzy z Erkynlandu. Niewielu pozostało, żeby walczyć u jego boku. To mi przypomina wypędzanie niedźwiedzia z jaskini. Niedźwiedź jest zawzięty, ale w końcu to tylko zwierzę i musi ulec przebiegłości człowieka.

– Przebiegłości? – Archiwista spróbował strząsnąć z koca śnieg. Pomimo ochronnego murku z kamieni, który wznieśli, wiatr zacinał ostro. – A cóż takiego przebiegłego zrobiliśmy dotąd? Daliśmy się wodzić za nos jak wół.

Sangfugol machnął energicznie dłonią, chociaż i on drżał z zimna.

– Ale musisz przyznać, że pomysł z Isornem i tamtym Nabbańczykiem, udającymi Camarisa i Josuę, był bardzo przebiegły... poza twoją sugestią, bym ja udawał księcia. A jeszcze bardziej przebiegłe jest zejście pod Hayholt! Król nie domyśliłby się tego i za tysiąc lat!

Strangyeard, który rozcierał energicznie dłonie, próbując je choć trochę rozgrzać, znieruchomiał nagle.

– Król może nie, ale jego sprzymierzeńcy z pewnością wiedzą o tunelach. – Jego głos zadrżał. – Tak, Nornowie na pewno o nich wiedzą.

– Dlatego nasi sprzymierzeńcy poszli tam za księciem i Camarisem. Widziałem ich, brata Aditu, jej matkę i innych. Z pewnością dadzą sobie radę, nawet gdyby czekali tam na nich Nornowie, tak jak myślisz.

– Ja nie myślę. – Strangyeard wstał. Wiatr natychmiast porwał śnieg z jego pleców. – Ja nie myślę. Nornowie znają dobrze tunele. – Przeszedł przez niski murek, strącając kilka kamieni.

– Co ty robisz?

– Muszę odnaleźć księcia Isgrimnura. Grozi nam większe niebezpieczeństwo, niż się spodziewaliśmy. – Odwrócił się i ruszył z determinacją przez śnieżne zaspy.

– Strangyeardzie! – zawołał Sangfugol. – A niech to, nie zostanę tutaj sam. Idę z tobą, chociaż nie wiem, co to znowu za szaleństwo. – Przeszedł przez murek. – Idziesz w samo serce bitwy! – zawołał. – Trafi cię strzała!

– Muszę odnaleźć Isgrimnura! – krzyknął przez ramię Strangyeard.

Harfiarz pobiegł za nim, przeklinając siarczyście.

ISORN MA RACJĘ, PANIE – powiedział Sludig. – Jeśli przekroczymy bramę, musi to być potężny atak. Ludzie widzieli już Nornów i boją się. Jeśli się zawahamy, Król znowu uzyska przewagę. Kto wie, co się stanie, jeśli on zrobi wypad i przyjdzie nam walczyć pod górę?

Isgrimnur wpatrywał się w wysokie mury Hayholt. W taką pogodę dzieło człowieka, nawet tak ogromne jak Hayholt, wydawało się malutkie. Może rzeczywiście uda im się sforsować bramę. Może Sludig i pozostali

mają rację co do tego, że królestwo Eliasa przypomina gnijący owoc, który lada moment spadnie z gałęzi.

Po raz kolejny nad wieżami pojawił się dziwny błysk. Po niebie przetoczył się grzmot, a zaraz za nim rozległo się głośne uderzenie taranu.

– Idź więc. – Isgrimnur zwrócił się do Sludiga. Jego podwładny nie zsiadł z konia, a tylko podjechał do krawędzi pomostu, na którym stał książę. – Hotvig i jego jeźdźcy wciąż czekają na skraju Kynswood. Albo nie. Zostań tutaj. – Isgrimnur przywołał jednego z posłańców i przekazawszy mu wiadomość do Thrithinga, natychmiast go odesłał. – Wracaj do Isorna, Sludigu. Powiedz mu, żeby trzymał się dzielnie i niech najpierw pójdzie uzbrojona piechota. Nie będzie tutaj żadnych szarż, które przejdą do legendy.

Gdy tylko książę skończył to mówić, taran uderzył w Bramę Nearulagh. Belki ugięły się nieco do środka, jakby ogromne rygle puszczały powoli.

– Tak, panie. – Sludig odwrócił wierzchowca w kierunku murów.

Inżynierowie ponownie popchnęli taran. Okuty żelazem łeb uderzył w bramę. Długi kawał drewna wyleciał w powietrze; nawet poprzez wycie burzy Isgrimnur słyszał podniecone okrzyki swoich ludzi. Odciągnięto machinę i puszczono ją jeszcze raz. Brama Nearulagh zadrżała i wpadła do wnętrza, wyrzucając w powietrze lawinę belek i rzeźb. Śnieg zawirował w wybitej dziurze. Isgrimnur wytrzeszczył oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył. Kiedy opadł śnieg, w dziurze pojawiło się kilkudziesięciu pikinierów z zamku, gotowych do ataku. Nie nastąpił atak ogromnej armii.

Minęła długa chwila, zanim obie strony ujrzały się poprzez padający śnieg. Wydawało się, że żadna z nich nie może się ruszyć, zaskoczona tym, co się stało. Wtedy mała postać w złocistym hełmie uniosła miecz i ruszyła do przodu. Kilkudziesięciu rycerzy i kilka tysięcy piechurów popędziło w stronę dziury w murach Hayholt.

– A niech mnie, Isornie! – zawołał książę Isgrimnur. Tak bardzo pochylił się do przodu, że nieomal stracił równowagę i spadł z obserwacyjnej platformy. – Wracaj! Gdzie jest Sludig? Sludigu! Zatrzymaj go! – Ktoś ciągnął go za rękaw, odciągając od krawędzi pomostu, lecz Isgrimnur nie zwracał na niego uwagi. – Czy on nie widzi, że to jest za łatwe? Isornie! – zawołał, chociaż wiedział, że jego syn nie może go usłyszeć. – Seriddan? Gdzie jesteś? Jedź za nim. Na czerwony młot Drora, gdzie są posłańcy?

– Książę Isgrimnurze! – Strangyeard nie puszczał z ręki rękawa księcia.

– Odczep się! – wrzasnął Isgrimnur. – Niepotrzebny mi duchowny, ale konni rycerze. Jeremiasie, biegnij do Seriddana! – zawołał. – Isorn wyrwał się do przodu! Powiedz baronowi, żeby ruszał!

Strangyeard nie ustępował.

– Proszę, książę Isgrimnurze, musisz mnie wysłuchać!

– Nie teraz, człowieku! Mój syn zaatakował jak ostatni głupiec. Pewnie wydaje mu się, że jest Camarisem, a mówiłem mu! – Książę chodził po platformie, upewniając się, że wszyscy wpadli w równie szalone podniecenie jak on sam. Duchowny chodził za nim jak piesek, który obszczekuje byka. Wreszcie chwycił Isgrimnura za opończę i pociągnął tak mocno, że o mało go nie przewrócił.

– Na wszystkie świętości, Isgrimnurze! – zawołał. – Musisz mnie wysłuchać!

Książę spojrzał na czerwoną twarz duchownego. Opaska z oka zsunęła mu się prawie na nos.

– Czego chcesz? Wyważyliśmy bramę! Człowieku, toczy się wojna!

– Nornowie z pewnością wiedzą o tunelach – powiedział Strangyeard. Isgrimnur dostrzegł skulonego obok platformy Sangfugola i przez moment

zastanawiał się, co duchowny i harfiarz robią w miejscu, które zupełnie nie jest dla nich odpowiednie.

– O czym ty mówisz?

– Muszą o nich wiedzieć. Skoro nam przyszło do głowy, żeby posłać kogoś pod murami zamku...

Odgłosy ludzi atakujących w górę w kierunku strzaskanej bramy, a nawet uderzenie grzmotu i wycie wiatru zostały nagle zagłuszone przez przeraźliwy zgrzyt, jakby ktoś przejechał paznokciami po kamiennej płytce.

– Miłościwy Aedonie! – powiedział Isgrimnur, wpatrując się w Hayholt. – Nie!

Ostatni spośród ludzi Isorna zniknęli w dziurze. Tuż za ich plecami wśród tumanów śniegu i gruzu zaczęła wznosić się druga brama. Rosła szybko ku górze, zgrzytając jak zęby ogra miażdżące kości. Po kilku chwilach mur znowu był cały. Pod warstwą błota i śniegu widać było matowe, żelazne płyty nowej bramy.

– Boże dopomóż mi, miałem rację – jęknął Isgrimnur. – Złapali w pułapkę Isorna i pozostałych. Słodki Usiresie. – Patrzył przerażony, jak inżynierowie pchali taran w kierunku drugiej bramy. Okute żelazem drewno nie ustąpiło nawet na cal.

– Myślą, że schwytali Camarisa – powiedział Strangyeard. – Dlatego to zaplanowali.

Isgrimnur odwrócił się i chwycił duchownego za sutannę, zbliżając swoją twarz do jego.

– Wiedziałeś? Wiedziałeś?

– Dobry Boże, Isgrimnurze, nie. Ale teraz to widzę.

Książę puścił go i zaczął wykrzykiwać kolejne rozkazy, wysyłając więcej łuczników na pomoc inżynierom, atakowanym zaciekle przez obrońców z murów.

– I znajdźcie mi tego cholernego sithijskiego generała! – ryknął. – Tego ubranego na zielono! Oni muszą pomóc nam zwalić nową bramę!

– Isgrimnurze, musisz mnie wysłuchać – powiedział duchowny. – Skoro Sithowie wiedzą o tunelach, wiedzą o nich także Nornowie. Król Burz za swego życia był panem Asu’a!

– No to co? Mów jasno! – wściekał się Isgrimnur. – Mój syn został tam uwięziony zaledwie z paroma ludźmi. Musimy wyważyć nową bramę i dołączyć do niego.

– Myślę, że musisz spojrzeć... – zaczął Strangyeard, kiedy znowu rozległy się podniecone okrzyki. Tym razem dobiegały zza pleców Isgrimnura.

– Idą przez Erchester! – zawołał ktoś. – Patrzcie! Białe Lisy!

– Chciałem właśnie powiedzieć, że musisz obejrzeć się do tyłu. – Strangyeard pokręcił głową. – Skoro my mogliśmy przejść pod murami, to i oni mogli to zrobić.

Nawet przy tak słabej widoczności można było się zorientować, że nadchodzący Główną Aleją Erchesteru nie są ludźmi. Białe twarze błyskały w mroku. Białe dłonie ściskały długie, ostre włócznie. Teraz kiedy zostali już dostrzeżeni i nie musieli się skradać, zaczęli śpiewać; ich pełna triumfu pieśń boleśnie opadła na Isgrimnura.

Książę pozwolił sobie na chwilę rozpaczy.

– Odkupicielu, uchroń nas, wpadliśmy w potrzask jak króliki. – Poklepał duchownego po ramieniu w milczącej podzięce i stanął na środku pomostu. – Do mnie, żołnierze Josui! Do mnie! – Dał znak Jeremiasowi, by podprowadził konia.

Nornowie zbliżali się Główną Aleją, śpiewając.

56. Na brzegu Stawu

W GÓRĘ DO DRZEWA... – mamrotał Guthwulf. Simon poczuł, że jego twarz jest rozpalona i lepka od potu. – Do płonącego drzewa. Chce iść...

Stan hrabiego pogarszał się i Simon nie wiedział, co robić. Sam był jeszcze bardzo obolały od swoich ran, prawie nic nie wiedział o leczeniu, a poza tym znajdował się w ciemności, nie mając niczego, co mogłoby ulżyć Guthwulfowi. Wydawało mu się, że ktoś kiedyś powiedział, iż gorączka musi się sama wypalić, dlatego przykrył hrabiego szmatami z podłogi, lecz poczuł się jak zdrajca, kładąc ciepłe rzeczy na kogoś, kto sam wydawał się żywym płomieniem.

Zupełnie bezradny usiadł obok Guthwulfa, słuchając jego majaczeń i modląc się, by hrabia przeżył. Z trudem oddychał, a nawet z trudem myślał, przytłoczony ciemnością, która zdawała się opadać na niego jak miażdżące fale oceanu. Starał się zająć czymś, przypominając sobie rzeczy, które widział, i miejsca, które odwiedził. Ponad wszystko pragnął coś zrobić, lecz wydawało się, że może jedynie czekać. Nie chciał znowu pozostać sam w pustej ciemności.

Coś dotknęło jego nogi i Simon wyciągnął rękę, myśląc, że to Guthwulf szuka jego dłoni. Lecz jego palce trafiły na coś ciepłego i pokrytego sierścią. Krzyknął przerażony i cofnął dłoń, spodziewając się szczura albo czegoś gorszego, co wpełznie za chwilę na niego. Nic takiego jednak się nie zdarzyło, więc przykucnął i znieruchomiał. Po długiej chwili poczucie

odpowiedzialności za Guthwulfa jednak zwyciężyło i Simon przysunął się z powrotem do hrabiego. Wyciągnąwszy ostrożnie rękę, znowu trafił na porośniętą futrem istotę, która cofnęła się, lecz nie uciekła. Był to kot.

Simon roześmiał się bezgłośnie i pogłaskał zwierzę. Kot wygiął grzbiet, lecz nie zbliżył się do niego. Zamiast tego przytulił się do Guthwulfa, a ślepiec prawie natychmiast się uspokoił: jego ruchy nie były już tak gorączkowe, oddech stał się bardziej regularny. Najwyraźniej obecność kota przyniosła mu ulgę. Simon także poczuł się trochę mniej samotny i postanowił uważać, by nie spłoszyć zwierzęcia. Przyniósł resztę chleba i podsunął kotu kawałek pod nos, lecz ten powąchał tylko. Simon sam zjadł kilka kawałków, a potem ułożył się wygodnie do snu.

OBUDZIŁ SIĘ NAGLE, ŚWIADOMY TEGO, że coś się stało. W ciemności nie sposób było dostrzec jakiejkolwiek zmiany, lecz on miał uczucie, że coś się zmieniło, że nagle znalazł się w nieznanym miejscu, nie wiedząc jak i dlaczego. Łachmany, którymi się owinął, były jednak te same, słyszał ten sam, choć bardziej spokojny, świszczący oddech Guthwulfa. Simon podczołgał się do hrabiego, odsunął mruczącego kota i z radością stwierdził, że kończyny ślepca nie są już tak napięte. Może gorączka mijała. Może kot towarzyszył mu już wcześniej i teraz jego obecność pozwoliła Guthwulfowi odzyskać choć trochę zmysły. W każdym razie hrabia był o wiele spokojniejszy. Simon pozwolił kotu wtulić się z powrotem. Poczuł się dziwnie, nie słysząc głosu Guthwulfa.

W początkowym okresie gorączki hrabia tylko na krótko powracał do przytomności, chociaż towarzyszące mu stale głosy i dotychczasowa samotność tak nim owładnęły, że trudno było rozeznać z jego słów, co jest rzeczywistością, a co tylko okropnym snem. Opowiadał o pełzaniu w ciemności, by zdobyć Biały Gwóźdź, chociaż nigdy nie wyrażał się

o nim jak o mieczu, lecz raczej jak o czymś żywym, co go wzywało. Simon przypomniał sobie niepokojącą żywotność Ciernia, więc potrafił, przynajmniej w części, zrozumieć, o czym mówi hrabia.

Trudno było pojąć opowieść na wpół szalonego ślepca, lecz kiedy Guthwulf mówił, Simon wyobraził sobie, jak hrabia wędruje tunelami, kuszony przez coś, co przywoływało go głosem, od którego nie mógł się wyzwolić. Wydawało się, że w swoich wędrówkach Guthwulf zaszedł daleko poza granicę, której zwykle nie przekraczał, dlatego czuł i słyszał wiele okropnych rzeczy. Wreszcie dotarł do końca wąskich korytarzy i zaczął kopać, przedzierając się przez ostatnie warstwy ziemi, które oddzielały go od obiektu jego obsesji.

„Przekopał się do kurhanu Johna – zdał sobie nagle sprawę Simon. – Jak ślepy kret spragniony marchewki, który kopie i kopie...”

Guthwulf zdobył swoją nagrodę i w jakiś sposób udało mu się powrócić do swojego gniazda, lecz najwyraźniej nawet radość z posiadania tak upragnionej rzeczy nie odwiodła go od pozostania w ukryciu. Niewątpliwie zapuszczał się na zewnątrz – skąd miałby chleb i wodę – ale przyczyna musiała być bardziej złożona.

„Dlaczego przyszedł do mnie? – zastanawiał się Simon. – Dlaczego ryzykował, że zostanie złapany przez Incha? – Znowu przypomniał sobie Cierń i to uczucie, że miecz nieomal sam decydował, dokąd pójść. – Może Biały Gwóźdź chciał odnaleźć... mnie”.

Myśl ta wydała mu się upiornie kusząca. Jeśli Biały Gwóźdź zmierzał do straszliwego końca wojny, który się zbliżał, to może w jakiś sposób wyczuwał, że Guthwulf sam nie odważy się wyjść na zewnątrz. Tak jak Cierń wybrał Simona i jego przyjaciół, by przynieśli go z Urmsheim, a potem zanieśli do Camarisa, tak samo i Biały Gwóźdź mógł wybrać

Simona, aby ten zaniósł go do Wieży Zielonego Anioła i użył przeciwko Królowi Burz.

Przypomniało mu się jeszcze coś innego.

„W moim śnie Leleth powiedziała, że miecz jest częścią mojej historii. Czy to właśnie miała na myśli? – Nie potrafił przypomnieć sobie szczegółów, ale pamiętał mężczyznę o smutnej twarzy, który czekał na coś z mieczem na kolanach. – Czekał na smoka?”

Palce Simona zsunęły się z grzbietu kota i powędrowały wzdłuż ramienia Guthwulfa, aż dotarły do Białego Gwoździa. Hrabia jęknął, lecz nie protestował, kiedy Simon delikatnie oderwał jego palce od rękojeści miecza. Dłoń Simona z czcią przesuwała się po szorstkiej wypukłości Gwoździa, umieszczonego tuż pod osłoną. Gwóźdź z Drzewa Stracenia świętego Usiresa! Przypomniał sobie, że w samej rękojeści umieszczono jeszcze jakąś relikwię świętego Eahlstana. Miecz Prestera Johna. Nie chciało mu się wierzyć, że były podkuchenny dotyka czegoś takiego!

Simon zacisnął dłoń na rękojeści. Wydawała się... pasować. Leżała w jego dłoni tak, jakby została wykonana dla niego. Wszystkie inne myśli o mieczu, o Guthwulfie odeszły. Siedział w ciemności z uczuciem, że miecz jest przedłużeniem jego ramienia, jego samego. Nie zwracając uwagi na bolące mięśnie, wstał i przeciął ciemną pustkę przed sobą. Zaraz jednak przeraził się, że mógłby uderzyć mieczem w ścianę i stępić go. Usiadł więc, a potem powrócił do swojego kąta, gdzie położył się, przyciskając miecz do siebie, jakby tulił dziecko. Czuł niebezpieczne ostrze i chłód metalu, lecz nie chciał wypuścić miecza. Leżący pod przeciwległą ścianą Guthwulf poruszył się niespokojnie.

SIMON NIE POTRAFIŁ POWIEDZIEĆ, ile czasu minęło, czy spał, czy nie, lecz nagle usiadł ze świadomością, że czegoś mu brak: nie słyszał

oddechu hrabiego. Kiedy czołgał się po nierównej podłodze, przyszła mu do głowy szalona myśl, że Guthwulf poczuł się lepiej i poszedł dalej, lecz obecność miecza w jego dłoni zdawała się temu przeczyć. Ślepiec z pewnością nawet na chwilę nie oddałby nikomu miecza.

Kiedy Simon dotknął Guthwulfa, jego skóra była chłodna jak rzeczne błoto. Nie płakał, ale poczuł w sercu ucisk ogromnej straty. Współczuł nie Guthwulfowi, człowiekowi, którego, poza ostatnimi godzinami czy dniami choroby, znał zawsze jako przerażającą postać, ale sobie, znowu pogrążonemu w całkowitej samotności.

Nieomal w całkowitej samotności. Coś otarło się o jego nogę. Kot starał się zwrócić na siebie jego uwagę. Simon czuł, że zwierzę tęskni za swoim towarzyszem. Może kot liczył na to, że Simon potrafi obudzić Guthwulfa, skoro jemu się nie udało.

– Przykro mi – wyszeptał, przesuwając palcami po grzbiecie zwierzęcia i pociągając lekko za ogon. – On poszedł gdzie indziej. Ja też jestem samotny.

Czując wewnętrzną pustkę, siedział jakiś czas, pogrążony w myślach. Nie miał wyboru: musiał stawić czoło labiryntowi czarnych tuneli, chociaż wątpił, by samemu udało mu się odnaleźć wyjście. Dwukrotnie już przedzierał się przez piekielny labirynt i za każdym razem śmierć zbliżała się do niego tak, że słyszał jej cierpliwe kroki; nie chciało mu się wierzyć, że jeszcze raz dopisze mu szczęście. Ale z drugiej strony nie mógł zrobić nic innego. Gdzieś tam wysoko znajdowała się Wieża Zielonego Anioła, do której trzeba było zanieść Biały Gwóźdź. Zrobiłby to, nawet gdyby Josua i pozostali nie przynieśli Ciernia, chociaż wtedy i tak oznaczałoby to porażkę. Był to winien wszystkim tym, którzy oddali swoje drogie życie dla jego wolności.

Z trudem odłożył Biały Gwóźdź – bał się trochę zaborczości Guthwulfa, chociaż teraz nic już nie zagrażało mieczowi – lecz nie mógł niczego zrobić, trzymając go wciąż w dłoni. Oparł miecz o ścianę i zabrał się do nieprzyjemnego obowiązku rozebrania Guthwulfa. Kiedy ściągnął ze ślepca podarte łachmany, pozbierał z podłogi pozostałe i, naśladując duchownego z Domu Przygotowań, owinął nimi ciało. Jakaś jego część wyśmiewała się z tego, co robił dla kogoś, kto za życia nie był kochany przez innych, a teraz leżał pozostawiony samemu sobie, lecz Simon postanowił, że odwdzięczy się ślepcowi. Morgenes i Maegwin oddali za niego swoje życie i nikt nie złożył im hołdu, nie było żadnych ceremonii, jedynie wdzięczność w sercu Simona. Niech przynajmniej Guthwulf przybędzie na Pola Poza zapowiedziany.

Wstał.

„*Niech Pan nas strzeże* – zaczął, starając się przypomnieć sobie słowa Modlitwy za Zmarłych. – *A Usires, Jego jedyny Syn, niech cię uniesie*.

Obyś został poniesiony w zielone doliny

Jego królestwa,

Gdzie dusze dobrych i prawych śpiewają na wzgórzach,

A aniołowie wśród drzew

Głoszą radość głosem Boga...”

– Dziękuję, Guthwulfie – powiedział, skończywszy się modlić. – Wybacz, że zabieram ci miecz, ale spróbuję zrobić to, co powinno zostać zrobione.

Zrobił znak Drzewa – w nadziei, że pomimo ciemności Bóg dostrzeże Guthwulfa, kiedy ten stanie wreszcie przed Jego obliczem – po czym włożył jego ubranie i buty. Jeszcze rok temu zastanawiałby się, czy wkładać rzeczy zmarłego, lecz od tamtego czasu tak często ocierał się o śmierć, że teraz zmysł praktyczny stał się jego głównym przewodnikiem. W jaskini

było ciepło i bezpiecznie, ale kto wie, jakie zimne wiatry i ostre skały czekały go jeszcze?

Kiedy wypił resztę wody z pucharu, kot znowu trącił go w nogę.

– Możesz pójść ze mną albo zostać – przemówił do zwierzęcia. – Zrobisz, jak zechcesz. – Wziął Biały Gwóźdź, owinął gałganem jego ostrze tuż pod rękojeścią, po czym opasał siebie i miecz pozbawionym sprzączki pasem Guthwulfa, tak by mieć wolne ręce. Poczuł ogromną ulgę, mając go znowu przy sobie.

Kiedy zaczął posuwać się w kierunku wyjścia z jaskini, poczuł, że kot jest z nim, że ociera się o jego kostki.

– Przewrócę się – powiedział. – Przestań.

Przeszedł kawałek korytarzem, ale kot znowu zaplątał mu się między nogi. Schylił się i zaraz roześmiał ze swojej głupoty, że próbuje chwycić kota w ciemności. Zwierzę wysunęło się spod jego dłoni i odeszło w przeciwnym kierunku. Simon zatrzymał się.

– Tamtędy, nie tędy? – powiedział głośno. Wzruszył ramionami i znowu się roześmiał. Pomimo całego horroru, jaki za sobą zostawił, i jaki go jeszcze czekał, poczuł się dziwnie wolny. – Dobrze. W takim razie pójdę za tobą. Co pewnie oznacza, że wyląduję w największej w całym Osten Ard szczurzej norze.

Kot otarł się o niego i ruszył korytarzem. Przyłożywszy dłoń do ściany, Simon ruszył za nim, pogrążony w całkowitej ciemności.

YIS-HADRA ZATRZYMAŁA SIĘ u podnóża schodów i powiedziała coś śpiewnie do swojego męża. Yis-fidri odpowiedział. Oboje pochylili się nad popękaną balustradą.

– To jest to miejsce – powiedział Yis-fidri. – Jeśli pójdziecie tymi schodami do góry, dojdziecie do zamku śmiertelników, wybudowanego na tym zamku.

– Gdzie? – spytała Miriamele. Rzuciła na podłogę łuk i torbę, po czym usiadła na schodach. – Gdzie jest zamek?

– Nie wiemy – powiedziała Yis-hadra. – Wszystko zostało wybudowane po naszym odejściu. Żaden spośród Tinukeda’ya nie dotykał tych kamieni.

– A co z wami? Dokąd pójdziecie? – Spojrzała w górę schodów. Wznosiły się o wiele wyżej, ponad krąg słabego światła pałeczek karlaków.

– Znajdziemy inne miejsce. – Yis-fidri spojrzał na żonę. – Niewielu nas już zostało, lecz wciąż jeszcze istnieją miejsca, które z radością powitają nasze oczy i dłonie.

– Czas na nas – odezwał się Binabik. – Kto wie, jak daleko są Nornowie.

– Dlaczego nie pójdziecie z nami? – spytała Miriamele. – Jesteście silni, możemy to wykorzystać. Chyba już wiecie, że nasza walka jest także i waszą.

Yis-fidri zadrżał i wzniósł ramiona, jakby chciał się obronić przed ciosem.

– Nie rozumiesz? My nie należymy do świata światła, do świata Sudhoda’ya. I tak już zmieniliśmy się pod waszym wpływem, robiliśmy rzeczy, których normalnie Tinukeda’ya nie robią. Za...zabiliśmy kilku spośród tych, którzy kiedyś byli naszymi panami. – Szepnął coś w swoim języku do Yis-hadry i pozostałych karlaków, które natychmiast odpowiedziały żałosnymi jękami. – Będziemy potrzebowali dużo czasu, żeby nauczyć się z tym żyć. My nie należymy do tego świata na górze. Pozwólcie nam powrócić do naszych ciemności.

Binabik, który dużo rozmawiał z Yis-fidrim w czasie ich ucieczki, wystąpił do przodu i wyciągnął rękę.

– Obyście znaleźli bezpieczne miejsce.

Karlak przyglądał mu się przez chwilę, jakby nie rozumiał jego słów, po czym sam wyciągnął długie ramię i owinął swoje pająkowate palce wokół dłoni trolla.

– I ja wam tego życzę. Nie będę wyjawiał wam swoich myśli, gdyż nie są one szczęśliwe.

Miriamele zacisnęła usta, żeby nie odpowiedzieć zaczepnie. Karlaki pragnęły odejść. Spełniły obietnicę, którą na nich wymusiła. Były już wystarczająco przestraszone i nieszczęśliwe. Nad ziemią mogłyby okazać się ciężarem.

– Żegnaj, Yis-fidri – powiedziała i odwróciła się do jego żony. – Yis-hadra, dziękuję ci za to, że pokazałaś mi, jak opiekować się kamieniem.

Yis-hadra skinęła głową.

– Niech ci się dobrze wiedzie.

Kiedy to mówiła, światło pałeczek zadrżało, cała podziemna komnata jakby poruszyła się; w następnej chwili wszystko było tak jak przedtem, ale karlaki zaczęły rozmawiać między sobą podekscytowane.

– Musimy już iść. – Binabik wszedł na schody i odwrócił się. – Gdzie jest mnich?

Miriamele obejrzała się. Cadrach, który przez cały czas trzymał się z tyłu, za karlakami, siedział pod ścianą z przymkniętymi oczami. Wydawało się, że drgnął, kiedy padło na niego światło pochodni Binabika.

– On już na nic się nie przyda. – Schyliła się po swoją torbę. – Powinniśmy go tutaj zostawić. Pójdzie za nami, jeśli będzie chciał.

Binabik spojrzał na nią uważnie.

– Pomóż mu, Miriamele. Inaczej znajdą go Nornowie.

Nie była pewna, czy mnich właśnie na to zasługiwał, ale wzruszyła ramionami i podeszła do Cadracha. Kiedy trąciła go w ramię, wstał powoli.

– Idziemy.

Cadrach patrzył na nią przez chwilę.

– Ach – wyszeptał i poszedł za Miriamele schodami.

TIAMAK I JOSUA ROZGLĄDALI SIĘ w zdumieniu, idąc za Sithami, którzy prowadzili ich coraz głębiej w ciemność pod Hayholt.

– Jakież tu skarby! – dziwił się Josua. – I pomyśleć, że czekało to pode mną przez wszystkie te lata. Życia by nie starczyło, żeby to wszystko zbadać...

Tiamak także nie mógł wyjść z podziwu. Prosto ciosane ściany zewnętrznych korytarzy ustąpiły miejsca przepychowi, jakiego Wrańczyk nie byłby w stanie nawet sobie wyobrazić. Całą powierzchnię ogromnych komnat, pracowicie wyżłobionych w żywym kamieniu, pokrywały delikatne rzeźby; niekończące się, kruche i piękne jak pajęczyna schody pięły się w górę, znikając w pustce ciemności; jedne komnaty wyrzeźbiono na podobieństwo leśnych dolin, inne górskich zboczy z wodospadami, a wszystko z kamienia – nawet w postaci kruszących się ruin Asu’a wydawał się zdumiewający.

„Wy, Którzy Patrzycie i Rządzicie – pomyślał Tiamak. – Taki widok wart jest mojego cierpienia. Za te chwile warto było pójść do gniazda ghantów”.

W miarę jak posuwali się krętymi korytarzami, Tiamak zdołał odwrócić swoją uwagę od cudów, które mijali, na tyle, by zauważyć, że Sithowie dziwnie się zachowują. Kiedy wreszcie Likimeya i jej towarzysze

zatrzymali się w wysokiej komnacie, której ogromne, łukowate okna wypełniał gruz, Tiamak usiadł obok Aditu.

– Wybacz, jeśli moje pytanie będzie niegrzeczne – powiedział cicho – ale czy twoi ludzie opłakują wasz dawny dom? Wydajecie się... roztargnieni.

Aditu przechyliła głowę, wyciągając długą szyję.

– W jakimś sensie tak. Smutno jest oglądać piękne rzeczy, które wybudowali nasi ludzie, w takim stanie; szczególnie przykre jest to dla tych, którzy tutaj mieszkali... – Wykonała jakiś skomplikowany gest. – Dla nich to bardzo bolesne. Czy pamiętasz ogromną komnatę ze schodami ozdobionymi kwiatami, Komnatę Pięciorga Schodów, jak ją nazywamy?

– Długo tam siedzieliśmy – powiedział Tiamak.

– Tam umarła matka mojej matki, Briseyu Puszek Świtu.

Wrańczyk przypomniał sobie, jak Likimeya stała długo nieruchomo na środku rozległej komnaty. Czy ktoś potrafił zrozumieć nieśmiertelnych?

Aditu pokręciła głową.

– Ale nie tylko z tego powodu jesteśmy, jak to powiedziałeś, roztargnieni. Wyczuwamy... obecność rzeczy, których nie powinno być tutaj.

Tiamak sam doświadczył tego, o czym teraz wspomniała Aditu: powiew wiatru na plecach, który przypominał dotyk palców, echa do złudzenia przypominające ludzkie głosy.

– Co to znaczy?

– Coś obudziło się w Asu’a, coś, co nie powinno było się obudzić. Trudno mi to wyjaśnić. Cokolwiek by to było, nadało ono pozory życia czemuś, co nie powinno żyć.

Tiamak zmarszczył czoło, niepewny, czy dobrze zrozumiał.

– Mówisz o... duchach?

Na ustach Aditu pojawił się cień uśmiechu.

– Nie, jeśli zrozumiałam Pierwszą Babkę, kiedy uczyła mnie znaczenia tego słowa śmiertelników. Nie o takich istotach mówiłam. Ale trudno jest pokazać różnicę. Wasz język nie jest do tego dobry, a poza tym wy nie widzicie i nie czujecie tego, co my robimy.

– Skąd wiesz? – Tiamak zerknął na Josuę, lecz książę nie odrywał wzroku od bogato zdobionych ścian.

– Gdyby było inaczej – odparła Aditu – nie siedzielibyście tutaj tak spokojnie. – Wstała i poszła, omijając gruzy, do rozmawiających cicho Jirikiego i Likimeyi.

Tiamak nagle poczuł się otoczony przez niebezpieczeństwo w samym środku pustki. Przysunął się do Josui.

– Czy czujesz to, książę Josuo? – spytał. – Sithowie czują. Boją się.

Książę spojrzał na niego ponuro.

– Wszyscy się boimy. Myślałem, że będę miał całą noc na to, żeby przygotować się do tej podróży, ale Camaris mi na to nie pozwolił. Staram się nie myśleć o tym, dokąd idziemy.

– A do tego nie wiemy, co robić, kiedy już tam dotrzemy – zauważył smutno Tiamak. – Czy kiedykolwiek miała miejsce tak chaotyczna wojna? – Zawahał się. – Nie mam prawa pytać cię, książę Josuo, ale dlaczego poszedłeś za Camarisem? Z pewnością ktoś mniej znaczący dla nas mógł spróbować go odnaleźć.

Książę patrzył przed siebie.

– Byłem sam. Chciałem go przyprowadzić, zanim stracimy go z oczu. – Westchnął. – Bałem się, że inni przyjdą za późno. Ale ponad wszystko...

Dziwne poruszenie w kamieniu i powietrzu znowu się powtórzyło, a Josua urwał w pół słowa. Światła Sithów zadrżały, lecz oni sami

wydawali się niewzruszeni. Przez krótką chwilę Tiamak miał wrażenie, że wyczuwa obecność obcych, przemykających cieni. Lecz zaraz uczucie to przeminęło i wszystko było tak jak przedtem, może poza ledwie dostrzegalnym zapachem dymu.

– Miłościwy Aedonie! – Josua spojrzał w dół na swoje stopy, jakby zdumiony faktem, że jeszcze stoją na ziemi. – Co to za miejsce?

Jiriki odwrócił się do śmiertelników.

– Musimy iść szybciej – powiedział. – Wytrzymacie?

– Boli mnie noga – odparł Wrańczyk. – Ale się postaram.

Josua położył dłoń na ramieniu Wrańczyka.

– Nie zostawię cię. W razie potrzeby mogę cię nieść.

Tiamak uśmiechnął się poruszony słowami księcia.

– Myślę, że nie będzie to konieczne.

– Chodźmy zatem. Sithowie bardzo się śpieszą. Nie możemy ich zatrzymywać.

Ruszyli szybko krętymi korytarzami. Obserwując plecy Sithów, Tiamak nie miał wątpliwości, że gdyby tylko się zdecydowali, bez trudu zostawiliby za sobą śmiertelnych towarzyszy. Ale tego nie zrobili, a to już wiele mówiło: Sithowie wierzyli, że Tiamak i Josua mogą się okazać przydatni. Nie zważając na ból, szedł raźno przed siebie.

Tiamak miał wrażenie, że biegną już od wielu godzin, choć nie potrafił powiedzieć, czy rzeczywiście upłynęło tyle czasu; podobnie jak sam Asu’a wydawał się wciąż zmieniać, tak samo i czas posuwał się w taki sposób, że Tiamak nie potrafił już dłużej ufać swoim zmysłom. Czasem wydawało się, że długa chwila upływa między jednym krokiem a drugim, a potem nagle biegł jakby w innej części ruin zamku.

„Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku, nie pozwól mi stracić zmysłów, zanim zrobię to, co mam do zrobienia” – modlił się. Idący obok niego

książę także wydawał się głęboko zatopiony w myślach.

Przez jakiś czas Sithowie tak bardzo się oddalili, że ich światła stały się ledwie widocznym blaskiem w tunelu przed nimi. Kula Tiamaka podskakiwała w jego dłoni, mrugając często; razem z Josuą brnęli przez gruzy, które ledwie widzieli, kalecząc się często, lecz wreszcie udało im się dogonić Sithów.

Sithowie zatrzymali się w wysokim przejściu zwieńczonym łukiem, widoczni na tle rozproszonego światła wydobywającego się z wnętrza komnaty. Zatrzymując się przy nich, Tiamak zastanawiał się zdyszany, czy może wreszcie dotarli do światła świata zewnętrznego. Wciągnął głęboko powietrze i spojrzał na przypominającego smoka węża, wyrzeźbionego na łuku wejścia. Jego ogon spuszczał się z jednej strony, by – wyrzeźbiony na podłodze – wspiąć się z drugiej i powrócić do nadproża; koniec ogona spoczywał w pysku zwierzęcia. Na tysiącach malutkich łusek wciąż widniały płatki farby. Przydymione światło wydobywające się zza Sithów sprawiało, że łuski wydawały się zniekształcone, dziwnie spłowiałe i pozbawione ostrych krawędzi. Jiriki odwrócił się i spojrzał na zdyszanych śmiertelników. Współczucie, widoczne na jego twarzy, ustępowało miejsca silniejszym emocjom.

– Tam jest Staw Trzech Głębin – powiedział. – Jeśli powiem wam, że jest to Wielki Świadek, to może będziecie w stanie wyobrazić sobie, jakie siły tutaj działają. Oto jedno z miejsc posiadających najpotężniejszą moc; ogromne bestie z Osten Ard przyszły kiedyś napić się z niego wody i podzielić niemą mądrością; miało to miejsce dawno przed tym, kiedy moi ludzie przybyli na tę ziemię.

– Dlaczego się tutaj zatrzymaliśmy? – spytał Josua. – Czy Camaris...?

– Może, a może był już tutaj i poszedł dalej. Jak powiedziałem, miejsce to posiada ogromną moc, gdyż jest ono jednym ze źródeł zmian, które

czujemy dookoła. Równie dobrze mógł się tutaj utopić. – Jiriki uniósł dłoń w ostrzegawczym geście. Po raz pierwszy Tiamak dostrzegł znużenie na twarzy nieśmiertelnego. – Proszę, nie róbcie niczego bez pytania. Nie dotykajcie niczego poza podłogą, po której idziemy. Jeśli coś przemówi do was, nie odpowiadajcie.

Tiamak poczuł chłodną falę strachu. Skinął głową. Na usta cisnęło mu się tysiące pytań, lecz napięcie na twarzy Sithy skutecznie je powstrzymało.

– Prowadź – powiedział Josua.

Sithowie przeszli ostrożnie pod łukiem i weszli do rozległej komnaty rozjaśnionej światłem, którego źródła nie sposób było dostrzec. Tam, gdzie Tiamakowi udało się dojrzeć ściany poprzez dziwnie mgliste powietrze, wydawały się one świeżo wzniesione i wzmocnione ogromnymi, rzeźbionymi kolumnami, które biegły wysoko ku niewidocznemu sufitowi. Staw, ogromna przestrzeń skrzącej się wody, znajdował się w samym środku komnaty. Okrągłe schody, których podest dotykał przeciwległego brzegu stawu, masywne, lecz odpowiednio proporcjonalne, wznosiły się spiralą ku górze i znikały we mgle.

W komnacie coś... żyło. Tiamak nie znalazł lepszego słowa, by opisać to uczucie. Nie potrafił powiedzieć, czy to sam staw mieniący się błękitnozielonym blaskiem, który wydawał się wydobywać z głębi, ale z pewnością istotą tego miejsca nie były tylko kamień i woda. Powietrze tutaj było napięte jak przed burzą, tak że Tiamak wstrzymał oddech, kiedy szli powoli. Sithowie posuwali się z niezwykłą ostrożnością niczym myśliwi tropiący rannego niedźwiedzia; rozproszywszy się wzdłuż brzegu, z każdym krokiem stawali się nieoczekiwanie bardziej oddaleni od Tiamaka. Przyćmione światło zamigotało.

– Camaris! – zawołał Josua.

Tiamak podniósł głowę, zdumiony. Książę wpatrywał się w coś poza najdalej stojącym Sithą; była to wysoka postać z długim cieniem w dłoni. Książę ruszył szybko wokół stawu, a z nim Sithowie. Tiamak zapomniał o bolącej nodze i pokuśtykał szybko za pozostałymi.

Przez moment wydawało mu się, że książę się pomylił, że ten, kogo widzieli, nie był Camarisem. Przez ułamek chwili ujrzał kogoś zupełnie innego: postać o kruczoczarnych włosach, ubraną w dziwną szatę, z rozgałęziającą się koroną na głowie. Wtedy komnata jakby zadrżała i przechyliła się, a Wrańczyk się potknął. Kiedy znowu odzyskał równowagę, przekonał się, że rzeczywiście był to stary rycerz. Camaris dostrzegł zbliżające się postacie i zrobił krok do tyłu; błądząc przerażonym wzrokiem, uniósł przed sobą miecz. Josua i Sithowie zatrzymali się poza jego zasięgiem.

– Camarisie – przemówił książę. – To ja, Josua. Spójrz. Szukałem ciebie.

Starzec utkwił w nim wzrok, lecz miecz wciąż pozostawał w pozycji obronnej.

– Grzeszny jest ten świat – powiedział ochryple.

– Pójdę z tobą – powiedział Josua. – Pójdę, dokąd zechcesz. Nie obawiaj się. Nie będę cię zatrzymywał.

Głos Likimeyi zabrzmiał zaskakująco łagodnie.

– Możemy ci pomóc, *Hikka Ti-tuno*. Nie będziemy cię zatrzymywać, ale możemy ulżyć twemu cierpieniu. – Zrobiła krok do przodu z dłońmi zwróconymi ku górze. – Czy pamiętasz Amerasu Urodzoną Na Statku?

Usta starca wykrzywił grymas bólu albo strachu, a on sam wykonał ruch, jakby miał zamiar zadać cios. Miecz ciemnowłosego Kuroyi syknął cicho wysuwany z pochwy, kiedy Sitha stanął przed Likimeyą.

– Nie trzeba – powiedziała chłodno. – Odłóż miecz.

Wysoki Sitha wahał się przez chwilę, lecz wsunął miecz z magicznego drewna z powrotem do pochwy. Camaris znowu opuścił Cierń.

– Szkoda. – W głosie Kuroyi zabrzmiała nuta szczerego żalu. – Zawsze zastanawiałem się, jak to jest walczyć z największym spośród śmiertelnych wojowników...

Zanim ktokolwiek zdążyć coś jeszcze powiedzieć, światło zamigotało gwałtownie i w komnacie zapadła ciemność. Po chwili powróciło, lecz teraz było niebieskawe jak środek płomienia. Tiamak poczuł mroźny wiatr, który wydawał się przenikać jego ciało, a napięcie w powietrzu jeszcze wzrosło, aż poczuł dudnienie w uszach.

– Jak wy kochacie śmiertelników. – Straszliwy głos zabrzmiał w jego myślach i przeniknął całe jego ciało, jakby oblazły go robaki. – Nie możecie zostawić ich samych.

Tiamak i pozostali odwrócili się. Z kotłującej się za nimi mgły wyłaniała się postać ubrana w jasne szaty, z twarzą zasłoniętą srebrzystą maską, siedząca na tronie zawieszonym w powietrzu. Chorobliwie niebieskawe światło nie sięgało zbyt daleko poza wodę, tak że komnata tonęła teraz w cieniu. Wrańczyk poczuł paraliżujący go strach. Nie mógł się poruszyć; modlił się tylko, by nie został zauważony. Królowa Burzowej Góry – kto inny mógłby to być? – była równie przerażająca jak koszmary Tej, Która Czeka, By Wszystko Zabrać.

Likimeya skinęła głową. Stała wyprężona, jakby nawet mówienie było dla niej zbyt dużym wysiłkiem.

– Tak więc, Najstarsza, znalazłaś drogę do Stawu Trzech Głębin. Ale to nie znaczy jeszcze, że możesz go wykorzystać.

Postać w masce nie poruszyła się, lecz Tiamak czuł, że emanuje z niej coś na podobieństwo triumfu.

– Uciszyłam Amerasu, złamałam ją, zanim dobił ją mój łowczy. Czy myślisz, dziecino, że możesz się z nią równać?

– Sama nie. Ale są ze mną inni.

– Inne dzieci. – Dłoń w jasnej rękawicy uniosła się, rozpraszając wirującą mgłę.

Tiamak kątem oka dostrzegł jakiś ruch na krawędzi koła, jakie tworzyły stojące wokół niego postacie, lecz nie potrafił oderwać wzroku od srebrzystej maski.

– Camaris! – zawołał Josua. – On odchodzi!

– Idź – powiedział Jiriki. – Ty też, Tiamaku. Idźcie za nim.

– A wy? – Głos księcia załamał się. – Jak znajdziecie drogę?

– On zmierza tam, gdzie jest wabiony. – Jiriki przysunął się do matki, która wydawała się już pogrążona w niemej walce z Królową Burz. Mięśnie na jej twarzy drżały. – Wy też tam musicie iść. Ta walka jest naszą walką. – Jiriki zwrócił się twarzą do stawu.

– Idźcie! – ponagliła ich Aditu. Pociągnęła Tiamaka za rękaw, popychając go w stronę Josui. – Wezwiemy moc Najstarszego Drzewa i spróbujemy ją zatrzymać najdłużej, jak się da, ale tutaj nie możemy powstrzymać jej ostatecznie. Utuk’ku już dotyka mocy Wielkiego Świadka. Czuję to.

– Ale co ona robi? Co się dzieje? – Tiamak słyszał swój przerażony głos.

– Nie widzimy tego – jęknęła Aditu, zaciskając mocno zęby. – Mamy wszystko, co jest potrzebne, by ją powstrzymać. Wy wraz z pozostałymi musicie dokończyć dzieła. To jest *nasza* bitwa. A teraz idźcie! – Odwróciła się od niego.

Pulsujące światło stawu stało się jaśniejsze, a wzdłuż ścian pojawiły się lawendowe płomienie, skaczące wściekle, jakby targane wiatrem. Powietrze

w całej komnacie było napięte jak skóra na bębnie. Tiamakowi wydawało się, że kurczy się, wije i rozlatuje pod wpływem zmagających się mocy. Coś niezwykle silnego, co jednak nie miało żadnej postaci, napierało na niego od strony stawu.

Sithowie, jakby przedzierając się przez straszliwą wichurę, stanęli w rzędzie, chwyciwszy się za ręce, i zaczęli śpiewać.

Na dźwięk pieśni Sithów światło stawu zadrżało gwałtownie. Tiamak patrzył bezradnie na rozjarzone mgły, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Wydawało się, że ściany wokół stawu pochyliły się do wnętrza, a potem odchyliły na zewnątrz, jakby cała komnata oddychała. Aditu zachwiała się i pochyliła do przodu, lecz stojący obok niej Jiriki pomógł jej się wyprostować; pieśń Sithów załamała się na chwilę, lecz zaraz znowu zabrzmiała głośniej.

W odpowiedzi na ich żałosną pieśń coś jeszcze zaczęło wyłaniać się z mgieł ponad powierzchnią stawu, coś, co szybko połączyło się z postacią Królowej Nornów. Miało to postać niewyraźnego, ogromnego pnia, kołyszących się gałęzi i liści, które drżały, jakby pieszczone wiatrem. Aditu powiedziała wcześniej „Najstarsze Drzewo”; Tiamak wyczuwał wiek emanujący z głębokich korzeni i ogromnych konarów. Przez chwilę poczuł nadzieję.

Jakby w odpowiedzi błękitne światło stawu rozjarzyło się jeszcze jaśniej, aż jego oślepiający blask wypełnił całą komnatę. Drzewo nie było już tak wyraźne. Wrańczyk zorientował się, że osuwa się na ziemię, kiedy fala mrożącej mocy popłynęła znad Stawu Trzech Głębin.

– Tiamaku!

Głos wydawał się bardzo odległy i dobiegał gdzieś z tyłu, ale to nie miało znaczenia. Nic nie mogło przeniknąć mgły, która wypełniała jego łzy, jego serce i myśli...

Zawieszona wysoko nad stawem, Królowa Nornów przypominała lodową postać, lecz w jej centrum pulsowało coś czarnego, a wokół jej głowy i maski strzelały purpurowobłękitne płomyki. Rozłożyła ramiona i zacisnęła pięści. Kuroyi krzyknął przeraźliwie i odpadł z szeregu Sithów, wijąc się na ziemi. Ciemnowłosy Sitha zaczął przybierać kolejno różne postacie, jakby czyjeś dłonie ugniatały go jak ciasto. Pozostali Sithowie odsunęli się do tyłu, a wtedy upiorne drzewo zniknęło natychmiast. Po kilku chwilach jednak odzyskali równowagę i zbliżyli się do siebie, by zamknąć lukę po Kuroyi. Walczyli jakby zanurzeni w głębokiej wodzie, próbując ponownie chwycić się za ręce. Leżący na ziemi Sitha przestał walczyć i znieruchomiał. Jego postać w niczym już nie przypominała człowieka.

Tiamak poczuł szarpnięcie, potem jeszcze jedno. Odwrócił się powoli. Josua krzyczał coś do niego, lecz on nie słyszał jego słów. Książę postawił go na nogi i zaczął ciągnąć za sobą. Serce Tiamaka biło wściekle. Nogi uginały się pod nim, lecz Josua wlókł go jeszcze jakiś czas po ziemi, dopóki Wrańczyk nie stanął mocno na nogach. Wtedy książę odwrócił się i pobiegł za Camarisem. Stary rycerz znajdował się kilkaset kroków przed nimi; szedł sztywno w kierunku ciemnego korytarza po drugiej stronie ogromnej komnaty. Tiamak pokuśtykał wolno za nimi.

Z tyłu znowu dobiegła pieśń Dzieci Świtu, lecz teraz nie brzmiała już tak równo. Na suficie jaskini pulsowało niebieskie światło, tak że cienie pojawiały się i znikały.

SIMON NIE PODDAWAŁ SIĘ STRACHOWI, chociaż czuł dokonujące się wokół niego zmiany, chociaż wciąż słyszał głosy, które ryczały lub kwiliły w ciemności. Przeżył koło, a potem zszedł do otchłani i powrócił z niej. Odzyskał życie, lecz nie trzymał się go tak kurczowo jak kiedyś,

dlatego teraz czuł, że mocniej ściska je w garści. Co znaczyły takie drobiazgi jak niewielki głód czy chwilowa ciemność? Bywał już głodny i chodził bez światła.

Kot biegł cicho przed nim; czasem zawracał, by otrzeć się o jego nogę, i dalej prowadził go krętymi tunelami. Już dawno Simon zdał się na jego przewodnictwo. Nic innego nie mógł zrobić.

Coś się działo dookoła niego, chociaż nie potrafił powiedzieć co. Jeszcze mocniej odczuwał obecność upiornych zjaw i dziwnych zmian, które teraz powracały z regularnością morskich fal przelewających się przed nim po plaży i wracających do morza. Starał się pozostać równie nieczuły na nie, jak na swój własny ból.

Idąc, Simon przesuwał dłońmi wzdłuż ścian ciemnych korytarzy; Biały Gwóźdź skrzypiał na kamieniu niczym macka chrząszcza, a palce Simona sunęły przez warstwy kurzu, wilgotnego mchu, pajęczyn i mniej przyjemnych rzeczy. Nic innego nie mógł zrobić. Wcześniej stawił czoło smokowi i cisnął mu swoje imię, poszedł w otchłań wykraczającą nawet poza sny i nie wypuścił życia. Nie mógł porzucić zadania, które wciąż pozostawało przed nim. Nie zrobi tego.

Wydawało się, że wraz ze zmianami otoczenia zmienia się też Biały Gwóźdź. W jednej chwili był tylko zwykłym mieczem, który obijał się biernie o jego biodro, a już w następnej pulsował w rytm drgań całego zamku, zamieniając się na moment w żywą istotę. W takich chwilach trudno było powiedzieć, czy któryś z nich był panem, czy też miecz i Simon, podobnie jak Simon i kot, byli dwoma stworzeniami, które podróżują razem, połączone dziwnymi więzami.

W takich chwilach słyszał w swoich myślach wezwanie miecza; był to jeszcze bardzo odległy odgłos, zaledwie strzęp pieśni, którą pewnie słyszał Guthwulf, a która stawała się coraz głośniejsza. W ułamkach chwil

wydawało mu się, że rozumie pieśń, jakby przemawiała do niego w języku dawno nieużywanym, który powoli wyłaniał się z głębin jego umysłu. Jednak nie chciał wcale zrozumieć, o czym śpiewa miecz. Bał się, że jeśli długo jeszcze będzie szedł w ciemności, to upodobni się do Guthwulfa, i nic już nie będzie do niego docierało poza nieodpartą pieśnią miecza.

Wierzył, że niebawem wyjdzie z ciemności.

I nadeszła chwila, kiedy kot się zatrzymał. Podszedł do Simona i zaczął się łasić wokół jego nóg, jakby domagał się pieszczot. Kiedy Simon go pogłaskał, kot trącił jego dłoń pyskiem, lecz nie poszedł dalej. Simon czekał, zastanawiając się, czy nie za bardzo zawierzył zwierzęciu.

– Którędy teraz? – powiedział. Jego głos odbił się słabym echem w wąskim korytarzu. – No, idź dalej, czekam.

Kot wciąż ocierał się o niego, mrucząc. Simon wyciągnął ramiona i zaczął macać ściany. Nie wiedział, czego szuka: może drzwi, które nie sięgały do samej podłogi. Zamiast tego jednak trafił na skalny występ prawie na wysokości głowy, a na nim talerz i przykrytą miskę.

„Byłem już tutaj! – pomyślał. – Chyba że jakiś szaleniec zostawia jedzenie w różnych korytarzach. Nawet jeśli, to niech mu będą dzięki”.

Simon odmówił modlitwę dziękczynną, biorąc z talerza chleb, suszone mięso i kawałek sera. Kiedy usiadł i zjadł wszystkiego po trochu, poczuł się znacznie lepiej. Najpierw wypił połowę wody, lecz po chwili wahania zdecydował się wypić resztę. Żałował, że nie ma bukłaka, tak więc skoro już musiał nieść wodę bez niego, to wolał, żeby znalazła się w jego żołądku.

Kot znowu trącił go przymilnie. Simon oderwał spory kawałek suszonego mięsa. Kot porwał go z taką łapczywością, że chwycił ostrymi zębami za jego palec. Resztę mięsa Simon schował do kieszeni koszuli. Wstał.

„Może już nie będzie chciał prowadzić mnie dalej – pomyślał. – Może chciał tylko się najeść”.

Kot jednak, jakby uznając, że rytuał został wypełniony, otarł się kilkakrotnie o jego kostki i ruszył przed siebie. Simon pochylił się i poczuł pod palcami najpierw głowę, potem grzbiet i ogon zwierzęcia. Uśmiechnął się niewidocznym w ciemności uśmiechem i poszedł za nim.

POCZĄTKOWO BYŁO TO COŚ prawie niedostrzegalnego, lecz stopniowo Simon zaczął dostrzegać ściany tunelu. Światło było tak słabe, że przez długi czas myślał, że to tylko jego oczy płatają mu figla, lecz w końcu dotarło do niego, że naprawdę widzi chropowatą powierzchnię, po której pełza jego dłoń. Także i kot przestał być tylko wrażeniem i przeistoczył się w niewyraźną plamę poruszającą się przed nim po podłodze.

Szedł dalej za cieniem-kotem krętym labiryntem korytarzy. Te były o wiele surowsze i prostsze niż tunele Asu’a i Simon zaczął nabierać pewności, że znowu znalazł się w zamku śmiertelników. Kiedy wynurzył się zza kolejnego zakrętu, nieziemskie światło przybrało formę pochodni umieszczonej na ścianie przy końcu korytarza.

Światło! Znowu światło! – Zapominając o bólu, opadł na kolana i przycisnął głowę do kamiennej podłogi. Został tak przez długą chwilę, drżąc. Światło! Powrócił do świata. – Dziękuję ci, Maegwin. Dziękuję ci, Guthwulfie.

Przed sobą widział szarą plamę kota na szarym kamieniu. Przez jego umysł przemknęło odległe wspomnienie.

„Ja już tego kota gdzieś widziałem, ale czy na pewno? W Hayholt było pełno szczurów”.

Poczuł nagłe napięcie w powietrzu i ściany zadrżały, a potem pochyliły się do wewnątrz, jakby chciały go uwięzić. Oczyma wyobraźni zobaczył ogromne drzewo targane wiatrem, jego konary odrywały się i wirując, odlatywały. Przez chwilę wydawało mu się, że został odwrócony na drugą stronę. Wizja dawno minęła i wszystko się uspokoiło, lecz Simon długo jeszcze klęczał z twarzą na podłodze, dysząc ciężko.

Jego czworonożny przewodnik zatrzymał się i rozejrzał, sprawdzając, czy Simon wciąż idzie za nim, po czym ruszył dalej, jakby dziwne zmiany go nie dotyczyły. Simon wstał.

Zwierzę zatrzymało się w łukowatym przejściu. Simon ujrzał wąskie schody prowadzące w górę, w ciemność. Kot otarł się o jego nogę, lecz pozostał na miejscu.

– Czy powinienem pójść na górę? – szepnął. Wsunął głowę za próg. Gdzieś wysoko w górze, ukryte za krętymi schodami, znajdowało się inne źródło światła. Przyglądał się długą chwilę kotu. Kot odwzajemnił spojrzenie, jego żółte oczy były szeroko otwarte. – Dobrze. – Dotknął Białego Gwoździa, upewniając się, że jego rękojeść nie zaplątała się w gałgany, którymi się opasał, i wszedł na schody. Kiedy wszedł na kilka pierwszych stopni, zatrzymał się i odwrócił. Kot wciąż siedział na środku korytarza. – Nie idziesz?

Szary kot wstał i poszedł wolno korytarzem. Nawet gdyby potrafił mówić, nie mógłby mu dać wyraźniej do zrozumienia, że od tej chwili każdy radzi sobie sam.

Simon uśmiechnął się ponuro.

Pewnie na całym świecie nie ma na tyle głupiego kota, żeby poszedł tam, dokąd ja idę.

Odwrócił się i podjął wspinaczkę.

SCHODY ZAPROWADZIŁY GO W KOŃCU do obszernego pokoju pozbawionego okien, rozjaśnionego tylko przez światło otwartego w suficie włazu. Wyszedłszy zza drewnianej bariery zasłaniającej schody, zorientował się, że jest w jednym ze składów poniżej refektarza. Był już tutaj kiedyś, tamtego okropnego dnia, kiedy znalazł księcia Josuę w lochach, lecz wtedy pokój ten wypełniała żywność i inne towary. Teraz widział tylko puste beczki, niektóre z nich rozbite. Pozostałości pokryła gęsta sieć pajęczyn, a w resztkach mąki rozsypanej na podłodze wyraźnie odbijały się ślady myszy. Wydawało się, że od jakiegoś czasu nikt nie zaglądał do tego pokoju.

Wiedział, że nad nim znajduje się refektarz i niezliczone budynki Mniejszego Zamku, nad którym wznosiła się jasna Wieża Zielonego Anioła. Kiedy pomyślał o niej, poczuł wyraźniej pieśń Białego Gwoździa.

– ...idź tam... – Był to szept gdzieś z granicy jego myśli.

Simon przystawił do włazu drabinę i zaczął się po niej wspinać. Trzeszczała złowrogo, ale wytrzymała. Poprzez jej skrzypiące narzekanie słyszał ciche szepty, jakby syczące głosy z tuneli przyszły za nim z ciemności.

W refektarzu nie było żadnego światła poza tym, które, pulsując nierówno, wlewało się przez wysokie okna. Większość ławek i stołów zabrano, pewnie na opał, a te, które pozostały, były porozrzucane albo połamane. Wszystko, nawet drzazgi porozbijanych przedmiotów, pokrywała warstwa kurzu, jakby zniszczenia dokonano wieki temu. Po jednym z rozbitych stołów przebiegła para szczurów, nie zwracając na Simona najmniejszej uwagi.

Odległe głosy, które słyszał już wcześniej, tutaj były wyraźniejsze – głównie wycie wiatru za oknem, ale czasem rozlegały się też okrzyki bólu, złości czy strachu. Simon spojrzał do góry i dostrzegł wpadające do pokoju

płatki śniegu. Wydało mu się, że Biały Gwóźdź poruszył się niespokojnie, jak polujące zwierzę, które wyczuło krew.

Jeszcze raz spojrzał na zniszczenie, jakie spadło na jego dom, po czym ruszył ostrożnie w kierunku wschodniego portyku. Znalazłszy się przy drzwiach, zobaczył, że ledwie wiszą na połamanych zawiasach i nie ma szans na otworzenie ich tak, żeby nie skrzypiały, lecz hałas, jaki rozlegał się za nimi, upewnił go, że nikt go nie usłyszy, nawet gdyby otworzył je kopnięciem. Złowrogie wycie wiatru wzmogło się, lecz jeszcze głośniej rozbrzmiewały krzyki i inne odgłosy, co sprawiało wrażenie, że tuż za drzwiami refektarza rozgrywa się ogromna bitwa.

Przykucnął i przyłożył oko do szpary powstałej w miejscu, gdzie drzwi nie dochodziły do framugi. Początkowo trudno było mu zorientować się, co widzi.

Rzeczywiście na zewnątrz toczyła się bitwa, a przynajmniej duże grupy żołnierzy przebiegały w jedną i drugą stronę. Ogólny chaos wzmagał jeszcze śnieg, który pokrywał zabłoconą ziemię i wirował w powietrzu niczym dym, zaciemniając widok; kawałek nieba, który dojrzał, pokrywały czarne chmury.

Rozbłysła błyskawica i wszystko w jednej chwili zamieniło się w jasne południe, a już w następnej wydawało się, że zgasło całe światło. Przypominało to bitwę u wrót Piekieł: wykrzywione wrzaskiem twarze, kwiczące konie, a wszystko to przetaczało się jak wściekłe morze po przysypanym śniegiem dziedzińcu. Próba przejścia przez ten oszalały żywioł oznaczałaby śmierć.

W oddali, daleko poza zasięgiem Simona, widniała Wieża Zielonego Anioła otoczona koroną piorunów. Niebo rozdarła kolejna błyskawica, jej łańcuch wydawał się otaczać wieżę. Odgłos grzmotu przeniknął jego ciało.

Spojrzawszy w górę w chwili jasności, ujrzał bladą twarz spoglądającą z jednego z okien dzwonnicy.

57. Fałszywy posłaniec

MIRIAMELE POTYKAŁA SIĘ CORAZ CZĘŚCIEJ zupełnie wyczerpana. Dziwiła się, jak to możliwe, że Binabik miał jeszcze siły się poruszać, chociaż jego nogi były o wiele krótsze. Była pewna, że wspina się po schodach już ponad godzinę. Skąd tam tyle stopni? Nawet gdyby wyruszyli ze środka ziemi, powinni już dotrzeć do Hayholt.

Zdyszana zatrzymała się, by otrzeć pot z czoła i obejrzeć się za siebie. Cadrach, ledwie widoczny w świetle pochodni, został dwie kondygnacje niżej. Musiała przyznać, że mnich się nie poddawał.

– Binabiku, zaczekaj! – zawołała. – Jeszcze... jeszcze jeden krok i... i odpadną mi nogi.

Troll zatrzymał się, odwrócił i zszedł niżej. Podał jej bukłak z wodą, a kiedy zaczęła pić, powiedział:

– Już prawie jesteśmy w zamku. Czuję zmianę w powietrzu.

Miriamele opadła ciężko na szeroki, gładki stopień, odkładając łuk i torbę, które już tyle razy chciała wyrzucić.

– W powietrzu? Do moich płuc już nie dociera żadne powietrze.

Binabik rzucił jej pełne współczucia spojrzenie.

– My, Qanucowie, uczymy się wspinaczki, zanim jeszcze zaczniemy chodzić. Dobrze sobie radzisz, dotrzymując mi kroku.

Miriamele nie miała sił, by mu odpowiedzieć. Chwilę później pojawił się Cadrach. Podszedł chwiejnym krokiem do ściany i osunął się na schody w pobliżu Miriamele. Patrzyła, jak oddycha ciężko, a potem, po chwili wahania, podała mu bukłak. Wziął go, nie podnosząc wzroku.

– Odpocznijcie – powiedział Binabik. – Jesteśmy już blisko. Jeszcze tylko jedna wspinaczka.

– Blisko czego? – Miriamele wyjęła bukłak z biernej dłoni Cadracha i napiła się jeszcze, po czym oddała go trollowi. – Binabiku, nie miałam siły, żeby cię zapytać: co się dzieje? Karlaki mówiły o czymś, o czym i ty myślałeś... – Spojrzała mu prosto w oczy, chociaż widziała, że tego nie chce. – Co to jest?

Troll milczał, lecz podniósł głowę, jakby nasłuchiwał. Na schodach nie było słychać niczego poza odgłosem ich chrapliwych oddechów. Usiadł obok niej.

– Rzeczywiście było to coś, o czym mówiły karlaki, chociaż nie martwiłbym się tak, gdyby tylko o to chodziło. – Binabik siedział wpatrzony w swoje stopy. – Niepokoi mnie też coś innego. Długo się nad tym zastanawiałem: „fałszywy posłaniec” ze snów Simona.

– W domu Geloë – szepnęła Miriamele, przypominając sobie tamte chwile.

– Nie tylko to. Także wiadomość, jaką wróbel przyniósł nam na Białe Pustkowie; teraz wydaje mi się, że wysłał ją Dinivan, gdyż wspominał o tym Isgrimnurowi, zawierała ostrzeżenie przed fałszywymi posłańcami.

Miriamele poczuła ukłucie żalu na wspomnienie Dinivana. Był taki dobry i mądry, ale Pryrates złamał go jak suchy patyk. Wciąż prześladowały ją koszmary z Sancellan Aedonitis, o których opowiadał Isgrimnur.

Nagle przyszło jej coś do głowy: opierała się Cadrachowi, kiedy chciał zabrać ją z Sancellan, walczyła z nim, nazwała go kłamcą, aż musiał ją ogłuszyć i wynieść, lecz w rzeczywistości powiedział jej wtedy prawdę. Dlaczego po prostu nie uciekł, nie uratował samego siebie, nie zostawił jej, tak jak chciała?

Odwróciła się do mnicha. Cadrach wciąż jeszcze walczył o oddech; leżał skulony pod ścianą, z twarzą bladą jak u woskowej lalki.

– Tak długo się zastanawiałem, kto mógłby być tym posłańcem – mówił dalej Binabik. – Wielu przybyło do Josui, a także do Simona i Dinivana, którzy wiedzieli o tym ostrzeżeniu. O którego z nich chodziło?

– Czy teraz wiesz?

Binabik wziął głęboki oddech.

– Powiem ci, co myślę. Może znajdziesz w tym jakiś błąd, ty także, Cadrachu. Mam nadzieję, że się mylę. – Splótł palce swoich małych dłoni i zmarszczył czoło. – Karlaki twierdzą, że Wielkie Miecze wykuto za pomocą Słów Stworzenia, słów, których karlaki używają, kiedy chcą zmienić prawa świata.

– Nie zrozumiałam tego.

– Spróbuję ci to wyjaśnić – powiedział Binabik. – Chociaż mamy mało czasu.

– Kiedy trochę odpocznę, będziesz mógł mówić w czasie marszu.

Troll skinął głową.

– A zatem posłuchaj, co mam do powiedzenia na temat tych praw. Jedno z nich powoduje, że rzeczy spadają w dół. – Położył zatyczkę od bukłaka na naczyniu, a potem ją spuścił. – Jeśli potrzebny jest inny rodzaj spadania, na przykład w górę, wtedy używa się Sztuki. Żeby uczynić coś, co jest wbrew prawom świata.

Miriamele przytaknęła mu. Cadrach uniósł głowę, jakby także słuchał, lecz jego spojrzenie pozostało na przeciwległej ścianie.

– Jeśli jednak chce się złamać jakieś prawo na długo, wtedy potrzeba Sztuki o wielkiej mocy; tak jak łatwiej jest podnieść na chwilę, a potem zaraz opuścić ogromny ciężar, niż trzymać go długo w powietrzu. W tym celu karlaki i inni, którzy zajmowali się Sztuką, używali...

– Słów Stworzenia – dokończyła za niego Miriamele. – I użyli ich do wykucia Wielkich Mieczy.

Binabik przytaknął.

– Zrobili tak, gdyż wszystkie Wielkie Miecze powstały z surowców, które nie pochodziły z Osten Ard, z rzeczy, które opierały się Sztuce przy tworzeniu magicznej broni. Należało pokonać ich moc, lecz trzeba to było zrobić na długo. Należało pokonać opierające się moce na zawsze, dlatego potrzebne były Słowa Stworzenia o najpotężniejszej mocy. – Troll mówił coraz wolniej. – Tak więc wydaje mi się, że miecze te przypominają naciągnięte ramię ogromnych katapult, których wy używacie w czasie oblężenia miast, a które są tak wyważone, że jedno dotknięcie wyrzuca w powietrze ogromny kamień, lecący jak mały ptaszek. W każdym z tych mieczy kryje się podobna moc; kto wie, jak ogromna byłaby moc wszystkich trzech?

– To dobrze – powiedziała Miriamele niepewnie. – Czy nie tego nam trzeba: siły, która pokona Króla Burz? – Spojrzała na smutną twarz Binabika i westchnęła. – Czy z jakiegoś powodu nie możemy jej użyć?

Cadrach poruszył się, przenosząc wzrok na trolla. W jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Tylko *kto* jej użyje? – wtrącił mnich. – Czy nie w tym problem?

Binabik pokiwał smutno głową.

– Niestety, tak. – Odwrócił się do księżniczki. – Miriamele, dlaczego Cierń zmierza tutaj? Dlaczego Josua i inni szukają Białego Gwoździa?

– Żeby użyć ich przeciwko Królowi Burz – odparła. Wciąż nie rozumiała, do czego zmierzają pytania trolla, lecz mnich najwyraźniej już się zorientował. Na jego ustach pojawił się jakby wymuszony uśmiech podziwu. Zastanawiała się dla kogo.

– Ale dlaczego? – spytał troll. – Co kazało nam użyć ich przeciwko naszemu wrogowi? Nie przygotowuję żadnej sztuczki, Miriamele, sam się nad tym zastanawiałem tak długo, że aż mi głowa pęka.

– Ponieważ... – Przez moment nie mogła sobie przypomnieć. – Poemat o tym mówi. Poemat, który mówi, jak wypędzić Króla Burz.

Kiedy szron dzwony pokryje Clavesa...

wyrecytował Binabik; jego głos zabrzmiał dziwnie na schodach. Przez jego twarz przebiegł dziwny skurcz, może skurcz bólu.

I cienie na drogę wyjdą.
Kiedy woda w studni się wzburzy,
Trzy Miecze muszą powrócić.
Kiedy z Ziemi Bukkeny wypełzną,
A z gór zejdą Huneny,
Kiedy koszmar sen zmąci,
Trzy Miecze muszą powrócić.

By powstrzymać los kroczący,
By rozwiać mgły czasu.
Jeśli Wczesne przeciwstawi się Późnemu,
Trzy Miecze muszą powrócić...

– Słyszałam to już setki razy! – rzuciła rozzłoszczona. Kiedy patrzyła na trolla, gniew z trudem maskował jej strach. – Co chcesz powiedzieć?

Binabik uniósł dłonie.

– Posłuchaj, Miriamele, posłuchaj, co mówi poemat. Wszystkie rzeczy z jego początku są prawdziwe – kopacze, olbrzymy, wielki dzwon Nabbanu – ale na końcu mówi on tylko o zmianie Losu, oczyszczeniu Czasu, o Wczesnym walczącym z Późnym.

– I co?

– Co więc nam mówi? – syknął Binabik.

Tak bardzo zdumiało ją podniecenie trolla, że dopiero po długiej chwili dotarły do niej jego słowa.

– Czy chcesz powiedzieć...

– Że równie dobrze może on mówić o tym, co pomoże samemu Królowi Burz! Ponieważ czym my, śmiertelnicy, jesteśmy wobec jego Wcześniej, jeśli nie Później? Kto zmienia Los? I czyj Los?

– Ale... ale...

Słowa wylewały się z ust Binabika z taką gwałtownością, jakby wypływały z długo zamkniętej beczki.

– Skąd przyszło nam do głowy, żeby szukać tego poematu? Podsunęły nam to sny Simona, Jarnaugi i innych! Jiriki i pozostali Sithowie mówili nam, co się dzieje na Ścieżce Snów, a baliśmy się wystarczająco, by uwierzyć tym snom i zacząć desperacko szukać broni, żeby powstrzymać powrót Króla Burz! – Zamilkł na chwilę, dysząc ciężko. – Wybacz mi, ale tak mnie rozzłościła moja własna głupota. Bez zastanowienia wzięliśmy cienką gałązkę i zawiesiliśmy na niej most. Teraz znajdujemy się nad środkiem otchłani. – Uderzył dłońmi po udach. – Teraz nazywają nas członkami Ligi Pergaminu. *Kikkasut!*

– Tak więc... – Starała się zrozumieć zawiłości wywodu trolla, opanowując falę rozpaczy. – Tak więc to sny o księdze Nissesa były fałszywymi posłańcami? Te, które zaprowadziły nas do poematu?

– Tak myślę.

– Ale to nie ma sensu! Dlaczego Król Burz miałby się uciekać do tak dziwnej sztuczki? Skoro nie możemy go pokonać, to dlaczego miałby kazać nam wierzyć, że możemy tego dokonać?

– Może on potrzebuje tych mieczy, ale sam nie może ich sprowadzić. Pryrates powiedział Cadrachowi, że wie, gdzie jest Biały Gwóźdź, ale nie chce go dotykać. Może czerwony duchowny nie miał swoich planów, a spełniał tylko rozkazy Króla Burz. Wydaje mi się, że Czarny z Północy potrzebuje ogromnej mocy, która tkwi w mieczach. – Załamał mu się głos. – Wydaje mi się, że wszystko to jest skomplikowaną grą, jak shent Sithów, stworzoną po to tylko, byśmy przynieśli pozostałe miecze.

Miriamele oparła się o ścianę zdumiona.

– A zatem Josua, Simon... my wszyscy...

– Robiliśmy to, czego chciał nasz wróg – wtrącił niespodziewanie Cadrach. Miriamele ze zdziwieniem stwierdziła, że w jego głosie nie słychać już było zadowolenia, lecz pustkę. – Jesteśmy tylko jego sługami. Wróg już nas pokonał.

– Zamknij się! – warknęła. – A niech cię! Gdybyś powiedział nam, co wiesz, wcześniej byśmy się domyślili! – Odwróciła się do Binabika, starając się opanować. – Jeśli masz rację, to czy możemy jeszcze coś zrobić?

Troll wzruszył ramionami.

– Spróbować uciec, a potem odnaleźć Josuę i pozostałych i ostrzec ich.

Miriamele wstała. Już kilka chwil temu poczuła, że odpoczęła i może iść dalej. Teraz wydawało jej się, że na jej kark założono jarzmo, ogromny ciężar, który nie sposób było zrzucić. Wszystko wydawało się stracone.

– Nawet jeśli ich odnajdziemy, to i tak nie mamy broni, by stawić czoło Królowi Burz.

Binabik nic nie odpowiedział. Malutki troll sprawiał wrażenie jeszcze mniejszego. Wstał i ruszył w górę. Miriamele odwróciła się od Cadracha i poszła za nim.

WSZELKI PORZĄDEK PRZESTAŁ ISTNIEĆ: oszalały chaos kłębił się pod murami Hayholt. Wszędzie pełno było trupio bladych Nornów i kudłatych olbrzymów, które walczyły, nie zważając na własne życie, jakby ich jedynym zadaniem było wzbudzić ostateczny strach w sercach przeciwników. Jeden z olbrzymów stracił od ciosu toporem znaczną częścią ramienia, a mimo to, przedzierając się przez tłum przerażonych śmiertelnych żołnierzy, wymachiwał chlustającym krwią kikutem równie mocno jak maczugą trzymaną w drugiej ręce; wokół szalejącej bestii unosiła się czerwona mgiełka. Żaden z pozostałych olbrzymów nie odniósł jeszcze rany, tak więc wokół nich przybywało martwych ciał. Nornowie, równie zawzięci, choć nie tak skuteczni, utworzyli małe koła, w których stawali ramię w ramię z ostrymi włóczniami skierowanymi na zewnątrz. Dzięki ogromnej zwinności i opanowaniu sztuki walki nieśmiertelni pokonywali dwóch, a nawet trzech śmiertelników, przypadających na jednego pokonanego Norna, a walcząc, nie przerywali śpiewu. Ich dziwne, przenikliwe głosy wznosiły się nawet ponad wrzawę bitwy.

A nad wszystkim wisiała Gwiazda Zdobywcy, żarząca się chorobliwym, czerwonym blaskiem.

Książę Isgrimnur wzniósł Kvalnir i zawołał na Sludiga i Hotviga, lecz jego głos utonął w zgiełku. Obrócił kilkakrotnie konia, próbując znaleźć miejsce, w którym skupiły się jego siły, lecz jego armia zdążyła się już rozbić na tysiące małych wysepek. Chociaż walczył zawzięcie już od dłuższego czasu, wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Zostali zaatakowani przez stworzenia z dawnych opowieści. Pole bitwy, ponure,

lecz znajome mu jeszcze godzinę temu, teraz zamieniło się w koszmar, który miał być karą nie z tego świata.

Sztandar Josui zginął gdzieś wdeptany w ziemię; Isgrimnur na próżno szukał czegoś, co mogłoby posłużyć jego siłom za punkt zborny. Jeden z olbrzymów runął w śnieg, młócąc wściekle ramionami i łamiąc w agonii strzały wystające z jego ciała. Koń księcia poniósł, pomimo jego wysiłków, i uspokoił się dopiero na zboczu wzgórza wysuniętego najbardziej na północny wschód w kierunku Kynswood.

Zatrzymawszy konia, Isgrimnur schował miecz i zdjął hełm, po czym podciągnął opończę do góry, krzywiąc się pod wpływem bólu w plecach i żebrach. Przez moment kolczuga nie pozwoliła mu przełożyć opończy przez głowę, tak że Isgrimnur zaczął mocować się z nią, pocąc się i przeklinając, przerażony, że ktoś może go zaskoczyć w tak śmiesznej pozycji. Opończa rozpruła się pod pachami i wtedy szarpnął mocno i przełożył ją ostatecznie przez głowę. Rozejrzał się za czymś, do czego mógłby ją przywiązać. Dostrzegł na śniegu włócznię jednego z Nornów. Wyciągnąwszy miecz, pochylił się i podniósł ją na tyle, by móc pochwycić długie drzewce. Przywiązując rękawy do szarego, gładkiego drzewca, przyglądał się uważnie ostremu czubkowi włóczni, który przypominał kwiat o płatkach w kształcie noża. Uniósł wysoko ponad głowę prowizoryczny sztandar i zawrócił ku bitewnej wrzawie, tak przeraźliwej, że sam nie słyszał płynącej z jego własnych ust wojennej pieśni Rimmersmenów.

Dopiero kiedy wykonał unik przed toporem Norna, zdał sobie sprawę, że jego hełm wciąż wisi przy siodle. Kvalnir odbił się od dziwnie pomalowanej zbroi przeciwnika. Kolejny cios Norna sięgnął jego ramienia, rozrywając tylko kolczugę i lekko przecinając ciało, ale Norn bardzo

zwinnie poruszał się na śniegu i już zataczał koło, by ponownie zaatakować. Nagły powiew wiatru rzucił sztandar prosto na twarz księcia.

„Żeby zginąć przez własną koszulę” – pomyślał, lecz w następnej chwili wiatr porwał opończę. W jego polu widzenia pojawiło się coś ciemnego i nagle Norn zachwiał się, a ze szczeliny w jego pękniętym hełmie trysnęła krew. Przybyły jeździec zawrócił konia, wzbijając tumany śniegu i ponownie zaatakował kręcącego się w kółko przeciwnika Isgrimnura.

– Żyjesz – wysapał Sludig, wycierając o płaszcz zakrwawiony topór.

Isgrimnur wziął głęboki oddech i zawołał, przekrzykując odgłos grzmotu.

– Co za przeklęty bałagan! Gdzie jest Freosel?!

Sludig wskazał na oddaloną o kilkaset łokci grupę walczących.

– Chodź. I załóż ten cholerny hełm.

SCHODZĄ Z MURÓW! – zawołał ktoś.

Isgrimnur podniósł głowę i zobaczył opadające z muru zewnętrznego sznurowe drabiny. Ciemniejące niebo i oślepiające błyskawice nie pozwoliły zobaczyć niczego wyraźnie, lecz Isgrimnurowi wydawało się, że schodzący po drabinach ludzie byli śmiertelnikami.

– Niech będą przeklęte ich najemne dusze! – warknął książę. – Teraz przycisnęli nas z obu stron! Chcą nas przyprzeć do muru, a nasza liczebna przewaga topnieje. – Odwrócił się i spojrzał na swoją otoczoną grupę. Rozrzucone po całym polu bitwy, walczyły niewielkie grupki nabbańskich legionistów Seriddana i jeźdźców Hotviga, którzy z determinacją próbowali przebić się w kierunku jego prowizorycznego sztandaru powiewającego teraz na podporze drabiny oblężniczej wbitej w grząską ziemię. Isgrimnur

zastanawiał się, czy Hotvig i pozostali zdołają dołączyć do jego niewielkiego oddziału, zanim otoczą go Nornowie i najemnicy.

„Może powinniśmy wycofać się pod mur – pomyślał – albo nawet pod samą bramę”.

Niewiele już mogli zdziałać ze Sludigiem i pozostałymi: i tak zostaną zmuszeni do cofnięcia się, więc mogli przynajmniej wybrać miejsce. Książę zauważył, że żaden z królewskich żołnierzy nie pojawił się na nowej bramie; domyślił się, że nie jest pewnie wystarczająco szeroka. Gdyby rzeczywiście tak było, mogliby jej użyć jako tylnej straży, bez obawy, że ktoś zaatakuje ich od tyłu. Mając bezpieczne tyły, byliby w stanie odeprzeć atak nawet straszliwych Nornów, dopóki nie dołączą do nich pozostali... taką przynajmniej miał nadzieję.

„A gdybyśmy zdobyli trochę miejsca, to może nawet udałoby się nam sforsować tę przeklętą bramę albo przejść po drabinach do Isorna. Dla odmiany kilka śmiertelnych lisów wśliznęłoby się do kurnika Eliasa”.

Odwrócił się w stronę bladych, czarnookich istot i ich mieczy z magicznego drewna. Niebo znowu rozdarła błyskawica, zaciemniając na moment czerwoną plamę Gwiazdy Zdobywcy. Isgrimnur usłyszał odległe dzwonienie dzwonu, które przeniknęło całe jego ciało. Przez chwilę wydawało mu się, że skrajem jego pola widzenia popełzły płomienie, a potem znowu na wszystko opadła ciemność burzy.

„Boże, pomóż nam – pomyślał. – Dzwon na wieży wybija południe. A tutaj ciemno jak w środku nocy. Aedonie, jest tak ciemno...”

OCH! MATKO MIŁOSIERNA! – Miriamele spojrzała z balkonu w dół, przerażona. Pod miejscem, w którym się znalazła, falowało morze walczących ludzi i koni. W wirującym na wietrze śniegu wszystko pozostawało niewyraźne. Niebo spowijały burzowe chmury, lecz mimo to

czerwona gwiazda pozostawała widoczna; jej długi ogon jarzył się słabo nad nimi.

– Wuj Josua rozpoczął oblężenie! – zawołała.

Wydawało się, że niepotrzebnie się spieszyli, by go ostrzec.

Schody zaprowadziły ich wreszcie do ukrytych drzwi w magazynach pod królewską rezydencją. Miriamele, która szczyciła się tym, że znała tajemnicze przejścia Hayholt – wiele z nich odkrytych w przebraniu Malachiasa – ze zdumieniem odkryła, że przejście do starego Asu'a znajdowało się przez cały czas tuż pod jej nosem. Ale nie była to jedyna niespodzianka.

Druga nadeszła, kiedy wynurzyli się ostrożnie na parterze rezydencji. Choć na zewnątrz rozlegało się wycie wiatru i ryki niezliczonych głosów, większość królewskich komnat była najwyraźniej opuszczona, i to od jakiegoś już czasu. W miarę jak posuwali się przez zimne pokoje i ponure korytarze, coraz mniej się bała, że ktoś ich odkryje, a w coraz większym stopniu przenikało ją uczucie, że wszystko jest nie tak, jak być powinno. Przygotowana na wiele nieprzyjemnych ewentualności, weszła do sypialni ojca, która okazała się nie tyle pusta, ile tak okropnie zaniedbana, że zastanawiała się, co za istota mogła tam mieszkać.

Teraz znaleźli się na jednym z balkonów trzeciego piętra; zza kamiennej, ozdobnej poręczy obserwowali bitewne szaleństwo w dole. W powietrzu unosił się zapach błyskawic i krwi.

– Obawiam się, że to prawda – powiedział głośno Binabik. Nie musieli się bać, że ktoś ich usłyszy poprzez wycie wiatru i bitewną wrzawę. – W dole walczą ludzie, a na ziemi leży wielu martwych, zarówno ludzi, jak i zwierząt. A mimo to tu jest coś dziwnego. Szkoda, że nie możemy zajrzeć za mury.

– Co zrobimy? – Miriamele rozglądała się bezradnie. – Pewnie Josua, Camaris i pozostali są jeszcze na zewnątrz. Musimy się jakoś do nich przedostać!

Światło dnia, przytłumione burzowymi chmurami tak bardzo, że wydawało się, iż cały zamek znalazł się w mrokach głębiny, zamigotało dziwnie, a potem nagle świat jakby krzyknął i zbielał na moment. Wąż błyskawicy pomknął w dół niczym świszczący bicz, a grzmot pioruna zatrząsł nawet ich balkonem. Błyskawica owinęła się wokół Wieży Zielonego Anioła, dopóki nie ucichły echa grzmotu, i dopiero wtedy zgasła.

– Ale jak? – zawołał Binabik. – Nie znam tego zamku. Czy są tam jakieś ukryte wyjścia?

Miriamele z trudem potrafiła skupić myśli. Odgłosy wiatru i walki sprawiały, że miała ochotę zakryć uszy i zacząć krzyczeć, a od widoku kłębiących się chmur kręciło jej się w głowie. Nagle przypomniała sobie o Cadrachu, który przez cały czas wlókł się za nimi milczący i obojętny jak lunatyk. Odwróciła się, przekonana, że mnich skorzystał z zamieszania i uciekł, lecz zobaczyła go w drzwiach; zrezygnowany spoglądał w miotane burzą niebo.

– Może uda nam się wydostać przez tamę – powiedziała do trolla. – Jeśli armia Josui znajduje się pod murami powyżej Erchesteru, to może będzie tam niewielu...

Binabik otworzył szeroko oczy.

– Spójrz tam! – Wsunął dłoń w szczelinę poręczy. – Czy to nie...? Na Córki Gór!

Miriamele zmrużyła oczy, starając się zorientować w tym, co się działo w dole, i zauważyła, że całe to zamieszanie nie było tylko bieganiną obrońców wokół mostu prowadzącego do mniejszego zamku. Na samym moście toczyła się walka. Duży oddział uzbrojonych ludzi z mniejszego

zamku próbował wyprzeć mniejszą grupę jeźdźców i piechurów poza fosę. Zobaczyła, jak jeden z koni staje dęba, a potem spada wraz z jeźdźcem do ciemnej wody. Czyżby siły Josui znalazły się już wewnątrz i wdzierały na teren zamku? Czyżby ze wszystkich jego obrońców pozostała tylko ta garstka walczących na moście? W takim razie dlaczego ci znajdujący się tuż pod nimi nie wspomagali cofających się jeźdźców? Kim oni byli?

Grupa walczących na moście cofnęła się jeszcze trochę i wtedy zobaczyła to, na co wskazywał Binabik. Jeden z jeźdźców, niewiarygodnie wysoki, kiedy stanął w siodle, wzniósł miecz nad głową. Nawet w tak słabym świetle dostrzegła, że miecz jest czarny jak węgiel.

– Boże, ratuj nas! – Poczuła w żołądku zimną kulę strachu. – To Camaris!

Binabik przycisnął twarz do kamiennej poręczy.

– Widzę chyba też księcia Josuę. Tam, jest przy Camarisie, w szarym płaszczu. – Odwrócił się do niej z wyrazem niepokoju na twarzy. Zygzak błyskawicy znów rozsrebrzył niebo. – Jest ich niewielu, nie mogli tak po prostu przebić się do środka. Wydaje mi się, że w jakiś sposób zostali zwabieni, by przynieść miecz.

Miriamele uderzyła pięścią w podłogę balkonu.

– Co możemy zrobić?

Troll znowu spojrzał poprzez balustradę.

– Nie wiem – odparł głośno. – Zupełnie nie wiem! *Kikkasut!* Jeśli tam zejdziemy, poćwiartują nas na kawałki, a oni już przynieśli miecz! *Kikkasut!*

– W oknie wieży widać płomienie – rozległ się obojętny głos mnicha.

Miriamele spojrzała szybko na Wieżę Zielonego Anioła i na Wieżę Hjeldina, lecz nie dostrzegła niczego niezwykłego poza chmurami kłębiącymi się wokół iglicy pierwszej z wież.

– Patrz! – zawołał Binabik. – Coś się dzieje! – W jego głosie słychać było zdumienie i złość. – Co oni robią?!

Josua, Camaris i garstka ich ludzi zostali zepchnięci z mostu na dziedziniec mniejszego zamku. Jednak czekający tam najemnicy nie ruszyli, by ich okrążyć; wręcz przeciwnie, utworzyli lukę w swoich szeregach, która wydłużała się, aż przeszła w długie przejście prowadzące od mostu na fosie do stopni frontowych drzwi Wieży Zielonego Anioła. Kiedy żołnierze Króla opuścili za przeciwnikiem most, Josua i jego ludzie zmuszeni byli cofać się w kierunku wieży. Czający się po obu stronach najemnicy nie atakowali ich, dopóki Camaris nie zaatakował ich, próbując przebić się w bok. Wtedy siły królewskie stawiły zdecydowany opór, tak że mała grupka została odparta i dalej posuwała się w kierunku Wieży Zielonego Anioła.

– Chcą ich zapędzić do wieży! Co...?

– Siedziba Sithów! – Binabik podskoczył olśniony nową myślą. – To jest miejsce ostatniej bitwy Króla Burz. Twój ojciec i Pryrates chcą, żeby tam znalazły się miecze!

Miriamele wstała na drżących nogach. Przed nimi rozgrywał się jakiś straszliwy, nieunikniony koszmar!

– Musimy pójść do nich! Musimy! Może... może jeszcze coś można zrobić!

Binabik chwycił z podłogi swoją torbę.

– Którędy trzeba iść? – spytał.

Miriamele spojrzała na niego, a potem na milczącego Cadracha. Przez chwilę jej umysł wypełniało tylko wściekłe wycie wiatru. Wreszcie sobie przypomniała.

– Idźcie za mną. – Zarzuciła na ramię torbę i łuk Nornów i pobiegła po mokrej podłodze w kierunku drzwi i schodów.

Binabik ruszył szybko za nią. Nie obejrzała się, by zobaczyć, co robi Cadrach.

TIAMAK I JOSUA WSPINALI SIĘ po schodach w ciszy przerywanej tylko ich ciężkimi oddechami, starając się nie zgubić Camarisa. Rycerz wyprzedzał ich o jedno piętro; szedł pewnie po dwa stopnie, obojętny jak lunatyk.

– Jak to możliwe, by schody były tak wysokie? – spytał Tiamak zdyszany. Czuł pulsujący ból w chorej nodze.

– Znajdują się tutaj tajemnice, o jakich nigdy nie śniłem. – Josua podniósł wysoko pochodnię i cienie podskoczyły na szczelinach bogato zdobionych ścian. – Kto mógł przypuszczać, że pod spodem znajduje się cały świat?

Tiamak zadrżał. Unosząca się na stawem Królowa Nornów w srebrnej masce stanowiła tajemnicę, której Wrańczyk chętnie by nigdy nie poznawał. Przez cały czas nie opuszczało go wspomnienie jej słów, chłodnego triumfu, a szczególnie przerażającej mocy, która wypełniła jaskinię Stawu Trzech Głębin.

– Mści się nasza ignorancja – wysapał. – Walczymy z rzeczami, których się tylko domyślaliśmy albo które ukazywały nam się w koszmarach. Teraz Sithowie zmagają się z... z nią, walczą, umierają, a my nie wiemy nawet dlaczego.

Josua na moment odwrócił wzrok od pleców starca i spojrzał na Tiamaka.

– Myślałem, że jest to zadanie członków Ligi Pergaminu.

– Ci, którzy byli przed nami, wiedzieli więcej – odparł Tiamak. – A przecież wielu rzeczy nie dowiedział się nawet Morgenes i inni; wiele pozostało ukryte także przed samym Eahlstanem Fiskerne, który podobno

był prawdziwym przyjacielem Sithów. Nieśmiertelni zawsze pilnie strzegli swojej wiedzy.

– Czy można ich winić? Od śmiertelników otrzymali tylko kamień, żelazo i ogień. – Josua znowu spojrzał na Wrańczyka. – Miłościwy Boże, niepotrzebnie marnujemy oddech na rozmowę. Widzę cierpienie na twej twarzy, Tiamaku. Poniosę cię trochę.

Tiamak pokręcił głową, idąc uparcie naprzód.

– Camaris nie zwalnia. Moglibyśmy za bardzo się od niego oddalić, a gdyby zszedł ze schodów, znowu byśmy go zgubili, a teraz nie ma Sithów, którzy pomogliby nam odnaleźć drogę. On zostałby sam, a my błądzilibyśmy bez końca. – Zapadła długa chwila milczenia, zanim znowu nabrał tyle powietrza, by móc mówić. – Jeśli będzie trzeba, zostanę z tyłu. Ty koniecznie musisz być przy nim.

Josua nic nie odpowiedział, lecz po chwili skinął głową.

Okropne uczucie przesuwania się przeminęło, a z nim migocące światło, które sprawiało wrażenie, że całe schody płoną. Tiamak potrząsnął głową, starając się zebrać myśli. Co to mogło być? Powietrze wydawało się dziwnie gorące, a włosy na jego ramionach i karku podnosiły się.

– Dzieje się coś okropnego! – zawołał Tiamak. Szedł, utykając w cieniu Josui, zastanawiając się, czy coraz większa siła dziwnych wstrząsów oznaczała porażkę Sithów. Myśl ta nie dawała mu spokoju. Może Królowa Nornów uciekła z komnaty stawu. Czy wtedy ścigałaby jego i księcia ciemnymi schodami, powiewając białymi szatami, w srebrnej masce na twarzy?

– Nie ma go! – zawołał przerażony Josua. – Ale jak to możliwe?

– Co? Nie ma go? – Tiamak podniósł głowę.

W blasku pochodni ujrzeli, że schody raptownie się skończyły, a nad nimi widać było tylko niski, kamienny sufit. Nigdzie nie widać było

Camarisa.

– Nie mógł się tutaj ukryć! – powiedział książę.

– Nie, patrz! – Tiamak wskazał na szczelinę w suficie na tyle szeroką, by przecisnął się przez nią człowiek.

Josua szybko podsadził Tiamaka do dziury, a Wrańczyk zaczął szukać jakiegoś dogodnego uchwytu. Tiamak stwierdził, że może wystawić głowę nieomal ponad sufit. Podciągnął się do góry, pokonując zmęczone mięśnie; kiedy leżał, drżąc z wysiłku na kamiennej podłodze, zawołał przez szczelinę:

– Chodź! To jest magazyn!

Josua rzucił do góry pochodnię. Przy pomocy Tiamaka wspiął się przez szczelinę. Popędzili przez pokój, omijając porozrzucane przedmioty, i wspięli się po rozchwianej drabinie do włazu. Ten zaprowadził ich do kolejnego magazynu z jednym tylko oknem umieszczonym wysoko na ścianie. Po widocznym w nim skrawku nieba płynęły przerażająco czarne chmury niesione zimnym wiatrem. Kolejny właz prowadził na wyższe piętro.

Kiedy Tiamak postawił bolącą nogę na najniższym stopniu, od włazu odbiło się echo niespodziewanego grzmotu. Wspinający się przed nim Josua zniknął w otworze.

Wspiąwszy się na samą górę, Tiamak znalazł się w małym, mrocznym pokoju, którego roztrzaskane drzwi prowadziły do jakiejś komnaty. Ujrzał w niej blask pochodni i poruszające się postacie. Rozległ się głos Josui.

– Ty! Niech Bóg pośle twą czarną duszę do piekła!

Tiamak pośpieszył do drzwi i zatrzymał się, próbując rozeznać się w obszernym, okrągłym pokoju. Po swojej lewej ręce dostrzegł umieszczone nad wysokimi drzwiami okna, przez które sączyło się purpurowe światło, konkurujące z blaskiem osadzonych na ścianach

pochodni. Zaledwie kilka łokci przed Wrańczykiem stał Camaris; rycerz stał pośród pozostałości małych drzwi, które jeszcze przed chwilą zagradzały mu drogę do komnaty – stał nieruchomo jak skamieniały. Josua, z Najdelem w dłoni, znajdował się na odległość wyciągniętego ramienia. Kilkadziesiąt kroków za nimi, po drugiej stronie podłogi, widać było dokładnie takie same drzwi, które przed chwilą wyważył Camaris. Po prawej ręce Tiamaka, za wysokim łukiem, wznosiły się ogromne schody.

Uwagę Tiamaka, podobnie jak i wcześniej Josui, zwróciły postacie znajdujące się na najniższych stopniach schodów, a szczególnie łysy mężczyzna w powiewającej, czerwonej szacie, stojący pośród porozrzucanych ciał ludzkich niczym rybak w płytkim strumieniu. Jedną z postaci wciąż podtrzymywał za ramiona, chociaż z pozycji głowy żołnierza w złocistym hełmie wynikało, że dawno już przestał walczyć.

– Pryratesie, puść go! – zawołał Josua.

Duchowny się roześmiał. Jednym ruchem odrzucił... Camarisa, który z łoskotem opadł na kamienną podłogę i znieruchomiał z czarnym mieczem zaciśniętym w dłoni.

Tiamak patrzył przerażony i zdumiony. Camaris, którego ścigali z Josuą, wciąż stał nieopodal, chwiejąc się nieco, jak kołysane wiatrem drzewo. Czy mogło ich być dwóch? Kto tam leżał?

– Isorn! – krzyknął Josua głosem przepełnionym żalem.

Tiamak nagle pojął wszystko i poczuł obezwładniający go strach. Podstęp, który wymyślili z Sithami, doszedł aż do tego punktu: leżący na ziemi rycerz nie dawał znaków życia. Znajdowało się tam kilkunastu żołnierzy, a wśród nich potężny Isorn, i duchowny miałby pokonać ich gołymi rękoma? Co mogłoby jeszcze powstrzymać Pryratesa i jego nieśmiertelnego sprzymierzeńca? Josua i jego towarzysze posiadali jeden

z Wielkich Mieczy, a ten, który nim władał, Camaris, wydawał się pogrążony w sennym oszołomieniu...

– Wyrwę ci za to serce – warknął Josua i skoczył w stronę schodów.

Pryrates uniósł dłonie i wokół jego palców roztoczył się nimb żółtawego światła. Kiedy Najdel pomknął w jego kierunku szerokim łukiem, dłoń Pryratesa wysunęła się do przodu i chwyciła miecz. W miejscu zetknięcia się dłoni z mieczem rozległ się syk, jakby wrzucono do wody zimny kamień, a potem Pryrates chwycił Josuę za ramię, w którym książę trzymał miecz i pociągnął do siebie. Josua bronił się, młócąc drugim ramieniem, lecz Pryrates także je chwycił i przyciągnął księcia do siebie, tak że ich twarze znalazły się tuż obok siebie.

– Jakie to łatwe – powiedział Pryrates ze śmiechem.

Tiamak, drżący ze strachu, cofnął się w cień drzwi.

„Muszę coś zrobić? Ale kim ja jestem? – Wrańczyk ledwie trzymał się na nogach. – Malutki człowieczek, nikt! Złapie mnie i zgniecie jak rybkę”.

– Żadne piekło nie byłoby dość głębokie dla ciebie – wycedził Josua. Pot płynął strużkami po jego policzkach, a ramię, w którym trzymał miecz, drżało; w uścisku duchownego wydawał się bezbronny jak dziecko.

– Odwiedzę je wszystkie. – Pryrates znowu wyciągnął ramiona. Okalające go żółte światło zafalowało. – Bezręki, jesteś jednym z nielicznych, którzy mi się opierali. Teraz zobaczysz, że na nic twoje wysiłki. – Rzucił Josuą o ścianę. Książę osunął się nieprzytomny obok człowieka ubranego w jego własną opończę i zbroję – Brindallesa, brata nabbańskiego barona. Prawe ramię Nabbańczyka zakończone było skórzanym kapturem, podobnie jak Josui, lecz wygięte było tak bardzo, że Tiamak nie mógł na nie patrzeć. W jego bladej, pokrwawionej twarzy nie widział śladów życia.

Tiamak cofnął się jeszcze dalej w cień, lecz Pryrates nawet na niego nie spojrzał. Duchowny ruszył w stronę schodów, lecz po chwili zatrzymał się i odwrócił do Camarisa.

– Chodź, starcze – rzekł uśmiechnięty. Jego uśmiech wydawał się Tiamakowi pusty i bezlitosny jak uśmiech krokodyla. – Nadszedł czas. Jeszcze tylko trochę poniesiesz swój ciężar.

Camaris zrobił krok w jego kierunku, lecz zatrzymał się, potrząsając głową.

– Nie – powiedział ochryple. – Nie. Nie pozwolę... – Na chwilę powrócił prawdziwy Camaris.

Tiamak patrzył z nadzieją.

Pryrates skrzyżował tylko ramiona na piersi.

– Ciekawe będzie popatrzeć, jak się opierasz. Oczywiście musisz przegrać. Żaden śmiertelnik nie może oprzeć się mocy miecza, nawet taka postrzępiona legenda jak ty.

– Bądź przeklęty – powiedział Camaris. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, a on sam zaczął się kołysać w przód i w tył, jakby zmagał się z jakąś niewidzialną siłą, która ciągnęła go ku schodom. Stary rycerz wciągnął głęboko powietrze. – Co z ciebie za istota?

– Istota? – powtórzył Pryrates. – Jestem tym, czym może się stać człowiek, dla którego nie istnieją żadne granice...

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy rozległ się głuchy grzmot. W miejscu drzwi po drugiej stronie pojawił się ciemny obłok dymu, z którego wyłoniło się kilka postaci.

– Jakie to podniecające. – W głosie Pryratesa słychać było kpinę, ale Tiamak zauważył u niego pewne ożywienie. Duchowny zszedł niżej i spojrzał w dym. Chwilę później obrócił się nagle, charcząc; czarna strzała przeszyła jego szyję, tak że jej grot wystawał tuż nad skórą. Pryrates

zachwiał się i stoczył po schodach ku swoim ofiarom. Pod jego głową szybko utworzyła się kałuża krwi, jakby topiła się jego szata.

MIRIAMELE SPOJRZAŁA W GÓRĘ i w dół korytarza, próbując zorientować się w sytuacji. Pamiętała Prezbiterium jako godny wyzwania labirynt, ale teraz wydało jej się jeszcze bardziej nieodgadnione. Znane jej niegdyś drzwi i przejścia znajdowały się w trochę innych miejscach, a wszystkie korytarze wydawały się krótsze lub dłuższe niż przedtem, jakby całe pomieszczenie podlegało ciągłym zmianom. Miriamele starała się zachować spokój. Była pewna, że w końcu znajdzie właściwą drogę, lecz martwiła się tym, że traci tyle cennego czasu.

Kiedy czekała na swoich towarzyszy, mroźny wiatr, świszczący w pustych oknach, przetoczył obok jej stóp kilka zgniecionych zwojów.

Zza rogu wynurzył się Binabik.

– Nie musiałaś na mnie czekać – powiedział. – Zatrzymałem się tylko, żeby je zabrać. Wpadły pewnie przez okno. – Wręczył jej trzy strzały, nieco prostsze od strzał Nornów, które wcześniej zebrała. – Było ich więcej, ale tamte złamały się, uderzając o ścianę.

Miriamele nie miała kołczanu, by schować strzały. Wsunęła je więc w otwór w torbie obok strzały Simona i zebranych strzał Nornów. Nawet z tymi miała ich o wiele za mało, ale i tak stanowiły one jakieś pocieszenie, że nie sprzeda tanio swojego życia.

„Patrzcie na mnie – zastanawiała się. – Zbliża się koniec świata, nadszedł wreszcie Dzień Sądu, a ja zabawiam się w żołnierza”.

Uznała jednak, że lepsze to, niż poddać się strachowi. Czuła, jak się w niej czai, i wystarczyła tylko chwila słabości, by całkowicie nią zawładnął.

– Nie czekałam. – Odsunęła się od ściany. – Upewniałam się tylko co do drogi. To miejsce zawsze było trudne do przejścia, ale teraz wydaje się jeszcze gorsze. Ale nie tylko o to chodzi... – Wskazała na porozbijane meble, strzępy pergaminów i drzazgi z powyłamywanych drzwi. – Zaszły tu także inne zmiany, których nie rozumiem. Ale chyba już wiem. Teraz musimy poruszać się cicho; wiatr nie wiatr, jesteśmy prawie w kaplicy, a ona znajduje się tuż przy wieży.

– Idzie Cadrach – powiedział troll, jakby ją to coś obchodziło.

Miriamele wydęła usta.

– Nie będę czekała. Niech idzie za nami, jeśli wytrzyma. – Zawahała się na moment, po czym wyjęła jedną ze strzał i założyła luźno na cięciwę. Z łukiem gotowym do strzału ruszyła korytarzem.

Binabik spojrzał do tyłu i poszedł za nią.

– On cierpiał tak samo jak my, Miriamele – powiedział troll. – Może nawet więcej. Kto wie, przez co przeszedł, kiedy torturował go Pryrates?

– Nie wiem już, ile razy mnie okłamał. – Poczuła palącą złość na myśl o jego zdradach. – Jedno słowo prawdy o mieczach, o Pryratesie mogło nas uratować.

Binabik patrzył na nią ponuro.

– Jeszcze nie wszystko stracone.

– Jeszcze nie.

Cadrach dogonił ich w korytarzu. Nie odezwał się słowem – częściowo dlatego, że długo nie mógł złapać oddechu – przystając za trollem. Miriamele rzuciła mu lodowate spojrzenie.

Kiedy dotarli do drzwi, znowu wszystko jakby się przesunęło. Przez chwilę Miriamele wydawało się, że widzi jasne płomienie pełzające po ścianach; z trudem powstrzymała okrzyk strachu. Kiedy minęła straszliwa chwila, nie czuła się zupełnie tak jak przedtem.

Minęła kolejna długa chwila, zanim była w stanie wydobyć z siebie głos.

– Kaplica... kaplica jest po drugiej stronie. – Choć wiatr za ścianą wył przeraźliwie, mówiła szeptem. Musiała zebrać wszystkie swoje siły, by powstrzymać domagające się uwolnienia przerażenie. Binabik był niezwykle blady i oczy miał szeroko otwarte; Cadrach z mokrym czołem i rozgorączkowanym spojrzeniem wyglądał na chorego. – W drugim końcu znajduje się krótki korytarz, który prowadzi wprost do wieży. Patrzcie pod nogi. Tyle tu zniszczonych przedmiotów, że możecie się potknąć i zranić – mówiąc to, wymownie zwróciła się tylko do Binabika – albo hałasem zwrócić uwagę kogoś, kto będzie w środku.

Troll się uśmiechnął.

– Stopy trolla są jak łapy zająca – szepnął. – Kroczą tak samo lekko po kamieniu, jak i po śniegu.

– Dobrze. – Miriamele spojrzała na mnicha, zastanawiając się, jakie jeszcze knowania mogą kryć się za spojrzeniem jego szarych oczu, ale po chwili stwierdziła, że nie ma to już znaczenia. Chyba już bardziej nie mógł pogorszyć sytuacji: jeszcze kilka chwil i nie będzie trzeba się już skradać; to, co wydawało się dotychczas ich największą nadzieją, teraz miało obrócić się przeciwko nim. – Idźcie za mną – zwróciła się do Binabika.

Kiedy otworzyła drzwi do nawy poprzecznej kaplicy, z jej wnętrza buchnął przenikliwy chłód, który natychmiast chwycił ją w swoje szpony; chmura oddechu Miriamele zawisła nad jej głową. Księżniczka zatrzymała się na moment, nasłuchując, a potem wprowadziła swoich towarzyszy do kaplicy. Pod ścianami i w rogach nawiało śniegu, a na całej podłodze widniały liczne kałuże. Zniknęła większość ławek; na ścianach powiewały strzępy kilku pozostałych arrasów. Nie chciało się wierzyć, że kiedyś było to miejsce spokoju i pociechy.

Wyraźniej było tutaj słychać odgłosy burzy i bitwy. Zrozumiała dlaczego, kiedy spojrzała w górę.

Ogromne sklepienie kaplicy uległo zniszczeniu; szklani święci i aniołowie zamienili się w kolorowy pył. Choć wiele już widziała, zadrżała, ujrzawszy zmiany w tak dobrze znanym jej miejscu. Płatki śniegu opadały leniwie w dół, a przez ogromną dziurę zaglądało, niby rozzłoszczona twarz, burzowe niebo umazane krwistym blaskiem płonącej gwiazdy.

Kiedy mijali ołtarz, Miriamele zobaczyła, że zniszczenie rozsiewały tutaj nie tylko nienaturalne siły: czyjeś okrutne dłonie zniszczyły twarze posągów świętych męczenników, a inne umazały je krwią i jeszcze czymś gorszym.

Spoglądając uważnie pod nogi, przeszli cicho do drugiej nawy. Miriamele poprowadziła ich wąskim korytarzem do prawie niewidocznych drzwi. Zatrzymała się i przyłożyła ucho do dziurki od klucza, lecz nie usłyszała niczego poza dochodzącym z góry zgiełkiem. Poczuła dziwne mrowienie, jakby w powietrzu pojawiła się błyskawica – ale przecież rzeczywiście szalała burza, przypomniała sobie.

– Miriamele... – Cadrach wydawał się przestraszony.

Nie zwracając na niego uwagi, nacisnęła klamkę.

– Zamknięte – powiedziała cicho i wstrząsnęła ramionami, próbując pozbyć się coraz silniej odczuwanego mrowienia. – I za ciężkie, żeby je wyważyć.

– Miriamele! – Cadrach pociągnął ją za rękaw. – Tutaj powstaje jakaś przeszkoda. Znajdziemy się w pułapce.

– O czym ty mówisz?

– Czy nie czujesz, jak to na nas napiera? Nie czujesz mrowienia? Powstaje bariera, która otoczy wieżę. To Pryrates, czuję jego

niepohamowaną moc.

Patrzyła uważnie na mnicha, lecz tym razem na jego twarzy widziała tylko szczery wyraz troski.

– Binabiku? – zwróciła się do trolla.

– Myślę, że on ma rację. – On także czuł mrowienie. – Zostaniemy ściśnięci.

– Cadrachu, otworzyłeś drzwi karlaków, więc otwórz i te.

– To jest prosty zamek, pani, nie ma na nim żadnego zaklęcia.

– Przecież byłeś też złodziejem!

Mnich zadrżał. Resztki włosów na głowie podniosły mu się. Miriamele także poczuła wzmożone mrowienie.

– To na nic, nie mam żadnych narzędzi. Ale może to nie ma znaczenia. Myślę, że śmierć będzie szybka.

Binabik syknął rozdrażniony:

– Nie chcę żadnej śmierci, szybkiej czy wolnej, jeśli można jej uniknąć. – Popatrzył na drzwi, potem położył swoją torbę na ziemi i zaczął w niej czegoś szukać.

Miriamele przyglądała się bezradnie. Uczucie nacisku stawało się coraz bardziej wyraźne. W nadziei znalezienia innej drogi do wieży zawróciła korytarzem, lecz po kilkunastu krokach stwierdziła, że powietrze jest coraz gęstsze i coraz trudniej nim oddychać. W uszach rozległo się dziwne buczenie, a skóra na jej ciele płonęła. Nie chcąc poddać się tak łatwo, przeszła jeszcze kilka kroków; każdy następny wydawał się trudniejszy od poprzedniego, jakby wchodziła w coraz głębsze błoto.

– Wracaj! – zawołał Cadrach. – Nic ci to nie pomoże!

Odwróciła się z trudem i wróciła do drzwi.

– Miałeś rację, nie ma powrotu. Ale ta bariera porusza się bardzo wolno!

Mnich drapał się po ramionach.

– Potrzeba trochę czasu, żeby takie rzeczy zaczęły działać, a duchowny zużył na nią dużo mocy. Najwyraźniej nie chce, by cokolwiek weszło lub wyszło z wieży.

Binabik odnalazł w swojej torbie małą, skórzaną sakiewkę i teraz do niej zaglądał.

– Skąd wiesz, że to Pryrates? – spytała Miriamele. – Może to... ten drugi.

Cadrach potrząsnął żałośnie głową, lecz najwyraźniej powstrzymywał w sobie wzbierającą złość.

– Ja znam dzieła czerwonego duchownego. Bogowie! Nigdy nie zapomnę jego obrzydliwej obecności w mojej głowie, myślach...

– Miriamele, Cadrach – powiedział troll. – Podsadźcie mnie.

Pochylili się i podnieśli go z podłogi, przysuwając do boku drzwi, tak jak im kazał. Powietrze wokół nich stawało się coraz bardziej napięte, dlatego musieli zdobyć się na olbrzymi wysiłek, by unieść trolla. Binabik wspiął się i stanął na ich ramionach.

– Trudno... trudno oddychać – szepnęła Miriamele. Wciąż słyszała buczenie.

Cadrach otworzył szeroko usta, oddychając ciężko.

– Nic nie mówcie. – Binabik wyciągnął ramię i nasypał czegoś do górnego zawiasu drzwi.

Teraz już uszy Miriamele rozsadzało głośne dudnienie; miała wrażenie, że znalazła się w uścisku ogromnej pięści. W cieniu przed nią zawirowały iskry.

– Odwróćcie twarze – powiedział Binabik, po czym uderzył czymś w zawias.

Płachta ognia oślepiła Miriamele. Zaciskająca się pięść zamieniła się w otwartą dłoń olbrzyma, który jednym uderzeniem odrzucił ją od drzwi. Pomimo ogromnej siły, tylko nieznacznie rzuciło ją do tyłu – zatrzymała się na niewidocznej barierze. Binabik spadł z jej ramion na ziemię między nią i Cadrachem.

Kiedy odzyskała wzrok, zobaczyła, że drzwi leżą przechylone w wejściu, zasłonięte częściowo tumanem dymu.

– Idziemy! – powiedziała i pociągnęła trolla za ramię.

Binabik chwycił swoją torbę i wcisnęli się w otwór przejścia. Na moment Miriamele się zaklinowała – jej torba utknęła w ciasnej szczelinie, a łuk zaczepił o zawias, lecz szybko się uwolniła. Napięcie w powietrzu zniknęło, gdy tylko znaleźli się w obszernym przedpokoju Wieży Zielonego Anioła.

– Mieliśmy szczęście, że zawiasy były od zewnątrz – wysapał Binabik, machając dłonią.

Miriamele zatrzymała się i spojrzała przed siebie. Poprzez rozstępujący się dym ujrzała czerwony błysk na schodach wieży. Chwilę później dym rozstąpił się na tyle, by zobaczyła wyraźnie lśniącą czaszkę Pryratesa. U jego stóp leżały rozrzucone ciała, a przed nim, na środku pokoju stał Camaris. Starzec patrzył na duchownego wzrokiem tak pełnym boleści i bezradności, że Miriamele pomyślała, iż zaraz pęknie jej serce.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Pryrates odwrócił się od rycerza i schodząc o stopień niżej, przeniósł wzrok na wejście, w którym stała. Wydawało się, że wyważenie drzwi nie zaskoczyło go bardziej niż opadający liść. Nie namyślając się, Miriamele uniosła łuk, naciągnęła cięciwę i wystrzeliła. Celowała w najszerszą część ciała duchownego, lecz strzała poleciała

wysoko w górę. Ze zdumieniem zobaczyła, że Pryrates się zachwiał. Ujrzawszy strzałę w jego gardle, była zbyt zaskoczona, by poczuć radość. Duchowny upadł i potoczył się w dół, aż na podłogę przedpokoju.

– Na Kamienie Czukku! – zawołał troll. – Wykończyłaś go.

– Wuju Josuo! – krzyknęła. – Gdzie jesteś? Camaris! To podstęp! Oni *chcieli*, żebyśmy przynieśli miecze!

„Zabiłam go! – Myśl ta wyrastała w niej powoli. – Zabiłam potwora!”

– Miecz nie może pójść dalej! – zawołał Binabik.

Starzec zrobił kilka chwiejnych kroków w ich stronę, lecz wydawało się, że pozostaje pod wpływem ogromnej mocy, chociaż Pryrates umarł już lub umierał. Nigdzie nie było widać Josui; poza starym rycerzem wszyscy w komnacie leżeli nieruchomo.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, w wieży nad nimi zadzwonił dzwon; brzmiał przeraźliwie głośno i nisko – jak żaden inny, które słyszała Miriamele. Ściany komnaty zatrzęsły się, a Miriamele poczuła, że dźwięk przenika jej ciało. Przez chwilę wydawało się, że cała komnata stopi się, gdyż jej ściany zamieniły się w płachty oślepiającego światła. Wszędzie błyskały światła podobne do świetlików. Kiedy dzwon zamilkł, wszystko znikło.

Miriamele próbowała otrząsnąć się z oszołomienia, a z podłogi tuż przy schodach podniosła się jakaś postać; chwiejąc się, chwyciła kamienny łuk. Był to Josua w poszarpanym płaszczu i koszuli podartej wokół szyi.

– Wuju Josuo! – Miriamele podbiegła do niego.

Długą chwilę patrzył na nią nieprzytomnie.

– Ty żyjesz – odezwał się wreszcie. – Dzięki Bogu.

– To podstęp – powiedziała, zarzucając mu ramiona na szyję. Mała iskierka nadziei, jaka pojawiła się wobec ogromu pozostającego niebezpieczeństwa, okazała się bolesna jak ukłucie nożem. – Fałszywy

posłaniec, poemat o mieczach! To był tylko podstęp! Oni chcieli, żeby miecze znalazły się tutaj, chcieli, żebyśmy je przynieśli!

Josua łagodnie odsunął ją od siebie. Na jego czole pojawiła się strużka krwi.

– Kto chciał miecze? Nie rozumiem.

– Zostaliśmy oszukani, książę Josuo. – Binabik podszedł do księcia. – Pryrates i Król Burz tak to zaplanowali, aby miecze znalazły się tutaj. Sądzę, że mają zostać wykorzystane do jakichś zaklęć o ogromnej mocy.

– My nie znaleźliśmy Białego Gwoździa – powiedziała smutno Miriamele. – Czy ty go masz?

Książę pokręcił głową.

– Kurhan był pusty.

– W takim razie istnieje jeszcze nadzieja. Nie ma go tutaj!

Josua chciał coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie rozległ się głośny jęk Camarisa.

– Ach, Boże, dlaczego Ty mnie tak dręczysz? – zawołał starzec. Uniósł dłoń do czoła, jakby otrzymał uderzenie kamieniem. – To nie tak, to zła odpowiedź!

Książę spojrzał na niego zaniepokojony.

– Musimy go stąd zabrać. Przywiodło go tutaj coś, co jest w tym mieczu. Musimy go wyprowadzić, dopóki pozostały mu jeszcze resztki rozumu.

– Ale Pryrates roztoczył wokół wieży jakąś barierę – powiedział Binabik. – Jedyna nadzieja w tym, że...

– Oto moja kara! – wykrzyknął Camaris. – Ach, mój Boże, za dużo ciemności, zbyt wiele grzechów. Wybacz... wybacz!

Josua zrobił krok do przodu i natychmiast odskoczył, kiedy Cierń świsnął w powietrzu. Książę cofał się w kierunku schodów, starając się pozostać między Camarisem i tym, co go przyzywało.

– Nie skończyło się jeszcze to, co zaczął Pryrates! – krzyknął Binabik. – Trzeba powstrzymać miecz!

Josua uskoczył przed kolejnym ciosem. Wprawdzie trzymał przed sobą Najdel, lecz nie kwapił się, by go użyć nawet do obrony. Miriamele wiedziała, że książę zginie, jeśli nie stawi czoła rycerzowi.

– Wuju Josuo, walcz! Powstrzymaj go!

Kiedy Josua zaczął się cofać po szerokich schodach, a Camaris dotarł do ich stóp, stojący obok Miriamele Binabik skoczył do przodu. Pobiegł między nieruchomymi ciałami i rzucił się na plecy starego rycerza, przewracając go. Miriamele popędziła na pomoc trollowi, a wtedy u jej boku pojawiła się jeszcze jedna postać. Ze zdumieniem zobaczyła, że jest to Wrańczyk Tiamak.

– Lady Miriamele, chwyć go za jedno ramię. – Wrańczyk miał oczy szeroko otwarte z przerażenia i mówił drżącym głosem. – Ja go złapię za drugą rękę.

Camaris zaczął się podnosić, chociaż Binabik chwycił go rękoma i nogami za kolana. Miriamele złapała za ramię, którym starzec chciał zrzucić Binabika, lecz Camaris wyrwał jej rękę. Chwyciła ponownie za ramię i tym razem przywarła mocno do napiętych mięśni. W następnej chwili cała czwórka runęła na ziemię między leżące tam ciała. Nagle Miriamele stwierdziła, że patrzy w dół, w półprzymknięte oczy Isorna, którego twarz była biała jak oblicze Norna. W jej piersi wezbrał przeraźliwy krzyk, lecz zebrała wszystkie siły, by powstrzymać szamocące się ramię Camarisa, i nie myśleć o synu Isgrimnura. Pomieszczenie wypełniał zapach potu strachu i odgłos przewracających się ciał.

Kątem oka dostrzegła Josuę stojącego niedaleko na schodach. Camaris znowu podnosił się na nogi, pociągając za sobą napastników.

– Josuo! – zawołała, dysząc. – On... on nam ucieknie! Zabij go... jeśli będziesz musiał... ale powstrzymaj go!

Książę stał nieruchomo. Miriamele czuła ogromną siłę Camarisa. Wiedziała, że za chwilę się od nich wyzwoli.

– Zabij go, Josuo! – krzyknęła.

Camaris już prawie wstał, lecz Tiamak uczepił się ramienia, w którym rycerz trzymał miecz; pierś i brzuch starca pozostały nieosłonięte.

– Zrób coś! – jęknął Binabik, starając się trzymać nogi Camarisa.

Josua jednak postąpił tylko krok do przodu; Najdel zwisał luźno w jego dłoni.

Miriamele chwyciła rękami za pas Camarisa, po czym zaparłszy się z całych sił stopami o pierwszy stopień, zaczęła ciągnąć mocno do tyłu. Starzec chwiał się przez chwilę, ale ciężar Tiamaka i Binabika sprawił, że jego ruchy były niezdarne. Nie udało mu się utrzymać równowagi i runął do tyłu jak ścięte olbrzymie drzewo.

Upadając, przygniótł nogi Miriamele. Z trudem chwytała oddech. Kiedy Camaris poruszył się po długiej chwili, wiedziała, że nie będzie już miała siły, by jeszcze raz go pociągnąć.

– Ach, Boże – szepnął starzec zwrócony twarzą do sufitu. – Uwolnij mnie od tej pieśni! Nie chcę iść, ale jej moc jest zbyt silna. Płacę i płacę...

Josua wydawał się równie cierpiący jak Camaris. Zrobił jeszcze jeden krok w dół, po czym zatrzymał się i zawrócił.

– Miłościwy Aedonie – westchnął. – Miłościwy Aedonie. – Wyprostował się, mrugając oczami. – Trzymajcie Camarisa tak długo, jak możecie. Chyba wiem, kto czeka na mnie na górze – powiedział i ruszył na górę.

– Wracaj, Josuo! – zawołała Miriamele. – Nie idź tam!

– Nie ma czasu! – zawołał przez ramię. – Muszę tam iść, dopóki jeszcze mogę! On czeka na mnie!

Nagle zrozumiała, o kim mówi.

– Nie – wyszeptała.

Camaris wciąż leżał na podłodze, lecz Binabik nie puścił jego nóg. Tiamak został odrzucony na bok i teraz przykucnął przy schodach, rozcierając ramię i obserwując Camarisa z niepokojem.

– Tiamaku, idź za nim – błagała Miriamele. – Idź za wujem! Szybko! Nie pozwól, żeby się pozabijali.

Wrańczyk otworzył szeroko oczy. Popatrzył najpierw na nią, a potem na Camarisa. Wreszcie wstał i wszedł na schody, utykając; Josua zniknął już w cieniu.

Camaris usiadł.

– Puśćcie mnie. Nie chcę wyrządzić wam krzywdy, kimkolwiek jesteście. – Siedział wpatrzony gdzieś poza komnatę. – On mnie wzywa.

Miriamele puściła jego ramię i ujęła jego dłoń.

– Sir Camarisie, proszę. Wzywa cię jakieś złe zaklęcie. Nie idź. Jeśli zaniesiesz tam miecz, wszystko, o co walczyłeś, może ulec zniszczeniu.

Stary rycerz opuścił wzrok i spojrzał jej w oczy. Na jego twarzy widać było ogromną udrękę.

– Powiedz wiatrowi, żeby nie wiał – powiedział. – Powiedz piorunowi, żeby nie grzmiał. Powiedz temu przeklętemu mieczowi, żeby mi nie śpiewał i nie przyciągał mnie. – Przez chwilę wydawało się, że Camaris się rozluźnia, jakby wzywająca go moc zelżała.

Nagle w komnacie rozległ się krzyk podobny do wycia przerażonego zwierzęcia. Miriamele nagle przypomniała sobie o Cadrachu. Odwróciła się

w stronę drzwi, gdzie się czaił, lecz mnich znowu zawył i pokazał palcem.

Pryrates wstawał wolno, chwiejąc się jak pijak. Strzała wciąż wystawała po obu stronach jego szyi. Wokół rany ciało zaczerwieniło się niezdrowo.

„Ale przecież on nie żyje! – Poczuła paraliżujący ją strach. – On nie żyje! Słodka Elysio, Matko Boża, ja go zabiłam!”

Duchowny przeszedł chwiejnym krokiem i jego spojrzenie rekina spoczęło na Miriamele. Jego głos był teraz jeszcze bardziej chrapliwy niż przedtem.

– Ty... ty mnie zraniłaś. Za to na długo zostawię cię przy życiu.

– Na Córy Gór – szepnął bezradnie Binabik. Wciąż tkwił uwieszony u nóg Camarisa.

Stary rycerz leżał wpatrzony w sufit, obojętny na wszystko poza wezwaniem z góry.

Chwiejąc się, duchowny chwycił za czarne drzewce tuż za grotem i złamał je; z rany popłynęła strużka świeżej krwi. Przez chwilę oddychał głęboko, po czym ujął drugi koniec strzały i wyciągnął ją z szyi – po jego twarzy przebiegł skurcz bólu. Spojrzał uważnie na zakrwawioną strzałę i rzucił ją na podłogę.

– Strzała z Nakkigi – powiedział chrapliwie. – Powinienem się był domyślić. Nornowie mają dobrą broń, lecz nie aż tak dobrą. – Krew przestała lecieć, a z jednej z ran na jego szyi uniosła się smużka dymu.

Miriamele założyła kolejną strzałę i skierowała łuk tak, że jej czarny grot znalazł się na wprost jego twarzy.

– Niech... niech Bóg pośle cię do Piekła, Pryratesie! – Starała się wypowiedzieć te słowa spokojnie, powstrzymując krzyk strachu. – Co zrobiłeś z moim ojcem?

– Jest na górze. – Nagle duchowny się roześmiał. Stał teraz wyprostowany, przepełniony radością płynącą z jego mocy. – Twój ojciec

czeka. Nadeszła chwila, na którą obaj czekaliśmy. Ciekawe, który z nas bardziej się ucieszy? – Pryrates uniósł dłoń i zwinął palec. Powietrze wokół jej dłoni rozgrzało się nagle i strzała trzasnęła. Pusty łuk nieomal wypadł jej z dłoni.

– To wcale nie jest przyjemne stać i patrzeć, jak wciąż puszczasz we mnie strzały. – Pryrates odwrócił się i spojrzał na Cadracha. Wyważone drzwi, przed którymi stał mnich, zagrodzone teraz pieczęcią alchemika, wypełniały wijące się purpurowe cienie. Duchowny skinął palcem. – Chodź tutaj, Padreicu.

Cadrach wydał przeciągły jęk, po czym wstał i zrobił chwiejny krok.

– Nie rób tego! – zawołała do niego Miriamele.

– Nie bądź taka okrutna – powiedział Pryrates. – On chce służyć swojemu panu.

– Walcz z nim, Cadrachu!

Duchowny drgnął.

– Dość. Muszę zaraz iść do swoich obowiązków. – Ponownie uniósł dłoń. – Chodź tutaj, Padreicu.

Mnich poszedł chwiejnie, mrucząc coś pod nosem. Miriamele patrzyła bezradnie, jak opada na kolana przed Pryratesem, przyciskając twarz do kamiennej podłogi. Potem przysunął się jeszcze trochę i położył twarz na czarnym bucie duchownego.

– Już lepiej – powiedział alchemik. – Cieszę się, że nie jesteś na tyle głupi, żeby mi się sprzeciwiać, cieszę się, że pamiętasz. Obawiałem się, że zapomniałeś o mnie w czasie swoich podróży. Widzę, że opuściłeś mnie dla towarzystwa zdrajców.

– To ty jesteś zdrajcą! – krzyknął Binabik. Skrzywił się, kiedy Camaris szarpnął się wreszcie, próbując uwolnić nogi. – Zdradziłeś Morgenesa,

mojego mistrza Ookequka i tych wszystkich, którzy przygarnęli cię i uczyli!

Duchowny spojrzał na trolla rozbawiony.

– Ookequka? A zatem jesteś chłopcem na posyłki tego grubego trolla? Wspaniale. Widzę, że wszyscy moi przyjaciele zebrali się tutaj dzisiaj, by ze mną świętować.

Camaris zaczął się powoli podnosić. Binabik próbował unieruchomić mu nogi, lecz starzec jednym ruchem zrzucił go z siebie i wyprostował się; w dłoni wciąż trzymał czarny Cierń. Ruszył wolno w kierunku schodów.

– Już wkrótce – powiedział Pryrates. – Czuję wezwanie bardzo mocno. – Odwrócił się do Miriamele. – Obawiam się, że będziemy musieli odłożyć naszą rozmowę. Nadchodzi ważny moment rytuału. Dobrze by było, żebym tam był.

Miriamele starała się odwrócić jego uwagę od wuja i ojca.

– Dlaczego to robisz, Pryratesie? Co będziesz z tego miał?

– Co będę miał? Wszystko. Mądrość, której nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, dziecinko. Stanie przede mną otworem cały wszechświat, nic się przede mną nie ukryje. – Wyciągnął ramiona i wydawało się, że rośnie. Jego szata załopotała na wietrze, który wypełnił komnatę. – Poznam rzeczy, o jakich nie mają pojęcia nawet nieśmiertelni.

Camaris krzyknął nagle głośno, jakby otrzymał cios, i ruszył chwiejnie w stronę schodów. W tym momencie znowu zadzwonił ogromny dzwon, przenikając wszystko drżeniem. Miriamele zobaczyła, że pokój się zakołysał; wzdłuż ścian popełzły płomienie, który zgasły, kiedy umilkło echo.

Poczuła, że kręci jej się w głowie, lecz Pryrates stał niewzruszony.

– To oznacza, że ta chwila jest bardzo blisko – powiedział. – Łudzisz się, że zatrzymasz mnie tutaj, żeby Josua mógł spotkać się ze swoim

bratem. – Duchowny pokręcił łysą głową. – Twój wuj nie potrafi powstrzymać tego, co ma się wydarzyć, tak samo jak nie potrafiłby podnieść tego zamku. Ty też nie. Mam nadzieję, że odnajdę cię, kiedy już będzie po wszystkim, mała Miriamele. Nie jestem pewien, co zostanie, ale ciebie nie chciałbym stracić. – Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem. – Wiele przed nami. A czasu nam nie braknie: będziemy mieli całą wieczność, jeśli nam się spodoba.

Miriamele poczuła, że jej serce kurczy się w lodowatym uścisku.

– Nie udało ci się! – krzyknęła. – Nie ma tutaj tamtego miecza! Nie udało ci się, Pryratesie!

Uśmiechnął się szyderczo.

– Czyżby?

Odwrócił się, kiedy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Camaris już się nie bronił i szedł wolno po schodach; po kilku chwilach zginął w cieniu kamiennej spirali. Patrzyła za nim bezradnie. Zrobili wszystko, co było w ich mocy, ale to nie wystarczyło.

Pryrates minął Binabika i Miriamele i poszedł za rycerzem. W pewnym momencie zatrzymał się i uderzył dłonią w szyję. Odwrócił się wolno do trolla, który właśnie wyjmował z ust swoją dmuchawę do strzał. Pryrates wyjął coś zza ucha i przyjrzał się temu.

– Trucizna? – spytał. – Jesteś godnym uczniem swojego mistrza. On zawsze wolno się uczył.

Rzuciwszy strzałkę na ziemię, zmiażdżył ją butem i wszedł na schody.

– On nie zna strachu – szepnął Binabik przerażony. – Ja nie... – Pokręcił głową.

Miriamele patrzyła, jak znika na schodach. Jej wzrok powędrował ku ciałom Isorna i pozostałych żołnierzy. Nagle znowu poczuła płomień gniewu, który zgasł już w niej prawie, zduszony strachem.

– Na górze jest mój ojciec.

Niedaleko na podłodze leżał Cadrach. Mnich płakał z twarzą wciśniętą w szeroki rękaw.

TIAMAK WCHODZIŁ SZYBKO PO SCHODACH.

„Wszystkie nasze obliczenia, wszystkie mądre plany, wszystkie nadzieje – myślał ze smutkiem. – Wszystko na nic. Powiedzieli, że miecze to tylko podstęp. Okazaliśmy się głupcami...”

Wspinał się w górę, nie zważając na przeszywający go ból, który powracał przy kolejnym kroku. Starał się trzymać jak najbliżej Josui, który teraz był zaledwie cieniem sunącym w górę po ciemnych schodach. Zaschło mu w ustach. Coś czeka na samej górze.

„Śmierć – pomyślał. – Śmierć, która czai się jak ghant w koronie drzewa”.

Gdzieś wysoko znowu zadzwonił dzwon; jego dźwięk wstrząsnął nim, tak jak rozgniewany rodzic potrząsa dzieckiem. Znowu ujrzał pełzające płomienie, a wszystko dookoła przez moment wydawało się rozpadać. Miał wrażenie, że minęła bolesna wieczność, zanim znowu potrafił zmusić swoje obolałe nogi do ruchu. Wieża... czy ona budziła się do życia? Czy wszystko inne miało umrzeć?

„Dlaczego mnie posłała? Co ja mogę zrobić? Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku, tak się boję!”

KSIĄŻĘ JOSUA ZNIKNĄŁ, LECZ WRAŃCZYK szedł dalej. Zerkając po drodze przez okna wieży, ujrzał w dole szalejący chaos. Z góry spoglądało groźnie oko Gwiazdy Zdobywcy. Śnieg zaśmiecił czerwone niebo, lecz mimo to dostrzegł niewyraźne postacie ludzi gromadzących się na murach,

grupy walczących pod samymi murami i inne rozsiane po całym terenie wokół wieży. Przez chwilę Tiamak poczuł przypływ nadziei: uwierzył, że książę Isgrimnur i pozostała część armii Josui wdziera się do środka. Zaraz jednak przypomniał sobie, co Binabik powiedział o pieczęci założonej na wieżę. Nikt nie powstrzyma tego, co ma się wydarzyć.

Wszystko to było takie niezrozumiałe. Co właściwie miały znaczyć słowa Miriamele i trolla, dotyczące mieczy? Powiedzieli, że to tylko podstęp, a co ważniejsze, że Pryrates i Elias chcieli, aby znalazły się w wieży. Dlaczego? Co oni zamierzali? Z pewnością miała coś z tym wspólnego obecność Utuk'ku w podziemiach zamku. W Stawie Trzech Głębin drzemała jakaś ogromna moc, którą chciała wykorzystać Królowa Nornów. Sithowie próbowali ją powstrzymać, ale chyba nie byli w stanie tego dokonać.

Tiamak usłyszał gdzieś niedaleko głos Josui. Zatrzymał się. Poczuł nagle strach przed pokonaniem ostatnich stopni. Nie chciał zobaczyć tego, co ujrzał na górze książę. Zacisnął mocno oczy i zaczął modlić się w duchu, żeby obudził się w swoim domu na drzewie i żeby wszystko to okazało się tylko złym snem. Niespokojne wycie wiatru na zewnątrz nie ustało jednak ani na chwilę, a kiedy otworzył oczy, wciąż otaczały go jasne i gładkie ściany Wieży Zielonego Anioła. Wiedział, że musi iść dalej, chociaż każde uderzenie serca mówiło mu, by zawrócił. Nogi nie chciały już nieść jego ciała, tak więc opadł na schody i ostatnie stopnie pokonał, podpierając się rękoma, aż wreszcie jego głowa poczuła podmuch zimnego wiatru i wynurzyła się ponad podłogę dzwonnicy.

Ogromne, spiżowe dzwony wisiały pod sklepionym sufitem, podobne do trujących, zielonych kwiatów z bagien; i rzeczywiście, choć w dzwonnicy wiał silny wiatr, wypełniał ją odór gnijącego mięsa, jaki wydzielały te kwiaty. Ciemne kolumny podtrzymywały na bokach sufit

dzwonnicy, a umieszczone między nimi łukowate okna pozwalały ujrzeć wirujący śnieg i kłębiące się purpurowe chmury. Josua stał kilka kroków przed Tiamakiem, zwrócony twarzą w kierunku północnego okna. Wydawało się, że książę nie wie, co zrobić, jak się ustawić. Naprzeciw niego na prostym stołku siedział jego brat, Elias.

Na bladym czole króla spoczywała ciemna, żelazna korona, w dłoni zaś trzymał coś szarego i długiego, czego Tiamak dokładnie nie widział. Przypominało to miecz, lecz Tiamak nie potrafił skupić na nim wzroku, jakby nie należał on zupełnie do tego świata. Król ubrany był w królewskie szaty, bardzo jednak poplamione, a kiedy wiatr szarpał płaszczem, widać było pod nim więcej dziur niż materiału.

– Wyrzucić go? – zapytał wolno Elias. Patrzył w dół i powiedział to tak, jakby śnił na jawie. – Wyrzucić? Nigdy bym tego nie zrobił. Nie teraz.

– Na miłość i łaskę Boga, Eliasie! – zawołał Josua zrozpaczony. – On cię zabija! A wyrządzi jeszcze więcej zła! Bez względu na to, co powiedział ci Pryrates, on pragnie jedynie zła!

Król uniósł dłoń, a Tiamak, wciąż ukryty za Josuą i pozostając w cieniu schodów, skurczył się w uścisku przerażenia. Jego bladą twarz oblał blask czerwonych okien; mięśnie pod skórą wiły się jak robaki. Lecz dopiero na widok jego oczu Tiamak wstrzymał oddech. Tlił się w nich dziwny żar, światło, które nie należało do świata śmiertelników, podobne do blasku świec z bagien.

– Aedonie, ratuj nas – wyszeptał Josua.

– Ale to *nie jest* plan Pryratesa. – Na ustach Eliasa pojawił się sztywny grymas śmiechu, jakby już nie potrafił zapanować nad swoją twarzą. – Nie zapominaj o tym, że to ja jestem Wielkim Królem: wszystko dzieje się zgodnie z moją wolą. To jest mój plan. Duchowny spełniał tylko moje rozkazy i już niebawem nie będzie mi potrzebny. A ty... – wstał, prostując

się dziwnymi, kanciastymi ruchami; długi, szary przedmiot zwisał biernie, dotykając czubkiem podłogi – ...byłeś moim bratem. Kiedyś.

– Kiedyś?! – zawołał Josua. – Eliasie, co się z tobą stało?! Zamieniłeś się w jakąś straszną istotę, w demona! – Cofnął się o krok, nieomal spadając schodami w dół, po czym odwrócił w dłoni rękojeść Najdela i nakreślił nią znak Drzewa na piersi. Na zewnątrz rozbłysła błyskawica i zadudnił grzmot, lecz Król nawet nie drgnął.

– Nie jestem żadnym demonem – powiedział Elias. Wydawało się, że zastanawia się przez chwilę. – Nie. Ale wkrótce będę czymś więcej... czymś więcej niż człowiekiem. Czuję to już. Czuję, jak się otwieram na wiatry, które krzyczą wśród gwiazd; czuję się, jakbym był nocnym niebem, na którym płoną komety...

– Niech wybaczy nam Usires Odkupiciel – wyszeptał Josua. – Masz rację, Eliasie. Nie jesteś już moim bratem.

Skurcz wściekłości wykrzywił twarz Króla.

– A czyja to wina? Nienawidziłeś mnie od czasów dzieciństwa i zawsze chciałeś mnie zniszczyć. Odebrałeś mi żonę, ukochaną Hylissę, ukradłeś mi ją i oddałeś w ręce Śmierci! Od tamtej chwili nigdy już nie zaznałem spokoju! – Król uniósł drżącą dłoń. – Ale tobie nie było dość: mało ci było mojego serca, zapragnąłeś jeszcze tronu, który mi się prawnie należał. Pragniesz mojej korony, czy nie jest tak?! – ryczał. – Masz, weź ją! – Chwycił ciemny diadem. – Przeklęte żelazo; parzy mnie aż do szaleństwa! – Elias jęknął i cisnął koronę na podłogę. Na jego czole pozostał ciemny, osmalony krąg.

Josua cofnął się o krok, przepełniony żalem i przerażeniem. Po jego policzkach popłynęły łzy.

– Litościwy Aedonie! Modlę się za twoją duszę, Eliasie. – Książę uniósł zakończone kikutem ramię, jakby chciał odegnać to, co zobaczył. – Ach

Boże, biedaku! – Znieruchomiał, po czym wyciągnął Najdel, tak że jego czubek znalazł się tuż przy piersi Króla. – Ale *musisz* oddać ten przeklęty miecz. Za chwilę nadejdzie Pryrates. Nie mogę czekać.

Król spuścił głowę i spoglądał na Josuę spod przymkniętych powiek. Z ciemnego kręgu na jego czole skapnęła kropla krwi.

– Ach tak, więc nadszedł czas? Niekiedy już sam nie wiem, gdyż wszystko już się wydarzyło... tak przynajmniej mi się wydaje. – Uniósł szary przedmiot, który ożył na moment, przybierając postać długiego miecza o podwójnej gardzie i błyszczącym ostrzu. Tiamak skulił się, lecz pozostał na miejscu, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Miecz przypominał kawałek nękanego burzami nieba. – Dobrze...

Josua skoczył do przodu, połyskując Najdelem. Król ledwie poruszył Smutkiem i odparował cios, lecz sam nie zadał następnego. Josua odskoczył do tyłu, drżąc jak w gorączce. Tiamak zastanawiał się, czy spowodował to sam dotyk szarego miecza. Książę ponownie zaatakował, próbując przebić się przez obronę brata. Elias walczył jak we śnie; poruszał się nagłymi zrywami, lecz wystarczająco szybko, by powstrzymać atak Josui, czekał do ostatniej chwili, jakby wiedział, gdzie zaatakuje książę.

Wreszcie Josua odskoczył, dysząc ciężko. Pot na jego czole błyszczał jak widziana z oddali błyskawica.

– Widzisz – powiedział Elias. – Za późno na takie proste rozwiązania. – Znieruchomiał na moment; dzwony zadrżały trącone odgłosem grzmotu. – Za późno. – Kiedy podniósł Smutek, w jego oczach znowu zapłonął nienaturalny żar. – Ale nie jest za późno, żebym z radością odpłacił ci za całe zło, jakie mi wyrządziłeś: moja żona nie żyje, tron zagrożony, serce córki zwróciło się przeciwko mnie. Później będę musiał zająć się czymś innym. Ale teraz mogę zająć się tobą, mój były bracie. – Wysunął się do przodu.

Josua bronił się zaciekle, lecz siły Króla wykraczały poza moc śmiertelnika. Szybko przyparł Josuę do południowego okna, a potem – choć wciąż poruszał się z pewną sztywnością – nacierał z coraz większą mocą, tak że książę ledwie miał czas odparować kolejne ciosy. Cienki Najdel nie mógł powstrzymać Króla i niebawem Josua opadł na parapet okna, niezdolny do dalszej obrony. Elias wyciągnął nagle ramię i chwycił Najdel za ostrze, wyrywając miecz z ręki Josui. Tiamak, oszalały z rozpaczy, wynurzył się ze schodów i skoczył na plecy Króla, kiedy ten wzniósł Smutek ponad głowę. Wrańczyk chwycił za ramię, które trzymało miecz.

To nie wystarczyło jeszcze, żeby uratować księcia. Josua wyrzucił w górę ramiona, by się osłonić, lecz szary miecz opadł na jego szyję. Timak nie widział samego uderzenia, lecz usłyszał jego potężny odgłos i poczuł drżenie w ramieniu Króla. Głowa Josui drgnęła i opadła na bok; z szyi popłynęła krew. Książę opadł bezwładnie na podłogę.

Król zachwiał się, straciwszy równowagę, lecz zaraz wyciągnął ramię i wolną dłonią chwycił Tiamaka za kark. Na krótką chwilę Tiamak zacisnął dłonie na Smutku, który był tak zimny, że aż parzył. Przeraźliwy chłód przeniknął pierś Tiamaka i jego ramiona straciły wszelkie czucie. Zdążył tylko wydać okrzyk udręki z powodu bólu, Josui, wszystkiego, co potoczyło się źle, a potem Król jednym szarpnięciem odrzucił go na bok. Tiamak czuł, że sunie po kamiennej podłodze, a potem coś uderzyło w jego kark i głowę.

Leżał na boku, skulony pod ścianą.

Nie mógł się poruszyć, nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Łzy zasłoniły i tak coraz mniej widoczny obraz. Ogromny grzmot wstrząsnął całą komnatą. Czerwone światło za oknami błysnęło jeszcze jaśniej, jakby wieżę otoczyły płomienie; przez moment wzniosły się na tyle wysoko, by je zobaczył, a na ich tle sylwetkę Króla. Potem zniknęły.

Dzwon odezwał się po raz trzeci.

58. Wieża

SIMON ZATRZYMAŁ SIĘ PRZED DRZWIAMI sali tronowej. Serce waliło mu niemiłosiernie, chociaż dotąd nic się nie wydarzyło, a u jego boku wisiał Biały Gwóźdź. Czy Król czeka w ciemności tak jak w Wieży Hjeldina?

Przecisnął się przez drzwi, przykładając dłoń do rękojeści miecza.

W sali tronowej nie było nikogo, a przynajmniej nie było w niej ludzi. Po obu stronach Smoczego Tronu stało sześć milczących postaci, lecz Simon znał już je z dawnych czasów. Wszedł dalej.

Proporce, które wcześniej zwisały ze ścian, leżały teraz na ziemi, targane wiatrem wciskającym się do wnętrza przez wysokie okna. Pomięte bestie i ptaki leżały na stosach, niektóre z nich owinęły się nawet wokół kości tronu. Simon wszedł na poplamiony proporzec; spoglądał z niego sokół, jakby zdumiony strąceniem z niebios. Częściowo przykryty innymi, wilgotnymi sztandarami leżał też czarny proporzec z wyhaftowaną na nim złotą rybą. Na jego widok powróciły wspomnienia Simona.

Hałas na zewnątrz stawał się coraz donośniejszy. Wiedział, że ma mało czasu, ale strzęp wspomnienia nie dawał mu spokoju. Podszedł do malachitowych postaci. W pulsującym świetle burzy wydawały się wić, tak że przez moment Simon pomyślał, iż ta sama magia, która powodowała

zmiany w całym zamku, przywraca życie kamiennym królom, lecz z ulgą stwierdził, że pozostają w bezruchu, martwi.

Simon spojrzał na postać stojącą tuż przy prawej poręczy pożółkłego tronu. Eahlstan Fiskerne trzymał głowę wysoko uniesioną, jakby spoglądał gdzieś poza zamek i jego wieżę w oczekiwaniu na chwałę. Simon nie raz widział oblicze króla męczennika, lecz tym razem patrzył na niego inaczej.

„To jego widziałem – zdał sobie nagle sprawę. – We śnie, który pokazała mi Leleth. Czytał księgę i czekał na smoka. Powiedziała wtedy: «To jest część twojej historii, Simonie»”. Spojrzał na złotą obrączkę, która lśniła na jego palcu. Spoglądała z niej na niego symboliczna ryba. Jak Binabik przetłumaczył wyryty na niej napis Sithów? Smoki i śmierć?

„Smok był martwy”. – Tyle powiedziała mu Leleth w tamtym... niemiejscu, w oknie w przeszłość.

„Czy Król Eahlstan jest częścią mojej historii? – zastanawiał się Simon. – Czy to chciał mi powiedzieć Morgenes, przekazując mi tę obrączkę? Największą tajemnicę Ligi Pergaminu: że nie John, ale założyciel Ligi zabił smoka?”

Simon byłby więc posłańcem Eahlstana przez pięć wieków. Miałby do udźwignięcia ogromny ciężar honoru i odpowiedzialności, o którym nie chciał teraz myśleć, bogactwo, gdyby przeżył, subtelną tajemnicę, która mogłaby zmienić życie prawie wszystkich znanych mu osób.

Ale Leleth pokazała mu też coś innego. Pokazała mu Inelukiego ze Smutkiem w dłoni. A całe zło Inelukiego skupiało się na...

„Na wieży! – W jednej chwili powrócił do rzeczywistości. – Muszę zanieść tam Biały Gwóźdź. Marnuję czas!”

Simon jeszcze raz spojrzał na kamienną twarz Eahlstana. Skłonił się przed założycielem Ligi, jakby to był jego senior, znajdując dziwną

przyjemność w niesamowitości całej tej sceny, po czym odwrócił się od tronu i poszedł cicho w stronę drzwi.

Na ścianach przedpokoju nie było arrasów, przez co pozostały widoczne drzwi do ustępu. Simon wspiął się po schodach i wyszedł na zewnątrz przez okno w ustępie; nerwowe podniecenie walczyło w nim ze strachem. Na murach mogło być pełno uzbrojonych ludzi, ale oni zapomnieli o Simonie Duchu, który zna każdy kąt. Nie, nie Simonie Duchu, Sir Seomanie, Heraldzie Wielkich Tajemnic!

Zimny wiatr natarł na niego jak taran, nieomal zrzucając go z kamiennej półki. Śnieg zacinał prawie poziomo, kłując w twarz i oczy, tak że Simon mało co widział. Zmrużywszy oczy, złapał się mocno okiennego otworu. Ściana za oknem miała grubość kroku. Dziesięć łokci pod nim walczyli żołnierze. Ale kto walczył? Czy były to ryki olbrzymów, czy tylko odgłosy burzy? Wydawało mu się, że dostrzega ogromne, białe postacie, lecz nie przyglądał się zbyt długo temu, co go czekało, gdyby spadł z muru.

Spojrzał w górę. Spomiędzy plątaniny dachów wyrastała Wieża Zielonego Anioła, niczym ogromne białe drzewo – pan starożytnego lasu. Jej głowę spowijały czarne chmury; niebo rozdarła błyskawica.

Simon spuścił się z półki, a potem posuwał wolno, podpierając się rękami i kolanami. Palce szybko mu zdrętwiały. Przeklął chwilę, w której zgubił rękawice. Przywarł do oblodzonego kamienia, starając się trzymać jak najniżej, by nie zmiótł go porywisty wiatr.

„Usiresie na Drzewie! Ten mur nigdy nie był tak długi!”

Wydawało mu się, że znalazł się na moście ponad otchłanią piekielną. Z mroku w dole dolatywały przeraźliwe okrzyki bólu i wściekłości, a także inne, mniej określone, niektóre z nich tak długie, że Simon wzdragał się, nieomal spadając w dół. Było przeraźliwie zimno, a wiatr wciąż napierał. Simon nie spuszczał wzroku z wąskiego muru, dopóki nie dotarł do jego

końca. Między końcem muru a wieżyczką, która otaczała czwarte piętro Wieży Zielonego Anioła, ziała szeroka przerwa. Przycupnął na krawędzi muru, zbierając siły. Gwałtowny poryw wiatru omal go nie przewrócił.

„No – mówił sobie. – Robiłeś to setki razy. Ale nie w śnieżycę – buntowała się jego inna część. – Nie wtedy, kiedy w dole znajdowało się pełno żołnierzy, którzy poćwiartowaliby cię na kawałki, zanimbyś się zorientował, czy w ogóle przeżyłeś upadek. – Skrzywił się i wsunął dłonie pod pachy, chcąc je trochę rozgrzać. – Niesiesz tajemnice Ligi – upominał siebie. – Morgenes ci zaufał”. – Myśl ta była dla niego jak zaklęcie. Dotknął Białego Gwoździa, by się upewnić, że jest bezpieczny – jego łagodna pieśń wzniosła się jak grzbiet głaskanego kota – po czym ostrożnie wstał na nogi. Stał długą chwilę, chwiejąc się i czekając, aż wiatr ucichnie na moment, potem odmówił krótką modlitwę – i skoczył.

Kiedy znalazł się nad środkiem dziury, poryw wiatru zepchnął go nieco w bok. Wylądował za blisko. Zaczął się ześlizgiwać, ale wreszcie zdołał się chwycić krawędzi blanki i zatrzymał się, wisząc w powietrzu. Wiatr szarpał nim, przez co niebo i wieża wydawały się przechylać, jakby za chwilę wszystko miało stanąć na głowie. Czuł, że jego palce ślizgają się na kamieniu, dlatego szybko wsunął w otwór drugą dłoń, lecz nie na wiele się to zdało. Tracił uchwyt, a jego nogi wisiały w powietrzu.

Simon starał się nie zwracać uwagi na ból przenikający wszystkie jego stawy. Czuł się, jakby znowu przywiązano go do koła i rozciągnięto do granic wytrzymałości. Tylko że tym razem mógł ulżyć swojemu cierpieniu. Wystarczy się puścić i wszystko się skończy.

Ale on widział za dużo, za dużo wycierpiał, by pogrążyć się w otchłani.

Zmuszając się do nadludzkiego wysiłku, podciągnął ciało odrobinę w górę. Kiedy znalazł się na tyle wysoko, by podeprzeć się łokciem, puścił się jedną dłonią i poszukał mocniejszego zaczepienia. Wreszcie trafił

palcami na szczelinę między kamieniami. Podciągnął się jeszcze wyżej; z jego zaciśniętych ust wydobył się mimowolny okrzyk bólu. Kamień był śliski i Simon najpierw znowu zsunął się niżej, lecz szarpnął się z całej siły, wciskając górną połowę ciała w otwór blanki; na zewnątrz pozostały już tylko jego nogi.

Kryjący się pod okapem wieży kruk spojrzał na niego żółtym okiem. Simon podciągnął się do przodu i kruk odskoczył, lecz nie uciekł; stał, przyglądając się mu z przechyloną głową.

Simon podczołgał się do okna wieży, marząc jedynie o tym, żeby schować się przed lodowatym wiatrem. Jego barki i ramiona pulsowały bólem, a twarz szczypała niemiłosiernie od wiatru. Kiedy chwycił się parapetu, poczuł nagle palące kłucie na całym ciele od stóp do głów, jakby oblazło go stado mrówek. Kruk zatrzepotał czarnymi skrzydłami i wzbił się w powietrze; zatoczył koło i odleciał niesiony wiatrem.

Mrowienie stawało się coraz bardziej dokuczliwe, jego kończyny drgały mimowolnie. Coś wyciskało z niego powietrze. Simon wiedział, że wskoczył wprost w pułapkę, w pułapkę zastawioną na nadgorliwych podkuchennych.

„Gamoń – pomyślał. – Jak już raz się jest gamoniem...”

Bardziej wpadł, niż przecisnął się przez okno na schody. Niemiłosierny ucisk zelżał nagle. Simon leżał na zimnym kamieniu i starał się złapać oddech, trzęsąc się okropnie. Jego głowa pulsowała bólem, szczególnie blizna pozostała po spotkaniu ze smokiem. Żołądek podszedł mu niemal do gardła.

Coś wstrząsnęło wieżą, głuchy grzmot podobny do uderzenia ogromnego dzwonu – dźwięk, jakiego Simon jeszcze nie słyszał, przeniknął jego ciało i czaszkę. Na długą chwilę świat został wywrócony na zewnątrz.

Simon przycupnął na schodach.

„To nie były dzwony z wieży! – pomyślał, kiedy umilkło echo. – Słyszałem je codziennie przez całe życie. W takim razie co to było? Co się dzieje?”

Simon rozgrzał się nieco i poczuł, że krew powraca w zdrętwiałe miejsca. Pulsował nie tylko jego policzek. Przesunął palcami po czole. Nad prawym okiem wyczuł rosnące wybrzuszenie. Syknął z bólu, dotykając go lekko. Pomyślał, że pewnie uderzył w coś głową, kiedy przeciskał się przez okno na schody.

„Mogło być gorzej – pocieszał sam siebie. – Mogłem uderzyć się w głowę, kiedy przeskakiwałem na blankę. Już bym nie żył. Ale zamiast tego jestem w wieży, w wieży, w której musi się znaleźć Biały Gwóźdź...”

Biały Gwóźdź!

Przerażony sięgnął w dół, ale nie zgubił miecza; wciąż tkwił przywiązany do jego pasa. W pewnym momencie miecz otarł się o niego i skaleczył go lekko – na lewym przedramieniu widniały dwie wysepki zaschniętej krwi. Wciąż go miał. To było ważne.

Miecz śpiewał mu cicho. Czuł bardziej, niż słyszał ten kuszący zew, który przenikał ból w jego głowie i całym ciele.

Miecz chciał iść wyżej.

„I co? Czy powinienem iść? Miłościwy Aedonie, tak trudno jest myśleć!”

Podniósł się i podpełzł do krawędzi schodów. Oparty o ścianę próbował rozetrzeć obolałe mięśnie. Kiedy uznał, że wszystkie kończyny zginają się mniej więcej tak, jak powinny, oparł się o ścianę i wstał. Natychmiast świat zaczął się niebezpiecznie kołysać, lecz on przycisnął mocno dłonie do pokrytej rzeźbami ściany i po długiej chwili potrafił już utrzymać się na nogach bez podparcia.

Stał, nasłuchując wycia wiatru i odgłosów walki. Słyszał też inny odgłos, który stawał się coraz wyraźniejszy. Na schodach rozbrzmiewało echo kroków.

Simon rozejrzał się bezradnie. Nie miał gdzie się ukryć. Wyciągnął zza pasa Biały Gwóźdź i poczuł w dłoni jego pulsowanie, wypełniające go ciepłem podobnym do tego, jakie czuł po wypiciu łyku trunku trollów. W pierwszej chwili zdecydował, że zostanie na schodach z mieczem w dłoni i stawi dzielnie czoło wchodzącemu po schodach, ale zaraz uznał to za wielką głupotę. To mógł być każdy: Nornowie, żołnierze, a nawet Król albo Pyrates. Simon musiał myśleć też o życiu innych, o Wielkim Mieczu, który miał przynieść, zanim rozpocznie się ostateczna bitwa – nie mógł zignorować tej odpowiedzialności. Odwrócił się i poszedł schodami na górę z mieczem uniesionym przed sobą, tak by nie zawadzić nim o nic i się nie zdradzić. Ktoś już tego dnia szedł po schodach, gdyż na ścianach paliły się pochodnie, których drżące, żółte światło wypełniało przestrzeń między oknami.

Schody pięły się w górę. Pokonawszy kilkadziesiąt stopni, Simon doszedł do grubych, drewnianych drzwi umieszczonych w wewnętrznej ścianie. Poczuł ulgę: będzie mógł się ukryć w pomieszczeniu, a potem ostrożnie zerknie przez otwór umieszczony wysoko na drzwiach. Nie miał chwili do stracenia. Kiedy położył dłoń na klamce, odgłos kroków stał się wyraźnie głośniejszy.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz. Simon zajrzał do ciemnego pomieszczenia i wszedł do środka. Podłoga wydawała się uginać pod nim, kiedy odwrócił się, żeby zamknąć drzwi. Odsunął się, żeby drzwi go nie uderzyły, lecz jego stopa nie trafiła na żadne podparcie.

Simon wydał zduszony okrzyk przerażenia i chwycił za klamkę. Drzwi znowu otworzyły się do wewnątrz, pociągając go do tyłu, gdzie jego stopa

bezskutecznie szukała oparcia. Spocona dłoń niepewnie ściskała klamkę. W sączącym się do wnętrza świetle pochodni zobaczył, że podłoga ciągnęła się tylko na łokieć poza próg drzwi, a potem urywała się nagle spróchniała. W dole była tylko ciemność.

Ledwie udało mu się odzyskać równowagę i podciągnąć jedną ręką na podłogę, kiedy ogromny dzwon zadzwonił po raz drugi. Przez moment pokój wypełnił się światłem i skaczącymi płomieniami. Miecz, który przez cały czas trzymał mocno w dłoni, teraz wyśliznął się z niej i poleciał w dół. W następnej chwili płomienie zniknęły, a Simon stał niepewnie na krawędzi podłogi. Biały Gwóźdź – tak cenna rzecz, nadzieja całego świata – zniknął w ciemności poniżej.

Znowu rozległo się echo kroków, które ucichły na długą chwilę. Simon zamknął drzwi i przywarł do nich plecami, stojąc na wąskim pasku ponad pustą ciemnością. Słyszał, jak kroki mijają jego kryjówkę i posuwają się dalej w górę, ale teraz nie miało już dla niego znaczenia, kto jest z nim w wieży. Zgubił Biały Gwóźdź.

ZNALEŹLI SIĘ TAK WYSOKO. Ściany na schodach wydawały się pochylać do środka, zamykać nad nią. Miriamele zachwiała się. Jeśli dzwon zadzwoni po raz czwarty, wtedy z pewnością się przewróci. Będzie staczała się po schodach w nieskończoność.

– Już prawie jesteśmy – szepnął Binabik.

– Wiem. – Czuła, że coś czeka na nich powyżej; powietrze drżało. – Nie wiem, czy odważę się pójść tam...

Troll wziął ją za rękę.

– Ja też się boję. – Wycie wiatru nieomal zagłuszało jego słowa. – Ale tam jest twój wuj i Camaris zaniósł tam miecz. Jest tam też Pryrates.

– I mój ojciec.

Binabik przytaknął jej.

Miriamele wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała w górę; zza zakrętu schodów dobywało się czerwone światło. Czekała tam śmierć, a może i coś gorszego. Wiedziała, że musi tam pójść, ale wiedziała też, że kolejny krok będzie początkiem końca świata, który znała dotąd.

Przesunęła dłonią po spoconej twarzy.

– Jestem gotowa.

W MIEJSCU, W KTÓRYM SCHODY dochodziły do komnaty, pulsowało dymiące światło. Na zewnątrz rozległ się grzmot. Miriamele ścisnęła ramię Binabika i pomacała swój pas, dotykając sztyletu; wyjęła go z zimnej dłoni jednego z ludzi Isorna. Założyła strzałę na łuk. Pryrates był już raz ranny – nawet jeśli nie mogła go zabić, to może uda jej się odwrócić jego uwagę w decydującym momencie.

Weszli w krąg purpurowego światła.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, były nogi Tiamaka. Wrańczyk leżał skulony pod ścianą. Powstrzymała zduszony okrzyk i weszła wyżej; zimny wiatr owiał jej twarz.

W wysokich oknach widać było płynące po niebie ciemne chmury; ich postrzępione krawędzie jarzyły się blaskiem Gwiazdy Zdobywcy. Pod sufitem dzwonnicy unosiły się niczym popiół płatki śniegu. Wyczuwała atmosferę oczekiwania, zawieszonego w próżni świata. Miriamele z trudem chwytała powietrze.

Usłyszała cichy głos Binabika. Camaris klęczał na podłodze pod zielonkawym dzwonem, jego ramiona drżały, a on trzymał uniesiony przed sobą czarny Cierń niczym święte Drzewo. Kilka kroków przed nim stał Pryrates, jego czerwone szaty powiewały na wietrze. Ona jednak nie patrzyła na nich.

– Ojcze? – Powiedziała to ledwie głośnym szeptem.

Król uniósł głowę, lecz wydawało się, że trwa to wieczność.

Twarz miał bladą i wychudzoną, oczy głęboko zapadnięte i błyszczące, jak osłonięte lampy. Spojrzał na nią, a ona poczuła, że rozpada się na tysiące kawałków. Chciała płakać, śmiać się, pobiec do niego i pomóc mu. Ale inna jej część, schwytana w pułapkę i krzycząca przeraźliwie, pragnęła, by ta istota, która udawała jej ojca i która nie mogła być tym, który ją wychował, przestała istnieć, by zapadła się w ciemności, w której nie będzie już dręczyła jej swoją miłością czy strachem.

– Ojcze? – Tym razem przemówiła głośniej.

Pryrates zwrócił głowę w jej stronę, obrzucając ją pełnym zniecierpliwienia spojrzeniem.

– Widzisz, Wasza Wysokość? Z nikim się już nie liczą – zwrócił się do Króla. – Ciągle wchodzą tam gdzie nie trzeba. Nic dziwnego, że jesteś tak zmęczony panowaniem.

Elias wzruszył ramionami, zezłoszczony albo zniecierpliwiony. Jego twarz pozostała obojętna.

– Wyrzuć ją.

– Ojcze, zaczekaj! – krzyknęła i zrobiła krok do przodu. – Boże, dopomóż nam, nie rób tego! Przemierzyłam cały świat, żeby porozmawiać z tobą! Nie rób tego!

Pryrates wzniósł ramiona i powiedział coś, czego nie usłyszała. Nagle poczuła, że pochwyciła ją jakaś niewidzialna siła; oplotła ją swoim gorącym uściskiem, a potem ona i Binabik zostali rzuceni na ścianę. Torba spadła jej z ramienia, a jej zawartość wysypała się na podłogę. Łuk znalazł się poza zasięgiem jej ręki. Broniła się, lecz oplatająca ją siła pozwoliła jej tylko na kilka ruchów. Nie mogła się poruszyć. Binabik także się szamotał, lecz bezskutecznie.

– Odeślij ją – powtórzył Elias gniewnie, omijając wzrokiem postać Miriamele.

– Nie, Wasza Wysokość – nalegał duchowny. – Niech zostanie. Niech popatrzy. W końcu to twój brat. – Duchowny wskazał na coś, czego nie mogła dojrzeć. – Który niestety nie jest w stanie teraz docenić tego, a także twoja zdradziecka córka, przez którą znalazłeś się na tej ścieżce. – Zachichotał. – Ale oni nie mogli wiedzieć, że w rezultacie staniesz się potężniejszy jeszcze, niż byłeś.

– Czy ona cierpi? – spytał Król. – Nie jest już moją córką, ale nie pozwolę, żebyś się nad nią znęcał.

– Nie, Wasza Wysokość, żadnego bólu – odparł duchowny. – Razem z trollem będą tylko... publicznością.

– Dobrze. – Król wreszcie spojrzał na nią, mrużąc oczy, jakby znajdowała się gdzieś bardzo daleko. – Gdybyś tylko posłuchała – powiedział chłodno. – Gdybyś tylko była posłuszna...

Pryrates położył dłoń na ramieniu Eliasa.

– Wszystko było w jak najlepszej intencji.

Za późno. Pustka i rozpacz, które Miriamele próbowała powstrzymać, wyzwoliły się wreszcie i zalały ją niczym czarna krew. Straciła ojca, a i ona dla niego była już martwa. Wszystko co zrobiła, co przecierpiała, okazało się na nic. Wydawało jej się, że serce pęknie jej z żalu.

Na niebie za oknem pojawił się zygzak błyskawicy. Dzwony zadrżały dotknięte echem grzmotu.

– Z... miłości. – Zmusiła swoje szczęki, by przebiły się przez zaklęcie alchemika. Każde słowo odbijało się echem w jej uszach, jakby stała na dnie głębokiej studni. Powiedziała mu, ale za późno, za późno. – Ty... ja... robiliśmy to... z miłości.

– Cicho! – syknął Król. Jego twarz skrywała teraz maska wściekłości. – Miłość! Czy coś z niej zostaje po tym, jak robaki objedzą mięso z kości? Nie znam tego słowa.

Elias odwrócił się powoli do Camarisa. Stary rycerz wciąż tkwił w tym samym miejscu, lecz teraz, jakby przyciągnięty mocą królewskiej uwagi, przybliżył się o kilka kroków, zgrzytając Cierniem o kamienną podłogę.

Głos Króla zabrzmiał dziwnie łagodnie.

– Nie dziwię się, że czarny miecz wybrał ciebie, Camarisie. Powiedziano mi, że powróciłeś do żywych. Wiedziałem, że Cierń odnajdzie cię, jeśli to prawda. Teraz razem staniemy w obronie królestwa twojego ukochanego Johna.

Miriamele otworzyła szeroko oczy, przerażona, kiedy ujrzała postać zasłoniętą dotąd przez Camarisa. Josua leżał nieruchomo na prawo od jej ojca. Nie widziała jego twarzy, lecz koszula i płaszcz księcia wokół szyi przesiąkły krwią, która zbierała się pod nim. Miriamele zapłakała.

– Już czas, Wasza Wysokość – powiedział Pryrates.

Król wyciągnął przed siebie miecz niczym szary jęzor, dotykając prawie rycerza. Camaris najwyraźniej walczył ze sobą, lecz mimo to uniósł Cierń na spotkanie królewskiego miecza.

Próbując pokonać tę samą siłę, z którą zmagała się Miriamele, Binabik wydał zduszony okrzyk, lecz Cierń wciąż wznosił się w drżącej dłoni starca.

– Boże, wybacz mi! – zawołał udręczony Camaris. – Grzeszny jest ten świat, a ja znowu Cię zawiodłem!

Rozległ się dźwięk uderzenia metalu o metal. Burza przycichła i przez chwilę słychać było tylko jęk udręki Camarisa.

W miejscu, w którym spotkały się dwa miecze, zaczął pulsować czarny punkt, jakby świat pękł i przez jego powłokę zaczęła sączyć się jakaś

pierwotna pustka. Nawet poprzez zaklęcie alchemika Miriamele poczuła, że powietrze w komnacie staje się kruche. Chłód stał się jeszcze bardziej przenikliwy. Na oknach i ścianach pojawiły się lodowe kwiaty. W ciągu kilku chwil kryształki lodu wypełniały już swoim migotaniem cały pokój. Z ogromnych dzwonów zwisały sople lodu – półprzezroczyste zęby, lśniące w blasku czerwonej gwiazdy.

Pryrates uniósł ramiona w triumfalnym geście. Migocące płatki przylgnęły do jego szaty.

– Zaczęło się.

Kiść dzwonów pod sufitem dzwonnicy wisiała nieruchomo, lecz rozległ się ogłuszający dźwięk innego, większego. Lodowy pył wzniósł się w powietrze, kiedy wieża zadrżała niczym drzewo schwytane w szpony wiatru.

SIMON SZARPNĄŁ ZA KLAMKĘ i zaklął cicho. Te niższe drzwi były zamknięte – nie będzie łatwo dostać się do pomieszczenia pod dziurawą podłogą – a on znowu usłyszał kroki kogoś wchodzącego po schodach.

Stawy bolały go okropnie, lecz mimo to poszedł szybko schodami z powrotem na górę do drugich drzwi i wszedł ostrożnie, pamiętając, by zatrzymać się na krawędzi, która wcześniej wytrzymała jego ciężar. Musiał odsunąć się daleko, żeby zamknąć drzwi. Kiedy kroki ucichły, powrócił ostrożnie do szczeliny, lecz kiedy do niej dotarł, ujrzał już tylko małą, niewyraźną postać, która znikała w górze schodów, dziwnie skulona. Odczekał długą chwilę, nasłuchując, po czym wyszedł na schody i zdjął ze ściany najbliższą pochodnię.

Z ulgą zobaczył, że pomieszczenie poniżej miało podłogę, która tylko w niewielkim stopniu przegniła. Biały Gwóźdź leżał wśród porozrzucanych mebli. Simon nie mógł znieść widoku miecza, wspaniałego klejnotu

porzuconego wśród śmieci. Musi go odzyskać. Biały Gwóźdź musi pójść do wieży. Nawet z tej odległości czuł jego pieśń.

Cieniutka nić pieśni miecza wiła się wśród jego myśli, gdy tymczasem on wybrał w miarę mocny punkt na podłodze poniżej. Potem chwycił koniec pochodni w zęby i spuścił nogi w dziurę. Opuścił się najpierw na długość ramion i wreszcie z bijącym sercem rozluźnił dłonie. Drewniana podłoga jęknęła głośno i ugięła się nieco, ale wytrzymała. Simon zrobił krok w kierunku Białego Gwoździa, lecz jego stopa zapadła się nagle, jakby wszedł w błoto. Cofnął się natychmiast i zobaczył, że kawałek podłogi, trochę większy niż jego obcas, zapadł się.

Simon opadł na dłonie i kolana. Posuwał się po zdradliwej podłodze niezwykle ostrożnie. Wycie wiatru na zewnątrz było teraz bardzo stłumione. Czuł na policzku gorąco płomienia pochodni; w jej blasku cień Simona na ścianie przypominał zgarbione zwierzę.

Wyciągnął ramię. Jeszcze trochę... i jeszcze... już! Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza i natychmiast poczuł wyraźniej jego pieśń; przenikała jego ciało, witała go radośnie. Teraz potrzeba miecza stała się jego potrzebą.

„Do góry – pomyślał. Słowa te były jak klejnot oglądany okiem jego umysłu. – Czas iść do góry”.

Ale łatwiej było to pomyśleć, niż zrobić. Usiadł, mrugając, kiedy zatrzeszczała podłoga, i wziął pochodnię w dłoń. Uniósł ją i się rozejrzał. Ten pokój był większy od pokoju na górze. Połowę sufitu, która nie stanowiła drewnianej podłogi znajdującego się na górze pomieszczenia, stanowił niczym niepodparty kamienny kloc. Ściany pokoju były pozbawione wszelkich ozdób, poza delikatnymi rzeźbami przykrytymi warstwą kurzu i sadzy. Nie widział tam niczego, po czym mógłby wspiąć

się wyżej, a nawet gdyby podskoczył, nie dosięgnąłby kawałka całej podłogi u góry.

Simon zastanawiał się przez chwilę. Pieśń miecza jak cień nie odstępowała jego myśli; jej pulsująca obecność pchała go w górę. Niechętnie zdjął dłoń z rękojeści Białego Gwoździa i wsunął go za pas, po czym znowu chwycił pochodnię w zęby. Popełzł w kierunku drzwi, które próbował otworzyć od zewnątrz, lecz od wewnątrz okazały się równie niewzruszone. Ciągnął mocno, lecz nie drgnęły – może z powodu wilgoci albo obluzowanej części. Westchnął i wrócił na środek pokoju.

Poruszając się z wielką ostrożnością, pozbierał kawałki potłuczonych mebli i ułożył jedne na drugich lub obok siebie, aż obok zamkniętych drzwi powstał chwiejący się stos. Kiedy wsuwał potłuczony stół na jego czubek, ponownie usłyszał, że ktoś wchodzi na górę.

Nie był pewien, lecz tym razem wydawało mu się, że słyszy więcej niż jedną osobę. Przytrzymując dłonią blat stołu, nasłuchiwał, jak kroki rozlegają się najpierw przy jego drzwiach, a potem, słabiej już, przy drzwiach powyżej. Wstrzymał oddech, zastanawiając się, który to z jego wrogów może wspinać się na wieżę, choć wiedział, że niebawem i tak się dowie. Biały Gwóźdź nie odstępował jego myśli. Trudno było mu siedzieć nieruchomo.

Kiedy kroki ucichły, Simon szturchnął stos, upewniając się, że jest dość stabilny. Rzeczy układał tak, by wszystkie ostre końce i wystające nogi skierować do dołu, na wypadek gdyby spadł; domyślał się jednak, że jeśli tak się stanie, to on i wszystkie te połamane krzesła, stołki i stoły przelecą przez podłogę i wpadną do pokoju na niższym piętrze. Nie chciał myśleć o tym, co się wtedy stanie.

Simon wspinał się powoli, aż wreszcie położył się płasko na blacie stołu i podciągnął nogi. Płomień pochodni, którą trzymał w zębach, dotykał

nieomal jego włosów. Wstał ostrożnie, czując, że stos chwieje się pod nim. Wziął w rękę pochodnię i podniósł ją wysoko, szukając najpewniejszego uchwytu na brzegu podłogi nad jego głową.

Zbliżał się do krawędzi chwiejnego stosu, kiedy dzwon zadzwonił po raz trzeci.

W momencie kiedy odgłos dzwonu chwycił wieżę w swoje szpony i zatrząsł nią, a stos pod nim zaczął się osuwać, Simon rzucił pochodnię i skoczył. Podłoga pod jedną ręką załamała się, lecz z drugiej strony wytrzymała. Chwycił w innym miejscu i podciągnął się; czerwone płomienie lizały ściany, a całe pomieszczenie jakby się przesunęło. Jego zmęczone ramiona mocno drżały, kiedy podciągał się jeszcze wyżej i wyciągał ramię, by chwycić próg drzwi, potem podniósł nogę i zaczepił ją o podłogę. Echo uderzenia dzwonu umilkło, chociaż on wciąż czuł je w zębach i czaszce. Płomienie strzeliły jaśniej i zgasły, pozostawiając po sobie tylko lekką poświatę. Poczuł dym pochodni, snujący się spomiędzy nagromadzonych drewnianych skorup.

Chrząkając z wysiłku, Simon podciągnął się na wąski kawałek podłogi. Kiedy leżał nieruchomo, chwytając z trudem oddech, zobaczył, że z podłogi w pomieszczeniu na dole strzelają płomienie.

Przesunął się ostrożnie na skraj podłogi, otworzył drzwi i wydostał na schody. Zamknął za sobą drzwi, lecz kilka smug dymu zdołało wymknąć się na zewnątrz i tam się rozwiało. Czekał spokojnie, aż gwałtowne drżenie jego dłoni się uspokoi.

Wyciągnął miecz zza pasa. Znowu miał Biały Gwóźdź. Znowu żył i był wolny. Nadzieja powróciła.

Kiedy zaczął wspinaczkę po schodach, poczuł mocniej pieśń miecza, pieśń radości, pieśń zbliżającego się spełnienia. Jego serce zabiło ożywione pieśnią. Wszystko będzie tak jak dawniej.

Czuł ciepło rękojeści miecza, który wydawał się przedłużeniem ramienia, ciała, jego nową częścią, równie wrażliwą jak nos tropiącego ogara czy ucho nietoperza.

„W górę. Już czas”.

Ból w jego głowie i kończynach zelżał, ustępując miejsca triumfalnej pieśni Białego Gwoździa, bezpiecznego w jego dłoni.

„Wreszcie nadszedł czas. Wszystko będzie tak jak dawniej. Już czas”.

Miecz śpiewał coraz głośniej. Simon nie potrafił już myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by stawiać kolejny krok w drodze na górę wieży, do miejsca, gdzie zdążał Biały Gwóźdź. W oknach, które mijał, widział skłębione chmury, czerwone na brzegach, czasem rozrywane błyskawicą, lecz odgłosy burzy wydawały się dziwnie stłumione. Pieśń miecza rozbrzmiewała o wiele głośniej, przynajmniej w jego myślach.

„Wreszcie nadchodzi koniec” – pomyślał. Czuł to. Obiecywał mu to Biały Gwóźdź. Miecz przyniesie koniec jego trosk i zmartwień, które od tak dawna go nękają; wszystko zmieni się, kiedy dołączy do swoich braci. Skończy się całe nieszczęście.

Teraz był sam na schodach. Poza nim nikt się nie poruszał, a on wyczuwał, że wszystko, wszyscy czekają na niego. Cały świat balansował na Wieży Zielonego Anioła, a on będzie tym, który przeważy szalę. Było to niezwykle podniecające uczucie. Miecz przyzywał go, śpiewał mu, z każdym krokiem napełniał go coraz większym uczuciem nieokreślonej chwały i ulgi.

„Ja jestem Simon – pomyślał i wydało mu się, że słyszy grające trąby. – Dokonałem wielkich czynów – zabiłem smoka! Wygrałem bitwę! A teraz przynoszę Biały Gwóźdź!”

Kiedy szedł w górę, schody wydawały się migotać, przypominały rzekę z kości słoniowej. Jasne ściany emanowały blaskiem, jakby odbijały

światło, które w nim płonęło. Błękitne rzeźby były równie piękne jak kwiaty rzucane pod nogi zdobywcy. Zbliżało się spełnienie. Koniec bólu.

Dzwon zagrzmiał po raz czwarty, jeszcze mocniej niż poprzednio.

Simon zachwiał się, wstrząśnięty niczym szczur schwytany w pysk psa, gdy echo przetoczyło się po schodach. Zaraz potem omiótł go podmuch mroźnego powietrza, pokrywając rzeźby na ścianach mleczną warstwą lodu. Nieomal wypuścił miecz z dłoni, kiedy uniósł ramiona i krzyknął. Potknął się i oparł dłonią o framugę jednego z okien wieży.

Stał, jęcząc i drżąc, gdy tymczasem niebo na zewnątrz się zmieniło. Chmury odeszły i na długą chwilę ukazały się czarne przestworza nieba upstrzone malutkimi, zimnymi gwiazdami, jakby Wieża Zielonego Anioła uwolniła się od swych korzeni i płynęła ponad burzą. Patrzył, kuląc się przed zamierającym echem. Potem znowu powróciło czarne niebo, umazane szaro-czerwonymi plamami, nękane burzą.

Simon sięgnął do swoich myśli, próbując przeciwstawić się nieodpartej mocy pieśni Białego Gwoździa.

„To... jest złe. – Radość, jaka go dotąd wypełniała, uczucie, że potrafi wszystko naprawić, odeszły. – Dzieje się coś złego, coś bardzo złego!”

Ale on już wspinał się dalej, zbliżał się do niewyraźnego światła. Nie był już panem swojego ciała.

Walczył. Jego stopy zdrętwiały, wydawały mu się odległe. Zwolnił, potem zdołał się zatrzymać, drżąc w mroźnym wietrze, który wiał w dół schodów. Ze ścian zwisały sople lodu, a chmura jego oddechu unosiła się nad jego głową, lecz on wyczuwał gdzieś w górze jeszcze większe zimno, zimno, które w jakiś sposób *myślało*.

Długo zmagał się, by odzyskać kontrolę nad swoimi rękoma i nogami – nie była to walka z niczym widzialnym, niezauważona przez nikogo poza tamtą zimną, nieludzką obecnością. Wyczuwał jej niecierpliwe

oczekiwanie, kiedy pot na jego czole zamarzł i opadł cienkimi sopelkami na schody. Jego przegrzane ciało parowało, a tam, gdzie unosiło się ciepło, natychmiast wkradał się śmiertelny chłód.

Chłód wreszcie pokonał Simona, przenikając jego ciało. Poruszał nim jak kukiełką na patyku. Simon drgnął i jeszcze raz ruszył w górę, krzycząc niemo z więzienia swojej czaszki.

Ze schodów wszedł do wypełnionej oparami dzwonnicy; jej oblodzone ściany lśniły i migotały. Za oknami płynęły burzowe chmury, tak że światło i cienie przesuwały się leniwie, jakby i one znalazły się w szponach chłodu.

Miriamele i Binabik stali przy drzwiach, wijąc się, schwytani w jakąś niewidzialną sieć, niczym muchy w bursztyn. Otworzył szeroko oczy na ich widok i serce zabiło mu mocniej, lecz nie potrafił krzyknąć ani nawet zatrzymać stóp, które niosły go do przodu. Miriamele otworzyła usta i wydała zduszony okrzyk. Poczuła napływające łzy i przez moment jej blada twarz przyciągała jego uwagę jak lampa w ciemnym pokoju, lecz istota, która go pochwyciła, nie ustępowała. Niczym rzeczny prąd przeniosła go obok jego przyjaciół i ciągnęła dalej w kierunku kolumn wyrastających w górę na środku komnaty.

Pod oszronionymi dzwonami czekały trzy postacie, z których jedna klęczała. Ta część Białego Gwoździa, która oplotła go już całkowicie, tańczyła i skakała... lecz część, która jeszcze pozostała Simonem, skuliła się, kiedy Elias odwrócił w jego stronę twarz podobną do oblicza zmarłego. Spoczywający w jego dłoniach szary miecz opierał się na czarnym Cierniu, a w miejscu, gdzie się dotykały, ziała dziura nicości, pustki, która raniła umysł Simona.

Camaris, drżąc, odwrócił się do Simona; szron przyprószył jego brwi i włosy. Jego spojrzenie przepełniała niewypowiedziana udręka.

– Moja wina... – wyszeptał, szczękając zębami.

Pryrates obserwował Simona od chwili wejścia. Teraz duchowny skinął głową uśmiechnięty.

– Wiedziałem, że jesteś gdzieś w wieży, chłopczyku z kuchni, ty i ostatni z mieczy.

Simon czuł, że musi iść bliżej miejsca spotkania Ciernia i Smutku. Poprzez Biały Gwóźdź, którego pieśń wypełniała go, czuł też śpiew pozostałych mieczy. Radosne pulsowanie, obecne we wszystkich trzech, wzmogło się, kiedy moment ich połączenia przybliżył się. Simon odczuwał je jak przyspieszający prąd w rzecznym przesmyku, lecz jednocześnie czuł, że istnieje bariera, która w jakiś sposób rozdziela miecze. Chociaż dwa z nich już się połączyły, a trzeci znajdował się tuż obok, to jednak wciąż pozostawały tak samo odległe jak do tej pory.

Ale Simon wyczuwał gdzieś w głębi swego umysłu, że niebawem nastąpi ogromna zmiana. Jakieś ogromne koło spoczywało luźno na swojej osi, gotowe, by zacząć się kręcić, a kiedy to nastąpi, runą wszelkie bariery, znikną ściany. Miecze śpiewały, czekając.

Nagle zdał sobie sprawę, że idzie przed siebie. Rozległ się dźwięk uderzenia Białego Gwoździa o dwa pozostałe miecze. Siła uderzenia wstrząsnęła nie tylko Simonem, ale i całą komnatą. Czarna pustka w miejscu spotkania się mieczy pogłębiła się – była to dziura, w której mógł pogrążyć się cały świat. Światło dookoła zmieniło się: blask czerwonej gwiazdy sączący się oknami do wnętrza pogłębił się, zalewając komnatę krwawym blaskiem, i wtedy straszliwy dzwon zadzwonił po raz piąty.

Simon zadrżał i krzyknął, kiedy wieża zatrzęsła się, a energia mieczy, wciąż jeszcze spętana, lecz szamocąca się ku wolności, przeniknęła jego ciało. Wszystko, co widział, zamazało się i przygasło na moment. Poczuł, że został uwięziony w czymś, co parzyło jak ogień i ciążyło jak magnetyt.

Próbował się uwolnić, lecz zakołysał się tylko nieznacznie, uczepiony rękojeści Białego Gwoździa jak zdychająca ryba na haczyku. Echo dzwonu ucichło.

Nawet poprzez śpiew mieczy Simon wyczuwał, że mroźna obecność, którą dostrzegł jeszcze na schodach, stawała się coraz silniejsza, przepastna i ciężka jak góra, zimna jak przestrzenie między gwiazdami. Przybliżała się, lecz jednocześnie czaiła się tuż za jakąś niepojętą barierą.

Elias, jakby nieczuły na wzbierającą moc mieczy, oplótł Simona spojrzeniem swoich oszalałych, zielonych oczu.

– Nie wiem, kto to jest, Pryratesie – szepnął. – Chociaż wyczuwam w nim coś znajomego. Ale to nie ma znaczenia. Umowa została dotrzymana.

– Tak. – Duchowny przeszedł tak blisko, że jego szata musnęła ramię Simona.

Ukryta część Simona wrzasnęła przepełniona wściekłością i obrzydzeniem, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk: teraz był zaledwie czymś, co trzyma Biały Gwóźdź. Moc miecza, przepełniona radością połączenia z pozostałymi, obojętna na zmaganie i nienawiść ludzi, czekała na to, co miało się jeszcze wydarzyć.

– Wszyscy dotrzymali umowy – powiedział Pryrates, stając u boku Króla. – I wszystko zostało wprawione w ruch. Wkrótce Utuk’ku, Najstarsza, okiełzna Staw Trzech Głębin. Wtedy dopełnimy Piąty Dom i wszystko się zmieni. – Spojrzał na Simona. – Ten, którego nie znasz, to szczeniak z kuchni Morgenesa, Wasza Wysokość. – Pryrates uśmiechnął się. – Cieszę się. Widziałem, co zrobiłeś z Inchem, chłopcze. Dobra robota. Zaoszczędziłeś mi wysiłku.

Simon czuł wzbierającą w nim wściekłość. W czerwonym świetle zadowolona twarz duchownego wydawała się unosić jakby pozbawiona

materii i przez chwilę Simon widział tylko ją. Spróbował poruszyć kończynami, oderwać Biały Gwóźdź od jego braci, żeby zmiażdżyć życie mordercy, ale na próżno. Ogień gniewu płonął w nim, nie mogąc się wydostać, a Simon czuł, że za moment strawi go całkowicie od wewnątrz.

Wieża zadrżała wstrząśnięta odgłosem dzwonu. Simon spojrzał w górę, kiedy podłoga pod nim się zatrzęsła, ale spiżowe dzwony się nie poruszyły. Zamiast tego pojawiła się jakaś upiorna postać, podobna w kształcie do dzwonu, ale dłuższa i cylindryczna. Przez moment, kiedy upiorny dzwon zadrżał, Simon ujrzał za oknami płomienie, a niebo stało się nieskończenie czarne.

Kiedy ucichł grzmot, Pryrates wzniósł ramiona.

– Wygrała. Już czas.

Król spuścił głowę.

– Boże, pomóż mi. Długo czekałem.

– Twoje oczekiwanie dobiegło końca. – Duchowny skrzyżował przed sobą ramiona i opuścił je. – Utuk’ku poskromiła Staw Trzech Głębin. Miecze są tutaj i czekają tylko na Słowa Unicestwienia, by uwolnić to, co było ich spoiwem, a wtedy moc w nich uwięziona zaśpiewa uwolniona i przyniesie ci to, czego pragniesz.

– Nieśmiertelność? – spytał Elias nieśmiało.

– Nieśmiertelność. Życie, które przetrwa gwiazdy. Szukałeś zmarłej żony, Wasza Wysokość, lecz znalazłeś coś większego.

– Nie mów o niej.

– Odrzuć smutek, Eliasie, raduj się! – Pryrates złożył dłonie i błyskawica rozdarła ciemność za oknami. – Bałeś się, że zostaniesz bez spadkobiercy, kiedy uciekła twoja krnąbrna córka, ale to ty sam będziesz swoim następcą. Nigdy nie umrzesz!

Elias uniósł głowę; oczy miał zamknięte, jakby wygrzewał się w blasku słońca. Jego usta drżały.

– Nigdy nie umrę – powiedział.

– Zyskałeś potężnych przyjaciół, którzy w tej godzinie wynagrodzą ci twoje cierpienie. – Pryrates odsunął się od Króla i wyciągnął ramię w kierunku sufitu. – Wzywam Pierwszy Dom!

Niewidzialny dzwon zadzwonił ponownie, grzmiąc niczym młot w bożej kuźni. Płomienie popełzły po oblodzonych ścianach dzwonnicy.

– Na Thisterborgu, pośród pradawnych kamieni – zaintonował Pryrates – czeka jeden z Czerwonej Dłoni. Dla swojego pana i dla ciebie ucieka się on do mocy tego miejsca, by odsłonić szczelinę w pomiędzy. Odsłania on pierwszy spośród A-Genay'asu'e i wprowadza Pierwszy Dom.

Simon czuł, że czekające, zimne i przeraźliwe istnienie nabiera mocy. W jakiś sposób spowijało ono Wieżę Zielonego Anioła, zbliżało się, niczym polujący zwierz, który podkrada się w ciemności do ogniska.

– W Wentmouth – zawołał Pryrates. – Na brzegu bezkresnego oceanu, gdzie kiedyś Hayefur płonęła dla podróżnych z zaginionego Zachodu, powstał Drugi Dom. Jest tam sługa Króla Burz, a ku niebu wznosi się o wiele potężniejszy płomień.

– Nie... nie... – Binabik, obezwładniony zaklęciem Pryratesa, próbował wyjść na środek komnaty. Jego głos brzmiał, jakby dochodził z oddali. – Nie...!

Duchowny trzepnął palcami w jego stronę i troll zamilkł, wijąc się bezradnie.

Zadzwonił dzwon, a jego moc długo wibrowała echem. Simonowi wydało się, że słyszy na zewnątrz głosy, okrzyki bólu i przerażenia w języku Sithów. Czerwone światła migotały w soplach zwisających z sufitu dzwonnicy.

– Ponad Doliną Hasu, u stóp pradawnego Kamienia Płaczu, gdzie Najstarsi spośród Najstarszych tańczyli kiedyś pod gwiazdami, które się wypaliły, powstał Trzeci Dom. Sługa Króla Burz rozniecił ogień, którego płomienie wznoszą się ku niebu.

Nagle Elias zachwiał się i wysunął do przodu. Pochylił się, lecz Smutek wciąż dotykał pozostałych dwóch mieczy.

– Pryratesie – powiedział przez ściśnięte gardło. – Coś... coś mnie pali... od wewnątrz!

– Ojcze! – Przerażenie wykrzywiło twarz Miriamele, lecz jej głos zabrzmiał bardzo słabo.

– Dlatego, że już nadszedł czas, Wasza Wysokość – powiedział alchemik. – Zmieniasz się. – Czysty ogień musi wypalić twoją śmiertelność. – Wskazał na księżniczkę. – Spójrz, Eliasie! Czy widzisz, co przynosi ci twoja słabość? Jaki owoc udawanej miłości? Uczyniłaby z ciebie starca, żebrzącego o jedzenie, załatwiającego się do łóżka!

Król wyprostował się, odwracając plecami do Miriamele.

– Nikt mnie nie powstrzyma – wycedził, jakby z trudem wypowiadał słowa. – Wezmę... to... co było mi... obiecane.

Simon zobaczył, że ociekający potem duchowny uśmiecha się.

– Dostaniesz to. – Jeszcze raz uniósł ramiona. Simon wytężył wszystkie swoje siły, lecz nie potrafił uwolnić się od skrzyżowanych mieczy. – W twierdzy twojego brata, Eliasie – powiedział Pryrates – w gnieździe zdrady, w Naglimundzie wzniesiemy Czwarty Dom!

Simon ponownie ujrzał w oknie obce mu, czarne niebo. Pod parapetem Hayholt zamieniło się w las jasnych, strzelistych wież, wśród których przemykały płomienie. Dziwny obraz nie znikał. Hayholt odeszło, a na jego miejscu pojawił się... Asu’a? Simon usłyszał przeraźliwe krzyki Sithów i ryk ognia.

– A teraz Piąty Dom! – zawołał Pryrates.

Odgłos upiornego dzwonu tym razem przyniósł z powrotem obraz burzowych chmur i wirującego śniegu. Krzyki Sithów umilkły, a rozległy się stłumione jęki śmiertelników.

– W Stawie Trzech Głębin Utuk'ku poddaje się ostatniemu spośród sług Króla Burz i pod nami powstaje piąty i ostatni Dom. – Pryrates rozpostarł ramiona z dłońmi skierowanymi w dół i wieża zadrżała. Jakby ssące ciągnięcie popłynęło wzdłuż Białego Gwoździa, wzdłuż ramienia Simona, sięgając jego serca i myśli, jakby chciało je wyrwać z dziury. Stojący naprzeciwko niego Camaris wyszczerzył zęby w grymasie agonalnego wysiłku; Cierń drżał w jego dłoni.

Z podłogi dzwonnicy strzeliła w górę fontanna lodowatego, niebieskiego światła, rycząc i trzeszcząc, kiedy przepływała przez ciemność miejsca spotkania trzech mieczy. Skurczona i zniekształcona po przejściu ciemnej pustki sunęła dalej w górę obok twarzy Simona, obsypując sufit niebieskimi iskrami. Simon czuł, jak jego ciało drga konwulsyjnie, kiedy ogromne energie przepływały obok i przez niego. W jego umęczonych myślach miecze śpiewały radośnie, czując, że ich duch zostaje uwolniony. Simon chciał otworzyć usta i krzyczeć, lecz jego szczęki pozostały mocno zaciśnięte. Widział tylko niebieskie światło.

– Trzy Wielkie Miecze odnalazły drogę do tego miejsca pod okiem Gwiazdy Zdobywcy. Smutek, obrońca Asu'a, bicz żyjących; Cierń, gwiezdny miecz, symbol umierającego Imperium; Biały Gwóźdź, ostatnie żelazo zaginionego Zachodu.

Kiedy Pryrates wymieniał kolejno miecze, zadzwonił ogromny dzwon. Wieża i wszystko, co się wokół niej znajdowało, wydawało się zmieniać z każdym dźwiękiem; smukłe wieże i płomienie zamieniały się w pokryte śniegiem dachy Hayholt, a potem znowu powracały.

Znalazłszy się w szponach ogromnych mocy, Simon czuł, że płonie od wewnątrz. Nienawidził. Wzbierały w nim ogniste obłoki wściekłości, wściekłości z powodu tego, że został oszukany, że zginęli jego przyjaciele, z powodu zniszczenia, do jakiego doprowadzili Pryrates i Elias. Chciał się zamierzyć i zadać śmiertelny cios mieczem, zniszczyć wszystko dookoła, zabić tych, którzy uczynili go tak nieszczęśliwym. Nie mogąc uwolnić się normalną drogą, wściekłość wydawała się wylewać jego ramieniem i mieczem. Biały Gwóźdź zatracił wyrazistość, jakby utracił jakąś swoją część. Cierń stał się ciemną plamą w rękach Camarisa. Oczy starca zapadły się w głąb.

Simon poczuł, że jego wściekłość i rozpacz zostały uwolnione. Ciemność w miejscu spotkania mieczy rozszerzyła się, była teraz niekończącą się pustką, bramą do Niebytu, przez którą wlała się nienawiść Simona. Otchłań zaczęła pełzać po Smutku w kierunku Eliasa.

– Musimy pokonać ogromny strach. – Pryrates stanął za Królem, który teraz wydawał się równie osaczony i bezradny jak Simon i Camaris. Duchowny rozłożył szeroko ramiona, tak że przez moment wydawało się, że Elias ma dwie pary rąk. – Strach wypełnił całą ziemię. Morza roją się od kilp. Ghanty zalały miasta Południa. Olbrzymy z legend przemierzają śniegi Północy. Strach jest wszędzie. Wielki strach jest w naszej służbie. Wszędzie brat zwrócił się przeciwko bratu. Plagi, zarazy i bicz wojny zamieniają ludzi w oszalałe demony. Cała moc strachu i wściekłości pozostaje w naszych rękach, przechodząc przez Pięć Domów. – Nagle Pryrates się roześmiał. – Wszyscy jesteście tak małymi umysłami! Nawet wasz strach jest tak mały. Baliście się, że wasze armie zostaną pokonane? Ujrzycie coś więcej. Zobaczycie, jak sam Czas cofa się w swojej koleinie.

Król Elias drgnął gwałtownie, kiedy ciemność podpełzła do niego po mieczu, ale wydawało się, że nie ma sił, by puścić Smutek.

– Boże, pomóż mi, Pryratesie! – Jego ciałem wstrząsnął konwulsyjny dreszcz, tak silny, że powinien paść na podłogę. Czarna otchłań dotknęła jego dłoni. – Ach! Boże, pomóż mi, ja płonę! Moja dusza płonie!

– Chyba nie myślałeś, że to będzie łatwe? – spytał Pryrates uśmiechnięty. Z jego czoła spływały strużki potu. – Będzie jeszcze gorzej, głupcze.

– Nie chcę nieśmiertelności! – wrzasnął Elias. – Ach, dobry Boże! Uwolnij mnie! Ja płonę! – Jego głos był coraz bardziej zniekształcony, jakby coś niewyobrażalnego wypełniało jego płuca.

– Nieważne, czego pragniesz – warknął Pryrates. – Będziesz miał swoją nieśmiertelność, ale to może okazać się nie wszystkim, czego pragnąłeś.

Elias wił się. Teraz już nie można było zrozumieć jego słów.

Pryrates wyciągnął ramiona, tak że jego dłonie znalazły się tuż nad rękojeścią Smutku i dłońmi Eliasa.

– Czas na Słowa Unicestwienia – powiedział.

Dzwon zagrzmiał ponownie i jeszcze raz Wieżę Zielonego Anioła otoczył obraz płonącego Asu’a. Gwiazdy na czarnym niebie były zimne i malutkie jak płatki śniegu. Wieża wydawała się drżeć niczym żywa istota wstrząsana agonią.

– Przygotowałem drogę! – zawołał Pryrates. – Pojazd gotowy! A teraz niech w tym miejscu Czas potoczy się do tyłu! Toczcie się wieki aż do chwili, kiedy Ineluki został wygnany do krainy poza śmiercią. Niech powróci, kiedy wymawiam te Słowa Unicestwienia. Niech powróci! – Zaczął intonować przerażająco głośno w języku, którego dźwięk przypominał trzeszczący lód, miażdżący kamień. Ciemność ogarnęła Eliasa i przez moment Król zniknął zupełnie, jakby został przepchnięty przez ścianę rzeczywistości. A potem wypełnił się ciemnością, albo ona wypełniła jego, i znowu się pojawił, krzycząc i wijąc się straszliwie.

„Elysio, Matko Boża! Oni wygrali!” – Simon miał wrażenie, że jego głowę wypełniają wichry i ogień, lecz jego serce było kawałem czarnego lodu.

Jeszcze raz rozległ się dźwięk dzwonu i teraz wydawało się, że samo powietrze twardnieje i lśni, załamując obraz Simona, jakby patrzył przez wyłożony lustrami tunel. Nie było już góry ani dołu. Na zewnątrz gwiazdy na niebie rozlewały się w plątaninę długich, białych pasemek. Jego życie ulatywało z niego przez Biały Gwóźdź gorącymi falami, a on czuł, że świat wywraca się na drugą stronę.

Ciemność ogarnęła dzwonnicę. Po oblodzonej komnacie przemknęły zniekształcone cienie, ściany jakby otworzyły się i odpadły. Wszystko zalała ciemność, przynosząca ze sobą ostateczny chłód.

Agonalne krzyki Eliasa prawie umilkły. Tylko on i Pryrates pozostali widoczni. Żółte płomyki strzelały wokół dłoni duchownego, jego twarz jaśniała blaskiem. Odpływało całe ciepło świata.

Król zaczął się zmieniać.

Postać Eliasa zgięła się i zaczęła się rozrastać do monstrualnych rozmiarów, chociaż jego poprzednie, wijące się ciało wciąż pozostawało widoczne w centrum ciemności.

Morderczy chłód wypełniał też Simona, wlewając się tam, gdzie płomienie wściekłości wypaliły nadzieję. Życie uchodziło z niego powoli, wysysane jak szpik z kości.

Nadchodziła zimna, zimna istota, która czekała tak długo.

– Tak, Eliasie, będziesz żył wiecznie – powiedział Pryrates. – Ale będzie to tylko ulotny cień w twoim ciele, cień pomniejszony jasnym płomieniem Inelukiego. Widzisz, nawet kiedy koło Czasu potoczy się wstecz i wszystkie drzwi staną otworem przed Inelukim, jego duch musi otrzymać jakiś dom tu na ziemi.

Burza na zewnątrz ucichła, a może nie miała już sił zmagać się z dziwnymi mocami, które pochwyciły w swe szpony dzwonnicę. Fontanna niebieskiego światła płynąca aż ze Stawu skurczyła się do wąskiego, milczącego strumienia i zniknęła w ciemności miejsca spotkania trzech mieczy, by więcej się nie pojawić. Kiedy Pryrates skończył mówić, w ciemnej komnacie słychać było tylko szybki, chrapliwy oddech Króla. W głębi jego oczu zapłonęły ognie, a jego głowa drgnęła gwałtownie. Z ust popłynęło przyćmione, czerwone światło.

Simon patrzył przerażony; poprzez miecze czuł, że droga otwiera się, tak jak mówił Pryrates. Do świata wdzierało się coś zbyt niesamowitego, by mogło istnieć. Ciało Króla drgało jak poruszana sznurkiem lalka. Teraz żarzące się światło emanowało z całej jego postaci, jakby jego ciało rozpadało się, ukazując płonącą istotę w swoim wnętrzu.

Gdzieś krzyczała przeraźliwie Miriamele; jej słaby głos wydawał się dochodzić z końca wszechświata.

Dzwonnica zniknęła. Dookoła wyrosły smukłe wieże Asu’a, o dziwnych kątach, jakby oglądane w rozbitych lustrach. Płonęły tak samo jak ciało Króla, kruszyły się tak, jak kruszył się Czas. Pięć wieków osuwało się do mroźnej, czarnej otchłani. Miał pozostać tylko kamień, popiół i triumf Inelukiego.

– Przybądź do nas, Królu Burz! – zawołał Pryrates. – Przygotowałem drogę. Słowa Unicestwienia uwalniają moc mieczy, a Czas toczy się do tyłu. Historia nie istnieje! Napiszemy ją od nowa!

Elias wił się; konwulsje stawały się coraz większe, jakby to, co go wypełniało, okazało się za duże dla śmiertelnej postaci i rozciągało go do granic wytrzymałości. Coś, co przypominało jelenie rogi, pojawiło się na jego czole, a jego oczy stały się dziurami pełnymi roztopionego żaru. Postać zafalowała – teraz był to płynny cień, w którym trudno było już

rozpoznać prawdziwą postać. Król rozłożył ramiona. Jedna ręka wciąż trzymała niewyraźną plamę nicości, która przedtem była Smutkiem; drugie ramię wydłużyło się, a rozcapierzone palce dłoni przypominały zwęglone patyki. W ich zagłębieniach tlił się żar.

Istota znieruchomiała, migocąc i pulsując. Przypominała motyla, który dopiero co opuścił kokon.

Pryrates cofnął się o krok i odwrócił głowę.

– O potężny, zrobiłem, o co prosiłeś. – Uśmiech zadowolenia zniknął z jego twarzy: duchowny niechętnie otworzył drzwi, lecz to, co ujrzał, przeraziło nawet jego. Wciągnął głęboko powietrze, nabierając nowej siły. Jego twarz ponownie nabrała dzikiego wyrazu. – Nadeszła ta godzina, ale to nie jest twoja godzina, lecz moja. Jak mógłbym zaufać, że ktoś, kto nienawidzi wszystkiego, co żyje, dotrzyma umowy? Wiedziałem, że kiedy już nie będę ci potrzebny, twoje obietnice będą jak wiatr w ciemności. – Rozłożył ramiona. – Jestem śmiertelnikiem, ale nie głupcem. Dałeś mi Słowa Zmiany, myśląc, że będę wykonywał twoje polecenia i cieszył się z nich jak z zabawki. Ale ja wiele się nauczyłem. Słowa te staną się twoją klatką, a wtedy będziesz moim sługą. Całe stworzenie klęknie przed tobą, a ty mnie się pokłonisz!

Falująca istota na środku pokoju drgnęła jak poruszony wiatrem dym, lecz jej czarne, emanujące purpurą serce pozostało niewzruszone. Pryrates zaczął intonować głośno; jedynie przerwy między dźwiękami sugerowały, że jest to jakiś język. Wydawało się, że alchemik zmienia się, wiruje w ciemności spowijającej Króla. Jego kończyny zwinęły się i strzeliły jak ogon węża, a on sam przybrał postać zwijającego się w spiralę cienia, grubego bicza ciemności, który unosił się wokół Króla, czy raczej tego, co go pochłonęło. Ciemne zwoje zaciskały się wokół żarzącego się serca.

Świat wydawał się coraz bardziej zapadać w siebie, zniekształcając obie postacie, aż wreszcie pozostał tylko ogień, para i ciemność.

Całe stworzenie wydawało się zapaść w to miejsce, w tej chwili. Simon czuł, jak jego własne przerażenie znajduje ujście poprzez ramiona, poprzez Biały Gwóźdź i pełznie w ciemność.

Ciemność nabrzmiała. W komnacie pojawiły się malutkie błyskawice. Simon wiedział, że gdzieś na zewnątrz mieszkańcy Asu’a sprzed pięciu wieków umierali z rąk dawno już nieżyjących żołnierzy Fingila. A inni? Czy wszyscy, których znał Simon, odeszli z kołem Czasu?

Błyskawice pląsały w komnacie. W jej centrum coś pulsowało, burza ognia i piorunów, która nagle otworzyła się, zalewając pokój oślepiającym światłem. Pryrates, znowu w swojej pierwotnej postaci, zatoczył się do tyłu, poza pulsujący krąg, który natychmiast skurczył się w cieniu. Przez moment duchowny stał z triumfująco uniesionymi ramionami, lecz zaraz zachwiał się i opadł na kolana. Z ciemności wyłoniła się niewyraźnie przypominająca człowieka postać o twarzy zniekształconej purpurowym blaskiem i stanęła nad duchownym.

Pryrates łkał, drżąc.

– Wybacz mi! Wybacz moją arogancję, moją głupotę! Och, panie, proszę, wybacz mi! – Zaczął pełzać w kierunku istoty, uderzając głową o podłogę. – Mogę ci jeszcze służyć! Przypomnij sobie, co obiecałeś: że jeśli okażę się dobrym sługą, to uczynisz mnie pierwszym wśród śmiertelników.

Istota chwyciła znowu Smutek, a drugą, czarną dłonią dotknęła alchemika. Jej palce przykryły gładką, mokrą głowę. W ciemności rozległ się głos potężniejszy od bicia dzwonów, szorstki i morderczy jak syk lodowatego wiatru. Pomimo wszystkiego, co już się wydarzyło, na jego dźwięk Simon zapłakał przerażony.

– TAK, TY BĘDZIESZ PIERWSZY.

Spod palców Króla strzeliły strumienie pary. Pryrates wrzasnął i wyrzucił w górę ramiona, chwytając za dłoń, lecz Król się nie poruszył i Pryrates nie mógł się uwolnić. Po szacie alchemika płynęły strugi ognia. Unosząca się ponad nim twarz Króla była bezkształtną bryłą ciemności, lecz z oczu i ust bił purpurowy żar. Krzyk, jaki wydobył się z gardła duchownego, nie powinien był wyjść z gardła śmiertelnika. Otoczyły go opary, lecz mimo to Simon widział jego młócące ramiona, buchające parą, trzeszczące i kurczące się, aż przybrały postać skręcających się w ogniu gałęzi. Minęła długa chwila, zanim duchowny, a raczej kości i płonące szczątki opadły na ziemię w konwulsjach. Wreszcie jego ciało przestało drgać i znieruchomiało.

Istota, która wcześniej była Eliasem, spuściła głowę, tak że pozostała z niej tylko bryła cienia. Simon czuł jednak, że wciąż pije energię płynącą przez Biały Gwóźdź, Cierń i Smutek, odzyskując siłę, by zapanować nad skradzionym ciałem. Pryrates w jakiś sposób zranił ją, lecz Simon czuł, że niebawem znowu odzyska siły. Ujrzał iskierkę nadziei i spróbował oderwać się od miecza, lecz wciąż pozostawał on nieodłączną częścią jego ramienia. Nie było ucieczki.

Istota jakby wyczuła jego intencje, gdyż spojrzała na niego, a on, choć serce nieomal przestało mu bić, poczuł jej nieubłaganą myśl. To ona zmusiła Czas do powrotu. Nawet śmiertelny duchowny, bez względu na to, jakimi władał siłami, nie mógł ponownie zamknąć drzwi, jakie więc szanse miałby Simon?

W ułamku przeraźliwej chwili poczuł nagle okrutne dotknięcie smoczej krwi, która kiedyś chlusnęła na niego i go zmieniła. Patrzył na bezkształtną bryłę, w którą zamienił się Elias, skorupę i jej ognistego mieszkańca, czując przenikliwy ból w miejscu, gdzie zranił go smok swoją czarną krwią.

Poprzez pulsujące nie-światło, które wypełniało przestrzeń między Białym Gwoździem i Smutkiem, Simon czuł nie tylko pochłaniającą wszystko nienawiść, jaka karmiła wygnanie Króla Burz, lecz także przeraźliwą, szaloną samotność Inelukiego.

„On kochał swoich ludzi – pomyślał Simon. – Oddał za nich swoje życie, lecz nie umarł”.

Przyglądając się bezradnie, jak straszliwa istota odzyskuje siły, Simon przypomniał sobie obraz, jaki pokazała mu Leleth: Inelukiego na brzegu wielkiego stawu. Na jego obliczu malował się nieskończony smutek, lecz jego determinacja odzwierciedlała determinację Eahlstana siedzącego na swoim tronie w oczekiwaniu na bestię, z którą – wiedział – musi się spotkać i która miała go zabić. W pewnym sensie obaj byli do siebie podobni. Ineluki i Eahlstan, zmuszeni do zrobienia tego, co było konieczne, chociaż ceną było ich życie. Simon niczym się od nich nie różnił.

„Smutek”. Jego myśli wzlatywały i opadały jak ćmy sparzone płomieniem, lecz uczepił się tej jednej.

„Ineluki nazwał swój miecz Smutkiem. Dlaczego mi to pokazał?”

Coś poruszało się na krawędzi jego pola widzenia. Binabik i Miriamele, uwolnieni śmiercią Pryratesa, wstali niepewnie, lecz Miriamele zaraz opadła na kolana. Binabik szedł, chwiejąc się, z opuszczoną głową, jakby zmagał się z wiatrem

– Zniszczysz świat – wyszeptał. Otwierał szeroko usta, lecz mimo to jego słowa zabrzmiały cicho, równie cicho jak szelest skrzydeł nietoperza. – Ineluki, utraciłeś swój świat. Nie będziesz miał czym rządzić. Ty nie należysz do tego świata!

Bryła ciemności zwróciła się w jego stronę i uniosła drgające ramię. Widząc, jak Binabik kuli się przed śmiertelnym dotykiem, Simon poczuł

znowu wzbierające w nim strach i nienawiść. Nie wiedział, dlaczego stara się zdusić falę nienawiści.

„W mrokach ciemności przy życiu trzymała go nienawiść. Przez pięć wieków płonął w pustce. Ma tylko nienawiść. Ja także nienawidzę. Czuję to samo, co on. Jesteśmy tacy sami”.

Simon starał się zachować obraz cierpiącego oblicza żywego Inelukiego. To była prawda kryjąca się pod tą straszliwą, płonącą istotą. Żadne stworzenie w całym wszechświecie nie zasługiwało na to, co stało się z Królem Burz.

– Wybacz – szepnął do twarzy, której obraz widział. – Nie powinieneś był tak cierpieć.

Ogromna moc energii płynącej przez Biały Gwóźdź nagle zmalała. Istota, która trzymała Smutek, znowu odwróciła się w jego stronę i Simon poczuł opadającą na niego falę śmiertelnego przerażenia. Czuł, jak miażdży mu serce.

– Nie – wyrzucił z siebie i sięgnął do swego wnętrza, by odnaleźć pewne miejsce, na którym może stanąć i przeżyć. – Ja... będę się ciebie... bał, ale nie... będę nienawidził.

Nastąpiła chwila ciszy, która wydawała się trwać całą wieczność. Potem sir Camaris podniósł się z kolan i stanął chwiejnie. W dłoniach wciąż trzymał pulsujący ciemnością Cierń, lecz Simon czuł jego malejącą moc, jakby to, co odczuł, przepłynęło przez miejsce spotkania mieczy, a tym samym i do Camarisa.

– Wybaczone... – jęknął stary rycerz. – Tak. Niech wszystko będzie...

Jądro w centrum ciemności, którym był Król Burz, zakołysało się. Purpurowe światło przygasło na chwilę, a potem zgasło całkowicie. Żarząca się mgiełka, uwolniona, uniosła się w górę jak stado pszczół. W kłębiącej się ciemności, spowita w dymy, pojawiła się znowu niewyraźna postać

Eliasa z twarzą wykrzywioną spazmem bólu. Z jego włosów płynęły obłoczki dymu. Po jego pelerynie i koszuli pełzały płomienie.

– Ojcze! – Wydawało się, że cała istota Miriamele skupiła się w tym okrzyku.

Król zwrócił na nią swoje spojrzenie.

– Ach, Boże, Miriamele. – Jego głos wciąż jeszcze brzmiał trochę jak nie z tego świata. – Za długo na to czekał. Nie puści mnie. Byłem głupcem, a teraz... teraz... otrzymałem zapłatę. Wybacz... córko. – Przez jego ciało przebiegł skurcz, a w oczach zapłonął żar. – On jest zbyt silny... jego nienawiść jest zbyt wielka. On mnie... nie... puści...

Głowa Króla opadła powoli. W otwartych ustach płonęło purpurowe światło.

Miriamele krzyknęła coś, choć z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk, i uniosła ramiona. Simon poczuł bardziej, niż zobaczył, że coś przemknęło obok niego.

Biała Strzała utkwiła w piersi Eliasa.

Przez krótką chwilę Król patrzył tak jak dawniej, a ich spojrzenia – Miriamele i Eliasa – spotkały się. Potem jego twarz wykrzywił spazm bólu. Z jego ust wydobył się ryk głośniejszy od grzmotu i Elias runął do tyłu w ciemność. Ryk przeszedł w niekończące się, przeraźliwe echo.

Simon poczuł jeszcze zimną obecność, która macała w miejscu, gdzie smocza krew dotarła do jego serca, szukając w nim schronienia. Jej głód był wszechogarniający.

„Nie. To nie jest twój świat” – Simon powtórzył w myślach słowa Binabika.

Rycząca niemo istota oddaliła się.

W miejscu, gdzie stał Król, strzelały teraz wysoko płomienie. Pośród nich skupiła się przeraźliwa, zimna ciemność. Simon patrzył, jak rozpada

się na śmigające cienie. Świat znowu się przechylił i wieża zadrżała. Biały Gwóźdź pulsował w jego dłoni przez chwilę, po czym zamienił się w czarny wir; chwilę później trzymał już tylko popiół. Uniósł drżącą dłoń i spojrzał na osypujący się pył.

Znowu mógł się poruszać!

Kawał sufitu runął tuż obok niego, obsypując go odłamkami. Simon zachwiał się do tyłu. Cała komnata stała w ogniu, jakby paliły się same kamienie. Jeden z dzwonów pod sufitem urwał się i runął, wybijając ogromną dziurę w kamiennej podłodze. Wokół niego poruszały się niewyraźne postacie, zniekształcone ścianą ognia.

Jakiś głos wołał go, lecz Simon stał w samym środku chaosu i nie wiedział, którędy pójść. Ujrzał wirujące niebo w dziurze powiększającej się, w miarę jak spadały kolejne kamienie. Poczuł uderzenie.

59. Ukryci przed gwiazdami

TIAMAK STAŁ NIEPEWNIE, CZEKAJĄC. Książę słuchał cierpliwie dwóch Thrithingów, po czym skinął głową i coś powiedział. Thrithingowie odwrócili się i odeszli przez topniejący śnieg do swoich koni, pozostawiając przy ognisku księcia i Wrańczyka. Kiedy Isgrimnur dostrzegł gościa, zmusił się do uśmiechu.

– Tiamaku, dlaczego stoisz tutaj? Miłościwy Aedonie, siadaj. Ogrzej się. – Książę chciał wskazać miejsce, ale przeszkodził mu temblak.

Wrańczyk podszedł bliżej, kulejąc, i usiadł na kłodzie. Przez chwilę trzymał dłonie nad ogniem w milczeniu, a potem powiedział:

– Przykro mi z powodu Isorna.

Isgrimnur odwrócił głowę i spojrzał poprzez mgłę w kierunku Kynslagh. Minęła długa chwila, zanim się odezwał.

– Nie wiem nawet, jak mam to powiedzieć Gutrun. Wiadomość ta złamie jej serce.

Zapadła cisza. Tiamak milczał, nie wiedząc, czy powinien jeszcze coś powiedzieć. Isgrimnura znał o wiele lepiej niż jego ogromnego syna, którego spotkał tylko raz w namiocie Likimeyi.

– Nie tylko on poległ – odezwał się wreszcie Isgrimnur. Potarł dłonią nos. – Trzeba też zająć się tymi, którzy przeżyli. – Podniósł patyk i cisnął go w ogień z wyraźną złością. Łzy zalśniły na jego powiekach. Cisza

stawała się coraz trudniejsza do zniesienia, aż wreszcie odezwał się Isgrimnur: – Ach, Tiamaku, dlaczego nie ja? On miał przed sobą całe życie. Ja jestem już stary. Moje życie dobiega końca.

Wrańczyk pokręcił głową. Wiedział, że na te pytania nie ma odpowiedzi. Nikt nie znał myśli Tych, Którzy Patrzą i Rządzą. Nikt.

Książę otarł oczy rękawem i chrząknął.

– Dość już tego. Będzie czas na płacz. – Odwrócił się do Tiamaka i wtedy Wrańczyk po raz pierwszy zobaczył, że Isgrimnur ma rację: książę rzeczywiście był stary, jego świetność już dawno minęła. Pokrywał to ogromną żywotnością, lecz teraz opadł z sił, jakby nagle wysunięto mu spod nóg podporę. Tiamak poczuł złość na myśl o tym, że tak dobry człowiek musi cierpieć.

„Ale wszyscy cierpią – pomyślał. – Teraz nadszedł czas, by zebrać siły, żeby zrozumieć i postanowić, co dalej”.

– Tiamaku, opowiedz mi o tym, co się stało. – Książę zmusił się, by usiąść prosto, wykazując dyscyplinę, której najwyraźniej potrzebował.

– No cóż, nie mam wiele do powiedzenia, czego ty byś nie... – zaczął Wrańczyk.

– Opowiedz mi. – Isgrimnur poprawił swoje złamane ramię. – Mamy chwilę czasu, zanim dołączy do nas Strangyeard, ale z nim pewnie już rozmawiałeś.

Tiamak przytaknął mu.

– Kiedy opatrywałem mu rany. Wszyscy mają coś do opowiedzenia, a żadna opowieść nie jest przyjemna. – Zastanawiał się przez chwilę, zanim zaczął. – Długo szliśmy z Sithami, tak mi się przynajmniej wydawało, zanim odnaleźliśmy Josuę...

TAK WIĘC UWAŻASZ, ŻE JOSUA już nie żył? – Książę powiedział to ze spokojem, ale zaprzeczała temu jego dłoń, która nerwowo szarpała brodę. Była potargana i rzadsza, jakby Isgrimnur zbyt często ostatnio ją skubał.

Tiamak pokiwał smutno głową.

– Otrzymał potężny cios w szyję mieczem Króla. Rozległ się głośny trzask, a potem krew... – Wrańczyk zadrżał. – Nie mógł tego przeżyć.

Isgrimnur zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Tak, trzeba dziękować Usiresowi, że przynajmniej Josua nie cierpiał. Nieszczęśliwy człowiek, chociaż go kochałem. Nieszczęśliwy koniec. – Podniósł głowę, słysząc jakiś krzyk w oddali, lecz zaraz odwrócił się do Wrańczyka. – A potem straciłeś przytomność.

– Nie pamiętam niczego po tym, jak znowu zadzwonił dzwon... dopiero kiedy się obudziłem. Wciąż byłem tam, gdzie wisiały dzwony, chociaż początkowo nie zdawałem sobie z tego sprawy. Widziałem wokół siebie tylko płomienie i dziwne cienie. Chciałem wstać, ale kręciło mi się w głowie i nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Ktoś chwycił mnie pod ręce i ciągnął, dopóki sam nie wstałem. Najpierw wydawało mi się, że zwariowałem, gdyż nikogo nie widziałem. Dopiero potem zobaczyłem, że pomógł mi Binabik. „Szybko – powiedział. – To miejsce się rozpada”. Potem znowu mnie ciągnął; byłem oszołomiony i nie do końca go rozumiałem. Wszędzie pełno było dymu, a podłoga pod nami kołysała się i zgrzytała. Wtedy zobaczyłem inną postać. Była to Miriamele, która ciągnęła po podłodze czyjeś ciało. Dopiero po dłuższej chwili zobaczyłem, że jest to młody Simon. „Zabiłam go” – powtarzała bez końca, płacząc. Nie rozumiałem, dlaczego sądziła, że zabiła Simona, skoro widziałem, że porusza on palcami, a jego pierś się unosi. Binabik pośpieszył jej z pomocą i razem wyciągnęli Simona na schody. Poszedłem za nimi. Chwilę później wieża znowu zadrżała i w miejscu, w którym przed chwilą stałem, spadł

ogromny kamień. – Tiamak wskazał na owiniętą kawałkiem materiału nogę. – Jego okruch skaleczył mnie, ale niegroźnie. Miriamele chciała wrócić po Josuę, ale podłoga drżała okropnie i coraz bardziej kruszyły się ściany i sufit. Binabik nie miał pewności i zaczęli się spierać. Ja odzyskiwałem przytomność. Powiedziałem im, że widziałem, jak Król ugodził w szyję Josuę. Miriamele jakby mnie nie rozumiała. Płakała, ale wydawała się w półśnie; mówiła coś o Camarisie, kiedy jeden z dzwonów urwał się i przeleciał przez podłogę. Usłyszeliśmy, jak zadźwięczał, uderzając w coś poniżej. Wszędzie pełno było dymu. Krztusiłem się i oczy miałem tak samo mokre jak Miriamele. Niewiele mnie wtedy obchodziło, ale byłem pewien, że się spalimy albo zostaniemy zgnieceni i nigdy się nie dowiem, jaka była przyczyna tego wszystkiego.

Binabik chwycił Miriamele za ramię; wskazując na sufit, krzyczał, że nie mamy czasu. I tak mieliśmy do niesienia Simona. Przez chwilę opierała się, ale bez przekonania. W trójkę podnieśliśmy Simona; był zupełnie bezwładny, przez co bardzo ciężki, i ponieśliśmy go w dół schodami. Niżej dym nie był już tak gęsty. Wydawało się, że ogień objął tylko dzwonnicę, chociaż słyszałem, jak Binabik mówił, że pali się cała wieża. Wprawdzie tam łatwiej było oddychać, lecz ja wciąż nie wierzyłem, że uda nam się dostać na sam dół; wieża kołysała się jak drzewo na wietrze. Słyszałem, że dawno temu jedna lub nawet dwie spośród południowych wysp zatoki Firannos zniknęły, gdyż ziemia tak bardzo drżała, że pochłonęło je morze. Jeśli rzeczywiście tak było, to ich ostatnie chwile musiały wyglądać bardzo podobnie. Trudno było zachować równowagę na wąskich schodach. Kilkanaście razy zostałem rzucony na ścianę i szczęśliwie tylko dwukrotnie upuściliśmy Simona. W dół wciąż leciały kamienie, a ja dusiłem się od kurzu tak samo jak przedtem od dymu.

Tiamak zamilkł i przycisnął dłoń do skroni. Wciąż bolała go głowa. Wspomnienie ucieczki po schodach nie poprawiało jego samopoczucia.

– Zeszliśmy jeszcze trochę niżej, a była to trudna droga, gdyż wydawało nam się, że schody rozsypują się pod naszymi nogami, kiedy z tumanów pyłu w dole wyłoniła się postać. Stała wpatrzona w nas, umazana popiołem i krwią. Myślałem, że to jakiś okropny demon, którego sprowadził Pyrates, ale Miriamele krzyknęła: „Cadrach!” i wtedy go poznałem. Zdziwiłem się bardzo. Nie miałem pojęcia, skąd on mógł się tam znaleźć. Ledwie usłyszałem poprzez huk i zgrzytanie kamienia, jak stwierdził: „Czekałem na was”, ale nie powiedział tego do nikogo w szczególności. Potem odwrócił się i poprowadził nas w dół. Byłem zły i przestraszony i zastanawiałem się, dlaczego nie zaoferował swojej pomocy, gdyż Simon stanowił ogromny ciężar dla młodej kobiety, trolla i kogoś tak małego jak ja. Simon zaczynał się już poruszać i mruczał coś pod nosem.

Ledwie pamiętam to, co potem nastąpiło. Szliśmy w dół, lecz wciąż wydawało się, że nie zdołamy się wydostać, zanim zawali się cała wieża. Byliśmy jeszcze bardzo wysoko, może na wysokości dziesięciu ludzi. Kiedy mijaliśmy jedno z okien, zobaczyłem, że górna część wieży przechyliła się, jakby wieża zgięła się w pasie. W takich chwilach można zauważyć dziwne rzeczy, a ja zobaczyłem, że anioł na czubku iglicy ma wyciągnięte ramiona, jakby miał wzlecieć za chwilę. Zaraz potem iglica zadrżała, odłamała się i spadła w dół. W ścianach powstały szczeliny na grubość ramienia, Isgrimnurze. Przez niektóre z nich widziałem niebo.

A potem wieża znowu się zatrzęsła, tak bardzo, że wszyscy upadliśmy. Wciąż drżała i prawie nie sposób było stanąć na nogi, ale w końcu nam się udało. Zeszliśmy jeszcze kilka stopni w dół i nagle schody się skończyły. Ogromny kawał ściany oderwał się i poleciał na zewnątrz: widziałem białe okruchy leżące w dole w śniegu. Razem ze ścianą oderwał się kawał

schodów. Tak więc stanęliśmy na krawędzi dziury rozległej na wiele kroków, a pod nami rozciągało się dwadzieścia łokci ciemności.

Tiamak zamilkł na moment.

– Późniejsze wydarzenia były bardzo dziwne. Gdybym słuchał tego na swoim bagnie, nie uwierzyłbym chyba. Ale zobaczyłem rzeczy niewiarygodne.

Isgrimnur przytaknął mu z powagą.

– Tak jak i ja. Mów dalej, człowieku.

– Tak więc staliśmy na krawędzi dziury, spoglądając bezradnie na spadające w dół okruchy. „A zatem to już koniec” – powiedziała Miriamele. Muszę powiedzieć, że nie wyglądała na całkowicie zrozpaczoną. Ona jakby straciła rozum, Isgrimnurze. Walczyła o przeżycie tak samo jak my, ale zdaje się, że robiła to tylko po to, by nam pomóc. „Jeszcze nie” – powiedział Cadrach. Mnich klęknął tuż przy krawędzi schodów i rozłożył dłonie nad dziurą. Wieża rozsypywała się na kawałki, a on, jak mi się wydawało, modlił się. Muszę przyznać, że i mnie nie przyszło nic lepszego do głowy. Jego twarz wykrzywiał grymas, jakby niósł ogromny ciężar. Wreszcie odwrócił się przez ramię do Miriamele. „Przechodźcie” – powiedział napiętym głosem. „Przechodźcie?” – Patrzyła na niego niedowierzająco. Na jej twarzy pojawił się wyraz złości, ogromnej złości. „Jeszcze jedna z twoich sztuczek?” „Kiedyś powiedziałaś... zaufaj mi jeszcze raz... kiedy gwiazdy zaświeciły w południe” – powiedział cicho mnich. Z trudem wymawiał słowa. Ledwie go słyszałem i zupełnie nie rozumiałem, o czym mówi. „Widziałaś ich – powiedział. – Byli tam”. Wieża drżała, a ona patrzyła na niego, jak mi się wydawało, całą wieczność. Potem położyła ostrożnie Simona i zrobiła krok do przodu. Chciałem ją złapać, ale Binabik mnie powstrzymał. On także wyglądał dziwnie. Podobnie jak Miriamele, podobnie jak Cadrach. Miriamele zamknęła oczy

i zeszła ze schodów. Byłem pewien, że spadnie na dół i się zabije. Coś krzyczałem, lecz ona szła w powietrzu, jakby tam dalej były schody. Isgrimnurze!

– Wierzę ci – mruknął książę. – Słyszałem, że kiedyś Cadrach był kimś wielkim.

– Miriamele otworzyła oczy, lecz nie spojrzała w dół. Odwróciła się i dała nam znak, byśmy ponieśli Simona. Po raz pierwszy jej twarz ożywiła się, chociaż nie był to wyraz szczęścia. Podnieśliśmy Simona, wtedy już jęczał i budził się, a ona wyciągnęła ramiona i chwyciła go za nogi, po czym ruszyła tyłem nad dziurą. Nie wierzyłem w to, co robiła, co ja miałem za chwilę zrobić! Oczy otworzyłem tylko na tyle, by widzieć schodzącą wolno w dół Miriamele, i poszedłem za nią. Obok mnie szedł Binabik, który podtrzymywał Simona z drugiej strony. Troll zerknął w dół, lecz zaraz podniósł wzrok. Zdaje się, że istnieją rzeczy, których nie zniosą nawet trolle z gór.

Posuwaliśmy się bardzo powoli. Wyczuwaliśmy pod stopami coś na podobieństwo schodów, chociaż ich nie widzieliśmy, a poza tym nie wiedzieliśmy, gdzie kończy się dziura. Wieża wydawała głuche jęki, jakby wyrywano z ziemi jej korzenie. Gdybym żył i tysiąc lat, Isgrimnurze, nie zapomnę, jak szliśmy przez pustkę, starając się utrzymać równowagę, kiedy wszystko dookoła kołysało się i przechylało! Ten, Który Zawsze Kroczy Po Piasku rzeczywiście był z nami. Tak, był.

Wreszcie stanęliśmy na prawdziwym kamieniu. Odetchnąłem głęboko, kiedy wszedłem na niego, i obejrzałem się. Cadrach pozostał po drugiej stronie. Oddychał ciężko, a twarz miał szarą jak popiół. Wyglądał jak tonący, który za chwilę po raz ostatni zanurzy się w wodzie. Wydawało się, że wyczerpał niemal wszystkie siły, by dokonać tego, co zrobił. Miriamele odwróciła się i zawołała do niego, lecz on tylko uniósł dłoń. Z trudem

mówił. „Idźcie dalej – powiedział. – Jeszcze nie jesteście bezpieczni. Na więcej mnie nie stać”. Uśmiechnął się, Isgrimnurze, on się uśmiechnął, i powiedział: „Nie jestem już tym samym człowiekiem”. Księżniczka wymyślała mu, ale leciało coraz więcej kamieni. Razem z Binabikiem krzyczeliśmy, że nic już nie da się zrobić, że skoro Cadrach nie może, to znaczy, że nie może. Miriamele spojrzała na Simona, a potem znowu na mnicha. Wreszcie powiedziała coś, czego nie usłyszałem, i chwyciła stopy Simona. Kiedy zaczęliśmy schodzić, obejrzałem się i zobaczyłam, że Cadrach siedzi na krawędzi schodów; światło szarego nieba padało na niego przez wyrwę w ścianie. Oczy miał zamknięte. Może się modlił albo czekał.

Zeszliśmy piętro niżej i wtedy Simon zaczął się rzucać. Położyliśmy go, gdyż nie mogliśmy go nieść wbrew jego woli – jest silny – ale i nie mieliśmy czasu, by się przekonać, czy jest przy zdrowych zmysłach. Binabik chwycił go za rękę i wciąż mówił do niego, wreszcie Simon poszedł za nami. W powietrzu unosiło się tyle pyłu z opadających kamieni, że z trudem oddychałem, a do tego schody wypełniał jeszcze dym ognia, który strawił jedne z wewnętrznych drzwi. Przez okna widzieliśmy, jak walą się wyższe części wieży. Simon wskazał na jedno z okien i powiedział, że musimy iść tamtędy. Myśleliśmy, że zwariował, ale on chwycił Miriamele za rękę i zaciągnął ją do okna.

Nie zwariował, a przynajmniej nie w tym względzie. Za oknem znajdował się kamienny ganek, może mieszkańcy lądu jakoś go nazywają, a za nim krawędź muru. Do ziemi wciąż było daleko, ale mur nie był bardzo oddalony, trochę dalej niż mój wzrost. Wieża tak już drżała, że nieomal pospadaliśmy z ganku. Spadało coraz więcej kamieni. W pewnym momencie Simon pochylił się, chwycił Binabika, powiedział coś do niego i rzucił go w powietrze! Byłem zdumiony! Troll wylądował na krawędzi

muru, ześliznął się nieco, ale utrzymał równowagę. Miriamele skoczyła bez niczyjej pomocy; Binabik przytrzymał ją tylko przy lądowaniu. Potem Simon kazał mi zrobić to samo, więc wstrzymałem oddech i skoczyłem. Spadłbym, gdyby tamtych dwoje nie czekało na mnie, gdyż kamienny ganek zaczął przechylać się w dół, i wylądowałem za blisko.

Pozostał jeszcze Simon, który z trudem utrzymywał równowagę. Miriamele krzyczała przeraźliwie, by się pośpieszył; Binabik też krzyczał. Simon skoczył i wylądował na ganku, lecz wtedy znaczna jego część oderwała się i runęła w śnieg. Chwyciliśmy go wszyscy troje i wciągnęliśmy na mur. Kilka chwil później runęła już cała wieża. Był to odgłos, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem, głośniejszy od najgłośniejszego grzmotu – ale sam słyszałeś. Obok nas przelatywały kamienne bloki większe od tego namiotu, ale żaden nie uderzył w mur. Wieża zapadła się głównie do środka; chmura pyłu, śniegu i dymu wzniosła się na wysokość wieży, a potem rozlała po całym terenie zamku. – Tiamak wciągnął głęboko powietrze. – Staliśmy tam długo, przyglądając się. Miałem wrażenie, że oglądam śmierć boga. Później dowiedziałem się, co Miriamele i pozostali zobaczyli na górze, i że to musiało być jeszcze dziwniejsze. Kiedy już zdecydowaliśmy się iść dalej, Simon poprowadził nas przez salę tronową, obok zdumiewającego tronu z kości, a potem na zewnątrz, do was. Modliłem się do moich wrańskich bóstw, żeby był to już koniec, gdyż nie mógłbym ruszyć ręką, gdyby nagle jakiś Norn przyłożył mi nóż do szyi.

Tiamak zamilkł i siedział, kręcąc głową.

Isgrimnur chrząknął.

– Tak więc nic nie mogło się uratować. Nawet gdyby Josua i Camaris żyli do samego końca, i tak zostaliby zgnieceni.

– Trudno będzie cokolwiek powiedzieć, sądząc po tym, co pozostało – powiedział Tiamak. – Myślę, że nie można by było rozpoznać... – Przypomniał sobie o Isornie. – Ach, Isgrimnurze, wybacz mi.

Isgrimnur pokręcił głową.

– Drzwi do przedpokoju zostały otworzone krótko przed końcem. Myślę, że ze śmiercią Pryratesa skończyły się jego diabelskie sztuczki i przestała istnieć ta ściana, czy co to tam było. Żołnierze zdołali wyciągnąć część poległych, zanim wieża się zawaliła. Ja przynajmniej mam ciało syna. – Popatrzył w dół, starając się opanować. – Dziękuję ci, Tiamaku. Przepraszam, że nakłoniłem cię do tych wspomnień.

Tiamak zaśmiał się nerwowo.

– Wciąż o tym mówię. Wszyscy w obozie gadamy jak małe dzieci od chwili, kiedy zawaliła się wieża... kiedy wszystko to się wydarzyło.

Książę wstał powoli.

– Widzę, że idzie Strangyeard. Inni też przyjdą. Idziesz, Tiamaku? Będziemy omawiać ważne sprawy i chciałbym, żebyś był z nami. Przyda nam się twoja mądrość.

Wrańczyk skłonił lekko głowę.

– Oczywiście, Isgrimnurze. Oczywiście.

SIMON CHODZIŁ PO RUMOWISKU mniejszego zamku. Śnieg topniał ogromnymi płatami, odsłaniając zmarzniętą trawę i pędy młodej roślinności, których nie zniszczyła magiczna zima. Różne odcienie brązu i zieleni działały kojąco na jego oczy. Miał dość czerni, lodowej bieli i czerwieni. Pragnął tylko, by wszystko powracało w sposób tak naturalny. Minęły dwa dni od chwili, kiedy wieża zawaliła się, a Król Burz został

pokonany, w czasie których powinni cieszyć się zwycięstwem, a mimo to on wciąż chodził, rozmyślając.

Przespał noc i pierwszy dzień po ich ucieczce. Drugiej nocy przyszedł do niego Binabik; opowiadał mu wiele z tego, co się wydarzyło, wyjaśniał, pocieszał, a potem siedział z nim w ciszy, aż Simon znowu zasnął. Rankiem drugiego dnia odwiedzili go też inni, przyjaciele i znajomi, by się przekonać, że on wciąż żyje; ich widok umocnił Simona w przekonaniu, że ten świat wciąż jeszcze ma jakiś sens.

Ale Miriamele nie przyszła.

Wcześniej, kiedy minęło południe, zdobył się wreszcie na odwagę i sam do niej poszedł. Poprzedniej nocy Binabik zapewnił go, że ona żyje i nie jest ciężko ranna, więc nie musi martwić się o jej zdrowie, lecz zapewnienia trolla umocniły tylko jego inne niepokoje. Skoro czuła się dobrze, dlaczego nie odwiedziła go albo chociaż nie przysłała wiadomości?

Znalazł ją w jej namiocie. Rozmawiała z Aditu, która była jego gościem tego ranka. Miriamele przywitała go dość ciepło, wyrażając żal z powodu jego licznych ran – on także wypytywał o jej rany – lecz kiedy wyraził swój żal z powodu śmierci wuja i ojca, stała się nagle chłodna i nieobecna.

Simon chciał wierzyć, że powodem takiego zachowania była usprawiedliwiona gorycz kogoś, kto doświadczył wiele złego i stracił rodzinę – nie wspominając już o roli, jaką odegrała w śmierci ojca – ale się nie łudził. Miriamele wciąż zachowywała się tak, jakby coś w nim powodowało, że nie czuje się w jego obecności swobodnie. Smutkiem napawało go jej nieobecne spojrzenie po tym wszystkim, przez co razem przeszli, ale czuł też wzbierającą w nim złość: zastanawiał się, dlaczego traktuje go w taki sposób, jakby to jego okrucieństwo położyło cień na ich podróży do Erkynlandu, a przecież było odwrotnie. Starał się opanować, ale

atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, więc wreszcie pożegnał się i wyszedł.

Poszedł pchany wiatrem na wzgórze i błądził teraz wśród rumowisk opuszczonego Hayholt.

SIMON ZATRZYMAŁ SIĘ, BY SPOJRZEĆ na ogromny stos gruzu, który kiedyś był Wieżą Zielonego Anioła. Pośród kamieni uwijały się małe postacie, mieszkańcy Erchesteru, szukający jakichś zdobyczy, które mogliby wymienić na żywność albo zatrzymać na pamiątkę tego wydarzenia, które już stało się legendą.

Simon się zastanawiał. Zszedł pod ziemię najniżej, jak to było możliwe, wspiął się równie wysoko, a mimo to bardzo mało się zmienił. Może był trochę silniejszy, ale sądził, że siła ta wypływała raczej z nieustępliwości zranionych miejsc; poza tym pozostawał wciąż tym samym Simonem. Chłopcem z kuchni, jak nazwał go Pryrates. Duchowny miał rację. Choć był pasowany na rycerza, choć doświadczył tyle, wciąż będzie w nim biło serce chłopca z kuchni.

Coś zwróciło jego uwagę. Pochylił się. W zagłębieniu u jego stóp leżała zielona ręka, z błota wystawały palce zastygłe w dziwnym geście. Simon pochylił się jeszcze niżej i zeskrobał trochę błota, odsłaniając ramię, a potem twarz z brązu.

Był to anioł z czubka wieży, który spadł na ziemię. Simon zaczerpnął trochę wody z kałuży i polał mu twarz, obmywając oczy. Były otwarte, lecz pozbawione życia. W końcu była to tylko przewrócona statua.

Simon wstał i wytarł dłonie w spodnie. Niech ktoś inny wyciągnie go z błota i zabierze do domu. Będzie stał w kącie czyjegoś domu i snuł szeptem niesamowite opowieści głębin i wyżyn.

Jednak kiedy zaczął odchodzić, odwracając się plecami do rumowiska, powrócił do niego głos anioła – głos Leleth.

Te prawdy są zbyt silne – usłyszał wtedy. – *A mity i kłamstwa ich dotyczące zbyt wielkie. Sam musisz je zobaczyć i zrozumieć. Ale to była twoja historia.*

Rzeczywiście ujrzał ważne rzeczy. Dowodem tego było to ogromne rumowisko. Ale było coś jeszcze, coś, co czaiło się gdzieś na krawędzi jego zrozumienia, a jednak wciąż zakryte było przez czas i okoliczności. Teraz znowu uchwycił się tej nici i nie chciał jej wypuścić. Najbardziej zbliżył się do tego w sali tronowej...

Jego buty stukały na kamiennej podłodze. Nie słyszał żadnego innego dźwięku. Tutaj nikt nie przyszedł szukać skarbów: milczące widmo Smoczego Tronu nawet w najlepszych chwilach wywoływało u patrzącego dreszcze strachu, a te chwile z pewnością nie były najlepsze.

Popołudniowe światło, cieplejsze niż wtedy, kiedy był tu ostatnim razem, sączyło się oknami, ożywiając nieco porozrzucane, wyblakłe proporce, chociaż malachitowi królowie wciąż pozostawali ubrani w cienie czarnego kamienia. Simon przypomniał sobie otchłań rosnącej nicości i zawahał się na moment, lecz zaraz opanował strach i podszedł bliżej. Ciemność odeszła. Ten Król już nie żył.

W blasku dnia tron nie wyglądał tak strasznie, jak go pamiętał. Ogromne szczęki z zębami, wciąż groźne, wydawały się teraz zupełnie martwe. W oczodołach pozostały już tylko pajęczyny. A nawet masywna klatka powiązanych kości zapadła się miejscami – widać było, że części brakuje, a inne leżą obok tronu. Gdzieś w zakamarkach pamięci docierało do niego, że widział już gdzieś te pożółkłe kości, ale odepchnął tę myśl: jego uwagę zwróciło coś innego.

Eahlstan Fiskerne. Przyglądał się posągowi, próbując znaleźć punkt, który pozwoli mu sięgnąć w głąb pamięci. Znajoma wydała mu się twarz króla-męczennika, kiedy ujrzał ją w swojej wizji na Ścieżce Snów. Kiedy w drodze do wieży przechodził przez salę tronową, pomyślał, że jest ona podobna do twarzy tego posągu, który tak często oglądał. Ale teraz wiedział, że nie tylko o to chodziło. Ona bardzo przypominała inną twarz, którą tak często oglądał: w lusterku Jirikiego, w zwierciadłach stawów, lśniącej powierzchni tarczy. Eahlstan był bardzo podobny do Simona.

Uniósł dłoń i spojrzał na złotą obrączkę. Król Rybak odszedł na wygnanie, a Prester John przybył później, twierdząc, że zabił smoka, co oznaczało objęcie tronu Erkynlandu. Morgenes powierzył mu ten pierścień, który zawierał tajemnicę.

To jest twoja historia – powiedział anioł. Komu można było powierzyć historię domu Eahlstana, jeśli nie... jego spadkobiercy?

Kiedy tak stał przed posągiem, poczuł nagle, że wie; spłynęło to na niego jak strumień zimnej wody, wywołując dreszcze strachu i zdumienia.

Minęła znaczna część popołudnia, gdy Simon wreszcie się odwrócił i odszedł przez pustą salę zamyślony. Spoglądał jeszcze na posąg Eahlstana, kiedy usłyszał za sobą jakiś hałas. Odwrócił się i zobaczył, że do sali wchodzi książę Isgrimnur w towarzystwie innych osób.

Książę przyjrzał mu się uważnie.

– Tak więc już wiesz, prawda?

Simon nic nie odpowiedział, lecz na jego obliczu widać było zmagające się emocje. Isgrimnur patrzył na niego uważnie, zastanawiając się, jak to możliwe, że to ten sam młokos, którego przywieziono do niego na równinach na południe od Naglimundu, przerzuconego przez siodło.

Już wtedy był wysoki, oczywiście nie tak jak teraz, a zamiast gęstej rudawej brody miał jeszcze chłopięcy meszek, ale główna zmiana polegała

na czym innym. Drzemał w nim teraz pewien spokój, milczenie, które mogło oznaczać siłę, ale i obojętność. Isgrimnur z niepokojem myślał o tym, jak chłopiec mógł się zmienić; wydawało się, że przeżycia Simona, jeszcze młokosa rok temu, zmieniły go nieodwołalnie. Jego dzieciństwo spłonęło i pozostał mu tylko wiek męski.

– Tak, chyba pewne rzeczy zrozumiałem – odezwał się wreszcie Simon. Starał się, by na jego twarzy nie pozostały żadne uczucia. – Ale to chyba nie ma większego znaczenia, nawet dla mnie.

Isgrimnur mruknął coś pod nosem.

– No cóż, szukaliśmy cię.

– Jestem.

Kiedy wszyscy podeszli bliżej, przywitał skinieniem głowy księcia, a potem przywitał się z Tiamakiem, Strangyeardem, Jirikim i Aditu. Zamienił kilka słów z Sithami. Isgrimnur obserwował go i po raz pierwszy zauważył, jak bardzo młodzieniec upodobnił się do nich: mówił wolno, z rezerwą. Książę pokręcił głową. Kto by pomyślał?

– Czy dobrze się czujesz, Simonie? – spytał Strangyeard.

Młodzieniec wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Rany się goją. – Zwrócił się do Isgrimnura: – Jeremias przyniósł mi wiadomość od ciebie. Przyszedłbym do twojego namiotu, ale Jeremias twierdził, że ty przyjdziesz do mnie, kiedy będziesz gotowy. – Rozejrzał się uważnie po zebranych. – Zdaje się, że nadeszła ta chwila. Przebyłeś długą drogę z obozu, żeby mnie znaleźć. Czy chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

– Między innymi. – Książę skrzywił się, widząc, że pozostali siadają na kamiennej podłodze. Simon uśmiechnął się kpiąco i wskazał na tron. Książę potrząsnął głową, wzdragając się.

– Dobrze. – Simon zebrał kilka proporców i złożył je na schodach przed tronem.

Mając tylko jedno zdrowe ramię, Isgrimnur powoli siadał na prowizoryczne siedzenie, ale zdecydowany był zrobić to sam.

– Cieszę się, że jesteś na nogach, Simonie – powiedział, kiedy już odzyskał oddech. – Rano jeszcze nie wyglądałeś dobrze.

Młodzieniec pokiwał głową i usiadł obok niego. On także poruszał się wolno, pamiętając o licznych ranach, ale Isgrimnur wiedział, że szybko się zagoją. Książę zerknął na niego z zazdrością.

– A gdzie są Binabik i Miriamele? – spytał Simon.

– Binabik niebawem tu przybędzie – odparł Strangyeard. – A... a Miriamele...

Spokój Simona szybko się ulatniał.

– Jest jeszcze tutaj? Nie uciekła chyba albo nie została ranna?

Tiamak pomachał ręką.

– Nie. Simonie. Jest w obozie i leczy rany podobnie jak ty. Tylko że ona... – Odwrócił się do Isgrimnura, szukając u niego pomocy.

– Tylko że pewne rzeczy wymagają omówienia bez Miriamele – rzucił książę. – Tak, właśnie.

Simon przyjął takie wyjaśnienie.

– Dobrze. W takim razie ja mam pytania.

Isgrimnur skinął głową.

– Pytaj. – Spodziewał się tego od chwili, kiedy ujrzał go pogrążonego w myślach przed posągiem Eahlstana.

– Binabik powiedział wczoraj, że przyniesienie mieczy tutaj było podstępem, że to był „fałszywy posłaniec”, że Pryrates i Król Burz przez cały czas chcieli je dostać. – Simon popchnął butem jeden z wilgotnych proporców. – Potrzebowali ich, żeby odwrócić Czas, zanim Ineluki

wypowie ostatnie zaklęcie, zanim na Hayholt opadną ostatnie pieczęcie, modlitwy i co tam jeszcze.

– Wszyscy widzieliśmy z zewnątrz zmiany, jakie zachodziły w zamku – powiedział wolno książę, zaskoczony pytaniem. Spodziewał się, że Simon będzie wypytywał o swoją historię. – Jeszcze walczyliśmy z Nornami, kiedy Hayholt po prostu... roztopił się. Pojawiły się dziwne wieże i wszędzie było pełno ognia. Wydawało mi się, że widziałem duchy, chyba rzeczywiście je widziałem, duchy Sithów i Rimmersmenów w dawnych strojach. Walczyli w samym środku naszej bitwy. Co innego to mogło być? – Wlewający się przez wysokie okna blask czystego popołudnia sprawił, że wszystko to wydało się nagle Isgrimnurowi nierealne. Jeszcze niedawno świat pozostawał w szponach magicznego szaleństwa i okrutnych burz. Teraz za oknem śpiewał ptak.

Nagle przemówił Jiriki:

– Tak, to chyba najtrudniejsza część do zrozumienia, Simonie. Mogę ją częściowo wyjaśnić. Walcząc z Utuk'ku przy Stawie Trzech Głębin, odkryliśmy znaczną część jej mocy. Ona nie próbowała się osłaniać; chciała użyć swoich sił, by opanować i wykorzystać moce Stawu. Była przekonana, że nie mogliśmy już jej przeszkodzić, nawet jeśli odkryliśmy prawdę. – Rozłożył dłonie w geście, który mógł wyrażać żal. – Miała rację.

– Długo ją powstrzymywaliście – powiedział Simon. – I słyszałem, że wiele was to kosztowało. Kto wie, co by się stało, gdyby Król Burz nie musiał czekać?

Jiriki uśmiechnął się.

– Spośród wszystkich walczących na brzegu Stawu Likimeya zrozumiała najwięcej, kiedy tylko dotknęliśmy myśli Utuk'ku. Moja matka powoli wraca do zdrowia po walce ze swoim przodkiem, ale potwierdziła wiele z tego, czego się domyślaliśmy. Miecze były nieomal jak żywe istoty.

Nie zdziwi to nikogo, kto trzymał któryś z nich w dłoni. Znaczną część ich mocy stanowiły, jak podejrzewał Binabik z Mintahoq, siły spoza tego świata, spętane Słowami Stworzenia. Równie potężne jednak były skutki wypowiedzenia tych Słów. W jakimś sensie miecze żyły. One nie były takimi istotami jak my, nie było w nich nic, co śmiertelnicy, a nawet Sithowie, potrafiliby zrozumieć, a jednak posiadały życie. To czyniło je potężniejszymi od innych mieczy, ale z tego też powodu trudno było nad nimi zapanować. Można je było wezwać: ich pragnienie zjednoczenia się i uwolnienia swoich mocy i tak sprowadziłoby je do wieży, ale nie sposób było je zniewolić. Istotną częścią powodzenia planu Króla Burz, może nawet najważniejszą, było to, by miecze przybyły na własne wezwanie w odpowiednim czasie. Same miały wybrać sobie tych, którzy je przyniosą.

Isgrimnur zauważył, że Simon zastanawiał się długą chwilę, zanim zabrał głos.

– Binabik powiedział mi też, że w noc, kiedy z Miriamele opuściliśmy obóz Josui, Nornowie próbowali zabić Camarisa. Ale miecz już go wybrał! Dlaczego więc chcieli go zabić?

– Może ja potrafię częściowo odpowiedzieć na to pytanie – wtrącił Strangyeard. Duchowny wydawał się niemal tak samo nieśmiały jak wiele lat temu, kiedy Isgrimnur spotkał go po raz pierwszy, chociaż bywały chwile, że stawał się bardziej ośmielony. – Po naszej ucieczce z Naglimundu Nornowie, którzy nas ścigali, zachowywali się bardzo dziwnie. Sir Deornoth pierwszy domyślił się, że oni... och! – Archiwista podniósł głowę przerażony.

Do sali tronowej wśliznęła się jakaś szara postać. Skoczyła na stopnie podestu, na którym stał tron, przewracając Simona na bok. Młodzieniec roześmiał się; zanurzywszy dłoń w gęstym futrze, próbował trzymać pysk i długi jęzor z dala od swojej twarzy.

– Cieszy się na twój widok, Simonie! – zawołał Binabik. Przekroczył właśnie szybko próg, starając się dotrzymać kroku wilczycy. – Długo czekała, żeby się z tobą przywitać. Trzymałem ją z daleka, dopóki nie zagoją się trochę twoje rany. – Troll przywitał się pośpiesznie z pozostałymi i przycisnął Qantaqę do podłogi tuż przy schodach. Zadowolona, poddała się i rozłożyła między Simonem i Binabikiem. – Ucieszysz się pewnie, gdy ci powiem, że dzisiaj znalazłem twoją Nadzieję – powiedział troll. – Uciekła spłoszona bitwą i chodziła po Kynswood.

– Nadzieja. – Simon wymówił imię powoli. – Dziękuję ci, Binabiku. Dziękuję.

– Później cię do niej zaprowadzę.

Po chwili ciszy Strangyeard zaczął mówić dalej:

– Sir Deornoth pierwszy zauważył, że Nornowie nie tyle nas ścigają, ile zapędzają... jak owce. Uciekaliśmy przed nimi przestraszeni, lecz oni nas nie zabili, choć z pewnością mieli ku temu wiele okazji. Zdecydowanie stawili nam czoło dopiero wtedy, gdy skręciliśmy do środka lasu Aldheorte.

– W kierunku Jao e-Tinukai’i – dodała cicho Aditu.

– I zabili Amerasu, kiedy przejrzała plany Inelukiego – powiedział Simon zamyślony. – Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego próbowali zabić Camarisa.

– Cieszyli się z tego, że ty masz miecz, Seomanie, chociaż pewnie Ingen Jegger zaniepokoił Utuk’ku, przynosząc jej wieść, że towarzyszą ci Dzieci Świtu. Ale razem z Inelukim nie spodziewali się, byśmy tak głęboko przeniknęli ich plany – i, jak się okazało, mieli rację. Tylko Pierwsza Babka zrozumiała ich spisek. Usunęli ją i zasiali dookoła niepokój. Dla mieszkańców Burzowej Góry Zida’ya byli wtedy mało groźnym przeciwnikiem. Byli przekonani, że w odpowiedniej chwili czarny miecz wybierze ciebie albo Rimmersmana Sludiga czy też kogoś innego. Josua

miał przyjść po Biały Gwóźdź, miecz jego ojca, wtedy miał się dopełnić ostateczny rytuał.

– Ale powrócił Camaris – powiedział Simon. – Sądzę, że tego się nie spodziewali. A przecież on nie rozstawał się z mieczem przez długie lata. Można było przypuszczać, że miecz jego wybierze. Dlaczego więc się go bali?

Strangyeard chrząknął.

– Sir Camaris, niech Bóg da odpoczynek jego utrapionej duszy – duchowny szybko zrobił znak Drzewa – wyznał mi to, czego nie mógł powiedzieć innym. Jego spowiedź pójdzie ze mną do grobu. – Strangyeard pokręcił głową. – Pomóż mi, Zbawco! Wyspowiadał się dlatego, że Aditu i Geloë chciały wiedzieć, czy był wcześniej w Jao... czy spotkał się z Amerasu. I rzeczywiście tak było.

– Jestem pewien, że wyjawił swoją tajemnicę księciu Josui – mruknął Isgrimnur. Przypomniał sobie tamtą noc i wyraz twarzy Josui, zastanawiając się, jakie słowa mogły być tego przyczyną. – Ale Josua także nie żyje i nigdy się nie dowiemy.

– Ojciec Strangyeard przysięga, że nie miało to nic wspólnego z naszą walką – powiedział Jiriki – ale zdaje się, że Utuk’ku i jej sprzymierzeniec nie wiedzieli o tym. Królowa Nakkigi wiedziała, że Amerasu spotkała się kiedyś z Camarisem; może sama wydobyła tę wiedzę od Pierwszej Babki w czasie prób woli. Tak więc kiedy Camaris pojawił się nieoczekiwanie na scenie, biorąc pod uwagę jego długoletnie doświadczenie z jednym z Wielkich Mieczy, a być może i wiedzę, którą mogła mu przekazać Amerasu... – Jiriki pokręcił głową. – Nie wiemy, ale wydaje się, że nasi przeciwnicy uznali to za zbyt duże ryzyko. Sądzili pewnie, że po śmierci Camarisa miecz znajdzie innego właściciela, który nie będzie stanowił tak

wielkiego zagrożenia dla ich planów. W końcu Cierń nie był istotą tak lojalną jak wilczyca Binabika.

Simon odchylił się zamyślony.

– Tak więc wszystkie nasze nadzieje, nasza wyprawa po miecze, były tylko pułapką. A my daliśmy się w nią złapać jak dzieci. – Zmarszczył brwi.

Isgrimnur wiedział, że Simon upomina głównie samego siebie.

– Była to niezwykle sprytna pułapka – rzekł książę. – Z pewnością długo ją przygotowywano. Ale i tak zawiodła.

– Czy aby na pewno? – Simon zwrócił się do Jirikiego: – Czy *wiemy*, że oni ponieśli porażkę?

– Isgrimnur opowiadał o tym, jak Zida'ya uciekali, kiedy runęła wieża, przynajmniej ci, którzy przeżyli. Nie żałuję, że ich nie ścigał, gdyż niewielu już ich pozostało, a narodziny są wśród nas rzadkością. Wielu zmarło w Naglimundzie i wielu poległo tutaj. Fakt, że uciekli, zamiast walczyć do końca, mówi wiele: oznacza to, że zostali rozbici.

– Nawet po tym jak Utuk'ku odebrała nam kontrolę nad Stawem – powiedziała Aditu – my wciąż z nią walczyliśmy. Czuliśmy, kiedy nadszedł Ineluki. – Długa chwila milczenia była bardzo wymowna. – To było *straszne*. Ale czuliśmy też, kiedy umarło jego śmiertelne ciało, ciało Króla Eliasa. Ineluki opuścił pustkę, będącą jego schronieniem, i zdecydował się na ostateczne przeobrażenie, by powrócić do tego świata. Zaryzykował i przegrał. Bez wątpienia nic z niego nie zostało.

Simon uniósł brwi pytająco.

– A Utuk'ku?

– Ona żyje, lecz jej moc uległa zniszczeniu. Ona także wiele ryzykowała. To dzięki jej magii Ineluki mógł znaleźć się w wieży w chwili, kiedy zawrócono Czas. Ale ostatecznie poniosła klęskę. – Aditu utkwiła w nim spojrzenie swoich bursztynowych oczu. – Widziałam ją, Seomanie,

widziałam w moich myślach tak wyraźnie, jakby stała przede mną. Ognie Burzowej Góry zgasły, a jej komnaty opustoszały. Ona została tam sama; jej srebrna maska się rozpadła.

– Widziałaś ją? Widziałaś jej twarz?

Aditu skinęła głową.

– Jej przerażający wiek już dawno kazał jej ukryć swoje oblicze, ale ty, Seomanie Śnieżnowłosy, ujrzałbyś tylko starą kobietę. Kobietę o pomarszczonej, obwisłej skórze. Utuk'ku Seyt-Hamakha jest Najstarsza, lecz jej mądrość już dawno została skalana jej własnym egoizmem i próżnością. Wstydziła się, że wiek i jej nie oszczędził. Teraz utraciła nawet siłę i strach, jakimi władała.

– Tak więc moc *Sturmrspeik* i Białych Lisów została pokonana – powiedział Isgrimnur. – Wiele straciliśmy, Simonie, ale mogliśmy stracić jeszcze więcej, mogliśmy stracić wszystko. Wiele zawdzięczamy tobie i Binabikowi.

– I Miriamele – dodał cicho Simon.

– Oczywiście, i Miriamele.

Młodzieniec rozejrzał się po zebranych i zwrócił się do księcia:

– Odpowiedzieliście na moje pytania. Ale przecież nie po to tylko przyszliście. O co wy chcieliście spytać?

Isgrimnur zauważył, że Simon nabiera coraz więcej pewności siebie. Zachowywał się uprzejmie, ale jego postawa mówiła, że nie obawia się nikogo. I tak powinno być. Isgrimnur wciąż jednak wyczuwał w jego głosie nutę gniewu, dlatego zawahał się na moment, zanim zaczął mówić.

– Rozmawiałem z Jirikim o tobie, o twoim... pochodzeniu. Zdumiało mnie to, co usłyszałem, ale wierzę mu, gdyż pasuje to do tego, co już wiemy o Johnie, Sithach i wszystkim. Spodziewałem się, że przyniesiemy ci nowiny, ale wyraz twojej twarzy mówi mi, że ty już sam to odkryłeś.

Simon uśmiechnął się.

– Tak.

– A zatem wiesz, że w twoich żyłach płynie krew Eahlstana Fiskerne, ostatniego Króla Erkynlandu, który panował na wiele wieków przed Presterem Johnem.

– I który założył Ligę Pergaminu – dodał Binabik.

– I który rzeczywiście zabił smoka – powiedział Simon. – I co z tego? – Jakieś niezwykle intensywne uczucie kłębiło się najwyraźniej pod jego maską spokoju.

Zanim Isgrimnur zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się Jiriki:

– Wybacz, Seomanie, przyjacielu, że nie powiedziałem ci wcześniej wszystkiego, co wiem, ale obawiałem się, że okaże się to dla ciebie zbyt wielkim ciężarem albo nakłoni do ryzykownych działań.

– Rozumiem – powiedział Simon, chociaż nie wydawał się uszczęśliwiony. – Skąd wiedziałeś?

– Eahlstan Fiskerne był pierwszym śmiertelnym Królem, który po upadku Asu’a wyciągnął rękę do Zida’ya. – Na zewnątrz zachodziło słońce i niebo ciemniało. Powiew wiatru poruszył leżącymi na ziemi proporcami. Rozwiał też białe włosy Jirikiego. – Znał nasz lud, a niektórzy spośród nas spotykali się z nim w jaskiniach pod Hayholt, w ruinach naszego domu. Obawiał się, że zginie na zawsze wiedza Zida’ya, a także tego, że zwrócimy się przeciwko ludziom po zniszczeniu, jakie przyniósł Fingil. Jego obawy były uzasadnione. Nasz lud nie żywił gorących uczuć wobec śmiertelników. Także i lud Eahlstana nie kochał zbytnio nieśmiertelnych. Ale w czasie kolejnych lat jego rządów obie strony poczyniły niewielkie kroki, zbliżyły się do siebie. My, którzy byliśmy w to zaangażowani, utrzymywaliśmy wszystko w tajemnicy. – Jiriki uśmiechnął się. – Mówię „my”, ale ja byłem

wtedy zaledwie posłańcem Pierwszej Babki, która nie ujawniała swojego zainteresowania śmiertelnikami nawet przed własną rodziną.

– Zawsze ci zazdrościłam, Wierzbowa Witko – powiedziała Aditu, uśmiechając się. – Taki młody, a już obarczony ważnymi zadaniami!

Jiriki uśmiechnął się.

– W każdym razie nie nastąpiło to, co mogło się zdarzyć, gdyby żył Eahlstan, a jego następcy poszli w jego ślady. Pojawiła się ognista bestia Shurakai. Eahlstan, zabijając ją, sam zginął. Nie potrafię powiedzieć, czy John wiedział o tym, że Eahlstan w tajemnicy porozumiewał się z nami, czy też bał się, że wyjawimy jego kłamstwo, kiedy powiedział, że to on zabił smoka, i dlatego żywił do nas taką niechęć. W każdym razie John wygnał nas z ostatnich kryjówek. Nie odkrył ich wszystkich: nigdy nie dotarł do Jao e-Tinukai'i, ale wyrządził nam wiele krzywd. W czasie jego panowania prawie całkowicie ustały nasze kontakty ze śmiertelnikami.

Simon złożył dłonie.

– Przykro mi z powodu postępowania moich ludzi. Cieszę się, że mój przodek był takim człowiekiem.

– Lud Eahlstana rozpierzchł się przed smokiem. O ile wiem, znaleźli się na wygnaniu – powiedział Jiriki. – Potem, kiedy przybył John i podbił te ziemie, stracili nadzieję na odzyskanie Hayholt. Tak więc odeszli ze swoją tajemnicą; byli rybakami, więc mieszkali gdzieś blisko wody, tak jak za czasów Eahlstana Fiskerne. Ale w królewskiej rodzinie z pokolenia na pokolenie przekazywano obrączkę Eahlstana. Jeden z jego prawnuków, uczony, tak jak i jego przodek, zapoznał się ze starym pismem runicznym Sithów z jednego z cennych zwojów Eahlstana i kazał wyryć na obrączce motto, które rodzina przyjęła z dumą, a które stało się wstydliwą tajemnicą Prestera Johna. Ją właśnie powierzył ci Morgenes, a z nią twoją przeszłość.

– Jestem pewien, że powiedziałby mi kiedyś. – Simon z trudem ukrywał podniecenie, z jakim słuchał opowieści Jirikiego. Isgrimnur przyglądał mu się, oczekując oznak jakiegoś załamania. – Ale czy teraz ma to jakieś znaczenia? I dziedzictwo wszystkich królów świata nie zmieni faktu, że stałem się ofiarą oszustwa Pryratesa i Króla Burz. To już tylko miła historia. Połowa szlacheckich rodów w Nabbanie ma wśród swoich przodków Imperatorów. I co z tego?

Pozostali spojrzeli na Isgrimnura. Książę poruszył się niespokojnie na swoim miejscu.

– Erkynland potrzebuje władcy – powiedział. – Smoczy Tron jest pusty.

Simon otworzył usta, potem zamknął je i znowu otworzył.

– I...? – mruknął. Wpatrywał się nieufnie w Isgrimnura. – Miriamele odniosła niewiele ran i ma się dobrze. Nic się nie zmieniła – powiedział z wyraźną goryczą – więc wkrótce będzie mogła zasiąść na tronie.

– Nie jej zdrowie nas niepokoi – odparł książę ponuro. Rozmowa przybrała zły obrót. Simon zachowywał się jak ktoś obudzony z należnego mu snu przez grupkę nieznośnych dzieci. – Ale... a niech to, jej ojciec!

– Przecież Elias nie żyje. Sama go zabiła. Białą Strzałą Sithów. – Simon odwrócił się do Jirikiego. – Skoro już o tym mówimy, to strzała ta uratowała mi życie, tak więc nasze rachunki zostały wyrównane.

Sitha nic nie odpowiedział. Jego twarz, jak zwykle, pozostała niewzruszona, lecz w postawie wyczuwało się niepokój.

– Ludzie tak wiele wycierpieli pod rządami Eliasa, że mogą być nieufni wobec Miriamele – powiedział Isgrimnur. – Wiem, że to brzmi głupio, ale tak jest. Gdyby żył Josua, przywitaliby go pewnie z otwartymi ramionami. Baronowie wiedzą, że książę sprzeciwiał się Eliasowi od chwili, kiedy zaczęło się źle dziać, oraz że wiele wycierpiał i wywalczył swój powrót z wygnania. Ale Josua nie żyje.

– Miriamele także miała w tym wszystkim swój udział! – zawołał gniewnie Simon. – To nonsens!

– Wiemy, Simonie – powiedział Tiamak. – Długo z nią podróżowałem. Wielu z nas wie, jaka jest dzielna.

– Ja też to wiem – mruknął Isgrimnur coraz bardziej poirytowany. – Ale prawda nie ma tutaj znaczenia. Uciekła z Naglimundu, zanim jeszcze rozpoczęło się oblężenie, a na *Sesuad'ra* przybyła już po klęsce Fengbalda. Potem znowu zniknęła i pojawiła się w Hayholt przy ojcu na samym końcu. – Skrzywił się. – Do tego jeszcze mówi się: z pewnością za sprawą tego bękarta Aspitisa Prevesa, że była jego kochanicą, kiedy służył Pryratesowi. A plotki mają skrzydła.

– Ale niektóre z tych zarzutów dotyczą także i mnie. Czy i ja jestem zdrajcą?

– Bóg wie, że Miriamele nie jest zdrajczynią, i ja też wiem. – Isgrimnur patrzył na niego groźnie. – Ale po tym, co uczynił jej ojciec, ludzie mogą jej nie ufać. Ludzie chcą mieć na tronie kogoś, komu będą ufali.

– Czyste szaleństwo! – Simon uderzył dłońmi po udach i odwrócił się do Sithów. – Co o tym myślicie? – spytał.

– Nie chcemy mieszać się w sprawy śmiertelników – odparł Jiriki nieco oschle.

– Jesteś naszym przyjacielem, Seomanie – dodała Aditu. – Zrobimy wszystko, w czym tylko możemy ci teraz pomóc. Ale Miriamele także darzymy szacunkiem, choć nie znamy jej tak dobrze.

Simon zwrócił się do trolla:

– Binabiku?

Troll wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co powiedzieć. Isgrimnur i pozostali spośród nas muszą podjąć decyzję. Oboje z Miriamele jesteście moimi przyjaciółmi. Jeśli

oczekujesz ode mnie rady, to zabierzemy później Qantaqę na spacer i porozmawiamy.

– O czym porozmawiamy? O ludziach, którzy powtarzają kłamstwa o Miriamele?

Isgrimnur chrząknął.

– On chciał powiedzie, że może porozmawiać z tobą o przyjęciu korony Erkynlandu.

Simon spojrzał na księcia. Tym razem pomimo całej swojej dorosłości Simon nie potrafił ukryć swoich uczuć.

– Wy... wy oferujecie mi tron? – spytał z niedowierzaniem i kpiną w głosie. – Co za szaleństwo! Mnie? Chłopcu z kuchni!

Isgrimnur nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Jesteś kimś więcej niż chłopcem z kuchni. Opowieści i piosenki o twoich czynach wędrują już od ogniska do ogniska aż po Nabban. Poczekaj, aż zaczną opowiadać o Bitwie w Wieży.

– Aedonie, zachowaj mnie – rzucił z odrazą Simon.

– Ale istnieją ważniejsze argumenty. – Książę znowu spoważniał. – Jesteś lubiany i powszechnie znany. Nie dość, że walczyłeś ze smokiem, to jeszcze walczyłeś dzielnie o *Sesuad'ra* dla Josui, ludzie o tym pamiętają. Teraz możemy im jeszcze ogłosić, że płynie w tobie krew świętego Eahlstana Fiskerne, jednego z najbardziej ukochanych władców. Prawdę mówiąc, gotów byłbym to wymyślić, nawet gdyby nie była to prawda.

– Ale to nic nie znaczy! – wybuchnął Simon. – Czy myślisz, że o tym nie myślałem? Od chwili, kiedy zdałem sobie z tego sprawę, nic innego nie robię, tylko myślę. Jestem podkuchennym, którego uczył bardzo dobry i bardzo mądry człowiek. Szczęście dopisało mi, jeśli chodzi o przyjaciół. Zostałem wplątany w okropne wydarzenia, zrobiłem, co do mnie należało,

przeżyłem to wszystko. Ale nic z tego nie ma związku z tym, kim był mój nie-wiem-jak-wielki dziadek!

Isgrimnur odczekał długą chwilę, pozwalając, by Simon uspokoił się trochę.

– Ale czy nie widzisz – powiedział książę łagodnie – że nie ma znaczenia, czy to coś zmienia, czy też nie? Tak jak mówiłem, nie jest specjalnie ważne, czy to jest prawdą, czy nie. Na czerwony młot Drora, Simonie, opowieść o Presterze Johnie była mitem – kłamstwem! Sam potrzebowałem kilku dni, żeby się z tym pogodzić. Ale czy przez to staje się on mniejszym Królem? Ludzie nie będą wierzyli w coś tylko dlatego, że ty tego chcesz lub nie. Jeśli nie dasz im czegoś, w co będą mogli wierzyć, to sami to wymyślą. Teraz boją się przyszłości. Prawie cały znany nam świat znajduje się w ruinie, Simonie. Ci, którzy przetrwali, są nieufni wobec Miriamele z powodu tego, kim jest, z powodu tego, co zrobiła, a także, powiedzmy sobie szczerze, dlatego że jest młodą kobietą. Baronowie chcą mężczyzny, kogoś silnego, ale nie za silnego; nie chcą też bratobójczych wojen potencjalnych kandydatów na męża Królowej. – Isgrimnur wyciągnął ramię, by dotknąć ramienia Simona, lecz się rozmyślił. – Posłuchaj mnie. Ludzie, którzy kochali Josuę, kochają i ciebie; prawie równie mocno jak księcia. A może w pewnym sensie nawet bardziej. Obaj wiemy, że nie ma znaczenia, czyja krew płynie w tobie: krew jak krew, zawsze jest czerwona. Ale twoi ludzie muszą w coś wierzyć, a teraz są zziębnięci, okaleczeni i bezdomni.

Simon przyglądał mu się uważnie. Isgrimnur coraz bardziej odczuwał siłę wściekłości młodzieńca. On rzeczywiście wydoroślał. Będzie groźnym przeciwnikiem. Nie, już jest.

– I ty chciałbyś, żebym dla takich sztuczek zdradził Miriamele? – spytał Simon.

– Nie zdradził – odparł Isgrimnur. – Dam ci kilka dni do namysłu, a potem pójdę do niej i przedstawię całą sprawę. Jutro pochowamy naszych zmarłych i ludzie ujrzą nas wszystkich. Na razie dosyć o tym. – Książę pokręcił głową. – Nie mam zamiaru kłamać przed nią, Simonie, nie, tak nie postępuję, ale chciałem, żebyś pierwszy mnie wysłuchał. – Nagle zrobiło mu się ogromnie żal tego młodego mężczyzny.

„Pewnie myślał, że w spokoju będzie mógł lizać swoje rany, a ma ich wiele. Tak jak my wszyscy”.

– Zastanów się nad tym, Simonie. Potrzebujemy cię, wszyscy. Dość będę miał pracy, żeby posklejać moje księstwo, nie wiem też, co będzie z młodym Varellanem, osieroconym w Nabbanie, i tym, kto jeszcze pozostał w Hernystirze. Ktoś musi wznieść Berło Wielkiego Króla, ktoś, kogo ludzie z ufnością przyjmą na tronie w Hayholt.

Podniósł się ze stopnia, starając się nie pokazywać, ile kosztowało go to wysiłku, skłonił się sztywno Simonowi – co było dość dziwnym doznaniem – i opuścił salę tronową, pozostawiając ich pogrążonych w milczeniu. Wychodząc, czuł na sobie spojrzenie Simona.

„Boże, pomóż mi – pomyślał, kiedy znalazł się na zewnątrz. – Potrzebny mi odpoczynek. Długi odpoczynek”.

PODNIÓSŁ WZROK ZNAD OGNISKA, usłyszawszy kroki.

– Binabik?

Weszła w krąg światła. Choć była to chłodna, wiosenna noc, a ziemię wciąż pokrywały jeszcze płaty śniegu, nie miała butów na nogach. Jej płaszcz powiewał na wietrze, który wiał w dół zbocza od strony Hayholt.

– Nie mogłam zasnąć – powiedziała.

Simon zawahał się na chwilę. Nikogo się nie spodziewał, a już na pewno nie jej. Po całodziennych uroczystościach ku czci Josui, Camarisa, Isorna i innych poległych Binabik poszedł do Strangyearda i Tiamaka, pozostawiając go samego przed jego namiotem. Wydawało się, że przybyła przywołana jego myślami, kiedy tak siedział wpatrzony w ogień.

Usiadła, otulając się płaszczem.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Ja... – Zamilkł. – Nie wiem. Wszystko jest takie dziwne.

Przytaknęła mu.

– Trudno uwierzyć, że się skończyło. Trudno uwierzyć, że oni wszyscy odeszli na zawsze.

Poruszył się niezgrabnie, niepewny, czy mówi o przyjaciołach, czy o wrogach.

– Pozostaje wiele do zrobienia. Ludzie rozpierzchli się, świat został wywrócony do góry nogami. – Simon machnął dłonią. – Jest wiele do zrobienia.

Miriamele pochyliła się do przodu, wyciągając ręce nad ogniem. Simon poczuł ucisk w sercu, kiedy zobaczył jej delikatne rysy, widoczne wyraźnie w blasku ognia. Mogły płynąć w nim nawet całe rzeki królewskiej krwi, ale nie miało to znaczenia, jeśli jej nie obchodził. Ani razu nie spojrzała na niego w czasie całych uroczystości pogrzebowych. Wydawało się, że umarła nawet ich przyjaźń.

„Dobrze by jej tak było, gdybym pozwolił im posadzić się na tronie. – Odwrócił wzrok do ognia, zawstydzony swoją podłością. – Ale przecież tron jej się należy”. – Była wnuczką Prestera Johna. Co za różnica, że jakiś jego przodek był Królem dwa wieki temu?

– Zabiłam go, Simonie – powiedziała nagle. – Przebyłam tak długą drogę, żeby z nim porozmawiać, żeby spróbować powiedzieć mu, że

rozumiem... a zamiast tego zabiłam go. – W jej słowach pobrzmiewało echo całkowitego zniszczenia. – Zabiłam go!

Simon szukał gorączkowo odpowiednich słów.

– Uratowałaś nas wszystkich, Miriamele.

– On był dobrym człowiekiem, Simonie. Może trochę wybuchowym, ale był... zanim moja matka... – Zamrugała gwałtownie. – Był moim ojcem!

– Nie miałaś wyboru. – Simon nie mógł patrzeć na jej cierpienie. – Nic innego nie mogłaś zrobić, Miri. Uratowałaś nas.

– Rozpoznał mnie na koniec. Niech Bóg mi dopomoże, Simonie. Wydaje mi się, że on chciał, bym to zrobiła. Spojrzałam na niego, a on był tak nieszczęśliwy. Tak bardzo cierpiał! – Potarła twarzą o płaszcz. – Nie będę płakała – powiedziała stanowczo. – Mam już dość płaczu!

Wiatr głośniej westchnął wśród traw.

– Ach, dobry wuj Josua! – powiedziała spokojniejszym już głosem, lecz z wyraźnym naciskiem. – Odszedł, tak jak wszyscy inni. Odeszli, cała moja rodzina. Także udręczony Camaris. Ach, Boże, co to za świat? – Jej ramiona drżały. Simon ujął nieśmiało jej dłoń. Był pewien, że cofnie rękę, lecz nie zrobiła tego. Siedzieli w ciszy przerywanej tylko cichym trzaskaniem ognia. – I Cadrach także – szepnęła. – Miłościwa Elysio, w pewnym sensie jego żal mi najbardziej. On chciał tylko umrzeć, ale czekał na mnie... na nas. Pozostał, pomimo tego wszystkiego, co się stało, pomimo tych wszystkich okropności, jakie mu powiedziałam. – Spuściła głowę. Jej głos brzmiał boleśnie szorstko. – Na swój sposób mnie kochał. To było z jego strony okrutne, czy nie tak?

Simon pokręcił głową. Nie miał nic do powiedzenia.

Nagle spojrzała na niego, otwierając szeroko oczy.

– Odjedźmy! Weźmiemy konie i do rana będziemy już daleko. Nie chcę być Królową! – Ścisnęła jego dłoń. – Proszę, nie zostawiaj mnie!

– Odjechać! Dokąd? Dlaczego miałbym cię zostawić? – Simon czuł, jak szybko bije mu serce. Trudno było mu myśleć, trudno uwierzyć, że naprawdę rozumie jej słowa. – Miriamele, o czym ty mówisz?

– A niech cię, Simonie! Czy rzeczywiście jesteś taki głupi, za jakiego kiedyś cię uważano? – Chwyciła jego rękę mocno w swoje dłonie; na jej policzkach zalśniły łzy. – Nie obchodzi mnie to, że byłeś chłopcem z kuchni. Nie dbam o to, że twój ojciec był rybakiem. Chcę tylko ciebie, Simonie. Och, czy myślisz, że jestem idiotką? Nie, chyba nie. – Jej śmiech zabrzmiał trochę jak śmiech szaleńca. Puściła na chwilę jego dłoń, by wytrzeć oczy. – Zastanawiam się nad tym od chwili upadku wieży. Mam już dość! Wuj Isgrimnur i pozostali będą chcieli, żebym zasiadła na tronie. A ja znowu stanę się dawną Miriamele, tyle tylko, że teraz będzie to o wiele gorsze! To będzie więzienie. Potem będę musiała poślubić jakiegoś innego Fengbalda: to, że on nie żyje, nie oznacza jeszcze, że nie ma setki jemu podobnych, i nigdy już nie przeżyję żadnej przygody, nigdy nie będę wolna, nie będę mogła robić tego, co chcę... a ty odejdziesz, Simonie! Stracę cię! Jedyną osobę, na której mi zależy.

Wstał i postawił ją na nogi, tak by mógł ją objąć. Oboje drżeli i przez długą chwilę przyciskał ją tylko do siebie, jakby bał się, że porwie ją wiatr.

– Miriamele, kocham cię od tak dawna. – Nie potrafił opanować drżenia głosu.

– Boję się ciebie. Nawet nie wiesz, jak bardzo się ciebie boję. – Jego pierś tłumiła głos Miriamele. – Nie wiem, co widzisz, kiedy patrzysz na mnie. Ale, proszę, nie odchodź. Bez względu na wszystko, nie odchodź.

– Nie odejdę. – Odchylił się, by móc na nią spojrzeć. Jej oczy były jasne, na rzęsach drżały łzy. On także patrzył poprzez łzy. Roześmiał się załamującym się głosem. – Nie zostawię cię. Przecież obiecałem, nie pamiętasz?

– Sir Seoman. Mój Simon. Moja miłość. – Wstrzymała oddech. – Jak to się stało?

Pochylił się, przyciskając usta do jej ust. Kiedy przylgnęli do siebie, rozgwieżdżone niebo wydawało się wirować wokół miejsca, w którym stali. Dłonie Simona sunęły pod jej płaszczem wzdłuż pleców. Miriamele zadrżała i przyciągnęła go mocniej, wtulając twarz w jego szyję.

Simon poczuł falę radosnego szaleństwa, mając Miriamele tak blisko siebie. Nie wypuszczając jej z ramion, przeszedł kilka kroków w stronę swojego namiotu. Całował jej twarz, czując słone łzy, a jej włosy oplotły jego głowę i przykleiły się do wilgotnej twarzy.

Znalazłszy się w namiocie, ukryci przed wścibskimi gwiazdami, przylgnęli do siebie, oplatając się wzajemnie. Wiatr tarmosił ścianą ich namiotu; był to jedyny odgłos poza szelestem ich ubrań i głębokimi oddechami.

Na moment wiatr odsłonił zasłonę wejścia. W słabym blasku gwiazd jej skóra była blada jak kość słoniowa, tak gładka i ciepła pod jego palcami, że nie wyobrażał sobie, by chciał dotknąć czegokolwiek innego. Jego dłoń zsunęła się z jej piersi i powędrowała wzdłuż biodra. Poczuł coś w sobie, coś podobnego do ogromnego strachu, ale jakże słodkiego. Trzymała jego twarz w dłoniach i piła jego oddech, szepcąc coś nieustannie, chwytając gwałtownie powietrze, kiedy jego usta sunęły w dół jej szyi.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej, pragnąc wchłonąć w siebie, samemu zostać wchłoniętym. Nie widział niczego poprzez łzy.

– Kocham cię od tak dawna – szepnął.

SIMON BUDZIŁ SIĘ POWOLI. Czuł się bardzo ciężki, jego ciało było ciepłe, jakby pozbawione kości. Głowa Miriamele spoczywała w zagłębieniu jego ramienia, jej włosy muskały jego szyję i policzek. Jej

smukłe ramiona oplatały go, jedno przylgnęło do jego piersi, a palce jej dłoni dotykały jego brody.

Przysunął ją bliżej siebie. Mruknęła coś przez sen i przytuliła mocniej głowę.

Zasłona wejścia zaszeleściła. Ukazała się w nim postać, plama trochę tylko ciemniejsza od nocnego nieba.

– Simonie? – ktoś szepnął.

Serce zabiło mu gwałtownie. Poczuł wstyd ze względu na księżniczkę. Spróbował wstać. Miriamele mruknęła coś niezadowolona, kiedy odsunął jej ramię.

– Binabik? – spytał. – To ty?

– Cicho. Zapalę świecę. Nic nie mów.

Rozległ się dźwięk uderzenia krzesiwa o metal i w trawie przy wejściu do namiotu rozbłysło małe światło. Chwilę później na końcu knota zapłonął mały ognik i namiot wypełnił blask świecy. Miriamele wydała niewyraźny odgłos niezadowolenia i wtuliła twarz w szyję Simona. Simon otworzył usta zdumiony.

Nad świecą ukazała się twarz Josui.

– Grób jeszcze mnie nie pomieścił – powiedział książę, uśmiechając się.

60. Pożegnanie

SERCE SIMONA ZABIŁO MOCNIEJ.

– Książę Josua...?

– Cicho. – Josua pochylił się. Otworzył szerzej oczy, ujrzawszy głowę spoczywającą na piersi Simona, lecz zaraz się uśmiechnął. – Niech wam Bóg błogosławi. Niech ona cię poślubi. Chyba nie będziesz musiał długo jej namawiać. Z twoją pomocą będzie wspaniałą Królową.

Simon potrząsnął głową zdumiony.

– Ale... ty... przecież... – Zamilkł. – Ty nie żyjesz, a przynajmniej tak wszyscy uważają!

Josua usiadł, trzymając świecę nisko, tak że ciałem zastawiał jej światło.

– Tak powinno być.

– Tiamak widział, jak otrzymałeś śmiertelną ranę w szyję! – szepnął Simon. – I nikt nie mógł się wydostać z wieży po naszym odejściu.

– Tiamak widział, że miecz spadł na moją szyję – poprawił go Josua. – Rzeczywiście powinienem mieć już złamany kark, który boli mnie jeszcze okrutnie. Ale ja zasłoniłem się ręką. – Uniósł lewe ramię i podarty rękaw zsunął się. Na spuchniętym nadgarstku wciąż tkwiła obręcz kajdan, teraz spłaszczona i porysowana. – Mój brat i Pyrates zapomnieli o prezencie, jaki mi podarowali. Jest w tym jakaś poezja, a może Bóg chciał w ten

sposób powiedzieć coś o wartości cierpienia. – Książę opuścił rękaw. – Po tym, jak się obudziłem, prawie przez dwa dni nie mogłem ruszyć tą ręką, ale teraz jest o wiele lepiej.

Miriamele poruszyła się i otworzyła oczy. Przez chwilę patrzyła przerażona, a potem usiadła, przyciskając koc do piersi.

Uśmiechając się, przyłożył palec do ust. Owinęła się górną połową koca – odsłaniając tym samym Simona – i zarzuciła mu ręce na szyję, płacząc. Josua także wydawał się bardzo poruszony. Po długiej chwili Miriamele uwolniła księcia, spojrzała na swoje nagie ramiona i zarumieniła się. Szybko położyła się i przykryła po samą brodę. Simon nasunął na siebie z wdzięcznością drugą połowę koca.

– Jak to możliwe, że żyjesz? – spytała, śmiejąc się i ocierając oczy.

Josua ponownie wyjaśnił i pokazał spłaszczoną obręcz.

– Ale jak uciekłeś? – Simon ciekawy był dalszej części historii. – Wieża się zawaliła!

Książę pokręcił wolno głową. Cienie przemknęły przez ścianę namiotu.

– To jest jedyna rzecz, której nie jestem pewien. Wydaje mi się, że zaraz na początku Camaris podniósł mnie i zniósł na dół. W ciągu ostatnich nocy znalazłem się w pobliżu wielu ognisk i słyszałem różne rzeczy. Wydaje się, że zamieszanie, dym i ogień były tak wielkie, że mógł on zejść na dół jeszcze przed wami. Do wieży przyszliśmy z podziemi i pewnie tamtędy też wyszedł Camaris. Wiem tylko, że obudziłem się w nocy na brzegu Kynslagh. Kto, poza Camarisem, miałby tyle siły, by ponieść mnie tak daleko?

– Jeśli zszedł przed nami, to powinien był go widzieć Cadrach – zastanawiała się Miriamele.

– To cud – wyszeptał Simon. – Ale dlaczego nikomu nie powiedziałeś? I co miałeś na myśli, mówiąc, że Miriamele będzie Królową? Czy ty nie...?

– Nie rozumiesz – powiedział cicho książę. Mówił niemal wesołym głosem. – Ja nie żyję. I chcę, by tak zostało.

– Co?

– To, co powiedziałem. Simonie, Miriamele, ja nigdy nie nadawałem się na władcę. Wiele mnie to kosztowało, ale nie widziałem innej możliwości, jak spróbować zrzucić z tronu Eliasa. Teraz Bóg otworzył przede mną drzwi, które, sądziłem, zamknęły się na zawsze. Dotąd miałem tylko dwie możliwości: umrzeć albo przyjąć koronę. Teraz pojawiła się jeszcze jedna.

Simon słuchał zdumiony. Przez długą chwilę nic nie mówił. Miriamele także milczała. Josua przyglądał im się; na jego ustach igrał uśmiech.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć. – Książę zwrócił się do bratanicy. – Ty jednak będziesz o wiele lepszą władczynią ode mnie, podobnie jak Simon.

– Ale ty jesteś prawdziwym następcą Johna – zaprotestował Simon. – W większym stopniu niż Miriamele! A ja jestem tylko chłopcem z kuchni, którego ty pasowałeś na rycerza! Mówią, że jestem potomkiem świętego Eahlstana, ale dla mnie to nic nie znaczy. Wcale przez to nie nadaję się bardziej do tego, żeby rządzić Erkynlandem czy robić cokolwiek innego.

– Słyszałem o tym, Simonie. Isgrimnur i pozostali niezbyt dobrze strzegą tajemnic, jeśli to miało zostać tajemnicą. – Josua roześmiał się cicho. – Wcale mnie to nie zdziwiło, kiedy usłyszałem, że płynie w tobie krew Eahlstana Fiskerne. A co do tego, czy mniej lub bardziej należy ci się tron, to nie wiesz jeszcze wszystkiego. Nie jestem w większym stopniu potomkiem Johna niż ty.

– Jak to? – Simon poruszył się nieznacznie, tak że Miriamele mogła oprzeć głowę wygodniej na jego piersi. Nie patrzyła teraz na Josuę, lecz na Simona; zmarszczyła czoło, zmartwiona lub może tylko zamyślona.

– Tak jak powiedziałem – odparł książę. – Ja nie jestem synem Johna. Moim ojcem był Camaris.

Simon wstrzymał oddech.

– Camaris?

Teraz i Miriamele spojrzała na księcia zdumiona.

– O czym ty mówisz?

– John był stary, kiedy poślubił moją matkę, Efiathe z Hernysadharc – powiedział Josua. – Różnica wieku między nimi była duża, dlatego nadał jej nowe imię, Ebekah, jakby była dzieckiem. – Książę zmarszczył czoło. – Nie ma nic szczególnego w tym, co wydarzyło się później. Jest to jedna z najbanalniejszych i najstarszych opowieści, chociaż nie wątpię, że kochali się nawzajem. Ale Camaris był jej szczególnym obrońcą, młodzieńcem równie osławionym jak sam John. I tak głęboki szacunek i podziw przemieniły się w coś więcej.

Elias był dzieckiem Johna, lecz nie ja. Kiedy moja matka umarła, wydając mnie na świat, Camaris oszalał. Co innego mógł pomyśleć, jeśli nie to, że jego grzech skazał ukochaną na śmierć, ukochaną, która była jednocześnie żoną jego najbliższego przyjaciela? – Książę pokręcił głową. – Jego cierpienie było tak wielkie, że rozdał wszystko, co posiadał, jak ktoś, kto wie, że umrze; a on pewnie tak się czuł, gdyż każdy oddech, każda chwila jego życia przepełniona była bólem i wstydem. Wreszcie zabrał swój róg Ti-tuno i udał się na poszukiwanie Sithów; może chciał odkupić swój grzech, przyłączając się do krucjaty Johna przeciwko nim, albo, jak Elias, miał nadzieję, że nieśmiertelni pomogą mu dotrzeć do ukochanej poza śmierć. W każdym razie bez względu na to, jaki był cel jego pielgrzymki, Amerasu przyprowadziła go w tajemnicy do Jao e-Tinukai’i; nikt nie wiedział dlaczego. Nie udało mi się dowiedzieć

wszystkiego. Ojca przepełniał taki ból, że trudno było zrozumieć sens jego słów.

W każdym razie Amerasu spotkała się z nim i odebrała od niego róg, może chciała przechować go dla niego, a może dlatego, że należał on do jej utraconych synów. Wciąż pozostaje tajemnicą, co zaszło między nimi, lecz zdaje się, że jej słowa nie przyniosły mu pociechy. Mój ojciec, pogrążony w smutku, opuścił mroczny las. Wkrótce jego rozpacz przemogła nawet strach przed grzechem unicestwienia samego siebie i ojciec rzucił się z pokładu statku w wody zatoki Firannos. Przeżył w jakiś sposób, wiecie, że jest strasznie silny; tej cechy z pewnością po nim nie odziedziczyłem, ale na jego umysł padł cień. Wędrował po ziemiach Południa, żebrząc, żywiąc się tym, co dostał od innych, błąkając się po pustkowiu, aż wreszcie trafił do gospody w Kwanitupulu. Myślę, że do pewnego stopnia zaznał spokoju, pomimo trudów życia i chorego umysłu. I dopiero po czterdziestu latach odnalazł go Isgrimnur i znowu utracił swój spokój. W jego umyśle obudził się horror sprzed lat, spotęgowany jeszcze świadomością i wiedzą, które próbował zabić.

– Miłosierna Matko! – szepnęła Miriamele. – Co za nieszczęście!

Simon nie potrafił objąć ogromu cierpienia starego rycerza.

– Gdzie on jest teraz?

Josua potrząsnął głową.

– Nie wiem. Może znowu gdzieś wędruje. Modlę się, by powtórnie nie chciał się utopić. Biedny ojciec! Mam nadzieję, że jego demony nie dręczą go już tak bardzo, chociaż wątpię w to. Odnajdę go i spróbuję przywrócić mu choć trochę spokoju.

– A zatem takie są twoje plany? – spytał Simon. – Chcesz odszukać Camarisa?

Josua przytaknął mu i uśmiechnął się.

– Udam się na poszukiwanie ojca, ale dopiero wtedy, kiedy moja żona i dzieci będą naprawdę bezpieczne. Jest wiele do zrobienia, lecz ja niczego nie uczynię tutaj, w Erkynlandzie, gdzie jestem znany. – Roześmiał się cicho. – Widzicie, zaczynam naśladować księcia Isgrimnura i zapuszczam brodę, żeby mnie nie rozpoznano. – Książę potarł dłonią brodę. – Tak więc dzisiaj odjeżdżam na Południe. Niebawem niespodziewany gość zawita do hrabiego Streawe'a. Jest mi winien przysługę, o której zamierzam mu przypomnieć. Jeśli ktokolwiek miałby wykraść Vorzhevę i dzieci z nabbańskiego dworu, to tylko przebiegły pan Perdruin. Jestem przekonany, że wykonanie takiego zadania sprawi mu o wiele większą przyjemność niż jakakolwiek zapłata. On uwielbia tajemnice.

– Żona i potomkowie zmarłego księcia znikają. – Simon uśmiechnął się. – Będą o tym śpiewać niejedną pieśń.

– Tak. A ja będę się śmiał, słuchając ich. – Książę uścisnął ramię Simona, a potem pochylił się i objął Miriamele, która przylgnęła do niego mocno. – Czas już na mnie. Vinyafod czeka. Niebawem zacznie świtać.

Simon poczuł nagle, że nie chce się rozstawać z Josuą; cała ta rozmowa, podobnie jak cała noc, była jak ze snu.

– A kiedy już odnajdziesz Camarisa, będziesz miał ze sobą Vorzhevę, co potem?

– Myślę, że na Południu oprócz Tiamaka przyda się jeszcze choć jeden członek Ligi, jeśli Liga mnie przyjmie. – Wstał. – Dziwnie się czułem, słysząc dzisiaj odmawiane za mnie słowa ceremonii pogrzebowej. Każdy za życia powinien mieć taką okazję: to daje wiele do myślenia. – Uśmiechnął się. – Dajcie mi kilka godzin czasu, a potem powiedzcie Isgrimnurowi i pozostałym, którym można zaufać, że żyję. I tak dziwiliby się zniknięciem Vinyafoda. Ale powiadomcie Isgrimnura. Boli mnie, że mój stary przyjaciel smuci się moją śmiercią: wystarczy, że stracił syna.

Josua ruszył w kierunku wyjścia.

– Wasze przygody dopiero się zaczynają, chociaż wątpię, by te, które was czekają, były szczęśliwsze. – Zdmuchnął świecę i namiot znowu pogrążył się w ciemności. – Byłbym głupcem, nie biorąc tego, co zostało mi ofiarowane, ale i ty, Simonie, byłbyś nim także, gdybyś nie ożenił się z moją bratanicą. A ty, Miriamele, okażesz się idiotką, nie przyjmując Simona. Przed wami wiele pracy, wiele rzeczy do naprawienia, ale jesteście młodzi i silni, a poza tym przeszliście szkołę jak nikt inny. Niech Bóg was prowadzi, powodzenia. Będę was obserwował. Pozostaniecie w moich modlitwach.

Zasłona namiotu uniosła się. Gwiazdy zamigotały na moment nad ramieniem Josui i znowu zapadła ciemność.

Simon położył się, czując ogromne zamieszanie w głowie. Josua żyje! Camaris ojcem księcia! A on, Simon, leży u boku księżniczki. Świat był niesłychanie dziwny.

– A zatem? – odezwała się nagle Miriamele.

– Co? – Wstrzymał oddech, zaniepokojony tonem jej głosu.

– Słyszałeś, co powiedział wuj. Masz zamiar mnie poślubić? I o co chodziło z tym potomkiem Eahlstana? Czy przez cały czas ukrywałeś coś przede mną, żeby mi odpłacić za to, że udawałam służącą?

Wypuścił powietrze.

– Sam dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj.

Po długiej chwili ciszy Miriamele powiedziała:

– Nie odpowiedziałeś na drugie pytanie. – Ujęła w dłonie jego twarz i przysunęła ją blisko swojej, muskając palcami miejsce wokół blizny. – Powiedziałeś, że nigdy mnie nie opuścisz. Czy masz zamiar zrobić to, co radził ci Josua?

W odpowiedzi roześmiał się tylko bezradnie i pocałował ją. Ramiona Miriamele oplotły jego szyję.

ZEBRALI SIĘ NA POROŚNIĘTYM TRAWĄ ZBOCZU pod Bramą Nearulagh. Ogromny portal leżał w gruzach; nad kamieniami unosiły się ptaki, kłócąc się głośno. Za rumowiskiem w blasku zachodzącego słońca lśniły mokre dachy Hayholt. W północnym zakątku ciemniejącego nieba widniała niewyraźna plama Gwiazdy Zdobywcy.

Simon i Miriamele stali, obejmując się nawzajem, otoczeni przyjaciółmi i znajomymi. Sithowie przyszli, by się z nimi pożegnać.

– Jiriki. – Simon wyswobodził się z uścisku Miriamele i podszedł do przodu. – Prawdą jest to, co powiedziałem wcześniej, chociaż powiedziałem to w złości, jak dzieciak. Twoja strzała spłonęła, kiedy zniknął Król Burz. Ale dług został spłacony. Wielokrotnie uratowałeś mi życie.

Sitha uśmiechnął się.

– A zatem zaczniemy od początku.

– Szkoda, że musisz odejść.

– Moja matka i inni szybciej powrócą do zdrowia w domu. – Jiriki spojrzał na kolorowe proporce swojego ludu. – Spójrz na nie. Mam nadzieję, że zapamiętasz. Może już nigdy Dzieci Świtu nie zbiorą się w jednym miejscu.

Miriamele spojrzała w dół na oczekujących Sithów i ich niecierpliwe rumaki.

– Piękne – powiedziała. – To jest piękne.

Jiriki uśmiechnął się do niej i ponownie zwrócił do Simona:

– Czas wracać do Jao e-Tinukai’i, ale my niedługo się zobaczymy. Pamiętasz, powiedziałem ci kiedyś, że nie potrzeba żadnej magii, żeby powiedzieć, iż znowu się spotkamy? Tak więc powtarzam to raz jeszcze, Seomanie Śnieżnowłosy. Ta historia jeszcze się nie skończyła.

– I tak będę tęsknił za tobą, oboje będziemy tęsknili.

– Może w przyszłości lepiej będzie się działo między naszymi ludami. Ale nie nastąpi to szybko. Jesteśmy starym ludem, zmieniamy się powoli, a większość śmiertelników wciąż się nas boi: i nie bez powodu, po tym, co zrobili Hikeda’ya. A jednak mam nadzieję, że coś zmieniło się bezpowrotnie. Nasz dzień przeminął, lecz może nie znikniemy tak po prostu. Może po naszym odejściu zostanie coś więcej niż tylko ruiny i stare opowieści. – Uścisnął dłoń Simona, a potem obaj się uściskali.

Następnie zbliżyła się Aditu.

– Na pewno nas odwiedzisz, Seomanie – powiedziała uśmiechnięta. – My także przybędziemy do ciebie. Mamy jeszcze wiele gier do rozegrania. Z niepokojem oczekuję, jakie to nowe strategie wymyślisz.

Simon roześmiał się.

– Mnie, jako przeciwnika w grze shent, obawiasz się tak samo jak głębokiego śniegu i wysokich murów, to znaczy wcale.

Pocałowała go, a potem i Miriamele.

– Bądźcie dla siebie dobrzy i cierpliwi – powiedziała Sithijka. – Przed wami długie lata wspólnego życia. Pamiętajcie o dobrych chwilach, ale nie zapominajcie i o smutnych. Wspomnienia to największy dar.

Teraz podchodzili inni, którzy pozostali, by pomóc w odbudowie Erchesteru i Hayholt, by obejrzeć koronację i dopiero potem wrócić do swoich miast.

Z tłumu otaczającego nieśmiertelnych wynurzył się książę Isgrimnur.

– Simonie, Miriamele, zostanę tutaj jeszcze jakiś czas po przybyciu mojej żony z Nabbanu. Ale przed latem będziemy musieli udać się do Elvritshalli. – Pokręcił głową. – Czeka nas mnóstwo pracy. Moi ludzie wiele wycierpieli.

– Nie moglibyśmy niczego zacząć tutaj bez twojej pomocy, wuju Isgrimnurze – powiedziała Miriamele. – Pozostań z nami najdłużej, jak to możliwe, a my damy ci wszystko, co tylko w naszej mocy.

Książę uniósł ją w górę i uściskał.

– Jestem taki szczęśliwy z twojego powodu, moja droga Miriamele. Czułem się jak zdrajca.

Uderzyła go po ramieniu i dopiero wtedy postawił ją na ziemi.

– Robiłeś to, co najlepsze dla wszystkich, a przynajmniej co wydawało ci się najlepsze. Ale powinieneś był przyjść do mnie. Chętnie ustąpiłabym miejsca tobie, Simonowi, a nawet wilczycy Binabika. – Roześmiała się i zakręciła na pięcie, powiewając sukienką. – Ale teraz jestem szczęśliwa, wuju. Jestem gotowa do pracy. Wszystko naprawimy.

Isgrimnur skinął głową; po jego ustach przemknął smutny uśmiech.

– Wiem, wiem, że tak będzie.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk trąb i okrzyki tłumu. Sithowie dosiadali swoich wierzchowców. Simon odwrócił się i uniósł dłoń. Miriamele wzięła go pod ramię. Jiriki stanął w strzemionach na czele swego oddziału i uniósł ramię. Wtedy trąby zagrały jeszcze raz i Sithowie ruszyli. Ich zbroje lśniły w blasku zachodzącego słońca, kiedy nabierali szybkości; niebawem byli już tylko płynącą na wschód jasną chmurą. Wiatr niósł za nimi słowa ich pieśni. Simon czuł wypełniające go radość i smutek; wiedział, że na zawsze zapamięta ten widok.

Zapadła długa chwila ciszy, a potem ludzie zaczęli się rozchodzić. Simon i jego towarzysze ruszyli w dół do Erchesteru. Na Placu Bitewnym

już wcześniej rozpalono ogromne ognisko i teraz ulice znowu wypełniły się ludźmi. Miriamele zwolniła, tak by dotrzymać kroku Isgrimnurowi. Simon poczuł, że coś dotyka jego dłoni, i spojrzał w dół. Ujrzał Binabika, a obok niego Qantaqę podobną do szarego cienia.

– Zastanawiałem się, gdzie jesteś – powiedział Simon.

– Z Sithami pożegnałem się już rano, więc razem z Qantaqą chodziliśmy brzegiem Kynswood. Kilka wiewiórek, które tam mieszkały, pożegnało się z życiem, ale Qantaqa jest bardzo szczęśliwa. – Troll uśmiechnął się. – Ach, Simonie, przyjacielu, myślałem o Doktorze Morgenesie i o tym, jak byłby dumny, mogąc to wszystko zobaczyć.

– On uratował nas wszystkich, prawda?

– Niewątpliwie jego przezorność bardzo nam pomogła. Daliśmy się oszukać Pryratesowi i Królowi Burz, ale gdyby nie nasza czujność, z pewnością zniszczenia Eliasa byłyby jeszcze większe. Poza tym miecze znalazłyby innych, którzy by je przynieśli, i w wieży nie byłoby komu stawić im czoło. Nie, z pewnością Morgenes nie mógł przewidzieć wszystkiego, ale nikt nie mógłby zrobić więcej.

– Próbował mi powiedzieć. Próbował ostrzec nas przed fałszywym posłańcem. – Simon spojrzał w dół na Główną Aleję i migocące ognie. – Czy pamiętasz sen, który śniłem w domu Geloë? Wiem, że to był on, że on... obserwował.

– Nie wiem, co się dzieje po naszej śmierci – powiedział Binabik. – Ale myślę, że masz rację. W jakiś sposób Morgenes ciebie obserwował. Byłeś dla niego kimś bardzo bliskim, bliższym nawet od innych członków Ligi.

– Zawsze będę za nim tęsknił.

Szli jakiś czas w milczeniu. Obok nich przebiegła trójka dzieci; jedno z nich ciągnęło za sobą pasek kolorowego materiału, które pozostałe próbowały złapać, śmiejąc się i pokrzykując.

– Wyruszam wkrótce – powiedział Binabik. – Moi ludzie w Yiqanuc czekają, ciekawi, co się wydarzyło. Ale przede wszystkim czeka tam Sisqinanamook. Tak jak ciebie i Miriamele, łączy nas długa opowieść. Czas, byśmy się pobrali w obecności Pasterza i Łowczyni oraz całego ludu z Mintahoq. – Roześmiał się. – Myślę, że mimo wszystko jej rodzice posmutnieją trochę, kiedy zobaczą, że przeżyłem.

– Wkrótce? Wkrótce odjeżdżasz?

Troll przytaknął mu.

– Muszę. Ale, jak powiedział Jiriki, jeszcze nie raz się spotkamy.

Qantaqa spojrzała na nich, a potem pobiegła do przodu z nosem przy ziemi. Simon nie odrywał wzroku od płonącego w oddali ogniska, jakby nigdy czegoś takiego nie widział.

– Binabiku, nie chcę cię stracić. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Troll ujął jego rękę w swoją małą dłoń.

– To jeszcze jeden powód, dla którego nie powinniśmy się rozstawać na długo. Przyjedziesz do Yiqanuc, gdy tylko będziesz mógł. W końcu musimy kiedyś przyjąć pierwszą misję *Utku*! Ja i Sisqi również cię odwiedzimy. – Pokiwał głową. – Ty także jesteś dla mnie najdroższym przyjacielem, Simonie. Ta przyjaźń na zawsze pozostanie w naszych sercach.

Poszli wolno w stronę ogniska.

RACHEL SMOK WĘDROWAŁA ULICAMI ERCHESTERU, włosy miała potargane, ubranie brudne i podarte. Ludzie biegali dookoła, śmiejąc się i dokazując, jakby nic się nie stało. Rachel nie mogła tego zrozumieć.

Przez jakiś czas po ogromnym trzęsieniu ukrywała się w swojej podziemnej kryjówce. Była przekonana, że nadszedł koniec świata, i nie chciała wcale wychodzić na zewnątrz, spodziewając się ujrzeć demony i złe

duchy, które będą tańczyły na zgliszczach jej ukochanego Hayholt. Wreszcie jednak ciekawość i pewne postanowienie wzięły górę. Rachel należała do tych osób, które nawet końcowi świata nie poddawały się bez walki. Niech więc poddadzą ją swoim diabelskim torturom. Błogosławiona Rhiappa także cierpiała. Czy Rachel mogła się wahać, mając taki przykład?

Jej najgorsze obawy potwierdziły się, kiedy po raz pierwszy wynurzyła się ze swej kryjówki. Serce ściskało jej się z bólu, gdy szła przez ruiny domu, jej największej dumy. Przeklinała ludzi, czy też stworzenia, które tego dokonały, przeklinała je słowami, które z pewnością wystraszyłyby ojca Dreosana. Ogarnęła ją fala gniewu, potężna jak największy pożar.

Kiedy jednak wreszcie wyszła na prawie pusty dziedziniec, spotkały ją kolejne niespodzianki. Wieża Zielonego Anioła leżała w gruzach, a wszędzie dookoła widać było pogorzeliska i ślady niedawnej bitwy. Ale nieliczni ludzie, których spotkała wśród gruzów, twierdzili, że Elias nie żyje i że znów wszystko będzie dobrze.

Potem zeszła do Erchesteru, gdzie wszyscy nieustannie mówili o Miriamele, królewskiej córce, oraz o kimś, kogo nazywali Śnieżnowłosym. Tych dwoje, jak mówili – on, wielki bohater bitew, które miały miejsce na Wschodzie, dzielny wojownik i pogromca smoka – obaliło Wielkiego Króla. Niebawem mieli się pobrać. Niebawem wszystko miało być tak jak dawniej. Wciąż powtarzali to samo: wszystko będzie tak jak dawniej.

Rachel prychnęła pod nosem – tylko ktoś, kto nigdy nie dźwigał obowiązków takich jak ona, mógł przypuszczać, że podobne zadanie zajmie mniej niż przynajmniej kilka lat – lecz mimo to czuła dziwną ciekawość i ujrzała iskierkę nadziei. Ludzie mówili też, że Pyrates także spłonął w wieży. Tak, sprawiedliwości stało się zadość. Choć tak późno, jej straty zostały pomszczone.

Pomyślała, że może i Guthwulf zdołał się uratować i opuścił ciemność. Zasłużył na lepszy los niż wieczna wędrówka, kiedy na ziemi powrócił jako taki porządek.

Dobrzy ludzie z Erchesteru podzielili się z nią skromną strawą i dali kąt do spania. Przez cały wieczór słuchała opowieści o księżniczce Miriamele i Śnieżnowłosym, wojowniku z blizną po walce ze smokiem. Pomyślała, że może kiedy wszystko się uspokoi, zaoferuje swoje usługi nowym panującym. Taka młoda kobieta jak Miriamele, wychowana wśród wszystkiego, co najlepsze, z pewnością będzie chciała mieć w domu porządek. Rachel nie łudziła się, by jeszcze raz potrafiła całym sercem oddać się swojej pracy, ale wierzyła, że pozostało jej wiele do zaoferowania. Była stara, ale może na coś się przyda.

RACHEL SMOK PODNIOSŁA GŁOWĘ. Pogrążona w myślach zaszła aż na skraj Placu Bitewnego, gdzie rozpalono ognisko. Na tyle, na ile pozwalały skromne zapasy, zorganizowano tam wielką ucztę. Pozostali przy życiu mieszkańcy Erchesteru śpiewali i tańczyli na środku placu. Hałas był ogłuszający. Rachel przyjęła od jakiejś młodej kobiety kawałek suszonego owocu i wycofała się w ocieniony kąt, by zjeść go w spokoju. Usiadła pod ścianą sklepu i przyglądała się świętującym.

Minął ją młodzieniec, który spojrzał na nią przez chwilę. Był chudy i miał smutną twarz. Rachel wytężyła wzrok. Dostrzegła w nim coś znajomego.

On musiał mieć podobne myśli, gdyż odwrócił się i podszedł do niej.

– Rachel? – spytał. – Czy ty nie jesteś Rachel, przełożona pokojówek?

Spojrzała na niego, lecz nie potrafiła przypomnieć sobie imienia. Jej myśli rozpraszały okrzyki nawołujących się radośnie ludzi.

– Tak, to ja jestem – powiedziała. – Byłam.

Młodzieniec podszedł bliżej – co ją trochę przestraszyło – i zarzucił jej ręce na szyję.

– Nie pamiętasz mnie? – spytał. – Jestem Jeremias! Chłopiec od kupca! Pomogłaś mi uciec z zamku.

– Jeremias – powtórzyła, klepiąc go po plecach. A więc przeżył. To dobrze. Była szczęśliwa. – Oczywiście.

Cofnął się o krok i spojrzał na nią.

– Czy byłaś tutaj przez cały czas? Nikt cię nie widział w Erchesterze.

Pokręciła głową nieco zdziwiona. Dlaczego ktoś miałby jej szukać?

– Miałam pokój... kryjówkę. Pod zamkiem. – Uniosła dłonie, nie mogąc wszystkiego od razu wyjaśnić. – Ukryłam się. A potem wyszłam.

Jeremias chwycił ją za rękę.

– Chodź ze mną. Pewni ludzi z pewnością będą chcieli cię zobaczyć.

Protestując – choć nie bardzo wiedziała dlaczego; w końcu i tak nie miała nic innego do roboty – pozwoliła się poprowadzić przez płynący tłum. Jeremias ciągnął ją tak mocno, że chciała już wyrwać dłoń z jego uścisku. Wreszcie znaleźli się blisko ogniska, aż poczuła jego żar. Potem przecisnęli się przez grupę ludzi i stanęli przed ustawionymi w szeregu uzbrojonymi w piki żołnierzami. Żołnierze przepuścili ich dopiero wtedy, kiedy Jeremias szepnął jednemu z nich coś do ucha. Rachel zastanawiała się, co też powiedział mu Jeremias, lecz nie miała siły spytać.

Nagle się zatrzymali i Jeremias zostawił ją, podchodząc do młodej kobiety, która siedziała na jednym z dwóch wysokich krzeseł. Jeremias powiedział coś do niej, a wtedy ona spojrzała na Rachel i uśmiechnęła się powoli. Przełożona pokojówek patrzyła oniemiała. Z pewnością była to Miriamele, królewska córka, ale wyglądała o wiele doroślej! I była tak piękna, jej twarz okalały jasne włosy, lśniące cudownie w blasku ognia. W każdym calu wyglądała jak Królowa.

Rachel poczuła wdzięczność. Może jednak jakiś porządek powrócił na ten świat. Ale co taką osobę jak Miriamele, piękną jak anioł, może obchodzić stara służąca?

Miriamele odwróciła się i powiedziała coś do mężczyzny, siedzącego tyłem na drugim krześle. Rachel zobaczyła, jak drgnął i wstał gwałtownie.

„Miłościwa Rhiappo – pomyślała. – Ależ on wysoki! To musi być ten Śnieżnowłosy, o którym wszyscy opowiadają. Jak oni go jeszcze nazywali?”

– ...Seoman... – powiedziała głośno, wpatrując się w jego twarz. Broda, blizna, pukiel białych włosów: przez moment widziała tylko młodego mężczyznę. I nagle wiedziała.

– Rachel! – W jednej chwili znalazł się przy niej. Jego usta drżały, kiedy patrzył na nią, a potem uśmiechnął się szeroko. – Rachel! – zawołał głośno.

– Simon? – szepnęła. Wszystko stanęło na głowie. – Ty żyjesz?

Pochylił się i objął ją, ściskając mocno. Podniósł Rachel wysoko, tak że jej stopy zawisły nad ziemią.

– Tak! – Roześmiał się. – Żyję! Bóg jeden wie, jak to się stało, ale żyję! Ach, Rachel, nigdy byś nie zgadła, co się stało, nigdy, nigdy!

Postawił ją na ziemi i chwycił za ręce. Próbowała je wyrwać, gdyż łzy płynęły jej po twarzy. Czy to możliwe? A może w końcu zwariowała? Ale przecież widziała go, rude włosy, głupawy uśmiech, ogromny... och, jak ogromny!

– Czy ty... jesteś Śnieżnowłosym?

– Chyba tak! – Znowu się roześmiał. Puścił ją na chwilę, a potem zaraz otoczył ramieniem. – Mam ci tyle do powiedzenia, ale teraz mamy dużo czasu. – Odwrócił się i zawołał: – Szybko! Jest tutaj Rachel! Przynieście jej wina, przynieście jedzenie i krzesło!

– Ale co się stało? – Patrzyła na niego z niedowierzaniem; był tak niesamowicie wysoki, tak niewiarygodnie żywy, ale przecież był tym samym Simonem. – Jak to możliwe?

– Usiądź – powiedział. – Wszystko ci opowiem. A potem rozpoczniemy wielkie zadanie.

Potrząsnęła głową oszołomiona.

– Wielkie zadanie?

– Byłaś przełożoną pokojówek... ale także kimś więcej. Byłaś dla mnie jak matka, lecz ja byłem zbyt młody i głupi, by to dostrzec. Doczekałaś się zaszczytu, który ci się należy, Rachel. Jeśli zechcesz, będziesz przełożoną całego Hayholt. Bóg jeden wie, jak bardzo cię potrzebujemy. Na twoje rozkazy będzie czekała armia służących, całe oddziały budowniczych, kompanie pokojówek i legiony ogrodników. – Roześmiał się głośno. – Wypowiemy wojnę ruinie, którą tutaj zasialiśmy, i odbudujemy zamek. Nasz dom znowu będzie wspaniały! – Uścisnął ją mocno i poprowadził w stronę Miriamele i Jeremiasa, którzy przyglądali im się uśmiechnięci. – Będziesz Rachel Smok, Generał Hayholt!

Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Gamoń – powiedziała.

Posłowie

TIAMAK POPCHNĄŁ STOPĄ LIŚĆ LILII. Część fosy pozostająca w cieniu muru pogrążona była w ciszy, którą mąciło tylko bzyczenie owadów i chlupot zanurzonych w wodzie stóp Tiamaka.

Obserwował właśnie wodnego chrząszcza, kiedy usłyszał odgłos kroków.

– Tiamaku! – Ojciec Strangyeard usiadł niezgrabnie obok niego, lecz stopy obute w sandały trzymał z daleka od wody. – Słyszałem, że przybyłeś. Cieszę się, że cię widzę.

Wrańczyk odwrócił się i uścisnął dłoń archiwisty.

– Ja również się cieszę, stary przyjacielu – powiedział. – Zdumiewają mnie zmiany tutaj.

– W ciągu roku wiele może się wydarzyć. – Strangyeard roześmiał się. – Ludzie ciężko pracują. Ale jakie ty przywozisz nowiny?

Tiamak uśmiechnął się.

– Mam ich wiele. W różnych miejscach Wranu odnalazłem ludzi z naszej wioski. Myślę, że wielu z nich powróci do domu, skoro ghanty wycofały się na głębokie bagna. – Przestał się uśmiechać. – Moja siostra nie wierzy nawet w połowę tego, co jej opowiedziałem.

– Dziwisz się? – spytał Strangyeard. – Sam ledwie mogę uwierzyć w to, co widziałem.

– Nie, nie dziwię się jej. – Tiamak znowu się uśmiechnął. – Skończyłem wreszcie *Sovrańskie lekarstwa uzdrowicieli z Wranu*.

– Tiamaku, mój przyjacielu! – Strangyeard wydawał się szczerze uradowany. – Ależ to wspaniale! Nie mogę się doczekać, kiedy to przeczytam. Czy będzie to niedługo możliwe?

– Oczywiście. Przywiozłem książkę ze sobą. Simon i Miriamele powiedzieli, że każą tutaj zrobić kopie. – Pokręcił głową. – Kto by pomyślał?

– Wspaniale – powtórzył Strangyeard. Uśmiechnął się tajemniczo. – Chodź, powinniśmy chyba wracać. Chyba już czas.

Tiamak skinął głową i niechętnie wyciągnął stopy z wody. Lilia wodna odpłynęła na swoje miejsce.

– Słyszałem, że będzie to coś więcej niż tylko pomnik – powiedział Wrańczyk, kiedy ich wzrok padł na kamienną skorupę pokrytą deskami i płachtami materiału, która wyrosła w miejscu Wieży Zielonego Anioła. – Podobno będą tam też archiwa. – Spojrzał uważnie na przyjaciela. – Ale ty pewnie wiesz już coś więcej o tych czterech pisarzach, o których wspominałeś.

Strangyeard skinął głową i zaczerwienił się.

– Tak, to są moje nowiny – oświadczył dumnie. – Pomogłem przygotować plany. Tiamaku, to będzie wspaniałe. Miejsce, gdzie będzie można oddawać się studiom, gdzie nic nie zginie. Będę miał do pomocy wielu asystentów. – Uśmiechnął się i spojrzał w stronę budowli. Dwie wolno poruszające się postacie zniknęły w dopiero co zbudowanych drzwiach. – Zanim skończą, już pewnie nic nie będę widział moim okiem, jeśli w ogóle Bóg nie wezwie mnie do siebie i nie zobaczę ostatecznego dzieła. Ale nie martwi mnie to. Już je widzę. – Popukał się w głowę i uśmiechnął szeroko. – Tutaj. To jest wspaniałe, przyjacielu, wspaniałe.

Tiamak ujął duchownego pod ramię. Poszli przez porośnięte trawą śródzamcze.

– Jak mówiłem, zmiany są zdumiewające. – Wrańczyk spojrzał w górę na dachy Hayholt, teraz już prawie wszystkie połatane, lśniące w blasku popołudniowego słońca. Jeszcze wyżej wznosiło się rusztowanie kopuły kaplicy. Krzątali się na nim ostatni robotnicy, którzy kończyli pracę przed zbliżającą się nocą. Tiamak przeniósł wzrok na drugi koniec muru. – Wieża Hjeldina. Nie ma już okien. Były czerwone, prawda?

– Wieża Pryratesa... i jego magazyn. – Strangyeard zrobił na piersi znak Drzewa. – Tak. Mają ją podpalić, a potem pewnie zburzą. Długo pozostawała otoczona pieczęcią, lecz nikt się nie kwapi, by tam wchodzić. Simon, to znaczy Król Seoman, chociaż wciąż brzmi to dla mnie dziwnie, chce też zamknąć wejście do katakumb. – Archiwista potrząsnął głową. – Ty wiesz, że szanuję wiedzę, ale w tym wypadku się nie sprzeciwiam.

Wrańczyk przytaknął mu.

– Rozumiem. Ale pomówmy o przyjemniejszych rzeczach.

– Tak. – Stangyeard uśmiechnął się. – Otóż trafiłem na coś niezwykle ciekawego: księgę rachunkową kasztelana z czasów Sulisa Apostaty. Ktoś znalazł ją w czasie sprzątania Kancelarii. Są w niej zdumiewające rzeczy, Tiamaku, zdumiewające! Myślę, że mamy trochę czasu, żeby wstąpić do mojej komnaty i obejrzeć księgę w drodze do sali przyjęć.

– Chodźmy więc – powiedział Tiamak. Kiedy ruszyli, odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na Wieżę Hjeldina i jej puste okna.

WIDZISZ – POWIEDZIAŁ ISGRIMNUR. – Pokryli gładkim kamieniem, tak jak kazała Miriamele.

Gutrun otarła twarz chustą.

– Przeczytaj mi.

Książę pochylił się nad umieszczoną w podłodze płytą. Miejsce znajdowało się pod gołym niebem, lecz zapadał zmrok. „Isorn, syn Isgrimnura i Gutrun, Księcia i Księżnej Elvritshalli. Najdzielniejszy z dzielnych, ukochany Boga i wszystkich tych, którzy go znali”. – Wyprostował się. Postanowił, że nie będzie płakał. Okaże siłę dla swojego syna.

– Niech cię Bóg błogosławi, synu – szepnął.

– Pewnie czuje się samotny – powiedziała Gutrun drżącym głosem. – W ziemi jest tak zimno.

– Cicho. – Isgrimnur otoczył ją ramieniem. – Isorna nie ma tutaj, wiesz o tym. On jest w lepszym miejscu. Uśmiałby się, gdyby widział, jak się zamartwiamy. – Starał się, by jego słowa zabrzmiały stanowczo. Nie było sensu martwić się, zadawać pytania. – Bóg go nagrodził.

– Tak. – Gutrun westchnęła. – Ale wciąż tak bardzo za nim tęsknię, Isgrimnurze!

Poczuł napływające łzy i zaklął cicho, po czym zaraz zrobił znak Drzewa.

– Ja też za nim tęsknię, żono. Ale musimy myśleć także o innych, o Elvritshalli, że nie wspomnę już o naszych chrześniakach w Kwanitupulu.

– Chrześniaki, którymi nawet nie mogę się pochwalić! – powiedziała urażona, lecz zaraz się roześmiała.

Stali jeszcze trochę w milczeniu, aż ściemniło się na tyle, że kamienna płyta zginęła w cieniu. Potem odeszli.

SIEDZIELI W JADALNI WOKÓŁ WIELKIEGO STOŁU JOHNA. Na ścianach umieszczono mnóstwo pochodni, a wzdłuż stołu ustawiono

świece, tak że cała komnata tonęła w ich blasku.

Miriamele wstała, szeleszcząc błękitną suknią. Diadem na jej czole zalśnił w świetle pochodni.

– Witam wszystkich. – Mówiła łagodnie, ale zdecydowanie. – Ten dom jest i zawsze będzie wasz. Zawsze będziecie tu mile widziani.

– Ale pamiętajcie, by zawitać do nas chociaż raz w roku – powiedział Simon, wznosząc puchar.

Tiamak roześmiał się.

– Dla niektórych z nas to długa podróż, Simonie – powiedział. – Ale postaramy się.

Siedzący obok niego Isgrimnur postawił głośno swój puchar na stole. Zdążył już zakosztować królewskiego wina i piwa.

– On ma rację, Simonie. A skoro już mówimy o długich podróżach, to nie widzę nigdzie Binabika.

Simon wstał i objął ramieniem Miriamele; przytulił ją na chwilę, muskając ustami jej czoło.

– Binabik i Sisqi przysłali przez ptaka wiadomość. – Uśmiechnął się. – Teraz odbywa się u nich Rytuał Przyspieszenia; Sludig wie, o czym mówię, gdyż niemal przypłaciliśmy go życiem, a potem wraz ze swoimi ludźmi odbędą podróż do Jeziora Błękitnego Błota. Później nas odwiedzą. – Simon uśmiechnął się szeroko. – A za rok ja i Sludig odwiedzimy Mintahoq!

Sludig przytaknął gorliwie, kiedy posypały się liczne żarty.

– Trolle zaprosiły mnie – oświadczył dumnie. – Jestem pierwszym jak-oni-to-mówią „Croohok”, którego zaprosili. – Podniósł kielich. – Za Binabika i Sisqi! Niech żyją długo i mają wiele dzieci!

Inni powtórzyli jego toast.

– Czy myślisz, że pozwolę ci się wymknąć na taką przygodę beze mnie? – spytała Miriamele, spoglądając groźnie na męża. – Że pozwolę zostawić się w domu z całą tą pracą?

– Spróbuj przechytrzyć Miri. – Isgrimnur zachichotał. – Nikt tyle się nie napodróżował co ona!

Gutrun trąciła go łokciem.

– Pozwól im mówić.

Isgrimnur nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Oczywiście.

– W takim razie pojedziemy razem – oświadczył Simon. – Będzie to królewska wizyta.

Miriamele popatrzyła na niego kwaśno i spojrzała na Rachel Smoka, która przystanęła w drzwiach, by dopilnować jednego ze służących. Rachel skierowała wzrok na Simona, słysząc jego nieoczekiwaną odpowiedź. Spojrzenia obu kobiet spotkały się i oba wyrażały to samo: pełne politowania rozbawienie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jaki to kłopot? – spytała Miriamele. – Pojechać z całym dworem w góry do Yiqanuc?

Simon rozejrzał się po rozweselonych twarzach gości. Przejechał dłonią po rudej brodzie i uśmiechnął się.

– Nie nabrałem jeszcze całkiem ogłady, ale one robią, co mogą. – Miriamele trąciła go łokciem w żebra i oparła się o niego. Simon uniósł wysoko puchar. – Cieszę się, że widzę was wszystkich. Jeszcze jeden toast! Za towarzyszy księcia! Josua ucieszyłby się, będąc tutaj, ale i tak będzie zaszczycony, gdziekolwiek się znajduje! – Pozostali, wszyscy wtajemniczeni w sekret Josui, roześmiali się głośno.

Wstał Tiamak.

– Ja właśnie przynoszę wieści od... nieobecnego przyjaciela. Pozdrawia wszystkich serdecznie i przekazuje, że jego żona i dzieci mają się dobrze. – Natychmiast rozległy się głośne okrzyki zadowolenia.

Isgrimnur wstał, chwiejąc się nieco.

– Nie zapominajmy o tych wszystkich, którzy walczyli i polegli, byśmy mogli siedzieć teraz tutaj! – zawołał. – Wypijmy za wszystkich! – Jego głos zadrżał. – Niech Bóg przyjmie ich dusze. Obyśmy nigdy o nich nie zapomnieli.

– A teraz wypijmy – powiedziała Miriamele. – Ale zachowajcie trzeźwość. Sangfugol obiecał zagrać nową melodię.

– A Jeremias będzie śpiewał. Bardzo się przygotowywał. – Harfiarz rozejrzał się. – Nie wiem, gdzie on się podział. Denerwuję się, kiedy śpiewak jest nieprzygotowany.

– Chcesz powiedzieć, że niektórzy z nich są przygotowani? – Isgrimnur roześmiał się i popatrzył kpiąco na Sangfugola, który pogroził mu piętką chleba.

– Żartują sobie ci, którzy mają drewniane uszy, książę Isgrimnurze – odparł harfiarz nieco urażony.

Wszyscy pogrążyli się w wesołych rozmowach, kiedy u boku Simona pojawił się Jeremias i szepnął mu coś do ucha.

– Dobrze – powiedział Simon. – Cieszę się, że przybył. Ale czemu ty wciąż biegasz jak służący, Jeremiasie? Podobno masz śpiewać. Siadaj tutaj. Miri naleje ci wina. – Wstał i zmusił opierającego się Jeremiasa, by zajął jego miejsce, a sam poszedł w stronę drzwi.

W holu czekał na niego mężczyzna o poważnej twarzy, z długim warkoczem czarnych włosów; ubrany był jeszcze w strój podróżny.

– Hrabia Eolair. – Simon podszedł szybko i uściskał dłoń Hernystirczyka. – Miałem nadzieję, że przybędziesz. Jaką miałeś podróż?

Eolair przyglądał mu się uważnie, jakby nigdy dotąd się nie spotkali. Przyklęknął na jedno kolano.

– Dobrą, Królu Seomanie. Drogi nie są jeszcze najlepsze, a odległość była duża, lecz nie ma na nich bandytów. Dobrze, że mogę oderwać się od spraw Hernysadharc. Ale ty wiesz, co robimy.

– Mów do mnie tak jak dawniej, proszę. A jak ma się Królowa Inahwen?

Eolair skinął głową, uśmiechając się.

– Przesyła pozdrowienia. Później będziemy przedstawiać oficjalne wieści, kiedy będziemy z Królową Miriamele i innymi w sali tronowej. – Spojrzał na Simona. – A skoro już mówimy o salach tronowych, to czy na dziedzińcu widziałem Smoczy Tron? Dlaczego obrasta bluszczem?

Simon roześmiał się.

– Żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Nie obawiaj się, odrobina wiatru i wilgoci nie zaszkodzi tym kościom. Są twardsze od skały. A poza tym ani ja, ani Miri nie lubimy na nim zasiadać.

– Widziałem bawiące się na nim dzieci. – Eolair pokręcił głową w zdumieniu. – Nie sądziłem, że ujrzę coś takiego.

– Dla dzieci z zamku to tylko coś do wspinania się. Chociaż na początku trochę się bały. – Wyciągnął rękę. – Chodź, zjesz coś i napijesz się.

Eolair zawahał się.

– Może lepiej pójdę już spać. To była długa podróż.

Teraz z kolei Simon spojrzał uważnie na Eolaira.

– Wybacz, że mówię o tym może w nieodpowiednim miejscu i niewłaściwym czasie – powiedział – ale od dawna wiem o czymś, o czym, jak sądzę i ty powinieneś się dowiedzieć. – Wziął głęboki oddech. –

Spotkałem Maegwin, zanim umarła. Wiedziałeś o tym? Ale dziwne było to, że znajdowaliśmy się oddaleni od siebie o wiele mil.

– Wiem coś o tym – powiedział hrabia Nad Mullach. – Był z nami Jiriki. Próbował mi to wyjaśnić, chociaż trudno było go zrozumieć.

– Z pewnością będziemy mieli wiele do opowiedzenia, ale jedno musisz wiedzieć. – Simon mówił ściszonym głosem. – W ostatnich chwilach była sobą i jeśli czegokolwiek żałowała, odchodząc, to ciebie, hrabio Eolairze. Ona cię kochała. Ale oddając swoje życie, uratowała mnie i pozwoliła mi pójść do wieży. Gdyby nie ona, może nikogo z nas nie byłoby tutaj dzisiaj; zimny cień mógłby ogarnąć wszystko, Erkynland, Hernystir, wszystko inne.

Eolair milczał przez chwilę; jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

– Dziękuję ci – przemówił wreszcie nieco łagodniejszym głosem.

Simon ujął go delikatnie za łokieć.

– A teraz chodź, proszę. Dołącz do nas. Tam, Eolairze, jest komnata pełna przyjaciół; niektórych jeszcze nawet nie poznałeś!

Poprowadził hrabiego w stronę jadalni. Blask ognia i wesoły śmiech wyszły im przyjaźnie naprzeciw.

DODATEK

Osoby

Erkynlandczycy

Barnabas – kościelny z kaplicy w Hayholt

Deornoth, sir – z Hewenshire, rycerz Josui

Eahlferend – rybak, ojciec Simona

Eahlstan Fiskerne – „Król Rybak”, założyciel Ligi Pergaminu

Ebekah, także znana jako Efiathe z Hernysadharc – Królowa Erkynlandu, żona Johna, matka Eliasa i Josui

Elias – Wielki Król, najstarszy syn Johna, brat Josui

Fengbald – hrabia Falshire, Namiestnik Wielkiego Króla

Freobeorn – ojciec Freosela, kowal z Falshire

Freosel – Falshirczyk, konstabl Nowego Gadrinsett

Guthwulf – hrabia Utanyeat

Heanwig – stary pijak ze Stanshire

Helfgrim – były burmistrz Gadrinsett

Inch – nadzorca odlewni

Isaak – giermek Fengbalda

Jack Mundwode – legendarny leśny bandyta

Jeremias – były pomocnik kupca, przyjaciel i giermek Simona

John – Król John Prezbiter, Wielki Król, znany także jako „Prester John”

Judith – przełożona nad kuchnią w Hayholt

Leleth – towarzyszka Geloë, przedtem pokojówka Miriamele

Maefwaru – Tancerz Ognia

Miriamele – księżniczka, córka Eliasa

Morgenes, Doktor – Ten, Który Nosi Zwój, przyjaciel i nauczyciel Simona

Osgal – rozbójnik z bandy legendarnego Jacka Mundwode

Rachel – przełożona pokojówek w Hayholt, znana także jako „Smok”

Roelstan – zbiegły Tancerz Ognia

Sangfugol – harfiarz Josui

Sceldwine – kapitan uwięzionych gwardzistów z Erkynlandu

Shem Stajenny – stajenny z Hayholt

Simon – podkuchenny z zamku (nazwany przez matkę Seomanem)

Stanhelm – hutnik w odlewni

Stary Kulas – pracownik w odlewni w Hayholt

Strangyeard, ojciec – Ten, Który Nosi Zwój, duchowny, archiwista Josui

Towser – błazen Króla Johna (prawdziwe imię: Cruinh)

Ulca – dziewczyna na *Sesuad’ra*, zwana „Kędzierzawą”

Welma – dziewczyna na *Sesuad’ra*, zwana „Chudą”

Wiclaf – były Pierwszy Kowal, zabity przez Tancerzy Ognia

Zebediah – podkuchenny z Hayholt, zwany „Grubym Zebediahem”

Hernystirczycy

Airgad Żelazne Serce – słynny hernystirski bohater

Arnoran – minstrel

Bagba – bóg bydła

Brynioch z Niebios – bóg nieba

Bulychlinn – rybak z legendy, który schwytał demona w sieci

Cadrach-ec-Crannhyr – mnich bliżej nieokreślonego zakonu, znany także jako „Padreic”

Caihwye – młoda matka

Craobhan – doradca królewskiej rodziny

Croich, ród – hernystirski klan

Cuamh Ziemski Pies – bóg ziemi

Deanagha Brązowooka – bogini hernystirska, córka Rhynna

Diawen – wróżbitka

Earb, ród – hernystirski klan

Eoin-ec-Cluias – legendarny hernystirski harfiarz

Eolair – hrabia Nad Mullach

Feurgha – kobieta hernystirska, niewolnica Fengbalda

Frethis z Cuimhne – hernystirski uczony

Gullaighn – zbiegły Tancerz Ognia

Gwynna – kuzynka Eolaira i kasztelanka

Gwythinn – brat Maegwin, syn Llutha

Hern – założyciel Hernystiru

Inahwen – trzecia żona Llutha

Lach, ród – hernystirski klan

Lluth – król, ojciec Maegwin i Gwythinna

Llythinn – król, ojciec Llutha, wuj Ebekah, żony Johna

Maegwin – księżniczka, córka Llutha

Mathan – bogini ogniska domowego, żona Murhagha Jednorękiego

Mircha – bogini deszczu, żona Bryniocha

Murhagh Jednoręki – bóg wojny, mąż Mathan

Penemhwye – matka Maegwin, pierwsza żona Llutha

Rhynn – bóg

Siadreth – syn Caihwye

Sinnah – hernystirski książę, znany także jako „Czerwony Lis”

Tethtain – były pan Hayholt, „Święty Król”

Rimmersmeni

Dror – bóg burzy

Dypnir – jeden z członków grupy Ulego

Einskaldir – żołnierz Isgrimnura, zabity w lesie

Elvrit – pierwszy król Osten Ard pochodzenia rimmersgardzkiego

Fingil Krwawa Pięść – pierwszy pan Hayholt pochodzenia ludzkiego

Frekke Siwowłosy – żołnierz Isgrimnura, zabity w Naglimundzie

Gutrun – księżna, żona Isgrimnura

Hengfisk – mnich zakonu Hoderundianów, podczaszy Eliasa

Hjeldin – syn Fingila, „Szalony Król”

Ikferdig – trzeci władca Hayholt, „Spalony Król”

Isgrimnur – książę Elvritshalli, mąż Gutrun

Isorn – syn Isgrimnura i Gutrun

Jarnauga – członek Ligi Pergaminu

Nisse – (Nisses) autor *Du Svardenvyrd*

Skali – tan Kaldskryke, zwany „Ostronosym”

Sludig – żołnierz Isgrimnura

Trestolt – ojciec Jarnaugi

Ule syn Frekkego – przywódca zbuntowanych Rimmersmenów

Nabbańczycy

Aspitis Preves – hrabia Driny i Eadne

Benigaris – książę Nabbanu, syn Leobardisa i Nessalanty

Benidrivis – pierwszy książę za panowania Johna, ojciec Camarisa i Leobardisa

Brindalles – brat Seriddana

Camaris-sa-Vinitta, sir – najznakomitszy rycerz Johna, znany jako „Camaris Benidrivis”

Dinivan – członek Ligi Pergaminu, sekretarz Lektora Ranessina, zabity w Sancellan Aedonitis

Domitis – biskup katedry Świętego Sutrina w Erchesterze

Eneppa – kucharka w domu Metessów, niegdyś zwana „Fuiri”

Elysia – matka Usiresa Aedona, zwana „Matką Bożą”

Fluiren, sir – rycerz z rodu Sulianów, członek Wielkiego Stołu Johna

Gavanaxes – rycerz z rodu Clavenów, którego giermkiem był Camaris

Hylissa – matka Miriamele, żona Eliasa, zabita przez Thrithingów

Lavennin, święty – patron wyspy Spenit

Leobardis – książę Nabbanu, zabity w Naglimundzie

Metessów Ród – ród nabbańskich szlachciców, w herbie błękitny żuraw

Munshazou – służąca Pryratesa z Naraxi

Nessalanta – księżna, matka Benigarisa

Nuanni (Nuannis) – nabbański starożytny bóg oceanu

Pasevalles – młody syn Brindallesa

Pelippa, święta – zwana „Pelippą z Wyspy”

Plesinnen Myrmenis – dawny uczony

Pryrates – duchowny, alchemik, czarnoksiężnik, doradca Eliasa

Ranessin – Lektor Matki Kościół, zabity w Sancellan Aedonitis

Rhiappa, święta – w Erkynlandzie zwana „Rhiap”

Seriddan, baron – lord Metessy, także znany jako „Seriddan Metessis”

Sulis, lord – nabbański szlachcic, były pan Hayholt, „Król Czapla”, znany także jako „Apostata”

Thures – młody paź Aspitisa

Usires Aedon – Syn Boży w religii aedonickiej

Varellan – najmłodszy syn Leobardisa i Nessalanty, brat Benigarisa

Velligis – Lektor Matki Kościół

Xannasavin – nadworny astrolog Nabbanu

Yistrin, święty – święty patron dnia urodzin Simona

Sithowie

Aditu (no-Sa’onserei) – córka Likimeyi i Shima’onari; siostra Jirikiego

Amerasu y-Senditu no’e-Sa’onserei – matka Inelukiego, zabita w Jao e-Tinukai’i, zwana „Pierwszą Babką”, znana także jako: „Amerasu Urodzona Na Statku”

Benayha – sławny poeta i wojownik sithijski

Briseyu Puchowe Pióro – matka Likimeyi, żona Hakatriego

Cheka’iso – zwana „Bursztynowe Loki”, z klanu Sithów

Chiya – z klanu Sithów, kiedyś mieszkanka Asu’a

Dom Kontemplacji – ród sithijski

Dom Tańczącego Roku – ród sithijski

Dom Zgromadzeń – ród sithijski

Drukhi – syn Utuk’ku i Ekimeniso, mąż Nenais’u

Hakatri – syn Amerasu, zaginął na Zachodzie

Ineluki – syn Amerasu, zabity w Asu’a, obecnie Król Burz

Initri – mąż Jenjiyany

Jenjiyana – żona Initriego, matka Nenais’u, zwana „Słowikiem”

Jiriki (i-Sa’onserei) – syn Likimeyi i Shima’onari, brat Aditu

Kendhraja’aro – wuj Jirikiego i Aditu

Kira’athu – sithijska uzdrowicielka

Kuroyi – nazywany „wysokim jeźdźcem”, pan Wielkiego Anvi’janya, przywódca sithijskiego klanu

Likimeya (y-Briseyu no’e-Sa’onserei) – matka Jirikiego i Aditu, zwana „Likimeya Księżycowe Oczy”

Mezumiiru – kochanka księżyca w sithijskiej legendzie

Senditu – matka Amerasu

Shi’iki – ojciec Amerasu

Shima’onari – ojciec Aditu i Jirikiego, zabity w Jao e-Tinukai’i

Vindaomeyo – Sitha z Tumet’ai znany ze strzał, które robił

Yizashi Szara Włócznia – przywódca sithijskiego klanu

Zinjadu – zwana „Kochanką Wiedzy”

Trolle Qanuc

Binabik (Binbiniqegabenik) – członek Ligi Pergaminu, Ten, Który Śpiewa w plemieniu Qanuc, przyjaciel Simona

Chukku – legendarny bohater trolli

Kikkasut – legendarny król ptaków

Nimsuk – pasterz Qanuc, jeden z żołnierzy Sisqi

Nunuuika – Łowczyni

Ookequk – członek Ligi Pergaminu, mistrz Binabika

Qinkipa – bogini śniegów

Sedda – bogini księżyca

Sisqi (Sisqinanamook) – córka Pasterza i Łowczyni, narzeczona Binabika

Snenneq – pierwszy pasterz Chugik

Uammannaq – Pasterz

Thrithingowie

Fikolmij – ojciec Vorzhevy, tan klanu Mehrdon

Hotvig – wojownik z plemienia Wielkich Thrithingów, później żołnierz Josui

Lezhdraka – najemny wódz Thrithingów

Ozhbern – wojownik z plemienia Wielkich Thrithingów

Ulgart – najemny kapitan Thrithingów z Łąk

Vorzheva – żona Josui, córka Fikolmija

Perdruińczycy

Charystra – właścicielka „Pucharu Pelippy”

Lenti – sługa Streave’a, zwany „Avi Stetto”

Streawe, hrabia – pan Perdruin

Tallistro, sir – sławny rycerz Wielkiego Stołu Johna

Xorastra – członek Ligi Pergaminu, poprzednia właścicielka gospody „Puchar Pelippy”

Wrańczycy

Buayeg – właściciel „chaty ducha” (wrańska legenda)

Ci, Którzy Oddychają Ciemnością – bogowie

Ci, Którzy Patrzą i Rządzą – bogowie

Inihe Czerwony Kwiat – kobieta z piosenki Tiamaka

Młodszy Mogahib – Wrańczyk z Wioski Tiamaka

Nuobdig – Mąż Siostry Ognia w legendzie wrańskiej

Rimihe – siostra Tiamaka

Shoaneg Szybkie Wiosło – mężczyzna z piosenki Tiamaka

Ta, Która Czeka, By Wszystko Zabrać – bogini śmierci

Ta, Która Zrodziła Ludzkość – bogini

Ten, Który Zawsze Kroczy Po Piasku – bóg

Ten, Który Zgina Drzewa – bóg wiatru

Tiamak – członek Ligi Pergaminu, zielarz

Tugumak – ojciec Tiamaka

Twiyah – siostra Tiamaka

Nornowie

Akhenabi – mówca w Naglimundzie

Ekimeniso Czarne Drzewce – mąż Utuk’ku, ojciec Drukhi

Mezhumeyru – imię Nornów dla Mezumiiru

Urodzony-Pod-Kamieniem-Tzaaihta – Szpon Utuk’ku

Utuk’ku Seyt-Hamakha – Królowa Nornów, pani Nakkigi

Wzywana-Przez-Głosy – Szpon Utuk’ku

Żyła-Srebrzystego-Ognia – Szpon Utuk’ku

Inni

Derra – córka Josui i Vorzhevy

Deornoth – syn Josui i Vorzhevy

Gan Itai – Niska z *Chmury Eadne*

Geloë – mądra kobieta, nazywana „*valada* Geloë”

Imai-an – karlak

Ingen Jegger – Czarny Rimmersman, łowczy Utuk’ku, zabity w Jao e-Tinukai’i

Injar – klan Nisków zamieszkujący wyspę Risa

Nin Reisu – Niska z Klejnotu Emettina

Ruyan Ve – patriarcha Tinukeda’ya, zwany „Żeglarzem”

Sho-vennae – karlak

Veng’a Sutekh – zwany „Księciem Czarnego Wiatru”, jeden z Czerwonej Dłoni

Yis-fidri – karlak, mąż Yis-hadry, pan Komnaty Wiedzy

Yis-hadra – karlak, żona Yis-fidriego, pani Komnaty Wiedzy

Miejsca

Anvi’janya – miejsce zamieszkania Kuroyi, znane także jako „Ukryta” albo „Wielka” Anvi’janya.

Ballacym – miasto na obrzeżach Hernysadharc

Bradach Tor – wysoki szczyt w górach Grianspog

Bregshame – małe miasteczko przy Rzecznym Trakcie między Stanshire i Falshire

Cathyn Dair, nad Srebrzystym Morzem – hernystirskie miasto z piosenki Miriamele

Chasu Yarinna – miasto wybudowane wokół twierdzy, na północny wschód od przełęczy Onestrine

Dolina Frasilis – dolina na wschód od przełęczy Onestrine

Dolina Hasu – dolina w Erkynlandzie

Dom Wód – budynek na *Sesuad’ra*

Dom Rozstania – sithijski budynek na *Sesuad’ra*, później siedziba dworu na wygnaniu Josui

Elvritshalla – książęca siedziba Isgrimnura w Rimmersgardzie

Falshire – miasto zajmujące się głównie handlem wełną, zniszczone przez Fengbalda

Fiadhcoille – las na południowy wschód od Nad Mullach, także znany jako „Jeleni Bór”

Garwynswold – małe miasto przy Rzecznym Trakcie między Stanshire i Falshire

Góra Den Haloi – góra z *Księgi Aedona*, na której Bóg stworzył świat

Gratuvask – rzeka w Rimmersgardzie, przepływa w pobliżu Elvritshalli

Grenamman – wyspa w zatoce Firannos

Harcha – wyspa w zatoce Firannos

Hekhasor – byłe terytorium Sithów

Jaskinia Si’injan’dre – miejsce uwięzienia Drukhiego po śmierci Nenais’u

Jaskinia Tortur – miejsce, w którym przygotowują się Szpony Utuk’ku

Khandia – zaginiony baśniowy ląd

Kiga’rasku – wodospad pod Burzową Górą, zwany „Wodospadem Łez”

Komnata Pięciu Schodów – komnata w Asu’a, w której zmarł Briseyu

Laguna Chamul – miejsce w Kwanitupulu

M’yin Azoshai – sithijska nazwa Wzgórza Herna

Maa’sha – byłe górzyste terytorium Sithów

Mezutu’a – Srebrzysty Dom, opuszczone miasto Sithów i karlaków pod Grianspog

Naraxi – wyspa w zatoce Firannos

Obserwatorium – budynek z kopułą na *Sesuad’ra*

Ogród Ognia – wyłożona płytami otwarta przestrzeń na *Sesuad’ra*

Peja’ura – była, porośnięta lasem siedziba Sithów, zwana „odziana w cedry”

Przełęcz Onestrine – przełęcz między dwoma dolinami w Nabbanie, miejsce wielu bitew

Risa – wyspa w zatoce Firannos

Shisae’ron – rozległa dolina, niegdyś terytorium Sithów

Spenit – wyspa w zatoce Firannos

Torfowe Nadbrzeże – dok w Kwanitupulu

Trakt Bloków – droga w Stanshire

Trakt Drewniany – ważniejsza droga w Stanshire

Trakt Taig – droga prowadząca przez Hernysadharc, znana także jako „Droga Tethtaina”

Venyha Do’sae – pierwszy dom Sithów, Nornów, Tinukeda’ya, zwany „Ogrodem”

Vinitta – wyspa w zatoce Firannos

Wealdhelm – łańcuch wzgórz w Erkynlandzie

Ya Mologi – (Wzgórze Kołyski) najwyższy punkt Wranu, legendarne miejsce stworzenia

Yakh Huyeru – (Drżąca Komnata) jaskinia pod Burzową Górą.

Yasira – święte miejsce zgromadzeń Sithów

Zwierzęta

Bukkeny – imię nadane kopaczom przez Rimmersmenów

Drochnathair – hernystirskie imię nadane smokowi Hidohebhi, zabitemu przez Inelukiego i Hakatri

Ghanty – stworzenia zamieszkujące Wran

Huneny – nazwa olbrzymów nadana przez Rimmersmenów

Igjarjuk – lodowy smok na Urmsheim

Kilpa – morskie stworzenia podobne do ludzi

Kopacze – małe, podobne do ludzi podziemne stworzenia

Kot – szary, bliżej nieznany czworonóg

Nadzieja – klacz Simona

Niku’a – największy ogar Ingena Jeggera, wychowany w psiarni Burzowej Góry

Olbrzymy – ogromne, kudłate stworzenia podobne do ludzi, znane także jako „Huneny”

Oruki – legendarne morskie potwory

Qantaqa – wilczyca Binabika, jego przyjaciółka i wierzchowiec

Shurakai – ognisty smok zabity pod Hayholt, z którego kości powstał Smoczy Tron

Vildalix – koń Deornotha

Vinyafod – koń Josui

Wodne Potwory – legendarne potwory morskie, znane także jako „kilpy”

Inne

A-Genay’asu – (Domy Podróżowania Poza) miejsca o tajemniczej mocy i znaczeniu

Aedontide – okres, w którym czci się narodziny Usiresa Aedona

Badulf i Zabłąkana Jałówka – piosenka, którą Simon próbuje zaśpiewać Miriamele

Berło Wielkiego Króla – zakres opieki Wielkiego Króla nad krajami Osten Ard

Biały Gwóźdź – miecz Prestera Johna, wcześniej zwany „Minneyarem”, zawiera gwóźdź ze Świętego Drzewa i kość palca świętego Eahlstana

Biskupi Wóz – piosenka Jacka Mundwode

Bitwa nad Jeziorem Clodu – bitwa, którą John stoczył z Thrithingami, nazywana także „Bitwą w Krainie Jezior”

Cellian – róg Camarisa zrobiony z zęba smoka Hidohebhi

Cierń – czarny miecz Camarisa wykonany z gwiezdnego kamienia

Cockindrill – północny odpowiednik słowa „krokodyl”

Cukrowiec – drzewo rosnące we Wranie

Cytryl – aromatyczny korzeń do żucia sprowadzany z Południa

Czerep – Wielki Świadek w Mezutu’a

Czerwony Ostrodziób – ptak z Wranu

Dobry Wieśniak – postać z przypowieści w *Księdze Aedona*

Drzewo – („Święte Drzewo” albo „Drzewo Egzekucji”) symbol stracenia Usiresa Aedona

Drzwi Odkupiciela – tajemnica spowiedzi

Du Svardenvyrd – prawie mityczna profetyczna księga Nissesa

Dzień Sądu – dzień ostatecznego sądu, w który wierzą Aedonici

Dzień świętego Granisa – święto

Dzik i Włócznie – herb Guthwulfa z Utanyeat

Gwiazda Zdobywcy – kometa, złowieszcza gwiazda

Hala Targowa – budynek zwieńczony kopułą w centrum Kwanitupulu

Homar – konstelacja w Nabbanie

Indreju – miecz Jirikiego wykonany z magicznego drewna

Juya’ha – obrazy Sithów powstałe ze splatanych ze sobą wstęg

Katedra Świętego Rhiappy – katedra w Kwanitupulu

Kei-vishaa – substancja używana przez Urodzonych w Ogrodzie do osłabiania i usypiania wrogów

„Klin i Żuk” – gospoda w Stanshire

Kobieta z Nabbanu – tytuł jednej z piosenek Sangfugola

Kocioł Rhynna – kocioł, w który uderzano, wzywając do walki w Hernystirze

Króliczy Nos – grzyb

Kvalnir – miecz Isgrimnura

Lampa Mgieł – Świadek, przyniesiona z Tumet’ai przez Amerasu

Mansa Nictalis – ceremonia Nocy obchodzona przez Matkę Kościół

Mixis Wilk – konstelacja w Nabbanie

Mówiący Ogień – Wielki Świadek w Hikehikayo

Nad Brzegiem Greenwade – pieśń śpiewana w Noc Ognisk na *Sesuad'ra*

Najstarsze Drzewo – magiczne drzewo, które rosło w Asu'a

Niezbadany – przysięga Nisków

Niepewność – zaklęcie Nornów

Ocean Wieczny i Nieskończony – nazwa nadana przez Nisków oceanowi, który przebyli Urodzeni w Ogrodzie

Oddychająca Harfa – Wielki Świadek w Burzowej Górze

Ognik Frayji – zimowy kwiat w Erkynlandzie

Pakt *Sesuad'ra* – umowa, na mocy której Sithowie i Nornowie rozdzielili się

Piaskowy Żuk – wrańska nazwa konstelacji

Pięćdziesiąt Rodzin – szlacheckie rody w Nabbanie

Płaczący Kamień – dolmen nad Doliną Hasu

Pływający Zamek – słynny pomnik na wyspie Warinsten

Pochwyć Piórko – gra wrańska

Prise'a – „Wiecznie-zielony", ulubiony kwiat Sithów

Przysięga Żeglarza – przysięga składana przez Nisków, którzy zobowiązują się bronić statku za wszelką cenę

Rhao iye-Sama'an – Wielki Świadek na *Sesuad'ra*, zwany także „Okiem Ziemnego Smoka"

Rytuał Przyspieszenia – ceremonia trolli związana z początkiem wiosny

Serce Nocy – sithijska nazwa gwiazdy

Shent – towarzyska gra strategiczna Sithów

Skrzydlaty Delfin – herb Streawe'a z Perdruin

Skrzydlaty Żuk – konstelacja w Nabbanie

Smocze Lustro – hernystirska nazwa pewnych starych luster

Smutek – miecz Eliasa, podarunek od Inelukiego, Króla Burz

Sokół – konstelacja w Nabbanie

Srebrnik – kwiat o właściwościach zioła

Staw Trzech Głębin – Wielki Świadek w Asu’a

Szare Wybrzeże – część planszy gry shent

Szary Kapelusz – grzyb

Sztuka Cieni – magia Nornów

Szybkoziele – wrańskie ziele

Śnieżnik – erkynlandzki kwiat zimowy

Święto Wiatru – święto wrańskie

„Tarbox” – gospoda w Falshire

Ten, Który Uciekł – aedonickie określenie Diabła

Ti-tuno – róg Camarisa wykonany ze smoczego zęba, znany też jako „Cellian”

Topór Tethtaina – topór zatopiony w sercu brzozy według znanej hernystirskiej opowieści

Tron Yuvenisa – konstelacja w Nabbanie

Urodzeni w Ogrodzie – wszyscy, którzy pochodzą z Venyha Do’sae

Wąż – konstelacja w Nabbanie

Wiciowiec – roślina wrańska

Wielki Stół – zgromadzenie rycerzy i bohaterów na dworze Johna

Wielka Kolumna – Wielki Świadek w Jhina Y’senei

Wielkie Miecze – Biały Gwóźdź, Smutek i Cierń

Wigilia Orki – 30 Octander, dzień poprzedzający „Dzień Dusz”

Wino Myśliwych – trunek trolli

Wirujące Koło – erkynlandzka nazwa konstelacji

Yrmansol – drzewo obchodów Maia w Erkynlandzie

Zając – konstelacja w Erkynlandzie

Zgromadzenie Anitulles – słynne zgromadzenie wojsk w czasach Złotego Wieku Nabbanu

Zimorodek – konstelacja w Nabbanie

Żółty Druciarz – wrańska roślina

Kości – służą Binabikowi do wróżenia:

Bezskrzydły Ptak

Rybia Włócznia

Ścieżka Cieni

Pochodnia u Wejścia do Jaskini

Krnąbrny Baran

Chmury na Przełęczy

Czarna Szczelina

Niezawinięta Strzała

Kamienny Krąg

Tańczące Góry

Słowa i wyrażenia

Qanuc

Henimaatuq! Ea kup! – Ukochany przyjacielu! Jesteś tutaj!

Inij koku na siqqasa min taq – Będę rad, kiedy się znowu zobaczymy.

Iq ta randayhet suk biqahuc – Zimą nikt nie kąpie się nago.

Mindunob inik yat – Mój dom stanie się twoim grobowcem.

Nenit, henimaatuya – Chodźcie, przyjaciele.

Nihut – Atakuj!

Shummuk – Zaczekaj!

Ummu Bok – Dobra robota!

Sithijskie

A y'ei g'eisu! Yas'a pripurna jo-shoi! – Wy tchórze! Nawet fale by was nie uniosły!

A-Genay'asu – Domy Podróżowania Poza

Hikeda'ya – Dzieci Chmury: Nornowie

Hikka Staja – Ten, Który Nosi Strzały

Hikka Ti-tuno – Ten, Który Nosi Ti-tuno

M'yon rashi – Niszczyciele

Sinya'a du-n'sha e-d'treyesa inro – Obyś znalazł światło, które świeci nad łukiem

Sudhoda'ya – Dzieci Zachodzącego Słońca: śmiertelnicy

Sumy'asu – Piąty Dom

Tinukeda'ya – Dzieci Oceanu: Niskowie i karlaki

Venyha s'ahn! – Na Ogród!

Zida'ya – Dzieci Świtu: Sithowie

Nabbańskie

A prenteiz – Bierzcie go! Na niego!

Duos preterate! – Niech Bóg chroni!

Em Wulstes Duos – Zgodnie z wolą Boga

Matra sa Duos – Matka Boża

Otillenaes – Narzędzia

Soria – Siostra

Ulimor Camaris? Veveis? – Lord Camaris? Ty żyjesz?

Hernystirskie

Goirach cilagh! – Głupia dziewucha!

Moiheneg – Pomiędzy albo puste miejsce

Smearech fleann – Niebezpieczna książka

Rimmerspakk

Vad es... Uf nammen Hott, vad es...? – Co? W imię Boga, co?

Inne

Azha she'she t'chako, urun she'she bhabekro... Mudhul samat'ai. Jabbak s'era memekeza sanayha-z'a... Nineyk she'she, hamut 'tke

agrazh'a s'era ye... – (pieśń Nornów) znaczy Coś Bardzo Nieprzyjemnego

Shu'do-tkzayha! – (Nornowie) śmiertelnicy

S'h'rosa – (Karlaki) Żyła kamienia

Tytuł oryginału: *To Green Angel Tower.* Volume 2 *(Turning Wheel, Blazing Tower)*

Copyright © 1993 by Tad Williams
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Mapy: Tad Williams

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Wieża Zielonego Anioła część 2, wyd. I w tej edycji, dodruk, Poznań 2011

ISBN 978-83-7818-915-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com